

**Walerij Aksjonow**

**NOWY SŁODKI STYL**

*Raz dla zabawy czytaliśmy boje,*

*Gdzie wpadł Lancelot w miłosne więzienie.*

*Dante, Boska Komedja Część pierwsza I*

## **Część pierwsza**

Dziesiątego sierpnia 1982 roku Aleksander Jakowlewicz Korbach po raz pierwszy stanął na amerykańskiej ziemi. Data ta wciąż tłukła mu się po głowie, kiedy w terminalu PanAm stał w kolejce do kontroli paszportowej: był w niej jakiś dodatkowy, ukryty sens. I dopiero po zakończeniu kontroli, przy transporterze bagażowym, olśniło go: urodziny! Co roku tego dnia „kończył” ileś tam, no i teraz też skończył: chyba czterdzieści dwa, nie, czterdzieści trzy. Czy rok temu, na Krymie, przypuszczał, że kolejne urodziny będzie obchodzić na nowojorskim lotnisku? 10.08.82, czterdzieści trzy lata, głowa boli po wczorajszym, wiza N-1, w kieszeni półtora tysiąca dolarów, trzy tysiące franków, niczego nie czuję prócz „wichru wrażeń”.

Pierwsze spotkanie na amerykańskim lądzie okazało się przyjemne, a nawet wzruszające. Walizka przybyła jedna z pierwszych: wyskoczyła z otchłani, wykazując dziwną żwawość, by nie powiedzieć nonszalancję. Skłonny do snucia nieadekwatnych refleksji na tematy nie odnoszące się do sprawy, Aleksander patrzył na nią i myślał: niby to tylko zszargana po różnych gościnnych występach walizka, a mimo to jakoś bliska sercu. Tak to leci: zabili gdzieś zwierzaka, na Łotwie zrobili ze skóry walizkę i proszę - wszystko co zwierzęce się ulotniło, a walizka zmieniła się w obiekt przywiązania.

Walizka przedefilowała przed nim, zderzyła się z hinduskim tobołem i upadła na płask. Przy kolejnym obrocie transportera Korbach wyłapał swoje spomiędzy cudzego i stanął w kolejce do kontroli celnej.

Z wysokiego krzesła popatrywał na niego funkcjonariusz celny Jim Corbett. Nie da się sprawdzić całego tego barachła, które przybywa do Ameryki, ale istnieje metoda kontroli wyrywkowej, znakomicie opanowana przez profesjonalistów. Wspecjalizowany celnik patrzy na wyraz twarzy, gest, każdy ruch ciała. Czasem z daleka widać potencjalnego przestępcę. O, na przykład ten typ z łysą, pięknie zarysowaną czaszką. Trudny do sklasyfikowania. Jakoś tak dziwnie wrzusza ramionami. Za bardzo. Przemysł narkotyków tak nie podryguje. No dobra, nie będę go sprawdzać, niech przechodzi ta pała razem ze swoimi uszami.

- Czy byłby pan uprzejmy otworzyć walizkę? - odezwał się grzecznie i dodał: - Sir.

Typ podsuwa papierek:

- *Declaration! Declaratwn!*

Nie rozumie po angielsku! Jim Corbett pokazuje: wyrazisty, okrągły ruch nadgarstków, a następnie lekkie uniesienie dłoni: „Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, *sir*”.

Niczego ciekawego, ale też niczego szczególnie odstręczającego w walizce nie było. Wśród przepoconych koszul książka w starej oprawie; niby złotą pieczęć wyciśnięto na niej wielkie D. Nie ma podwójnego dna. Jim Corbett zagłada do paszportu. *Gosh*, ten facet to rzadki ptak, Sowiet!

- Wódka jest? - pyta żartem oficer.

- Tylko tu - odpowiada również żartem przybysz, poklepując się po czole.

Fajny gość, uśmiecha się Corbett. Nieźle by było posiedzieć z nim w Tony's.

Ciekawi ludzie ci Rosjanie, myślał jeszcze przez parę minut Corbett, przepuszczając potencjalnych przestępców bez sprawdzenia. Kraj nienaganego porządku, wszystko pod kontrolą, żadnego homoseksualizmu... Jak oni to zorganizowali?

Aleksander Korbach zmierzał tymczasem wraz z tłumem ku zięjącemu wylotowi tunelu, za którym, co tu gadać, zaczynała się kraina wolności. Kto wie, może ciało, które dopiero co przeleciało przez ocean, nie jest jeszcze w pełni skompletowane? Być może z powodu obcej człowiekowi prędkości lotu jakieś astralne nici, wszystkie te czakry, idy, pingale, kundalini, nie połączyły się jeszcze jak należy? - myślał nie bez smętnej ironii. Odgłos szurania podeszew o niczym nie świadczy, zwykły mechaniczny ruch żywych automatów, rwących się do Ameryki. Musi minąć jakiś czas, by na nowo ożywiła je pasja.

Z przodu wznosiły się przed tłumem trzy stopnie, które wydały się Aleksandrowi trzema tarasami różnej barwy: jeden biały, marmurowy, drugi chropowaty, jak gdyby z osmalonego kamienia, koloru purpury przechodzącej w czerń, i trzeci - ognistoczerwony porfir. Tłum w milczeniu wsysał się w tunel.

Przed nimi, na drugim końcu tunelu, pojawił się inny, nieruchomy tłum - oczekujących. Nad nim sterczały już telewizyjne reflektory. Tylko spokojnie, powiedział sobie Korbach. Mówić tylko po rosyjsku. Żadnych poniżających prób dukania. Wybaczcie, panowie, sytuacja jest niejasna. Teatr na razie istnieje. Moje kierownictwo artystyczne stoi pod znakiem zapytania. Cel przyjazdu - kontakty z pokrewnymi duchem i stylem siłami twórczymi Stanów Zjednoczonych.

No cóż, w czasie gdy główny bohater - miłej powierzchowności, w typie Lermontowa, choć z łysiną jak u Andrieja Biełego, wzrostu sto siedemdziesiąt pięć centymetrów - podchodzi do kamer, my możemy się przelecieć z grubsza po jego *curriculum vitae*.

W roku 1982 człowiek radziecki nie miał jeszcze pojęcia, czym się je te dwa trudne do wymówienia słowa. Nie znał, rzecz jasna, również skrótu CV, który wymawia się „si-wi”, co za każdym razem przywodzi na myśl niejaką Sybillę, jasnowidzkę. Jest w tym pewien sens, jako że CV, mieszanka ankiety personalnej i życiorysu, odnosi się wprawdzie do przeszłości, ale zawiera w sobie nadzieję na korzystne zmiany w przyszłości. W gruncie rzeczy to nic innego niż reklama konkretnej osoby, sporządzona z myślą o tym, by ją sprzedać.

Reklama jednak nie powinna oszukiwać. Dlatego autor w roli kadrowca powinien od razu ujawnić, że bohater miał w swoim CV pewne niejasności, jeśli wręcz nie dwuznaczności. Weźmy na przykład wiecznie budzące trwogę pytanie kwestionariusza znane w sowieckim żargonie jako „punkt piąty”.

We wszystkich dokumentach Aleksander Jakowlewicz Korbach występował jako Żyd, a przecież, powiedzmy otwarcie, nie zawsze nim był. Nie zawsze też jego nazwisko miało charakterystyczną żydowską końcówkę „ach”, a i patronimik brzmiał niegdyś nieco milej dla czerwonego ucha.

W dzieciństwie i wczesnej młodości nasz przyjaciel chodził po świecie jako Sasza Izmailow, mały Rosjanin. Miał również odpowiedniego ojca, Nikołaja Iwanowicza Izmailowa, lekko utykającego, wspartego na solidnej lasce bohatera Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, z którego Sasza był jak należy dumny. Ze swej strony Nikołaj Iwanowicz odnosił się do Saszy z powściągliwą surowością, którą można było wziąć za powściągliwą czułość. Tylko kiedy sobie porządnie podpił, określał chłopca dziwnym słowem „mieszaniec”, na co mama krzyczała przeraźliwie: „Umieram! Umieram!”

Jako należący do nomenklatury Nikołaj Iwanowicz osiągał wyższy poziom życia i jego rodzina, jak to się mówi, nie wiedziała, co to bieda. W latach powojennych Saszy przybył braciszek, a potem siostrzyczka. Nikołaj Iwanowicz nierzadko figlował w swoim gabinecie na dywanie z całą trójką i tylko czasem, objąwszy Walerkę i Katiuszkę, szeptał gorąco: „Moje rodzone”, kładąc nacisk na każde słowo.

Ja i ty, czytelniku, możemy się domyślać, wówczas jednak chłopak nie rozumiał, dlaczego z upływem lat jego zachwyty dla ojca ustępowały miejsca jakiejś niejasnej rezerwie.

Na peryferiach tego nieprostego rodzinnego układu zawsze była obecna babcia Irina, którą nazywano tak jakby z racji samego wieku, a jednak niezupełnie tylko z racji wieku. Starła się pojawiać w te dni, kiedy Iźmailow wyjeżdżał w którąś ze swoich szalenie ważnych podróży służbowych. Przywoziła Saszy najpierw zabawki, potem łyżwy i kije hokejowe, patrzyła na niego z czułością, całymi godzinami rozmawiała a to o Indianach amerykańskich, a to o kapitanach fregat, a to o światowej scenie politycznej...

Babka była nietypowa. Jako lekarz wojskowy całą wojnę spędziła w szpitalach polowych. Twardy oficerski krok, nieodłączny kazbek w zębach, wielkie okulary sprowadzały całą postać do wspólnego mianownika kobiety niepowседневnej. A na dodatek przez całe dzieciństwo Saszy babka jeździła własnym samochodem, zdobycznym oplem kapitanem.

Chłopak nie rozumiał, z czyjej strony jest dla niego babką ta znakomita osoba, wyczuwał jakąś rodzinną nieprawidłowość, nie chciał się jednak wdawać w szczegóły. Kiedyś usłyszał, jak mama i babcia Irina zaczynają mówić tak zwanym podniesionym głosem. Babka jak gdyby rościła sobie wobec niego jakieś prawa, a matka z właściwą jej egzaltacją prawa te kwestionowała. Dopiero w pięćdziesiątym trzecim, to znaczy w czternastym roku życia Saszy, wszystko się wyjaśniło.

Odwiedziwszy raz babcię Irinę w jej ogromnym mieszkaniu w Zaułku Starokoniuszennym, zauważył na ścianie coś nowego: powiększoną fotografię młodego wojskowego z dystynkcjami na kołnierzu. Kto to jest? Czuł, że zbliża się do jakiegoś gwałtownego życiowego zwrotu, od którego zakręci mu się w głowie, mimo wszystko jednak zdecydował się spytać.

- To twój ojciec - twardo powiedziała babka i okryła się obłokiem błękitnego kazbekowego dymu. - Widzisz, jaki podobny: sterczące uszy, usta od ucha do ucha, roześmiane oczy. A to twoja metryka; to nieprawda, że zaginęła w czasie ewakuacji. To jest twój ojciec, Jaków Rubinowicz Korbach, mój syn, a ty jesteś moim rodzonym wnukiem. To ja przekonałam wtedy Lizę, żeby wpisać ojca do twojej metryki, nawet jeśli zgnił już w więzieniu.

Od tej chwili Sasza przestał nazywać Nikołaja Iwanowicza Iźmailowa tatą, chociaż matka, jak gdyby przeczuwając zbliżający się rozpad rodziny, z uporem mówiła po dawnemu: idź do ojca, spytaj ojca, poradź się ojca.

Zamiast wyjaśnienia zdarzył się pewnego razu w rodzinie niezwykle wypadek. Nikołaj Iwanowicz był w podróży służbowej (w owych latach odwiedzał Donbas w ramach szerzenia

prawdy marksizmu), a matka poszła z młodszymi dziećmi na przedpołudniowy spektakl do teatru młodego widza. Sasza siedział sam w stołowym, chyba nad podręcznikiem fizyki, i słuchał przez radio uwertury do opery Kabalewskiego *Colas Breugnon*. Porywał go wicher muzycznego powstania, chciało się gdzieś natychmiast gnać, do tych buntowników z arkebuzami... I w tym momencie z wysokiego sufitu wprost na głowę spadł mu ciężki żyrandol w stylu stalinowskiego *empire*. Stracił przytomność.

Później próbował przypomnieć sobie wrażenia w tej chwili, czy w mikroskopijnym ułamku chwili, czy też w nieobjętej czasem pauzie. Świadomość się najwyraźniej wyłącza, zanim wrażenie bólu dotrze do receptorów, bo bólu się nie czuje. Gdzie wówczas przebywa dusza? Właśnie w tej pauzie? Pamiętał, że pauzę przerwał trwający mgnienie potworny skurecz i eksplozja, po czym wszystko zostało przywrócone, otworzył oczy i zobaczył nad sobą oczy Iźmailowa, które, gdy napotkały jego wzrok, zapłonęły szaloną radością. „Nikołaju Iwanowiczu” - wyszeptał i Nikołaj Iwanowicz wybuchnął płaczem. Co to za niepoohamowany egzystencjalizm, indeterminizm jakiś idiotyczny? Siedzisz sobie przy stole, słuchasz *Colas Breugnona* i w którymś momencie właśnie na ciebie, a nie na puste miejsce obok spada pierdolony żyrandol.

W ciągu następnych dziesięcioleci życia Aleksandrowi Jakowlewiczowi nie dane było się dowiedzieć, że ten moment zwarcia-eksplozji mimo wszystko był zdeterminowany wcześniejszym rozwojem akcji. Rzecz w tym, że żaden żyrandol na niego nie spadł. Korzystając z przysługujących autorowi praw, moglibyśmy o tym nie wspominać, jednakże pamiętając również o prawach czytelnika, nie uważamy za możliwe, by przemilczeć to z pełnym wyższości uśmiechem.

Otóż w szczytowym punkcie uwertury do stołowego wszedł Nikołaj Iwanowicz, który właśnie wrócił z podróży. Tego dnia strasznie doskwierała mu krótsza, wzmocniona gwoździem noga. Niedawna śmierć Józefa Wissarionowicza pogrzyżyła cały aparat KC w niepewności, a Nikołaj Iwanowicz nie był wyjątkiem. Nawet w Donbasie panowała duszna atmosfera. W takim stanie ducha zobaczył przed sobą kark znienawidzonego chłopaka. Bękartą Jaszki Korbacha, który miał Lizę, który uważał go za najlepszego przyjaciela i którego on wydał czekistom. Jak po tym wszystkim mógł się uważać za rzetelnego członka partii, skoro natychmiast po aresztowaniu Jaszki zaczął się ostro przystawiać do Lizy, osaczać ją swoją chucią? I jak mógł o tym zapomnieć, skoro wciąż miał przed oczami nowego, dorostającego Jaszkę? Wstrzymując oddech, Nikołaj Iwanowicz uniósł laskę z bukszpanu i z całej siły walnął nią chłopaka w ciemię.

Na korzyść towarzysza Iźmailowa trzeba powiedzieć, że najpierw mimo wszystko wezwał pogotowie, a dopiero potem zaczął wyłamywać żyrandol, żeby upozorować egzystencjalną katastrofę.

Z jakiegoś powodu wypadek pogodził Saszę z fikcyjnym ojcem. Wszyscy w milczeniu odłożyli wyjaśnienie na później, on zaś zaczął się zwracać do ojczyma: „Nikołaju Iwanowiczu”. Mama kiedyś powiedziała do niego: „Nikołaj Iwanowicz to dobry człowiek. Przecież ożenił się ze mną, chociaż miałam już dziecko, to znaczy ciebie”. I Aleksander, choć z każdym dniem męźniał coraz bardziej, otarł oczy i pogłaskał ją po głowie.

Wyjaśnienie, chyba nie mniej dramatyczne niż tamto, niespełnione, nastąpiło trzy lata później, w pięćdziesiątym szóstym, kiedy Aleksander był w dziesiątej klasie. Pewnego dnia podczas kolacji Nikołaj Iwanowicz, czytając w gazecie artykuł na temat wypadków węgierskich, zdenerwował się: „Łotry! Szubrawcy! Wieszali komunistów głową w dół!”

Można było, rzecz jasna, poczekać z rozwiązaniem, przetrwać nerwowy moment. Aleksander jednak, pobladłszy, odsunął gwałtownie talerz i oznajmił:

- Mamo i Nikołaju Iwanowiczu, chciałem was powiadomić, że przyjmuję nazwisko mojego ojca i... i jego narodowość.

- Zwariowałeś! - krzyknęła matka. - Przecież ty raptem w jednej czwartej...!

Zapadła męcząca cisza. Młodsze dzieci siedziały z otwartymi ustami. Katusza swoim zwyczajem mechanicznie przelewała jedzenie z łyżki z powrotem do talerza.

- Precz stąd! - powiedział w końcu Nikołaj Iwanowicz.

- To jest trzecia sprawa, o której chciałem was poinformować - odparł Aleksander. - Przeprowadzam się do babci.

Mama zakryła twarz serwetką. Oczy Korbacha i Iźmailowa spotkały się. Ten ostatni w milczeniu machnął ręką: won!

Rozszyfrowawszy w ten sposób formalne punkty hipotetycznego CV Korbacha, powinniśmy sięgnąć do innych, może nie tak ważnych, ale istotnych. Na przykład w rubryce „wykształcenie” można wpisać po prostu „wyższe”, ale można też sprecyzować to dokładniej. W takim wypadku będziemy musieli wymienić nie jedną uczelnię, a całą ich listę: wydział filologii Uniwersytetu Moskiewskiego, Wyższą Szkołę Teatralną imienia Puszkina, wydział reżyserii Państwowego Instytutu Kinematografii, kurs scenopisarstwa. Lista ta jednak nie da nam nic prócz zamętu, jako

że na żadnej z wymienionych uczelni nasz bohater nie uzyskał dyplomu.

Z Uniwersytetu Moskiewskiego mieli chęć wyrzucić go już po pierwszym semestrze za „poglądy rewizjonistyczne”, ostatecznie wyrzucili jednak dopiero po drugim i z inną motywacją: „skreślony z listy studentów z powodu niezadowolającej frekwencji”. Do szkoły teatralnej rzucił się niczym nurek z wysokości, w bryzgach, w chichocie świeżo odkrytego „błazeństwa”, i szybko doblaznował się adnotacji: „skreślony z powodu zerwania przedstawienia roku”.

Najsmutniejszym, a chyba też i najbardziej niebezpiecznym okresem edukacji Saszy okazała się szkoła filmowa. Zafascynowany możliwościami ukrytej kamery, Korbach nakręcił dwuczęściowy dokument o letnich obozach wojskowych. To, co uważał za łagodny humor, doprowadziło pułkowników ze studium wojskowego do wściekłości. Taśmę zabrało KGB i przepadła bez wieści. Liberalny dziekan poradził młodzieńcowi, by wyjechał gdzieś na rok. Społeczeństwo może nie darować mu zamachu na to, co najświętsze - patriotyczny obowiązek młodzieży... W rezultacie i z tej szkoły wyleciał bez dyplomu, a na kurs scenopisarstwa zaczął się dzięki pomocy kolegów od kieliszka, głównie po to, żeby nie zabrano go do wojska, nie przypięto etykiety pasożyta i nie wysłano za sto pierwszy kilometr.

Do diabła z sowieckimi uczelniami, pomyślał wówczas Sasza. Prawdziwą wiedzę czerpie się dziś nie ze szkół, a z podziemia: z zakazanych i zapomnianych książek, z zachodnich czasopism kulturalnych, z podziemnych prezentacji sztuki, a przede wszystkim z kontaktu z żyjącymi jeszcze luminarzami Srebrnego Wieku.

Przemyślawszy to, pojechał do Leningradu, gdzie zdołał zaprosić się do Achmatowej i przeczytać jej co najmniej metr swoich wierszy. - O, to ma pan niezłe - powiedziała łaskawie cesarzowa Srebrnego Wieku i z całego metra przytoczyła jedną frazę, którą niezbyt się pysznił i którą ledwie wybąkał, czytając: *Śmiałości trzmiel naszeptał Szamilowi.*

- Jak u Chlebnikowa - dodała z uśmiechem.

Jeden z kolegów, który tak jak on nie skończył filologii, skontaktował go z dwoma wielkimi starcami, którzy mieszkali w spółdzielczym bloku koło stacji metra Aeroflot - Michaiłem Bachtinem i Leonidem Pińskim. Staruszkowie, nie rozpieszczani nadmiernym zainteresowaniem młodego pokolenia, przyjęli żądanie wiedzy młodzieńca z jawną satysfakcją. Sasza z zapałem wielbił i czcił tych tytanów erudycji. Starał się nawet przejąć ich typowe dla dawnej inteligencji maniery, nie zawsze zdając sobie sprawę, że na manierach tych wycisnęła swoje piętno i zsyłka, i życie w łagrach - czego przykładem choćby dokładne oblizywanie łyżki.

Ważniejsze jednak, że przejął ich pasję do renesansu i zdał sobie sprawę, że często używa się tego określenia nieprawidłowo, mając na myśli odrodzenie czegoś, co już kiedyś istniało, a potem z jakichś powodów uwiędło na pięćset czy tysiąc lat. Patrząc w ten sposób, można by pomyśleć, że w Rosji tworzyli niegdyś Arystoteles i Platon, skoro mówimy o renesansie filozofii rosyjskiej na początku dwudziestego wieku... Nie, kiedy mowa o renesansie, trzeba przez to rozumieć ogólny zryw twórczy narodu, grupy narodów czy całej cywilizacji.

Głęboko poruszony, młody człowiek słuchał, jak nieustannie odpalający od siebie nawzajem starcy po prostu, bez ceremonii rozprawiają o literackiej scenie trzynastowiecznej Florencji, o „nowym słodkim stylu”, zapoczątkowanym przez dwóch Guido - Guinizzellego i Cavalcantiego, o tym, jak potężnie wszedł w ten styl młody Dante. Trzy stulecia przed Szekspirem! Sześć stuleci przed Puszkinem! Siedem stuleci przed Saszą Korbachem! A zatem przed tym „nowym” stylem istniał już stary? No jasne, oto oni: jedenastowieczni trubadurzy Prowansji! Właśnie dlatego zaczęto nazywać ten styl nowym, że chciano odrodzić stary, wszystkie te miłosne wynurzenia, kancony Bertranda de Borgue’a, Raimbauta de Vaquierasa i innych dwornych włóczęgów z mieczami u pasa.

Defilował przed nim ludzki korowód karnawałowy, ze wszystkimi maskami śmiechu i trwogi, wiedziony przez Michaiła i Leonida - „poetów i mędrców” OPOJAZ-u, którzy dopiero pod koniec życia, po latach aresztów i łagrów, donieśli zapalone światło do swoich spółdzielczych klitek. To byli ludzie drugiego rosyjskiego renesansu. Z nadejściem dwudziestego wieku zrodził się u nas potężny nurt twórczości, któremu tamę postawiły dwa upiory „myślenia pozytywistycznego” - Lenin i Stalin.

To doprawdy godny cel życia - zdecydował wczorajszy idol młodzieży radzieckiej: pracować dla trzeciego renesansu! I cisnąwszy gitarę na szafę babki, dwudziestosześcioletni Korbach, zakała uniwersyteckiego wydziału filologii i szkoły teatralnej imienia Puszkina, odgrodził się od młodego życia traktatami filozoficznymi i tomami klasyków. Zaczął nawet po długiej przerwie odwiedzać mamusię, która pracowała w dziale rękopisów Wszechzwiązkowej Biblioteki imienia Lenina i miała dostęp do zbiorów specjalnych.

Jego przestrzeń życiową stanowił w owym czasie kącik obok potężnych, pełnych książek szaf Iriny Stiepanowny Korbach, z domu Kropotkin - tak, tak, z tych Kropotkinów! Babka nieustannie zachwycała się duchową ewolucją tego, jak mówiła, nie najgorszego przedstawiciela swojego nieoczekiwanego pokolenia.

Na życie zarabiał dyżurami w kotłowni, nie wzdragał się również przed pośrednictwem w sprzedaży deficytowych książek. Paradował w czarnym marynarskim płaszczu, który, rzecz jasna, miał swoją historię. Oto ona w wersji skróconej.

Zachód Estonii, Keila-Joa. Strefa *zakazana*. Telegraficzny styl w rozkwicie. Zapuszczony majątek Wołkońskich-Benkendorfów. Sztab brygady czołgistów. W parku resztki mostów na resztkach łańcuchów. Resztki idylli. Wodospad. Roztrzaskane gąsienicami płyty nagrobne. Czołgiści szukali złota.

Zejdźcie do morza. Szmer sosen. Wolny powiew wiatru. Zielonawy, pienisty przypływ. Na płyciźnie - czarny płaszcz niczym sylwetka olbrzyma. Pojawiają się czasowniki i przysłówki. Złapałem. Ciągnę. Ciężko. Zmachalem się. Odwróciłem. Nie do wiary. Mignęły dwie klapy, nie nasze, sztokholmskie!

Płaszcz, ciężki niczym lew morski, był nabity skamieniałym piaskiem. Sasza trzy dni szufelką (!) wygarniał ten piasek z rękawów i kieszeni. Przywieziony do Moskwy płaszcz sechł jeszcze trzy miesiące, aż wreszcie ożył i legł na ramionach niczym mocna, miękka druga skóra. Szwedzki krój, drugiego takiego nie uświadczysz na Arbacie! I w tym właśnie dziwnym okryciu potężnych szwedzkich ramion zwykł Sasza snuć się po mieście, tym bardziej że w bezdennych kieszeniach płaszcza można było pomieścić kupę książek.

W tym hipotetycznym CV istniał jeszcze jeden mocno poplątany fragment, a mianowicie „praca zawodowa”. Tutaj to już w ogóle były same zygzaki, spirale, zapadliska, wyrwy i zaciemnienia. Weźmy na przykład główną działalność A. Korbacha: aktorstwo i kierownictwo artystyczne w jednym z moskiewskich teatrów. Wszystkim niby był znany ten fakt, ale darmo byście szukali owego teatru na liście moskiewskich przybytków kultury. Nie próbujcie też szukać w gazetach czy w rozprawach naukowych tytułów głośnych niegdyś, a nawet skandalizujących spektakli Korbacha. Nie znajdziecie ich tam. Pozostaje liczyć wyłącznie na gadanie moskiewskiej publiczności i własne wspomnienia, co zresztą zamierzamy zrobić.

Najpierw jednak wróćmy, jeśli można, do tego, co przypadkiem ześliznęło się autorowi z pióra czterdzieści wierszy temu - do wszechzwiązkowej estradowo-magnetofonowej chwały Saszy. Przy całej swojej kuriozalności i ona stanowi przecież część jego zawodowego doświadczenia.

Po raz pierwszy stanął przed publicznością ze swoją gitarą na konkursie pieśni komsomolskiej. Z miejsca znalazł się w opozycji do „romantyzmu dalekich dróg” i zdecydowanie wyodrębnił się jako niezależny bard lat sześćdziesiątych. Pieśń Saszy Korbacha *Czyściec* masowo przegrywano jeszcze na starych, zgrzytających magnetofonach we wszystkich dziesięciu strefach czasowych, a romans-blues *Jazda figurowa* zakręcił w głowach wszystkim dziewczynom.

Na koncerty Saszy Korbacha nigdy nie było oficjalnego pozwolenia, niemniej się odbywały, za każdym razem w dość nieoczekiwanym miejscu: w bazie turystycznej w Bałkarii, w „czerwonym kąciku” fabryki lamp elektrycznych, w górniczym klubie, w internacie szkoły handlowej, ale i w stylowej sali beethovenowskiej Teatru Wielkiego, w atelier Mosfilmu, a zaraz potem na kutrze w sachalińskim porcie Chołmsk, i znów na zachodzie, w Politechnice Lwowskiej czy w ryskim klubie filmowym. I wiecznie ciągnął się za nim smród donosów: robił polityczne aluzje, był ubrany w sposób wyzywający, deprawował niewinne panienki, zwracamy się do władz z prośbą o zastosowanie we właściwym czasie odpowiednich środków.

Oto wychodzi: młody chłopak, chudy, ale o barkach atlety, odrzuca z czoła beatlesowską grzywkę (wtedy jeszcze istniała grzywka; jak to się stało, że ją stracił, czemu tak szybko rozwiła się jak dym?), uderza w struny, wyciąga nutę z charakterystyczną chrypką - i zachwyty, i gęsia skórka, i uciekamy stąd, z tego błota, jeszcze dalej w morze, jeszcze wyżej w góry!

I nagle - przepadł gdzieś ulubieniec publiczności. Krążyły słuchy, że wyrwał za granicę, że w Jakucji zarżnęli go urkowie, że ukrywa się przed swoimi siedmioma żonami i tak dalej. Mało komu przychodziło do głowy, że, być może, rozwała się na starym tapczanie u babki w Zaułku Starokoniuszennym, a tymczasem, jak już wiemy, tak właśnie było.

Pewnego razu znowu zakręcił się wokół niego ludzki wir. Zszedł się w owym czasie z grupą młodych ludzi, którzy zajmowali się sprawą swobód obywatelskich. Trzeba przekonać, że władza gwałci stworzone przez siebie prawa. Bez praw człowieka żaden renesans nie jest możliwy, drogi gitarzysto.

Zaczęli zbierać materiały do „białej księgi” w związku z procesem Ginsburga i Gałanskowa, organizować dyżury obok sądów ludowych, w których władza gwałciła ustanowione przez siebie prawa. Tam dopadła ich bojowa drużyna komsomolców i przywiozła do sztabu na przesłuchanie. Kiedy się okazało, że wśród antyradzieckich wicherzycieli znajduje się Sasza Korbach, komsomolcy zwarli szeregi. Jak to, Sasza, my śpiewamy twoje pieśni, *Balladę Dombaju*, *Delfiny*,

a ty zadajesz się z takim marginesem? To co, Żydzi są ci bliżsi niż młodzież epoki rewolucji naukowo-technicznej? Dobra, spływaj, jesteś wolny, a co do pozostałych, zobaczymy.

Odmówił odejścia. Jacyś życzliwi zadzwonili jednak gdzie trzeba i w rezultacie w sztabie pojawił się najbardziej znienawidzony przez niego człowiek - ojczym, Nikołaj Iwanowicz Iźmaïłow, członek wysokiej nomenklatury.

Właściwie znienawidzony człowiek mógł bez trudu zakończyć całą tę głupotę z zatrzymaniem garstki wałkoni. W ciągu następujących kolejno po sobie odwilży i przymrozków Nikołaj Iwanowicz zmienił się w jednego z najbardziej zrównoważonych pracowników placu Starego. Nie jest tajemnicą, że w jego oddziale panowały całkiem inne poglądy na temat dokręcania śruby... Spotkawszy się jednak z odrzuceniem jego dobrej woli przez dorosłego już pasierba, działacz państwowy oddalił się, pozostawiając sprawy ich naturalnemu biegowi. Bieg ten doprowadził wszystkich zatrzymanych przed sąd, który wlepił im po piętnaście dni, a potem do więzienia na Butyrkach w celu odbycia kary.

Siedząc w ogromnej cuchnącej celi, Aleksander poczuł nagle kolosalną nudę całej tej działalności w obronie praw. Opłakany mój los, jeśli takie kretyńskie sądy i żalosne kary to będzie mój gwiazdny czas... Niestety, jakoś nie widzę się w tym kontekście.

Mruczał sobie pod nosem jakiś motyw, wymrukiwał rym... I wyszła mu *Ballada Butyrek*, ironiczna parafraza poematu Wilde'a. W ten sposób wymruczał sobie kolejny życiowy zakręt. Gdyby nie ta śmiechu warta odsiadka, może nie zwróciłby uwagi na Anisję Pupuszczynę, a tak zwrócił: panna szła mu na spotkanie, oślepiając wszystkimi swoimi wdziękami niczym wcielone antywięzienie. Jej ojca, dawnego przyjaciela Iźmaïłowów, skazano na nomenklaturową banicję i wysłano w charakterze ambasadora na „płonący kontynent”, Anis zaś została jedyną gospodynią ogromnego mieszkania na Aleksego Tołstoja. Czemu nigdy się nie pokażesz, artysto? Pokazał się i zobaczył u swojej przyszłej żony zbiegowisko młodej moskiewskiej bohemy, a wśród nich parę gwiazd: Tarkowski, Wysocki, Konczałowski, zupełnie jakby to było spotkanie Polaków.

Pili ostro, gadali wartko, ale, niestety, wszyscy naraz, wszystko zlewało się w mieszaninę dźwięków i nie od razu można było stwierdzić, że jest to na przykład spór egzystencjalny: czy należy umrzeć jak Sokrates, czy też warto się trzymać, jak Arystoteles. Dochodziły też zdania o festiwalu w Cannes, ktoś wygadywał na zastępcę członka KC Baskakowa, a ktoś inny odpowiadał, że mimo wszystko to jest ktoś, umawiali się na zimowe spotkanie zimą w Jałcie

i wpadali w dziki zachwyty, jakby tam, zimą w Jałcie, miało się coś zdecydować.

Wszystkich ich znał już od dawna i oni go znali. No, chłopaki, ryknijmy jak kiedyś: „Gdzie moje siedemnaście lat? Na Wielkiej Karetnej!”

- Pamiętam, jak próbowałeś Galileusza na uczelni - powiedział do niego Andriej. - Masz, stary, jakiś niebanalny rys. Przyjedź jutro do szóstego atelier, zrobimy próbne zdjęcia.

Jakkolwiek Sasza Korbach starał się uciec od swojej popularności, znowu zaczęła do niego wracać. Nie wiadomo jak, nie wiadomo skąd, w ciągu paru lat stał się dość wybitnym aktorem filmowym, by wkrótce wręcz olśnić rolą w pięcioczęściowym telewizyjnym serialu kryminalnym. *Zagrał też* parę ról w teatrze, na umowę. Pojawiła się u niego zadziwiająca plastyczność. Na Tagance kapitalnie demonstrował odnowioną biomechanikę Meyerholda. W spektaklu *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem* wykonywał jako Kiereński serię przewrotów z końcowym podwójnym salto. I w ogóle ta niewielka rola urosła nieoczekiwanie do rangi wydarzenia. Krytycy magazynu „Junost” napomykali, że Korbach zapowiada się na wcielenie współczesnego młodego bohatera (w roli Kiereńskiego!). Ludzie poważniejsi, a nawet zbliżeni do kół dysydenckich, pisali, że aktor ten „ma coś do powiedzenia”, przy czym mieli na myśli, że w ekstrawaganckiej formie kieruje pod adresem swojego bohatera, który nie zdołał ocalić młodej rosyjskiej demokracji, niemal goryczy.

Na początku lat siedemdziesiątych, „dekady żelazobetonu”, czasów niekończących się uroczystych zebrań z obnoszeniem sztandarów i satanistycznymi chorałami, radykalnego stłumienia ruchu obrony praw człowieka i rozkwitu hipnotyzującej jazdy figurowej na lodzie w telewizji, Sasza Korbach znowu wszystkich zaskoczył: stworzył studio teatralne Błazny. Był tam i reżyserem, i głównym aktorem, i autorem pierwszego tekstu, *Spartak-Dynamo*. Spektakl w stylu burleski stanowił parafrazę *Romea i Julii* o podwójnym sensie, gdzie uliczna banda Montecchich była kibicami Spartaka, a Capuletti bronili barw Dynamo. Innymi słowy, żywioł Moskwy, a w każdym razie tragarze i sprzedawcy, przeciwstawiał się „klubowi organów”.

Rzecz jasna, natychmiast po premierze spektakl zdjęto, niemniej bepańskie Błazny nadal wystawiały swój musical w rozmaitych klubach na podwórkach, gdzie zbiegała się naturalnie „cała Moskwa”. I wtedy zdarzył się cud: do Moskwy przyjechał pewien zachodni klasyk kultury, którego całe życie upłynęło pod znakiem różnych odcieni czerwieni, od bladego różu do ciemnej purpury. W owym momencie znajdował się w zupełnie bladym, by nie powiedzieć białym, przedziale widma. Towarzysze z KC postanowili pokazać mu Błazny jako przykład istnienia

w ZSRR sztuki alternatywnej. Klasyk doznał natchnienia: takie właśnie teatry, towarzysze, obalają całe tomy burżuazyjnej propagandy!

Nieoczekiwanie Błazny uzyskały status niemal oficjalny. Przydzielono im nawet piwnicę na Presni, z salą na sto miejsc. Przesłano partyjnego dyrektora i kierowniczkę literacką - innymi słowy, wprowadzono teatr Korbacha w normalny nurt radzieckiego życia. *Spartak-Dynamo* otrzymał parę pozytywnych recenzji; zaszufiadkowano go jako satyrę antymieszczańską. Postępowcy z czuchrajowskiej grupy Mosfilmu zaproponowali, żeby nakręcić na podstawie spektaklu pełnometrażowy film. Rezultat okazał się, jak na tamte czasy, wręcz niewiarygodny. W mieście zaczęto mówić o „kinie Korbacha”, filmowi prorokowano Złotą Palmę, Złotego Lwa... Co prawda, na tym się skończyło: nie puścili za granicę. Film otrzymał najniższą kategorię i ugrzązł w dystrybucji, przypominającej tyle innych rosyjskich bezdroży.

Tak zaczęła się historia korbachowskiego studia Błazny, którego wzloty i upadki przypominały wykres temperatury chorego na malarię: raz skok gorączki, artykuły, wyjazdy na festiwal w Edynburgu czy Awinionie, kinowe wersje spektakli, kiedy indziej arktyczny chłód dyrektywnego milczenia, odwołanie premier, zakazy wyjazdów na gościnne występy, zamknięcie budynku ze względu na remont kapitalny, a nawet blokada konta bankowego.

Niemniej wszystko się jakoś ułożyło. Dyrektor Gudok okazał się człowiekiem skłonny do wesołej pogawędki, często kończącej się półlitrowką. Śliczną komsomołeczkę-literatkę przeleciały wszystkie chłopaki z zespołu i z donosicielki zmieniła się w najbardziej zagorzałą patriotkę Błaznow, gotową dla ich obrony dosłownie na wszystko. Do rady programowej teatru weszło też paru marksistów, którzy, choć pisali przemówienia Breżniewowi, uważani byli za liberałów, a także dwa filary sztuki rodzimej, które przekonano, że Błazny to bynajmniej nie produkt rozkładającej się kultury zachodniej, a przeciwnie, czysty strumyk rdzennie rosyjskiego skoromoszewstwa.

No i wreszcie główna ostoja postępowej sztuki radzieckiej, światowa opinia publiczna w osobach dziennikarzy zagranicznych akredytowanych w Moskwie. O tej również nie zapomniano. Ani jeden spektakl nie odbył się bez uczestnictwa zamorskich gości, którzy poczytywali sobie za honor możliwość osobistego kontaktu z czołowym „błaznem”, niepowtarzalnym Aleksandrem Korbachem. Ze swoim stromym czołem i rozwianymi kudłami na skroniach, z satyrycznymi (od słowa „satyr”) oczami i małpim uśmiechem, był symbolem odradzającej się awangardy. Amerykańscy goście z Broadwayu i off-Broadwayu ściskali jego

mocną, zahartowaną przy gitarze dłoń: *Oh, Alexander Korbach! Ifs a great name in the States!* Głupieli, gdy wśród marazmu „dojrzałego socjalizmu” znaleźli się nagle w otoczeniu żwawych, wesołych chłopaków, współczesnych *cabotins*, ucieleśniających meyerholdowską ideę teatru jarmarcznego.

Zespół liczył dwadzieścia pięć osób. Wszyscy znali sekretną strategię. Spektakl przygotowywano w tajemnicy. Potem organizowano pokaz „dla tatusiów i mam” i od razu szły słuchy o niesamowitym wzburzeniu na górze, o drakońskich środkach, jakie mają być przedsięwzięte, niemal o rozwiązaniu zespołu. Leniwy minister kultury nie zdążył się jeszcze uczesać, a tu już dzwonią z „Le Monde”, „Le Figaro”, „La Stampa”, „Post”, „Timesa”, „Asachi”, „Frankfurter Allgemeine”: czy ministerstwo może potwierdzić pogłoski o zdjęciu nowego spektaklu Błaznów?

Zaczynały się telefony w całej kulturalnej biurokracji stolicy. Włączała się ciężka artyleria aparatczyków-liberałów, a także rozmaitych wielkich nazwisk, filarów patriotyzmu, sekretarskich córek, pojawiał się wyciągnięty przez panienki sam Kleofont Stiepanowicz Sitnyj, moskiewski *gourmand* i generał tajnych służb. Przedpremierowa gorączka sięgała apogeum, gdy radio zaczynało informować o kolejnym kryzysie w świecie teatralnym Moskwy, w ponownym przekładzie z języków zagranicznych korespondentów. Sprawiało to wrażenie, że cały świat z zapartym tchem śledzi rozwój tego niezwykłego wydarzenia. Pod zmasowanym naciskiem znużony reżim zaczynał ustępować. Bierzcie już, bierzcie tego waszego Korbacha, te wasze Błazny, wielkie rzeczy, nie rozleci się od tego nasze państwo. Grajcie sobie ten wasz, jak mu tam, *Zangezi-rock*, tylko ujmijcie trochę anarchizmu, a dodajcie patriotyzmu, no i tytuł zmieńcie.

I tak w połowie lat siedemdziesiątych ustalił się repertuar Błaznów, obejmujący co najmniej pół tuzina sztuk: *Spartak-Dynamo* na motywach Szekspira, *Mineralne Wody* na motywach Lermontowa, *A - Z* na motywach książki telefonicznej, *Babcia rosyjskiej ruletki* na motywach Puszkina i Dostojewskiego, wspomniany wyżej *Zangezi-rock* pod nowym, rdzennie rosyjskim tytułem *Będzianin*, a także oryginalny ludowy utwór jednego z orędowników sztuki rodzimej, pod tytułem *Owso*, co po poszechońsku oznaczało owies. To ostatnie dzieło, w którym autor z trudem rozpoznawał swój tekst, tym bardziej że aktorzy grający kołchoźników co chwila improwizowali po francusku, uważane było niejako za ideowy rdzeń Błaznów, wskaźnik głębokiej więzi zespołu z narodem.

Pod koniec dekady jednak ta - zdawałoby się - ugruntowana stabilizacja zaczęła się chwiać.

Najpierw opuściły radę programową filary patriotyzmu, przy czym autor *Owsa* w liście otwartym usunął swoje nazwisko ze spektaklu. „Mówiąc z ręką na sercu - pisał - zawsze były mi nie w smak pańskie, Aleksandrze Jakowlewiczu, wycieczki na temat rzekomej umysłowej i duchowej niższości naszego, tak obcego pańskiej jaźni, narodu”. Warto zauważyć, że list nie zawierał ani jednego słowa pochodzenia łacińskiego.

Potem na posiedzenia rady programowej przestali przychodzić liberałowie z KC i z Instytutu Filozofii przy KC KPZR. W końcu i Kleofont Stiepanowicz Sitnyj jakoś mocno spoważniał: cóż, nie samymi tylko pasztetami i towarzystwem pańienek żyje człowiek w dzisiejszych niełatwych czasach... Wyglądało na to, że gdzieś na samej górze, niewykluczone, że wręcz na poziomie J.A., została podjęta decyzja o likwidacji Błaznów.

Pewnego razu dyrektor, tow. Gudok, poprosił do siebie kierownika artystycznego i poinformował, że ministerstwo wyznaczyło komisję w celu zanalizowania sytuacji, jaka wytworzyła się w studiu teatralno-estradowym Błazny. Między innymi, wybacz mi, Aleksandrze, będzie rozpatrywana sprawa zbyt swobodnych obyczajów w dziedzinie seksu. Były także sygnały na temat jakichś substancji chemicznych.

Korbach patrzył na dziwnie obco zmarszczone czoło Gudoka i zdawał sobie sprawę, że z teatrem koniec. Teraz na pewno rozszyfrują i ten portret Marksa w dyrektorskim gabinecie. Na jubileusz Gudoka aktorzy zrzucili się po rublu i podarowali mu portret twórcy komunizmu. Przez cały rok ani Gudok, ani odwiedzający go goście nie zauważyli, że pierś Marksa zdobi order Lenina.

- Ta komisja, Jeremiej Antonowiczu - nieoczekiwanie dla siebie samego powiedział kierownik artystyczny - będzie mogła pracować tylko w pańskim gabinecie. Do pozostałych pomieszczeń nie zostaną wpuszczeni.

Zaczęła się wymiana ognia. Przyszło pismo z godłem, zakazujące prób spektaklu *Niebo w diamentach* (na motywach Czechowa i Becketta). W odpowiedzi Błazny na zebraniu całego zespołu postanowiły, że będą kontynuować pracę. Nieoczekiwanie wyłączono prąd. Nagły remont słupa wysokiego napięcia. Kontynuowano próby przy świecach. Inspekcja przeciwpożarowa nałożyła niewyobrażalnej wysokości karę, ale światło się zapaliło. Przed próbą generalną przylegające do studia uliczki były nabite zagranicznymi samochodami korespondentów i dyplomatów. Gwiazdy bohemy i biurokracji tłoczyły się w przejściach. Sukces był oszołamiający. Na konferencji prasowej, która odbyła się o wpół do czwartej nad ranem,

korespondenci zgotowali owację Korbachowi i jego trupie. Za trzy dni do dyrektora zadzwonił minister Demiczew: „Dotarło do mnie, że studio przygotowało jakiś ciekawy spektakl. Chętnie bym go zobaczył. Przestańmy może, towarzyszu, gardzić pieczonymi gołąbkami, postarajmy się lepiej stworzyć sytuację konstruktywną”.

W końcu *Diamenty* dostały błogosławieństwo, ale „sytuację konstruktywną” najwyraźniej każda ze stron rozumiała po swojemu. Błazny jako zespół twórczy tkwiły teraz dość mocno w realiach stołecznej sceny. Wątpliwości budził jedynie założyciel, ten intrygant Sasza Korbach. Poszła w ruch maszyna plotek bezpieki. Co dzień dowiadywał się o sobie czegoś nowego: rozwodzi się z żoną, gdyż udowodniono mu homoseksualizm, bierze od cudzoziemców w obcej walucie do własnej kieszeni, bije na próbach, wacha kokainę, jest antyradziecki, grywa na umowę w centrach propagandowych, nieudolny, kradnie pomysły twórcze, no i najważniejsze - antypatriota, Żyd w radzieckim teatrze zbiera kapitał na podróż do Izraela.

Przez okno na dziesiątym piętrze wpadła cegła z przyklejoną karteczką: „Im wcześniej, tym lepiej”. Na moście Kuznieckim dwóch bladych pedałów zapraszało go do samochodu, wykonując wymowne ruchy rękami i ustami. Na Puszkinskiej kosztownie ubrany cudzoziemiec ze Wschodu spytał, czy nie zmieniłby mu tysiąc dolarowego banknotu na drobne. Do domu przyniesiono paczkę z zakazaną literaturą - rzekomo przesyłkę od niejakiego Karpowicza z Wirginii. Co najmniej trzy razy dziennie pytano go przez telefon, z okropnym żydowskim akcentem, kiedy zamierza wyjechać. W skrzynce pocztowej codziennie znajdował zaproszenia od krewnych z Tel Awiwu, Jerozolimy, Haify, Kiriati-Szmony. Tuż pod oknami trzech osiłek zaczęło odkręcać koła od niwy Korbacha. Wyleciał z gazowym straszakiem. Już odjeżdżali czarną wołgą z kogutem. Śmiech: Pozdrowienia dla wujka Bena!

Wszystko to było wyjątkowo nie w porę. Zbliżający się do czterdziestki Korbach i bez pomocy bezpieki miał wystarczająco dużo problemów. Rodzina się rozpadała. Anis nastawiała przeciwko niemu dzieci, dziesięcioletnich bliźniaków Lowę i Stiope. Śledziła jego przelotne przyjaciółki, dzwoniła, wygadywała świństwa. Żądała coraz więcej pieniędzy. Nieustannie dzieliła majątek: aparatura stereo, biblioteka, pół tuzina obrazów, wszystkie jego żalosne doczesne dobra. I nagle oboje doznawali olśnienia, jeśli można tak nazwać ataki erotycznego romantyzmu. Przychodziła do teatru, wciąż atrakcyjna młoda kobieta „z ikrą”, jak wówczas z szacunkiem mawiano w Moskwie. Zamykał gabinet. Więź małżeńska na parę dni była wskrzeszona, by następnie pęknąć z jeszcze większym trzaskiem i niemiłą wonią.

Ataki ze strony władz utrudniały również sprawę znacznie ważniejszą niż małżeńskie kłopoty - przygotowanie najważniejszego w jego artystycznym życiu spektaklu. To, co zamyślił, piętrzyło się i słało blaski na podobieństwo owego kiczowatego pałacu, który marzył się Gogolowi jako druga część *Martwych dusz*. Już od paru lat Sasza mamrotał pod nosem dialogi i palcem w powietrzu rysował dekoracje do wielkiego show na motywach z życia Dantego.

Zaczęło się to jeszcze u progu lat siedemdziesiątych, kiedy nieoczekiwanie włączono go w skład radzieckiej delegacji na posiedzenie sekcji teatru Europa Civiltà we Florencji. Pomysł był taki jak zawsze: pošemy Korbacha, niech burzuje zobaczą, że ich wyobrażenia na temat sztuki radzieckiej są pry-mi-ty-wne! A on sam, podekscytowany do niemożliwości, nie bardzo zdawał sobie sprawę, dokąd jedzie. Najważniejsze, że jadę, najważniejsze - na tamtą stronę! Zobaczę wszystkich tych Peterów Brooków, Peterów Steinów i całą resztę! I opowiem o Błaznach!

Pierwszą osobą, jaką spotkał w hotelu, był stary znajomy, okrągły rusycysta z sumiastym wąsem, Gianni Buttofava, który mówił po rosyjsku z petersburska, a la Brodski z Najmanem.

- Nie byłeś jeszcze w Toskanii, *da?* No to nie wiesz, co to znaczy dobrze zjeść - powiedział.  
- Chodźmy, nauczę cię jeść po toskańsku!

Najedli się i napili w piwniczce na ulicy Gibelinów, po czym poszli w nocną dzielnicę. Światło księżycza obficie kładło się na murach, podkreślając wiązanie ciosanych kamieni. W niewielkiej niszy pod obrazem Madonny drżał w szkle malutki ogieniek - *fiammetta*.

- Wyobraź sobie, że siedemset lat temu tu było niemal dokładnie tak samo. Z drobnymi uzupełnieniami, *Ja?*, masz wokół siebie Florencję Dantego.

Aleksandra zatkało ze wzruszenia. Zniknęły wszystkie podniszczone szyldy i znaki drogowe, nawet epoka baroku zachwiała się i ustąpiła miejsca surowemu florenckiemu gotykowi *trecento*.

Poszli wzdłuż murów zamku Borgello z żelaznymi pierścieniami do przywiązywania koni, wykorzystywanymi, zdaje się, również do przykuwania przestępców, z tkwiącymi wśród kamiennych bloków umocnieniami w kształcie krzyża, z ogromnymi wrotami z poczerńałego drewna i wysokimi okratowanymi oknami, za którymi można się było domyślać sklepionych ludnych sal. Po drugiej stronie ulicy widniał mur kościoła Le Baggio, częściowo również z kamienia, częściowo zaś pokryty warstwą żółtego tynku. Przeszli na tamtą stronę i zadarli głowy, by zobaczyć zębate blanki zamku Borgello. Surowość tej architektury sprawiała, że lada

moment, zdawało się, pojawi się tu Dante i Giotto. Samochody przemykały obok niczym fantomy, które przeniknęły tu z innego wymiaru.

Powłóczywszy się po starej dzielnicy, przeszli pod mrocznym łukiem na wąską uliczkę, wybrukowaną startymi do połysku kamiennymi płytami różnej wielkości, o nierównych krawędziach.

- Widzisz, jak starannie dobierano te kamienie, *da?* - odezwał się Gianni.

- Chcesz powiedzieć, że to jeszcze z tamtych czasów? - spytał osłupiały Aleksander.

- No jasne! Siedemset lat to nie tak wiele dla kamienia. A w tym kościele odbył się ślub Beatrice Portinari - Gianni wskazał na niewielką budowlę z takiego samego kamienia jak poprzednio, z okrągłym okienkiem i daszkiem nad wejściem, pokrytym dachówką.

Drzwi były otwarte. Weszli. W mroku trzepotały przy ołtarzu płomyki świec. Kiloro modlących się klęczało w drewnianych ławeczkach, wsparłszy łokcie o pulpit.

- Wydawali ją tu za męża, Ja?, za Simone dei Badri - kontynuował Buttofava swoją rolę cicerone. - I Dante, być może, stał w tłumie gapiów, przeżywając coś niemożliwego do opisanego, rozumiesz, nawet jego piórem.

Uliczki wokół kościoła nie tknięte jeszcze były dojrzałym renesansem: surowe mury i baszty, zwykle prostokątne zwieńczenia. Jeden z tych domów to właśnie, jak się powszechnie przypuszcza - *da?* - Casa Dante, czyli ich rodowa posiadłość. Z fasady zwisała flaga Alighierich z herbem w postaci tarczy podzielonej na dwa pola, zielone i czarne, z poprzecznym białym paskiem.

- Słuchaj, Gianni, a jak on wpadł na pomysł, żeby opisać życie pozagrobowe?

Wiesz, Sasza, mnie się zdaje, że on tam po prostu był, a potem spróbował przekazać słowami nieprzekazywalne. Gianni wyjął z teczki chianti. - Tu właśnie powinniśmy wypić, *da?*

- O, *dal*

W parę łyków osuszyli butelkę i zostawili ją pod flagą.

Pozostałe kilka nocy Aleksander spędził na włóczędze po Florencji, już w pojedynkę. Starał się nie widzieć niczego poza trecento. Na przykład fontann. W tamtych czasach nie było jeszcze tej marmurowo-brązowej rozpusty; zamiast niej budowano okrągłe studnie z oszlifowanego kamienia z łukiem, pod którym na bloczku zwieszało się wiadro. Czasami, niczym subtelne przypomnienie kultury antycznej, łuk podpierała para doryckich kolumniek. Stał przed taką studnią na maleńkim placu, zamkniętym murem z prostokątnymi blankami. Nawet „jaskółczy

ogon” nie wszedł jeszcze w modę... Spróbujmy wyobrazić sobie ciszę takiej nocy przed siedmiuset laty. W ciszy rozlegają się echem kroki paru poetów, którzy przyszli tu napić się wody. Cavalcanti, da Pistoia, Dante. Co za dziwny ubiór: nogi obciążone nicianymi rajtuzami, na głowach jakieś czapeczki z nausznikami... Dante odwraca głowę, ukazując profil, taki jak na jedynym portrecie pędzla Giotto. Co za surowość, co za ostre kąty! Właściwie był nie tylko poetą wczesnego odrodzenia, ale i rycerzem późnego średniowiecza. Kiedy było trzeba, przywdziewał zbroję i przypasywał miecz.

Gdy widzę, jak wśród liści płyną  
Migocząc, błyszcząc, pstre proporce  
Gdy z łąki słyhać dźwięczne rzenie  
I wioli nutę, którą nuca  
Igrce w namioty wojska wchodząc  
Surma i róg wzywają słodko  
Abym zaśpiewał...

- Słuchaj no pan - powiedział do Aleksandra półgłosem przy śniadaniu kierownik delegacji. - Powiadomiono mnie, że nocami odłącza się pan od grupy. Nic takiego, mówi pan? Wiersze pan układa? No dobra, tak też zapiszemy, poeta układa wiersze. Dostał się pod wpływ Dantego. Szuka swojej Beatrycze, tak? Wybacz pan, stary, ale co to za głupoty plótł pan wczoraj na okrągłym stole? Powiedzieli mi, że to pełna mistyka - jakiś anarchizm, modernizm, obskurantyzm... Nie wie pan, kogo mamy w delegacji? Nie trać pan głowy, bo inaczej opuszczą panu semafor na zawsze.

Aleksander, krzywiąc się na te idiotyzmy, w milczeniu patrzył na kierownika. Kierownik, „tak w ogóle to niezły facet”, patrzył na niego. W końcu wzruszył ramionami i odwrócił się.

Ostatniego dnia konferencji zorganizowano wycieczkę do San Gimignano, tego samego miasta, do którego w 1295 roku wysłano Dantego jako posła, żeby pogodził skłócone rody i zapewnił republice silnego sojusznika. Dojechali tam autobusem w godzinę, on zaś zapewne cwałował cały dzień. Niezapomniany moment - droga skręca i na szczycie odległego wzgórza ukazują się sterczące ponad miejskimi murami wysokie i smukłe rodowe baszty.

W drodze powrotnej w samolocie Aleksander zamknął oczy i starał się zapisać w pamięci

patchwork tokańskich dolin, błękitne wzgórza, miasteczka na tych wzgórzach, ochrę dachów i szarość kamiennych ścian. Semafor zostanie opuszczony, trzeba starannie zmontować te kadry, żeby nie zapomnieć ich, kiedy będę robić spektakl, a potem, być może, film.

Nie odważymy się pójść śladem Dantego i Wergiliusza, myślał Korbach przez te wszystkie lata. Zostaniemy na powierzchni, w Toskanii. Głównym wątkiem sztuki, a potem, być może, filmu, będzie miłość do Beatrycze. Nie wszystko jest tu tak jasne, jak by się wydawało. Spotkali się na Ponte Vecchio; ona miała wówczas dwadzieścia, a on już dwadzieścia pięć lat. Nie był bynajmniej niewinnym młodzieńcem-marzycielem, jakim przedstawia go Gumilow: „Marzycielski, do dziewczyny podobny”. Był człowiekiem żonatym i dzieciatym. Małżeństw nie zawierano wówczas w niebiosach, najczęściej były one następstwem złożonej polityki rodów. Wcześnie osierocony przez ojca, musiał zostać głową rodu Alighieri. Nie ma jednak powodu, by uważać jego małżeństwo za nieszczęśliwe. Najwyraźniej kochał swoją Gemmę, lubił z nią spać, znał jej ciało chyba nie gorzej niż Aleksander Korbach ciało swojej awanturnicy Anis.

Pojawienie się Beatrycze wstrząsnęło nim, niby nagłe przypomnienie miłości nie z tego świata, miłości bez pożądania i tej nie istniejącej rzeczywistości, w której mężczyzna kocha kobietę, nie stosując wobec niej przemocy. Trudno nam nie przerzucić w tym miejscu mostka do Petersburga Srebrnego Wieku, do autora *Wierszy o pięknej damie*. Podobnie jak wszyscy rosyjscy symboliści, Błok usiłował odczytywać sens zachodów słońca, a w młodości mamrotał za Władimirem Sołowiowem: „Wiosnę tę im przyprowadzi nie w koronach trzech Izyda, ale wieczna i dziewicza Wrót Tęczowych Panna Jasna”. Wydawało mu się, że miłość bez granic, taka, która napęlnia całą jaźń niesłychaną radością, niewyraźnym, niemal pozaziemskim szczęściem, to pojęcie, które nie komponuje się ze zmysłowym pożądaniem. Miłość ta pojawiała się w zachodach jako odbicie lśniń i blasków pokrewnych tym, które opisane są w trzeciej księdze *La divina commedia*, jako odzwierciedlenie tego, co możemy nazwać „promieniowaniem Beatrycze”.

Wszystko to, naturalnie, rozmija się z estetyką Błażnów, ale on sam miał już tej estetyki po uszy, niezależnie od partyjnej krytyki. Naturalnie, poużywamy sobie na zawziętości gwelfów i gibelinów, na tych i owych obrazach *Piekła*, w których szanowna publiczność dostrzeże coś znajomego, ale głównym tematem będzie miłość, istota miłości ziemskiej i nieistota niebiańskiej. Rozwazał tak przez kilka lat, a kiedy był sam, wymyślał dialogi i palcem w obłoku papierosowego dymu rysował dekoracje.

Teraz wszystko zbliżało się do końca i trzeba było się pożegnać z marzeniami. O *Promieniowaniu Beatrycze* nie napomykał nawet na zebraniach zespołu. W skrzynce na listy znalazł anonim, że w grupie ma pełno wtyk. Podarłem plugastwo, rzuciłem na wiatr, ale jak widać, plugastwo robi swoje, boję się wspominać o Dantem wśród przyjaciół, którzy są mi najbliżsi na tym świecie. Zamiast tego proponuję, by przeczytać sztukę komunistycznego konfidenta Marquiseta Guerry Filatelisty, czy jak mu tam, z „płonącego kontynentu”. Nikczemny to kompromis, ale mimo wszystko nie aż tak: Filatelista to szumowina, ale przynajmniej nie beztalencie.

Pewnego razu, już na początku 1982 roku, zadzwonił Kleofont Stiepanowicz Sitnyj: „Może byśmy tak omówili nasze sprawy, Sasza, co?” Spotkanie odbyło się w niewielkiej sali restauracji Nacjonal. Fizjonomia generała w cywilu tchnęła życzliwością, swojskością, znakomitym apetytem.

- Sasza, przecież ty jesteś utalentowany człowiek, a te szczekacze ze Swobody co dzień o tobie gadają. Podobno coś z twoimi nerwami nie w porządku. W porządku? Czyli że nasi towarzysze przesadzają. Wiesz, po prostu pomyślałem sobie, że taki artysta jak ty nie musi mieć publicznych tajemnic, i z tym Filatelistą nie masz co udawać, ostatecznie znaczyś coś w naszej kulturze. Są ludzie, którzy martwią się o ciebie i o twoje plany twórcze. *Promieniowanie Beatrycze* - pociągniesz to? No dobra, powiedzmy krócej. Dobrzy ludzie pomyśleli, że Korbach mógłby podleczyć sobie nerwy, zmienić na jakiś czas otoczenie. Spokojnie, nikt cię nie wyrzuci do Izraela. Chodzi o wyjazd do cywilizowanej Europy. Przewietrzyć się, załapię trochę starych wartości... A grzybków próbowałeś? Bielaki, a *la russe*. Na chuj, powiadasz? Fe, a to już nie po rosyjsku. Jednym słowem, masz wybór. Chcesz, to załatw sobie zaproszenie od znajomych z Zachodu, niekoniecznie od specjalistów, może być po prostu od ludzi sztuki, co cię będę uczył, a zresztą niczego nie sugeruję, tak sobie powiedziałem, miałem na myśli dziennikarzy, a nie tych, o których pomyślałeś. Albo drugie wyjście, oficjalna, można powiedzieć, delegacja, na przykład z WTO. Ale to ci nie odpowiada, tak, Sasza? Znaczy, w tym sensie, że wypadasz wtedy z towarzystwa dysydentów. Nie, to nie prowokacja, Sasza, po prostu głośno myślę, przecież niemało wódki wypiliśmy razem, prawda?

Minął jeszcze miesiąc od tej kolacji. Wszystko było jak dawniej: bezczelne szpiclowanie, pogłoski, że zapadła decyzja, aby wobec Korbacha zastosować środki ostateczne, informacje dla prasy zachodniej jako jedyny środek obrony. Nawet przyjaciele nie mieli już wątpliwości: wal,

Saszka, na tamtą stronę, tutaj cię załatwią.

Pojawiły się ataki dziwnej drżączki, kiedy zdawało się, że za chwilę naprawdę przeskoczy na tamtą stronę, tylko że nie tę, którą wszyscy mają na myśli, a całkiem inną, o której najwyraźniej nie myśli nikt. Zaczął pić. I nagle pewnego razu zobaczył na ścianie starą gitarę. W pijanej głowie przemknęła dziwna myśl: ona mnie uratuje! Podciągnął kołki, uderzył we wszystkie pięć strun i jak dawniej zaciągnął niczym ochrypy kogut, ale tak, że i Wołodia uniósłby kciuk, gdyby jeszcze żył, niezapomniany przyjaciel.

Nieoczekiwanie na podziemnej scenie rockowej wystąpiła nowa grupa o starej nazwie Błazny: Natałka-Motałka, Brązowy Mag Ełozin, Szurik Szurnięty, Lidka Grzechotnik, Tigrasza, Port Odessa, Mark Nawalony i wreszcie główny wokalista, nasz dawny idol Saszka Korbach, który nigdzie nie wyjechał, znowu jest z nami, wtyka towarzyszom palec prosto w tyłek!

Władze straciły cierpliwość. Koniec tego wokalnno-rytmicznego zrywu był oplakany. Zapalił się Klub Energetyka, w którym odbywał się koncert. W panice ludzie połamali

\* *Wsiesojuznoje Tietralnoje Obszcziestwo* - Wszechzwiązkowe Towarzystwo Teatralne (przyp. tłum.). mnóstwo kończyn, przy okazji zaginęła jakoby jakaś dziewięcioklasistka... Zaczęło się śledztwo. Od Korbacha zażądano deklaracji o niewydalaniu się z kraju. Zadzwonił do Sitnego: wasi górą, załatwiającie mi wyjazd. Śledztwo szybko zostało zamknięte. Wydział paszportów z rekordową szybkością wystawił właściwy dokument. WTO wypisało reżyserowi Korbachowi delegację do Francji „w celach twórczych”.

Wszyscy patrzyli na niego jak na nieboszczyka. Kobiety, z którymi „coś tam” go łączyło, omiatały go wilgotnym spojrzeniem: zapamiętać, zapamiętać! Jedna, ta ostatnia, szepnęła: „Zegnaj, a gdy na wieki, to na wieki żegnaj!” Zezłościło go to. Miał dość wszystkiego, i tego Byrona w przekładzie na rosyjski też. Wśród ludzi udawało mu się jeszcze pokonywać drżączkę, ale noce zmieniły się w niekończącą się agonię. W maju znalazł się w Paryżu.

Oto wysiada na lotnisku de Gaulle'a. Podróżnik. Znakomitość. Z teczki wystaje rakietka tenisowa. Zapalają się reflektory stacji telewizyjnych. Jacyś ludzie machają do niego jak do znajomego. Nie poznajesz, Sasza? Chciał nie chciał, odwracasz się: Lońka Kuperstock, renegat! *Monsieur Korbach, que voulez-vous dire au publique de France?* Młoda grubaska, czy raczej młódka przy kości, szybko tłumaczy na rosyjski. Jesteśmy z ambasady, towarzyszu Korbach.

Ostrożnie, czeka tu na was agentura Swobody. Ohydne spojrzenia szakali. Wiozą go do hotelu Crillon, przez trzy dni jest gościem studia Antenne 2. Zachęcające spojrzenia zachodnich „specjalistów”. Powoli, powoli, przyjdzie do siebie, po prostu na razie przeżywa kulturowy szok. Tak, tak, wyleczy się, myśli o sobie w trzeciej osobie. Najskuteczniej można go wyleczyć żelastwem po głowie. Parasolki z Cherbourga, parasolki z Bułgarii, co za różnica?

Szok kulturowy istotnie szybko ustąpił miejsca realizmowi z jego poranną kawą i dobrze wypieczonym *croissantem*. Nikt na mnie nie czyha, no no. Służby wywiadowcze mają w nosie jakiegoś tam reżyserzynę. „Sowiety” - szybko nauczył się tego słowa od emigrantów - też mają w nosie jego rozwodzenie się na temat „sprzeczności między teatrem jarmarcznym a koszarową świadomością”. Wywalili, postawili ptaka przy nazwisku, napisali raport i już. Nie ma sensu przedstawiać afery w niewielkim teatrze jako sensacji w skali światowej. W każdym razie paryscy ludzie teatru nie widzą w tym tragedii.

Zapraszano go i do Odeonu, i do Chaillot, i do Comedie Francaise, i do małych teatrzyków, grających w opuszczonych magazynach i łaźniach. Przed spektaklami publiczność urządzała mu owację: *bravo, monsieur Korbach*). Staremu znajomemu Antoine’owi Vitese, który jedyny spośród wszystkich paryskich reżyserów swobodnie mówił po rosyjsku, opowiedział pomysł z *Promieniowaniem Beatrycze*.

- Fantastyczny pomysł - ocenił Antoine i szybko narysował coś w powietrzu swoimi szczupłymi palcami.

- Nie ja jeden mam zwyczaj tak rysować - uśmiechnął się Korbach.

- Pomyślimy o tym - powiedział Antoine - a na razie - zapalił się nagle - dlaczego nie miałbyś wystawić u mnie za jednym zamachem dwu sztuk? Jedną rosyjską, *Mewę*, a drugą irlandzką, *Czapłę*, parafrazę Czechowa. Obie można grać w tych samych dekoracjach i z tą samą obsadą. Rosjanie przecież w gruncie rzeczy chleją tak samo, jak Irlandczycy.

Za liczne wywiady dla gazet - francuskich, angielskich, niemieckich, duńskich, szwedzkich, włoskich i japońskich - Aleksander dostał niezłą kasę i mógł obecnie bez pośpiechu zastanowić się nad propozycją Vitese’a. Wszystko szło dosyć dobrze, dopóki nieoczekiwanie nie zaczęła się kolejna nagonka ze strony radzieckich władz. Najpierw naszedł go korespondent „Litieraturnoj gaziety” Piotr Bolszewików, jawny współpracownik KGB, choć znany również w roli playboya.

- Słuchaj, stary, zdaje się, że mają zamiar pozbawić cię radzieckiego obywatelstwa. Ktoś zrobił dla Politbiura wybór twoich wypowiedzi. Patriarchowie wpadli we wściekłość, zwłaszcza

J.A. Rozumiesz, tam jeszcze funkcjonują takie kategorie jak walka klasowa i z tych pozycji chcą się z tobą rozprawić.

Korbach powściągnął swoją małpią gębę, starając się niczego nie ujawnić czujnym oczom agenta. Straszne słowo zdążyło już jednak wleźć pod skórę. Arteria pod obojczykiem pulsowała. Miał chęć wrzasnąć histerycznie: „Rozprawić się? Jakim prawem, czerwone świnie, wydajecie wyrok na człowieka, nawet jeśli jest małpą?!” Nie wrzasnął jednak i nie wzdrygnął się, ale dlaczego mimo to Bolszewików odchodząc był taki zadowolony?

Dwa dni po tej wizycie zadzwonił wprost z Moskwy Kleofont Stiepanowicz Sitnyj. Był lodowaty niczym Sybir. Zwracał się do niego per „pan”!

- Co pan, Korbach, zwariował? Jak pan śmie mówić, że teatr jarmarczny nie pasuje do świadomości koszar? Całe społeczeństwo wsadził pan do koszar? Całkiem się już pan zaprzedał? No, w tej sytuacji może pan mieć pretensję tylko do siebie. Ja umyvam ręce.

Co jak co, ale technikę szarpania nerwów bolszewicy mieli niezłe opracowaną. Po trzech dniach „Sowietskaja kultura” zamieściła felieton *Blazen Korbach na targowisku próżności*. Występujący pod pseudonimem A. Nikołajew pracownik KGB w dość gładkim stylu (pewnie to sam Piet'ka Bolszewików napisał) rozwodził się, jak to żądny sławy aktorzyzna sprzedaje swoją ojczyznę. Z felietonem sąsiadował gniewny list radzieckich działaczy kultury. Tuzin podpisów z tytułami: zasłużony, ludowy i tak dalej. Ze znajomych nikogo oprócz Strzelczyka, który od dawna już zajmował się tępieniem dysydentów.

Znowu przypomniały sobie o nim rosyjskojęzyczne stacje radiowe. Napompowawszy się od samego rana scotchem, walił w telefon zwrotne inwektywy. Tak dalece się nie krępował, jeśli chodzi o język, że nawet radiowcy chrząkali: nie za ostro, Sasza? Dobra, dobra, niech wiedzą, że się ich nie boję.

Jasne, nie bał się, przecież nie można nazwać strachem porannego mroku, pragnienia, żeby się zmienić w nieruchomą poczwarkę, to znowu żeby się rozprysnąć na wszystkie strony niczym rtęć. To się nazywa po prostu depresja. Mruczał strofy Dantego, a szczególnie: „Nie wiedzą, żeśmy tylko robakami, w których dojrzeła motyl niezniszczalny, co na sąd Boży ulatuje z mroku”. Pomagało tak samo jak scotch.

Któregoś dnia przyszedł stary kolega, aktor Sowriemiennika Igor Jurin, który przed trzema laty prysnął na Zachód i ożenił się w Paryżu z Marokanką.

- Wiesz co, jeden tutejszy komuch zapytał mnie niedawno z takim obrzydliwym uśmiechem:

„Podobno pański przyjaciel, *monsieur* Korbach, zginął w katastrofie samochodowej. Czy to prawda?” Skąd ma podobne wiadomości, pytam, a ten uśmiecha się jeszcze bardziej odrażająco: „Nasi towarzysze przylecieli właśnie z Moskwy”. No i masz. Zrozumiałeś, Saszka? Radzę ci, zwiewaj z Paryża. Tu cię dopadną. Gdzie? A do Ameryki. Z twoją sławą od razu bym prysnął do Ameryki. Vitese nie jest w stanie zapewnić ci stałego zarobku. Wiesz, nasi w Ameryce mówią, że tam od razu ma się poczucie oderwania od Sowietów, tak jakby na planecie w ogóle nie śmierdziało tym świństwem. Co do mnie, to wręcz marzę o Ameryce, ale co bym tam robił bez sławy i z zerową znajomością angielskiego. A ty i angielski znasz pierwszorzędnie.

Ciekawe, że następnego dnia po tej rozmowie, w wietrzny dzień, kiedy po ulicy fruwały kapelusze i szaliki, natknął się na amerykańskiego dyplomatę Nikitę Afanasjewicza Mauriaca, którego znał jeszcze z Moskwy jako wielkiego admiratora Błażnów, zawsze gotowego do przerzucenia przez najświętszą granicę jego pism i sztuk. W binoklach na łańcuszku, schwycił go w objęcia:

- Co za spotkanie! Ja już od pół roku pracuję w Paryżu, ale wiem o panu wszystko.

Weszli do kawiarni na Carrefour du Bac.

- Wie pan, czuję jakąś dziwną tęsknotę za Moskwą. - Mauriac uważnie, ze smutkiem patrzył, jak Korbach zamawia jeden za drugim podwójny scotch. Nagle, dowiedziawszy się, że rozmówca wybiera się do Ameryki, rozjaśnił się. - Rewelacyjny pomysł, Alex! Rozścielą tam przed panem czerwony dywan. Nic, nic, to takie angielskie wyrażenie. Spotka się pan z fantastycznym przyjęciem. Ze swej strony gwarantuję wizę N-1, a za rok dostanie pan zieloną kartę.

- Zamiast zielonego węża, którego widzę, kiedy przedawkuję? - zażartował Korbach.

Mauriac poklepał go po ramieniu.

- Już tam się pan we wszystkim na miejscu zorientuje. Proszę mi wierzyć, Ameryka jest naprawdę bardzo daleko od KC KPZR!

Kończąc to maksymalnie skrócone *curriculum vitae* Korbacha, wracamy do banalnego sformułowania: „Wyszło więc tak, że w dniu swoich urodzin, 10 sierpnia 1982 roku, Aleksander Jakowlewicz Korbach stanął na ziemi amerykańskiej” i do tłumu pasażerów PanAm, kroczącego w podobnym do matczynego łona tunelu na spotkanie wycelowanych weń kamer.

Dopiero zbliżywszy się do barierki, Korbach zrozumiał, że kamery i aparaty fotograficzne wycelowane są bynajmniej nie w niego. Zza pleców i całego telewizyjnego oprzyrządowania widoczna była głowa słynnego tenisisty.

Witający wyszukiwali w tłumie przybyszów swoich. Na tym progu odbywała się materializacja transatlantyckich fantomów. Jest to proces analogiczny do wyłapywania walizki, tyle że emocje objawiają się w bardziej spektakularnej formie. Nikt jednak nie spieszył się z wyłapywaniem reżysera Korbacha. Przechodził obok kartoników z nazwiskami osób, których oczekujący nie znali osobiście: Verne, Szwarzman, Zoja Betancour, Kuan Liži - jego nazwiska nie było. Minął cały tłum i nikt go nie zawołał.

Może czekają przy jakimś innym wyjściu? Może gówniarze coś poplątali? Ruszył wzdłuż ogromnej sali, wypełnionej fantasmagorycznym gwarem, z którego nie pojmował ani słowa. Chwilami niczym grom rozbrzmiewał jakiś komunikat, z którego także nic nie rozumiał. Bagażowi rozmawiali między sobą całkowicie niepojętym językiem. Wygląda na to, że w ogóle nie rozumiem po angielsku, jeśli to naprawdę angielski. „*Information*” - przeczytał. No, to przynajmniej jest zrozumiałe. Trzeba spytać, czy ktoś czeka na reżysera Korbacha. Za kontuarem siedziały, rozmawiając ze sobą, trzy hoże dziewczyny w uniformach PanAm. Zbliżywszy się, zdał sobie sprawę, że nie może z ich gadaniny wyłowić ani słowa. - *Sir?* - zwróciła się do niego jedna z dziewczyn. Odwrócił oczy i przeszedł bez słowa. Ze zrozumieniem odprowadziła go wzrokiem. Na pewno ze wschodniej Europy. Uciekinierzy z Polski i Czechosłowacji często wstydzą się swojego angielskiego, w odróżnieniu od Tamilów, Senegalczyków i Birmańczyków, którzy nie krępują się w ogóle.

Co najmniej przez godzinę woził Korbach swoją walizkę po terminalu, pił wodę z fontann, żeby nie zamawiać coca-coli po angielsku, zanim wreszcie przyszła mu do głowy zaskakująca myśl: nikt tu na mnie nie czeka! Ale przecież Mauriac powiedział, że będą czekać! I amerykańska prasa sporo pisała! Wszyscy Amerykanie wołali przy zawieraniu znajomości: *Alexander Korbach! That's a great name in the States!*

Wyszedł z budynku i zobaczył przed sobą gigantyczne ciała gładkich, wygrzewających się w słońcu lwów morskich. Z rzadka, leniwie, któryś z samców podnosił się i zmieniał miejsce.

Przejrzałe słońce w stylu Salvadora Dali wisiało nad wylegającym się stadem. Niekończący się, nie objęty ludzkim okiem parking.

Z miejsca okrywasz się potem. Wilgotność pierdolona. *Humidity* czy *humanity*? Wszystko jedno, najwyraźniej w całej tej przestrzeni nie ma nikogo, kto by się mną interesował.

- Pan Korbach! - odezwała się w tym momencie przestrzeń.

Zbliżał się niewysoki, nabity człowiek w nieciekawej letniej koszuli wpuszczonej w spodnie. Uścisk dłoni, wymiana potu.

- Igoresza Jurin dzwonił do mnie dziś rano i prosił, żebym na wszelki wypadek po pana wyszedł. Butlerow Stanisław, a w ogóle to Staś, przecież jesteśmy, zdaje się, rówieśnikami. - Poprowadził go prosto w piekło, na odległy koniec parkingu. - Myślałem już, że pan nie przyjechał: nigdzie nie widać żadnych powitalnych oznak. Pańską powierzchowność, *sorry*, pamiętałem niezbyt dokładnie: przez trzy lata trochę się zapomniało rodzimych bohaterów. Już chciałem jechać, a tu nagle idzie, we własnej osobie. Od razu przypomniała mi się pańska piosenka: *Otchłań, otchłań, wkładaj świeże gatki*.

Korbachowi zrobiło się niedobrze od własnych słów sprzed stu lat.

- No, jesteśmy.

Stanęli obok wielkiej żółtej taksówki.

- Nie ma kierowcy - zauważył Korbach.

- To ja jestem kierowcą - wyszczerzył zęby Butlerow.

Ruszyli szosą, cztery pasy z jednej strony, cztery z drugiej.

Różnobarwny strumień samochodów płynął jednostajnym, identycznym tempem, jak gdyby wszystkie naraz włączono tym samym kluczykiem i puszczone. Przemykali obok niepozornych domków i sześcianów z cegły bez jakichkolwiek oznak pracy architekta, tylko ściany, okna, drzwi - czego chcieć więcej, wystarczy. Czasami nad dachami pojawiała się reklamowa tablica: zaproszenie linii lotniczych albo mężczyzna o pszenicznych wąsach ze swoimi camelami. Na którymś z zakrętów mignął tłum ludzi, nie wiadomo dlaczego wskazujący palcami w jednym kierunku, choć dookoła była pustka.

- A tak w ogóle to pan dokąd? - spytał Staś Butlerow. Był w pełni *correct*, tak w ogóle, tylko czasami spomiędzy podpuchniętych powiek błyskał lekki sarkazm.

- No, do centrum - wzruszył ramionami Korbach. Szkoda, że nie wypilem na lotnisku. Wszystko miałoby teraz inną barwę. Nie trzeba by było drzeć na każdym zakręcie, kiedy nad

klockowatymi ceglanyimi domami ukazuje się w szarej zastoinie napęczniałe malinową magmą słońce.

- Znaczy, na Manhattan - dziwnie łobuzersko zawołał Staś, opisując szerokie półkole przed wjazdem na wiadukt. Z lewej strony na stokach wzgórz stały jeden przy drugim drapacze chmur, niby wojsko gotowe ruszyć do ataku.

- Dziwny widok - mruknął Korbach.

- To cmentarz żydowski - powiedział Butlerow.

Ja chyba zaczynam świrować, pomyślał Korbach. Pobliski cmentarz biorę za odległy Manhattan. Trzeba było wypić w Pan-Am. Szkoda, że nie wypilem.

- A teraz to już Manhattan - oznajmił Butlerow. Ze wszystkich sił starał się uniknąć uroczystego tonu, ale nie całkiem mu się to udało.

Widok był majestatyczny i mroczny. Zastały stustopniowy Fahrenheit sprawiał, że z całego łańcucha kamienia, szkła i stali promieniowało wrażenie jakiejś niejasnej nieuchronności, zbliżania się czegoś kardynalnie niehumanitarnego. Jasność wносиło tylko słońce, wiszące nad łańcuchem w mętnej mgłę polucji, w amerykańskim, w żadnym razie nie rosyjskim sensie tego słowa

- Wszystko jasne? - spytał Butlerow i trudno było powiedzieć, czego jest więcej w tym pytaniu: sarkazmu czy dumy.

- Jeszcze jak - zaśmiał się Korbach. - Zupełnie jak w kinie - śmiał się nadal. - Jak we śnie - i wciąż jeszcze się śmiał.

## Procesja

Coś mnie popchnęło, a może sam spadłem?

Miłości szpilka, czy żelazka dusza

Na głowę spadła? Cóż - doblaznowałem,

Dowariowałem, upadłem i cisza.

Z Taganki, poprzez Jauzę, na Solankę

Sunie wolno ta smętna procesja,

Jego zbiegła dusza szybuje nad nią

W obłokach żalu i żarze Celsjusza.

Wloką się zwłoki w bujność botaniki  
Do parku - nekropolii dla nomenklatury.  
Tak opadają na dno „titaniki”,  
Bez blasku światła, w kłębach z kotłów pary.

Muzyka roziskrza się MoZartem  
Lecz blaknie, snując smętne kakofonie.  
Czas żegnać dźwięków księstwo przejmujące  
Zegnajcie fobie, a wraz z nimi manie.

Wszędzie widnieją bezpieczeństwa służby,  
Wśród mgiełki spalin tkwi armatka wodna,  
Stado suk szczerząc rozdziawione paszcze  
Udaje zgodnie jakąś Noc Walpurgii.

Tłum stutysięczny ociężale dreczcze  
Jakby w nadziei żalosalnej odpłaty  
Pod nim się brudny beton Rosji miele  
Jak sól się kruszy na brzegu Siwasza.

Płynie niziutko tuż nad katafalkiem,  
Jego energia lub to, co nazywał Duszą.  
Ta gardzi śmieci wysypiskiem  
Jeszcze nie pragnie powędrować w astral.

Ogląda z góry cielesną powłokę  
Jakże krótkiego, lubego istnienia.  
Wzdraga się ujrzeć swoim własnym okiem  
Tłum dusz rosyjskich nad blaszanym dachem.

Żałosne szczątki zdołały zeskoczyć  
Saltomortale z pędzącego konia.  
I w maratonie dzielnie się utrzymać  
Razem z innymi „rydwanami ognia”.

Był czas, że oni też płonęli żarem,  
Z jakim Izraelita wierzy w swą Świątynię,  
Nie znając męki, nie złamani wiekiem,  
Jak ptak, co śpiewa: nie na próżno latam!

Hemoglobinę wchłaniały komórki,  
Proces życiowy wydawał się wieczny,  
I nagle wszystkie wyskoczyły nity,  
Jakby Perseusz harpii spuścił sfory.

A grać im przyszło „biednego Yorricka”.  
W drogę ostatnią błazna, kabotyńca  
Niechaj poniosą sowieccy majorzy,  
Jak księcia Danii - czterech kapitanów.

Astral jak płótno Filonowa stanął  
Kształtów gromadą bez klasy czy nacji,  
Jakby od nowa obraz cały zaczął,  
Tytan z gruźlicą, znawca innowacji.

I jeszcze Ziemia ciągnie go do siebie  
Imiona świętych, nazwy planet, kwiatów,  
Od Andromedy, kończąc na Barnabie,  
Chociaż ich nie ma tam, gdzie braknie tlenu.

Słowa odeszły i powstają sedna  
Kodeks nadziejski, Bogiem dana Tora.  
Lśni niewidzialną geometrią plastra  
Radość aniołów i dla diabłów zguba.

Zegnaj i witaj. Nad drapacza igłą –  
Barok Stalina, palazzo MPS –  
Szybuję śpiewak napowietrzną ciszą  
A obok frunie jego wierny pies.

Za każdym razem witać nowe sedno  
Rodzime duchy spływają pospiesznie  
Siadają cicho przy cielesnym lęku  
Jak słupy światła w katedralnej nawie.

Na dnie nadeszła już pora na szklanki  
Rozlał się smutek, wódką go wysuszą.  
Moskwa! W powolnym toczy się stacatto  
I daje w szyję, by pożegnać duszę.

## **Część druga**

.Była żona Korbacha Anis, z domu Anisja Pupuszczyna, nie po raz pierwszy odwiedzała Nowy Jork. Na początku lat siedemdziesiątych jej nomenklaturowego - ze względu na pracę w MSZ - tatusia, po szybkim rozlaniu komunistycznej nafty na „płonącym kontynencie”, wysłano tu w charakterze zastępcy szefa stałego przedstawicielstwa Białoruskiej SRR przy ONZ. Z Białorusią zresztą istotnie coś go łączyło, jako że w specyficzny sposób wymawiał głoskę cz. Ten dar odziedziczyła po nim Anisja. Kiedyś, w niższych klasach szkoły podstawowej, pani kazała jej podać przykłady słów z „czk”. Niewinne dziecię z ogromną kokardą z jakiegoś powodu nie znało występującego w takich wyrazach wielkorosyjskiego zmiękczenia. *Doczka-toczka-swieczka-pieczka-noczka-toczka*. Klasa pokładała się ze śmiechu, i nawet pani się uśmiechnęła: ale z ciebie Białorusinka, Pupuszczyna!

Jak w przypadku wszystkich ludzi radzieckich, świadomość rodzinnych korzeni nie sięgała u Pupuszczynów zbyt głęboko, tak że trudno było wykluczyć jakieś „białe rosy” za horyzontem. Później, kiedy zmieniła się w młodą kobietę z oszołamiącą grzywą jasnych włosów, zaczęto ją uważać za Skandynawkę. Nawet teraz, kiedy idzie Piątą Aleją w kwiecistej sukni i wysokich włoskich butach, pod wiatr, który tak efektownie uwydatnia superkobietą sylwetkę, faceci otwierają gęby: *She must be Swedish!*

Mimo wszystko to przesada, że w Ameryce każdy facet to pedał. Wielu z nich po prostu wariuje na widok kobiety. Idą krok w krok, wyprzedzają, coś tam mamroczą - Anis jakoś wciąż nie może ugryźć tego cholernego *english...* Możliwe, że robią jakieś chamskie propozycje, zupełnie jakby była młodą kurewką, a nie czterdziestoletnią radziecką działaczką.

Wczoraj jeden taki całkiem dostał świra. Rzucił się ku niej, jakby nagle ujrzął swoje ucieleśnione marzenie, idiota! W liliowoczarnej twarzy błyskają oczy i zęby. Wielkie czerwone wargi. Długie, ruchliwe palce z pierścieniami. Gangster jakiś, czy co? *Where are you from?* Wymienia jakiś nieznany kraj, Hejti. Wtyka prezenty: mont blanc ze złotą stalówką, rolex z brylantami, ciężki notatnik w krokodylej skórze, szpilkę od krawata, chce pani to wszystko, *madame*, od razu, za jedną noc? Zaśmiała się: może i sztyblety mi pan podaruje, senior? A ten od razu zaczął rozsznurowywać swoje krokodyle buty za tysiąc dolarów. Jakoś tak egzotycznie się nazywał - a prawda, Albert, a nazwisko coś jakby Szapoklak. Odprowadził ją aż do budynku

przedstawicielstwa, gdzie na widok rosyjskich napisów ze zdumienia opadła mu szczeka. Anisja, pomna na godność radzieckiej kobiety, skryła się za godłem z kłosami.

Tym razem w Nowym Jorku była kobietą radziecką podwójnie. Przyjechała tu przecież jako członek delegacji Komitetu Kobiet Radzieckich. Na licznych lunchach, żując pozbawione smaku trójkąty sandwiczów i pociągając wino bez bąbelków, wraz koleżankami pudrowała mózgi błękitnowłosym staruszkom: pokój światu, wszyscy jedziemy na jednym wózku i tak dalej. Czasami, co prawda, trafiały na mocne w gębie Żydówki w męskich marynarkach, współpracownicy Helsinki Watch czy innej Freedom House, które z miejsca przypuszczały szturm: czemu rozgoniliście leningradzkie feministki? Co wam szkodził magazyn „Maria”? Co za femistki? Jaka „Maria”? Co tu odpowiadać, skoro człowiek słyszy o tym po raz pierwszy w życiu?

W końcu dzisiaj jeden taki z Wydziału Pierwszego wziął ją na bok. Dziś, Anisjo Borisowno, o trzeciej pi-em powinna się pani przejść po słonecznej stronie Piątej Alei. Możliwe, że kogoś tam pani spotka. I oto przechadza się posłusznie, tylko jakoś zbyt szybkim krokiem jak na przechadzkę. Popatruje na swoje odbicie w zacienionych witrynach i znowu wychodzi na oślepiający słoneczny blask.

Po kwadransie takiego spaceru z tłumu przechodniów z naprzeciwka wyłonił się ten, na którego czekała, który męczył ją przez tyle lat, drań, nie mogę zapomnieć, co za feminizm, do diabła, nogi poczuły swoje czterdzieści lat, oparła się o słup. Korbach przeszedł obok, potem zatrzymał się i obejrzał niespokojnie. Nie był sam - obok ze złością rąbał dłonią powietrze ponurawy facet w typie Pugaczowa. „Mędrki zasrane! Moralne niedonoski! Degeneraci!” - dobiegło uszu Anisji. Zobaczyła, że Korbach bierze tamtego za rękę, jak gdyby chcąc zatrzymać potok inwektyw, przebić się przez wulgaryzmy do życiowego zakrętu, jeśli można tak nazwać scenariusz, opracowany niezależnie od powieści przez tępych reżyserów-pospolitaków. Zobaczywszy ją w końcu pod słupem z zieloną tabliczką „35th Street”, odepchnął towarzysza i rzucił się ku byłej żonie.

Przebywał już w Nowym Jorku dwa tygodnie i mieszkał u osoby, która jako jedyna powitała go na lotnisku - u Stasa Butlerowa. Ledwie przestąpił próg mieszkania Butlerowów, od razu przypomniała mu się Moskwa: z kuchenki dochodziła woń pieczonych bakłażanów, żona Stasa, okrągłutka intelektualistka Olga, i teściowa, Frida Gerszelewna, nakrywały stół według rosyjskiej zasady „czym chata bogata”. W kącie *living roomu*, pod portretem natchnionego Pasternaka oraz obrazem Oskara Rabina ze śledziem na gazecie „Prawda”, stała dwunastoletnia skrzypaczka, nadzieja rodziców, z adenoidalnym wyrazem genialnej twarzy. Rodzina żyła głównie z pensji Olgi, programistki, a także z *food stamps*, które - na podstawie programu numer osiem dla podeszłych wiekiem emigrantów, otrzymywała Frida Gerszelewna. Ta ostatnia okoliczność czyniła z niej również swego rodzaju programistkę, jak żartowała. Staś tymczasem, zniechęcony nieudanymi próbami nostryfikowania swojego adwokackiego dyplomu, czasem podmieniał kolegę-taksówkarza, kiedy indziej - kolegę-nocnego stróża. Kiedyś był moskiewskim znawcą sztuki, znał na pamięć wszystkie teatry i kupę znakomitości i z Korbachem też nieraz się na siebie natykali, choć tamten ni cholery nie pamięta.

- / *can't believe, Sasha Korbach himself!* - zawołała Olga.

- Shut upik, matka! - przerwał mąż. - W domu tylko po rosyjsku!

Kolacja zakończyła się o trzeciej w nocy. Staś uchlał się, przeklął historię i współczesność, Rosję i Amerykę, i zaproponował wieczną przyjaźń „wygnańców ducha”. Propozycja została przyjęta. Korbach zwałił się na przygotowane dla niego łóżko tuż obok stołu, przy którym biesiadowano, twarzą do sufitu z topornymi stiukami. Nic nie chcę, nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie przeżywam. Zaokrąglam się albo raczej rozpościeram. Leżę rozpostarty. Nie starczyło sił, żeby pójść do łagru, no to teraz rozpościeraj się w pustce.

A co tak naprawdę się wydarzyło? Dlaczego nikt nie powitał na amerykańskiej ziemi osobistości, która przecież narobiła sporo szumu? W końcu mógłby udzielić co najmniej z pół tuzina wywiadów, w ostateczności choćby dla rosyjskojęzycznej prasy Wielkiego Jabłka. Obawiam się, że bohater nigdy się nie dowie, iż zaszło po prostu drobne nieporozumienie. No a nas, zgodnie z przysługującą autorowi swobodą decyzji, nic nie kosztuje, by opowiedzieć o tym

zdumionemu czytelnikowi.

Otóż paryska sekretarka Nikity Afanasjewicza Mauriaca zwyczajnie pomyliła się o jeden dzień. Gdy Meg Patterson, pracownica centralnego biura organizacji „Dom wolności”, otrzymała teleks z informacją, że radziecki dysydent teatralny Aleksander Korbach przybywa 11 listopada na lotnisko JFK, natychmiast, jako że miała już doświadczenie w przyjmowaniu radzieckich dysydentów, zaczęła rutynowo obdzwaniać rozmaite gazety i stacje telewizyjne. Chęć przysłania swoich ludzi wyraził i 13. kanał miejski, i ABC World News, i „New York Times”, i „Washington Post”, i „Wall Street Journal”, i nawet magazyn „Time”, gdzie akurat było okienko na kolumnie „People”, pomiędzy ślubem Barry’ego von Wiesen i rozwodem Larry’ego Crunchlowa. Rzecz jasna, nikt tam nie słyszał o takim reżyserze, aczkolwiek dość szczególnym trafem, o którym będzie mowa niżej, wszyscy zdawali sobie sprawę, że *Alexander Korbach is a great name in the States*.

Naturalnie, gdyby Meg Patterson domyśliła się, by zadzwonić do wybitnych ludzi teatru w rodzaju Boba Bossa czy Julio Sołowieja, którzy wielokrotnie bywali na przedstawieniach Błaznów, korbachowska *story* mimo wszystko by napęczniała. Meg jednak nie chodziła do teatru, jako że cały wolny czas poświęcała pracy doktorskiej, i nie знаła tych nazwisk.

Dlatego dokładnie po upływie doby od przylotu naszego bohatera, akurat w momencie, gdy wybierał się na kolejny śledziowo-bakłażanowy wieczór do Quinze, przy ujściu tunelu PanAm zebrał się stosowny tłumek amerykańskich dziennikarzy i pracowników telewizji, a także paru bęcwałów z miejscowej prasy rosyjskojęzycznej. Nie zastawszy nikogo, porządnie zirytowani, rozeszli się do domów. Znając to środowisko, mamy podstawy przypuszczać, że podobny afront dodałby im tylko bodźca i hurmem rzuciliby się na poszukiwanie zaginionego, ale tego wieczoru przyszła wiadomość, że arabscy entuzjaści z Bliskiego Wschodu uprowadzili amerykański samolot pasażerski. Dramat ten pochłonął wszystkie gazetowe szpalty i o „teatralnym dysydencie” wkrótce zapomniano.

Godna pożałowania sprawa, co tu gadać, zwłaszcza dla radzieckiej znakomitości ze zmęczonym układem wegetatywnym. Tym bardziej że cała ta historia jest bohaterowi nieznaną, została mu po niej wyłącznie przypominająca zgagę pustka. Nie pozostaje nic innego, niż oddać się samobiczowaniu. Radzieccy krytycy mieli widać rację: próżność mnie zżera. Wszystkie moje marzenia o trzecim renesansie to przecież tylko podrygi próżności. I cały ten mój „nowy słodki styl”, cała ta „Danteja” z *Promieniowaniem Beatrycze* - no, przyznaj się! - wszystko to głównie

po to, żeby narobić szumu w Moskwie. Cała ta moja sława, radziecka, antyradziecka, wszystko jedno, jest po prostu niesmaczna. W ogóle sława jest niesmaczna. I przygnębiająca. Tania egzaltacja, pospolite, trywialne sztuczki. Wieczna nienaturalność, ograne numery z prezentowaniem to skromności, to pychy, to znowu dostojeństwa... Jakiś kretyński stan. Jak już raz człowiek wsiadł na tę diabelską karuzelę, nie zeskoczy z niej. Wszyscy dawno o nim zapomną, a on dalej będzie kokietować świat i myśleć, że świat też go wciąż kokietuje.

Trzeba skorzystać z okazji - bolesnej, ale otrzeźwiającej - i uciec od tego kurewskiego błazeństwa. Wyrwać się z korowodu dziwek głową naprzód! Szkoda, że nic nie potrafię oprócz układania nikomu niepotrzebnych piosenek i reżyserowania jarmarcznych spektakli i tańców z woltyżerką. Zresztą co tam, można zostać taksówkarzem jak Butlerow. W każdy weekend walniemy sobie pół galona smirnowskiej, będziemy włączyć się po *board walku*, bluzgać na te kurwy artystów i elity polityczne i stopniowo zmieniać się w świrów z Brighton Beach.

Butlerow tymczasem, zachwycony nieoczekiwaną przyjaźnią z samym Saszą Korbachem, z zapalem oprowadzał go po domach swoich znajomych. Prawdę mówiąc, był zaskoczony, że supergwiazda bez sprzeciwu przyjmuje jak leci wszystkie zaproszenia i zamiast bywać na koktajlach u prawdziwych, amerykańskich nowojorczyków, wysiaduje wieczorami w ciasnych mieszkaniach inżynierów, pracujących jako robotnicy niewykwalifikowani, lekarzy, którym nie udało się nostryfikować radzieckich dyplomów, dziennikarzy, adwokatów, wykładowców uniwersyteckich, którzy zostali masażystami, kelnerami, sprzedawcami gorących precli, drukarzami T-shirtów, to znaczy operatorami pras odbijających rysunki i napisy na ukochanym odzieniu tego kraju - bawełnianej koszulce bez kołnierzyka z krótkimi rękawami.

W gruncie rzeczy właśnie ci ludzie stanowili w Rosji teatralną publiczność, to oni stworzyli popularność Saszy Korbacha. Po dwóch, trzech kieliszkach zaczynali podśpiewywać jego stare piosenki, popatrywali figlarnie, po czwartym zaś bez ceremonii wtykali mu gitarę: „No, Sasza, zaiwaniaj!” I Sasza posłusznie „zaiwaniał”. Poklepywali go zachęcająco: „Wszystko jak dawniej, stary, i głos, i styl, i pasja!” Po oczach widział, że współczują mu jak komuś, kto stał się przeszłością.

Chodziły już jednak słuchy po „rosyjskim” Nowym Jorku: Korbach jest w mieście! Kiedyś zabrnęli z Butlerowem do knajpy Kaukaz. Nie zdążyli jeszcze zaliczyć pierwszego drinka, a już cała sala stała ze wzniesionymi kielichami: Sasza Korbach jest wśród nas! Wypijmy zdrowie Saszy! Natychmiast, rzecz jasna, zafalowała rąbkiem spódnicy Cyganka: „Przybył do nas

ukochany, Sasza Korbach drogi nasz!” Zaczęła się hulanka w typowo moskiewskim stylu. Z Kaukazu pociągnęli do Rusłana, stamtąd zaś do ogromnego, mrocznego *loftu*, miejsca spotkań artystycznej bohemy. Geniusze jednak nie przejawili szczególnego zachwytu. Przeciwnie, przez cały wieczór nie zwracali na Korbacha uwagi, najwyraźniej dając mu odczuć, że numer jeden to on był tam, w Sowdepii, a tu ma miejsce surowy osąd, tu tamtejsze wartości się nie liczą. Jakaś podpita panienska usiłowała przedrzeć się do niego, ale odprowadzono ją za brzuchaty piec i wychlastano po twarzy.

No dobra, Staś, wystarczy. Idziemy!

Tej nocy Nowy Jork dla odmiany pozbył się swojej lepkiej wilgoci. Kanadyjskie powietrze stanęło zwartą ścianą od stratosfery do zgniecionych puszek po piwie i zaczęło dąć w wyświechtanych metaforach Manhattanu, czyli w kamiennych wąwozach czy jakoś tak, a może w kamiennym labiryncie, czy jakoś tak, chociaż co to za labirynt, skoro nawet pijana małpa nie zabłądzi w tej ponumerowanej geometrii. Jednym słowem, noc była magiczna, długie białe obłoki ciągnęły czarnym niebem niczym uniwersyteckie łodzie wiosłowe. Jeszcze chwila, i zakocham się w tym mieście. Chwila minęła.

- Wiesz co, Butlerow, w czasie ewakuacji, w Kazaniu, mieszkaliśmy na ulicy Butlerowa. Byłem wtedy małym dzieckiem, ale pamiętam drewniane domki i hałaśliwy tramwaj.

- Ten Butlerow, Korbach, to był znakomity chemik, profesor z Kazania. Mój przodek.

- Słuchaj, Butlerow, ja po prostu nie wiem, co dalej robić.

- Zauważyłem to, Korbach. Szlag mnie po prostu trafia, jak widzę, co z tobą zrobili. Przecież dawniej po prostu iskrzyłeś jak pochodnia! Chcesz, pójdę jutro do „Newsweeka” i zrobię awanturę: piszą o jakichś gówniarzach, a rosyjskiego geniusza nie zauważyli!

- Szanuję twój zapał, ale źle mnie zrozumiałeś. Ja po prostu muszę stąd uciec.

- Gdzie tu uciekać, kochany? Nie ma już dokąd uciekać.

Niosła się muzyka nocy. Koreańskie sklepiki były pootwierane. Wiatr chłodził wystawione w pochyłych pudłach owoce. Obok przeszło trzech półnagich Amerykanów pochodzenia babilońskiego. Dokładnie mówiąc, były to trzy lwy z ufryzowanymi w loczki grzywami. Pod hotelem Chelsea awanturował się z damą lekko zawiany powieściopisarz. Czasami, to bliżej, to dalej słychać było sygnał karetki. Dziewczyna bez majtek otulała się połami futra z norek.

- Wiesz, Korbach, ja sam chętnie bym gdzieś nawiał. Olga znalazła sobie Portorykańczyka, młodszego o dziesięć lat. Zawsze chełpiliśmy się naszymi śmiałymi poglądami na seks, a okazuje

się, że nie mogę tego znieść.

- Butlerow, ta rewolucja też upadła. Kwitnie seksualny totalitaryzm. No to chodź, pryśniemy gdzieś we dwóch. Czy jest taki stan Ocziornia, gdzieś koło Kalifornii, czy nikt o nim nie słyszał?

- Tego nie wiem, Korbach, ale w Los Angeles mam dobrze prosperującego kolegę. Ma udział w parkingu. On nam znajdzie *job*.

Przez resztę nocy Korbach kręcił się na tapczanie w bezpośrednim sąsiedztwie stołu, na którym roztaczała woń niedojedzona sajra z rosyjskiego sklepiku. Z sypialni dochodził podniesiony głos Butlerowa i szczęśliwy mezzosopran Olgi, nucącej po hiszpańsku. Słysząc było, jak coś leci na podłogę: książki czy plastikowe butelki z dietetyczną coca-colą. Męska histeria była jednak bezsilna wobec dźwięcznego słowa *corazon*.

Rano zbudził naszego bohatera telefon, dzwoniący tuż nad uchem. Okazało się, że telefon spadł na poduszkę, ale udało mu się nie rozłączyć. - Czy mogę mówić z panem Korbachem? - spytał głos z ultraleningradzką uprzejmością. Rozmówca odpowiedział rozdzierającym kaszlem.

- Dzień dobry, Aleksandrze Jakowlewiczu! - powiedział głos, jakby wcale nie oczekiwał innej odpowiedzi. - Widziałem pana wczoraj u Ypsilon. Arkadij Gribienczukowski z tej strony, radio Swoboda.

- Czy nie zechciałby pan wystąpić przed naszymi mikrofonami?

- A na jaki temat, panie... - Aleksander wciąż potykał się na tych „panach” - panie Gribienczukowski?

- Ależ na jakikolwiek! - zawołał radiowiec. - Myślę, że powinien pan po prostu zaistnieć w eterze, żeby zamknąć gęby dezinformatorom, a pańskim przyjaciółom dodać otuchy. Krąży tam o panu kupa plotek, co jedna, to gorsza.

- U-u-u-u-u - zaimitował Korbach zagłuszenie.

- A mimo to słucha nas kilkadziesiąt milionów - odparł na to gorąco Gribienczukowski. - Niech pan przyjeżdża do studia, Aleksandrze Jakowlewiczu, nagramy rozmowę, a przy okazji od razu wypłacimy panu honorarium, gotówką.

I głos przyjemny, i argumenty przekonujące, pomyślał Korbach. Trzeba na ostatek wystąpić, zanim zniknę. Po Moskwie pójdzie wieść: żyje Korbach. I matka się dowie, i Anisja z dziećmi. A potem zniknę. Sczeznę za życia.

Telefon Gribienczukowskiego trafił na krótką fazę, w której człowiek skacowany ma dobry

nastrój. Po niej przychodzi znacznie dłuższa faza depresji. Ledwie zdążył zapisać zamiary Swobody, kiedy rozpętała się ta jebana druga faza. Nagle zaczął straszliwie tęsknić za matką, o której, mówiąc szczerze, wcale często nie myślał. Biedna matka idzie na emeryturę, traci swoje „ważne znaczenie dla państwa”. Izmaïłow siedzi jak na obrazie *Mienszikow na zesłaniu*. Walerka i Katia żyją dla swoich rodzin. Babci Iriny nie ma już od dwóch lat. Własnej matki, babci Raisy, z jakiegoś powodu się wstydzi. Syn funkcjonuje w roli straszaka. Biedna zastraszona istota, matka „wroga narodu”!

W tym momencie rozległ się jeszcze jeden dzwonek. Facet przepitym basem szwargotał coś po angielsku. Tego języka nie da się zrozumieć, pomyślał Korbach ze złością i spytał, dokładnie oddzielając słowo od słowa:

- *Would you please speak slowly?*

- *Plumber, plumber* - chrypiał facet. - *Ich bin plumber.*

Świeżutka, różowa i romantyczna pomimo bezsennej nocy, przebiegła przez pokój Olga Mironowna. Ojej, przecież to Niemiec-hydraulik, właśnie na niego czekam! Niektóre spojrzenia jasno mówiły Korbachowi, że rodzina ma go już dość. Z wyjątkiem, rzecz jasna, głowy rodziny, który miał dość rodziny.

O trzeciej po południu przyjaciele oddawali się swojemu ulubionemu zajęciu, to znaczy wałęsaniu się po centrum Manhattanu. Rozmawiali o Kalifornii. Tam wszystko wróci do normy. To całkiem inny świat. Podobno nawet powietrze pachnie tam inaczej niż gdziekolwiek indziej.

- Pamiętam - rzekł Korbach - to zapach ideałów, które nie sięgnęły jeszcze bruku.

- Wybacz - zdziwił się Butlerow - ale przecież w pierwszym rozdziale powiedziano, że jesteś w Ameryce po raz pierwszy.

On nie wszystko wie, uśmiechnął się Korbach.

- Byłem tam dziesięć lat temu, z filmem na festiwalu. Jako aktor. Raptem tydzień. Spałem wtedy z jedną dziewczynką. Aktoreczka, nazywała się tak jakby Capablanca. No wiesz, z Meksyku.

Butlerow się zasepił: z rogiaczem nie mówi się o Latynosach! Daj spokój, Staś, nie ty pierwszy, nie ty ostatni. Moja żona też czort jeden wie, z kim spała. No, ale ty się przecież rozwiodłeś. Ty też się możesz rozwieść. Butlerow poweselał. Pewnie masz rację, wszyscy mamy za plecami barykadę seksualnej rewolucji. Korbach spojrział z ukosa na ciężkawego konusa. Jakoś nie bardzo przypominał walczącego na tych barykadach rewolucjonistę.

Do spotkania w radiu Swoboda została już godzina, dlatego zaliczyli tylko po jednym ginie, co prawda podwójnym.

- W Kalifornii, Staś, zapomnisz o swoim dyplomie, a ja o wszystkich spektaklach i filmach. Staniemy się zwykłymi czterdziesto-i-coś-tam-letnimi facetami.

- Tak jest, Saszok (nikt do niego nigdy nie mówił „Saszok”, ale jakoś mu się to podobało), zostaniemy robotnikami, *blue collar workers*, no nie? I żadnych kontaktów z bohema, z tymi tanimi snobami, półgłówkami, nieustannie brzemieniami zdradą, w rodzaju tego zasrańca Mitki Ypsilon.

Publiczność na Piątej, pod wpływem słońca i kanadyjskiego wiatru, była coraz weselsza. Fruwały grzywy i koafiury, krawaty i apaszki. Korbachowi wydawało się, że wiele osób patrzy na niego, zupełnie jakby rozpoznawali w nim znakomitość, tak jak to bywało w Paryżu. Uśmiechając się szyderczo do siebie, wciąż na nowo dostrzegał kolejne uśmiechy, kolejne błyski rozpoznania w oczach...

- Popatrz no, jak tamta babka się na ciebie gapi - powiedział Butlerow. - Najwyraźniej cię poznaje!

Ten facet w swojej prostoduszności zawsze wyciągnie na wierzch to, co ja usiłuję wdeptać najgłębiej jak się da. Korbach rzucił okiem na dużą, urodziwą kobietę na skrzyżowaniu. I rozpoznał w niej swoją byłą żonę. I momentalnie zalała go fala miłości do niej, niemożliwej do zniesienia.

Nie mieli ze sobą do czynienia chyba ze dwa lata, a tak ich wzięło! No, no, Saszka, myślała Anis, obejmując byłego małżonka. Jeszcze gorętszy się zrobił niż dawniej. Po prostu żar we mnie pompuje, zupełnie jakby kto w samowar napchał rozżarzonych węgli i rozdmuchiwał miechem. O jejku, zmieniam się w samowar, zaraz zakipię, zacznę pryskać wrzątkiem, on się poparzy!

Co się z nią dzieje, myślał, pompując w nią żar. Wystarczy zamknąć oczy i wydaje się, że dwudziestoletnią laskę masz w rękach. Drży, faluje... O rany, wzbijam się w powietrze spirala, niczym wieża Third International! A teraz szybuję w przestworzach jak pterodaktyl Letatlin ze zdobyczą. Co za myśli kretyńskie przychodzą człowiekowi do głowy w czasie ciup-ciania... Jak to się wygina, kołysze, zawsze była w tym dobra ze swoim samowarowym żarem, jak to grzywą potrząsa, zdawałoby się, że nie babkę posuwasz, a jakąś fantastyczną kobyłkę. Tylko ogona brak.

Wreszcie skończyli. Leżeli w milczeniu, objęci, dysząc. W końcu usiedli i wsparci plecami o chwiejną ściankę podłego moteliku zapalili jak w najlepszych czasach młodości.

- Jak dzieci? - spytał. Uśmiechnęła się.

- Dzięki Bogu, wszystko dobrze.

- Są tu z tobą?

- Nie, zostały z dziadkami w Dolnej Oreandzie.

- To znaczy, że nie jesteś tu z wizytą u tatusia? Spróbowała dla żartu zagrać wyniosłość. Na golasa wypadło to dość głupio.

- Nie, *sir*, wyżej, wyżej! Masz przed sobą pracownika radzieckiej kultury, starszego redaktora studia filmowego, członka delegacji KSZ.

- Aha, to znaczy Pierwszorzędnych Radzieckich Dup?

- Prawie, prawie. Komitetu Kobiet Radzieckich.

- No no - mruknął, przy czym głos lekko mu zadrżał. - A czemu nie masz ogona? - pogłaskał odnośne miejsce. - Kto ci urwał ogon?

- Dobra, dobra, Saszka - zaprotestowała słabo. - Daj spokój. Znam te twoje numery z ogonem.

Nie odpowiedział nic i ona też zamilkła, rozwijając w myśli jego fantazję. Masz twój ogon, bierz go, tak samo obfity jak dawniej! Gdyby człowiek wiedział wcześniej, że nagromadziło się

w nim tyle uczucia...

- Aleksander, co ty wyprawiasz z czterdziestoletnią babą? - okazało się, że ostatnie zdanie wypowiedziała na głos.

- Masz trzydzieści dziewięć, a nie czterdzieści.

Pogłaskała go po głowie.

- Tak się ucieszyłam, kiedy cię zobaczyłam na ulicy! Rzuciłeś się do mnie z powodu seksu, a ja zobaczyłam w tobie bliskiego człowieka.

- No, zaczynają się białoruskie lamente - zaśmiał się życzliwie.

- Wiesz... - Anis pobiegła do łazienki, wróciła z ręcznikiem między udami i podjęła przerwane zdanie: - Wiesz, ja oczywiście nie wierzyłam w to, ale w Moskwie zawsze opowiadają o uciekinierach różne głupoty... no i zaczęli o tobie gadać, że zginąłeś w wypadku, za kierownicą. A tu nagle ty, żywy, mój!

- Sokół jasny, kozak-chwat - zawtórował ironicznie, kontynuując poprzednią grę: że niby ona to płaczliwa wieśniaczka, a on - cyniczny mieszkaniec stolicy. Nagle zwróciła ku niemu swoją serio twarz „kobiety radzieckiej”:

- Saszka, a jakbyśmy tak zaczęli wszystko od nowa? Wiesz, jak by się nasze dzieciaki ucieszyły, Stiopka, Lowka?

Popatrzył na nią poważnie.

- Jak ty to sobie wyobrażasz, Anis? Przecież jestem praktycznie na zesłaniu, wróg narodu. Dojarki i hutnicy żądają po różnych gazetach mojej głowy.

- Co to za problem! - machnęła lekceważąco ręką. - Oni to wszystko mogą zmienić w jednej chwili.

- A skąd masz taką pewność? - zadał nagle pytanie, które, momentalnie zburzyło tak nieoczekiwane i w tak tajemniczy sposób odrodzone uczucie.

Widział, jak na jej twarzy walczą o pierwszeństwo dwie maski: ta, której nie mógł znieść, surowej pani redaktor, członkini rady artystycznej i zbzikowanej, szalonej baby, którą tak kochał.

- A jak myślisz, skąd? Jasne, że od nich. Co, myślałeś, że nie będą się mnie czepiać? Twojej rozwiedzionej żony, matki twoich dzieci?

- Aha, czyli dostaliśmy pozwolenie na wznowienie związku? - spuścił nogi na podłogę i zaczął zbierać walające się po wydeptanym przez hipopotamy dywaniku w zebłą slipy, skarpetki, spodnie.

- Nie spłycajmy sprawy - powiedziała redaktorskim tonem, ale zaraz po swoim machnęła grzywą. - Oj, no przecież wiesz, jak oni teraz mówią. Nie chcemy całkiem odcinać tlenu Aleksandrowi Jakowlewiczowi. Jeszcze ma szansę, żeby ojczyzna na nowo zaczęła mu ufać.

- Sprezykowali? - spytał już w spodniach.

- No, sugerowali. Wywiad, przyznanie się do błędów, do nadmiernej próżności, itepe itede, ale najważniejsze - zdemaskowanie zachodnich służb specjalnych i w ogóle, no wiesz, cała ta nudna gadka. Odetniesz się i zostawia cię w spokoju.

Wyjął z kieszeni marynarki płaską butelkę chivas, jednym haustem zmniejszył jej zawartość niemal o jedną trzecią i automatycznie wyciągnął ku partnerce. Ona też zdrowo pociągnęła. I jakby się ożywiła.

- Gwarantuję powrót do teatru na poprzednie stanowisko i zielone światło dla twoich pomysłów. Wspominali o jakimś spektaklu, o Dantem, zdaje się, czy o Petrarce...

Ruszyło go. Zawrót głowy, wściekłość, zgaga, wściekłość, mdłości i wściekłość, wściekłość i wściekłość. To znaczy, że i ten poryw uczucia też wyreżyserowała bezpieka! Że nawet Dantego ośmielają się tykać swoimi tłustymi paluchami!

- No, nieźle cię zaprogramowali! - wycedził. - Wypisali delegację, wysłali do Stanów i nawet na Piątą Aleję podprowadzili, bo wiedzieli, że tędy chodzę! Nie, my jednak wciąż nie doceniamy rycerzy rewolucji. Zawsze kaptowali atrakcyjne kobiety, różne tam pierwszorzędne dupy, tę metodę mają znakomicie opracowaną!

- Milcz! - wrzasnęła, ale tak, że za ścianką z wrażenia zamilkł telewizor. - Jak śmiesz? Do matki twoich dzieci! Skurwiel! Skurwiel! Skurwiel! - miotała się po pokoju, łapiąc porozrzucaną bieliznę, piersi się trzęsły, duża, absurdałna, po raz pierwszy zwrócił uwagę, że i brzuch jej się trzęsie niby torba na wyboistej drodze.

Tego rodzaju awantury, pomyślał chłodno, trzeba odgrywać w ubraniach. Niektórzy powiedzą, że w podobnych sytuacjach *nudę* potęguje efekt postmodernistycznej totalności. Nie zgodzę się z tym. Niech pan posłucha, kochany, to, co widzimy w podobnych dialogach nagich ciał, po amerykańsku nazywa się *redandance*, a po naszymu - wysysanie z palca. Z dwudziestego pierwszego palca, niestety.

W gęstniejącym mroku włókł się powoli ku Times Square. W tamtych czasach ogromny camelowski facet wciąż jeszcze beztriosko wypuszczał kółeczka dymu. Wysoko w górze ścianę żółtego ognia zalewał potok czerwonego ognia, następnie niebieskiego, po czym pojawiało się asyryjskie słowo: *Nabisco*. W kinie szła *Kochanka Francuza*, jeśli mnie pamięć nie myli. Partery lśniły setkami jasno oświetlonych pieczar, w jednej - tysiąc aparatów fotograficznych, w drugiej - tysiąc radioodbiorników, w trzeciej - tysiąc walizek. Między drapaczami chmur wisiał helikopter, szperał promieniami, chociaż wszystkie pochłaniały zalegające dół wyziwy. Tłum przelewał się tam i z powrotem, popatrywał na siebie, szukał czegoś jeszcze lepszego. Nieźle by było tam, na gzymsie sześćdziesiątego piętra, umieścić blokowskiego karła z ognistym językiem na pół nieba. Ludzie pomyślą: co też oni chcą sprzedać za pomocą tego superjęzyka?

Bez celu wszedł do pieczary płonącej tysiącem telewizorów. Równocześnie migał baseball, mydło, dramat, wybuch, gigantyczna pięść, nożyska, usta ssące słodycz, szyna, parę twarzy, na których płonęło namiętne zainteresowanie jakąś palącą kwestią. Przebił się damski głos: / *always have a sex with my cbth on, and outside my bed's sheet!*. Po co tu *shit*, pomyślał, a zresztą, *shit* zawsze do czegoś pasuje. Grupa wschodnich właścicieli sklepu uważnie śledziła wzrokiem jego ruch wzdłuż ekranów. Nic się tu nie składa, pomyślał, trzeba znaleźć klucz do tych tajemnic, klucz w formie żmijki owiniętej wokół słupa. A zresztą, lepiej nie szukać, lepiej przejść obok, albo przynajmniej spróbować przejść, bo inaczej rozwiązanie zagadki zwali się na ciebie niczym kryształowy żyrandol. Azjaci odwrócili się: *This man is just looking*. Obwiąż żółtą wstążką stary dąb, jeśli jeszcze mnie kochasz, jeśli wciąż jeszcze czekasz, jeśli jeszcze mnie chcesz. Stara piosenka, zupełnie jakby wieść z domu. Z domu, gdzie żyją tabuny zdrajców i kwitną żony-donosicielki. Ani tu, ani tam nic się przede mną nie otworzy prócz butelki.

„I namiętność jego tkwi w butelce, z dawien dawna już, z dawien dawna już!” A to znowu skąd? Nagle wypłynęło: pierwszy powojenny rok, skrzyp śniegu pod walonkami, udeptany śnieg niczym marmur w świetle księżycy, on ma siedem lat, wraca z mamą z teatru, wszechogarniające szczęście, podskakuję, podbiegam, przejeżdżam na butach po wyslizganych lodowych paskach, śpiewam, jak w teatrze śpiewali huzarzy: „Z dawien dawna już! Z dawien dawna już!”

To nie było wspomnienie. Tamta zimowa chwila po prostu wróciła do niego pośrodku Times

Square. Niepostrzeżenie znalazł się nagle w czyścicu, jakby poza czasem. Zniknął korowód nie kończącego się oszukaństwa, mknących obok, z przeszłości w przyszłość, mgnień. Przypomniał mu się nagrobny napis na cmentarzu w Pieriedielkinie: „I zatopiły nas fale czasu, i jako mgnienie był nasz los”. Czas nie może nas zatopić, czasu nie ma, jeśli nie ma nas. Zatapia nas co innego. Tamto nieoczekiwane mgnienie z dzieciństwa - to nie mgnienie. Zdaje się, że balansuję w jakimś krańcowym punkcie. Jeszcze jedno niemgnienie i naprawdę znajdę się poza czasem. Jeśli jeszcze w nim jestem, to w każdym razie czas drgnął.

Nagle poraziła go myśl, że może nie ma go już wśród żywych. Było jakieś mgnienie w Moskwie, a to, co się dzieje ze mną potem, to już nie życie, a jedynie błąkanie się nie rozproszonej jeszcze energii. Niewykluczone, że KGB dało mi żelastwem w łeb. Albo w mój samochód walnęła ciężarówka. A może i bez KGB się obeszło? Przecież w dzieciństwie spadł mi na głowę zyrandol. Ciało odprowadzała na pewno cała Moskwa, od pogrzebu Wysockiego nie było w Moskwie takiego masowego wylewu uczuć. Oznaki nadchodzącej rewolucji. A ja właściwy, czyli moja wiązka energetyczna, odpłynąłem w przestrzeń astralną, w strefę odbić, i narody płynęły wraz ze mną niczym masa cieni do Ameryki jak do czyścica. Tylko Wergiliusza nie ma ze mną, jeśli nie liczyć Stasa Butlerowa. Rzucam cień, czy nie? Tu, na Times Square, rzucam dziesiątki cieni, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem cielesny w normalnym sensie. Piję wódkę i zakąszam ogórkiem, ale smaku nie czuję. Wszystko zsunęło się i odbiło w miliardach luster. Zbyteczny dowód - mój groteskowy seks z Anis, a najoczywistszy z nieoczywistych - powrót tamtej zimowej nocy z dzieciństwa.

W wirze tego oszołamiającego objawienia czy też - jak ośmielamy się przypuszczać - w ostrym ataku nerwicy nie zauważył, że skreślił z błyskającego komercyjnymi pokusami trójkąta w jedną z bocznych, umiarkowanie oświetlonych ulic. Szedł nią teraz: to maszerował jak Majakowski, to włókł się manierą Becketta, to wybuchał zachwytem, uświadamiając sobie astralny sens wszystkiego, co istnieje, to w lęku przed własną nieobecnością trząsał się jak galareta. Spójrz no w szkło witryny, może nic tam nie zobaczysz? W witrynie odbijał się spocony człowiek w zmiętej kurtce safari, czoło jak front Boeinga-747, kosmyki przylepione do skroni, niewykluczone, że za rozciągniętymi od ucha do ucha ustami jest czerwony język, który może rozwinąć się na pół nieba. A może w ogóle brak języka.

Ja po prostu jestem potwornie zestresowany, przyszła zbawcza myśl. Potrzebne mi są jakieś środki uspokajające. I w tym momencie zniemacka otworzyła się perspektywa, w której centrum

widniało na ciemnym nieboskłonie wypisane wielkimi, płonącymi literami jego własne imię: Alexander Korbach. No, to i wszystko. Przyszedł mój czas. Wzywają mnie. Apokalipsa, jak widać, zdarza się każdemu z osobna. Każdy samotnie przechodzi męki przed Sądem Ostatecznym.

Obok tymczasem ciągnęli nowojorczyki, jedni elegancy, inni w podkoszulkach i szortach. Pokastywali, ziewali, pociągali przez słomkę drinki, spoglądali na nadgarstki, sprawdzając czas. Tak to właśnie jest, wszyscy idą, a jednego nagle wywołują straszliwymi literami na czarnym nieboskłonie. Z piekarni wyszła kobieta o twarzy humanistki. Niosła brązową torbę, z której sterczały dwa bochenki chleba. Podsądny rzucił się ku niej. *Madame!* Nawet w takiej chwili nie odważył się mówić po angielsku, zabelkotał w kulawym *français*. *Estce que vous voir cela audessous?* Wzruszyła ramionami. *Mais oui! Whafs the matter, monsieur?* Przycisnął dłonie do żołądka, żeby uciszyć jelitowy i naczyniowy *turmoil*. *Qu'estce que c'est, madame?* Błagam, *qu'estce que c'est?* Wzruszyła ramionami jeszcze raz. *Just „Korbach”, sir! Un grand magaán!* Z tymi słowy na ustach, z odwróconą głową, ze zdumieniem w oczach wsiadła do autobusu. Boże, pobłogosław tę niewiastę, niech w pokoju przełamie dziś swój francuski chleb!

W kieszeni, przypomniał sobie, ma niedopitą butelkę. Przysiadł na stopniu obok mamroczącego coś włóczęgi, podparł głowę chwiejny drapacz chmur i pociągając z butelki, patrzył na świetliste litery składające się na jego imię. Nie migały, nie zmieniały barwy. Spokojnym żółtym lśnieniem potwierdzały: *Alexander Korbach is a great name in the States!* Wzdłuż ulicy ciągnęło wonią ludzkiego jada: *mushi pork* i *vanton soup* Chińczyków, słodką bazylią Tajlandczyków, truflowym sosem mieszkańców Prowansji. Cywilizacja materialna, Nowy Jork.

Artur Duppertat, młody obiecujący pracownik gigantycznej korporacji Alexander Korbach Retail i dyrektor znanego nowojorskiego domu handlowego, nie należał do osób, które opuszczają biuro, gdy tylko skończy się oficjalny czas pracy. Wręcz przeciwnie, lubił posiedzieć dłużej przy biurku z dymiącą filiżanką kawy i włączonym komputerem. Lubiał swoją pracę, był niezwykle dumny ze swojego stanowiska, na które został powołany w wieku dwudziestu siedmiu lat, no i w ogóle podobał mu się jego gabinet jako taki.

Gabinet w rzeczy samej zasługiwał na zachwyty: ogromny pokój o trzech francuskich oknach, wychodzących na zachodni grzbiet Manhattanu, wykończony panelami z dębu wirgińskiego z wizerunkami założycieli firmy. Pokryte ciemnożółtą skórą fotele, ogromny stary globus w potężnej miedzianej ramie, przechodząca z dziesięciolecia w dziesięciolecie woń drogich cygar i jeszcze droższego porto i sherry... Proszę, jestem tutaj, stoję na głowie w pozycji sirsasana na sprężystym perskim dywanie, chłopaczyna z rodziny o niskim dochodzie, która gniotła się na tyłach pizzerii w podejrzanym rejonie Baltimore. No i co, nie ma powodów do dumy?

Art Duppertat wyglądał do góry nogami całkiem niezłe, tym bardziej że nogi zwieńczone były dwoma pierwszorzędnymi angielskimi półbutami marki Church. Zgodnie z założeniem, człowiek nie powinien w tej pozycji o niczym myśleć, żeby osiągnąć stan medytacji. Trzeba jednak powiedzieć, że Art nawet z nogami do góry nie mógł wyłączyć przyjemnych myśli o swoim życiu i aktywności zawodowej. Na odwrót raczej, przyływ krwi do naczyń mózgowych tym bardziej stymulował generację pomysłów. Właśnie w tym momencie - przedstawiania go czytelnikowi - z szybkością cząstki elementarnej przemknęła mu przez głowę myśl: „A-co-do-młod-szej-córki-Stanleya-Korbacha-niezła-inteligentna-podobam-się-jej-powiniennem-się-z-nią-ożenić!”

Dopusciwszy podobną myśl pod adresem córki wszechmocnego prezesa spółki, moglibyśmy właściwie wykluczyć Arta ze słynnego pokolenia amerykańskich *yuppies* lat osiemdziesiątych i cisnąć go w przeszłość, do galerii bezdusznych bohaterów Dreisera, tych karierowiczów i krzywdzicieli niewinnych dziewcząt. Gwoli zwykłej jednakże sprawiedliwości musimy powiedzieć, że z tymi ostatnimi nic go nie łączyło. Był czysty, wesół, prostoduszny, a problem polegał na tym, że Sylvie po prostu okropnie mu się podobała. Nie pachniało tu też mezaliansem,

szanowni państwo, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę stale zmniejszającą się w ostatnich latach liczbę chętnych do małżeństwa kawalerów po tej stronie Atlantyku.

I oto dokładnie w momencie narodzin tego szczęśliwego pomysłu wszedł do gabinetu dyrektora szef ochrony domu handlowego Ben Duckworth, potężny czarny osobnik podobny do obrońcy drużyny Washington Redskins. Sprawiał wrażenie nadzwyczaj wzburzonego.

- Wybacz, Art, że cię niepokoję, ale jakiś dziwny typ domaga się widzenia z tobą.

Nie zmieniając pozycji, Art zainteresował się, kóż tam znowu się domaga. Duckworth wyjaśnił, co zaszło.

- Mieliśmy już zamykać sklep, kiedy zauważyłem tego faceta w dziale perfumeryjnym. Jakoś tak dziwnie mówił, o rany, i jakoś tak napierał na Iris Rabinowitz i inne dziewczyny, całkiem jak psychol. Poprosiłem go do mojego biura, ale zaczął się upierać, że chce rozmawiać z samym głównym menedżerem. Z waszym dyrektorem, jak się wyraził.

- Czemu nie dałeś mi go na telefon? - spytał Duppertat.

- Problem w tym, że on nie za bardzo mówi po angielsku. Coś tam trzeszczy jak karabin maszynowy, ale nie da się z tego sklecić nic sensownego. Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili chciałem po prostu wywalić za drzwi tego cholernego Francuza czy Węgra, a może nawet bolszewika, jeśli wolno mi tak się wyrazić.

- *Pardon*, ale nie wolno - przerwał mu zwierzchnik. - Pozwól, że przypomnę ci naszą niedawną rozmowę. Nasi pracownicy powinni wykazywać wobec wszystkich klientów czy potencjalnych klientów nienaganny kosmopolityzm. Nie wolno nam demonstrować jakichkolwiek oznak wyższości z powodu naszej amerykańskości!

Duckworth przyłożył do piersi potężną dłoń.

- W życiu, Art! Doskonale wiesz, że znam mnóstwo ludzi, którzy nie są Amerykanami. Widziałem ich niemało, kiedy służyłem pod sztandarami sto pierwszej dywizji lekkiej kawalerii. Duch kosmopolityzmu zakorzenił się we mnie głęboko jeszcze w czasach, kiedy stacjonowaliśmy w Niemczech, niedaleko Wiesbaden, ale... Co się pan tak dziwnie uśmiecha, *sir*?

- Po prostu wyobraziłem sobie ciebie jako kawalerzystę, Ben - odparł niewinnie Duppertat.

Naczelnik ochrony westchnął głęboko.

- Co mnie zaskakuje, Art, to to, że nasi rozumni, stylowi chłopcy, nawet ci wykształceni w Harvardzie czy w Yale, czyli na uniwersytetach, które oferują szerokie możliwości poznania

narodowej historii, wciąż uważają, że żołnierze sto pierwszej dywizji kawalerii harcują na koniach. Tę nazwę, *sir*, nasz pododdział otrzymał sto trzydzieści lat temu i od tej pory z dumą nosi ją na znak szacunku dla wojskowych tradycji. Jeśli chodzi o mnie, *sir*, to służyłem tam na stanowisku starszego specjalisty narzędziowca.

- No dobrze, Ben, przyjmuję twoją krytykę, ale co w końcu zobaczyłeś w tych Niemczech?

- Bardzo prostą rzecz, Art. Zrozumiałem, że pomimo wszelkich zalet innych krajów żaden z nich nie może się równać ze Stanami. Nawet Niemcy. Niespecjalnie mnie zachwyca ten fakt, ale nawet Niemcom, chociaż starają się, jak mogą, wciąż jeszcze do nas daleko.

- W jakiej dziedzinie?

- We wszystkich, Art. We wszystkich.

- I w muzyce, Ben? I w filozofii?

- Zwłaszcza w muzyce, Art. A także w filozofii.

- Hm - powiedział główny menedżer, ale szef ochrony skinął jedynie głową.

- Jeśli chodzi o pozostałe kraje, to czego się możemy po nich spodziewać, skoro nawet Niemcy nam nie dorównują? Weź chociażby tego Węgra, który nie jest nawet w stanie sensownie się wypowiedzieć, a twierdzi, że jest reżyserem teatralnym. Jego ubranie chyba nigdy nie widziało żelazka, ale najbardziej żalosne jest to, że on jest pijany, *sir*!

Mr Duppertat uśmiechnął się.

- Ośmielę się zauważyć, mój miły centurionie, że jest mimo wszystko jedna dziedzina, w której inne kraje mogą rzucić wyzwanie Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej. Trudno mi sobie wyobrazić naczelnika ochrony wielkiego domu towarowego w Niemczech, który przyprowadza pijanego gościa do biura swojego szefa!

- Spodziewałem się tego zarzutu - powiedział ze smutkiem Duckworth, którego nazwisko, ośmielamy się zauważyć, oznacza „wart kaczk”. - Możliwe, że w istocie zasłużyłem na tę wymówkę ze strony mojego w najwyższym stopniu godnego szacunku, choć tak jeszcze młodego kierownictwa, ale jak mogłem nie przedstawić temuż kierownictwu człowieka, który nazywa się Aleksander Korbach?

To rzekłszy, monumentalna postać oddaliła się w kierunku starożytnego globusa i pchnięciem swego niezniszczalnego palca wprowadziła go w powolny, skrzypiący ruch obrotowy. Australia, powiedział sobie w milczeniu, jeśli zatrzyma się na Australii, wszystko będzie w porządku z moją pracą, z naszą spółką, z miastem i z całym krajem. Wynik tego sekretnego

zakładu okazał się niejasny. Globus istotnie zatrzymał się w miejscu, w którym powinna się znajdować Australia, ale, niestety, ten niewielki kontynent nie był jeszcze odkryty w momencie, gdy sporządzano szlachetny geograficzny instrument, tak że zamiast ziemi kangurów przed oczami Duckwortha widniał jedynie zaśnieżony morski przestwór.

W tym momencie główny menedżer wyszedł z asany i przyjął właściwszą dla *homo erectus* pozycję.

- Zdziwiałe! - wykrzyknął. - Jesteś pewien, Ben, że ten człowiek nazywa się tak samo jak nasza spółka, a równocześnie nie jest Amerykaninem?

- Sprawdziłem jego dokument - odparł oficer. - Pośród rozmaitych idiotyzmów nie do odczytania napisane tam jest po francusku „Alexander Korbach”.

Art własnoręcznie otworzył drzwi i zaprosił tajemniczego nieznanego do środka. Ów wszedł, konwojowany przez dwóch młodszych urzędników, Jima i Riccarda. Główny menedżer chlubił się tym, że wszystkich ośmiuset dwunastu pracowników sklepu zna po imieniu. Cudzoziemiec był niemłody, ale też i niestary, niewysoki, ale i nie niski, łysy jak kolano, ale równocześnie ujmujący ze swoim dobrze zarysowanym podbródkiem i niezwykle dużymi niebieskimi oczami.

- Ci *gays* - powiedział, wskazując na swoją straż - *not* grzeczni.

Menedżera zatkalo.

- Ci *gays*? Powiedział pan *gays*, *ńr}* - Nagle olśniło go. - Na pewno chciał pan powiedzieć *guys*, *ńr}* Nic dziwnego, że chłopcy byli z panem „*not* grzeczni”, *sir}*

Komedia omyłek, pomyślał Aleksander. Zazwyczaj kończy się to solidnym ciosem w szczękę.

- *Sony* - wymamrotał. - To ten mój jebany *english*.

Młody menedżer poprosił ochroniarzy, by zostawili go z cudzoziemcem sam na sam i zaproponował mu pierwszorzędne burżuazyjne krzesło. Na stole pojawiła się karafka z grubego rżniętego szkła, napełniona ciemnoczerwonym trunkiem, którego widok wystarczył, by ożyły zgasłe już niemal nadzieje na zwrot ku ogólnemu humanizmowi.

- *Question* - zawołał Aleksander. - *Question, question, question*. - W przerażeniu, z lekka jednak zabarwionym komizmem, uświadomił sobie, że pogubił wszystkie angielskie czasowniki. Rzeczowniki jeszcze wyskakiwały, ale czasowniki potoczyły się niczym rtęć i powypadały przez dziury w spodniach.

- Zamieniam się w słuch - odparł z ożywieniem Duppertat i nawet lekko zabębnił palcami po zielonym suknie stołu.

- Aleksander Korbach - powiedział Korbach i tknął się wskazującym palcem w pierś. Następnie obwiodł szerokim gestem zamkniętą dębowymi panelami przestrzeń. - Też Aleksander Korbach. *What? How?*

Art pokiwał głową z jeszcze większym ożywieniem.

- Rozumiem pańskie zdumienie, Mr Korbach. Zobaczyć własne nazwisko na frontonie ogromnego domu handlowego w Nowym Jorku! Kompletna *science fiction*, czyż nie? Naturalnie, gdyby pan był Amerykaninem, nie zaskoczyłoby to pana tak dalece. Tu u nas mieszkają, jak przypuszczam, setki rozmaitych Ralfów Laurenów, tysiące Hechtów, Sachsów, Exxonów i innych nosicieli znanych nazwisk. Ostatecznie jest to kraj otwartych możliwości, a przynajmniej uważa się go za taki. Pan jednak, jak rozumiem, przybył zza oceanu i nasze wielkie nazwiska nic panu nie mówią. A w ogóle to skąd pan jest, Alex?

Z całej tej tyrady Aleksander wyłowił tylko ostatnie zdanie.

- Związek Radziecki - powiedział. - Union Chujów. Moskwa, w pizdu jebana. New York, *fuck* mu w dupę. Teatr. Reżyser. Ulica. Niebo. Moje nazwisko. Halucynacja?

Czasowniki wciąż były haniebnie nieobecne.

- Niech pan posłucha, Alex - cierpliwie rzekł Duppertat. - Będę mówić powoli, tak by mógł pan lepiej zrozumieć. Aleksander Korbach to wielkie nazwisko w naszym kraju. Patronuje ono gigantycznej korporacji finansowo-handlowej, którą założył sto lat temu człowiek noszący to właśnie miano. Ma pan przed sobą na ścianie portret tego pana w jego najlepszych latach. O ile się nie mylę, pozował do portretu dokładnie w tym gabinecie, w którym obecnie prowadzimy tę niezwykłą rozmowę.

Aleksander gwałtownie zwrócił wzrok ku olejnemu obrazowi w poślacanej ramie i ujrzał na nim dżentelmena o chłodnych oczach, z wąsami a la generał Kitchener, z lekkimi jasnymi włosami wieńczącymi okrągłą czaszkę. Bardzo starannie oddana była aksamitna marynarka w kolorze błota, a także szpilka w krawacie i pierścień na jednym z palców, zaskakujące swoją topornością w porównaniu z subtelnymi rysami twarzy.

- Na początku spółka zajmowała się handlem detalicznym - kontynuował Art Duppertat - i nasz dom towarowy był jej okrętem flagowym. Wyobraża pan sobie, przyjacielu, jaki byłem dumny, kiedy mianowano mnie głównym menedżerem tego narodowego dziedzictwa?

- Żyd? - przerwał mu Aleksander, wskazując na portret. - Rosja?

Duppertat uśmiechnął się łagodnie. Wychowany w liberalnej szkole Ligi Bluszczu, tolerancyjnie odnosił się do bezceremonialnych manier nieznanego, przypisując je rosyjskiej ciemnocie.

- O ile mi wiadomo, *sir*, Aleksander Korbach przyjechał tu z Warszawy albo z Berlina i dał początek słynnej amerykańskiej dynastii milionerów. Mam dla pana dobrą nowinę: dynastia ta nadal zarządza korporacją i ma pan szansę być przedstawiony naszemu prezesowi, Stanleyowi Franklinowi Korbachowi. Wyobraża pan sobie?

- *What? Why?* - głębokie poziome linie na czole świadczyły o zmieszaniu imiennika wielkiego Amerykanina. - / *don't!* Co? Dlaczego? Nie wyobrażam sobie!

Życzliwie nastrojony Duppertat przechylił się nad stołem i poklepał swego rozmówcę po dość wilgotnym ramieniu.

- No dobrze, spróbuję powiedzieć to inaczej. Chce pan poznać presesa naszej spółki, samego Stanleya Korbacha?

Aleksander wzruszył ramionami.

- Ale po co? *No, I don't.*

Artowi wydało się, że w oczach tego najwyraźniej nie w pełni normalnego człowieka błysnęło cierpienie.

- Niech pan posłucha, drogi przyjacielu. Chyba nie wszystko pan zrozumiał. Stanley Korbach to jeden z najbogatszych ludzi w tym kraju. Praktycznie nikt nie ma do niego dostępu poza kręgiem najbliższych. Panu jednak, mój drogi przyjacielu, przypadła jedna szansa na milion. Po pierwsze, jest pan imiennikiem naszego założyciela. Po drugie, z jakiegoś powodu miał pan szczęście zawrzeć znajomość ze mną, człowiekiem, którego łączy ze Stanleyem Korbachem więź osobista i który żywi do pana niezrozumiałą sympatię. I wreszcie po trzecie, niedawno w czasie gry w golfa dowiedziałem się, że Stanley ostatnio fascynuje się genealogią. Zrozumiał pan? Daje to panu ogromne możliwości, no, poszukiwania jeszcze większych możliwości. Jasne?

Korbach wstał i wyciągnął ku swemu sympatycznemu gospodarzowi dłoń w pożegnalnym geście.

- Ile ma pan lat, doktorze Dappertutto?

- Dwadzieścia siedem - z powściąganą dumą rzekł Art, jak gdyby młodość była czymś

w rodzaju dziedzicznego daru.

I miękko poprawił gościa: - Jednakże nazywam się Duppertat, a nie Dappertutto.

Gość nieoczekiwanie roześmiał się w skrajnie beztroski sposób.

- *Sony, I didn't want to...* no, do diabła, obrazić pana. Doktor Dappertutto *is... front, you know*, Hoffmann, no, Meyerhold... w ogóle *commedia deWarte*.

Mimo wszystko menedżer był lekko obrażony.

- Art, do pańskiej wiadomości, to po prostu zdrobnienie od Artura. No więc jak, chce pan skorzystać z wyjątkowej okazji?

Poza wszystkim, proponując temu podejrzanemu cudzoziemcowi „wyjątkową okazję”, wzbraniał się przyznać przed samym sobą, że daje ona również i jemu wyjątkową okazję przypomnienia o sobie Stanleyowi Korbachowi, a w rezultacie - kto wie? - może i otrzymania zaproszenia do tego mieszkańca niebios.

- A gdyby tak jeszcze jedną szklaneczkę tego trunku? - spytał Aleksander i zobrazował swoje pragnienie wyrazistą gestykulacją.

Art natychmiast napelnił kieliszki swoim wykwintnym porto. I zastygł, zdumiony. Nieznajomy opróżnił szkło jednym haustem do dna i czknął.

- Wspaniale! - wykrzyknął. - Ten napój przywraca człowieka rzeczywistości! *Boska Komedia* zmienia się w *commedia deWartel*

Art, objąwszy gościa ramieniem, odprowadził go do drzwi. Z zaskoczeniem stwierdził, że pod zamszopodobną tkaniną jego dłoń wyczuwa silne mięśnie akrobaty.

- Gdzie zatrzymał się pan w Nowym Jorku, Alex? Hotel? Przyjaciele? Rodzina?

Nieznajomy najwyraźniej z każdą chwilą coraz lepiej rozumiał po angielsku.

- Na razie zatrzymałem się w swoim własnym ciele - odparł nieoczekiwanie błyskotliwie.

Art wręcz promieniał sympatią.

- W swoim własnym ciele, cha cha! Pan ma fantastyczne poczucie humoru, Mr Korbach!

A tak w ogóle, ile pan ma lat?

- Na razie jak zwykle - uśmiechnął się gość.

Art zachichotał.

- Jeszcze lepsze! Jest pan po prostu generatorem dowcipów, *nr\* A może poszlibyśmy w sobotę na kolację? Co pan na to?

*Thank you, Art, you good boy, mań... je... Ifly California, new Uje, self-realization,*

wszystkiego najlepszego, stary! - z tymi słowy mocno klepnął głównego menedżera w łopatkę i zniknął.

Duppertat wrócił do biurka, włączył komputer, a sam jak gdyby na sekundę się wyłączył. Włączywszy się ponownie, stwierdził, że wpatruje się w widniejący wśród ścian ze szkła i stali wydłużony prostokąt nocnego nieba. Prostokąt ów co chwila przecinały ognie policyjnych helikopterów i samolotów, schodzących do lądowania na lotnisku New Arc. „*commedia delFarte*” - wymamrotał nasz młody, obiecujący menedżer. „Z moim dyplomem Yale powinienem szybciej przełączać się na tego typu sprawy”.

Może się to wydać dziwne, ale szczególny gość, przybyły z jakichś niesymetrycznych, dysharmonijnych i nielogicznych obszarów rzeczywistości, oddziałał na zrównoważony stan świadomości „młodego specjalisty miejskiego” zarazem pobudzająco i przygnębiająco. Niczego mniej nie pragnął ten *yuppie* niż stać się jednym z owych pozbawionych serca, smętnych karierowiczów Dreisera. Pragnął czegoś innego, może wiatru z tamtych sfer, z których przybył dziwaczny imiennik patrona jego sklepu.

Podczas gdy w życiu byłego małżonka czy, jak nazywała go w tych godzinach, „szumowiny”, miały miejsce wszystkie te zdarzenia, Anisja Pupuszczyna-Korbach wałęsała się w nieładzie uczuć po handlowych amfiladach Wielkiego Jabłka. Tego wieczoru wszystko ją po prostu wściekało, nic nie mogła dla siebie dobrać - to ceny ją irytowały, to krój, Amerykance zasrane, myślą o sobie Bóg wie co, a pojęcia nie mają, co to dobry gust. Raz po raz wracała myślą do tego cholernego Saszki: skurwysyn, dobrze o nim pisali w gazetach, piorunem nauczył się antyradzieckich sztuczek! Rodzoną żonę wydymał i z mety zaczął ją oskarżać o donosicielstwo! Geniusz zasrany, a kto by cię chciał, dotąd dawaliśmy sobie radę bez ciebie, to i teraz się obejdzimy, a ty chlej sobie dalej w swoich burżuazyjnych dżunglach!

Nowy Jork tymczasem przełączał się na nocny bieg: ciemniały studnie niebios, na ich dnie zapalały się napisy. Zbliżała się już do budynku przedstawicielstwa ZSRR, kiedy zobaczyła zaparkowaną obok trotuaru długą srebrzystą limuzynę o czterech lustrzanych oknach, a jednym otwartym. Sączyła się przez nie słodka latynoamerykańska melodia. Nie wiadomo dlaczego zatrzymała się i utkwiała wzrok w tym dziwkowozie, na który w żadnym razie nie przystoi patrzeć członkini KSZ. Nie wiadomo dlaczego, wydało się jej, że ta bryka ma jakiś związek z nią. I nie myliła się. Obok limuzyny stało i patrzyło na nią dwóch facetów: typowy młody Amerykanin i drugi, całkowicie nietypowy, wydłużony i wąski, w srebrzystym jak limuzyna garniturze, o liliowoczarnej niczym dawny szkolny atrament skórze. Oto mój los - przemknęła jej przez głowę z lekka budząca dreszcz myśl. Los ten zaczął się następnie rozwijać w konwencji taniego wodewilu.

Poznała atramentowego. To ten Albert - chyba Albert? - Blancmange, czy jak mu tam, który w trzecim dniu pobytu zaczepiał ją na ulicy, proponował majątek za jedną noc. Na jej widok jak gdyby osłabł, przysiadł na tyle limuzyny i wypchnął do przodu typowego młodego człowieka. TMCz przemówił nagle w normalnym rosyjskim języku:

- Witamy pani! Ja tłumacz pana Alberta Chapeaumange, barona Vendredi. My czekać pani już więcej pięć godzin. Baron polecał mi zapraszać pani dla dobrej kolacji. On kochać pani wspaniale i marzy poznać pani imię.

- Cóż, witam! - odparła po partyjnemu. - Mam na imię Anis.

Baron Vendredi musnął jej bynajmniej nie słabą dłoń swoją długopalcą. No i co, bolszewicki patriarchacie, pokażemy ci teraz, że tradycje Aleksandry Kołontaj nie zostały jeszcze zapomniane. Wy, którzy przywykliście traktować kobietę jak podściółkę, którzy każecie szpiegować rodzony męża, oto moje czterdziestoletnie, o, pardon, trzydziestodziewięcioletnie komsomolskie pozdrowienie!

Albert rozgdał się niczym wschodnioindyjski kogut w jednym z narzeczy języka pepeliamento. Anis wylapywała z jego tyrady słówka *atnour*, *jatnais*, *tresor*. TMCz gorliwie odpracowywał obfite honorarium.

- *Monsieur* Chapeaumange, baron Vendredi, obiecał dla *vous* cały skarbiec wyspy Haiti. On przeważnie zawsze przeczuwał to *rendez vous*, w szczególności przez całe życie.

- Dokąd jedziemy? - spytała.

Uosobienie namiętności otwiera usta, ukazując aksamitne wnętrze aż po krtań, widać wibrację strun głosowych, tremolo. Jadą do Plaża i oto już tam są! Przestrzenie Presidential Suite, filipińscy służący, naczynia o srebrnych przykrywkach, baterie szampana po sześćset dolarów sztuka. Nie znała naturalnie tych cen, ale my je znamy i nie zamierzamy utrzymywać czytelnika „w granicach rozsądku”.

- W porządku - zwróciła się do zakochanego barona. - Idziemy do sypialni!

Tam, w drapowanej alkowie, chlusnął nagle na nią szkolny liliowoczarny atrament. Sama upodobniła się do kałamarza, takiego ze stożkowatym wnętrzem, który, gdy się go przewróciło, trzymał całą zawartość w sobie. Dawno temu, kiedy była mała, rysowała takim atramentem na bibule kaukaskich dżigitów o powierzchni Chapeaumange. Teraz dżigit okazał się głównym elementem całego zestawu, długą obsadką ze stalówką nr 86, którą zajadle ją rznął. Kałamarz-wlewałka, dokoła liliowo, i krąży, i krąży mi sufit nad głową. Wolność marzyła się zmęczonemu umysłowi Anisji.

## Bulwar

Urodziłaś się, być może, wtedy,  
Gdy chowałem się przed szkołą w kinie.  
W wyjściu wronie wrzaski usłyszałem,  
Drgnąłem nagle, smyk - dziesięcioletek.

Dzień był smętny, chmury się kłębiły,  
Brzuchem drapiąc o moskiewskie szpice.  
Na skrzyżowaniu stłoczyło się grono,  
Ryczących fanfarami zdobycznych beemek.

Western i wrony, i ciężarne chmury,  
W bulwaru głębi Stalin w mundurze –  
Wtem obraz *zadrzał*, lecz jak, nie pojąłem.  
I zdało mi się, że za Trubną morze

Szumi przeciągle jak ciąg dalszy filmu,  
I na tym świecie już nie jestem sam.

## Część trzecia

## Hrabstwo Jornowierbludo, Maryland

Dopiero pod koniec października udało się Artowi Duppertatowi uzyskać zaproszenie do swojego ubóstwianego prezesa Stanleya Korbacha. Zaproszenie poprzedziło kilka prób przypomnienia o sobie Jego Wszechmocy, okazały się jednak bezowocne. Dodzwonić się do tego faceta jest chyba równie trudno co do Deng Xiaopinga do Pekinu. Telefonistki twierdziły, że boss znajduje się poza zasięgiem, a to w Grecji, a to w Indonezji, Art jednak podejrzewał, że siedzi po prostu we własnej bibliotece, zajęty nowym bzikiem - genealogią.

Pewnego razu Art wziął i zwyczajnie napisał kartkę, w której doniósł szefowi, że ma dla niego wiadomość poufną, która może się okazać korzystna dla dalszego rozrastania się korbachowskiej genealogicznej sekwoi. Długo nie było żadnej odpowiedzi - dranie, na pewno z miejsca wrzucają całą pocztę do jakiejś supernowoczesnej niszczarki! - i nagle telefon. Nie kto inny, tylko sam Stanley Korbach na linii! Swoim zwykłym, dobroduszno-lekceważącym tonem szef zaproponował: Może pan wpadnie, Art? Z Manhattanu mimo wszystko nie tak znów daleko do północnego Marylandu. Chłopcy, dziewczęta, zapraszają mnie do samego serca imperium, na farmę Halifax, w okolicach Alconost, hrabstwo Jornowierbludo!

Skoro zapraszają, no to jedziemy! Art wynajął brykę, nie byle jaką, tylko cadillaca seville. Cena nie stanowiła problemu, jako że wliczał ją w koszty niedawno utworzonej spółki Dr Dappertutto & Co. Art nie byłby pierwszorzędnym przedstawicielem pokolenia *yuppie*, gdyby w poszukiwaniu sposobów na fiskusa nie założył półfikcyjnej spółki na własne nazwisko.

Drzewa zaczynały już żółknąć, łaskawi panowie. I czerwienieć. A w głębi zarośli nabierać odcienia koniaku, jeśli to kogoś interesuje. Po obu stronach krętych dróg hrabstwa Jornowierbludo stała rekordowa kukurydza, wzrostu gwardzisty. Art patrzył na nią w zdumieniu. Całkiem jakoś zapomniał, że zanim to, no, to coś, zmieni się w popcorn, stoi niczym zielone wojsko z podwieszonymi jak granaty przeciwczołgowe kolbami. Białe drewniane domy z tarasami wieńczyły harmonię pagórkowatych przestrzeni. No i jak tu uciec od banału? Ech, rzucić by wszystko i osiedlić się tam, na tym wzgórzu! Uciec się nie da, ale można je minąć i pojechać naprzód. Coraz bliżej rzeczywistości.

Rzeczywistością dla Arta Duppertata było w tym momencie marzenie, a miało ono na imię Sylvie Korbach. Osiemnastoletnia córka jego pryncypała. Przypomniawszy sobie, jak to ubiegłej

wiosny na Florydzie, w Palm Beach, wyskakiwała z wody. Nie wiem, jak wyglądały narodziny Afrodyty, ale mężczyźni na florydzkiej plaży najwyraźniej wyobrażali je sobie właśnie tak: bieg ogromnej fali, piana, ryk, bariera opada i na desce wyskakuje ku człowiekowi wcielenie młodzieńczej kobiecości!

Podobnie jak liczne piękności w jej wieku Sylvie była zakochana w swoim ciecie, wstydziła się tego uczucia i odwracała dziecięce oczy, żeby się nie zarumienić. Art starał się zwrócić jej uwagę na inne ciało, to znaczy na własne, demonstrując jego sprężystość i giętkość. Wtem Sylvie wyrwało się „ach!”. Okazało się, że on też, on też, on też jest wielbicielem przedpotopowej grupy rockowej The Greatful Dead! Co najmniej kwadrans spacerowali po plaży, rozmawiając o genialnym Jerrym Garcii, podśpiewując jego piosenki i podtańcowując. Czy można to zapomnieć? Chyba nie, myślał Art, coraz bliższy kolejnego spotkania. Trudno sobie wyobrazić, że taka dziewczyna może nie wiedzieć jeszcze o mojej decyzji, by pojąć ją za żonę. Myśli o takiej mocy na pewno są przekazywane na odległość.

Na prowadzącym do posiadłości podjeździe zaczęły się cuda. Jechał wolno wzdłuż pola golfowego i nagle ujrzał, że do przejazdu zbliża się wózek golfowy z dwojgiem pasażerów, ze względu na których przedsięwziął tę podróż: potężnym Stanleyem i jego wiotką córką Sylvie. Art opuścił szybę i spytał z silnym niefrancuskim akcentem:

- *Estce que vous avez Le Grey Poupon, monsieur?*

- *Mais oui* - zahuczał boss i wyciągnął ku niemu płaską flaszkę z czymś całkiem, całkiem niezłym.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknęła Sylvie i zarumieniła się, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości co do tego, że myśli o znacznej mocy istotnie są przekazywane na odległość.

Po partii golfa towarzystwo rozsiadło się na tarasie, wiszącym nad zielonymi przestrzeniami anglosaskiego wyobrażenia o harmonii na ziemi. Art cały czas patrzył na przyszłą żonę. Szalenie zmieniła się w ciągu tych paru miesięcy, a w każdym razie starała się jak mogła udowodnić, że jej dziecięca porywczność dawno ustąpiła miejsca pełnemu elegancji opanowaniu. Stosownie do tego zmienił się i strój: dzinsy i *tank top* zastąpiły luźne jesienne tweedy. Jedwabny, równie obfity szal nieustannie motała to wokół szyi, to wokół talii, to wokół tyłeczka, zupełnie jakby zamierzała pokazać jakąś sztuczkę. Niewykluczone zresztą, że to nowy styl ubierania się spowodował zmianę sposobu bycia. Tatuś najwyraźniej reprezentował ten właśnie punkt

widzenia, gdyż, nachyliwszy się, szepnął Artowi do ucha: „Była z wizytą u starszej siostry i proszę, jakie zmiany!”. Art wpił wzrok w podbródek prezesa. Stanley, przekazał mu kolejną myśl o dużej mocy, nie potrzebuję żadnego posagu, zero milionów, potrzebna mi jest tylko twoja Sylvie. Magnat skinął głową.

Stary służący Enoch Aghast, którego wieku, rzecz jasna, nie sposób było ustalić, zaopatrzył wszystkich w long drinki i stanął w kącie tarasu, upodobniwszy się do sumeryjskiego posążka z czasów Hammurabiego. Wyliczmy teraz osoby biorące udział w scenie. Zaczniemy od gości. Młody krewny in spe, a w każdym razie tak podpowiada mu intuicja - Artur Duppertat. Jeszcze jeden niemal krewny, to znaczy po prostu daleki kuzyn Stanleya ze strony matki Norman Blumsdale, okrągły, z lekka ponurawy facecik w średnim wieku, na widok którego czytelnik z miejsca by wykrzyknął: „Oto typowy agent nieruchomości!” - nie doczytawszy do końca zdania, którego główny cel polega na poinformowaniu, iż Norm jest miliarderem, prezesem korporacji Blumsdale Brokerage, w chwili obecnej przejawiającej usilne, skądinąd chyba lekko podejrzane pragnienie połączenia się z Alexander Korbach Inc.

Z kolei widzimy gospodarza posiadłości, pięćdziesięcioletniego olbrzyma Stanleya Korbacha, ze wspaniałą nogą przełożoną przez kolano drugiej, nie mniej monumentalnej, z humorem pocierającego zarosłe rudą gęstwiną ciemną, konsekwentnie, łyk po łyku, zasilającego organizm swoją vodka-tini, czemu znakomicie sprzyjają ruchy grdyki, podpierającej z lekka pelikanopodobne podgardle z niewielkimi plamkami starczej pigmentacji. Obok gospodarza gospodyni, Marjorie Korbach, czterdziestopięcioletnie dziewczę z obfitą grzywą włosów ogólnie blond, choć z liliowymi pasemkami, którą doprowadzała do niewiarygodnej wręcz puszystości, co chwila zanurzając w niej przecudne paluszki, nawiasem mówiąc, umiające genialnie pociągać za spust broni, jako że właścicielka palców jest czempionką stanu Maryland w strzelaniu. W niewielkiej, naturalnie, odległości umiejscowiła się córka gospodarzy, obiekt naszych z Artem westchnień, Sylvie, studentka stanowego Dickinson College, notabene zamierzająca porzucić lokalną idyllę, by przyłączyć się do dzikiej zgrai studentów Columbia University na Manhattanie. Obok przyrodniej siostry w nonszalanckiej pozie, to znaczy oparty o kolumnę, stał syn Marjorie, a pasierb Stanleya, dwudziestotrzyletni Anthony Arrowsmith, z gatunku nowych bajronistów, czyli młodych ludzi, którzy w przyszłym dorosłym życiu nie zamierzają płacić za własne wybory. Wrócił właśnie po dwuletnim samotnym rejsie na macierzysty ląd i raczył podjąć w Harvardzie przerwany kurs wiedzy o Szekspirze. Najbardziej jednak nieprawdopodobnym

elementem dekoracji, w każdym razie dla Arta Duppertata, był szef ochrony dobrze nam już znanego domu handlowego Alexander Korbach, ciemnoskóry przystojniak Ben Duckworth. Warto zauważyć, że Art, znajdujący się w stanie niezwyklego wzburzenia, z początku nie zwrócił na niego uwagi i dopiero przed kolacją, zderzwszy się z nim u fontanny, zawołał: „A ty tu skąd, Ben?”, na co pełen opanowania kawalerzysta odparł z niewymuszoną swobodą, iż jego rodzinę łączą z Korbachami bardzo bliskie, niemal rodzinne więzy.

Przedstawivszy powyższy zespół postaci statycznie, powinniśmy naturalnie wprowadzić pewną dynamikę, i w tym celu musimy uzupełnić scenę o „przypadkiem przebywającą na farmie Halifax siostrzenicę Norma Blumsdale’a, Lenore Yablonsky, znaną w tej sielskiej okolicy jako młoda kobieta „o skomplikowanym życiorysie”.

Rozmowa toczyła się na początku dość ospale. Wyglądało na to, że wszyscy popatrują na Duppertata: co też niby powie? Art wychwycił ten nastrój i bez jakiegokolwiek zmieszania na jego korzyść trzeba powiedzieć, że nigdy nie tracił rezonu w obecności możnych tego świata - lekko uderzył się w czoło utrudzoną przy golfie dłonią.

- Ale, ale, przyjaciele - na ten zwrot Marjorie Korbach i Norman Blumsdale prawie niedostrzegalnie, a jednak dostrzegalnie wymienili spojrzenia - przywiozłem państwu zabawną historię. Proszę sobie wyobrazić, że parę miesięcy temu dowiedziałem się od pewnego niezwyklego klienta, że moje nazwisko ma związek z *commedia dell'arte*, a mianowicie z postacią stworzoną przez Hoffmanna, doktorem Dappertutto.

- Jak to miło! - klasnęła w dłonie Sylvie i lekko się zmieszła, poczuwszy na sobie przelotne, ale mimo wszystko nie ulotne spojrzenia mamusi i wujka Normana.

Tatuś zahuczał sympatycznym rechocikiem:

- Dowiedziałeś się o tym, Art, dopiero dwa miesiące temu?

Art energicznie odparował:

- A pan wiedział o tym, kiedy mnie powoływał na stanowisko dyrektora?

- No, to chyba jasne - powiedział boss i wszyscy wybuchnęli śmiechem. - Kiedy przeglądałem listę kandydatów, przyjacielu - na ten zwrot różowe usteczka Marjorie wydały przedłużony dźwięk „o” - po prostu potknąłem się na pańskim nazwisku. Oho, powiedziałem doktor Dappertutto, a do tego jeszcze Art! Mój człowiek, powiedziałem, i jak wszyscy obecnie widzimy, wybór był trafny!

Klasnął w dłonie na cześć Arta i wszyscy poszli za jego przykładem. W ogólnym aplauzie

wyróżniały się, rzecz jasna, oklaski młodej studentki i gromkie niczym armatni wystrzał specjalisty-ochroniarza.

- Ciekawe, czy w tym domu znajdzie się choć jedna butelka szampana? - spytał Art i pomyślał, że tym razem chyba nieco przesadził z towarzyską swobodą. Nic się jednak nie stało. Gospodarz zwyczajnie zwrócił się do starego służącego:

- Jak myślisz, Enoch, znajdzie się u nas butelka szampana?

- Naturalnie, *sir* - odparł stary Semita i niezwłocznie się oddalił.

Żeby więcej nie wracać do tej kwestii, powiemy od razu, że za mniej więcej dziesięć minut przyniósł pół tuzina Veuve Clicot rocznik 1962.

- Poprosiłem o szampan w nadziei, że wszyscy wypiją za mój komercyjny sukces w związku z tą *commedia deWarte* - wyjaśnił Art.

- Za pański... hmmm... sukces, Art? - zdziwiła się Mrs Korbach, nie angażując ani jednej ze swoich nielicznych zmarszczek.

- Pardon, Margie - poprawił się impertynent. - Miałem na myśli nasz wspólny komercyjny sukces.

- Czy mógłbyś to lepiej wyjaśnić? - zaproponował wyniośle Anthony Arrowsmith. Widział tego zuchwalca po raz pierwszy i zdumiewało go, jak w obecności mamuśki i jej surowego przyjaciela Normana wszystko uchodzi mu na sucho. Każdym włókienkiem swojego neobajronizmu nienawidził tych parweniuszy *yuppies*.

No jasne, wyluzuj się, stary - odparł Art. - Słuchaj i ucz się, póki czas. Otóż po odejściu tego dziwnego gościa, który powiedział mi o doktorze Dappertutto, włączyłem mój system informacyjny i postarałem się możliwie najwięcej dowiedzieć o tych włoskich komediach, sięgających korzeniami jeszcze czasów Dantego, no, o całym tym folklorystycznym biznesie. Wszyscy naturalnie wiedzą, że utwory te rozwinęły się szczególnie w osiemnastym wieku w Wenecji. Żyli tam tacy dwaj Carlo - tak, tak, Sylvie, prawidłowo - Goldoni i Gozzi, i to oni zajęli się sprawą poważnie. Zamówiłem jakiś materiał wizualny i wkrótce miałem przed oczami różne dawne maski. I nagle olśniła mnie genialna myśl. Tak, tak, Sylvie, genialna, innych nie miewam. Powiniennem zresztą powiedzieć, że ta piorunująca idea pojawiła się niczym ciemnofioletowy sztorm pośród dusznego południa. Nie, kochana Margie, państwa pracownik nie pisze wierszy, choć myślę, że mógłby. Na jaki temat, chcieliby państwo wiedzieć? To jasne, na temat prawdziwej miłości, droga *lady*. Miłość, panowie, to dla mnie nie rajskie ogrody. Miłość to

sygnał, że motor serca znowu jest włączony i pracuje na pełnych obrotach, *madame*. Wróćmy do sprawy komercyjnego sukcesu. Mój pomysł był równie prosty jak ta butelka szampana. Postanowiłem wyprodukować serię dużych lalek na motywach tych niesłychanie zabawnych postaci *commedia deWarte*. Pantalone, Pulcinella, Brighella, Kolombina, Arlekin, samochwał i tchórz Capitano, który chełpi się, że opłynął pod żaglami cały świat, upierdliwy pedant Tartaglio... A także stary gaduła, mój przodek, Doc Dappertutto, stworzony przez genialnego Hoffmanna. Jednym słowem, bohaterowie wszystkich tych nieśmiertelnych *fiabe*. Naturalnie wiedzą państwo, że stara, wymęczona lalka Barbie do tej pory jest jednym z najlepiej sprzedających się towarów na świecie. Czemu nie spróbować stworzyć dla niej konkurencji? - pomyślałem. Rzykowna sprawa, chcą państwo zauważyć? Ale przecież nasze szefostwo zachęca nas do ryzyka, czyż nie? Mam rację, Stanley? Czemu by nie spróbować, uprzednio starannie zbadawszy rynek i stosując wszelkie techniki agresywnego marketingu?

- Interesujący pomysł, Art! - skinął głową Stanley. - Masz zielone światło. Możesz próbować.

- Już spróbowałem, szefie - skromnie wyznał Art. - Wykorzystując środki mojej własnej spółki, zamówiłem pierwszą partię tych lalek u pewnych młodych artystów z SoHo, świetnych chłopaków, wolnych od jakiegokolwiek sztampy czy stereotypu. Wystawiliśmy je na sprzedaż w Alexander Korbach, po cenach, które nie przewyższyłyby cen produkcji masowej. Rezultaty przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Wszystkie lalki zostały sprzedane w ciągu trzech godzin! Ludzie kupowali je jak głupi, wrywali sobie z rąk. Było nawet coś w rodzaju bójki, kiedy poinformowaliśmy, że zapasy się kończą. Nawiasem mówiąc, bójka została bardzo sprawnie opanowana przez ochronę. Po pierwszej próbie powtórzyliśmy zamówienie, potem potroiliśmy je, potem powiększyliśmy dziesięciokrotnie. Obecnie mamy ciągle dostawy towaru, a liczba kupujących mimo to stale rośnie. Mogą państwo wierzyć lub nie, ale codziennie przed otwarciem sklepu ustawia się kolejka, żeby zdążyć załapać się na te, jak je nazywają „*jxrtie dartie italiano*”. Według danych z trzech pierwszych tygodni, pobiliśmy wszelkie rekordy sprzedaży. Tak się mają sprawy!

- Widziałam niedawno wielki tytuł w „Village Voice” - odezwała się nieoczekiwanie Lenore Yablonsky. - Było napisane: „Lalkowe szaleństwo w Alexander Korbach. Rekordy doktora Dappertutto!”

Powiedziawszy to, spuściła oczy, jakby zmieszana chwilową uwagą wszystkich obecnych

i jakby nie zauważała dotychczas, że młody Arrowsmith nie może oderwać od niej wzroku. A to kurwiszcze, pomyślała o niej matka młodego Arrowsmitha.

- Ach, jak ja bym chciała zobaczyć te „*artie dartie italiano*” - zawołała Sylvie. - Jutro jadę do Nowego Jorku! - W tym momencie wszyscy spojrzeli na nią i zmieszała się nie mniej, a przeciwnie, bardziej niż doświadczona Lenore, a nawet lekko poczerwieniała. Hm, pomyślał Art, mimo wszystko tutejsze *mademoiselles* są niezwykle nieśmiałe, hm.

- Nie martw się, *babyl* - zawołał. - Przywiozłem ci całą torbę tych lalek!

Jak dobry gracz amerykańskiego futbolu rzucił się z rękami do przodu w kąt tarasu, a nawet przejechał brzuchem po mozaikowej podłodze. W ten sposób dosięgnął przyniesionej uprzednio, ciasno wypchanej torby „Adidas”. Zgrzyt zamka, i zaczęły ukazywać się wymienione wcześniej postaci, każda wielkości przeciętnego kota.

Nawet sceptycy, a było ich na tarasie co najmniej troje, zostali pokonani. Zrobiło się zamieszanie. Przekazywano sobie miękkie lalki z rąk do rąk, całowano zarówno wilgotnymi, jak i suchymi wargami, przytulano do policzków i piersi. Sylvie podrzucała je jak dziecko. Potężny Stanley tańczył z Brighellą i Capitano na atletycznych ramionach. Marjorie całowała lekkomyślną Kolombinę w oba policzki: „Ona jest podobna do mnie, prawda?” Kiedy podniecenie opadło, młody menedżer wygłosił przygotowane wcześniej zdanie:

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć, proszę państwa, że ten zarówno komercyjny, jak i estetyczny sukces zawdzięczam dziwnemu klientowi o chaotycznych manierach. A teraz, kochani, złapcie się za krzesła: ten klient, niedawno przybyły z Rosji emigrant, nazywa się Aleksander Korbach!

Nastąpiła niema scena w duchu twórcy rosyjskiej groteski. Jeden tylko Ben Duckworth uśmiechał się, postukując o podłogę podeszwą wypolerowanego sztybleta i w duchu błogosławił swoje wyjątkowe opanowanie. Dobrze, że to Art zakomunikował im tę nowinę, a nie ja. Głupio by było, gdybym ja to zrobił. Z pewnych względów, o których będzie mowa w przyszłości, byłoby to nawet nietaktowne. Pierwsza otworzyła spoważniałe usta pani domu:

- Proszę mi wybaczyć... hmm... Art, ale mam wrażenie, że odgrywa pan tu z nami sceny ze swojej *commedia deWarte*, tak jakbyśmy byli dla pana kupą błaznów. Czy nie minął się pan z powołaniem, młody człowieku? Może pańskie miejsce jest w teatrze, a nie w przedsiębiorstwie handlowym? - Z każdym słowem coraz mniej przypominała Kolombinę.

- Myli się pani, Marjorie! - wykrzyknął Art. - Wszystko jest jak najbardziej serio!

Zaczął opowiadać o dziwnym człowieku z ogromną łysiną, ale o młodzieńczych rysach twarzy, który, zobaczywszy nocą neon z nazwą ich sklepu, doznał czegoś w rodzaju szoku egzystencjalnego i wtargnął do środka, wystraszywszy cały dział perfumerii.

W tym momencie nieoczekiwanie przerwał mu pan domu: - Jeśli nie masz nic przeciw temu, Art, dalszy ciąg tej historii opowiesz mi w gabinecie. - Przeprosiwszy resztę towarzystwa i zapewniwszy, że będą obaj na kolacji, mocno ujął pod rękę swego geniusza handlu detalicznego i powlókł go w głąb zamku.

Kiedy tak idą krętymi korytarzami w kierunku gabinetu, możemy wykroić parę stronic, by opowiedzieć o posiadłości i dać czytelnikowi wyobrażenie o drugim głównym bohaterze tej sagi, który w istotny sposób ograniczy naszego nerwowego Saszę w jego „nowym słodkim stylu”, tak stosownym na nowojorskich śmietnikach, pardon, ale zdaje się, że gubimy początek zdania, wskutek czego staje się ono równie toporne, jak ozdóbki na stropach zamku Halifax, gdzie idą obecnie w kierunku gabinetu młody Duppertat i jego starzejący się boss.

Za wszystkich swoich licznych rezydencji, rozsianych po Ameryce i całym świecie, Stanley Korbach najbardziej lubił to marylandzkie gniazdo, być może dlatego, że właśnie tu przyszedł na boży świat. Pagórkowata ziemia, porośnięta błękitnawym świerkiem, została kupiona akurat (zdaje się, że na miejscu jest ten ulubiony zwrot rodzimej prozy), akurat sto lat temu przez założyciela kupieckiej dynastii Aleksandra Korbacha z okazji zawarcia związku małżeńskiego z Cecily Doherty, której niezydowskim pochodzeniem tak się pysznił w tamtych naiwnych latach. Były i inne oprócz pochodzenia powody do dumy, a mianowicie solidny posag Cecily, wypłacony przez stary irlandzki klan, wzbogacony na kolejowych kontraktach. Właśnie ten posag, a także, ma się rozumieć, nowe związki rodzinne, sprzyjały burzliwemu rozwojowi już i tak nieźle prosperującego domu handlowego Aleksander Korbach, handel detaliczny, co doprowadziło do budowy gigantycznego jak na owe czasy domu towarowego w okolicy Broadwayu. Wykorzystując tanią siłę roboczą swoich niedawnych towarzyszy-imigrantów, to znaczy demonstrując drapieżny marksowski kapitalizm w najczystszej postaci, Korbach zbudował wkrótce filię w Baltimore, a także ten „angielski zamek”, w którym prezentujemy obecnie czytelnikom jego w linii prostej prawnuka. Stosując cudzysłów, nie podajemy bynajmniej w wątpliwość angielskiego rodowodu zamku. Kiedy fakty te miały miejsce, Halifax był niemal w całości przewieziony do Maryland z położonego za oceanem hrabstwa, gdzie młodzi wypatrzyli go w czasie miodowego miesiąca. Dla nuworyszowskiego rozmachu siedemnastowieczne drewno i kamienie okazały się jednak niewystarczające, stąd nieco toporna imitacja. W rezultacie powstała dość niedorzeczna składanka o tudorowskiej fasadzie i mauretańskich łukach, zdobna w szesnastowieczne gobeliny i wiszący nad tymi arcydziełami myśliwski kicz w postaci ogromnych jelenich głów, z szerokimi francuskimi oknami

i pseudoskandynawskimi wieżyczkami, w których czuło się już przedsmak rodzącej się w końcu dziewiętnastego wieku komercji.

Każde kolejne pokolenie Korbachów wносиło swój wkład w tę eklektyczną mieszankę. Dziadek Stanleya, Robert, zbudował na nieodległym pagórku pawilon dla gości w stylu *art nouveau*, ze stylizowanymi orłami w kątach niezliczonych werand, co musi przypomnieć czytelnikowi stylistykę powieści *Wielki Gatsby*. Kolejny styl, *art deco*, w połączeniu z typowymi dla konstruktywizmu elementami wywodzącymi się z Rosji i Niemiec, architekci ojca Stanleya, Davida, wykorzystali w celu stworzenia unikatowej oranżerii połączonej z garażem, gdzie po dziś dzień stoi kolekcja bugatti, hispanosuiż, rolls royce'ów i daimlerów, a także dwa ukochane otwarte cadillaki rocznik pięćdziesiąt sześć, czarny i biały, w których osiemdziesięcioletni patriarcha, w zależności od nastroju to w jednym, to w drugim, lubi jeździć po okolicy i udając zwykłego farmera, flirtować z dziewczynami. Wszyscy go tu znają, rzecz jasna, chętnie jednak biorą udział w tej tradycyjnej zabawie hrabstwa Jornowierbludo.

W latach czterdziestych tenże Dave Korbach założył tu stadninę koni, gdzie na przestrzeni kilku pokoleń ogierów i klaczy wyhodowano wartościową rasę koni wyścigowych, wycenianych na miliony. W latach sześćdziesiątych, kiedy David odszedł od spraw finansowych, koncentrując się głównie na egzotycznych formach rozpusty - był jednym z pionierów wytyczających popularną obecnie drózkę do Bangkoku - na czele spółki, jak również całego pięknie rozrosłego klanu stanął nosiciel nowych idei handlu, jego syn Stanley. Naturalnie i on także wniósł swój wkład w rozrastanie się farmy Halifax. Jego druga żona Małka Rosenthal, w której żydowsko-włoskiej urodzie zdawała się kipieć cała wspaniałość obszaru Morza Śródziemnego, była ogromną wielbicielką sztuki współczesnej. Architektoniczna znakomitość, Mr Pay, zrealizował tu na jej zaproszenie swoje kolejne arcydzieło - teleskopiczną galerię sztuki, która szybko zapełniła się owocami natchnienia twórców szkoły chicagoskiej. Sami natchnieni również często przyjeżdżali w okolice farmy Halifax na plenery i nigdy nie przepuścili możliwości, by zebrać się w zamku przy barowym kontuarze z mahoniem - o, piękne lata sześćdziesiąte!

Obecnie, na początku lat osiemdziesiątych, farma dalej funkcjonowała, najczęściej pod nieobecność gospodarzy. Znamy sztuki katalogowali i wysyłali na wystawy dzieła sztuki, hodowcy koni pielęgowali swoje Houyhnhnmy, służba rozmnażała się metodą zapylenia krzyżowego i gapiała w telewizory w zamieszkanym fragmencie mrocznego zamku.

Czasem jednak, najczęściej jesienią albo na święto Pesach, Korbachowie organizowali zjazd

i okna zamku rozbłyskiwały jak w dawnych czasach. Dwa pierwsze pokolenia znajdowały się już, niestety, poza granicami świata finansowych możliwości. Trzecie pokolenie istniało w osobie starego króla Davida, czwarte reprezentował miłościwie panujący książę Stanley, jego żony (w kolejności) i siostry z mężami. Wraz z piątym pokoleniem, to znaczy z dziećmi Korbachów od siedemnastki do trzydziestki, wchodził do zamku wrzask i zgiełk współczesnej młodej Ameryki, dokładnie taki, jaki można usłyszeć, kiedy przestąpi się w sobotę wieczorem próg baru w Georgetown. Pojawiało się już i szóste, zwiastujące swoim piskiem kolejnych następnych, dopóki tylko będzie istnieć i mnożyć się ostoją wolnych stanów Ameryki, jeszcze niedawno, zaledwie dwieście lat temu, tak słabo zaludnionego kontynentu.

Przyjeżdżając do Halifax, Stanley otwierał czasem drzwi do pokoju, w którym się urodził, i stawał w progu. Łóżko, przywiezione wraz z kamieniami z Anglii, w ogóle nie zmieniło się od tamtego czasu. Tu oto spomiędzy rozsuniętych nóg matki wydostała się poprzez rozciągniętą pochwę na świat jeszcze jedna grudka ludzkiego ciała, nazwana jego imieniem. Poród jest w pewnym sensie imitacją pierwotnej przemiany ideału w materię, wzdymania się tego, co obecnie nosi nazwę DNA, to znaczy formuły grzechu pierwotnego, pokusy szczęścia, wlokącej za sobą całą skurczoną z bólu biologię. Formuła najpierw systematycznie się komplikuje, rodzi tajemnicę bytu, potem zaś zaczyna się upraszczać, czyli zamierać, i w ostatecznym rozrachunku ulega rozszyfrowaniu - w proch, w najprostsze składniki, za którymi stoi już tajemnica niebytu.

Niemal zawsze w progu tego pokoju wspominał sierpień 1945 roku. Kołyszący się kadłub lotniskowca „Yorktown”. Ogromne słońce zapadające w Ocean Spokojny u wybrzeży Japonii. Na początku tego roku stuknęła mu osiemnastka. Ku przerażeniu matki dobrowolnie wstąpił do marines. Przeszedł półroczne przygotowanie w Norfolk w Wirginii. Teraz płynęli na zachód, żeby osiągnąć Dalekiego Wschodu i dobić tak jeszcze niedawno potężny kraj. W gęstniejącym mroku gigantyczne błyskawice na mgnienia pozbawiały koloru rozżarzony piec zachodu. Chłopcy pogadywali półgłosem, że przy lądowaniu na mur beton zginie co piąty, a może i co trzeci.

W pewnej chwili pochwycił na sobie pełen czułości i smutku wzrok sierżanta, zazwyczaj ordynarnego, nieustannie drącego mordę typa. Czyżby i tego mieli zabić, takiego wysokiego, dorodnego? - zdawało się mówić jego spojrzenie. W tym momencie okręt zaczął wykonywać

jakiś manewr, gibnęło silniej niż dotąd. Stanleyem targnął egzystencjalny lęk. Zdawał sobie sprawę, że nie jest on związany z czekającą ich walką. Poczuł po prostu chwiejność bytu, tego momentu między dwiema czarnymi tajemnicami. Dziwne, ale lęk przed bitwą w rezultacie ustąpił. Istnienie zawierało w sobie coś, wobec czego szturm na Japonię wydawał się rzeczą zwykłą, a nawet dodającą otuchy. Wylądowali już po 6 sierpnia na sparaliżowanej atomowymi wybuchami ziemi. Nikt z ich pododdziału nie poległ. Jedyne Roger Duckworth rozciągnął sobie więzadła, starając się dosięgnąć brzegu pierwszy.

Lotniskowiec „Yorktown” stoi na wiecznej cumie w cichej zatoce niedaleko Charlestonu w Południowej Karolinie. Kadłub już się nie kołysze. Na pasie startowo-ładowiskowym turyści łapią swoje mgnienie kodakami i minoltami. Fotografia potwierdza rzeczywistość. A może z niej drwi? Stanley Franklin Korbach, pięćdziesięcioletni prezes spółki Alexander Korbach Inc., stanowi jeden z symboli stabilności wielkiego kraju. Nikt nie podejrzewa u niego żadnych egzystencjalnych nerwic. Nikt najprawdopodobniej nie podejrzewa, że ma w nosie całe to prezesostwo. Wszystkie sprawy firmy, włącznie z rozszerzeniem jej *assets* i ograniczeniem *liabilities*, inwestycje w Krzemową Dolinę, w telewizję, w handel detaliczny, w kuwejcką naftę, rozmowy z grupą finansową Blumsdale’a, mające na celu fuzję dwóch gigantów w imię jakiegoś tam dalszego niewyobrażalnego postępu, wszystko to wydaje mu się popiskiwaniami małpki w porównaniu z tą chwilą na progu pokoju, w którym niegdyś jęczała matka, uwalniając się od brzemienia.

Przeszli obok tego pokoju i po krętych schodach wspięli się na wieżę o wielkich oknach, w której mieścił się gabinet Stanleya. Art bystrym okiem rejestrował detale wnętrza, żeby bądź włączyć je we własną codzienność, bądź kategorycznie odrzucić. Popiersie Arystotelesa, o, to tak! Czapla z brązu, o okrągłych oczach głupiutkiej panienki, co to, to nie: sentymentalna bzdura. Gospodarz zdjął z półki parę książek i wydobył z za nich karafkę z porto. Sądząc po kolorze, bije na głowę moje, nie bez goryczy pomyślał młody handlowiec.

- Może pan wierzyć lub nie, Stanley, ale ten rosyjski Aleksander Korbach w ciągu kwadransa wydudlił mi całą butelkę Churchilla - powiedział.

- Ależ wierzę - odparł Stanley i pomyślał: można i w pięć minut. - No dobrze, opowiedz mi tę historię ze szczegółami - zachęcił. Tylne części jego ciała utonęły w fotelu, kolana zaś uniosły się na wysokość podbródka.

Art zaczął opowiadać to, co czytelnik zna już z poprzedniego rozdziału. Nie będziemy się

powtarzać, jako że opisywaliśmy tę scenę z punktu widzenia naszego wysoce pozytywnego młodego człowieka i nie spodziewamy się po nim kłamstwa. Technika narracji, którą często się posługujemy, w ogóle wyklucza wszelką próbę oszustwa. Dodajmy: lub z miejsca ją obnaża. Prosimy, by czytelnik nie zwracał uwagi na literackie rzemiosło, niemniej nie mielibyśmy nic przeciw temu, by zakonotował powyższe.

- No więc pomyślałem sobie, że może pan uznać to za ważne - zakończył opowieść Art. - Mimo wszystko to imiennik założyciela.

- Ważne?! - wykrzyknął Stanley. - A co może być ważniejsze niż to?!

Fuzja z Blumsdale Brokerage chyba mimo wszystko jest ważniejsza, pomyślał Art.

- Fuzja z BB to gównno w porównaniu z tym! - Stanley wydawał się naprawdę wzburzony. Gwałtownie wstał z ulubionego siedziska. Ale ma stary sprężynę w zadku, pomyślał zachwycony Art. Stanley już chodził tam i z powrotem po obszernym krągłym gabinecie. - Właśnie zaczęliśmy rozpracowywać rosyjską linię rodu Korbachów, nie ma tam nic prócz białych plam, i nagle takie znalezisko! Ten Aleksander Korbach może okazać się synem Jakowa Korbacha! Rosjanie mają tak zwane *otczestwo*, patronimik. Na podstawie pełnego brzmienia nazwiska można ustalić imię ojca. Powiedz mi, Art, nie przemknęło w waszej rozmowie słówko „Jakowlewicz”?

Art, niestety, nie pamiętał. Chciał zatrzymać tego faceta, nawet zakwaterować go w Plaża na swój koszt, ale tamten machnął nagle na wszystko ręką i poszedł. Dziwny typ ten pański Aleksander, syn Jakowa. Osobowość jakby twórcza, z tych, co budzą lęk. O co mi chodzi? No, to znaczy, że człowiek uświadamia sobie, że tamten wszystko robi inaczej niż wszyscy, i zaczyna pytać samego siebie: a dlaczego ja robię wszystko tak jak wszyscy? Ten typ lęku.

Stanley zatarł ręce manierą dziadka. No nic, znajdziemy go! Z latami pojawiła się u niego ta żydowska maniera - zacieranie dłoni w momencie wzburzenia lub koncentracji.

- Pracuje teraz u nas zespół genealogiczny, trzech specjalistów o najwyższych kwalifikacjach. Jeden biblioteczny szczur, drugi z zacięciem detektywa, a trzeci to po prostu szpieg angielski. Z miejsca zaczną szperać.

Art był rad, że boss właściwie ocenił jego nowiny. Spytał jednak:

- A po co panu, Stanley, te wszystkie poszukiwania?

Magnat zająknął się, potarł kark, w końcu rozłożył ręce.

- Wybacz mi, Art, ale nie chcę teraz mówić o tym z tobą, w twoim wieku i w twoim

znakomitym nastroju. Nie chcę cię urazić, ale nie mogę odpowiedzieć teraz na twoje pytanie. - Znów zaczął chodzić tam i z powrotem. - Chcę cię za to zapytać bardzo a propos twojego wieku. - Przez jakiś czas krążył w milczeniu po gabinecie, klepał Arystotelesa po czaszce, głaskał czapkę, jak gdyby zamierzał coś do niej powiedzieć, nagle zastygł: - Art! - I znów zaczął krążyć, aż wreszcie usiadł na poręczy fotela gościa, to znaczy zawisł nad Artem całym swoim korpusem członka znakomitej wioślarskiej ósemki Uniwersytetu Columbia lat pięćdziesiątych. - To nie tyle pytanie, co prośba, mój drogi Dappertutto, a raczej pół prośba, pół pytanie, to znaczy w liczniku pytanie, a w mianowniku prośba.

Kiedy on się zdążył tak nawalić, pomyślał młody handlowiec.

- Posłuchaj, makaroniarzu, a gdybyś się tak ożenił z moją córką? Zapytasz z którą, no więc odpowiadam: z najmłodszą, bo trzy starsze, zdaje się, są już zameżne. Właśnie z tą Sylvie, którą dzisiaj tak usilnie kokietowałeś.

- Zaraz, zaraz - przywołał go do porządku Art. - Niech pan przestanie żartować z biednego młodego człowieka.

- Jestem jak najdalszy od żartów - odparł Stanley. - Wiesz, że ona się zapisała na Uniwersytet Columbia, i wiesz równie dobrze jak ja, co reprezentuje sobą Columbia. To nieustająca orgia. Wszyscy w Columbia myślą tylko o tym, jak by zdobyć tysiączek czy setkę baksów, naćpać się i pieprzyć po strychach i piwnicach. Subtelna Sylvie będzie łatwą zdobyczą dla tej bandy. Powinna wiersze czytać i grać na swojej wiolonczeli, a tam się zdemoralizuje i zachoruje na jakąś nową brzydką chorobę. Zrozumiałeś? Zakochaj się i żeń! Będiesz szczęśliwy, daruj mi to pochlipywanie, i obdarzysz mnie wnukami!

Przy tych słowach szef firmy, nie utrzymawszy równowagi, zjechał z poręczy i mocno przydusił przyszłego zięcia. Art Duppertat osuszył rękawem załzawione oczy przyszłego teścia. Decydował się los niemal dorosłej dziewczyny. Czy się zgadza? No a czyż można odepchnąć cierpiącego ojca? Czy można cisnąć dziecko na pastwę seksualnych maniaków Uniwersytetu Columbia?

### Stanley Korbach w kręgu rodzinnym i w samotności

Do kolacji nakryto na tarasie pawilonu gościnnego, pod orłami, obok kamiennej paszczy, rzygającej strumieniem kryształowej wody w dekadencją czasę. Zebrani wokół stołu, a siedziało ich co najmniej tuzin, raczej nie zwrócili uwagi, kiedy przyłączył się do nich pan domu i jego młody protegowany. Ogólna uwaga koncentrowała się w tym momencie na Lenore Yablonsky. Piękność ta należała do osób, które potrafią obmyśloną w najmniejszych szczegółach kolację zamienić w nieustający skandal. Zwykła koszula w kratę nie mogła nikogo zmylić. Po pierwsze, była niebezpiecznie niedopięta na piersi, a po drugie, jej prostotę przekreślały wyszukane okulary, tkwiące na pięknie wyrzeźbionym nosku w charakterze pasikonika niezgody.

Opowiadano o tej Lennie Yablonsky, że w roku 1968 prowadziła na barykady Berkeley czerwony batalion studencki „Czapaj”. Może to kłamstwo, a może nie. Potem jakby przyszła do rozumu, chciała nawet parę razy założyć rodzinę, ale z czasów tej rewolucji zostało w niej coś, co budziło lęk, i narzeczeni odpadali, widząc, jak żółć mąci czasem jej wspaniałe gałki oczne. Gra słów jest tu nieczytelna, jako że Lenore nie wiedziała, iż jej nazwisko pochodzi od *apple*, a gałki oczne, jak dobrze czytelnikowi wiadomo, nazywają się po angielsku jakoś inaczej. Dodajmy pewien interesujący detal: wiek rąk nie odpowiadał wiekowi jej młodej szyi, tak jakby naprawdę pociągała na barykadach za spust karabinu maszynowego, a w domu montowała po cichu bomby w piwnicy.

W chwili gdy zbliżyliśmy się do stołu, po prostu żeby się dowiedzieć, co bogacze jedzą na kolację, Lenore z jadowitym uśmieszkiem opowiadała niesmaczną historię. Okazuje się, że jeden z jej dawnych przyjaciół, któremu dokładnie tak, jak i naszemu Anthony’emu, nie dawała spokoju sława morskich podróżników, też popłynął w samotny rejs dookoła świata na dziesięciometrowym jachcie. Jednakże, w odróżnieniu od naszego dzielnego Anthony’ego, nie rzucił się od razu w poprzek Atlantyku, tylko popłynął wzdłuż amerykańskich wybrzeży na południe i po kilku przedłużających się i niezwykle przyjemnych przystankach osiągnął port Nassau. Stał tam około miesiąca, pałac *dope*, i miejscowe, niezupełnie pełnoletnie panienki dobrze poznały sprężystość jego trapu.

Nasz Anthony, jak wszystkim wiadomo, pierwszy dłuższy postój miał w Maroku, natomiast ów przyjaciel, opuściwszy wreszcie Wyspy Bahama, popłynął wzdłuż Antyli, zatrzymując się na

tydzień-dwa to w Arubie, to na Saint Martin, wałęsając się po tych modnych kurortach i nigdzie nie zapominając odwiedzić kasyna.

W końcu dotarł na Gwadelupę i był całkowicie porażony urodą miejscowych Kreolek. Przeżył tu niemal pół roku i chodził incognito na plażę naturystów, zawsze na rauszu lub wręcz wstawiony. Raz na dwa tygodnie łączył się drogą radiową z pewnym naszym wspólnym przyjacielem, członkiem jachtklubu, i powiadał go, że przechodzi przez strefę sztormów wokół przylądka Horn, no i tak dalej. W czasie tych samotnych rejsów - nasz Anthony wie o tym lepiej ode mnie - można nałgać ile wlezie, nie narażając nienagannej reputacji. Prawda, Anthony? No, co się tak złościysz? Jeśli to nieprawda, jeśli istnieje jakiś system kontroli, to po prostu wyjaśnij to nam, ciemniakom, po co się złościć?

Dla wszystkich zaczynało to już być uciążliwe, gdy wtem Anthony gwałtownie wstał, odsunął krzesło i zbiegł po schodach w ciemność parku. Lenore z westchnieniem rozłożyła ręce - trudno się porozumieć, doprawdy.

Stanley tymczasem, zjadłszy rybę z sałatą, niemal wytrzeźwiał. Z zadowoleniem popatrywał na córkę i młodego Duppertata, którzy, jak się zdaje, już się dogadali, jak uniknąć pokus Uniwersytetu Columbia. Nie bez satysfakcji unikał również wieloznacznych spojrzeń żony. Z wiekiem zaczęła przejawiać jakieś dziwne zgorzenie wszystkim, co się dzieje wokół. Wydaje się jej, że wszyscy nas wykorzystują, że nikt nie liczy się z naszą wielkością. A jaki z niej był towar jeszcze całkiem niedawno! Na odległość dziesięciu kroków już człowiek trafiał w jej pole i nie był w stanie się wyplątać, póki jej nie przeleciał w jakimś dogodnym miejscu. Albo w niedogodnym. Raczej częściej w niedogodnym, o tak! W lesie na przykład, na szpilkach. Na rafie koralowej, hm, hm, a jakże. Żeby wrócić do swojego prawdziwego ja, powinna wciąż nastawiać się na nowy penis. Gdybym był z nią szczery, poradziłbym jej, żeby się ciągle nastawiała na nowy penis. Ale, broń Boże, nie na penis Normana Blumsdale'a, mimo wszystko. Mimo wszystko ta myśl budzi lekkie mdłości. Naturalnie może się przerzucać z nim spojrzeniami, ale mimo wszystko lepiej, żeby nastawiła się na jakiś inny penis, aby zaiskrzyć jak poprzednio. Stanley przypomniał sobie, że jutro zaczynają się rozmowy z tym nudziarzem Normem o połączeniu AK&BB, i naprawdę z lekka go zemdlilo.

Z ciemności wyszedł szybkim krokiem Anthony i usiadł obok Lenore. Zaczęli o czymś po cichu rozmawiać. Przez cały dzień Lenore ani razu nie spojrzała na Stanleya. Baby cholerne! Nie ma zamiaru wdawać się w te upierdliwe gierki. Daje wyłącznie to, co może dać. To przecież

niemało! Niemało! Nie ma potrzeby pojawiać się bez uprzedzenia w rodzinnym gronie, nawet jeśli się jest daleką krewną, zwracać na siebie uwagę niesmacznymi sarkastycznymi opowieściami, uwodzić chłopaka z tuzin lat młodszego. Znowu zręcznie uniknął wymiany spojrzeń z Margie, wstał i zniknął w parku.

Pachniało wystawym dębowo-wiązowym jesiennym powietrzem. Ze szczytu pagórka, z ławeczki, skleconej jeszcze przez dziadka Roberta, widział oświetlony taras i zebraną wokół stołu młodzież. Art grał na gitarze i udawał swoje lalki. Nawiasem mówiąc, Marjorie ma rację, on tu nami dzisiaj zagrał jak w sztuce. No, przynajmniej się tę sztukę zapamięta. Wszystko, co nie jest dramaturgią, ginie w chaosie. A nawet i dramaturgia, zachwiawszy się nieco, ginie w chaosie. „Fale czasu” nic do tego nie mają. Poza nami nie istnieje żaden czas. Wytrząsamy się ze swojej skóry i wszelki czas się kończy. I przeszłość, i teraźniejszość, i przyszłość. W ogóle ten ruch do przodu - to czysta fikcja. Ruch właściwie odbywa się wstecz. Przyszłe mgnienie momentalnie staje się przeszłością. Wszystkie mgnienia bez wyjątku: i szmer listowia poruszanego atlantycką bryzą, i spadająca woda, i nieruchomość kamiennego orła, i wygrzebywanie poziomki z pucharka z lodami, i piosenka Duppertata - wszystko z przyszłości zmienia się w przeszłość. Mówi się, że jesteśmy zakładnikami wieczności, w niewoli czasu. Nie, jesteśmy w niewoli czegoś innego.

Zszedł z pagórka i ruszył aleją, pod zwisającymi w mroku miękkimi liśćmi kasztanów. Minął podświetlonego silną lampą Koziorożca. Cześć, tatuśku! Wszyscy chyba dostrzegają podobieństwo tej rzeźby do patriarchy Dawida, ale nikt nie mówi o tym głośno. Chowam się w ciemności. Znow pojawia się w paśmie światła, na wprost domku, w którym od stu korbachowskich lat mieszka Enoch Aghast. Okna są otwarte. Młodsze pokolenie rodziny wielkiego Semity ogląda telewizję. Na ekranie wypuczona wszelkimi możliwymi ustami, brwiami i nosami twarz właścicielki ludzkich myśli, prowadzącej talk show. Dochodzi jej głos: „Chcę spytać was, ofiary gwałtów: jeśli gwałciciel na prośbę swojej ofiary użyje prezerwatywy, to czy możemy wówczas jego działanie nazwać gwałtem?” Wybuch emocji licznie zgromadzonego audytorium. Znowu odchodzę w mrok. Wszystko idzie naprzód, to znaczy w przeszłość. Kroki, jak zawsze, wiodą w przeszłość. Ciemność również uchodzi w przeszłość, nie może ciemnieć na wieki.

W końcu tej alei jest altanka, coś w rodzaju ermitażu w szlacheckim dworze. Na motywach

rosyjskiego klasyka Ajwana Terdzeniewa. Obok niej dawno temu, przed okresem Trzeciego Zniknięcia, zakopywali z Enochem butelki taniego alkoholu. Okropny czas, trzeba przyznać. Margie ze swoimi zausznikami myszkowała po całym ogrodzie, rozsyłała szpiegów po okolicznych piwiarniach... Zwyczajnie prześladowanie, a w rodzinnej mitologii uważa się, że „ona go uratowała”.

Aż mdli na wspomnienie wszystkich tych lunchów, na które zapraszała różne psychiatryczne znakomitości pod pozorem, że to nowi sąsiedzi, agenci nieruchomości czy dalsi krewni z prowincji. Wystarczyło mu jedno zdanie, żeby się domyślić, kto siedzi przy stole i cichcem świdruje go oczkiem profesjonalisty, odpracowuje honorarium.

Żeby ułatwić im postawienie diagnozy: „kryzys wieku średniego”, zaczynał cytować: „W życia wędrówce, na połowie czasu, straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi, w głębi ciemnego znalazłem się lasu” - i chichotał, widząc, że trafił w sedno.

Ogłosiła „nakaz trzeźwości”. Mnie ci żal czy siebie? - obrzydliwie awanturował się jak ostatni idiota. Boisz się, że mnie wyrzucą, że stracisz tytuł? A na cholere nam tytuł, głupia? Siedzę w fotelu prezesa tylko dlatego, że beze mnie nie podejmą żadnej decyzji. Chodzące komputery nie są w stanie powiedzieć ani tak, ani nie.

Wywalala na zbity pysk ludzi, których posyłałem po flaszkę. Wszyscy byli zastraszeni, istny totalitaryzm. Jeden tylko Wieczny Żyd zakopywał dla mnie półgalonowe butle z kalifornijską siwuchą Galio. Niezła rzecz, trzeba przyznać. Pociąga człowiek te swoje gargantuiczne łyki i zdaje mu się, że łapie tę pierdoloną nieistniejącą chwilę za uzdę.

Idę o zakład, że dotąd została tu gdzieś butelczyna, może dwie. Całe te trzy lata po Trzecim Zniknięciu pamiętał, że zostały tu jeszcze butelki, teraz jednak kokietował sam siebie, udając, że szuka na ślepo. W końcu wyrwał z fundamentu parę cegieł, wsadził rękę w jamę. Za chwilę jakiś potwór odgryzie mi dłoń. Ręka spokojnie przespacerowała się po szyjkach butelek. Wyciągnął jedną, zerwał ten nikczemny lak, wykręcił plastikowy korek. Wciągnął aromat wystającego przez trzy lata trunku. No no, niezłe!

No więc spójrzmy na siebie z dystansu. Stanley Franklin Korbach, praprawnik warszawskiego kuśnierza, siedzi wciąż jeszcze muskularnym zadem na jednym z najwyższych tronów Ameryki. Siedzi, ale się wierci. Po jakiego czorta siedzi, skoro mu tak niewygodnie? Nie opędzajmy się może od tego pytania, tym bardziej że w głowie jakoś dziwnie pojaśniało.

No cóż, siedzi, jak powiedziano wyżej, po prostu dlatego, że bez niego cały ten bajzel -

i spółka, i rodzina - szybko się rozleci. Siedzi tu jak Gargantua albo jego syn Pantagruel, łaskawy władca świrów i flejtuchów. Całe życie czuł w sobie coś gargantuicznego, szanowni czytelnicy oraz członkowie ich rodzin. Zawsze drzemała w nim, a nierzadko się budziła dziwna skłonność do gigantyzmu. Gardło czuło potrzebę przelknięcia ogromnych porcji. Ni z tego, ni z owego pojawiał się homerycki apetyt. Choćby dziś na przykład, zjadłem na przekąskę dwufuntową rybę. Umiarkowanie w seksie zastępował czasami numer-gigant, rznąłem za jednym zamachem pięć marylandzkich Niemek, jedną po drugiej. Kiedy indziej zdawało mi się, że wyrastam wyżej niż moje dęby, dźwigam się, oglądam z góry pole golfowe i gospodarstwo, ptaki wiankiem krążą mi wokół czaszki. Na szczęście zmniejszyłem się do umiarkowanie rabelaisowskich rozmiarów, otwierałem normalną butelkę. Pańskie zdrowie, wspaniały Gargantuo!

Trzy lata temu te pół galona kosztowało trzy dolary dziewiętnaście centów. Cyfry te trwale usadowiły się w głowie, jako że przychodziło pożyczać pieniądze od służby. Teraz, sądząc po stanie nowojorskiej giełdy, trzeba wywalić za butlę co najmniej piątkę. Ale mimo wszystko niezbyt to wygórowana cena za próbę rozsunięcia dwóch napierających na siebie ścian - przeszłości i przyszłości. Stary kompan od butelki, rabbi Derszkowitz, twierdzi, że woda nie jest ratunkiem przed ciemnością. *Tfila* (wiara) - oto najlepszy antydepresant, tak uważa, ale sam ciągnie nie gorzej niż Gargantua. Nigdy się z nim nie spierałem i nie zamierzam się spierać. Zawsze wierzyłem i nadal wierzę we wszystkich bogów, no a już z całą pewnością w Jedyne Boga. Wierzę w płonący krzew i w górę Synaj, i w prorocze zacinięcie się Mojżesza. Wierzę również w Syna Bożego Jezusa Chrystusa, zesłanego, by podzielił mękę z nami, barankami Wszechświata. Wierzę i w późnych proroków Pana naszego, i w niebieskiego Mahometa. Wierzę i mimo wszystko nadal się dręcę, bo moja wiara jest zakotwiczona w czasie, a czas nie istnieje.

Może dlatego tak się wierzę, że należę do Ameryki i tu, w Ameryce, przeżywam swój czas? Lud Gargantui i Pantagruela uważał się za wieczny i w każdej dekompozycji widział nową kompozycję. Narody homogeniczne do tej pory zachowują, być może, to poczucie cielesnej jedności, wszyscy ci Francuzi, Japończycy czy Polacy. Ameryka czy Rosja, przechodnie podwórka międzynarodowej hołoty, albo nie przyswoiły sobie jeszcze idei niekończącej się reprodukcji, albo też bezpowrotnie ją utraciły.

Uważam się za Żyda, a nie za bardzo rozumiem, co to właściwie jest Żyd. Jako Amerykanin wciąż odczuwam pokusę kosmopolityzmu. Mieszkaniec planety Ziemia, nie potrafię wyobrazić sobie siebie jako jej maleńkiej cząstki. Dlatego właśnie usiłuję się uchwycić pepowiny swoich

narodzin i doholować się do planety. Obląkany, powie pani, *madame*, i będzie pani bliska prawdy. Diagnoza: chroniczny alkoholizm. Dystonia wegetatywna. Syndrom psychasteniczny ze stanami maniakalno-depresyjnymi. Kryzys połowy życia.

O połowie, proszę państwa, nie ma co już gadać. Skóra nieubłaganie obwisa i pokrywa się pigmentacją. Spoza maski uśmiechniętego Jankesa co chwilę wygląda tragiczny Żyd. Kryzys ostatniej jednej trzeciej w najlepszym razie. Goethe po późnym wybuchu libido oddał ludzkie ciało Mefistofelesowi. Mefistofeles kupuje duszę, mając na uwadze tylko jedno - odłączenie jej od ciała. Dusza nie jest mu do niczego potrzebna, chce władać ludzkim ciałem, na tym najwyraźniej polega sens grzechu pierworodnego.

Inny filozof zresztą powie, że ciało - to naczynie, które mimo wszystko zamieszkuje dusza, a zatem i ono jest święte. Czy istnieją dusze ze skazą, czy też jest ona z założenia nieskazitelna? A skrzywienie osobowości, czy jego istota polega tylko na starciu ciała z diabłem? Czy nieskazitelność nie uchyla samego pojęcia osobowości? Bezosobowa nieskazitelność wydaje nam się stąd, z ziemskiego padolu, nudna. A może po prostu cofamy się przed niedoścignionym? Przypomnijmy sobie strofy *Nieba signore* Dantego Alighieri, to nieustające lśnienie radości, nudę w porównaniu z mękami *Piekła* czy surowością *Czyśćca*. Modulacje blasku na twarzy Beatrycze mówią wyłącznie o Miłości, ale świat miłości niebiańskiej jest dla człowieka znacznie bardziej niedosiężny niż męki *Piekła*, gdyż nie ma związku z ciałem. W trzeciej, najbardziej niewiarygodnej księdze Dante nieustannie powtarza: nie pojąć, nie dosięgnąć. Beatrycze usiłuje się zniżyć do poziomu jego pojmowania:

Uroda moja, która promieniała  
Na stopniach schodów przed ołtarzem bóstwa,  
Jak sam widziałeś, od krańca do krańca,

Bez miary wszelkiej byłaby tak silna,  
Że człek śmiertelny blaskiem jej dotknięty,  
Runąłby zaraz, jak wśród burzy drzewa.

Usiadłszy na podłodze, wsparty plecami o kolumnę altanki, Korbach pociągnął kolejny łyk krzepkiego napitku i ogarnięty błogością mamrotał zapamiętane wersy *Boskiej Komedii*:

Lśniące jak złoto, gdy promień zapalon,  
Schody ujrzałem, co w górę prowadzą  
Tak wysoko, że wzrok mój był porażon.

I zastęp ogni ujrzałem schodzący...

Cały park wydawał mu się częścią Wszechświata, niekoniecznie nawet okrytą warstwą powietrza, i sam był częścią Wszechświata, niekoniecznie nawet okrytą starzejącą się skórą, a może nawet odrobinę z boku w stosunku do „środka transportu”.

Obok przysiadł z cygarem jego odwiecznie stary majordomus Enoch Aghast. Doszeptywał lub dopowiadał w myśli to, czego, jak mu się wydawało, „mały” zapomniał albo opuścił przez roztargnienie.

Jest pomysł, żeby mimo wszystko zakończyć ten rozdział młodzieżowym akcentem. Ten, kto nawarzył piwa, powinien je chyba wypić. Dopiero o czwartej nad ranem kompletnie wyczerpany sukcesem Art Duppertat dowlókl się do przydzielonego mu pokoju z napoleońskim łóżem pod egipskim baldachimem. Zanim się jednak zwałił na to imponujące posłanie, nie zapomniał mimo wszystko gruntownie wyczyścić zębów dostępną akurat od niedawna w sprzedaży elektryczną szczoteczką.

W czasie czyszczenia miał miejsce nieprzewidziany epizod. Z ust wyszedł mu nagle wielki, połyskujący perłowo balon. Co najmniej pięć minut stał Art przed lustrem ze sterczącym z ust balonem. Zdawał sobie sprawę, że w tej groteskowej formie pojawił się przed nim symbol jego sukcesu. Bał się poruszyć, żeby go nie spłoszyć. W końcu domyślił się i wyłączył światło. W ciemności balon wessał się do środka, naładowując go radością istnienia.

Długo leżał w tej radości. Wszystkie członki podrygiwały. Sylvie, Sylvie, przecież to istny anioł! Jakoś nawet trudno sobie wyobrazić, że można posiadać kogoś tak zachwycającego, wkładać w nią własny członek. Przez otwarte okno wchodziło lekko już podmrożone październikowe wygwieżdżone powietrze. Nagle skrzypnęły drzwi i w smudze księżyca pojawiło się nagie ramię. Rozległ się umyślnie piskliwy głosik: „Doktorze Dappertutto, przyszła do pana z wizytą Kolombina, główka ją boli, niech pan coś poradzi, pożałuje, miły *signore!*”

To jednak nie anioł, pomyślał, wzbierając pożądaniem. Niewyobrażalne stało się w pełni realne. I dopiero w ciasnym kręgu najrozmaitszych obnażeń Art zrozumiał, że wziął go w niewolę nie anioł, a doświadczony bojowiec seksu, Lenore Yablonsky.

#### Premiera

Życie jest może Rzymem, który  
Bez dowolności i bez żadnych strat  
Nagle zakłada ci koturny I mówi:  
Oto masz swój teatr.

Noc. Na uliczkę oświetloną  
Wyległ szykowny wielki świat.  
Jak sroki damy już trajkoczą,  
A bielomora pali snob.

Zaraz się zacznie. Grzmot prologu  
Wstrząśnie wczorajsze „Wtorczermeta”.  
Kwadryga wpadnie oraz fura  
W modern zerwawszy się z wędzidła.

Zaczynasz. Dudni już owacja,  
Upaja niczym kokaina.  
Twój talent, co za bestia szczwana  
Przytłacza widzów jak lawina.

Tyś szalała - z falą śmiechu  
Już dziarsko nikt nieś sobie w dali  
Lecz cię dosięga łapa losu  
Na pojedynek cię wyzwali.

Pajac i grand w żebraczej bandzie  
Życie - rajskiego jabłka ćwierci.  
Zgon odgrywałeś wciąż na scenie  
Serio nie myśląc o swej śmierci.

Mój ty roztropny kawalerze  
Sławo z Anglików Promenady  
Ktoś głównie zmienił ci w rapierze  
Rymując jad i pieśń Najady.

Taka małeńka pomyłeczka,

W mig ci wyłącza cały tlen  
I jak fregata zatopiona  
W głębię nurkujesz, *capitaine*.

W chwili, godziny ugasania  
Niestety, gaśnie i kalambur  
Zagaszą lampy na hacjendzie  
Wystygnie na kominku ruszt.

Paryż zagaśnie, zlot baletów  
Oraz piwniczka w Kopenhadze,  
Wierszopisanie z Kuboletów  
Gdzie tak cudownie dałeś w szyję.

Opada gajów propaganda  
I blednie grań Wysokich Tatr.  
Aż w końcu wolno również znika  
Płonący w nocy światłem teatr.

## **Część czwarta**

Ktoś tam w trzeciej części nam zasnął, a tu, w czwartej, ktoś dopiero się budzi. Proszę nie myśleć, że akcja rozgrywa się następnego dnia, w tym samym miejscu: „chronotop” się zmienił, łaskawi państwo.

Obudziwszy się, nasz główny bohater Aleksander Jakowlewicz Korbach spróbował zapisać to, co ułożyło mu się w głowie we śnie, na sponiewieranym kawałku koktajlowego menu dyskoteki, gdzie przesiadywał ostatniej nocy. Zmiał papier, cisnął go w otwarte drzwi łazienki i sam powłókł się jego śladem, trzymając się za pusty brzuch. Łazienka, szczerze mówiąc, nie zasługiwała na to szumne miano, nie było w niej śladu wanny, zwisał jedynie pomarszczony cycek gumowego prysznicu. Było tam za to okno o rozmiarach lufcika, przyjmijmy, że lufcik bez okna, a w nim za zakurzoną szybą widniał skrawek wiecznie błękitnego kalifornijskiego nieba, kawałeczek anteny i siedząca na nim biała mewa z ogonem przypominającym kostkę domina, szóstkę, *to be precise*. Nie, to nie jest wydumane porównanie, pomyślał pod adresem „łaskawych państwa”: czarny ogon demonstrował po trzy białe kółeczka z obu stron. Być może w locie ogon się rozczapierza i porównanie przepada, ale na razie widzimy: szóstka jak nic!

W czasie tych obserwacji miał miejsce proces odlewania się. Potem Aleksander mocno, choć krótko wyczyścił zęby i przepłukał usta wyczerpane pocałunkami. Golimy się zwykle po śniadaniu, ale w dzinsy wskakujemy przed śniadaniem. Teraz - po śniadanie. Przechodząc przez pokój, popatrzył na gołe plecy wczorajszej łóżkowej towarzyszki. Jak ona się nazywa, Maxine, Lavonne? Zgarnął ją wczoraj w Le Jaws, nocnym klubie na obrzeżach Venice. Nazwano go tak na cześć filmu o rekinie, ale z francuskim rodzajnikiem, czyli z aluzją do *french kiss*. Nic prostszego, niż zgarnąć laskę w tych Szczękach, bo one same zgarniają tam „kozły”, mówiąc po moskiewsku. Bar dla samotnych, nikt się specjalnie nie wdzięczy. Do diabła, więcej nie idę do Szczęk, miesiąc będę żyć bez bab i wody.

Prześląpawszy po wypaczonych podłogach hotelu Cadillac obok wykrzywionych drzwi, zza których dochodziło popierdywanie staruszków, wyszedł na wolność. O świecie boży w wariancie kalifornijskim, jakże jesteś piękny! Jak chłodzi i odświeża twoja bryza rozpaloną osobowość „korony stworzenia”! Filozofia pozytywistyczna odzywa się czasem, całkiem jakby odbijało się człowiekowi masłem arachidowym, ale morze łśni, ciemnobłękitne, oto prawdziwe

dzieło sztuki! A do tego palmy potrząsają na wietrze swym upierzeniem. Mamy lipiec osiemdziesiątego trzeciego. Breżniew już osiem miesięcy temu kopnął w kalendarz. W Moskwie króluje Androp. Ameryka szykuje się do przetrzymania radzieckiej „ostatecznej i rozstrzygającej bitwy”. Mewa ulatuje z anteny. To, co wyglądało na ogon, okazuje się skrzydłami. To tyle, jeśli chodzi o porównanie do domina. Przed bohaterem rozpościera się ogromna plaża. Połowa jest zaasfaltowana i podzielona liniami na pola parkingowe. Na razie pusto.

W środku pustki stała kolejka donikąd. Sami swoi, *bums*, włóczęgi i bezdomni. Są czarni, są czerwonawi, są brunatni, są i niebieskawi, zielonawi, żółci. *How you doing?* - spytał Kastorzus, wysuwając z kłębka szmat swój ptasi niemiecki nos. Normalnie - odparł bohater. Z piasków wypelzały z kartonowych apartamentów spóźnione indywidua, ciągnęły do kolejki. W końcu pojawiło się śniadanie, to znaczy furgon towarzystwa dobroczynnego Katolicy Bracia z jedzeniem dla włóczęgów. Utknął gościnnym zadkiem na początku kolejki. Brat Charles z zastygłym na twarzy uśmiechem końskiej życzliwości zaczął wyjmować z zadka i wręczać każdemu *bum* brązowy pojemnik z hamburgerem, pieczonymi kartoflami i wielkim papierowym kubkiem gorącej kawy. Za jakie grzechy pokutuje ten poranny dobroczyńca?

- Dla dwóch - powiedział Aleksander Korbach i pokazał na palcach: *for two*.

Brat Charles na moment wstrzymał wyciągniętą dłoń.

- Dla dwóch?

Sasza Korbach energicznie skinął głową.

- Przyjaciel leży. Bardzo chory. Bardzo *unhappy*.

Spazm współczucia przemknął po długiej twarzy, ręka wyciągnęła dwa pojemniki:

- *Enjoy your breakfast, jedzcie na zdrowie*.

Pojadając po drodze hamburger i popijając kawą, Aleksander stanął koło automatu z „Los Angeles Times”. Nie znalazł w kieszeni ćwiartki, żeby posiąść tę kupę tekstu. W tym momencie jakiś dzentelmen w panamie wrzucił swoją ćwiartkę i wyciągnął gazetę. Roztropny robotnik (tak nierzadko nazywał teraz siebie Korbach) zdążył wsunąć ołówek i zablokować zamykające się drzwiczki. W ten sposób bezpłatnie otrzymał nowy numer głównego organu tej wielkiej krainy - Kalifornii. Tak demoralizuje filantropia. O bogowie Pacyfiku, przecież na pierwszej kolumnie widać coś dramatycznego: czy to śpiew Fortuny, czy krążenie Eryonii? Ogromne zdjęcie nowego sekretarza generalnego Jurija Władimirowicza, bezsilnie zwisającego na rękach dwóch członków ochrony. Tekst informował, że niewykluczone, iż pogłoski o poważnych problemach

zdrowotnych Mr Andropova odpowiadają rzeczywistości.

Korbach poczuł się nieswojo. Przecież i Breżniew tak skończył! Co tam się z nimi dzieje, z tymi najwyższymi kapłanami? A może samo stanowisko beznadziejnie się zestarzało, wyschło energetycznie, wsiąka w jakąś czarną dziurę? Co się stanie z tym krajem, z moją ojczyzną, skoro jej władcy tak skandalicznie padają jeden po drugim na ręce krzepkich, lecz tępych ochroniarzy?

Cisnął ciężką gazetę do śmieci i przyspieszył kroku. Dziś nie wolno się spóźnić, zmianę ma Gabriel Llanosa. Spóźni się człowiek głupie pięć minut i od razu zaczyna śmierdzieć marksistowska dupa. Skok na ganek Cadillaca. Mamy i gimnastykę poranną. Jeden taki skok i dziesięć lat do tyłu! Znowu, jak zwykle, mam trzydzieści trzy czy tam trzydzieści cztery. Wbiegam cały w blasku drugiej młodości, ani słowa o trzeciej! Ej, Maxine, *get up, baby!* Śniadanie na stole! Szybko, szybko, golimy młode szczęki, zagwizdźmy sobie przy tym cokolwiek, powiedzmy, opus 21 tego tam Amadeusza, albo przepowiedzmy szeptem coś z *dolce stil nuovo*. *Dolce stil...* I cukierki też *dolce*. *Bmbmi*, zdaje się. A po rosyjsku mamy *śladostnyj stil*, ale *śladkije konfiety*. W żadnym innym języku, nawet we włoskim, nie ma takiego bogactwa odcieni znaczeniowych, co w rosyjskim... Dzięki sufiksom. Mimo woli przepelnia człowieka duma z WPPS im. Turgieniewa, jak inni pisarze ironicznie nazywają nasz „wielki, potężny, prawdomówny, swobodny”. Coś strasznie się dzisiaj rozintelektualizowałeś z samego rana, pożeraczu katolickich hamburgerów. Zwilżył jeszcze bardziej odmłodniałe policzki wodą kolońską Sauvage. Zobaczywszy ją nocą w łazience, damulka gwizdnęła: „Ho ho! Co ja widzę, używasz Sauvage!” Wyrżał z „łazienki”. Maxine żuła już katolicki hamburger. Obraz nie był zbyt inspirujący: buzia wypchana, usteczka w nieładzie, wronie piórka sterczą jak chcą, jednym słowem apoteoza taszizmu.

- Nie patrz na mnie! - A przecież wczoraj również ten głosik tragarza wydawał się wruszającym dźwiękiem. - I nie jestem żadna jebana Maxine! Mam swoje własne imię!

- To znaczy... - podsunął delikatnie.

- Denice! - warknęła. Skinął głową ze zrozumieniem. Denis Dawydow. Istotnie, ta dziewczyna ma coś wspólnego z bohaterem partyzanckiej wojny 1812 roku. Wybuchnęła śmiechem: - Jebaka cholerny! *Fucking Loveski!* Nie pamięta, z kim śpi! Masz piwo, Loveski?

Wstrząsnęła nim odraza do samego siebie. Nazywa mnie Ławski! To znaczy, że znowu plotłem jakieś bzdury o systemie Stanisławskiego!

W porannym korku na San Diego Freeway słuchał radia. Żadnych informacji o stanie zdrowia Andropowa w wiadomościach nie było. W nocy strzelanina w *downtown*: troje zabitych, siedmioro rannych, z czego dwoje w stanie krytycznym, pięcioro zaś w stabilnym. Na sto pierwszym kilometrze Santa Monica Freeway przewrócił się trailer z materiałami toksycznymi. Odbywa się ewakuacja pobliskiego miasteczka. W północnej dzielnicy Hollywood fryzjer pchnął nożem *boyfrienda* własnej siostry. Pożar w magazynach na Sunset Boulevard. Podejrzewa się podpalenie z zamiarem szantażu. Normalne wiadomości tego krzepkiego Archangielska. Wpadłszy niedawno na pomysł, by nazywać Los Angeles Archangielskiem, starał się nie przepuszczać tej możliwości nawet w myślach.

Wiadomości szły nadal. W Bejrucie szyita-fanatyk wjechał ciężarówką z ładunkiem wybuchowym do koszar piechoty morskiej. Badane są rozmiary katastrofy, już teraz jednak jest jasne, że zginęło kilkudziesięciu naszych chłopców. Artystka Trący Claude Marmour wykupiła za półtora tysiąca dolarów w restauracji Andrews historycznego homara imieniem Jonathan i wypuściła go na wolność w jego rodzinnym stanie Maine. Wniosek narzuca się sam, pomyślał tępo Aleksander. Zdarzają się jeszcze na świecie porywy współczucia, nie wszystko jeszcze stracone.

Stojąc bez ruchu na *freeway*, trzeba było co chwila naciskać pedał gazu, żeby silnik nie zgasł. Po przyjeździe w te strony kupił za osiemset dolarów zmurszałego fiata 124, który oprócz rdzy praktycznie niczym się nie różnił od jego moskiewskich żiguli. Dobry włoski muł, nie ma co mówić, znakomicie przekazuje poranne wiadomości. W każdym razie znakomicie go rozumiem.

W ciągu jedenastu miesięcy pobytu w Ameryce angielski Saszy podlegał interesującym przemianom. Najpierw, jak pamiętamy, pogubił wszystkie czasowniki. Potem czasowniki wróciły. Zaczął budować zdania, które, dziwna rzecz, były niemal zrozumiałe dla otoczenia. Informacje przychodzące płynęły na początku mętym potokiem, wkrótce jednak zaczęły się w nim pojawiać pojedyncze zrozumiałe słowa, na podstawie których można się było czasem domyślić sensu zdania. Potem słowa zaczęły się zaczepiać o siebie nawzajem, i w pewnym momencie świat nabrał sensownych konturów. Teraz mógł się kontaktować z ludźmi co najmniej na poziomie półkretyna. W barze First Bottom w każdym razie wszyscy Ławskiego rozumieli.

Czasem zbierało się nawet wokół niego podpite towarzystwo, żeby się pośmiać z etiud na temat „przeistoczenia”.

Naturalnie, w głowie jak dawniej płynie WPPS, ale w te płynne pola coraz częściej wdzierają się partyzanckie oddziały angielskiego i język mój, grzeszny i obłudny, coraz częściej jakoś tam po swojemu sięga nieba, próbuje nawet, ruski bęcwał, oddzielić d od t na końcu wyrazów, podczas gdy wokół tętni niedorzeczny belkot tutejszych nacji - wszystkich tych Chicanos, Caribiens, Asiatics, Cockaigns, których czasami nazywa się tu bez ceremonii *white trash*, czyli „białe śmieci”.

Była za piętnaście ósma, kiedy fiacikowi udało się nareszcie zjechać z *freeway* na Wilshire Boulevard. Do skrzyżowania na Westwood Village zostało jeszcze parę świateł. Górne piętra budynków ze stali i szkła lśniły utopijnie w promieniach słońca, być może wciąż jeszcze mając nadzieję, że chaos tego grodu uwieńczy futurystyczna harmonia. Wszędzie poniżej wypierał ją jednak bezładny merkantylizm.

Teraz skręcał w lewo obok ogromnej kafeterii Ships, to znaczy „Okręty”, z jakiegoś powodu w liczbie mnogiej. W jadłodajni tej można było non stop przez okrągłą dobę zapełniać ładownie sałatką z krewetek, żeberkami w miodzie, stekami z kostką w kształcie litery T, niedrogimi filedami rybnymi, owocowymi galaretkami, ciasteczkami czekoladowymi. Pomimo wczesnej pory i bejruckiej rzeźni, nastrój w „Okrętach” był najwyraźniej taki jak zwykle, to znaczy lekko podwyższony. Usta wymieniały się kawałami, na palcach połyskiwał jubilerski optymizm.

Następnie przejechał obok małego hoteliku Clermont, który, ze swymi dwoma jasnopiennymi drzewkami w donicach i pasiastym *canopy*, z jakiegoś powodu zawsze wywoływał w nim rodzaju *deja vu* przyjaznej kompanii, która zebrała się tu przy barze, żeby przeczekać nocną burzę.

Jeszcze dwa, trzy zakręty i oto jest przed swoim miejscem pracy, solidnym betonowym Colonial Parking, sześć poziomów nad ziemią i dwa pod, łączna pojemność 1080 samochodów. W szatni czekał jego zmiennik Gabriel Julio Llanosa, przedstawiciel „płonącego kontynentu”, który wprawdzie sam nigdy nie płonął, ale nierzadko tlił się marksistowską złością. Kiedyś w obcisłym czarnym kostiumie z brzękadelkami na ramionach oraz srebrnym haftem na piersi i między łopatkami, w sombrero wielkości UFO Gabriel podpierał wapienne mury miasta Morella i piastował swoją uszkodzoną w europejskim futbolu nogę na pochyłości ulubionego instrumentu, tuby, za pomocą którego zapewniał rytm swojemu zespołowi ulicznych muzyków.

Muzycy ci w wielkiej liczbie stoją tam pod ścianami, gotowi za odpowiednią opłatą wykonać madrygał, tango czy marsz pogrzebowy. Wszyscy, rzecz jasna, byli marksistami i utyskiwali na brak zapotrzebowania na talenty w „świecie mamony”. Gabriel wściekał się bardziej niż inni, aczkolwiek za pomocą swojej tuby zapewniał byt rodzinie: dwie stare matki, żona Claretta, dwie jej siostry - Uncja i Tercja i siedmioro, czy ile ich tam, dzieci.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby którejs nocy Claretta nie została wiedźmą i nie wyleciała przez okno, by się przyłączyć do gromady przelatujących nad płaskowyżem innych wiedźm - tak plus minus uczą tam u nich, w latynomarksistowskich kręgach wyznawców realizmu magicznego. Śpij z Uncją! - śpiewała Gabrielowi co noc w kominie. Albo z Tercją! Usłuchał wezwania, zaczął spać z obiema. Chciał jak najlepiej, a wyszła z tego obraza rewolucyjnej moralności. Związek zawodowy wygnał go z miasta za naśladowanie imperialistów-*gringos*. Co było robić? Chyłkiem, a czasem skokami człowiek ten, o potężnej na skutek gry na tubie klatce piersiowej i wyhodowanych z pomocą ideologii kosmatych brwiach, przekroczył północną granicę i oto parkuje teraz samochody *gringos*, żeby mogły spłonąć w wojnie wyzwolenczej!

Kiedy Korbach wszedł, Llanosa jadł swój, czy swoje, *enckillado*. Do tego z papierowego talerzyka czerpał sos chili z wołowiną.

- *Buenos dias, musico infemale, czy jak ci tam* - powiedział Sasza.

- *Fucking russo* - przywitał go w odpowiedzi Gabriel. - Znowu się spóźniłeś, *burro calvo*!

Z tymi słowy cisnął przez okno sutereny talerz z resztkami chili. Sekundę wcześniej trafiłby prosto w przechodzące obok jasnopopielate spodnie.

- Masz chuja zamiast głowy, *amigo*! - spytał go Sasza. - Sos przez okno?

Llanosa wzruszył podobnymi do wędzonych szynek ramionami:

- Albo to sos? Parszywa imitacja. - Oczy zasnuła mu nagle marzycielska mgła. - Chcesz dobrze zjeść, Saszka, będziemy pojechali *juntamente* do Morelli, ty i ja. Będziemy jedli i spali, jedli i spali. Ty będziesz spał z Tercją, a ja z Uncją. A potem na odwrót.

Był o pół głowy niższy od niewysokiego Korbacha i o całe ramię szerszy. „Imitacja pożywienia” mimo wszystko wprawiła go w dobry nastrój, bo czymże inaczej wyjaśnić fakt, że podzielił się z ruskim pożyteczną informacją. Jakaś dama zostawiła obok ulicznego parkomatu forda cutlassa z włączonym silnikiem. Tylko patrzeć, jak przyleci po pomoc. I zatrąbił na rzekomej tubie kilka taktów z *Marszu torreadora*.

Zostawszy w pojedynkę, Aleksander powiesił paryską marynarkę i włożył srebrzystą

kurteczkę z blachą z napisem „Alex”. Procedura ta za każdym razem wprawiała go w rozdrażnienie. W kurteczce i czapce-bejsbolówce upodabniał się do odrażającego młodzieniaszka. Taki jednak panował tu styl: *attendant* powinien być uosobieniem młodości, czterdziestoczteroletnie ludzkie odpady mało kogo interesowały. A więc w kurteczce, dziarsko, w młodzieńczym stylu, biegiem do dyżurki!

Na szczęście siedział tam dzisiaj swój człowiek, kasjer zmianowy Aram Ter-Ajwazjan, z armeńskich dysydentów. Obok jego wysokiego stołka umieścił się jednak w fotelu boss, Tesfalidet Hasfalidat, to znaczy Ted. Oderwawszy się od wczorajszego utargu, rzucił dwa bystre spojrzenia: jedno na podbiegającego Aleksa, drugie na zegarek. Piękny hebanowy komputer z drobnymi siwymi kędziorkami na powierzchni czaszki w milczeniu odnotował siedem i pół minuty spóźnienia.

Położony w centrum dzielnicy rozrywki parking należał do ormiańsko-etiopskiej mafii, co wносиło w jego funkcjonowanie pewną nieformalność, właściwą dawnym cywilizacjom położonym na peryferiach Półksiężyca Płodności. Nikt wam tu nie będzie wytykać siedmiominutowego spóźnienia, niemniej zostanie ono skrzętnie zapamiętane na wypadek przyszłych konfliktów.

O tej wczesnej weekendowej godzinie głównymi klientami byli bywalcy usytuowanego w bezpośrednim sąsiedztwie dużego kościoła baptystów, różniący się od nocnej publiki równie drastycznie, jak, powiedzmy, załoga turystycznego liniowca różni się od bandy piratów. Zaledwie przyszła kolej Saszy Korbacha na linii „stop”, gdy podjechał srebrzysty dwudziestoletni staruszek lincoln. W ogromnym tym rydwanie siedziała idealna para małżeńska, dwoje starych *anglos*: mąż z wąską szczeliną ust na gotyckiej fizjonomii i czerwoniutki kwiatusek między dwiema poduszczkami na igły, odwieczna małżonka, wcielenie purytańskiej dobroci i prostoduszności.

Alex popatrzył na numery rejestracyjne i pomyślał po angielsku: *Jesus, they are front New Hampshire!* Za kierownicą, rzecz jasna, siedziała babcia. Pomógł jej się wydostać z niezbyt wysiedzianych skórzanych głębin.

- Dzięki, mój chłopcze - powiedziała anielskim głosem - ale lepiej pomóż Philippowi. On tego bardziej potrzebuje. Z Philippem rzecz okazała się bardziej skomplikowana: trzeba było wytaszczyć z bagażnika składany fotel na kółkach, rozłożyć go, zainstalować dwie ważące chyba z pud baterie, ustawić je w pozycji „start” i dopiero potem zacząć wyciągać staruszkę.

- Długo pan musiał prowadzić, *sir* - rzekł do niego Aleksander.

- To Emmie prowadziła - odparł tamten surowo. - Ja już nie prowadzę, ale moja pani robi to znakomicie.

- Brawo! - wykrzyknął Sasza. - Z New Hampshire do Kalifornii! *It is a long way, indeed!* - Dawno zrozumiał, że wystarczy dodać *indeed*, i już człowiek sprawia wrażenie prawdziwego amerykańskiego *anglo*.

- A pan skąd, *my boy*? - zainteresowała się najmilsza Emmie. Jak to oni w pół słowa rozpoznają, że człowiek jest skądś tam, a nie po prostu miejscowym *boyem*.

- Z Rosji.

- O, to jeszcze dalej niż z New Hampshire - naiwnie zdziwiła się Emmie.

Potoczył Philippa po pochyłości parkingu ku ulicy, ażeby umożliwić jego technice oswojenie się z ostrymi zakrętami. Staruszka żwawo stukwała obok obcasikami. Była nadzwyczaj wdzięczna za tak uprzejmą pomoc. Wiele osób mówiło im, że w Kalifornii ludzie są bardzo życzliwi, i przekonali się, że to prawda. Trzeba przyznać, że przez całą drogę spotykało ich wiele uprzejmości ze strony ludzi. W tym kraju da się jeszcze podróżować, wbrew temu, co mówi telewizja. Przyjechali tu, żeby odprowadzić starszego brata Philippa, Matthew. Tak, tak, Matthew już wkrótce nas opuści. Dokąd się wybiera? Do lepszego świata, mój chłopcze. W tej chwili spieszą na nabożeństwo w Saint Martin Cathedral, by skierować do Najwyższego kilka ważnych próśb.

W dyżurce Ted oderwał się na sekundę od kalkulatora i odprowadził procesję pełnym aprobaty spojrzeniem. Siedmiominutowe spóźnienie najwyraźniej było unieważnione. Phillip z wielką uwagą patrzył ze swego fotela na personel parkingu, który szalenie się różnił od mieszkańców Nowej Anglii. Mokki, Sossi, Chozdazad, Trifili, Waruch, Pawsikachi, Waradat i Eikaki Eikakis, przemieszczając się obok z pękami samochodowych kluczy, demonstrowali dynamikę współczesnej ludzkości.

- Interesujący ludzie, nieprawdaż? - zawołał staruszek z niezwykłą jak na jego osłabione ciało mocą.

- Bardzo! Bardzo! - jego towarzyszką już przejmowała fotel od „przemilego chłopca”. - Widzisz, Phillipie, że warto było tu przyjechać!

Rozstawszy się z czarującą parą małżonków na rogu ulicy, Aleksander poszedł popatrzeć, co się dzieje z cutlassem. Silnik potężnego samochodu wciąż pracował. Od czasu do czasu

korpusem wstrząsał chorobliwy dreszcz. Bak był pełen. Temperatura wody zbliżała się do krytycznej. Prawie natychmiast spełniła się przepowiednia Gabriela Llanosy. Pod palmami biegła w panice ku samochodowi urodziwa kobieta w kwiecistej sukience. Była w jakiś sposób podobna do naszej byłej żony Anisji, tyle że skórę miała ciemną z lekko liliowym odcieniem.

- *Gosh*, co za nieszczęście! - zawołała dama. - On mi tego nie daruje, kretynce! O Boże, Boże, koniec z naszą miłością! Przepadła na wieki!

Nawet i te okrzyki mogłyby przypomnieć mu ukochaną niegdyś kobietę, która zdradziła go z aparatem państwowym, gdyby nie odezwał się w nim profesjonalista. Każdy pracownik parkingu był na wypadek podobnego zdarzenia zaopatrzony w stalową płytkę, która, wsunięta w szczelinę między szybą a drzwiczkami, otwierała zamek bez najmniejszego wysiłku.

- Jeśli nie ma pani nic przeciw temu - zwrócił się ku damie i na jej oczach wykonał nieskomplikowany zabieg. - *Voild!* Nie warto było tak się denerwować, *ma'am!*

W nagrodę otrzymał spontanicznego całusa w policzek. W ślad za tą czynnością ust poszła nerwowa akcja palców i z torebki z szelestem wyłonił się banknot. Następnie ręka z pięćdziesiątką wsunęła się w ciasną kieszeń jego dżinsów. Ani słowa, młody człowieku! Zasłużył pan! Uratował pan mój ogólnie rzecz biorąc optymistyczny pogląd na współczesne społeczeństwo! Głębiej, głębiej, stop! No cóż, dziękuję, wszystkiego najlepszego i do zobaczenia w przyszłości! Został z pięćdziesiątką w kieszeni i z wizytówką w dłoni: „Lucia Cornovalenza, profesor socjologii”. Dziwne wrażenie niecałkowitej rzeczywistości. Rozciągnięte mgnienie, o ile istnieje takie pojęcie jak rozciągnięte mgnienie, o ile nie jest ono ciągiem nierozciągniętych mgnień. I czy w ogóle istnieją w przestrzeni jakieś mgnienia, migi, oprócz seryjnych MIG-ów radzieckich sił powietrznych? O co tu chodzi, zwrócił się z pytaniem do swojego chronotopu, w tym momencie jednak znowu wszystko pozaczepiało się o siebie nawzajem i powróciło. Macie więc i cud zniszczony, chwilową restaurację Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej jako politycznej i antropologicznej całości.

W końcu ulicy wśród pelznących z wolna samochodów pojawiła się sylwetka niezwyklego stworzenia, motocykl harley davidson z ogromnym jeźdźcem w siodle. Z jakiegoś powodu wyglądało na to, że motocykl przybył w tym „momencie” „tutaj” - czyli bądź na środek stronicy, bądź na hałaśliwą ulicę - po jego duszę. Na razie nie pozostaje nam nic innego, niż zrobić sobie w uporządkowanym opisie kolejny *time out*.

*Time out*

JMinął już zatem cały rok od niefortunnego przylotu moskiewskiego wygnańca do zamorskiej fortecy wolnego świata. Za nim pozostały mroczne nowojorskie przypadki, których, mamy nadzieję, czytelnik jeszcze nie zapomniał. Później wszystko odbywało się mniej więcej zgodnie z planami wygnańca, o ile można go podejrzewać o planowanie. Jakoś tam dotarli ze Stasem Butlerowem do kalifornijskiego Archangielska. Mówiąc „jakoś tam”, mamy na myśli nie tyle nieprzerwany stan intoksykacji, w jakim znajdowali się dwaj przyjaciele, ile raczej burzę, która rozpętała się w rodzinie Butlerowów, gdy jej głowa zaanonsowała swoją decyzję udania się w „swobodny lot”. Przez kilka dni w mieszkaniu o dwóch sypialniach rozbrzmiewały łkania i krzyki żony oraz tragiczne piski skrzypiec córki. Teściowa milczała wprawdzie, nieustannie jednak upuszczała naczynia, czyli w miarę sił wносиła swój wkład w rewoltę dźwięków. Żona rzucała się ze ściereczką na rozlany barszcz i w tejsze ściereczce kryła opuchnięte liczko. Gość, według niej, winien grać rolę rozjemcy. Sasza, to nie do pomyślenia, nie do pomyślenia, że Staś ze swoim poziomem intelektualnym okazał się takim potwornym zazdrośnikiem! Rzucić wszystko, co razem przeżyli, z powodu jej błahej przygody z tym czarującym Salvadore z drugiego piętra, przygody, w której więcej było platonicznego flirtu, niż promiskuityzmu, *my dear friend!* Sasza, pan jako inżynier myśli naszego pokolenia, jako dawca moralnych praw walczącej z tyranią, tak, nie boję się tego słowa, Rosji, powinien pan wyjaśnić przyjacielowi, że *fetnale partner* też ma prawo do niezrozumiałych porywów! Usiądźmy sobie na przykład wszyscy przy stole, o tu, koło duchówki: pan, Sasza, Staś, my, trzy pokolenia kobiet, młody Salvadore i chociażby nasz sąsiad z czwartego piętra, ten milkliwy, refleksyjny Wikram Tagor, i zróbmy sobie grupową terapię na temat wzajemnych stosunków między przedstawicielami obu płci w budynkach wielorodzinnych. Przecież kilkoro nowoczesnych ludzi w Stanach lat osiemdziesiątych dwudziestego (!) wieku łatwo może znaleźć wspólny mianownik, prawda, Sasza?

W nosie mam twój wspólny mianownik, zawołał wówczas Staś. Oldze Mironownie jakoś nawet do głowy nie przyszło, że właśnie jej zdradzony małżonek popełnia w tym czasie fundamentalny akt zdrady. Raz zdecydowawszy, zniechęcił już wszystkie te pieczone bakłażany, w ogóle wszystko, co wiąże się z rodziną, i teraz marzył wyłącznie o „swobodnym locie” z Saszą Korbachem do kalifornijskiej krainy miłych, beztroskich kobiet.

Niczego wam nie zabieram, krzyczał demagog. Zostawiam wszystko, co razem

zgrupowaliśmy. Oddajcie mi tylko moją godność! W końcu, niemal wrywając trzem pokoleniom kobiet swoje walizki, mężczyźni wypadli, albo, jeśli wolicie, padli na ulicę. Pięć godzin pili w TWA, no i oto są w LA, skoro już mowa o skrótach.

Przyjaciel Butlerowa, całkiem jeszcze młody moskwianin nazwiskiem Tichomir Buriewiatnikow, przedstawiając się, zawsze dodawał określenie „pracownik kinematografii”. Ich przyjaźń, jeśli można tak powiedzieć, zaczęła się już w czasach, kiedy Staś pracował jako konsultant prawny w Mosfilmie. Amerykańska historia Buriewiatnikowa była dosyć prosta. Względnie młody, miał już jednak na koncie dziesięcioletni staż partyjny i był swoim człowiekiem, no, znaczy w zarządzie organizacji młodzieżowych, powiedzmy. Mianowany półtora roku temu zastępcą dyrektora grupy zdjęciowej Krasnyje Pietuchi, przyjechał do rewolucyjnej Nikaragui w celu sprawowania ogólnego nadzoru, no właśnie, ogólnego nadzoru w warunkach totalnego bardaku.

Przesłanie filmu było w gruncie rzeczy dość aktualne: wyrazić w języku sztuki miłość Nikaragui do komunizmu. Realizacja tej idei napotkała jednak trudności, przede wszystkim w osobie tego pierdolonego geniusza, reżysera Olega Pristapomskiego, ludowego artysty ZSRR, laureata wszystkich możliwych radzieckich nagród i członka KC KPZR. Wiercie lub nie, ale Tichomirowi Buriewiatnikowi dawno już się wydawało, że cały ten Oleg Wieniaminowicz niezupełnie jest taki, za jakiego wszyscy go uważają. Na oko nic nie można mu zarzucić: wielki, szpakowaty, o donośnym głosie, no, po prostu klasyk socjalizmu, a w gruncie rzeczy, jak się okazuje - cham i babiarz. To jeszcze nic takiego, na sprawy łóżkowe można przymknąć oko, facet jest tylko facetem, najgorsze jednak, że nie było kontaktu artystycznego. Nauczył się, rozumiecie, tych chamskich manier, byle co, a drze się na cały plan: „Buriewiatnikow, nie zatrzymuję pana dłużej!” I cały jego wredny zespół zaczął jak papuga powtarzać za nim to zdanie. O dziewczuchach szkoda nawet gadać, z człowieka z przyzwoitym komsomolskim i partyjnym stażem zrobiły sobie pośmiewisko.

I właśnie dlatego tak to wszystko wyszło. Pojechał pewnego razu Buriewiatnikow do Managui, żeby odebrać przez pocztę dyplomatyczną zastrzyk twardej waluty. Z pieniędzmi w plecaku szedł ulicami rewolucyjnej stolicy i nagle zatrząsł się z oburzenia. Mam trzydzieści cztery lata, tyram na nich całe życie, a żeby choć raz przedstawili moją kandydaturę do nagrody państwowej! I w tym momencie coś po prostu popchnęło go ku budynkowi z szyldem „Habana

Libra”, gdzie tego wieczoru licznie zgromadził się aktyw. Przyjęli gościnnie, bez żadnych impertynencji. Ironia losu: obcy rozumieli lepiej niż swoi, choć nie wszyscy jeszcze mówili po rosyjsku. A potem, jak zawsze, *cherchez la femme*. Zjawiała się taka popularna komsomołka, Mirelle Salamanca, „anioł naszej poezji”, jak ją tam nazywano. Wszystkie samce strzelają w sufit ze swoich makarowów: „Viva Mirelle!” - a ta szepcze do ucha Buriewiatnikowi: „Wiejemy, dopóki nie jest za późno!” Zebrał do kupy całą swoją męską godność. Zostawił w barze notatkę dla Pristapomskiego: „Cenię jako artystę, gardzę jako człowiekiem! Proszę nie wspominać mnie źle, Olegu Wieniaminowiczu!”

I oto gnają, trawa dokoła szeleści, liście szemrzą, w mordę, księżyc daje jak kurwa mać. „Zmieniłeś całe moje życie, *russol*” - krzyczy Mirelle Salamanca. Kupili od żołnierza samochód, taki swojski, radziecki łazik, pędzą, tego nie da się zapomnieć! To dzień dookoła, to noc, to pieprzą się, to mkną naprzód, Mirelle jest niewyczerpanym źródłem poetyckiej inspiracji.

Na granicy z Kostaryką Buriewiatnikow sam oświadczył gliniarzowi: *^oquito libertad. Communisto nicht zusammen*. Utną łeb. Jasne?” Dla tamtego było jasne i puścił. W ambasadzie amerykańskiej przyjęto ich, rzecz jasna, nie bez otwartych ramion, chcą przecież przechwycić do siebie jak najwięcej twórczych młodych jednostek z socjalistycznego świata.

Tichomir wytarł twarz własną koszulą, jako że już od dawna siedział przy stole rozebrany do pasa. To tak pokrótce, chłopaki, parę szczegółów na zasadzie pogłębienia emigranckiej przyjaźni. Emigracja - to ostry test charakteru, towarzysze. Co z Mirelle Salamanką, interesuje was? Rozpłynęła się, jak powiadają tutaj, w subtelnym powietrzu, jasne? Woreczek z pieniędzmi też się rozpląnął, co oczywiste, i nie ma co żałować, chłopaki, tego, co dało człowiekowi choćby chwilowe zaspokojenie stale rosnących potrzeb, jak to uczono nas w szkole.

Dobrze zbudowany, krzepki Buriewiatnikow przyodział się w kraju swojego politycznego azylu wyłącznie w dzins: dż. spodnie na dż. szelkach, dż. koszula, dż. kepi, dż. mokasyny. W jednostkowym wariacie spełniła się jedna z ważnych fantazji radzieckiej komsomolii. Tak ubrany chodził po San Fernando Valley, z krzywym uśmiechem i z dyndającymi dwiema łapami przodkowego górnika. Przyjaźń przyjaźnią, warto jednak mieć się na baczności.

Różnie bywało, chłopaki. Raz już zdawało mu się nawet, że tonie. Marzył o steku z kością w kształcie litery T. Bez steku nawet pinis (to tak z angielska) mu nie funkcjonował, a co dopiero intelekt twórczy. Wówczas to zdarzyło mu się spotkać na Hollywood Boulevard tego oto, co tu przed wami stoi, Arama Ter-Ajwazjana, z którym niegdyś wspólnie uczestniczyli w kursach dla

nizszych i średnich kadr. Aram, chociaż nacjonalista, był jednak porządnym radzieckim człowiekiem czasów upadku totalitarnego imperium. Popatrzył mu prosto w oczy i wyciągnął pomocną dłoń.

Teraz Buriewiatnikow sam uważnie patrzył na Korbacha, jak gdyby chciał spytać: na pewno jesteś tym człowiekiem, za którego próbujesz uchodzić? Coś za prosto to wszystko wygląda, sam Sasza Korbach, patrzcie no, przychodzi po pomoc razem ze Staską Butlerowem, który podaje się za spadkobiercę wielkiej chemii rosyjskiej.

- No to co, Saszok - zdjął ze ściany swego apartamentu siedmiostrunną przyjaciółkę każdego Rosjanina - walnij no coś swojego, chociażby *Sachalin imienia Czechowal* - Towarzystwo miało fajnie, jak nie wiem co. Na egzemplarzu emigranckiej gazety „Panorama” leżała porąbana znakomitym tasakiem, zamówionym na podstawie katalogu czasopisma „Soldier of Fortune”, prawdziwa radziecka kielbasencja, zupełnie jak z „kremlówki”; otaczały ją podtopione w żarze kawałki camemberta, na patelni pływały w tłuszczu żydowskie pierogi, w słoju niczym embriony figurowały *pickles*, czyli marynowane ogóreczki. Uszklankowiona już była półgalonowa butelka smirnowki, druga zaś szykowała się do ataku.

Korbach, marszcząc się, ale zdając sobie sprawę, że tak trzeba, zaśpiewał *Sachalin* i jeszcze parę szlagierów ze swojego repertuaru sprzed dwudziestu lat. Kiedy kończył, spostrzegł, że emigrancka swołocz płacze.

- To tak tylko między nami, chłopaki - powiedział. - Dla całej reszty umarłem, istnieję tylko dla wybranych. - Lepszych słów nie mógł doprawdy znaleźć. Wszyscy pocałowali go trzykrotnie: Staś, Tich, Aram.

Ten ostatni dawno już stał się znaczącą postacią w parkingowym biznesie. Bez problemu zainstalował w Westwood Colonial jeszcze dwójkę strażników. Amerykańska wiza N-1, która figurowała w paszporcie Korbacha, tak zwana wiza preferencyjna, przeznaczona dla osób, które mogą wnieść wkład w naukowy lub kulturalny rozwój kraju, nie przewidywała co prawda, że jej właściciel będzie pracować w charakterze parkingowego, etiopscy współpracownicy jednak, uciekinierzy spod rządów krwawego marksisty Mengistu Hajle Mariama, znaleźli wyjście z dwuznacznej sytuacji. Za radą Tesfalideta Hasfalidata Aleksander udał się do Urzędu Imigracji i Naturalizacji i wystąpił o azyl polityczny. I na tym, można powiedzieć, zakończyły się jego związki z ojczyzną, zaczęły się zaś związki z nowym *homeland*, to znaczy krajem jego nowego domu.

Etiopczycy płacili mu piątala i pół za godzinę, a ze swoich napiwków połowę składał na ołtarzu etiopskiej kontrrewolucji. W sumie wychodziło około 1800 baksów na miesiąc, co pozwalało mu wynająć tak zwane studio w dość znanej w niższych warstwach Los Angeles instytucji o nazwie hotel Cadillac, gdzie w owych czasach mieszkali starzy żydowscy emeryci, młodzi transwestyci i alkoholicy w średnim wieku. Tam, na peryferiach położonej tuż nad oceanem osady Venice, wiódł żywot pozbawiony problemów i żalu za przeszłością, z minimum wspomnień i maksimum porannego kaca. Żeby więcej nie wracać do tej kwestii, dodamy, że po upływie roku azyl polityczny został mu przyznany.

Najwięcej trudności w pracy parkingowego stwarzała nieskończona różnorodność typów samochodów. W rozmaity sposób zaciągało się i zwalniało ręczny hamulec, w rozmaity sposób włączało się przednie światła i światełka na tablicy rozdzielczej. Nie od razu, oj, nie od razu zorientujesz się, że niektórym krokodylom oświetla się paszczę za pomocą obrotu dźwigni zmiany biegów wokół jej, dźwigni zmiany biegów znaczy, kurewskiej osi.

Z drugiej strony zaś nie było nic prostszego niż kontakt z klientem. Wszystko sprowadzało się do czterech - pięciu zdań. „Czy długo zamierza pan zostać, *sir* czy tam *ma'am*?” albo jakies: „Najserdeczniej dziękuję, życzę wszystkiego najlepszego”, albo jeszcze... ale w sumie nic już więcej nie trzeba. Czasami niektórzy klienci mieli chęć nawiązać kontakt towarzyski, to znaczy pozartować. Można właściwie powiedzieć, że w południowej Kalifornii kontakt towarzyski i żart to niemal synonimy. Żeby się nie skompromitować swoją angielszczyzną, trzeba się po prostu śmiać, i prawie nigdy człowiek się nie pomyli. Mówiąc „prawie”, z chęcią byśmy pominęli niektóre wpadki naszego bohatera, jednakże etyka zawodowa wymaga, by dać czytelnikowi choćby jeden przykład. Oto on, panowie. Północ. Sasza Korbach wyprowadza z parkingowych wnętrzności kremowego porsche z aerodynamicznym zadem. Błękitna czupryna klienta trzepoce na wietrze niczym flaga Narodów Zjednoczonych. Jego towarzyszką, w sukience na cieniutkich ramiączkach (dawniej tego rodzaju odzienie nazywało się halka), jakoś tak słania się z lekka w objęciu klienta, oczy dziwnie wybałuszone, szyją wstrząsa czkawka. Parkingowy Alex grzecznie otwiera drzwiczki samochodu, licząc na dolara.

- Słuchaj no - zwraca się do niego klient. - Kobieta znowu mi się naćpała. Widzisz, jak się zatacza? Dzwon pod 911, bądź człowiekiem!

Nie zrozumiawszy sensu wypowiedzi, Alex śmieje się uprzejmie. Klient jest zdumiony.

- Co się śmiejesz, głupi kutasie? Nie widzisz, że umiera? Kocham tę dupę, rozumiesz? Nie

chcę jej stracić!

Cisnąwszy towarzyszkę w ramiona parkingowego, klient biegnie sam do telefonu. Dama opada na beton. Nóżki w pomarszczonych rajstopach drgają. W ciągu pięciu minut z pobliskiego szpitala UCLA podjeżdża na sygnale ambulans. Towarzyszka w tempie zostaje uratowana i tu już wszyscy możemy się pośmiać. Na pożegnanie błękitnowłosa klient rzuca Aleksowi wymowne spojrzenie: skąd, znaczy, przyjeżdżają do nas takie skurwysyny?

Najlepsze w tej robocie było to, że po całodobowym dyżurze można było o niej na dwie doby zapomnieć. Czasami w wolne dni, na skutek starań Tichomira Buriewiatnikowa, trafiała się przyjemna fucha, zazwyczaj w dziedzinie roofingu, to znaczy krycia dachów emigranckich siedzib. Na tę okoliczność Tichomir dysponował dobrze wyposażonym pickupezem. W tej Amerykanii, mawiał, tylko ostatni leń nie potrafi pokryć dachu. Idziesz do Hechinger's, bierzesz, co ci się żywnie podoba na dach, wszystko policzone, wszystko wstępnie obrobione, dach kładzie się sam niczym latynoska panienska. Zbierali się w czwórkę, cały czas w tym samym składzie, i jeździli zgodnie z zamówieniami, a to na San Fernando Valley, a to na Fairfax, gdzie niektórzy z „naszych” mieli już domy i gdzie kładli dachy po cenach niższych od średnich archangielskich. No i, zgodnie z tradycją, po pracy nakrywano robotnikom w ogródku stół z galareta i sałatką, a także z tym, co przynależy do tych zakąsek, *of course*.

W sumie nieźle sobie żyli, udając zwykłe „niebieskie kołnierzyki”: prawnik, artysta i dwóch pracowników komsomolskiego aparatu z przeciętnym stażem. Sójki fruwały nad nimi wśród kwiecica, podobne do szczotek, którymi myje się butelki. Czasami jakiś ciekawski wystawiał nagle mordkę spomiędzy krzaków, jak gdyby zapraszał się do kompanii: kojot. Gospodynie starały się nie puszczać córek do ogródka. Chłopcy zresztą niezbyt się interesowali córkami, jako że po takiej kolacji zwykle udawali się do Szczęk, żeby załapać nieco dojrzalsze.

Niestety, po upływie pół roku na to krycie dachów, a wraz z nim i na podobne biesiady, przyszedł koniec. Tichomira Buriewiatnikowa przestał interesować roofing, gdyż zaangażował się po uszy w bardziej absorbującą działalność, o której będzie mowa niżej. Nieoczekiwany zwrot nastąpił także w życiu Stasa Butlerowa.

Była już mowa o tym, że najbardziej uwierał Stasa w tyłek brak nostryfikacji dyplomu ukończenia wydziału prawa Uniwersytetu Moskiewskiego oraz licencji Moskiewskiego Kolegium Adwokackiego. Cierpiąc w wyniku procesu dobrze znanego w fachowej literaturze

jako *identity crisis*, czyli z grubsza kryzys osobowości, Staś wciąż marzył o nostryfikowaniu swoich wspaniałych papierów i o przyłączeniu się do amerykańskiej braci prawniczej, która, wyobraźcie sobie, jest opłacana godzinowo, całkiem jak wysoko wykwalifikowani spawacze.

Kiedy był trzeźwy, co, jak może odnotować uważny czytelnik, zdarzało mu się niezbyt często, Staś brał się za studiowanie amerykańskich kodeksów i nawet parokrotnie stawiał się na egzamin. Zawaliwszy go z trzaskiem, wyciągał się na tapczanie, tym samym, obok kuchennego stołu, z półgalonową butelką wódki Popoff w objęciach. „Nie życzę sobie być obywatelem drugiego gatunku!” - wykrzykiwał ze swojego barłogu. Przerywał, trząsał się w milczeniu, nagle podrywał się z niedźwiedzim rykiem: „Trzeciego! Trzeciego gatunku!” - i znowu walił się twarzą w przesycone wonią babki (lubiła sadowić tam swoją pupę) szmaciane schronienie. Olga, wstrząśnięta cierpieniami „nietuzinkowej osobowości”, uciekała to piętro wyżej, to piętro niżej, w rezultacie czego zdołała stworzyć kolejny dramat. Córka zaś, nie opuszczając zwykłego miejsca, kontynuowała swoje wirtuozerskie wysiłki, śpiewając przy tym czasami cieniutkim głosikiem: „Biegna lata i dni niezmiennym szeregiem, do grobu wszystkich nas ciernista wiedzie droga”. Kochana, malutka moja, płakał rzewnie Staś i zasypiał.

W Los Angeles, gdzie już na lotnisku ogarnia nowicjusza aromat wiecznego grejpfruta, Staś poczuł przyływ świeżych sił. Włączył się czynnie w cyrkulację emigranckich kół i w końcu znalazł niewiadomą, to znaczy kilku kolegów, którzy zdążyli nostryfikować swoje prawnicze dyplomy. Z jednym z nich, wspaniałym ryskim dżentelmenem Julisem Cimbulistem, nawiązał kontakty zawodowe i z miejsca skoczył o oczko wyżej w miejscowej hierarchii. Opanowawszy pewną dość ciekawą całkowicie nieznaną w ZSRR dyscyplinę o nazwie *ambulance chańng*, maksymalnie przybliżył się do ukochanej profesji.

Powyższy termin można od biedy przetłumaczyć jako „ściganie karetki”. Krótkie wyjaśnienie dla profanów. Kalifornia, jak wiadomo, ma bardzo wysoki stopień nasycenia samochodami. W strumieniach jej ulicznego ruchu krąży już parę dziesiątek tysięcy byłych poddanych wielkiego Związku Radzieckiego, którzy stanowią niezbyt roztropną populację. Nietrudno się domyślić, że stale rośnie wśród nich procent wypadków drogowych. To sam rozwali komuś bagażnik Żyd niemyty, to jemu wjedzie w tyłek jakiś zamyślony tutejszy. Jest to, jak państwo wiedzą, najłagodniejszy wariant metalicznej przemocy, a co dopiero mówić o zderzeniach czołowych, bocznych, o przewrotkach do góry kołami!

We wszystkich tych sytuacjach zszokowany delikwent, nierzadko z połamanymi kośćmi,

z przemieszczonymi kręgami, z częściowo rozpływającą się szarą substancją, nie zdaje sobie sprawy, co dzieje się wokół niego, i w rezultacie otrzymuje od towarzystwa ubezpieczeniowego jedynie minimalną rekompensatę. O ile, naturalnie, nie włączy się do akcji życzliwy przyjaciel, zwany bezceremonialnie przez ubezpieczycieli *ambulance chaser* (ścigacz karetki). Sferę działalności takiego *chasera* w pełni określa naczelna zasada amerykańskiego biznesu: być na właściwym miejscu we właściwym czasie. Dobroczyńca ów, mówiący rodzimym językiem poszkodowanego i znający go jak samego siebie, natychmiast bierze sprawy w swoje ręce, oferuje pomoc w wyjaśnieniu obowiązujących przepisów, kieruje na obdukcję do „naszego, rosyjskiego lekarza” Natana Sołouchina, a następnie do znakomitego adwokata, również naszego, Mr Cimbulista. Odszkodowanie w rezultacie tych działań rośnie w trzykrotnie. Przegrynych tu nie ma. Przyzwoity czek leczy poszkodowanego z szoku skuteczniej niż najlepszy psychoterapeuta. Sołouchin i Cimbulista otrzymują solidne honoraria, a „biegnący po falach”, jak zaczął siebie nazywać Staś Butlerow, wsuwa do kieszeni całkiem niezłą prowizję. Ciekawe, że i towarzystwa ubezpieczeniowe nie czują się pokrzywdzone, jako że wypłata wysokich odszkodowań znacznie zwiększa liczbę klientów, a przecież każdy wie, że amerykański biznes zainteresowany jest nie oszczędzaniem, a zwiększaniem obrotów.

Rzecz jasna, w kalifornijskim Archangielsku istnieją złe języki, które puszczać pogłoski, jakoby Staś Butlerow czasami sam aranżował wypadki, ale najwyraźniej w kręgach tych o takiej szlachetnej zdobyczy cywilizacji, jak presumpcja niewinności podejrzanego, nawet nie słyszano. Gadają również, że całe trio zanadto się przywiązało do diagnozy „wstrząs mózgu”, ale, na miłość boską, kto w naszych czasach może się poszczycić, że jego aparat umysłowy działa bez zarzutu?

Jednym słowem, urządził się Staś całkiem niezłe, jeśli chodzi o możliwości dalszego zgłębiania amerykańskiej jurysdykcji. O tanim trunku Popoff przestał nawet myśleć, przerzucił się na markowe wina, ale najciekawsze, że i kobietę sobie znalazł o wybitnych zaletach!

Była Szura Fiedotowa, obecnie Shirley Fiedot, już samą swoją zewnętrżnością wносиła pewien ładunek optymizmu, bliski duchem rozpowszechnionej w owych latach reklamie kremu „Oil of Olaz”. Cera jej była okazem elastyczności, a cała twarz - kobiecości i miękkości owalu. Głos jej brzmiał pozytywnie, a treść wypowiedzi zawsze trafiała w sedno. Łagodne kurwiki w oczach wlewały nadzieję w serce każdego mężczyzny, a i kobietom niosły pełne otuchy przesłanie: nie wszystko jeszcze stracone, kochana! Jasną, luźną odzież zdobiły zarówno napisy

„Rodeo Drive”, jak i drażniące motywy białoruskie. Powiadano, że nieoczekiwany wyjazd Szury Fiedotowej z Mińska spowodował zamęt w partyjno-państwowych kręgach republiki, co sprzyjało dalszemu staczaniu się po równi pochyłej oraz historycznemu rozstrzygnięciu. Jeśli chodzi o jej niezłe kalifornijskie dochody, to zawsze były one rezultatem wyłącznie osobistego pozytywnego nastawienia i przedsiębiorczości. Nikt nie potrafiłby lepiej od niej przekonać wzbogaconej emigranckiej *lady* o konieczności „odkrycia w sobie nowego wieku”, to znaczy podciągnięcia twarzy u wybitnych chirurgów-kosmetologów: Igora Gniedliga, Olega Ospowata, Jarosława Kassela. Właśnie w kołach medyczno-prawnych odnaleźli się Shirley i Staś. Na początku czwartej części, to znaczy w lipcu 1983 roku, mieszkali już wspólnie w kondominium na Saint Vincente Boulevard i myśleli o kupnie *town house* w Marina del Rey.

W wirze tych pomyślnych zmian Staś Butlerow całkiem zapomniał o swojej przynależności do „pokolenia protestu”, a i przyjaciela swego, niegdyś znakomitego „protestanta”, wspominał nieczęsto. Wyszło więc tak, że Korbach znalazł się nagle w przestrzeni, z której niemal w jednej chwili został odessany cały zapas rosyjskiego tlenu. Czasem całymi tygodniami nie wypowiadał po rosyjsku ani jednego słowa. Jedyne z dotychczasowego towarzystwa, który pozostał w polu widzenia, Aram Ter-Ajwazjan, wolał porozumiewać się po angielsku, a jak nie, to po ormiańsku. Mam raptem trzydzieści pięć lat, mówił, zdążę jeszcze zapomnieć komsomolski żargon, to znaczy rosyjski.

No i pięknie, myślał Aleksander, bez końca włączając się nad oceanem, od Venice do Pacific Palisades i z powrotem, zostanę sam ze swoim żargonem, jak Owidiusz został ze swoim rzymskim żargonem w krainie Daków. Pewnie i on tak się włączył nad Morzem Czarnym, a *Elegie* zaczynały wylatywać mu z uszu w postaci kwiatów i ptaków, i różnobarwnego pyłu, który ulatywał z wiatrem, niestety, nie do miłego sercu i członkowi Rzymu, a w przeciwną stronę, przez Pont, do Kolchidy, do Mescheti, ginąc, zdawałoby się, a w rzeczywistości śpiesząc zapłodnić po tysiącu lat kącik miłości carycy Tamar, gdzie akurat we właściwym czasie zaczął działać rycerz-buchalter, po ówczesnemu skarbnik, niejaki Szota Rustaweli.

Od Owidiusza różnię się, być może, tylko tym, że nie stać mnie już na tworzenie płodów, płodzenie twórczości. Co do reszty jesteśmy dość podobni. Jego wygnano w step za *Sztukę kochania*, mnie na brzeg oceanu za sztukę śmiechu, ale czyż jakakolwiek miłość jest w stanie obejść się bez błżeństwa?

Błazeństwo pomoże nam obu wyleczyć się z przeszłości, powie pan, przyjacielu, ale dlaczego pan tak żałośnie wzdycha, jajogłowy? Nosimy niemal jednakowe obuwie, Publiusz Nazonie, tyle że pan omotuje rzemyk wokół goleni, a ja wsuwam tylko w pętlę sandałów wielki palec z kruszącym się archeologicznym paznokciem. Zazdroszczę panu chitonu, trzepece na wietrze, pozwala oddychać całemu ciału, pańskie jaja zażywają świeżego powietrza, podczas gdy moje są ściśnięte szortami. Okazuje się, że pan, czołowy błazen imperium, protoplasta „nowego słodkiego stylu” na tysiąc dwieście lat przed jego narodzinami, nie był we właściwym miejscu. August nie dorósł do rozumienia *Metamorfoz* ani *Satumaliów*, bo nie czytał Bachtina. Wiedział, jak człowiek zmienia się w imperatora czy w trupa, ale nie potrafił dostrzec, jak Jowisz obraca się w byka, a następnie w triumfalny gwiazdozbiór. Mimo wszystko jednak czuł swoim imperatorskim nosem, że sarkazm znamionuje upadek jednej cywilizacji, a górnołotność zwiastuje narodziny drugiej. Może dlatego Dante, tak szczelnie obciążony u dołu wełnianymi rajstopami, wybrał na przewodnika nie pana, a Wergiliusza. Proszę mi wybaczyć brak skromności, ale mnie bardziej odpowiadałby pan, choć marzyłem kiedyś o *Promieniowaniu Beatrycze*. Tysiącrotnie przepraszam, ale nawet pod pańskim przewodnictwem nie zdołałem wyrwać się z tego zaoceanicznego czyścca, tak samo jak i pan nie zdoła wyrwać się z krainy Daków, pomimo żalonych listów słanych do Augusta. No i ja nie zamierzam pisać do Andropa, nie jest on przecież Augustem, ten nasz *top secret* grafoman.

Ocean tymczasem zajmował się swoim głównym zadaniem, to znaczy podkreślaniem ludzkiej nicości. Niemniej surfingowcy droczyli się z wielkoludem, balansując na jednej z trylionów jego fal. Jak to tam leci u Pasternaka: „Dni mijają i lata mijają, i tysiące, tysiące lat. W białym szaleństwie wody, skryte w białym aromacie akacji, może właśnie ty, morze, niweczysz je, niweczysz ciąg dat”.

Każda fala jednak jest inna i znowu wychodzimy na głupków. Woda ilustruje naszą próżność, co znakomicie rozumie Tark, wody nie wyciśnie się już z jego kadru. Czy buchalterzy „fabryki snów” wnikają w metafizykę wody? Czy ponowne obejrzenie tego samego filmu oznacza, że weszliśmy po raz drugi do tej samej rzeki?

Z puszką piwa w foliowej torebce długo siedział na piasku. Za wypicie gołej puszki może ci tu wypisać mandat plażowa policja, ale do torby nikt nie ma prawa zaglądać: *privacy*, życie osobiste! Wodził dłonią po czole, jakby gładził zad wyścigowego ogiera, i tak też był wzburzony.

Ciekawe, czemu tak szybko wyłysiałem w wieku dwudziestu ośmiu lat? Ojciec na fotografiach prezentuje wspaniałe, po żydowsku skręcone kędziory. Może zawinił ten żyrandol z czechosłowackiego KC? Walnął w jakieś stosowne centrum w mózgu i zaprogramował przedwczesne wyłysienie. A przy okazji, być może, nauczył mnie śpiewać, układać wierszyki, udawać inne osoby, robić teatr? Z jakiegoś powodu mieszkańców innych planet wyobrażamy sobie z takimi właśnie łysymi czaszkami. Być może tam, w otchłaniach Wszechświata, każde dziecko dostaje na zachętę po głowie, podobnie jak u Żydów, którzy obowiązkowo odcinają niemowlętom płci męskiej kawałeczek ciała. I wszyscy tam w wyniku tego zabiegu zostają bardami i błaznami, a tych nielicznych, którzy nie umieją wyreżyserować sztuki, wysyłają do jakichś tam ichnich Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Pod zachód zaczynały się spacerować nad oceanem. Wijącą się wśród diun asfaltową dróżką z chrzęstem mknęli łyżworolkowcy w ochraniaczach na kolanach i łokciach, w ogromnych na pół twarzy okularach słonecznych, w bandankach, ze sterczącymi zza ucha antenkami osobistych środków komunikacji. Z „Centrum długowieczności”, które swoją mroczną sylwetką stawiało czoło przyplýwowi, wypryskiwały grupki błękitno-różowych staruszek: *cotne on, girls!* Joggingowcy dzielnie truchtali skrajem twardego piasku. Człowiek w podróży służbowej brnął w trzyczęściowym garniturze, z walizeczką-dyplomatką, wśród półnagich ciał. Dziewczyny z gatunku *sun'n'fun* nacierały się olejkami i wyprowadzały na spacer nogi, światu na pokaz. Pisarz Graham Greene schodził po schodach hotelu Shangrila i pisał w notesie: „Plaże Kalifornii niewiele różnią się od łagrów Gułagu”. Tym, którzy byli tutaj po zaliczeniu Kołomy, nie spieszo podzielić opinię umysłu paradoksalnego.

Raz przeszła obok Korbacha grupa rosyjskojęzyczna. Nagle wszyscy się obejrzeni. Kogóż oni tam zobaczyli, zdziwił się. Wyglądali na warstwę, którą w Sojuszu określało się jako „pracownicy fizyczno-techniczni”. Przez przedzachodni zgiełk dobiegło do niego: podobny. Murzyn. W ogóle niepodobny. Mnie też się wydaje podobny. Ale u was temperatura, panowie! Towarzystwo poszło dalej. Obejrzał się. Za jego plecami nie było żadnego Murzyna. Najwyraźniej to mnie wzięli za Murzyna, Saszę Korbacha ze spaloną na słońcu łysiną. Jasny gwint, przecież całkiem niedawno byłem idolem takich fiz-techów!

Przypomniał mu się spektakl, który wystawiali chyba w siedemdziesiątym siódmym w Czernogółowce. Teatr był wówczas niemal zlikwidowany dekretem Demiczewa, ale postępowy związek zawodowy Czernogółowki, rzucając wyzwanie twarogółowym ortodoksom,

zaprosił Błazny do swojego klubu. Grali *A-Z*, bez dekoracji, wśród porozstawianych krzeseł. Po spektaklu fiz-techowie nie rozchodzili się, zaimprovizowali bunt, wykrzykiwali „ręce precz!“. Wspaniałe młode pyski tamtych fiz-techów, śmiech, wrzaski, bachanalia ojczystej mowy. Wszystko to, pozostawione w przeszłości, przeszło nagle plażą Santa Monica jak żywe, ukośną ścianą deszczu. Rzucić się głową do przodu, wyrwać się z tej chwili, wtargnąć w tamtą?

Zachód nad oceanem gęstniał, mroczniał. Sasza poszedł szybko skrajem wody w kierunku domu. Ktoś biegnący z przodu o coś się potknął, krzyknął *shit!*, pośliznął się jak na lodzie, złapał równowagę, pobiegł dalej. Za chwilę również Sasza natrafił nogą na jakiś woreczek przelewającej się mazi. To umierała na wpół rozgnieciona ogromna meduza. Forma życia dosyć obca oświeconej ludzkości.

Wszystko rozgniecione, umierające wplątuje się w pamięć, tak jak nietoperze wplątuje się czasem w białe koszule. Kiedyś na *freeway* wbiegł duży czarno-rudy kot. Nikt już nie zdążył zahamować. Jadąca z przodu furgonetka wyrzuciła kota w górę spiralą. Kot opisał łuk i padł na bok między hondę i volvo. Leżałby tam lepiej, głupi, i nie ruszał się, ale oszołomiony od uderzenia próbował znaleźć jakiś zbawczy kąt i trafił pod koła nadjeżdżającego wozu. To, co z niego zostało, rzucało się w bezrozumnej walce jeszcze przez kilka sekund istnienia, a potem zniknęło z oczu. Żelazne demony mknęły po *freeway* z tą samą szybkością, rozmazując kocie szczątki.

Rozryczał się za kierownicą i płakał chyba kwadrans, zapomniawszy już i o kocie, i o demonach, z których każdy mógł być dokładnie tak rozgnieciony i rozmazany w ciągu minuty, zapomniawszy o sobie samym i o porzuconych na pastwę partyjnych wychowawców rodzonych synach. Trząśł się i zalewał łzami troszkę jakby na zewnątrz siebie, a tam, w środku, popatrywał na siebie zmrużonym okiem niczym psychiatra i konstatawał z leninowskim rezonerstwem: „Oho, dobrodzieju, widzę, że jest pan w niezłym stresie!”

Rezoner ten nierzadko gnał go do baru First Bottom, no wiecie, trzeba się odprężyć. Starszy gość, z wyglądu klisza wszelkich ekranowych postaci czarnego grajka, nazywający się, bez żartów, Henry Miller, śpiewał tam w kącie schrypniętym basem:

*If you treat me right, baby  
I'll stay home every day,  
But you are so mean, baby,*

*I'm sure you gonna drive me away.*

Wszystko było szalenie podobne do typowego amerykańskiego baru, zupełnie jakby to nie był naprawdę typowy amerykański bar. Siedzieć przy kontuarze jako zalewający się w trupa cudzoziemiec w prawdziwym amerykańskim barze. Około północy lokal zapelnia się do granic możliwości, ale nikogo się nie wyprasza. Sporo znajomych, niemal przyjaciół ma tu już nasz Sasza. Oto na przykład monumentalny Matt Szuroff o wytatuowanych łapach, *boyfriend* zarządzającej paroma budynkami mieszkalnymi Venice, w tej liczbie i popadającą w ruinę noclegownią Cadillac, nie mniej majestatycznej Bernadetty Lux, która całymi dniami chodzi w lokówkach, ostrymi ruchami poprawiając ramiączka pod nieodmiennie batystową, wykończoną frędzelkami szatą.

Matt jeździ ciężarówką na znaczne odległości, to znaczy, używając rosyjskiej terminologii, jest *dalnobojszczykiem*, i wróciwszy z trasy, całymi tygodniami nie robi ni cholery, tylko czeka na otwarcie Pierwszego Dna, gdzie najpierw przegląda gazety, potem ogląda telewizję, potem gra z Wietnamczykami w bilard, stopniowo dojrzewając, by wreszcie zasiąść w definitywnej posągowej pozycji przy barze.

Niezmiennie przyszwarcowują się do niego dwaj kumple, którymi się łaskawie opiekuje: wietnamski uciekinier, generał Piu, który zasłużył sobie w okręgu na reputację najlepszego hydraulika, i uciekinier węgierski, Bruno Kastorzus, który już dawno zmienił się w prawdziwego *butna*. Dość często przyłącza się do nich młody, odpicowany dżentelmen z kręgów biznesu, Melvin O'Massey. We czwórkę czekają, kiedy pojawi się niezrównana Bernadetta; wszyscy od czasu do czasu korzystają z jej życzliwości, aczkolwiek nikt nie kwestionuje priorytetu Matta Szuroffa. Piąty członek tego klubu, Alex Korbach, ksywa Ławski, trzyma się nieco z boku, choć i on, co tu ukrywać, zdążył się zapoznać z tajnikami Bernadetty. Zdarza się od czasu do czasu, że kierowniczka hotelu otwiera w środku nocy jego „studio” własnym kluczem i z miejsca wali się na wątlęgo niedorajdę całym żarem swojego oceanicznego *ego*. „A gdzie mój *cutie dickie-prickie*? Dawaj, nakryję go swoją *vaggie-maggie*!”

W First Bottom wszyscy wiedzą, że Ławskiemu wystarczy zaliczyć trzecią kolejkę „stoli”, żeby zaczął opowiadać głupoty o jakimś tam Mr Stanisławskim i jego znanym jakoby całemu światu systemie. Stąd też poszła ksywa: Stanis - Ławski, ludzie u nas dowcipni.

- Nie wiadomo jeszcze, kto był większym formalistą, Stanisławski czy Meyerhold - mówi,

zwracając się do osoby, którą ma przed sobą, czyli zazwyczaj do *bartendera* Frankie.

- *Really?* - grzecznie reaguje Frankie.

- Stanisławski, dążąc do maksymalnie wiernej imitacji życia, chciał odgrodzić się od twojego, Frankie, *really*, czyli stworzyć teatr sam w sobie. Jasne? Meyerhold natomiast odwrotnie, odrzucając imitację życia, obstając przy teatralności teatru, marzył, żeby stał się on częścią tych głupich utopii. Jasne, towarzysze?

- Jasna, tou-wo-riczczcz! - Bruno Kastorzius z trudem przypomina sobie język okupanta.

Bernadetta zaklaskała. Oczy Ławskiego słały silny blask.

- Zlikwidować jedną ze ścian, połączyć teatr z widzem, czyli z ulicą, to ponętne, ale nie tak skomplikowane, jak zmuszanie widza, żeby walił głową w ścianę między wyrocznią teatru a bazarem polityki, podglądał przez dziurkę od klucza. Łapiesz, Piu? *Matt-twaju-mat'*, kontynuować czy nie?

- Wal dalej, Ławski, tylko zabierz łapy z tyłka Bernadetty - mówił główny chwyt, którego powłoka skórna z biegiem lat, od czasu gdy zawarł znajomość z systemem penitencjarnym stanu Nevada, coraz bardziej upodobniała się do gobelinu, na którym skrzydlaci wojownicy z łukami reprezentowali siły dobra, a rusałki płały same z siebie, niczym nogi prostytutki w siatkowych pończochach.

Obalając podwójną *on the rocks*, Korbach kontynuował:

- Widzimy tu również problem aktora, drodzy państwo. Improvizując w stworzonych przez Meyerholda ramach, aktor staje się *cabotinem*, ulicznym pajacem, a zatem częścią tego pierdolonego narodu, szlag czerwony by go trafił razem z jego wypieszczonymi nadziejami! Stanisławski jednak mówił: przeistaczajcie się! Jesteście wolni od społeczeństwa, znajdujecie się w świątyni komedianctwa, nie dosięgną was ich brudne łapy! Hej, Piu, przeistaczaj no się w Makbeta! Zapomnij o tym, jak nawiałeś z Sajgonu i o swoim tutejszym gównianym interesie. No, graj Makbeta!

- Fiu, fiu - zagwizdał Piu, zamknąwszy z jakiegoś powodu oczy. Najwyraźniej, jego zdaniem, tak właśnie gwizdałby Makbet.

- Fantastycznie! - z nieadekwatnym szaleństwem wrzasnął Korbach. - Jesteś na właściwej drodze! Już się zaimpregnowałeś! - I zwrócił się do Bernadetty: - No a pani, *miss Lux*? Już wiem, oto zadanie dla pani, pani jest Raniewska! Proszę powiedzieć: gdzie mój *cherry orchade*, wiśniowy sad?

Bernadetta, nieoczekiwanie zbieżnie z niektórymi interpretacjami nieśmiertelnego dramatu powiedziała głębokim kontraltem:

- Gdzie mój *cherry pie*?

Faceci zawyli w lizusowskim zachwycie. Korbach upuścił ręce na kontuar, a głowę - na ręce. Końcowa część wieczorynki odbywała się bez jego uczestnictwa, aczkolwiek w jego obecności. Następnie Matt potrząsał jego ramieniem: „*Get up*, Ławski! Dasz radę iść?” Gramolił się z baru i szedł przed siebie niesamowicie rozległą plażą ku rosnącemu w mroku białogłowemu wałowi przypiływu.

- Koniec - mamrotał. - Dalej tylko ryk i piana. Reszta jest milczeniem.

Raz wyszedł za nim z baru młody człowiek w obszernych spodniach i obcisłym podkoszulku. Dogoniwszy go na plaży, zajrzał mu z boku w twarz.

- Proszę mi wybaczyć, *sir*, że tak bez ceremonii, ale przypadkiem podsłuchałem w barze, pan mówił coś o systemie Stanisławskiego, prawda?

- Pierdol się - powiedział łagodnie Korbach i młody człowiek, rzecz jasna, potraktował to jako zaproszenie do kontynuacji. Był dziwnie poruszony.

- Nazywam się Rick. Bardzo by mi zależało. Jeśli, naturalnie, uzna to pan za możliwe. Wydawało mi się, że mówi pan o czymś ważnym. Rozumiem, że jest pan cudzoziemcem. Czy mogę pana zaprosić na lunch?

- Pierdol się! - krzyknął tym razem Korbach i wyciągnął rękę w stronę miasta. - *Go, go!*

Młody człowiek usiadł na piasku i odprowadził wzrokiem oddalającą się w stronę morza sylwetkę w wydymającej się jak żagiel wiatrówce. Wydało się mu, że straciła cień, potem zlała się z ciemnością i dopiero po chwili wyodrębniła się wyraziście na tle białogłowego wału. Trzeba poczekać, pomyślał młody człowiek, być może wychynie z morza i chwyci go w garść ręka Posejdona. Warto, żeby był przy tym choć jeden świadek.

W dążeniu, by nie zastawiać na czytelnika tej opowieści żadnych pułapek, informujemy od razu, że ów młody człowiek, Rick Quillian, był aktorem niekomercyjnego teatru, a nie gejem, jak sądził Korbach. W zespole tego teatru byli, nawiasem mówiąc, ludzie, którzy odwiedzali Błazny w Moskwie i - użyjmy mimo wszystko górnolotnego czasownika - wielbili ich głównego reżysera, jednakże niekorzystny zbieg okoliczności, w tym przypadku nerwica alkoholowa, znowu odciągnął Korbacha od swoich.

Ile czasu może trwać to łązenie, myślał czasami z rozpaczą, skacowany, kiedy nie nasiąkł

jeszcze miedzią przedświt jego ukochany lufoik bez okna. I czemu wszystko dokoła jest takie mokre? Zsikałem się czy co? Albo próbowałem wejść do oceanu? Czy wczoraj tylko mi się tak wydawało, czy naprawdę w pewnej chwili zniknął mój cień? Duchy odróżniały Dantego od siebie, kiedy widziały, że rzuca cień. Na tym świecie jednak każdy rzuca cień. Pedał, który włókł się za mną po plaży, rzucał całkiem długi. Ale Ameryka nie jest mimo wszystko oryginalnym czyścicem, to tylko parafraza. Tutaj, być może, jedynie ja nie rzucam cienia. W panice włączyłem lampkę i dłońmi rzucał na ścianę poruszający się cień koguta.

- Oho, dobrodzieju, widzę, że jest pan w niezłym stresie! - z pseudoleninowską intonacją rzucił pseudożart Butlerow. Mimo wszystko przypomniał sobie o przyjacielu i nawiedził ubogi Cadillac - zdrowszy wyglądający, szczuplejszy, w płóciennym garniturze, w towarzystwie swojej wspaniałej Shirley Fiedot, tego klejnotu *art deco* połączonego z bujnym prymitywizmem Waleta karo; to się nazywa kobieta sztuki!

Wiadomo, czego panu potrzeba, Saszeńko, mój kochany! - powiedziała miłym, beztróskim, pełnym słodczy głosem, który od razu przypomniał mu Moskwę, teatr, wszystkie te postpremierowe integracje, pełne uwielbienia spojrzenia, mokre pocałunki, „złączmy swe dłonie, przyjaciele, by nie rozdzielił nas zły los”. Ta oto kobieta, nowa przyjaciółka Stasa, jak gdyby ucieleśniała tamtą otaczającą teatr atmosferę, przyjazną damską strefę obrony przed agresywną sowieckością, środowisko, w którym można rozwiązać każdy problem, w którym zwracano się do niego właśnie tak: „Saszeńka”, „mój kochany” albo i „złotko”.

- Panu, moje złotko, potrzebna jest przyjaciółka - kontynuowała Shirley. Pompatyczność, jaka towarzyszy gwiazdzie, rozplywa się w życzliwym tonie życiowego realizmu. - Potrzebna jest panu przystojna Rosjanka, stojąca pewnie na własnych nogach, i właśnie mam taką dla pana.

Udali się najpierw na Melrose Avenue do sklepu *Once is not enough*, to znaczy do ciuchlandu, na który natrafiła kiedyś Szura przy okazji przeczesywania tego fragmentu archangielskiego morza handlu. Można tu znaleźć niewiarygodne rzeczy po niewiarygodnie niskich cenach. Pewna ręka doświadczonej kobiety jednym ruchem zdejmuje z wieszaka jasny garnitur z bawełnianej tkaniny w prążki. No, chłopaki, jaka to marka? Ralf Lauren za 99 dolarów 99 centów, a przecież cena wyjściowa nie schodzi poniżej ośmiu setek! Bogaci Amerykanie nierzadko oddają tu swoje rzeczy za pośrednictwem służących, żeby mieć powód do obsprawienia się na nowo. No to co, niech pan przymierzy, Aleksandrze Jakowlewiczu!

Korbach poczuł niemal zapomniany już przyływ dobrego nastroju. Stylowy ciuch miał stać się jego własnością. Garnitur był jak nowy, tylko w kroku, po zewnętrznej stronie, spodnie miały plamkę wielkości pięciocentówki, wydzielającą, gdy przybliżyło się ją do nosa, jakiś dziwny, niespecjalnie odstręczający, niemniej lekko odbierający odwagę zapach. Na tę plamkę tam w głębi można nakleić malutką samoprzylepną łatkę, uspokoiła go Shirley. Kiedy zdążyła ją zauważyć? Rękawy odrobinę za długie, ale można je zawinąć, będzie na luzie, *cool*, tak jak trzeba, moje złotko.

Garnitur przeobraził go. Zamiast ubożego włóczęgi w lustrze pojawił się zblazowany bywalec międzynarodowych festiwali. Jasne, i tego typu ludziom zdarzają się trudne chwile, ale wszystkim wiadomo, że miewają i okresy prosperity. Shirley była usatysfakcjonowana. No widzicie, chłopcy, a teraz idziemy do Dwojry Radaszkiewicz, akurat urządza dziś *party*.

Za pomocą tego słówka, *party*, można przetestować każdego na okoliczność bycia Amerykaninem rdzennym lub naturalizowanym. Nawet Anglik, nie mówiąc już o słowianoidach, nie potrafi wymówić „rt” w środku tego słowa jako czegoś w rodzaju „d”, aczkolwiek z całą pewnością nie „d”. Korbach patrzył ze zdziwieniem na Shirley: wymawiała *party* po amerykańsku, w każdym razie on nie chwycił różnicy.

Przyjechali do „trzybedrumowego”, to znaczy z trzema sypialniami mieszkania na Ocean Avenue. Wypełniał je tłum żujących i sączących napoje osób. Tu, wśród emigranckiej młodzieży, praktykowano już amerykański styl przyjęcia, a zwłaszcza *dipping*, to znaczy zanurzanie surowej marchewki lub różyczki brokołu w gęstym sosie. Pod względem seksu też działo się coś w tym rodzaju, w każdym razie nikt nie robił problemu z *one night stand*, czyli kontaktów jednorazowych. Wyglądało nawet na to, że niektórzy Rosjanie przeszli pod tym względem aborygenów, zwłaszcza pani domu, olśniewająca drobna blondynka, poruszająca się niczym baletnica.

Dwojra, czyli niedawna leningradzka Daria, była „oddzieloną” - bo jak inaczej przetłumaczyć słowo *separated?* - żoną wzbogaconego niedawno handlarza obrazami. Człowiek ze wszech miar pozytywny, w akcie separacji przekazał Mr Radaszkiewicz swej byłej krasawicy solidną sześciocyfrową sumę, zaczynającą się od szóstki czy od dziewiątki. Kup butik, Dwo, nalegały przyjaciółki, w szczególności ta wyrocznia zdrowego rozsądku, Shirley Fiedot, inaczej wszystko przepuścisz. I proszę, butik kupiony, i z tej właśnie okazji odbywa się *party*.

Korbach był oszołomiony tym nieoczekiwanym, po tak długim okresie posuchy, zalewem

rosyjskiej mowy. Przemieszczał się ze swoim campari od ściany do ściany, czując, że ludzie popatrują na niego jakoś dziwnie. Poznają czy co? Nawet jeśli poznają, to najwyraźniej bez zachwytu, a nawet, kto wie, z pewnym lekceważeniem. Przypomniało mu się, że kiedyś już się z tym chyba spotkał, tak, w studiu Ypsilon, w SoHo. Tutejszej oświeconej nowoamerykańskiej publiczności nie wciśnie się zleżącego sowieckiego „hipa”, już jest rozpuszczona towarem pierwszorzędnej jakości.

W tym momencie zauważył, że przynajmniej dwie osoby nie patrzą na niego z góry. Pani domu i Shirley Fiedot uśmiechały się bardzo miło, patrząc na nowego gościa. Przypomniał sobie, w jakim celu został tu przywieziony, i poszedł się przedstawić. Dwojra z miejsca oszołomiła go pytaniem: „*Is it true*, och, przepraszam, w kółko człowiek papie po angielsku, czy to prawda, że z pana taki ogier?” I ujęła się pod boki, zachwycona swoim „prowokacyjnym pytaniem”. Miała zabawny, szybko zmieniający wyraz pyszczek: to śmiejąca się małpka, to wężąca myszka.

W nocy wydawało mu się, że bawi się w chowanego z dwiema maskami. Przysuwa się człowiek do wężącej myszki, a tu nagle ma przed sobą małpkę. Chce chwycić ustami roześmianą paszczkę małpki i nagle znowu ma przed oczami ostry, ruchliwy pyszczek myszki. Któraś z nich dwu szepnęła mu rano do ucha: „Słuchaj, ty naprawdę jesteś ten Sasza Korbach?”

Obudziwszy się około południa, nie znalazł w sypialni swojego ubrania. W tym momencie weszła Dwojra, niosąc jego koszulę, skarpetki i nowy, choć przeterminowany gang, wszystko wyprasowane i nawet lekko parujące nieoczekiwaną świeżością.

- Słuchaj no, czemu twoje spodnie czuć sosem Paula Newmana? - spytała ze zdumieniem.
- Bo to jego garnitur - odparł. - Dał mi ponosić na dwa tygodnie.
- Nie, naprawdę? - wykrzyknęła z żarem.

Kiwnął głową.

- Niestety. Tylko na dwa tygodnie.

W czasie gdy się ubierał, zdążyła, mówiąc po emigrancku, „fiksnać brekfast”: duża szklanka soku grejpfrutowego, stosik pięknie przyrumienionych tostów, masło, dżem, kawa. Pytając uniosła butelkę Johnnie Walkera. Jaka bystra, pomyślał z wdzięcznością. Sprytna, znakomicie przygotowana technicznie myszka-małpeczka.

- Wiesz co - powiedziała przy śniadaniu - powinieneś skończyć z tym *fucking* incognito biznesem. Korbach to Korbach, do diabła. Urządzimy konferencję prasową. Mam znajomych w „Timie”, a naczelny „Panoramy” to po prostu mój przyjaciel. Zrobimy burzę w tej szklance

wody. Dostaniesz kupę zaproszeń. Emigranci są już teraz w stanie płacić. Zaczniemy od Atamana, *okay*}

Znieruchomiał z ustami pełnymi bułki. Zżuł ją, połknął i spytał:

- Od czego zaczniemy?

- Nie udawaj! Ataman to szykowny klub rosyjski na Sunset Boulevard. Dostaniesz tam cały wieczór! Chcesz, zadzwonię od razu?

Złość wypełniła mu wnętrze, jak chłodny sok na pięć minut przed tym zwrotem w rozmowie:

- Powoli, szanowna pani. Chciałem pani powiedzieć już w nocy, ale pomyślałem, że byłoby to nietaktowne z mojej strony. Wie pani co, jeśli już miałbym wybierać między wężącą myszką a śmiejącą się małpką, na pani miejscu wybrałbym to ostatnie.

Zbladła, jakby od razu zrozumiała, co miał na myśli.

- Ty sukinsynu! Wiedziałam, że z ciebie kawał sukinsyna, wszyscy o tym mówili! Zabieraj się stąd i zapomnij drogę do mojego domu! - Ostatnie zdanie w całości wypowiedziała po angielsku, żeby nadać mu większą wagę.

Wlokąc się pod palmami Ocean Avenue w stronę swojego prostackiego Venice, rozkoszował się wolnością i wyrzucał sobie własne chamstwo. Upokorzyłem jeszcze jedną przyzwoitą kobietę. Cisnąłem w nią brudnym komentarzem, zupełnie jakbym pomyjami oblał. Urodzona baletnica, chciała odtańczyć ze mną wspaniały duet, a ja ją osadziłem i poniżyłem. Szumowinę ciągnie do innych szumowin, do Venice.

W tym naszym postmodernistycznym neobajronizmie, ciągnął w myśli, osiągamy może coś w dziedzinie autoekspresji, ale nigdy w miłości. Każde kolejne pokolenie demonizuje siebie samych: „ludzie zbędni”, „pokolenie straconych”, „poparzeni”, kokietujemy już sto pięćdziesiąt lat swoją dekadencją. Nie dane nam choćby zbliżyć się do prostoty i czystości „nowego słodkiego stylu”, do wierszy Guido Guinizzellego sprzed siedmiuset i coś tam lat:

Amor napina giętki łuk

I triumfując, już radością promienieje:

On słodką mi szykuje zemstę.

Lecz dziwnej słuchaj tej nowiny

Strzałą przesyty duch śle przebaczenie

Za sił utratę, siłę nowych mąk.

Nie w duszę, szanowni państwo, trafia obecnie strzała, a w kość ogonową. Akupunktura stref erogennych. Ciąg dalszy: nieszczęsny flirt.

Czas wrócić obecnie do Westwood Village, na skrzyżowanie, nad którym górują ogromne tablice reklamujące nowe filmy. Dwadzieścia stron temu, zdaje się, pozostawiliśmy tu naszego bohatera, zastygłego na widok zbliżającego się powoli motocyklisty. Zgodnie z naszymi zasadami nie zamierzamy drażnić czytelnika sensacyjnymi zagadkami i dlatego od razu informujemy, że był to Stanley Korbach na czterotysięcznym harleyu. Motocykle stały się niedawno nowym bzikiem pięćdziesięciosześcioletniego magnata, niezłym sposobem odwrócenia uwagi od mąk egzystencjalnych.

Aleksander Korbach nie miał o tym, rzecz jasna, pojęcia. Niczego na świecie nie spodziewał się mniej niż pojawienia się obok Colonial Parking w Westwood jakichkolwiek Korbachów. Prawie już nie pamiętał szczegółów rozmowy, jaka odbyła się rok temu w domu towarowym noszącym jego własne imię. W najlepszym wypadku przypominał sobie swoje niezręczne, żeby nie powiedzieć, haniebne wystąpienie w owym miejscu, które wziął początkowo za wrota Sądnego Dnia. Zresztą jeśli nawet nawiedzały go te wspomnienia, starał się od nich jak najprędzej uwolnić. A pomimo to w momencie osłupienia nie wiadomo dlaczego poczuł, że niezwykle jeździec przybył tu, szukając jego.

Motocyklista, z siwymi wąsami i wspaniałą szopą rudych włosów, rzucił na niego bystre, pełne humoru i życzliwości spojrzenie i przejechał obok w ciemną czeluść parkingu. Alex ruszył w ślad za nim. Zobaczył, że stoi obok dyżurki i po przyjacielsku gawędzi z Tedem. Harley warczał obok niczym oswojony lew, podobny temu, który postępował w ślad za Buddą.

- Ej, Alex, tu dżentelmen chce z tobą porozmawiać! - zawołał Ted, widząc przechodzącego pracownika. W jego głosie można było wyczuć pewne zdziwienie, jak gdyby od razu zadawał sobie parę pytań: co może mieć wspólnego taki dżentelmen z naszym ruskim? Czy dżentelmeni jeżdżą na harleyach? Czy harleye podporządkowują się takim dżentelmenom?

W obliczu dżentelmena nie było nic babilońskiego. Miał na sobie zwyczajną skórzaną kurtkę typu bomber classic, a nie czarną zbroję przekreśloną długimi błyskawicami, typową dla klanu harleyowców. Na baku nie widać było ani czaszki ze skrzyżowanymi pieszczelami, ani swastyki, ani sierpa i młota, ani pulchnej rusalki. Żadnej mrocznej wzniosłości nie dało się też zauważyć w rysach twarzy gościa.

- Mr Korbach?! - wykrzyknął, jak gdyby z trudem mógł uwierzyć własnym oczom. - To pan?

- *Yes, sir* - odparł Alex. - Czym mogę służyć, «r»? - Prezentując standardową uprzejmość pracownika parkingu, w środku automatycznie się nastroszył: czy aby nie stamtąd ten facet? Nie od nich? Miał na myśli, rzecz jasna, KGB.

Nie tracąc na próżno czasu, gość z miejsca rozwiął paranoję na temat KGB:

- Pan pozwoli, że się przedstawię: Stanley Korbach. W pewnym sensie można nas uważać za krewnych!

- *M khuya sebel* - mruknął Alex. Przypomniawszy sobie, że nazwisko to wspominał młody kierownik domu towarowego. Nazwisko prezesa gigantycznej korporacji, właśnie to *great name in the USA!*

- Czy nie miałby pan nic przeciw temu, Mr Korbach, gdybym pana porwał na pewien czas? Co pan sądzi o wczesnym lunchu, sir? Muszę z panem porozmawiać na pewien ważny temat.

Zaskoczony zniecała, Aleksander mamrotał coś niezupełnie zrozumiałego. Angielskie słowa zwisały niczym na wpół podduszone muchy w pajęczynie:

- *It is so* nagle. Jestem w pracy. *Job, job*. - W końcu udało mu się złożyć zrozumiałe zdanie: - Dzięki za zaproszenie, ale chyba nie mogę z niego skorzystać, bo właśnie zacząłem zmianę.

Stanley się rozjaśnił. Ten facet mówi dosyć zrozumiałą angielszczyznę. Nie ma w nim nic pretensjonalnego, nie wygląda też na psychola. Normalny, przyjemny na oko chłop w korbachowskim stylu, żwawy, o lekkim chodzie.

- Mam nadzieję, że Mr Ted pomoże nam *znaleźć* wyjście z tej sytuacji - zwrócił się ku bossowi, przypatrującemu się całej scenie z rosnącym zdumieniem, które, nawiasem mówiąc, w ogóle nie odbijało się na jego hebanowej etiopskiej twarzy. Na kontuarze przed bossem leżały trzy papierki, każdy po setce.

- Nie ma sprawy - powiedział Tesfalidet i machnął swoją dłoń pianisty. - Możesz wziąć wolne, Alex, nie ma sprawy.

Aram ukradkiem pokazał Aleksandrowi kciuk i niby to posypał go z wierzchu szczyptą soli. Sukces, stary, gratuluję!

Korbachowie opuścili parking i skierowali się ku najbliższemu zakładowi gastronomicznemu, czyli kawiarni U Alicji. Właśnie zaczęto tam nakrywać stoliki do lunchu. Stanley był o wiele wyższy od Aleksa, chudy, ale barczysty, gigant swego rodzaju. Twardy podbródek dumnie górował nad indyckim woreczkiem przywędłej skóry. Aleksandra przeszyło

nagle nieoczekiwane uczucie komfortu, jeśli podobne uczucie może przeszyć. Wygląda na to, że w świecie istnieje pewien komfort i pewna naturalność, skoro można tak po prostu pójść sobie z rana z hipotetycznym krewniakiem do najbliższej kawiarni. Stanley uchwycił jego wzrok i uśmiechnął się z dobrodusznym, choć i nieco diabolicznym humorkiem. W lokalu Stanley zaczął grać onieśmiałego prowincjusza.

- Głodny pan jest, Alex? - spytał.

- Niespecjalnie - padła odpowiedź.

- Co do mnie, to w ogóle nie chce mi się jeść - rzekł Stanley. - *Shit*, zdaje się, że wpadliśmy w pułapkę. Jeśli zamówimy mało, nie będą nas szanować. No, ale jeśli zamówimy cały lunch i nie zjemy go, to już w ogóle nie będą nas szanować. Proponuję zacząć od butelki dobrego szampana. Szampan jest drogi, tak że od razu zaczną nas szanować, rozumie pan?

Oto czego brakowało mi całe życie - mądrego starszego brata, pomyślał Aleksander.

- Podoba mi się sposób, w jaki zamawia pan szampana, Stanley - rzekł.

Kiedy skończyli pierwszą butelkę Clicot, Stanley przed zamówieniem drugiej rozpoczął swoją „poważną rozmowę”:

- Pozwoli pan, mój drogi, że zabiorę pana na krótką wycieczkę do dość odległego kraju w dość nieodległe czasy. Jedziemy?

Proszę wyobrazić sobie Warszawę lat siedemdziesiątych zeszłego wieku. Centrum guberni wchodzącej w skład rosyjskiego imperium. Zakaz rozmawiania po polsku w miejscach publicznych. Jidysz, jak sam pan rozumie, również nie cieszy się szczególnym poważaniem. W owym czasie na Starym Mieście znajdował się znany sklep futrzarski Korbacha. Kiedy dokładnie Korbachowie pojawili się w Polsce, musimy dopiero ustalić, nie należy jednak mieszać żydowskich Korbachów z polskimi Korbutami, którzy żyli tam od zawsze. Na podstawie pewnych danych możemy przyjąć, że Korbachowie w gruncie rzeczy nazywali się Kor-Bejt i że trafili do Polski po wygnaniu z Hiszpanii *via* Holandia i przystosowali swoje nazwisko do fonetyki polskiej.

Gedali Korbach miał dużą, murowaną kamienicę, mroczną, całą pozawieszaną ciężkimi tkaninami, i, ma się rozumieć, pełną demonów. Gospodarz, człowiek majątny i pobożny, cieszył się autorytetem w żydowskiej społeczności. W domu bez przerwy tłoczyli się komentatorzy Talmudu, a także mędrzy świeccy, w łapserdakach i aksamitnych kipach. Bywali zresztą i goście światowi. Podanie głosi, że nawiedzał dom sam baron Ginsburg, który nie tylko kupował tam swoim kobietom futra, ale i też prowadził rozważania o losie narodu z powolnym, ociężałym Gedalim.

Baron Ginsburg, rzecz jasna, mówił po francusku. W warszawskiej społeczności żydowskiej funkcjonował dziwny język, mieszanka rosyjsko-polsko-niemiecka z dodatkiem zwrotów z Talmudu. W świetle menory zasiadali w salonie koledzy gospodarza z cechu handlowego, właściciele garbarni i warsztatów białoskórnicznych. W całym domu silnie pachniało naftaliną i dzieciom się zdawało, że to woń pobliskiego piekła. Meble osłonięte były pokrowcami z płótna żaglowego, co przypominało dawne warsztaty tkackie. W piątek wieczorem życie zamierało: wszyscy siedzieli nakryci tałasami i recytowali modlitwy.

Jak we wszystkich zamożnych domach żydowskich dzieci uczyły się tu muzyki - codzienna bezmyślna tortura. Panował charakterystyczny dla wschodnioeuropejskiej diaspory ogólny smętek, stałe pragnienie ukrycia się przed światem zewnętrznym, tak jakby już wtedy przeczuwali, że nie skończy się to wszystko dobrze. Żona Gedalego, Dwojra...

W tym punkcie opowieści Aleksander przerwał Stanleyowi. Dwojra? Powiedział pan

Dwojra? Stanley kiwnął głową. Tak, tak właśnie się nazywała. A co? Nic, nic, głupstwo. Proszę opowiadać dalej.

No więc żona Gedalego umarła, kiedy ich starsi synowie, bliźniacy Aleksander i Natan, mieli po piętnaście lat. W synagodze znaleziono solidnemu kupcowi nową żonę, Rachelę, wdowę po właścicielu sklepu kolonialnego Fisku. Starła się przypodobać pasierbom, ale nic z tego nie wyszło. Chłopakom ciążyła nie tyle macocha, ile cały przyciężki styl ojcowskiego domu. Za jego murami kipiało interesujące, pełne napięć życie lat siedemdziesiątych. Z Petersburga i Moskwy dochodziły echa idei wolnościowych. Określenie „inteligent rosyjski” zaczęto wymawiać w szczególny sposób. Niosło od niego prochem domowej roboty bomb. W Warszawie podraستاło nowe pokolenie spiskowców. W gazetach pojawiały się reportaże o podróżach okrętem do Ameryki. Chłopcy widzieli przed sobą tylko dwie możliwości: rewolucja albo ucieczka do Ameryki. Starali się maksymalnie podsycić w sobie nienawiść do macochy, żeby usprawiedliwić tę alternatywę.

Daleko im było jeszcze do skończenia szesnastu lat, kiedy się zdecydowali. Domowe czorty, rzecz jasna, podkusiły ich, żeby ograbić ojca. Pewnego razu zakradli się nocą do sklepu, zabrali tygodniowy utarg i wypakowali dwie walizki syberyjskimi sobolami. Z takim dobrem, zdawało się im, podbiją Amerykę szturmem. Nie jest do końca jasne, gdzie im ukradziono walizki: już na statku czy w nowojorskim urzędzie celnym, w każdym razie znaleźli się wśród pierwszych osiedleńców dolnego East Side bez grosza przy duszy, czyli dokładnie tak, jak to bywa w powieściach.

Sympatyczni bliźniacy, czyli, jak nazywano ich w jidysz, *wos chob ich doch gedafft*, budzili współczucie w kupieckim tłumie i wkrótce udało im się znaleźć pracę we włoskiej garkuchni Downing Oyster House & Pasta Place. Natan i Aleksander otworzyli w tym miejscu nie mniej niż po milionie ostryg. Dodatkowo ironia losu polegała na tym, że zgodnie z zasadami koszerności nie wolno im było jeść małży. A pan lubi ostrygi, przyjacielu? No to zamówmy sobie z pół tuzina tuzinów, a co tam!

Chwała zasadom koszerności. Gdyby nie one, to być może odziedziczylibyśmy po przodkach wstręt do tych fantastycznych mięczaków.

Minął rok czy półtora, zanim bliźniacy przeszli z włoskiej sutereny do porządnej pracy w żydowskiej restauracji Fimmy Steak House. Tu byli już kelnerami i dostawali napiwki od dorożkarzy, rzeźników, handlarzy ulicznych i hurtowników-dostawców. Ta Fimmy, nawiasem

mówiąc, istnieje po dziś dzień. Powinniśmy tam zjeść kolację. Tylko już bez szampana. Nie wypada zamawiać w takich miejscach szampana. Wódkę trzeba zamawiać. Naprawdę! Niech nam przyniosą w kawałku lodu. Podobno tak robiono w Rosji. Trzymali butelki w jakiejś tam Woldze. Rzeka zamarzała i wtedy te pieprzone pojemniki wyrąbywano szablami czy czym tam się u was wyrąbuje wódkę z lodu.

- Pan mnie ciągnie za nogę, Stanley! Niech pan przestanie! - rzekł Aleksander, szalenie dumny, że użył idiomu.

- Boże uchovej! - wykrzyknął Stanley i zajął pod stół. - Nawet nie zauważyłem pańskich nóg, przyjacielu! - Pstryknięciem palców zamówił jeszcze jedną butelkę Clicot.

Nasi bliźniacy mieszkali niedaleko od tej świątyni kotletów, na Orchard Street, ulicy spelunek, którą później, w dwudziestym wieku, kolejne fale emigrantów niemal oficjalnie przemianowały na Jaszkin Street. Proszę ją odwiedzić, a zobaczy pan, że odgrywa się tam dziś tę samą operę co sto lat temu: sklepy Kaufmana i Gorelika, Soła Moskota i Lejbla Bystrickis, koszergurmej. Chłopcom się poszczęściło, na krótko przed ich osiedleniem władze miejskie wydały rozporządzenie, by domy były wyposażone w zewnętrzne schody na wypadek pożaru, prymitywną wentylację, a także „prywatne wygodę zewnętrzną”, czyli klozety na podwórku z jednym oczkiem na dwudziestu mieszkańców. Do tego czasu kucano pod domem.

W końcu lat siedemdziesiątych w życiu Korbachow zaszło coś ważnego, jakieś znaczące podwyższenie finansowego poziomu życia. Tego okresu dotyczy mglisty zapiszek w dzienniku naszego założyciela, to znaczy pańskiego imiennika, Alex. Wróciła część futer, pisze. Wpłynęło... dolarów. Cyfra jest zamazana i zdrapana paznokciem. Można założyć, że chłopcy nawiązali kontakt z żydowską mafią, mającą swoje pozycje na granicy Bovary i dolnego East Endu.

Tak było czy inaczej, w każdym razie wynajęli samodzielne mieszkanie z bieżącą wodą na Sevard Avenue. Wygląda na to, że mniej więcej w tym czasie kupili sobie fałszywe świadectwa ukończenia carskiego gimnazjum rosyjskiego w Warszawie. Kto w Ameryce będzie sprawdzać, że nawet ich wiek nie pasuje do tych świadectw? Wiadomo, że Natan przez rok chodził na zajęcia w Hunter College i nosił się z zamiarem wstąpienia do Massachusetts Institute of Technology. Aleksander zaś tymczasem został jednym z trzech współwłaścicieli Firmy, gdzie bracia ciągle jeszcze pracowali w charakterze kelnerów. Później Natan odszedł z restauracji do jakiejś fabryki papieru na rogu Grand i Mulbury. Robił tam szybkie postępy i nawet w końcu

opatentował nowy sposób produkcji wysokogatunkowego papieru. I w tym momencie nastąpił kryzys w stosunkach między braćmi.

Wie pan naturalnie, że bliźnięta jednojajowe całe życie odczuwają coś w rodzaju podwójnej osobowości. Z dala od siebie czują się nieswojo, każde działanie odbierają jako niedokończone. Myśl o długotrwałej rozłące wydaje im się wręcz nie do zniesienia. Nasi chłopcy nie byli wyjątkiem pomimo różnic temperamentów i zamiłowań.

Oto co nam obecnie wiadomo na ten temat. Aleksander był typowym ekstrawertykiem: łatwo nawiązywał kontakty, chętnie szedł na ryzyko, a nawet wdawał się w afery. Nowy Jork, gdzie nieoczekiwanie można było dostać w ucho i równie nieoczekiwanie odnieść sukces, wessał go całkowicie, stał się typowym agresywnym amerykańskim handlowcem tamtej epoki. Twarz Natana natomiast to twarz pilnego młodzieńca jak gdyby laboratoryjnego typu. Nie sądzę, by interesowały go szczególnie problemy oderwane, jednak w pozostałej po nim bibliotece można znaleźć, obok podręczników chemii i fizyki, Dickensa, Balzaca, Henry Longfellowa, nie mówiąc już o zamówionych w Petersburgu ówczesnych królach powieści, Tołstoju i Dostojewskim.

Wątpliwe, czy chłopcy, wciągnięci w wir Nowego Świata, byli dobrymi Żydami, ale, ma się rozumieć, przestrzegali szabasu, a w święta chodzili do synagogi. Wśród książek Natana znalazłem między innymi kroniki Józefa Flawiusza, co oznacza, że interesowała go żydowska historia. Aleksander Korbach, obawiam się, nie czytał nic oprócz gazet z notowaniami giełdowymi. Był motorem pomysłów handlowych i światowcem-elegantem. Z przywódcami mafii, rzecz jasna, pozostawał w dobrym kontakcie.

Paradoksalne, że najbardziej ryzykowny pomysł przyszedł do głowy nie Aleksandrowi, a Natanowi. W 1881 roku poinformował brata, że wraca do Rosji, by rozpocząć tam produkcję papieru według swojej metody. Z ocalałych zapisków naszej przyszłej prababci, ówczesnej narzeczonej, można się dowiedzieć, że Aleksander był wściekły. Myślę, że nie tylko wściekły, ale również śmiertelnie wystraszony. Nigdy jeszcze druga połówka jajeczka nie oddaliła się na taki dystans. I chyba nie wybaczył bratu tego rozłamu. Wygląda na to, że i Natan zawsze nosił w sercu coś w rodzaju poczucia winy, choć na czym polegała jego wina, jeżeli cała obliczona na dwoje nostalgia przypadła na jego połówkę jajeczka?

Rosja i Ameryka w owych czasach, w odróżnieniu od obecnych, były oddalonymi wprawdzie, ale jednak częściami tego samego świata, połączonymi dość niezawodną komunikacją okrętową. Bracia korespondowali z rzadka, ale stale. Aleksander pisywał suche listy

i życzenia z okazji żydowskich świąt.

Zazwyczaj dyktował je swojej sekretarce, dlatego zachowały się kopie. Nie udało nam się zidentyfikować choćby jednego przypadku życzeń urodzinowych; ciekawe, prawda? Listy Natana przypominają literackie próby początkującego pisarza, tyle w nich lirycznych tęsknot i uroków pejzażu. Z roku na rok coraz bardziej zwracał się ku językowi rosyjskiemu, chociaż mój ekspert znalazł w tych kompozycjach sporo błędów gramatycznych i syntaktycznych.

Tak czy inaczej, do roku 1917 bracia byli nawzajem dobrze poinformowani o swoim życiu. Natan wiedział, że wkrótce po jego wyjeździe Aleksander ożenił się z bogatą Irlandką. Powołali we dwójkę do życia dwoje dzieci, w tej liczbie mojego dziadka, a także dom towarowy, który po dziś dzień nosi szlachetne imię przywłaszczyciela soboli, to znaczy pańskie, Mr Alexander Korbach, w tak godny uwagi sposób powtórzone po czterech pokoleniach.

Natan Korbach tymczasem kupił w Rydze fabryczkę papieru i wyposażył ją po swojemu. Wkrótce i on ożenił się z córką stroiciela fortepianów, Rebeką Słonimską, i urodził się im pański dziadek, wielce szanowny Rubin Natanowicz, który, jak się zdaje - tu nasze ustalenia stają się nieco mętne i liczymy na pańską pomoc - studiował malarstwo i rzeźbę i ożenił się z pańską babcią, Iriną Stiepanowną Kropotkin, z czego pozostała w Warszawie część klanu była bardzo niezadowolona, jako że wziął *sziksę*.

W jednym z listów Natan dosyć dowcipnie opisuje okoliczności swojego ożenku. Możliwe, że nigdy pan o tym nie słyszał. Tak też myślałem. Oto co wówczas zaszło. Jak może się pan domyślać, powrót z Ameryki przystojnego i niebiednego Korbacha wywołał istny rwetes wśród niewiast Warszawy, Rygi i Wilna. Tu ma miejsce pewien niezwykle incydent. Sprawy matrymonialne całej gałęzi dużych żydowskich klanów w tej części imperium rosyjskiego były w rękę znanego rzeźbiarza Marka Antokolskiego. Człowieka tego, mającego niewiele ponad czterdziestkę, uważano za najwybitniejszego członka społeczności, jako że jego nazwisko było sławne daleko poza granicami miasta, miał też mocną pozycję w stolicy imperium jako słynny rzeźbiarz. Wszyscy nasi Korbachowie i Słonimscy, a także Ginsburgowie, Rabinowicze i tak dalej, traktowali go jak patriarchę, on zaś, jak sądzę, chętnie akceptował tę cześć. Właśnie z listem pana Antokolskiego pojawił się młody Korbach w domu Słonimskich, gdzie były na wydaniu dwie córki.

Jednakże i tu nie wszystko przedstawiało się tak prosto. Najlepszy w Rydze specjalista od fortepianów, Solomon Słonimski, po śmierci żony, matki pańskiej prababki Rebeki, ożenił się

z kobietą starszą od siebie, która miała dwie własne córki. Właśnie te córki były na wydaniu, i właśnie do nich na oględziny wysłał patriarcha Antokolski młodego Natana.

Wydano uroczysty obiad z niekończącą się ilością dań, wszystkimi tymi kreplachami, knublami, knadelami, cybelami, a na zakończenie pojawił się oszołamiający wiedeński strudel, który dziewczyny własnoręcznie upiekły. Wszyscy milkli z podziwem, kiedy Natan opowiadał o Ameryce. Dla nich był nieskazitelnym nowojorskim dżentelmenem. Nie umieliby wyobrazić go sobie w drewnianym klozecie na Orchard Street. Wstrzymując dech, rodzina popatrywała, którą z dwu panien będzie wolał.

On tymczasem ukradkiem popatrywał na trzecią, która tylko z rzadka przysiadła się do stołu, a częściej pomagała służącej. Była to osiemnastoletnia Rebeka. W pewnej chwili, gdy wynosiła naczynia, Natan zapytał cicho:

- A kim jest ta dziewczyna?

Zapadło niezręczne milczenie. Potem *madame* Słonimska powiedziała ze światową niedbałością:

- A, to po prostu krewna.

W tym momencie Rebeka upuściła naczynia i krzyknęła:

- Nie żadna krewna, tylko rodzona córka swojego ojca! - I rzuciła się do kuchni.

Młody dżentelmen o lekkim chodzie mafioso z East Side udał się w ślad za nią. Wszystko było jasne.

Rzeźbiarz Antokolski był niezwykle rozsierdzony, że spotkanie nie odbyło się w zgodzie z jego scenariuszem, jednakże, zaznajomiwszy się z młodą parą, zastąpił gniew łaską i nawet później wziął pod swoją opiekę artystyczną ich podrastającego syna, pańskiego dziadka Rubina. Właśnie pod wpływem Antokolskiego młodzieniec poszedł w kierunku artystycznym i w przyszłości stał się znaczącą postacią rosyjskiej awangardy, co, rzecz jasna, wzbudziłoby u opiekuna wyłącznie odrazę, gdyby dożył tych czasów.

- Słyszałem o tym coś niecoś od babki - rzekł Aleksander. - Był członkiem grupy Walet karo, a potem Ośli ogon. Jak to będzie, *Donkey's tail*?

- *Monkey's tail*? - odpowiedział pytaniem Stanley.

Kawiarnia dawno się już wypełniła ludźmi, którzy przyszli na lunch. W centrum sali energicznie zajmowano się rozbiorem sałatek. Niektórzy konsumenci wymieniali szeptem uwagi, popatrując na dziwną parę niezbyt pasujących do siebie mężczyzn, trąbiących Clicot

o przedpołudniowej porze w kącie werandy, pod drzewem cytrynowym. Szczególna para, *indeed*: stary ma na głowie wspaniałą szopę włosów, a młody łysy jak kolano, stary, w skórzanej kurtce, kołysze długą nogą, którą trzeba omijać z półmiskiem sałatki w rękach, a młody, w srebrzystej kurteczce z napisem Colonial Parking, pali papierosa za papierosem, czyli szkodzi swojemu zdrowiu, a przy okazji zdrowiu otoczenia - no, popatrzcie sami, co to za ludzie.

- Dalej obraz zaczyna się rozmywać - ciągnął Stanley. - Wiadomo, że ryska fabryka przynosiła wysoki dochód. W jednym z listów Natan zaproponował Aleksandrowi, żeby zainwestował w rozszerzenie produkcji. Aleksander myślał wyłącznie kategoriami rozszerzania, rzecz jasna. Był bliski zgody, ale z jakiegoś powodu do niej nie doszło. W roku dziewięćset ósmym Natan zwinął swoje sprawy w Rydze i przeniósł się nad Wołgę, do miasta Semeri, o, dziękuję, do Samary, i tam wznowił produkcję papieru według swojego manhattanskiego przepisu.

Bracia cały czas myśleli o tym, żeby się zobaczyć, planowali podróż, jednakże po roku siedemnastym wszystkie te plany upadły i korespondencja również ustała. Do tej pory nie wiemy, co się stało z Korbachami nadwołżańskimi. Do Auschwitz, na szczęście, mieli daleko. Ich zakład z pewnością został upaństwowiony, ale na przykład jak zakończył życie Natan, nie mamy najmniejszego wyobrażenia. Może pan, Alex, zachował coś w pamięci? Będę panu także bardzo zobowiązany za jakąkolwiek informację o pańskiej rodzinie. Coś niecoś już o niej wiemy. Może pan wierzyć lub nie, ale jesteśmy kuzynami czwartego stopnia.

Zakończywszy swoją opowieść, Stanley poczuł się dziwnie niezręcznie. Trudno było przewidzieć, jak zachowa się teraz ten facet, kuzyn czwartego stopnia. A jeśli zacznie prosić o pieniądze? Całe to spotkanie było, rzecz jasna, nieco absurdalne. Absurdalność pogłębił fakt, że do kawiarni weszły dwa muskularne typy, ochroniarze naszego magnata. W jakiś sposób udało im się wysledzić jego motocyklową ucieczkę. Co tu gadać, profesjonaliści.

Aleksander, ogłupiały do cna od tego, co usłyszał, a jeszcze bardziej z powodu konieczności wysłuchania najdłuższego w jego życiu monologu po angielsku, pokręcił lśniąca czaszką:

- *Nu i nu!*

- Co znaczy to „*nu i nu*”? - spytał Stanley.

Aleksander wykonał rękami gest, który miał oznaczać owo „*nu i nu*”.

- Czy mogę zadać panu pytanie?

- Im więcej pytań, tym lepiej - kiwnął głową Stanley i nagle syknął z wściekłością gdzieś

w bok: - / *know! Tell them, I know!*

Chodziło o to, że jeden z ochroniarzy przespacerował się obok ich stolika, przy czym znacząco popatrzył na zegarek, zdawałoby się, wycięty z kawałka antracytu.

- Jak pan mnie tu znalazł? - takie było, naturalnie, pierwsze pytanie Aleksandra.

Kuzyn czwartego stopnia uśmiechnął się.

- Ten kraj, Alex, to forteca wolności. Forteca, rozumie pan? Art Duppertat z naszego nowojorskiego sklepu opowiedział o waszym spotkaniu, zadzwoniliśmy do Urzędu Imigracji i Naturalizacji i ustaliliśmy, że obywatel radziecki Aleksander Korbach istotnie przybył do Stanów Zjednoczonych z wizą N-1. Następnie połączyliśmy się z biurem tejże organizacji w LA, jako że wspomniał pan Arturowi, iż wybiera się do Kalifornii, i tam niezwłocznie uzyskaliśmy informację, że wystąpił pan o azyl polityczny. Z tymi informacjami nietrudno było ustalić pański numer opieki socjalnej. Proszę mi wybaczyć, ale zapisałem go nawet w swoim notesie. - Z tymi słowy Stanley wyciągnął mikroskopijny komputer, postukał palcem i pokazał Aleksandrowi dziewięć cyfr jego numeru identyfikacyjnego, których on, za radą Stasa, nauczył się na pamięć, tak by w razie potrzeby wypowiedzieć je nawet przez sen: 777-77-7777.

- Dalej już wszystko było zupełnie proste - ciągnął Stanley. - Otrzymaliśmy pański adres i telefon, a dziś rano pod tym telefonem poinformowano mnie uprzejmie, że wyjechał pan do pracy w Westwood Colonial Parking. Widzi pan, niesłusznie pisze się u was w ZSRR, że człowiek w Ameryce jest zdany na łaskę losu. Raczej na łaskę komputerów.

- Nie mam nic przeciw temu - skinął głową Aleksander. - Tak jest nawet lepiej. Mimo wszystko nie na śmietniku, prawda? Czasem można nawet zjeść darmowe śniadanie. - Mówiąc to, miał na myśli Katolickich Braci, ale Stanley wziął to do siebie i roześmiał się.

- Nawiasem mówiąc, kuzynie, komputery jak dotąd nie pomogły nam się dowiedzieć, kim pan jest. Wizy preferencyjnej nie wydaje się mimo wszystko garażowym.

- A, jestem z teatru - machnął ręką Aleksander i zamilkł. Stanley zrozumiał, że nie zamierza dodawać niczego więcej, i ostrożnie dorzucił sam:

- Pan jest nowy w tym kraju, Alex, i być może nie zauważył pan, że tu nie wolno siedzieć z założonymi rękami i czekać na sukces. Tu trzeba sprzedawać swój towar, i to sprzedawać aktywnie. Agresywny marketing, można powiedzieć.

- Ten komercyjny termin to nie moja dziedzina - sucho zauważył Aleksander. - Lepiej opowiem panu, Stanley, co wiem o rodzinie. Ojca nie widziałem na oczy, rozstrzelali go

w trzydziestym dziewiątym na parę miesięcy przed moim urodzeniem. Nikt w rodzinie nigdy się nawet nie zająknął o jakichkolwiek krewnych w Ameryce. Nie jestem pewien, czy w ogóle ktoś coś wiedział o waszej gałęzi klanu Korbachów. Prawdę mówiąc, nawet o swoim pradziadku Natanie nic nie wiedziałem. Babcia Irina czasem mgliście wspominała o jakichś samarskich Korbachach, ale zaraz przeskakiwała na inny temat. W latach siedemdziesiątych, kiedy ja byłem już po trzydziestce, a ona po osiemdziesiątce, przeszła operację oczu, usunięto jej kataraktę. Z jakiegoś powodu zaczęła wówczas często wspominać przeszłość, i to z mnóstwem wyrazistych szczegółów, jak gdyby wrócił jej nie tylko wzrok, ale i pamięć. W jednym z jej ówczesnych opowiadań znów przemknęli samarscy Korbachowie. Rubin na krótko przed rewolucją jeździł do Samary zobaczyć się ze swoimi, jak ich nazywał, półbraćmi. Nie pamiętam, czy wspominała pradziadka, ale nawet jeśli wspominała, to nie tak, żeby zapamiętał go człowiek teatru.

Chwileczkę, właśnie coś mi się przypomniało: zdjęcie! W tamtych czasach babcia bez przerwy przeglądała swoje albumy z fotografiami, wspominała minione życie, no i raz wyciągnęła ogromne zdjęcie i nakleiła na karton z jakimiś tłoczeniami na rogach. Sasza, popatrz, to jest dziadek z samarskimi Korbachami! Wtedy wiecznie się gdzieś spieszyłem, tak że miałem to zdjęcie w rękach najwyżej dwie minuty. Było zrobione w atelier, na tle takich typowych „wystawnych” draperii. Co najmniej tuzin osób, pamiętam, starsi w fotelach, młodszy stoją za nimi. Być może teraz konfabuluje pod wpływem pańskiego opowiadania, Stanley, ale w środku siedział starzec z wąsami a la cesarz Wilhelm. No, to znaczy wtedy wydawał mi się starcem. W rzeczywistości musiał mieć około sześćdziesięciu lat. Niewykluczone, że był to właśnie pradziadek Natan.

Powinienem powiedzieć panu, że ludziom radzieckim skutecznie wybito z głowy chęć kopania w rodzinnej historii. Chcieli raczej zaciemnić, niż wyjaśnić swoją genealogię. A nuż wyskoczy tam jakiś wróg narodu: pop, oficer, kułak, handlarz... Mało kto spośród moich znajomych prześledził swoje pochodzenie dalej niż do dziadka. Rewolucja stworzyła w historii Rosji jakąś kolosalną zaporę, pozachronologiczną granicę. To, co było za nią, odnosiło się do czasów Nabuchodonozora.

Pamiętam, że na tym zdjęciu rzuciło mi się w oczy dwóch pyszałkowatych młodych ludzi, młodszych „półbraci” dziadka Rubina, Nola i Wola. Babka opowiadała szeptem, że w czasie wojny domowej uciekli do białych. W Samarze był wielopartyjny rząd zwolenników Konstytuanty, Żydzi mogli wstępować do ochotniczego pułku. Muszę powiedzieć, że cała ta

grupa zdumiała mnie swoim burżuazyjnym wyglądem. Dobrze ubrani, swobodne pozy, śmiałe, pewne siebie spojrzenia. Całkowity brak rosyjskiego ducha, a i żydowskiego nie było za wiele. Dwie, trzy charakterystyczne twarze, ale ogólnie cała rodzina wyglądała po europejsku.

Muszę się przyznać, że dopóki pana nie spotkałem, mało myślałem o swoich żydowskich korzeniach. O moim pochodzeniu od Korbachów dowiedziałem się, kiedy miałem czternaście lat. Do tego czasu nosiłem nazwisko ojczyma i miałem wpisaną w papierach narodowość rosyjską. Dopiero gdy skończyłem szesnaście, wróciłem do własnego nazwiska i narodowości, ale zrobiłem to nie dlatego, że czułem się Żydem, tylko ze wstrętu do wszystkiego, co sowieckie. W kręgach, w których żyłem i pracowałem, to znaczy teatralnych, nikogo nie obchodziła żydowskość jako coś szczególnego, wyjątkowego. Żydowskość funkcjonowała tylko w anegdotycznym, odeskim sensie. Dziwne, ale nawet temat Holocaustu wpływał niezbyt często. Komuniści wymyślili sprowadzenie religijności do minimum, a kiedy nastąpił powrót do religii - też bardziej z chęci protestu niż z głębokiej potrzeby - wszyscy zaczęli nosić krzyże. Wielu młodych Żydów zwróciło się ku cerkwi prawosławnej. Pasternakowska filozofia asymilacji z kulturą rosyjską była bliższa niż izraelskie starożytności, Nowy Testament inspirował silniej niż Tora. Trzeba też wziąć pod uwagę, że pod względem genealogicznym wszystko się u nas strasznie przemieszało. Pański świeżo zyskany kuzyn czwartego stopnia, Stanley, jest, nawiasem mówiąc, tylko w jednej czwartej Żydem.

W tym miejscu Stanley łagodnie przerwał Aleksandrowi: - Boję się, Alex, że mimo wszystko jest pan bardziej Żydem, niż się panu zdaje. Zeszłej zimy moi pomocnicy, Fuchs i Lester Square, pracowali w Moskwie i udało się im ustalić, że pańska babka ze strony matki, Raisa Michajłowna, z domu Górską, również była Żydówką. - Roześmiał się, widząc zdumienie na twarzy Aleksa, i współczująco poklepał go po ramieniu: głowa do góry, przyjacielu, teraz to już nic strasznego.

Alex z trudem przypomniał sobie skromniutką Raisę Michajłownę. Widział ją w życiu zaledwie parę razy, kiedy przyjeżdżała ze swojego Swierdłowska zobaczyć się z wnuczętami. Przyjazdy te zawsze wywoływały w rodzinie Izmaïłowów klimat jakiejś niejasności. Narodowość „tamtej babci” była, jak widać, tabu. Matka najprawdopodobniej nie ujawniała w ankietach swojego w połowie żydowskiego pochodzenia, przez całe życie z uporem uważała się za czystą Rosjankę. Biedna matka, pracownik działu starodruków, nieszczęsna radziecka kłamczucha.

- Niech mi pan powie, Stanley, po co się pan zajmuje tymi badaniami?

Nie odpowiedziawszy olbrzym wstał i teraz już sam popatrzył na zegarek. Ochroniarze z wyrazem szczęścia na gruszkowatych obliczach rzucili się ku wyjściu. Kiedy dwaj Korbachowie wyszli z restauracji, przy krawężniku czekała już limuzyna długa na pół przecznicy.

- Niestety, na mnie pora. Lecę do Seattle - powiedział Stanley.

- Kiedy ma pan samolot? - spytał Aleksander nie bez ulgi. Na dziś miał dość wynurzeń, nie mówiąc już o tym, że nie czuł języka po takiej dawce angielskiego.

- Jak tylko przyjedziemy na lotnisko, od razu lecimy - odparł wielkolud.

O czym ja mówię, pomyślał Aleksander. Przecież na pewno ma swój samolot.

- Podrzucę pana - zaproponował Stanley. - Chciałbym popatrzeć, jak się pan tu u nas w Ameryce urządził. A pański samochód nasz najmilszy Mr Ted później panu podrzuci.

Przez pewien czas kołysali się w milczeniu na resorach limuzyny. Później Stanley zapytał:

- A gdzie może teraz być ta rodzinna fotografia?

Aleksander wzruszył ramionami.

- Najprawdopodobniej została w moim moskiewskim mieszkaniu.

- Ma pan tam mieszkanie? - z jakiegoś powodu zdziwił się Stanley.

- W każdym razie miałem - uśmiechnął się Aleksander.

- Rozumiem - rzekł Stanley.

Patrzcie go, wszystko tak świetnie rozumie, z pewnym rozdrażnieniem pomyślał Aleksander. Miliardy nie zawsze umożliwiają zrozumienie, panie kuzynie na stanowisku prezesa, czy raczej panie prezesie na stanowisku kuzyna. Cały niedawny lunch stanął mu nagle przed oczyma tknięty skazą hipertrofii i sam kuzyn urósł do rozmiarów gargantuicznych. Połyka ostrygi tuzin za tuzinem, całe pół tuzina tuzinów, tuzin półtuzinów tuzinów. W Alicji kończy się zapas ostryg, biegną po wsparcie do Basilia. Wypija cały francuski szampan, jakim dysponuje zakład, i przechodzi na kalifornijski, a wtedy podwożą jeszcze parę skrzynek Clicot. Zauważywszy niedowierzanie, podstawił ci pod nos gigantyczną dłoń, w której wnętrzu, między liniami życia i losu, leży przejrzysty kryształek soli. Otwieraj no usta, Alex, ty czorcie! - chichocze i wrzuca

kryształek w twój ochoczo rozarty dziób. Ogarnia cię żądza szampana, niepowstrzymana, nieugaszona. Dziwne, zaprawdę dziwne spotkanie po stu latach rozłąki!

Stanley nie wyłapał niewielkiej zmiany nastroju swojego szczęśliwie zyskanego kuzyna czwartego stopnia. Jego własny nastrój był całkowicie odmienny. Narastało w nim - i wyglądało na to, że dość gwałtownie - niezrozumiałe ciepło w stosunku do tego zaniedbanego łysego młodzika z jego koślawym angielskim. Powiniennem mu pomóc, pomyślał. Nie dlatego, że jestem bogatszy od niego, tylko dlatego, że o dwanaście lat starszy. Nieładnie, rzecz jasna, od razu stawiać siebie wyżej, ale nie ma innego wyjścia, powiniennem mu pomóc.

- Niech pan posłucha, Alex - powiedział. - Na razie jest pan tu obcy i najwyraźniej przechodzi pan nie najlepszy okres w życiu, dlatego mam nadzieję, że nie poczuje się pan urażony, jeśli...

- Dzięki, Stanley - przerwał mu Aleksander i pomyślał: mimo wszystko niezły facet. - Dziękuję, jestem bardzo wzruszony, ale nie trzeba. Wszystko jest w porządku.

Podjechali pod hotel Cadillac w porze, kiedy ten zwraca się swoją potrzaskaną czaszką ku słonecznej stronie. Na tarasie paru starszków grało w karty. Jeden z nich, ze zgasłym ogryzkiem cygara w kąciку ust, na sekundę odwrócił uwagę od gry i rzucił na limuzynę ocalałym okiem, w którym nieoczekiwanie zapłonął bandycki ogień. Niezły środek transportu, przypłynęło najwyraźniej z jego wciąż jeszcze żywego „amerykańskiego snu”.

- Co pan tu ma? - spytał Stanley.

- Studio - uśmiechnął się Aleksander.

- Z toaletą?

- A co, chciałby się pan odlać?

- Jak pan się domyślił?

W foyer Stanley kontemplował przez jakiś czas dumę osiedla, wielkie malowidło, wyobrażające pojmanie w sieci pokaźnej rusałki na tle baszt jakiegoś hugonockiego fortu. Nawet Bernadetta Lux nie wiedziała nic o pochodzeniu malowidła, choć w rysach twarzy rusałki wielu rozpoznawało rysy patronki.

- Inspirujące - podsumował krótko magnat finansów i przemysłu.

Wymyślił tę toaletę, żeby zobaczyć, w jakiej nędzy żyję, pomyślał Aleksander.

W rzeczywistości jednak Stanley wcale nie kłamał. Miał pewne problemy z oddawaniem moczu, między innymi, aby puścić pełnowartościowy strumień, musiał się wesprzeć obiema

rękami o ścianę za rezerwuarem. Wyszedł z łazienki z rozjaśnioną twarzą i raczej automatycznie niż z ciekawości wziął do ręki jedną z książek leżących na chwiejnej etażerce, którą Aleksander niedawno przyniósł z pobocza trotuaru w Santa Monica.

- Co to jest? - Najwyraźniej nie mógł przeczytać ani słowa pisanego grażdanką.

- Dante - odparł Aleksander. - *Commedia divina*.

Stanley zaśmiał się.

- Niewykluczone, że na naszych nocnych stolikach leżą te same książki. - I jak gdyby przeczytał z pierwszej strony:

*In the midway of this our mortal life,*

*I found me in a gloomy wood, astray*

*Gone from the path direct*

- Po rosyjsku lepiej to brzmi - zauważył Aleksander.

- No jasne! - zaśmiał się Stanley. - To na razie, Alex! Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Kiedy odjechał, Aleksander wyszedł na ganek i padł na skłębony byle jak bujany fotel. Przed sobą miał zalany słońcem, oślepiająco biały zaułek. Uchodził w perspektywę ciąg pojemników na śmieci, każdy wielkości konia trojańskiego. Na końcu perspektywy widniał ocean, na nim zaś kilka żagli. Nad oceanem stało bezchmurne niebo i tam, w wywabiający wszelkie czarne plamy błękit z mocą piał się gigantyczny *jet*, biorąc kurs na Japonię.

Zamknął oczy i wyłączył się, a kiedy znów je otworzył, ujrzał majestatyczne formacje obłoków na tle połyskującego miedzią horyzontu Oceanu Spokojnego. Wszystko to razem tworzyło obraz jego wczesnopionierskiego dzieciństwa. Obłoki imitowały grzebień Himalajów i wzywały na śnieżne przełęcze, za którymi czekały młodego leninowca zapierające dech przygody. Słońce opadało już po trajektorii, a im niżej schodziło, tym dramatyczniejszy był front obłoków i tym bardziej doroślał obserwator, rozparty na tarasie hotelu Cadillac. Głęboki błękit z ognistą obwódką to wczesna młodość Saszy, wzywająca na wyprawę po zachodnią „bonanzę”. Nastoletnia młodość przechodziła stopniowo w dojrzałą, o czym wymownie świadczyły grupy obłoków, akumulujące liliową erotykę. Słońce wykonało swój nieprawdopodobny trick

i dotknęło linii morskiego horyzontu. Przed oczami Korbacha zmaterializowała się obecnie gorączka jego karnawału. Cała atmosfera przesycona była „nowym słodkim stylem”, który co chwilę słał świeżo odbite obrazki na butelkową zieleń nieba - rozpierzchłe stadko wielbłądźiąt, eskadra bałtyckich żaglowców, wir masek tańczących wokół fontanny. Niestety, niedługo to trwało. Wielbłądźiąta szybko zmieniły się w czeredę dziwacznych mieszańców, w dwugłowe i trójuche króliczeta, w podobny do ogona nos krokodyla, w gromadkę odrażających grzybków, w przewrócony pomnik Lenina o rozrosłym zadzie, we wszystkie te oznaki kryzysu wieku średniego, uzupełnione o gnilne piętna sekrecji. Zmierzch gęstniał, łupież wczesnych gwiazd obwieszczał zakończenie koncertu. Ostatni szmaragdowy promień załśnił niby słowo „koniec” w podrzędnym filmie. Nadchodziła „cicha noc”, ale to było już z innej, bezpowietrznej opery.

Wstał i wszedł do budynku. W holu przed telewizorem siedziała stała publiczność w wieku „zaawansowanym”, czyli staruchy. Popularna właścicielka myśli, gospodini talk show, prezentowała dwie drużyny dzisiejszych dyskutantów: nastolatków-homoseksualistów i nastolatków „normalnych”. Zgrzybiałe wiedźmy chichotały, słuchając dowcipów bystrej młodzieży. Wklęsło-wypukłe deski korytarza skrzypiały pod tenisówkami Aleksandra. Wszedł do swojego „studia”.

Ku jego zdziwieniu, telewizor w pokoju również był włączony. Na innym kanale szła inna dyskusja: problemy masochizmu. Dama w średnim wieku z przypominającym dwa balony biustem, niemal wypadającym jej z dekoltu, przyznawała się do szczególnych upodobań seksualnych: „Muszę powiedzieć, że nawet Madonna wypada skromnie w porównaniu z tym, co ja robię ze swoimi facetami. Najpierw ich troszkę podduszam, dopóki nie zacharczą, potem zaczynam namiętnie pieścić i głaskać, potem walę rzemieniem, chlastam dłońmi po pysku, szczypię i gryzę na przemian albo równocześnie. No czyż nie jest to przykład wyższości kobiet?” Zdawało się, że rozgłośny śmiech damy i szalona ekscytacja audytorium rozniosą niewielką skrzynkę, nawiasem mówiąc, również przyniesioną ze śmietnika.

Aleksander usiadł na łóżku, na którym zachowały się jeszcze ślady wczorajszej walki z „Denisem Dawydowem”. Ściszywszy dźwięk, zaczął oglądać program, nie usiłując nawet uchwycić ogólnego kierunku dyskusji, w ogóle nic nie rozumiejąc, czuł jedynie silną, przyjemną woń cytryn, przenikającą do pokoju z sąsiadującego z hotelem ogródka. Odprężenie i senność spłynęły na niego, jakby babcia Irina usiadła obok, patrzyła na niego z czułością i od czasu do czasu zanurzała mu dłoń we włosach. Można się o nic nie martwić, skoro babka jest tutaj i tak

pięknie pachnie cytrynowym drzewkiem.

Ile czasu tak drzemał, nie wiadomo. Telewizor jakoś wyłączył się sam, co zdarzało mu się nierzadko. Zapukano do drzwi. Wygramolił się z pościeli i otworzył. Przed nim stał Stanley Korbach.

- Na pewno pan już spał, Alex? - zapytał zmieszany.

- Przeciwnie, właśnie się obudziłem - odparł Aleksander. - A pan co, nie poleciał do Seattle?

- Przeciwnie, właśnie wróciłem - mruknął Stanley. Przysiadł na skraju stołu. W półmroku panującym w pokoju wyglądał jak młodzieniec. - Wie pan, przyleciałem stamtąd, żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie, ale po drodze zapomniałem.

- Jakie pytanie?

- No przecież spytał pan, po co się zajmuję poszukiwaniem Korbachów i w ogóle genealogią.

- Proszę mi wybaczyć bezsensowne pytanie.

Stanley uśmiechnął się.

- Odpowiedzi nie ma, ale jest bezsensowne wyznanie. Ja po prostu nie mogę żyć z powodu śmierci. Zna pan to?

Teraz uśmiechnął się Aleksander.

- Jak mógłbym bez tego żyć?

Stanley wpił w niego wzrok.

- Jak pan się z tego leczył?

Wzruszył ramionami.

- Robiłem miny w teatrze.

Silne, władcze stukanie do drzwi przerwało rozwijający się dialog potomków zapłodnionego w roku 1859 jajeczka. Obrót okrągłej klamki i do pokoju wkroczyła nieźródlna Bernadetta Lux ze swoimi potężnymi obłóściami prześwitującymi spod peniuaru z marszczonego jedwabiu.

- Hej, Ławski, jak leci, *babę*, taki milutki i taki samotny?

Razem z nią wszedł jak gdyby cały tumult, a równocześnie cały odór baru. Cud nad cudy, pieseczek rasy czihuahua, stworzenie niemal idealne, ważące nie więcej niż pół funta, znajdował się tej nocy między jej piersiami. Sterczały drżące uszki, migotały drżące oczki, falowała pierś, niezawodna ostoja zwierzęcej miniatury.

- O, przecież tu jest jeszcze jeden chłopczyk! - wykrzyknęła kierowniczką domu na widok

ogromnej sylwetki gościa.

- Cóż za miła niespodzianka! - zahuczał magnat. - Mimo wszystko Opatrzność bywa czasem pobłażliwa dla swoich szaleńców!

- To nasza Messalina Tytania - wyjaśnił Aleksander.

- Nie trafione, Ławski! - Lux pogroziła mu palcem z ogromnym jak kostka mydła turkusem, po czym wyciągnęła niesłabą bynajmniej dłoń ku „jeszcze jednemu chłopczykowi” i przedstawiła się: - Bernie-Thorny.

Stanley stuknął obcasami:

- Stanley-Smoothly.

Wymieniwszy z nią uścisk ręki, zaproponował dłoń pasażerowi ogromnych piaszczystych diun. Czihuahua ochoczo przeskoczył z przedziałka na korbachowską linię losu i usadowił tam swe drżące klejnoty z maciupcim fiutkiem w stanie pobudzenia. Bernadetta spuściła oczy i zaszemrała z głębi piersi:

Jedni faceci mają fioła na punkcie psów, a inni na punkcie panienek.

- W moim sercu starczy miejsca dla was obojga! - roześmiał się Stanley uszczęśliwiony.

Aleksander wziął kołdrę i wyszedł z pokoju. Nikt, zdaje się, tego nie zauważył. Na plaży, podłożywszy gazetę pod głowę, wyciągnął się na piasku i owinął kołdrą. *Hard day's night* upomniała się w końcu o swoje prawa.

Rano pierwszy stawiał się na śniadanie Katolickich Braci. Brat Charles od razu wyciągnął ku niemu dwa opakowania.

- Jak tam pański przyjaciel, dobry człowieku?

- Dzięki Bogu, lepiej, bracie Charles - z powagą odparł Aleksander.

Taras

Gdzie w Waszyngtonie można strzelić klina

Za friko, czyli tak na krzywy ryj?

Tak zapytują osoby bez stałego miejsca zamieszkania,

Co zżuty *chewing* gum jedynie mają swój

Wetknięty za policzek, w kieszeni - ani centa

Sumienie byle jakie, lecz ich chytrość mądra,  
I oto wchodzisz na taras Kennedy Center  
Kwadrans po czwartej, z pierwszym brzaskiem dnia.  
Rzecz najważniejsza - przyjść w osobie pojedynczej!  
Wierzby tam szumią niczym dziecięce sny.  
Poranny świat w lornetce odwróconej.  
Ukazał sedno planu - niedopite kielichy.  
Minionej nocy słuchano tu Rostropowicza,  
W przerwach światowo strugą łał się szampan.  
Rosłe damy kryły w szkiełkach oczu doświadczenia.  
Delikatnym połyskiem lśnił zębów filigran.  
Przez konwersację często szampan niedopity  
Lub niewypity - i łupem stawał się menela.  
Pięć, sześć kieliszków i już są dwie kwarty.  
A radość moja do entej potęgi wyrasta.  
Mścisławie Leopoldowiczu drogi,  
Dzięki ogromne ci za *matineeel*  
Marmur tu śliski, jakbyś szedł przez lody,  
Cień plamą rozlał się na ścianie.  
Sylwetka zjawia się pantery I salutujesz jej beczelnie.  
Lecz za lustrzanym rymem-heterą  
Potwór się budzi, niczym w lwie  
I pomiot wiatrołomu z nastroszoną grzywą  
Płaszcz z kruczych piór go okrył z ramion do ogona,  
Jakby przynosząc tutaj wieść o Holocauście.  
Wskakuje nagle najdziksza wilczyca.  
Widma zwierciadła, plód koszmaru wróżki,  
Odbijają się w guziku pana generała,  
A ponad Georgetownem fotel inwalidzki,  
W nim przylatuje najsprośniejsza starucha.  
Nożyska jej okrywa najwspanialsze ponczo

Przez ramię broda, niczym szal z blaufuksów  
Pod nią zaś generalski pagonik migocze  
I w zębach tkwi cygaro za tysiąc pesetów.  
Kieliszeczków parę wzięwszy spod fontanny  
Baba oczy przymruża, jak przed krzykiem „pal!”  
To rewolucji widmo, marksizmu fantomy  
Kapitalizm na nowo pragną wziąć na cel.  
Cóż, mówiąc szczerze, dobre klinowanie.  
Ktoś ty, starucho? Nie kręć, tylko mów.  
Co tu udajesz, krzywiąc się w grymasie,  
Pustosłowie teorii, czy też trud praktyków?  
Czy to prawda, że na dnie szklanki niedopitej  
Myśli zostają, a skoro to tak,  
O czym to społeczeństwo, mgłą perfum spowite,  
Myślało, zachowując wciąż światowy takt?  
Generał po hiszpańsku zaśmiał się paskudnie  
Z tętentem budionnowska konnica nadciąga  
A tutaj każdy ciągle myśli o infernie  
I wszyscy widzą tylko śmietnik i blask piekła  
Oddała się, puszczając do mnie perskie oko,  
Słońce wypływa spoza mostów Potomacu,  
I idąc dalej śpiewa jak Domingo,  
Wyszukując nuty w swoim zawiniątku  
Ale ty pozostałeś, cichy meneliku  
Wychyliłeś z plastyku kubeczków dwadzieścia  
I szepczesz: O mój Boże, miłosierny  
Jezu Pozwól mi głowę złożyć obok Twego żniwa.

## **Część piąta**

Tichomir Buriewiatnikow postanowił przymierzyć nowy garniturek czy - lepiej - gang, jako że zdrobnienie nie pasuje do dzisiejszych arcydzieł sztuki krawieckiej. Dawniej wszystko było krojone do ciała, jakby specjalnie po to, żeby uwydatnić sylwetkę, a teraz tkanina zwisa z niej (z sylwetki, znaczy) w obszernych fałdach. Taka już dzisiaj tendencja, Tich, powiedział mu kupiec na Sunset Boulevard, wszystko ma być jakby z cudzych pleców, z cudzego zadka. Dzisiaj, przyjacielu, nie pokażesz od razu swojej wizytówki: każdy twój kilogram kryje splisowana szmata.

Tichomir miał wszelkie podstawy, by wierzyć Agamemnonowi Griwadisowi, i to nie tylko dlatego, że pod jego sklep podjeżdżały czasem gwiazdy showbiznesu i brały od ręki tuzin garniturów, dwa tuziny koszul, girlandę zdobionych srebrem bucików; istniały inne powody do zaufania. Mimo wszystko to swój człowiek, w pełni swój. W całej postaci Agamika przebijały - nazwijmy to tak - cechy porządnego radzieckiego chłopaka. Jego tatuś bił się za socjalizm jeszcze pod sztandarami generała Markosa, a i sam Agamik nie wypadł sroce spod ogona: przeszedł solidną szkołę pracy komsomolskiej w Taszkencie, a kiedy przyszedł czas, wyrwał z totalitarnego bagna w świat wolności. Buriewiatnikow nie miał wprawdzie nic przeciwko żydowskiej i ormiańskiej emigracji, ale mimo wszystko z większym zaufaniem odnosił się do swojego brata w niepowrocie.

Agamemnon poprowadził klienta-przyjaciela do przymierzalni i zaprezentował do wyboru trzy garnitury: błękit nieba, zieleń mchu i złocistoczekoladowy. Jako człowiek o wyrobionym guście, Buriewiatnikow zatrzymał się na ostatnim.

Gospodarz wyszedł, klient zdjął kurtkę o ciężkiej kieszeni wewnętrznej (słusznie, drogi panie - browning) i ledwo zdjął z jednej nogi nogawkę dżinsów, gdy w drzwiach przymierzalni znowu pojawiła się głowa Agamika o wzorcowym, grubości ołówka wąsiku:

- Wybacz, Tich, tu jeden towarzysz chciałby z tobą porozmawiać.

W ślad za tą uprzejmością do przymierzalni wszedł ktoś niezbyt rzucający się w oczy, z prawą ręką pod lewą pachą.

- No i co, Mr Bur - wymienił obecne, nie zanadto znane otoczeniu nazwisko Ticha. - Wita pana radziecka władza!

Rzucić się do kurtki po broń? Nie ma sensu. Buriewiatnikow zaczął na powrót wbijać się w dopiero co opustoszałą nogawkę. Lepiej umierać w spodniach niż z półgołą dupą!

Przybyły uśmiechnął się: nieźle się pan trzyma, zdrajco ojczyzny. Agamemnon wniósł dwa składane krzesła.

- Piwka wam przynieść, chłopcy?
- Nie zaszkodzi - sucho odparł Tich. Nieznajomy rzucił przez ramię:
- I popielniczkę!
- Z jakiego pan oddziału? - spytał Tichomir.
- ZN - odparł nieznajomy.

A to chuj, pomyślał Buriewiatnikow. Usiedli. Nieznajomy położył na kolanach *attachecase*. Przez pewien czas patrzyli na siebie w milczeniu. Przedstawiciel władzy radzieckiej uśmiechał się lekko, pokazując złote zęby.

- Są jakieś pytania? - spytał na koniec. Buriewiatnikow odmownie poruszył podbródkiem.
- Ja też nie mam do pana pytań - powiedział przedstawiciel.
- Agamik, kurwa, gdzie to twoje piwo?! - krzyknął Tich.

Agamemnon wszedł z opakowaniem Grolscha i słoikiem żydowskich ogóreczków. Otworzywszy butelki, został w przymierzalni, jak gdyby pokazując, że nie jest Judaszem, a wykonuje po prostu służbowe obowiązki.

- Decyzja podjęta - oznajmił przedstawiciel. Buriewiatnikow, zadarłszy głowę, ciągnął z gwinta Grolscha. Co może być lepszego przed strzałem z bliska niż lodowate piwo? - Chyba się nie pomyliliśmy - rzekł przedstawiciel do właściciela sklepu.

- W żadnym razie, towarzyszu Zet - potwierdził Agamemnon.

Tichomir wydudlił butelkę do dna. Towarzysz Zet poklepał *case* dłonią:

Tu jest pięćset tysięcy dolarów. Dostaje pan je decyzją grupy osób kompetentnych. Ma pan teraz możliwość odkupienia swoich win wobec ojczyzny.

- Żadnej mokrej roboty! - odparł natychmiast Tichomir. - Lepiej załatwcie mnie samego.

- Milczeń, kurwa! - niezbyt głośno, ale dobitnie powiedział Zet. - Nasłuchał się amerykańskich pierdoł o KGB! Za kogo nas masz, za morderców, bandziorów?

- Wie pan co, odzwyczailem się od takiego tonu - wycedził Tich. - Mimo wszystko już dwa lata żyję w normalnym społeczeństwie. - Sam się dziwił swojej twardości. Pewnie zobaczył na filmie. Niemal tu widział kadrów z żelaznymi charakterami.

Odbywało się coś w rodzaju współzawodnictwa systemów. Między uchem a kątem szczęki przybyłego przetaczała się piechota zmotoryzowana.

- Lepiej byś, Tisza, najpierw spytał, a dopiero potem podejrzewał najgorsze - wmieszał się pojednawczo Agamemnon.

- No to pytam - powiedział Buriewiatnikow. - Po co ta kasa?

Zet z niechęcią określił zadanie:

- Pieniądze zostają przekazane w celu rozpoczęcia biznesu. Przede wszystkim ma pan utrzymać korzystne saldo. Jasne?

Tichomir przechylił do ust kolejną butelkę.

- Nie radzę odmawiać - powiedział Zet. Tichomir spojrzął z ukosa na Agamemnona.

- Ja też nie radzę - skromnie przyświadczył tamten.

- Spalicie żywcem? - zainteresował się Tichomir. - Jak Pieńkowskiego?

Towarzysz Zet ulokował na swoim pół miliona słoik z ogórkami.

- Jak japońscy imperialiści spalili naszego towarzysza, komisarza Łazo - zaśmiał się.

Od tych skurwysynów nie można uciec, pomyślał gorzko Buriewiatnikow i zgodził się:

- Dawaj swoje pół bańki!

I Agamik, i Zet rozjaśnili się w tym momencie ludzką życzliwością: nie, no mimo wszystko Komsomoł to Komsomoł!

Zamknęli sklep, poszli zatankować na serio. Siedzieli teraz w sali handlowej pośród zwisających damskich i męskich dóbr, w otoczeniu stojaków pełnych zdobionych dżetami designerskich kamizelek oraz ekspozycji butów z cholewami różnej wysokości, nasuwających wspomnienie czternastowiecznych wojen chłopskich. Było też czym podduścić człowieka w razie potrzeby: wisiały tu dziesiątki rzemieni różnego kalibru, niektóre z drogocennymi sprzączkami, zdolnymi skruszyć dowolne jabłko Adama.

Szybko uszklankowali solidną *bottle* Jacka Daniela, z szampanem na popitkę. Przy kielichu supertajemniczy czekista wyjawiał swoje prawdziwe nazwisko: Zawchozow. Dalej w duchu szczerości opowiedział, że Tichomira Buriewiatnikowa namierzył IBM ogromny niczym Świat Dziecka. Właśnie temu skurczybykowi zawdzięczasz, Tichomir, życie. Bez niego dostałbyś zaocznie najwyższy wymiar. Całe to cybernetyczne cholerstwo pokazuje, niestety, że nasz system nie przetrwa. Czyli pora zwijać żagle, tak? Ale przecież niekoniecznie wszyscy muszą ginąć pod gruzami, doszła do wniosku grupa osób kompetentnych. Póki co, ludzki rozum jest

silniejszy od chytrego żelastwa, tak czy nie? W zasadzie sprawy będą rozwijały się w duchu, w jakim zostały pomyslane jeszcze przez Ławrentija Berię, dalekowzrocznego gruzińskiego górala.

- Aleście wy tam wszyscy mądrzy w tym N - zaśmiał się nieżyczliwie Buriewiatnikow. - Same profesory!

Zawchozow parsknął szyderczo, świdrując go spojrzeniem przez dno szklanki. W tej waszej pieprzonej Ameryce niektórzy myślą, że tak zwyczajnie chodzą sobie ulicami, a tymczasem wszyscy są pod obserwacją. No, na przykład jest taka kurwa w ruchu wyzwoleńczym, Mirelle Salamanca. Co? A nic takiego. Dawno już wszyscy w N ją wydymali. Tichomir zgrzytnął zębami w stylu Pugaczowa. Nawet profesjonalnie prowokować was tam nie nauczyli! Ciekawe, czym zajmuje się kierownictwo w tym waszym N? Czy można traktować poważnie to bydło? Wychowawcy młodzieży!

Pogasły światła sklepu z całą jego szmacianą zawartością. Sunset Boulevard pogrążył się w ciemności. Teraz zaczął się w pełni rozwijać kryzys osobowości, krach egzystencji. W jego ognistych zębach miękkie tkaniny zmieniały się w papkę, paznokcie odskakiwały w liczbie znacznie większej niż dane każdemu dwadzieścia sztuk. Nagle jakaś zielona plamka pojawiła się na peryferiach, coś maciupciego, niczym babunia-mamunia. Wszystko, co było jeszcze nieprzeżutego, rzuciło się w tym kierunku: ratujcie, ratujcie! W plamce zadźwięczała jakaś struna - i zwyciężyła! Znowu pojawił się sklep ze szmatami i lustrami i Tichomir ujrzał własne odbicie w długim ziewnięciu ust i wszystkich mięśniach twarzy. Agamik uśmiechał się przyjaźnie. Zawchozow tryumfował skromnie:

- No to teraz widzisz, Tich, czego nas uczą w tym naszym N.

Rozlali do cienkich szklanek Johnnie Walkera. Zawchozow wymawiał nazwę trunku fonetycznie.

- Cóż to, nie uczą was tam w ogóle angielskiego? - kontynuował Buriewiatnikow zabawę w dysydenta.

- A na chuj? - zdziwił się Zawchozow. Agamik, ciach-ciach-ciach, przeleciał się tasakiem po kielbasencji, też niezła szkoła.

- Zakąszajcie, chłopaki, bo do łózek się nie dowleczenie! Żując z uporem człowieka partii, Zawchozow rozwinął dalszy ciąg koncepcji rozpadu wszystkiego co dla nas najświętsze:

- Mimo wszystko nie wolno dopuścić do korozji kadr, a przecież są już niezłe zmęczone.

Weźcie chociażby mnie, chłopaki: przewożę ogromne sumy, a diety mam po prostu śmiechu warte. Czy o tym marzyli dla swoich wnuków nasi dziadowie, czekałiście z żelaza? Grupa osób kompetentnych opracowuje różne warianty rewolucji organów przeciw atmosferze stagnacji. Mając ten cel na uwadze, trzeba będzie się dla jego realizacji posłużyć różnymi odrażającymi osobistościami. Co, i rosyjskiego nas nie uczą, powiadasz? Ech, ty gnojku! Pojedź do Berlina Zachodniego, zobaczysz, ilu naszych siedzi za nielegalny handel walutą. Przyjdzie dzień, kiedy padną narodowe pomniki, ale spotkamy go uzbrojeni po zęby, żeby z rezultatów wielkich przeobrażeń nie skorzystały wypędki w rodzaju Saszki Korbacha. To im trzeba rzucić w twarz pytanie: z kim trzymacie, mistrzowie kultury? No, wypijmy za powtórne narodziny naszego przyjaciela Buriewiatnikowa! Właśnie ty, Tich, spytasz o to skurwysyna!

W tym momencie towarzysz Zawchozow zaczął podlegać dziwnej metamorfozie. Zwiślniczym pusty garnitur. Dyndają rękawy, nogawki. Krawacik swawoli, próbuje odciąć dopływ tlenu. Tichoresza Buriewiatnikow ciągnie go do góry małą łapą, zagląda w to, co jeszcze zostało, w twarz nietuzinkowej głowy.

- Jak śmiecie, skurwiele, w tym waszym śmierdzącym N, podnosić rękę na idola naszego pokolenia?

- Przestań, Tich, nie kompromituj organizacji - Agamik usiłował ściągnąć Zawchozowa w dół za dyndające buty. Wówczas Buriewiatnikow opuścił ramię jak semafor i upuścił go.

- No to co, chłopcy, może byśmy się przespacerowali? - zaproponował przedstawiciel władzy radzieckiej. - Trzeci dzień tu jestem i w ogóle nie widziałem miasta, wyobraźcie sobie. Są tu jakieś żeńskie grupy?

Trudno powiedzieć, co podpułkownik miał na myśli, niemniej na Sunset Boulevard dało się odnotować damską obecność. Ponad płaskimi dachami spoczywała na boku popularna pisarka o długości co najmniej osiemdziesięciu metrów. Pół setki jej książek ustawionych grzbietami do przodu podtrzymywało wspaniałe ciało. Reklamowy slogan billboardu „*You couldn't put it down, could you?*”, emanował podwójnym sensem, lśniąc fluorescencyjną farbą. Obok oferowano inny chodliwy towar: na dwu butelkach, jednej szyjką w górę, drugiej szyjką w dół, widniał napis „Stolichnaya”, z akcentem, nie wiadomo czemu, na przedostatniej sylabie. Kowboje wciągali ze swoich petów substancje smoliste w nikotynowej idylli hrabstwa Marlboro. Ze strumienia paliwa Exxon wyskakiwał tygrys, *voila!*

Wykonawszy skok na pusty asfalt, rzucił się prosto ku naszej trójce, bezlitosna bestia!

- *He is larger than life, guys!* - wrzasnął Tich. Tygrys był o wiele większy niż życie! Był wielki niczym śmierć! Na bok, kutasy! Do ściany! Rozpłaszczajcie się jak sucha skóra Neandertalczyka!

Zawchozow rozciągnął się we własnej kałuży. Przecież ich tu są dziesiątki, setki! Tysiące pasiastych, nie zostawią nawet strzępka! Masz, człowieku, swoją Amerykę, masz swobodę! No dobra, co robić, naprzód! Niech żyje ojczyzna! I rzucił się na spotkanie tygrysięj fali.

- Chłopcy, przecież to halucynacja! - upominał kolegów Agamemnon Griwadis. - Niegroźna, nieszkodliwa! Za mną, chłopcy! Róbcie to co ja! - Zerwał pokrywę luku kanalizacyjnego i zniknął pod ziemią tuż przed atakiem nieszkodliwej halucynacji.

W ten sposób rozbiegli się w różne strony bohaterowie tego naszego nostalgicznego rozdziału. Tichomir, powisiawszy trochę na ścianie budynku telewizji ABC, zeskoczył i przyczesał włosy zdecydowanie do tyłu i lekko na bok. Podniósł *attache-case* z pół miliona i, pokrzykując, ruszył w przestrzeń - świeżo upieczony kapitalista.

W czasie gdy miało miejsce to historyczne, mam na myśli zwierzenia podpułkownika Zawchozowa, zdarzenie, zakończone polowaniem tygrysa na wystraszonego przez alkohol człowieka, na drugim końcu ogromnego Archangielska nad Pacyfikiem nasz główny bohater włókł się jak zwykle brzegiem oceanu, udając przed sobą samym, że kieruje się bynajmniej nie do Pierwszego Dna.

Po trzech dniach w jego życiu zaszło jeszcze jedno oszołamiające zdarzenie. Jakoś pod wieczór zabrnął w poszukiwaniu tańszego kompletu opon na skrzyżowanie Pico i Bandi. Pod betonowymi arkadami *freeway* tłoczyło się mnóstwo meksykańskich sklepików i leżały kupy niewywiezionych kartonowych i drewnianych opakowań. Boczne uliczki były oznaczone numerami, jednak nie wiadomo dlaczego jedna nosiła miano Beethoven Street. Skręciwszy w nią, ujrzał niewielki teatr, który tak też się nazywał: Teatr na Beethoven Street. Teatr, uśmiechnął się z przekąsem i już-już miał się odwrócić plecami, ale się nie odwrócił. Stał i patrzył z niechęcią na wejście do tego, jak mówią Czesi, *dwadla*. Długi szereg dryblasowatych palm uczesanych na punka wyznaczał linię zachodu. Było jeszcze zupełnie jasno, ale nad wejściem świeciła już latarnia. Goła, pomalowana na kolor ochry ściana nie przypominała budynku teatru. Ani chybi był tu kiedyś jakiś magazyn albo pralnia chemiczna.

Wydawało mu się, że cała ulica zwróciła na niego oczy i patrzy, jak walczy z siłą przyciągania teatru. W rzeczywistości nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. W otwartych drzwiach stało dwoje młodych aktorów, on i ona, Romeo i Julia, Dafnis i Chloe, Hamlet i Ofelia, Trieplew i Nina, którzy najwyraźniej byli również bileterami. Nagle faktycznie spojrzeli wprost na Korbacha. Zmieszany, kupił u stojącego w pobliżu Sancho Pansy „uno cola” i „uno hotdog”, tak jakby zatrzymał się po prostu na chwilę, żeby coś przegryźć. Aktorzy nadal na niego patrzyli. „Hej, Bradley!” - zawołali i pomachali rękami. Na tle czarnej płaszczyzny drzwi wypadło to niezłe: on wysoki, w białej koszuli i białych spodniach, ona - zgrabniutka, w zamszowym błękitnym kombinezonie. Albo początek, albo akcent finałowy. *Hi, guys!* - ryknęło Korbachowi za plecami i tuż obok rozległ się szmer roweru.

Krzepkie plecy Bradleya z napisem „Hard rock cafe” i z lisim ogonem kucyka. Podjechawszy ku przyjaciółom, zahamował gwałtownie jak mały chłopczyk. Śmiech, uderzenia

dłonią w dłoń na modłę koszykarzy. W drzwiach pojawiła się nieodłączna w tego typu teatrach grubaska w pozawymiarowym podkoszulku. Potrząsała utrzymaną w ręku girlandą peruk i bród.

Podjechały jeden za drugim trzy samochody: volkswagen, stary otwarty Continental i furgonetka. Wyszło z nich sporo ludzi i od razu powstał teatralny tłumek. Korbach poczuł, że do przeżutego hotdoga dołączył się w ustach jakiś emocjonalny śluz. Tak przecież kiedyś na Presni zbierała się nasza banda. Teatrze, co mam robić? Paść na kolana przed Stiepanidą Włastiewną, rozryczeć się: daj mi zdechnąć w teatrze!

- Jeszcze serwetkę - zwrócił się do Sancho Pansy. Tamten ni cholery nie zrozumiał. - Servietta - wyjaśnił Sasza. - Muszę się wysmarkać.

*Chicano* rozjaśnił się. Żeby to wszyscy tak tu mówili... Wyciągnął ku sympatycznemu *gringo* cały papierowy bukiet. Korbach wydmuchał śluz w miękką tkaninę, po czym zdecydował, że do Stiepanidy na kolanach nie popełnie, a po prostu pójdzie do tego teatru w charakterze zwykłego widza. Może dają tu taki szajs, że cała moja nostalgia zniknie.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i stał się częścią teatralnego tłumu. Dość podobny do moskiewskiego *beau mond*, z jedną co prawda różnicą: tam dziurka w dżinsach - to dramat, a tutaj - szyk.

- Po ile macie bilety, *folks*? - spytał grubaskę, która okazała się również kasjerką.

- Po piętnaście - odparła i od razu dodała: - Dla studentów po dziesięć.

Zdjął czapkę i wytarł nią łysinę.

- A dla emerytów?

Otoczający roześmieli się z sympatią. Znowu drgnienie emocji: swoi, swoi, po raz pierwszy w Ameryce znalazłem się wśród swoich! Dla *senior citizens* również było po dziesięć.

- Jaka sztuka dzisiaj idzie? - spytał śliczną bileterkę. Odpowiedź była znacznie bardziej wyczerpująca, niż zakładało pytanie:

- Na razie mamy w repertuarze tylko jedną sztukę, *Człowieka przyszłości*. Jesteśmy młodym teatrem, *sir*, istniejemy dopiero od miesiąca. Och, przepraszam, muszę iść do charakteryzacji!

W teatrze było nie więcej niż pięćdziesiąt miejsc, zupełnie jak w tamtej piwnicy Błaznów na Presni. Tam jednak co wieczór zbierała się setka z okładem, ludzie siedzieli na scenie i nie obrażali się, jeśli któryś aktor, zapamiętawszy się w grze, potykał się o nich. Tu jedna trzecia miejsc była pusta, ale z twarzy przebiegających aktorów widział, że byli zdumieni i uradowani imponującym zgromadzeniem.

W głębi sceny zabrzmiała gitara basowa. Niczym kogucik odezwał się saksofon altowy. Ktoś przejechał palcami po klawiszach, po czym na rampę wyskoczył ten sam aktor-bileter w bieli. Toaletę uzupełniała wyłącznie długa siwa broda. Usiadł na krześle jak na koniu i zaśpiewał:

*Nickery, flickery*  
*Little stewball!*  
*Coakery, catchery,*  
*Tortury, mortury,*  
*Matchery catchery,*  
*Witchery watchery –*  
*Evens in heauens*  
*As euening descends,*  
*Nickery, flickery,*  
*Little stewball!*  
*The storm is a seance*  
*That I can see,*  
*Signs ofa scknce*  
*The eye can see.*  
*Hello, freedom,*  
*Goodbye, force!*  
*Giddyap, giddyap,*  
*My good horse!*

Coś znajomego zadźwięczało Korbachowi w tej dziwnej arii. Aktor tymczasem zajmował się woltyżerką na wymaginanym koniu. Potem, odepchnąwszy się silnie, wykonał salto, wylądował w pozycji szpagatu i, odciągąwszy w dół brodę, wyrzekł tragicznym szeptem w kierunku sali: „Mdlu mnie od historii. Obrzydliwa sprawa, no nie? Czasem mi się zdaje, że rejestrujemy nie te zdarzenia i nie tych ludzi, podczas gdy ci właściwi przechodzą niezauważeni. Jak na przykład ja?”. Po czym okręcił sobie brodę wokół głowy i pozostawił ją na czaszce, niczym szaloną fryzurę punka.

Ciekawe, czy improwizuje, czy to wyreżyserowane? Nawiasem mówiąc, może przekręcać

brodę i na boki, zmieniając się w zupełną poczwarę. Tak myślał sobie Korbach, a spektakl robił się tymczasem coraz bardziej znajomy. Na scenie pojawiły się cztery dziewczyny: jedna w krynolinie, druga goła, trzecia w wojskowej ochronnej kurtce, ale bez spodni, za to z sierpem i młotem na lewym udzie, a czwarta - bileterka - tak jak była, w błękitnym kombinezonie. Z przelatujących na pół bezsensownych dialogów zrozumiał, że ma przed sobą niejakie siostry Bluebird, w których kocha się facet z brodą na głowie. Stojąc na jednej nodze jak żuraw, śpiewał:

*Willow tresses,*

*Oh, my amorom flu!*

*Sisters in their elegant dresses,*

*The eyes wre blindingly blue!*

*Push it or press it,*

*Ya vass lyubblue!*

I zaczął wirować w kółko, jakby od czubka głowy do pięt osadzony był na osi.

W tym momencie Korbacha olśniło: przecież oni grają *Zangezi rock*, sztukę, z której powodu tak się dostało Błaznom! Przecież ten facet powiedział po rosyjsku „ja was lublu” w fonetycznej wersji Pico Boulevard! A siostry Bluebird - to przecież siostry Siniaków, w których kochał się Zangezi-Chlebnikow! I inscenizacja jest dość podobna, i kostiumy mają w sobie coś pokrewnego! Zaledwie bąknąwszy przeproszenie, wyrwał program z rąk sąsiada, śledzącego wesołą akcją ze smutkiem pełnego niezrozumienia.

- Kim jesteś, jaki jesteś, Zangezi? - dziewice puściły się w ruch obrotowy. - Bardzo jesteś stary, dzieciątko? Bardzo jesteś młody, czarodzieju z nosem jak haczyk?

Aleksander patrzył na program i oblewał się potem. *Człowiek przyszłości*, no przecież to żywcem przetłumaczony *Będzianin*. Pamiętam, jak dowcipkowaliśmy, że na angielski można to przetłumaczyć jako *will-be-atnik*. Była tam wtedy grupa młodych aktorów z Kalifornii. Przywiózł ich Frank Shannon specjalnie, żeby poznali Błaznów.

„Adaptacja i reżyseria Jeff de Naagle”. W dolnej ćwiartce programu było napisane drobnym drukiem coś w rodzaju post scriptum.

Przecisnął się, depcząc po nogach, w pobliże sceny, gdzie było trochę jaśniej. Światło jednak nieustannie się zmieniało: to tropikalne słońce, to arktyczna noc, to znowu obracający się

cylinder z różnokolorowymi latarniami. Tempo mają lepsze niż Błazny. Może dlatego, że mniej piją, dranie. W spektaklu brało udział nie więcej niż dziesięciu aktorów, ale zręcznie zmieniając maski i kostiumy, stwarzali wrażenie gwarne go tłumu. Poprzez oszołamiający bełkot przebijała się szczer ość „supersagi”, ale nieczęsto. Trzy siostry obnażały się coraz bardziej, usiłując dorównać doskonałości czwartej. Oparłszy się o skraj rampy, czytał postscriptum.

Należy powiedzieć parę słów o historii tej sztuki. Niniejsza adaptacja stanowi swego rodzaju parafrazę olśniewającego spektaklu, zaprezentowanego po raz pierwszy na scenie moskiewskiego teatru-studio Buffoons (Błazny). Jego osnową była tam supersaga *Zangezi*, która opowiada o genialnym proroku-odszczepieńcu, będącym - jak twierdzi wielu historyków literatury - *alter ego* autora, legendarnego poety-futurysty Bielomora Chulepnikowa, zmarłego na skutek przedawkowania narkotyków w pobliżu Morza Kaspijskiego. Sztukę napisał i wyreżyserował aktor i reżyser Błaznów, Aleksander Korbach (mogą się państwo śmiać, ale domu handlowego „Korbach” w Rosji nie ma).

W następstwie tego spektaklu Błazny i pan Korbach osobiście znaleźli się pod ostrzałem Kremla. Trupę rozwiązano, a jej lidera zmuszono do emigracji. Od momentu wyjazdu nikomu nie udało się ustalić miejsca jego pobytu. Nie można wykluczyć i najgorszego wariantu, przyjaciele ciągle jeszcze mają nadzieję, że żyje i po prostu stara się ukryć przed długą ręką KGB.

Przedstawiając obecnie amerykańską wersję tego wybitnego, w równym stopniu tragicznego, co wesołego show, chcemy przede wszystkim wyrazić naszą solidarność z uciśnionymi kolegami zza „żelaznej kurtyny”, a także gorącą nadzieję, że widzom spodoba się *Człowiek przyszłości* w Teatrze na ulicy Beethovena, ta manifestacja wolności ducha, nieograniczonej fantazji i tak dalej hoop-la-la-broo-ha-ha. Dziękujemy. Jeff de Naagle, kierownik artystyczny.

Reszta spektaklu była dla Aleksandra jak fragment jakiegoś pokręconego snu. Pod koniec ogólna uwaga skupiła się na kufrze, nazywanym przez beethovenowców „czarodziejską szkatułką Zangezi”. W pewnym momencie wyskoczył z niego sam prorok, przyobleczony tym razem w kostium twainowskiego „królewskiego kameleonarda”. Wokół niego płały zupełnie już nagie siostry Bluebird w towarzystwie szczerlnie pozapinanych symbolistów. Żądali odpowiedzi na przekłete pytania egzystencjalne, a Zangezi zamiast odpowiedzi rzucał im gołąbki i bukiety kwiatów. „Co za pierdoły” - szeptano wśród publiczności. Oklasków było jednak sporo.

Kiedy wszystko się skończyło, na scenę wyszedł sam Jeff de Naagle. Aleksander z miejsca

go sobie przypomniał. Temu fanatykowi teatru udało się jakoś przechodzić sezon zimowy w Moskwie w mokasynach na bosych stopach. Przesiadywał u Błaznów za kulisami, dudlił z chłopakami „Dar słońca”, zakochał się w Natałce-Motałce i zamierał z wrażenia na widok Korbacha. Latając po ciemnych schodach, bez trudu sterował imponującym brzuchem i siedzeniem. Zaraz mnie rozpozna, w panice pomyślał Aleksander. Uciekł do tylnego rzędu, nacisnął czapkę i włożył ciemne okulary.

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Jeff podziękował publiczności za życzliwość dla młodego zespołu, skromnie pochwalił się aprobatą krytyków, demonstrując w tym celu niewielki wycinek z „Los Angeles Times”, i zaprosił chętnych do składania datków, choćby najdrobniejszych - pomogą one teatrowi utrzymać się na fali bez uprawiania piractwa. Na tym przedstawienie się zakończyło.

Przez następne trzy dni, a w danym momencie powieści na zwykłej trasie brzegiem oceanu, Aleksander rozmyślał o tym wieczorze. Pod arkadami *freeway*, dosłownie w betonowych wnętrznościach Lewiatana, natknąć się na tłącą iskierkę własnej twórczości! Paradoksalnie wystraszyć się publicznego rozpoznania! Zupełnie jak zwiędła stara panna, która przestraszyła się własnych potrzeb seksualnych.

Po wyjeździe Stanleya znów był całkowicie samotny. I odetchnął z ulgą. Chyba nic mu już więcej nie trzeba oprócz samotności. Ta myśl również nie należała do krzepiących. Boję się rozpoznania, jakbym naprawdę chował się przed KGB. Odmówiłem przyjęcia pomocy od stukniętego bogacza, kuzyna czwartego stopnia, a teraz w panice nawiałem z teatru! Prawdziwy artysta nie zwraca uwagi na drobne uchybienia wobec smaku i stylu, to znaczy na miłość własną, i robi swoje. Ja nie jestem prawdziwy. Na nic mnie już nie stać, pora zapomnieć o *Promieniowaniu Beatrycze*. Pozostały jedynie ostatnie podrygi, rymowanki we śnie. Z tej łysej, nakręcanej małpy o ustach od ucha do ucha, która umiała doprowadzić do „twórczej ekstazy” każdą publiczność, została tylko wypchana, wlokąca się do piwiarni kukła.

No i dobrze. Wszystkie te zrywy ambicji niech należą do przeszłości, niech i z przeszłości się ulotnią. Czysta twórczość nie istnieje, wszystko to wyłącznie haniebny pawie ogon. Nie na darmo Gogol spalił swój rękopis, zrozumiał, że literatura to rzecz pawia czy małpia, wcielenie grzechu pierworodnego, a talent - to pułapka. Cały się trząsał i zataczał od swoich wegetatywnych stanów, nawet autodafe mu nie pomogło, całe życie uciekał od siebie samego pocztowymi

końmi, ale nigdzie nie mógł uciec, tylko w śmierć. A ty, małpia mordo, wciąż jeszcze bzikujesz, nogi wciąż cię zanoszą do jakiegoś żalosego teatrzyku. Szkoda, że nie ma tu obok gogolowskiego ojca Mateusza, apostoła wyrzeczeń, padłbym mu do nóg, wyrzekł się wszystkich, których kochałem, Chlebnikowa, Meyerholda, Wysockiego, nawet Dantego, a przede wszystkim samego siebie.

A przypomnij sobie Tolstoja z jego totalnym wyrzeczeniem. Pisać umoralniające przypowieści przy jego seksualizmie, samego siebie zmienić w „ojca Mateusza”! Skłoń się przed nim, przestań zapisywać sny, uklęknij, uderz czołem o ziemię, po to ci została dana twoja bilardowa łysina.

A jednak kombinował do końca, stary hrabia. Po nocach przekradał się jak kot, to znaczy krokiem lwa, od mesjanizmu do *Hadzi Murata*, opisywał, jak tamten golił sobie czaszkę do błękitu, układał swój wiecznie żywy teatr.

No, przyznaj się, że nie potrafisz bez gry, bez cudzołóstwa! Widowisko jarmarczne, nie wytrzymam bez ciebie! A może pójść do Jeffa: grubasie, przyjmij mnie! Nie mów nikomu, jaka ze mnie znakomitość, pozwól mi choć wbijać gwoździe. Będę przesiadywał u was po nocach, odszczurzał i odrobaczał. Alkoholik nie grzesznik, nie świętokradca, pozwól mi tu dożyć, staremu Żydowi, który zapomniał o Zakonie, a raczej nigdy go nie znał, który nigdy nie pokłonił się żadnej świątyni poza spelunką.

Wyczerpany osiągnął trawers swojego baru, skręcił z wilgotnego, zbitego skraju w syпки piach, doszedł do asfaltu i wsunął nogi w mokasyny. Pierwsze Dno gościnnie migowało szyldem w postaci kotwicy. W oknach chwiały się barczyste cienie. Ktoś ze sterczącą brodą zatrzymał się na chwilę, chyba Kastorzis.

Już na progu zanurza się człowiek w alkoholowe akwarium. Pijany, zanim jeszcze pociągnie pierwszy łyk. Henry Miller jak zwykle błaga swoją *baby*: *Come to me, my precious one, my incious one*\ Jaka ona jest, ta jego tyranka? Pewnie mała trajkotka-awanturnica o sterczących cyckach i wypiętym zadku. Wszyscy dziś, zdaje się, tkwią na miejscu. Bernadetta zasiada przy barze, trzy nowe grzebienie niczym łódki tkwią w wodospadzie włosów. Tę grzywę pożyczyła sobie chyba z zadu Bucefała. Na nagim ramieniu tatuaż: serduszko z brodą złożoną z liter: „Matt Shuroff”. Sam szczęśliwy obiekt porywającego uczucia stoi obok, położywszy łopatę dłoni na stromym stoku jej biodra. Z drugiej strony siedzi generał Piu, jedna nóżka okręcona wokół taboretu, drugą huśta jak dziecko. Rączka coraz to przemyka po kolanie primadonny. Mel O’Massey, bez marynarki, ale w starannie zawiązanym krawacie, demonstruje niezależność, patrząc w ekran telewizora. The Rams walczą z The Red Skins.

Zaraz wszyscy się odwrócą, rzecz jasna, ku niemu: „Hej, Ławski, *how ya doing today*?” Nikt się nie odwrócił. Usiadł na wolnym stołku i zwrócił się do *bartendera*:

- Podwójną „stoli”, Frankie, *OK*}

Tamten jakoś dziwnie wzniosł oczy do sufitu, po czym szepnął:

- Wybacz, Ławski, ale nie podajemy już „stoli”.

- A to czemu?

- Bojkot wszystkiego co radzieckie.

- A to co znowu za pierdoły?

W tym momencie wszyscy odwrócili się i spojrzeli na Ławskiego. Potężna niczym przyczółek mostu pierś Matta obciążnięta była dzisiaj zielonym podkoszulkiem z wyobrażeniem śmigłowca „Sea Stallion”. Zmrużył oczy jak za celownikiem karabinu maszynowego:

- A co, nie domyślasz się, Ławski?

Bernadetta zaśmiała się ze złowieszczą słodyczą: „Chłopczyk się nie domyśla!”. Piu

zaklaskał językiem niczym ptak w dżungli, następnie po mistrzowsku oddał świst rakiety i wybuch: „*hooting, shooting!*” Mel podetknął Aleksandrowi grubą, gruntownie przemoczoną piwem gazetę:

- Cholernie mi przykro, Ławski, ale wasz myśliwiec strącił pasażerski samolot koreańskich linii lotniczych.

- Nasz myśliwiec? O czym wy mówicie, chłopaki? - Aleksander trzymał w rękach ciężką gazetę, ale z jakiegoś powodu nie wpadł na to, żeby przeczytać nagłówek.

- *Fuck* ci w mordę, facet! - groźnie podniósł głos Matt. - Wasz jebany ruski *jet* zabił kupę niewinnych ludzi, rozumiesz, pojebańcu? *Fuck* Stalin, *fuck* Lenin i *fuck you, fucking* Ławski!

Aleksander ścisnął skronie palcami.

- Frankie, daj mi co tam masz! Bez podwójnego shota nic nie zrozumiem.

- Ej, Piu, daj no mu podwójnego shota! - zaśmiał się amerykański człowiek pracy. - Pokaż temu komuchowi swój słynny cios!

- No no, powoli, chłopaki! - z półprzymkniętymi oczami półszepem powiedział *bartender*, podając Rosjaninowi podwójną Finlandię.

Aleksander pospiesznie zatankował. Nie ma żadnej różnicy między wszystkimi tymi wódkami, jedno świństwo, budzące w konsumencie obmierzłe uczucie, coś w rodzaju naruszonej godności. Teraz był w stanie przeczytać, nie gazetowy nagłówek jednak, a rządę liter na piersi kierowcy ciężarówek, tuż pod obrazkiem, a nad żółwim pancerzem jego brzusznej muskulatury: „*KM a commy for your mummy!*” Piu tymczasem siekał powietrze swoimi małymi łopateczkami niczył kindziałem.

- Daj mu po wątrobie, *gook*, bracie! - wrzasnął Matt i w tym momencie jedna z łopateczek, palcami naprzód, wcięła się Korbachowi pod żebro. Ale boli, myślał, powoli spadając z barowego stołka, to otwierając, to zamykając usta, jakby próbował odgryźć brakujący kawałek powietrza. Nie tylko upokorzenie, ale do tego boli. Czort z nim, z upokorzeniem, żeby tylko tak nie bolało.

- No no, Ławski, ale z ciebie komik! - chichotała Bernadetta Bucefałowna. Ściągnawszy z udanym gniewem brwi, złapała Wietnamczyka za kołnierz. - Gdzie go uderzyłeś? Mam nadzieję, że nie w jądra? W mojej obecności, chłopaki, proszę się nie bić po jądrach!

Z głębi sali wyskoczył Kastorzus z wytrzeszczonymi oczami.

- *Ambulanza!* Dzwoncie po karetkę, ludzie! On umiera, ten porządny rusek! - W rękach

trzymał talerz z gęstą zupą rybną. Widać ktoś poczęstował popularnego żebraka. Tłuste krople kapały Korbachowi na twarz.

- Najlepszy rusek to martwy rusek, no nie? - powiedział Matt Shuroff do Mela O'Massey.

- Nie masz racji, przyjacielu - odparł młody komputerowiec. - Rusek ruskowi nierówny. Ławski nie ma z tym nic wspólnego. - Porzucił bar i przysiadł obok Aleksandra. - Wszystko dobrze, Ławski?

- Ten jebany wietnamiec porozrywał mi flaki - uśmiechnął się Aleksander i zaczął powoli podnosić. - Nie dość, że musi człowiek być tarczą między Mongołami a Europą, to jeszcze Ameryka wchodzi w paradę. - Stał na nogach i posterował ku barowi. Beznamiętna maciupcia twarzyczka śledziła każdy jego ruch. - Trzeba było, Piu, ty żuku-gnojownik, Ho Szi Minowi tak zasunąć! Rozmachali się po herbacie, wypierdki historii!

Nikt, rzecz jasna, nic nie rozumiał z jego rosyjskiego mamrotania, wszyscy jednak patrzyli, co z tego wyniknie. Aleksander uśmiechał się pod nosem. Złamać rękę żółtkowi, czy co? Rzucić się i walić, dopóki nie trzaśnie? Nie, Azjato, zrobimy inny numer. Uderzymy w sam środek antyrosyjskiej koalicji.

- Frankie, dopisz do mojego *tab* duże beczkowe! - Dzięki, alkoholowa prostytutko, niechęć stałeś się współuczestnikiem przestępstwa.

Jednym ruchem chlusnął Mattowi w twarz całą zawartość kufla, a drugim wyrwał stołek spod zadka królowej piękności. Byłemu *marine* nie udało się w związku z tym dostrzec, jak sromotnego koziołka fiknęła ukochana.

- Już po mnie! - wrzasnęła. - Zegnaj, moja młodości! Pączek mi się zmarnował! O rany, ja przecież sikam jak koń!

Oszołomiony gigant zwracał się to w prawo, to w lewo, prezentując chętnym kokosowy orzech kułaka. Główny adresat nie zwracał już jednak na niego uwagi: wisiał teraz na rzucającym się Wietnamczyku. Haniebna konfiguracja uniemożliwiła generałowi puszczenie w ruch swoich niesłabych bynajmniej nówek.

- Nikt czoła nie schyli, choć miecz patrzy w twarz! „Wariaga” wrogowi nie damy! - darł się przebudzony w pijaku patriota.

W tym momencie telewizja przerwała transmisję meczu, żeby nadać specjalny reportaż na temat tragedii nad wyspą Sachalin. Orzech kokosowy pomyłkowo wylądował na trwale cudzoziemskiej fizjonomii Bruno Kastorziusa, który przecież sam był ofiarą rosyjskiego

imperializmu, albowiem ucieczka z płonącego Budapesztu dwadzieścia siedem lat temu złamała jego efektownie rozwijającą się karierę prawnika.

Aleksander wypuścił Wietnamczyka z objęć i zaniósł się niepowstrzymanym szlochem. Piu wypadł z uścisku, opisał piruet i skierował w szczękę wroga ostry szpic miniaturowego kowbojskiego bucika. Kiedy ów szpic zmierzał ku jego szczęce, Aleksander zdążył pomyśleć ze wzgardą po rosyjsku: „Jeszcze jedna zbrodnia mojej ojczyzny! Nie mam już siły być Rosjaninem, niech zabijają!” Cios przerwał bieg myśli. Wszystko dokoła zmierzchło, ale nie wiadomo dlaczego w ciemności pojawił się i znieruchomiał frontispis jakiejś starej włoskiej książki, gdzie cienkim pędzelkiem pisano U jako V, i gdzie jeszcze cieńszymi pędzelkami, umoczonymi w złocie albo indygo, rysowano na rozległych polach w obramowaniu kwitnących gałązek amorki, lwy, jagnięta i papugi, i gdzie w głębi jakiegoś malutkiego architektonicznego kwadracika widniało ciemnobłękitne niebo Toskanii, dla którego wyłącznie, dla wciąż jeszcze możliwego spotkania z nim warto było, o Teofilu, wracać do świadomości.

Cała tawerna już się biła, a bohater uroczystości leżał nieprzytomny. Jak to zwykle bywa, pierwotna przyczyna zamieszania została zapomniana, ale namiętności kipiały, krzesła latały w powietrzu wraz z pourywanymi rękawami. Królowała histeryczna anarchia, a za nią ciemnym murem stała Rosja, która machnęła nagle śmiertelnościami skrzydłem nad międzynarodową trasą pasażerską „Romeo”. Ratując meble, biegali wśród charczących facetów i piszczących kobiet *bartender* Frankie i dwóch jego pomocników, Kit i Kif. Policja długo się nie pojawiała, jako że na całym wybrzeżu miały miejsce tego wieczoru trudne do umotywowania bójki. Pianista Henry tymczasem, porzuciwszy swój zwykły repertuar, po wirtuozersku wykonywał *Koncert brandenburski* we własnej interpretacji, to znaczy mimo wszystko zaadresowany do *baby*.

No a Aleksander Jakowlewicz Korbach, orzeźwiony muzyką, zebrał całą pamięć o swojej akrobatycznej przeszłości, wytoczył się przez drzwi i rozciągnął na asfalcie. Obok jego ciała zatrzymały się trzy żydowskie dziewczeczki z hotelu Cadillac: błękitne peruczki, różowe dzwonki sukienek, żółciutkie rajstopki, łączny wiek dwieście dwadzieścia pięć lat, nie licząc małpki, stojącej na jednym z sześciorga ramionek.

- A tam czeka na pana przesyłka, panie Korbiuk - powiedziały z szacunkiem. - Ekspres. Na pewno od pańskich bogatych krewnych.

Podniósł się: „*Thank you, girls!*” Jakiej cholery oni wszyscy chcą ode mnie? Nie potrzebuję żadnych przesyłek, żadnych krewnych, żadnych teatrów, a już na pewno żadnych Rosji z ich

andropami i andropoidami, z których powodu rozrywają człowiekowi flaki i łamią szczęki.

Niezinające się palce, po których tego wieczoru przespacerowała się niejedna podeszwa, otwierają kopertę. Ukazuje się dość interesująca zawartość: wydrukowane niemal gotycką czcionką, szanowni państwo, na pierwszorzędnym papierze *verge* zaproszenie na Ogólnoamerykański Zjazd Korbachów, który odbędzie się w dniach 18-19 listopada w Halifax Farm, stan Maryland, plus rezerwacja pokoju w najbliższym hotelu By The Creeks, plus mapa hrabstwa Jornewierbludo z trasami dojazdowymi do posiadłości, plus bilet lotniczy z Los Angeles do lotniska Washington-Baltimore, plus czek na tysiąc dolarów i na koniec notka od Stanleya: „Przyjedź, Alex! Będzie wesoło!”, nabazgrana zgodnie z najlepszą tradycją amerykańskich miliarderów, czyli prawie nieczytelnie, ale mimo wszystko czytelnie.

No to akcja się rozwija, pomyślał nasz bohater do spółki, rzecz jasna, z czytelnikami. Wali po łbie, po wątrobie, spaceruje po żebrach, by za chwilę wsunąć człowiekowi do paszczy oszołamiająco słodki cukierek: nie bój się cukrzycy, cmoktaj!

W półtora miesiąca po wykonaniu przez najwyższą generalicję ZSRR mokrej roboty i wynikłej w jej następstwie bójce w nadmorskiej knajpie First Bottom przenosimy się pod drzwi hali przylotów portu lotniczego Washington-Baltimore International. Wchodzi przez nie elegancki pan w tłumie zwykłych, to znaczy nieeleganckich pasażerów. Lekki skos ośmioklinowej, wykonanej z miękkiego tweedu czapki z daszkiem daje efekt pewnej nienatrętnej zuchwałości. Płaszcz idącego ujawnia szlachetną podszewkę burberry. Szalik owego pana zdradza pokrewieństwo z podszewką, ukazująca się spod rozpiętego płaszcza marynarka i falujące w miarę poruszania się ich właściciela spodnie jawnie demonstrują wspólny rodowód z ośmioklinową czapką, co się zaś dotyczy pewnie przemieszczających się w przestrzeni butów w kolorze starego burgunda, z dziurkowanym wzorem, to mówią one same za siebie, czyli uzupełniają tę niemal nieskazitelną prezencję w jej dynamicznym wydaniu; uff, ale zdanie!

Niewtajemniczony mógłby na widok owego pana pomyśleć, że należy on do świata kinematografii, że mamy przed sobą jakiegoś znakomicie opłacanego scenarzystę, z niewymuszoną swobodą przyodzianego w ulubione, nie całkiem nowe rzeczy, nasz czytelnik jednak bez trudu przypomni sobie nieskomplikowane zdarzenia poprzedniego rozdziału i bez trudu się domyśli, że wszystkie te wspaniałe ubiory zostały nabyte krótko przed wyjazdem w sklepie Once is not enough przy współdziałaniu wciąż tej samej Shirley Fiedot za jedną czwartą rzeczywistej wartości. No, jednym słowem, mamy przed sobą naszego bohatera Aleksandra Jakowlewicza Korbacha, co potwierdza częściowo już wchłonięty, ale wciąż jeszcze widoczny niebieskożółty siniak na prawej szczęce.

Zgodnie ze wskazówkami sekretarki Halifax Farm miss Rosę Morrows, Aleksander wziął taksówkę i przejechał miasto Baltimore, uchodzące za jedno z najbardziej autentycznych miejsc w Ameryce, wysiadł przy dworcu kolejowym. Z przyjemnym zdziwieniem popatrzył z peronu na widniejące w dali żółte korony potężnych środkowoatlantyckich dębów i topoli. W czasie pobytu w Kalifornii pewne zjawiska przyrodnicze, w rodzaju jesieni i opadania liści, doszczętnie wywietrzały z głowy samotnego uciekiniera.

Rozległ się dzwonek i na peron wjechał pociąg złożony z trzech wagonów, ciągniętych przez parowozik o masywnym kominie i pięknie wypolerowanych miedzianych fragmentach. Była to

izba pamięci na kółkach, znana jako TTT - Tolley Trail Train, która od stu lat przewozi farmerów i letników w samo - w końcu - serce północnych hrabstw Marylandu.

W wagonie znajdowało się nie więcej niż tuzin osób, najwyraźniej doskonale znających się nawzajem, nie znających zaś Saszy Korbacha. Mężczyźni byli z gołymi głowami, ale na widok wchodzącego nieznanego jak gdyby uchylił kapelusza, kobiety natomiast jak gdyby wykonały przelotny dyg. Nie trafiłem przypadkiem na Jutlandię? Dobroduszny czarny konduktor, sam podobny do parowozika TTT, przedziurawił bilet i spytał, czy nie potrzebuje poduszki pod głowę. „Przeciwnie, właśnie się boję, żeby nie przespać swojej stacji” - zażartował Korbach. Zdanie, rzecz jasna, było zbudowane w taki sposób, że nikt z obecnych ni cholery nie zrozumiał, wszyscy jednak uśmiechnęli się przyjaźnie. *re-a-a-all abo-o-o-oard* - zapiał konduktor, i wszyscy znowu się uśmiechnęli.

Miejsce przy otwartym oknie i umiarkowana szybkość dawały możliwość oglądania okolicy. „Indiańskie lato” było w pełnym rozkwicie. W powietrzu czuło się lekką woń dymu i przymrozku. Wydawało się Korbachowi, że wprowadzie okrężną drogą, poprzez literaturę na temat dawnej Ameryki, ale mimo wszystko wraca w przeszłość, to znaczy do domu. Dzielnice *town house* zostały zastąpione przez dzielnice domków jednorodzinnych, po czym TTT wjechał w zielono-żółty, z dodatkiem purpury i buraczka, roślinny tunel, wewnątrz którego właśnie przebiegała „Linia Tolleya”, nazwana tak na cześć dynastii amerykańskich admirałów. W prześwitach listowia ukazywały się czasem wyżyny ciemnoniebieskiego powietrznego oceanu, a w nich, niby niteczki pajęczej śliny, ciągnęły się ślady po niemal niewidocznych kropeczkach myśliwców. Potem pociąg znowu wjeżdżał w szeleszczący cień, a wraz z nim w okres, kiedy ojczyste niebo nie potrzebowało jeszcze tak rozwiniętego systemu obrony. Od czasu do czasu drzewa się rozstępowały, a wówczas przepływały za oknem niestrome wzgórza i niegłębokie doliny o świeżo zaoranych na zimę albo dopiero co zżętych polach, wśród których stały białe domy z desek, czerwone szopy i penisopodobne wieże silosów. Co dziesięć - piętnaście minut w wagonie pojawiał się konduktor, Mr Cook: „Glover Place, *ple-e-e-ease! Ladies and gentleman*, Emmie i Christopher, Mrs Achinclose, proszę nie zapomnieć rzeczy osobistych, dziękuję bardzo! Następny przystanek Carters!” Pasażerowie opuszczali wagon, wykonując przedtem coś w rodzaju ogólnego ukłonu i dziękując Mr Cookowi. Czasem wchodzili nowi pasażerowie, mieszkańcy tych miejscowości - niezwykle rześcy starszankowie i kwitnące dzieci, ubrane zgodnie z sezonem w niedrogie, solidne rzeczy z katalogu „JJ Been”. Korbach

rozczał się: kochani nosiciele zdrowego rozsądku, nie potrzebny wam czasem ruski strach na wróble do ogrodu? W ten sposób dojechał do swojej stacji Chatlaine, a kiedy szedł w kierunku wyjścia, zauważył, że cały wagon, włącznie z Mr Cookiem, patrzy w ślad za „strachem na wróble” z nieskrywaną już ciekawością, przepełnioną, rzecz jasna, wyłącznie pozytywnymi uczuciami.

Kupy suchych liści prosiły się, by poszurać w nich jak należy angielskimi sztybletami o przedłużonym terminie ważności. Prośba została z przyjemnością spełniona. Na ogrodzeniu miniaturowej stacyjki siedział duży czarno-biały kot w obroży. Z niezwykłym zainteresowaniem obserwował koniec peronu, gdzie krzątało się ptasie towarzystwo, sztuk piętnaście. Opodal stacji widniał pomarańczowy szyld *By The Creeks*.

Nie zdążył otworzyć drzwi, gdy w dół po schodach zadudniły mu na spotkanie grube obcasy. Kobieta, sama gościnność, była ubrana i uczesana tak, że sto lat temu też mogłaby zbiegać tak po schodach na spotkanie gościa.

- Mr Korbach, witam! Pański pokój już czeka. Nie chciałby się pan trochę odświeżyć? - Zdecydowanym gestem wyjęła z rąk przybyłego walizeczkę i oznajmiła, że za godzinę i kwadrans przyjedzie po niego z Halifax Farm samochód, a czas ten gość może wykorzystać na odbudowę sił po tak długiej, zza mórz, podróży.

- Ja przecież nie zza mórz, *ma-am*, po prostu z Kalifornii - wyjaśnił Aleksander Jakowlewicz.

Oczy gospodyni rozszerzyły się ze zdumienia. Najwyraźniej była przekonana, że Kalifornia leży za morzami.

- A czy daleko stąd do posiadłości? - zainteresował się.

Okazało się, że nie więcej niż dwie mile. No to w takim razie można tam dojść na piechotę.

- O nie! - krzyknęła w tym momencie Mrs Creek (no i w ten sposób wyszła nam gra słów, ale co na to poradzić, skoro pensjonat już od stu lat należał do państwa Creek, a obecna gospodyni miała skłonność do wydawania okrzyków podniecenia) - przyjedzie po pana, *sir*, wspaniały samochód! Tutejsi Korbachowie, poza wszystkim innym, słyną również ze wspaniałych samochodów!

Z miejsca podchwyciwszy ów wzburzony, gorący ton rozmowy, Aleksander zapewnił gospodynię, iż piesza przechadzka jest mu po prostu niezbędna w celu podreperowania sił. Uzupełniwszy elokwencję gestem, opuścił *inn* i poszedł wskazaną drogą.

Przecież to jedno z nieoczekiwanych dobrodziejstw życia, myślał, idąc przed siebie i patrząc, jak wąska dróżka, wijąc się, znika na szczycie pagórka, by za chwilę znowu się pojawić na kolejnym podejściu. Ruch kołowy prawie nie istniał. Za płotami duże psy witały go wymownym ruchem ogonów. Czasami z ganeczku unosiła się czyjaś ręka, życząc szczęśliwej drogi temu tak zdumiewającemu zjawisku, jak samotny piechur.

Nagle znalazł się w krainie koni. Jak okiem sięgnąć, ze wszystkich stron, na przyszczyżonych wzgórzach, pod bukietami imponujących drzew stały, chodziły i nawet brykały różnej maści, najczęściej gniade, gładkie i zgrabne stworzenia. Blisko ogrodzenia, zezując na wędrowca wieloznacznym spojrzeniem, przechadzał się wspaniały ogier.

- Można ci pozazdrościć losu, przyjacielu - przemówił do niego Aleksander Jakowlewicz. - Poznałeś, co to sukces, wrzask trybun. Trąby maszerujących orkiestr zachęcały do płąsu cztery twoje cudowne nogi, z których każda zawierała w sobie moc rakiety przeciwczołgowej, plus nieosiągalną dla rakiety delfinią gibkość. Przeżywałeś, bracie, tryumf całą swoją istotą, koniuszkami uszu i rdzeniem przedłużonym, i powiewającym jak chorągiewka na maszcie torpedowca ogonem. I oto schodzisz z hipodromu, ale bynajmniej nie na śmietnik, *batono*, i nie do brudnego chlewa niepamięci, ale do królestwa miłości, na rozległe wzgórza, gdzie jesteś poważany, mój majestatyczny carze kobył, za ten imponujący fiut, który wyrasta ci między nogami zawsze kiedy trzeba, i gdzie zmierzasz już nie w dal, a coraz wyżej i wyżej! Przyjmij moje wyrazy zachwytu, potężny ojcze!

Ogier uderzył kopytem w żerdź ogrodzenia, jakby próbując, czy nie uda się przerwać tego potoku pustostłowia. Podeszły dwie klacze, jedna gniada, druga kara, i dwa źrebaki. Powiał wiatr, zaszeleściły ogony i grzywy. Cała rodzina Houyhnhnmów patrzyła teraz z zainteresowaniem na Aleksandra Jakowlewicza. Obecność dam i dzieci nastroiła pokojowo władcę. Korbach miał już wybuchnąć kolejnym monologiem, tym razem pod adresem całej rodziny, gdy wtem w polu jego widzenia pojawiło się coś, co momentalnie go poraziło: z pobliskiego wzgórza niespiesznym galopem zjeżdżała z łaski Bożej amazonka jego życia.

Koń jej był biały, w jabłka w kolorze ciemnego dębu. Buty jej w strzemionach sterczały ku przodowi jak u szwedzkiego kirasjera. Włosy jej kasztanowate, odwiewane w tym samym kierunku, co u wszystkich obecnych, z wyjątkiem tych, którzy włosów nie mieli, ujawniały strome czoło, świadczące o czystości rasy, jeśli można jeszcze mówić na ten temat pod koniec dwudziestego wieku. Lśnienie jej oczu było widoczne nawet przez dymne szkła ochronnych

okularów. Usta jej to łączyły się w dojrzałą wiśnię, to otwierały majorową klawiaturę naturalnego uzębienia. Figura jej, niezwyklej gibkości, zlewała się z gibką sylwetką rumaka. Boże, pomyślał, przecież ona przypomina wszystkie razem wzięte: Beatrycze, Laurę i Fiamettę! Bożeż ty mój, nie wiadomo czemu jakimś odeskim stylem westchnął Aleksander Jakowlewicz, ja przecież jestem bez pamięci zakochany! Skok za skokiem zbliża się. Nigdy jeszcze nie byłem tak zakochany i nigdy więcej nie będę. Przecież to ona, nareszcie, ta dziewczyna, o której śniłem w zachwycie jako wyrostek, w epoce miażdżenia głów żyrandolami. Przecież to wyłącznie dla niej szarpałem struny i wygłupiałem się na scenie! Przecież tylko marząc o niej, wyłączałem się niekiedy z wrzaskliwej hordy i bezmyślnie patrzyłem, jak zachód zapala z boku wszystkie okna jakiegoś dwudziestopiętrowego mrówkowca. Albo w pustce estońskiego Klogarandu pośród walących o brzeg fal zwracałem głowę ku spokojnej łasze i widziałem tam subtelną czapkę - tylko w marzeniu o niej.

Oto co przemknęło mu przed oczyma w ciągu dziesięciu skoków całej tej sztuki kolan i kopyt. Zostało mniej więcej drugie tyle, gdy kolejna myśl pojawiła się wraz z przejmującym smutkiem: wszystko to przeszłość, minęliśmy się, teraz ona ma dwadzieścia lat, a ja czterdzieści cztery, żebrząca mała trzaśnięta w mózg. Żeby tak miała choć ze dwadzieścia dziewięć, o Teofilu!

Któż to taki, myślała, zbliżając się, amazonka - nieźle ubrany, stojący na wprost mnie z małpim uśmiechem? Stanąwszy koło ogrodzenia, rumak zatańczył w miejscu, wleciała nad siodłem obciążnięta w łosiową skórę noga. Żeby tylko nie okazała się wyższa ode mnie, zaniósł w tym momencie modlitwę Aleksander Jakowlewicz. Modlitwa została wysłuchana: dziewica okazała się wprawdzie niewiele, ale niższa. Zdjąć ją z obcasów i będzie w sam raz. Prowadząc za wodze swoją młodą klacz, podchodziła ku rodzinie Houyhnhnmów. Usłyszałeś mój jęk, Olimpie, ona ma chyba dwadzieścia dziewięć! Z nagłą zuchwałością pozbawił nieznajomą w wyobraźni wszelkiej odzieży. Włącznie z butami, proszę państwa, włącznie z butami!

- O co chodzi? - spytała ostro, zaraz jednak, jak gdyby poprawiając się z niezadowolaniem, przyjęła grzeczny ton: - Czy mogę panu w czymś pomóc, *sir*!

- O tak, *miss*! - odparł nie bez zuchwałej żartobliwości, przywoławszy się jednak do porządku, skromnie wyjaśnił: - Po prostu zatrzymałem się, żeby zapytać o drogę do Halifax Farm.

- Koni? - spytała, przyglądając włosy.

- Wyglądają na istoty rozumne - odparł.

Roześmiała się.

- Niestety, nie potrafia się porozumiewać na poziomie niższym niż ich własny. Przepraszam, nie chciałam pana obrazić.

Roześmiał się także.

- Mam nadzieję, że ci, którzy na nich jeżdżą, dorównują im poziomem.

- Ale z pana pochlebca, kochany! - zachichotała i wskazała szpicrutą szczyt jednego ze wzgórz, na którym niczym czerwony zamek obronny wznosiła się potężna amerykańska stodoła.

- Jeśli poczeka pan parę minut, podwiozę pana do farmy Halifax.

Wskoczyła na siodło, jednym skokiem znalazła się obok stajni, zdjęła siodło z konia i weszła do środka. Och, pomyślała w mrocznym wnętrzu, żeby tylko nie uciekł przez te parę minut. Nie mogę przecież tak po prostu wyskoczyć z szaleństwem na twarzy i wrzasnąć: „Chodź tutaj, ściągaj ze mnie wszystko, łącz się ze mną, idioto, na którego tyle czekałam!” Odmierzywszy na świecącej tarczy zegarka trzy minuty, zaczęła czekać.

Wydało mu się, że wyszła surowa i nieco roztargniona. Wsiadła do jeepa. Samochód zmierzał w górę ku stajni. Co on ma z oczami? Oślepiła go moja uroda? Zdjąwszy czapkę, wytarł rękawem płaszcz ogromne łyse czoło. Zatchnęło ją z zachwyty: co za łeb!

- Jest pan Rosjaninem? - spytała.

- Jak się pani domyśliła? - Palił, siedząc boczkiem w jeepie. „Ale mi Hemingway! Już sobie pewnie wyobraża wszystkie te bajroniczne rozkosze!”

- Znam rosyjski akcent.

- A co, była tam pani?

- Trzy razy... *oops*, cztery razy! - Roześmiała się, najwyraźniej na konto owego czwartego razu.

Zwariować można, pomyślał.

Otworzyła się brama wjazdowa do posiadłości. Jeep przejechał wysadzaną platanami aleją, okrążył fontannę i ruszył wzdłuż sadzawki. Na jednym z jaskrawozielonych zboczy co najmniej setka ludzi śledziła grę flecisty i klawikordzisty.

- Co to za ludzie? - spytał.

Roześmiała się.

- Korbachowie. Pan przecież też na pewno Korbach?

- Zgadła pani. Nazywam się Alex Korbach. Po rosyjsku Sasza, no, to znaczy tak w ogóle Aleksander Jakowlewicz.

Z nieoczekiwaną łatwością powtórzyła niewyobrażalny dla amerykańskiego organu mowy dźwięk „Aleksanderjakowlewicz”. W tym momencie pomyślał, że ona też może być z Korbachów, i struchlał, czy przypadkiem nie szykuje się kazirodztwo. Patrzyła na niego z zainteresowaniem. W jej spojrzeniu mignęło nagle to, czego nie zobaczy się nigdy w oczach kobiety rosyjskiej czy nawet francuskiej, coś właściwego wyłącznie tutejszym przedstawicielkom płci żeńskiej: rodzaj aktywnej oceny. Tu rzadko można spotkać to, co zawsze mąciło człowiekowi w głowie - kurewskie moskiewskie krygowanie się. Kobieta jest aktywna, sama bierze.

- A ja się nazywam Nora Mansour.

- No to chwała Bogu, bo już się przestraszyłem.

Roześmiała się i w jej śmiechu, w zmarszczkach, które zebrały się wokół oczu, w blasku źrenic i białek, w ruchu, jakim odrzucała włosy, rozmyły się wszystkie „aktywne oceny”, ale „kurewska kokieteria” też się nie pojawiła, wyłącznie nimfa się tam pluskała, pełna radości życia i mitu. Zupełnie jakby mówiła: dalej, nie zwlekaj, wyznawaj miłość, bo inaczej sama ci wyznam!

Wszystko jednak wciąż się toczyło w ramach przyzwoitości. Podjechali do zamku i weszli do ogromnego foyer, które swymi strzelistymi oknami w dębowych ramach reprezentowało niemal oryginalny styl Tudorów, budząc jedynie odległe skojarzenia z bawarskimi halami piwnymi. Nikogo tu jakoś nie było, tylko w głębi, niby przywidzenie, zamajaczył zgarbiony starzec o semickim typie. Nora podeszła do długiego stołu, na którym leżały plastikowe wizytówki z nazwiskami gości.

- A to pan, „Alex Korbach, Moskwa”!

Przypięła mu plastik do klapy marynarki. Zatrzymała się przy tej klapie na mgnienie dłużej, niż wymagała tego czynność przypięcia. Oboje nawiedziło w tym momencie wrażenie niemal spełnionego pocałunku. Rozeszli się, ale nie rozstali. Usiedli w fotelach pod średniowiecznym witrażem, przez który kładła się na parkiet pasternakowska „płachta kolorowych pięknych drżących kursyw”, nie omieszkał przypomnieć sobie Aleksander Jakowlewicz. Poprosiła go o przedmiot, który od kilku pokoleń pomagał zakochanym przezwyciężyć początkową niezręczność - o papierosa.

- A czym się pan zajmuje, Alex? - spytała.

„No przecież nie powiem jej, że pracuję w charakterze samochodowego waleta w betonowych wnętrznościach molocha”. Dwa sobole, brwi, uniosły się ze zdziwieniem w odpowiedzi na jego milczenie.

- No dobrze, opowiem pani o sobie, moje dziecko.

- Jak pan mnie nazwał? - spytała z zaskoczeniem.

- Właśnie tak, „my child”. Opowiem pani w paru słowach, *my child*, żeby trudniej pani było wziąć to za kłamstwo. W kraju, który zdołała pani odwiedzić trzy albo nawet cztery razy, byłem reżyserem w małym teatrzyku Błazny, czyli po waszemu Buffoons. Byliśmy niepoprawnymi improwizatorami, moje dziecko, no i władze postanowiły nauczyć nas grać z nut. Żeby skrócić tę przydługą historię, powiem tylko, moje dziecko, że podłożyli mi pinezkę pod tyłek.

- Ale dlaczego mówi pan do mnie „moje dziecko”? Jest pan niewiele starszy ode mnie, młody człowieku!

- To zależy od tego, ile ma pani lat.

- Trzydzieści cztery, młody człowieku.

- Tylko o dziesięć lat! - wrzasnął radośnie i dodał: - Moje dziecko!

Uderzyła go lekko dłonią po nadgarstku.

Dopiero teraz zauważyli, że sala szybko zapełniają Korbachowie: najwyraźniej koncert na zielonej trawce się skończył. Służący wnieśli tace z koktajlami. W kącie sali otworzono bufet z gorącą kawą. Obsługa składała się z młodych ludzi wyglądających na studentów, dowodził nimi jednak starzec w kamizelce, pończochach i rękawiczkach; był to, rzecz jasna, Enoch Aghast ze starożytnych kronik.

- A pani, Noro, czym się zajmuje?

- A ja jestem archeologiem. Dziwne, prawda?

W tym momencie w tłumie dał się słyszeć młody głos: „Nora! Nora!” Zostawiła go.

- Zaraz wrócę, Alex! - I to zwrócenie się po imieniu zakołysało jego oddechem, zupełnie jakby wynurzył się z głębin na powierzchnię. Odwróciwszy się, w dość niewygodnej pozycji śledził wzrokiem, jak lawirowała w tłumie, po czym, pisnąwszy niczym studentka, rzuciła się ku młodej dziewczynie, rozlewającej gościom kawę. Odpowiedzią również był pisk i objęcia. Przemieszczający się Korbachowie skryli przed jego wzrokiem Norę i jej przyjaciółkę, a kiedy wylazł z klubowego fotela, dziewczyn nie było już w sali. Po czym nasz starzejący się młodzieniec, łysy moskwianin, kultywujący „nowy słodki styl” pod grubą warstwą

obsceniczności, jeszcze wczoraj myślący o sobie jako o samotniku w otchłani amerykańskiego  
czyśćca, znalazł się pośród mówiącego głośno po angielsku tłumu krewnych, a w każdym razie  
ludzi o tym samym nazwisku.

Wszędzie słyhać było śmiech. Większość tych ludzi spotkała się po raz pierwszy w życiu. Chodzili z kieliszkami, jedli z wykałaczek malutkie kiełbaski, podobne do dużych ziarn fasoli. Od czasu do czasu komuś zdarzało się najwyraźniej połknąć wraz z mięsną fasolką drewnianą wykałaczkę, bo czym inaczej wyjaśnić fakt, iż dyżurnym paramedycykom nierzadko przychodziło klepać tego czy owego Korbacha dłonią między łopatkami.

Trudno powiedzieć, kto wynalazł karteczki z nazwiskami, które przyszpila się do piersi w celu ułatwienia kontaktów w czasie wielkich zgromadzeń, ale bezsporny jest fakt, iż stało się to w Ameryce. W pysznej Europie obyczaj ten uważano na pewno za urągający ludzkiej godności, dopóki i tam nie przyjęto go powszechnie. Teraz ów demokratyczny sposób komunikowania się jest z powodzeniem stosowany nawet na zjazdach pisarzy. Pamiętam, jak na Winter Bazaar międzynarodowego Penclubu można było z triumfem w duszy przechylić się odrobinę i przeczytać na człowieku „Norman Mailer” czy „Giinter Grass” albo zadrzeć nieco głowę ku karteczce z napisem „Kurt Vonnegut”. Niestety, karteczki rzadko stosuje się na hollywoodzkich przyjęciach; czasem to kwestia miłości własnej, a czasem, w przypadku kobiet, i przypominać nie bardzo jest do czego. A szkoda; nie każdy przecież w zamęcie współczesności potrafi odróżnić na pierwszy rzut oka, powiedzmy, Barbrę Streisand od Raquel Welch.

Na ogólnoamerykańskim zjeździe Korbachów ludzie ze swobodą wpierali wzrok w karteczki na piersi i wykrzykiwali *Nice to tneet you!*, po czym następowały dwa obowiązkowe pytania: *Where are you from?* i *What do you do?*

Zebrali się tu przedstawiciele wszystkich niemal stanów zachodniego i wschodniego wybrzeża, serce kraju było jednak reprezentowane dość skąpo i dlatego na Korbachów z, powiedzmy, Kansas patrzono jak na egzotykę. Jeszcze większą egzotykę stanowili naturalnie nieliczni goście z zagranicy, w szczególności rodzina amerykańskich nafcjarzy z Kuwejtu, która po długoletnim pobycie w tym arabskim królestwie przyjechała do kraju na długoletni urlop. Co się tyczy owych nafcjarzy, to nie obeszło się bez małego kuriozum. Razem z nimi przyjechali na pamiątkowy zjazd również ich arabscy krewni, a konkretnie żona ich syna, młoda Aisza, oraz jej rodzice z oświeconych, prozachodnich szejkanatów. U siebie, w Kuwejcie, uważali oni Korbachów w kowbojskich kapeluszach za wcielenie amerykańskości i byli niezmiernie

zdziwieni, jeśli nie zszokowani, zobaczywszy w tłumie potencjalnych krewnych rodzinę nowojorskich chasydów.

Główną egzotyką okazali się zresztą nie szejkowie, a elegancki pan z Moskwy, czyli nasz AJ. Dawno się już przyzwyczyił, że jeśli chodzi o Rosję, to pierwsze pytanie Amerykanów, zwłaszcza Żydów, brzmi zawsze tak samo: „Jak udało się panu stamtąd wydostać?” Zwykle odpowiadał: „Trudno o coś prostszego, wywalili mnie”. Ludzie wrzuszali z niedowierzaniem ramionami: nie chciał sam wyjechać, musieli go wywalić! Tym razem wszyscy byli jeszcze pod wrażeniem niedawnej radzieckiej zbrodni i pytali AJ, jak sachaliński lotnik mógł wystrzelić rakiety w samolot pasażerski. Mam nadzieję, że przynajmniej tu nie przypierdolą mi za Andropowa, myślał nasz bohater. No cóż, drodzy państwo, co niby pozostawało temu facetowi? Przecież oni wychowują swoich żołnierzy na roboty. Żądnych wiedzy nie urządzało takie wyjaśnienie.

Szczególnie mocno gorączkował się młody dentysta z Waszyngtonu, Henry Korbach:

- Moim zdaniem, Alex, on to zrobił z sadystyczną przyjemnością. Jestem przekonany. Czytał pan *transcript* przechwyconego radiogramu? Otrzymał rozkaz strzelania z zaskoczenia, zawołał coś w rodzaju „wołki-tołki” i wałnął.

- Jołki-pałki - poprawił AJ.

- Niech będzie, ale przecież to oznacza *fiddlestiks*, czyli „a tam, głupstwo, coś prostszego”, coś w tym rodzaju.

- Pan wybaczy, Henry, coś w tym rodzaju, ale nie to. „Jołki-pałki” to nie *fiddlestiks*. To eufemizm wulgarnego przekleństwa. Można w nim odczytać całą gamę negatywnych uczuć, w tym również i przerażenie rozkazem ludobójstwa, jaki otrzymał od dowództwa.

Wstrząśnięty tą nieoczekiwaną interpretacją, Henry Korbach odszedł głęboko zamyślony. Dentyści, trzeba tu powiedzieć, zaliczają się do grona najpoważniejszych analityków sytuacji politycznej. Niewykluczone, że jest to spowodowane specyfiką ich pracy. Psujące się zęby, pełne ubytków, są dla nich jak widma zburzonych miast. Końcówka bormaszyny zbliża się do delikatnych tkanek i ujawnia bezbronność tego, co ożywione, wobec nieożywionego warczącego żelastwa. Z drugiej strony protetyka ucieleśnia trwałość ludzkiej utopii. Spór wokół „jołki-pałki” najwyraźniej nie dawał Henry’emu Korbachowi spokoju przez cały czas trwania tego wesołego, a nawet w jakiś sposób wrzuszającego spotkania. Wybiegając do przodu, powiemy, że pod koniec, kiedy wielu Korbachom było już dość wesoło, Henry, całkowicie trzeźwy, odszukał

Aleksa i powiedział, że teraz wie, jak ogromne znaczenie ma prawidłowość przekładu:

- Pańska interpretacja, mój przyjacielu i kuzynie, w nowy sposób naświetla sytuację w Armii Radzieckiej. Kiedy zaczniesz pan mieć problemy z zębami, proszę przyjeżdżać do Waszyngtonu, zaoszczędzi pan sporo pieniędzy.

Dentystów nierzadko można było spotkać w tym tłumie, jednak liczba ich była znikoma w porównaniu z liczbą adwokatów, agentów nieruchomości, bankierów i brokerów, przedstawicieli potężnej amerykańskiej klasy pośredników, których część społeczeństwa uważa za pasożytów, druga zaś za niezbędną siłę napędową na drodze ku realizacji „amerykańskiego snu”.

Było tu również paru przedstawicieli zawodów nietypowych, w szczególności członek zespołu amerykańskich kosmonautów, Matt Korbach, a także profesjonalna jasnowidzka z Atlantic City, Dorothy Berlingauer (z domu Korbach), znana pod zawodowym pseudonimem *Madame Phataly*. Ta ostatnia podeszła do naszego Aleksandra Jakowlewicza sprężystym krokiem pionierki ruchu Jane Fonda Aerobic i odrzuciwszy miękkowłóknistą przędzę fryzury, szepnęła mu w lewe, nie zarosłe jeszcze srebrzystym drucikiem ucho: „W twoim kraju, mój chłopcze, za trzy lata zaczną się interesujące zmiany”.

Wszyscy ci ludzie zebrali się razem z inicjatywy najpotężniejszego Korbacha świata, Stanleya, i dzięki wysiłkom badawczym jego trzech ekspertów od genealogii, a mianowicie Saula Leibnitza, który zrezygnował na rzecz tego zadania z pracy w bibliotece Kongresu, doktora archiwistyki Lionela Fuchsa, a także byłego współpracownika tajnych służb brytyjskich Lestera Square'a, któremu wieść gminna przypisywała autorstwo pół tuzina kontrowersyjnych powieści. Nawet i teraz, w godzinie apoteozy, trójca ta nie przerywała pracy. Podchodzili grzecznie do tej czy innej osoby, wymieniali uprzejmości, po czym wyciągali dyktafony i zaczęli zadawać pytania na temat wstępnych i zstępnych, a także krewnych z linii bocznych.

Istotne komplikacje powstawały z tego względu, iż wielu Korbachów w trakcie swego amerykańskiego życia przestało być w pełni Korbachami. Inni, jak gdyby w wyniku ulubionych przez nasz naród wyścigów samochodowych, gubili końcówki i stawali się Korbami, u innych, jakby na skutek uderzenia w tylny *butnper*, końcówki się skrzywiały i ci stawali się - jak na przykład pewien agent celny - Corbettami. Byli także jacyś pojedynczy Korbele, Korbie, Korbinowie, a nawet pewna dama nazwiskiem Dolores Corbellini, którą trzeba było przekonywać, że jest po prostu Laurie Korbach, bez jakichkolwiek hiszpańsko-włoskich

upiększeń.

Ciekawe, że co najmniej jedna trzecia obecnych nie podejrzewała się o żydowskie pochodzenie. Odkrycie to wywoływało różne reakcje: jedni popadali w zachwyt, drudzy chichotali nerwowo, jeszcze inni zasępiali się, podejrzewając jakąś prowokację. Wszystkich jednak uspokajała nieoczekiwanie bliska więź ze Stanleyem Franklinem Korbachem, albowiem w każdym niezwykle żywy był „amerykański sen”.

Trzy gończe psy wyszły na koniec na naszego AJ. Malutki Fuchs podskoczył ze szkiełkiem do klapy jego marynarki i wydał dźwięk zachwytu, przypominający brzmienie jego nazwiska. Rzeczowo zbliżył się nienaganny, jeśli nie liczyć obwisłego prawego poślodka, Leibnitz. Swojskim gestem, zupełnie jakby nie był Brytyjczykiem, klepnął go w ramię Les Square: „Alex Korbach z Moskwy! Właśnie pana szukamy, przyjacielu!” Już po kilku minutach rozmowy AJ zorientował się, że od czasu jego spotkania ze Stanleyem specjaliści dowiedzieli się sporo. Jego przynależność do zbiorowiska półpodziemnych radzieckich znakomitości nie była już dla nich sekretem. Wiadomo było o pozbawieniu go obywatelstwa. Nie to jednak interesowało ich w danym momencie. Wie pan, Alex, my się tu troszkę potykamy o młodszą siostrę pańskiego dziadka, Esfirię. Czym się zajmowała ta kobieta, za kogo wyszła za męża, czy miała potomstwo?

Przypadkiem pamiętał coś niecoś na temat Esfirii Natanowny. Nieraz opowiadała o niej z dumą babcia Irina. Fira, jak nazywano ją w rodzinie, poszła w ślady starszego brata i została artystką awangardy. Była z tych żydowskich dziewczyn, o których udający wieśniaka Jesienin powiedział kiedyś, że bez nich nie miałby kto czytać rosyjskiej poezji. Studiowała w Petersburskim Instytucie Sztuki Stosowanej i Rzeźby, była uczennicą najpierw Malewicza, potem Fiłonowa, przyjaźniła się z czołowymi artystkami tej epoki: Rozanową, Popową, Pestel, Muchiną, Tołstoj-Dymszyc, Udalcową, Stiepanową. Podobnie jak starszy brat, który wziął za żonę *szikę*, wyszła za męża za *goja*, teoretyka literatury Wierchowo-Łoszadina. Pod nieprawdopodobnym potrójnym nazwiskiem Korbach-Wierchowo-Łoszadina Esfiria uczestniczyła w znakomitej wystawie suprematyzmu „0,10”. Urodził się im syn Konstantin, czyli stryjeczny brat ojca Saszy, Jakowa. Został inżynierem elektrykiem. Profesora Wierchowo-Łoszadina rozstrzelano za estetyczny formalizm - tak, panowie, za estetyczny formalizm - ale jego syn ocalał i razem z babcią Firą...

W tym momencie opowiadającemu wydało się, że w ogólnym zgiełku zadźwięczał głos Nory. Bez ceremonii odsunął rozmówców. Nigdzie jej jednak nie było. Cholerni Korbachowie

intensywnie kontaktowali się ze sobą, utrudniając poszukiwania. Ciekawe, czym zajmuje się w tym towarzystwie mój niezwykle archeolog? Może kieruje działem prehistorycznych korbachowskich kości? Wtem zobaczył ją i zdał sobie sprawę, że już nieraz migąca mu w polu widzenia, ale jej nie zauważał. Przebrała się, w tym cała rzecz. Nadzwyczaj rzeczowa, razem z grupą innych młodych ludzi kręciła się po odległym planie, przenosząc to jakąś wazę, to naręczę kwiatów, to krzesło. Dotychczasowa amazonka zniknęła, zamiast niej stąpała bywalczyni światowych rautów: włosy zebrane pod obcisłym dzianym beretem, powłóczysta suknia w stylu *art deco*, co budziło skojarzenia i z filmem *Świat się śmieje*, i z powieścią *Wielki Gatsby*.

Zadźwięczał gong, otworzyły się ciężkie rzeźbione drzwi i wszyscy Korbachowie zaczęli wpływać do jadalni. Na ich spotkanie wychodzili tutejsi suwereni. Pierwszy pojawił się patriarcha rodu, rumiany mężczyzna w, jak mówią w Ameryce, zaawansowanym wieku: osiemdziesięcioośmioletni Dave Korbach. Wspierał się na lasce, bardziej jednak dla efektu niż z rzeczywistej potrzeby. Żartował, przekomarzał się przez ramię z drugim według ważności uczestnikiem procesji, rabinem Samem Derszkowitzem (po mamie Korbachem), nie bez pewnej frywolności machał ręką młodziutkim pannom, które co do jednej wydawały mu się starymi znajomymi. Dopiero trzeci stanął przed towarzystwem faktyczny gospodarz uroczystości, Stanley Franklin Korbach, w *tuxedo*, czerwonym krawacie i pasie *cummerbund*, potężna postać, uwieńczona pocieraną z zakłopotaniem czaszką, jak gdyby chciał powiedzieć: nie zwracajcie na mnie, drodzy państwo, szczególnej uwagi. Prowadził pod rękę dwie siostry, starszą Judy, która wyglądała już trochę jak staruszka, i młodszą Jane, wspaniale młodzieńczą damę. Mężowie owych dam prowadzili panią domu, absolutnie czarującą Marjorie Korbach, *decoltee*. Na drugim planie, za plecami Marjorie, majaczyła twarz jej nowego potężnego partnera, niedużego Blumsdale'a.

Gospodarze oraz goście wymienili energiczne oklaski, po czym rabin Derszkowitz zaproponował, by wszyscy zasiedli do stołu. Lata trudu zniknęły, przyjaciele, teraz przed wami czas ucztowania, czas radości i obcowania ze sobą. Rozkoszujcie się jadłem, winem i życzliwą, serdeczną rozmową! Wiedział, co mówi. Wszyscy zaczęli się rozchodzić do stołów, sprawdzając karteczki. Aleksander znalazł swój stół, nie było jednak przy nim upragnionej twarzy. Co jest, Noro, zapomniałaś o mnie czy co? Widział ją teraz po przekątnej na przeciwległym krańcu sali, za jednym z licznych okrągłych stołów w towarzystwie przyjemnej młodzieży i w bezpośredniej bliskości przystojniaka o bujnym uwłosieniu, w typie filmowca, z tych, co to założywszy nogę na

nogę, nonszalancko udzielają wywiadu Dianie Sawyer czy Charliemu Gibsonowi. O nie, Noro, tak łatwo ci się nie uda! Proszę bardzo, napiję się teraz wina i pójdę przez całą salę prosto do ciebie! Przystojniak się zmyje. Kto powiedział, że przykrywka z włosów bardziej zdoła mężczyznę niż szlachetnie połyskująca łysina?

Patrząc na salę od stołu Aleksandra Jakowlewicza, zawężamy niejako kąt opowieści, no, ale cóż stoi na przeszkodzie, by przejawić autorską samowolę, przeskoczyć salę i pospieszować trochę Norę, tym bardziej że i czytelnik prawdopodobnie sobie tego życzy.

Ale ze mnie kretyńka, złościła się, rzucając od czasu do czasu spojrzenia w stronę, gdzie zza zbiorowiska głów polsniewało złote jajeczko. Trzeba było przełożyć jego wizytówkę na mój stół. Przynajmniej nie siedziałby wtedy koło tej ziejącej ogniem tłuszciochy z Oklahomy. Rosjanie podobno uwielbiają puszyste. O nie, drogi Aleksie, dzisiaj będziesz musiał zrewidować swój gust! Kto tam jeszcze ulokował się obok niego? No przecież to Art Duppertat ze swoją nieco ciężką Sylvie. Dobra, wypiję ze dwa kieliszki, a z trzecim ruszam przez całą salę rzekomo do nich, a tak naprawdę do niego. Do niego!

Wracamy. Wzorcowy pracownik parkingowego biznesu stanu Kalifornia w gruncie rzeczy po raz pierwszy brał udział w amerykańskiej proznej kolacji. Sądził, że za chwilę zaczną się toasty, najpierw uroczyste, potem coraz bardziej chaotyczne, i wtedy w lekkim zamieszaniu przekradnie się do Nory. Nie wiedział, że *dinners* zorganizowane są na innej zasadzie: rozmowy nie są pobudzającą zakąską, a raczej tabletką na trawienie, i dlatego zaczynają się po deserze.

Rabin Derszkowitz miał nabożną powierzchowność, ale w stosunku do pożywienia, a prawdę mówiąc i w życiu osobistym, praktykował dość liberalne koncepcje judaizmu. Patrząc surowo na żujących i przełykających gości, zwracał ku nim taką oto myślową *brachę*: „Jedzcie, moje dzieci! Rozkoszujcie się karczochami z nadzieniem ze świeżutkich krabów! Gmach Talmudu nie zadrży z powodu niewielkiego naruszenia zasad koszerności! Czemu nie mielibyście po kotlecie cielęcym dogodzić swojemu żołądkowi kawałkiem pierwszorzędnego gruyera? Dogadzajcie, moje dzieci! A ja wypiję za was i raz, i dwa, i jeszcze raz, aż dusza moja zaśpiewa Panu hymn z jeszcze większą siłą!” I jak gdyby posłuszne temu wewnętrznemu monologowi pozornie ascetycznego duchowego lidera całe zgromadzenie ochoczo sobie dogadzało, kelnerzy zaś, na ogół studenci miejscowych koledżów, nieustannie uzupełniali wino w szybko opróżnianych kieliszkach.

- Hej, Alex, widzę, że pan mnie całkiem nie poznaje! - zawołał przez stół jakiś młody

człowiek o długawym włoskim nosie, odziedziczonym po linii ojca, i obrzmiałych pulchnych ustach, otrzymanych od Żydówki. - Niech pan przyjrzy się lepiej, czy moja powierzchowność nie przywodzi panu na myśl *commedii deWarte*}

AJ przyjrzał się, gotów już na wszelkie niespodzianki na tej ziemi, która jeszcze całkiem niedawno wydawała mu się wykładaną kafelkami pustynią, przesyconą zapachem świeżości o takim stopniu intensywności, że czasem od niego mdliło.

- Przykro mi jak diabli, *sir*, ale pańska powierzchowność przywodzi mi na myśl równocześnie kilka obrazów - i Arlekina, i Pierrota, dziwne, nieprawdaż, ale najbardziej ze wszystkiego, mam nadzieję, że pan mnie za to nie zabije, naszego niezapomnianego Pulcinellę...

Bez cienia obrazy nieznajomy zawołał:

- Nie masz racji, *old chap!* Czy nie ty sam półtora roku temu nadałeś mi ksywę Doktor Dappertutto?

Aleksander, zaskoczony, na chwilę zapomniał o Norze. Z pamięci wypłynęły demoniczne niebiosy nowojorskiej nocy z jego własnym nazwiskiem na tle napęczniałych chmur, oślepiający mrówkowiec domu towarowego, dziewczyny z działu perfumeryjnego, strażnicy i wreszcie ten oto facecik, który nalał mu szklanekę przywracającego do życia porto. No przecież o nim właśnie wspominał Stanley! Od niego poszedł słuch o nowym Aleksandrze Korbachu.

- Mam panu mnóstwo do opowiedzenia, Alex - uśmiechnął się Art - ale przedtem niech pan zdradzi, co stało się z pańskim angielskim? Nie spędził pan przypadkiem tego czasu w Oksfordzie? - Zanim Aleksander zdążył odpowiedzieć cokolwiek w swoim oksfordzkim angielskim, zaczęły się przemówienia.

Mowa rabina Derszkowitza była o kilka stopni suchsza niż jego po ojcowsku reformatorskie myśli. Główna jej myśl była taka, że niniejszy zjazd amerykańskich Korbachów jest częścią światowego nurtu poszukiwania żydowskich korzeni.

Pokolenie za pokoleniem nasz naród troszczył się tylko o jedno - jak przeżyć w gettach i sztetlach. Przeganiani i pogardzani, gubiliśmy swoje historyczne nici i często nie byliśmy w stanie prześledzić swojej genealogii dalej niż do dziadka. Nasze tradycje przestały być częścią prowincjonalnego, skamieniałego dogmatu. Naród żydowski niesie w przyszłość humanizm swojej religii i kultury. Dziś w tej sali oglądamy ucieleśnienie tych optymistycznych idei. Podziękujmy wszystkim, którzy zjechali na to święto, a także organizatorowi uroczystości, mojemu staremu przyjacielowi Stanleyowi Korbachowi! Podniósłszy się na całą swą imponującą

wysokość i uciszywszy oklaski amortyzującymi ruchami obu dłoni, Stanley zaprezentował zebranym krótką przemowę, w której posunął się jeszcze dalej niż rabbi Dershkowitz w kierunku przewyciężenia „skamieniałych dogmatów”. Jego myśl, jak oznajmił Korbachom, dotyczy nie tyle nawet czysto żydowskiego dziedzictwa, ile jest próbą projekcji ludzkiej molekuly jako cząstki Wszechświata. (W tym miejscu Marjorie Korbach ledwo zdołała stłumić nerwowe ziewnięcie). Uczni jak dotąd nie zdołali odpowiedzieć na pytanie, czy geny umierają, czy DNA uchodzi w nicość. Nasze dociekania genealogiczne, a doszliśmy już z moimi wybitnymi współpracownikami, Leibnitzem, Fuchsem i Lesterem Square'em, do hiszpańskiego okresu naszej diaspory, przyczynią się może w przyszłości do nowych odkryć, a przede wszystkim do poszerzenia i pogłębienia pamięci jako fenomenu przeciwstawiającego się bezlitosnemu czasowi. Naród żydowski i jego historia są naszym kamieniem węgielnym. Żyjąc w ciągu dwudziestu wieków naszej ery pośród innych narodów, nie wspominając już o stuleciach niewoli egipskiej i babilońskiej, Żydzi aktywniej niż inne nacje przyczyniali się do budowy ludzkiej molekuly. Co najbardziej jednak godne uwagi, to przecięcie linii etnicznych - proszę mi wybaczyć mój niezbyt ortodoksyjny punkt widzenia - w tworzeniu ogólnoludzkiego elementu kosmicznego, zdolnego, być może, przebić ścianę naszej kosmicznej samotności. Gmachy świętych ksiąg judaizmu, chrześcijaństwa i mahometanizmu, a także współdziałające nauki hinduizmu i buddyzmu, zawierają mnóstwo światła, które nas wzywają, i powinniśmy nie tylko je kontemplować, ale także wychodzić im naprzeciw. Mimo całej naszej słabości możemy założyć, że nikt i nic nie ginie bez śladu. Nie będziemy się obawiać nieskończonych pustkowi! Radujmy się! *Mazel tow!*

Przemówienie głowy domu Korbachów wzbudziło u niektórych lekkie niedowierzanie, większość jednak wzięła je po prostu za odświętną retorykę i odpowiedziała „Wielkiemu Korbowi” oklaskami, gwizdem, wzniesionymi pucharami i powtarzaniem okrzyków *Mazel tow*.

- No i jak? - spytał Aleksandra Art, jak przystoi młodszemu przyjacielowi bossa, z lekką ironią.

- Głębokie - pokiwał głową Aleksander.

- A nie za głębokie czasem?

- Mądre i wzruszające - uspokoił go Aleksander.

Art miał ochotę dalej toczyć dialog i spytać Aleksandra, czy nie zdaje mu się, że Stanley może zaciągnąć całą tę historię, a w każdym razie niektórych jej bohaterów, w krainy, z których nie ma powrotu, ceremonia jednak trwała i Saul Leibnitz przedstawił zebranym najstarszego

z obecnych Korbachów. Okazał się nim nie Dawid, a stuczteroletni Zachariasz z Saint Petersburga, Floryda. Z lekkością nadzwyczajną wjechał on na podium w fotelu na kółkach, dzierżąc nad głową pęk różnokolorowych baloników, jak gdyby właśnie owe baloniki, a nie udoskonalone baterie wprawiały go w ruch.

Następnie przyszedł kolej na najmłodszego Korbaszka. Dorodna młoda niewiasta wyjęła z nosidełka na piersi, przypominającego torbę kangura, dziesięciodniową istotę, *baby* Dianę. Następnym punktem programu był „Korbach, który wzniósł się wyżej niż wszyscy”, astronauta Mortimer Korbach, Ph.D. Opalony - zupełnie jakby tam w kosmosie nie robili nic innego, tylko opalali się na plaży - uczony rzucił całkiem niezły żart, mówiąc, że uczucie nieważkości nie pozbawia człowieka poczucia rodzinnych więzi.

- No to teraz na pewno poproszą Korbacha, który upadł najniżej - zadrwił po dysydencku Art Duppertat.

- Czyli mnie - westchnął AJ.

- Wśród nas obecny jest pewien nieprzeciętny Korbach - rzekł Saul Leibnitz, tak jakby poprzedni był uosobieniem przeciętności. - Osiedlił się w Ameryce całkiem niedawno i naturalnie nie spodziewał się, że ma tu tylu krewnych. Nasz zespół badawczy z trudem natrafił na ślad tego człowieka. W swoim kraju ojczystym, w Rosji, był on znakomitym śpiewakiem i aktorem, czymś pośrednim między Bobem Dylanem a Woodym Allenem. - W tym momencie sala wybuchnęła gromkim śmiechem. Saul ciągnął:

- W Stanach Zjednoczonych człowiek ów woli prowadzić skromniejszy rodzaj egzystencji. Zaklaszczmy Aleksandrowi Korbachowi i poprośmy go, by zaprezentował nam coś ze swojej sztuki.

Przed oczami ogłupiałego z zaskoczenia AJ karki audytorium zmieniały się stopniowo w twarze z trzepoczącymi pod brodą skrzydełkami klaszczących dłoni. Wśród nich w głębi sali widniała twarz Nory z dwoma lśniącymi „zwierciadłami duszy”. Aleksander Jakowlewicz całkowicie stracił spokój. Nigdy jeszcze nie był tak zdenerwowany. Wstał i zrobił gest rękami, jak gdyby mówiąc: nie mam gitary. Intrygant Dappertutto natychmiast wyciągnął ku niemu swoją. Specjalnie wziął ze sobą, czy co? Nora, zerwawszy się z krzesła, wymachiwała obiema rękami. Zbyt wiele egzaltacji jak na pani wiek, *madame*, jeśli naprawdę ma pani trzydzieści cztery. Nagle wziął gitarę i twardo ruszył ku scenie. Wskoczył na nią. Zdjął marynarkę i cisnął ją na fortepian. No cóż, drodzy Korbachowie wraz z przyległościami w rodzaju Nory Mansour,

zaraz zobaczycie wzorcowy przykład sztuki strychowo-piwnicznej Moskwy! Pójdę na całość, jak kiedyś na pierwszej premierze Błaznów!

Zaczął lekko przebierać palcami po strunach, po czym zaciągnął „czysto po rosyjsku”:

*Hej, ty Rosjo, ojczyzno nasza przeogromna, jednooka, jednak niejednego lica.*

*Hej, ty cierpiętico nasza, hej, milcząca, ciągniesz ciężkie jarzmo wzdłuż swych brzegów*

*Zagmatwały ślad twój wilcze paszcze zamroczyły pośród zgniłych stogów.*

Nikt z obecnych nie rozumiał naturalnie ani słowa oprócz, być może, Lestera Square’a ze służb M-15, wszyscy jednak przybrali wyraz powagi i skupienia: oto ona, Rosja, odwieczna troska ludzkości! Kiwając głową, jak gdyby dla potwierdzenia myśli oświeconej publiczności, Aleksander ciągnął smętnie:

*Hej, hej, na przesmutnych naszej ojczyzny pastwiskach cienie płyną, smutnych cieni tłumy  
słonka promyk nigdy tu nie błyska...*

Zamilkł, spuścił głowę, po czym uderzył w struny wszystkimi pięcioma palcami i wrzasnął:

*Aż tu lądują Błazny wśród spadochronów szumu!*

Fizjonomia rozplynęła się w uśmiechu małpiego króla. Gitara zabrzmiała w rytmie rock and rolla. Poszły w ruch nogi. Ochryplym, budzącym i dreszcz grozy, i wesołość głosem, „głosem Wołodii”, Aleksander darł się teraz:

*Błazny na spadochronach*

*Lądują wokół nas*

*Błaźnice dla kawału*

*Podpalą śmiechem las!*

Potężny werbel czeczotki, skok z obrotem, *scat*:

*Tram parakarnalia tram ba son probijo psidaio chaweli o kar ja gdzie się przespacerował  
brzuchaty grzmot*

*Gromio merbulio kulą w płot!*

Rrraz, i salto w drugą stronę! Ileż to już lat nie próbował człowiek takich gwałtownych ruchów, i proszę, miłość sama dookoła nim obraca! Proszę bardzo, macie rosyjską wesołość, wprowadźcie w rytmie rock and rolla, ale z przysiadem!

*Bojarówny szły przez groch a za nimi skomoroch się kręcili, kielbasili a tam w grochu przy  
parkanie muchomor i cztery kanie się zjawily narodziły!*

Zaskoczona publiczność spoglądała na inkarnację uniwersalnego *cabotin*: to śpiewa coś nie całkiem przyzwoitego, to fika koziołki, to stepuje nie gorzej niż mistrzowie Cotton Club, a wszystko to w rytm ruskiego trepaka przemieszanego ze swingiem i synkopą:

*Wiem co „w prawo”, wiem co „w lewo”*

*Ich marschier, jak idą w tan*

*Urodzony pod Genewą, muszkietarów jam kapitan!*

*Brum parafenalia brem baop czyst primavera cychalia bacha bach kanalia zapp lapp twist!*

*Na polach Europy*

*Armatni pała żar*

*Konie pędzą galopem*

*Guten Tag, mein car!*

*Bram uratro bresznik fru er rojj fruđerobugiesznik praż dri krój!*

Porwany nurtem potoku nonsensów, cały w mocy tego, co w dawnych czasach nazywało się „polewaniem”, nie zapominał AJ również i o grze aktorskiej, demonstrując dosyć dziwną interpretację systemu Stanisławskiego. Porzuciwszy gitarę, zaatakował nagle fortepian i puścił jeszcze jedną kuglarską śpiewkę:

*Wilk na łódeczce, łódeczce, łódeczce płynie w dal,*

*Lisiczka w pantofelkach po brzegu mknie na bal!  
Wilk wciąż do brzegu, do brzegu, do brzegu steruje  
Lisiczka wciąż ogonkiem swym w łódeczkę celuje.  
I wciąż nie mogą spotkać się, nie mogą pocałować się...*

Stary rosyjski przesłodzony styl, ale można w nim zobaczyć zawsze te same łuki Werony, arkady Wenecji.

Publiczność nic nie rozumiała, jednak pod niepowstrzymanym naporem walącego jak burza jarmarcznego widowiska, karuzeli *szariwari*, przytupywała nogami i wydawała dźwięki najwyższej akceptacji, okrzyki „*Oh, yes!*”. Aleksander huraganem przeleciał po klawiszach, zmieniając tematy od *The round o'clock* do *Cyrulika sewilskiego*. W końcu rzucił okiem na Norę. Jej oczy jak gdyby mówiły: fajnie, ale już dosyć. Wstał poważny, włożył marynarkę, wziął gitarę i podszedł do mikrofonu. Miłym, refleksyjnym barytonem zakończył występ:

*Na błaznów błazenadę czy można coś poradzić?  
Do czarnej melancholii zmusić ich wódkę pić?  
A może gardło zdusić, żeby nie chichotało?  
Orderem ich ozdobić, czy kulę w pierś im wbić?  
O nie, łajdaki podle, strażnicy ludzkiej kaźni, kaźnią nie przestraszycie!  
Błaznują dalej błazny!*

Znowu poszły w ruch gładkie podeszwy w rytm staccato powolnej czeczotki. Z półprzymkniętymi oczami, jak skacowany Cygan, zakończył swoje bachanalia:

*Tram da di walanda, karamon baruch, daradon duranda, op le uch!*

Światło lampy telewizyjnej, które nieustannie tańczyło, odbijając się od wypolerowanej głowy, teraz zamarło w głębokim ukłonie. W sali wybuchł tropikalny sztorm z grzmotami i błyskawicami. To się nazywa artysta! Nie oczekiwał takiej erupcji, nie sądził, że może się jeszcze powtórzyć „polewanie” sprzed dwudziestu lat. Podniósł głowę, żeby zobaczyć tę, dla której błaznował i teraz, i wtedy, kiedy miała czternaście lat. Nie było jej na dotychczasowym

miejscu. Na scenę wskoczył tymczasem upierdliwy Art Duppertat:

- Hej, Alex, to jest coś! Cała ta publiczność jest twoja! Słuchaj, przecież ty możesz dać znakomity show ze wszystkimi tymi twoimi sztukami: śpiew, taniec, gitara, fortepian, akrobacja! Chcesz, zostanę twoim agentem, co, stary?

Aleksander ostrożnie odsuwał od siebie młodego geniusza finansów. Wieloletnia praktyka artystyczna udowodniła, że po udanym występie zbliżenie się do jakiegokolwiek dziewczyny na widowni jest praktycznie niemożliwe. Kiedyś w Charkowie tak wyszło, chyba gdzieś w sześćdziesiątym szóstym, kiedy to przez cały wieczór śpiewał na Politechnice dla „babetki” z trzeciego rzędu, ona niemal mdlała ze szczęścia, a potem tłum cymbałów rozdzielił ich na wieki. I teraz w Ameryce znowu to samo. Pchają się rozmaici Korbachowie z gratulacjami i pytaniami o Rosję. W dupie mam Rosję, i Amerykę też! Gdzie moja Nora Mansour, czarująca kawalerzystka?

Wtem podszedł Jego Wysokość Stanley:

- Wiedziałem, Alex, że jesteś artystą, ale nigdy nie myślałem, że aż takim! Prawdę mówiąc, nie przypuszczałem, że w ogóle w Rosji są tacy artyści. - Objął go potężnym ramieniem i powlókł za sobą.

- Wybaczcie, ludzie, ale porywam na chwilę tego faceta!

Wleczony przez króla, zdążył mimo wszystko zauważyć

Norę, która pokazywała na migi, że będzie czekać na niego w salonie. Rozpromienił się, a ona, widząc jego radość, też się rozpromieniła. Po niezliczonych schodach i przesmykach, mijając cenne dzieła sztuki, Stanley powiódł go na swoją wieżę, gdzie wokół okrągłego stołu rozsiadła się już w swobodnych pozach trójka badaczy: Leibnitz, Fuchs i Lester Square. „Gratulujemy, gratulujemy, wspaniały show!” - rzekła trójca. - ”Całkiem w stylu dawnych Błaznów” - dodał Square po rosyjsku. - „Oglądałem przecież sporo waszych spektakli, kiedy służyłem w Moskwie w ambasadzie brytyjskiej”.

Stanley położył Aleksandrowi rękę na ramieniu; zmęczone, drgnęło pod gargantuiczną dłonią.

- Przyprowaździłem tu pana, Alex, żeby się pochwalić. Fuchs, niech pan będzie tak miły i pokaże mojemu kuzynowi nasze ostatnie znalezisko.

Malutki Fuchs z puszystymi wąsami - z tych, co to wyrastają pod nosem gorliwym bibliofilom i mistrzom sztuki jubilerskiej - wyciągnął z sążnistego albumu wielkie stare zdjęcie,

naklejone na karton. *Nu i nu*, toż to tamta grupowa fotografia z archiwum babci Iriny! Te same tłoczenia na passepartout, można nawet odróżnić znaki firmowe, „Elektrowelografia Siziakowów, Samara”, a na tle bogatych draperii i „szwajcarskiego” pejzażu - rozparta w fotelach i na kanapie żydowsko-europejska rodzina.

- Jak wam się udało zrobić taką kopię?

Stanley roześmiał się, bardzo zadowolony:

- *Nu i nu* - powiedział prawie po rosyjsku. - To nie kopia. To ten sam oryginał, o którym opowiadał mi pan w LA. Teraz należy do pana, przyjacielu!

Okazało się, że po spotkaniu potomków jednojajowych bliźniaków cały zespół badawczy udał się do Moskwy. Udało im się sporo wyjaśnić. Najpierw *bad news*, Alex. Pańskie mieszkanie zostało opieczętowane przez organy już w zeszłym roku, kiedy poprosił pan w Ameryce o azyl polityczny. Wcześniej była tam rewizja, wynieśli sporo papierów. Zdaje się, że chcieli pana zaocznie sądzić, jak w swoim czasie Rudolfa Nurejewa, ale coś tam się urwało i proces się nie odbył. Teraz *good news*. Błazny, proszę sobie wyobrazić, istnieją do tej pory i nawet nieźle się mają. Rzecz w tym, że wasza aktorka Natalia Motalina stała się przez ten czas ulubioną artystką Kremla, a nawet jakoby faworytką jakiegoś kremlanina. Zapraszają ją na wszystkie koncerty z okazji jubileuszowych uroczystości, żeby śpiewała ludowe piosenki. Właśnie dlatego teatr istnieje. Pańskim ludziom udało się nawet zachować w repertuarze dwa spektakle, co prawda bez podawania nazwiska na afiszach. Wszystkie Błazny przekazują panu pozdrowienia, wszyscy są szalenie weseli i pewni siebie. Nawet coś tam zapisaliśmy.

Lester Square wyjął z *case'a* mikroskopijny dyktafonik - z tych, co to natychmiast rozpuszczają się w ustach, jeśli ich właściciel zostanie przez kogoś złapany - i uruchomił go wzgórkami Wenery lewej dłoni. Dała się słyszeć chóralna recytacja zespołu: „Saszka, Saszka nasz kochany! Nie przepadliśmy na amen! Błaznujemy wszyscy w kupie, a oszczerców mamy w dupie!”

- Alex, Alex, co z panem? Przepraszam, nie przypuszczałem, że pan tak...

Stuprocentowo zrównoważony agent służb brytyjskich ze zdumieniem patrzył na szlochającego łysego człowieka. AJ upadł twarzą w dłoń, chude jego ramiona drgały konwulsyjnie. Fuchs siedział, z jakiegoś powodu zapieczętowawszy usta palcem wskazującym. Leibnitz w zmieszaniu kartkował historyczny foliał. Stanley jawnie ocierał wilgotne oczy. Ach, ten Alex, myślał, ten cholerny Korbach.

- Proszę mi wybaczyć, panowie - AJ szybko się opanował. - Wszystko, co wiąże się z teatrem, wywołuje u mnie jakąś dziwną histerię. Całkiem tracę kontrolę nad sobą. No więc jak zdobyliście panowie tę fotografię?

- Po prostu wykupiliśmy ją - powiedział Leibnitz.

- Od KGB? - zdumiał się Aleksander.

- Czemu to pana tak dziwi?

- No, mimo wszystko to „rycerze rewolucji”.

- Nikt w Moskwie nie jest tak łasy na dolary, jak „rycerze”, jeśli nie liczyć chłopców z KC Komsomołu. Ci ostatni gotowi sprzedać nawet mumię Lenina.

Fuchs zgasił światło i włączył projektor. Samarscy Korbachowie wyraziście odbijali się na białym kawałku ściany między oryginałem Diirera a półką z trofeami sportowymi, zdobytymi przez gospodarza zamku w czasie, gdy był wioślarem ósemki Columbia University.

A zatem, Alex, w środku rzeczywiście siedzi pański rodzony pradziadek Natan. Uderza jego podobieństwo do pradziadka naszego bossa. Wygląda na to, że bracia w tym samym czasie zapuścili obfite wąsy, co sprawia, że nie sposób ich rozróżnić. Ironicznie uśmiechający się dżentelmen na prawo od niego to brat jego żony, znany na Powołżu dziennikarz Beniamin Słonimski, po lewej stryjeczny brat Natana Kazimierz Korbach, albo wysoki urzędnik, albo współwłaściciel banku Wzajemny Kredyt, to trzeba jeszcze uściślić. Tu zaś, w grupie starszego pokolenia, widzimy żony tych trzech panów, Rebekę, Ksenię i Matyldę w kapeluszach z piórami. Drugie pokolenie rozmieszczone jest na flankach, i wśród nich, na lewej, ma się rozumieć, flance stoi pański dziadek Rubin Natanowicz i jego siostra Esfiria Korbach-Wierchowo-Łoszadina, petersburscy artyści nowego kierunku, o czym świadczy szal Esfirii i niedbale narzucona marynarka Rubina. Trzecie pokolenie tworzą dzieci w nowiutkich marynarskich ubrankach, pańscy przyszli wujowie i ciotki, a także dwaj młodzieńcy w białych letnich tużurkach, Wola Korbach i Nola Słonimski. Obaj skończyli wówczas prywatne gimnazjum i przygotowywali się do egzaminów odpowiednio na uniwersytet w Kazaniu i do konserwatorium petersburskiego. Miał pan słuszność, mówiąc Stanleyowi, że obaj zaciągnęli się latem 1919 roku do ochotniczego pułku zwolenników Konstytuanty i emigrowali. Są dane, że Nola, to znaczy Arnold Słonimski, osiadł w Paryżu, gdzie był najpierw taperem niemego kina, a potem, choć to dziwne, został tamtejszym pionierem amerykańskiego jazzu. Co się tyczy Woli, czyli Władimira Leopoldowicza Korbacha, to nie dojechawszy do Paryża, osiadł w Teheranie, pracował w angielskiej firmie

naftowej i ożenił się z miejscową żydowską dziewczyną Miriam Korbali.

Kiedy Fuchs opowiadał to wszystko, napuszyły mu się wąsy i bokobrody, a oczy zalśniły niczym kotu na polowaniu.

- No, na razie wystarczy - powiedział Stanley. - Inaczej dojdzie pan do niewoli babilońskiej.

Fuchs zgasł. Square roześmiał się:

- A czemu by nie?

Stanley ruszył na balkon, zabierając ze sobą dobrą, to znaczy co najmniej trzydziestoletnią butelkę porto. W drzwiach odwrócił się i zaprosił gestem Aleksandra. Wyszli we dwóch pod wygwieżdżone niebo.

- Pamiętasz, Alex, co Pan powiedział do Abrahama? Jak nieprzeliczone są gwiazdy na niebie, tak nieprzeliczone będzie potomstwo twoje. Te gwiazdy, Alex, to przecież nie jest zwykła metafora, prawda? Chyba nie przypadkiem w jednej wypowiedzi Pan połączył gwiazdy i ludzkie potomstwo, jak myślisz?

Ach, jolki-pałki, zawołał w myśli Aleksander i wspomniął śmiertelnośnego lotnika z nad Sachalina. Nie mogę teraz rozprawiać o ciałach niebieskich Wszechświata, kiedy wabi mnie tylko jedna, moja własna gwiazdeczka.

- To nasza ojczyzna, drogi kuzynie - rzekł Stanley i dość bezceremonialnie tknął w kierunku ojczyzny wielkim palcem.

- Jeszcze pogadamy, Stanley, o „ludzkich molekułach”, ale teraz strasznie się spieszę. Wybacz.

Ach, ten Alex, pomyślał Stanley, w jego pokoju czuć było kurewstwem, pewnie i tu znalazł sobie jakąś przygodę. Szturchnął go łokciem i spytał: „Jak tam Bernie?”

AJ przypomniało się, jak koziółkowała wtedy Bernadetta ze swojego stołka w barze: grzywa z grzebieniami, półkilowe klipsy, nożyska w białych pończochach z różowymi podwiązkami.

- Doskonale - odparł. - Prosiła, żeby panu o niej przypomnieć.

- Naprawdę? - zachwycił się bogacz. - Słodka dziewczyna! Najsztelniejsza istota ze wszystkich, z którymi miałem do czynienia

Z kim on wobec tego miał dotąd do czynienia, pomyślał Aleksander i skierował się do wyjścia. Stanley odprowadzał go wzrokiem. Nie bez powodu patrzę w ślad za nim, myślał. Patrzę jak starszy brat. Widzę go na wskroś. Nie będę zdziwiony, jeśli to Lenore złapała go na haczyk. Idź, idź, potomku jednojajowego! Żebyś tylko nie natknął się na bagienną kometę w tej

galaktycznej plątaninie!

Naturalnie w miłosnym pośpiechu Aleksander zablądził. Wszedł i zbiegał z tudorowskich schodów, pędem przemierzał, dudniąc, puste amfilady pokoi z portretami i kominkami. Nieoczekiwanie znalazł się w rajskich zaroślach oranżerii w stylu *art deco*, nie znalazłszy tam wszelako swojej pokusy, swojej - był o tym przekonany - pragnącej go gorąco połówki, znalazłszy natomiast zamiast niej masę obserwujących go uważnie papug, wypadł na teleskopową, supernowoczesną ekspozycję, gdzie w głównym hangarze gigantyczny pomarańczowy robot, twór geniuszy szkoły chicagoskiej, wznosił, skrzypiąc, jakąś dźwignię, ni to penis, ni to trzecią nogę. Następnie znalazł się na galerii w stylu mauretańskim, zeskoczył z niej i pobiegł w ciemności po zraszanych licznymi sprinklerami trawiastych przestrzeniach; sam też został obficie zroszony. Mokry, wpadł do holu, w którym odbywało się przyjęcie, gdzie miał wyznaczoną randkę, ale i tu nie znalazł tego, czego szukał. Zamiast niej kłębili się Korbachowie, pili przy barze, grali w bilard i rozmawiali podniesionymi głosami. No i, ma się rozumieć, natknął się tu znowu na Arta Duppertata.

Ten ostatni walcował, trzymając w objęciach jakąś młodą ślicznotkę; mówi się o takich „idealna para”. Ujrzawszy Aleksandra, Art porzucił swoją damę i podążył ku niemu, zupełnie jakby byli starymi przyjaciółmi. Komputerowe pokolenie pożąda natychmiastowej, nawet jeśli jednostronnej wymiany informacji.

- Hej, Alex, jak ci się podobał nasz król Pantagruel, mój zwalający z nóg teść? No tak, jestem jego zięciem, a to jego córka, moja ukochana żona Sylvie! Poznajcie się, *guysl* Sylvie, to właśnie ten człowiek, dzięki któremu jestem bogaty. Alex, zdajesz sobie sprawę, że należy ci się ode mnie niezła prowizja? Jak to za co? Za twój pomysł z lalkami! Chodź do naszego pokoju, wypiszę ci czek! Co? Potem? Sylvie, słyszysz? Co, nie interesują cię pieniądze? Interesują, ale nie teraz? Coś się dzieje z tym światem, kochana, pojawili się na nim ludzie, których pieniądze interesują, ale nie teraz. Nie w tym momencie, zdajesz sobie sprawę?

Patrząc w ślad za wybiegającym przez główny podjazd ku oświetlonej sadzawce „rosyjskim Korbachem”, Sylvie położyła nagi łokietek na ramieniu męża. I westchnęła:

- Nie widzisz, że jest zakochany?

Nad sadzawką siedziało przy stolikach jeszcze niemało gości. Wielu z nich zapraszało

Aleksandra, by się przyłączył, on jednak nawet nie zaszczycił ich odpowiedzią. Ogarnęło go dzikie wzburzenie, niemal panika. Nora stracona na zawsze! Jak ostatni dureń stracił przez tych durnych Korbachów kobietę swego życia. Zdecydowawszy się w końcu wypowiedzieć na głos jej imię, zwrócił się do starego sługi, który nawet o tak późnej porze wciąż jeszcze roznosił drinki. Starając się powstrzymać drżenie podbródka, wytrzymał badawcze żydowskie spojrzenie i wysłuchał uprzejmej odpowiedzi. Naturalnie, zna Mrs Mansour. Tak, widział ją całkiem niedawno. Nie dalej niż kwadrans temu odjechała stąd samochodem. Nie, nie wie dokąd. O, w tamtym kierunku.

- To znaczy w ciemność? - spytał jak idiota Aleksander.

Starzec poważnie skinął głową. Tak, *sir*, poza teren farmy, w zupełną ciemność. Nie, nie była sama, w towarzystwie. Zdaje się że za kierownicą siedział Mr Mansour. Nie, nie ojciec, *sir*. Mąż. Mąż Mrs Mansour, Mr Mansour. Starzec zbierał się by zaoferować pomoc w sprawie przekazania *message* małżonkom Mansour, jednak „rosyjski Korbach” już uciekał, wstrząsając się jak żołnierz po odwszeniu. Tak, droga pani, wiem, co mówię: jak żołnierz po odwszeniu.

Jakoś ani razu od momentu spotkania nie przyszło Aleksandrowi na myśl, że ona może być zamężna. Co za okropny zwrot w całej tej historii, mamrotał, tak się wstrząsając. Jakby prosto w pysk z tej kurewskiej ciemności wystrzelili człowiekowi porcją tego kurewskiego żwiru, co tak satanicznie chrzęści teraz pod nogami. Bestia-mąż kobiety-człowieka, zupełnie jakby na padoku między szlachetnymi końmi pasł się najordynarniejszy centaur! Nie, tego nie da się przeżyć! Czemu nie mogą zostawić mnie w spokoju? Czemu los podrzuca mi to teatr, to miłość? Wszystkie krzywdy dotychczasowego życia - i brak ojca, i spadający na głowę żyrandol, i rozłączenie z matką-ojczyzną, i niedawne lanie za grzechy suki-ojczyzny, wszystko to nic w porównaniu z pojawieniem się tego jakiegoś męża - bestii. Myśli te uaktywniły całą jego wilgoć, i teraz płakał na głos, maszerując po słabo pobłyskującej w świetle księżyca żwirowej drodze, wśród chmur ciemności, jakie tworzyły korony marylandzkich drzew.

Nagle ciemności się rozstały, pojaśniało, gwiazdy zlały swój blask na rozległe ogrodzenia krainy Houyhnhnmów. Rozpoznawał teraz miejsca, w których się spotkali parę godzin temu. Zarysy ogromnej stajni, obok której stał jej jaskrawożółty jeep. Żółć pasuje tylko do zielonego, w połączeniu z czerwienią staje się kolorem zdrady. Ubierz się na żółto, Noro, a twój mąż na czerwono. Trzeba wyrzucić z pamięci jej imię! W oddali na wzgórzach poruszały się powoli niewyraźne sylwetki koni. Medalista nie dopuściłby tu żadnych postronnych mężów. Nie umiem

obronić nawet jednej swojej kobiety. Wsparłszy się łokciem o ogrodzenie, splugawił rękaw marynarki własną twarzą i całkowicie już pusty wewnątrz, wyplakawszy niemal do końca całą swoją Norę - jeszcze tylko parę razy wysiąkam nos i razem ze smarkami wyleci reszta - ze spokojnym już prawie, a raczej normalnym wstrętem do ohydy swego życia w duszy pomaszzerował dalej ku hotelowi By The Creeks.

Zaczął się asfalt. Czasami wyprzedzały go samochody. Niektóre zwalniały: może podwieźć? Widok idącego pieszo człowieka często budzi w Ameryce chęć pomocy. Albo złapania za pistolet. Czasem i jedno, i drugie. Odprawiał ich ruchem ręki: strzelajcie, znaczy, jeśli wola, byleście tylko nie pomagali.

Obok hotelu paliła się słaba latarnia, świeciły się okna westybulu, gdzie jak kalejdoskop migał samotny telewizor. Mdło pobłyskiwał szyld. Na niewielkim parkingu blask księżyca padał na dachy z pół tuzina samochodów. W nieoświetlonym kącie przestępowała z nóżki na nóżkę przywiązana do drzewa klacz, biała w ciemne jabłka. Od razu ją poznał. To ta sama, która dziś potężnym galopem niosła ku niemu Norę. Teraz patrzyła na niego i mieszała się, sama naiwność, sama niewinność. Czyżby nie pokrywał jej ani razu wspaniały *sirej*? Co ty tu robisz, konisiu? W odpowiedzi odwróciła lekko głowę i popatrzyła z ukosa czule, wstydliwie. Wiatr odwiał jej grzywę tak, że Aleksandrowi zaparło dech. Piers, która w świetle dnia wydawała się zbiorem mięśni, teraz była po prostu obnażoną piersią. Ty wiesz, że kocham tę, która jechała dziś ku mnie na tobie. Jak pan może, *sir*, tak otwarcie się do tego przyznawać, właśnie tak, zdawało się, odpowiedziały mu przebiegające nogi. Wydawało się, że ma chęć się odwrócić, ale boi się pokazać mężczyźnie jabłka na swoim krzyżu. Nawet jeśli właśnie tak się to wszystko kończy, nawet za te chwile pod szumiącym listowiem dzięki Ci, Panie! Tak pomyślał, choć zdawał już sobie sprawę, że księżycową noc zaczyna przenikać *dolce stil nuovo*.

„Gretchen, konisiu, kogo tak kokietujesz?” - dało się słyszeć za jego plecami. Przez sekundę jeszcze udawał, że nie rozumie, bał się zapeszyć. Skrzyknęły deski ganku. Odwrócił się. Nora wyglądała dziwnie - w sukni balowej, butach i w narzuconej na gołe ramiona skórzanej kurtce.

- No, wreszcie pan jest! - zawołała wesoło, zbiegła po stopniach i objęła zdetonowanego nocnego fauna jak swoją niewątpliwą własność.

Pieśń staruchy

Wiedziałem, że podobny,  
Boju kronika to zna.  
Jak ona jestem zdatny,  
Ale to nie ja!

Wciąż mi mówili „Fidel!”  
W idee wodza wierz!  
Jam czyste je zachował,  
Zanim pierwszy spadł deszcz.

Czas, kiedy naród cały  
Zabronił mi palenia,  
Był równie uprzykrzony,  
Niczym Kuryli kwestia.

Archipelag zębów  
W zwierciadle wieku miga,  
Wśród generalskich karków  
Plamistych niczym maca.

Rumu kieliszek sącząc,  
Słuchałem gromu marsza.  
Sztandary w krąg łopoczą,  
Niczym na ciele szrama.

W fotel wpadam głęboko.  
Zamiast tych bydląt daj mi,  
Cygar wszystkich ojczyzno,  
Zbawiennej nikotyny!

Ucieczce stary haracz,

Jak młody, wciąż płaciłem.  
Niech by tak Imre Nagy  
Tratwy spławiał Dunajem.

Brwi i ramiona unoszę,  
Jakbym dostał się w sfery.  
I tak opuszczam sesję,  
Gdzie tłuste siedzą mordy.

Niech mi wybaczy, proszę,  
Do której jestem podobny.

## **Część szósta**

Czytelnik zauważył zapewne, że nie odbiegamy tu specjalnie od chronologicznego porządku zasadniczych wydarzeń. Pozwalamy sobie czasem, rzecz jasna, przeskoczyć dwa, trzy lata, ale skaczemy wyłącznie do przodu, jak przystoi pisarzowi-realiście. A zresztą... przyznajmy się jednak do czegoś, zamiast się wyłącznie chwalić. Lepiej zrobić to samemu, niż dać się złapać za rękę. Skaczemy, skaczemy i my w przeszłość wewnątrz naszych rozdziałów; modernizm to zaraźliwa sztuczka, łaskawi państwo! Nawet potężny socrealizm mógł się do niej pod koniec podczepić, przetrwałby wtedy w dobrym zdrowiu jeszcze choć z dziesięć lat. Raz pewien profesor socrealizmu z pierwszego w historii ludzkości państwa robotników i chłopów obwieścił swoją teorię wykrywania tajnych i potencjalnych modernistów. Chronologia ich zdradza, towarzysze! Sporządźcie diagram jego chronologii i modernista jest wasz! Nanieście na jedną oś zdarzenia według kolejności narracji, a na drugą czas akcji, i proszę, sławetny modernistyczny „chronotop” ukaże się w postaci takiej krzywej, że nawet zęby któregoś z księżycowych łańcuchów się do niego nie umywają!

Wspominając owego profesora-tajniaka, mamy nadzieję, że nas taki afront nie spotka, aczkolwiek czasem bierze chęć, żeby zostawić na minutkę tę czy inną postać z otwartymi w pół zdania ustami i w ciągu tej fikcyjnej minuty opowiedzieć o zdarzeniach minionych trzech lat, i jeszcze zaprezentować wszelkie możliwe artystyczne reguły, i jeszcze poniekąd wielkości odniesieniami i paralelami, i jeszcze rozplątać się w takiej czy innej filozofii, zanim wreszcie zamkniemy pozostawione usta, dając im szansę dokończenia zdania.

Właśnie teraz zbliża się taki moment. Między piątą a szóstą częścią powieści niepostrzeżenie prześliznęły się trzy lata.

Listopad 1986 roku. Wciąż ten sam parking w centrum Westwood Village. Noc. Ostatnie seanse w kinach zakończyły się już godzinę temu, ale restauracje pozbywają się jeszcze garstek ostatnich zapóźnionych gości. Słychać, jak szeleszczą poruszane bryzą palmowe gałązki. O tej godzinie nocny walet, smukły niczym palma, choć pozbawiony jej czapki, czterdziestosiedmioletni Aleksander Jakowlewicz Korbach stał przed wejściem i bezmyślnie patrzył na puste skrzyżowanie z jego tępowym, a mimo to niezmiennie jakby dokądś wabiącym przełączaniem się trzech ogników.

Na skrzyżowaniu pojawił się i przejechał na czerwonym świetle ogromny, niezwykle dziwny samochód. AJ powiedziałby, że to radziecka limuzyna ZIS-101, gdyby nie wiedział, że to niemożliwe. A tymczasem był to właśnie ZIS-101 z garażu kolekcjonera Leroya Wilcky. Oto pokrótce historia tego wozu. Wieźli go do Kalifornii przez morza pełne pływających min. Dowieźli akurat na otwarcie pierwszej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Napelnięny benzyną i uruchomiony, zdołał dowieźć szefa delegacji radzieckiej (najprawdopodobniej Mołotowa czy jakieś inne ścierwo) z willi na salę posiedzeń. Był to jego jedyny udany rejs pod czerwoną flagą. W latach poststalinowskich potrzebne było miejsce w garażu i dyrektor gospodarczy ambasady opylił unikatowe auto ojcu dzisiejszego Leroya Wilcky, Vinceyowi Wilcky, założycielowi kolekcji samochodów ze szpiegowskiego miasta Monterey. Radziecki dyrektor gospodarczy, choć to dziwne, miał na nazwisko Zawchozow, i był ojcem dzisiejszego agenta do zadań specjalnych.

Przyjażniąc się z Vinceyem Wilcky, Zawchozow mrugał do swoich towarzyszy w ambasadzie: tak trzeba! Wilcky, też nie idiota, jak gdyby mimochodem opowiadał to i owo o Zawchozowie w barze Chez Seals. W końcu lat pięćdziesiątych Vincey był dyktatorem mody w Monterey i Carmel, gdzie wieczorami zabierał dziewczyny do swojego zwałającego z nóg „mołotowa”. Własnymi rękami doprowadził maszynę do stanu niemal idealnego. Mówimy „niemal”, ponieważ w żaden sposób nie udawało się wrzucić wstecznego biegu. Radzieckie auto jechało wyłącznie do przodu. Kiedy trzeba było jechać do tyłu, Vincey ustawiał dźwignię zmiany biegów w położeniu neutralnym, dziewczynki wyskakiwały i popychały potężny przód auta własnymi tyłeczkami.

Dzisiejszy Wilcky, Leroy, prześcignął swojego ojca. Nadziany współczesną techniką „mołotow” poruszał się teraz i do przodu, i do tyłu. Snobi z Beverly Hills i Bel Air proponowali za niego milion, ale Leroy i tak miał tych milionów wystarczająco dużo. Chciał po prostu pożyć sobie, dopóki się da, i najweselej, jak się da. Wewnątrz samochodu dawno już brakowało tylnego siedzenia, podłoga zaś była wysłana sprężystymi matami i miękkim dywanem. W danej chwili rozwalało się na nim średnio młode kalifornijskie towarzystwo, złożone z co najmniej siedmiu biseksualistów. Dokąd jechali, przedtem jednak postanowili zajechać na westwoodzki Colonial i spytać o *attendanta* imieniem Alex. Zatrzymali się w betonowym zamczysku pierwszego pokładu, po którym hulał nocny wiatr. Pojawiła się sylwetka w srebrzystej kurtce. Zdaje się, że to właśnie ten Alex, którego polecano.

„Właśnie ten” podchodził ku maszynie, nie wierząc własnym oczom: no i rzeczywiście emblemat ZIS-a na karoserii! Z wnętrza wydostała się para dziewcząt w okresie drugiej młodości. Trzepotały na wietrze wokół zgrabnych nóżek szerokie jedwabne spodnie, które w epoce ZIS-ów nazwano by spodniami od pizamy. W ślad za nimi pojawiła się owłosiona męska kończyna. Wynurzała się dość długo, dopóki nie ukazały się rąbki wyjętych krowie z pyska dzinsowych szortów. Wreszcie ujawnił się cały osobnik, z modną ukośną grzywką tlenionych włosów i wystrzyżonym karkiem. Ten *design* czaszki łączył go bardzo blisko z epoką ZIS-ów: tak nosili się wówczas komsomolscy aktywiści. Jako uzupełnienie zebranych szortów wisiała na młodzieńcu w średnim wieku marynarka za pół balona i równie nietani krawat od Diora.

- To pan, Alex? - spytał z brytyjskim przydechem.

- Do pańskich usług, *sir* - odparł natychmiast skwapliwie nasz bohater. Uważnie, to znaczy profesjonalnie wpatrywał się w przybyłego. Coś znajomego było w tym dryblasie, ale wśród dotychczasowych amatorów extasy tak jakby go nie zauważył.

- Anchorage, Alaska - powiedział dryblas hasło tego tygodnia.

- Nie tak zimno, jak żeśmy się spodziewali - odparł Aleksander, otwierając zamek.

Dryblas uśmiechnął się mgliście i wyciągnął z kieszeni trzy nowiutkie setki. Alex miał w swojej przygotowaną odpowiednią dawkę proszku. Sprawa została przypieczętowana uściskiem rąk i nagle w momencie wydłużonego potrząsania dłoni zaszło coś niewiarygodnego. Oczy dryblasowatego amatora rozkoszy zapłonęły niezwykłym w przypadku tego rodzaju klientów żarem; najczęściej ludzie ci przepelzają po kolejną porcję w apatii.

- Nie! - krzyknął. - Nie wierzę własnym oczom! - Po czym właśnie zamarł z otwartymi ustami na przeciąg naszej „minutki”.

W tym momencie my, zespół filmowy tej powieści, wykonujemy szybki odjazd kamery do tyłu, jakby nie troszcząc się o gwałtownie zmniejszające się postaci tego kadru: łopoczące na wietrze jedwabne spodnie, trzepocząca długa grzywka, obłoczki spalin z rury wydechowej przepastnej twierdzy Leroya Wilcky, zagłopodobna kurtka Aleksandra Jakowlewicza, to wszystko, co może na sekundę zatrzymać uwagę.

Cel tej gwałtownej ucieczki na pierwszy rzut oka przedstawia się dość prosto: trzeba przecież pokazać, jak to się stało, że nasz szlachetny Korbach stoczył się tak nisko, iż został frontowcem narkobiznesu, jeśli wolno nam przełożyć w ten sposób pojemne amerykańskie

wyrażenie *drug pusher*. Zawiniła miłość, drodzy państwo, powiadamy, i wskazawszy na tę niezbyt istotną dla sądu, ale szalenie łagodzącą w oczach czytelników okoliczność, cofamy się na koniec poprzedniego rozdziału, to znaczy dokładnie o trzy lata.

Ach, Alex - szeptała Nora, kiedy znowu i znowu zbliżał się do niej w ciasnym pokoiku marylandzkiego zajazdu, gdzie przez otwarte okno obficie wlewało się światło księżyca, odbite od białego, wzdrygającego się grzbietu Gretchen. - Jak pan tak może, znowu, i znowu, bez odpoczynku?

- Przecież to pani wina, Noro - mówił, niby to się usprawiedliwiając. - Przecież to pani mnie całuje, dotyka piersią, bierze w dłonie. Przecież to pani nie pozwala mi odpocząć, moja ukochana.

- Nie pomyliłam się, faun z pana - mamrotała, znowu i znowu unosząc nogi i zaciskając na jego plecach delikatne ramiona. - Jak tylko zobaczyłam pana wśród koni, od razu pomyślałam: to faun, jest na polowaniu, chce mnie zamienić w nimfę-kozę. No, niech się pan przyzna, słodkie monstrum, ile kobiet pan tak wymęczył?

- Nigdy nikogo tak nie męczyłem jak pani - koloryzował z lekka. - W nikim się tak momentalnie i tak, kurwa, do utraty tchu nie zakochałem jak w pani. Większość życia przeszła mi na drobiazgach bez znaczenia - ciągnął i w tym momencie nie kłamał. - Nie wiem, do czego to można porównać, chyba tylko do spotkania Dantego i Beatrycze koło Ponte Vecchio.

Śmiała się chrypliwie:

- Ale porównanie! Przecież oni się nigdy nie pieprzyli, a my od razu... - I znowu obejmowała go i zbliżała ku niemu usta.

- Czy to naprawdę tak się nazywa, ukochana? - szeptał. - Może w naszym przypadku ten akt nazywa się jakoś inaczej?

Jesienny antycyklon za oknem doprowadził temperaturę do trzydziestu dwóch stopni Fahrenheita, czyli po naszymu do zera. Być może wszystko na świecie doszło tej nocy do zera, pozostawiając im czyste pole działalności. Tylko stary dom poskrzypywał czasem, czy to od ich trudu, czy to ze względu na swój wiek, i Gretchen czasem rżała żałośnie, czy to z zazdrości, czy z niepokoju o swoją panią. Dopiero świt uciszył ich swoją grafiką, o ile nie należałoby nazwać tego miedziorytem, Atlantyk stanął bowiem u ich łoża masą przedśloniecznej poświaty.

Trzeba było jednak wracać do rzeczywistości. Zaproponowała, by został u niej w Waszyngtonie. Niestety, westchnął, muszę wracać do Archangielska. Zachichotała: Los

Archangeles! Skąd taki pośpiech, mój drogi? Chętnie powiedziałby jej uczciwie, że Ted i tak był zbyt dobry, pozwalając mu opuścić zmianę, i że jeśli zdarzy się to jeszcze raz, wyleci niczym korek z butelki z brygady etiopskiego komsomołu. Zamiast tego mruknął, że rozstanie z góry zakłada dramaturgia całej tej sztuki. Mogłabym pojechać z panem, zawołała. Zdażył zapieczętować „zdradziecki cyrk mimiki”, czyli twarz: tego jeszcze brakowało, żeby zjawiała się w hotelu Cadillac! Ale nie mogę, ciągnęła, bo akurat jutro zaczynam to *fucking* seminarium dla pierwszego roku, narzucone przez podkomitet do spraw nauczania o korzeniach etnicznych w tym cholernym Pinkerton. Aha, to znaczy, że moja piękna wyklada na prestiżowym Pinkerton University! Ja sam, Noro, przylecę do pani za tydzień. Na pewno, Alex, obiecuje pan? Dłużej niż tydzień nie wytrzymamy bez pani, Noro. Dlaczego używa pan *pluralis*? Dlatego że mówię nie tylko we własnym imieniu, ale i wszystkich moich organów. Po prostu nie wytrzymamy bez pani obecności. No tak, wiedziałam, znowu się zaczyna. Zdaje się, że grozi mi przez pana spermo-toksykoza, mój najdroższy pajacu!

Jeszcze dotkliwsza rzeczywistość zaczęła się po powrocie do LA. Za co ja będę latać do Waszyngtonu? Resztek tego tysiąca wystarczy mi może na jeden *round trip* i na tym trzeba będzie zakończyć miłosne przygody, nie przyznam się pani profesor, że żyję z pożalowania godnych napiwków. Chaos, jaki nastąpił teraz w jego praktycznych wyobrażeniach, możemy przekazać wyłącznie za pośrednictwem skandalicznego poplątania interpunkcji.

Jestem *bum* z kolejki donikąd! Życiowe doświadczenie człowieka radzieckiego podsuwa niezbyt oryginalny - opowiedzieć jej wszystko? będzie mnie żałować, dawać mi pieniądze z li - pomysł, by coś sprzedać - tości; masz swoje Ponte Vecchio! sprzedawaliśmy tam przecież to czy owo w takich sytuacjach: radio albo coś w tym stylu; pamiętasz, jak opyliłeś dwuosobowy tapczan? w Ameryce nie mam nic do sprzedania oprócz własnego... a prawda: mój fiat - tylko kto kupi? tak że do widzenia - tego rzęcha; waszyngtońska Beatrycze ze sztukami doświadczonej hetery - może zadzwonić do Szwecji, żeby wypłacili zaliczkę na *Listy z zesłania* - gdzie ona się tego wszystkiego nauczyła? Kto mnie jeszcze pamięta w Szwecji? a z daleka wygląda jak studentka pierwszego roku; trzeba by jeszcze wyjaśniać Szwedom, kto zacz i dlaczego; właśnie dlatego świrujesz na jej punkcie, że jest heterą; to ty jesteś na zesłaniu? przyznaj się, że zawsze podobały ci się tylko takie hetery! a może pożyczyć od Butlerowa, od Dwojry, od Stanleya w końcu, co to szkodzi - zasiada tam w tych swoich podkomitetach z niewinną miną uczonego archeologa - ona nie jest archeologiem jest moja tylko moja hetera i Beatrycze - to śmieszne,

prosić o pożyczkę Stanleya - siedzi tam: wypukłe anglosaskie czoło - kiedy mógłby bez mrugnięcia okiem dać mi milion dolarów na film - zbiornik wypełniony akademicką wiedzą - gdybym poprosił - ale nie poproszę! na samo słowo „zbiornik” zaczyna się kręcić w głowie...

Taplał się tak bezradnie w swoich żalonych myślach, a równocześnie przez cały czas nie opuszczało go wrażenie jakiejś straconej możliwości. Nagle olśniło go: przecież Art Duppertat proponował mu tamtej nocy jakieś pieniądze! No właśnie, oto Sasza Korbach w swoim repertuarze! Drugi raz fortuna takich prezentów roztrzepanym nie robi. Rozsądnie myślący czytelnik spyta: a dlaczegóż to? Czy to tak trudno napisać do Nowego Jorku i przypomnieć młodemu człowiekowi sukcesu o jego porywie? Rozsądnie myślący nie wgłębił się jeszcze najwyraźniej w charakter naszej postaci. Tak, dla niego jest to trudne albo wręcz niemożliwe.

Codziennie dzwonił do Nory, najczęściej z automatu w Venice, na granicy piachu i asfaltu. Za każdym razem trafiał na automatyczną sekretarkę. Rzeński, oficjalny damski głos mówił: „Witam! Oddzwonię do państwa, jeśli zostawią państwo numer swojego telefonu. Proszę mówić po usłyszeniu sygnału”. Nawet ten niemal nieznaną głos powodował u niego jakąś lewitację całego organizmu: unosił się członek, rozdymały płuca, serce próbowało wyskoczyć z piersi, kręciło się w głowie. Wydawało mu się, że w tej szybkiej mowie słyhać tamtą słodką nocną nutkę, przeznaczoną tylko dla niego. A może nie dla niego, tylko dla kogoś innego? Jeszcze nie uświadamiając sobie, że jest zazdrosny, widział, że niebo nad plażą nabrzmiewa czymś nie do zniesienia. Koniec końców nagrał się na przeklętą maszynkę: „Nora, mówi Alex! Nie mogę się do ciebie dodzwonić! Gdzie ty się podziewasz? Ja po prostu umieram bez ciebie! Nora! Nora!” Następnego dnia zamiast oficjalnego tekstu usłyszał w słuchawce coś innego: „Alex, co z ciebie za głupiec! Czemu nie zostawiłeś swojego numeru? Pamiętasz Gretchen? Ona też bez ciebie umiera! Zostaw swój numer i wszystko będzie OK!” Wmieszała się spółka telekomunikacyjna: „Aby przedłużyć rozmowę, proszę wrzucić jeszcze jeden dolar i dwadzieścia pięć centów”.

On jednak niósł się już pod ciemniejącymi niebiosami we wzdymanej wiatrem marynarce, lotem albatrosa prześlizgiwał się pod rozkołysanymi latarniami. Taksówka! Na lotnisko! Po upływie pół godziny przekraczał już szklane drzwi portu lotniczego. Po kupieniu biletu na TWA została mu w kieszeni dwudziestka. W barze wziął sobie piwo i rozmiął piątkę na monety do telefonu. Została dziesiątka. Co może być lepszego od piwa przed lotem, przed takim lotem! Jakże tu mają przytulne bary, naprawdę! A ci barmani na lotnisku, sama godność, sama życzliwość!

Wszyscy w barze oglądali telewizję. Trwała ogólnonarodowa dyskusja na seksualne tematy lat osiemdziesiątych. Cztery osoby, które zmieniły płeć, dzieliły się doświadczeniem ze wzburzonym audytorium telewizyjnego studia. Dwie z nich zostały kobietami, dwie inne - mężczyznami. Jeden z tych mężczyzn co prawda już wcześniej był kobietą przerobioną, ale potem znowu stał się mężczyzną. Fajnie jest być kobietą, mówił, ale trochę to jednak uciążliwe. Nasze oświecone społeczeństwo mimo wszystko nie dorosło jeszcze do równouprawnienia płci. Trochę przykro znajdować się ciągle na pozycji podporządkowanej. Właśnie stąd wzięło się pragnienie, by wrócić do męskiej ligi. Ludziom w barze opadły szczęki. Nawet Sasza, choć w miłosnej mgiełce, zdziwił się. Więc to jest możliwe? Można sobie jeszcze wyobrazić, że męskiego osobnika przekształca się w żeńskiego - no, znaczy usuwa wszelkie dowieszki do tułowia, drąży szczelinę, napompowuje hormonami piersi - ale z powrotem? Przecież tu już się pojawia efekt rzeźbienia w marmurze, *ladies and gentlemen*, nieprawdaż? Od marmuru można tylko odjąć, dodać do niego czegośkolwiek nie sposób, nie sklei się przecież. „Nie ma nic prostszego” - dwukrotnie podkreślił przemieniony. - „W naszych czasach chirurg staje się rzeźbiarzem seksu!” Grzmot oklasków.

Na wysokości zadania znalazł się, jak zawsze, prowadzący talk show. „A zatem Richard, zdecydował się pan wrócić do płci panów?” - spytał. - „Czy po tym doświadczeniu nie zostanie pan mizoginistą, przyjacielu?” O, to jest pytanie, prosto w Adamowe jabłuszko! Oto za co płacą pieniądze prowadzącemu! Dwukrotnie przemieniony zaczął się gorączkowo usprawiedliwiać. Nie, nie i jeszcze raz nie, Jill! Doświadczenie przebywania wśród „niższych psów” pomoże mu tylko walczyć o ich równouprawnienie wśród „psów wyższych”! W tym momencie myśl AJ uleciała w całkiem nieoczekiwanym kierunku. Niedawno w jednym brukowcu przeczytał, że spółka telewizyjna płaci temu prowadzącemu dwanaście milionów dolarów rocznie. Znaczący, że jeśli ten facet będzie codziennie latać do swojej ukochanej z LA do DC pierwszą klasą, to przez cały rok nie wyda nawet połowy swoich miesięcznych zarobków! Tak się tu płaci człowiekowi z pozycją!

- I co, wierzy pan w ten cyrk? - nieoczekiwanie spytał go *bartender-sceptyk*.

- A jak mam nie wierzyć? - zdziwił się Korbach, całkowicie ogłupiały od poczucia emocjonalnej harmonii. - Proszę bardzo, tam siedzą dowody!

- Nie widzę żadnych dowodów - ze złością powiedział *bartender*. - Wszystko to kłamstwo. Zerowanie na dziwnych gustach naszej publiki.

W tym momencie poproszono na pokład pasażerów udających się do Waszyngtonu. Sasza, natychmiast zapomniawszy o palącej kwestii stanowiącej przedmiot sporu, zeskoczył z taboretu. Przed wyjściem zobaczył automat telefoniczny i nawrzucał do niego monet. Będę się upijać jej głosem. Wessam się z ostatnimi kroplami tłumy, a na razie będę się upijać jej głosem. Upić, co prawda, się nie udało: tłum wsysał się szybko. Zdążył tylko w odpowiedzi na tak słodki styl jej ostatniego nagrania podać numer swojego rejsu.

Liczył, że wypije w samolocie - samo przez się jakoś się rozumiało, że stewardessa w transkontynentalnym rejsie będzie proponować i piwo, i wino, i dobry koniak - ale, niestety, nie tutaj. W tym sezonie zdziercy z TWA żądali za każdy drink po trzy baksy, mówiąc językiem rosyjskich Amerykanów.

Z zachodnich, kalifornijskich sfer samolot zaczął się wkrótce zagłębiać w nocne sfery Wschodu. Wraz z ciemnością przyszły niepokojące myśli. Po co ja lecę? Nie lepiej by było potraktować naszą sprawę jako *one night stand*, jak często się tu robi? Poza tym ona jest zamężna. Mówiła, że to Arab z Libanu. Lżej by było, gdyby był starym tłustym paszą, który kupił ją za pieniądze. No, ale to najprawdopodobniej absolwent Sorbony, ze znakomitą pozycją zawodową, partner Korbachów - jak inaczej znaleźliby się we dwoje na farmie? - człowiek o postępowych poglądach - spokojnie wybaczył żonie małą przygodę, teraz i wśród Arabów są tacy. Wie, że mimo wszystko ona wróci. Tak mawiali w starych filmach mężczyźni w trenczach. Wpływ Hemingwaya nie został jeszcze w pełni doceniony: bezwarunkowo odczuł go i Liban.

W waszyngtońskim porcie Dullesa nawiedziła go w końcu jedna rozsądna myśl: za dychę, jaka mi została, nie zdołam dojechać do miasta.

Szedł wraz z tłumem do wyjścia i ze zdumieniem rejestrował wzrokiem, że pasażerowie wkładają w marszu płaszcze i narzucają na szyje szaliki. Cóż to, wszystkim zrobiło się nagle tak zimno? Jeśli nie przyjechała na lotnisko - a nie przyjechała na sto procent - trzeba będzie prosić Amerykanów o pomoc.

Pomóżcie, państwo, uciekinierowi z ZSRR! Nie ma pieniędzy, ale jest przepelniony miłością. I zacytuję coś z *Vita nuctroa*. Niemożliwe, żeby w tym tłumie nie znalazł się choć jeden człowiek o szlachetnym sercu.

Zaledwie otworzyły się drzwi, z całkowitej swojej nieobecności w jednej chwili wyłoniła się Nora. Zobaczył jej bladą twarz, rozburzone włosy i obszerną marynarkę, jakby zdjętą z kogoś innego. Ujrzawszy go, zaczerwieniła się gwałtownie i podskoczyła, zupełnie jakby płomień

zalewający jej policzki podrzucił ją w górę. Wielu ludzi w tłumie nie bez zainteresowania obejrzało się na piękność, namiętnie przywierającą do niezbyt efektownego, nawet raczej nieco dziwnego pana.

No dobrze, dobrze, no, przestań, nie tutaj, naprawdę! Okazało się, że ma samochód z otwartym dachem, mercedesa czy coś. Jechali do miasta, a niepogoda się nasilała, a może trafniej będzie powiedzieć, że się pogłębiała, w każdym razie najpierw zaczął padać śnieg, potem deszcz ze śniegiem, potem odwrotnie, a potem po prostu śnieg zwalił się czy raczej poleciał im na głowy wściekłą kanonadą. Nora zakląła: mechanizm podnoszący dach się zaciął. Stanęli na poboczu, próbowali opuścić go ręcznie, nic nie wychodziło, pozostawało jedno - całować się do utraty tchu! Niektórzy z mijających ich w locie zdążyli wskazać na nich palcem, obśmiać. Pojechali dalej i przybyli do domu ze śnieżnymi pierożkami na głowach. Z głowy Saszy, nawiasem mówiąc, pierożek momentalnie zjechał na parkiet hallu.

- Proszę nie zawracać sobie głowy, *sir* - powiedział portier, który, jak się zdawało, czekał tylko na to, żeby się uklonić zamasyście.

Im dalej w głąb, im wyżej windą, tym mniej szczegółów dostrzegał Aleksander. Dopiero później uprzytomnił sobie wyjątkową kosztowność każdego przedmiotu, od windy do klamki u drzwi, nie z tych wszelako rodzajów kosztowności, które o sobie krzyczą, a raczej z tych, które jak gdyby nie przewidują innego wariantu. Najsubtelniejszą kosztowność tego domu trzymał jednak w rękach. Pożądanie i czułość, czyżby to były siostry? Tak myślał on, ona zaś odpowiadała z angielską manierą: *But of course!*

Następnego dnia przebudził się dobrze po południu, czyli obszedł się bez poranka. W sypialni panował półmrok, ale za zasłonami można było odgadnąć słońce i błękit. W oddalonym lustrze - szkoda, że wczoraj go nie zauważył - zobaczył ich łożę i obnażoną Norę, która spokojnie spała, położywszy na kochanku prawe kończyny i dysząc nieparzystymi organami głowy, to znaczy ustami i nosem, prosto w jeden z jego parzystych, to znaczy ucho. Poeta powiedział przecież jakoś tak: „Kochać niektórych ciężki krzyż, a tyżeś piękna bez zakrętów”, przypomniał sobie. Będę polemizować, panie Pasternak, miłość - to niekończący się, z tymi oto ostrymi kącikami, zakręt. W tym momencie przebudziła się i spytała:

- Co takiego? Naprawdę myślisz, że miłość to zakręt?

- No, przecież nie linia prosta - usprawiedliwiał się.

- Lubię twoją łysinę - wyznała. - Bez tej łysiny jesteś nie do pomyślenia. Nadaje twojej

twarzy jakąś szczególną młodość. W starożytności, w Egipcie na przykład, arystokracja goliła sobie głowy do gołej czaszki.

- Czuję się pochlebiony - powiedział. - Tym bardziej, że przypominasz mi Izydę. Zwłaszcza kiedy siedzisz na mnie z podwiniętymi nogami.

- Jak?

- Ty wiesz jak.

- O tak?

- Właśnie tak.

- I to ci przypomina Izydę?

- Dziwi cię to?

- Skąd. Wiedziałam o tym.

Po wypadzie do starożytnego Egiptu zasłony zostały rozsunięte i okazało się, że spośród czterech ścian tego pokoju dwie były szklane. Jesteśmy tu na samym szczycie, okazuje się, w *penthousie*. Za szybą *późna* waszyngtońska jesień wygrywała swoje divertimento. Zmieniając kolory od butelkowej zieleni do granatowoczarnego, toczyła wody ogromna rzeka. Rozdzielając nurt na dwa koryta, płonęła jesienną autoekspresją wyspa Teodora Roosevelta. Za nią widniała szklana ściana dzielnicy zarzecznej. Teraz można otworzyć ściany i wyjść z sypialni na taras. Ależ tu miejsca, co najmniej tyle, co na bastionie twierdzy jerozolimskiej! Cały oddział ciężkozbrojnych może tu stanąć do ataku na zbuntowaną czerń. Waszyngtończycy suną w dole po przecinających się pochyłościach *freewayu*. Tulą się do siebie dachy uliczek Georgetown. Stare dobre kolonialne terytorium, po coś się odłączyło od korony, skoro do tej pory przechowujesz ducha brytyjskości? Po lewej ręce jednakże piętrzy się coś swojskiego, szarego, o stromych bokach, bardzo znajomego; ba, to przecież centrum amerykańskiego skandalu, twierdza Watergate! A dalej centrum sławy artystycznej, Sławy Rostropowicza - gigantyczna świątynia w kształcie pudełka z sześćdziesięcioma sześcioma połączanymi żelaznymi kolumnami: Kennedy Centre.

Tak w ogólnych zarysach wyglądała kompozycja. Lirykę, to znaczy dynamikę momentu tworzył atlantycki wiatr, trzepocące flagi, powoli zniżający się w kierunku lotniska potężny samolot i przelatująca w przeciwnym kierunku formacja gęsi, na których zew przypominający dźwięk trąby można się było tylko złapać za wychudzony brzuch i wykrzyknąć: „Chwała Ci, Panie!”

- Śniadanie! Koryto! - zawołała Nora.

Z wieczora, okazuje się, został nietknięty stół z łapami krabów, perskim kawiozem i szampanem. Będziemy jeść jak Sulamitka z królem Salomonem nad Jeruzalem, choć to nasze nie koszerne! Ona się śmiała, jakby zdążyła już sobie gdzieś podpić. A to odpowiedni strój dla nas! Przyoblekła ukochanego i sama się przyoblekła w puszyste, kąpielowe płaszcze do ziemi. W kątach bastionu leżał jeszcze wczorajszy śnieg, szybko jednak tajał w jesiennym słońcu, które, wyskakując zza chmur, nadało z tworzeniem iluzji upalnego Jeruzalem.

Zaledwie podnieśli kieliszki, kiedy na placyk wyszła jeszcze jedna para, niezwykle wysoka blondynka i prawie tak samo wysoki brunet. Dorodną mamy mimo wszystko młodzież, powiedziałyby, spojrzawszy na nich, jakiś weteran wielkiego biznesu.

- Co tu jest grane, Omar? Tu wszystko już zajęte, jak widzę! - wyrzekły obrzmiałe usteczka niemowlęcia, wyglądające nieco nedorzecznie na szczycie wspaniałej sylwetki.

- Nie ma sprawy, Jennifer, znajdziemy sobie coś równie miłego, ale przedtem przywitaj się z Mrs Mansour i jej nowym przyjacielem - powiedział brunet z francuskim akcentem.

- *Hallo-Mrs-Mansour-how-are-you* - zgrzytnęła dziewczyna, jak zgrzytnęłoby czterdzieści tysięcy jej sióstr.

Nora, zanim odpowiedziała, opróżniła kielich:

- *Hallo-Jessica-ooops-Jennifer-how-are-you?*

Brunet przeszedł bosymi nogami po wczorajszym śniegu, wyciągnął rękę do Aleksandra i powiedział życzliwie, że bardzo się cieszy, iż znowu widzi Mr Korbach. Pański zachwycający występ w Halifax Farm, Mr Korbach, wywarł niezapomniane wrażenie. Powiedziawszy to, wrócił do swojej blondynki i oddalili się - ona rozdrażniona, on jawnie z czegoś zadowolony.

- Oni też mają tu mieszkanie? - spytał Aleksander.

- A, cały dom jest jego - niedbale machnęła ręką Nora.

- A w jaki sposób się znalazł w Halifax Farm?

- No, jako krewny.

- To on też jest Korbach? - niewymownie zdziwił się Aleksander.

Nora popatrzyła na niego z jeszcze większym zdziwieniem:

- Czyżbyś nie rozumiał, Alex? To jest Omar Mansour, mój mąż.

- *My Goodness!* - wykrzyknął. Nie wiadomo dlaczego, ze wszystkich amerykańskich wykrzykników ten opanował najwcześniej. - Tak młodo wygląda!

- A czemu by nie miał wyglądać? Cóż to, za stara jestem na takiego męża? - spytała figlarnie. Potem się roześmiała: - No dobra, ten drań rzeczywiście jest ode mnie o cztery lata młodszy. Biedny Alex, najwyraźniej myślałeś, że libański mąż twojej *krasawicy* to stary, tłusty pasza, prawda?

- Nora, na Boga, powiedziałaś, że on jest krewnym Korbachów, jak mam to rozumieć?

Wpatrzyła się w niego uważnie, jakby próbując ustalić stopień jego tępoty:

- Oficjalnie ciągle jeszcze jest moim mężem, a zatem krewnym Korbachów.

Zbliżył się ostrożnie.

- A ty, Nora, jesteś krewną Korbachów?

W tym momencie uderzyła się w czoło.

- Znaczy, że to ja jestem idiotka! Czyżbym ci nie powiedziała, że jestem z domu Korbach? I nikt w Halifax ci nie mówił, że jestem córką Stanleya?

- Nie! - zawył w najlepszym stylu telewizyjnych oper mydlanych.

W tym momencie spadła na nich z nieba garść parząco zimnych deszczowych kropel. Ciemne siły zamknęły pierścień okrążenia wokół stolicy narodów. Słońce schroniło się najwyraźniej na całą resztę dnia. Kolejna porcja deszczowych kropel spadła jak z dłoni giganta. Nora i Aleksander nie zauważyli ich. Uporczywie wpatrywali się w siebie. Wstrząśnięty jesteś, przyjacielu, czytała w jej oczach. Czujesz się złapany w pułapkę. Nie możesz sobie wyobrazić romansu z córką swojego kuzyna czwartego stopnia, tak? A może gotów jesteś uciekać w panice z naszego Ponte Vecchio?

Lodowaty deszcz chlustał już po nim z całą siłą. Górna warstwa sztormu wygrywała swój niepokonany demonizm w typowo wagnerowskim pompatycznym stylu. Na niższych piętrach tymczasem, niemal przy krawędziach miejskich dachów, niosły się chmury kosmate niczym wcielenie drobnych rock'n'rollowych demonów.

Aleksander zadeklamował, popatrzawszy w niebo:

- Rosłem, i niby Ganimeda niosły mnie burze, niosły sny. - Potem spróbował przetłumaczyć Norze pasternakowską zwrotkę. Potem nappełnił kieliszki. - Wiesz naturalnie, że Ganimed był podczaszym. Wypijmy do dna, żeby deszcz nie popsuł Clicot!

Uśmiechnęła się z ulgą.

- Wy, Rosjanie, wypchani jesteście swoimi wierszami jak bożonarodzeniowa gęś nadzieiem.

Walnął pięścią w stół, prosto w kałuże, które utworzyły się w fałdach obrusa.

- A skąd ty wiesz, czym są wypchani Rosjanie? Czemu twój młody mąż nazwał mnie twoim nowym *boyfriendem*? To znaczy, że miałaś przede mną innych *boyfriendów*? Ty grzeszna córko mojego kuzyna czwartego stopnia, ty lwico, przywiodłaś mnie do bezwstydnego kazirodztwa! Jestem przekonany, że wśród twoich poprzednich *boyfriendów* byli Rosjanie, wypchani swoją poezją jak bożonarodzeniowa gęś nadzieniem! Przyznaj się dobrowolnie albo przystąpię do wymierzenia bezlitosnej kary!

Śmiała się jak szalona:

- Ty zazdrosny potworze, ruski błaznie z gębą od ucha do ucha! Nawet nie zauważyłeś, że złożyłam ci w ofierze moją niewinność! Ty stary chutliwy wuju piątego stopnia, rozdzwiczyłeś swoją bratanicę piątego stopnia, panienkę, która nigdy nie miała żadnych *boyfriendów*, nie mówiąc już o Rosjanach nabitych swoją poezją! Pohańbiłeś symbol niewymownej czystości!

Mokrzy niczym topielcy, śmiali się i wygrażali sobie nawzajem. Potem ona odwróciła się nagle i rzuciła do sypialni, której znaczną część zalała zacinająca z ukosa ulewa. Podążył w ślad za nią i złowił ją tak, jak fauny łowią nimfy w dąbrowach Attyki. Złowiwszy, zaciągnął do łazienki, ściągnął z niej mokry szlafrok, zgiął jej ciało do idealnej pozycji kolankowo-łokciowej i zaczął ją posuwać w taki sposób, jakby naprawdę miała to być kara dla nieposłusznej dziewczynki. Stękała i pokrzykiwała, fałszywa suczka, a raczej klasyczna seks-aktorka. Nagle przeszła go zdradziecka myśl. Odgrywanie tej erotycznej sztuki może się stać początkiem końca. Zazdrość może się stać nieodłącznym składnikiem naszej miłości, i wszystko zaleje udręczająca chuć, i cały nasz „nowy słodki styl” ulotni się jak żaloszny obłoczek.

- Co się stało, wujku Aleksie? - spytała niewinnym, melodyjnym głosem. Suczy pyszczek patrzył na niego z różnych lusterek łazienki. Zdradziecka myśl szczyła i znów wróciła pełna i obopólna zabawowa szczerłość. Ciągnęli zabawę tak długo, jak mogli, dopóki nie upadli, wyczerpani do cna.

Dopiero wtedy przyszła prawdziwa niewinność i czułość. Siedzieli razem w gorącej wannie pośród pienistych gór niby na rajskim obłoku.

- No, to powiedz mi o sobie, najdroższa - poprosił.

- A co chciałbyś wiedzieć, miodziu? - zainteresowała się. „Miodzio” (tak ośmielamy się przełożyć wszechobecne amerykańskie *honey*) wyznał:

- Wszystko!

Zacząła od czasów przedpotopowych, to znaczy sprzed jej narodzin.

Późne lata czterdzieste, powojenna euforia, Hollywood. Stanley Korbach w całym blasku playboyowskiej sławy nierzadko przeczesywał zachodnie wybrzeże w poszukiwaniu nowych zabaw. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia jeden lat, ale zdążył już lądować w Japonii i był uważany za weterana drugiej wojny światowej. Tak więc brał wiraże Pacific Coast Highway w swojej kolekcjonerskiej hispanosuzi, kupionej od samego Vinceya Wilcky. Rozumie się, wszystkie drzwi Malibu stały otworem dla młodego księcia z rodu „Alexander Korbach, handel detaliczny”.

Uwaga, zbliża się historyczny moment. *One enchanted evening you may see a stranger across the crowded room*. Czarujący młodzieniec poznaje gwiazdę filmową Ritę O’Neill. Rita O’Neill, właśnie ta Rita O’Neill! Nawiasem mówiąc, wy tam za „żelazną kurtyną” chyba nie znacie tego słynnego nazwiska.

Wyobraź sobie, Noro, że nawet w stalinowskiej Rosji znana była Rita O’Neill. W czasie wojny byliśmy sojusznikami i szły u nas filmy z tą dziewczyną: *Piąta Aleja*, *Siostra prezydenta*, *Piątka z plusem z matematyki*. Po wojnie zdjęto je naturalnie z ekranów, ale kiedy podrosłem, chodziliśmy na półpodziemne seanse amerykańskiego kina w prywatnych mieszkaniach. Jako piętnastoletni chłopiec kochałem się w tej olśniewającej Ricie O’Neill. Nie zamierzasz chyba powiedzieć, że to twoja mama?

Właśnie to mam zamiar powiedzieć. Kiedy moi rodzice się spotkali, mama miała dwadzieścia pięć lat, czyli była o cztery lata starsza od taty. Prawidłowo, taka sama różnica, jak między mną i Omarem, nie ma w tym jednak żadnej symboliki. Stanley się zakochał, a Rita łaskawie dopuściła go do siebie. Za rok urodziła się Norusia i wtedy się pobrali. Widzisz, na co wychodzi, *darling*: jako nastolatek masturbowałeś się, patrząc na matkę w cieniu pomników Stalina, a teraz śpisz z córką w cieniu pomnika Waszyngtona. No dobrze, nie będę już więcej taka cyniczna. Kontynuuję. Interesuje cię profil etniczny nowonarodzonej? Nazwisko O’Neill, rzecz jasna, wymyślono dla mamy w Hollywood. W tamtych czasach amerykańskie nazwiska dźwięczały tamtejszym Żydom czystym złotem. Mama była w jednej czwartej Żydówką, w jednej czwartej Czeszką i w połowie Hiszpanką z Mexico City. Tak więc od mamy wzięłam 1/8 żydowskiej krwi, co w połączeniu z 5/16 genów judaizmu od taty daje 7/16. Podliczmy teraz

całość w szesnastych częściach: twoja mała Nora - to w 7/16 Żydówka, w 2/16 Czeszka, w 4/16 Hiszpanka, w 1/16 Włoszka, w 3/16 *jankee*. Wypadło nam jakoś o jedną szesnastą za dużo, nieważne, jesteśmy Amerykanami i wszystko musimy mieć w nadmiarze.

Przez pięć lat moi rodzice upajali się rodzinnym szczęściem. Zdaje się, że pobili ówczesny rekord szczęścia w Hollywood. Potem nastąpił wybuch, a kiedy pył osiadł, szczęście leżało w gruzach. Do dzisiaj nie wiem, co naprawdę zaszło. Mama w odpowiedzi na to pytanie mówi zwykle, że Stanley zabił w niej nie tylko kobietę, ale i osobowość twórczą, ale w szczególności się nie wdaje. Pewnie sądzi, że to właśnie ojciec przeszkodził jej stanąć w jednym szeregu z takimi wielkościami jak Greta Garbo czy Ingrid Bergman. Czasami nawet wypowiada się w tym duchu. Mogłabym zostać nową Garbo, ale niektóre okoliczności mojego życia przeszkodziły mi w tym. Pauza. Zbliżenie. Oddalony dźwięk skrzypiec. Już od dawna pielęgnuje gorycz. Dotąd jest jedną z najbardziej wpływowych kobiet w Hollywood, ale chce mieć w swojej biografii coś dramatycznego, coś fatalnego, nieuchwytnego, no, rozumiesz. Chcesz ją poznać? Powiedz tylko „tak” i jesteś w Hollywood!

- Nie, nie - powiedział AJ - nie potrzeba.

Stanley nigdy nie wyrażał żadnych pretensji pod adresem Rity, raz tylko w związku ze swoim pierwszym małżeństwem zacytował dialog z Szekspira: *Tis brief, my Lord! Like women's love*, z czego wywnioskowałam, że nie uważa się za jedyne sprawcę rozpadu rodziny. Nawiasem mówiąc, w owych czasach w kręgach sportowych nie było przyjęte, by mścić się na kobietach.

Mała Nora została z matką i mieszkała z nią do momentu pójścia na uniwersytet. Ojciec skrupulatnie odwiedzał ją i pływał z nią w basenie. Właśnie jemu zawdzięcza ten doskonały pływacki styl, który ma nadzieję zademonstrować w niedalekiej przyszłości swemu nowemu wujkowi Aleksowi.

Jako *teenager* Nora za całkowitą zgodą swojej oświeconej matki i jej przyjaciół (zawsze była tam rada przyjaciół, opiekująca się kruchą Ritą O'Neill) odwiedzała swego tatę na wschodnim wybrzeżu - to w Halifax Farm, to w Newport, gdzie cumowała flota jego jachtów. To było fantastyczne - lecieć na wschód, przybierać pozę światowej nonszalancji, od której stewardessy zaczynały chodzić na paluszkach. Tatuś wyjeżdżał po nią na lotnisko, zawsze w towarzystwie jakiejś urodziwej kobiety, którą zwykle przedstawiał jako swojego najbliższego kumpla. To było świetne okazywać lekką nonszalancję w stosunku do obiektów namiętności tatusia. Jednym

z najbliższych kumpli okazała się w końcu ta dziwka Marjorie, ale to nawiasem.

W życiu Nory istniał w owych czasach pewien zabawny paradoks. Powinieneś jako artysta docenić łagodny bezsens sytuacji, Alex. U matki Nora widywała olśniewające i niedostępne osobistości świata, wszystkich tych Orsonów Wellesów, Franków Sinatrów, Stanleyów Kramerów i Burtów Lancasterów, których nazywała „naszym klubem” i uważała za potwornych nudziarzy. Odwiedzając jednak posiadłości taty, spotykała ludzi, których uważała za *different*, czyli niestereotypowych: marynarzy z jachtowych załóg, mechaników samochodowych, ujeżdżaczy koni.

Dopóki dziadek David nie porzucił fotela prezesa w AK Retail, następca tronu Stanley prowadził ekscentryczny tryb życia. Mama nie wiedziała na szczęście, że i Nora nierzadko brała udział w tatusiowych eskapadach, inaczej pozbawiłaby go prawa do kontaktów. Dla mamy z góry był przygotowany tuzin ślicznych widokówek i służący taty, Wieczny Żyd Enoch Aghast, co trzy dni wysyłał po jednej do domu na Bel Air, podczas gdy córka wraz z tatusiem na małym, ale supermocnym kutrze, ścigając się z liniowcem „Ile de France”, przecinała Atlantyk, żeby wziąć udział w zawodach balonowych na Lazurowym Wybrzeżu.

- No a konie, słonko? - spytał Aleksander.

- No jasne, konie, konie, wciąż konie!

„Co się tyczy życiowych planów, córko” - mawiał wieczorami wiecznie podпиты tata - „to czemu nie miałabyś się skoncentrować na skokach?” „Ojcie, ty mnie z kimś mylisz” - odpowiadała zazwyczaj.

Matka, ma się rozumieć, miała inne plany wobec jedynej córki. Nora powinna osiągnąć w Hollywood wszystko to, czego nie udało się osiągnąć Ricie. Miała zaćmić wszystkie gwiazdy swoim megablaskiem. Rada przyjaciół planowała stworzenie nowego idola w dzinsach i podkoszulku bez rękawów, który będzie amerykańską odpowiedzią na zaoceaniczne piękności w rodzaju niedoścignionej w owych czasach Bardot i już szykującej się do przejęcia pałeczki Deneuve. Pomysł polegał na tym, by stworzyć nie po prostu śliczną laleczkę, ale osobowość filmową nowego typu, przedstawicielkę „myślącej młodzieży”. Zaczęto prowadzić Norę na lekcje tańca, muzyki, sztuki aktorskiej i karate, bez czego nawet córka niezrównanej Rity O'Neill nie mogła liczyć na udaną karierę. Każdy z przyjaciół uważał za swój obowiązek podzielić się z małą doświadczeniem, co było już całkiem nie do zniesienia.

Cała ta głupota nie wypaliła. Dziewczę się zbuntowało. Oznajmiło, że nie zamierza

naśladować „myślącej młodzieży”, a po prostu stać się jej częścią. Innymi słowy, wybiera się na uniwersytet, żeby uczyć się tam historii, języków obcych, zwłaszcza francuskiego i arabskiego, a także zaliczyć kursy kultury antycznej i Renesansu, tak by zdobyć raz na zawsze wybrany zawód - archeologię.

Do tej pory żał mi mamy. Decyzja córki, stworzonej, jak myślała, na jej obraz i podobieństwo, po prostu ją unicestwiła. Przełożyć stęchliznę bibliotek, świat jakichś tam żalonych akademickich uczonych nad olśniewający showbiz, jedyny godny sposób istnienia! Co więcej, wykazywać jakąś idiotyczną pogardę wobec jej przyjaciół, całego świata bogatych i sławnych, to znaczy szczególnie utalentowanych, wybranych przez Fortunę, żeby kształtowali smak i sposób myślenia widowni! Gardzić tymi, którzy cały świat prowadzą ku marzeniu!

„Jestem pewna, że to wpływ ojca!” - zawołała teatralnie.

„*Jonsense, mum!*” - odcinała się Nora. - „Mój tato to wysokiej klasy sportowiec i uroczy facet, ale mimo wszystko jest nieodrodnym przedstawicielem superbogatej *meszpuchy*, a ja nie mam żdźbła szacunku dla «tłustych kotów» ze Wschodniego Wybrzeża”.

Rita próbowała nastawiać przynajmniej na wybór właściwej uczelni. Na Boga, tylko nie Berkeley! Jedź choćby do Stanford! Nora obiecała, ale nie dotrzymała obietnicy. Przyłączyła się do „sił uderzeniowych Czerwonego Berkeley” jesienią sześćdziesiątego siódmego roku.

- Ponieważ on był z Berkeley - zasugerował mądry Alex.

Zgadłeś, przyjacielu z wyobraźnią! Zazdrość to rzeczywiście klucz do wielu zagadek. Zasłużyłeś na nagrodę i dlatego powiem ci, że spotkali się w Luwrze, on miał na imię Danny i był studentem archeologii z Berkeley. Miał prawie dziesięć lat więcej niż Nora, czyli był twoim rówieśnikiem, Alex. Bardzo długo starał się o dyplom M.A., ponieważ pochodził z biednej rodziny i musiał pracować to rok, to dwa, żeby opłacić naukę. Rzecz jasna, był marksistą, a do tego jeszcze trockistą. Nienawidził establishmentu USA i gardził ZSRR za to, że nie potrafi rozniecić światowego pożaru, a zamiast tego zbudował państwo policyjne. No i Nora też zniechęciła establishment USA i zaczęła gardzić ZSRR.

Trzeba powiedzieć, że jej bunt wziął się nie tylko z uległości wobec pierwszego mężczyzny jej życia. Już w dzieciństwie dziewczę odczuwało nienaturalność porządku rzeczy, jak i nienaturalność sposobu życia mamy i kręgu jej przyjaciół, gdzie jeździło się nienaturalnymi samochodami, obracało na co dzień sumami niedostępnymi dla większości ludzi, zwanych w tym kręgu widzami. Znużona znakomitymi fizjonomiami i ich dziwnymi manierami, dziewczynka

zaczynała nerwowo ziewać, kiedy temat zbaczał na kino. Nie chcę być marionetką w tym teatrze lalek! Największą przyjemnością było dla niej uciec do Westwood w czasie jakiegoś festynu, włóczyć się w tłumie, jeść cukrową watę i pić colę wprost z butelki. W szkole ukrywała, kim są jej rodzice, a nawet zrobiła raz awanturę dyrektorce, kiedy ta słodkim głosem zapytała, czy niezrównana Rita O'Neill nie mogłaby uszczęśliwić ich uczelnię swoją wizytą.

Ale i Stanley ze swoimi ujeżdżaczami, marynarzami i pilotami balonów zbladł w oczach córki po jej spotkaniu z Danielem Barthelme'em, rewolucjonistą-archeologiem. Świat ojca już nie wydawał się jej *different*. Korzysta z bezcennej przewagi supernadzanego faceta, chodzi między swoimi śmiałkami niczym średniowieczny suweren. Bezcelowe przygody, bezsensowne istnienie!

W tamtych dniach odrzucała wszelkie niuanse. Danny walił pięścią w stół w tanich paryskich kawiarniach czy w londyńskich pubach, czy w ich pierwszym obskurnym mieszkaniu w oaklandzkim getcie. Nie ma nic brudniejszego niż monstrualne bogactwo, jakim władają twoi rodzice! To po prostu amoralny, potworny, cuchnący sposób życia! Miliony prostaków w poszukiwaniu nowej wiary stworzyły sobie z hollywoodzkich lał i tępaków fałszywą arystokrację. A ci, traktując to jako samo przez się zrozumiałe, wyobrazili sobie, że są mieszkańcami niebios. U twojego tatuśka też nic dobrego nie widać. Korbachowie starają się wyglądać jak pracujący handlowcy i bankierzy, a w rzeczywistości to wstrętne *noiweau riches*, jacyś nowi żydowscy faraonowie. Słuchaj, Nora, jeśli chcesz być normalną ludzką istotą, musisz po prostu zapomnieć o swoich rodzicach! Popatrz, co się wokół dzieje! Młodzieżowej rewolucji o takim rozmachu nie znała dotąd historia. Uniwersytet staje się sztabem powstania. Potem przyłączy się do nas Fabryka i Farma. I zwyciężymy! Nasi ludzie są wszędzie, w Paryżu, w Niemczech, w Japonii, nawet w Czechosłowacji, szturmują chlew tego świata, który owinął drutem nie tylko Wietnamczyków, ale i nas wszystkich, naszą twórczość, nasze marzenia, nasze myśli - wszystko dusi jebany bekający świat-Behemot!

Tu Danny zaczynał się trząść, chrypieć i nie mógł przestać, dopóki nie uciekł się choćby do jednego z trzech „rozbrajających” aktów: picia mocnego bełta po dolarze za galon, palenia *pot* albo bara-bara z Norą.

Boże, cóż to były za czarowne dni w Berkeley! Stendhal powiedział jakoś tak: „Nieszczęsny, kto nie żył przed rewolucją”. Dziś, po tylu latach, można przeinaczyć tę myśl: „Szczęśliwy, kto żył przed rewolucją, która się mimo wszystko nie dokonała”. Dzień zaczynał się pod tablicami

z niekończącymi się *tadżypao*. Studenci krzyczeli i śpiewali przy wtórze gitary.

Tu odbywały się mityngi, tu przyjmowano rezolucje, czy to na temat zniesienia egzaminów i stopni, czy na temat utworzenia ludowo-demokratycznej republiki Zatoki San Francisco na czele z wodzem narodu koreańskiego, towarzyszem Kim Ir Senem. Tłum szedł przez kampus na Telegraph Street, skandując: „Nadejdzie dzień, kiedy cała Zatoka San Francisco odżyje w objęciach przewodniczącego Kim Ir Sena!”

Wszędzie czuć było trawkę. Od tej pory ów zapach stał się dla mnie nostalgiczny. Tłumy wypełniały pod wieczór wszystkie bary przy niewielkich ulicach *downtown*. Ludzie reprezentowali tam wszystkie rodzaje rewolucji kulturalnej: starzy bitnicy w rodzaju Ginsberga i Ferlinghettiego - wyobraź sobie, oni byli już wtedy po czterdziestce! - i nowi chłopcy i dziewczyny z londyńskiego ruchu „Władza kwiatów” - Danny nienawidził ich hasła „Rób miłość, a nie wojnę!”, „Walcz z wojną!” to było jego hasło - a razem z nimi wojujący anarchiści, maoiści, zwolennicy Che Guevary, „czarne pantery”, homoseksualiści, lesbijki, wyznawcy religii Wschodu, no i po prostu włóczęgi i narkomani.

Nasza Norusia znalazła się w samym centrum tej publiczności, jako że pracowała w charakterze kelnerki w kawiarni Rooster Cafe. Bywalcy znali wybuchowy charakter jej boyfrienda i to powstrzymywało ich przed typowymi dla takich lokali akcjami. Nora stała się swego rodzaju pupilka ruchu rewolucyjnego, „Miss Red Berkeley”, tym bardziej że w każdej chwili gotowa była usiąść do fortepianu i zaśpiewać *Odpowiedź rozwiął wiatr* czy *Spróbuj uczynić to prawdziwym*, na co cały bar gromko odpowiadał: *W porównaniu z czym!?* Ciekawe swoją drogą, czy w Moskwie znane były wtedy te pieśni?

- Być może znała je niewielka grupka zażartych amerykańców - powiedział Aleksander. - Myśmy mieli własne Joan Baez i Bobów Dylanów. W Rosji wszystko jest przewrócone do góry nogami w stosunku do Zachodu. Tam ja byłem Dylanem, lewakiem, bo przeciw socjalizmowi.

- No, ale chyba nie za kapitalizmem, Alex, prawda? - spytała, jak gdyby wynurzając się na moment ze swoich własnych oczu, których całą powierzchnię zasklił dym „Czerwonego Berkeley”.

- Otóż właśnie za kapitalizmem - burknął. I pogłaskał ją po głowie. - Nieważne, nieważne. Mów dalej, nierozsądna Noro.

Słowem, uniwersyteckie życie zmieniło się dla Nory w nieustający bal gałganiarzy. Boże, jak tam było wtedy wesoło na tej niesamowitej Telegraph Street w sześćdziesiątym siódmym -

sześćdziesiątym ósmym! Niedawno odwiedziła ją po dwunastu latach nieobecności. Coś fantastycznego: ulica w ogóle się nie zmieniła - ten sam zapach, te same dźwięki, podobne twarze. Zauważyła nawet paru starych znajomych, tamtych buntowników z lat sześćdziesiątych. Byli teraz sprzedawcami ulicznymi, przed nimi leżał porozkładany towar: znaczki z wywrotowymi napisami z tamtych lat, tania biżuteria z turkusami, boliwijskie poncha, tybetańskie dzwoneczki, wiązki jakichś pustynnych traw, proszek z much, wiesz na co; nawiasem mówiąc, ty tego nie potrzebujesz. Kapitalizm oswoił rewolucję, wasi górą, wujku piątego stopnia!

Długo chodziła w czapce z wielkim daszkiem i w ciemnych okularach. Mimo wszystko coś tam było nowego, nie mogła pojąć co, dopóki nie pomyślała: jak przyjemnie kołysze się listowie, cień listowia przydaje tej ulicy jeszcze więcej pstrokacizny! I tu ją olśniło: wtedy nie było drzew! Zdaje się, że w jakimś momencie mer, doprowadzony do rozpaczki demonstracjami, wybijaniem szyb i budową barykad, wydał rozporządzenie, żeby posadzono drzewka, ale to były żalose sadzonki, na które nikt nie zwracał uwagi oprócz naszych psów, które biegały tam wielką komuną. I oto minęła młodość Nory, minęła rewolucja i Danny, który już rok jak zbiegł, a drzewa na Telegraph Street wyrosły i stoją krzepko, szeleszcząc listowiem; wspaniałe szwajcarskie platany.

- Jeśli jeszcze raz pozwolę sobie na liryczne dygresje, uszczypnij mnie w tyłek, Alex, *okay*!
- Powiedziałaś, że twój Danny zbiegł. Co to znaczy?

Nora przez jakiś czas milczy, autor zaś wykorzystuje pauzę na pewne nietaktowne przypomnienie. Rzecz w tym, że cała dotychczasowa rozmowa czy raczej wycieczka w przeszłość miała miejsce w wannie. W danym momencie - tysiącrotnie przepraszam - woda straciła temperaturę komfortu, a potem w ogóle pod działaniem jakichś czy to tajemnych, czy zwykłych przyczyn - zatyczka wyskoczyła, czy co? - zaczęła wyciekać z „chronotopu” w odpowiedni otwór, pozostawiając dwa nagie ciała w kupkach piany ułożonych w dość głupawe konfiguracje. W obawie, że Nora w kupkach piany przypomni mu coś mitologicznego w rodzaju kąpeli u wybrzeży wyspy Cypr, AJ wyskoczył z wanny i przyniósł dwa suche szlafroki. Wrócili do sypialni. Nora zapaliła papierosa i usiadła na dywanie. Wyglądała na nieobecną i zmęczoną. Zdecydował się nie powtarzać pytania. Z jednej strony chciał, naturalnie, dowiedzieć się więcej o jej pierwszym kochanku, który najwyraźniej wrył się jej głęboko w pamięć, z drugiej widział, że wspominając przeszłość, odchodzi od niego, i czuł ukłucia zazdrości i o tego idiotę

Danny'ego, i o tę dziwną chęć w Roaster Cafe, i nawet o drzewa na Telegraph Street. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się smutno, wracając do opowieści.

Pod koniec pierwszego roku akademickiego, to znaczy w kwietniu 1968, cały ten karnawał się skończył. Sztab zdecydował o przyjęciu taktyki rewolucyjnej przemocy. Nora o tym nie wiedziała, ponieważ Danny chciał ją uchronić przed niebezpieczną działalnością. Dopiero po akcji dowiedziała się wszystkich szczegółów od tej dziwki, Lenore Yablonsky. Alex, naturalnie, poznał ją w Halifax Farm? Nie? To dziwne. W tamtych dniach przeleciała wszystkich ludzi ze sztabu, niezależnie od płci. Była najaktywniejszą zwolenniczką akcji, ale jakoś zdołała uniknąć odpowiedzialności.

Mówiąc krótko, trockiści w biały dzień napadli w maskach na Perpetual Bank w bogatym rejonie po tej stronie zatoki, oczyścili sejfy, a na dodatek zastrzelili dwóch policjantów, czy to z konieczności, czy z rozpędu. Nawiasem mówiąc, ideałem sztabu był wtedy młody rosyjski rewolucjonista-ekspropriator z 1905 roku. Rok piąty traktowano jako apoteozę czystości; zakończona zwycięstwem rewolucja roku siedemnastego była zarzewiem zgnilizny. Kronsztadzka komunę uważano za wzorzec oporu wobec establishmentu. Lekcja Kronsztadu była tematem wielu zebrań. Nikt jakoś nie wspominał, że to właśnie rewolucyjny idol Leo Trocki utopił we krwi buntowniczą wyspę.

Kiedy Norę aresztowano, krzyczała do agentów FBI: „Niech żyje młodzieżowa rewolucja!” i dopiero potem zaszamotała się histerycznie: „Gdzie Danny? Oddajcie mi mojego Danny'ego!” Śledztwo niemal od razu wykazało, że nie jest w żaden sposób związana z grabieżą banku, i wypuszczono ją. Prasa jednak rozdmuchała niewyobrażalny skandal: urodziwą studentkę pierwszego roku, córkę niezrównanej Rity O'Neill i Stanleya Korbacha, potężnego magnata ze wschodniego wybrzeża, łączyły bliskie więzi z grupą uzbrojonych bojowców, której lider Daniel Barthelme, najprawdopodobniej kochanek miss Korbach, został w tych dniach aresztowany pod zarzutem zabójstwa dwóch policjantów i grabieży banku, jednakże zdołał uciec z izolatki o zaostrzonym reżimie.

Rita i Stanley natychmiast przyjechali na miejsce akcji rewolucyjnego dramatu. Po raz pierwszy od czasu rozvodu potrafili znaleźć wspólny język. Oboje byli wstrząśnięci przede wszystkim nędzą, w której ich ukochany *kid* przeżył swój pierwszy akademicki rok. Oboje bez umawiania się byli wyjątkowo taktowni, oboje sympatyzowali z ideami i sentymentami Nory. „Kto nie był socjalistą w wieku osiemnastu lat, w wieku trzydziestu staje się sukinsynem” i inne

tego typu mądrości. Oboje - bez umawiania się, Boże uchroni - zaproponowali Norze długą podróż za ocean, żeby na jakiś czas zniknęła z pola widzenia organów prawa, no i z innych powodów. Oboje nazywali ją w tych dniach Hedgie, czyli Jeżyk, jak w dzieciństwie.

Nora odrzuciła tę propozycję. Zamiast podróży zdecydowała się zapisać na letni semestr i zagłębić w archeologię. „To twoja sprawa, Hedgie - powiedzieli rodzice. - Rób, na co masz ochotę. Kochamy cię i szanujemy twoją niezależność”. Na zakończenie Rita mimo wszystko doprowadziła córkę do histerycznego śmiechu, mówiąc: „Tyle przeszłaś, moje słoneczko. Bez względu na nieprzyjemności ta historia mogłaby się stać osnową wstrząsającego filmu. A gdybyś tak pomyślała o sprzedaży praw do niego? Mogłabyś zagrać siebie samą w tym filmie o «myślącej młodzieży». Znakomity pomysł, nie sądzisz?”

„Jesteś niepoprawna i zachwycająca, Rito O’Neill” - powiedział obecny przy tej rozmowie Stanley i pocałował byłą żonę w rękę.

Rzecz jasna, Nora miała nadzieję, że Danny jeszcze wróci. Którejś nocy skrzypną zewnętrzne drzwi z moskitierą, potem ktoś stuknie kolanem w wewnętrzne, zamknięte. Ona rzuci się naprzód w ciemności, serce załomocze, straci równowagę. Ale oto jest już na jego piersi, z głową opartą o twarde żelazo pistoletu. O mój ukochany!

Miesiące mijały jednak, a Mr Barthelme się nie pojawiał. Niektórzy ocaleli członkowie sztabu sugerowali, że agenci dawno go zabili, a potem rozpuścili pogłoski o ucieczce. Nie bez podstaw podejrzewała, że członkowie ci pragną zająć miejsce Danny’ego w jej łóżku. Bez ogródek dawała im kopniaka w tyłek, a sama zagłębiała się w archeologię. Trzeba oddać sprawiedliwość Danny’emu: obok rewolucyjnego żaru był w nim żar dążenia do przeniknięcia kulturowych warstw planety. Miał gruntowną wiedzę na temat przedmiotu i doświadczenie w pracy na wykopkach. Tam, w dziale egipskim Luwru, ten dryblasowaty jankes zrobił na Norze wrażenie właśnie spokojnym oddaniem swojej dziedziny; rewolucyjna gorączka wybuchła później, w kawiarni Pod Kogutem.

Po tak nieoczekiwanym potwornym dramacie i zniknięciu Danny’ego Nora wspominała, że najlepsze momenty ich wspólnego życia były związane z archeologią. Zapomniawszy na chwilę o „porządku dziennym”, cicho rozmawiali na przykład o różnicy między Egiptem a cywilizacją Mezopotamii. Sumeryjska i egipska koncepcja życia pozagrobowego różniły się od siebie tak rażąco, jak spokojny bieg Nilu z jego dokładnie odmierzanymi wylewami różnił się od chaotycznych, mętnych nurtów Tygrysu i Eufratu. Egipcjanie pośród swoich majestatycznych

kamiennych budowli, jak gdyby odnaleźli już harmonię życia wiecznego. Asyryjczycy i Babilończycy w ulepionych z gliny domach, parokrotnie unicestwianych w ciągu życia jednego pokolenia przez nieprzewidywalne wylewy, wierzyli raczej w piekło niż w raj. Danny mówił o Gilgameszu tak, jakby znał go osobiście. Mówił o kosmicznym sensie archeologii. Idąc do ziemi, ludzkość staje się zbiorem obiektów kosmicznych.

- To przypomina *Filozofię wspólnej sprawy* Nikołaja Fiodorowa - powiedział Aleksander. - Tylko że on wychodził jeszcze dalej, poza kosmos. Twierdził, że głównym zadaniem ludzkości jest powrót przodków, którzy odeszli. Powrót z nieznanego rzeczywistości do ciała. Kosmos był dla niego, zdaje się, jedynie sferą pograniczną.

- Jak powiedziałaś, Nicolas Fedora? - akademicką manierą spojrzała na niego zmrużonymi oczyma. - To Rosjanin? U nas nikt nie słyszał o takim filozofie.

Uśmiechnął się:

- U nas też. Chyba tylko w wąskich kręgach, w samizdacie.

- Och, te wasze wąskie kręgi!

- Skąd ty wiesz o naszych wąskich kręgach?

- Jak to skąd? Od rosyjskich kochanków, rzecz jasna. A od kogo niby kobieta może się czegoś dowiedzieć? W przerwach między jednym a drugim bara-bara kochankowie opowiadali jej o wąskich kręgach i o samizdacie, ale nigdy jakoś nie wspominali o tym filozofie.

Tymczasem zmierzch w pokoju gęstniał. Za dwie godziny trzeba było jechać na lotnisko. Nora wsparła się łokciem o stos poduszek i wyciągnęła z nocnej szafki papierosa. Aleksandrowi wydawało się, że od czasu do czasu rzuca na niego badawcze spojrzenia, jakby naprawdę chciała się dowiedzieć czegoś więcej o Fiodorowie.

- Według Fiodorowa - powiedział - Bóg Wszechmogący oczekuje od każdego pokolenia żywych, czyli od „dzieci powietrza”, że będzie pracować na rzecz wskrzeszenia wszystkich martwych, czyli przywrócenia siłami nauki i technologii obiektów kosmicznych i ezoterycznych do życia. Jego główna idea to przewyciężenie wrogości przyrody poprzez wskrzeszenie przodków. Rozgwieżdżone niebo mówi nam o oddalonych światach, ale jeszcze więcej mówi nam ono o wielkim poszukiwaniu „ojców” przez łaskę Bożą.

- Czy wpłynął na ciebie jako na artystę? - spytała.

- Na początku tak, ale potem zrodził się we mnie jakiś sprzeciw. Są u niego przemyślenia na temat sztuki obce mi. Za początek sztuki Fiodorow uznaje modlitwę, co uważam za bezsporne,

jeśli i taniec uznamy za modlitwę. Potem jednak w jego rozważania nie wiadomo dlaczego wchodzi ideologia, a nawet coś w rodzaju bieżącej polityki. Fiodorow dzieli sztukę na „teoantropourgiczną” i „antropourgiczną”. Pierwsza polega na odkryciu Boga poprzez wertykalną, modlitewną pozycję i wyraża się w tworzeniu pomnika umarłemu. Druga - to sztuka świecka, z jednej strony budząca lęk, z drugiej - przyciągająca uczuciowo. Modlitwę zastępuje tu wystawa.

Mocno przetarła dłonią czoło i zauważyła:

- Trafne.

Aleksander wzruszył ramionami.

- Trochę zanadto, jak na mój gust. Sztuka ma jeszcze jeden ważny cel. Skierowana jest przeciwko głównemu niebezpieczeństwu, które *zagraża* nie ze strony przyrody, a czasu. Całkowite unicestwienie jest spowodowane przez bieg chwil, a sztuka usiłuje odwrócić go, uchwycić to, czego uchwycić się nie da. Przed powstaniem sztuki wszystko waliło się w otchłań, teraz wydaje się czasem, że przynajmniej coś niecoś zostaje. Być może właśnie tak przejawia się Duch Święty.

- Gdzie można znaleźć tę książkę? - spytała.

Wzruszył ramionami:

- Nigdy nie widziałem Fiodorowa w postaci książki. To były po prostu paczki bibułki papierosowej, którymi wymieniała się inteligencja. Bolszewicy chyba jej nie wydadzą: mimo wszystko mówi się tam o rzeczach, przy których ich materializm dialektyczny brzmi jak dziecinne gaworzenie.

Spojrzał na zegarek. Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Tak, trzeba się ubierać. Odwróć się!

Parsknął. Po tych formach bliskości, którym się niedawno oddawali, nagle taka wstydlivość. Spojrzenie spode łba. A, to oto chodzi, znowu wabi mnie w swoją pułapkę. „No, dlaczego nie dasz mi się spokojnie ubrać?” Powoli, ale stale narastający płomień.

- No i proszę, znowu pan zaczyna, *sir* - jęknęła, jakby próbując niecnym wybiegiem zważyć na niego to, czemu sama była winna. Zauważył już, że w czasie uprawiania seksu przechodzi na „pan”, to znaczy używa *sir* i trybu *subjunctive* czasownika *will*. - Przecież zamierzał pan słuchać dalszych wyznań biednej Nory.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, *ma'am*, by kontynuowała pani swoją opowieść - powiedział,

zaczynając „znowu” swoje.

- Uważa pan, że mogę kontynuować opowieść o biednej Norze, kiedy tak rozpląszczył mnie pan pod sobą jak żabę? - zdziwiła się.

Był nieustępliwy:

- Powiniennem wiedzieć wszystko o tej biedulce, którą tak dręczą mężczyźni!

Podjęła opowieść.

W zasadzie najbardziej dramatyczny rozdział został już opowiedziany. Została jedynie rutynowa kariera akademicka i ekspedycje archeologiczne do Półksiężycy Płodności. Cztery lata temu na Cyprze Nora poznała młodego człowieka nazwiskiem Omar Mansour. Pojechali razem do Paryża i nieoczekiwanie się pobrali.

- Mają dzieci? - spytał z naciskiem.

- Ona ma. Dziesięcioletniego syna, który wychowuje się w Szwajcarii.

- Kto jest jego ojcem? - Znowu skurcz zazdrości przeniknął jego ciało, od głowy do wszystkich koniuszków.

- Żeby tak Nora wiedziała! - mruknęła. - Pewnie jakiś kierowca z ekspedycji.

Ta kobieta dokładnie wie, jak doprowadzić mnie do szaleństwa!

- A jak się nazywa chłopiec?

- Bobbie Korbach. Dała mu swoje nazwisko, za pańskim pozwoleniem.

- Chciałbym być jego ojcem - zawołał nieoczekiwanie dla samego siebie.

Utkwiła twarz w poduszce, pięści jej to ścisnęły się, to rozprostowywały, ciało drżało, usiłowała stłumić jęk. On tymczasem kontynuował swój miłosny spór i myśl o jego zakończeniu nie nawiedzała ani jego głowy, ani członka.

- Pan wybaczy, *sir* - wyszeptwała, dysząc - ale czy nie mógłby pan rozważyć możliwości zakończenia tego druzgocąco długiego spółkowania? Po pierwsze, może się pan spóźnić na swój lot, a po drugie, moja pochwa krwawi, *I'm afraid*. Czyżby z innymi kobietami też pan był takim mocarzem, *may I ask*?

- Absolutnie nie - odparł. - Zawiniło tu niezwykle rzadkie zjawisko, *ma'am*. Po prostu spotkałem moją kobietę, a ona najwyraźniej przetrząsnęła wszystkie moje sekretne kąciaki. Zdaje się, że po prostu zakończyłem podświadome poszukiwanie żeńskiej połowy mojej ontologicznej istoty, oto w czym rzecz. Po prostu kocham panią każdą najmniejszą komórką mojego ciała i świadomości, *ma'am*.

Kiedy mimo to wszystko dobiegło końca, oboje spojrzeli na zegarki i zobaczyli, że zostało jeszcze jakieś dwadzieścia minut na niewinną czułość. Ona całowała i pieściła mokre i śliskie zbocze jego głowy.

- Mój miły wybranku, gdybyś wiedział, jak cię kocham, ale najbardziej, nie wiem dlaczego, twoją łysą głowę!

- Wiesz, ja bardzo wcześnie, jeszcze w młodości, zacząłem szybko łysieć. Przyczyną, jak mi się zdaje, był pewien dziwny przypadek, który miał miejsce, gdy byłem w wieku dojrzewania. O mało co nie zabił mnie pudowy kandelabr, który spadł mi, moja ukochana, prosto na głowę.

Złapała go za rękę, utkwiała wzrok w jego oczach, jakby naocznie zobaczyła ten egzystencjalny dramat i potrzebowała szczegółowej opowieści. Z błakającym się na ustach uśmiechem, pół żartem, pół serio, opowiedział, jak siedział przy stole z przeklętym podręcznikiem fizyki, słuchał uwertury do opery Kabalewskiego *Colas Breugnon*, kiedy nagle wyskoczył ze swojego życia.

Drżała.

- Co z tobą, *darling*? - wystraszył się.

- To nie był kandelabr, Sasza - po raz pierwszy nazwała go rosyjskim zdrobnieniem. - Nie rozumiesz, że to ktoś z tyłu chciał cię zabić wielką laską?

Krzyknął, a raczej zawył. Teraz on wpił się w jej oczy, jakby chciał tam zobaczyć to, co najwyraźniej zawsze tkwiło w jego podświadomości: podchodzącego z tyłu z laską Nikołaja Iwanowicza Izmajłowa.

- Jak mogłaś zobaczyć tę wielką laskę? Jesteś jasnowidzką? - Opowiedział jej o tej bukszpanowej lasce. Pewien kłopot sprawiło słowo „bukszpan”, które po angielsku brzmi zupełnie jak „pewna ilość gówna”, ale we dwoje zdołali się jakoś wydostać z tej językowej pułapki.

Nora objęła go nagle ni to jak matka, ni to starsza siostra.

- Nigdy wcześniej z nikim mi się to nie zdarzało. Czasem mi się zdaje, że czytam w tobie bez słów, nawet to, czego ty sam w sobie nie odczytasz.

No dobrze, wszystko to się skończyło, a za godzinę również ich spotkanie dobiegło końca na lotnisku Dullesa. Wchodzenie na pokład United już się zaczęło. W tłumie Nora zauważyła grupę znajomych mężczyzn i kobiet, rzucających na zakochanych zaintrygowane spojrzenia.

- Są tu ludzie z Pinkerton, fizycy i genetycy - powiedziała. - Chcesz ich poznać?

Z jakichś powodów fizyków i genetyków pożerała nadzwyczajna ciekawość. Podeszli.

- Cześć, kochani! Właśnie odprowadzam przyjaciela - powiedziała dziarsko Nora. -  
Poznajcie się, Alex Korbach, znakomity reżyser teatralny z Moskwy!

- Ach, moskiewski teatr! - z szacunkiem westchnął świat uczonych.

- Wybaczcie, kochani, ale potrzebna nam jest chwilka intymności - tym samym tonem  
powiedziała Nora.

Fizyków i genetyków nie trzeba było prosić dwa razy. Odeszli z twarzami jaśniejącymi  
zaspokojoną ciekawością.

Czy może być coś piękniejszego od zakochanej twarzy Nory i jej figurki w tweedowej  
marynareczce, z szaliczkiem przez ramię, co może być smutniejsze niż rozłąka?

- Do następnej niedzieli - powiedział, choć nie mógł sobie nawet wyobrazić, że zdoła  
przeżyć bez niej siedem dni tygodnia.

- To znaczy przyjedziesz? - szepnęła.

- Możesz nie mieć wątpliwości.

Z pewnym napięciem zadała pytanie, które już dawno miała na końcu języka:

- Sasza, a pieniądze masz?

- A znasz chociaż jednego Korbacha bez pieniędzy? - zażartował.

I tym niezbyt udanym żartem pożegnali się.

Płynąc nad obłokami ze wschodu na zachód, zyskał parę godzin i w rezultacie zdołał nawet trochę pospać w hotelu Cadillac. Rano, goląc się, z góry delektował się myślą, jak to z Colonial zadzwoni do Nory do Pinkerton University. Potem delektował się sandwiczami, które zapakowała mu do niewielkiej torby PanAmu: hiszpańska, niemal czarna szynka przełożona belgijską endywią, łosoś z korniszonami, w sumie lepiej niż u Catholic Brothers. Jedząc, pocałował parę razy torbę. Z tą torbą przez ramię wyglądał wczoraj na zwykłego pasażera, a nie po prostu na idiotę. W środku było coś jeszcze oprócz kanapek. Zajrzawszy głębiej, natrafił na dwie pierwszorzędne koszule, jak należało przypuszczać, z szafy Mr Mansoura. Następnym razem trzeba będzie przejawić wobec niego mniej uprzedzeń. A zresztą, możliwe, że i on pożyczył sobie dla swojej blondyny z tuzin majtek z garderoby małżonki. Tak że jesteście kwita, Omar, obejdzie się bez braku uprzedzeń. Pogrzebawszy jeszcze głębiej, znalazł pięćset dolarów w zmiętych papierkach. Wsadziła w ostatniej chwili, zgarnęła cały *cash*, który miała w domu. Nadziani ludzie w rodzaju Nory Mansour nie trzymają gotówki przy sobie. Nawiasem mówiąc, może to być przyczyną nieoczekiwanych trudności. Nie ma czym zapłacić żigolakowi za porządnie wykonane bara-bara. Trudno przecież wypisywać czek jakiemuś jebace. Łotr, powiedział do siebie, prawdziwa z pana świnia, Aleksandrze Jakowlewiczu, nie może pan nie obesrać wszystkiego wokół siebie, nawet pańskiego własnego szczęścia. Kundel, zboczeniec, nie umiejący docenić miłości i pragnienia kobiety, by chronić ukochanego.

A jednak, powiedział sobie, krzywiąc konwulsyjnie twarz, groteskowo odbitą w czajniku, a jednak nie możesz przyjąć od niej pomocy. Nie możesz dać jej najmniejszej szansy na to, by pomyślała, choćby mimo woli, że wspiera nieporadnego rosyjskiego neurotyka w zamian za usługi erotyczne. Znów ogarnęło go uczucie całkowitej bezradności. Jeśli chcę widywać ją co tydzień, nie ucieknę przed ujawnieniem mojego żalosego sposobu życia, czyli przed totalnym poniżeniem.

Przygnębiony i otumaniony tymi myślami, Aleksander pojechał do pracy. Wszystko było skończone, z młodości nic nie zostało, nawet miłość była pod bezlitosnymi znakami zapytania ze strony wszystkiego, co spotykał na trasie brzęczącego samochodu: palm, drapaczy chmur Century City, tablic reklamowych z ich swawolną abrakadabrą. Nie wiedział, rzecz jasna - tak jak

i my nie wiedzieliśmy aż do poprzedniej strony - że z każdą milą przybliży się do kolejnego zwrotu w swym amerykańskim życiu.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył tego ranka w Colonial, był lśniący nowiutki lincoln town car, z którego wysuwała się jaśniejąca takim samym blaskiem, choć nieco mniej nowa fizjonomia jego przyjaciela *chicano*, Gabriela Llanosy:

- Ej, ty, *facco vulfo*, ładny mam samochód?

- Gdzieżeś go ekspropriował, ty zappatisto w mordę jeża? - zainteresował się Aleksander. Już dawno widział, że korpulentny w jakiś krabi sposób były muzyk chełpi się szykownymi przedmiotami długotrwałego użytku: to marynarką ze skóry węża, to bucikami z krokodyla.

Trzeba powiedzieć, że naturalnym porządkiem rzeczy Korbach w ostatnim czasie zaprzyjaźnił się z Meksykaninem. Wydawał się mu ucieleśnieniem latynoskiego „realizmu magicznego”. Niezgrabny taniec pod dźwięki tuby, maska ludowej obłudy, nieustannie podrygiwał w jego fałszywych rzych oczkach, w obfitym poroście lica, w ogromnych łapach akuszera i piekarza. Gabriel zresztą rzeczywiście lubił upiec chleb czy wydobyć na sferę powietrzną niemowlę z rozciągniętych dróg rodnych swojej żony, czyli ze swoich własnych dróg rodnych.

Nierzadko po zakończeniu wspólnej zmiany walili do La Cucaracha i ucztowali tam w ogrodzie przy baranich kotletach i stosie najprzeróżniejszej papryki, zakrapiając te dobra galonami zimnej Corony, od której Gabi miał coraz większy brzuch, a Alex coraz bardziej chudł. Ostatnimi czasy Mr Zap-patista-w-mordę-jeża nie pozwalał swojemu przyjacielowi Facco Vulfo brać udziału w płaceniu. Licząc dolary, obnażał zarośla nadgarstków, na których podzwaniały złote bransolety i łańcuchy.

Aleksander wsunął głowę do wnętrza pachnącego bogactwem samochodu.

- Słuchaj, Gabi, zakochałem się, potrzebuję pieniędzy.

- A co, nie daje ci bez pieniędzy? - zainteresował się *senor* Llanosa.

- Coś w tym stylu - kiwnął głową Aleksander. - Widzę, że wiedzie ci się ostatnio; podziel się sekretem, jak robisz kasę?

Meksykanin przez jakiś czas patrzył w milczeniu na Rosjanina. W jego oczach już zaczynały się żarzyć wolframowe druciki, zwiastuny chłopskich rewolucji. Nagle zgasty. Wybuchnął dobrodusznym, choć nie specjalnie idyllicznym śmiechem.

- Tobie naprawdę odbiło na punkcie jakiejś niezłej dupy! Posłuchaj, Gabi Llanosa nic ci nie

może powiedzieć, ale jak artysta artyście może ci poradzić: zadaj to pytanie Aramowi.

Aram Ter-Ajwazjan siedział jak dawniej na wysokim stołku w boksie kasowym. Jak zwykle, a może nawet bardziej niż zwykle, był nadzwyczaj poważny i opanowany, wypisz wymaluj członek ormiańskiego gabinetu na wychodźstwie. Już podchodząc, Alex zauważył to, na co dotychczas nie zwracał uwagi: przydymione okulary porsche, krawat od Versace, zegarek cartier. Z takim dobrem człowiek siedzi przy kasie parkingu! Do diabła, ja też chcę do tego dziwnego klubu bogatych, ze mną to już Aram musi się podzielić sekretem, niemałośmy w końcu razem wódki wypili!

- Słuchaj, Aram, muszę zarobić więcej kasy. Nie mógłbyś zarekomendować mnie tym, którzy wiedzą, jak się to robi?

Aram był rzadkim typem Ormianina: czarna jak węgiel czupryna i jasne niczym ostrygi oczy. Pod wpływem pytania Korbacha ostrygi z języły się jak w bryzgach cytrynowego soku.

- Wiesz, że to niebezpieczne?

Korbach w milczeniu kiwnął głową. Ostrygi się rozszerzyły, a nawet jakby błysnęły perłową błonką życzliwości.

- *Okay*, przyjacielu. Po południu przedstawię cię ważnym osobom, które mogą rozpatrzyć prośbę. Ale mogą też nawet nie splunąć w twoją stronę.

W duszne, dymne południe - wiatr Santa Anna, kalifornijskie przekleństwo, zaczął swoją akcję - Alex i Aram przybyli do losangeleskiego *downtown*, kupki drapaczy chmur sterczących z morza pozbawionych jakiegokolwiek stylu niskich zabudowań. Winda jednego z drapaczy zawiozła ich na trzydzieste ósme piętro. Miękki dywan, drzwi z miedzianymi klamkami i tabliczkami. Jedna z nich z niezwykle skromną godnością głosiła: „Hornhoof i Bender, Ltd.”. Zaskakująco urodziwa sekretarka szczerze uśmiechnęła się do gości.

- *Hallo*, Nathalie - powiedział Aram. - Mr Hornhoof czeka na nas.

- Proszę bardzo, siadajcie, panowie - brzmiała rozkoszna odpowiedź. Mruknęła coś miękko i czule do swojego interkomu, po czym wstała i poszła ku drzwiom bossa. Sposób jej poruszania się był samą doskonałością, no, po prostu nie narzucającą się demonstracją wszystkiego co najwspanialsze.

Przez uchylone drzwi Korbach usłyszał znajomy głos, wrzeszczący do słuchawki ze wspaniałą rosyjską goryczką:

- Powiedz mu, niech idzie w pizdu, Siemion! Może mi wskoczyć, menda azerska! - Mr Hornhoof okazał się ni mniej ni więcej, tylko aktywistą radzieckiego Komsomołu, Tichomirem Buriewiatnikowem.

Tich bujał obecnie nad kanionami Los Angeles w roli jakiegoś kwitnącego pterodaktyla. Wyrwałem się z sowdepskiego raję, no i radzę sobie, nieźle sobie radzę, chłopaki! Koński pysk pokrywała tenisowa opalenizna, ogólny wygląd wyrażał dejnekowskie niemal zdrowie z lat trzydziestych, no, powiedzmy, palce lekko drżały ze względu na przyswojenie porannego sortu whisky. Po pierwszej inwestycji, przeprowadzonej za pośrednictwem współpracownika odpowiedzialnego Zawchozowa, wydział N, nadzwyczaj zadowolony, zaczął przekazywać na rachunek Hornhoofa elektroniczne przekazy Bóg wie skąd - a to z Hongkongu, a to z Makao - i szybko doprowadził saldo do liczb siedmiocyfrowych. Aktywnie wykorzystując hojne dary ojczyzny, Tich rozwinął także swój własny specyficzny biznes, z którego dochody znajdowały się, naturalnie, pod innym dachem. Przyjaźń przyjaźnią, czerwone ścierwa, a liczymy się osobno!

- Ech, chłopaki, jak ja się cieszę, że was widzę! - powiedział Tichomir z prawdziwie radziecką serdecznością. - Pamiętacie, jak włóczyliśmy się razem w zeszłym roku, was dwóch, ja i Staśka Butlerow? Taki się prawdziwy wytworzył *team spirit!* Tak jak to ty śpiewałeś kiedyś, Saszok, „wielu nas w naszej czwórce”! Zapomniałeś? A ja pamiętam, *buddy*, niektórych rzeczy się nie zapomina! I patrzcie, raptem rok, a jak nas porzrzucało! Nie, bracie, mimo wszystko coś tracimy w tym świecie mamony! - Nawrzucawszy komsomolskich wykrzykników, Tichomir umilkł, dając im szansę wyjaśnienia, po co przyszli. W jego oczach widać było cierpienie.

- Słuchaj, Tich, Sasza potrzebuje pieniędzy - powiedział Aram.

- Ile? - wykrzyknął radośnie Buriewiatnikow. Wyciągnął szufladę biurka, z jakąś dziwną przyganą pokręcił głową, zasunął szufladę, złapał książeczkę czekową, podpisał się, wyrwał karteczkę, rzucił Korbachowi. - Sumę wstawisz sam.

- Nie zrozumiałeś mnie, Tich - powiedział Aleksander. - Ja nie chcę od ciebie pożyczać na wieczne nieoddanie. Chcę po prostu zarabiać jak Aram, jak Gabriel Llanosa, jak inne chłopaki w garażu, nie wiem już kto.

- O, z tym to nie da rady, Saszok - powiedział ze smutkiem Tichomir. - Nie masz po co się pchać w te sprawy. Interesują się tobą, rozumiesz? Cały czas cię monitorują. Nie, Aramik, Saszę Korbacha musimy trzymać z boku, jak dekabryści Puszkina. Po co ci, Sasza, takie ryzyko?

Sasza poczuł przypiływ natchnienia. Wstał.

- Nie jestem Puszkinem, Tich, ani szlachcicem, a po prostu błaznem, mój drogi! Łączy nas wprawdzie semicka krew, on był Etiopczykiem, a ja aszkenazyjskim Żydem, ale mimo to nie musicie mnie chronić. Dzieci moje, Aramie, Tichu i ty, nieobecny bracie Butlerow, wiedzcie, iż nie chciwość popycha mnie ku pogoni za środkami płatniczymi, ale miłość! W życiu mym, w niebiosach rozpościerających się nad tym krajem, odsłania się dla mnie spektakl ostatniego natchnienia i jeśli go położę, hańba mi!

- Mówi jak z nut! - wykrzyknął Mr Hornhoof.

- To z poezji? - sucho poinformował się Ter-Ajwazjan.

Aleksander zdecydowanie potrafił rozmawiać z komsomolskim aktywem. Rogokopycki, wzburzony, wstał i zaczął chodzić po swoim *office*, przyozdobionym kopią Van Gogha. „Tak w szerszej perspektywie, to dobrze cię rozumiem, Sasza”. Podszedł do wielkiego okna, przez którego błękitnawe szkło widać było rozciągającą się na wiele mil kalifornijską pustynię. Jakiś czas stał w milczeniu, po czym przeciągnął się potężnie całym ciałem. Jak przelatująca salwa potwornie zatrzeszczały jego stawy. „Och, jak by się chciało przebić!” - wzbił się głos Buriewiatnikowa. - „Przeniknąć przez te wszystkie szkła i polecieć, polecieć, polecieć!”

Tego wieczoru, z niezłą złodziejską zaliczką w kieszeni, Aleksander zaszedł do Pierwszego Dna. I oto znów masz je przed sobą, to efekt względności czasu. Tyle zdarzyło się w jego życiu przez te dwa miesiące, jakie upłynęły od bójki, a tu po dawnemu króluje ta sama atmosfera niespiesznej popijawy. Nuda - to najżarłoczniejszy pożeracz minut. Miłość - nieugięty bojownik o ich istnienie i rozkwit.

Wszedł i od razu złapał powitalny gest pianisty od ucha w jego stronę. Jak dwa miesiące temu, Henry Miller przechadzał się po klawiszach dziesięciorgiem palców i śpiewał ochryple coś pod adresem *baby*. Bernadetta siedziała tym razem w kącie baru; można było widzieć jej augustiański profil i pod basztą zaczesanych do góry włosów nienaganne ucho, przypominające fregatę Jego Wysokości króla Jerzego, płynącą z dobrymi nowinami do „nowych krajów”. Matt Shuroff siedział obok; jego mięśnie jeszcze się powiększyły, przy czym na lewej ręce bardziej niż na prawej, co wprowadziło do sceny pewną dysharmonię. Gigant ludu pracującego nieźle zresztą harmonizował z dwoma uciekinierami politycznymi, generałem Piu, którego rączka, zgodnie ze zwyczajem, niby mewa bujała nad krągłym obłością podwodnej łodzi jądrowej biodrem Bernardetty, i Bruno Kastorziusem, przypominającym jak zawsze worek makulatury przeznaczonej do recyklingu. Grupę uzupełniał Mel O'Massey, uosobienie chłodu w gangu od

Sachsa z Piątej. Zgodnie z tradycją, siedział o *dwie feet* od pozostałych, jakby niezupełnie z nimi, choć całe Pierwsze Dno doskonale wiedziało, że młody specjalista tylko czeka, drżąc, na chwilę, gdy zwróci na niego uwagę czarująca kierowniczką. Cała piątka tworzyła idealną kompozycję pop art, i mogło się wydawać o tej cichej godzinie, że fałdy ich odzieży przesycone są rzeźbiarskim smarem, który łączy ten tłum śmiertelników z wiecznością.

- Patrzcie, kto przyszedł! - zawołał *bartender* Frankie i dwaj jego podręczni, Kit i Kif, zaczęli klaskać. - Ławski, mój malutki! - Bernadetta zwróciła się ku AJ z wdziękiem morskiej lwicy. - Podwójna „stoli” dla naszego Ławskiego! - *Bartender* postawił przed nim szklankę zrehabilitowanej już radzieckiej siwuchy.

Wiedziałem, że wróci! - gigant spedycji jakoś momentalnie się rozkleił; najwyraźniej przez te dwa miesiące wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Wszyscy rozstąpili się, pozwalając Ławskiemu przedostać się w pobliże emanującego życzliwością i pieśczością korpusu Bernadetty. Mel O'Massey demonstrował maksimum emocji, poklepując marnotrawnego syna po ramieniu. Generał Piu był wcieleniem czułości: miękko głaskał Aleksandra w okolicy wątroby, a nawet pocałował go w okolicę szczęki. Bruno wyjął z kieszeni coś naprawdę mu bliskiego, całego hot doga z obfitym dodatkiem musztardy i marynowanych ogóreczków. Przekazując ów przedmiot Ławskiemu, zademonstrował jak gdyby niegasnącą solidarność wschodnioeuropejskiego antykomunizmu. Wszyscy byli szczęśliwi: Ławski wrócił!

Teraz widać, że wcale nie chcieli mnie zabić tamtej nocy, myślał AJ. Chcieli po prostu dać nauczkę przeklętej Rosji, to wszystko. Zadać ból, ale bynajmniej nie zabijać. Złamać szczękę, parę żeber, to wszystko. W sumie to dobrzy ludzie. Mogą się omylić, wybierając cel dla uzewnętrznienia swojego gniewu.

Trzymając go w objęciach, Bernadetta zawołała:

- Ej, ty chyba jesteś zakochany, łobuzie! Chłopaki, nasz Ławski zakochany! Jego członek nie reaguje na moje gruczoły mleczne! Przyznaj się, Ławski, przemęczyłeś się miłosnym bara-bara?

Pianista Henry brawurowo *zagrał* w tym momencie na jego cześć *Primaverę* Vivaldiego w jego własnej, naturalnie, interpretacji, to znaczy zaadresowaną mimo wszystko do *baby*. Ławski, znany także jako Sasza Korbach, położył na barze trzy papierki po setce i powiedział, że stawia drinka każdemu, kto chce wypić w granicach tej sumy.

- Posłuchaj, Ławski - konfidencjonalnie, prawie szeptem powiedział do niego Matt - wszyscy tu jak kurwa mać stęskniliśmy się za twoim systemem Stanisławskiego.

Aleksander, którego już, jak to się mówi, wzięło, zaczął pokazywać całemu towarzystwu, a potem całemu barowi, technikę przeobrażenia na przykładach. No to weźmy coś najprostszego, powiedzmy, prezydent Reagan. Trzeba wyłowić u niego jakąś najistotniejszą cechę. Wszyscy wiedzą, że w przeszłości był aktorem filmowym i dlatego zawsze zwraca uwagę, nawet jeśli jej nie zwraca, z której strony w danym momencie patrzy na niego oko kamery. No wiecie, prawie jak buddysta zen, który stale próbuje zrozumieć, skąd patrzą na niego oczy Boga. Ronnie ma ze swoim Bogiem, to znaczy z kamerą, szczególne stosunki. Nieustannie martwi się o to, czy wygląda jak należy. Miałby chęć się przyczesać, ale niestety, nie zawsze może to zrobić.

Co innego towarzysz Breżniew. Mamy przed sobą człowieka, który wciąż się boi, żeby coś z niego nie wypadło. No, patrzcie, pijane dranie, jak ja, Breżniew, idę na trybunę odczytać powitanie leninowskich związków zawodowych. „Smejete se, touarzysze, a to przecież uelka trahedia człóweka”.

Tak odgrywał rozmaite role przy wtórce ogólnego rehotu Pierwszego Dna i z każdą kolejną dawką podłego napitku odkrywał coraz to nowe niuanse w systemie przeobrażeń. No to walnij teraz Johnnie Kersona, wrzeszczała klientela.

Równocześnie Bernadetta żądała, żeby wcielił się w kobietę. No cóż, proszę bardzo, siostró! Macie przed sobą, szanowne *ladies* (nawiasem mówiąc, powiedział, *Jladies*”), ale tego niuanse nie zauważył nawet miejscowy znawca języka rosyjskiego, Kastorzus) oraz *gentlemen* (nawiasem mówiąc, powiedział, *gentilhommes*”), ale sensu tej subtelności nie rozumiał nawet on sam), macie przed sobą uosobienie dobrze znanego w archeologii typu kobiety z ogonem. W dawnych czasach typ ten często wcielał się w postaci cesarzowych, no wiecie, o czym mówię, pojebańce. Przeszedł się majestatycznym krokiem, wypinając odrobinę zadek i podrzucając do góry lewą pierś, która, jak wielu obecnym było wiadomo, obwisała nieco bardziej niż prawa. Następnie odrzucił do tyłu i wprawił w permanentnie falujący ruch ni to ogon, ni to grzywę, ni to jakiś tren z włosów, spływający cesarzowej od karku do pięt.

- Zazdrosny jestem jak diabli - powiedział Matt Shuroff - a mimo to przepadam za tym sukinsynem Ławskim.

Bernadetta zanosila się śmiechem.

- Szkoda, że ten skurczybyk przeżarł się miłością, nagrodziłabym go dziś po królewsku za tę robotę!

Kraj niesamowitych możliwości, co tu gadać! Nigdy nie wolno opuszczać rąk. Wstając rano,

od razu się rozglądaj, z której strony błyska ku tobie uśmiech Fortuny. Jeszcze wczoraj byłeś nędzarzem, nagle klik-klik - przyłączasz się do przestępczej szajki i z miejsca masz kieszeń wypchaną baksami. Nie przeszkadza ci to bynajmniej zgrywać przed ukochaną artystę-cygana, tym bardziej że dzieli was trzy i pół tysiąca mil, a wasze życiowe kręgi mniej mają szans się przeciąć niż wilków i delfinów.

I tak czterdziestoczteroletni A. J. Korbach, były lider moskiewskiego teatru, bard oraz wszechstronny, choć budzący zgorszenie *aktor-cabotin*, stał się członkiem licznej armii kalifornijskich narkodealerów i był nim od listopada osiemdziesiątego trzeciego, kiedy to wrócił ze swego pierwszego transkontynentalnego spotkania, do listopada osiemdziesiątego szóstego, kiedy to w czasie nocnego dyżuru podał paczuszkę z kokainą dryblasowatemu facetowi, którego krawat niczym sroka trzepotał w porywach pustynnego wiatru.

Na zewnątrz wyglądało to dość niewinnie: przyjmujesz hasło, przekazujesz towar, bierzesz pieniądze, wkładasz je do metalowej skrzyneczki pod krzesłem Mr Tesfalideta. Poza tym koledzy nie mieszały go w żadne inne sprawy; być może naprawdę chronili go, zgodnie z ukochaną rosyjską legendą, jak to dekabryści chronili Puszkina. Tak czy inaczej, oprócz zwykłego żalostnego czeku z Colonial dwa razy w miesiącu otrzymywał kopertę ze szmałem, czasem dwa tysiące, czasem trzy. Teraz bez problemów mógł latać na randki do Waszyngtonu, co też czynił niemal co tydzień. Nora szybko wyłapała zmianę w zachowaniu Aleksa i więcej już nie znajdował w torbie całkiem przypadkowo płaczących się tam studolarowych papierków.

Przywykł do samolotów, a i w United zaczęto go rozpoznawać. Pewnego razu główna stewardessa zaproponowała mu, by skorzystał z nowego programu Frequent Flyer, który wówczas był nowością. Przy pańskiej pracy, *sir*, to znaczy przy tak częstych przelotach z wybrzeża na wybrzeże, bez trudu zbierze pan dostateczną liczbę kilometrów, by uzyskać bezpłatny przelot do Australii i Oceanii. Był mile zaskoczony: nigdy nie myślałem, że ta „praca” przyniesie mi jakiegokolwiek korzyści. Stewardessa, choć nie zrozumiała, o co chodzi, roześmiała się skwapliwie. Śmiać się z niezrozumiałych żartów - oto jeszcze jedna przyjemna cecha Amerykanów.

Czas w podróży już mu się nie dłużył, to znaczy - zgodnie ze swym chytrym przyzwyczajeniem, by mącić klientom w głowie - postanowił, że więcej mu się nie będzie dłużyć. Kiedyś całe pięć godzin do Waszyngtonu zeszło mu na mamrotaniu pod nosem dwunastozwrotkowego wiersza. Najczęściej jednak niczego nie mamrotał, a tylko z każdą

godziną napelniał się coraz większym żarem przed czekającym go spotkaniem. Nawet fotel w samolocie wyzwał pierwsze fale tego żaru. Zwykle były to ostatnie w danym dniu rejsy i atmosfera opustoszałych lotnisk kojarzyła mu się z niemal zapomnianym już doświadczeniem florenckiego romantyzmu. Tak więc, drodzy państwo, jeśli wam się to jeszcze nie znudziło, macie jeszcze jeden szkic do portretu naszego poszukiwacza *dolce stil nuovo*. W Moskwie w „stosownej instytucji” jego teczki wypełniają się donosami, kagiebowscy pisarze wyszukują w swoich utworach miejsca, gdzie mogliby jeszcze raz przyłożyć „sprzedawcykowi na usługach zachodniego wywiadu”, a on wałęsa się w eleganckich szmatach po najdłuższym z korytarzy lotniska obok zamkniętych już kiosków z upominkami i jeszcze czynnych, ale już prawie pustych snack barów z migoczącymi ekranami, na których nie cichnie typowa dla lat osiemdziesiątych dysputa na temat życia seksualnego Amerykanów, wlecze się ze swoją torbą na ramieniu, ni to młody, ni to staruszek, trochę Amerykanin, a trochę nie zanadto.

Nalegał, by Nora nie wyjeżdżała po niego na lotnisko za każdym razem, gdy przylatuje, ona jednak się sprzeciwiała. Chcesz pozbawić mnie największej przyjemności, moja kochana małpo! To takie ważne dla mnie, ten moment, kiedy wyluskujesz się z bezosobowego tłumu, pierwsze spotkanie oczu i to uczucie natychmiastowej kapitulacji, wiesz, co mam na myśli. On się upierał. Po co masz się wlec za każdym razem na lotnisko? Siedź sobie w fotelu ze swoim Campari & Haydn i czekaj, dopóki nie ukaże ci się przed oczami taki jeden błękitnooki Alex-Małpa. Było w tym naleganiu coś z masochizmu. Czasem wydawało mu się, że marzy, by nakryć ją na zdradzie. Zdawał sobie sprawę, rzecz jasna, że ona go kocha, i to coraz bardziej, w miarę jak ich więź stawała się coraz bliższa i głębsza, a mimo to podświadomie nie mógł jakoś uwierzyć, że taka kobieta jak Nora może przeżyć choćby jeden dzień, by nie stać się celem męskiej agresji. Co jak co, ale jej wrażliwość była mu dobrze znana, i łatwo mógł sobie wyobrazić jej „natychmiastowe kapitulacje” wobec tłumu jeśli już nie małp, to ludzi z Cro-Magnon, wszystkich tych nieprzeliczonych waszyngtońskich *singles* - prawników, polityków, wojskowych, szpiegów i dyplomatów. Ogólnie wiadomo, że pomimo liczebnej przewagi kobiet nad mężczyznami Dystrykt Kolumbia cierpi na brak kobiet urodziwych, tak więc w tych warunkach Mrs Mansour, dama bez przesądów, obdarzona zadziwiającą zdolnością wywoływania nawet na odległość magicznego żaru w jądrach mężczyzny, staje się marzeniem całego miasta.

Na początku osiemdziesiątego czwartego roku wyprowadził się w końcu z hotelu Cadillac, żegnany gorącymi pocałunkami tamtejszych dziewcząt z grupy Senior Jewish Citizens

i poklepywaniem po ramieniu ze strony chłopaków, którzy, dobiegając dziewięćdziesiątki, od rana do nocy dyskutowali na ganku noclegowni na temat wahań rynku giełdowego. Bernadetta i Mel O'Massey, który stał się jednym z wpływowych liderów w dziedzinie nieruchomości w rejonie Santa Monica i Venice, znaleźli mu pierwszorzędne studio niedaleko Marina del Rey. Znakomite miejsce dla naszego Ławskiego, zgadzali się wszyscy bywalcy Pierwszego Dna. Tu będzie mógł jak należy zajmować się systemem Stanisławskiego.

Obszerny taras mieszkania wisiał wprost nad promenadą, za którą, jak wszędzie w tej strefie, rozciągała się plaża o szerokości dwóch boisk futbolowych, za plażą zaś jeszcze jedna przestrzeń, znacznie bardziej rozległa, oblegająca wodnym oddechem połowę kuli ziemskiej, stworzona przez Pana nie wiadomo po co, chyba że po to, byśmy się nią nieustannie zachwycali.

Aleksander w żaden sposób nie mógł przywyknąć do nowego miejsca. Za każdym razem, gdy przestępował próg i widział za ogromnym oknem srebro czy fiolet oceanu, myślał: ziszczony sen idioty, w końcu mieszkasz zgodnie z odwiecznymi chorymi radzieckimi wyobrażeniami o życiu za granicą. Jakie to wszystko proste, wystarczy przyłączyć się do mafii i od razu życie zwraca się ku tobie przyrumienioną stroną, morski ozon wywiewa miazmaty mrocznej podświadomości; człowiek zrodzony jest do szczęścia jak ptak do lotu (Szołochow? Górki?), jak rekin do pływania, jak smok do ziania ogniem. W gruncie rzeczy to samo proponowano mu w Rosji, kiedy to towarzysz Sitnyj ze swymi generałami przy wódeczce i wędzonym łososiu sugerowali, by podwyższyć patriotyczną tonację Błaznów, wzmocnić nasz niepowtarzalny, typowo rosyjski element, uderzyć w tradycyjnych wrogów Rosji - kupców, popów, obszarników. Istota rzeczy jest ta sama: zostań członkiem bandy, a wszystko będzie w porządku.

Tu, w tym kraju, istnieje przynajmniej alternatywa dla totalitarnego monstrum: banda zabawnych oszustów. Być może, człowiek nie jest w stanie wyleźć z gówna bez jakiejś małej oszukańczej alternatywy. Rozsuń wszystkie te szklane drzwi i oddychaj - teraz to twoje miejsce.

Oprócz pokoju zasadniczego w studiu był tak zwany *loft*, na który prowadziły spiralne schodki. Tam urządził sobie leże, dokładnie pod tak zwanym *skylight*, czyli okienkiem w dachu. W oknie tym często siadywała mewa z dominopodobnym ogonem. Był przekonany, że to ta sama: stworzenie najwyraźniej do niego przywykło i przyleciało w ślad za nim.

Patrząc z tego *lojju*, czy, jak mówi się w Rosji, z antresoli, za każdym razem zdumiewał się rozległością swojej przestrzeni mieszkalnej. Można by tu urządzić teatr dla kilkudziesięciu widzów. Scenę dałoby się pogłębić ze względu na taras. Na razie kupił i postawił na tarasie

parasol z napisem „Stolichnaya”. Jeszcze pół roku przestępczej działalności i będzie można zorganizować pianino, i to z elektronicznie zaprogramowaną klawiaturą, na której zapisze muzykę do spektaklu *Narkotykowy nalot*. Życie, jak zawsze, wesprze sztukę. Łatwo tu będzie policjantom przeprowadzić rewizję: kątownik nie zawala żaden chłam. Nadmorskie studio wielkiego artysty powinno być przesycone karmą oceanu. Trzeba będzie mimo wszystko spakować walizkę na wypadek aresztu. Ciekawe, czy Jasza Korbach miał przygotowaną taką walizeczkę? Pomysł ucieczki z pewnością nigdy nie przychodził mu do głowy - jak można uciec od swoich własnych organów? - ale na to, że zostanie zaaresztowany, musiał być gotów, jak wszyscy radzieccy ludzie w tamtych czasach.

Na razie wypadało rozkoszować się nowym życiem, no więc się rozkoszował. Skrócił nawet wizyty w Pierwszym Dnie. Czasem siedział na tarasie, śledząc bezsensowne przemieszczanie się jachtów. Wielkie statki jakoś nigdy nie pojawiały się w polu widzenia, za to z mocą wzbijały się w górę i rozplywały w niebiosach wielkie jumbo jęty biorące kurs na Japonię, Hongkong czy Sydney. Jednostajnie bulgotał pod tarasem dwustronny ruch turystów. Czasem bulgot wzbijał się w górę fontanną śmiechu. Z małego magnetofonu u jego stóp nieustannie sączyła się muzyka baroku. Wszystkie te klawesyny, skrzypce i wiole Vivaldiego, wszystkie jego dramatyczne wzloty - jakby zaczynał nagle trzepotać w porywie czegoś przenikliwego i wymykającego się, jakby wchodził ktoś w trójkątnym weneckim kapeluszu i, uchylając maski, anonsował: nie zawsze tak będzie, będzie jakoś inaczej! Jak dziewiętnasty wiek zdołał przeżyć bez Vivaldiego? Cóż to za głupia retoryka, Korbach? To Ezra Pound odkrył Vivaldiego dla wieku dwudziestego i został propagandowym spikerem w radiu Mussoliniego.

Trzeba będzie pogadać z Norą o muzyce starożytnych. Co tam znajdowali w wykopaliskach, jakie instrumenty? Czy Grecy i Rzymianie mieli zapis nutowy? Trudno sobie wyobrazić, by przy tak kolosalnej sieci teatrów nie było u nich zawodowych muzyków. Jeśli kiedykolwiek wystawie *Promieniowanie Beatrycze*, w teatrze, a jeszcze lepiej w kinie, będzie tam rozmowa o muzyce starożytności. Poeci nowego słodkiego stylu byli potomkami trubadurów i silnie wspierali się na kulturze świata antycznego. Po tysiącu lat rozkładu klasycy mimo wszystko się odrodzili!

Wyobraźmy sobie taki epizod: Guido Cavalcanti, Dante i da Pistoia stoją obok beczki z winem. Pojawia się młodzieniec, powiedzmy, młody Giotto. Przyniósł niezwykle miedziany flet, który odkopał w ruinach antycznego forum w Fiesole. To flet starożytnych, mówi Guido. Niestety, nigdy się nie dowiemy, jaką grali muzykę. Dante bierze do ust wyczyszczony witrionem

instrument, wydobywają się z niego jakieś schryple kwakania i nagle zaczyna wykonywać koncert Milesa Davisa.

Tu Aleksander złapał się na tym, że po raz pierwszy od czasu emigracji pomyślał o *Promieniowaniu Beatrycze*, w ogóle po raz pierwszy zaczął myśleć twórczo na jawie. To nadoceaniczne studio najwyraźniej wywiera na niego dobroczynny wpływ. Tak mu było dobrze na nowym miejscu, że po raz pierwszy przegapił cotygodniowy lot do Waszyngtonu. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, aż go zatrzęsło z zazdrości. Nie ma najmniejszych wątpliwości, jego nieobecność zostanie zrekompensowana obecnością kogoś innego. Rzucił się na swój *bft*, złapał za telefon; miał teraz własny telefon, rzecz jasna, i nie musiał wlec się na plażę z woreczkiem ćwierćdolarówek za pazuchą.

- Nic strasznego się nie stało - powiedział jej głos, taki miękki, taki miły. - Trudno latać co tydzień. Masz przecież mnóstwo spraw do załatwienia w tym swoim frywolnym Venice. Teraz moja kolej, żeby wpaść bez uprzedzenia. - Powiedziawszy to, przestraszyła się, że zdradziła się ze swoją własną zazdrością, i próbowała zatuszować ją beztróskim śmiechem. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że i ona może być zazdrosna.

- Kochasz mnie, *babe*?

- Jeszcze bardziej niż dawniej - wyszeptła. Sam jej głos doprowadzał go do szaleństwa.

- Czy mogę się rozpiąć?

- Proszę bardzo, rozepnij się.

- Co teraz zrobisz, najdroższa?

- Na początek lekki powiew atlantyckiej bryzy, żeby uspokoić pirata Pacyfiku w czerwonym kapeluszu.

- A potem, kotku?

- Wiesz, co będzie potem.

- Nie, powiedz!

Powiedziała i, lekko zdyszana, zażądała, by i on coś powiedział, i to, jeśli możliwe, w języku maksymalnie zbliżonym do języka sowieckich baraków. Nie dał się prosić, po czym wszystkie te brudy rozplynęły się w powietrzu, pozostawiając miejsce wyłącznie bezładnym miłosnym pomrukiwaniom po obu stronach satelitarnego połączenia.  
*I-love-you-baby-I-love-you-so-much-so-so-much-much-much-babe-babe-babe-love-love-love...*

Czy czas zajmował się wtedy swoją zwykłą grą z rodzajem ludzkim, to znaczy przeskakiwaniem

momentów z przyszłości w przeszłość, pozostało dla nich niewiadomą, gdyż namiętność stawała się synonimem terażniejszości.

- Co robisz ze mną teraz, Artemido? - zawołał na koniec *I'm just trying to pussyfy your ironclad battery-ram, Hermes!* - zawołała w odpowiedzi.

I kochankowie zaczęli wydawać okrzyki, zdolne naruszyć majestat wszystkich obiektów krążących w danej chwili wokół Ziemi. Pff, *waw* - szepnęła po tej eksplozji Nora i odłożyła słuchawkę. „Wyobrażam sobie rachunek od Pacific Bell” - mruknął uspokojony AJ i zasnął.

Kiedy spotkali się następnym razem w Waszyngtonie, Nora spytała, odwracając wzrok:

- Nie zdaje ci się, że w pewnym sensie wydrwiliśmy czas i przestrzeń?

- Zostaw w spokoju czas - przywołał ją łagodnie do porządku. - Ale przestrzeń, kto wie, może rzeczywiście dostała po nosie.

Minęło jeszcze parę tygodni w zwykłym rytmie spotkań i rozstań. Czasem Aleksander przylatywał w dniu, kiedy nie miała zajęć na uczelni, i włóczył się wokół jej domu, udając, że po prostu spaceruje, nie przyznając się sam przed sobą do szpiegostwa. Raz widział, jak z domu wyskoczył Omar Mansour, za nim zaś wyniesiono walizkę. Młodzian wskoczył do limuzyny, walizka z rumorem wylądowała w bagażniku i natychmiast odjechali.

Z wynajętego forda po drugiej stronie ulicy Aleksander nieustannie obserwował wejście. Teraz wszystko się wyda. Mąż pojechał w delegację, kochanek o trzy tysiące mil stąd, zaraz zjawi się ten trzeci. Ta podła niedorzeczność nijak nie chciała mu wyjść z głowy. Dokładnie za godzinę podjechał jaguarem jakiś *yuppie* i nie odrywając ucha od telefonu komórkowego, wszedł do środka. No, teraz ją nakryję, o ile, rzecz jasna, portier nie przeszkodzi. Portierzy, te sukinsyny, zauszniczy bogatych dziwek, stale próbują zbić człowieka z tropu, osłonić kurewstwo parawanem uniżoności. Ale nie zawsze im się udaje, nie zawsze...

Zastał Norę zupełnie samą, przy zawalonym książkami biurku, z włączonym komputerem; na ukochanym nosie, niczym pasikonik, tkwiły okulary.

Dlaczego zaczął się pojawiać w środku tygodnia? Z uwagą wpatrywała się w twarz ukochanego i wychwytywała w niej jakiś fałsz. Niech nie opowiada głupot o sprawach związanych z teatrem; wszyscy w rodzinie wiedzą o Colonial Parking. Skąd bierze pieniądze na latanie? Może Stanley mu daje? Przyjaźnią się przecież, nieustannie do siebie piszą na temat zgniłych korbachowskich korzeni i sękatych gałęzi. Dlaczego zaczął się pojawiać w środku tygodnia? A może ma tam jakąś babę, której wygodniej jest spotykać się z nim w weekendy? Cóż to, inne kobiety miałyby nie czuć w nim tego niesamowitego seksualnego *dñvei* Dlaczego miałabym uważać, że te suki, które spotyka na odczytach i warsztatach, bez względu na to, że te odczyty są mitem, będą liczyć się z drobnym faktem, że należy już do innej kobiety? Czy mogę zakładać, że nigdy go nie odwiedzają żadne nimfy ani nimfetki, boginie i heroiny z tej ich niby pruderyjnej, a przecież równocześnie niesamowicie wyuzdanej rosyjskiej literatury? Zapomniałam czy co, że w tym *fucking Venice* wystarczy gwizdnąć z tarasu i *voilà* - masz w łóżku każde z tych cholernych „przeobrażeń”! No, niech ja zobaczę w jego łóżku którąś z tych dziwek, zamorduję na miejscu - bang! bang! bang! Pamiętam jeszcze trockistowski obóz

treningowy w Ocziczornii. Boże, co za idiotyczne myśli przychodzą człowiekowi do głowy...

Któregoś dnia, pełnego podobnych myśli, śmignęła na lotnisko i złapała samolot z Genewy przez Waszyngton do LA. Próbowwała naturalnie oszukać siebie samą: trzeba wyrwać się choć na trzy dni z uczelnianego kołowrotu, no i matkę odwiedzić, a przy okazji zobaczyć na własne oczy, jak mieszka Sasza, pogadać z nim poważnie o wszystkim, pokazać mu wreszcie, że miłość polega nie tylko na ciupciani. Nie jest, rzecz jasna, żadną Beatrycze, ale wszystkie te olśnienia, promieniowania i błyskawice, motory sztuki, i jej nie są obce. Jeśli on uważa, że w archeologii nie ma poezji czy teatru, jest po prostu osłem. Tak sobie mówiła, a równocześnie potwór zazdrości rozciągał się na skrzydle samolotu i wpatrywał w nią żółtym nieruchomym okiem. Pułapka czyhała: miłość i zazdrość, czyż to nie siostry, syjamskie bliźnięta, które duszą się nawzajem w bezsensownych splotach?

W Los Angeles zajmowała się krzątaniem po matczynym domu, kontaktami z „kręgiem przyjaciół”, wśród których niczym chiński bożek zasiadał tego dnia Marlon Brando, a także pływaniem w basenie. Czekala, aż zapadnie noc. Znacie wy kalifornijską noc? - myślała nerwowo w dziwnie rosyjskim stylu. Nie, nie znacie kalifornijskiej nocy! Dawniej ta noc płonęła, a ja tańczyłam w niej jak salamandra; dziś wypala mi wszystko w środku, choć nie widać śladu ognia.

Ubieramy się na czarno, w ciuchy ze starych zapasów. W ogóle nie utylam! Nie żałować makijażu! Czapka na bakier, torba na ramieniu, do torby wrzucimy jeden z licznych rewolwerów mamusi - Rita O'Neill, honorowy członek amerykańskiego stowarzyszenia prywatnych posiadaczy broni! - tak sobie, dla zabawy, rzecz jasna, nic poważnego, nie po to przecież, żeby zabijać jakąś Brunhildę o tłustym zadzie. Po prostu taki *fun*, mała randka z łysym chłopczykiem - z pistolecikiem w torebce.

Podjechała na promenadę około pierwszej w nocy. Przeklęte Venice jeszcze nie spało. Po asfaltowym jeziorze wśród piasków krążyli łyżworolkowcy. Wśród nich zwracała uwagę potężna baba z rozwiewającym się niczym chwost Bucefała końskim ogonem i rękami najwyraźniej pożyczonymi od Wenus z Milo. Tuż za nią, naśladowując każdy jej ruch, jeździło czterech facetów różnego kalibru, w tym miniaturowy Wietnamczyk z wąsikami jak u myszki. No cóż, *mestro* Korbach, zdaje się, że ma pan tu miłe towarzystwo.

A to jego dom. Trzy piętra z oszklonymi, wiszącymi nad promenadą tarasami, zwróconymi ku morzu. Trudno o lepsze miejsce dla kurewstwa. Dom był pogrążony w ciemności. A więc

zgasili już światło i oddają się miłosnej akrobatyce pod księżycem. Nie wiadomo dlaczego uważała, że partnerką Saszy jest ta właśnie krzepka dama na rolkach, jeszcze widoczna w oddali ze swoją świtą. Do drzwi podszedł solidnie zbudowany facet w podkoszulku bez rękawów. Ramiona pokryte blond zarostem. Obejrzał się na Norę, stojącą pod latarnią w melodramatycznym stroju.

- Pójdziemy do mnie, malutka?

- Ja idę pod ósemkę - mruknęła. - Klucz mi się zgiął, nie wchodzi do środka.

- Kiepsko, jak nie wchodzi - zgodził się mężczyzna. - No to idź! Nie chcesz do mnie, to idź, do kogo chcesz.

Ten nieszczęśnik będzie mimowolnym współuczestnikiem przestępstwa. Jak po mnie przyjdą *cops*, od razu im powiem, kto mnie wpuścił, Mr Ramionka-Blond! Weszła po schodach ku drzwiom z numerem 8. Trąciła je kolanem. Otworzyły się. Ten dom po prostu zmusza, żeby popełnić morderstwo w afekcie!

Dwupoziomowy pokój wypełniało światło księżyca. Szklane drzwi na taras były otwarte. Słysząc było okrzyki ze *skating ring* i głuchy ryk przyływu. W kącie na podłodze świecił milczący telewizor. Na ekranie widać było sztuczne organy płciowe. Czyżby już spał, trzymając kogoś w objęciach, tak samo, jak śpi ze mną *apres*? Zdjęła pantofle i po cichutku weszła spiralnymi schodkami na *loft*. Znajdowało się tam ogromne łóżko, a raczej materac *king size*, niewinnie zasłany czystą pościelą. Obok lampy leżała jakaś rosyjska księga, dwie pary okularów, mój najdroższy, na podłodze - nieduży magnetofon i trzy kasety: Vivaldi, Bach i *Pulcinella* Strawińskiego, czyli, jak on go nazywa, Stravie. O mój ukochany, wcielenie czystości i intelektualizmu!

Ale gdzie on się szlaja o drugiej w nocy? O rany, gdzie - no, siedzi w jakimś *jazz-cafe*, albo ma dyżur na swoim parkingu, albo może jest w jednym z tych swoich mitycznych teatrzyków. Poczekam tu na niego. Zobaczymy, o której godzinie przyjdzie. I z kim. Po prostu zwykła ciekawość: kiedy i z kim? Nie będzie żadnych dramatów, zwykła niespodzianka. A ten głupi rewolwer zaraz cisnę nad promenadą w piach. Na wszelki wypadek wyjmę z niego wszystkie kulki, bo jeszcze jakiś facet gotów odstrzelić sobie łeb w pijanym widzie. Albo z zazdrości. Potworne uczucie, *old girl*, potworne uczucie. Dawniej myślał człowiek, że przypomina ogień albo muzykę Bizeta, ale teraz, kiedy sam go doświadczył, widzi, że jeśli to nawet ogień, to ogień ciemności. Nie ma co oczekiwać jakiegokolwiek apoteozy. Płonie czarna, tłusta ropa, wszystko

oblepia i unicestwia.

Z tego typu myślami przelatującymi przez głowę Nora wyszła na balkon i od razu zobaczyła spoczywającego tam na leżaku Korbacha, Aleksandra Jakowlewicza. Przedtem skrywał go skraj zasłony, teraz zaś ukazał się jej wraz z chudymi nogami i proletariackim brzuchem. A także z wyrazem małego cierpienia na twarzy. A także z plamką księżycowego blasku na wypolerowanym niby karoseria samochodowa czole. Ujrawszy ją, drgnął, głowa odgięła się do tyłu i ześliznęła poza krawędź leżaka.

Zapomniawszy o swoich cierpieniach, rzuciła się ku niemu. Wszystko w mig stało się jasne. Siedział tu samotnie i myślał o niej, bo o nikim innym o tej godzinie myśleć nie jest w stanie. Myślał: czy przypadkiem nie leży teraz przy kimś innym, czy nie kładzie mu głowy na pierś tak samo jak jemu, z tym samym zaufaniem, z tą samą wdzięcznością za radość, jakiej zaznała? To nawet nie były myśli, a po prostu powolna konwulsja wszystkich komórek ciała. I nagle ta konwulsja zmaterializowała się w postaci jej ciała, które wyłoniło się w księżycowym świetle z ciemności pokoju. Tak jakby sam ją urodził w konwulsjach.

- Tak przecież można się okocić, ty idiotko - szeptał, obejmując ją, cały drżący.

Idiotka. Te rosyjskie końcówki potrafią nieraz do tego stopnia zmienić odcień znaczeniowy słowa, że wręcz nie można ich rozpoznać. Mroczny idiota zazdrości z morderczymi zamysłami w torbie zmienia się w lekką, frywolną, zakochaną jak kotka wariatkę. *Sumasbrodkę*. S-uma-sbrod-ka. Kiedy leżeli wyciągnięci we dwoje na leżaku, a później, gdy się załamał, tarzali po podłodze tarasu, objaśnił jej znaczenie tego słowa, stworzonego z rzeczownika, czasownika, przyimka i przyrostka: *out-of-mind-ka*, czyli plus minus to samo: idiotka.

Od tej nocy wiele się zmieniło w ich wzajemnych stosunkach. Zrozumieli, że ich miłość jest zagrożona i że źródłem tego zagrożenia jest sama miłość. Jeśli przyjąć, że pragnienie miłości to poszukiwanie się dwóch połówek w nieskończonym chaosie dusz i ciał, aby połączyć się w jakąś pochodzącą sprzed Adama i Ewy całość - to przypadek Aleksa i Nory był, być może, bliski ideału, rodzajem uczucia łączącego Izraelitę Samsona i Filistynkę Dalilę. Niestety, na każdą miłość czyha w pobliżu zdrada i przytoczony przykład biblijny nie jest wyjątkiem. Zazdrość była dla Aleksa i Nory synonimem zdrady, to zbliżała się do nich, to oddalała, niczym filistyńskie wojsko, wichry chaosu.

Spróbujmy włączyć coś w rodzaju odkurzacza przeciwko zazdrości, *okay*} Spowiadajmy się sobie nawzajem, im częściej, tym lepiej. Ja pierwsza, dobrze? Od czasu naszego pierwszego

spotkania z nikim nie spałam oprócz ciebie. I ja z nikim oprócz ciebie. I o nikim oprócz ciebie nie mogę nawet pomyśleć. I ja nie jestem w stanie nawet popatrzeć na inną. Oboje byli odrobinę - głupstwo, bez znaczenia - nieszczerzy w tych wyznaniach, jako że oboje stanęli wobec potrzeby zakończenia w taki czy inny sposób dotychczasowych układów. Po cichu starali się obniżyć nieco temperaturę uczucia, sprowadzić czasem demoniczną pasję na bukoliczne pastwiska przyjaźni, przywiązania, wzajemnej troski o warunki życia partnera, dobrego humoru, plus odrobina pieprzu - tego, co Francuzi nazywają *les atnis cotntne cochons*.

Pewnego razu Nora wyjawiała Aleksowi swój „mały sekret”, doprowadzając go do stanu całkowitego szoku. Okazało się, że pojechała na trzy dni do Moskwy, gdzie potajemnie odwiedziła jego matkę, a także spotkała się z licznymi jego przyjaciółmi, wśród których było wiele mniej lub bardziej atrakcyjnych kobiet; na pewno kiedyś tam z nimi spałeś - no, przyznaj się! przyznaj się, ty priapski potworze! Wszyscy ci ludzie mówili o tobie z miłością i ogromnym szacunkiem dla twojego talentu. Błazny, niestety, mimo wszystko zlikwidowano, ale co jakiś czas dają podziemne spektakle to w prywatnych mieszkaniach, to w opuszczonych magazynach, a raz nawet w trupiarni, gdzie jeden z nich pracuje jako dozorca. Słyszałam mnóstwo kaset z twoimi piosenkami i nawet nad nimi płakałam, jak płaksiwa, starzejąca się amerykańska dziwka. Puścili mi dwie taśmy - fatalnej zresztą jakości - z twoimi spektaklami, *Spartak-Dynamo* i *Książka telefoniczna*. Wstrząsająca rzecz! Pękałam z dumy, że taki geniusz wybrał mnie na swoją wierną nałożnicę! Mówiąc krótko, wujku Sasza, przez trzy dni dowiedziałam się o towarzyszu Korbachu tyle, ile nie wyciągnęłabym ci z gardła przez trzy lata. A poza tym, udało mi się wywieźć rękopis *Filozofii wspólnej sprawy*, wyobrażasz sobie? Mam zamiar wynająć jednego rosyjskiego pisarza, Wasilij ma na imię, mieszka w Georgetown, żeby zrobił przekład dla wydawcy amerykańskiego.

Od tego dnia wszystko było inaczej. Nora postanowiła zatroszczyć się o ukochanego. Uciekinier Danny Barthelme i libański rekin finansowy Omar Mansour mogliby opowiedzieć o podobnych okresach w swoich związkach z tą kobietą, no, ale niech sobie pozostaną z tym trybem warunkowym. Teraz już Nora przemierzała w weekendy kraj od krańca do krańca i z lotniska od razu mknęła nie do Beverly Hills, a do Venice, znacznie bliżej. Gdyby wcześniej tak się ułożyło, nie trzeba by było wstępować do gangu, myślał od czasu do czasu nasz dealer narkotyków. Na razie nie zdradził się jeszcze z tą tajemnicą przed swoją zapobiegliwą ukochaną. Trzeba choć trochę zostawić na później. Lepiej jak dowie się o tych sprawkach, kiedy już będę

w więzieniu.

Czytelnik zauważył, być może, że staramy się nie grać mu na nerwach za pomocą rozmaitych tanich przemilczeń, musimy mu jednak uprzytomnić, że nie wszystkie tajemnice Nory zostały wyjawione nawet w owym „okresie zaufania”. Przyczyną nie jest bynajmniej chęć pobudzenia ciekawości, a po prostu zasady kompozycji, i Nora sama znakomicie to rozumie. Wynika z tego, że czasem kompozycja okazuje się ważniejsza niż czyste sumienie, ale co na to poradzić. Kto tego nie rozumie, niech nie czyta powieści.

W tym momencie zasady kompozycji pozwalają nam zdradzić pewien niewielki sekret Nory, którego ona wciąż jakoś nie decyduje się ujawnić ukochanemu. Rzecz w tym, że dobiegał końca czas jej zajęć na uczelni, a zbliżał się termin tego, co archeologowie nazywają wykopkami. Za parę miesięcy Sasza, żeby dostać się do swojej drżącej połówki, będzie musiał pięciokrotnie wydłużyć trasę lotu.

Na razie urządzała mu studio, kupowała sprzęt muzyczny oraz wideo, napelniała lodówkę, wyrzucała butelki taniego sznapsa i robiła wykłady na temat cywilizowanej konsumpcji wysokogatunkowych win, która prowadzi nie do marazmu, a do wyszlachetnienia smaku - tak jakby sama nie szlajała się nigdy po knajpach Bejrutu i Starej Jaffy.

Podczas jednego z przyjazdów zdecydowała: Sasza musi w końcu poznać mamę. No, Saszka, będziemy pojechać do Ritka! Nie opanowawszy jeszcze rosyjskiego, czuła już jednak smak „ka”, tego dziwnego dodatku do rdzenia słowa. Norka zabrać Saszka do Ritka. Jak to? Tak to, *s'ti vous plait!* Uznała, że lepiej nie zapraszać go do domu mamuśki: pomyśli, że chcę go wprowadzić w „koła”. Głupia nieamerykańska duma dręczy ukochanego, aczkolwiek rzeczywiście miała chęć wprowadzić go w „koła”. Wystarczy, że Rita O'Neill przekręci do kogoś z „kół” i mogą podpisać z nim umowę na scenariusz, a potem, zobaczysz, i do realizacji filmu zaprosić. Żeby tylko pozbył się swoich kompleksów!

Słuchaj, a gdybyśmy tak pojechali dziś wieczorem do moich znajomych ze szkoły? Nie będzie żadnych „tłustych kotów”, sami swoi, bez pretensji, fanatycy plażowej siatkówki. Co włożyć? Nie rozśmieszaj mnie, Saszka! Pojedziemy jak stoisz, w tej marynareczce, której zawdzięczasz, że zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia. „Towar nie do zdarcia” - powiedział Aleksander i pojechali.

Nora nie kłamała, jej szkolni koledzy naprawdę byli fanatykami plażowej siatkówki. Nie wspomniała po prostu, że od czasu, gdy szesnaście lat temu Jeff Crappiwa skończył szkołę, zrobił zawrotną karierę dokładnie w tych samych „kołach”, którymi tak gardził jeden z pracowników parkingu w Westwood Village. Jeff poszedł śladem ojca, wpływowego producenta, wyprzedzając starszuka o kilka długości. Na początku lat osiemdziesiątych udało mu się uzyskać rekordowy budżet rządu 50 milionów dolarów dla filmu o katastrofie kosmicznej, w której wyniku Kalifornia staje się oddzielną planetą Układu Słonecznego. Film też był kosmiczną katastrofą, Hollywood poniósł kolosalne straty, ale młody Crappiwa uzyskał niezachwianą reputację tego, komu przyznano największy budżet.

W gęstniejącym mroku podjechali do jednego z domów na plaży w Malibu. Aleksander nie zauważył ani szoferów w liberiach, stojących obok rolls royce'ów, ani barczystych ochroniarzy, ani też snujących się tu i ówdzie ludzi jego własnej profesji, parkingowych waletów w liliowych kamizelkach. Umocniwszy podbródek w pozycji niezależności, podążał w ślad za jedwabną suknią Nory, która przypominała kwitnący ogród na silnym wietrze. Otworzyły się drzwi, dały się słyszeć okrzyki: „Nora! Nora Korbach! Młoda jak zawsze!”

Teraz zobaczył, że za skromną fasadą kryje się świat tego, co zwiemy zbytkiem. Nie całkiem wiadomo, gdzie człowiek trafił, do mieszkania czy do ogrodu botanicznego, czy jest wewnątrz, czy na zewnątrz. Goście stali pod potężnymi palmami, ale gdzieś widać wśród palm wisiały kandelabry. Wzgórek uwieńczony abstrakcyjną rzeźbą sprawiał wrażenie pleneru, obok jednak na w pełni realnych ścianach wisiały pół - i surrealistyczne obrazy. Nad głowami zwisały owoce grejpfruta i słodkiej cytryny; ten i ów z gości zrywał je i jadł. Zagłębiwszy się nieco w główną alejkę, człowiek omal nie wpadał do okazałego zbiornika spienionej wody, który wręcz zakładał obecność krokodyla, tymczasem wystawało z niego parę roześmianych twarzy, pompatycznie kołysała się owłosiona pierś i sterczała ręka z butelką szampana. W głębi panoramy widniała piana bariera oceanicznego przyływu: tu rzeczywiście zaprzęgnięto go w służbę człowieka.

Wpadłem w pułapkę, myślał Aleksander Jakowlewicz, kiedy Norę ściskali koledzy ze szkoły. Dziewucha, zepsute dziecko, wciągnęła mnie w pułapkę. Zabrać się stąd natychmiast, zostawić kretynkę? Karki odwróconych do niego tyłem osób wydały mu się tłumem Persów zbierających się pod murami Jeruzalem. W końcu Nora podeszła do niego z gospodarzami domu. Całkiem młoda jeszcze parka, choć, rzecz jasna, z dziesięć lat starsza niż ich klasowa koleżanka. Facet rzeczywiście wygląda jak fanatyk siatkówki na plaży: ostrzyżony jak Karch Kiraly, bohater niedawnej Olimpiady, ubrany w idealnie kalifornijskim stylu, koszulka tenisowa, spłowiałe dzinsy, sneakersy na kauczuku, dokładnie takie, na jakie mam ochotę, ale jakoś nigdzie nie mogę znaleźć. Dziewczyna ciut za pulchna jak na siatkówkę, ale dobrze jej z tym. Czarna podkoszulka z symbolem rozbrojenia nuklearnego, wokół szyi sznurek koralików, szorty, białe kowbojki inkrustowane turkusami, ręczna robota, przy czym nie do pary, każdy but to oddzielna artystyczna kreacja.

- A to, kochani, mój *boyfrend* Sasza - powiedziała Nora, promieniejąc. Cały spięty, spodziewał się, że za chwilę zacznie się kampania reklamowa: geniusz, wielki reżyser, ofiara tyranii. Obeszło się jednak bez trywialności. - Jest Rosjaninem - zakończyła prezentację Nora.

Jeff i Beverly, którzy najwyraźniej nie odznaczali się zrozumiałością, serdecznie uścisnęli dłoń Rosjanina. Z pańską dziewczyną, Alex, chodziliśmy do jednej klasy. Gramercy School, przytulisko dla świrów. Pańska dziewczyna dzisiaj wygląda na najmłodszą z nas wszystkich, a wtedy wyglądała na najstarszą, ciekawe, prawda? Trzeba powiedzieć coś zabawnego w tym momencie, błysnąć dowcipem. No cóż” w tamtych czasach już uczyłem, dopiero teraz się ucę. Żartu nie rozumiał ani on sam, ani obecni, niemniej wszyscy się roześmiali. Sasza, nie zdradzaj,

proszę, naszych tajemnic. Jak pan myśli, Sasza, daleko posunie się Gorbaczow?

- Ty zapłacić mi za ten żart - powiedziała Nora do Aleksa. Najwyraźniej chciała zabłysnąć swoim rosyjskim.

- A ty mnie za ten wieczór - odparł wujaszek.

O co ci chodzi? - Udawała, że nie zauważa przechadzających się pod palmami Supermana z *Superwoman*, dwóch Jamesów Bondów i Kochanicy Francuza, Kobiety-Kota i Stworka E.T., a także paru innych postaci ze świata ułudy, wśród których wyróżniał się muskulaturą oraz sympatycznym teutońskim uśmiechem nowy idol Ameryki, Schwarzenegger, którego nazwisko tak miłutko tłumaczy się na rosyjski: Czernoczernow.

Jeff Crappiwa odznaczał się niezwykle cichym, inteligentnie brzmiącym głosem. I tym głosem wydebia u hollywoodzkich decydentów rekordowe budżety! Tym właśnie głosem na serio interesował się perspektywami Gorbaczowa. W którą stronę pójdzie?

- Na Chiny - wyraził bez namysłu opinię nasz bohater.

- W jakim sensie? - zdziwił się gospodarz.

- Na Amerykę nie starczy mu siły, więc pójdzie na Chiny - zmroził go Alex.

- Skąd pan tak znakomicie zna angielski? - spytał Crappiwa.

- Od Nory - odparł AJ, tym razem niemal bez błazeństwa.

W tym momencie wsunęła mu pod ramię subtelność, dzięki której wybacza się wszystko: swą cudownej delikatności dłoń. I po co trzy martini z rzędu, słodkie serduszko? Zdaje mi się, że to nie jest karalne, miódki? Dopóki jeszcze możesz utrzymać się na nogach, chodź, poznasz moją mamę.

Bez sensu, powiedział, zdaje się, Hemingway po obejrzeniu własnego filmu z Ingrid Bergman i poszedł się urżnąć. Powojenny blues. Gwiazdna sól, księżycowa jajecznicza. W cytrynowo-grejpfrutowej alejce stoją Rita O'Neill i Gregory Peck z koktajlami w rękach. Mówiąc obiektywnie, alejka kończyła się toaletą, z której coraz to wychodzili mężczyźni, ten szczególnie jednak możemy spokojnie pominąć. Nora prowadzi Aleksandra ku żywym legendom. *Mom*, to właśnie człowiek, o którym ci mówiłam. Człowiek, o którym mówiła, trzęsie się z zachwyty. Gregory Peck jest stary i piękny. Rita, pomimo sześćdziesiątki, w półmroku księżycowo-cytrynowej alejki (prowadzącej gdzie - do toalety czy do sceny z niezapomnianych *Orłów Gibraltaru*!) wygląda jak zawsze młodo i wzruszająco, rzecz jasna, po prostu cud nad cudy: zgrabna, wydekoltowana.

Zanim Nora i „ten człowiek” podeszli, Rita i Gregory rozmawiali o propozycji, którą ona właśnie otrzymała z Paramount: rola starej zakonnicy w ogarniętej walką z komunizmem Polsce. Miała zamiar odmówić. Nie chcę grać starych matek przełożonych, Greg! Peck jako jedyny z kręgu przyjaciół próbował nakłonić ją do przyjęcia propozycji. W habicie będziesz wyglądać szalenie atrakcyjnie, *darling!* Zażądaj tylko, żeby zmienili nieco scenariusz. Tam jest miejsce na mocną scenę między tobą a generałem KGB. Kochali się dwadzieścia lat temu, rozumiesz? Parę dobrze wkomponowanych *flashbacków* z tobą młodą i zakochaną. To będzie powrót wielkiej Rity O’Neill!

Wyciągnęła dłoń ku dziwnemu kochankowi Norusi. Cmok-nonsens dawno wyszedł z mody, on jednak pocałował ją w rękę; ach, ci Rosjanie! „Greg, poznaj przyjaciela Nory. W Moskwie był wielkim artystą”. „Jest pan Żydem?” - spytał Peck i otrzymawszy jakąś niezrozumiałą odpowiedź na to proste, lecz ważne pytanie, natychmiast rozpląnął się w księżycowo-cytrynowym świetle, tak jak robił to tysiące razy w czasach swojej ekranowej kariery. „Widzę, że na serio się kochacie, moje dzieci” - z jawnym fałszem zaczęła Rita swoją etiudę pt. *Mądrość starszych*.

Jakby zmieniając chudego starca Pecka, podbiegł człowieczek aż nadto pokaźny, cały w ryżych plamkach. „Och, Rito, cóż za szczęście, że cię widzę, *my dean* Najwyraźniej włączyłaś się w poczet bóstw, wiecznie młoda Eos!” Trzęsąc zadkiem, zagarnął dla siebie całą przestrzeń między gwiazdą a jej rozmówcami.

Któż to taki, spytał Alex Norę w milczeniu. Wzruszyła ramionami.

- Posłuchaj, Nigel, jako poeta na pewno chętnie poznasz Aleksa. Też jest poetą, z Moskwy - mówiła Rita przez nos, zupełnie jakby grała w satyrycznej antyburżuazyjnej sztuce na moskiewskiej scenie. - Nie przejmuj się, Nigel, jego angielski jest naprawdę niezły.

- Za to mój angielski, ha-ha, nie jest szczególnie dobry, obawiam się. - Niczym wielki rozpieszczony kot ocierał się o niedużą Ritę, nie zwracając na pozostałych najmniejszej uwagi, ale wyciągając w bok rękę, by uścisnąć dłoń koledze-poecie. Aleksander nie zareagował na gest.

- A co pisze ten dupek? - spytał Norę po rosyjsku.

- Nikt nie wie, co pisze, ale jest poetą - odparła i uścisnęła rękę poety zamiast Aleksa.

Zaspokojona ręka poety powróciła w głąb jego ciała.

- No to idę, dziewczyny - rzekł Aleksander i odwrócił się, by odejść. Nora zatrzymała go:

- Gdziez to niby idziesz?

- Obserwować kołchozowe obyczaje. - Odchylił się gwałtownie w bok, niby za burtę łodzi.

Ze wszystkiego, co się tu działo, i ze wszystkich obecnych ukochana wydawała mu się w tej chwili szczególnie odrażającym wcieleniem trywialności. Chodził sobie z tym pobłażliwym uśmiechem wobec opychającego się tłumu, wyższa ponad to, gdyż dosięgła wyżyn archeologii, popatrująca na wszystko z akademickim grymasem, którego nikt w tym towarzystwie ignorantów, rzecz jasna, nawet nie rozpozna, a równocześnie tak niezręcznie próbuje przedstawić swojego kochanka, tę wyliniałą małpę o grubych wargach, z łysiną jakby gotową do charakteryzacji w hollywoodzkim atelier, w gruncie rzeczy wstydząc się, że jest z Rosjaninem, którego trzeba przedstawiać w tłumie, gdzie wszyscy się znajdują. Wściekając się na Norę i wymyślając jej w duchu coraz bardziej, sterował przez gęstniejący tłum ku miejscu, gdzie dawali jeść. Parę razy o mało nie wpadł do pieniającego się jacuzzi; albo czort go zwodzi, albo jest tu ich znacznie więcej niż jedno (jeden? jedna?). Po drodze chwycił z przepływających obok tac to martini, to szampana i podciął go do reszty.

- A wiesz, spodobał mi się twój rosyjski Korbach - powiedziała do córki Rita O'Neill. - To jeden z nas, artysta. Próżny, tak samo jak ja.

Nora z niepokojem spoglądała za Aleksandrem.

- Boję się. Zrobi tu dziś awanturę.

Rita uśmiechnęła się.

- No to co?

Nagle Aleksander dostrzegł pierwszego wartościowego człowieka w tej zbieraninie. Cassidy Reynolds! Tę twarz o szerokiej, kwadratowej szczęce zauważono w moskiewskim Domu Kina już w latach sześćdziesiątych. Znawcy natychmiast wyłapali go z tłumu strzelających z biodra kowbojów. Patrzcie, jak on chodzi, Cassidy Reynolds! Jak on chodzi, jak on milczy, ten Cassidy Reynolds! Szkoda że nie mam do głównej roli takiego Cassidy Reynoldsa, mawiali młodzi reżyserzy nowej fali, Tarkowscy i Konczałowscy. Wybrawszy kogoś na przeglądzie, wyjaśniali zazwyczaj: maksymalnie bliski Cassidy Reynoldsowi.

Sasza Korbach patrzył na tego człowieka z odległości trzech kroków. Hollywood jeszcze nie wymyślił dla niego odpowiedniego scenariusza. Odpowiedniego reżysera też dotąd nie było. Jeszcze nie *zagrał* swojej najważniejszej roli i kto wie, czy kiedykolwiek zagra... Cassidy Reynolds! Z jakiegoś powodu ten facet wydawał się radzieckim i polskim ludziom kina lat sześćdziesiątych ucieleśnieniem ideału męskości. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli z nim nie pogadam.

- Hej, Cassidy, nazywam się Sasza Korbach, jak leci?

Reynolds, z obwisłą skórą na twarzy, z żołądkiem i nerkami w stanie nieustannej drżączki, mgliście dostrzegł przed sobą nieznanego, trzymającego w ręku szklankę czegoś do bólu upragnionego, a niedostępnego. Fizjonomia, tak popularna w kołach filmowych Europy Wschodniej, dawno już zmieniła się w maskę emerytowanej gejszy; ze słynnego chodu pozostał tylko wypięty zadek, który aktor usiłował nieść z godnością, niczym japoński zbrodniarz wojenny podpisujący kapitulację na pokładzie liniowca „Missouri”.

- *Go, go* - wykrztusił i wskazał kciukiem za siebie: spadaj, człowieku!

- Ech, ty frajerze - rzekł serdecznie Korbach. - Myślisz, że kleję się do ciebie jak do znakomitości? Ja się kleję do ciebie jak do mirażu z lat młodości, jasne? Cała nasza nowa fala w Moskwie nie wiadomo czemu cię uwielbiała: Wysocki, Tarkowski... No więc widzisz, jak to było!

Reynolds nigdy o żadnej nowej fali nie słyszał, a nazwiska Wysockiego i Tarkowskiego przeleciały przez jego oszołomioną głowę niczym szmer opon na jezdni. Jediną rzeczą, która zwróciła jego uwagę, było powtarzające się słówko „kak”, które w swojej wiejskiej prostoduszności wziął za *cock*, i to wywołało słabą reakcję w teście twarzy.

- *You are cock yourself* - mruknął.

Pffff... Cholera! Korbach głośno wypuścił powietrze. A więc jeszcze jedno widmo uleciało w krainę Marlboro! Skoro jesteś w takim chujowym nastroju, Cassidy, to po co włączysz się po przyjęciach? Siedź w domu i gap się w TV!

Obszedłszy idola młodości, znowu znalazł się na krawędzi pieniącego się zbiornika. Nagle pośliznął się ze zdumienia: z jacuzzi wyłaził doskonale mu znany moskwianin, Aurelij, autor wieloodcinkowego serialu *Altaj, mój Altaj*, laureat nagrody Komsomołu. Podciągnąwszy się, wisiał jakiś czas na rękach, rzekłbyś, po to, by zebrani mogli podziwiać szeroki rozmach jego ramion i okazały, wielkości męskiej dłoni, prawosławny krzyż na owłosionej piersi. Z kędzierzawej brody ziały roześmiane usta, para złotych koronek reprezentowała wciąż jeszcze solidne rezerwy ZSRR. Jeden szybki ruch i Aurelij wyskakuje z jacuzzi. Saszka! Rzuca się w ekstazie, nie starłszy nawet z siebie śladów po tampaksie i spermie, które przywarły do niego w gorącej kąpieli. Uścisk. Od kiedy to ludzie radzieccy z takim zarem rzucają się na wrogów narodu? Saszka Korbach, no niech mnie kaczki, co za spotkanie! Co za *cucara-cha!* Jaka *cucaracha*, do diabła? No, taki rym, po prostu - *wstriezca - cucaracha!* No, co tam u ciebie, co

tam u ciebie? *You are kak yourself?* Poczekaj chwilkę, tylko włożę spodnie! Czekam z niecierpliwością. Wskakuje w spodnie od Versace, wciąga na goły tors marynarkę od Gucci. Chociaż krzyż schowaj, czubku! Saszka, widzę, że nie łapiesz trendu! Czego nie łapię? Nowego kierunku. Chodź, wypijemy za spotkanie, mało nas, może tylko dwóch, pamiętasz? Nie, nie, was jest więcej, o wiele więcej.

Aurelij ciągnie Korbacha do bufetu. Po drodze łapie jakieś kobiety za zadki, demonstrując nieustannie czujne, niczym KGB, radzieckie libido. Mokra plama między łopatkami przypomina Krym. Dla ciebie ogon homara i dla mnie ogon homara! Bierz więcej! Bierz od razu trzy ogony homara! Widzisz, jaką butelkę złapałem? „Stoli”, podbija cały świat! *So what? So* chlup *it* w dziób! Ten Crappiwa to miliarder, *fuck* mu w zupę! Chodź, Saszka, wypijemy za nasze pokolenie, za nową wolność, *fuck* ją w wymię! Znaczy że co, wolność to dla ciebie krowa, ty wypędku? Tak, to krowa! Kłamiesz, skurwysynu pierdolony, wolność - to skrzydlata istota, to nowy słodki styl! W porządku, pijemy i za to!

Kiedy pierwsze emocje nieco ucichły, Aurelij plączącym się językiem opowiedział swoją historię. Osiadł teraz w Los Angeles na stałe. Jednak ci, którzy myślą, że jest uciekinierem, gruntownie się mylą. Mieszka tu po prostu jako wolny człowiek, i tyle. Takie są nowe prądy. Ma tu kobietę, i to wszystko. Baba-wulkan, bogata i *crazy*, niczym Krezus. Sprzedaje swoje designerskie szmaty na Rodeo Drive, wiesz? O, to właśnie ona, *miss* Julia Papergie! Złapał puszystą brunetkę w kostiumie bikini przybranym lisim futrem. Saszka, geniuszu, żebyś wiedział, jak nasze pokolenie cię kocha! Udało ci się uciec od sowieckiej kuli, od kieliszka z trucizną, od mamra, od psychiatryka, chodź no, powiem ci coś na ucho. *Beg your pardon, sir*, ale moje ucho to nie zagrycha. *Sony*, ja nie wcale nie żuję twojego ucha, tylko mówię do niego. No to powtórz, co powiedziałaś, tylko nie dotykaj, cholera jasna. Dziwny się jakiś zrobiłeś, Sasza, nie swój, ale mimo wszystko słuchaj. Zapadła tajna decyzja, żeby skończyć. Jak to skończyć? Eksperyment historyczny. Nie powiódł się. Zapadła decyzja, żeby zwijać żagle, ratować ostatki, jasne? Odpowiedzialność za realizację planu spoczywa na KGB i Komsomole. Gorbaczow spotkał się potajemnie z Reaganem i papieżem, żeby ich o tym poinformować. Przeprosił obu za zamachy na ich życie. Powiedział, że winni poniosą odpowiedzialność. W sumie, stary, możesz wierzyć albo nie, ale niedługo ZSRR przestanie istnieć. Łapiesz? Kumasz?

AJ zakręciło się w głowie. Dobrze, że koło bufetu rosła palma. Złapał się za nią i zaczął ześlizgiwać w dół. Aurelij, nie dotykając go, nadal szeptał mu do ucha. Nie przejmuj się, stary.

ZSRR się rozpadnie, a Rosja pociągnie dalej, taki to już koń. Ale ja się właśnie przejmuję, z trudem łapał dech Korbach. Całe moje życie minęło w tym parszywym ZSRR, z czego mam się cieszyć? Ja nie potrafię bez tej zbrodniczej radzieckiej ojczyzny, Aurelij, laureacie... ja umieram.

Nora znalazła go leżącego pod palmą. Podbródek mu się trząsał. Aurelij z zarem wyjaśniał coś zgromadzonym dokoła gościom. Jeden z nich, broker filmowy, który niedawno urósł w siłę, z zainteresowaniem obserwował czowieka w agonii. Ten facet ma dokładnie taką samą marynarkę, jaką ja miałem trzy lata temu. Suzanne oddała ją wtedy do jakiegoś *second handu*.

Resztę wieczoru Sasza i Nora spędzili w Pierwszym Dnie, siedząc na kanapie, która widziała już wszystko, w tej części lokalu, który nazywano *living-roomem*.

Ty mnie poznałaś ze swoimi ludźmi, a ja ciebie ze swoimi, mówił, spokojny już i niemal trzeźwy, gładząc ją po plecach. Plecy mojej ukochanej w niczym nie ustępują jej piersiom, myślał. Brzuch mojej ukochanej też dorównuje wyżej wzmiankowanemu fragmentowi, a nosk ma doprawdy nie gorszy od pępka. Nie jest po prostu piękną kobietą, jest zbiorowiskiem piękności. Każde jej spojrzenie to piękność i głos jej - to piękność, o czym przekonaliśmy się za pośrednictwem telefonu. W tym miejscu trzeba skłamać i zaraz skłamię. Będziemy zawsze razem, tak jak dotąd, nasze uczucia nigdy nie ochłodną. Jeśli tylko nie zje nas zazdrość, myślała Nora. I co to znaczy, „będziemy razem jak dotąd?” I w czasach Pierwszej Świątyni?

I we Florencji białych gwelfów? I poza granicami „powietrznej egzystencji”? W danych warunkach kosmicznych, w przedadamowej jedności? No więc co? No więc szukaj sobie przetok w archeologicznych warstwach ziemskiej powłoki, uśmiechnęła się. Lepiej się nie zagubić.

Pierwsze Dno trwało w pijanej półdrzemce. Henry, kiwając się, przebiegał pasaż Chopina we własnej interpretacji - dla *baby*. Matt krążył melancholijnie wokół stołu bilardowego z kijem w dłoni, przymierzał się niczym do polowania na muchy, następnie wymierzał ogłuszający cios i uśmiechał do Nory, jakby mówiąc: wszystko pod kontrolą. Bernadetta, górując nad Piu niczym forteca, sennie kołysała się z nim w tańcu. Mel O'Massey spokojnie spał w na wpół rozwalonym fotelu. Bruno Kastorzus, posłuszny dobrze u niego rozwiniętemu poczuciu solidarności, również tu był. Rozkładał karty i uśmiechał się, ukazując nierówne - łagodnie mówiąc - zęby.

- Widzisz, Nora, co za idylla - powiedział Alex. - A przecież te skurwiele o mało mnie raz nie zamordowały w szczytowym momencie zimnej wojny.

- Naturalnie sypiałeś z tym żeńskim centaurem, prawda?

- A czyż mogło być inaczej, dopóki ty nie pojawiłaś się na scenie, mój Renesansie? - odparł Alex w swoim retorycznym słodkim stylu. Bernie tymczasem podeszła od tyłu, liznęła Norę w ucho i szepnęła: „Kocham twojego tatę, malutka”.

Henry znienacka zasnął na klawiszach i w ciszy, która nastąpiła, dosięgła tej stronicy najnowsza pochodząca z telewizora informacja: „Siedemdziesiąt procent Amerykanów nie jest zadowolone ze swoich seksualnych doświadczeń”.

Słodka noc na skraju amerykańskiego kontynentu, w odległy sposób przypominającego kształtem klepsydrę.

W tym momencie znowu, właściwie nie tyle z własnej woli, ile ze względu na zasady nowoczesnej kompozycji, zaczynamy wyczyniać sztuczki z chronologią i z ziewającym czytelnikiem. Wołamy „stop! stop!” i kamera szybko odjedź do tyłu (a może naprzód?), no, w każdym razie mamy jesień 1986 roku, Westwood Colonial Parking, gdzie AJ stoi z kieszeniami kurtki wypchanymi studolarowymi papierkami i torebkami z kokainą. Wydaje nam się, że właśnie w tej chwili możemy zamknąć otwarte ze zdumienia usta młodego człowieka o trzepocącej na wietrze grzywce i krawacie. Dlaczego właśnie w tej chwili, dlaczego nie kontynuowaliśmy opowieści na temat owych trzech lat, które powinny się znaleźć między dwoma zatrzymanymi momentami? No cóż, po pierwsze dlatego że historia w pełnym wymiarze mogłaby się nie zmieścić nawet w naszym Macintoshu, a po drugie - ważniejsze - nie chcemy zakłócać rytmu naszej opowieści.

A zatem dryblasowaty wydał niemożliwy do pomyślenia okrzyk „Sasza Korbach!” i zamknął usta. Teraz, po przywróceniu naszego „chronotopu”, zaczynamy, by zakończyć rozdział, przekazywać zdarzenia w lapidarnym skrócie. Dryblasowatym wielbicielem *sugar-powder* okazał się niejaki Rodney Pomrette, fanatyk nowoczesnego teatru, który kiedyś, sto lat temu, przyjeżdżał do Moskwy z grupą Franka Shannona, by zapoznać się z działalnością Błaznów.

Kokainowa ospałość dryblasa ulotniła się i ustąpiła miejsca eksplozji pamięci. W ciągu kilku minut zasypał Korbacha cytatami z wypowiedzi *maestro*. Posłał Leroya Wilcky po ludzi teatru. W godzinę po rozpoznaniu wielkiego reżysera współczesności, to znaczy po czterech latach od jego przybycia do Stanów Zjednoczonych, na dachu parkingu zaczęło się *welcome party*.

Jedynym samochodem na dachu był czerwony ZIS-101. Luda zebrało się co najmniej dwa tuziny: jedni z Teatru na Beethoven Street, drudzy z Back Pocket, jeszcze inni z Argo i tak dalej, i tak dalej. Wszyscy ściskali *maestro*, którego już dawno uważali za nieobecnego na tym padole łez. Wielu płakało. Saszy puściły wszelkie hamulce, śmiał się i też ocierał łzy: nareszcie wśród swoich, wśród awangardy, wśród tych, dla których nie mamona liczy się najbardziej! Nad ranem przyszła wiadomość, że z Nowego Jorku leci Frank Shannon ze swoimi studentami, a także przedstawiciel Theater Communication Group. Korbach się znalazł, Meyerhold naszej epoki!

W ciągu następnych paru dni w gazetach ukazało się kilka artykułów z fotografiami. Jedna

była szczególnie udana: na wypolerowanej czaszce Aleksandra Jakowlewicza tkwił tłusty blin. Dziennikarze, rzecz jasna, nigdy wcześniej nie słyszeli ani jego nazwiska, ani Meyerholda. Największym hitem okazało się nie odkrycie Pomrette'a, a fakt, że moskiewski reżyser, na dodatek noszący nazwisko założyciela i prezesa jednej z największych amerykańskich korporacji, cztery lata pracował w charakterze parkingowego w Westwood.

- Narobił pan szumu, przyjacielu - rzekł siwowłosy, jaśniejący ze szczęścia Shannon, profesor szkoły teatralnej. - Wie pan, jak to jest u nas w Ameryce: jeśli pies ugryzie człowieka - to nie wiadomość, wiadomość to kiedy człowiek ugryzie psa.

Alex skinął głową.

- Zgodnie z tą logiką, „wiadomością” będzie amerykański parkingowy, który został reżyserem w Moskwie, tak? - Potarł kark. Dobrze, że pismaki nie znalazły w Westwood Parking jeszcze bardziej smakowitych kąsków...

Tak czy inaczej, miała miejsce pewna, aczkolwiek umiarkowana sensacja i Aleksander, który zdążył się już dostatecznie zamerykanizować, spodziewał się, że w ślad za nią pójda jakieś propozycje z teatrów (no, powiedzmy, z Arena Stage, Cocteau czy La Mamma, dopowiedzcie sobie sami), a może nawet z Broadwayu czy z Hollywood. Był jednak zamerykanizowany w stopniu niewystarczającym. Dopiero później zdał sobie sprawę, że ludzie, którzy składają propozycje, nie czytają w gazetach wiadomości o pracownikach parkingów.

Miejscowy teatrzyk Argo zaproponował mu mimo wszystko, by wyreżyserował u nich Czechowa. Dawno już co prawda z lekka go mdliło od niezliczonych scenicznych wariantów sióstr, wujów i *czajek* - z - wiśniami, poszedł jednak na to i zaoferował im w odpowiedzi postmodernistyczny spektakl w duchu Czechowa. Niestety, argonaucci woleli coś bardziej tradycyjnego, to znaczy komercyjnego... W dodatku za wszystko łącznie zaoferowano *maestro* sumę, jaką zarabiał u Tichomira Buriewiatnikowa w tydzień. Sytuacja stała się idiotyczna: po „sensacyjnym odkryciu” powrót na parking był niemożliwy, a bez parkingu nie było za co żyć.

Sprawa została rozwiązana w sposób całkowicie nieoczekiwany. Zebrawszy wycinki z gazet, Nora sporządziła mu pierwszorzędne *curriculum vitae* i poszła z nim do rektora swojego Pinkertona. O, te amerykańskie CV, do dziś niepojęte dla rosyjskiego umysłu i serca! Człowiek rosyjski przywykł przecież do skromności, pomniejszania siebie, spuszczenia oczek w dół. Wciąż liczy na to, że ktoś za jego plecami, dyskretnie, żeby nie peszyć, rozwinie pochwalną informację na jego temat.

Trudno mu zrozumieć, że tu, w Ameryce, sam musisz zaprezentować swój towar: tak, genialny, tak, efektywny, tak, bynajmniej nie stary, tak, nie pozbawiony poczucia humoru, tak, naturalnie, będzie wspaniałym kolegą.

Aleksander Jakowlewicz nieoczekiwanie otrzymał list na firmowym uniwersyteckim papierze, z pieczętą i osobistym - w żadnym razie nie facsimile - podpisem rektora Millhouse'a, jednego z filarów amerykańskiego systemu kształcenia, któremu mógłby pozazdrościć prestiżu niejeden mieszkaniec Białego Domu.

Szanowny Panie Korbach,

Znając Pana jako jednego z wybitnych reżyserów współczesnego teatru światowego, rektor oraz Rada Opiekunów Pinkerton University mają zaszczyt zaoferować Panu stanowisko reżysera-rezydenta na okres trzech lat (z pełną możliwością jego przedłużenia), z roczną pensją w wysokości \$ 70 000 (możliwe są negocjacje co do zwiększenia tej sumy). Umowa obejmie naturalnie także inne świadczenia, jak ubezpieczenie zdrowotne i fundusz emerytalny.

Wierzimy gorąco, że przyjmie Pan naszą propozycję i że akademicka społeczność naszego uniwersytetu, jak również społeczeństwo całego Waszyngtonu, wzbogaci się o nowego, szczególnie cennego współpracownika. Z entuzjazmem czekamy na nowe spektakle naszego eksperymentalnego teatru, które powstaną pod wpływem Pańskich idei teatralnych, poetyckich i filozoficznych.

Z bardziej szczegółowym listem na ten temat zwróci się do Pana Dziekan Wydziału Teatru Nigel Tabbac.

Szczerze oddany,  
Benjamin F Millhouse  
Rektor

Tego wieczoru zadzwoniła Nora. Dostałeś? Żądaj osiemdziesiąt pięć, dadzą osiemdziesiąt. Co, jeszcze się nie zdecydowałeś? Sasza, nie rozumiesz, że nie mamy co robić na zachodnim wybrzeżu? Oszolomiony tym „my”, stał na swoim tarasie i żegnał się z głębokim fioletem oceanu, po którym silny południowy wiatr gnał od wybrzeży Meksyku drobniutkie fale. No cóż, Oceński, ze wszystkich istot Nowego Świata ty byłeś dla mnie najzyczliwszy. Wyjeżdżam do twojego brata, nie tak szerokiego w talii jak ty, za to chyba cokolwiek dłuższego. Nie obrażaj się,

jesteście przecież połączeni ze sobą niczym syjamskie rodzeństwo.

Tak więc pod koniec szóstej części, na początku roku osiemdziesiątego siódmego, nasz bohater zaznaczył środek powieści przeprowadzką do stolicy narodów - Waszyngtonu, który tamtejsi rosyjscy emigranci nazywają Naszyngtonem. Wynajął, a następnie kupił mieszkanie w sercu Dupont Circle, gęsto nabitego różnymi ludzkimi typami rejonu. Zamiast wyrozumiałego dla Saszy Oceanickiego widział obecnie ze swoich okien skład win Dixie Liquors, kawiarnie Zorba i Childe Harold, samoobsługową księgarnię Lambda Rising, a także Kramerbooks, gdzie o pierwszej w nocy można było wpaść na piwo.

Zanim zakończymy tę część, wypada powiedzieć, że pierwszą osobą, jaka zadzwoniła do Saszy na nowym miejscu, okazała się nie Nora, a jej ojciec Stanley Korbach. Po pierwsze, pogratulował kuzynowi czwartego stopnia pomyslniej (co miał na myśli, pozostawiamy domyślności naszego przenikliwego czytelnika) przeprowadzki z LA. Po drugie, powiadomił go, że dzwoni ze szpitala. Na pytanie, co się stało, odpowiedział rzeško: „Zaczął się normalny proces gaśnięcia”, po czym przeszedł do omawiania nowych hipotez dotyczących migracji Dziesięciu Plemion Izraela.

Na tym kończymy szóstą część i przechodzimy do drugiej połowy książki.

### **Lew w Alioto**

Lew morski figluje przy rybackim nabrzeżu  
A sealion plays near the Fishermen's Wharf.  
Trzeci raz przez pięć lat przybywam do restauracji „Alioto”.  
Pamiętają mnie tutaj, wiedzą, że nie gbur.  
Ostatnio mnie witał sam signor Akselotl.

Od tej pory lew morski nic się nie postarzał...  
Sińce then that sealion hasn't grown old,  
Morski zbieg jest żwawy i grzeszy nieco nonszalancją.  
Trudno jednakże uznać, że młody jak skaut.  
I nawet czasem śmieszny swoją kurtuazją.

Do lwic zatoki San Francisco...  
Toward the lionesses of the San Francisco Bay.  
Dobrze by z nim pogadać, jak szaman z szamanem:  
Choć chuligan z ciebie, batono, to wszakże nie plebej.  
By dla tej zatokowych kurew bandy zostać atamanem.

Gdzieżeś rozsiał nasienie, potomstwo, wszystkie krople swej spermy?  
Where have you scattered your seed, your posterity, all drops of your jism?  
Mogą zapytać, gdy po wódce mu staje bez celu.  
Czy niczym komsomolec określisz życia swego sens,  
Ty, coś w głębinach pływał nie znając spokoju?

Czyż może schron mieć lepszy jebaka na rencie?  
Could one find a better refuge for retired stud?  
Nad Pacyfikiem nie znajdziesz nigdzie weselszego miejsca  
Sałatki, śledziki, ślicznotki z kurwiskońskich stad,  
Słowem, potok który wypłyła tutejsza restauracja.

Maitre Akselotl pojawia się jak postać z mego arcydzieła  
Maitre Akselotl comes up as a type from my major oeuvre.  
Buono giorno, Allesandro! Pozdrowienia od Grapelli.  
Widzę, interesuje pana nasz gość, ów major Morżow?  
Zapewne szuka pan dwuznacznej paraleli?

Przychodzi tutaj, wciąż pod gazem, to raz na rok, to znowu dwa...  
He comes here, always inebriated, once in a year, or two.  
Przypomina to urlopy morskiego wilka bywałego.  
Tydzień balangi i leci w głębiny niebytu,  
Innymi słowy, sir, wypływa w przestrzeń oc. światowego.

Niechże mi pan nie mówi, Akselotl, że go pan poznaje...

Don't tell me Aksełotl, you can distinguish him  
Pośród miliona morsów w amoku hedonizmu.  
Bo chyba nie po mordzie, bez przerwy opuchniętej?  
Jak można pysk bezczelny zobaczyć w takim ścisku?

Ach, panie Alessandro, widział pan lewy kieł?  
Listen, Alessandro, have you seen his left fang?  
Maitre się pochyla, enigmatycznie podświetlony.  
Kieł lewy ma ze złota, niczym saudyjski tank.  
I dzięki swojej cesze zawsze jest poznawany.

Wkrótce po tym obiedzie, w porze zachodu słońca...  
Shortly after that dinner, by the time of sunset,  
Kiedy z lapis lazuli i inydgo frontyśpis  
Odbijał cały wielki oceanu rozedrgany blask  
Na szklanych blokach centrum San Francisco.

Ktoś na swoim „apple'u” zrobił z ręcznie dwuklik  
Somebody made in his „apple” a double click,  
Czas rozjarzył się nagle odbiciem odbicia,  
Z przeraźliwą jasnością przemknął w jeden mig,  
Złoty kieł znikającego w oceanie morzwierza.

Opuszcza, przyjaciele te bogate brzegi...  
He is leaving, my friends, these opulent shores,  
Porzuca syte mola, brudy kolektorów.  
Pędu nabiera, jak koń co czuje przed ostrogą mores,  
Ząb jednak pobłyskuje pożegnalnym „Bądź zdrów!”

Udaje, że zna nowy swój punkt docelowy  
He's pretending, he knows his new destination,

Jakby znał już nie tylko sposób, lecz i cel  
Tam, na drugim brzegu oceany, gdzie umyte, czyste gejsze  
Odtaną apoteozę z baletu „Gizelle”.

Rozcina prądy morskie torsem wciąż potężnym,  
Płynie do horyzontu, gdzie czas się kołysze niczym trąba wodna,  
Blask wciąż roztacza swoim złotym zębem.  
He is going, going, going, mafiozo and merchant. Gone!  
Odpływa, odpływa, odpływa, mafioso i kupiec... Zniknął!

## **Część siódma**

Jesienią 1987 roku Stanley Korbach skończył sześćdziesiąt lat. Ani w rodzinie, ani w pracy - to znaczy w kwaterze głównej imperium - nikt nie zauważył zbliżania się tej daty. On sam też właściwie tego nie zauważył. Wiedział naturalnie, że zbliża się do punktu granicznego między wiekiem średnim a tym, co Francuzi elegancko nazywają *l'age troisieme*, ale o dacie zapomniał.

W ogóle to w powieści miało się pojawić coś w rodzaju następującej sceny: w swoim odrzutowcu, albo na przykład na korcie tenisowym, Stanley uderza się w czoło i woła: „O rany, przecież ja właśnie przekroczyłem sześćdziesiątkę, moi wierni i posłuszni poddani!” Po czym przewraca stronicę jakiegoś referatu albo uderza w piłeczkę rakieta czy - co najbardziej prawdopodobne - nalewa sobie scotcha i zapomina o jubileuszu. Co się tyczy „wiernych i posłusznych poddanych”, to dla nich pojęcie zaawansowanego wieku absolutnie nie pasowało do obrazu Stanleya Korbacha, tego ponadczasowego bossa, łaskawego gargantuicznego władcy swoich handlowych włości. Tak to właśnie miało wyglądać w powieści, ale wyszło całkiem inaczej.

Rankiem tego dnia - za oknem ohydny kocioł waszyngtońskiej zimy, śnieg albo lodowaty deszcz, wicher i fruujące liście - odwiedziła Stanleya w szpitalu katolicka zakonnica, siostra Elizabeth. Przeżegnała się przed wiszącym w kącie na wprost telewizora krucyfiksem i powiedziała miękko:

- Dzień dobry, Mr Korbach! Skończył pan dzisiaj sześćdziesiąt lat, *sir*. Z całego serca życzę panu wszystkiego najlepszego! - Spojrzała na niego oczkami jak niezapominajki otoczonymi miłym ornamentem zmarszczek i uśmiechnęła się z łagodnością niewinnego dziecka. Było jasne, że wszystko, co mówi, płynie z głębi serca, należała bowiem do niewielkiej liczby dusz nie zepsutych egzystencją. - Być może będzie pan miał dzisiaj poważną operację, *sir*, i będę modlić się za pana, mój drogi Mr Korbach.

Stanley był wzruszony niemal do łez. Wyciągnął rękę spod kołdry i poprosił:

- Proszę dotknąć mojej ręki powyżej łokcia, moja droga siostrze Elizabeth. - Zrobiła to chętnie, potem jednak nagle cofnęła palce, tak jakby było coś w tej ręce, za co modlić się nie mogła. Stanley ciągnął, nie zauważywszy tego drgnienia: - Dziękuję siostrze za obietnicę modlitwy podczas operacji. Ja też się będę modlić, tylko nie mam pojęcia w jakiej intencji, może

w intencji siebie samego i swojej operacji, a może w jakiejś innej. Zaczynam się modlić już teraz i będę się modlił, dopóki doktor Hertz nie zabierze mnie na anestezjologię. Proszę zrobić mi tę łaskę, siostrzo Elizabeth, i zostać ze mną parę minut. Niech siostra po prostu posiedzi tam w kątku, moja droga, a ja będę się modlić - może po żydowsku, może po chrześcijańsku, może po mahometańsku, a może nawet po pogańsku.

Zakonnica w milczeniu skinęła głową i rozejrzała się, gdzie by tu usiąść. Na moment wydało się jej, że w sali zasiada z wielką godnością przedstawiciel jednego z owych niechrześcijańskich wyznań, ale moment ten minął, spokojnie więc zajęła miejsce pod niewielkim, pięknie rzeźbionym w drzewie krucyfiksem, ostro odcinającym się od tła białej ściany.

Stanley Korbach zaczął mamrotać coś niezrozumiałego. Pograżał się w tym mamrotaniu coraz bardziej i sam już chyba nie pojmował jego sensu. Siostra Elizabeth siedziała ze spuszczoną głową i złożonymi na kolanach dłońmi. Monotonny pomruk przerywał od czasu do czasu dziki krzyk. W takich chwilach zakonnica unosiła głowę i twarz jej rozjaśniał wyraz żywego współczucia, jakby rozumiała ów bełkot otumanionej środkami przeciwbólowymi świadomości - czy podświadomości. Korzystając z prawa autorskiej samowoli, spróbujemy zaprezentować szanownemu czytelnikowi próbkę tego, co mamrotał Stanley Korbach w swojej dziwnej modlitwie, czekając na operację w chirurgicznym skrzydle waszyngtońskiego Holy Cross Hospital.

Babilończycy zburzyli Świątynię i podpalili miasto ze wszystkich stron. I padły na mieszkańców Jeruzalem smutek i trwoga. Wielu z nich próbowało uciec po ciemku z miasta i znaleźć schronienie w skałach gór Judei. W owym czasie król Nabuchodonozor wszedł do miasta, gdzie wciąż jeszcze trwały grabieże i mord. Król Judei Zedekiasz został wraz z rodziną wzięty do niewoli. Przywiązano ich do podnóżka babilońskiego tronu polowego. Zedekiasza zmuszono, by patrzył na kaźń swoich dzieci. Potem wylupiono mu sztyletem oczy i przykuto na łańcuchu do kolumny. Ukazały się tłumy Judejczyków, pędzonych w niewolę biczami i włóczniami.

W tłumie znajdował się pewien rzemieślnik, którego sklepik, położony w wąskiej uliczce u podnóża góry Moriah, został dopiero co rozgrabiony przez żołnierzy babilońskich; zwał się ów rzemieślnik Kor-Bejt, co po hebrajsku oznacza „chłodny dom”. Nagle ujrzał swojego króla w łańcuchach, wyjącego dziko z niepowstrzymanego bólu. Kor-Bejt nie mógł znieść takiego poniżenia.

Wiem, że ów Kor-Bejt był moim przodkiem, mrucał Stanley. Widzę to wszystko jak na filmie, nakręconym dwadzieścia pięć wieków temu. Widywałem już tego Kor-Bejta, a może jakiegoś innego, za każdym razem, kiedy dawano mi morfinę. Widziałem, jak wyciąga skóry z piwnicy swojego „chłodnego domu” i robi z nich ochronne kamizelki i wysokie buty. I oto teraz, gdy modłę się przed operacją, która ma być przeprowadzona na moich organach płciowych, widzę, jak Kor-Bejt wyskakuje z tłumu, wyciąga strażnikowi miecz z pochwy i próbuje przebić króla Zedekiasza, żeby uwolnić go od cierpień. Widzę, jak babilońscy żołnierze odciągają go i wloką do nóg Nabuchodonozora, siedzącego na polowym tronie na zhańbionym tarasie naszej świątyni, w splamionej krwią Zedekiasza i jego dzieci opończy.

„Chciałeś pozbawić go czucia?” - spytał Kor-Bejta Nabuchodonozor i mój przodek niezwykle grzecznie odpowiedział: „*Yes, nr*”. Król był w mrocznym nastroju w ów dzień triumfu nad Judea. Znał się dobrze na astronomii i miał mniej lub bardziej osobiste związki z Astarte. Na podstawie układu gwiazd wiedział, że bogini nie aprobuje tej krwawej łaźni, ale wiedział także, że nie ma wyboru. Problem ostatecznego znieczulenia nie dawał mu spokoju. Spytał Kor-Bejta, co woli, czucie czy całkowity spokój. „Czucie” - odparł Kor-Bejt, prawdziwy żydowski rzemieślnik. „Rzekłeś” - skinął głową Nabuchodonozor i nakazał, by z jego skóry wycięto porządny bat i batem tym wymierzono mu pięćdziesiąt porządnych uderzeń, nie oszczędzając żadnych części ciała.

Moja katolicka siostra Elizabeth, co siostra sądzi o tej judejskiej historii? Zdaje mi się, że widzę niebo nad Jeruzalem, niedościgną przejrzystość sklepienia i dwie gwiazdy, zmierzające, zdawałoby się, ku nam, ku mnie i ku niemu, mojemu przodkowi, pełznącemu wśród stosów trupów do swojego „chłodnego domu”. Przeżył, siostro, i uchronił jaja, inaczej nie nie musiałaby się siostra modlić teraz za tego jebanego grzesznika Stanleya Korbacha. Wyl całą noc, a potem jeszcze cały miesiąc, ale czasami w majakach między ścianą pełnego bólu a ścianą pełnego znieczulenia pojawiał się przed nim obraz klucza ptaków, przemieszczającego się w błękicie powietrza z taką synchronicznością, jakby był jedną istotą.

Tak mamrotał, a czasami ryczał Stanley Korbach to wszystko, albo mniej niż to wszystko, albo więcej niż to wszystko, dopóki nie otworzyły się drzwi i do sali nie wszedł doktor Hertz, jego własny Nabuchodonozor. Za nim postępował tłum młodych lekarzy, pielęgniarek i studentów. Taka praktyka obowiązywała przy porannym obchodzie i dla bogatych pacjentów nie robiono wyjątków, nawet jeśli mogli bez mrugnięcia okiem kupić cały ten katolicki szpital.

- Cześć, Stanley! - zawołał doktor Hertz w stylu uniwersyteckiego klubu sportowego. Wybitny urolog, wyglądem przypominał lekkoatletę-czempiona. - Fantastycznie dziś wyglądasz! - Zawsze starał się traktować swoich pacjentów, przynajmniej w czasie porannego obchodu tak, jakby odnieśli błahy sportowy uraz.

Problemy „Wielkiego Korbie” - jak czasami nazywali go za plecami partnerzy; nie cierpiał tego! - wzięły się niemal w dosłownym sensie z błękitnego nieba (angielski idiom na oznaczenie czegoś nieoczekiwanego). Pewnego razu, gdy wracał samolotem z Paryża, odkrył u siebie pewną dziwną anomalię, która może się wydać wręcz śmieszna w kontekście rynku papierów wartościowych i kapitałowych inwestycji, zaprzatających mu głowę przez cały ubiegły tydzień. Nie mógł siusiać, chociaż pęcherz moczowy pękał mu od nadmiaru dostarczanych przez nerki substancji. Na trzy godziny lotu z prędkością ponaddźwiękową dwie spędził w toalecie, usiłując wydusić z siebie chociaż pół szklanki płynu, który niegdyś opuszczał jego ciało potężnym, lekko podzwaniającym strumieniem. Pasażerowie concorde byli zdziwieni, odkrywszy, że jedno z dwóch ustronnych miejsc w tyle samolotu jest stale zajęte.

Okazało się, że cierpi na hipertrofię męskiego gruczołu - prostaty, która normalnie siedzi sobie pod pęcherzem moczowym i spokojnie produkuje spermę, jednak gdy zwiększy objętość, co zdarza się w „trzecim wieku”, może hamować wypływ moczu. Wszystko to nie ma związku - albo niewielki - z sytuacją finansową na świecie.

Pod koniec tamtego dnia Eddie Hertz, gwizdząc *Primauerę* Vivaldiego, wprowadził do penisa wyczerpanego do cna megamiliardera giętki cewnik i uwolnił wreszcie jego pęcherz moczowy od nadmiernego obciążenia. Co za ból i co za ulga, gdybyście wiedziały, narody świata! Macie więc świat uczuć i wrażeń: ból i rozkosz istnieją czasem tuż obok siebie. Czy nie są one przypadkiem siostrami, siostró Elizabeth?

Na czas testów i analiz Korbach otrzymał podłużny plastikowy pojemnik, połączony z cewnikiem i przymocowany specjalnymi plastrami do lewej nogi pacjenta. Mógł chodzić, a jako uzupełnienie tej istotnej możliwości mógł, podciągnąwszy nogawkę, obserwować kapanie żurawinowego soku z jego traumatyzowanych dróg moczowych. „Proszę, Stanley, niech pan unika jakichkolwiek form seksualnego pobudzenia” - poradził mu serdecznie doktor. „Czy coś takiego jeszcze istnieje?” - jęknął cicho pacjent. Doktor uśmiechnął się zagadkowo. Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Niemal każdej nocy w szpitalu nawiedzały Korbacha potężne erekcje, powodujące ból doprawdy babiloński.

W miarę jak zwiększała się liczba testów prowadzonych przez zespół Eddiego Hertza, ogólny stan fizyczny naszego giganta komplikował się. Stwierdzono, że naczynia wieńcowe są zapchane cholesterolem tak ciasno, jak górskie ścieżki Judei patrolami Babilończyków i Filistynów. W tych warunkach trudno było decydować się na „zabieg chirurgiczny”, zgodnie z wyrażeniem doktora Hertza. Na szczęście, Stanley nie potrzebował jeszcze operacji bajpasów na otwartym sercu; można było obejść się angioplastyką, to znaczy oczyszczeniem arterii. Na nieszczęście, scenariusz zawierał dodatkowo jedną poważną komplikację: nawet przy całym współczesnym oprzyrządowaniu ryzykowne było przeprowadzanie angioplastyki z powodu przedłużającego się krwotoku. I wreszcie groziło największe niebezpieczeństwo: powiększenie się prostaty mogło być objawem procesu nowotworowego. W takim przypadku należało przygotować się do rozległej operacji jamy brzusznej.

Przede wszystkim trzeba było zatem zrobić biopsję, która, rzecz jasna, sama w sobie jest rodzajem „chirurgicznego zabiegu”. Jeśli Stanley będzie miał szczęście i guz okaże się niezłośliwy, wówczas do gruczołu, o którym on wstydliwie mówił „moja fabryka śmietanki”, będą się dobierać bez otwierania brzucha, wciąż przez ten sam stary organ, który z uporem sprzeciwia się, by traktowano go po prostu jako część systemu kanalizacyjnego. „Cała naprzód, doktoru” - powiedział Stanley. - „Proszę robić wszystko, co pan uważa za stosowne z tym, jak ujmuje to pewien mój rosyjski krewny, tak niedoskonałym okrętem do przewożenia duszy”.

Hertz omawiał z Korbachem wszystkie szczegóły, podobnie jak stratedzy Pentagonu omawiali, być może, czystkę Panamy. Zdecydowali, by najpierw wykonać angioplastykę, i wykonali ją. Kiedy nasz gigant wrócił do siebie po tym zabiegu, ponownie odesłano go na salę operacyjną i pobrano kawałeczek powiększonej prostaty do analiz. Kilka dni oczekiwania na wyniki minęło mu niczym kilka lat albo kilka minut, w stanie przypominającym agonię. Sprawę skomplikował fakt, że wszystko zbiegło się w czasie z długim weekendem z okazji święta narodowego i uniwersyteckie laboratoria były zamknięte. Naturalnie, AK&BB Inc. mogła spowodować otwarcie wszystkich laboratoriów w mieście i zapłacić za to dowolną sumę, jednakże nasz pacjent zdecydowanie odrzucał takie rozwiązanie. „W tym stadium życia, moja malutka, chcę być taki, jak moi bracia” - powiedział do żony. - „Chcę przeżyć agonię i nadzieję. Agonię i nadzieję, przyjaciółko; tylko tyle”. W decydującym dniu Eddie Hertz nie kazał im czekać. Wszedł różnym krokiem do sali i obwieścił dobrą nowinę. Nie ma raka, guz jest łagodny.

Przez cały tydzień, który poprzedzał tę chwilę, leżąc w łóżku, ponakłuwany igłami

przenikającymi główne drogi jego wewnętrznej galaktyki, nie przestawał myśleć o dwóch kluczowych, jak sądził w owym czasie, zagadnieniach: uczuć, czyli istnienia, i braku uczuć, czyli nieistnienia. Trankwilizatory, środki przeciwbólowe, a także nieco trunku Wiecznego Żyda, wszystko to spowodowało jakąś dziwną wyrwę w jego świadomości: nie wiedział, czy snią mu się niezwykle sny, czy też jest to jakiś inny rodzaj podróży w czasie i przestrzeni. Był przekonany, że poza granicami życia istnieją parametry ontologiczne, i nie bał się śmierci. Jednak kiedy tuż przed biopsją poddano go ogólnemu znieczuleniu i w następnej chwili obudził się, by zrozumieć, że „zabieg chirurgiczny” się skończył i że została w nim zawarta nieskończona w istocie rzeczy liczba mgnień, w których po prostu nie istniał, przeniknęła go straszliwa myśl o braku jakiegokolwiek ontologii, braku czegokolwiek poza granicami świata uczuć, innymi słowy braku Boga. Otworzyła się przed nim idea wszechprzeżycia, i z tą ideą w objęciach pozostawiono go, by czekał na wyniki badań laboratoryjnych w czasie długiego weekendu w stolicy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

No cóż, wkrótce zaczniemy przygotowywać pana do zabiegu chirurgicznego na prostaty. Doktor Hertz poprosił o kawałek papieru i zgodnie z najlepszymi tradycjami amerykańskiej chirurgii z flamastrem w ręku zaczął objaśniać pacjentowi, co zamierzają robić z jego biednym ciałem. Główny cel tej względnie nowej techniki polega na tym, by uniknąć rozległej operacji usunięcia „fabryki śmietanki”. Zamiast usunięcia pobierzemy przez pański pęcherz tylko część tkanek, tak że w przyszłości „fabryka” będzie w stanie wznowić swoją działalność choćby częściowo.

Stanley kiwnął głową i spytał, jak długo to potrwa. Półtorej godziny, brzmiała odpowiedź. A co ze znieczuleniem? Jak to co ze znieczuleniem? Istnieje bardzo dobrze opracowana technika anestezjologiczna dla tego typu operacji. A o co chodzi, Stanley? Nie chcę pełnego znieczulenia, Eddie, nawet jeśli będzie bolało. Zostawcie mi chociaż cząstkę świadomości, *okay*! Ta operacja nie wymaga pełnego znieczulenia, powiedział sucho Hertz i opuścił salę. Nie lubił pacjentów, którzy zamawiają sobie znieczulenie, tak jakby to był garnir w knajpie.

Życzliwość wróciła mu jednak w sali przedoperacyjnej, kiedy zobaczył Stanleya podczepionego do wszelkich możliwych rurek i otoczonego wianuszkami anestezjologów. Gwarantuję panu, panie prezesie, że jutro rano akcje AK&BB pójdą ostro w górę! Dalej, dalej, niech pan myśli o o giełdzie, o tenisie, o pańskich żaglowcach, o kobietach, o czymkolwiek, byle nie o Nabuchodonozorze i Torquemadzie! Zapomnieliśmy powiedzieć czytelnikom, że doktor

i jego pacjent zaprzyjaźnili się w czasie tygodnia spędzonego wspólnie na kortach tenisowych Martha's Vineyard.

Wkrótce po otrzymaniu tej dobrej rady Stanley Korbach zaczął się opuszczać (albo unosić) w obłoki błogosławionej, powoli rozwijającej się podróży wewnątrz siebie samego czy wokół siebie samego. Nic nie widział oprócz przyjaznych fal czegoś falopodobnego i nic nie słyszał oprócz strzępów terminologii medycznej, którą posługiwały się jakieś dobre duchy. Pośród tej błogości ktoś od czasu do czasu ciągnął albo szarpał go za członek, co w niczym nie umniejszało poczucia ogólnej harmonii. Wręcz przeciwnie, wzbogacało ją. Uśmiechał się, pokazując, że te ruchy są mu znane, doświadczał ich już tam, gdzie niedawno przebywał, w swoim życiu, o, właśnie w tym, które tu leży obok niego, troszkę z boku. Nie ma nic złego w tych szarpnięciach penisa, nic demonicznego, wszystko to tylko niewinne zabawy istot, które niegdyś nazywano - i wciąż jeszcze, wciąż jeszcze się nazywa! - ludźmi.

Potem pole jego widzenia, jeśli można nazwać je widzeniem w zwykłym sensie tego słowa, podzielilo się na segmenty i w segmentach tych mógł widzieć, albo przewidzieć, albo wspomnieć niektóre szczegóły swego życia, powiększone albo zmniejszone, a nawet całe panoramy, ostre albo rozmazane, i wszystko to razem było szalenie miłe i bliskie: z różowej róży koronek wysunął się łokietek, potem pojawiła się wybrukowana kocimi łbami ulica, na której końcu pluskało ciemnobłękitne morze z białymi barankami na całą szerokość, ktoś szedł pod ciemnymi arkadami, dumny ze swoich nowych butów, zbliżał się do jakiegoś punktu zwrotnego w życiu, mała biała plamka w kącie segmentu szybko zmieniała się w trzepocące płótno, pojawił się powóz ciągnięty przez dwa lśniące gnidosze, stuk ich kopyt mieszał się ze stukiem jego obcasów, drzwi powozu otworzyły się, mała różowa plamka spęczniała nagle w ogromną różę, nic, tylko jedwab i koronki, i spienione niczym bita śmietana poczucie młodości, zmieszane z goryczą rozstania; na zawsze, no cóż, żegnaj! Małeńka piłeczka mroku toczy się w poprzek sceny, wlokąc ogon z drutu. Wypluj skrzep śliny! Napij się wody, wina czy mleka, wejdź na mostek, łyknij morza, łyknij młodości, triumfu, nie wierz, że zabiją cię jak Żyda, kiedy wrócisz, nasyć się swoją schadzka i powiedz tym ustom i palcom, i wszystkim pozostałym częściom róży: róbcie to tak, jak chcecie, *senores*, jestem cały wasz.

- Jak tam ciśnienie? - spytał swoich pomocników Hertz. - Kathy, niech pani będzie tak dobra i doda sedatywów do systemu, dobrze? Dziękuję.

Segmentacja kręgu znikła i sam krąg też się rozplynał w przytulności i ciepłe narkotycznej

pólnirwany katolickiego szpitala w Waszyngtonie.

Powoli wracał do siebie, już w swojej sali. Rzecz jasna, pierwszą rzeczą, jaka się wystrzyła w polu widzenia, był telewizor, solidnie przytwierdzony do sufitu. Swoją drogą, co za humanitaryzm wobec podstawowych potrzeb przykutego do łóżka pacjenta! Dziwna figlarność umysłu przypominała mu pierwszą fazę kaca. Co pragnie zobaczyć pacjent pooperacyjny po zakończeniu podróży w sfery okołoastralne? To jasne - rzeczywistość, czyli telewizor. I jak tylko się obudzi, ręka automatycznie zaczyna macać w poszukiwaniu pilota.

Na ekranie, jak zwykle, odbywał się hałaśliwy talk-show z popularną prezenterką, która ciągle nie mogła się zdecydować, jaki *image* jest dla niej bardziej odpowiedni: kapryśnego *baby* o obrzmiałych usteczkach czy przenikliwej zmii w okularkach. Widownia dyskutowała wiecznie żywy problem kazirodztwa.

Stanley już się nastawiał na pół godziny wielkiej narodowej rozrywki, kiedy ktoś wyłączył mamiący ekran.

- Mój biedny malutki, mój ukochany - usłyszał i, zwróciwszy oczy w bok, ujrzał swą prawowitą małżonkę siedzącą obok łóżka i płaczącą skromnie i subtelnie w chusteczkę do nosa, niewątpliwie starannie dobraną, by płakać przy łóżku chorego męża.

Jaka ona piękna, pomyślał. Jaką wspaniałą lalkę Barbie udało mi się poderwać dwadzieścia trzy lata temu! Kto ośmieliłby się powiedzieć, że w jej osobie widzimy babcie dwuletniego Mr Duppertata-juniora?

- Chcesz się trochę napić, mój drogi? - spytała Elegancja. - Wody mineralnej, bulionu z kury?

Uśmiechnął się.

- Rzeczywiście, z chęcią bym coś wypił. Na przykład butelkę Grolscha.

- O piwie musisz zapomnieć, kochany - wyrzekła z lezką w głosie. Zgodnie z najlepszymi tradycjami poprawiła leciutko poduszkę pod głowę giganta i leciutko się nachyliła, zamierzając ochłodzić pocałunkiem jego rozpalone czoło.

- Ostrożnie, Margie - ostrzegł ją małżonek. - Hertz powiedział, żebym unikał pobudzenia seksualnego, przynajmniej dopóki z ptaszka sterczy mi guma.

Westchnęła i w jej oczach mignął błysk stałego nawykowego burzenia.

- Jak możesz wyrażać się w taki sposób zaraz po operacji? I czemu zawsze wszystko musi być śmieszne, czemu nie można bez ironii? Czemu nawet po tej męczarni nie pozwolisz sobie na normalne ludzkie uczucia, mój drogi, mój dzielny, mój bezcenny Stanleyu?

Lekko machnął osłabioną dłonią:

- Nie, nie, Margie, ja wcale nie żartuję, nie ironizuję, uchwaj Boże. Ja po prostu mówię o piwie, o seksie i o cewniku w członku, to wszystko. - Powiedziawszy to, wkrótce zasnął.

Z dnia na dzień czuł się coraz lepiej. Trzeciego dnia usunięto mu cewnik. Zjawił się Eddie Hertz i żwawo jak zawsze, naszkicował Stanleyowi flamastrem sytuację na jego dolnych piętach. „Jeśli chodzi o pańską męskość, Stanley, możemy oczekiwać dwóch wariantów: dobrego i niebyt dobrego. Biorąc pod uwagę pańską wyjątkowość, mamy prawo mieć nadzieję na lepszy. Będzie pan miał normalną erekcję i prawie normalny orgazm; dziś, w epoce katastrof ekologicznych, to nie tak mało. Co się tyczy ejakulacji, proszę nie oczekiwać dotychczasowych, jak sądzę gargantuicznych wytrysków, przyjacielu. Niech pan po prostu o tym nie myśli, nie rozmawia na ten temat z partnerką seksualną. Nie będzie pan tego widział, jeśli tylko... Tu doktor Hertz popatrzył na pacjenta takim spojrzeniem, jakim mogłaby patrzeć na niepoprawnego synka jakaś *jidische marne*.

Stanley przyznał się, że zdążył już przeprowadzić pewien niewielki eksperyment zbliżony do tego, co praktykowano czterdzieści dwa lata temu w koszarach piechoty morskiej w teatrze działań wojennych Oceanu Spokojnego. Z orgazmem rzeczywiście wszystko było w porządku, ale o mało się nie rozpląkał, kiedy zobaczył rezultaty swoich wysiłków: żalostną kropelkę wodnistego płynu. Niech się pan nie martwi, Eddie, nie zamierzam podawać pana do sądu za błąd w sztuce. Zrobił pan fantastyczną operację i jestem panu wdzięczny jak cholera. To po prostu jest smutne, jak każda oznaka upadku. Stanley, Stanley! Hertz zganił go za przedwczesne eksperymenty z tak silnie traumatyzowanym organem. Z czasem będzie z tym lepiej, ale mimo to proszę nie oczekiwać wulkanicznych erupcji. Niech pan podtrzymuje życie swojego libido, ale równocześnie niech się pan postara być bardziej umiarkowany i prostszy w tej sferze. Jakaż to zwykła i umiarkowanie smutna historia, westchnął nasz rekin.

Został w szpitalu jeszcze trzy dni. Chyba nawet podobało mu się to beztróskie leżenie. Oglądał TV, czytał gazety (wszystkie szpalty oprócz biznesu), przyjmował wizyty gości.

Uśmiechał się do tych pielgrzymów i pokazywał im palcami znak V. Czasami zdawało mu się, że patrzy na odwiedzających z jakiejś ogromnej niefizycznej odległości swoich niedawnych „podróży” tam, gdzie nieważne, żywy jesteś czy martwy, istniałeś, istniejesz lub będziesz istniał, czy też nie istniałeś, nie istniejesz i nigdy nie będziesz istnieć, tam, gdzie równocześnie garbarz Kor-Bejt pełźnie jak obdarta ze skóry jaszczurka po zawałonej trupami uliczce Jeruzalem, i nieznaną, a pomimo to jakoś bliska żydowska starucha siedzi na wysokim łóżku, nie sięgając nogami podłogi, siedzi z opuszczoną głową, koniec nosa jakby usiłuje dosięgnąć koniuszka brody, starucha zastygła w niedosiężności i kamiennym smutku; mgnienia te jednak mijały i nie bez zadowolenia wracał w sferę powietrzną, w granice egzystencji fizycznej.

Wśród pierwszych odwiedzających był naturalnie jego najważniejszy partner w interesach oraz daleki krewny Norman Blumsdale. Poprosił o piętnaście minut i otrzymał je. Spojrzawszy na niego, Stanley pomyślał, że choroba ma pewne pozytywne strony, zwłaszcza tę, że zupełnie zapomniał o istnieniu Normana. Teraz siedział na łóżku w pozycji lotosu, silnie górując w ten sposób nad swoim wiceprezesem, który zapadł w miękki fotel.

- Dobrze wyglądasz, Stanley - powiedział Norman.

- Ty też, Norm - powiedział Stanley.

Uśmiechnęli się do siebie fałszywie. Kącikiem oka Blumsdale popatrywał w wiszące na ścianie lustro. Przeklęty super-Korbach siedzi w swoim szlafroku jak imperator. Można by powiedzieć, że scena specjalnie została tak zakomponowana, żeby mnie poniżyć, gdybym nie wiedział, że nigdy by mu to nie przyszło do głowy. Wszystko dzieje się samo z siebie. Skurwiel jest po prostu predysponowany przez samą naturę, żeby górować nad przyzwoitymi ludźmi. Stanley poszedł wzrokiem za jego spojrzeniem i uśmiechnął się:

- Wybacz, że ja na wierzchu, stary: to przecież szpital.

- Nie szkodzi, nie przejmuj się - odparł Norman.

Oszust jesteś i nudziarz, myślał Stanley. Pogodziłbym się z twoimi ciemnymi sprawkami, gdybyś nie był tak potwornie nudny. Ciekawe, co Marjorie znalazła w tym mopsie. Może jest dobrym kochankiem? Norman otworzył teczkę.

- Pozwól, że poinformuję cię krótko o naszej aktywności w okresie twojej, hm, aktywności medycznej. Frabinda odwołała zamówienie na zakup Syracuzers, ale za to zaproponowała siedemset milionów gotówką za dwanaście milionów akcji Ismail Ladda. Żeby nie wywoływać paniki, zdecydowaliśmy podnieść stopę na piętnaście procent, mając na uwadze, że Kibbles

Quantra nie zdoła kupić więcej niż dwadzieścia procent naszej Compaq Oracle - powinieneś pamiętać tę sprawę - na warunkach *poison pills* prowizji *bylaws*. - Norman podniósł głowę znad papierów i zobaczył, że Stanley ziewa. To oburzające! Nie ma żadnego szacunku ani dla korporacji, ani dla setek ludzi, którzy ciężko pracują, by znaleźć prawidłowe rozwiązanie. Jak długo mamy znosić te jego ziewania, których nie ukrywa nawet na posiedzeniu zarządu?

- *Okay, okay* - powiedział Stanley i nagle przygwoździł go pytaniem: - Rozmawiałeś z Kirkiem?

- Z Kirkiem? - Norman otworzył usta i zapomniał je zamknąć.

- Pierwsze, co trzeba było zrobić w tej sytuacji, to zadzwonić do Kirka - powiedział Stanley z wyrazem przesytu i nudy.

- Punkt następny. Trzeba skończyć z podnoszeniem naszych stóp, bo właśnie to może wywołać panikę. Punkt trzeci. Zaproponuj miliard za akcje Ismail Ladda. To wszystko.

Norman zamknął usta i zaczął żuć własny język. Jako doświadczony broker od razu zrozumiał, że zaproponowana przez Stanleya strategia, w szczególności sugestia co do możliwej współpracy z Kirkiem Smettenem, jego osobistym przyjacielem i niemal takim samym skurczybykiem jak on, od razu wyjaśni całą sytuację i poprowadzi korporację we właściwym kierunku. Wszystko teraz było takie proste! Czemu nikomu dotąd nie przyszło to do głowy? Prostota, powtarzał zazwyczaj Stanley na posiedzeniach zarządu, oto czego potrzebujemy w naszych czasach, kiedy legiony pośredników rwą naszą ekonomikę i finanse na części. Cóż, trzeba oddać sprawiedliwość jego decyzjom, przypominającym cięcia szabli.

- Tak nie można - powiedział z oburzeniem. - Mimo wszystko nie jesteś Assurbanipalem w AK&BB!

Stanley wstrząsnął się i popatrzył na niebo z niewesołym uśmiechem.

- Masz na myśli Assurbanipala czy Nabuchodonozora?

Norman wyskoczył ze swojego ponizającego fotela.

- Wszyscy wiedzą, że jesteś bezpośrednim potomkiem założyciela, że twój osobisty majątek stanowi znaczną część naszego budżetu, ale mimo wszystko, rozumiesz, mimo wszystko stoisz na czele korporacji pod koniec dwudziestego wieku, to przecież nie jest księstwo feudalne!

- Siedem - powiedział Stanley.

- Co siedem? - ryknął Norman jak wariat.

- Wybacz, Norman, ale zostało ci tylko siedem minut. Chory pooperacyjny musi odpocząć

z książką Rabelais'go przed nosem.

Wspomnienie o książce, do tego jeszcze nieznanego rozmówcy autora, doprowadziło wiceprezesa do szału. Skurwysyn, zawsze stara się mieć przewagę intelektualną - i filozof, i historyk, a teraz jeszcze znawca literatury o wysokim czole! Kierowanie korporacją to dla niego sprawa drugorzędna, naprawdę liczą się rzeczy wyższe, genealogia, patrzcie go, arystokrata się znalazł, rekonstrukcja przeszłości! Blumsdale nie mógł się już powstrzymać.

- Nie będę zaskoczony, panie prezesie, jeśli na jednym z najbliższych posiedzeń zarządu zostanie postawiona kwestia pańskiego kierownictwa. Współczesny świat finansów to struktura zbyt złożona i nie możemy sobie pozwolić na utrzymywanie na szczycie piramidy nieodpowiedzialnego, by nie powiedzieć nie w pełni... nie w pełni... no właśnie, człowieka!

Stanley wybuchnął śmiechem.

- Oj, nie w pełni, to prawda! W pełni nie w pełni!

Normanowi wydało się, że posunął się za daleko.

- No wiesz, po prostu słyszałem coś ostatnio na twój temat. Jako stary przyjaciel i bliski krewny chciałem cię po prostu uprzedzić o tych pogłoskach, które bynajmniej nie są nieszkodliwe. Nie zapominaj, że wszyscy jesteśmy pod ogromnym szkłem powiększającym!

- Norman! - huknął Stanley.

- Tak, *sir*, jesteśmy pod ogromnym szkłem powiększającym! - jęknął wice. Na ułamek sekundy oczy wyszły mu z orbit niczym soczewki w obiektywie aparatu.

- Pod ogromnym? - z zachwytem wykrzyknął prezes. - Chciałbym wierzyć, że to prawda.

On ma na myśli coś innego, pomyślał Norman i ciągnął:

- Stanley, jestem od ciebie o dziesięć lat młodszy, należymy do różnych pokoleń, ale mimo wszystko jestem synem ulubionej kuzynki twojej matki!

Stanley znacząco podniósł palec wskazujący.

- Ciocia Deborah była w znakomitej formie, kiedy cię urodziła.

Norman opędził się od tego zdania jak od uprzykrzonej muchy:

- Nie przerywaj mi, proszę! Zostało mi zaledwie pięć minut, a muszę jeszcze pogadać z tobą o jednej ważnej sprawie. A raczej nie tyle o sprawie, co o osobie. Tak, nadal twierdzę, że o osobie! Chcę ci powiedzieć pewną rzecz o pewnej osobie. Tak, mówię o Marjorie, Stanley! Marjorie to nie tylko piękna dziewczyna z mojego pokolenia, to także najwrażliwsza i najdelikatniejsza kobieta ze wszystkich, jakie spotkałem na swojej drodze! I chciałbym

podkreślić, że odnosisz się do swojej żony źle, drogi przyjacielu. W tych dniach wróciła ze szpitala we łzach. Skarżyła się, że oblałeś ją zimnym prysznicem. Z całego serca pragnęła do ciebie dotrzeć, a ty odpowiedziałeś jej swoją zwykłą ironią. Ironia w odpowiedzi na współczucie to nie jest w porządku. Nie tak powinienes się odnosić do matki swoich dzieci. Wyłącznie nasza przyjaźń i więzi rodzinne uprawniają mnie do poruszenia tej kwestii. W głębi duszy marzę, żeby nasz klan Korbachów-Blumsdale'ów był wcieleniem harmonii i miłości!

Prezes patrzył teraz uważnie na swojego wice. A zatem, jak widać, nie jest aż takim nudziarzem. Śpi z moją żoną i marzy o harmonii rodzinnej. Być może on także jest „nie w pełni”? A może tak go ośmieliła specyfika mojej operacji? Ta myśl niespecjalnie spodobała się prezesowi. Czuł, że zaczyna ryczeć. Zaraz mu pokażę prawdziwy lwi ryk Assurbanipala

Nabuchodonozora. Ryk zaczął się w niskiej tonacji, jak gdyby z najodleglejszej głębi czasu. Z każdą sekundą nabierał mocy, zupełnie jakby w sali ktoś uruchomił silnik myśliwca tomcat: „Precz stąd, oszuście!” Jeszcze ten grom nie przebrzmiał, a pokój był pusty. No, to teraz wiedzą, sukinsyny, że lew nadal jest żywy. Wyciągnął się na łóżku i utkwiał nos w tomie Rabelais'go, otwartym na scenie bitwy z siłami króla Picrochole'a. Boże, ogrzej mnie swoim szkłem powiększającym, tylko nie oparz mnie, *please*, Stwórco!

Następni odwiedzający byli o wiele przyjemniejsi. Pojawił się Alex Korbach i rodzona córka od muzy kina, Nora Mansour.

Ojciec dawno już się dowiedział, że Hedgie ma poważny romans z przedstawicielem rosyjskich Korbachów. Nie miał nic przeciw temu. Pokrewieństwo było przecież na tyle odległe, że w żadnym wypadku nie można było ich miłości nazwać kazirodztwem, miłościwi panowie. A niezależnie od wszystkiego, nie podobał mu się legalny mąż Nory. Naturalnie wiedział więcej o tym wyrafinowanym paryżaninie niż jego córka. Gdy tylko siedem lat temu świeżo poślubiona para pojawiła się w Halifax Farm, zamówił dossier młodego człowieka w pewnej wysoko wyspecjalizowanej prywatnej agencji.

Omar pochodził z dużej i bardzo zamożnej rodziny libańskich arystokratów. Częściowo muzułmanie, częściowo chrześcijanie, ludzie ci uważali się nie tyle za Arabów, co za Fenicjan, twierdząc, że ich korzenie sięgają czasów półmitycznych kupców i żeglarzy antyku. Wszystko w porządku - chcecie być Fenicjanami, bądźcie sobie. Gorzej, że Omar miał dość podejrzaną związek z najbardziej ekstremistycznymi siłami politycznymi na Bliskim Wschodzie. Chodziły

nawet słuchy (niepotwierdzone), że pod odrażającym *nom de guerre* Putak dowodził niewielką prywatną armią w czasie bejruckiej rzezi. Stanley Korbach nie miał oczywiście zamiaru upubliczniać swoich wiadomości o smagłym, znakomicie zbudowanym młodzieńcu, podobnym do męskiego modela z reklam w „The New York Magazine”, ty jednak, miłościwy panie, możesz, naturalnie, zarezerwować sobie prawo do otrzymania informacji uzupełniającej.

Troskliwy ojciec wyniuchał nawet to, że Nora i Omar po raz pierwszy wystąpili razem pod koniec lat siedemdziesiątych w Paryżu na jednym z przyjęć organizowanych przez lewicującą cyganerię, gdzie na wzmiankę o EAction Direct zapadało wieloznaczne milczenie. Widział, naturalnie, że ukochana córka po hysterii Berkeley zapadła po uszy w archeologię, ale zdawał też sobie sprawę, że Hedgie do tej pory na dźwięk słowa „ruch” zaczyna szybciej oddychać.

Doniesiono mu, że następnego dnia po przyjęciu miał miejsce zadziwiający zbieg okoliczności: młodzi ludzie spotkali się na pokładzie samolotu El Al lecącego do Izraela. Sam los, zdawało się, kierował ich peregrynacją. Omar wynajął pokój w telawijskim Hiltonie, Nora zamieszkała w obozie archeologów koło Aszkelonu, to znaczy zaledwie o trzydzieści mil. Znając Norę, łatwo można było sobie wyobrazić rozwój wypadków. Wszystko to zrozumiałe, myślał Stanley, kartkując raport agentów, nie rozumiem tylko, dlaczego się pobrali. Czyżby wykonywał zadanie mające na celu przeniknięcie do wewnątrz korporacji?

Mansour nie podobał się Korbachowi. Nie podobało mu się, jak zięć patrzy na niego przez stół albo na polu golfowym z dość bezczelnym wyrazem przystojnej twarzy, całkiem jakby on też miał dossier teścia. Przez eleganckie maniery paryżanina przebijał czasem dziwny wyraz bezspornej wyższości, dość typowy dla ważnych i wpływowych ludzi Wschodu. Patrzą oni na człowieka tak, jakby dysponowali kluczem do jakiejś bezlitosnej mistycznej siły, zdolnej roznieść na strzępy „niewierny Zachód”. Najbardziej nieprzyjemne było jednak to, że Stanley nie mógł sobie wyobrazić, że Hedgie śpi (czy spała) z tym facetem. Z łatwością natomiast i z aprobatą mógł sobie wyobrazić, że śpi ona z Saszą Korbachem. Co może być bardziej naturalnego? Kopulujcie na zdrowie, moje dzieci!

- No i jak tam się panu rabelaizuje, Wasza Wysokość panie Pantagruel? - takimi słowy przywitał Stanleya Sasza.

- Dzięki Bogu, nieźle, Wasza Wysokość Królu Błaznów! - brzmiała odpowiedź super-Korba.

Nora po raz pierwszy widziała ich razem. Jak się to państwu podoba, chłopcy płoną do siebie wzajemną sympatią! Kiedy zdążyli tak się zaprzyjaźnić? Nie wiedziała, że w ciągu trzech lat,

które upłynęły od czasu, gdy zaczął się ich romans, Stanley i Alex wielokrotnie spotykali się w LA i spędzali całe godziny na dyskusji o Dancie, Rabelais' m, Józefie Flawiuszu, Owidiuszu, imperium rzymskim i malutkiej Judei oraz jej dziwnej, uporczywej walce przeciwko zwycięskim legionom, a także o istocie judaizmu - czy powinien na zawsze pozostać taki surowy i ascetyczny, odwrócony od ziemskich rozkoszy, jak w czasach Szkoły Jawnej? - jak również o Janie Chrzcicielu i abluacjach wczesnych esseńczyków...

Czy mamy wymieniać i inne tematy ich rozmów, Teofilu? Pozwól, że wymienimy: Nowy Jork jako „nowy Rzym”, z jego hordami barbarzyńców szturmujących każdego dnia stolicę światowej konsumpcji; Moskwa jako „nowy Rzym” w wariacie socjalistycznym, z jej własnymi barbarzyńcami, płonącymi żądzą konsumpcji, póki co jednak stojącymi w pół-głodujących kolejkach; schyłek imperium i schyłek Ziemi jako takiej - nie będzie przecież istnieć wiecznie; czas jako pułapka czyhająca na śmiertelnych i podróże poza granicami tej pułapki pod wpływem niektórych substancji; przestrzeń powietrzna - czy zawsze będziemy mieli wystarczająco dużo powietrza i czy w pozaziemskich koloniach ludzie będą umieli wytwarzać powietrze i utrzymywać je wokół siebie; wiatr, ten bajeczny dar Boży, bez którego nie doszłoby do powstania poezji lirycznej - a zatem w pozaziemskich koloniach nie będzie poezji?; żeglarstwo - czy pobijemy w następnym sezonie przeklętych Australijczyków?; radziecka fascynacja sportem jako manifestacja kompleksu niższości; Żydzi rosyjscy, którzy w roku 1917 pomogli rozpalić rewolucję, by stać się następnie jej najbardziej upragnioną ofiarą - doprawdy, typowo żydowski sposób tworzenia historii! Pasternak, który stał się bardziej rosyjski niż wszyscy Rosjanie, który ze swoją „wysoką chorobą” wyraził najsubtelniejsze emocje Rosjan w odniesieniu do ziemi i rodziny, który jako odstępcza od wiary ojców, podobnie jak Józef Flawiusz, wzywał do asymilacji z głównym narodem, za co został przez wszystkich zgodnie wychłostany u słupa; sprawa czystości etnicznej i małżeństw mieszanych - dlaczego żydowscy orędownicy czystości tak uporczywie obstają przy zasadzie, że Żydem może być tylko ten, kto ma matkę Żydówkę - czy nie rodzi to jakiejś głębokiej niejasności, biorąc pod uwagę sumeryjskie pochodzenie praojca Abrahama i wszystkich tych Kanaaneńczyków, Amalekitów, Ammonitów, Filistynów, Greków i Rzymian, wśród których przyszło żyć tak długo naszemu narodowi, włącznie z naszymi matkami? Czy nasz naród został wybrany dzięki krwi, czy dzięki wierze w jedyne Boga? Jedyny, Wszechmocny, Niewidzialny Bóg, Którego Imienia Nie Wolno Wymieniać, jest niepojęty dla śmiertelników - czy nie dlatego ludzkość przez całe swoje dzieje próbowała

zhumanizować tę ideę w postaci mnóstwa bogów pogańskich, a potem proroków i świętych; człowiek - to baranek ofiarny Wszechświata i żeby dodać nam otuchy, Pan zesłał swoją inkarnację, Jezusa Chrystusa, okazując w ten sposób, że przechodzi wraz z nami nasze męki. Czyż nie są tworem bożym wszystkie te antropomorficzne obrazy mitologii pogańskiej? Tłum mieszkańców Olimpu - to poezja karnawałowa, która pomaga człowiekowi się trzymać; jakie piękne są te mitologiczne monstra w kontekście światowego amfiteatru i kim byłby Herakles bez Hydry i Cerbera; humor i śmiech jako najcenniejsze boskie dary dla rodzaju ludzkiego, bez których bylibyśmy skazani na obrócenie się w ponurych autodestrukcyjnych idiotów; seks, który wydaje się bezpośrednio związany z grzechem pierworodnym, a równocześnie zawiera w sobie świętą pociechę i inspirację; wino, które zostało nam dane jako jeszcze jedna święta pociecha (szampan Clicot), ale zostało skażone przez Nieczystego i stało się przekleństwem (wódka Stolicznaja)... Cóż tam jeszcze?

W tym momencie zatrzymamy się na chwilę, by złapać oddech. Technika literacka rozciągnęła się ponad miarę. Piszę te linijki, siedząc w pokoju z widokiem na morze, na szczycie bazaltowego wzgórza, w starej twierdzy Visby, wyspa Gotlandia. Tuż przed tym wzgórzem wznosi się na tle morza jasnoszary gmach katedry Najświętszej Marii Panny z gargulcami i złotym kogutem na iglicy. Mój pokój znajduje się na poziomie górnych okien katedry, tak że oglądam plac i drzwi jak gdyby okiem jednej z harpii. Dachy miasteczka, kryte czerwoną dachówką, schodzą w dół ku morzu, które w zachodzącym słońcu zmienia kolor za każdym razem, ilekroć podnoszę głowę znad rękopisu - od delikatnej różowej akwareli do ciemnej barwy oleju o grubej fakturze, na którym śmiałymi pociągnięciami pędzla rozrzucono żagle jachtów. Macie więc dzieło malarskie, warte dziesięciu minut przerwy; drugi oddech bruździ już zachodnie wody, wracam do opowieści.

Niejeden raz rozmawiali o niewłaściwym pojmowaniu Rosji przez większość Amerykanów. Z jakiegoś powodu Rosja jest uważana za nudny kraj. Współczujecie nam, „biednym ruskim”, ale równocześnie powstrzymujecie ziewanie. Nawet nie próbujecie zrozumieć, jakie to trudne - być Rosjaninem! Tak powiedział jeden z nich, drugi zaś kiwnął głową, w pełni się zgadzając.

No to pogadajmy teraz o niezrozumieniu Ameryki przez Rosjan. Traktujecie nas jak prostackich, pragmatycznych kowbojów, pozbawionych jakichkolwiek subtelniejszych uczuć, a także poczucia tragedii i nostalgii. Tak rzekł jeden z nich, drugi zaś kiwnął głową, w pełni się zgadzając.

Mówili także o samochodach, koniach, psach, kartach, popijawach, prostytutkach, z którymi obaj mieli do czynienia w różnych okresach życia, jednym słowem rozmawiali jak przyjaciele.

W toku tych rozmów, sporo wypiwszy i pijąc coraz więcej, niemal do stanu totalnego nawalenia, przechodzili do kwestii wzajemnego szacunku. Prawdziwi mężczyźni powinni żywić do siebie to uczucie bez niepotrzebnych słów. Całkowicie bez nich. W ogóle żadnych niepotrzebnych słów. Trzeba je wszystkie powystrzelać, te niepotrzebne słowa. Wytępić jak karaluchy. Cisnąć do Potomacu, żeby nie zbecześciły naszego trunku. Zamiast niepotrzebnych słów powinien rozbrzmiewać jazz. Doszedłszy do jazzu, kierowali się do Blues Alley. Spostrzegłszy parę krzywonogich dziewczyn, rozmawiali o brzydocie. Brzydota nie jest w stanie zniweczyć światła wewnętrznego. Nie, nie, w żadnym wypadku nie skryje wewnętrznej urody. Panienci tymczasem siusiały za pojemnikami na śmieci, paliły i śmiały się, śmiały i śmiały.

Wszystko, co zostało wyżej powiedziane, nie mogło jednak zlikwidować pewnej cenzury w ich rozmowach. Istniały dwa tematy tabu, co do których milcząco zgodzili się, by ich nie poruszać. Pierwszym było to, jak Alex daje sobie radę w Ameryce. Nic nie było prostsze dla Stanleya, niż pomóc kuzynowi czwartego stopnia urządzić się z maksymalnym komfortem albo załatwić mu protekcję w świecie filmu, albo i jedno, i drugie. Niestety, ich relacja ułożyła się tak, że nie próbował nawet zająknąć się na ten temat. „Hej, facet, widzę, że u ciebie wszystko w porządku” - mówił czasem na powitanie i milkł, jakby pozostawiając pewną przestrzeń dla skarg czy choćby ciężkiego westchnienia. Za każdym razem Alex odpowiadał: „Zażaleń brak” - i przechodzili do jednej z wyliczonych wyżej kwestii.

Drugim zakazanym tematem była Nora. Nawet jeśli Stanley zachowywał się w nietypowy dla miliardera sposób, mimo wszystko był miliarderm, a ludzie ci zawsze chcą wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w ich najbliższym otoczeniu, a co dopiero o miłosnych sprawkach córek. Nie warto nawet wspominać, że niemal od samego początku wiedział o ich romansie, nigdy jednak nie powiedział na ten temat ani słowa. Nie pytał Aleksa, czemu tak często lata do Waszyngtonu, tak jakby nie było nic szczególnie zaskakującego w tym, że kalifornijski parkingowy odwiedza stolicę narodów co najmniej dwa razy w miesiącu. Nie nadmienił i o tym, że Nora opowiedziała mu o swoim uczuciu. Dopiero niedawno, już ze szpitala, zadzwonił do nowego waszyngtońskiego mieszkania Aleksa i w ten sposób jak gdyby zalegalizował „temat Nory”. Zbliżająca się operacja pomaga czasem zlikwidować niezręczność w naszych stosunkach z przyjaciółmi.

Tak czy owak, weszli do jego sali, kształtni, rozbawieni, swobodnie ubrani, promieniujący miłością i dobrym humorem.

- Słuchaj no, mój bracie, królu błaznów, a jakbyś tak się ożenił z tą księżniczką, twoją bratanicą piątego stopnia? - spytał na głos Stanley nieoczekiwanie dla siebie samego. Tamci co najmniej minutę siedzieli z otwartymi ustami, wreszcie wybuchnęli śmiechem. - Jestem pewien, że oboje myśleliście o tym, łobuzy, tylko nie zdobyliście się, żeby powiedzieć to głośno i wyraźnie - ciągnął Stanley, napawając się ich zmieszaniem.

- Cóż za interesujący, doprawdy homerycki pomysł! - zawołał Alex.

- Homerycki, powiedziałaś? - spytał Stanley ze smakiem.

- Tak, *sir*, doprawdy homerycki.

- Wybaczcie, panowie, ale zamierzacie chyba wydać za mąż kobietę zamężną? - wtrąciła się Nora. Siedziała z afektowanym, by nie powiedzieć purytańskim wyrazem twarzy.

Władcza dłoń ojca wykonała gest odrzucenia.

- Im prędzej wyprawisz w drogę swojego Fenicjanina, tym lepiej. My, Żydzi, a tym bardziej Korbachowie, powinniśmy trzymać się razem.

- Mądrość przemawia przez usta Waszej Wysokości! - rzekł Alex.

- Cóż może być bardziej naturalnego niż małżeństwo wuja i bratanicy? Mądrość godna Jehudy Ha-Nasiego, głowy Sanhedrynu! - Nora z purytanki zmieniła się już w światową damę z epoki „Dlaczego warto być szczerym”. - Obawiam się, że przeoczyliśmy pewien moment w naszych rozmowach o szczęśliwej rodzinie. Narzeczoney, obawiam się, też jest jakby z lekka żonaty, prawda?

Alex poklepał się w czoło.

- Dziękuję za przypomnienie, *lady*. Doszły mnie słuchy, że moja prawna małżonka Anisja wyszła za mąż za haitańskiego księcia. Mieszkają teraz w luksusowej willi w Port-au-Prince.

- Można im pozazdrościć - westchnęła Nora.

- Mam nadzieję, że nie piją wody z kranu w tym Port-au-Prince? - z troską spytał Stanley.

- O ile pamiętam, nigdy nie piła wody z kranu - zauważył niewinnie Alex.

- *Okay*, nawet w kontekście zimnej wojny wasze małżeństwa są bez znaczenia, moje dzieci - orzekł super-Korb. - Porozmawiajmy o sprawach praktycznych.

- Mowa o naszym ślubie, Saszka - wyjaśniła niepoprawna Nora.

- Wiem o tym! - warknął Alex.

- Dość tych żartów! Koniec z ironią! - krzyknął ze złością Stanley. - Kpiny i ironia to umysłowa rozwiązłość. Umysł powinien być poważny, jak mi ktoś niedawno powiedział. Pogadajmy o sprawie.

Przede wszystkim dlaczego jestem zainteresowany waszym ślubem i dlaczego chcę, by stało się to jak najszybciej. Wiadomo wam, że amerykańscy i rosyjscy Korbachowie powstali przez zapłodnienie jednego jajeczka Dwojry dwoma plemnikami Gedalego. Powinniśmy pozostać jednym klanem, ale rosyjska rewolucja niczym miniapokalipsa rozmiotła wszystkich i wzniosła między nami niemożliwa do pokonania górę. Słuchacie mnie, dzieci? Przestańcie chichotać! Teraz pojawiła się przed nami jedyna w swoim rodzaju szansa, by tę górę pokonać, uwolnić się od skutków katastrofy i w nieortodoksyjny sposób stworzyć nową metafizyczną wspólnotę. W naszym przypadku interesuje mnie metafizyczna wspólnota.

Oboje nie jesteście zbyt młodzi, mówiąć delikatnie. Alex ma czterdzieści siedem lat, chociaż wygląda na trzydzieści siedem, ty, Hedgie, masz trzydzieści siedem, chociaż wyglądasz o piętnaście młodziej. Nie, Hedgie, nie o dwadzieścia, zaledwie o piętnaście! Kochacie się i, jak rozumiem, lubicie się ciupciać, a zatem jeśli w którymś momencie przestaniecie stosować pigułkę czy gumę, będziecie mogli począć i urodzić sympatycznego nowego Korbacha, naprawiając historyczną niesprawiedliwość.

Teraz niektóre kwestie praktyczne, które powinienem omówić jako magnat finansowy czy, używając ulubionego określenia pobratymców Saszy, rekin Wall Street. Wiem, że macie w nosie odrażające dobra doczesne waszego tatusia i przyszłego teścia. Jesteście niezależni, tak, tak! Wątpię, czy Mrs Mansour wydała choć jeden libański funt z nieograniczonych zasobów swojego męża. Ma własny stały dochód, na który składa się pensja profesora Pinkerton University oraz solidny procent od nakładu książki *Higiena starożytnych*, w której opis zabiegów kąpielowych Kleopatry wprawia w drżenie naszych oświeconych czytelników.

Co się tyczy Mr Korbacha - powinienem chyba powiedzieć profesora Korbacha - to, otrzymawszy na razie niewielką część swojego przyszłego prestiżu, również staje się posiadaczem stałego uniwersyteckiego dochodu. Możliwe, rzecz jasna, że dochód ten nie jest zbyt imponujący w porównaniu z tym, co zarabiają pracownicy parkingu w Westwood (czytelniku, uwaga!), wolny jest jednak od ryzyka i złych przeczuć, tak typowych dla pracy w parkingowym biznesie.

Ach, to tak? Aleksander popatrzył Stanleyowi prosto w oczy. Tamten kiwnął potwierdzająco głową i spojrział z ukosa na Norę. Najwyraźniej nic nie wiedziała o pozalekcyjnej działalności ukochanego, pozostającego pod opieką tajnych służb AK&BB Corporation. Nie musi wiedzieć. Stanley mówił dalej:

- A zatem, choć mam przed sobą dwoje pracowitych intelektualistów, przy całym moim szacunku dla waszej niezależności chcę was skusić niezłym posagiem...

- Co?! - zawołała Nora. - Czy mnie uszy nie mylą? Proponujesz mi posag? Czy ty przypadkiem nie...

- Milczeć! - przerwał jej ojciec, ale bez widocznej złości. - Tak, chcę dać mojej córce posag, jak robili to przed wiekami wszyscy moi przodkowie, na przykład *serw* Samuel Korba de Leon dał swojej córce tuzin pierwszorzędných koni, trzy kufry aksamitnych i koronkowych sukien, trzy kufry porcelany i srebra stołowego, okręt, hacjendę...

- Ojczy! - wyszeptala błagalnie Nora.

- Wybacz, Stanley, a gdzieś ty widział ten posag *señora* Korba de Leon? - zainteresował się Aleksander. - W jakim archiwum?

Stanley rzucił mu spłoszone spojrzenie.

- Nieważne gdzie, widziałem i już! - Roześmiał się z ulgą. - Chcę po prostu powiedzieć, że to moje prawo zaproponować córce posag, a ty masz naturalnie prawo odmówić jego przyjęcia.

A zatem proponuję ci w posagu perłę naszego imperium, dom towarowy Aleksander Korbach w Nowym Jorku. Tak, tak, przyjacielu, ten sam, który wzięłeś na początku książki za prezsionek Sądu Ostatecznego.

- Cudownie! - Nora splotła palce w stylu dawnego melodramatu. - Jakże hojnego mam ojca! Alex, złotko, czy mogłeś kiedykolwiek przypuszczać, że ta świątynia luksusu stanie się naszą własnością? Wyobraź sobie nasze kochane dziatki, podwójnych Korbachów, jak dzień w dzień jeżdżą sobie wszystkimi osiemnastoma windami w górę i w dół, w górę i w dół!

- Zabawne, podwójni Korbachowie w osiemnastu windach! - śmiał się Stanley.

- A co z twoim ulubieńcem, Artem Duppertatem? - błaznowała dalej Nora. - Czy on także wchodzi w skład posagu?

Stanley spoważniał nagle.

- O Arta się nie bój. - Następnie znacząco spojrział na zegarek, odchylił się na poduszkę i zamknął oczy.

- No i co powiesz o tym wszystkim? - spytał Aleksander, skoro tylko świeżo zaręczona para opuściła ogromny parking.

Nora westchnęła.

- Boję się o niego. Mam nadzieję, że to tylko następstwa głębokiego znieczulenia i że wszystkie te posagi, podwójni Korbachowie, aluzje do katalońskich przodków wywietrzeją w miarę zdrowienia. Nie wie, że siedziałam przy nim, kiedy był w narkozie. Słyszałam, co wtedy mamrotał, i poczułam się dziwnie: było w tym coś odległego, coś takiego, no wiesz... Wiem, że Marjorie i Norman szpiegują go. Ostrożnie próbują wznowić rozmowy na temat jego niepoczytalności. Ty nie znasz historii jego trzech „zniknięć”. Wygląda na to, że szykuje się do czwartego.

Starając się utrzymać dystans między autorem i jego postaciami, gotowi jesteśmy jednakże podziękować Norze za wzmiankę o Arcie Duppertacie, tym energicznym przedstawicielu pokolenia *yuppies*, które zastąpiło pokolenie *hippies* i tym samym wniosło konstruktywny wkład w liczne sfery naszego życia, nie mówiąc już o sławetnym „kryzysie miast”.

Mam nadzieję, że czytelnik nie będzie miał nic przeciw temu, jeśli zwrócimy jego łaskawą uwagę na pewien detal fonetyczny naszej opowieści. Wszystkie trzy słowa, które wskoczyły obecnie na stronicę - *yuppie*, *hippie* i Duppertat - mają w środku podwójne „p”. Dziwne to zjawisko przydaje im, naszym zdaniem, pewnej specyficznej energii wybuchu, nieprawdaż? Zawsze kładź nacisk na *dubble p*, *darling*, radzi Art swojej czarującej i wciąż jeszcze tak młodej żonie Sylvie. Nie żuj go jak ostatnią nitkę spaghetti, wymawiaj z naciskiem, podkreślaj, prawie jakbyś kichała, ponieważ jest to pieprz naszego nazwiska!

Postaci, postaci, ach, te postaci, powiemy w stylu lirycznych dygresji pana Gogola. Czyż to nie problem dla powieściopisarza przez cały czas mieć je w głowie, zmuszać, by wchodziły ze sobą w relacje, prezentować przynajmniej jaką taką logikę ich postępów, doszukiwać się w nich nowych cech, to znaczy opisywać je w trakcie rozwoju, popychać je od czasu do czasu do lustra, żeby się sobie przyjrzały, albo nieoczekiwanie otwierać im okno na świat wolności, powietrza i ptaków, to znaczy nie porzucać ich w ciemnych, zasnutych pajęczyną składzikach niby zapomniane marionetki, wyciągać je stamtąd niekiedy, dawać im porządną fonetyczny prysznic, solidne, zdrowe śniadanie, piwo do lunchu, szampana do kolacji, w ogóle odnosić się do niech

właściwie, jak do równych, inaczej w którymś momencie możecie odkryć, że uciekły z zapleśniałych kątów i podniosły przeciw wam bunt w odległych prowincjach, żądając większej roli w książce, a nawet nalegając na abdykację autora i ustanowienie jakiejś własnej *hippie-yuppie-pepper-puppet-Dappertutto-republiki*.

Jeśli natomiast okażecie waszym postaciom pełen szacunek oraz uwagę dla ich wypielegnowanej w składzikach idei ograniczonej autonomii, będziecie mogli w ostatecznym rozrachunku zmienić swoją twórczą mękę w radosny karnawał, gdzie postaci będą się zachowywać zgodnie z założeniami książki, we właściwym czasie wchodzić i wychodzić, a kiedy trzeba, tańczyć wokół naszych wspólnych słownych fontann, drogi twórczy czytelniku. To nie przejęzyczenie ani pochlebstwo - naprawdę dzielię czytelników na twórczych oraz „pozostałych”, różnych tam Skamiejkinów, i tego właśnie twórczego czytelnika, a nie Skamiejkina, uważam za prawdziwego współautora książki. Mówiąc serio, każdy akt czytania tworzy nową wersję książki; to tak jak w jazzie. I niech nas Bóg zachowa od mechanicznego czytania Skamiejkina, który nawet *filet mignon* zmiele na szwedzkie klopsiki, ale to już z innej opery, miłościwe panie!

A teraz pozwólcie mi uchylić nieco zasłony, by obnażyć parę literackich podstępów i zamęt za kulisami. Zresztą i bez tego domyślacie się już najwyraźniej, iż zmieniamy kolejkę odwiedzających Stanleya Korbacha w swego rodzaju paradę postaci, której celem jest przypomnienie czytelnikowi głównych bohaterów tej opowieści.

Wchodzą Duppertatowie. Trzydziestodwuletni ojciec rodziny. Wciąż ten sam sprężysty krok. Ta sama przyjazna powierzchowność. Pełna gotowość do podchwycenia każdego żartu, przetworzenia go w ciągu sekundy za pomocą wszystkich mózgowych chipów i zwrócenia bez zwłoki we wzbogaconej postaci.

- Hej, Stanley, wyglądasz jak najzdrowszy teść na świecie!

Nie wie jeszcze, że za rogiem czeka na niego kolejny znaczący sukces, ogólnie biorąc gotów jest przyjąć dowolny sukces w dowolnym czasie. Co tam jeszcze nowego? Słusznie, drogi czytelniku - wąsy! Godny uwagi nabytek a la generał Kitchener, o dwóch z lekka podkręconych skrzydłach, za każdym razem wskazujących przeciwległe strony świata. Te dwie czujne anteny nie skojarzą nam się już z Pulcinellą jak poprzednio, przywiodą nam raczej na myśl Basilia, mistrza miłosnego napoju. Cóż tam jeszcze w skali zdrowego rozsądku, panowie? Zęby nie

wyglądać na zbyt zadufanego w sobie, nie mogę nie wspomnieć o wybitnych sukcesach komercyjnych Arta. Uzyskawszy mocną pozycję jako producent nie wiadomo dlaczego tak piekielnie popularnych „zabawek dla dorosłych dzieci”, został solidnym akcjonariuszem AK&BB Corporation, a i jego własna firma rozrastała się z roku na rok.

Teraz, by zgodnie z naszymi zasadami nie bawić się z czytelnikiem w kotka i myszkę, wyjawimy pewien gotów do wyjawienia sekret. Otóż szykując się do swojego „Czwartego Zniknięcia”, Stanley Korbach podjął decyzję o ustanowieniu zięcia jednym z najbardziej wpływowych wiceprezesów swojej AK&BB z roczną pensją... och, dość, nie trzeba dodatkowo posypywać solą tyłu ran... no i, ma się rozumieć, z określonym procentem od globalnego zysku. Tak już nasza Ameryka odnosi się do swoich ulubieńców: jeśli postanowiła uczynić kogoś bogatym, nie zna pod tym względem żadnych granic.

Biorąc to wszystko pod uwagę, właściwie nie powinniśmy martwić się o Arta, a tymczasem mimo wszystko się martwimy.

Od czasu do czasu znajdujemy go w stanie jakiegoś dziwnego roztargnienia. Wydaje mu się, że z roku na rok coraz bardziej traci coś znacznie ważniejszego niż gromadzenie dóbr, pewną alternatywę, ten wabiący chaos życia, z którym zetknął się pewnego razu w osobie pijanego rosyjskiego czubka, który do czasu napisania tego zdania prawie że został członkiem jego rodziny. Obawy nasze podziela miła żona Arta, jego „słodkie serduszko” Sylvie, która nie przyznaje się nawet sama przed sobą, że ma pewne wątpliwości co do „stabilności” Artura.

Moglibyśmy powiedzieć: „Pani wątpliwości są niczym nie ugruntowane, Sylvie”, gdybyśmy nie wiedzieli, że u jej męża wystąpiła skłonność do pewnych nowych gruntów, a mianowicie do gleby rosyjskiej, do Moskwy, mówiąc dokładniej, dokąd jeździł już dwukrotnie pod pretekstem *business research* i skąd wracał w mocno zapuszczonym stanie, niczym kot po sezonie dachowych batalii. Z wypowiedzi niektórych członków grupy Błazny (będziemy jeszcze mieli okazję ich poznać w toku powieściowych perypetii) wiadomo nam, że w stolicy socjalistycznego świata Art nieraz oszołamiał dziewczyny dziwnym wyznaniem: „Rosję mam w sercu. Jest mi potrzebna jako skrucha”.

Co się tyczy naszej młodej piękności, to powinienem sam się pokajać przed wyrozumiałym, mam nadzieję, czytelnikiem. Spotkawszy ją w trzecim rozdziale, wszyscy - nieprawdaż, drogi panie? - byliśmy gotowi zakochać się w tym zachwycającym owocu korbachowskiego drzewa, potem jednak pod wpływem jakichś mglistych wspomnień przenieśliśmy naszą sympatię na

kobiety dojrzałe. Obecnie widzimy, że Sylvie stała się po prostu nie do odparcia, w sensie subtelnych, beatryczopodobnych uczuć. Coś niecoś powinniśmy jednak dorzucić do tej informacji. Od czasu do czasu jej jaśniejącą dotychczas spokojną urodą twarz nawiedzał nowy wyraz. Wyraz ten mógłby pociągnąć was wraz z waszym zachwytem daleko poza ramy platoniczności. Z tym wyrazem, a także z *baby* Haroldem na kolanach, wyglądała nie po prostu na piękność, ale na z lekka obrażoną piękność, co powodowało zawrót głowy u dżentelmenów wyspy Gwadelupa, gdzie często przebywała z dzieckiem.

W podobnych momentach czytelnik mający skłonność do głębszego wnikania w świat bohatera mógłby wyczytać w twarzy Sylvie co następuje: tak, troszczy się pan o mnie jak należy, dziękuję, wywłókł mnie pan z rozpustnego tłumu studentów Columbii, oduczył mnie pan paru nieładnych nawyków, i szalenie to cenię, dał mi pan szczęście w osobie *baby* Harolda, dał mi pan swoją miłość i ochronę w postaci pańskich rąk i odrobinę zanadto owłosionej piersi, ale dlaczego, łaskawy panie, nie widzi pan we mnie osobowości? I tak dalej, no wiecie, tak jak to zawsze bywa z tymi nienasyconymi babami. Pora obecnie zwrócić uwagę na *baby* Harolda, który dawno już siedzi na prawym ramieniu dziadka. Wzięci razem, tworzą prawdziwie mitologiczną scenę: starzejący się gigant z cherubinem na prawym ramieniu. „To dopiero prawdziwy żydowski chłopczyk!” - zachwyca się dziadek.

- Proszę mi wybaczyć, drogi patriarcho - zauważył Art - ale Harold ma pięćdziesiąt procent krwi włoskiej, nie mówiąc już o pozostałych składnikach. Czy to coś panu mówi?

- Dokładnie nic. - Gigant topniał pod malutką pupeczką, a jego czupryna błogo stanęła dęba, zmierzwioną przez drużynę mikroskopijnych paluszków. - Harold jest Żydem, ponieważ jego mama jest Żydówką, a Sylvie jest Żydówką nie dlatego, że jej tatuś jest w przeważającym procencie Żydem, a dlatego, że jej mama jest w jednej czwartej Żydówką ze strony matki, a już maminej mamy mama była Żydówką stuprocentową. Rzecz jasna, żaden przypadek małżeńskiej niewierności ze strony tego łańcucha kobiet nie będzie brany pod uwagę w naszej definicji żydowskości. Mam rację, Harold?

- *Mais oui* - odpowiedział bęben, który dopiero co wrócił z Gwadelupy od niani-Kreolki.

- No, to za wiele jak na dwuletnie maleństwo! - zahuczał zachwycony dziadek.

- *Voilà* - skłonił się skromnie ojciec.

Matka nie powiedziała nic i zdjęła malucha z wieży. Prawie płakała.

Kiedy już wychodzili, Stanley poprosił Arta, by zatrzymał się na parę minut.

- Słuchaj, Art, najwyraźniej wkrótce zniknę.

Ze zdziwieniem zauważył, że zięć patrzy na niego spode łba z miłością i obawą.

- Nie mów tak, Stanley! Dowiadywałem się, *sir*. Z twoim nadzieniem wszystko jest w porządku.

Teść wybuchnął śmiechem.

- I właśnie dlatego zniknę, chłopie! To najlepszy czas, żeby rozpląnąć się w powietrzu.

- Czwarte Zniknięcie? - domyślił się Art.

- Otóż to! - powiedział Stanley z wyrazem całkowitego wyzwolenia. - Odejdę z mojego *fucking* biznesu i z całej tej mojej nadętej wyniosłej kadukowej bezdziedzicznej arystokratycznej rutyny. Czuję się gotów, żeby zrobić coś wartościowego w tym królestwie powietrza, zanim przekształcę się w obiekt kosmiczny. A ty, Art, będziesz moim człowiekiem w zarządzie AK&BB. Zostajesz mianowany pierwszym wiceprezesem. Moje gratulacje, szczęściarzu!

- Nie, nie, Stanley, nie! Proszę, przestań mnie ciągnąć za nogę! - błagał Art, zataczając się, jakby w centrum huraganu. Minęła co najmniej minuta, zanim przyszedł do siebie. I spytał szeptem: - Chcesz, żebym miał oko na Normana?

- Nigdy nie wątpiłem w twoją bystrość - uśmiechnął się teść.

Parada postaci trwa. Wszystkie się chyba zmówiły, by udowodnić Stanleyowi, że świat jest niewzruszony i że Atlas żyje oraz fika nogami, jako że ramiona ma zajęte podtrzymywaniem globu. Między innymi zjawiała się również rumiana jak jabłuszko Rosę Morrows, szefowa kancelarii Halifax Farm, stan Maryland. Towarzyszyła jej współpracownica, blada i korpulentna Lou Lafont. Niewiasty przywiozły mnóstwo pozdrowień i życzeń od sąsiadów z hrabstwa Jornowierbludo, w tej liczbie od sześciu kobiet - Trudie, Lizzie, Laurie, Milly, Lottie oraz Ingeborg, które, zanim pomyślnie wyszły za mąż, tworzyły grupę rockową The Singing Mermaids. Rosę sfotografowała bossa z Lou i poprosiła tę ostatnią, by zrobiła jej dwa zdjęcia z bossem.

Benjamin Duckworth (Wart Kaczki) przyjechał z Nowego Jorku z czternastoletnim adoptowanym synem Rabindranathem. W drzwiach zderzyli się ze wspomnianymi wyżej dziewczętami i poprosili je, by poczekały w recepcji.

- Cieszę się, że mogę poznać członka załogi mojego ojca - powiedział na powitanie

Rabindranath do Korbacha. W charakterze wyjaśnienia zaprezentował numer magazynu „Sail and Motor” z roku 1970, na którego okładce widniało zdjęcie dwóch członków załogi wielkiego jachtu „Australian Nightmare”, dwóch amerykańskich gigantów, czarnego i białego - jeden z pochodzenia Senegalczyk, drugi Żyd. Objąwszy się przypominającymi kłody ramionami, śmiali się, jakby ich jacht nie przewrócił się właśnie kilem do góry, próbując zajechać drogę „Australian Star”.

Stanley był wzruszony, niemniej nie zapominał o sprawie, jaką miał do załatwienia:

- Bądź gotów, Ben - powiedział do syna swojego frontowego druha, czyli tak jakby do własnego syna. - Może zdarzyć się tak, że będziesz mi pilnie potrzebny.

- Kiedy tylko zechcesz, Stanley - padła natychmiastowa odpowiedź byłego spadochroniarza.

Nie zdążyli jeszcze Wart Kaczki i jego adoptowany syn Rabindranath opuścić sali, gdy weszła następna para odwiedzających: nie kto inny tylko Lenore Yablonsky oraz Anthony Arrowsmith. Piękność, której uroda jak dotąd nigdy nie doznała uszczerbku, również obecnie wyglądała wspaniale i kobieco. Hej, no przecież ona jest szczęśliwa, po prostu szczęśliwa, zwyczajnie i bezwarunkowo szczęśliwa, coś takiego!

Anthony ze swoimi dwudziestoma siedmioma z czymś tam latami także prezentował się nieźle: ramiona okrywał czarny płaszcz z peleryną, szerokoskrzydły kapelusz ocieniał bladą twarz, lewa ręka w idealnej rękawiczce trzymała prawą rękawiczkę, dopiero co zdjętą, zaś prawa obnażona dłoń była wyciągnięta ku ojczymowi. Nie wiadomo dlaczego Stanley spodziewał się zobaczyć w niej talię kart, ale się pomylił: dłoń wyciągnięta była w celu uścisku.

Cud nad cudy, Lenore Applowsky (rosyjski wariant jej nazwiska) tego wieczoru sprawiała wrażenie niemal nieśmiałej. Od czasu do czasu rzucała Stanleyowi spojrzenia, w których było coś w rodzaju usprawiedliwienia: nie, nie, Stanley, nic nie zostało zapomniane, ani jedna z naszych płomiennych nocy (i poranków, dodałby on) nie ginie w zapomnieniu, ale cóż mogę począć, mój miły, zakochałam się w tym chłopcu, bądź dla nas wyrozumiały!

Seks, myślał Stanley, ciekawy fenomen, nieprawdaż? Dlaczego ludzie tak przeceniają całe to spółkowanie? Czemu sądzą, że bara-bara automatycznie daje uczucie bliskości i ciepła? Nie zliczę, ile razy spółkowałem z moją żoną Marjorie, a ani razu nie miałem uczucia bliskości i ciepła. Przespaceruj się pod rozbrzmiewającymi echem sklepieniami klasyki, tam, gdzie włóczył się nasz Sasza, zobaczysz młodzieńca Dantego, wpatrującego się w młodziutką Beatrycze. W momencie spotkania był już mężem Gemmy i głową rodziny, ale myśl

o spółkowaniu z nową olśniewającą pięknnością nawet nie przemknęła mu przez głowę. To była namiętność innego rodzaju, niepojęta, z innej rzeczywistości i ani jeden seksualny impuls nie nawiedził jego umysłu ani jego ciał jamistych; tak w każdym razie utrzymują wiersze. A my, nie poeci, ale i nie bydło, każdy przejaw pożądania, każdy numer przyoblekamy w jakieś mgliste, nostalgiczne szaty. To, co nazywamy romantyzmem, to najwyraźniej oddalony o lata świetlne odbłask prawdziwej miłości. Niezdolni osiągnąć romantyzmu, pragniemy chociaż bliskości i ciepła. Nawet ta czterdziestojednoletnia dziewczyna ze swoim imponującym stażem działalności na polu amerykańskiej seksrewolucji popatruje na mnie nieśmiało: „Stanley, nie myśl, proszę, że wszystko zostało zapomniane!”

Przyczyny wizyty Lenore i Anthony’ego były proste. Po pierwsze chcieli, rzecz jasna, wyrazić swoją sympatię rekonwalescentowi-patriarsze i życzyć jak najszybszego powrotu do jego dotychczasowego znakomitego stanu umysłu i ciała, a także do jego ogólnie znanego szlachetnego upodobania do dam (sic!) Proszę także przyjąć życzenia z okazji pańskiego jubileuszu. *Many happy returns!* Po drugie, chcieliby poinformować głowę klanu o swojej decyzji zawarcia małżeństwa. Dwanaście lat różnicy wieku (czternaście, szybko poprawił w myśli Stanley) nie ma znaczenia, jeśli kocha się kogoś tak wszechogarniającą i nieegoistyczną miłością. Problemy stwarza matka Tony’ego, oto w czym rzecz. Razem z wujem Normanem byli po prostu rozwścieczeni naszą decyzją. Rozpaczliwie poszukując wsparcia i ciepłego wzajemnego zrozumienia - tak, ciepłego wzajemnego zrozumienia - zdecydowali zwrócić się z prośbą o błogosławieństwo do Stanleya. Potrzebują także jego mądrej rady: jak zachowywać się w podobnych okolicznościach, jak wytrzymać wrogość rodziny?

Nic prostszego, moje drogie dzieci, odparł natychmiast Korbach, równocześnie zapytując siebie samego, czy niebiosy karzą za podobny cynizm. Prośba nr 1: błogosławieństwo, o które prosicie, zostaje wam dane! Nie mógłbym życzyć swojemu pasierbowi lepszej żony niż ty, Lenore. Prośba nr 2: aby uwolnić się od upierdliwego warczenia mamusi i głupot wujka Normana, powinniście udać się wkrótce w podróż dookoła świata, na zasadzie miodowego miesiąca. Wybierajcie, co wolicie - czarterowe loty czy znakomity jacht żeglarza Tony’ego. Jeśli są wam potrzebne pieniądze, skontaktujcie się z Artem Duppertatem z naszej centrali, on się zatroszczy o tę sprawę.

- Art Duppertat? Z naszej centrali?! - zawołał Anthony z jakąś niestosowną intensywnością.
- Ach, Art Duppertat - przeciągle wyrzekła Lenore, jak gdyby wspominając fragment filmu. -

Cóż, można z nim znaleźć wspólny język.

- Nie wątpię - rzekł Stanley i odprawił parę królewskim ruchem dłoni. I zaręczeni odeszli ku swemu burzliwemu i niezapomnianemu życiu rodzinnemu.

Następnego wieczoru, w przeddzień wypisania Stanleya z przybytku chirurgii, zjawił się u niego jeszcze jeden nieoczekiwany gość. Nie poprzedził go nawet dzwonek z recepcji, co było niezwykle dziwne w tej wzorcowej placówce. Po prostu otworzyły się na oścież drzwi i próg przekroczyła swymi tenisówkami ni mniej, ni więcej tylko Bernadetta Lux, bohaterka desperackich pooperacyjnych snów Stanleya. (Czytelników, którzy pragnęliby poznać te sny w szczególach, odsyłamy do moskiewskich pisarzy młodszego pokolenia). W uzupełnieniu tych butów Bernadetta włożyła jasnoblękitny kombinezon i jasnoczerwoną kurtkę. Strój ten, być może, wyjaśnia fakt, dlaczego uniknęła kontroli. Najwyraźniej personel wziął ją za hydraulika.

- Stanley-Smoothly! - wykrzyknęła szeptem i otworzyła swoje ramiona Wenus z Milo do ogromnego, czułego uścisku. - Co z tobą? Wszystko w porządku? Gnaliśmy tutaj z LA przez cztery dni i cztery noce! Twoja subtelna Bernie-Thorny za kierownicą ogromnej ciężarówki na federalnej szosie numer 70! Matt nie mógł oderwać mnie od kierownicy! Płakał, wiesz? Cały czas powtarzał, biedny chłopak: „Szanuję twoje uczucia, *girl*, ale powinnaś odpocząć, *girll*” Powinnaś się rozluźnić, walnąć sobie butelkę Seagram, pociupciać się jak należy i wyspać, *girll*” Zamknij się, krzyczałam na niego. Muszę zobaczyć moje wielkie *baby*, on miał operację, potrzebuje mojej miłości! - I tak jechaliśmy dzień za dniem, zatrzymywaliśmy się tylko po to, żeby napelnić bak i wyładować pomidory. Twój przyjaciel Cookie... - Otworzyła zamek błyskawiczny w kieszeni kurtki i natychmiast wyskoczyła stamtąd maciupeńka mordeczka z ostrym noskiem, parą drżących uszek i przesadnie wytrzeszczonymi oczkami. - Biedactwo musiało od czasu do czasu ulżyć sobie na moje kolana, ale co tam, parę jego kropelek niewiele dodaje do ogólnego smrodu planety.

Cookie tymczasem wyskoczył z kieszeni, pocałował Stanleya w usta i zaczął biegać jak szalony po łóżku, niuchając to tu, to tam, niezwykle podniecony mnóstwem rozmaitych zapachowych niuansów, niedostępnych dla zarosłych nozdrzy współczesnego człowieka. Najbardziej urzekające były dla maleńkiego stworka palce u nóg pana prezesa. Kręcił się wokół nich, wciskał między nie ostry nos, by w końcu lec za nimi, co chwilę wysuwając czujną główeczkę jak wzorowy czihuahuański strażnik zębatej twierdzy.

- Bernie, kochana - powiedział Stanley tonem tragicznym - szalenie sobie cenię twoją wierność i odwagę, ale niestety, najmilsza *demoiselle*, niedawna operacja chyba nie pozwoli mi odpowiedzieć na wylew twoich emocji równie adekwatnie jak niegdyś.

- Głupstwa opowiadasz! - oznajmiła zdecydowanie *madame* Lux. - Coś takiego po prostu nie może się zdarzyć! No, Cookie, chłopczyku, bierzemy się się do roboty! Ty liź piętę achillesową naszego bohatera, a ja się zajmę taranem! - Jeszcze z ławy szkolnej znany jej był dziwny związek tych organów.

Powiew helleńskiej bryzy, szmer błyskawic, cmokanie warg, woń tłących się wulkanów, wszystkie aromaty śródziemnomorskich przestrzeni, włącznie z plonami powstającej z głębin Atlantydy, cóż za błogość, jęczy odradzający się Achilles, co za cuda robi ze mną ten żeński potwór!

Po tej grzesznej akcji potrzebujemy, ma się rozumieć, duchowego przywódcy i oto, o Teofilu, słyszymy już jego wyrazisty krok, budzący echo w pustym korytarzu. Do pokoju, który dopiero co opuściła uzdrowicielka ciała, wchodzi rabin Samuel Dershkowitz. Tak, jest tu ze swoją wiarą, nie bacząc na nasze ekumeniczne niedociągnięcia.

Sam Dershkowitz został już opisany w piątej części jako człowiek o surowej powierzchowności religijnego fundamentalisty. Obecnie dorzucimy do tego opisu dwa-trzy wyświechtane stereotypy w postaci długiej brody oraz zwisających ze skroni zaplecionych w warkoczki pejsów. Tymczasem, niezależnie od powierzchowności, w głębi duszy był, być może, najliberalniejszym pasterzem wśród judaistycznego duchowieństwa stanów środkowoatlantyckich. Miał znakomitą sylwetkę i mocny krok wysportowanego atlety, którym nie zaszkodziła nawet jego słabość do napojów wysokowych. Powiedziawszy to, nie możemy odstąpić od tematu, nie wspomniawszy w paru słowach o jego przeszłości boksera.

Wyrósł na twardym bruku manhattańskiego Upper East Side i przez całe dzieciństwo towarzyszył mu lęk, że dostanie w głowę piłką bejsbolową albo słówkiem *kike* (Żyd) w ucho. Nieprzyjemności te doprowadziły go w końcu do bokserskiej sali treningowej i po pewnym czasie ulica z szacunkiem nazywała go Mr Punch, to znaczy „mocny cios”. Odniósł nawet zwycięstwo w zawodach selekcyjnych i został włączony w skład zespołu Złote Rękawiczki, jednak wkrótce potem rzucił boks. Po prostu nie mogę uderzać w ludzkie ciało, a tym bardziej w kontenery myśli, w te ich głowy. I z taką samą zajadłością, jaką prezentował na ringu, pogrążył

się w bezdenne annały judaistycznej mądrości, koncentrując się na starożytnych dziełach Szymona Bar-Jochaja i Jehudy Ha-Nasiego, studiował Misznę oraz jej części - Halachę i Agadę, które odświeżają człowieka niczym dobre wino, mój przyjacielu; i prace Amoraja, Babiloński Talmud, teksty Masoreta, a także prace apokryficzne, włącznie z *Jad Ha-Chazana* Mojżesza Majmonidesa.

W tych postbokserskich latach młodzienc często wracał do pewnej myśli, która zrodziła się w nim jako rezultat studiów nad żydowską historią.

Wszystkie stulecia przed zburzeniem Drugiej Świątyni, z wyjątkiem błogosławionych lat panowania królów Dawida i Salomona, były czasami masakry, bezlitosnej walki o władzę albo sprzeciwu wobec okupanta. Dopiero po upokarzającym rozpadzie państwa niedobitki narodu żydowskiego weszły w epokę spokoju i refleksji, intensywnych badań nad świętymi tekstami i twórczości, w czasach Zacheusza i Gamaliela - kiedy rozkwitała filozofia, poezja i mistyka i kiedy bliskość Mesjasza wydawała się namacalna.

Stanley i Samuel siedzieli naprzeciw siebie i uśmiechali się do siebie. Rabin rzekł:

- Znamy się trzydzieści lat, Stanley, a do tej pory nie rozumiem, dlaczego twój widok wywołuje u mnie silne pragnienie.

Stanley wybuchnął śmiechem.

- Niestety, rabbi, tu, w tych ścianach nie jestem w stanie cię ugościć.

Derszkowitz wyjął okulary i wpatrzył się w twarz Korbacha.

- Stary grzeszniku, wyglądasz tak, jakbyś przed chwilą miał bardzo udaną randkę! - Stanley żartem zaczął się od niego opędzać, ale rabin nalegał: - Przyznaj się! Wystarczająco dobrze cię poznałem w ciągu trzydziestu lat.

Stanley uśmiechnął się łobuzersko.

- Dwudziestu ośmiu, dokładnie biorąc. Poznaliśmy się w jachtklubie. Ty właśnie przycumowałeś swoją „Twerię” i zacząłeś ze mną rozmawiać na temat spinakerów. Niech ci Bóg błogosławi, nauczycielu, ale to miało miejsce w sobotę.

- Nie może być! - gorąco wykrzyknął rabin. - Ludzie mogą o mnie mówić, co tylko chcą, nawet to, że rabbi Derszkowitz śpiewa *nigunim* w synagodze, ale twierdzą z całą mocą, że nigdy nie żeglowałem w sobotę!

Stanley nadal go drażnił:

- Byłeś wtedy na urlopie, Sam, a na urlopie łatwo poplątać dni tygodnia.

Rabin uśmiechnął się.

- Chcesz powiedzieć, że obaj jesteśmy grzesznikami?

- Tyś powiedział, *mon maitre*.

Roześmieli się. Derszkowitz zmienił temat:

- Tak czy inaczej, widzę, że masz się nieźle, że wracasz do życia i że znowu zamierzasz uciec. - Podzieliwszy to zdanie na trzy części, z każdą częścią robił się coraz poważniejszy.

Stanley był lekko oszołomiony: jak się domyśliłeś? Rabin skromnie rozłożył ręce.

- Czy to znaczy, że masz coś przeciwko mojej ucieczce? - spytał Stanley.

- Nie, nie mam. Chciałem po prostu powiedzieć ci w związku z tym pewną ważną rzecz.

Posłuchaj, proszę, uważnie.

Wiem, Stanley, że ustawicznie próbujesz uciec. Bez względu na twoje kolosalne sukcesy finansowe z natury nie jesteś biznesmenem. Cóż, większość ludzi zajmuje się w życiu nie tym, czym powinna, spędza czas na robieniu rzeczy nieodpowiednich, a równocześnie mgliście marzy o jakimś innym życiu, innej pracy i, oczywiście, innych kobietach. Wszyscy są skuci brakiem woli i ten brak woli ma coś wspólnego ze ślepym zaufaniem religii, w związku z pytaniem o wolną wolę i przeznaczenie. Czy warto, żebym próbował coś osiągnąć, skoro wszystko jest z góry zaplanowane?

Inni ludzie, o typie mniej lub bardziej demonicznym, ci, których w literaturze nazywa się bajronistami, rzucają losowi wyzwanie, ale i oni opuszczają ręce, sądząc, że te wyzwania były im z góry przeznaczone. Ty akurat należysz do tego właśnie typu, panie prezesie.

Nie znam, naturalnie, twojego prawdziwego powołania. Możliwe, że jesteś urodzonym artystą albo obieżyświatem, albo kimś w rodzaju „mesjasza”. Używam tego słowa w cudzysłowie i małą literą, ponieważ najczęściej mamy do czynienia z tak zwanymi fałszywymi prorokami. Prawie zawsze są oni ludźmi wybitnymi. Niemało ich również w historii Żydów - od wielkiego Bar Kochby do niezbyt wielkiego Dawida Alroya. Często osiągają taki stopień egzaltacji, że sami sobie wydają się prawdziwymi wysłannikami Boga. Innych po prostu pochłania megalomańska ambicja. Zjawisko to jest równie stare, albo równie młode, jak cała ludzka rasa. Niestety, często kosztuje ono bardzo wiele współczesnych tych proroków i mesjaszy, czyniąc spustoszenie w umysłach i na terenach zamieszkałych.

Wiem, że twoje „zniknięcia”, które u was w rodzinie oznacza się liczebnikami porządkowymi, to poszukiwania siebie samego, swojej ontologicznej istoty, i dlatego zaklinam

cię, żebyś powstrzymywał się od idei powszechnego szczęścia dla wszystkich, od jakiejś megalomańskiej homerycznej *cdaki*. Świat nie może być szczęśliwy. Choćby był kwitnący, wszystko to rzeczywistość padołu, obrócenia się w proch. Wiem, że masz solidną ochronę przed megalomanią, poczucie humoru, dobrze znane wszystkim właścicielom jachtów na Wybrzeżu Wschodnim, jednakże moc i władza często skazają osobowość i boję się o ciebie. Kocham cię, mój przyjacielu, i będę się modlił, żeby twój humor cię nie opuścił!

W szpitalnej sali gęstniał zmierzch. Wiatr za oknem przylepił nagle do szyby trzy cytrynowożółte liście, które przyłgnęły do mokrej powierzchni, tworząc szczególną konfigurację, nieodgadniony znak przeznaczenia.

Stanley położył kłodę swojej ręki na głaz ramienia Samuela:

- Powiedz mi, przyjacielu, wciąż jeszcze czujesz pragnienie w mojej obecności? W takim razie wyciągaj!

Derszkowitz nie dał się długo prosić i wyjął płaską flaszkę. Megalomania, pomyślał Stanley. Ja po prostu próbuję uciec od uczucia własnej nicości. To samo jest ze mną, myślał rabbi, i dlatego zmiatam z tego miejsca w tekście co najmniej do ostatniego rozdziału. Proszę przyjąć moją *brachę* - i na razie!

Ostatnim ogniwem w łańcuchu odwiedzających okazał się, rzecz jasna, szef służby Halifax Farm Enoch Aghast, który i wcześniej był w tym pokoju obecny niemal w sposób dostrzegalny i którego przemknięcie zauważyła w szczególności siostra Elizabeth. Tym razem zjawił się ze swoimi dwoma prawnukami - nawiasem mówiąc, mogli oni być i pra-pra-pra-pra; proszę dodać tyle „pra” i łączników, ile dusza zapragnie - i w trójkę, nie zadając żadnych pytań, zaczęli szybko pakować korbachowski dobytek do jakiegoś bezdennego wora, wydzielającego woń źle wyprawionej wołowej skóry i pastuszych ognisk z górskich osad Judei. Stanley tymczasem wdziewał welwetowe spodnie, flanelową koszulę i ocieplaną kurtkę. Kątem ucha słyszał mamrotanie starego Semity: „I zepsuła się ziemia w oczach Pana, i napełniła nieprawością. I ujrzał Wszechmocny owo zepsucie, albowiem zбочyła wszelka cielesna istota z drogi swej na ziemi”.

- Jesteśmy gotowi, chłopcze - powiedział na koniec do swego ukochanego pana.

Niewidzialna dotąd siostra Elizabeth wyszła z kąta i przeżegnała znikających znakiem krzyża. Na parkingu czekała na nich w ciemności ogromna biała limuzyna, przypominająca wśród nocnej zamieci dryfującą krę.

W lutym roku 1987 Aleksander Korbach rozpoczął swój pierwszy semestr na Uniwersytecie Pinkerton. Jak można było oczekiwać, nowicjusz otrzymał obfity zestaw zaproszeń na przyjęcia i kolacje na jego cześć: *winę & cheese* na wydziale teatru, *brown bag* (to wtedy, kiedy przynosisz ze sobą własny prowiant) z członkami podkomitetu do spraw edukacji etnicznej, kolacja z radą opiekunów, „rosyjska karuzela” zorganizowana przez starego playboya profesora Steve’a Igłokluwowa i tak dalej, a na koniec lunch z samym rektorem, długonogim chudym *anglo* o wodnistobłękitnych oczach, przesyconych główną ideą Oświecenia: nigdy nie wypadać z kontekstu.

Nie dysponując żadnym akademickim doświadczeniem, Aleksander spodziewał się, że w czasie tych towarzyskich spotkań będzie się odbywać coś w rodzaju kontroli jego zamierzeń twórczych i pedagogicznych, przygotowywał się nawet do wyłożenia swojej filozofii teatru. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Ludzie byli wyjątkowo życzliwi, mówili *welcome aboard*, patrzyli na niego jakby w oczekiwaniu na dobry żart, pytania zadawali głównie na temat znanego

z gazet „parkingowego biznesu”, który najwyraźniej uważali za najbardziej humorystyczny okres w jego życiu.

- Na Boga, *darling*, nie przejmuj się tak - mówiła Nora. - Ci ludzie wykładają filozofię, historię, fizykę, astronomię, archeologię, co tylko chcesz. Na przyjęciach nie mają ochoty na poważne rozmowy, chcą plotkować, opowiadać kawały i wygłupiać się. A poza tym, pozwól, że powiem otwarcie: nikt na uczelni nie traktuje poważnie stanowiska „reżysera-rezydenta”, nikt nie oczekuje od ciebie rewolucji. W pewnym sensie widzą w tobie, no, takiego sympatycznego łysego artystę-humorystę, na którego stać uniwersytet. Tak że widzisz, miodeku-cukiereczku, wszystko wróciło do punktu wyjścia: znowu jesteś błaznem! Czy to nie cudowne?

No cóż, miłości moja, mój syropku, nie jesteś zbyt taktowna, myślał. Był chyba nawet lekko dotknięty takim a propos odrzuceniem jakiegokolwiek jego roli w życiu uczelni. No cóż, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jeśli mają chęć się pośmiać, czemu nie poszukają sobie obiektu na wydziale archeologii?

Tymczasem kontynuował urządzanie się w nowym środowisku, w Waszyngtonie D.C., tym pudle niespodzianek przytroczonym do garbu stanu Wirginia tuż pod brzuchem stanu Maryland. W odróżnieniu od LA było to prawdziwe miasto, gdzie ludzie zderzali się z sobą na węglach, nawoływali przez jezdnię, przytrzymywali płaszcze fruujące w wichrze waszyngtońskiego labiryntu, łapali się za kapelusze, żeby nie uleciały im z głów, gonili za tymi, które mimo wszystko uleciały, gonili aż do zwycięskiego końca albo do gorzkiej porażki, czyli do kompletnego oszołomienia na skrzyżowaniu, do bezkapeluszowości pośród ulicznego ruchu, płynącego jednocześnie w dziewięciu kierunkach (osobliwość Dupont Circle), w płataninie wszystkich naraz wiatrów wyczyniali zręczne sztuczki, żeby uchronić się przed kroplami tłustego sosu chili lub keczupu, albo wpadali do milutkiej, przytulnej kawiarni, łapali oddech, prosili (błagali) o coś ciepłego i przyjaznego, wysłuchiwali ze zgrozą ostatnich wiadomości z Panamy, przytupywali w takt muzyki, żeby sprawić wrażenie stałych bywalców, zjadali kęs tortu z wystawy cukierniczej obfitości, morusali twarze kremem jagodowym, wdawali się w dyskusję „o życiu, o wyborach”, dostawali kulę w brzuch, w odpowiedzi strzelali i chybiali, gnali za celem, całowali go (cel, droga pani) wewnątrz i na zewnątrz, wciskali go sobie na głowę i tak przyodziani zdążali dalej zgodnie z pierwotnym założeniem; to się dopiero nazywa miasto, nie to co nie kończące się plantacje LA.

Pewnego ranka obudził się z błogim uczuciem miejskiej przytulności. Trzeba cały ten wolny

dzień przeznaczyć na potrzeby mojej miejskiej siedziby: poustawiać wszelakie aparaty, *gadgets*, jak je tu nazywają, będziemy je nazywać gadami, bez których życie jest niemożliwe, różne tam radia hi-fi, wieże, TV-VCR-y, wszystkie te wspaniałości w rozkwicie ich technourody. Właściwie i ten jednosypialniany apartament trzeba by przekształcić w sympatyczną norę jednego takiego kawalera-artysty, który jeszcze nie sprzedał swojej wolności za wielomilionowy posag którejś spośród niezliczonego tłumu narzeczonych. Ustaliwszy to, zaczął rozwieszać na ścianach portrety Nory, co najmniej tuzin, w ramach: jako dziecko, uśmiechnięta, flirtuje, płynie delfinem, rozkopuje naszą archeologiczną planetę, złości się, rozpromieniona na widok kogoś, kogo, sami się domyślicie, czeka na kssd, wierzchem na Gretchen, tańczy, w okularach, pijana w dupę, czeka na bara-bara, usiłuje kłamać, żąda prawdy. Co tam jeszcze? Koło kominka musi leżeć dywan, granatowy tunezyjski dywan, który Nora kupiła w czasie wyprawy na wyspę Quok, kosmaty i miękki; widzisz, jak mi leci, towarzyszu dupo-generale Sitnyj, który przepowiadałeś mi, że pójdę na dno na „bezdusznym Zachodzie”. A tu we wnęce z oknem na Dupont Circle stanie owalny *desk*, zrobiony na zamówienie Nory dla myślącego reżysera. No to co, może by tak się przespacerować po okolicy, nabyć parę stojących lamp? Przejść się po mieście z parasolką, laseczką miejskiego dżentelmena, gotową w każdej chwili zmienić się w parasolkę miejskiego dżentelmena, *indeed*. Co za radość mieszkać w rejonie Dupont, gdzie wszystko znajduje się albo po drugiej stronie ulicy, albo za rogiem! Proszę, oto restauracja Child Harold, oto księgarnia Kramera, połączona z kawiarnią Posłowie (Afterwords), Oto kino „Janus” - czterolicy, zadrwi mimochodem AJ, jako że w czterech salach idą tam równocześnie cztery różne arcydzieła; no to rozrzucmy przed oczami czytelnika jeszcze parę szyldów, żeby nabrał wyobrażeń o rejonie miasta, który wybraliśmy w owych czasach do życia: Rabelais, Zorba, Tytuł Dnia, i na dodatek jeszcze Podnosząca się Lambda.

Dobrze jest żyć w prawdziwym mieście, myślał, a jeszcze lepiej znaleźć się poza tym parkingowym biznesem, kiedy każde stukanie do drzwi wydaje się zwiastować wizytę Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Narkotyków i Broni Palnej. W tym momencie tok jego myśli został przerwany silnym stukaniem do drzwi, wykonanym za pomocą lwiej głowy osobistej kołatki Korbacha. Spojrzał w wizjer i ujrzał na swoim podeście krzepkiego mężczyznę w mundurze. Owszem, mógł być przedstawicielem BATNBP, bardziej jednak wyglądał na generała Armii Radzieckiej. Czyżby w ciągu nocy miasto wzięli czerwoni?

- Mr Korbach, *sir* - rzekł generał nadzwyczaj grzecznie. - Mrs Marjorie Korbach przeprasza

za wizytę bez uprzedzenia, jednak nadzwyczajne okoliczności zmuszają ją do poproszenia pana o poufną audiencję.

Aleksander Jakowlewicz otworzył drzwi i ujrzał „srebrzysty cień”, stojący za rzędem zaparkowanych wzdłuż chodnika samochodów. W sekundę później z limuzyny wyskoczyła wiotka, wiecznie młoda dama z dwojgiem wielkich, dramatycznych oczu i żałośnie wygiętymi ustami.

AJ dawno już przywykł, że ani jedno amerykańskie spotkanie, czy to w sprawach zawodowych, czy miłosnych, nie może się obejść bez propozycji rozluźnienia ściśniętego zapewne gardła za pomocą jakiegoś napitku.

- Czego się pani napije, Marjorie? - spytał. - Herbata, kawa, woda mineralna, piwo, scotch?

Odpowiedź była nieoczekiwana.

- Dziękuję, Mr Korbach, piwo będzie w sam raz.

I było. Obraz Marjorie Korbach z puszką Bud pośród szpetoty nieurządzonego wnętrza wart był zapamiętania.

- *Yes, ma'am* - siedział przed nią, skrzyżowawszy palce na jednym ze skrzyżowanych kolan; mówiąc precyzyjnie, na lewym. W ZSRR była to jego ulubiona pozycja na próbach. Nora lubiła ją komentować: „Spójrzcie na ręce *maestro*, drodzy czytelnicy! Spójrzcie na nerwowe podrygiwanie palców! Odzwierciedla ono bogactwo artystycznej natury!” Patrzył na gościa i myślał, że jej „Mr Korbach”, daje do zrozumienia, iż nie uważa go za krewnego ani z tej, ani z innej strony. No cóż, jego „*ma'am*”, sygnalizuje pełne zrozumienie sytuacji.

- Alex!!! - wrzasnęła nagle z trzema wykrzyknikami jedna z najpiękniejszych dziewczyn pokolenia lat pięćdziesiątych i cały niewyraźny ból tego pokolenia zadźwięczał w owym okrzyku. - Stanley przepadł! Mieli go wypisać z tego potwornego szpitala, a on w nocy zniknął! Uciekł, nie zauważony przez nikogo! Zaskarżę ich na dziesięć miliardów! Mój ukochany mąż się rozpląnął! - Osiem fallusów, czyli wykrzykników, możecie darować sobie liczenie, miłościwe panie, zadźwięczało w tym krzyku nieszczęśliwej kobiety. Alex Korbach poruszył artystycznymi palcami, jakby starając się obniżyć poziom egzaltacji.

- Spokojnie, Marjorie! Nie porwano go, nie ma co oczekiwać żądań finansowych. Jestem pewien, że zniknął na własne żądanie.

- To się zdarzyło czwarty raz - wyszeptala Marjorie. Krew mogła ściąć się w żyłach od takiego szeptu. - Czwarty raz w ciągu dwudziestu trzech lat naszego małżeństwa. Cały czas

żartował na temat swoich zniknięć, ale ja odnoszę się do nich bardzo poważnie. To jest niebezpieczne, Alex! On jest nienormalny! Do niego przychodzą goście z przeszłości! Z tymi dźwigniami finansowej potęgi, jakimi zarządza, może zrobić coś strasznego! Może zniszczyć nasz dom, rodzinę, korporację, cały kraj! Proszę, Alex, niech pan nie zwraca uwagi, że troszkę wytrzeszczam oczy, to tylko choroba Basedowa, nic więcej. Wie pan, że jestem gotowa poświęcić się dla rodziny, panie Korbach (podkreślam, Korbach!), ale nie mogę poświęcać rodziny i całego naszego klanu dla wydumanych idei, skutków męskiego klimakterium!

Tak, jesteśmy bogaci, ale bogaci to też ludzie, mogą płakać, wpadać w rozpacz, poświęcać się dla bliskich, tak jak ja gotowa jestem poświęcić się dla Stanleya! Wszyscy wiedzą, co wychodzi z tych parszywych egalitarnych teorii: nazizm, bolszewizm, terroryzm, pan to wie lepiej ode mnie.

Alex, był pan najbliższym przyjacielem mojego męża w ciągu ostatnich trzech lat. Nawet trochę mnie drażniło nieustanne wspomnianie pańskiego imienia. Alex to, Alex tamto, Alex powiedział, Alex sądzi... tak, tak, bardzo proszę jeszcze trochę piwa, dziękuję... Teoretycznie jest pan nawet naszym dalekim krewnym, nieprawdaż? Wie pan, nigdy nie miałam nic przeciwko pana romansowi z Norą. Po burzliwym życiu znalazła nareszcie cichą przystań. Alex, niech pan pozwoli, że powiem wprost: tylko pan może uratować naszą rodzinę od hańby!

Jestem przekonana, że Stanley wkrótce się zjawi u pana, żeby wypić i pogadać. Proszę, niech pan tylko da mi znać, że żyje! Nie ośmielam się nawet prosić pana o wielką łaskę, ale może mimo wszystko spróbowałby pan wyperswadować mu te jego śmieszne eskapady?

Skryła twarz w wytwornej chusteczce, jej ramiona lekko drżały. W tym momencie przypominała studentkę koledżu z tego czy innego klasycznego filmu. Jest ode mnie starsza tylko o dwa lata, pomyślał AJ. Żeby zdławić niestosowne emocje, oderwał oczy od Marjorie i zaczął patrzeć na toczące się za oknem życie miasta.

Zmierzchało i dzięki temu obraz nabrał ostrości. W tłumie obok stacji metra dryblasowaty Jamajczyk wypuścił z ust długi język ognia. Paru przechodniów upadło przed nim na kolana: „Litości, Zaratustro!” Pomachał obiema rękami w dal, jakby mówiąc: „Gratulacje, Saszko Błaźnie! Zostałeś bohaterem prawdziwej soap opery!”

## **Cud w Atlancie**

Razu pewnego przygnało mnie lichy  
Na lotnisko miasta Atlanta.  
Co swym ogromem wabiło,  
Na kształt słynnego giganta

Negocjanta,

Tego co naszą kulkę przyniósł  
Na miejski plac targowy  
Gdzie stoi, rozstawiwszy nogi  
I nie podaje ceny,

Niczego kawał „mrówki”!

Wszystko tu w dryblasów skali,  
Według stołecznych wymiarów.  
Podziemny pociąg rozwozi  
Wciąż zgrają pasażerów,

Utracjuszy, szulerów.

Tam peruwiańskie lamy,  
Słysząc mosiężne dzwony  
Lamów z Tybetu i w rejsy  
Wzlatują samoloty.

Posyłam im „szalomy”!

W torbie, co ramię gniotła,  
Taszczyłem swe penaty,  
Aż nagle, niezła draka:

Siadł komputer centralny.

O losie marny.

Tłum wrzeszczy jak wron stada.

Szaleje chaos piekielny,

Przy wyjściach kłębowiska,

Wciąż odwołują rejsy!

Kupą, panowie szlachta!

Wyżarty już cały pop-corn

Zapał się zmienił w strapienie.

I na podłodze wśród kolumn

Ludzie się kładą, jak świnię.

Fajny swing, no nie?

Co gorsza, o przyjaciele,

Przybyła stormy weather,

Taka, że się nie ośmię

Rymować ja z together.

Zegnajcie me mirażę

Jak strąki czarnej brody,

Chwiało się całe hrabstwo.

Z ogromną masą wody,

Zjawił się tajfun „Hugo”.

Zerwał cugle.

Zdawało się, pęknie niebo,  
Lunie potok ze szczelin  
I runie port lotniczy  
Niczym Atlantis-station.

Zasypie grzesznych.

Ja w Irish-pubie przysięgam  
Na wszystkie skarby świata.  
Gdy barman rękę podniósł  
I krzyknął: „Nie ma piwa!”

Bez etykiety.

Zabrakło piwa! Czy przewidział wieszcz  
Że w beczce błysnie dno?!  
Trzęsienie ziemi, kwaśny deszcz,  
Pomyślał by to kto?

Gdzie piwo znajdziesz?

Aż nagle wśród pijaczków  
Wkroczyła młoda donna,  
Mądra jak sejmik staruch,  
Piękna Adama córka.

I spodni szelest!

Wszysty umilkli, piękno widząc,  
Nie bacząc na pioruny,

Spadochron ląduje świecąc  
Z Portinarii gondoli.

Zamówiła „Campari”.

Zaszeleściły setki lip,  
Zastukały podkowy,  
I śpiewać zaczął jakiś typ,  
Żongler z hrabstwa Moskowii.

Rzęzi i chrypi.

„Wiązka przepitych w gardle strun  
Nie służy do canzony,  
Lecz bracia ja zaśpiewam wam,  
Canzonę dla tej donny.

Takem natchniony

Jej pięknem ponadziemskim  
I gestów szlachetnością,  
Tak tęskni stary kirasjer  
Za młodą narzeczoną.

Wszak nie z kamienia on.

Tych oczu nie widzieliśmy,  
Chyba siedem stuleci.  
A kto do sprośności chętny,  
Okrutnie będzie bity.

Takie nasze wyroki.

O ty, najczystsza z dam,  
Weź w dani moją muzykę  
Strzałą Amora rażonym,  
Choć barytonem ryczę.

Pod zodiaku znakiem.

Gwiazdy nieboskłon grzeją,  
Żar rozpalając w mężach.  
Tam swobód świętych światy  
I źródło przyczyn wszystkich.

Takicch mu bliskich?

Tak oto życie się składa,  
Stracony sens różnicy.  
Skąd żeś się tu zjawiała,  
O święta Beatrycze,

Na szlak żywota?

Obejrzał się. Wszyscy w koło,  
Modlili się bez trwogi.  
Z Miami smagły macho  
Oraz z Alaski chłopaki.

Bracia miłości.

Pewien czcigodny dżentelmen,

Wenerolog z Chicago,  
Unosząc widelcem kołdun,  
Nagle zaśpiewał solo.

I od żonglera ton wzięwszy,

Piał o miłości wybrykach,  
O swawolach Wenery  
I że słowiczy ród  
Nie myśli o polnych konikach.

Oraz o zadrach.

O święta Damo, modlił się,  
Ześlij upale bez meszek,  
Syrop, co nie trąci smołą,  
Sady bez mendaweszek.

I czerstwych pączków.

I męski chór śpiew podjął wraz:  
Murarz, łobuz i lektor,  
Poganiacz mułów i osłów,  
I homicide-inspector.

Tak wiele słów!

O Donno święta, ukaz nam,  
Drogę, co wiedzie w przedwieczność,  
Gdzie nie operuje nożem,  
Miłości morderca - zazdrość,

Pod rękę z kłamstwem.

Rozłąki nastąpiła pora,  
Irlandzka knajpa drgnęła,  
Spazm przebiegł lico klauna,  
Skrzywił wargi poeta.

Dręczy go nuda.

Krzyknął balwierz z Paryża  
Zażał kapłan nauki  
Rejs pierwszy ktoś ogłasza:  
„United” do Kentucky.

Bądź dla nas lepszy!

Nie mówiąc ani słowa,  
Zeszła ze swego stołka  
Biała jak z Alp kozica  
Lekka i całkiem prosta.

Niczym wiatrem zdmuchnięta.

I ci, co w życiu asceci,  
I ci co jedzą słodko,  
Patrzyli w kinkietów blasku  
Jak idzie na lotnisko.

Bezgłośny wybuch nagle,  
W jej „Camapri” nastąpił,

Bezdzwięczne rozległy się krzyki  
Wodotrysk strzelił i zniknął,  
Każdy dostał po kropli.

Rozwiały się sny.

## **Część ósma**

Dziesięć miesięcy upłynęło od zakończenia części siódmej i nastąpiła, używając terminologii akademickich semestrów, Jesień '87. Dekoracje zmieniły się w sposób istotny. W powieści pojawił się, wraz z okazałą zabudową terenu, rozległy kampus Pinkerton University. Pseudogotyckie wieże przeplatają się tu z postmodernimem, co przydaje przestrzeni pewnej tajemniczości. W związku z nowymi prądami na mocno spadzistym placu, tworząc centrum pewnej „koncepcji przełomu”, zjawił się stuletni pomnik założyciela szkoły, który był, zdaje się, jakimś kolonialnym przodkiem znakomitego angielskiego detektywa, ze wszystkimi rekwizytami w postaci trójgraniastego kapelusza, peruki, solidnego gołębiego wola, laski, którą tyle razy miał chęć przejechać po plecach swoich studentów, niedbałych wirginijskich leni, a także w postaci pończoch i trzewików ze sprzączkami.

Co tam jeszcze nowego? Pojawiła się, rzecz jasna, ogromna liczba nowych postaci w osobach dwudziestu pięciu tysięcy studentów Uniwersytetu Pinkertona. Oto ciągną ze swoich rozległych jak górskie hale parkingów ku budynkom uczelni - jedni obszarpani, w stylu Przewodniczącego Planety Ziemia Wielemira, inni zgodnie z zasadami klubu: blezer, krawacik, szorty, rumiane kolana, przypominające podbródki gwardzistów. Spytać którego, co będzie robił po skończeniu uczelni, to odpowiada: pójdę do CIA. A drugi: w szeregi światowej rewolucji. Niemało w tej cizbie Persów. Ciekawe: piętnują Amerykę jako „Wielkiego Diabła”, a wysyłają swoje dzieci do tego Diabła na naukę. Nasze chłopaki pytają przybyszy: „Prawda to, że u was nie wolno pić, *guyst*”, a tamci odpowiadają:

„W dzień nie można, ale w nocy, jak porządnie zamkniesz drzwi, to czemu nie”. I długo tak u was będzie z tą *fucking* rewolucją? Persy się śmieją. Jeżeli muła wsiądzie na osła, to już z niego nie zlezie, dopóki osioł nie zdechnie. Całkiem jak w naszej radzieckiej ojczyźnie, myśli, maszerując wraz ze studentami „reżyser-rezydent”, tyle że tam pytanie brzmi inaczej: kto zdechnie pierwszy, osioł czy muła?

Dróżki wiją się wśród starannie przystrzyżonych zielonych pagórków. Odległość spora i nasłucha się człowiek wszystkiego, nawet perskich anegdot. W miarę posuwania się naprzód dróżki się zbiegają, ludzi wciąż przybywa, ale największa grupa stoi obok gmachu Związku Studentów. Kraj walczy z nikotyną, a tu każdy z petem. Hej, *man*, jak leci, wczoraj cię, kurwa,

widziałem! A ja cię wczoraj, kurwa, nie widziałem. Dawno cię, kurwa, nie widziałem, *mani* A ja cię, kurwa, całe wieki nie widziałem! Jak ty tam *fucking doing*? *Doing fucking great!* Czemu, *fuck*, nie byłeś wczoraj u Trący? Bo, *fuck*, byłem wczoraj u Susie, *fuck* ci w mordę! No cóż, panowie rosyjscy czytelnicy tej powieści, jeśli sądzicie, że najczęściej używane w tych dialogach słowo ma związek ze słowem „fakultet”, spieszę wyprowadzić was z błędu: tylko częściowo, moi panowie, tylko częściowo.

I proszę, po czterech latach takiego wystawiania pojawiają się znakomici specjaliści od „względności” i „konieczności”, z bezpodstawną ironią myślał Aleksander Jakowlewicz, przeciskając się przez ten tłum, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że bynajmniej nie wszyscy studenci tu stoją, a ci, którzy stoją, nie zawsze tu stoją, a i tłum jako taki nie zawsze tu stoi. Podstaw do sarkazmu po pierwszym roku pracy na uniwersytecie AJ nie miał tak znowu wiele, wszystko mu szło całkiem nieźle, ale taki to już jest ten odwieczny rosyjski duch dysydentyzmu: zachwytów trudno się z jego strony doczekać, za to malkontenctwa - pod dostatkiem.

Wstąpił do ogromnej stołówki, gdzie połowa ludzi, rozproszonych po całej sali, jadła, a druga połowa z tacami pełnymi jadła stała w kolejce do kas obsługiwanych przez Koreańczyków. Często wolał tę stołówkę od profesorskiego klubu, gdzie stale trzeba myśleć, co by tu jeszcze powiedzieć mądrego. Tutaj człowiek szybko podchodzi do baru z sałatkami i wrzuca na papierowy talerz same zdrowe rzeczy: buraki, marchew, brokuły, strączkowe, coś tam jeszcze, nie wiem, jak mu na przewisko. Potem do kotłów z gorącymi zupami: chlup w plastikową miskę chochelkę chili, w porządku! Teraz łapiemy jeszcze z półki torebkę smażonych cebulowych krążków dla kurażu, nalewamy wielką szklankę dietetycznej coca-coli i mamy komplet. Teraz zaczyna się stanie w kolejce do kasy. Co za marudy z tych Korejców, błędzą po głowie obrzydliwe stereotypy. W gruncie rzeczy nikt na świecie nie potrafi tak szybko podliczyć cen posiłków na tacy jak Koreańczycy z Pinkertona, nikt na świecie!

W głębi sali gra zespół rockowy, żeby nie pozwolić nikomu spokojnie zjeść. Wokalista, wysoki i muskularny, w czymś w rodzaju kałesonów trzeciej świeżości, z włosami jak u bohatera *The Prisoner of Chignon*, wyciąga potężny w swojej melancholii refren: jeee-biii-cccc-kajaaa-siiiiłaaa! Perkusista, nie wiadomo dlaczego starannie ubrany, z muszką zamiast krawata, wbija w każdą sylabę po gwoździu. Na nim staranność się kończy: dwaj inni w psu z gardła wyjętych T-shirtach, których tutaj śpi się i chodzi na wykłady, wydobywają

z kroczy elektroniczne rulady całkiem na poziomie zespołu Eltona Johna. Ale, ale, czyżby naprawdę chłopcy zawyli nagle po rosyjsku? Skąd, śpiewają zwyczajne *Don't be silly*, to tylko AJ, wrażliwy na wszystko co rosyjskie, słyszy w tym swojskie sprośności. Sala tymczasem żuje, szeleści opasłymi notatnikami, nikt na nikogo nie zwraca uwagi, nawet jeśli masz równie tęgi łeb jak nasz Aleksander Jakowlewicz. Nawiasem mówiąc, i tu z pięć panienek omdlewa przed obdartusami, nawet i tym świniopasom nie brakuje wielbicielek. AJ mamrocze pod nosem do swoich jarzyn: „Oto nasz świat: byle miernota wyraża szczyty i głębie, wałąc w blaszany bęben”.

Nagle w sali rozlega się: „Sasza, Sasza, mamy *emergency!*” Między stolami toczy się niczym bochenek chleba największa entuzjastka Korbacha, krewniaczka zamorskich win Lusha Beaujolais, asystentka z Czarnego Sześcianu. O co chodzi, Lucia? Na pewno znowu Garry Pons i Robby Roke są pod gazem? Nie przyszli na przymiarke kostiumów? Powiesić drani!

Czarny Sześcian przypomina z daleka postawiony na jednym z kantów Święty Kamień Kaaba. Z bliska, a zwłaszcza wewnątrz, podobieństwo znika. Człowiek wpada w labirynt jakichś schodów i galeryjek, sfer i kubików, które nieoczekiwanie wyprowadzają na widownię ze sceną, którą można podnosić i opuszczać, obracać w lewo i w prawo, no w ogóle niemal powiesić za uszy.

Pojawienie się na wydziale teatralnym reżysera-rezydenta, rosyjskiego śmiałka z tak rdzennie amerykańskim nazwiskiem, zostało przyjęte bardzo przychylnie, by nie powiedzieć z entuzjazmem. Nikt wcześniej, rzecz jasna, nie słyszał ani o nim, ani o jego moskiewskich Błaznach, ale wszyscy przeczytali przygotowane przez Norę CV z wycinkami z gazet i starali się obecnie sprawiać wrażenie, że są absolutnie *au courant*. To wspaniale, Sasza, że ma pan możliwość kontynuować swoje moskiewskie poszukiwania właśnie u nas, w Pinkertonie! Od czego chciałby pan zacząć, stary? Dziekan wydziału, uważany za znawcę klasyki Nigel Tabbac, wysoki i rumiany w obramowaniu siwych bokobrodów, w grubym kardiganie robionym na drutach, lśnił paletą miękkich akwarelowych barw.

Aleksander zaczął ostrożnie robić podchody. No więc, było sobie kiedyś takie miasto Florencja. Niezupełnie ta Florencja, którą teraz zarzucają resztkami pizzy miliony turystów. W tamtej Florencji, jeśli po zachodzie słońca, stukając obcasami, przechodzili ulicą trzej mężczyźni, mówiło się już o buncie gwelfów czy gibellinów. To tam siedemset lat temu pod wpływem dworskiej poezji pierwszych trubadurów, narodził się *dolce stil nuovo*. Dwaj poeci, dwaj Guido, bez końca rozprawiali o miłości, mając na myśli niezupełnie to, co współczesne

masy turystów. Mówili także o muzyce grecko-rzymskiego złotego wieku. Jaka była? Czy opiewała miłość? Czy zdolna była odnaleźć niezbędną ład? Pewnego razu poszedł do nich nieśmiało młodzieniec z rodziny „białych gwelfów”, Alighieri. W ruinach pałacu Marka Aureliusza znalazł flet, który liczył sobie tysiąc lat. No więc tak to się zaczyna. Co wy na to, koledzy?

- Osobiście niezbyt lubię tę epokę - przyznał się profesor Tabbac i jakby z lekka zgęstniał, to znaczy stał się bardziej olejny w tonacji. - Ten wczesny Renesans pachnie mi trochę dekadencją. A jak się nazywa ta sztuka, Sasza?

Aleksander przyznał się, że sztuka jeszcze nie istnieje, ale może napisać ją w ciągu miesiąca. Młodszy koledzy, wylaząc ze skóry, by utrzymać się w granicach taktu, zaczęli perswadować nowicjuszowi. Dante to temat zbyt poważny, zbyt mimo wszystko surowy. Mamy do czynienia ze studentami, trzeba im dać możliwość wyszumienia się jak należy. Zresztą, Sasza, powinien pan stworzyć najpierw własny zespół, zgadza się pan? Nie powiedzieli, rzecz jasna, że do pracy nad Dantem należałoby mimo wszystko zaprosić jakiegoś Włocha, a nie Rosjanina. W tym momencie Korbach jak kameleon zmienił front. Myślę, że koledzy mają rację. Dla studentów trzeba znaleźć coś innego. No na przykład Petersburg na początku dziewiętnastego wieku, *Pamiętnik wariata*, to jest weselsze, bardziej zwyczajne. Wsadzimy tam i *Nos*, i trochę muzyki Szostakowicza, dołożymy gogolowskich wiedz i diablątek. Zagramy to w zespole dziesięcioosobowym.

- Rewelacja! - wykrzyknął dziekan i Sasza zobaczył, jak wygląda gama jego barw w stanie zachwyty.

Cały wydział zaczął z entuzjazmem pracować nad spektaklem Korbacha. Studenci walili na przesłuchania. AJ tworzył swoją *Gogolianę*, to znaczy to, co partyjna krytyka w Moskwie bez zbędnych słów napiętnowałaby jako „urąganie naszej klasycznej spuścizny”. Każdy tuzin kartek natychmiast kserowano dla studentów, odbywały się próby i dyskusje. Studenci biegali tam i z powrotem po schodach Czarnego Sześcianu. Tabbac towarzyszył całemu temu zamieszaniu z ojcowskim niemal uśmiechem. „Spać mi nie daje, Sasza, ten twój Dostojewski” - mawiał. „Gogol, Nigel, Gogol” - po raz dziesiąty poprawiał go AJ. „Dla mnie to wszystko Dostojewski!” - upierał się znawca klasyki.

Studenci, rzecz jasna, zakochali się w tym niepokonowanym żywiołowym rosyjskim geniuszu. Odbili pięćdziesiąt sztuk liliowych podkoszulek: na piersi zdjęcie Saszy, zrobione

w momencie reżyserskiej ekstazy, ze wszystkimi przesadnie wyeksponowanymi detalami, jak otwarte usta, wytrzeszczone oczy i sterczące uszy kosmity, a na plecach - napis: „Błazny Potomacu”. Zapomniawszy o bożym świecie, Sasza prowadził próby jak za najlepszych czasów na Presni. Czasami brakowało mu jakiegoś słowa, mamrotał wówczas i pokazywał na migi. Wychodziło jeszcze lepiej niż ustnie. Czasem nawet zapominał, że pracuje w Ameryce. W gorących momentach oglądał się: czy nie zakradli się tu gdzieś do ciemnego kąta szpicle z Komisji do Spraw Repertuaru?

- Co się z tobą dzieje, Sasza? - śmiała się Nora. - Ubyło ci z dziesięć lat. Tylko twoja łysina jeszcze mnie ratuje.

Przesadzała, rzecz jasna, ale rzeczywiście fermetował w środku, aczkolwiek przestał z dotychczasową pasją zatracać się w seksie. Oto czego brakowało mu przez te wszystkie lata, biednemu chłopcu, myślała, całując jego łysą czaszkę podczas ich po dawnemu długich i czułych, ale równocześnie jakichś takich - dziwnie regularnych, czy co? - zbliżeń. Miałam szczęście, że kiedyśmy się spotkali, nie było jeszcze teatru, nawet takiego podłego, jak ten Czarny Sześcian. Wszystko sublimował na mnie i dał mi miłość, jakiej nie znałam. Teraz te homeryckie zachwyty będzie wyciskać z niego teatr. Mama miała rację, on jest jednym z nich, tych komediantów.

Cóż, niedługo będzie musiał zaznajomić się i z moim aktorstwem, myślała dalej i wyjeżdżała do Houston. Po drodze nadal ciągnęła swoje rozliczenia z Aleksandrem. Jesteśmy sobie tak bliscy, a tak dużo i tak długo ukrywaliśmy przed sobą i nadal ukrywamy. Prawie nic mi nie mówi o swoim życiu rodzinnym, o synach, że już nie wspomnę o kobietach w Moskwie. Tak długo milczał o tym przeklętym parkingu w Westwood, o hotelu Cadillac, a i teraz chyba przemilcza coś z tamtych czasów. No ale też nie jestem lepsza: i teraz nie mówię prawdy o Houston. Co tak wciąż jeździsz do tego Houston, przebiegła Noro, spytał kiedyś i, jakby nie oczekując odpowiedzi, nie przywiązując do niej znaczenia, zakrzętnął się wokół swoich gogolowskich papierów. No cóż, skoro niespecjalnie cię to interesuje, to nie ma o czym mówić. A, wiesz, odpowiada Nora tak samo mimochodem, opracowujemy tam jeden taki projekt archeologiczny, i niby nie kłamie, a w gruncie rzeczy kłamie i wyjeżdża do Houston.

## II

### Inne sfery

Houston załatwił Norze kuzyn Mortimer Korbach, pułkownik Air Force oraz amerykański kosmonauta. Na tamtym pamiętnym spotkaniu Korbachów w marylandzkim majątku, oderwawszy się na dziesięć minut od myśli o zagadkowym rosyjskim faunie, Nora wdała się z Mortem w rozmowę na temat badań archeologicznych prowadzonych z kosmosu. Nieźle by było spojrzeć z orbity na rejony starożytnych cywilizacji, powiedzmy na Półksiężyc Płodności od Eufratu do Nilu, albo na okręg Cuzco w Andach peruwiańskich. A gdyby tak włączyć do załogi statku kosmicznego jakiegoś archeologa, na przykład Norę Mansour, Ph.D.? Mort spojrział wtedy na nią zmrużonymi oczami i powiedział, że nie widzi w tej propozycji nic szalonego, choć została złożona przez szalenie urodziwą kobietę. Komplement całkowicie w stylu naszych sił powietrznych, można powiedzieć.

Pogadali i zapomnieli, tym bardziej że owej nocy, pełnej sów i nietoperzy, myślała nie o kosmosie, a o łąkach, po których można cwałować za faunem i brać go żywcem. Minęło co najmniej pół roku, kiedy nagle zadzwonił Mort i powiedział, że w Houston jej projekt wzbudził zainteresowanie. Mój projekt? Powiedział pan „projekt”, Mort? Skoro taka z pani przebojowa kobieta, zaśmiał się pułkownik, to jutro powinna pani pojechać do centrali NASA na Independence Avenue do takiego a takiego i uzgodnić tam swój *proposal*.

Nie wiadomo dlaczego wszystkie jej myśli zakręciły się nagle nie wokół Ziemi, a wokół Szaszki. Pomyśli teraz, że ze mnie zwariowana feministka. Że chcę mu coś udowodnić. Zapomnieć o tej głupocie? A może mimo wszystko napisać *proposal*? No cóż, właściwie dlaczego mam nie napisać, dlaczego nie przetestować żywotności naszej biurokracji? A Szaszce nic nie powie, co mu do mojej nauki, siedzi po uszy we własnych kompleksach.

Biurokracja okazała się dość żywotna, czego dowodziło długie martwe milczenie z jej strony. Nagle, na rok przed opisywanymi w tym rozdziale wypadkami, jakieś bariery pękły i sprawa - dziw nad dziwy - ruszyła z miejsca! No i tak, moi drodzy, jeszcze dziesięć stronic temu nawet nie myśleliśmy o wysłaniu naszej Nory w kosmos, a tymczasem w sferach rządowych, wojskowo-kosmicznych, wywiadowczych, finansowych i naukowych całkiem serio rozważano już jej kandydaturę. Różne komitety zaczęły zapraszać ją na posiedzenia, na których oprócz innych spraw dyskutowano także jej pomysł. Na przesłuchaniach w Kongresie dotyczących nauki pewna jej wypowiedź wzbudziła szczególne zainteresowanie. „Archeologia,

panowie” - powiedziała - „silniej związana jest z kosmosem niż ze współczesną biologią”. Siedmiu dżentelmenów siedzących na podium wymieniło się spojrzeniami, to znaczy trójka siedzących po lewej i po prawej stronie popatrzyła na siedzącego pośrodku. Nasze społeczeństwo nastawia uszu, kiedy słyszy *one liner*, to znaczy aforyzm jednowierszowy. Ogólna ospałość umysłowa lubi, by ją od czasu do czasu podciąć bacikiem. Przewodniczący komisji zdjął okulary. Wszyscy zamarli: jak należy zinterpretować ten gest?

Przewodniczący rzekł: „Pozwoli pani, że w imieniu całej współczesnej biologii podziękuję pani za szczerość, Mrs Mansour!” W Ameryce nierzadko zdarza się, że ogólny wybuch śmiechu rozstrzyga kwestię. Wygląda na to, że i tym razem tak się zdarzyło.

Nora zdawała sobie sprawę, że biorą ją pod lupę, i nie wykluczała, że jej studencka przeszłość może być potraktowana jako argument przeciw jej kandydaturze. Wyobrażała sobie także argumenty na swoją korzyść: no cóż, panowie, córka Rity O’Neill i Stanleya Korbacha musiała się pobawić w rewolucję. Najważniejsze, że obecnie mamy do czynienia z poważnym naukowcem, autorką głośnej książki *Higiena starożytnych*. W dodatku osoba ta jest jednocześnie niezwykle urodziwym stworzeniem płci żeńskiej, które (tu pojawia się plątanina z rodzajami w języku rosyjskim, czego, oczywiście, nie byłoby w angielskim) będzie uosobieniem postępu, który się dokonał w ramach tego podporządkowanego do niedawna segmentu społeczeństwa.

W końcu zbiera się prezydium Amerykańskiego Towarzystwa Archeologicznego, ludzie biegli, jeśli chodzi o przenikanie ze świata istniejącego w sfery tego, co leży nieruchomo. W ogromnym procencie przypadków nieoczekiwane eksperymenty przynoszą nieoczekiwane rezultaty, panowie. Wielu odkryć archeologicznych dokonano dzięki użyciu samolotu. Zdjęcia robione z satelitów są obecnie szeroko wykorzystywane w geologii. Niektóre kwestie omawiane w prasie popularnej mogą uzyskać wymiar naukowy. Orbitalna obserwacja piramid, na przykład. Dr Mansour proponuje własną metodę badania strefy miasta Ur. Istnieje jeszcze jeden ważny czynnik, który przemawia za ekspedycją dr Mansour. Pojawienie się w jej osobie pierwszego kosmicznego archeologa Stanów Zjednoczonych w ogromnym stopniu przyczyni się do zwrócenia uwagi na sprawy naszej dyscypliny i tym samym, być może, do zwiększenia nakładów finansowych na nasze ekspedycje oraz publikacje. Jednym słowem, powodzenia, dr Mansour!

Dodamy tu pewną obserwację na temat obyczajowości. Amerykanie do pieniędzy podchodzą bezpośrednio, ze szczerze otwartymi ustami - w odróżnieniu od Rosjan, którzy drepczą dookoła, starając się sprawić wrażenie, że ten podły metal wcale ich tak znowu nie interesuje, że przecież

są sprawy wyższego rzędu. Jak to wyjaśnić, nie mam pojęcia - zdaję się na panią, moja miła.

Jadąc na pierwsze badania medyczne, nie powiedziała Aleksowi nic. Dopiero po powrocie rzuciła ze śmiechem: „Wiesz, miałam ostatnio *physicals* i lekarz powiedział mi: ma pani doskonale zdrowie, wręcz jak kandydatka do lotu na Space Shuttle”.

W tym momencie Aleksander Jakowlewicz zabawiał się z nią w jednej z ulubionych pozycji i dyszał w swoim najlepszym stylu.

- Nigdy w to nie wątpiłem, *darling* - odparł zuchwały Casanovą. - Każde spotkanie z tobą to jak odpalenie rakiety.

Wciąż i wciąż jeździła do Houston: a to w celu zaznajomienia się z aparaturą, a to na tygodniowy trening, ale on chyba nie był nawet zazdrosny. Czasem zadawał czysto retoryczne pytania: „No jak ci tam leci w Houston?”, bez jakichkolwiek wątpliwości przyjmując jej wymijające odpowiedzi. Istniał dla niego tylko spektakl i ten cholerny Czarny Sześcian, gdzie dziwki z Pinkertona na pewno go podrywają, a może siadają mu na kolana. W końcu Nora twardo postanowiła: nic mu nie powiem aż do końca, niech się dowie z telewizora!

Naśladując Władimira Nabokowa z jego „Tołstojewskim”, a także mając na uwadze literacką orientację swojego dziekana, Aleksander wymyślił autora sztuki: porucznik Gogolewski. Afisz spektaklu wyglądał nieco kuriozalnie, co miało na celu zaintrygowanie światowej publiczności północnej Wirginii, południowego Marylandu, Georgetown, Downtown oraz Trójkąta Rządowego.

Czarny Sześcian przedstawia.

Sztuka porucznika Gogolewskiego *Mister Nos i inni zwolennicy zdrowego rozsądku*.

Reżyseria: Aleksander Korbach pod egidą Wydziału Teatralnego Uniwersytetu Pinkertona.

Sponsorzy: Domy Towarowe Alexander Korbach, Inc., Doctor Dappertutto, Lalki dla dorosłych Co.

Ludzi bez poczucia humoru uprasza się o zachowanie spokoju.

Ostatni wiersz wzbudził sprzeciw profesora Tabbaca. - To niegrzeczne - powiedział. - Ci, do których jest to skierowane, obrażą się i nie przyjdą.

- Ale kto pomyśli, że to jest skierowane do niego? - zdziwili się naiwnie artyści. Po krótkim namyśle profesor się zgodził: - No dobrze, jako że nie ja jestem tu adresatem, nie będę się

sprzeciwiał.

Na tydzień przed spektaklem Aleksander zaczął się zdręzczać. Będzie kłapa! Ludzie nie są profesjonalistami, wystraszą się, popłaczą całą moją „biomechanikę”, system dźwiękowy naturalnie padnie, oświetlenia i tak nie doprowadziliśmy do przyzwoitego stanu, obmyślony i opracowany starannie półbalet zmieni się w bezsensowne miotanie podmiejskich osiłków, a zresztą rozwałą się dekoracje.

Nie docenił AJ współczesnej młodzieży. Spektakl poszedł gładko, bez jednego choćby odejścia od tempa i rytmu, prawie bez wpadek. Ludzie zdawali się w ogóle nie mieć tremy, jakby co wieczór grali przed salą wypełnioną po brzegi wirgińskim *beau monde*. Czasami wydawało się nawet, że są jakby lekko zblazowani. Nawąchali się *cracku*, czy co? Jako człowiek nie całkiem zielony w tej dziedzinie AJ wiedział, że po porządnym *snifie* nawet knajpiany skrzypek może zagrać na poziomie Paganiniego, tyle że za godzinę zostanie z niego kałuża. No więc za godzinę *Nos* zacznie się sypać. Po drugim akcie się zmywam i już.

- Wszystko *okeydokey*, szefie, o co chodzi? - uspokajali go ludzie w czasie przerwy. - Coś taki blady, Sasza, włoski w nieładzie? - drwiły nielitościwie wykonawczynie ról żeńskich, Beverley, Kimberley i Roxy Murań.

Nie wziął nasz Aleksander Jakowlewicz pod uwagę, że dzieci te wychowały się pod okiem rodzicielskiego *hotne video* i kamera im nie straszna. Pojawiło się całe pokolenie artystów, którzy zachowują się wobec widzów w pełni naturalnie, nie gorzej niż Dustin Hoffman czy Julia Roberts - albo i lepiej, L&G albo i lepiej.

W drugim akcie spektakl nie tylko nie padł, ale nawet wręcz przeciwnie, zespół zaczął łapać to, o czym reżyser jedynie marzył na próbach, jakąś rytmiczną dodekafonię, bulgoczącą niczym luizjańska zupa, półbalet z przebłyskami płaskorzeźby - trwaj, chwilo! - w dwóch czy trzech miejscach zaimprovizował te chwile tak udatnie, że AJ aż wyrzucił w górę pięść w geście zwycięstwa. Studenci wyrażali wrzaskiem zadowolenie. Gary Pons krążył wokół na rowerze Akakija Akakijewicza, jego Płaszcz śpiewał w kącie sceny arię Cavaradossiego, Pannoczka w mgnieniu oka przekształcała się w wiedźmę i z powrotem, no a *Nos*, Robby Roke, żądał z trybuny kandydata na gubernatora demokratycznych reform. Wszystko wychodziło tego wieczoru i nawet finałowa, prawie niemożliwa do *zagrania* scena, zawierająca moment „nieuleczalnego smutku”, kiedy wszystkie postaci zaczynają gasnąć niczym Maja Plisiecka w *Umierającym łabędziu*, wypadła tak, że Mrs President Millhouse wstała ze łzami w oczach.

Tutaj nie zwykło się klaskać unisono i bez końca wychodzić na scenę. Tym bardziej w teatrze uniwersyteckim, gdzie spektakl jest mimo wszystko częścią procesu nauczania. Ale znajome upojenie sukcesem szumiało już w jego żyłach. Boże, to znaczy, że jeszcze nie zdechłem, tak? Za kulisami całe bractwo leżało na podłodze, słabymi ruchami przekazując sobie nawzajem puszki piwa. Sasza, zrobiliśmy to! Dumny z was jestem, chłopaki! Potem rozpoczęło się przyjęcie i trwało dwie godziny, co także było miarą sukcesu. *Incredible*, mówiono mu, *just fantastical*. Dzięki hojności Arta Duppertata roznoszono wszędzie przyzwoitej klasy szampan. Wielkie krewetki piekły się na grillu, sterczały bukiety krabich łap, oferowano *filet mignon*. Gdzie Korbachowie, tam sukces, tam zwycięstwo! W tłumie można było napotkać zamyślony, zdeorientowany wzrok Marjorie. Mąż zbiegł dziesięć miesięcy temu. Szczerze nieszczerą uprzejmość Normana Blumdale'a. Jeśli chodzi o głównego sponsora, Arta Duppertata, to zachowywał się jak moskiewski aktor, który wreszcie dorwał się do bufetu. Zalał się w pestkę. Przytykając palcem butelkę Mumm, puszczał w sufit fontannę. - *You won, starik!* - krzyczał do Saszy. Z Moskwy przywiózł to słówko, patrzcie go.

Podchodzili dziennikarze: nienagannie elegancki z „Washington Post”, łajza z „Timesa”, paniuszka z „Village Voice”. W delegacji, specjalnie na Korbach, jak się okazało. Nowy Jork chce wiedzieć, kto zacz. Aleksander błędził w tłumie, jakby sam nawąchał się jakiegoś świństwa. Nawet z bliska nie zauważał tych, których zgodnie z zasadami Pinkertona trzeba było zauważyć, w szczególności finansowych grubych ryb z wirgińskiego *high-tech corridor*. Zamiast tego zbyt długo, nie wiedząc o czym, rozmawiał z odwiecznymi rywalami z sąsiedniego wielkiego uniwersytetu George'a Masona. Nagle poczuł niepokój. Kogoś tu brakuje! Nerwowo rozglądając się po sali, niemal podskakując, zdał sobie sprawę, że wypatruje katastrofalnie nieobecnej Nory Mansour. Zwariowała, pomyślał. Nie przyszła na premierę! Chce mnie rzucić. Znudziłem się jej. Ma w Houston kochanka. Macie więc finał uroczystości. *Zegnaj, dolce stil nuovo!* I natychmiast wypadł z Czarnego Sześcianu na zalane deszczem przestrzenie.

Przemierzając zalane deszczem przestrzenie, przeklinał swój nieszczęsny los i własny idiotyzm. Pozwoliłem odejść takiej kobiecie, wysłanniczce spokojnych niebios i kipiących, burzliwych głębin ziemi! Z powodu jakiegoś tam szkolnego teatru rzuciłem ukochaną na pastwę teksaskich maniaków seksualnych! *Zegnaj, teraz już na wieki, moja młodości, której na imię było Nora!* „*Zegnaj, młodości*” - tak nazywały się podle radzieckie buty filcowe. Teraz całe moje życie będzie takim gównostępem z nagromadzonym w środku świństwem, którego nawet

widłami się nie usunie, nawet widłami, no właśnie, nawet widłami.

W poprzek alei wiatr niósł mokre liście. Z tyłu powoli zbliżało się dwoje kryształowych oczu. Zszedł na bok. Podjechał jakiś *est-ce que vous ouez un grey poupon*. Szyba zsunęła się w dół. Z rollsa patrzyła twarz poważnej lalki. Margie Korbach - jeździ sama po nocy.

- Jakoś nie widziałam dzisiaj Nory? - powiedziała.

- A chuj ją wie, gdzie się podziewa - odparł po rosyjsku. - Na pewno poniosło ją do Houston. Macocha ukochanej skinęła głową, tak jakby zrozumiała coś jeszcze oprócz „Houston”.

- Co pan tak na piechotę - powiedziała. - Niech pan wsiada do mojego samochodu.

- A na chuj mi pani samochód, o, tam stoi mój saab, pod tą pierdoloną latarnią.

Znów skinęła głową z niezwykłą powagą, jak gdyby zrozumiała coś jeszcze oprócz słowa „saab”. Rolls ruszył i wkrótce jego dwa maleńkie tylne rubiny znikły w słotnej ciemności.

Wróć stamtąd!

Następnego ranka w swojej podłej norze bez Nory, jeśli można tak to określić, bawiąc się na kacu w słowne gierki, w położonym w centrum dzielnicy gejów mieszkanku dowiedział się, co zaszło. Zadzwoił ni mniej ni więcej tylko Omar Mansour.

- Hej, ty, mogę ci pogratulować? - spytał prawie po gruzińsku.

- A co, byłeś tam? - Nawet w ten nierealny poranek trudno było wyobrazić sobie owego młodzieńca na spektaklu w Czarnym Sześcianie.

- A niby po co miałbym tam być? - niemal krzyknął Omar. - Widziałem rano w telewizji. Włącz telewizor i sam zobaczysz, w każdym programie z wiadomościami.

- Nie do wiary - mruknął Sasza.

- No właśnie! Nie do wiary! - Omar już wrzeszczał. - Moje nazwisko w kosmosie! Cały świat je powtarza!

Przyciskając słuchawkę ramieniem, Sasza Korbach wykonywał w powietrzu ruchy obiema rękami, próbując odegnać absurd. Zdarza się oczywiście, że przez noc całe miasto może się urznąć, ale mimo wszystko o czym ty mówisz?

- No jak to, Sasza, to przecież sprawa kolosalnej wagi, zwłaszcza dla świata arabskiego, przyjacielu! Dla wszystkich postępowych muzułmanów! Nasi wstecznicy mają kobiety za nic, w wielu krajach wycina się dziewczynkom łechtaczki, a tu nagle kobieta w kosmosie, kobieta fotografuje z orbity rejony starożytnych cywilizacji! I największy cios w reakcjonistów - kobieta nosi arabskie nazwisko! Niech sobie będzie Amerykanką, ale nazywa się Nora Mansour, jest żoną Omara Mansoura, nie takiego znów całkiem nieznanego w Libanie! Nie, miałem rację, że nie spieszyłem się z rozwodem! Aleśmy wam dołożyli, dinozaury! Gratuluję ci, Sasza, jako jej przyjacielowi, faktycznemu mężowi, dobremu Żydowi i Amerykaninowi, pozdrowienia, stary, od męża, Araba, Fenicjanina i tak dalej!

Wykonawszy parę ruchów gąsienicy, Aleksander przybliżył podeszwy do telewizora i dużym palcem u nogi włączył go. Natychmiast pojawił się napis *Special report*, a w ślad za nim prowadzący, sprawiający nieodmiennie wrażenie, że właśnie odbija mu się czymś smacznym i jak zwykle w źle zawiązanym krawacie. Ta ostatnia okoliczność zawsze jakoś drażniła Aleksandra Jakowlewicza. Nawet teraz, na sekundę przed pojawieniem się Nory i z głosem Omara w uchu zdążył pomyśleć: „Tyle ci płacą, łajzo, a ty nawet nie nauczyłeś się wiązać

krawata”.

W chwilę potem pojawiły się kadry z przylądka Canaveral. Nie wierząc własnym oczom, ujrzał Norę w kosmicznym kombinezonie, roześmianą, z rozwianą wiatrem grzywką, raźnie maszerującą wraz z całą załogą na pokład Atlantis. „Po raz pierwszy w historii w ekspedycji bierze udział archeolog, profesor Pinkerton University Nora Mansour!” - powiedział facet w źle zawiązanym krawacie. Nastąpiła seria kadrów z odpaleniem: strugi ognia pod zbiornikami z paliwem, odłączenie się kolejnych członów, i wreszcie ognista kropeczka, szybko oddalająca się od Ziemi. Tam jest Nora! Oddala się od Ziemi, moja malutka! Z miejsca się rozmazał. Zaczął nim wstrząsać dreszcz od głowy do pięt. Z trwogą przypomniał sobie niedawną tragedię jednego z tych *shuttles*, eksplozja dosłownie na oczach widzów, abrakadabra płomieni. Na pokładzie były dwie dziewczyny, jedna z nich w jakiś sposób przypominała Norę. Boże, dopomóż jej! Boże, uratuj! Modlitwa została wysłuchana - pokazywano już kadry z orbity: pogodne twarze, pływające w stanie nieważkości ciała, proszę, przepływa i jego ukochana, szczuplutka, tyłeczkiem do góry, włosy ciągną za głową niczym flaga, uśmiecha się do kamery, macha dłonią, tak jakby do mnie osobiście. Koniec raportu specjalnego.

Arabski postępowiec wciąż jeszcze krzyczał mu do ucha: - Potrzebny jest postęp... w przestrzeni kosmicznej, w łóżku, w kieliszku z drinkiem, wszędzie!

- Jak powiedziałeś? W kieliszku z drinkiem? - zdołał wtrącić AJ.

- Tak, tak, Korbach, mój kochany! Powinniśmy wypić dzisiaj za naszą Norę! A jakby tak szampana, co? Niech tam szariat zabrania picia wódki, whisky, ale nie może zakazywać szampana, bo każdy muzułmanin powinien mieć prawo wypić za własną żonę, która poleciała w kosmos! Mam rację, Sasza?

Coś tam jeszcze dalej wykrzykiwał, tym razem o wielkości Ameryki, w której wyrastają tak niezwykle kobiety jak Nora Mansour, ale to już najwyraźniej było przeznaczone dla magnetofonów FBI. Aleksander odłożył słuchawkę. Boże miłosierny, Boże wszechmogący, o niczym więcej nie chcę słyszeć, o niczym nie mogę ani myśleć, ani mówić, dopóki ona nie wróci stamtąd, jak mówią Amerykanie, *in one piece!*

Nora jeszcze nie wróciła - lot był zaplanowany na tydzień - kiedy piątego dnia po premierze Aleksander miał okazję posmakować własnego sukcesu - nie kosmicznego wprawdzie, ale zawsze sukcesu. Zadzwoił znany reżyser filmowy Stefan Czapski. Mówił po rosyjsku z typowym dla Polaków podśmiewaniem się w tle. Kiedyś, jeszcze w latach pięćdziesiątych,

skończył Instytut Kinematografii w Moskwie i nawet nakręcił jakąś koprodukcję w Mosfilmie. Pod koniec lat sześćdziesiątych został na Zachodzie, ale nie w taki sposób, jak zostawali Rosjanie, bez „zdrady ojczyzny”, bez hysterii ze strony bezpieki. W Polsce podejście do tych, którzy nie wracali, było mimo wszystko łagodniejsze: został to został, niezbyt to dobra wiadomość, ale można przeżyć.

W hollywoodzkim lesie Czapski najpierw się błakał i cierpiał głód jak tyłu jego poprzedników, potem jednak wypadł na słoneczną polanę i jakoś z miejsca zyskał pozycję wśród nowej fali słowiańskich reżyserów: Polański, Kosiński, Forman, no i teraz Czapski.

- Hallo, Mr Korbach, drogi towarzyszu! („Hallo” brzmiało jak u Lizy Minnelli w filmie *Kabaret* - „helleuu”.) Czapski z tej strony, Stefan Czapski, nie warto mdleć. Jest propozycja, Sasza. Ty i ja jako przedstawiciele jednej generacji zrobimy *movie*. Nie masz nic przeciw temu? *Finel* Możesz złapać dzisiaj *amon*? Nie możesz? A trzymać możesz? No to trzymaj, dwie minuty!

Sądząc, że ma miejsce użycie czasownika „hola”, w bezpośrednim przekładzie, Aleksander trzymał słuchawkę przy uchu. Dokładnie za dwie minuty Czapski, zeskoczywszy z jakiejś równoległej linii, powiedział, że wylatuje do Waszyngtonu. Właśnie skręca z Sunset na San Diego Freeway. Rejs za godzinę pięćdziesiąt minut, zdąży. Wódkę kupić? Jest wszystko co trzeba? „Genialnie! Arcydzielnie!” - wykrzyknął w stylu swoich studenckich lat pięćdziesiątych.

Pod koniec dnia przyleciał, całkiem inny, niż można sobie było wyobrazić na podstawie dziarskiej rozmowy telefonicznej. Ciężkawy i jakby z lekka niedowidzący Żyd, czy raczej pół-Żyd, jak wszyscy dookoła. Później Aleksander przywykł do tego, że Czapski często podlega przemianom. Okresową ociążałość zastępował styl ofensywny, kiedy zdawało się, że nawet traci na wadze.

Rzecz jasna, zanim dopili pierwszą butelkę Wyborowej, byli już na ty. Okazało się, że zamiar na Korbacha dał Czapskiemu pewien jego przyjaciel, który był na premierze *Gogolewskiego Czarnym Sześcianie*. Świetny chłopak, nadziany, ale swój, taki artystyczny typ. Art Duppertat, rzecz jasna, któż by inny! Czapski był szalenie zaskoczony. Nie wiedział, że Korbach jest w Ameryce. Oczywiście, pamięta jego piosenki, śledził losy Błaznów, całą tę pierdoloną komunistyczną awanturę, ale potem wszystko ucichło: Błazny i Sasza Korbach zniknęli z depesz korespondentów. Tyle się dzieje dokoła, psiakrew, nowości lecą lawinami, jedna za drugą, tylko się kłębi za nimi. Słuchaj, dostaliśmy dwie *tapes* z twoimi monologami, jedna ze spektaklu moskiewskiego, a druga z jakiejś angielskiej relacji, zdaje się, gdzieś ze

Stanów. *I've been just engrossed*, wiesz, mało nie padłem z wrażenia, twój artyzm naprawdę zwala z nóg, Saszka, ale najważniejsze, że przypomniałem sobie twoje dawne filmy, przecież byłeś wtedy w Rosji w pierwszej piątce! Korbach był zdumiony, że sprytni asystenci wydostali dla Czapskiego jego muzealne kawałki: był przekonany, że taśmy dawno zostały usunięte z powierzchni ziemi przez odpowiednie służby.

Czapski był obecnie nie zwyczajnym reżyserem, a szefem tworzącego się imperium filmowego Chapsky Production. Z tej pozycji zdecydował, że byłoby po prostu idiotyzmem nie wykorzystać Saszy Korbacha w kinie amerykańskim. Powiedz, *old chap*, mógłbyś napisać scenariusz, wyreżyserować film, sam albo do spółki ze mną, zagrać w nim? No jasne, że byś mógł! Jaki film? Pogadamy o tym za parę dni. Teraz lecę do Paryża, kręci tam dla nas jedna ekipa, potem z powrotem do LA, a za tydzień wracam do DC. Odbędzie się tu rozstrzygające spotkanie zainteresowanych stron. Tak, tak, są już takie. No to tyle o interesach. Chodź, wypijemy sobie teraz, jak kiedyś w akademiku na Wystawie Osiągnięć Gospodarki Narodowej. Za to, żeby zdechli! I nigdy więcej się nie narodzili! - zakończył Korbach popularny moskiewski toast.

Na Connecticut Avenue, biegnąc w poszukiwaniu taksówki, Czapski upuścił teczkę. Wszystko się rozsypało, między innymi sporo „trojańców” - prezerwatyw z przeuroczym widoczkiem plaży na opakowaniu. Zbierali całe to barachło z mokrego asfaltu, klnąc po polsku i po rosyjsku. Krew, czyja, psia, mać, jaka, kurwa! Ludzie patrzyli z samochodów na podstarzałego wujaszka w ciężkim paltocie i zgrabnego pseudomłodzieńca, podobnego do miejscowych homoseksualistów. Żeby się doprowadzić do porządku, wpadli do Timberland, gdzie w stylu amerykańskim, to znaczy w niemal kompletnej ciemności, siedziało paru spośród tych, którzy już wrócili do normy. Czapski zmęczył się na wpół zapomnianą słowiańszczyzną i przeszedł na angielski.

- *Listen, Korbach, are you happy in America?*

- *Not at this particular moment, Chapsky.*

- *Why not?*

- *How can I be happy when my girlfriend is in space?*

- *In what space?* - ryknął Czapski, patrząc w kąt baru, jak gdyby oczekiwał stamtąd odpowiedzi na pytanie o przestrzeń.

- *In the outer space.* - Korbach kołysał się na stołku niczym ogólnie znany Humpty-Dumpty.

- *She is so far away, my love, she's orbiting our planet, she's losing her gramtation, she is not my love anymore, a weightless body...*

- *Thafs great, Sashka! It's a great proposal. He's drunk in the bar, she is weightless on the orbit! You are a generator ofproposals you fucking Soviet Sashka Korbach! We make you rich and famous sous les drapeaux de Chapsky Production!*

Minął najwyżej tydzień. Nora była już na Ziemi i przechodziła kontrolne badania w Houston. Ich rachunki telefoniczne rosły z prędkością kosmiczną, jako że rozmowy składały się głównie z westchnień i pauz. Nagle zjawił się Czapski, ogolony, w eleganckim granatowym garniturze. Była z nim asystentka, w której oczach, jak się zdawało, wciąż widniał popularny w naszych krajach trojański zachód słońca nad morzem.

- Jedziemy, Saszka. Zobaczysz dzisiaj imprezę nie gorszą od plenum KC KPZR.

W samochodzie podsunął Aleksandrowi kartkę papieru. Był to, ma się rozumieć, *proposal*. Możesz oczywiście przeczytać to później albo wręcz cisnąć do diabła. Teraz najważniejsze to puścić tę maszynę w ruch. Droga była niedaleka, AJ nie zdążył niczego przeczytać. Zwrócił tylko uwagę, że akcja zaczyna się w Afganistanie. W tamtych czasach trudno było *znaleźć* scenariusz, który nie zaczynałby się w Afganistanie.

- No to jesteśmy na miejscu - powiedział Czapski. - Wyłazimy, a Nora zatroszczy się o parking.

Sasza drgnął.

- Co za Nora?

- No ta tutaj, moja pomocnica.

- Moja przyjaciółka też ma na imię Nora.

Czapski wzruszył ramionami.

- Widać ich tatusiowie naczytali się Ibsena.

Przed nimi wznosił się szary budynek, szeroki i długi na całą przecnicę, z mnóstwem małych kolumnienek i okien z wykuszami. Trudno było określić jego styl architektoniczny, ale niewątpliwie miał coś wspólnego z *Paris d'Hausmann*. Był to ogólnie znany Stary Kantor, druga co do ważności budowla w Waszyngtonie. Otaczała ją krata i betonowe bariery w formie kwietników, które pojawiły się po tym, jak współplemieńcy Omara Mansoura zaczęli się fascynować ciężarówkami nadzianymi materiałem wybuchowym.

Czapski i Korbach weszli głównymi schodami, otworzyli drzwi i znaleźli się w otoczeniu postawnych, płynnie poruszających się oficerów o chwytnych oczach, białych i czarnych. Nastąpiła krótka kontrola spisu komputerowego, po czym przypięto gościom do klap marynarek *buttons*; niewykluczone, że był w tych guziczkach jakiś pasek magnetyczny, który na bieżąco monitorował ich poruszanie się wewnątrz tak ważnej struktury.

- Drugie piętro, *gentlemen*, jesteście tam oczekiwani - powiedział starszy z ochroniarzy.

Na marmurowych schodach Czapski zatrzymał się.

- Czekaj no, dopiero teraz przyszło mi do głowy: ostatnim razem coś tam nadawałeś o przyjaciółce w stanie nieważkości, a teraz powiedziałeś, że ma na imię Nora. Nie chcesz chyba powiedzieć, że to Nora Mansour?

Korbach nie zdążył odpowiedzieć - zbliżało się ku nim dwóch młodych funkcjonariuszy. Idiotyczna myśl nawiedziła Saszę: proszę, te oto chłopaki zarabiają grosze w porównaniu z tym gościem z telewizji, a krawaty mają zawiązane idealnie. Trzeba się po prostu skoncentrować, *fiddlesticks*. A to znowu z jakiej opery, *fiddlesticks*} *Fiddlesticks*, *fiddlesticks*, co to za abrakadabra się przyczepiła? Prosimy, by czytelnik poszperał nieco w tym, co już przeczytał, a wtedy odnajdzie to słowne dziwactwo. Podpowiadam: część czwarta, moi mili państwo.

Szli szerokim korytarzem o wysokim suficie (obecnie się takich nie buduje), po prawej i lewej stronie otwierały się drzwi, również szerokie i wysokie i z niezwykle uprzejmymi uściskami dłoni przyłączyli się do nich właściwi pracownicy. Twarze tych osób przemukały dość często przez telewizyjny ekran; gdyby nie to, można by pomyśleć, że człowiek znalazł się w jakimś zeszlowiecznym niemieckim kurorcie balneologicznym, *fiddlesticks*. Wreszcie dotarli do miejsca przeznaczenia. W drzwiach ogromnego gabinetu przywitał dwóch emigrantów Amerykański Polityk, z tych, których nazwisko na oficjalnych listach poprzedza tytuł *the Honorable*. Wzniosłe to określenie przełożone na rosyjski nieuchronnie pociąga za sobą skojarzenie z tłustym brzuchem - „wielce szanowny”.

Edmond Peabody stanowił przykład wyjątkowej harmonii cech zewnętrznych i wewnętrznych. Życzliwie przyjacielski sposób bycia niezbyt różnił go od współpracowników, nosił jednak piętno wielkiej polityki, zarówno zagranicznej, jak i wewnętrznej; ta ostatnia, zdaje się, była dla niego ważniejsza. Na widok przybyłych Mr Peabody omal nie otworzył ramion:

- Wielki to dla mnie zaszczyt powitać was tu, panowie! Ma pan przed sobą wielbiciela

wszystkich pańskich filmów, Mr Czapski! O, Mr Korbach! Moja żona widziała pański spektakl w Czarnym Sześciannie. Rektor pańskiego uniwersytetu to przecież nasz sąsiad. Nancy Millhouse prawie na siłę zaciągnęła moją Andie na premierę, a do domu żona wróciła po prostu oczarowana! Była wręcz zachwycona pańskim talentem. Pan od niedawna w Waszyngtonie, prawda? No cóż, to witam w naszej stołecznej prowincji! - Zwrócił się ku swoim współpracownikom: - Wszyscy są na miejscu, możemy zaczynać. Idziemy do mnie, kochani.

Przed rozpoczęciem Czapski zdążył szepnąć Korbachowi: „Potem ci powiem, kto jest kto, a na razie po prostu siedź z mądrą miną. To wszystko, czego od ciebie oczekują”.

Do zebrań w KC KPZR było to mimo wszystko mało podobne, wzięwszy pod uwagę fakt, że część ludzi siedziała na poręczach kanap, a dwie osoby nawet na podłodze, demonstrując idealnie naciągnięte skarpetki. Wszyscy zwracali się do siebie skróconymi, zazwyczaj jednosylabowymi imionami: Ed, Joe, Phil, Rex. W radzieckim protokole partyjnym pewien element nieformalności uzyskuje się przez wydłużenie imion za pomocą przydania im ogona w postaci patronimiku.

Pierwszy zabrał głos Czapski i w miarę jak mówił, obraz się rozjaśniał, jakby przecierał go ostro zagiętym palcem. Mowa była o wysokobudżetowym filmie akcji na temat radzieckich jeńców wojennych w Afganistanie. Wszyscy zdają sobie sprawę, że temat jest gorący, ale my, to znaczy Chapsky Production, nie lecimy na aktualność. Chcemy oddać prawdziwy ludzki dramat, posługując się środkami współczesnej - chciałbym podkreślić to słowo - sztuki. Powinien to być ostry, autentyczny film o niemal dokumentalnej fakturze. Żadnych Sly Stallone z fallicznymi spluwami, żadnych bla-bla-bla tańców z szabłami w wykonaniu mudzahedinów, czarnych oczu błyskających zza czadorów. Równocześnie nasz ostry film powinna przenikać pewna estetyka postmodernistyczna, z elementami groteski i nostalgicznym klimatem schyłku sowieckości. Biorąc pod uwagę wszystkie te elementy, *guys*, postanowiliśmy zaproponować reżyserię Aleksowi Korbachowi. Nikt w Ameryce oprócz niego nie zrobi tego tak, jak byśmy chcieli, panowie, panie Peabody.

Wszyscy obecni, a było ich co najmniej ze dwa tuziny, kiwali głowami ze zrozumieniem, że niby sami tu specjaliści od filmów w tym politycznym organie, a kiedy nastąpiła wzmianka o Korbachu, do zrozumienia przyłączyły się współczucie i sympatia. Czyżby to *Gogolewski* tak mi się przysłużył w Waszyngtonie? Bzdura, przyczyną jest oczywiście Mrs Nora Mansour; życiowe perypetie tej chwilowej superstar dyskutuje się obecnie, rzecz jasna, w całym Waszyngtonie. Później Aleksander dowiedział się, że wśród biorących udział w zebraniu, *guys*”

byli wysokiej klasy specjaliści od polityki wewnętrznej, dwóch wysokich urzędników Pentagonu (w cywilu, ale w przydziałowych butach), a także eksperci z CIA.

- Moglibyśmy, naturalnie, obejść się bez rządu - kontynuował Czapski. - Zwracanie się do rządu z prośbą o subsydia nie leży w tradycji Hollywood. Proszę jednak nie myśleć, że zależy nam na oszczędzaniu własnych środków. Hollywood nie jest zainteresowany oszczędzaniem, tylko zyskiem. Może to paradoks, ale zwracamy się do rządu ze względu na zadania artystyczne, w szczególności w celu pełnego przestrzegania zasady autentyzmu, a także by uniknąć elementów brodwayowskiego show, którymi grzeszymy wszyscy. Oto w czym rzecz, a nie w tym bynajmniej, o czym pomyśleli szanowni zebrani.

Krótką przerwą w postaci życzliwego śmiechu i wymiana pełnych zrozumienia spojrzeń. Nikt się nie spieszył z zabieraniem głosu, Czapski podjął więc:

- Proszę także nie sądzić, że razem z Saszą Korbachem chcemy osiągnąć cele polityczne jako ofiary totalitaryzmu.

Najważniejsze są dla nas zadania artystyczne. Radzieccy jeńcy - etniczni Europejczycy, nawiasem mówiąc, w rękach fanatycznych muzułmanów - to właśnie sytuacja marginalna.

Znajdując się w fazie aktywnej, Czapski pyłował w swoim angielskim, ku zdumieniu Korbacha bynajmniej nie idealnym, wszyscy jednak doskonale go rozumieli: Amerykanie mają praktykę, jeśli chodzi o rozumienie mowy barbarzyńców. Usłyszawszy słowo „totalitaryzm”, wielu spośród zebranych nastawiło uszu, jak to się mówi. Oj, chyba go nie lubią, pomyślał nasz bohater. A może szanują jako przedmiot stałych studiów.

Ten i ów zaczynał już unosić palec w kierunku prowadzącego: „Parę słów, Ed, jeśli nie masz nic przeciw temu”. Peabody powstrzymał ich ruchem dłoni i zabrał głos pierwszy:

- Jesteśmy niezwykle wdzięczni Steve'owi Czapskiemu za jego wystąpienie. To bardzo interesujący projekt, dziękuję. Sądzę, że rząd nie powinien się uchylać od udziału w produkcji filmów - jest to jedna z głównych gałęzi naszego eksportu. Pora obalać stereotypy, drodzy przyjaciele. Zanim rozpoczniemy dyskusję, chciałbym zwrócić się z pytaniem do naszego utalentowanego przyjaciela, Mr Korbacha. Mam nadzieję, Alex, że w pełni podziela pan entuzjazm Steve'a? Czy widzi pan siebie w roli reżysera?

Trudno odmówić doświadczenia tej szyszce, pomyślał Korbach. Najwyraźniej zauważył moje ogłupienie. Ten dureń Czapski nie powiedział mi nawet, że film będzie o jeńcach.

- Jasne, Ed - oznajmił bez cienia wątpliwości w głosie. - Dniami i nocami rozmawiamy

o tym ze Steve'em. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

W tym momencie znowu włączył się Czapski. Zamierzają wykorzystać Saszę Korbacha w trojaki sposób: po pierwsze napisze scenariusz, po drugie wyreżyseruje film, albo z moją pomocą, albo, co byłoby lepsze, sam, po trzecie zagra rolę postaci paradoksalnej - radzieckiego generała nienawidzącego komunizmu i marzącego, by zostać prezydentem wolnej Rosji. Mówiąc to, Czapski spojrział na Korbacha z pewnym naciskiem: zrozumiałeś, Saszka? Korbach z uśmiechem kiwał głową. Wygląda na to, przyjacielu, że nie jesteś tak bardzo niezależny od tych facetów i wykorzystujesz biednego Korbacha jako przynętę. Pokiwał jeszcze głową i rzekł: - Proponowałbym obniżyć szarżę tego bohatera do pułkownika. Jest lotnikiem i katapultuje się nad masywem górskim, żeby przedrzeć się do naszych.

- Do naszych czy do waszych? - spytał jeden z tych w przydziałowych butach. Był niezwykle poważny i notował coś w żółtym notesie w linie.

- Mówiąc „do naszych”, mam na myśli „waszych”, to znaczy amerykańskich obserwatorów - uściślił Korbach. - Innymi słowy, nasz pułkownik chce uciec do naszych przedstawicieli, to znaczy, proszę mi wybaczyć, ich generał ucieka do naszych, czyli do waszych obserwatorów; przepraszam, chyba trochę mi się poplątało, gdzie nasi, a gdzie wasi.

Rozległ się gromki śmiech wszystkich zebranych, a w Ameryce, jak wspominaliśmy wyżej, śmiech często jest zwiastunem decyzji pozytywnej. Czapski był zachwycony.

Zaczęły się wypowiedzi uczestników zebrania. Wszyscy z entuzjazmem popierali projekt. Głównym zadaniem jest oczywiście stworzenie wybitnego dzieła sztuki. Udział rządu pomoże zburzyć rynkowe stereotypy. Powstanie precedens. Jeśli uda się stworzyć międzynarodowy hit w rodzaju *Doktora Żyiwago*, nakłady się zwrócą. Zwrócą z naddatkiem. Ale najważniejsza jest sztuka. Sztuka wysoka, *indeed*. W wymiarze finansowym też się opłaci. Oraz w innych wymiarach. Ma się rozumieć, w innych wymiarach także. Wysokiej jakości dzieło sztuki wpłynie na stan umysłów. Rząd, naturalnie, powinien uczestniczyć w finansowaniu, ale głównie w poszukiwaniu źródeł. Wykorzystać nasze wpływy w wielkich korporacjach. W celu stworzenia wybitnego dzieła sztuki. Żołnierz z notesem wypowiedział się konkretnie. My również jesteśmy za stworzeniem wybitnego dzieła sztuki, gdyż wywiera ono silniejszy wpływ na umysły niż marne dzieło sztuki. W danym przypadku dzieło takie pomoże zatrzymać niebezpieczny proces zbliżania się Rosjan do terenów roponośnych.

Pora była kończyć spotkanie. Peabody zaproponował, by powołać grupę roboczą, która

kontaktowałyby się z Chapsky Production, życzył sukcesu i podziękował wszystkim obecnym. Przy pożegnaniu silnie potrząsnął ręką Korbacha i powiedział, że ma nadzieję spotkać się z nim wkrótce w okolicy Pinkertona, czyli we własnym domu. Obiecuję, że przy stole nie będzie nikogo z Mason University. Otoczenie gruchnęło śmiechem; wszystkim znana była tradycyjna rywalizacja tych dwu uczelni.

Przy wyjściu przyłączył się do Korbacha jeden z młodych uczestników spotkania, najwyraźniej wszechstronnie obyty człowiek.

- Tak przy okazji, Sasza - zwrócił się do niego bezpośrednim tonem po rosyjsku - pańskie piosenki znowu stały się szalenie popularne w Sojuszu. I w czterdziestej armii też, to znaczy w Afganistanie. Oficerowie polityczni polują na kasety, ale żołnierze wciąż odtwarzają stare arcydziełka „wroga narodu”: i *Czyścić*, i *Jazdę figurową*, i *Sachalin imienia Czechowa*, i *Szwedzki płaszcz*, i *Delfiny*, i *Balladę Dombaju*, i *Balladę Butyrek*, i absolutnie fantastycznego *Colas Breugnona*. - Wylizanie wszystkich tych piosenek, nikomu, jak sądził, nie znanych w tym kraju, sprawiało młodzieńcowi jawną przyjemność. AJ tymczasem pomyślał: znaczy, że i tu było paru specjalistów, którzy zajmowali się piosenkami Saszy Korbacha. Nie, Stanley ma rację, ten kraj to naprawdę ostoja wolności!

Po dwóch dniach przyleciała Nora. Dziewczyna dziwnie się zmieniła po podróży w kosmos: skurczyła się jakoś, głowę wciągała w ramiona, dosłownie jakby starała się wzbudzić w nim pragnienie obrony, czułość, a nie to, co było dotąd normą w ich relacji - „karanie łobuzicy”. Odpowiadał na to i współczuł jej bez ustanku. W przerwach między tymi seansami współczucia opowiadała mu różne dziwne rzeczy o swojej niezwykłej podróży. Na orbicie działo się z nią coś, o czym nie była przekonana, że dzieje się naprawdę.

Na zewnątrz, a raczej jeśli chodzi o obraz Ziemi, wszystko szło tak, jak oczekiwano. Raz po raz z księżycowego cienia wychodził na połyskującą powierzchnię Półksiężyc Płodności. Nora robiła niezliczone zdjęcia, celując przeważnie w naszkicowane wcześniej miejsca przecięcia się karawanowych szlaków. Przez szkła soczewek zdawało się jej, że w miejscu, gdzie zgodnie z założeniem miało się znajdować liczące sobie sześć tysięcy lat miasto Ur, widzi topografię dzielnic. Po powrocie zdjęcia te będą, oczywiście, przedmiotem studiów i dyskusji na konferencjach.

Oprócz tych podstawowych zajęć, podobnie jak inni członkowie załogi wykonywała ćwiczenia z podłączonymi do ciała końcówkami medycznych urządzeń pomiarowych, odżywiała się kosmicznym pożywieniem, „posilniejszym niż *Faust* Goethego”, jak to ty mówisz, Sasza, i nawet grała z chłopakami w karty, czego też trzeba było się nauczyć w warunkach nieważkości.

Odpozynek jednak zmieniał się dla niej w coś, czego nie da się opisać. Wyciągnąwszy się i przymocowawszy do łóżka, patrzyła przez malutki iluminator w przeciwną niż Ziemia stronę. Zaczęło jej się zwidywać coś niemożliwego do pomyślenia. Spróbuję to opisać, ale wiedz, że to nawet nie przybliżenie tego, co było. Przede wszystkim dlatego, że zjawiska te nie miały żadnego związku z pojęciami „było-jest-będzie”. Wtedy rozumiała to doskonale, ale kompletnie nie pojmuje teraz. No dobrze, być może mogę nazwać to ogromnymi twarzami albo czymś takim. Wyłaniały się jedna z drugiej, a każda była wcieleniem wszystkich pozostałych. I znikaly jedna w drugiej, niby fluktuacje jakiegoś światła, zupełnie jak w trzeciej części *Boskiej Komedii*, ale bez końca. Teraz nazywam je twarzami, ale to nie były twarze, Sasza; a zresztą, nie da się tego powiedzieć. Czasami zaklinała je: pokażcie się, pokażcie! I wtedy, jakby w odpowiedzi, pojawiły się podobizny aniołów. Tak, Sasza, ze skrzydłami - jakby ludzie, ale ze skrzydłami. Potem wszystko zastąpiło wszechogarniające drżenie. Ona sama była wówczas częścią zachwyty i było w tym wszystko: i koniec, i początek, i pozostawało tylko modlić się - o co, nie pamiętam. Nagle zdała sobie sprawę, że widzi Chrystusa, nie w ludzkiej postaci, a w postaci czegoś niewidzialnego i wielkiego zarazem, jeśli można tak powiedzieć, ale powiedzieć w żaden sposób się nie da.

Nagle w jednym punkcie powstało w niej jakieś świdrowanie, tak jakby zapuszczano w nią

sondę. W niewyobrażalnej głębi pojawiło się pudełeczko z inkrustowanym wieczkiem. Otworzyła je i znalazła się na krawędzi urwiska, nad gotyckim miastem o dachach pokrytych dachówką, ze zrujnowanymi fasadami oraz krzyżami i gargulcami wielkiego kościoła. Mówiąc krótko, w pudełeczku znajdował się epizod, jaki zdarzył się jej - jeszcze przed Saszką - na wyspie Gotlandii.

Szła dróżką prowadzącą skrajem urwiska. Przed nią widniała zielona przystrzyżona polana, otoczona z trzech stron krzakami obficie kwitnących róż, a z czwartej paroma głazami, które maskowały krawędź urwiska. Na polanie, patrząc w niebo, leżała młoda kobieta. Obok niej siedział mężczyzna o urodziwej, mrocznej twarzy. Po polanie biegał tymczasem maleńki chłopczyk, najwyżej trzyletni, w okrągłej czapeczce z plastikowym daszkiem. Jedną stopę miał - najwyraźniej na skutek wrodzonego defektu - silnie zgiętą do wewnątrz, dlatego można było porównać jego biegającą figurkę do łódki na stromej fali przy bocznym wietrze. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej być wcieleniem radości życia. Zrywał w trawie to niebieski, to żółty kwiatusek, krzychał „tata, tata!” i żwawo kuśtykał ze swoim darem ku mrocznemu człowiekowi. Tamten brał kwiatusek i od razu, nie patrząc, kładł go na trawie. Mały, śmiejąc się, rzucał się z powrotem i zrywał nowy kwiatek niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska.

Nora poczuła ściskanie pod kolanami. „Ej!” – krzyknęła i chłopczyk, wyciągając rękę po kolejny kwiatek, odwrócił się. Ujrzawszy Norę, pomknął ku niej, śmieszny kaleka, który na razie nie wie, co go w życiu czeka z tą nogą. Zbliżywszy się, uniósł ku niej błękitną niezabudkę. „Bardzo dziękuję. Pozwól, że uściskę ci dłoń” - rzekła Nora. Wyciągnął lewą. „No nie, daj mi prawą” - zaśmiała się. Cała wibrowała szczęściem, jakim napełniał ją kontakt z tym dzieckiem. Chichocząc, podał jej prawą. Potrząsali sobie ręce i śmiali się. I wtedy okazało się, że matka chłopca stoi obok. Ich spojrzenia się spotkały. Młoda kobieta uśmiechnęła się z niedowierzaniem. „Jakiego państwo mają fantastycznego synka” - powiedziała Nora. - „Jak ma na imię?” „Feliks” - odparła matka, jakby nie dowierzając, że jej syn może się komuś podobać. Nora klasnęła w dłonie: „Co za przemiły, czarujący, wspaniały Feliks!” Chłopczyk też zaklaskał i roześmiał się jeszcze głośniej. Nora pocałowała go w policzek, różowiący się niezupełnie zdrowym rumieńcem, i od razu odeszła, żeby się nie rozplakać z czułości na ludzkich oczach. Obejrzawszy się po kilkunastu krokach, zobaczyła, że cała rodzina stoi razem: matka z nieśmiałym, pełnym wdzięczności uśmiechem, promienny Feliks i chmurny, ale mimo wszystko odrobinę odtajały wiking. „Ostrożnie, Feliksie, tam jest urwisko!” - krzyknęła Nora. Mały jeszcze raz wesoło

podskoczył przy dźwiękach nieznanego głosu. Matka popatrzyła w ślad za gestem Nory i w przerażeniu otworzyła usta: najwyraźniej myślała, że za głazami jest po prostu zbocze. Natychmiast wzięła Feliksa za rękę i bezdźwięcznym ruchem warg podziękowała cudzoziemce. Mąż zrobił gest mówiący: „wszystko pod kontrolą”.

Możliwe, że nie wszystko było pod kontrolą, zwłaszcza gdy wpadał w melancholię, uświadamiając sobie, że życie obeszło się z nim tak niesprawiedliwie, dając mu upośledzonego syna. Być może Feliks biegał za kwiatkami, a ojciec wiedział o istnieniu tamtego urwiska i gdzieś w zakątku świadomości gnieździła się prośba do losu: „Ta przepaść pochodzi z twojej opery, jesteśmy bezsilni wobec twoich wyroków”. Nigdy nie przyzna się do tego przed sobą, podobnie jak nie przyzna się, że przypadkowo przechodząca kobieta, jaśniejąca dziwnym blaskiem Amerykanka, obdarowała go na całe życie miłością do syna. Do Feliksa.

Nora, rzecz jasna, po godzinie zapomniała o tej scenie i nigdy o niej nie myślała. Szkatułka zawierająca to spotkanie, która wypłynęła z niezbadanych głębin, była dla niej pełnym zaskoczeniem. Teraz szeptała ukochanemu do ucha: - Wiesz, wydaje mi się, jakby tam była cała treść mojego życia, jakbym tylko po to przyszła na świat, dla tego jednego błysku. Dla Feliksa. Nie wiem, co było wyryte na wieczku, może po prostu moje imię i daty. Zresztą wszystko tylko wyglądało jak szkatułka, żeby zrozumiała, w rzeczywistości to była jakaś niedosiężna, związana ze mną informacja.

Jedną ręką obejmował jej ramiona, a drugą głaskał po głowie. Im silniej poczuje cielesność, zwyczajność, tym szybciej wyjdzie z niebytu. Co oni wyprawiają w tym ośrodku w Houston? Zaakceptowali jako członka kosmicznej załogi kobietę o alkoholowej i narkotycznej przeszłości! Przeżyła coś zbliżonego do doświadczenia Dantego, zanim zaczął pisać *Boską Komedię*. Niezależnie od tego, co stanowiło bezpośredni bodziec - choroba, rana, jakaś silna trucizna - jedno jest pewne: przebywał tam, gdzie przebywać nie wolno. I z Norą w stanie nieważkości zaszło coś podobnego.

No dobra, chodźmy do knajpy. Po drodze kupimy bilety do najbliższego kina, na film *Janus o dwu obliczach*. Albo kupimy ci długie zimowe buty. Widzę cię w takich. O, zobacz, otworzyli nową księgarnię, i akurat jest to, czego potrzebuję, nowy przekład *Odysei*. Kiedy ty latałaś w kosmosie, u nas ten i ów zbankrutował, na przykład sklep The Revolutionary Posters, ale ten i ów pojawił się, na przykład piwnica winna The Dupont Underground. Mają tu dumpingowe ceny na Veuve Clicot: dwadzieścia pięć dolarów za butelkę, a w Paryżu, pamiętam, płaciłem

trzydzieści pięć. A po czterdzieści czasem byś nie chciał, uśmiechnęła się, i ucieszył się z tej żywej reakcji na kwestię światowych cen. Bierzymy pół tuzina po tych dumpingowych cenach i będziemy pić dzisiaj całą noc. Dobrze jest mimo wszystko nie ograniczać się finansowo, prawda, Noroczko, po mężu Mansour, z domu Korbach? No proszę, wleczeni jak osły na górskich przełęczach Sardynii: twoje buty, *Odyseja*, sześć butelek szampana. Czujesz, jakie to ciężkie? Grawitacja wraca pod postacią luksusowych przedmiotów i fontann poezji. No to walimy do Vincenzo's: jakie wolisz krewetki, pieczone na grillu czy smażone w maśle na grzankach? A ten sos czosnkowy niepotrzebny. Tak, jestem Żydem, ale nie lubię czosnku! Gotów jestem wyrzec się swojego żydostwa, byleby nie wciskano mi czosnku pod postacią rozmaitych sosów. Po co mi *Odyseja*? Do parafraz, szczegóły później, najpierw ustalmy, pasta czy risotto? Wino białe czy czerwone? Parmezan czy gruyere? A po posiłku przyzwyczajeni ludzie idą posłuchać jazzu. Przecież oboje jesteśmy przyzwyczajonymi, niemłodymi ludźmi i jazz to jest to, czego powinniśmy się trzymać. Gdyby urodził nam się chłopczyk, nazwałbym go Jazz. Jazz Aleksandrowicz Korbach, już widzę, jaki wniebowzięty byłby Stanley!

Widzisz go, prawda? Przyznaj się! On tu gdzieś jest, twój rozpustny ojciec. Nie będę zdziwiony, jeśli za chwilę wejdzie. Chodzą słuchy, że założył jakąś wielką fundację dobroczynną. Podoba ci się saksofonista? Za ostry. Ja bym dla ciebie zagrał inaczej. To znaczy, że ty i na saksofonie? No a jakże: majster-klepka do wszystkiego! Co to znaczy? *Jack of all trades, hawesting corn and blowing a horn*, coś w tym stylu. No tak, Saszka! Saszka, błękitnooki chwyt, wesoły towarzysz moich zabaw, tru-ru-ru-ru, Saaa-szkaaaaa! Cały jesteś nadziany urywkami, odpryskami waszej popkultury. Jak wszyscy Rosjanie zresztą. A skąd znasz wszystkich Rosjan? Spałam ze wszystkimi. Wiedziałem, w końcu się przyznałaś!

Wyszli z jazz cafe i stanęli jak wryci: wszystko pokryte było śniegiem, który nadal walił wielkimi, gęstymi płatami. Niektóre miały powierzchnię chyba na pół dłoni; ich lot był fantazyjny jak lot motyli. Nora piszczała z zachwytu. No więc widzi pani, *madame*, gościu z kosmosu, jakie tu u nas powstają cuda ze zwykłego połączenia tlenu i wodoru. I wszystko to zmieniamy w poezję, szanowna pani. Wyciągnął z kosza na śmieci na pół przemoczony „Washington Post”, zwinął go na kształt saksofonu i *zagrał* właśnie to, co chciała usłyszeć: *Cotne to me, my melancholy baby, cuddle up and don't be blue...*

Tymczasem zaczął się powoli rozkręcać projekt filmu. Z Chapsky Production przyszedł do Aleksandra oficjalny list, w którym było napisane, że teraz, po odbyciu w zasadzie ważnego zebrania w Starym Kantorze, wszystkie zainteresowane strony oczekują od Mr Korbacha tak zwanego *outline*, czyli wstępnej informacji na dwóch-czterech stronach. Później spółka podpisze z nim jako z autorem umowę na obszerniejszy plan scenariusza, *treatment*, a następnie kontrakt na pełny scenariusz. Rząd wielkości sum, jakie proponowano w liście, robił pewne wrażenie, ale mimo wszystko nie takie, by, jak w niemym kinie, zamrzeć z otwartymi ustami, po czym następowałby ciemny kadr z winietą i napisem: „Jestem bogaty! Jestem bogaty!” Kadr z winietą mógłby mieć miejsce wtedy, gdyby zachwycona ludzkość stanęła w kolejkach do kin od Toronto do Dżakarty.

On zaś na razie nie wiedział jeszcze, o czym pisać. Wymyślił na poczekaniu jakiegoś tam lotnika - marzył jakoby o zagranium jego roli - obecnie zaś gotów był odstąpić od tej postaci. Żeby uczynić go realnym, zbyt wiele trzeba by objaśniać zachodniemu widzowi. Ten żołnierz-fanfaron i sowiecki cham może oczywiście być obecny gdzieś z boku, ale główny wątek powinien być inny. No tak, jeńcy, ale na czym będzie polegał główny sens naszej historii? Przy całym podobieństwie zewnętrznym nie ma co budować paraleli z epopcją wietnamską amerykańskiego kina. Tu powinno być coś typowo radzieckiego, a także, było nie było, coś europejskiego.

Czapski rzucił wtedy sensowną myśl: europejskie chłopaki w niewoli islamskiej. Bez względu na przepaść ideologiczną, Rosjanie pozostają mimo wszystko częścią europejskiej wspólnoty etnicznej. Islam jest jej przeciwieństwem ze względu na swoją gwałtowność, ale także ze względu na swój wciąż żywy podstawowy sens: podporządkowanie się, bojaźń bożą.

Coś zaczęło świtać przez frazesy mglistego projektu. Pieczara w górach południowego Afganistanu niedaleko granicy z Pakistanem. Mudżahedini trzymają tam radzieckich jeńców. Najwięcej autentyzmu zawierają losy trzech osiemnastoletnich dzieciaków. Jeden z nich jest Sybirakiem, drugi pochodzi znad Wołgi, a trzeci to uliczny muzyk z Leningradu. Zaraz, przecież to może być coś w rodzaju tej dawnej opowieści o trzech chłopakach, co to kiedyś narobiła tyle szumu - *Bilet do gwiazd* czy jakoś tak, nie, *Gwiezdny bilet*, o właśnie. Ileż to kopii skruszono wtedy o ten nieszkodliwy drobiazg! Ale widać nie bez powodu Partia, Śmierdząca Dama ze

swoim komsomolakiem-żigolakiem, tak się wściekała. Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata, a i tak utożsamiałem się z bohaterami powieści - siedemnastolatkami. Zaraz, przecież wtedy poznałem jej autora! Mieszkał gdzieś koło stacji metra Kropotkinskaja. Ataki partii uczyniły go sławnym. Pewnego razu Saszka zobaczył go. Chłopak z dziecinnym wózkiem stał przed gablotą z „Komsomolską Prawdą” i czytał artykuł zatytułowany *Bilet, ale dokąd?* Sasza Korbach podszedł. Cześć! Podoba mi się twoja powieść.

Słuchaj no, co ty udajesz teraz, dwadzieścia sześć lat później? Tak jakbyś nie spotykał się z nim tyle razy w strychowo-piwnicznym towarzystwie, tak jakbyście nie mieli tylu wspólnych przyjaciół, jakbyś nie wiedział, że tego WA Stepanida Włastiewna wywaliła ze swojej zaśmiardłej rudery dwa lata przed tobą. Tak jakbyś nie wiedział, że mieszka gdzieś tu w Georgetown i wykłada na konkurencyjnej uczelni. Jakbyś nie trafił do jego nowej powieści w charakterze głównego bohatera.

W każdym razie moja historia może się stać parafrazą *Gwiezdnego biletu*. Ideą przewodnią tamtej książki była ucieczka, wskazywała nawet jej kierunek - Zachód! Komsomoł na zlecenie partii rozdmuchuje „romantyzm” Wschodu (potrzebny jest tam „bohaterski zryw”), a „gwiazdni chłopcy” walą na Zachód, choćby do Estonii, leżącej wprawdzie w granicach ZSRR, ale to mimo wszystko gotyk, resztki bałtyckiej Hanzy, do Gotlandii stąd o rzut kamieniem. Bohaterowie GB to byli chłopcy z rodzin inteligenckich, a bohaterowie naszego filmu będą dziećmi sowieckiego bagna: ucieczkę od dojrzałego socjalizmu mogą znaleźć jedynie w butelce albo w anaszy. Granicę przekraczają tylko w czołgach lub wozach bojowych piechoty. Żołnierz w czasie walki to w gruncie rzeczy powrót do pozycji horyzontalnej, wyrzeczenie się elementarnego aktu ludzkiej twórczości. Tylko rozgromienie i niewola zmuszają go do ponownego spojrzenia w niebo.

Przez otwór położonej wysoko w górach pieczary, poza sylwetkami strażników w przypominających bliny nakryciach głowy po raz pierwszy dostrzegają, że ich ojczyzna to nie ZSRR, a nieskończony ocean gwiazdnych konstelacji.

Ograniczona samotność. Nieustanny lęk przed jakąś potworną torturą - powiedzmy kastracją. Nie ma nic i nikogo, kto dawałby nadzieję, może tylko pułkownik lotnictwa Dmitrij Denisow, który katapultował się z nietkniętego samolotu wprost w ręce mudżahedinów. Pomysł ucieczki na Zachód zrodził się w nim już w roku 1961, ale teraz to nie ideologia ani kaprys, a moment czysto egzystencjalny. Pułkownik Denisow wie, że radzieccy piloci śmigłowców mają rozkaz, by przy

każdej nadarzającej się okazji likwidować radzieckich jeńców. Co to jest kapitulacja w sensie podświadomym, pyta młodzieńców, w których widzi siebie i swoich przyjaciół dwadzieścia sześć lat temu. Ten, kto się poddaje, to nie jest osobnik zezwierzęcony, ale ktoś, kto liczy na odrobinę tego, co ludzkie w sercu wroga. Im dłużej trwa wojna, tym mniej uzasadnione jest to naiwne oczekiwanie. Pozostaje jedynie Zachód, odwiecznie mamiąca kraina swobody. W końcu uciekają i osiągają swój cel; wszyscy oprócz pułkownika, rzecz jasna. Jego czas minął bezpowrotnie. Ochlanie, jak nazywał ich w pieczarze, spacerują po Polach Elizejskich, ale to już wygląda raczej na drugi tom.

Ustaliwszy egzystencjalny sens idei ucieczki, Aleksander bez problemu napisał *outline*, odesłał go do Los Angeles i wkrótce otrzymał pierwszy pięciocyfrowy czek z Chapsky Production. Machina zaczęła nabierać rozpędu. Stefanowi, który dzwonił teraz niemal codziennie z najbardziej nieoczekiwanych miejsc na kuli ziemskiej, spodobał się wstępny pomysł Korbacha z dwoma mianownikami. Pułkownik, którego, rzecz jasna, zagra sam Sasza, reprezentuje totalne załamanie się iluzji przedstawicieli generacji poststalinowskich. Temat współczesnego pokolenia młodzieży może być fascynujący dla Zachodu, widzowie zobaczą, że radzieccy żołnierze to bynajmniej nie fanatycy komunizmu, a tacy sami ludzie jak ich zachodni współbracia, członkowie światowego bagna, produkujący swój rockowy łomot, z fiołem na punkcie audio - i wideoobrazów swojego żalosego hedonizmu.

Główne rosyjskie *flashbacks* będziemy kręcić za IC. Co za ajsi? No *Iron Curtain*, żelazna kurtyna. Wyślemy ekipę za pośrednictwem osoby trzeciej pod pozorem zdjęć do filmu o urokach ziemi rosyjskiej, a potem zmontujemy ich kadry z tymi kręconymi w atelier. A tak w ogóle poganiaj konie, nie zwalniaj tempa! Nadwyżki twojej wyobraźni oddamy później do muzeum i będziemy mieli z tego tytułu odpis podatkowy. Nigdy nie wyrzucaj brudnopisów, Saszka, oddawaj je do muzeum, a ich wartość odpisuj od podatku! A w ogóle, jak się czujesz? Nie potrzebujesz czegoś? No nie wiem, na przykład jakichś superdrogich witamin? Oczywiście, istnieją takie w przyrodzie. Myślisz, że po wszystkie witaminy stoi się w aptece? Mylisz się, po niektóre nie stoi się w aptece, żeby nie wnerwiać ludzi. Nie, ja sam takich nie oglądałem, ale wiem, że połowa Hollywood funkcjonuje na superdrogich witaminach. Bez tego zapanowałby pełny marazm, mój drogi! Czemu z tym wyskoczyłem? Po prostu chcę, żebyś miał wszystko, czego potrzebujesz.

Aleksander wiedział i od przyjaciół, i na podstawie własnego niemałego doświadczenia, że

reżyseria czy, jak w przypadku Czapskiego, produkcja filmu stwarza między stronami jakąś dziwną relację, przypominającą więź sutenera i prostytutki. Reżyser-producent tak jakby zakochuje się w osobie, z którą pracuje. Żyje jej sprawami, troszczy się o jej byt, wnika w komplikacje życia osobistego, jest gotów stracić cały dzień na poszukiwanie jakichś tam superwitamin czy części do samochodu uwielbianego współpracownika. Stan zakochania jednak momentalnie wyparowuje, gdy tylko robota jest skończona. Lecisz ku niemu jak na skrzydłach, jak dawniej, a tam już na tapecie nowa miłość. Nie oczekuj od reżysera stałości uczuć, a jeśli się przy nich upiera, wiedz, że udaje. A zresztą nie będzie się upierać.

- A kim tak bez przerwy gadasz przez telefon? - spytała pewnego dnia Nora. Miała naturalnie klucz do mieszkania Saszki i wyglądało na to, że fakt ten sprawia jej przyjemność. Przychodzi człowiek bez żadnego uprzedzenia, kiedy tylko mu się zamarzy, i zastaje ukochanego w naturalnej sytuacji, w naturalnym nastroju. Nawet jeśli lubi siedzieć z rosyjską gazetą w wychodku, to przecież jest to częścią jego istoty. W ramach wzajemności ona także proponowała mu klucz do swojego mieszkania, ale odmówił. Nie widzę sensu. Twój portier i tak da ci cynk przez telefon, zanim podjadę na górę, i zdążysz sprzątnąć kochanka, jakiegoś buhaja z obrony Redskins; przeprowadzisz go na taras, a stamtąd już przeskoczy na sąsiedni dach.

Często zastawała go teraz rozwalonego na tapczanie ze słuchawką przy uchu, ze zmarszczonym, jakby go głowa bolała, czołem. „Tak” - pomrukiwał od czasu do czasu - „no wiesz... jesteś pewien?... poważnie?... gdzie?... a, tam...” - „Elokwentny” uczestnik najwyraźniej pełnego treści dialogu.

Pewnego razu, odłożywszy słuchawkę, odparł: - A wiesz, to w związku z filmem. Niedługo zaczynamy zdjęcia.

- I nic nie mówisz? - wykrzyknęła tonem, który jej samej się nie spodobał: imitacja czegoś tam, radości czy co.

- No wiesz... - wstał z sofy i wzruszył ramionami.

- Z kim? - spytała, zmieniawszy ton z pseudoradosnego na pseudorzeczowy.

- Z Czapskim - odparł.

- O! - powiedziała i na tym zakończyła się rozmowa o filmie.

I tak, nie wiedząc co czynią, zastawiali na siebie wzajemnie malutkie pułapki. Niestety, łaskawa pani, ludzie często nie potrafią ustalić motywów narastającej irytacji; zwalają wszystko, powiedzmy, na zbyt wysokie czoło partnera albo odwrotnie - zbyt niskie, na brutalność seksu albo wręcz przeciwnie - na niedostatek brutalności, na niezgodność znaków Zodiaku, i tak dalej, oboje jednak wiemy, przyjacielu, ile zależy od dziecinnej nadwrażliwości i dumy. No na przykład Aleksander Jakowlewicz zaczyna czepiać się ukochanej: myśli, że sam niczego nie może osiągnąć, bo to ona, a nie ja, zapoczątkowała mój wątpliwy sukces. A Nora w tym czasie złości się na AJ: nie chce mówić ze mną o swoim sukcesie, bo wszystko przypisuje moim

układom jako córki bogatych rodziców, pieści w sobie wizję siebie samego jako prześladowanego emigranta, zapoznanego talentu, no i dobrze, nie będę go o nic pytać, skoro taki głupi.

Kiedyś jednak musiała porozmawiać. Nie poszedłeś ze mną na przyjęcie w The Bertrand Russell Human Rights Memorial, a ja tam miałam nieprzyjemną rozmowę na twój temat. A raczej na temat filmu Czapskiego i o tobie przy okazji. Czy to prawda, że robicie film o rosyjskich jeńcach wojennych w Afganistanie? I że to wszystko pod patronatem administracji, Pentagonu i CIA? Dziwne! Zawsze uważałam, że Czapski to utalentowany facet, w miarę niezależny w całym tym komercyjnym bagnie, i nagle wpada w bagno polityczne? Rozumiem, że obaj nienawidzicie totalitaryzmu - kto go zresztą lubi? - ale czy słuszne jest z tego powodu... Z jakiego powodu? Oj, nie czepiaj się słów! Czy z powodu walki o prawa człowieka koniecznie trzeba wchodzić w układy z naszymi „ultras”, z marionetkowymi wojakami, z pozbawionymi wszelkich zasad wtykami z wywiadu, na wskroś przesiąkniętego cynizmem? Co to ma wspólnego ze sztuką?

Nie wiem, na co liczy Czapski, ale ty, Sasza, na zawsze zszargasz nazwisko w oczach amerykańskiej inteligencji. Nigdy nie zmyjesz tej plamy! A to oznacza także klapę artystyczną, jeśli chcesz wiedzieć. Może nie wiesz, ale stosunek do rosyjskich intelektualistów i tak jest podejrzliwy ze względu na ich skłonność do flirtu z rządem.

Sasza, musisz natychmiast odciąć się od tego projektu „zimnej wojny!” Mam nadzieję, że nie wzięłeś jeszcze od nich pieniędzy, a jeżeli wzięłeś, to trzeba zwrócić. Pomogę ci, zdobędziemy każdą sumę. Film też dostaniesz, nie ma obawy. Mówiłam ci przecież, że Ricie wystarczy pół godziny i będziesz miał wartościowy kontrakt! Powiedz tylko, o co ci chodzi. Film na temat Dantego? *Dolce stil nuovo*? Czemu nie! Teraz najważniejsze to w spektakularny sposób odciąć się od tego politycznego zamówienia! Może być bez spektakularnych gestów, ale się odciąć!

- Ani myślę - odparł krótko na jej monolog i w ten sposób uciął dyskusję.

A w czasie gdy mówiła, chodząc tam i z powrotem po pokoju, mimo woli delektował się widokiem oratorki. Szła przed siebie, zawracała, wiotka i zgrabna, podkreślała słowa zachwycającymi gestami dłoni, to rumieniła się z przejęcia i współczucia dla inteligencji, to gasła i starzała w oczach z niechęci do sił reakcji, by za chwilę znowu się rozpromienić i odmłodzić. I nagle zastygła, jakby nadepnęła na żabę; to była jego odpowiedź.

Dopiero gdy tak bezwzględnie odpowiedział na ten emocjonalny monolog, sprowokowany

nie tyle przynależnością do obozu lewicy, ile autentyczną troską i lękiem o niego, zaczęła w nim rosnać zraniona miłość własna. Spokojnie, despotyczna Amerykanko, myślał ze złością. Taka z ciebie subtelna istota, potrafisz czytać nawet w mojej podświadomości, doświadczyłaś w kosmosie dantejskich wizji, a nie umiesz zrozumieć zwykłej ludzkiej psychologii! Przypisujesz mnie i Czapskiemu nienawiść do komunizmu... Moja droga, to znaczy, że po prostu nie znasz człowieka, z którym żyjesz od czterech lat! Przy całej swojej subtelności nie jesteś w stanie odróżnić nienawiści od wstrętu? W prymitywny sposób stawiasz znak równości między CIA i KGB? Przecież wszystkie wasze wywiady razem wzięte od początku swojego istnienia nie narobiły tylu łajdactw, ile nasza безпеka robi w godzinę!

A jak ocenia pani, jeśli wolno spytać, swoją własną kolaborację z rządem, *madame* astronautko Stanów Zjednoczonych? Gdzie dostała pani pozwolenie na lot? W Amnesty International? Wybacz mi, ale wróć do kwestii sukcesu artystycznego w pani interpretacji, nie, nie, proszę mi darować, ale wróć! Według pani klapa w kręgach lewicy oznacza klapę artystyczną? A bez błogosławieństwa waszej mafii arcydzieło jest niemożliwe? I pani proponuje mi zwrócić dowolną sumę, jaką otrzymałem od producenta? Mnie, żebrakowi, jeszcze niedawno wtykającym klientom torebki z proszkiem w Colonial Parking? Wyrzuconemu z kraju błaznowi proponuje pani odwrócić się tyłem do producenta, jedyne w tym kraju, który zna go jako artystę, a nie tylko jako kochanka Nory Mansour? I nie zdajesz sobie sprawy, że mnie w ten sposób upokarzasz? I obiecujesz mi, że twoja mamuśka załatwi mi reżyserię filmu o Dantem? Naprawdę nie potrafisz zrozumieć, że to dla mnie obelga, Noro Mansour, żono terrorysty?

Ze względu na obfitość „r” w ostatnim zdaniu może pan sobie wyobrazić, szanowny Czytelniku, jak zagrzechotało ono w umyśle Aleksandra i po rosyjsku, i po angielsku; nawet kobieca poduszeczka *wije* nie zmiękczyła go w tym ostatnim przypadku. Nora dawno już wyszła, a raczej, szczerze mówiąc, trzasnęła drzwiami natychmiast po „ani myślę”, a on długo jeszcze ciskał w myśli gromy, czemu towarzyszyło zszarpywanie ze ścian portretów, chlustanie w szklankę z rozbryzgiwaniem kropel ogromnych porcji whisky i łamanie Bogu ducha winnych (choć kto wie?) papierosów. Dosyć! Za daleko to wszystko zaszło. Po jakiego czorta w ogóle przyjechałem do tej Ameryki? Żeby zostać nadwornym błaznem tutejszych nadętych Korbachów, parszywej arystokracji? Już i Marjorie na mnie popatruje! Zostałbym we Francji, pojechał do Izraela i nigdy bym się nawet z nimi nie spotkał, z tym ich koszmarnym bogactwem! Pozostałbym uczciwym radzieckim plebejuszem, gałązką, pączkiem (sic!) z drzewa ofiar,

poniżonych i upokorzonych! Udaje pani tylko, Mrs Mansour, że jest pani moim ucieleśnionym marzeniem, a w gruncie rzeczy obchodzi panią tylko mój członek, tylko o swoją pochwę pani się troszczy!

Ostatnia sentencja wyrwała z niego cały ryk na zewnątrz. Był to koniec wspomnianej wyżej szklanki z whisky. Poleciała na ścianę i zhańbiła jej niepokalaną biel na długo, aż do czasu, gdy wprowadził się następny lokator. Pozostawiamy obecnie żeńskiej połówce „naszego drogiego czytelnika”, by odpowiedział na wściekłe inwektywy Aleksandra z punktu widzenia Nory. Jestem przekonany, że nie zostanie z nich nawet strzęp! Zresztą przy obecnym poziomie edukacji i męska połówka chyba się nie ustrzeże przed wychłostaniem szczekającego psa własnej płci. My jednakże spróbujemy pogodzić obie połówki. Przecież miłość kobiety i mężczyzny można traktować również jako niekończące się grecko-rzymskie zapasy! Proszę przypomnieć sobie rosyjskie przysłowie „Kto się czubi, ten się lubi” - ile w nim ludowego optymizmu!

W parę dni po rozegraniu się opisanej sceny Nora, sama czułość i jedwabistość, wydostała się spod wciąż jeszcze dyszącego gniewem Aleksandra i objęła nagim ramieniem krągłość jego głowy, niczym Nike, która poznała już trud Ptolemeusza:

- A może byśmy tak poszli dzisiaj, *darling*, na przyjęcie na cześć Klunnie Kudeli? Zobacysz tam cały nasz liberalny *beau ton*. I przestaniesz tkwić w błędzie, reakcjonisto!

Kto wie, może ona rzeczywiście ma rację, myślał Alex Korbach, wchodząc do sali balowej hotelu Mayflower. Może naprawdę liberałowie są lepsi od konserwatystów. Ci pierwsi mają jakiś związek z libido, a u drugich, chcesz czy nie, majaczy w nazwie jakieś ścierwo. Na podstawie wyglądu tłumu nie sposób jednak dokonywać tak subtelnych rozróżnień: mężczyźni bez wyjątku w czerni, kobiety zaś w tonacji pastelowej. Nie należy się tu doszukiwać ukrytej gry słów, nadmiemy w tym miejscu czytelnikowi rosyjskojęzycznemu: pastel niekoniecznie musi kojarzyć się z pościelą.

- Słuchaj no, a co to za jedna ta Klushie Kudela? - zwrócił się do Nory, udając, że w ogóle nie słyszał o bohaterskiej kobiecie.

- Przestań się wygłupiać - powiedziała poważnie i natychmiast rozjaśniła się adresowanym wszem wobec uśmiechem, jako że patrzyło na nich mnóstwo ludzi.

No dobrze, to był żart z tą Klushie Kudelą ze strony AJ, powiemy i my, tym bardziej że on sam pełnił funkcję doradcy w ogólnie znanym towarzystwie poświęconym pamięci Bertranda

Russela. Niedawno zwrócono się do niego z pytaniem, komu spośród radzieckich bohaterów przyznać doroczną nagrodę w wysokości 50 tysięcy dolarów. Natychmiast przedstawił do wyboru dwóch pływaków: jeden drapnął z „ojczyzny wszelkich nadziei”, przepłynąwszy na dmuchanym materacu Morze Czarne, drugi zaś, jeszcze lepszy, skoczył na golasa z parowca i przez trzy dni i trzy noce płynął wśród rekinów do archipelagu filipińskiego. „Zazwyczaj honorujemy ludzi, którzy wykazali się odwagą cywilną” - napisał do komitetu Alex Korbach - „ale w powyższych przypadkach wiąże się ona również z męstwem fizycznym”. Niestety, ani jeden, ani drugi nagrody nie dostał; przypadła ona bohaterce dzisiejszej uroczystości Klunnie Kudeli z Namibii. To znaczy właśnie nagroda uczyniła ją bohaterką dzisiejszej uroczystości. W tym sensie. *Fiddlestiks*.

Norę wołano po imieniu i rzucano się ku niej. Następowala zwykła wymiana uprzejmości: *you-look-great-you-too-look-great!* Nikt jakoś nie pytał o ekspedycję kosmiczną. Może dlatego, że zamieszany jest w to rząd, zgadywał AJ. Z drinkami w dłoniach przysiedli się do jednego z licznych okrągłych stołów. Kelnerzy roznosili ogromne tace, proponując *lasagne*, sałatkę ze szpinaku z małżami, *cacciatore* z kurczaka. Wszystko było proste, bardzo proste.

Przy ich stole zebrało się co najmniej osiem osób: czarujące owalne twarze, leciutko zmieszane uśmiechy przedstawicieli inteligencji wschodniego wybrzeża. Jedna z par była czarna; najwyraźniej nie pretendowali oni do jakiejś szczególnej uwagi ze strony otoczenia. Szczególną i najwyraźniej pozytywną uwagę prowokowała, trzeba powiedzieć, osoba Aleksandra Jakowlewicza. Tak jakby mówiono: proszę nam wybaczyć ciekawość, ale wszyscy tu znamy Norę, pana natomiast nie znamy. Podoba nam się pan, Sasza, ale niech pan coś powie, *please*, no choćby kawał, albo przynajmniej kichnie w serwetkę, i będzie pan swój!

Po przeciwnej stronie stołu siedziała Klunnie Kudela, duża kobieta o bujnym ciele i nieco cygańskiej twarzy. Nawet jej strój przypominał w jakiś sposób odzienie królowej taboru. Nieoczekiwanie utkwiała wzrok w Aleksandrze Jakowlewiczu, i to z taką intensywnością, że zjeżył się wewnętrznie: idźcie, matko, precz razem ze swoją szklaną kulą. W ich towarzystwie zaczęto rozmawiać o laureatce. Jaka miła ta Klunnie Kudela, nie sądzi pani? O tak, po prostu *nicel* Po tym, co przeżyła, wygląda po prostu fantastycznie, prawda? A wiecie, ja z nią dzisiaj rozmawiałem. Jak się pani czuje w Stanach, spytałem. Prawa i bezpośrednia, zrobiła po prostu oko i powiedziała: *We shall overcome*!

Następnie rozpoczął się dialog, który w przyszłości w splecionej postaci wracał po nocach do

Aleksandra niczym odległe echo jego własnego losu.

Ktoś spytał: - A panu jak się podoba, Sasza?

Nieoczekiwanie dla siebie samego odparł:

- Niespecjalnie.

Nora pod stołem mocno trąciła go w kolano.

- Przestań mnie trącać - powiedział spokojnie.

- O co ci chodzi? - W jej okrzyku był zarazem żart i oburzenie; chciała dać i jemu, i sobie szansę odwrotu.

- Po prostu chcę, żebyś nie trącała mnie pod stołem w moje wrażliwe kolano. Twoje sygnały, Noro, nawet tak niestosowne jak ten, nie skłonią mnie do przemilczenia prostego faktu, że niespecjalnie mi się podoba ta wasza Klunnie Kudela.

- Spokojnie, Sasza - powiedział ktoś, zdaje się mężczyzna. - Może nie podobać się panu osobiście - to się zdarza, takie przypadki nieuzasadnionej niechęci - ale nie może pan odmawiać jej zasług, jeśli chodzi o walkę z apartheidem.

Korbach skinął głową ze zrozumieniem, potem jednak uderzył nagle kantem dłoni w kant stołu jak marynarz z filmu *My z Kronsztadu*.

- Wybacz pan, nawet nie myślałem o apartheidzie. To, co powiedziałem, nie ma żadnego związku z apartheidem. Chciałbym dodać, *sir...*

- Jack - podsunął grzecznie oponent.

- Dzięki, Jack. Wybacz pan, Jack, ale wydaje mi się, że takim ludziom, jak pan i pańscy przyjaciele, nie mogą się podobać tego typu kobiety.

- Odbiło ci dzisiaj - powiedziała Nora z wściekłością po rosyjsku.

- Ależ nie, najdroższa. Skądże znowu. Bynajmniej. - Czuł się kompletnym idiotą, a mimo to, nie wiadomo czemu, nie był w stanie ugryźć się w język. - A wy, przyjaciele, czemu nie wyplujecie z ust tego gorącego kartofla? Naprawdę nie dostrzegacie dekadencjonalnej, rozwiązłej, skorumpowanej i wiarołomnej natury tej waszej Klunnie Kudela? Wiem, powiecie: cierpiała, jej mąż nadal siedzi w więzieniu itepe itede. Nie wiem, jak tam ona cierpiała, ale mężowi współczuję, zwłaszcza po tym, jak zobaczyłem żonę. Tak, proszę państwa, zwłaszcza po tym, jak popatrzyłem jej w oczy tu, na tej sali.

W tym momencie usłyszał stukot kopyt zrywającego się do galopu konia. Nora stuknęła obcasami, ulatywała, zniknęła. Patrzył za nią i myślał, jak to możliwe, że kobiety potrafią tak

szybko i sprawnie przemieszczać się na szpilkach. Potem wstał i poszedł za nią, skłoniwszy się uprzednio całemu towarzystwu. Szkoda, kochani, że nie łapiecie tego, co jasne jest nawet dla jeża. Na pierwszy rzut oka widać, że tej babie nie należało przyznawać nagrody firmowanej nazwiskiem człowieka szlachetnego. Wypowiedziawszy tę kwestię, zdał sobie sprawę, że wypowiedział ją po rosyjsku, ale nie zdecydował się na powtórkę w miejscowym slangu. Klunnie Kudela wciąż nie spuszczała z niego wzroku. Nawet zachwyceni wielbiciele nie stanowili dla niego konkurencji. Ostрым gestem wyciągnął w jej kierunku dłoń z rozpostartymi palcami, jakby usiłował zasłonić się przed telewizyjną kamerą.

Nora stała na rogu Connecticut Avenue i kawałeczka ulicy L (*od Love?*), na której końcu, pionowo w stosunku do asfaltu, świecił napis ABC NEWS. Na szerokiej Connecticut tymczasem, pośród wirującej powoli śnieżnej zamieci, tak samo jak w swoim czasie na ulicy Gorkiego, panował niewielki ruch. Takie oto wiotkie figurki, wtulające się w etole ze sztucznego futra (przecież prawdziwe to zbrodnia przeciw humanitaryzmowi), wystające po nocy na rogach obok hoteli (myśl Saszy Korbacha, jak pan niewątpliwie zauważył, łaskawy panie, w kryzysowych momentach miała skłonność do skoków w bok), takie figurki dam czekających na zamówioną taksówkę nierzadko można wziąć za prostytutki, nieprawdaż?

- Zostaw mnie, Alex - powiedziała Nora, nie odwracając głowy. No teraz trzeba powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie.

- A co ja takiego zrobiłem? Nic wstydliviego nie powiedziałem, wyłącznie prawdę. Ta wasza nowa namiętność, Klunnie Kudela, to po prostu kawałek bandyty w spódnicy, trudno to nazwać inaczej. Wiem, myślisz, że Rosjanie z ich antykomunizmem podają sobie ręce z zachodnią prawicą, z rasistami, z filarami wyzysku. Jak ty się mylisz, Noro Mansour, z domu Korbach!

Podjechał samochód. Nora otworzyła drzwiczki: „Zostaw mnie, Alex!” Spróbuję ostatniej możliwości: „Kiedy mam zadzwonić?” W końcu odwróciła ku niemu głowę. Powaga, smutek, wargi drżą, nie odchodź, ukochana!

- Nie dzwoń. Chcę od ciebie odpocząć, Alex.

Pojechała. Tak, to cios nie gorszy od tamtego - bukszpanową laską po głowie. Ale mimo wszystko nie śmiertelny, nie, nie śmiertelny! Powiedziała przecież „odpocząć” - a zatem nie na zawsze, prawda? Pytam was, wirujące w zwolnionym tempie wiedzmy zamieci: prawda?

Alinęło parę tygodni bez Nory. Kilkakrotnie przylatywał w tym czasie Czapski. We dwóch odwiedzali pojętnych chłopców ze Starego Kantoru. Za którymś razem Ed Peabody łagodnie upomniął Czapskiego, że we wszystkich swoich wywiadach wspomina o ich projekcie. Jest pewien wzgląd, Steve, niezbyt ważny, ale mimo wszystko... Film z założenia pokazuje Sowietów w niekorzystnym świetle, a agentura ich wpływów rozsiana jest po całym świecie. Wiele osób znajdujących się w tej sieci nawet nie podejrzewa, że służy bolszewikom, wielu jest przekonanych, że wręcz odwrotnie. Przedwczesna *publicity* może wywołać niepożądane podniecenie na Łubiance, oto w czym rzecz.

- Weźmiemy to pod uwagę, Ed - rzekł Czapski. - Dziękuję. Weźmiemy to poważnie pod uwagę. - Zaśmiał się. A w ogóle to jemu się wydaje, że w Moskwie zaczyna się rozpad. Wygląda na to, że mają wszystko w dupie. Niedawno był tam przelotem, wracając z Tokio, po raz pierwszy od dwudziestu trzech lat. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, a przecież jeszcze niedawno był dla nich „osławionym Czapskim, zoologicznym przypadkiem antyradzieckości”. Wlepili wizę tranzytową za sto dwadzieścia baksów i cześć. W Moskwie stoją ogromne kolejki po kości - owinięte w celofan z napisem „Zestaw na zupę”. Głodujących na ulicy mimo wszystko nie widać, tylko oczy wszyscy mają głodne, rozbiegane, pytające. Z przyzwyczajenia odnoszą się do siebie po chamsku, ale równocześnie zaglądnają sobie w oczy: może ktoś wie, co nas czeka? Była taka piosenka w jednym starym radzieckim filmie: *W powietrzu pachnie burzą*. Saszka, przetłumacz ten kawałek Edowi. No właśnie: *the air stnells of a thunderstorm*.

Peabody skromnie zakaszłał.

- *Wyborgskaja storona*, zdaje się?

- Mówi pan po rosyjsku, Ed? - zdumiał się Aleksander.

Wysoka figura wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

- A jak pan myśli, Sasza, czy mógłbym siedzieć na tym stołku bez znajomości waszego języka?

Czapski nadal dzielił się wrażeniami z Moskwy. Wszystkie ich najważniejsze totemy są obecnie pod znakiem zapytania. Nawet kamienna warta przed Mauzoleum Lenina drgnęła.

Żołnierze po cichutku pogadują ze sobą i chichoczą.

- Bzdura - powiedział Aleksander.

- Oto co znaczy człowiek sztuki. W ciągu paru minut zwrócił uwagę na tyle szczegółów! Chciałbym mieć takich spostrzegawczych współpracowników! - wpadł w zachwyty Peabody. - Ale mimo wszystko niech się pan powstrzyma w tym momencie od *publicity*, Steve. Nieźle by było puścić pogłoskę, że projekt wziął w łeb.

- E tam - mruknął Czapski. Po zaprezentowaniu moskiewskich reminiscencji zaczął przechodzić ze stanu lekkości - "pan Stefan z Warszawy" - w stan mrocznej o ciężłości znakomitego reżysera.

Tym niemniej zebranie kontynuowano. Mudżahedini, aczkolwiek otrzymują od nas pieniądze i broń, zdecydowanie odmawiają współpracy w kwestii jeńców. Przetrzymanie zakładników to dla nich nieodłączny element wojny. Czasem jednak udaje się wyciągnąć paru szczęśliwców. Akurat pięciu takich przybyło ostatnio do Peszawaru. Według mnie, *guys*, dobrze by było, żebyście się przelecieli do Peszawaru. Czapski ożywił się. Co za problem, jasne, walimy do Peszawaru! Przejedziemy się po granicy afgańsko-pakistańskiej. Może nawet przekroczymy ją w dwóch czy trzech miejscach. Peabody uśmiechnął się. Tylko proszę nie mówić o tym w wywiadach, Steve.

Perspektywa znalezienia się po drugiej stronie Ziemi, w Peszawarze, jakoś dziwnie zaskoczyła Aleksandra. Zdał sobie sprawę, że przez wszystkie lata emigracji ani razu nie wyjeżdżał ze Stanów. Radzieckiej wyobraźni Stany jawiły się jako ostateczna granica. Dokąd jeszcze można wyjeżdżać z amerykańskiego domu? Okazuje się, że do Peszawaru. Przebić się przez granicę w te straszne góry, gdzie może cię dosięgnąć sowiecka czy muzułmańska kula, gdzie i ciebie mogą nawiedzić dantejskie wizje.

Nora nie dzwoniła. Minęło już parę „beznorych” tygodni. Tak jakby nigdy nie istniała w moim życiu. Parę razy zostawiał jej wiadomości na sekretarce - najpierw pseudolekkomyślne, potem żartobliwie błagalne, w końcu rozpaczliwe - ale odpowiedzi, niestety, nie było. Kiedy wchodził do domu i widział migające czerwone światełko, rzucał się ku niemu jeszcze w palcie: No mów, mów! Telefoniczna kasetka przekazywała jednak, niestety, wyłącznie pierdoły z Czarnego Sześcianu albo z Chapsky Production.

Pewnego razu zobaczył Norę w kampusie. W skórzanej kurtce, z ogromnym szalem przez ramię, przenosiła z jednego budynku do drugiego parę papierowych rulonów - mapy czy

diagramy. Rzucił się na przelaj przez trawnik, by złapać ją, zanim wejdzie do środka, gdy nagle zdał sobie sprawę, że idzie nie sama, tylko z całą gromadą innych osób. Najwyraźniej była to jakaś konferencja. Wszyscy mieli identyfikatory w klapach i wszyscy byli w znakomitym nastroju. Włącznie z Norą. Śmiała się. Ach tak, *madame!* Wesoło pani? Odpoczęła już pani od Saszki? Wyleczyła się ze zgubnej namiętności? I ostro zawrócił z powrotem.

Naturalnie, miłościwi panowie, Nora zauważyła, jak rzucił się ku niej, i właśnie dlatego zaczęła się śmiać i żartować z innymi uczestnikami międzyuczelnianego kolokwium „Punkty przecięcia się karawanowych szlaków a wzajemne wpływy pogaństwa”. Tak przecież powinno być z założenia: ten, kto zajmuje się ludzkimi szczątkami, winien odznaczać się poczuciem humoru, nieprawdaż, moi panowie?

Parę razy wysyłał jej teksty minstreli, wkładając je w żółte koperty wielokrotnego użytku wewnątrzuniwersyteckiej poczty, których się nie zakleja, a zamyka za pomocą okręcanej wokół papierowego guzika tasiemki, jakkolwiek wydawałoby się to dziwne.

En Eliaszu, porozmawiamy

O tych, dla których miłość święta, kto swej miłości nie oszuka

I bez oszustwa sam kochany; powiedz, jeżeli święcie czcimy miłości prawa, to w czym chluba: kochankiem? mężem damy zostać? kogóż zechcemy tutaj wybrać?

Epistoły te również zawierały w sobie jakąś porcję nienatrętnego humorku, przede wszystkim były jednak błaganiem: odezwij się, Noro! Nora nie odpowiadała. Gotów był już, wzorem młodego Błoka, który wypatrywał na ulicach Petersburga różanolicęj Lubow Dmitriewny, włączyć się wokół jej domu na West Endzie, gdzie spędzili we dwoje tyle szczęśliwych godzin, ale nie miałyby to żadnego sensu. Nawet jej pięty by nie zobaczył: rozjeżdża się swoim benzem, a jak wraca, od razu daje nurka w podziemny parking, skąd wzbija się windą prosto do swojego *penthouse*; ani słyhu, ani dychu, przyjacielu!

Najgorszy z możliwych pomysłów - by zwrócić się o pomoc do pana Mansour - na szczęście nawet nie przychodził Aleksandrowi Jakowlewiczowi do głowy, a i my, przyjacielu, nie będziemy brać udziału w bulwarowym wodewilu *Mąż i kochanek w poszukiwaniu kobiety*. Pozostawało jedynie zmienić się w pośmiewisko Uniwersytetu Pinkertona, w Pierrota z ponurą gębą, obsypaną mąką - fakt, że wystarczy zmienić jedną literę, by z mąki zrobiła się męka,

wprost zaprasza do *commedia deWarte* - obijać się koło wydziału archeologii, gdzie, jak nam doskonale wiadomo, Nora rzadko bywa, a może nawet przywlec się na jej seminarium, co chyba rzeczywiście trzeba będzie zrobić, rzuciwszy w diabły huzarski aforyzm „Im mniej kochasz kobietę, tym bardziej się jej podobasz”.

Wieczorami siedział godzinami w fotelu, patrząc w okno, za którym przemykali na rowerach pędzie z Dupont Circle. Z pizzerii Vesuvio wychodził dyszący ogniem Cyklop i ponuro otulał się ogromnym paltem. Bez Nory nie ma sensu pisać, śpiewać czy reżyserować filmu. Jedyne w teatrze można się jeszcze jakoś obejść bez Nory. Ciekawe, że nie ma dla mnie nawet współczucia, niezwykle ciekawe. Dla małego Feliksa miała tyle współczucia i czułości, a dla mnie nie. Oto różne postacie miłości. Uczucie do Feliksa najwyraźniej bliższe jest temu, o czym Beatrycze mówiła w raju drżącemu Dantemu. W porównaniu z tym nasze spółkowanie, jak widać, jest nic nie warte, ciekawe, prawda?

Dobra, wystarczy o miłości, są inne dziedziny życia. Nawet w telewizji w przerwach między dyskusjami o seksie pokazują czasem waszyngtońskie przygody Gorbaczowa. Sekretarz Generalny pojawia się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach stolicy. No na przykład podchodzi do witryny księgarni. Wystawiony jest tam jego portret produkcji radzieckiej, to znaczy bez znamienia na czole. Westchnąwszy, zwraca się do towarzyszącego mu wiceprezydenta Busha: „Sam siebie tu nie poznaję, George. Proszę, oto przykład realizmu socjalistycznego”.

Z tymże George'em przechadza się Gorbaczow niedbałym krokiem po galerii handlowej Georgetown Park. Doświadczone radzieckie oko Saszy Korbacha dostrzega nerwową reakcję Raisy Maksymowny, gdy patrzy na ceny. Oficjalny gość jest jednak spokojny i komentuje przewrotnie: „Ciekawe, George, jak ten sklep będzie wyglądać następnego dnia po naszej wizycie”.

Jeszcze jedna migawka. Najwyraźniej gdzieś sobie podpiwszy, całe towarzystwo wtacza się do Blues Alley, a tam sam Dizzy Gillespie dmucha w swoją trąbkę zrobioną z rury wodociągowej. Gorbaczow jest zdumiony taką zręcznością Amerykanów. Jak to, przecież to ten sam, ten wielki, no ten, co to jest za pokojem. Podchodzi z otwartymi ramionami do muzyka: „Hello, hello, mój drogi, cały nasz kraj pana kocha *Poliuszko, polel*” Jazzowa głowa Dizzy'ego doznaje zawrotu: „Ale gościa mamy dziś, chłopaki!”

Toporny montaż, odnotowuje profesjonalne oko Aleksandra Jakowlewicza. Gorbaczow i Gillespie rozmawiają o kondycji współczesnej sztuki. Obaj przyszli już do siebie i wyglądają pokazowo. Pierwszy pociąga odwieczny radziecki wątek, odziedziczony po pierwszym wodzu: „Proszę powiedzieć, jaki *message* przesłałby pan za pośrednictwem muzyki swoim wielbicielom w Związku Radzieckim?” Drugi surowo wygłasza wielką myśl: *Musie has no messages, sir!*

Gorbaczow ściska trębaczowi dłoń, kieruje się do wyjścia. Wtem miga niezły kadr: stara, zmalowana do niemożliwości dama stojąca przy barowym kontuarze wzrusza ramionami. Korbach wyłącza telewizor. Na minutę ciemność opanowuje pokój, potem wycofuje się stopniowo ze swoich pozycji. Najpierw, rzecz jasna, zaczyna świecić biały telefon, ten skurwysyn, który może w dowolnym momencie uszczęśliwić rozwalone w fotelu ciało; może, ale nie chce. Chwileczkę, ten moment chyba właśnie nadszedł: ostry sygnał dzwonka przeszywa jak konwulsja wspomniane wyżej ciało.

Nie sądzę, by nawet najbardziej zajadli optymiści z grona naszych czytelników pomyśleli obecnie, że to Nora. Nagradzamy natomiast oklaskami tych, którzy uznali, że zgodnie z porządkiem rzeczy powinna się teraz pojawić inna kobieta. I tak też się stało. Niski damski głos, z tych, które określa się jako zachęcający albo wręcz wabiący, spytał o Mr Korbacha. Prawidłowo, kochani, dzwoni zza rogu, z automatu. Owal jej twarzy częściowo skryty jest w kosztownym futrze. No oczywiście, powiedzą ci spośród waszego grona, którzy tworzą frakcję antyaksjonowców, jakże by inaczej - jeszcze jedna atrakcyjna niewiasta! Ten facet tworzy fałszywą rzeczywistość, pobożne życzenia bierze za prawdę. Co płęć żeńska u niego, to obowiązkowo piękność: Anis, Sylvie, Marjorie, Lenore, Nora, jej mamusia Rita O'Neill i tak dalej. Jest nawet piękność hipertroficzna w postaci kalifornijskiej nierządnic Bernadetty de Lux. Nawet gdyby się pojawiła, rzecz jasna wbrew woli autora, jakaś brzydula, z miejsca zostanie odsunięta na odległy plan.

Również teraz, zaledwie nasza główna bohaterka płci żeńskiej, Nora Mansour, „gwiazda naszych oczu”, jak powiedziano by w bajronicznej literaturze rosyjskiej, skąd, prawdę mówiąc, wywodzi się ta postać, zaledwie zatem przejawiała ona tendencję do wypadnięcia z narracji, a już w całości, od głowy do pięt, wypełnia szklaną budkę telefoniczną kolejna kobieta, obowiązkowo oszołamiającej urody. I ta baba, hiszpańska w typie, chowając część owalu w kosztownym futrze, dzwoni do naszego Aleksandra Jakowlewicza swoim wzruszającym kontraltem. Wszystko to w sumie roznijają się z realiami Dystryktu Kolumbia, gdzie liczba kobiet nieatrakcyjnych

znacząco przewyższa liczbę kandydatek na nasze bohaterki, gdzie, prawdę rzekłszy, nie widuje się zbyt wielu drogocennych futer, a jeśli owale w czymś się w ogóle kryją, to raczej w kołnierzu pikowanej kurtki, i gdzie nogi nie ukazują się w prześwitach tych drogocennych futer, niczym u heroin operetek Offenbacha, a skromnie drepczą do pracy, demonstrując niedbale naciągnięte rajstopy.

Wszystko to prawda, przyjaciele, ale spróbujemy się obronić: przecież rzeczywistość powieściowa różni się, oj, jeszcze jak się różni, od rzeczywistości rzeczywistej; w powieści autor folguje swoim zachciankom, w związku z czym ryzykuje nawet własnym miejscem w „poważnej” literaturze, gdzie nie uswiadczysz obecnie choćby jednej sensownej twarzy, nie mówiąc już o nogach, które by przypominały kształtem nogi nimfy. Na zakończenie tego dyskusyjnego i niezbyt na miejscu ustępu podejmiemy ryzyko przypomnienia czytelnikowi, iż jest on współautorem utworu prozatorskiego i jeśli pragnie realizmu, spokojnie może wydłużać bohaterkom nosy, przyprawiać odstające uszy lub obwisłe zadki czy stawiać pod znakiem zapytania prostą linię nóg. My ze swej strony powiemy, że nasza baba, no ta, która dzwoni obecnie do AJ z budki obok kina Dwulicy Janus, była uosobieniem fandango.

- Sasza Korbach? Mówi pański przysły przyjaciel, bardzo bliski panu w tym momencie - zaśpiewał kontralt.

- W takim razie czekam! - baryton AJ przeszedł w dyszkant. - Proszę zapisać adres.

Co za brak ostrożności, pomyślała Mirelle Salamanca, gdyż ona to była (wzmianka po raz pierwszy w części trzeciej), i westchnęła tak, że słuchawka telefoniczna w ręku Aleksandra zmieniła się w ciemno upierzoną tropikalną papugę:

- Adres niepotrzebny. Proszę otworzyć drzwi, będę u pana za minutę.

Dokładnie za minutę wlokła go już za pomocą wszystkich swoich ciał i futer po schodach do jego własnej sypialni, śmiała się, błyskając pełnym spektrum barw oczu, i zatrzymywała się tylko po to, żeby mocno połaskotać go językiem, następnie zaś, rozsiewając po schodach detale toalety, pomknęła jak wichur prosto do sypialni, to znaczy jawnie odrzucała wszystkie inne możliwe warianty początku przyjaźni, jako to: filiżanka herbaty, rozmowa o pogodzie, o przeszłości itepe. I oto nasz bohater leży już rozpostarty na swoim łożu, zastrzeżonym dotąd wyłącznie dla pieszczot Nory, gość zaś, jak był w futrze z działu walutowego GUM i w obłoku perfum Obsession Calvina, czy coś w tym stylu, Kleina - mniejsza zresztą o to, nie będziemy precyzować - nucąc kawałek z Bizeta, zasiada na jego pionowym tronie i oferuje w celu zawarcia znajomości

to jedną, to drugą, to trzecią pierś; *ftddlestkks*.

- No to jak, poznajesz mnie, Sasza? - spytała, gdy uczta została zakończona.

- Ja? - zdumiał się. - Skąd mielibyśmy się znać, miła pani?

- Ech ty! - zaśmiała się. - I to się nazywa dysydent!

W tym momencie zdał sobie sprawę, że rozmowa toczy się po rosyjsku.

- Jak to, jesteś od nich?

Uniesiony ku papierosowi ogieniek dramatycznie uwydatnił linię jej nosa. Roześmiała się przyjaźnie.

- Niegłupi jesteś, mimo wszystko. Proszę pozwolić, że się przedstawię: kapitan Mirelle Salamanca, Wydział N, KGB, ZSRR. Mówi panu coś to nazwisko, zdemoralizowany artysto?

- Dokładnie nic, urocza prowokatoroko - westchnął.

- Jak to, to Buriewiatnikow nie opowiadał panu o naszym cyklonie w Nikaragui, o wulkanicznej lawie poezji, która spływała na nas z zalanych księżycowym blaskiem górskich zboczy, a sowy i jastrzębie krążyły nad nami niczym amorki, wysłannicy miłości?

Podczas gdy Aleksander Jakowlewicz przychodzi do siebie po tych rewelacjach, odsyłamy naszego wiernego współautora-czytelnika z powrotem do części czwartej. W ogóle zresztą radzimy zaglądać od czasu do czasu do części czwartej; niemało korzonków tam się płące.

A więc to właśnie ta poetessa, z którą Tich nawiał z grupy zdjęciowej, zdumiał się Korbach. I właśnie teraz, jak zwykle bywa w takich sytuacjach, Nora zapragnie się pogodzić, otworzy własnym kluczem drzwi i zobaczy panią kapitan poezji.

Właśnie teraz, zgodnie z wszelkimi prawidłami świństwa, powinno się to wydarzyć.

- Mimo wszystko, towarzyszeko, moglibyście zdjąć to futro i włożyć jakies, hm, inne przedmioty.

- Tak, jestem znaną poetką - przyznała z cichą dumą w drodze z sypialni do salonu, zdejmując futro, nie śpiesząc się jednakże co do innych przedmiotów. - Laureatką światowego konkursu w Knokke le Zoute. Sam Michałszczenko wręczał mi nagrodę. A poza tym jestem członkiem KC Komunistycznej Partii Boliwii na wygnaniu.

- A oprócz tego, jak sądzę, przewodniczącą światowego związku prostytutek? - poinformował się uprzejmie. - A może jedynie członkiem KC?

Zachichotała: - Przewodniczącą jest inna, dobrze panu znana osoba.

Krzętała się po mieszkaniu jak u siebie w domu, otwierała szafki, wyjmowała whisky

i szklanki, sięgała po popielniczkę. Doskonale wiedziała, gdzie co jest. Nie wie tylko tego, że zaraz dam jej butelką w łeb, kagiebowskiej suce. Ale nie dawał. Przyczynę niezdecydowania AJ można łatwo zrozumieć, jeśli postawimy się na jego miejscu.

- No to co, Sasza, pogadajmy serio - rzekła Salamanca, rozparłszy się na tapczanie z papierosem i szklanką Chivas, którą opróżniała solidnymi żołnierskimi haustami. - Niech pan siada - zachęciła go w nowym, cywilizowanym stylu ukochanych organów. Niemal poprawnie zacytowała rosyjskie przysłowie: „W nodze prawdy nie znajdziesz”.

- Ani też czegokolwiek innego - zauważył Sasza, zajmując pozycję siedzącą. Zmrużyła oczy:

- Po pierwsze, pozdrowienia od pańskiej rodziny - uśmiechnęła się.

Uderzenie nastąpiło w najbardziej nieosłonięte i bezbronne miejsce Aleksandra Jakowlewicza, to znaczy w czoło. Dysydent, jak pogardliwie go nazwała, a nie istniało w Wydziale N określenie bardziej pogardliwe, znalazł się na pełnym morzu bez koła ratunkowego, rozpaczliwie machając ramionami i chaotycznie łapiąc powietrze.

- Spokojnie, spokojnie - delectowała się efektem. - Na razie nic im się nie stało. Nie dalej jak wczoraj widziałam ich w posiadłości Chapeaumange, barona Vendredi, na Haiti. Albert to przecież mój stary przyjaciel. Zanim poznał Anis, nieraz czytaliśmy z nim wspólnie Saint-John Perse'a. Co by tu panu powiedzieć? Pańska żona mocno przytyła, choć atrakcyjna jak dawniej. Jak to się mówi w Rosji? „Stuknęło czterdzieści, baba w drzwi się nie mieści”. Lowa i Stiopa - o, to są pańskie arcydzieła, Sasza, a nie piosenki z wątpliwym klimacikiem, a tym bardziej nie sztuki z ordynarnymi antyradzieckimi aluzjami. Ładni chłopcy, wdali się w mamę. Zbudowani tak, że każdemu homoseksualiście szczęka opadnie, przyszli atleci. Niedawno zostali czempionami mikroregionu, gdzie mieszka haitańska burżuazyjna swołocz, w surfingu, *okay*? Francuski stał się ich językiem ojczystym, Chapeaumange zamierza posłać ich do paryskiej Ecole Normale. Z nowym ojcem - nie podskakuj tak, Sasza, to przecież twoja wina - mają doskonałe stosunki. Nawet asystują mu przy odprawianiu rytuałów. Niedawno na przykład przywieźli spod granicy z Dominikaną jego zmarłą ciotkę, która słynęła z tego, że połykała żywego koguta, i chłopcy wraz z ojcem wykonali wokół niej trzy kręgi *woo-doo*.

Dziwka rozłożyła się na tapczanie w taki sposób, że nie sposób dosięgnąć jej butelką, myślał Sasza doprowadzony do rozpaczny tym naigrawaniem się. Jak zamknąć pysk padlinie? Czyżby naprawdę widziała moich chłopaków? Jakby w odpowiedzi na tę wątpliwość Mirelle wyciągnęła ku niemu dłoń z podarunkiem - fotką z przyjęcia na trawniku przed willą; pomiędzy gośćmi stali

piętnastoletni bliźniacy w białych marynareczkach. W głębi kadru widać było także Anis z jej rozkosznymi ramionami, w liliowej sukni, w której do złudzenia przypominała nie przewracającą się kałamarz. Trudno było się zorientować, kto tu jest baronem Vendredi: wszyscy obecni wyglądali na arystokratów. Zdawało się, że Lowka i Stiopka patrzą wprost na niego, choć tak naprawdę w momencie robienia zdjęcia patrzyli na tę kurwę i jej miniaturową minoltę. Nosiłem ich na ramionach, jednego na lewym, drugiego na prawym. Anisja krzyczała: „Dawaj moje dzieci!” A w gruncie rzeczy zadowolona była, małpa, kiedy zabierałem ich i wyjeżdżaliśmy razem do Koktebelu. Godzinami fikaliśmy koziołki nad zatoką, wspinaliśmy się na Karadag... Byliśmy przyjaciółmi. Nawet kiedy wyjechałem z tego podłego królestwa KC, chłopcy wciąż mnie kochali i przechwalali się w szkole: „Ten osławiony Sasza Korbach to nasz tata!” Wszystkie ich wczesne *teenage years* zabrała mi ta cholerna władza. A teraz wychowują się w rodzinie czarownika.

- Cóż to, taki silny mężczyzna, a rozkleił się? - zawołała Salamanca. - Przecież widzisz, że u nich wszystko w porządku. Jasne, Haiti to kraj niebezpieczny, ale mamy tam porządną sieć. Jeśli się postaramy, dalej wszystko będzie w porządku.

- O co chodzi w tym szantażu? - spytał. - No gadaj, co masz do powiedzenia!

Zdaje się, że zamierzała nadal się nad nim pastwić, gdy znienacka wyskoczył główny temat. Piersi, niezbyt dokładnie skryte w biustonoszu, zafalowały, zupełnie jakby i one chciały wziąć udział w rozstrzygającej rozmowie.

- Cóż, no to słuchaj. Kończysz cały ten harmider z Czapskim i Edem Peabody. Odmawiasz reżyserii antyradzieckiego filmu. Wszystkie przygotowane dotąd materiały do scenariusza przekazujesz mnie. Te żądania nie podlegają dyskusji. Jeśli je spełnisz, zapewnisz bezpieczeństwo swoim dzieciom. W przeciwnym razie pozostaną bez ochrony. Co do reszty, masz wybór. Wariant pierwszy - całkowite milczenie. W takim przypadku kładziemy pieczęć na historii twojej zawodowej działalności w Westwood. Wariant drugi - wyście nam na spotkanie. Dostajesz wsparcie i nawet...

- Mówili o mnie? - spytał. Roześmiała się:

- A jakże, nie obawiaj się. Cała grupa się tobą zajmuje.

- Czy dzieci o mnie mówiły? - sprecyzował Aleksander sens pytania i z miejsca oblał się potem: kogo ja pytam!

- Cóż za zazdrosny ojciec, kto by się spodziewał! - zarżała znowu Mirelle. Trzeba tu

powiedzieć, że rozmowie towarzyszyła cała gama wydawanych przez nią dźwięków: chrząkanie, kłaskanie językiem, nawet coś w rodzaju drwiącego wycia, gdy interlokutor powiedział nie to co trzeba. - Chce pan, Aleksandrze Jakowlewiczu, chłopcy za tydzień przyjadą do pana z wizytą? Wszystko będzie super, jak mówi nasz szef, generał Bubcow. Ale może się zdarzyć tak, że nie będzie super, nigdy swoich latorośli nie zobaczysz, zasrany skurwysynu, suczy pomiecie pałką w łeb walnięty, korbachowski wypierdku; tak o tobie mówią radzieccy oficerowie!

Co wyzwoliło nową erupcję kagiebowskiego błota z tych ust, stworzonych nawet jeśli nie do „nowego słodkiego stylu”, to w każdym razie do słodkiego kiczu, powiedzieć trudno, jeśli nie weźmiemy pod uwagę faktu, że trzęsła się i patrzyła spode łba jak pierwsza lepsza kuchta, którą znowu rozebrano do naga gdzieś na podwórku. Przecież to diabelska pokusa, olśniło nagle AJ. Klasyczne kuszenie ludzkiej natury przez nieczystą siłę.

- Ile ci płacą za tę robotę, kapitanie? - w taki sposób zdecydował się przejść do kontrnatarcia; nie zapominaj, najemna kreaturo, że masz przed sobą człowieka niesprzedajnego!

- Dużo! - wykrzyknęła. - Jestem bogatsza niż wy wszyscy, mędrcy Syjonu! Zawsze jest przy mnie moja leninowska ideologia! Myślicie, że już skruszyliście twierdzą socjalizmu? Za wcześnie na triumf! W procesie pieriestrojki oczyścimy się z żydowskiego błota! Trzon najbardziej oddanych wymierzy w burżuazję decydujący cios! Nie wybaczymy wam prób zawrócenia biegu historii!

Popatrzył na zegarek, ona także popatrzyła. Wstał i ona wstała również. Postąpił krok w jej kierunku, ona postąpiła także. On odwrócił historię wstecz i ona też się odwróciła, żeby mu pomóc. Pozycja kolanowo-łokciowa, zakomenderował. Wprowadzić konia, zakomenderowała ona. Widzisz, kurwo, pełna zbieżność stanowisk, mamrotał pod nosem. Nienawidzę cię, mamrotała ona, nienawidzę tego, czym mnie dymasz! Po pokoju rozeszła się silna woń siarki. W ciemnej płaszczyźnie okna, za którym nadal mrowiło się spokojne skrzyżowanie, odbijała się scena najohydniejszego wodzenia na pokuszenie. Nigdy już tego z siebie nie zmyję, myślał on. Zaraz wessam cię razem z łysiną, myślała ona. Dobrze podpowiadali towarzysze: stawiać na seks perwersyjny. Żeby tylko Nora teraz nie weszła, myślał w rozpacz i z tej rozpacz wpadał w jeszcze większą zajadłość. Żeby tak weszła teraz ta jego dziwka, zaklinała w duchu, pieprznęłaby z traskiem cała ta wasza „nowa słodka poezja”. Słodycz po prostu leje się z niej, myślał, słodycz hańby bez granic. „W głębinach i na wysokości chcę czuć jedynie woń miłości” - mamrotała.

Wreszcie krzyknęła i potężny dreszcz przetoczył się po niej niczym szwadron czerwonej kawalerii. „Milcz, za wszelką cenę milcz” - nakazywał sam sobie, a mimo to powtarzał za nią „woń miłości, woń miłości”, dopóki konwulsja frontowego oddziału nie wzniosła ich walki na szczyt, by wreszcie spełznąć stamtąd w mętne *apres*.

Przez jakieś dziesięć minut w pokoju panowało milczenie i półmrok. Bielały tylko jej uniesione uda, które zresztą wkrótce zwały się na bok niczym garby znużonego wielbłąda. Słysząc było nieodległy szum Connecticut Avenue, która, jak zawsze, traciła w tym szumie swoje środkowe k. Zza ściany dochodziły ściszone, ale czyste dźwięki muzyki. Jakiś normalny człowiek słuchał *Serenata nottuma*. AJ zakrył dłońmi twarz i rzekł:

- No to teraz zabieraj się, kapitanie!

Słyszał, jak poszła do łazienki, a gdy wróciła, woń Madame Rochas zaczęła wypierać zapach siarki. Działając w ramach instrukcji, zbierała się szybko i umiejętnie. W drzwiach przystanęła i powiedziała miękko, po ludzku:

- Przemyśl to wszystko, Sasza. Zadzwoń za parę dni.

Drzwi szczęknęły. *Fiddlesticks*.

do jest dobre w naszych środkowatlantyckich stanach, to jesień. Wszystko można im wybaczyć za tę porę, przepelnioną słońcem i błękitem powietrza, jak gdyby lekko chrzęszczącego przymrozkiem, jak gdyby napełniającego nowym życiodajnym tlenem system oddechowy uwolnionych od zmęczonych liści drzew, zza których poprzez przejrzysty rysunek gałęzi skromnie i stosownie widnieje to strzelisty biały kościół, to pseudohanzeatycka linia *townhouse*, przy czym przedrostek „pseudo” niczego jej nie ujmuje, jako że dawno już stał się on zagadnieniem raczej stylu niż oszustwa, to jakiś szklany pomnik wysoko rozwiniętej technologii, to znowu inny obiekt w rodzaju kamiennego hipopotama i co tam jeszcze chcecie, ale wszystko w wyważonych porcjach i proporcjach pejzażu.

Wątpię, czy dałoby się znaleźć obywatela, który w takie dni nie zatrzyma się choć na minutę i nie westchnie: oj, tak, niezła jest mimo wszystko ta nasza środkowatlantycka jesień! Nawet młodzi ludzie, którzy wychodzą rankiem na *parking lot* z filiżanką kawy w jednej ręce, a telefonem komórkowym w drugiej, nawet oni, postawiwszy filiżankę na dachu samochodu, by otworzyć ten ostatni, rzuca mimochodem pod adresem jesieni: „W porządku!” i dopiero potem zanurkują do wnętrza, zręczną dłonią zabierając dymiący napój z dachu swego szybkobieżnego tronu.

Rzeźkością napełnia cię jesień, kiedy idziesz kampusem ku swojemu teatrowi, i oczyszcza cię ze zła. Źródło metamorfoz, sama podlega częstym przeobrażeniom. Jeszcze wczoraj zdawało się, że przyszedł na nią koniec, już kosmyki rozczochranych arktycznych wiedz m chlastały spokojne ulice, już wyla w wentylatorze siła hańby i tęsknoty, a tu nazajutrz błogosławiona jesień zmartwychwstaje, a razem z nią zmartwychwstają i osobowości, zdawałoby się, zdezintegrowane do cna.

Oto jakie są nasze srodkowatlantyckie jesienie, dzięki Panu Naszemu za to dobro, darowane i Żydom, i katolikom, i mormonom, i prawosławnym, i muzułmanom, ba, nawet wyznawcom Baala, których obecność w rejonie Wielkiego Waszyngtonu nie budzi niczyjej wątpliwości.

Takiego oto ranka podązał AJ na swoje seminarium z biomechaniki. Z początku włókł się, wyczerpany po wczorajszym, potem nogi zaczęły się różniej poruszać, a płuca odetchnęły głębiej, jak gdyby podłączywszy się do oskrzelików uniwersyteckich drzew. Ożywał po

wczorajszym podłym *peep show* z własnym udziałem, tym seks-kiczu, przyprawionym kagiebowским pieprzem. W tym momencie nawiedziła go ozdowieńcza myśl: mimo wszystko jesteś częścią przyrody i choć twoja pora kwitnienia już przeszła, nie ma sensu gnić przed czasem. Idź teraz prosto na katedrę archeologii. Schowaj dumę do kieszeni. Szukaj Nory szczerze, bez fałszywej nonszalancji, nie obawiaj się okazać prawdziwych uczuć, nawet gdyby to miała być tragedia. A jak się spotkasz z Norą, nie okazuj pociągu seksualnego, zapomnij o swoim wszechwładnym penisie, padnij na kolana, obejmij jej pantofle, wetknij między nie nos i poproś o pomoc. Kogo niby miałbyś prosić o pomoc, jeśli nie swoją Beatrycze?

W katedrze archeologii pito kawę i jedzono *cake*. Sekretarka Frań obchodziła urodziny. Panowało lekkie podniecenie, jakie często wywołuje nadmiar słodczy. Każdemu wchodzącemu proponowano kawałek tortu z całą gościnnością, typową dla kobiet Wirginii; proszę nie dopatrywać się tu gry słów, drodzy dowcipnisie. Reżyser-rezydent nie bez zadowolenia wypił kawę i zjadł kęs ciasta, przypominającego mu najbliższego człowieka spośród wszystkich, jacy kiedykolwiek go otaczali - babcię Irinę. Przy całym dystansie, jaki dzielił ciasta arbackie od wirgińskich, miały one jednak wspólne korzenie - w Strasburgu. Jeśli nie mam racji, proszę mnie poprawić - tak brzmi ulubiony zwrot radzieckich wyrostków, dzięki któremu wielu niedbaluchów zdołało uniknąć zasłużonej kary.

Wszystkie obecne damy powiedziały, że to niezwykle miła niespodzianka zobaczyć na ich skromnej uroczystości gwiazdę naszego teatru, doktora Korbacha. Wiele osób na uniwersytecie tytułowało go doktorem, i za każdym razem miał chęć odpowiedzieć: „Pokaż język!” Udało mu się odprowadzić na bok bohaterkę uroczystości, chudą Szkotkę Frań, o której Nora piała wraz z całym wydziałem: „Zawsze można na niej polegać”. Zatrzymali się w kącie pod plakatem, na którym widniała stumilionowoletnia skamieniałość, która z woli żywiołów okazała się podobna do egipskiej zabawki liczącej zaledwie sześć tysięcy lat. Zgodnie z zamysłem autorów plakatu zestawienie tych dwóch liczb winno coś powiedzieć ludzkim umysłom i sercom.

Tym razem Aleksander Jakowlewicz nie postawił mimo wszystko na tragedię. Wręcz przeciwnie, zaczął mamrotać jakieś nedorzeczości:

- Proszę mi wybaczyć, Frań, że wtargnąłem na waszą uroczystość, ale wie pani, szukam Nory Mansour. Dość długo byłem w podróży i straciłem z nią kontakt, a tu akurat przyjechał z Londynu nasz wspólny znajomy i potrzebna mu jest jej rada w ważnej naukowej sprawie. - Od dawna wiedział, że sekretarki lubią, kiedy wtajemnicza się je w szczegóły, nawet nieprawdziwe.

- Jak to, to pan nie wie, doktorze Korbach? - zaczęła Frań, ale doktor Korbach z miejsca ją poprawił: „Sasza, *please*”. - Tak, dziękuję, Sasza. No więc, Sasza, przecież Nora wyjechała przedwczoraj do Iraku. Zamierza przyłączyć się tam do ekspedycji Lilienmanna. Jak to, nie wiedział pan o tym? Sasza, jaki pan błąd! Niech pan weźmie aspirynę!

Ci Amerykanie, myślał, blednąc coraz bardziej. Wierzą w swoją aspirynę jak w panaceum.

Frań, dobra dusza, ująwszy jego nadgarstek niby niechcący, a w rzeczywistości najwyraźniej z zamiarem kontrolowania pulsu, kontynuowała dzielenie się informacjami. Nora zaczęła dwuletni akademicki urlop, *sabbatical*. Jak długo będzie w Iraku? Sądzę, że co najmniej trzy miesiące, ale potem chce chyba zorganizować własną wyprawę. W każdym razie Frań wysyłała w tej sprawie mnóstwo listów z jej podpisem. Rzecz jasna, zdaje pan sobie sprawę, Sasza, że teraz, z jej nazwiskiem, wszystkie drzwi stoją przed nią otworem. Każdy ze skóry wyłazi, żeby zobaczyć Norę Mansour. Sąsiedzi Frań nie mogą uwierzyć, że codziennie piła z Norą kawę w uczelnianym klubie. Naturalnie, wszystkim nam będzie jej bardzo brakowało. Panu, jak widzę, także. Co robić, Sasza, nasi profesorowie często wiodą życie włóczęgów. O ile wiem, chodzi o serię poważnych wykopków na przecięciu karawanowych szlaków. Innymi słowy...

- Innymi słowy, wyjechała na długo - powiedział cicho.

Wyjechała, nie mówiąc mi ani słowa. *Okay*, to moja wina, Frań, ale to tak boli, Frań, strasznie boli, kiedy kończy się kawałek twojego życia i wszystko idzie na przemiał niczym stara korespondencja.

Tym razem tragizm jawnie odbił się na jego twarzy. Frań przyciskała do piersi chude piąstki. Żywa opera mydlana rozgrywała się na jej oczach i z jej udziałem. Jeśli Sasza chce, spróbuje znaleźć jakiś sposób skontaktowania się z Norą. W każdym razie będzie mieć go na uwadze, jeśli Nora zadzwoni, co jest dość prawdopodobne, choćby dlatego, że paru jej studentów pozostało *incomplete*.

Im większa niewinność, tym silniejsze współczucie. Wszystkie obecne damy od dawna już tylko udawały, że interesuje je tort. W rzeczywistości, wstrzymując niemal oddech, asystowały dramatycznej rozmowie, jaka toczyła się w kącie niewielkiego pomieszczenia. Dziękuję, Frań, niczego mi nie trzeba. Ma pani wielkie serce, ale, niestety, nawet ono nie może tu pomóc. Było, minęło, jak mówią Rosjanie. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Poszedł, ale w drzwiach się obejrzał. Wszystkie damy, wstrząśnięte, patrzyły za nim jak urzeczone: takie widowisko, i to bez telewizora! Na ścianie za nimi płonęła mrocznym ogniem skamieniałość, która, pod

wpływem nieznanego procesu sto milionów lat temu przyjęła formę jeźdźca na koniku. Zdaje się, że znowu zagrałem rolę błazna, a skoro tak, to nie ma dla mnie wybaczenia. Machnąwszy ręką nawet i na tę myśl, opuścił rozdział, ten zaś natychmiast zniknął z ekranu laptopa.

Czy powinniśmy traktować serio pogrożki Salamanki? Bez wątpienia ona sama czy ktoś inny z ich grona widział jego rodzinę na Haiti. Zdjęcie synów wciąż leży przed nim jako soczewka miłości i przypomnienie szantażu. Ale Anisja też przecież nie w ciemną bita. Większość czytelników pamięta chyba, jak łaskotliwą misję wypełniała na początku książki. Jakoś trudno sobie wyobrazić, że przeniosła się na egzotyczną wyspę bez błogosławieństwa komitetu.

Ale to teoria, w rzeczywistości zaś może się okazać, że to jakieś ohydne *qui pro quo*: jeden sektor opiekuje się panią Chapeaumange, a drugi szantażuje pana Korbacha zagrożeniem życia jego synów. Za pomocą swojej wyborowej pizdy znęcają się nad nim w wyrafinowany sposób. Można powiedzieć, że prawdopodobieństwo jest niewielkie, komitet już nie ten co w czasach Efrona, Merkatora, Sikeirosa, Eitingena, Sudopłatowa czy innych fanatycznych morderców. Ale czy czasem to prawdopodobieństwo się nie zwiększyło? Przecież sama Salamanca może wygarnąć ze spluwy, oszalała samica.

I w ogóle o jakiej sztuce może być mowa, skoro partia wywiera na ciebie taką presję, myślał Korbach. W Moskwie uważała Błazny za krnąbrne, ale swoje, podskórne. Bawiła się w solidność, organizowała inspekcje, posiedzenia komisji repertuarowych, przyjmowała rezolucje. Teraz, kiedy zaliczyła mnie do grona swoich bezpośrednich wrogów, może pójść w ruch peleryna i kindżał, bezpośrednia bandycka prowokacja. Ale co niby w końcu tracę, dręczy się nasz nieszczęsny artysta. I tak wszystko stracę. Straciłem miłość, dla której żyłem, choć nie wierzyłem, że ją znajdę. Żałować teraz jakiegoś filmu? Ale czego jeszcze w ogóle mogę żałować, jeśli nie pracy, błogosławionego „polewania” i następującej po nim cichej orkiestracji? Jak mogę się nie bać utraty ostatniej być może szansy powiedzenia czegoś od siebie? Przyznaj się sam przed sobą, że nawet pracując w Colonial Parking, liczyłeś na tę szansę, pragnąłeś cudu, tego, że ktoś przyjdzie i powie: No Sasza, pokaż nam swoją estetykę. W tej światowej sztuce, gdzie wszystko prześmiardło to ideologią, to znów komercją, szansa artystyczna przytrafia się rzadziej niż *jackpot* w Atlantic City. Proszę, Andriej zdołał pokonać za kurtyną obie bestie, wschodnią i zachodnią. Nie wybaczę sobie, jeśli wypadnę z obiegu.

I znów, jak tyle razy od czasu, gdy spotkały się dwie gałęzie Korbachów, przychodził mu do

głowy dziecinny pomysł - rzucić się do Starszego Brata, czyli do kuzyna czwartego stopnia, Stanleya Franklina Korbacha. Jeśli nawet wcześniej nie pozwalała mi na to duma, to przecież teraz po prostu palec Boży - grożą małym Korbachom, rosyjskim nosicielom żydowskiego genu z domu Kor-Bejt, który biuro Fuchsa prześledziło aż do czasów Nabuchodonozora. Stanley ze swoimi wpływami w tym kraju jest w stanie włączyć do akcji tutejsze tajne służby, te zaś po prostu powiedzą „rycerzom rewolucji”: jeśli zrobicie nam kuku, to my wam zrobimy jeszcze większe kuku; dajcie sobie z tym spokój, to i my damy sobie spokój. Tam się to nazywa po imieniu: *reciprocity*.

Jęcząc, jakby go bolał ząb, Aleksander zadzwonił na Halifax Farm do kierowniczk tamtejszego sekretariatu, *miss* Rosę Morrows. Okazało się, że jej tam nie ma. Już tu nie pracuje, *nr*. Dopiero wtedy przypomniał sobie: przecież ma miejsce Czwarte Zniknięcie! Przez własne drobne kłopoty zapomniałem o zdarzeniu rangi historycznej. W Halifax pewnie siedzi teraz King Kong, Norman Blumsdale. Murowane, że wymienił cały zespół zaginionego prezesa.

- Czy wolno spytać, kto dzwoni? - spytał niezwykle uprzejmie damski głos. W Marylandzie wciąż nie brak uprzejmych sekretarek. Usłyszawszy „Alex Korbach”, głos na sekundę się zająknął, niemniej nie stracił równowagi: - Proszę mi wybaczyć, *nr*, ale mam pewne dyspozycje na wypadek pańskiego telefonu. Jest do pana gorąca prośba, by porozmawiał pan z jednym z członków rodziny. Czy byłby pan tak dobry i poczekał minutkę przy telefonie?

Teraz z kolei on się zająknął, ale w odróżnieniu od sekretarki niemal całkowicie stracił równowagę. Czyżby zostawiła do siebie jakiś kontakt? Dzięki tym nowomodnym telefonom komórkowym można przecież dzwonić z dowolnego miejsca, nawet z grobowca Hammurabiego. Oto na przykład komórka dzwoni w momencie, gdy Nora oczyszcza z pyłu tabliczkę głoszącą: „Kobieta, która porzuciła mężczyznę, podlega karze chłosty”. Nie, odwrotnie: „Mężczyzna, który zmusił kobietę, by go opuściła, podlega karze śmierci przez powieszenie”.

- Hallo, Alex - dało się słyszeć w słuchawce. - Mówi Margie. Ma pan jakieś nowiny?

Jeszcze jedno potknięcie. Potworna huśtawka na naciągniętym druciku własnego nerwu kulszowego. Nie, mimo wszystko złapałem się obiema rękami. Rozkraczyłem się, prostuję.

- A ja właśnie dzwonię, Margie, żeby się czegoś od pani dowiedzieć.

- Niech pan przyjeżdża tutaj. Wyślę po pana samolot.

- A gdzie pani jest?

- Na Korsyce - padła odpowiedź.

- Nie, nie, Margie, jakżebym mógł?

Przez chwilę trwało milczenie, po czym usłyszał jej drżący głos:

- Niech się pan zlituje nade mną, Alex! Niech pan przyjedzie, proszę!

- Nie, nie, Margie, jak mógłbym, skoro po prostu nie mogę? - I odłożył słuchawkę.

Ni stąd ni zowąd po kilku dniach sytuacja z filmem rozwiązała się sama, i to w najbardziej nieoczekiwany sposób. Wybuchł nowy wielki skandal w administracji, coś w rodzaju Irangate, z tą jedynie różnicą, że tym razem wszystko z miejsca wyszło na jaw. Znowu miała miejsce dysproporcja i dezorientacja władzy w demokratycznym supermocarstwie. Znowu się okazało, że imperium nie może istnieć bez tajnych operacji, choć równocześnie struktury demokratyczne wymagają pełnej jawności.

Tym razem poszło o tajne pogwałcenie sankcji handlowych wymierzonych w reżim RPA w zamian za istotne usługi wobec proamerykańskich rebeliantów w komunistycznej Angoli. Demaskatorem okazał się znowu „Washington Post”, który w ciągu paru ostatnich dziesięcioleci, pomimo podwyższonej wilgotności w dolinie Potomacu, zdołał stworzyć porządną szkołę dziennikarzy-detektywów. W pierwszej publikacji, zajmującej połowę kolumny tytułowej i całą rozkładówkę w głównej sekcji, nazwisko Edmonda Peabody wymienione było co najmniej dwadzieścia razy. Figurowały tam także jego zdjęcia: jedno prywatne, drugie z posiedzenia komitetu w Starym Kantorze., trzecie z ministrem spraw ważnych, a jedno nawet z przyjemną dla oka żoną i przepięknym psem.

W odróżnieniu od pułkownika piechoty morskiej Oliviera Northa Peabody, który ku zdumieniu Aleksandra okazał się także pułkownikiem lotnictwa, czyli kolegą pułkownika Denisowa z naszkicowanego scenariusza, nie próbował kombinować, tylko przy pierwszej sposobności stwierdził, co następuje: „Istnieją pewne okoliczności, w których pewne organy nie mogą poddawać pewnych swoich operacji pod dyskusję Kongresu. Niektórych akcji przeciw apartheidowi również nie mogliśmy poddawać otwartej dyskusji, bo sprawiłoby to, że ich podejmowanie stałoby się w pełni bezcelowe. Żądanie bezkompromisowej jawności pracy niektórych służb stawia pod znakiem zapytania samo istnienie tych służb. *Period*”. Ostatnie słowo oznacza coś w rodzaju rosyjskiego „i kropka!” W danym kontekście w pełni uzasadnione byłoby uzupełnienie tego wyrażenia naszym ulubionym zwrotem *fiddlesticks*. *Fiddlesticks* - i kropka!

Zmęczone aferą Irangate społeczeństwo reagowało na nowy skandal dość ospale, jednak prasa i telewizja nie bez złośliwej satysfakcji informowały, że Starym Kantorem wstrząsnęło aż

do fundamentów. Jak głębokie są jednak te ostatnie, nie wiedział nikt. Przemknęła wiadomość, że Peabody został zdjęty ze stanowiska, ale nie upada na duchu. Jakaś korporacja zaproponowała mu posadę, na której będzie otrzymywał trzy razy więcej niż na stanowisku rządowym. Oto dlaczego ludzie opuszczają rząd w takim znakomitym nastroju, skomentował tę wiadomość komik Johnny Carson. Najwyraźniej tylko marzą o chwili, kiedy wylecą stamtąd, okryci hańbą. Takie są dziwactwa demokracji, proszę państwa: filary ojczyzny drżą, krytykanci i prześmiewcy umacniają swój autorytet.

*Zegna]*, Peszawarze, pomyślał Aleksander, gdy przeczytał pierwszy demaskatorski artykuł. A przecież już od kilku dni Peszawar wydawał mu się jakimś lermontowowskim Kaukazem. Wyjechać do Peszawaru - oto idealna odpowiedź na czyjś wyjazd do Iraku! Tam, w Peszawarze, cały mój bałagan jakoś się uleży, zostaną tylko góry, granica, wojna, dyktafon, wide-okamera, laptop. Nikt nie będzie wiedział, gdzie jestem. Można oszukać nawet poetyczną kurwę Mirelle. Wyznaczyć spotkanie, ostatni raz ulec pokusie, a potem od razu polecieć do Peszawaru. Pożegnaj się ze swoim Peszawarem, powiedział sobie, składając gazetę. Teraz wszystko zacznie ci się wymykać z rąk. Rozkładać się, śmierdzieć i wypływać.

Pewnego razu zadzwonił do niego krajowy antybohater, pułkownik Peabody:

- Chcę jedynie powiedzieć, Alex, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Może pan wierzyć lub nie, ale najbardziej ze wszystkiego będzie mi brakować mojego skromnego udziału w waszym, to znaczy pańskim i Steve'a, świetnym projekcie. Mimo wszystko wierzę, że uda się go zrealizować. Czapski to prawdziwy generator pomysłów. A pan - to prostu artysta, jedyny w swoim rodzaju. Życzę wszystkiego najlepszego, i pozdrowienia od żony. W pełni podziela ona moje uczucia.

Został tylko Czapski. Teraz, zgodnie z logiką rzeczy, i on zacznie się rozkładać, śmierdzieć i wypływać. I rzeczywiście, zgodnie z najlepszymi reżyserskimi tradycjami, Czapski natychmiast po wybuchnięciu skandalu zniknął z horyzontu. Skończyły się nocne telefony z wywalaniem pomysłów przepelniających tłusty brzuch, z opowiadaniem kawałów w najlepszym warszawsko-chicagoskim stylu: *Hallo, old chap, this is your old Chapskyl* Przełknąwszy dumę, AJ sam zadzwonił do LA. Uprzejma sekretarka powiadomiła go, że boss przebywa obecnie „za morzami”, ale jak tylko się pojawi, natychmiast zostanie powiadomiony o telefonie Mr Korbacha. Aleksandrowi wydało się, że słyszy w jej głosie nutkę współczucia. A zresztą jakie emocje mogą odczuwać te automaty uprzejmości.

W końcu Czapski zadzwonił. Nie wiadomo czemu z Aten. Najwyraźniej był w swojej mrocznej fazie: zero kawałów, zero zdrobnień, zero wulgaryzmów. Za godzinę wylatuje i jutro koło południa będzie w międzynarodowym porcie Dullesa, skąd za trzy godziny poleci dalej do Kalifornii. W tym czasie możemy pogadać *ad tempom, ad mores*. Przyjedź, jeśli możesz, będę czekać w Diplomat Bar. Wobec takiej dziwnej swobody co do decyzji przyjazdu można nie jechać, ale mimo wszystko warto postawić kropkę nad i. W oznaczonym czasie wszedł do oznaczonego baru i od razu zobaczył Czapskiego, siedzącego w obłoku tytoniowego dymu przy osobnym stoliku. Ociężała sylwetka słowiańskiego emigranta. Worki ramion w swetrze ze zgrzebnej wełny. Obwisła sarkastyczna dolna warga. No więc widzisz, Sasza, jaki rozpierdolnik z tego wyszedł, psiakrew. W Starym Kantorze wszystko pieprznięło i nasi sponsorzy, skurwysyny, z miejsca dali nogę. Jak widać, kino podświadomie marzy o silnej ręce.

W barze było nieprzytulnie. Nierozgarnięte kelnerki roznosiły sałatki i piwo. Pojawiła się drużyna koszykarzy, dwunastu chłopów zebrało się przy barze, wypięte zady zawisły nad stolikiem naszych bohaterów; był wśród nich pewien geniusz gry, słynny później w całym kraju ze względu na śmiertelne przedawkowanie *cracku*.

Nie dzwoniłem do ciebie, bo miałem nadzieję na jeszcze jeden wariant. Putney Production poddała nasz projekt pod dyskusję rady. Większość była za, ale nagle zjawił się jakiś skurwiol z grubym pakietem akcji. No i tak. A w ogóle... Wybacz, myśl mi jakoś na chwilę uciekła w bok, do wygodki. Żydowskie szczęście i tyle. Ten typ powiada: rosyjski projekt tylko po moim trupie. Przeszkoda nie do przewyciężenia, ty koniu zakonserwowany w spircie. W tej waszej zasranej Moskwie obrazili go, jak się okazuje. Liczył, że już na płycie lotniska rozścielą przed nim czerwony dywan, w końcu jeden z najbogatszych ludzi świata przyjechał z propozycjami współpracy, a tymczasem nikt go nawet na tym lotnisku nie powitał. Znasz ich zresztą lepiej niż ja, tych piździelców z Goskino. Wali do najlepszego hotelu, a tu nawet w najgorszym go nie oczekują. I miliarder znalazł się sam pośród tłumu barbarzyńców. Dość przykre wrażenie, nie uważasz? Znasz je? Niby skąd, Sasza? No dobra, dajmy spokój szczegółom. Najważniejsze, że w taki idiotyczny sposób komuchy załatwiły twój *Gwiezdny lat osiemdziesiątych*. Czapski spojrział na zegarek i wlał w siebie resztę piwa. Czas wsiadać do samolotu. Korbach zapłacił rachunek. Czapski nie zaprotestował.

Wszystkie okoliczności prowadziły naszego AJ do chwilowych, a być może ostatecznych wniosków. Miłość z głowy. Projekt filmu z głowy. Czarny Sześcian jakoś się przekrzywił, zupełnie jakby stracił kręgosłup i osiadł na powierzchni banalności. Koledzy popatrują dziwnie. Może Salamanca doniosła już o „proszku szczęścia”? A swoją drogą, gdzie się podziewa ta Mata Hari światowej rewolucji? Może popełniła harakiri w swoim burdelu? Wiedz, towarzyszu, nie dla kasy, dla honorariów tłustych snadź, nie dla wspaniałych nagród masy wspominam tutaj ową... prawidłowo, czytelniku, łatwo zgadnąć rym. Zniknęła nawet i ta baba, a przecież teraz, kiedy odpadła kwestia sporna, wcale by nie przeszkodziła. Obiecała zadzwonić za parę dni, a tu minęło już parę tygodni i nic.

Ale oto w nocnej ciszy rozlega się dzwonek telefonu: ona! Odrobinę ochrypła, czy to od wódki, czy od nadmiaru grzmiących i charkotliwych dźwięków rodzimego języka. A skądże to pani dzwoni, *comrade* Salamanca? Z Peszawaru, śmieje się. Siedzimy tu i czekamy na was. Nie doczekacie się, nie przyjedziemy. Lepiej niech pan przyjedzie, pociupciamiy się. Ki diabeł, ta cholerna wtyka! Czy to naprawdę realny obiekt współczesnej biologii? Nie wymyślił jej sobie czasem Aleksander Jakowlewicz? Może to jakiś koszmar tej zwichniętej seksualności, która wiecznie tli się w nim niczym czechowowskie suchoty?

- To znaczy, skapitulował pan, Mr Korbach? Dzieciaczki ważniejsze są dla pana niż arcydzieło w skali światowej? - Dziwne jakieś rozczarowanie płynie teraz z Peszawaru albo z budki telefonicznej obok kina Dwulicy Janus. Zdawałoby się, że to dla niej chwila triumfu: patrzcie, jak drżą przed nami renegaci, a tu pani oficer niezadowolona, zupełnie jakby jej projekt też zachwiał się w posadach.

- Właśnie tak, niech pani powie, gdzie trzeba: dzieciaczki ważniejsze.

- No my i tak nie spuścimy pana z haczyka.

- Nie mam nic przeciw temu, *madame*.

- Przestań mnie prowokować, łajdaku! - przetoczyło się w telefonie z taką siłą, jakby zatrzęsała się nagle afgańsko-pakistańska granica. - Będziesz łąć, że mnie wydymałeś? Nikt nie uwierzy! Chcesz, żeby dzieciaczki były żywe, to przemyśl całe swoje życie! Czekaj na *rendez vous*, ale przestań walić konia z myślą o rewolucji! - Trzask odkładanej słuchawki. Zawyło

piekło, przez które bez wątpienia przechodzą wszystkie telefoniczne połączenia.

Zawył i Aleksander Jakowlewicz. Biada mi, Żydowi-odszczepieńcowi, który okrył hańbą wojskowo-rosyjską ojczyznę! Biały Koni, chluśnij we mnie niepowstrzymanym potokiem, połącz mnie choćby z jedną bliską mi rzeczą na tym świecie! Wybierając kod telefoniczny Republiki Haiti, nie wypuszczał z ust ciężkiej, niemniej szybko tracącej na wadze butelki. Superuprzejmy, przymilny głos ni to kobiety, ni to jaguara zapytał, do kogo dzwoni tak gruntownie zalany *monsieur*. Dzwonię do rezydencji pana Chapeaumange, *tnon chat actual*. Łączę pana z rezydencją ministra spraw wewnętrznych.

Ale ja nie do żadnego ministra dzwonię, tylko zwyczajnie do męża mojej żony, w mordę! Hallo, rezydencja ministra Chapeaumange, słucham! Proszę pani, co to za wycie tam u was, co za jęki, co za kaskady koguciego piania?

Stiopa i Lowa, dwaj komsomolcy Kraju Rad, trzymają dwie słuchawki. Nie przejmuj się, ojciec, to po prostu babcia Furan przyszła ze swoim *chanteclair*. A prawda, tato, podobno miliarderem zostałeś w Stanach, *c'est vrai? Cest n'est pas vrai*, niegodziwe dzieci! A taką jedną damę, wybaczenie, Mirelle Salamankę, znacie? Pani ministrowa bierze trzecią słuchawkę. Nie przejmuj się, Saszka, na Mirelle Kołontaj Salamankę dawno mamy oko. Czwartą słuchawkę bierze sam baron Vendredi. Niezły gruziński akcent. Niech pan posłucha, *monsieur* Sasza, chcesz dobrze zjeść, wypić, przyjeżdżaj do nas. Nagromadziliśmy tu mnóstwo rozmaitego dobra. Naokoło mało dobrego, a w środku dobrego bardzo wiele. Dzięki za zaproszenie, panie baronie, niczego innego po panu się nie spodziewałem. Tropiki rodzą hojne natury i wielkie serca. Północ przy całej swojej filozofii pozbawiona jest braterstwa starożytnych karawanowych szlaków. Ja na przykład zostałem sam jak *pierst*. Nie, nie jak Pers, tylko jak alegoryczny palec. Alegoryczny, *correctement*. Nie ten, który ma dziewięciu ruchliwych braci, tylko alegoryczny, w rodzaju gogolowskiego *Nosa*. A tak w ogóle to jadę do was w roli byłego męża, czyli jednego z waszych *zombies*.

Przed wyjazdem trzeba się pożegnać z pamiątkami miłości. Tak wypada w kręgach współczesnych bajronistów. Tak było przecież i w czasach „nowego słodkiego”, a może jeszcze wcześniej. O wiele wcześniej. Wzbijamy się windą na bastion wieży króla Salomona. Wszystkie szyby *penthouse* dawno zostały wybite, hula sfera wiatrów, wzdyma pozostawione zasłony. Płaszczki kąpielowe włączają się po pokojach niby twoje haitańskie widma. Toalety, pełne jakiegoś nieznanego gówna, śmierdzą jak cholera. W kącie bastionu, zgarbiony i cierpiący, siedzi brat

w miłości, Omar ibn-Kesmet Mansour. Sasza, dostałem oficjalne zawiadomienie o rozwodzie, płacze. To niesprawiedliwe, bracie! To jest sprzeczne z prawami Hammurabiego. Nawet jeśli mnie nie kochała, to przecież strzegłem jej tajemnicy. Trzymaj się, braciszku, bo zaraz cię zdmuchnie razem z tajemnicą. No i zdmuchnęło. Tajemnica

Nory Mansour, absurdalnie machając włochatymi skrzydłami, usiłuje się przyłączyć do klucza gęsi i rozplywa w mroku.

Ostatnia nadzieja na coś pięknego czeka cię, Sasza, na wzgórzach Marylandu, gdzie szlachetne klacze jedwabistymi ogonami i grzywami owiewały wasze pierwsze spotkanie. Ale cóż to? Jedyne obdziobane przez egipskie sępy szkielety koni pasą się teraz na błękitnych zboczach, a i one powoli rozsypują się w proch na twoich oczach. Wykastrowany, wlecze się spośród zarośli ogier, z którym prowadziłeś dialogi jesienią '83. W swoim przywiązaniu do egzystencji, czyli do mięsistości, stał się ogromny niczym koń pociągowy Aleksandra III. Powoli odwraca się ku tobie wspaniałym zadem i rozkracza się, żeby srać. Wywala się spod ogona przeciwpożarowy szlauch szarego kału, obrywa się, spada jabłkami i znowu ciągnie się szlauchem. Koń sra, i sra, i sra. Oparłszy się łokciami o ten sam co kiedyś płot, Aleksander Jakowlewicz Korbach z taką samą zasraną powolnością płacze, płacze i płacze.

No, dość tego gówna! Może jeszcze wrócić do życia, do przejrzystej głębi florenckiego nieba. Ten, kto zamierza go uratować, zwleka ze względu na zwykłe poczucie taktu. Trzeba przecież pozwolić się wyspać pijanemu człowiekowi. Powinien wstać, wzdrygnąć się z przerażeniem na widok swojego odbicia w łazienkowym lustrze, wycisnąć do ust pół tubki pasty do zębów, długo w nich manipulować wyjącą elektryczną szczoteczką, potrząsając głową, strząsając z siebie prawdę i nieprawdę wczorajszego dnia, wybałuszyć nagle oczy pod przemożnym wrażeniem, że ten wybałuszający się w lustrze to nawet nie jego krewny, mamrotać „na chuj, na chuj”, obficie się wyrzygać i jęczeć nad własnym wychudzonym brzuchem.

Wreszcie, gdy dochodzi do kawy, rozlega się dzwonek u drzwi. Nasz bohater zwleka ciało w dół po schodach. Na pewno znowu jacyś studenci, cholerne *midterms*, czego poza tym można się spodziewać. Otwiera. Twarzą w twarz staje z nim lutowy dzień. Spadły w nocy śnieg obdarza go wonią dzieciństwa i ojczyzny. Na schodkach, w niepoprawnie kowbojskiej pozie, aczkolwiek w kaszmirowym płaszczu, powściągliwie błyskając niemłodymi, ale pełnymi humoru oczami, stoi wybawiciel ginącego indywiduum, zbiegły miliarder naszego trylionowego (według danych magazynu Forbes) powieściowego biznesu, Stanley Franklin Korbach we własnej osobie. *Get up, Lavsky! Collect your limbs and all drops of your consciousness! It's time to do the real things!*

### Granica

Pytasz mnie, jak go widzę. Czasem jest obłokiem,  
To jak pole, nad którym stoi deszczu ściana.  
Niekiedy jest to jabłoń, z wyciągniętym jabłkiem.  
Czy z szat szelestem przechodzący, wenecjański doża.  
Jest płynny jak nurt bystry, wielkiej, silnej rzeki,  
Jest lotny jak amorek w gałązkach rokoka,  
Jest sypki niczym miarka białej, pszennej mąki,  
Kędzierzawy jak Żyd dowodzący baonem RKKK.  
Synu mój, mówi i rozumiem niewidzialnego ojca,

Chociaż się nie przecięły nasze ziemskie ścieżki.  
Świątynię widzę ni to z fasady, ni szczytu,  
Kwiat wiśniowy ją okrył, czy zamieć zasnuła.  
Rozumiem bezsens pytania: „Tam jesteś, czy tu?”  
„Judejczyk czy Hellen, to jest Żyd, czy Grek?”  
Idzie polem trzymając swego konia uzdę  
Za nim, jak zachód, z niw wstaje nasz grzech.  
To, co zostało między nami i każe się modlić  
O wybaczenie, o litość i ten nienasycony miłosny nasz smutek.  
Jak Izrael stoi błagalnie przed garstką ofiary.  
Tak i my oglądamy mroczną przedzę troski.  
Pytasz: w czym właściwie kryje się mój grzech?  
Ciemność nadciąga, coraz bliżej podpełzają maski.  
Za oknami deszcz pada, stukając jak groch.  
Dwa szpaki zamieszkały w opuszczonej i bez szyb cieplarni.  
A ojciec się uśmiecha, jak szeleszczący o poranku szaman,  
Lub jak płynące wiosło, które w darze przynosi nam rzeka,  
Jak stukające podkłady na kolejowym nasypie,  
Jak rozstrzelany w kędzierzawości swojej dowódca baonu RKKK.

## **Część dziewiąta**

Rozpoczynając ostatnie trzy części naszej opowieści, możemy już odnotować pewną krzepiącą regularność: każde dwie sąsiadujące ze sobą części dzielą mniej więcej trzy lata. A zatem realistyczna tendencja narasta. Nieżyczliwy krytyk może tu oczywiście ostro się sprzeciwić - i, naturalnie, zrobi to ona - twierdząc, że regularność chronologiczna spełnia u nas rolę zasłony dymnej, za którą zdarzenia brykają z typową dla modernizmu chaotycznością.

Psik, *madame*, niech pani nie zmusza nas do przypominania, że zasadę literackich reminiscencji stosował już Turgieniew. Otworzywszy komuś w zdumieniu usta, mimo wszystko nie zapominamy ich zatrzaskać, a to, ile reminiscencji przez te usta przepuścimy, to już sprawa wyłącznie nasza i czytelnika.

W niniejszej części rolę otwartych ust będzie grać przestrzeń nad Oceanem Atlantyckim grudniową nocą 1990 roku, i dajemy słowo, że przestrzeń ta nie pozostanie bez dozoru aż do jej przebycia we właściwym czasie, pod koniec rozdziału.

A zatem znajdujemy się na pokładzie osobistego *jet-linera* Stanleya Korbacha, który (*jet*, znaczy) wystartował z nowojorskiego lotniska La Guardia, kierując się ku „staremu krajowi”. Widoczność nieograniczona i wszystkie ciała niebieskie świecą zarówno w górze, jak i w dole, odbijając się w dalekich wodach. Samolot jest jednym z serii Galaxy, produkcji izraelskiej, aczkolwiek dany egzemplarz został skonstruowany specjalnie na zamówienie Fundacji Korbacha i różni się od seryjnych imponującymi rozmiarami, większą mocą silnika i dwukrotnie większym dystansem, jaki może przelecieć bez pobierania paliwa. „Niezły delfin” - mawia kapitan Ernie Rotterdam przed każdym lotem, poklepując samolot po brzuchu. Jego zdaniem, nafaszerowana najbardziej zaawansowaną technologią maszyna bliska jest już pod względem poziomu umysłowego myślącym zwierzętom, jakie zamieszkują Ziemię.

Silniki spokojnie szumiały, to znaczy myślały po swojemu, zaś czterech mężczyzn w kokpicie pogrążonych było we własnych rozmyślaniach. Kapitan Rotterdam, czterdziestopięcioletni weteran sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, popatrując na sferyczną tablicę rozdzielczą, myślał, rzecz jasna, o kobietach. Kiedyś miał ze trzy czy cztery niezłe laseczki w pobliżu bazy. Odkąd zaczął pracować dla fundacji, krąg jego przyjaciółek rozszerzył się niepomiernie, jako że latał teraz po całym świecie i zatrzymywał się to w Rzymie, to

w Dżakarcie, to w Joburgu - na parę dni, albo i na tydzień. Czy przypadkiem nie jestem ciut za stary na taki korowód, myślał kapitan. W Moskwie jeszcze nie był, ale słyszał o niej wiele dobrego.

Jego nawigator tymczasem, Paul Massalski, siedząc za kapitanem i udając, że śledzi kurs, czytał nową powieść jednego z pasażerów dzisiejszego rejsu, Lestera Square'a. Książka nosiła tytuł *Palce pianisty*, a jej treścią była mrożąca krew w żyłach historia. Pianista jazzowy, który był równocześnie agentem brytyjskim w Berlinie Zachodnim, został porwany przez ludzi z KGB. Ich szefem był człowiek o dziwnym nazwisku Zawchozow. Aby wycisnąć z pianisty tajny kod, zaczęto odrąbywać mu palce, po kawałeczku. Ukochana pianisty, major służby, w której nietrudno było rozpoznać samego autora, wzięła sprawę zemsty w swoje własne, subtelne, ale sprężyste palce. Co za talent, swoją drogą, myślał Massalski, napisać książkę, która jest sprzedawana w każdym porcie lotniczym na świecie i wprawia w dreszcz nawet nawigatorów!

Fotel obok pilota był skonstruowany specjalnie dla bossa, tak by dawał dostatecznie dużo komfortu olbrzymiemu ciału. Przed sobą na stoliku Stanley miał okulary do czytania, niewielki notatnik, laptop, tomik Boccaccia, no i, rzecz jasna, szklaneczkę whisky. Gdyby nie to, że leciał własnym samolotem w przez siebie określonym kierunku, można by go wziąć za zdziwaczałego emeryta, skracającego sobie bezsenne noce w swoim osiedlu. W chwili obecnej wyszukiwał w książce potrzebne telefony, wprowadzał je do komputera, łączył go z głównym myślącym instrumentem na pokładzie samolotu i dopasowywał nauszники i mikrofon do właściwych części swojej głowy.

Tuż za nim w pozycji półhoryzontalnej ulokował się jego kuzyn czwartego stopnia Alex Korbach, udający się do rodzinnego kraju po siedmioipółletniej nieobecności. Siedząc pod niebiosami, starał się nie myśleć o szybko zbliżającym się spotkaniu z Moskwą. Niestety, nie był w stanie o tym nie myśleć. *Okay*, irytował się, no to będę o tym myśleć. Niestety, ani jedna sensowna myśl nie przychodziła mu do głowy. Nic nie czuł oprócz ssącego, dręczącego niepokoju. Co ja tam powiem? Co ja tam zobaczę? Kogo mam tam do kochania? Dlaczego pcham się tam z dziwnym, odrzutowym pośpiechem? Niepokój przechodził w ciężką drzemkę. Poprzez odgłos silnika dochodził do niego ożywiony głos Stanleya. Co za energia u tego słonia, pozazdrościć!

- Cześć, Juan! - mówił do kogoś Stanley za pośrednictwem swojego systemu. - Jak to miło słyszeć twój głos, *buddy* Mam nadzieję, że nie obudziłem waszej wysokości? W pełnym

umundurowaniu? Przeprowadzałeś inspekcję gwardii? Szkoda, że nie ma mnie tam z wami. Lubię się przyglądać, jak przeprowadzasz inspekcję gwardii. Nie, nie, tak tylko dzwonię, żeby pogadać. Lecę właśnie do Europy i za tydzień będę chyba mógł wpaść do ciebie po drodze. Prosto na Ibizę? *Okay!* I Sława tam będzie? Rewelacja! Ty i Sława jakoś do siebie pasujecie. Ja też? No cóż, to zagramy trio! - Im dłużej trwało to paplanie, tym jaśniejsze stawało się dla Aleksa, że rozmówcą Stanleya jest król Hiszpanii.

Po zakończeniu tej rozmowy boss wywołał jakiegoś Charliego i spytał go między innymi: „Jak tam twoja nudziara?”, co skłaniało do przypuszczenia, że Stanley troszczy się w specjalny sposób o rodziny panujące.

Następnie, powalczywszy trochę z komputerem, nieoczekiwanie powiedział po rosyjsku:

- Cześć, Michaił! Mówi Stanley, *remember me!* Yes, Stiepan Dawidowicz, *at your service!* Szto? Szto? *Nie ponimati. Toż nie ponimati? Do you have an interpreter at hand? Nie ponimati? Oh, shit!*

Aleksander uniósł oparcie fotela do pozycji pionowej.

- Stanley, mogę ci pomóc z tym facetem.

- Czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy? - zaśmiał się Stanley. - Weź dodatkowe nauszники i pomóż mi z nim pogadać. W tej chwili nie ma przy sobie tłumacza.

- Dzień dobry - powiedział Aleksander w wisienkę mikrofonu. - Wita pana Stanley Korbach.

- Cieszę się, że pana słyszę, Stanley - powiedział Michaił. - Skąd pan dzwoni?

- Z pokładu samolotu - wyjaśnił Aleksander. - Lecimy nad Atlantykiem.

- A co, macie tam Rosjanina na pokładzie? - spytał Michaił.

Aleksander przetłumaczył odpowiedź Stanleya:

- Nie, sami Amerykanie, ale na szczęście jeden zna rosyjski.

- Hm - powiedział Michaił i po tym „hm” Aleksander poznał, że stosunki Stanleya z owym Michaiłem nie są równie zażyłe, jak z Charliem i Juanem. - Czym mogę panu służyć, Stanley? - Niewykluczone, że Michaił boi się podsłuchu.

- Niech pan posłucha, Michaił - wyjaśnił Stanley - lecimy do Moskwy. Nasza fundacja została zaproszona na sesję Memoriału. Z niezrozumiałych przyczyn wizy nie były gotowe na czas. Mimo to zdecydowałem, że lecimy. Mam nadzieję, że nie napotkamy w Moskwie przeszkód, tym bardziej że wieziemy ze sobą projekt o wyjątkowej dla Związku Radzieckiego wadze. Być może pamięta pan naszą rozmowę w Rzymie dwa lata temu?

- Czemu nie uprzedził mnie pan wcześniej o waszym przyjeździe, mój kochany? - westchnął Michaił. - O takich podstawowych sprawach trzeba zawczasu informować. Przecież rozszerzają one nasze horyzonty. Potrzebne jest solidne przygotowanie. Przyjmiemy was, oczywiście, z otwartymi ramionami, już w carskich czasach Rosja odznaczała się gościnnością. Ile osób jest w waszej grupie?

- Dziesięć - odparł Stanley i dodał półżartem: - Sami Żydzi.

Michaił zrobił wymowną pauzę, demonstrując, że żart był nie na miejscu.

- Przecież wszyscy są Żydami, choćby częściowo - uśmiechnął się Stanley.

- Może w Ameryce, ale u nas nie wszyscy - odparł Michaił. Nie było jasne, czy żartuje obecnie w stylu Stanleya, czy też jest śmiertelnie poważny.

Zawsze podobało mi się pańskie poczucie humoru, Michaił - powiedział mimo wszystko Stanley. - Wie pan, w składzie naszej grupy jest pewien szkopuł. To Alex Korbach, mój przyjaciel i krewny. Osiem lat temu pozbawiono go radzieckiego obywatelstwa. Breżniew nie miał poczucia humoru, Michaił. Mam nadzieję, że nietrudno będzie rozwiązać ten problem w czasach pieriestrojki?

- Czegoś tu nie rozumiem - westchnął Michaił. - Jak to, pański krewny był pozbawiony radzieckiego obywatelstwa?

- Zaraz on sam to panu wyjaśni.

- Kto? - o mało nie krzyknął Michaił. Jak to się zdarza tego typu ludziom, zapomniał, że rozmawia przez tłumacza.

- Mowa o mnie - wyjaśnił AJ. - O pańskim tłumaczu, panie... hm... panie Michaił. Nazywam się Sasza Korbach, być może pan słyszał? Z teatru.

- Sasza Korbach?! - wykrzyknął Michaił. - A pan co tam robi?

- To znaczy gdzie? - zdumiał się z kolei jakoś bezsensownie AJ. Nie wiadomo czemu słowo „tam” wydało mu się niezrozumiałe.

- No w ogóle tam, nie u nas, za granicą - mówił Michaił z rosnącym wzburzeniem.

Tu już AJ się zirytował.

- W chwili obecnej tłumaczę rozmowę mojego krewnego Stanleya Korbacha z człowiekiem imieniem Michaił.

- Z Michaiłem Siergiejewiczem Gorbaczowem.

- Już się zdążyłem zorientować. Szalenie mi miło.

- A mnie nie zanadto.

- A to czemu?

- Myśmy tu żyli pańskimi piosenkami, Sasza. Towarzyszyły naszym marzeniom o zmianach na lepsze. A pan tam się zadaje z amerykańskimi grubymi rybami. Tacy ludzie jak pan powinni pracować dla naszej pieriestrojki, być awangardą całego procesu, a pan się bawi w tłumacza.

- Ciekawe, jak mogę być awangardą, skoro odebrali mi obywatelstwo?

- To nie jest usprawiedliwienie.

- A ja nie potrzebuję żadnego usprawiedliwienia.

Krótką pauza. Coś szeleści. Papier czy co? A może to myśli szeleszczą? Gorbaczowa czy moje? Najprawdopodobniej w przestrzeni szeleści coś nieszelestliwego.

- Nie należy się ustawiać w opozycji wobec ojczyzny - wygłosił Gorbaczow typowo radzieckim tonem, od którego wprost mdliło. - Widocznie pomyliliśmy się, kiedy uważaliśmy pana za swojego. - Tu zrozumiał chyba, że mówi nie to, co trzeba. - Zawsze jakoś łączyliśmy pana z tym co nowe, Sasza. Z romantyzmem, z wartościami ogólnoludzkimi.

- Chyba mnie pan z kimś pomylił, Michaile Siergiejewiczu - chłodno rzekł Sasza, zmierzając do zakończenia rozmowy. Dobrze chociaż, że nie kazał autorowi rozpadu pocałować się w cztery litery. Czyżby mówił pod zapis, pod jakąś kagiebowską taśmę? Nagle wszystko, czym zachwycał się do łez przez ostatnie dwa lata, setki tysięcy Rosjan, kroczących pod hasłami demokracji na telewizyjnych ekranach całego świata, zmieniło się w oślizłą fałszywkę, w tanią intrygę „awangardy”.

- No dobrze, proszę powiedzieć pańskiemu bossowi, że w Szeremietewie powitają was ludzie z mojego aparatu.

Dopiero teraz Aleksander zauważył, że Stanley, obróciwszy się o sto osiemdziesiąt stopni, śledzi z uwagą wyraz jego twarzy. Ciężka dłoń legła na ramieniu kuzyna czwartego stopnia, gdy kończył rozmowę z rozważnym chłopczykiem Michaiłem.

- Do zobaczenia wkrótce, Stanley!

- Do zobaczenia, Michaił!

Aleksander wyswobodził się spod ręki Stanleya i poszedł do kabiny. Oświetlał ją tylko rząd niewielkich lamp wzdłuż przejścia.

Wszyscy już spali, ukołysani szmerem potężnych rolls royce'ów: Leibnitz, Square, Aghast, Duckworth, Piu, a także „stewardessa” Bernadetta de Lux, która, jak czytelnik może zauważyć,

w czasie ostatniej przerwy chronologicznej zdążyła uzupełnić swoje i tak wytworne nazwisko o arystokratyczną cząstkę „de” i zrzucić trzydzieści funtów ze swojej obfitej cielesnej powłoki. Jak wiadomo, utrata wagi to w naszych czasach sukces; pomógł jej stać się jedną z najznakomitszych nowojorskich kurw.

Alex podszedł do baru, nalał sobie whisky i usiadł przy oknie. Przeklęta gorzała miała smak bezmyślnie roztrwonionego życia. Ile już razy mówiłem sobie, żeby nie pić tego gatunku z facetem z tłustą dupą na etykiecie, maszerującym optymistycznie w przyszłość. Gorbie rości sobie wobec mnie jakieś prawa. Okazuje się, że wciąż jestem coś winien tej suce ojczyźnie. Tej suce ani jej dzieciom nie przychodzi do głowy, że złamali komuś życie. Rzygać mi się na was chce, palanty! Do żadnej Rosji już nie należę, podobnie zresztą jak, niestety, nie mogę należeć do Stanów, żeby nie wiem jak zjednoczonych. Szkoda, że nie należę też do oceanu, który znajduje się pośrodku; należę tylko do chwili, która nie ma ani przeszłości, ani przyszłości, tylko czarna nicość. Opróżnił szklanekę i poprawił się z uśmiechem: i jeszcze gwiazdy i ich odbicie, śpiącą bandę lecącą na wschód, i czerwone światełko na skrzydle Galaxy.

Pozostawiamy go drzemiącego nad oceanem, by skorzystać ze swobody powieściopisarza i wskoczyć w reminiscencję, dzięki której dowiemy się, co się przydarzyło naszym bohaterom od chwili, gdy na zaśnieżonym tarasie Aleksandra Korbacha pojawił się Stanley Korbach.

Jak Stanley Korbach z miejsca rozwiązał wszystkie nierozwiązane problemy Aleksandra

Jego wysokość Stanley zwykle rozwiązywał problemy mniej więcej w stylu swojej ulubionej postaci literackiej, Gargantui, który wyczesywał z włosów kule armatnie przekonany, że to tylko wszy, co przyczepiły się do niego na brudnych ulicach Paryża. Problemy Aleksandra nie wydały mu się nawet wszami. To był zaledwie łupież, który można strząsnąć jednym ruchem dłoni. Mrożąca krew w żyłach historia o demonicznej kagiebowskiej szantażystce po prostu rozśmieszyła wielkoluda. Ponadto niektóre detale kopulacji Aleksa i Mirelle wprawiły go w zachwyt, w szczególności wyznanie Aleksa, że przeniknęło go dziwne uczucie, gdy awanturnica osiodłała go w swoim norkowym futrze. Trzymałem ją za tę futrzaną dupę i zdawało mi się, że to jej własne kłaki, mamrotał grzesznik. Nie miałem w tym momencie nic przeciw temu, żeby wszystkie kobiety zmieniły się w takie puszyste kreatury. Stanley, który od czasu operacji prostaty nieustannie troskał się o swoją męskość, zdecydował bez zwłoki rozpocząć serię eksperymentów z różnymi gatunkami futer. Moje gratulacje, o Brunhildo, pomyślał Alex.

Co do samego szantażu, Stanley po prostu zadzwonił do jednego ze swoich najcenniejszych współpracowników, a mianowicie do wciąż tego samego Lestera Kwadratowego. Ten obiecał zebrać niezwłocznie wszelkie informacje w tej sprawie. Należy powiedzieć, że zaangażowanie Lestera w zgłębianie tajnych światowych operacji wzrosło dwu-, trzy-, a może nawet dziesięciokrotnie od czasu, gdy zdecydował się odejść z wywiadu i poświęcić pisaniu ekscytujących politycznych thrillerów. Pod koniec dnia zadzwonił i powiedział, że Alex nie ma się już czego obawiać. Jak to? Nic prostszego, moi oświeceni przyjaciele. Po prostu dotarł do niejakiego Siergieja, znanego także pod ksywą (z.tp.k.) Patos, jednego z najbardziej wpływowych rezydentów KGB w Ameryce Północnej, i dał mu do zrozumienia, że AK&BB nie życzy sobie kontynuowania tej operacji. Szacunek, jaki zepsuci pierestrojką agenci żywią dla wielomiliardowych amerykańskich korporacji, znacznie przewyższa uczucia, jakie mają zarezerwowane dla organizacji macierzystej. Zwłaszcza jeśli szacunek ten został wzmocniony czekiem na dwadzieścia tysięcy dolarów, przekazanym na osobisty rachunek Patosa. Tak czy inaczej, otrzymaliśmy już potwierdzenie, że operacja Wydziału N o dziwnym kryptonimie „Futro z norek”, skierowana przeciw Saszy Korbachowi, zostaje wstrzymana. Dzieci Saszy są już „poza gorącą wodą”, jeśli można użyć tego idiomu, biorąc pod uwagę ogólną sytuację na Haiti.

No co tam jeszcze mamy na porządku dnia? Katastrofa z projektem filmu, która pograżyła naszego wrażliwego artystę w głębokiej depresji? Dawno już Stanley nauczył się od Aleksa pojemnego rosyjskiego wyrażenia *tnudila griesznyj*, które w maksymalnym przybliżeniu można przetłumaczyć jako *sinful jerk*. Właśnie tego wyrażenia użył, zwracając się obecnie do kuzyna:

- Stałeś się, *mudila griesznyj*, ofiarą swojego własnego mudilagriesznowskiego stosunku do amerykańskich mechanizmów biznesowych. Gdybyś się pozbył swojej idiotycznej ruskiej megalomanii i przewrażliwienia, dawno już byłbyś wielką figurą w filmowym biznesie. Fortuna dała ci, *tnudila griesznyj*, takie znajomości, że każdy inny mieszkaniec tego kraju zawyłby ze szczęścia, a ty nimi wzgardziłeś jak głupi. Siedz teraz nad swoją wódką z tonikiem i słuchaj.

Ku całkowitemu zdumieniu Aleksa Stanley poprosił wierną Rosę Morrrows, by połączyła go z tą samą Putney Production, którą Stefan Czapski bez powodzenia usiłował wciągnąć w ich projekt.

- Chciałbym tam z kimś pogadać: albo z Icemanem, albo z Magazynierem, z Tedem Lasagną wreszcie, a najlepiej z samym Putneyem albo z Waltem Ridgewayem. - Za parę minut Ridgeway był na linii. Dopiero wtedy Alex zdał sobie sprawę, że to ten sam typ, który torpedował jego *Gwiazdneho lat osiemdziesiątych*. - Hej, Walt, stary koniu, jak tam leci? Słuchaj, siedzi tu koło mnie znakomity rosyjski reżyser, mój daleki krewny Alex Korbach, na pewno o nim słyszałeś. Nie słyszałeś? Jak to możliwe? Przecież wszyscy o nim teraz mówią, od wybrzeża do wybrzeża. - Stanley zakrył słuchawkę dłonią i zaczął przekazywać Aleksowi wypowiedź rusofoba: - Mówi, że bardzo się cieszy. Zawsze miał wielki szacunek dla twórczego potencjału Rosjan. Mówi, że zamienia się w słuch. - Odkrywszy słuchawkę, mówił dalej do Ridgewaya: - Ten facet zamierza zrealizować fantastyczny film o życiu Dantego Alighieri. Nie, nie o starożytności, a o średniowieczu, a dokładnie o wczesnym Renesansie. O właśnie, teraz lepiej, ten sam, dokładnie. Wyobraź sobie, Walt, jakie to będzie piękne na ekranie: Florencja, zamki, poeci w rycerskich zbrojach, nieskazitelnej urody Beatrycze... Oczywiście, sam zamierzam zainwestować w ten projekt. Poważnie zainwestować. Nie, nie, Walt, mówimy o liczbach ośmiocyfrowych. Megabudżet, kolosalny pakiet, wszystko powinno być na najwyższym poziomie!

Czasami Aleksandra zaczynało trząść, kiedy myślał o rosyjsko-amerykańskich górkach swojego życia: walisz się na dno dołu ze śmieciami, w najgorszy syf, a potem wzlatujesz na szczyt, gdzie dech zapiera od rozległości horyzontów - czy to nie przerażająca, irytująca, prowokacyjna, amoralna, bezczelna i zwalająca z móg metafora bytu?

Gargantuiczny karnawał zaczął się rozkręcać w oszalałym tempie. Aleksandrowi nie starczało czasu, żeby wysłuchać wszystkich wiadomości, jakie pozostawiano mu na sekretarce. Ludzie z Putney domagali się od niego *synopsis*. Proszę przysłać nam kserokopię brudnopisu, Alex, najszybciej jak się da. Potrzebny nam jest jakiś papier, żeby zacząć pracę nad pańską umową. Musimy także skontaktować się z pańskim agentem. Kto jest pańskim agentem, «r? Borchardt, Goldberg, Cynthia Cannell, a może sam Andrew Wiley? *Shit*, nigdy nie miał żadnego agenta. Człowiek bez agenta w rojącym się od agentów świecie! Stanley uśmiechnął się. Powinieneś podać im nazwisko Enocha Aghasta. Potencjalnie Wieczny Żyd - to najlepszy agent filmowy na świecie. Zna wszystkie istniejące języki i parę nieistniejących. Potrafi także wywierać hipnotyczny wpływ na śmiertelników. Nie jestem pewien, czy przez całe swoje istnienie widział choć jeden film, ale ważne, że potrafi kiedy trzeba powiedzieć „tak” i „nie” bez ogródek.

W tym miejscu chcemy z góry powiedzieć, że historia artystycznego pośrednictwa nigdy nie znała lepszego agenta niż Enoch Aghast. Z pozazdrozczenia godną efektywnością przeniknął w samo serce hollywoodzkich intryg, a nawet stał się najwyższym autorytetem w takich złożonych kwestiach, jak alokacja ryzyka, pakietowanie projektów, dochody kolateralne *et caetera*. W czasie produkcji filmu *Promieniowanie* AJ nie raz dziękował niebiosom za zesłanie mu takiego agenta. Aghast, trzeba powiedzieć, również był niezwykle zadowolony, kiedy zdał sobie sprawę, że nowe zajęcie w tym głupim, załatanym i czarującym *movie business* może mu pomóc zabić jakoś czas w ciągu nadchodzących stuleci.

Pewnego razu Stanley powiedział:

- Alex, wiem, że dręczą cię potworne wyrzuty sumienia, że świrujesz z powodu swojego najnowszego sukcesu. Twój pojebany umysł mówi ci, że obecność dobroczyńcy Gargantui stawia pod znakiem zapytania twoje własne możliwości twórcze w dziedzinie sztuki. *Cool it, stary!* Tym razem twój kuzyn czwartego stopnia miał na uwadze bardzo pragmatyczny cel, wyciągając cię z gówna. Chodzi o to, że w odróżnieniu od trzech pierwszych bezmyślnych Zniknięć znalazłem cel dla Czwartego, bieżącego. Polega on na tym, że zamierzam oddać moje pieniądze innym.

Wszystko jest bardzo proste: na tym świecie, gdzie tyle błędnych kół, krążąc, napędza się nawzajem, jeden okrąg otwiera się nagle i wyciąga w linię prostą. I w tej prostocie jednak, tak jak w całej tej pierdolonej dialektyce, kryje się pułapka. Pokutujący „tłusty kot” nie przestaje być mimo to kotem tłustym. Dręczy mnie fakt, że pragnienie, by oddać wszystko innym, może się okazać odwrotną stroną pragnienia, by wszystko zagarnąć dla siebie. Hojność daje ci rozkosz, czyli bądź hojny, a zyskasz samozadowolenie. Chcę mieć obok siebie własną antytezę, bliskiego przyjaciela, który nigdy nie zawaha się powiedzieć mi prosto w twarz: *tnudila griesznyj*. To jesteś ty. Będziesz moją prawą ręką w tym sensie, że ja będę twoją lewą ręką, jeśli doceniasz moją skromność. Tylko z tobą będę wiedzieć, czy moje pieniądze idą do tych, których roboczo nazywam „inni” albo „reszta”, jeśli pomyślisz o tym po angielsku. Teraz rozumiesz chyba przyczynę mojej interwencji w kwestii twojego losu jako artysty.

- Nie, nie rozumiem - powiedział Alex.

- *Okay*, lewa ręka zawsze zainteresowana jest pomyślnością prawej. I na odwrót, prawda?

Aleksander zaśmiał się:

- Proste jak fajka, ale jest w tym coś więcej!

Stanley skinął głową.

- Wiem, że nie możesz żyć bez tego, żeby tworzyć coś artystycznego, bez względu na to, czy ma to być piosenka, show czy też gigantyczny projekt filmowy, zwłaszcza jeśli wiąże się z „nowym słodkim stylem”. A zatem cała naprzód, rób, co ci się zamarzy, a ja ci zapewnię zielone światło we wszystkich kierunkach, z wyjątkiem twoich własnych ślepych zaułków, przyjacielu. W tej sprawie jestem bezsilny.

Rozmowa toczyła się w prawie pustym wagonie Metrolinera na trasie z Waszyngtonu do Nowego Jorku. Mroczne, ciężkie niebo wisiało nad całym Wschodnim Korytarzem. Od czasu do czasu sypało śniegiem. Pociąg przecinał na w pół zamrożone zatoki z ich porzuconymi aż do wiosny przystaniami jachtowymi, wnoszącymi w pejzaż specyficzną, dziwnie przytulną środkowoatlantycką melancholię. To uczucie przytulności pogłębiało się jeszcze przy mijaniu mikroskopijnych miasteczek z ich sklepikami spożywczymi, niezmiennie ozdobionymi neonowymi reklamami Bud. Przeczytawszy to słówko z rosyjska, fonetycznie, rosyjski melancholik nie ustrzeże się od pokusy, by potraktować je jako skrót od *buduszczeje* - przyszłość.

- Mówiąc o moich ślepych zaułkach, Stanley, masz naturalnie na myśli zerwanie z Norą?

- Niekoniecznie. Każdy ma swoje ślepe zaułki. Sądzę po prostu według siebie. Wierz mi, zdarzało mi się zapędzić miłość w pajęczynę nie do przebycia.

- Trafieś w sedno. Myślę wyłącznie o twojej córce i nieustannie winię się za to, co się zdarzyło.

- Jestem pewien, że ona bardziej zawiniła - sucho powiedział Stanley. - Znam swoją córkę. Potrafi potwornie zranić męską dumę i nawet nie zwrócić na to uwagi.

- Nie zgadzam się. Nora to najwrażliwszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem. Rozumie wszystkie nasze pierdolone subtelności. Cała odpowiedzialność spoczywa na mnie, gruboskórnym typie.

Krótki dzień zimowy miał się ku końcowi. Niepogoda za mknącymi oknami szybko zmieniała się w ciemność.

- Widziałeś kiedyś Roberta? - spytał ostrożnie Stanley.

- Jakiego Roberta?

- Bobby Korbacha, jej syna.

- O rany, zapomniałem, że on ma... hm... to samo nazwisko.

Stanley pomyślał: miał chęć powiedzieć „nasze nazwisko”, ale się wycofał.

- No oczywiście, że nosi nasze nazwisko, a czyje miałby nosić?

- Nigdy nie rozmawialiśmy z nią o Bobbym - mruknął Alex. - Zresztą o moich dzieciach, prawdę mówiąc, też nigdy nie rozmawialiśmy. - Popatrzył na Stanleya i nagle uczynił wyznanie, którego, być może, wstydział się najbardziej: - Zzerała mnie zazdrość, Stanley. Byłem zazdrosny o wszystko, a najbardziej, jak mi się teraz wydaje, o Amerykę. To znaczy o jej życie beze mnie.

W Ameryce.

- Szkoda, że nie byliście ze sobą do końca szczerzy - rzekł Stanley.

Popatrzył Aleksowi prosto w oczy, jakby pytając, czy wyjawić mu coś niezwykle ważnego. Alex nie chciał. Nieoczekiwanie zmienił płytę i spytał z uśmiechem:

- A właściwie po co jedziemy do Nowego Jorku?

Stanley westchnął z jawną ulgą. Nie cierpiał ujawniania tajemnic, zwłaszcza dotyczących własnej rodziny.

- Przede wszystkim idziemy na kolację. Zamówiłem stół w najbardziej egzotycznej knajpie Ameryki. Wyobraź sobie, że zamiast zmniejszać liczbę kalorii, chełpią się ich nadmiarem.

Na Manhattanie człowiek zawsze jest zaskoczony, ile tu wszystkiego. Przecież jeszcze całkiem niedawno wszędzie był tylko nieprzebyty las. Okolicę Times Square przez cały dzień przebiegał lis czy dwa lisy i nic poza tym się nie działo oprócz mrowienia się owadów. Po niedługim czasie wyspa obrosła kamieniem, żelazem i szkłem i nagromadziła kupy wszelakiego dobra, nie mówiąc już o polifonii jedzenia.

Słowo „jedzenie” zawiera w sobie tyle różnych rzeczy nie związanych bezpośrednio z tym pojęciem. Zwykle odgryzanie kawałka od całości, rozdrabnianie oderwanego kęsa specjalnie w tym celu stworzonymi w ustach stwardniałościami, cała ta seria najprostszych działań zmieniła się w zjawisko z dziedziny kultury, w święto nie tylko ciała, ale częściowo i ducha. Liczne zasady patriotyzmu wiążą się z kuchnią etniczną. Weźmy na przykład wojny pielmienne. Ileż to razy rosyjskie i chińskie wojska staczały między sobą okrutne bitwy o pielmienny priorytet! I mimo tych pobojuwisk oraz przemyślnych konferencji pokojowych na szczeblu światowym, proszę spytać dowolnego Rosjanina, nawet akademika Lichaczowa, nawet rzeźbiarza Nieizwiestnego, nawet autora tych słów, jakie jest podstawowe rdzennie rosyjskie danie, a każdy z miejsca odpowie: pielmieniu!

Szybko, póki nas nie zatłukli, przechodzimy do kwestii rosyjskiej. Od jakiegoś czasu magnat Stanley Korbach zaczął zauważać u siebie jakieś dziwne prorosyjskie nastroje. Istnieje, mówił do swojej bandy, stereotyp Rosjanina jako patologicznego antysemitę. Ten pogląd jest nieprawdziwy, chłopaki. Oczywiście, słowo „pogrom” jest pochodzenia rosyjskiego, ale, z drugiej strony, czemu nie stawiamy sobie pytania, jak to się stało, że przez całe stulecia Żydzi, wyganiani przez Hiszpanów, Francuzów, Brytyjczyków i Niemców, bez przerwy ciągnęli na Wschód, do Rosji?

Jasne, zawsze się oburzaliśmy na haniebną strefę osiedlenia, ale dlaczego Żydzi od czasów Katarzyny Wielkiej szli tam i osiedlali się setkami tysięcy? Czy nie znaczy to, że otrzymywali nawet jeśli żalostną, ale jednak jakąś ochronę państwa, zrodzoną być może z podświadomego pragnienia, by widzieć tych cudzoziemców obok siebie? Popatrzcie dalej na fakty, które szybko następowały jeden po drugim w rozwoju rosyjskiego żydostwa. Wczorajsi nędzni handlarze walutą, szewcy, szynkarze, mieszkańcy *sztetli*, cisnących się wokół na wpół rozwalonych

synagog i ciemnych chederów, potrafili wywalczyć sobie na rosyjskiej ziemi znaczącą pozycję. Nowe pokolenia żydowskich inżynierów, lekarzy, farmaceutów, handlowców, bankierów uczyniły tę osławioną strefę praktycznie niewidoczną. Nie mówiąc już o niwie artystycznej, szanowni panowie! Żydzi włożyli niemały wkład w wielką rosyjską rewolucję artystyczną. Wystarczy wspomnieć dalekiego krewnego naszych Korbachów, Marka Antokolskiego, malarza Lewitana, poetę Nadsona, muzyka Rubinsteina, to w wieku dziewiętnastym, a w dwudziestym wielkich nazwisk było coraz więcej: Mandelsztam, Pasternak, Lifszyc, Chagall, Lisicki, Meyerhold, Rubin Korbach, dziadek naszego Aleksa: mnóstwo ich było wśród awangardy.

Okolo roku 1914 stało się jasne, że strefa osiedlenia beznadziejnie się postarzała. Były tam, rzecz jasna, „czarne sotnie” i Puryszkiewicz, ale rosyjskie społeczeństwo okazało się dostatecznie dojrzałe, by uznać „sprawę Bejlisa” za czystą prowokację. Być może moje słowa zabrzmiały paradoksalnie, wydaje mi się jednak, że w pierwszych dziesięcioleciach naszego wieku zaczęła się rodzić w Rosji jakaś dziwna wzajemna sympatia między Rosjanami a Żydami. Można spytać, co z okrutnymi żydowskimi komisarzami z czasów wojny domowej? No cóż, po pierwsze, okrucieństwa tej wojny nie były spowodowane motywami etnicznymi, a czysto politycznymi, a po drugie, kto wie, może obecność Żydów wśród zwycięzców lekko zmiękczyła proletariackie podejście do klas unicestwionych?

Chcecie przykładu, no to go macie, mówiąc językiem *sztetli*. W 1921 roku bolszewicki rząd był nadzwyczaj zirytowany działalnością Wolnej Akademii Filozoficznej, tak zwanej Wolfiły. Lenin jako prawdziwie rosyjski rewolucjonista zaproponował najszybszą i najbardziej efektywną akcję: nocna obława i egzekucja wszystkich burżuazyjnych pseudofilozofów. Trocki jednak, który troszczył się o opinię międzynarodową, obstawał przy deportacji. Jako doświadczony demagog, mówił: nie trzeba z tych pleciug robić męczenników, nie trzeba, towarzysze, dostarczać wrogom narzędzia propagandy. W rezultacie stu dwudziestu świetnych rosyjskich intelektualistów na siłę wsadzono na statek płynący do Niemiec. Zdrowy żydowski rozsądek pomógł Rosji zachować całą szkołę filozoficzną.

Pozwólcie, że przeskoczę teraz ćwierć wieku, ku końcowi drugiej wojny światowej. To Rosjanie oswobodzili resztki skazanych na śmierć w komorach gazowych żydowskich kontyngentów. Nie wolno nam nigdy zapomnieć o oficerach i żołnierzach, którzy otworzyli wrota Oświęcimia i Majdanka. I nigdy nie wolno nam zapomnieć setek tysięcy Żydów, którzy walczyli jak równi w szeregach Armii Radzieckiej. Nie wiadomo, jak zachowaliby się Rosjanie

wobec Żydów, gdyby Stalin zdążył rozpocząć swój plan ludobójstwa, ale do tego, chwała Bogu, nie doszło.

Są ludzie, podobnie jak całe narody, całkowicie pozbawieni uczucia wdzięczności. My, Żydzi, mam nadzieję, nie należymy do tego gatunku. Powinniśmy myśleć o Rosji, moje dzieci, zwłaszcza teraz, kiedy wali się ich pieprznięta utopia.

- Do diabła, Stanley, co z nas niby za „twoje dzieci”? - zdziwiła się w tym momencie Bernadetta de Lux. - *Come on*, nie wyobrażaj sobie, że jesteś patriarchą, *babyl* - Jakby na potwierdzenie względności wszelkich skal wyjrzała z jej stanika i szczerknęła główka dobrze wszystkim znanego Cookie.

Obecni wybuchnęli śmiechem - choć nie wszyscy jeszcze, których oczekiwano, dotarli na miejsce, by wstrząsnąć ścianami restauracji Fimmy House na rogu Seward Avenue i Orchard Street, w Dolnym East Side Manhattanu. Właśnie tu przyjechali prosto z dworca Stanley i Aleksander. Motywem wiodącym przybytku była wschodnioeuropejska nostalgia. „Witamy na kolacji Waszych babć i dziadków!” - głosiło menu w języku angielskim, w jidysz i po hebrajsku. Pośrodku każdego stołu figurowała karafka wypełniona płynem w kolorze bursztynu. Uchowaj Boże, proszę nie sądzić, że to coś odświeżającego! Karafki, szanowni państwo, zawierają ni mniej ni więcej, tylko czysty kurzy tłuszcz, bez którego najwyraźniej kolacja naszych babć i dziadków byłaby nie do pomyślenia. No bo jakże się bez niego obejść, osądźcie sami! Zamawiacie na przykład siekaną wątróbkę. Przynoszą wam miedniczkę z zamówionym produktem i właśnie w tym momencie idzie w ruch bursztynowa karafka. Co najmniej połowa jej zawartości wylewa się do miedniczki i tam zostaje wymieszana z posiekaną wątróbką. Delikates gotowy. Za pomocą chochli godnej kuchni brygady artyleryjskiej wątróbka z kurzym tłuszczem zostaje wpląsnęta do misek gości. A jaka mamałyga jest do pomyślenia bez wymieszania z kurzym tłuszczem? Odpowiemy w stylu całej tej kolacji: żadna!

A jaka, zawoła w tym momencie ten czy ów, puree kartoflana jest do pomyślenia bez kurzego tłuszczu? Powiecie, że nie do pomyślenia jest puree rodzaju żeńskiego? Nie, ono jest nie do pomyślenia bez kurzego tłuszczu! Nie mówiąc już o knelach, blincach, i tak dalej, i tak dalej.

Takie oto ognisko tłuszczu istnieje w sałatkowo-owocowo-błonnikowej Ameryce jako wspomnienie o czasach, kiedy przybieranie na wadze uważane było za oznakę zdrowia. No i w ogóle, co tu dużo gadać, Fimmy's Beefsteaks to nie jest zwykła wyzerka, to część kulturowego dziedzictwa, a wspomniane wyżej delikatesy to zaledwie uwertura. Właściwa opera zaczyna się

wraz z podaniem steków. W Fimmy's steki bywają trojaki: duże, średnie i małe. Mały stek reprezentuje sobą podłużną sztukę mięsa o długości trzy czwarte stopy i grubą na dwa cale. Ujawszy ją za jeden koniec, każdy z członków gangu Stanleya Korbacha może wychlastać po twarzy, a kto wie, czy i nie ogłuszyć dowolnego stronnika Normana Blumsdale'a. Ptaki lepiej niech się trzymają z daleka od jej trajektorii - padną trupem! Wobec tego, dobrzy ludzie, lepiej już jedzcie te rzeczy, kęsek za kęskiem, przyprawiając je musztardą z dodatkiem kurzego tłuszczu, do którego namiętność wzbudziła szczególną nienawiść tubylców wobec żydowskiego ludu.

W odróżnieniu od małego średni stek zdumiewa swoją okrągłością. Pokrywa sobą całą powierzchnię talerza, pozwalając, by krzepka kość wystawała z boku, dzięki czemu przypomina silnie powiększoną ping-pongową raketkę. No i na koniec mamy przed sobą ukoronowanie Dolnego East Side, wielki stek Fimmy's, ten to już przypomina nam korty Wimbledonu! Stosownego dla niego talerza nie znajdziecie na Manhattanie, dlatego podaje się go na drewnianej desce. Gęsty sok ścieka z deski na obrus, stawiając pod znakiem zapytania zasady koszeru. Żydowskie chwaty pełnej krwi, które sto lat temu były nowojorskimi burlakami, a dziś są adwokatami i producentami filmowymi, ciągną rabelaisowską ucztę, chłodząc się sześcianami lodu, pomiędzy których sterczą szyjki butelek wódki, i coraz bardziej rozgrzewają się od tej ochłody.

Przywykli tu do tego, trzeba powiedzieć. Każdą udaną kolację wieńczy en pękniętych czaszek, zmiążdżonych szczęk, podziurawionych brzuchów, oberwanych uszu, nadszarpniętych jąder oraz ambicji, zwłaszcza jeśli około północy zakład oblegają szumowiny króla Picrochole'a.

Na razie tańczono i śpiewano. Publika aż się rwała, by dać własny występ. Świeżo przybyły z Izraela chasydzki rock band wybijał na zamówienie każdy rytm, tylko pejsy latały. Jeden ludowy pieśniarz zamawiał *Hawa Nagila*, drugi *Rachel, you are like a tear in my eye*, trzeci entuzjastycznie wyskakiwał z *Kornetem Oboleńskim*. Co chwila pomieszczenie trzęsło się od zbiorowego tańca, wśród tłumu zaś nieodmiennie można było ujrzeć przejeżdżonego staruszka, który tańczył z wsuniętymi pod pachy kciukami, niby Lenin po przyjęciu planu elektryfikacji kraju. Była tu i warta grzechu damulka, rozbierająca się w tempie morskiej lwicy.

Tego wieczoru panował szczególnie duży hałas i dlatego Stanley poprosił, by przeniesiono wszystkie jadalne skarby ich kompanii do gabinetu. Postępując w ślad za tą kolejną paradą naszych bohaterów, musimy wyznać, że nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie jasno

i wyraziście, jakie owoce wyda ten brzemienny czymś wieczór. W twórczości powieściowej nierzadko się zdarza, że wcześniej skonstruowany plan staje się od początku do końca nieaktualny. Dostawszy się pod wpływ bohaterów, autor odmawia pisania według planu; a co tam, to nieciekawe. Niezależnie od profesjonalizmu czy zobowiązań kontraktu, trzeba powiedzieć prawdę: gdyby pisanie powieści miało być nieinteresujące, nie pisalibyśmy ich.

W gabinecie Stanley zwrócił się do obecnych:

- Mam nadzieję, bando, że doceniacie fakt, iż zabrałem was właśnie tutaj. Przecież Fimmy's to część naszego wspólnego dziedzictwa.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że wszyscy tu są Żydami? - wykrzyknął nadzwyczaj zdumiony Alex Korbach.

- Właśnie to chciałem powiedzieć - zaśmiał się Stanley. - Wszyscy tu mogą się poszczycić kropelką tego, co nazywa się żydowską krwią.

Aleksander omiół spojrzeniem osoby zebrane wokół kilku okrągłych stołów. W przyciemnionym świetle wyglądali jak zbiorowy portret pędzla flamandzkiego malarza. Ale mi Syjon, zwłaszcza w osobie generała Piu, krokodylka z delty Mekongu.

- *Yes, yes*, Ławski - zachichotał generał. - Mamusia mojej mamusi była żydowską guwernantką w rodzinie Huong Hian Nguyena.

Mimo woli oczy Aleksa powędrowały ku czarnemu przystojniakowi Benjaminowi Duckworthowi: no, ten zdaje się, jest czysty. Ben uśmiechnął się powściągliwie:

- A moja mama nazywała się z domu Wajsaki. Grace Wajsaki, Stanley Korbach świadkiem, że nie kłamię.

- To brzmi raczej po japońsku niż po żydowsku - sprzeciwił się Alex. Były spadochroniarz wziął serwetkę i napisał na niej panieńskie nazwisko matki. Wyszło „Vysocki”.

- Vysocki? - wrzasnął Aleksander.

- Do usług - stuknął obcasami specjalista od ochrony wielkich obiektów handlowych.

- Jeśli chodzi o mnie, jestem Żydówką w stu procentach - zaanonsowała Bernadetta de Lux i nie wiadomo czemu wstrząsnęła ramionami na cygańską modłę.

Zanim Bernie poznała Stanleya, trzeba powiedzieć, nigdy nie przejmowała się swoim żydostwem, o ile w ogóle o nim pamiętała. Teraz z zaskakującą dla niej samej jasnością wywoływała w pamięci obrazki dzieciństwa: tata-talmudysta i mama-płaczka, w sobotę cała rodzina siedzi przykryta tałasami i mamrocze modlitwy, nie odważając się nawet zapalić światła,

żeby nie rozgniewać Najwyższego. W tym momencie a propos szczeknął cienko ze swojej rozpadliny jej ukochany Cookie. Cookie, chłopczyku z getta, idź, pospaceruj sobie po stole, wszyscy cię tu kochają. Cookie cofnął się przerażony na widok mięsnych łopat serwowanych przez etniczną restaurację, za to z satysfakcją zlizywał topniejący lód z wódczanych pojemników.

Po rewelacji Bernie, którą dotychczas członkowie jej kręgu wywodzili raczej od Hellenów niż od Judejczyków, w towarzystwie zapanowało podniecenie. Każdy usiłował zaprezentować swoje żydostwo, ale, niestety, głównym argumentem dysponował, szczerze mówiąc, tylko Bruno Kastorzus z prawowiernego Budapesztu. Pozostałym udało się jakoś zachować nadmiar skóry. Stanley wsłuchiwał się z zadowoleniem w ogólny gwar i z zadowoleniem przyglądał się grupie ludzi, których nazywał już swoją bandą. Z tą bandą, myślał, być może uda mi się zrealizować ideę Czwartego Zniknięcia, to znaczy oddać swoje pieniądze innym. Zdaje się, że jednemu spośród obecnych udało mu się dotrzeć do końca dużego steku Fimmy's. Starając się nie stracić wątku rozmowy, odcinał kęski wielkim nożem, stosowanym jako narzędzie negocjacji w zamkach Aszkelonu i Cezarei, przyprawiał je odpowiednią porcją koszernej musztardy i splukiwał gigantycznymi łykami koszerne piwa Makkabi, nazwanego tak na cześć potężnych braci, którzy dwa tysiące trzysta lat temu wznieśli powstanie przeciw greckiej dekadencji w imię Jedynego Boga. Dawno już jedzenie, picie, obserwacja twarzy i wymiana słów nie sprawiały mu takiej przyjemności. Skończywszy dzieło, podniósł rękę i poprosił o ciszę.

- Proszę o ciszę! - krzyknęła natychmiast ostro znająca swoje obowiązki Rosę Morrrows i zapadła cisza.

- Jakiej narodowości był nasz praojciec Abraham? Wiemy, że był synem Teracha z pokolenia Sema, że mieszkał na terenie między Tygrysem i Eufratem, w mieście Ur, a zatem był albo Chaldejczykiem, albo Sumeryjczykiem, albo Asyryjczykiem, co w przybliżeniu oznacza jedno i to samo. Żydów wtedy po prostu nie było, a mówiących po hebrajsku pustynnych pastuchów nikt nie uważał za naród. Dwa tysiące lat przedtem, zanim Pan ukazał się Abrahamowi i nakazał mu dać początek nowemu narodowi, na terenie Półksiężycy Płodności istniały wysoko rozwinięte cywilizacje, sumeryjska na wschodzie i egipska na zachodzie. Miały swoje rzemiosło, sztukę, a nawet zbiory praw. Każdy pamięta, rzecz jasna, Słup Hammurabiego wystawiony w Luwrze.

Wódz zrobił pauzę i obwiał zebranych uważnym spojrzeniem. Być może decydowała się kwestia składu osobowego „bandy”. Każdy, czy to gestem, czy mimiką, potwierdził znajomość

z Hammurabim. Bernadetta na przykład uniosła nieco prawe ramię i lewą brew: jak niby można nie znać tak wybitnego filaru człowieczeństwa? Piu wieloznacznie manipulował papierosem: pytanie przypomniało mu wykłady dla sztabu generalskiego w czasach reżimu Ngo Dinh Diema. Bruno Kastorius, uniósłszy dłonie nad głową, wyobraził wznoszenie się na szczyty prawodawstwa. Alex wlał do gardła kielich wódki i pokazał trzy palce: od trzeciej klasy, znaczy się, jest mu znane to babilońskie słowo, mówiące samo za siebie. Ogólnie biorąc, wszyscy obecni w ten czy inny sposób okazywali obznajomienie z tematem dyskusji, jeden tylko Matt Shuroff siedział nieruchomy jak głaz.

- Może ktoś zechce oświecić naszego przyjaciela? - zasugerował Stanley.

- Nie ma potrzeby - otworzył w końcu usta Matt. - Z powodu tego Słupa Hammurabiego spędziłem w Paryżu dobę w komisariacie.

Wszyscy, rzecz jasna, byli szalenie zaintrygowani: szczegóły, szczegóły!

Okazało się, że dziesięć lat temu spółka, w której pracował wówczas Matt, a mianowicie Great Pacific Communications, zorganizowała dla swoich najlepszych pracowników w charakterze nagrody wycieczkę do Paryża. Już pierwszego dnia, nie, kłamię, drugiego, a dokładnie w środę Matt zobaczył tam w Luwrze Słup Hammurabiego i poczuł niepowstrzymane pragnienie, by go objąć. Gotów był nawet umrzeć, byle ze Słupem Hammurabiego w objęciach. Może nie wszyscy to pamiętają, zwłaszcza niektóre lekkomyślne osoby płci żeńskiej, ale Matt był cały we łzach od tego przemożnego pragnienia. Pójdziecie stąd i zdechniecie, chłopaki, ani razu nie objąwszy Słupa Hammurabiego, wyjaśnił pozostałym przodownikom i po skrzypiącym parkiecie ruszył w kierunku eksponatu. Łzy uniemożliwiły mu dostrzeżenie kuloodpornego szkła, które otaczało ten wyjątkowy obiekt. Walnął w nie czołem i w podnieceniu tak ścisnął boki szklanej skrzynki, że trzasnęła. To, co było dalej, pamiętam mętnie. Dyżurna piętra sparaliżowała mnie za pomocą jakiegoś elektroszokowego interesu. Potem, już w komisariacie, gliniarze uczyli mnie miłości do ojczyzny za pomocą pałek. Z takim faktem w biografii trochę dziwnie jest odpowiadać na pytanie o Słup Hammurabiego.

Bracie mój, z miłością myślał Stanley Korbach, patrząc na potężnego jak on sam kierowcę. Ty i ja jesteśmy ludźmi tej samej rasy, lubimy te same rzeczy, zazdrość jest tu nie na miejscu. Ja też, ilekroć byłem w Luwrze, czułem taką samą namiętność do S.H. Nie pojmuję, co mnie wstrzymywało od takiego wspaniałego postępuku?

Podjął wątek. „Dasz początek nowemu plemieniu” - powiedział Pan do Abrahama,

i powstało Przymierze. Dlaczego spośród wszystkich mieszkańców Międzyrzecza został wybrany właśnie stary Abraham? Niewątpliwie dlatego, że najlepiej rozumiał bezużyteczność pogaństwa i niepodzielność Jedyne Boga. Był jednym z wielu Chaldejczyków, a stał się pierwszym Żydem. A zatem nasz naród nie powstał w rezultacie wielowiekowego procesu etnicznego, a w rezultacie doświadczenia mistycznego. Narzuca się w związku z tym daleka od ortodoksji myśl: może i dzisiaj pojęcie żydowskości zawiera w sobie więcej pierwiastka duchowego niż etnicznego? Abraham był odstępcą, który porzucił swój dom i naród, aby znaleźć nowy dom i zapoczątkować nowy naród. Może po upływie czterech tysięcy lat proces ten jeszcze się nie zakończył? Dlaczego cały czas uciekamy: to do Palestyny, to do Egiptu, to do Babilonii, to do Rzymu, Afryki, Hiszpanii, Europy, Rosji, Ameryki i znowu do Palestyny? Może ważne jest nie tyle perfekcyjne przestrzeganie starożytnych rytuałów, ile ocalenie ducha tej wędrówki, kosmopolityczności żydostwa jako takiego?

Dlaczego antysemityzm zawsze przychodzi z zatęchłych etnicznych głębi różnych narodów? Dlaczego główną ideą antysemityzmu jest światowy spisek żydowski, przysięga krwi? Najwyraźniej antysemityzm podświadomie próbuje odwrócić kartę, przypisać Żydom własną ideologię prymatu krwi nad duchem, zburzyć mistyczne Przymierze.

Staruszkowie Abraham i Sara nie byli idealnymi rozplodowcami. Lamentowali, że już nigdy nie będą mieć dzieci. Pan wyprowadza Abrahama z namiotu pod rozgwieżdżone niebo i mówi mu: „Spójrz na niebo i policz gwiazdy, jeśli zdołasz. Tak liczne będzie twoje potomstwo”. To dla nas wszystkich, potomków Abrahama, przykład tego, o ile duch silniejszy jest od ciała. Abraham i Sara przeżyli potem jeszcze około tysiąca lat i z ich lędźwi poczęły się całe narody.

Wypowiedziawszy się na ten niezwykle prosty temat, Stanley jak gdyby się zdekoncentrował, by nie powiedzieć zmieszał, a nawet spojrzął na zegarek, zupełnie jakby znowu wszedł w rolę prezesa korporacji. Bernie de Lux natychmiast dodała mu otuchy czułym spojrzeniem:

- Wiesz przecież, miodku, że wiek nie zawsze jest przeszkodą w tych sprawach.

Siedząca obok męża córka naszego Gargantui, subtelna Sylvie, przymknęła oczy: raziło ją, że jakiś nieprawdopodobny babiszon o pokrytych tu i ówdzie drobnymi tatuażami ramionach zwraca się do jej ojca w tak intymny sposób. A on w odpowiedzi uśmiecha się! I wszyscy wokół, łącznie z Artem, siedzą z rozanielonymi gębami. Stanley wlał w siebie szklaneczkę rumuńskiej wódki: brrr!

- Tę ideę, moje dzieci, powinniście nieustannie mieć w głowie podczas pracy w fundacji. Zdajecie sobie przecież sprawę, powstaje Spisek Głupców Syjonu: przekazanie swoich pieniędzy innym. Będziemy pracować na całym świecie, ale z przyczyn ogólnie znanych priorytet ma od początku Europa Wschodnia i Związek Radziecki. Wszyscy ludzie na Ziemi, czy są dziećmi Noego, Deuklena czy Gilgamesza, powinni pamiętać o Potopie.

- Taka jest podstawowa zasada polityki Stanów Zjednoczonych - zauważył w tym miejscu były starszy sierżant 82. Dywizji Desantowej.

Stanley Korbach z czułością popatrzył na mocne linie twarzy Benjamina Wartego Kaczki. Jaki podobny do swojego ojca! Patrząc na tego chłopaka, zapominał o własnym wieku i zdawało mu się, że wrócił rok 1946, kiedy to wraz z Rogerem Duckworthem służyli w siłach okupacyjnych Stanów Zjednoczonych na terytorium Japonii.

Ściśle biorąc, służyli w tym samym batalionie piechoty morskiej i razem podpływali w sierpniu czterdziestego piątego do wybrzeży pokonanego imperium na lotniskowcu „Yorktown”. Frontowa przyjaźń, powiecie, i natychmiast wyobraźcie sobie lądowanie na Iwodzimie, dwóch chłopaków, czarnego i białego, którzy, stojąc po pierś w szmaragdowej wodzie, sieką ogniem niedużych żółtych facetów, po czym jak doświadczeni bejsboliści zarzucają granatami gniazda karabinów maszynowych. Następnie jeden z nich - czarny lub biały, to zawsze trudno rozstrzygnąć - wyciąga spod ognia rannego towarzysza. Parę akordów orkiestry symfonicznej wieńczy przejmującą scenę.

Nic podobnego nie nastąpiło w życiu Stanleya i Rogera. Ich przyjaźń opierała się na zupełnie innych podstawach. Po upływie pół roku od zwycięstwa kapral Duckworth i szeregowy Korbach zostali wysłani z położonej na wybrzeżu bazy w górski rejon Nara, gdzie mieli nadzorować instalację jakiejś anteny radiowej. Okazało się, że przed wojną teren ten był modnym kurortem. Górskie zbocze zdołał ogromny stary hotel w kolonialnym stylu brytyjskim. Właśnie w nim zamieszkali dwaj żołnierze. Oprócz nich nie widać było innych stałych gości, ale hotel pracował pełną parą. Wszędzie stali milczący, uśmiechnięci służący. W holu, w marmurowej niszy siedział biały kakadu. Pewnego razu spytał z brytyjskim przydechem: „*How are you getting on, old chaps?*” Chłopcy jadali posiłki w sali o strzelistych oknach z witrażami, wyobrażającymi turniej Rycerzy Okrągłego Stołu. Za ich plecami ustawiał się w półkole oddział kelnerów. Wystarczało wyciągnąć papierosa, a już przed nosem pojawiała się człowiekowi zapalka z najlepszego japońskiego drewna.

Ogólne wrażenie było dość niesamowite. Cały czas zdawało się, że lada chwila ktoś może cię palnąć w łeb bambusowym kijem. „Ej, Roger, gdzie jesteś, *motherfucker!*”, - krzyczał Stanley. Echo błędziło po amfiladzie sal recepcyjnych obwieszonych portretami książąt z dynastii Meidzi. Duckworth wynurzał się nagle z głębin basenu pływackiego. Woda, która wydawała się gęstsza niż zazwyczaj, uprzejmie falowała wokół niego, jakby pytając w imieniu zwyciężonego kraju: czym? czym? czym mogę służyć?

„Nie da rady tak żyć, chodź, przywieziemy kurwy” - zaproponował pewnego razu Roger. Był starszy o pięć lat i taka propozycja powinna wyjść od niego. Stanley ponuro patrzył w okno,

za którym, niczym nie kończąca się eskadra natarcia, ciągnęły porośniętymi jodłą zboczami nadziane mokrym lodem chmury. „Mówiąc o kurwach, masz na myśli wilczyce czy niedźwiedzice?” Proszę wziąć pod uwagę, panowie, że w owych czasach nie istniała jeszcze telewizja, nie mówiąc już o MTV. Roger podszedł do dyrektora, który od rana do nocy przemierzał krokami hotelowy hol, zupełnie jakby oczekiwał przybycia dyliżansu z epoki wiktoriańskiej, pełnego turystów. Połączywszy palec wskazujący i kciuk lewej ręki w kółeczko, tknął w niego parokrotnie kciukiem prawej; gest był wymowny. Dyrektor z powagą skinął głową i spytał za pomocą uniesionych brwi: ile? Przez parę lat wojny wszyscy w Mountain Palace, oprócz białego kakadu, zapomnieli angielskiego. Palce wystarczały zresztą za wszystko. Sześć, pokazał Roger. Stanley rzucił się i podniósł wskazujący palec. Nie było jasne, czego chce: jeszcze jedną czy tylko jedną. Roger zatoczył się ze śmiechu na widok ogromnego ryżego niedorostka w bojowych *boots* piechoty morskiej, gnającego z wyciągniętym w powietrze palcem. Nawet dyrektor, uosobienie beznamiętności, nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Pod wieczór dziewczyny przybyły, siedem *maikosan* z wysokimi fryzurami przybranymi kwiatami, grzebieniami, srebrnymi mostkami i girlandami dzwoneczków.

- Te kurczaki wszystko mają inaczej niż nasze - instruował Roger. - U naszych najważniejsze są cycki, a u tych plecy, trójkąt między łopatkami.

Nie miał jednak do końca racji: tutejsze kurczaki miały sporo wspólnego z naszymi. Stanley śmiał się i tarzał po dywanie. Ruda gęstwina na jego piersi i mięśnie przedramion budziły u dziewczyn zdumienie i zachwyty. Czarny władca Duckworth siedział na fotelu z dwiema panienkami na każdym kolanie. Za oknem włączyło się między pniami drzew coś dziwnego, to zalepiając krągłą paszczą całe okno, to zawisając nad szczytami jodeł niby fantom wschodzącego słońca. Nawet teraz trudno się jakoś zorientować co do tej istoty problemu.

W ogóle służba na górze była nielekka. Na szczęście obejmowała również wyjazdy jeepem na plac budowy, gdzie na świeżym powietrzu można było odetchnąć od sztuczek zaczarowanego hotelu. W końcu maszt został wzniesiony, przewody naciągnięte i chłopcy wrócili do baraków, gdzie parę setek gąb trzy razy na dzień rytmicznie żuło gorące hamburgery. Co tu gadać, takiego bojowego doświadczenia też się nie zapomina, nieprzypadkowo w latach, które nadeszły potem, Stanley i Roger przy każdym przypadkowym spotkaniu zaczynali ryczeć ze śmiechu i walili się na podłogę, na pokład, na asfalt, na dowolną powierzchnię, którą mieli w danym momencie pod nogami.

Stanley był, naturalnie, bez porównania bogatszy niż Roger, ale i ten czasu nie marnował i został w końcu impresariem wielkiego boksu. Niestety, życie osobiste ułożyło mu się tak, że nie było czym się chwalić, no ale któremu facetowi bez uzdy układa się ono tak, że jest się czym pochwalić? Przyjaciółki zmieniał jak rękawiczki, dzieci rosły w różnych miastach, jedne całkiem czarne, inne niemal zupełnie białe. Gorzko płakała Lynn Wajsaki. Mąż nazywał ją czempionką amerykańskiej lzy. Zdarzało się, że Stanley musiał jak noc długa pocieszać piękną niewiastę. W totalnym bałaganie, w przepoconej atmosferze bokerskich szatni, pośród fontann nieschlodzonego szampana, w „prezydenckich apartamentach” nie kończących się Sheratonów i Hiltonów na bezsensownym targowaniu się o większe pieniądze minął czas Rogera Duckwortha; i wyskoczył z niego, nie zdążywszy i nawet nie spóbowawszy zorientować się w czymkolwiek. Fantomy górskiego hotelu prześladowały go jeszcze bardziej uporczywie niż jego młodszego przyjaciela, a przecież, kto wie, może marzył niekiedy, by stać się takim mężczyzną, jakim okazał się jego Benjamin - silnym, spokojnym, przekonanym o niepodważalnej wartości amerykańskiej Konstytucji, człowiekiem, na którego z każdym rokiem coraz bardziej tęsknie popatruje bynajmniej nie najbrzydsza dziewczyna w stanie Maryland Rosę Morrows.

Smutne to wspomnienie zajęło nam co najmniej trzy strony, a przecież w pamięci Stanleya przemknęło niczym pawie pióro, które nagle zapłonęło, przepłynęło obok i natychmiast zgasło. Miał zamiar kontynuować wystąpienie, by określić możliwości wykorzystania sił każdego z obecnych, gdy wtem drzwi gabinetu otwarto z hałasem na oścież. Najpierw dobiegła z głównej sali piosenka *Z odeskiego kicia nawiali dwaj bandyci*, potem napłynęła woń rozszalałego tłumu, pot, czosnek, tłuszcz, perfumy Elizabeth Taylor, i wreszcie wszyscy ujrzeni stojącego w drzwiach człowieka niewielkiego wzrostu w czarnym garniturze o nieco niemodnym kroju, w meloniku z London City, trzymającego w prawej dłoni parę białych koźlęcych rękawiczek, którymi nerwowo uderzał w lewą. Zaciśnięte usta i wielkie okulary przywodziły na myśl pojedynek i pistolet. Cóż jeszcze mogły zawierać wypolerowane skrzynki koloru burgunda, które trzymali dwaj potężni towarzysze dramatycznego człowieczka, ni mniej ni więcej tylko pierwszego wiceprezesa korporacji AK&BB Normana Blumsdale’a.

- Nareszcie pana mamy! - wykrzyknął wyżej wymieniony kogucim głosem. - Przyszedłem powiedzieć, że pańskim planom nie jest sądzone się spełnić! Wiedz, niegodny mężu wspaniałej kobiety, że rada korporacji zamierza się pozbawić pełnomocnictw tak zwanego prezesa, podobnie jak twoją śmiechu wartą kreaturę! - *O mamma mia!* - wrzasnął w tym momencie wiceprezes Art Duppertat i zaczął się wachlować jednym z pozostałych średnich befsztyków.

Norman wyrzucił do przodu rękę. Rękawiczki wionęły. - Stanleyu Korbach, niegodzien jesteś nosić nazwiska założyciela naszej korporacji!

Stanley ryknął gromkim śmiechem: - Wziął mi żonę, a teraz odbiera nazwisko! - Stał przed Normanem z rękami w kieszeniach spodni, tak szerokich, że nadałyby się dla Pantagruela, gdyby miały tak barwnie opisany przez *maitre* Rabelais’go mieszek.

- Nie pozwolimy ci podnosić ręki na jedno z największych przedsiębiorstw amerykańskiego biznesu! - wykrzykiwał Norman. - Jesteś szaleńcem! Megalomanem! Uważasz się za Mesjasza! Twoje miejsce jest w domu wariatów!

W tym momencie obok Stanleya wyrosła Bernadetta.

- Pszczółko moja, nawet ciebie, zdaje się, obrażają na tym świecie?

- A więc to ona! - zawył Norman. - Wcielenie wędzącego erotyzmu! Ile pani płaci za

usługi? Przecież nie jest mężczyzną! Jemu tam wszystko wycięli!

- Ciekawe - fuknęła de Lux. - A z czyjego powodu krzyczę jak porwana Europa?

- Jak kto? - zacukał się Blumsdale.

- Stanley ciupcia mnie jak Zeus! - wrzasnęła dotknięta córka Oceanii.

- Nie wierzę! - Straciwszy panowanie nad sobą, rywal Zeusa zamierzył się, by chlasnąć Jego Wysokość rękawiczkami w twarz, jednakże dosłownie w ostatniej chwili, to znaczy przed samym nosem obelżywy szczegół garderoby został przechwycony przez córkę gromowładcy.

Ochroniarze Normana momentalnie ujawnili zawartość skrzynek: dwa pneumatyczne pistolety. Straszliwa ta broń wykluczała pokojowe zakończenie historycznego spotkania.

- *Freedom! Dignily!* - krzyknął piskliwie generał Piu i, wysunąwszy naprzód tak dobrze znane Aleksowi bojowe wiatraczki rąk, runął do ataku. Za nim, łamiąc wszystko wokół i kręcąc nad głową mięsnymi łopatami Fimmy's, których nie zdołano zjeść, ruszyła do akcji główna siła uderzeniowa nowo powołanej humanitarnej fundacji - Ben Duckworth i Matt Shuroff.

W gorączce bitwy Stanley odciągnął Aleksa w kąć pomieszczenia i pokazał mu stary dagerotyp w zdobnej w zakrętasy ramce. Na liczącym więcej niż sto lat zdjęciu widniała załoga świeżo otwartej świątyni koszernego mięsiwa. W centrum stali dwaj identyczni młodzieńcy, dość arogancy z wyglądu, obaj w długich fartuchach i z muchami pod brodą.

- Właśnie dlatego cię tu przywlokłem - uśmiechnął się prezes. Pierwszą serwetką, jaka wpadła mu w rękę, Alex wytarł zwilgotniałą z emocji łysinę.

- Czyżby to byli oni?

- Natan i Aleksander we własnej osobie - triumfował Stanley.

Walka zmierzała tymczasem ku końcowi. *Bodyguards* wnoszono z knajpy na rozległy, niski wschodni brzeg wyspy, rozszalały pierwotną zamiecią. Samo *body* uniosło się nagle i wsparło na łokciu oczekując groźnych inwektyw.

- Do diabła, kupę czasu się nie widzieliśmy, Stanley - mówił teraz Norm w stylu *county-club*. - Dobrze by było rozegrać partyjkę.

Na ulicy wzdłuż krawężnika, zajmując całą przecnicę, stała eskorta Blumsdale'a: trzy superdługie limuzyny, dwa superszybkie porsche i jeep z wieżyczką karabinu maszynowego na płaskim dachu. Skoro tylko nasza kompania wytoczyła się na zewnątrz, drzwi limuzyn się otworzyły i wyszła z nich brygada bojówkarzy. Nasi, rzecz jasna, też nie pozostali dłużni. Z dachu natychmiast spuściła się na szturmowych linach zawczasu umieszczona tam przez

Duckwortha jednostka.

Tym, którzy widzieli film *Die Hard with a Vengeance* czy tysiąc innych podobnych, nie musimy szczegółowo opisywać sceny, która teraz nastąpiła. Dodamy tylko od siebie, że w tego typu filmach znakomicie walą w pysk, ale fatalnie strzelają. To znaczy strzelają w zasadzie bardzo pięknie, tylko rzadko trafiają. Z punktu widzenia twórcy jest to zrozumiałe: gdyby strzelali celniej, ani jeden bohater nie dociągnąłby nawet do połowy filmu. Z punktu widzenia życiowej prawdy jednakże, do której filmowcy są jakoby przywiązani, jeśli do głównego bohatera strzela znakomity snajper, to jakim cudem może on ocaleć? Wypłacajcie mu honorarium i grajcie dalej bez głównego bohatera.

Na Seward Avenue, na szczęście dla naszej opowieści, również strzelano źle, jednakże ucierpiało sporo osób postronnych. Zginęło 18 493 obywateli Stanów Zjednoczonych, 7548 posiadaczy „zielonych kart”, 4004 uchodźców politycznych, 28 697 nielegalnych imigrantów, 678 zagranicznych turystów i 18 zwykłych przechodniów. Niemało też było złamań: 840 szczęk, 18 600 żeber, 618 czaszek, 65 111 kości długich różnego rodzaju, 300 miednic, 115 obojczyków, 240 mostków; tyle co do kości. Jeśli chodzi o tkanki miękkie, statystyka kuleje; liczby są niedokładne, jako że nowojorczyki, pragnąc zachować twarz, nie pokazują w szpitalach swoich pośladków.

Aby uspokoić czytelników, od razu wyjaśniamy, że ani jedna kula nie trafiła w naszych bohaterów, choć celowano właśnie w nich. Zawiniły, być może, warunki meteorologiczne. Bitwa między siłami Normana i Stanleya miała miejsce w gruncie rzeczy przy zerowej widoczności. Gigantyczne śnieżne bąki rozwijały się nad Atlantykiem, strząsając na Nowy Jork białe kosmyki paromilowej długości każdy. Można się jedynie zdumiewać i zachwycać wytrwałością naszych wysokościowców, które straciły w czasie tej zamieci połączonej z bitwą zaledwie pół miliona cegieł i ćwierć miliona szyb. Wytrwałości naszej policji śpiewamy hymn pochwalny. Stu osiemnastu stójkowych zmieniło się przez noc w lodowe posągi; co prawda, około południa następnego, zaiste bukolicznego dnia wszyscy szczęśliwie odtajali.

Aleksander natomiast, Jakowlewicz Korbach, lat czterdzieści dziewięć, włóczył się parę godzin ulicami, omijając owinięte w żółte wstążeczki strefy pożarów, unikając ognia broni automatycznej i wybuchów granatów, otrząsając lodowaciejące palto, ślizgając się i szepcząc: „Czyżbym miał nie spotkać cię nawet w taką noc?”. Nie spotkał.

Wkrótce po owej osobliwej kolacji w Fimmy's odbyła się oficjalna prezentacja nowej fundacji w Carnegie Hali. Było to prawdziwie światowe wydarzenie, typu „czarny krawat, nagie plecy”, to znaczy obowiązywały toalety wieczorowe. Obecni byli, jak mawia się w Ameryce, *eueiybody who's somebody*. Proszę zdobyć się na wysiłek i przetłumaczyć samodzielnie to wyrażenie, drodzy państwo, ja mogę zaproponować tylko jeden, wybitnie osobisty wariant: *wsjak, kto nie durak*.

Podobnie jak wszyscy uczestnicy, Aleksander Jakowlewicz Korbach przyobleczony był w pełen zestaw uroczystych akcesoriów, włączając nawet kamberbant, o którym do czasu przyjazdu do Ameryki w ogóle nie słyszał. Goście oglądali się, by popatrzeć na AJ. Był całkowicie nieznaną wśród tego „gwiazdowego pyłu” i to zwracało na niego uwagę. Ciekawość wzmogło jeszcze wystąpienie Stanleya Korbacha, który bez mrugnięcia okiem przedstawił nieznanego jako swoją prawą rękę, czyli jako numer dwa w nowej organizacji zajmującej się pomocą humanitarną.

- Mr Alexander Korbach - zwrócił się ze sceny ku lekko zakłopotanej publiczności - został zaproszony do uczestnictwa w naszej przyszłej działalności nie tylko dzięki swemu nazwisku. Bynajmniej nie nazwisko, proszę państwa, stanowi jego główny kapitał, choć muszę przyznać, że nie jest to również jego najważniejsze zadłużenie. Główny jego kapitał stanowi dla nas, w naszych poszukiwaniach realnej rzeczywistości, jego bezwzględne dążenie, by widzieć świat świeżym okiem, cecha, którą rozwinął w sobie w trakcie walki o podstawowe wartości artystyczne w Związku Radzieckim.

Publiczność była z lekka zszokowana, kiedy Stanley, kontynuując wystąpienie, powiedział, iż Fundacja Korbacha poszukuje ludzi, których nie zepsuła pozycja, jaką zajmują w społeczeństwie, nadmierne zarobki oraz styl życia przypominający nieustanne wakacje. Chichotano nieco nerwowo i wymieniano spojrzenia, wołąc nie rozumieć, że ekscentryczny bogacz ma na myśli właśnie ich. Stanley jednak uznał za stosowne uściślić wypowiedź, mówiąc, iż przy całym głębokim szacunku, jaki żywi dla obecnych w tej sali, nie wątpi, że nadają się oni wyłącznie do uczestnictwa w tego typu towarzyskich spotkaniach, do ploteczek nad kieliszkiem pijącego się napitku, nam zaś potrzebni są ludzie, którzy nie mają nic, którzy przyszli znikąd,

ale mają zasady i myśli dotyczące przeznaczenia rodzaju ludzkiego.

- A co z panem, «r? - wykrzyknięto z sali. - Czy pan też nie ma nic, też pan przyszedł znikąd? - Głos należał, zdaje się, do jednego z telewizyjnych konferansjerów, który otrzymywał po pięćdziesiąt tysięcy za każde półgodzinne, niezbyt śmieszne wystąpienie, odbywające się pięć razy w tygodniu przez okrągły rok.

- Ja należę do gatunku gigantów - odparł Stanley z obezwładniającą prostotą. - Gargantua i Pantagruel to moi przodkowie. Machabeusze - to moi praprzodkowie. Jestem ostatnim bajronistą wśród bogatych, a przecież bez tego, co nazywamy bajronizmem, proszę państwa, niemożliwa jest jakakolwiek twórczość. - Publiczność była ogłuszona tak oczywistym przejawem nienormalności, zaraz jednak Stanley komicznie ujął się pod boki, demonstrując ku ogólnej uldze, że nie mówi tego całkiem serio.

Największą jednak sensacją wieczoru był raport finansowy, zaprezentowany przez jednego z najważniejszych pracowników fundacji, doktora Leibniza. Odczytał on wstępną listę stypendiów, grantów i nagród, po czym skromnie powiedział, iż tak rozległa działalność charytatywna fundacji zostanie zabezpieczona kapitałem statutowym w wysokości piętnastu miliardów dolarów, tak, proszę państwa, 15 000 000 000, tak tak, nie pomyliliście się państwo, piętnaście plus dziewięć zer. Całą salą wstrząsnęła silna konwulsja. Ze sceny, która znała tak wybitnych artystów, poczynając od eskapisty Houdiniego, a nie kończąc bynajmniej na łowczyni naszych dusz, *miss* Elli Fitzgerald, widać było rozwarte szeroko usta i wytrzeszczone oczy, zupełnie jakby sufit zaczął opadać na ich właścicieli czarną wroną, jak powiedział poeta, a podłoga równocześnie zaczęła unosić się niedźwiedzim, jak powiedziałby poeta. W dalszej kolejności zaszło to, co wielu skłonnych było traktować po prostu jak figurę stylistyczną, podczas gdy inni przysięgali, że na własne oczy widzieli wiceprezesa AK&BB Arta Duppertata, huśtającego się na żyrandolu zwisającym z sufitu historycznej budowli.

Jedno jest pewne, gdy tylko podano do wiadomości sumę kapitału założycielskiego, w okolicach Carnegie Hali zostały wznowione działania bojowe. Nawet grube mury nie zdołały całkowicie zagłuszyć tupotu żołnierskich butów i wrzasków triumfu.

Aleksander nie został na koncercie. Przeszedłszy parę przecznic wzdłuż Pięćdziesiątej Siódmej, wszedł do *cafe-shop* i usiadł w kącie. Staruszek przy barze patrzył na niego uważnie, najwyraźniej urzeczony galowym strojem. Następnie podszedł do strojnego dżentelmena i zaproponował mu kupno srebrnej bransoletki pochodzącej z jego własnego nadgarstka.

Bransoletka miała kształt dwu splecionych ogonami małpek; niezły kicz.

- Dobra robota, młody człowieku - powiedział stary człowiek. - Raptem sto dwadzieścia za coś tak wyjątkowego.

- Sto - powiedział AJ i natychmiast otrzymał bransoletkę do swojej wyłącznej dyspozycji.

Staruszek, bardzo zadowolony, wziął z baru torebkę z donutami i wyszedł na ulicę. Żadnych symboli, powiedział sobie AJ. Po prostu dwie małpki, stary szachraj i idiota w średnim wieku, to wszystko.

Pięćdziesiąta Siódma toczyła się obok, nie zwracając najmniejszej uwagi na działania bojowe. *Peopk* taszczył zakupy w jaskrawej barwy torbach, wzywał taksówki, jeździł na rolkach, gwizdał proste motywy, wydmuchiwał proste balony z najważniejszych otworów swoich głów, połykał w marszu informacje z pierwszych stron gazet, liczył dolary w rękach i w głębi kieszeni. Bojówkarze Korbacha i Blumsdale'a tymczasem budowali i szturmowali barykady, strzelali z broni przeciwczołgowej i bezodrzutowych dział, i wciąż na nowo wracali do walki wręcz. Od czasu do czasu broczący krwią ludzie zaglądali do *cafe-shopu* i wycofywali się z powrotem, wlokąc albo rannego towarzysza, albo plastikowe pojemniki z organami do transplantacji.

Aleksander rozkoszował się samotnością. Odwinął z szyi kawałek czarnego jedwabiu, zdjął wykrochmalony gors i włożył frak na gołe ciało, z miejsca zmieniawszy się w ten sposób z nienagannego *comme ilfaut* w zwykłego nowojorskiego „vacko” z małpią bransoletką jako najbardziej godnym uwagi fragmentem ubioru. Idzie ku końcowi, myślał. Szybko postępuje akcja pod sztandarami schizo-kuzyna czwartego stopnia. Korbachowie wszystkich krajów, ogołoceni z miłości, ale o nieograniczonych możliwościach, łączcie się! Cała naprzód ku końcowi!

Na zewnątrz waszyngtońskie życie AJ ani trochę się nie zmieniło. Jak zwykle dwa razy w tygodniu jechał saabem trasą I-77 na kampus Uniwersytetu Pinkertona. Zawsze ilekroć widział, jak spomiędzy potężnych topól, klonów i dębów wyłania się zarys gotyckich iglic i postmodernistycznych struktur, doświadczał komfortowego uczucia przynależności do czegoś zdrowego, spokojnego, rozumnego, a do tego jeszcze i wdzięcznego, jeśli mamy na myśli słowo „niwa”. Lubił życie kampusu oraz - mogą państwo plunąć mi w twarz całą grupą, *ladies and gentlemen!* - proces nauczania jako taki. Lubił profesorski klub i samotne lunchy w hałaśliwej studenckiej stołówce. Lubił nawet posiedzenia komitetów, podkomitetów i komitetów komitetów, uniwersytecki sposób spędzania czasu, kiedy to wszyscy uczestnicy starannie żują ten czy inny temat, starając się przede wszystkim pokazać, że jego (jej) szczęki też są zajęte tym zbożnym dziełem. Przyjazna karma przechodziła bez wątpienia falami po uliczkach i placykach kampusu, kiedy młodzież, wypełniona gównem własnego żargonu, maszerowała dzień w dzień od parkingów do sal wykładowych czy pracowni i z powrotem.

Czarny Sześcian nadal był jego ulubionym miejscem. Któregoś sezonu zaproponował, by wyreżyserować sztukę, którą znalazł w zasnutym pajęczyną kącie paryskiej biblioteki związkowej. Była to irlandzka parafraza czechowowskiej *Mewy*, zatytułowana, rzecz jasna, *Czapla*. Oto macie irlandzką wyobraźnię - zamienić romantyczną mieszkankę wodno-powietrznego żywiołu w wytwór tamtejszych błot, dziewicę-czaplę, robotnicę z fabryki trykotaży. Akcja sztuki rozgrywała się na szmaragdowozielonej równinie niedaleko południowej granicy Ulsteru, strzeżonej przez brytyjskie wojska. Mieszkańcy tych miejsc czują się odizolowani od całego świata. Nawet nie marzą, by przekroczyć granicę. Jest jednak osoba, która przenika przez pilnie strzeżony kordon bez problemów - dziewczyna z fabryki trykotaży. Nocami lata z „naszego bagna” na „ich bagno” na miłosne schadzki. Miejskowa społeczność dzieli się na dwa obozy. Jedni nienawidzą ptaka, drudzy są w nim oszołamiająco i trwożnie zakochani. Odrzucając dzięki swojej ptasiej naturze narzucone przez władzę ograniczenia, a także wszelkie skamieniałe przez stulecia przesady, wydziela z siebie wyłącznie uczucie czystej miłości i staje się w ten sposób swego rodzaju istotą anielską. Ginie od broni, która przez cały czas wisi na ścianie. Zgodnie ze słynnym czechowowskim aforyzmem, taka broń musi zabić. Zgodnie

z tradycją irlandzką, każda czapla z dwiema sęczkowatymi nogami, skromnym ogonem i czymś tam pod ogonem powinna złożyć jaja. Sztuka kończy się wskrzeszeniem Czapli; sadowi się ona, by wysiadywać nadnaturalnej wielkości jajo dla swojego kochanka, amerykańskiego bajronisty nieuleczalnie irlandzkiego pochodzenia.

Wydział teatralny był zachwycony wyborem Saszy. Przede wszystkim dlatego, że nie była to sztuka rosyjska. Odrzuciwszy w swoim czasie temat dantejski, w tajemnicy przed samymi sobą obawiali się z lekka, by Czarny Sześcian nie zmienił się w rosyjską ojcowiznę. Sasza wykazał wiele taktu, *guys*, wybierając sztukę irlandzką. Mimo wszystko będzie ona bliższa widzom zachodniej Wirginii, a i proces nauczania zyska na rozszerzeniu repertuaru.

Zabrał się do roboty z ogromnym, by nie powiedzieć wilczym apetytem. Nieprzekraczalna granica stanowiła dla jego pokolenia w Rosji temat metafizyczny. Niezgrabne przeloty Czapli, zdawało mu się, wiążą irlandzkie bagno z trzynastowieczną Florencją. Chłopcy i dziewczyny z obsady „gogolowskiej” aż się palili, by otrzymać rolę w nowym projekcie. Gotowi byli sterczeć do rana na próbach u „szalonego Saszy”, jak nazywali swego czcigodnego profesora. Szczególnie aktywne były jego faworytki, Beverly, Kimberley i Roxy Murań, trzy rozdokazywane panienki o tanecznym chodzie. Przepowiadał im wielką przyszłość na wzór trzech moskiewskich aktorek: Jabłockinej, Turczaninowej i Paszennej.

W Pinkertonie nikt naturalnie nie wiedział, gdzie spędza wolny czas ich reżyser, a spędzał go on w swoich dawnych, by nie rzec nostalgicznych miejscach, konkretnie w Hollywood. Któregoś dnia w kampusie zapanowało podniecenie: rozeszła się wieść, że kręcą tu jakiś film z udziałem dwóch idoli młodego pokolenia, Quentina Landry i Goldie d'Argent. Studenci hurmem rzucili się na plan zdjęć z zazdrosnym entuzjazmem, który przypominał podstarzałym profesorom dobre stare czasy uniwersyteckich zamieszek. I nagle wszyscy ujrzeni, że film kręci ni mniej ni więcej, tylko Wild Sasza.

Czas chyba wyjawić jeszcze jeden z sekrecików Saszy. Niekiedy po zajęciach włóczył się samotnie po kampusie i wyobrażał sobie, jak spotka wreszcie swoją Norę w jednym z niezliczonych przejść czy „kocich mostków”, w galeriach czy pod arkadami, gdzie wystają jeszcze gromadki zatwardziałych niedobitków palaczy i gdzie jej obcasiki będą stukać jak na florenckiej ulicy między Borgello i La Baggia. Któregoś dnia znalazł się w miejscu, jakimś cylindrze powietrza i architektury, gdzie poczuł nagle z niezwykłą wyrazistością, że tylko tu może nastąpić spotkanie Dantego i Beatrycze. Zdawałoby się, nic szczególnego: w głębi cyprys,

fragment strzelistego katedralnego okna, bliżej - schodki prowadzące ku fontannie z lwem, jeszcze bliżej - przędza płaczącej wierzby, wszystko razem - pseudorenesansowy *design*, w pełni zresztą uzasadniony pośród pinkertonowskiego eklektyzmu, a jednak wydało mu się w tym momencie, że widok ten w całości zszedł ze stronicy pierwszego pergaminowego wydania *Komedii*, sporządzonego w Urbino.

Ludziom interesu z Putney nie spodobała się jego decyzja co do obsady głównych ról. Zamierzali zapłacić głównym bohaterom nie mniej niż po pięć milionów, podczas gdy stawki Landry'ego - to ci kłopot - były w owym czasie znacznie niższe, nie mówiąc już o d'Argent, o której w ogóle mało kto w Ameryce słyszał mimo jej kolosalnego sukcesu w Europie. Aleksander zdołał przekonać kierownictwo, by zorganizować tym aktorom próbę ekranową, i właśnie dlatego ekipa zdjęciowa rozbiła swój cygański tabor w kampusie Uniwersytetu Pinkertona. On sam był przekonany, że może kręcić tylko z tą parą.

Loty z Waszyngtonu do LA mam najwyraźniej zapisane w kodzie genetycznym, myślał Alex. Kiedyś trzął się na tej trasie z romantycznego podniecenia, a przez ostatnie dwa lata wszystko stało się rutyną. Sadowiąc się w kabinie pierwszej klasy, od razu zaczynał myśleć o nowym wariantcie scenariusza, który trzeba będzie przedyskutować z czeredą redaktorów z Putney, i włączał laptop, gdy tylko samolot nabierał wysokości. W LA nieodmiennie czekała na niego limuzyna, która odwoziła go do hotelu Bel Age na Sunset Boulevard. Przy wejściu witał jego i jego walizkę oddział *chicanos* w rosyjskich kosoworotkach wyszywanych w słoneczniki i koguty w stylu Natalii Gonczarowej. Hotel był zaprojektowany w latach dwudziestych zgodnie z paryskim duchem rosyjskiej emigracji. Apartament prezydencki nieodmiennie przygotowywano tam dla reżyserów z rodu Korbachów. Rachunek był otwarty, za wszystko płaciła spółka, czyli w ostatecznym rozrachunku Stanley, który niemałe już sumy zainwestował w *Promieniowanie*.

Pewnego razu Aleksander wpadł na pomysł, by zebrać pod dachem tego „Pięknego wieku” dawną rosyjską kompanię.

Ludzie stawili się ochoczo w liczbie wyższej, niż zakładało zaproszenie. Okazało się, że większość nawet nie podejrzewała istnienia w zachodnim Archangielsku tak stylowego rosyjskiego obiektu, w którym wiszą na ścianach rysunki Baksta i Benoit do *Święta wiosny*, a muzyka Strawińskiego rozbrzmiewa nawet w toaletach.

Zaszły naturalnie pewne przesunięcia w nieustannie toczącej się grze seksualnej. Staś

Butlerow na przykład zjawiał się z Dwojrzą Radaszkiewicz. Wiernej przyjaciółce z pierwszej połowy dziesięciolecia, które upłynęło do niniejszego momentu powieści, Shirley Fiedot, towarzyszył Mr Gary Hornhoof, onże Tichomir Buriewiatnikow. Był także „nasz rosyjski lekarz” Natan Sołouchin, „nasz rosyjski adwokat” Julis Cimbulist, i dzielna drużyna „naszych rosyjskich kosmetologów” - Igor Gnedlig, Oleg Ospowat, Jarosław Kassel - ten ze starą, estetycznie podciągniętą małżonką, ów z nową żoneczką, wszystko olewającą z racji nader młodego wieku.

Salon w apartamencie Korbacha bulgotał angielszczyzną, z rzadka tylko pękał solidny balon rosyjskiego wulgaryzmu: „Niech idzie w pizdu!” - no i tak dalej. Po rosyjsku próbował się wypowiadać tylko jeden, dosyć nieoczekiwany gość, dawny boss z parkingu - Tesfalidet Chasfalidat.

- Ruska *brothers* - mówił. - Ortodoksa! Każdy *euerybody* na walka! *Fuck off* nasza komunista!

Z pewnym opóźnieniem, jak przystało na człowieka bogatego, zjawiał się były zmiennik Gabi Llanosa. Już od progu zaczął udawać swój ulubiony instrument, tubę. Nadymał się i wypuszczał powietrze w uwerturze do *Carmen* tak znakomicie, że nie tylko wiotkie girlfriendki, ale i tłuste żony puściły się w płas. Jedną nogą blokował drzwi, żeby się nie zamknęły, a gdy zakończył partię, wrzasnął:

- Patrz, *facco russo*, kogo przyprowadziłem - dwie szwagierki, Tercję i Uncję!

Z korytarza wpadły niespodzianki, dwie solidnie puszyste, kwadratowe donny, po których można było się spodziewać wszelkich sztuczek w stylu realizmu magicznego. Odwieczną ryską elegancją powiało, gdy z kieliszkiem w dłoni prześliznęła się w pobliże gospodarza wykwinna - dzięki Ann Klein II - Dwojra Radaszkiewicz. Patrzyła ze smutkiem kobiety, która ma co wspominać: „Z kim dzieli pan swój sukces, Sasza?”

Staś, jak się okazuje, mimo wszystko nostryfikował w końcu dyplom i oto już trzeci rok broni w sądzie grupy odeskich kanciarzy, którzy kupowali olej przeznaczony do systemów grzewczych i sprzedawali go jako paliwo do dieslów. Możliwe, że to z powodu sukcesów stracił poczucie realizmu, w każdym razie powiedział do stałego użytkownika klasy lux w hotelu Bel Age:

- Bogaty jestem, Saszka, nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jestem bogaty! - Jak zawsze, lubił bliski kontakt męskich ciał: to oprze ci łokieć na ramieniu, to napiera brzuchem, i to bynajmniej nie po pedalsku. - Ech, Saszka, tak by się czasem chciało posiedzieć z tobą na dachu, powbijając

gwoździe, popić potem piwa! - Uważał, zdaje się, że Korbach do tej pory zajmuje się remontowaniem dachów.

Prezencja Ticha Buri wyraziście zdradzała wpływ uniwersalnej filantropki Shirley Fiedot. Zamiast bandyckich strojów od Gucci i Versace był teraz w stylu *country gentleman*, nawet szczęka lekko mu się trzęsła. Oddając mu się w albatrosie w objęcia, Aleksander oczekiwał, że z jego ust wionie adżiką, poczuł jednak tylko zapach wysokogatunkowej wody do ust.

- Wszystko się wali, Saszka - zaszeptał Tich niemal tragicznie. - Bolszewicka hydra na ostatnich nogach. I ciągnie za sobą w mogiłę i nasz leninowski Komsomoł. Niedługo wszyscy będziemy za kratkami. Pamiętasz, jak śpiewa Rozenbaum: „A gęsi lecą już daleko”? Chciałoby się rozpostrzeć skrzydła i dalej za nimi! Alegorycznie, rzecz jasna.

- A jak tam sprawy osobiste? - zainteresował się AJ i uśmiechnął się do Shirley Fiedot, obserwującej ich uważnie, ale z prawdziwie przyjaznym człowiekowi zachwytem.

- Wzięła mnie na dietę! - roześmiał się Buriewiatnikow i nie wiadomo czemu klepnął się po karku. - A sama od rana przy Klikuszy.

AJ zdał sobie sprawę, że mowa o „Wdowie Clicot”.

- Niech pan nie wierzy ani jednemu słowu na mój temat, Sasza, proszę! - zapłonęła całą swoją typową dla Waleta karo paletą kobieta estetyki i zdrowego rozsądku.

Wśród ogólnego zamętu pojawił się Aram Ter-Ajwazjan, pod rękę z Natalie Sullivan, sekretarką z biura Hornhoofa; być może ten i ów z czytelników pamięta jeszcze jej nieskazitelny, to znaczy niezapomniany chód. Teraz, gdy tylko przestąpiła próg, wszystkie znajdujące się w przestronnym hotelowym pokoju urządzenia elektroniczne nie wiadomo dlaczego zaczęły wariować: wskazówki zegarków pobiegły w przeciwnym kierunku, obraz w telewizorze zatrzymał się, a Vivaldi w odtwarzaczu zaczął przypominać Sofię Gubajdulinę. Aram był jeszcze surowszy niż w dawnych czasach. Podsumowywał już wyniki emigracji. Lata nie minęły na darmo. Diaspora zbudowała podstawy niepodległości. Sporo literatury wysłano stąd do Urartu. Czas zbierać się samemu. Azerbejdżan nie śpi. Ojczyźnie grozi niebezpieczeństwo.

Całą kompanię Aleksander powiódł do restauracji. Menu także było utrzymane w stylu rosyjskim: sałatka „Jasna Polana”, gulasz rybny „Pieriedwiżniki”, barszcz „Świat sztuki”, solanka „Zabłąkany pies”, paszteciki „Kremlowskie”, lody „Pałac zimowy”, suflet „Żarptak” i tak dalej. Podczas gdy towarzystwo pochłaniało całe to dobro, Aleksander Jakowlewicz przerzucał się replikami z Buriewiatnikowem.

- Zdarzyło mi się, Tisza, mieć tu do czynienia z taką jedną Mirelle Salamanką. Mówi ci coś to nazwisko?

- Muza poezji - powiedział ponuro Tichomir.

- I Łubianki - uściślił AJ.

- Pieprzyliście się? - zainteresował się Tichomir.

- Polemizowaliśmy - odparł AJ.

Ich rozmowie przysłuchiwał się uważnie nie znany nikomu gość, człowiek bez twarzy, jeśli nie liczyć oczu, brwi plus paru innych detali plus szczątkowego nosa. Właśnie taki może zwyczajnie rozwalić łeb, pomyślał Sasza. Odpowiedział nieznajomemu ruchem podbródka.

- A to co za jeden, Tich?

Boss „Rogów i Kopyt”, najwyraźniej pogrążony w poalkoholowej mizantropii, wyjaśnił zwięźle:

- Zawchozow. Partner.

Przyniesiono rachunek. Nie patrząc, Sasza machnął podpis. Zgniłe oczka Zawchozowa błysnęły zachwytem: o, tak właśnie i my powinniśmy żyć w nowej Rosji!

Wydawało się, że nadszedł czas rozstania, ale towarzystwo nie ruszało się z miejsc. Rosyjskiego człowieka zaprosić łatwo, wyprosić trudno. Wrócili z powrotem do AJ spustoszyć jego prywatny bar. Wkrótce większość tarzała się już po dywanach i sofach. Parami, a nawet w małych grupkach zamykali się w sypialni i w łazience. Ryczeli całym plutonem *Nadzieży maleńkiej orkiestrik* i *Nie ostawiajcie staranij, maestro!*. Anglojęzyczne przyjaciółki przysłuchiwały się z niedowierzaniem: w nieskładnym chórze słychać było znajome słowo „Mozart”, skąd się tam wzięło?

- Butlerow, nie będziesz miał nic przeciw temu, jeśli zostanę z Korbachem? - spytała Dwojra.

Gospodarz olśniewającego *soiree* zaczął pojękiwać:

- Nie trzeba, Dwojra, ja już nie jestem ten co wtedy...

Mimo wszystko ktoś podsunął gitarę. A no, Sasza, walnij jakąś klasykę! Nieoczekiwanie dla siebie samego zaśpiewał nagle *Staruchę Fidel*, czyli niemal parafrazę swojej głośnej niegdyś Staruchy Izergil. Nowy utwór nie wzbudził zachwyty. Pośród wyrozumiałych spojrzeń zaszeleściło zdanko: „Wyprztykał się na obczyźnie”. AJ potoczył się po dywanie i dotoczył do Zawchozowa.

- Jak mieliście mnie zlikwidować, towarzyszu Zawchozow?

- Oleg - poprawił go człowiek bez twarzy.

- No to jak, Oleg?

- Dyskutowano różne warianty - wspominał Zawchozow. - Trucizna. Napromieniowanie substancją radioaktywną. Ukierunkowany wybuch. Jak zwykle...

AJ zaglądał w sowiecką twarz, od czasu do czasu wspierał podbródek na ramieniu kata. Tamten siedział na dywanie, objąwszy rękami kolana. Nadgarstek, wzruszająco porośnięty rzadkim niczym słowiańska trawa stepowa włosem, zdobił dwudziestopięcioletni zegarek firmy Cartier.

- No cóż ja, Sasza? - wzruszył ramionami. - Ode mnie nie tak znów wiele zależało. Ale w ogóle wolę metody tradycyjne.

- Żelazkiem w łeb, tak? - Korbach wpatrywał się w niego niczym inkwizytor.

Trawiaste brewki uniosły się: strzał w dziesiątkę, znaczy! Podoba mi się twoje poczucie humoru, Sasza.

W tym momencie przysiadł się Tich, dzierżąc w dłoniach trzy szklaneczki krzepkiej mieszanki.

- No to co, chłopaki, naprzód! Trzy strzały w czerwonych! - Wyraźnie poweselał: zdążył się zaprawić, kiedy Shirley migdałała się z Tesfalidetem w głębi prezydenckiego apartamentu pod majaczącym w półmroku portretem Aleksandra Błoka.

Zadzwonił telefon. Ktoś przekazał AJ bezprzewodową słuchawkę. Dzwonił Stanley Korbach.

- Sasza, szukam cię po całym świecie! Za dziesięć minut włączaj CNN! Mur berliński runął!

- Dobre wiadomości dla Zawchozowa! - krzyknął Sasza i przede wszystkim wskazał palcem elektroniczną kobietę Natalie Sullivan: zabierajcie ją stąd i włączajcie!

Okazało się, że Stanley jest tam, na miejscu. Właśnie przywiózł na Galaxy Rostropowicza z wiolonczelą. Sława już pitoli. Mur pada. Po kawałku. Ludzie włączają w dziurki od Wschodu i od Zachodu. Sowietskoje szampanskoje strzela fontannami! Historia się spełnia! Hotel Bel Age trząsał się, jakby wzdłuż kalifornijskiego wybrzeża przeszło kolejne trzęsienie ziemi, czego zresztą nie można było wykluczyć. *Nadzieży malen'koj orkiestrik* grzmiał niczym gigantyczny chór Armii Radzieckiej.

Dopiero nad ranem towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Sasza patrzył, jak ciągną przez

*parking lot* do swoich samochodów: procesja jak z Felliniego. W centrum parkingu młode i stare dziewczyny utworzyły korowód. Z przyszyżonych zarośli wyszły trzy iguany, cztery jenoty i pięć kojotów i zaczęły się przyglądać tańczącym. Cała ożywiona przyroda, zdawało się, rozumiała powagę zachodzących zmian.

Pewnego razu Fuchs zaprezentował Aleksandrowi Jakowlewiczowi niektóre wyniki ich badań, uzyskane dzięki użyciu komputerów i *software* nowej generacji. Przefiltrowano ogromną liczbę informacji. Równoległe do Korbachów pojawiło się mnóstwo innych linii, a oprócz tego zsumowano masę wiadomości na temat historii diaspory. Pan się cały czas spieszy, Sasza, a niepotrzebnie. Mógłbym panu na przykład pokazać, jak nasza linia Korbachów-Fuchsów zbliża się do odgałęzień rodu Colon, w którym w połowie piętnastego wieku przyszedł na świat Krzysztof Kolumb. Widzę, że dziwi pana nie tyle Kolumb, ile związki między panem i mną. Cha cha, to tylko jedna z tysięcy niespodzianek, jakie spotyka się na szlaku.

Rozmowa miała miejsce na czternastym piętrze nowego Korbach Center, mieszczącego się w drapaczu chmur położonym na rogu Pięćdziesiątej East i Lexington Avenue, naprzeciwko wydawnictwa Random House. Pracownicy, wyczerpawszy swój dzienny zapas genealogicznego entuzjazmu, rozeszli się do domów, jedynie Fuchs, przypominający miniaturowego Marka Twaina, kręcił się na obrotowym krześle wśród komputerów, zwracając się twarzą to ku równoległocianowi świetlistego zachodu, to ku trapezowi mętnego nieba, na które wschodził już księżyc. Ani jednej, ani drugiej figurze geometrycznej nie udało się przekonać Fuchsa o daremności jego wysiłków.

Jeżeli przyszła hollywoodzka znakomitość ma pół godziny czasu, Fuchs może zaprosić ją do odbycia podróży od prapra-dziada Gedalego Korbacha w bardziej, jeśli można się tak wyrazić, odległe czasy. Wiadomo, że Gedali sam stworzył swój kwitnący futrzarski interes. Urodził się w roku 1828, w rodzinie garbarza, po którym nie odziedziczył nic oprócz umiejętności wyprawiania skóry na futro, skrobania mizdry, kwaszenia, płukania, zmiękczenia, no i jeszcze odziedziczył odór kwasu, który nie opuścił go nawet w dostatku.

Tak mówił Lionel Fuchs, który, sądząc z imienia i z powierzchowności z bokobrodami, sam miał związek z czymś puszystym.

Rzemieślnik ten, pański praprapradziadek Mordechaj Korbach, jest pierwszym człowiekiem w rodzie, którego nazwisko brzmi dokładnie tak jak pańskie. „Ch” na końcu pojawiło się najwyraźniej w związku z przeprowadzką rodziny z Holandii do Niemiec, a dokładnie do Lipska, gdzie żyła liczna i otoczona ogólnym szacunkiem rodzina Bachów. Przyszły garbarz urodził się

w końcu osiemnastego wieku, albo w 1795, albo w 1798 roku. Jego ojcem był Jeremiasz Korbeit (w niektórych zapiskach zresztą nazywany już Korbachem), dość możny bankier; proszę dodać jeszcze jedno „pra” do słowa „dziad”. Do Lipska przyjechał z Amsterdamu siedem lat przed narodzinami Mordechaja, najwyraźniej w związku z podziałem odziedziczonego majątku. Kolejna przeprowadzka rodziny z Niemiec do Polski przypominała raczej ucieczkę. Istnieją dość przejrzyste dokumenty świadczące o przejęciu banku przez władze Saksonii i mniej przejrzyste - o pogromie w domu Korbachów. Jest całkowicie możliwe, że katastrofa ta została zainspirowana przez wysoko postawionych dłużników bankiera.

W wyniku tych nieszczęść synowie Jeremiasza znaleźli się o parę szczebli niżej na społecznej drabinie. Nazwisko „Korbach” przyłgnęło na dobre jedynie do garbarza Mordechaja, gdyż dwaj jego bracia pojawiają się na moment w archiwach Łodzi jako Korbatowie. To od nich, jak się wydaje, wzięły się wschodnioeuropejskie nazwiska typu Korbacz, Korbaczewski, Korbabutenko, Korbut, Korbis. Tymi odgałęzieniami na razie się nie zajmujemy, ale niedługo weźmiemy się i za nie.

Trzymajmy się głównego pnia. Można powiedzieć, że Korbeitowie i bardzo bliscy im Korbeit-Lewitowie z siedemnastego i osiemnastego wieku byli Holendrami. Główną linię można prześledzić dość dokładnie dzięki zachowanym dokumentom finansowym i handlowym tej epoki. Może pan po prostu nanizywać jak paciorki różańca kolejne „pra”. A zatem, licząc od ojca Jeremiasza, Halewi Korbeita, w porządku odwrotnym: Mojżesz - Nisson - Magnus - Jehuda - Emmanuel - Elias - Leon - Santab - Ezra. Zajmowali się dostawami dla floty królewskiej i statków handlowych, a wtedy był to w Holandii wielki biznes. Skąd przybył do Amsterdamu Ezra Korbeit? Naturalnie z Hiszpanii. Należał do rodziny *anusim* albo do hiszpańskich marranów, ale pokolenie później, dzięki wyjątkowo liberalnej atmosferze Amsterdamu, Korbeitowie wrócili do judaizmu.

Tu dokonuje się ważne zetknięcie różnych kultur: Arabów z Sewilli, sefardyjczyków i tych, których w przyszłości zaczęto nazywać aszkenazyjczykami. Niewątpliwie bez pomocy komputerów nie natrafilibyśmy na ślad holenderskich Korbeitów; przesiewając góry informacji, w tym także archiwum inkwizycji (proszę sobie wyobrazić koszt tych prac, a wzniesie pan okrzyk: chwała Stanleyowi!), natknęliśmy się jednak na wiadomość o wyjeździe niejakiego Ezry Kor-Beita, prawdopodobnie do Holandii. Odkrycie to pociągnęło za sobą mnóstwo innych. Po raz pierwszy zobaczyliśmy nazwisko Kor-Beit napisane z łącznikiem, a na liście wiernych

uczęszczających do barcelońskiej synagogi było podane po hebrajsku. Potwierdziło to nasze domysły co do pochodzenia nazwiska od starożytnego przydomka Chłodny Dom. W krajach o klimacie gorącym przydomek taki miał raczej pozytywną niż negatywną konotację.

Kontynuuję. Jeszcze, jak widzę nie zerka pan na zegarek? W okresie hiszpańsko-arabsko-żydowskiego złotego wieku... Ach, już pan zerka na zegarek!

- Proszę mi wybaczyć, Lionel, ale Stanley czeka na mnie na lotnisku. Lecimy do Budapesztu na sesję wyjazdową fundacji. Do złotego wieku, mam nadzieję, wrócimy w przyszłości.

Fuchs westchnął.

- No cóż, proszę wziąć na pożegnanie przynajmniej to. - Wyciągnął z drukarki arkusz papieru o długości sześciu stóp, na którym narysowane było drzewo genealogiczne od Gedalego do Ezry ze wszystkimi odgałęzzeniami i wielką liczbą męskich i żeńskich imion biblijnych. - W części niemieckiej znajdzie pan moment połączenia się Korbachów z Fuchsami - ze smutkiem powiedział badacz.

- Cieszę się, że mogę uważać pana za krewnego, Lionel! - AJ szedł już do wyjścia, lawirując między stolikami komputerowymi, zupełnie jakby wykonywał zadanie wyjścia z menu. W drzwiach obejrzał się. Mała figurka z fajką (Fuchs mógł sobie pozwolić na wyjęcie jej z kieszeni dopiero wtedy, gdy jego antynikotynowy zespół rozszedł się do domów) stała na tle gasnącego zachodniego okna. Przez chwilę Sasza poczuł dojmujący smutek. Zawsze unikał jasnowidzów, nie chciał znać własnej przyszłości. Coś wspólnego z tamtą obawą wywołał w nim człowiek wywlekający z przeszłości odległych przodków.

- Co pan tak patrzy? Jestem śmieszny? - spytał Fuchs.

Sasza wzruszył ramionami.

- A kto dziś nie jest śmieszny, przyjacielu? - I wypadł z ośrodka nieco zawstydzony, aczkolwiek nie bez ulgi.

Tyle już razy odtwarzałem ten film w głowie bez żadnych Putney Production. Kawalkami i ciągiem kawalków, jako mieszaninę kadrów i w rygorystycznym porządku, wiem i prozą, pod jazz i pod dawne wiole, a kiedyś, zaczawszy na plaży w Venice pośród kartonowych skrzynek *bumów* i kontynuując w samolocie na trasie do Waszyngtonu, wyemitowałem go od prologu do finału z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej, z Norą w roli głównej i ze swoją małą mordą zamiast szlachetnych oblicz Dantego i Błoka.

Zdaje się, że ni cholery mi z tego nie wyjdzie. Tak intymny temat nie może znaleźć artystycznego wyrazu w kołowrocie twarzy filmowego atelier, wśród ludzi, którzy zamierzają zrobić ze mną ten film. Reżyser powinien umieć bronić swojej wizji, to znaczy powinien umieć ją ukrywać. Pewnych rzeczy po prostu nie mogę powiedzieć obcym. Nie mogę im powiedzieć, że cała ta historia z „nowym słodkim stylem” powstała we mnie jako przecucie tego, co bezradnie nazywamy „prawdziwą miłością”, że to przecucie żyje we mnie jak dziwnie zatrzymane młodzieńcze, dziewicze pragnienie niemożliwej do wyrażenia czułości. Doroślałem, dojrzywałem, deprawowałem się, a sam sobie wydawałem się nieznającym pocałunku, to znaczy nie rozdiewiczonym chłopczykiem. Bez tego nieustannie drżącego tła nie załapałbym tej metafory.

Jak mogę opowiedzieć ludziom, którzy chcą i będą robić ze mną ten film, o tym, jak silnym blaskiem znów zaświeciła we mnie ta metafora, gdy spotkałem Norę? I o tym, jak momentalnie spleliśmy naszą „prawdziwą miłość” z seksem, z konwulsjami, z moją i jej ułomnością, z całym tym szczęściem jebactwa, wypiętych póz, łączenia się w jedno, z torturami ordynarnej zazdrości?

A teraz co? Wszystkie moje miłości są w ruinie. Nie opromienia mnie już ani dantejski wschód, ani błokowski zachód, mam pięćdziesiąt jeden lat, spóźniłem się, pociąg odjechał, nigdy nie zdołałem wcielić w ekranową wersję tego, o czym marzyłem tyle lat i co teraz, zdawałoby się, los podaje mi na talerzu. W najlepszym razie wniosę swoje trzy grosze w *entertainment*, zdobędę złotą statuetkę bękartą: żeby tłuc orzechy, żreć, tyć i zasypać lupinami wszystko dokoła.

Jeśli chcę jeszcze ocalić siebie jako artystę, powinienem wyłączyć się z gry, rozwiązać umowę i... zredukować wpływ mojego kochanego Stanleya, całego tego korbachowskiego świata z jego lunatyczną dobroczynnością i oszalałych liczb.

Takim myśłom oddawał się Aleksander Jakowlewicz Korbach podczas samotnego lunchu w od niedawna ulubionej niewielkiej knajpce w Georgetown. Był marzec 1990 roku. La Belle Ruche oferowała sałatkę z aruguli. Nad każdym stołem wisiała tabliczka z nazwą jakiejś znanej paryskiej ulicy. Vin Maison miało tu wyborny smak, choć podawano je w karafkach. Knajpkę wynalazł tutejszy znajomy AJ, dziennikarz z radia Swoboda. Od czasu do czasu spotykali się tu niewielką grupką, sami Rosjanie: AJ, dziennikarz, lekarz, muzyk jazzowy, sprzedawca pamiątek. Czasami przysiadali się do nich autor powieści. Siedział cicho, popatrywał bez zainteresowania, tak jakby nie miał z tym nic wspólnego, gówniarz.

Rozmawiali, ma się rozumieć, o oszałamiających nowościach radzieckich: stutysięcznych mityngach i demonstracjach na rzecz zmiany artykułu szóstego i likwidacji KPZR, a także o powołaniu nowych partii, faktycznym upadku cenzury, rozdmuchiwaniu wojny na Kaukazie, osobowości Gorbaczowa. Kim jest ten krągłogłowy, naznaczony na czole zagadkową kombinacją pigmentu - sprytnym komuchem, który ratuje swój trzeszczący, jęczący okręt, czy odwrotnie, sprytnym opozycjonistą, który zdecydował się wprowadzić ten pierdolony okręt na mieliznę i rozwalić? Dyskusje te nierzadko kończyły się awanturą, gwałtownym odsuwaniem krzeseł, ciskaniem dolarów na stół i wybieganiem, potem jednak cała piątka znów spotykała się jakby nigdy nic.

W dni powszednie Sasza zachodził tu po prostu zjeść. Gorący posiłek dawno już nabrał dla niego jakiegoś dodatkowego znaczenia, stał się jakby filozofią „gorącego posiłku”. Każdy człowiek, który nie stoczył się jeszcze do końca, powinien raz na dzień otrzymywać gorący posiłek, takie było jego credo, którego trzymał się bez względu na wszystko. Po sałatce z aruguli (Bóg jeden wie, skąd wzięła się taka roślina) zamawiał przecieraną zupę z mięsem kraba i porządny kawałek *quiche* - innymi słowy, prawdziwy *hot tneal*. Wtrząchać i tyle, a nie myśleć o filmowych megaprojektach. Tylko paru reżyserów na świecie znalazło sposób na to, by się samorealizować, a jednocześnie trzymać żelazną ręką studio i zespół, nawet robić za tyrana, kiedy trzeba. Tarkowski mógł przyjść do Goskina ze swoimi męczącymi metaforami, bo tam, choć wszyscy pieprzyli o partyjnej odpowiedzialności, nikt nie chciał się stać dusicielem geniusza. W Hollywood nie daliby mu nakręcić *Stalkera*, którego głównym tematem jest woda - cieknący powoli, kapiący, zbierający się w kałuże, sączący się zewsząd przejrzysty płyn.

Sasza zamierzał już poprosić o rachunek, gdy podszedł do niego główny kelner Pascal, Kreol z Gwadelupy, i powiedział znaczącym półszepem:

- Alex, pyta o pana jakaś *lady*. Podkreślam, prawdziwa *lady*, ze sfer. Spytała po fracusku: „Czy mogę rozmawiać z *monsieur* Korbachem?” Nigdy nie widziałem takich dam wśród naszej klienteli.

Sasza obejrzał się i zobaczył Marjorie Korbach. Siedziała w kącie pod sztuczną, ale przyjemną dla oka palmą i wyglądała tak młodo, jak szczupło wyglądała jej talia. Przy swojej skłonności do oderwanych myśli Sasza natychmiast zaczął się zastanawiać, dlaczego jedne Amerykanki przypominają hipopotamy, a inne - kózki, nawet jeśli mają dobrze po pięćdziesiątce.

Marjorie była sama. Ani ochrony, ani eskorty! Ubrana niezwykle skromnie, żadna Chanel, po prostu zwykła Celinę. I bez biżuterii, ludzie kochani! A co, nie ma obowiązku noszenia biżuterii w miejskich dżunglach. Członkowie wyższych warstw społeczeństwa też mogą iść z duchem czasu i rozumieć egalitaryzm. Wszystko powinno być jak u innych albo przynajmniej wyglądać jak u innych i wasz kostium od Celinę powinien wyglądać jak... a, nie wiem, jak co.

Siedziała przy butelce piwa i z pewnym lękiem myślała, że zaraz trzeba będzie zamówić coś więcej, a ona nie wie co i jak się zamawia w takich miejscach. W pewnym sensie tak właśnie czuły się damy z kręgu najwyższej kremlowskiej nomenklatury, kiedy zdarzyło im się znaleźć „w mieście”, jak nazywały budzący lęk świat zewnętrzny. Minister radzieckiej kultury Jekatierina Furcewa - nawiasem mówiąc, Marjorie z lekka przypominała Saszy panią minister ze względu na wyzierający z oczu wyraz skrywanego cierpienia, a jeszcze częściej po prostu niedowierzania - postanowiwszy pewnego razu na zebraniu twórców kultury zaprezentować swoją znajomość realiów życia, powiedziała: „W każdym trolejbusie płacicie rubla i jedziecie...” - i w tym momencie przerwały jej burzliwe oklaski. Nie wiedziała, biedaczka, że bilet trolejbusowy kosztuje pięć kopiejek, czyli dwadzieścia razy mniej, niż sądziła.

Dzisiaj w Ameryce, ciągnął swoją absolutnie niestosowną myśl AJ, zbliżając się ku macosze swojej zbiegłej do Iraku ukochanej, więcej jest nietypowych grubasek niż typowych anglosaskich os. Zbyt gorąco i wilgotno jest w tym tyglu. Z pokolenia na pokolenie cielska rozdymają się coraz bardziej. Tylko w Nowej Anglii i wzdłuż granicy z Kanadą udaje się jeszcze potomkom pionierów zachować dobrą sylwetkę. Marjorie należy naturalnie do tej grupy. Dość parszywy mam humor, myślał, podchodząc. Nie wystarczy mi wspomnieć radzieckiego „z tyłu liceum, z przodu muzeum”. I podszedł.

- Marjorie!

- Ach, to pan!

Błysk w oczach odsyła ją z miejsca w szeregi bezwiewowej modelowej młodzieży. Po prostu kobieta z klasą. Czarująca *lady-laleczka*. Usiadł naprzeciw niej pod tabliczką z nazwą „Boulevard Saint-Michel”.

- Muszę powiedzieć panu coś ważnego - rzekła pośpiesznie.

- Proszę mi wybaczyć, Marjorie, ale jak mnie tu pani znalazła?

Nie jestem do końca pewien, jak odbierze to pytanie oświecony czytelnik: jako nienaturalne, czysto informacyjne, czy zgoła wykraczające poza wszelkie normy? A mimo to będę się przy nim upierał. Załóżmy że jest pan, drogi czytelniku, Anglikiem - czyż nie zdziwiłby się pan, widząc którąkolwiek z mieszkanek pałacu Buckingham w pubie Covent Garden? A jeśli jest pan Rosjaninem, to czy nie zaskoczyłby pana widok Ałły Pugaczowej w tłumie pasażerów oczekujących na podmiejską kolejkę na Dworcu Kazańskim? No bo jeśli chodzi o Amerykanina, ten wszystko zrozumie.

Uśmiechnęła się figlarnie, z czym było jej do twarzy.

- Sądzi pan, Alex, że przy pańskiej popularności łatwo się panu ukryć?

- Przy mojej popularności?

- Przy pańskiej popularności wśród dam w określonym wieku.

Dlaczego używa liczby mnogiej? - pomyślał. Może ma na myśli Norę? Uważa, że zjednoczyła się już z pasierbicą w swoim zwycięstwie nad wiekiem? Nie ma co się przyczepiać do suchych paluszków i nieco spierzchniętej skóry nad obojczykami; Marjorie Korbach to cud natury!

- No dobrze, cóż zatem chciała mi pani powiedzieć na tyle ważnego, że odważyła się pani przyjść do tej stołówki?

- Rozwiedliśmy się ze Stanleyem.

- A to rzeczywiście nowość!

- Teraz moim mężem jest Norman Blumsdale. Człowiek, którego pan nienawidzi.

- Zbyt wiele powiedziane.

- Teraz może pan go ukarać w dowolny sposób.

- Margie, jestem starym człowiekiem.

- Pan stary? Śmieszne!

- Margie, czemu się pani tak na mnie uwzięła? Niech sobie pani znajdzie młodszego żigolaka. Nawet mam jednego na oku, idealny *stud*.

Oczy jej zrobiły się głupio okrągłe. Pomyślał, że wygląd bezmyślnej lalki całe życie służył jej jako maska.

- To interesujące! Może mi pan podać nazwisko i telefon tego ogiera?

Napisał na serwetce: „Matt Shuroff, 213 info, Venice”. Wzięła serwetkę i wstała.

- Chodźmy! Nie będzie pan tu przecież siedział bez końca.

Kierowcy rolls royce'a nie było; czyżby przyjechała sama?

Przeszła koło samochodu, nawet na niego nie spojrzawszy, a tym bardziej na różowy *ticket* mandatu pod wycieraczką. Przespacerujmy się kawałek wzdłuż tego mętnego, mulistego kanału. Odrobinę romantyzmu, Alex. Przecież pan doskonale wie o mojej miłości, bezlitosna małpo. Sasza Korbach zapragnął nagle odejść i zniknąć pod jedną ze zmurszałych arkad wążiutkiego i wyboistego nabrzeża, z dwiema czy trzema żalonymi latarenkami przed jadłodajniami i warsztatem szewskim.

- Jak cudownie - szeptała Marjorie. - Nie miałam pojęcia, że Waszyngton może być taki romantyczny, taki zachęcający do czegoś szalonego. Niech pan popatrzy w ten ciemny zaułek pod ogromnymi wiązami! Co za gówno tam stoi z taką ujmującą skromnością?

- To karmnik dla mułów, *ma'am*.

- Alex, od pańskiego rosyjskiego akcentu kręci mi się w głowie. Karmnik dla kogo?

- Dla m-u-ł-ó-w, *madam*, dla bastardów pochodzących ze skrzyżowania konia z osłem. Ciągną tu zardzewiałe, zmurszałe osiemnastowieczne barki z wycieczkowiczami. To największa atrakcja turystyczna Starego Miasta.

Podeszła do żłobu i nawet wsparła się o niego łokciami, wystawiając tyłeczek. Toaleta od Celinę prawie, choć nie do końca złała się ze zmrokiem, tworząc idealną figurę *Au Bout de la Nuit*. No, Alex, co by pan teraz ze mną zrobił, gdyby pan był odrobinę młodszy? Dokładnie to, o co pani pyta, *ma'am*. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Tu, pod żłobem dla mułów? Nie, w samym żłobie. Co-co-co, to tak po rosyjsku?

Posadziłbym panią zadkiem prosto w ten zaśliniony przez muły żłób. Wyobrażam sobie, ile owsa by się pani przylepiło do pupy. Jęknęła. Och, to by dopiero było, pełno owsa przylepionego do pupy, z której pan zdjąłby majteczki, zerwałby je pan dwoma szarpnięciami. Jednym szarpnięciem, *ma'am*. Potrafi pan jednym? Co robić, życie mnie nauczyło. No a potem? Zacząłby pan walić we mnie taranem? Właśnie tak, *ma'am*, to jest właściwe słowo, walić taranem! Co-co-co? Właśnie to, na tym polega sens mojego życia - walić taranem podstarzałe ślicznotki,

*ma'am*. Margie wczepiła się w jego marynarkę. A rękami, Alex, co by pan robił rękami? No, rękami wyluskiwałbym ze stanika pani nieźle zakonserwowane cycki. A potem, a potem? Hm, Marjorie, nie myślałem, że się pani tak rozigra. Wsadzić pani palec w *anus* czy jak, chce pani? Obiema dłońmi stłumiła krzyk, ale choć bezgłośny, co najmniej minutę wstrząsał jej ciałem. Potem zawisła na AJ, wodząc dokoła bezmyślnym spojrzeniem, jakby przechodząc przez mglistą strefę między wyobrażeniem a rzeczywistością. Zapachniało palonym włosiem. Tak, zdaje się, bywa z mułami, kiedy ogonem nie są w stanie się opędzić od ślepaków i zaczynają się trzeć o ściany.

Po kilku minutach szacowna parka wyszła ze strefy filologicznego mroku i swądu i podążyła w kierunku bardziej cywilizowanego fragmentu nabrzeża kanału w Georgetown, a dokładnie biorąc, ku niewielkiemu centrum handlowemu Foundry i jego witrynie antykwariatu oraz galerii obrazów.

- No cóż, Alex, nie jesteśmy teraz ludźmi obcymi i dlatego chcę pana ostrzec - ze spokojną melancholią rzekła dama. - Chodzi o to, że wojna między Stanleyem i Normanem wkracza w fazę decydującą i nie wygląda na to, by Stanley miał wiele szans.

- Tym bardziej, że najprawdopodobniej w ogóle tej wojny nie zauważył - rzekł Sasza Korbach.

Przez jakiś czas milczała. Wyjęła skądś niewielkie okulary i nachyliła się ku witrynie, sprawdzając ceny. Zupełnie jakby choć odrobinę rozumiała się na cenach.

- No więc właśnie - podjęła wreszcie. - On nie zauważa, a tymczasem szykuje się główne uderzenie z nieoczekiwanej strony.

- Pani mąż musi być chyba Napoleonem, *ma'am*} - Zatrzymał się obok bankomatu.

Co to jest? - spytała z autentycznym zainteresowaniem, przyglądając się emanującemu słabym blask urządzeniu z ekranem, klawiaturą i różnymi szczelinami do wyjmowania i wsuwania pieniędzy.

Wyciągnął plik elastycznych, szeleszczących banknotów.

- Biedne dziecko nomenklatury - uśmiechnął się do tej w sumie niezłej baby. - Tyle odkryć przez jeden wieczór!

Ogólnie znana to prawda, że miłość bywała przyczyną wielu nieszczęśliwych wypadków, zarówno w życiu, jak i w literaturze pięknej. Zdarzały się wypadki mocne, pozostawiające niezatarte wrażenie, ale też i żalodne, bezsensowne, dziwaczne, zasługujące co najwyżej na styl minimalistyczny. Niniejsze nasze zapiski, nawet jeśli okrężną drogą, poprzez system zwierciadeł, zarówno idealnych, jak i krzywych, stanowią jednak odbicie innego stylu, ogłoszonego w osiemnastym wieku jako „nowy” i „słodki”, i dlatego staramy się nie pakować naszych zakochanych w całkiem idiotyczne sytuacje. Z drugiej strony nie możemy naturalnie zapominać, że śmieszność i wzniosłość to dwa równoległe, płynące tuż obok siebie nurty i że nurt śmieszności nierzadko wywiera wpływ na interpretację wypadków miłosnych.

Pozwolą państwo, że przypomnę, co zdarzyło się pewnego razu jednemu z piewców naszego rosyjskiego słodkiego stylu, który odezwał się sześćset pięćdziesiąt lat po florenckim, Borii Bugajewowi, z.r.j. (znanemu również jako) Andriej Bielyj. Odrzucony przez Lubow Błok po serii rozrywających serce spotkań - ślady ich rozrzucone są w pierwszej połowie powieści *Petersburg*, tego naszego *Ulissesa* - straciwszy za jednym zamachem wszystko, co miało dla niego wartość na tym padole: przyjaciela, towarzysza mistycznych poszukiwań, a także żonę przyjaciela, wcielenie Sofii - niestety, zbyt cielesne, zbyt rumiane wcielenie, by oprzeć się pokusie karnawału owych uciech - szedł pośród petersburskich topieli, gdzie tylko żelazo trzyma się mocno, a wszystko pozostałe pokrywa się śliską wilgocią, i skierował się ku Newie, którą już wtedy, zanim akmeiści urosli w siłę, kojarzono z jedną z rzek smętnego Hadesu, najczęściej z Letą. Trudno było się nie domyślić jego zamiarów, patrząc na nerwowy chód na ugiętych kolanach, na ręce to wzlatujące w górę jak u marynarza morskim telegrafem sygnalizującego atak artyleryjski, to macające jak u ślepego przed sobą beznadziejne peterskie powietrze, z oczami Adama, który właśnie zdał sobie sprawę, że został wygnany na wieki, w wichrze peleryny, obojętnej na cierpienia jej właściciela, jako że żyła swoim własnym trzepoczącym dramatyzmem, trudno było się nie domyślić, niemniej przechodnie udawali, że się nie domyślają, bo, mędy parszywe, w nosie mieli, że nasz *Ulisses* nawet jeszcze nie był rozpoczęty i że za parę minut może się okazać, iż nigdy nie zostanie rozpoczęty, tylko w nierozpoczętej postaci przepłynie obok planety i zniknie w czarnej dziurze; ale zdanie!

Na Nikołajewskim, zdaje się, moście, a może na Troickim, noga w angielskim buciku została już przerzucona przez poręcz, wzrok po raz ostatni zakreślił łuk ponad kolumnami i iglicami grodu-mirażu, zatrzymał się na sekundę na nieczytelnym przesłaniu gasnącego zachodu i w ostatnim odruchu lęku padł na pomarszczoną, blaszaną toń pochłaniającej wszystko wody. Toń nagle zmętniała. Dokładnie pod mostem przepływał właśnie wielki, szpetny statek, załadowany węglem czy może nawet czymś jeszcze gorszym. Nie, w to nie chcę wpadać! Nie zrobię z siebie pośmiewiska! Chciałem się rzucić do Lety i to wszystko! Noga odruchowo cofnęła się na chodnik. W tej sekundzie w świadomości Borysa-Andrieja-Kotika-Bugajewa-Biełyja-Letajewa pojawił się pomysł powieści i zastygł on na moście, nad „kipiącą od bakcyli” wilgocią i uniósł ku zachodowi już nie własną twarz, a bladą maskę Koleńki Ableuchowa. Tak oto instynkt twórczy przemógł złowieszczą śmieszność, odwrócił śmiercionośny kicz miłosnego dramatu, uratował dla nas kupę znakomitych stronic naszego *Ulissesa*. Kiepski byłby ze mnie filolog rosyjski, gdybym nie zauważył w tym miejscu, że „nasz *Ulisses*” pojawił się drukiem o dziewięć lat wcześniej od „ichniego”.

Nie zamierzam udowadniać, że historia ta wpłynęła w jakiś sposób na przeżycia naszych bohaterów, ale też tego nie wykluczam. Ich pozorny spokój, być może, nie miał nic wspólnego z seksualnym cynizmem końca wieku, a raczej był wyrazem podświadomej niechęci, by zamiast rozpuścić się w Lecie, runąć na pokład jakiejś brudnej barki. Paradoksalne, ale właśnie taka barka może być ratunkiem. Oto dlaczego na pozór z taką łatwością rozstaliśmy się na tyle stronic i prawie na trzy lata z naszą heroiną. Nie oznacza to bynajmniej, że przestaliśmy lubić „naszą Tatianę”. Lubimy ją tak bardzo, że wręcz znajdujemy pewne podobieństwo do niej gwiazd światowego kina, zwłaszcza, nie wiadomo czemu, gwiazd pochodzenia szwedzkiego - jak na przykład Greta Garbo, Ingrid Bergman, Ingrid Thulin czy Ingrid Sterling.

*Pardon*, to ostatnie nazwisko pochodzi, zdaje się, z innej bajki. A prawda, przecież to z poematu Igora Siewierianina: „Twarz Ingrid Sterling blada jak ściana, gładki brąz włosów, oczy fiołkowe, a w ustach ból”.

Właśnie w takim wydaniu zastaliśmy pewnego razu Norę w czasie jej nieobecności na kartach powieści, w hotelu Palm Beach na południowym wybrzeżu Cypru. Wyszła z budki telefonicznej i twarz jej była blada jak ściana. Usiadła w kącie i włosy miała brązowe, aczkolwiek rozjaśnione od słońca, co zwykle ma miejsce w czasie archeologicznych ekspedycji. Kelner przyniósł jej z baru coś mocniejszego i, wysączywszy drinka, błysnęła fiołkowymi

oczami w kierunku szafirowego - od imienia Safo - morza, ale usta jej w przerwach między poszczególnymi łykami krzywił ból.

Nie dowiedzieliśmy się, czemu była blada, wychodząc z budki telefonicznej - po prostu nie odważyliśmy się podejść. Krążyliśmy wokół niej, obserwując, jak z każdą nową porcją scotcha wraca rumieniec na jej lica, ciemnieje czoło, spalone słońcem starożytnego świata, jednym słowem, zachowywaliśmy się niewiele lepiej od dwóch zawziętych hotelowych palaczy, którzy z miejsca zwrócili uwagę na „pierwszorzędną laskę”. Coś im jednak również przeszkadzało podejść, a tymczasem zrobiło się ciemno. Nora popatrzyła na zegarek, wstała, wsunęła białą koszulę w białe spodnie, ciasniej zapięła pasek i zdecydowanym krokiem, arogancko stukając sabotami, ruszyła ku wyjściu. Poprzez szklane drzwi widać było, jak wsiada do czekającego na nią jeepa. Na tym zakończyło się nasze pozapowiesciowe niespotkanie. W zasadzie dobrze, że tak się stało. Mniej powściągliwy obrót spraw mógłby stanowić zamach na naszą autorską wolność. Wolność ocalona, a zatem kontynuujemy opowieść zgodnie z tym, co nam przyjdzie do głowy.

Często zapytywała siebie samą, co ją popchnęło ku temu, żeby zerwać z Saszką, a potem do nieoczekiwanego wyjazdu z ekspedycją Lilienmanna do Iraku. Co tu gadać, była zła jak diabli na ukochanego. Wciąż usiłuje potwierdzić własną wartość, zademonstrować swój autorytet wobec głupiutkiej amerykańskiej panienki, zepsutej wariatki. Ta przeklęta przepaść między kulturami! Z pobłażliwą pogardą odnotowywał jej amerykańskie nawyki, typowe gesty, mimikę, wszystkie te głupstwa, na które nikt nie zwraca uwagi. Jeśli na przykład na pożegnanie poklepała go po ramieniu, bez zająknięcia pytał, o co chodzi. Jak to o co chodzi? To, że poklepujesz mnie po ramieniu, co to oznacza? A dlaczego miałoby to coś oznaczać oprócz „*good bye*”? On wzrusza ramionami. Ciekawe, po tylu czułych pocałunkach poklepujesz mnie po ramieniu, jakbyś od niechcenia apróbowała mój występ: nieźle, nieźle, stary. Co za bzdura!

Jeszcze jeden przykład. Jeśli on widzi ją w tłumie na lotnisku z torbami w obu rękach i biletem w ustach, wybucha śmiechem: „Spójrzcie na tę Amerykankę!” O co chodzi, Alex? Co tak okropnie amerykańskiego we mnie znalazłeś? Naturalnie, żeby zadać to pytanie, automatycznie stawiam torbę i wyjmuję bilet z ust. Robię to automatycznie, drodzy czytelnicy! Automatycznie, *vous comprenez*? On się śmieje: okazuje się, że właśnie po tym rozpoznaje Amerykanki na lotnisku - tylko one trzymają bilety w ustach. Następnie rozwija temat. Ciekawe, że wykorzystujesz w tym celu wyłącznie zewnętrzną, suchą część warg, śluzówka nie jest

zaangażowana w ten proces, a zatem bilet nie rozmiękł i higiena zostaje zachowana. Przecież jesteś specjalistką od higieny starożytnych. Ciekawe, czy używali ust do przenoszenia tabliczek klinowych?

A jeśli już nie ma z czego się śmiać, to śmieje się z mojej leworęczności. Co to za amerykański bzik pisać lewą ręką? Jestem pewien, że to w związku z lewicową orientacją „naszej inteligencji”.

Na początku nie zauważałam tych oznak przesytu. Wyglupiałam się: patrzcie, jak nadzwyczajnie rozwinięty zmysł obserwacji ma ten facet! Żyje wśród nas jako jeden z nas, nawet śpi z jedną z nas, a wciąż ćwiczy swoją antyamerykańską spostrzegawczość! Mimo wszystko starałam się go oszczędzać. Ci Rosjanie, myślałam, ten ich odwieczny kompleks niższości spleciony z dziwnym kompleksem wyższości w stosunku do innych narodów, zwłaszcza Amerykanów. Nie zdawałam sobie sprawy, że nie chodzi o Amerykę, a o mnie. Jakie to dziwne, że okazałam się taka gruboskórna! Zwykle w stosunku do niego byłam aż nadto subtelna. W łóżku często ogarniało mnie uczucie najpełniejszego porozumienia. Ostre, alarmujące uczucie, jeśli mam być szczerą. Czasem zdawało mi się, że z góry znam całą jego poezję. Nie mówiłam mu o tym, ale miałam wrażenie, że pokonuję wszelkie bariery, nie mówiąc już o języku. Kiedyś wydało mi się, że on czuje we śnie obecność swojego ojca, człowieka, który umarł przed jego narodzinami. To było uczucie jakiejś niewyobrażalnej skruchy, najwyższej miłości, żyjącej w jego najskrytszych zakątkach. Czekałam, że się przyzna, to znaczy opowie mi o tym śnie, który pamiętał, co do tego nie miałam wątpliwości, ale nie zrobił tego. Przeciwnie, wyczułam uczucie silnej irytacji. A może to sobie wszystko wymyśliłam? Może to ja poczułam lekką irytację, bo nie chciał mi opowiedzieć o swoim spotkaniu z ojcem? Może nieświadomie zmieniłam intonację czy gesty?

Po powrocie z orbity też nie było mi pilno otworzyć usta i opowiedzieć o oszołamiających wizjach, o zakrywających całe niebo aniołach i o szkatułce z małym Feliksem. Dopiero miłosa bliskość, jakieś niezwykle wrażenie, że mnie ochrania poprzez seks, rozwiązały mi język. Czułam, że był wstrząśnięty, cały drżał, w tym momencie był przepelniony miłością i czułością, i zrozumieniem. Byłam pewna, że opowie mi o ojcu i pozwoli zrozumieć, skąd się wzięło to dziwne uczucie skruchy, i gotów był otworzyć usta, ale nie otworzył.

Myślę, że wpadł w pułapkę męskich stereotypów, typowych dla Rosjan. Jak oni wszyscy, podświadomie odrzucał nawet ślad myśli o mojej ewentualnej przewadze. Oni na przykład

mówią „pieprzył ją”, ale wyrażenie „pieprzyła go” wydaje im się nienaturalne. Zawsze wyobrażają sobie kobietę w podporządkowanej, żeby nie powiedzieć niewolniczej i upokarzającej pozycji pod wszechmocnym ogierem. Może uważa, podświadomie albo i świadomie, że jeśli wchodzi we mnie w pozycji zwycięskiej, jak w prostytutkę czy w nałożnicę, to jestem prostytutką albo nałożnicą.

Mam rację, czy też nieustannie się do czegoś przyczepiam? Przecież od czasu do czasu chcę się poczuć prostytutką? I czy, nie bacząc na lekką ironię, nie przytacza mi fragmentów Guido Guinizellego i czy nie zdaję sobie sprawy, że naprawdę gotów jest umrzeć za te „strzały miłości”?

No dobrze, ale jak wyjaśnić jego jadowite uwagi, które w ostatnim miesiącu naszego związku stanowiły już nieustannie powtarzający się refren? Nie był w stanie ścierpieć jakichkolwiek przejawów mojej protekcji, a przecież nie było dla mnie nic bardziej naturalnego, niż pomóc człowiekowi, którego kocham. To prawda, popełniłam pewne *fam pas*, zwłaszcza z tym okropnym party w Malibu, no ale na czym polegał mój błąd, jeśli chodzi o Pinkertona albo o BRF? Najwyraźniej czuł jakąś sadystyczną satysfakcję, kiedy prowokował mnie i moich starych przyjaciół, wyśmiewając wszystkie nasze idee, walkę z wewnętrzną prawicą, z wrzodami kapitalistycznego korporacyjnego społeczeństwa. Tacy są ci rosyjscy liberałowie. Uważamy ich za ludzi, którzy razem z nami gotowi są walczyć o demokratyczne wartości, a oni w swoim antykomunistycznym szale sądzą, że to woda na młyn KPZR i KGB. Dla Aleksa cały nasz ruch, nasze lata sześćdziesiąte, to po prostu szaleństwa rozpieszczonych dzieciaków społeczeństwa dostatku. Jak powiedział kiedyś, z tym swoim protekcyjnym uśmiechem: „Zastanawiam się, czy wiesz, że trockizm i stalinizm to po prostu frakcje tego samego pierdolonego komunizmu, nazwijmy go czerwonym faszyzmem, żebyś lepiej zrozumiała”.

O tak, doskonale rozumiałam, co ma na myśli. Że ja i moi koledzy z Berkeley’68 bliźsi byliśmy faszyzmowi niż mendy z CIA. Tyle że nie powiedział tego na głos. O nie, panie-Kor-bach-zza-granicy, nigdy nie zdradzę swojej młodości, nawet za cenę wszystkich naszych miłosnych nocy! Może nie zdaję sobie sprawy z czegoś istotnego, ale ty nie łapiesz rzeczy najprostszej: że walczyliśmy nie o wasze rosyjskie sprawy, trockizm, stalinizm czy cholera wie co jeszcze! Jakkolwiek się to nazywało w tamtym czasie, walczyliśmy o prawo do konfrontacji, o sposób życia alternatywny w stosunku do oklepanego „amerykańskiego marzenia”, razem z jego dolarami, obligacjami, hipotekami, cadillacami i podmiejskim

komfortem. W nosie cię mam, narzeczony! Nie cenileś naszej bliskości, a ona tymczasem rozpuszczała się coraz bardziej w uśmieszkach, grymasach, spojrzaniach z ukosa, atakach źle maskowanej, prymitywnej zazdrości. Jeśli po latach, kiedy będziemy już starzy i zmęczeni, spytasz mnie, dlaczego bez słowa uciekłam od ciebie do Iraku, powiem ci jedno: bo chciałam uratować ten *dolce stil nuovo*, który spłynął na nas z jesiennych niebios Marylandu w listopadzie osiemdziesiątego trzeciego.

Tymczasem „stuknęła” jej, jak mówią Rosjanie, czterdziestka, czyli rozmięła kolejną dziesiątkę, jak mówią ci sami. Nawiasem mówiąc, jej rosyjski był coraz lepszy dzięki systematycznej nauce tego idiotycznego języka. Poza tym po opuszczeniu Iraku ekspedycja Lilienmanna przeniosła się do Izraela, gdzie okazało się, że większość robotników pracujących na wykopkach w Cezarei i Aszkelonie to Rosjanie.

Od chwili, gdy opuściła Pinkertona, minęło już ponad dwa lata. Była jak zwykle piękna. Piękniejsza niż zwykle. Archeologia, drodzy czytelnicy, pomaga starzejącym się dziewczętom zawrócić bieg zegara. I żadne specjalne wysiłki nie są tu potrzebne. Pracuj po prostu dzień w dzień w wykopie, wdrapuj się na zbocza wzgórz na pustyni albo na morskim wybrzeżu, pozwól włosom płowieć w bezlitosnym słońcu, myj się wodą ze starożytnych źródeł, nocuj w namiocie z podniesioną zasłoną, czyli pośród nieustannie wiejącej bryzy, zmieniaj partnerów, nie sprawdzając ich poziomu intelektualnego - oto recepta na utrzymanie młodości.

Nie zdążą jeszcze państwo przeanalizować tej recepty, kiedy powiemy, że ekspedycja archeologiczna - to nie piknik. Czasami Nora miała dość błąkania się szlakami starożytnych patriarchów, namiotów i zmurszałych stałych kwater, gdzie wątpliwy tusz przyjmuje się jak dar boży. W takich chwilach uciekała na krótko w równoległy świat pięciogwiazdkowych hoteli, basenów i chłodnych półmrocznych barów. Przeklinając się za nieuleczalne burżuazyjne upodobania, robiła zakupy w hotelowych sklepach z łajdackimi cenami i na kolację schodziła raz jako *lady* od Saint-Laurenta, kiedy indziej jako szykowna przedstawicielka bohemy od Soni Rykiel.

Tel Awiw, Ateny, Korfu, Wenecja - oto wchodzi do usypiająco wytwornej sali. Lekkie trzęsienie ziemi wzbudza dźwięk kryształowych kieliszków. Podstarzała populacja tych miejsc z otwartymi ustami patrzy na samotną nieskazitelną piękność, idącą środkiem sali niczym widmo „tamtych naszych lat”. Piękność zajmuje stolik w kącie, zamawia butelkę szampana. Maitre d’hotel, wzruszony i poważny, stoi obok, zadając pytania co do menu. Widział już jej nazwisko

na karcie kredytowej i wie, z kim ma do czynienia. Maitres d'hotel w basenie Morza Śródziemnego śledzą kronikę towarzyską i znają szczegóły życia Korbachów i Mansourów.

Wmawiała sobie, że zatrzymuje się w tych hotelach tylko po to, żeby rozerwać się prostacką przygodą z jakimś playboyowatym jebaką, z tych, co to węszą po takich miejscach w poszukiwaniu wielkoświatowych dup. Niestety, gdzież oni są, ci nie znający przeszkód seks-konkwistadorzy? Żaden nie pasował do jej wyobrażenia. Po szampanie przyznawała się sama przed sobą, że szuka tylko Saszki, choć prawdopodobieństwo spotkania go w takim miejscu było równe prawdopodobieństwu, iż w tej oto sali restauracyjnej upadnie meteoryt.

W polu często jej się zdawało, że wyleczyła się z Saszki. Przeleciawszy w namiocie tego czy owego kędzierzawego chłopaka, mruzczała pod nosem: „Niech się rozplynie w powietrzu cały ten twój «nowy słodki styl»! Radzę sobie z tym! Nie jesteś mi potrzebny!” Każdy powrót do cywilizacji jednak w dziwny jakiś sposób wywoływał wspomnienia o ich spotkaniach i rozłakach pośród szklanych ścian. Widziała opustoszałą halę nocnego portu lotniczego i samotną figurkę, idącą jej na spotkanie wzdłuż nieczynnych już barów i kiosków z pamiątkami. Jeszcze jej nie dostrzega, ale zbliżają się do siebie z obu końców niekończącego się, lekko zakręconego korytarza tego, co nazywał „naszym komfortowym Czyśćcem”. Słyszy stukot jej obcasików i podrywa głowę z żywością, jakiej trudno byłoby oczekiwać po tym wlokącym się cielem w workowatych spodniach. Jego czoło, w całej swojej wspaniałości, przypomina Boeinga 747 *en face*. Na widok biegnącej ku niemu postaci dolna część kokpitu otwiera się w niepowtarzalnym małpim uśmiechu. Co za prezencja!

Nierzadko wybierała numer jego nory na Dupont Circle. Nie wiedziała, ile zajęć nieoczekiwanie spadło na niego po jej wyjeździe, i nieustanna nieobecność, sygnalizowana pośpieszną, niepoprawną gramatycznie wiadomością na sekretarce, doprowadzała ją do szału. Łotr, gdzie się podziewa? I z kim? Może to jedna z tych bezwstydných pinkertonowskich siks - *bimbos*? A może przyłączył się do „błękitnego oddziału na Dupont Circle? Była zaskoczona i zraniona prostym faktem: ani razu nie próbował jej znaleźć przez dwa lata rozłaki! Jak to oni mówią w Rosji: „Co z oczu, to i z serca”? Kurewskie banalne porzekadło okazuje się prawdziwe.

Podczas nieczęstych, ale przedłużających się rozmów z ojcem ani razu nie wspomniała o Aleksie. Czując, że to celowe, Stanley również ani razu nie wymienił jego imienia. Dopiero całkiem niedawno, to znaczy na krótko przed powrotem Nory do przestrzeni powieściowej, rzucił mimochodem, że Alex został wybrany na jednego z wiceprezesów Fundacji Korbacha i że, być

może, w niedalekiej przyszłości pojedą razem do jego „efektownie rozwalającej się ojczyzny”. Natychmiast zresztą ugryzł się w język, napotkawszy jej wrogie milczenie. Był bardzo strapiiony, że Alex i Nora nie mają zamiaru obdarzyć go małym „podwójnym Korbachem”.

Pewnego razu w hotelu na Cyprze przeszło ją nagle ostre uczucie bliskości Aleksa. Jest gdzieś tu niedaleko, nie ma dwóch zdań! Rzuciła się ku budce telefonicznej i wybrała jego waszyngtoński numer. Jeśli odbierze, nie powie ani słowa, ale przynajmniej będzie wiedziała, że tym razem intuicja ją zawiodła. Znowu usłyszała nagranie, natychmiast jednak poraziła ją jeszcze jedna straszliwa myśl: gdy ona stuknęła palcem w klawiaturę cypryjskiego telefonu, Sasza przeszedł obok i rozpląnął się w powietrzu! Pchnęła drzwi i wyskoczyła. Facet w średnim wieku, w szortach i panamie, odskoczył w bok, jakby usiłował podsłuchać jej rozmowę. Nie mógł oderwać od niej zdumionych oczu. Co się stało? Może to jakiś kolega Saszki? Albo może ten typ pamięta jej zdjęcia w gazetach sprzed dwóch lat? Kątem oka zarejestrowała własne odbicie w lustrze. Zdumiała ją dziwna bladość i jeszcze dziwniejszy fiołkowy blask oczu.

Nie ma wątpliwości, on gdzieś tu jest. Może siedział w barze z tym w panamie i widział ją na plaży. Może powiedział do kolegi: spójrz na tę kobietę, kiedyś ją kochałem. Albo coś bardziej szczegółowego, tak jak to oni lubią opowiadać sobie w barach z wieloznacznym uśmiechem w stylu hemingwayowskich bohaterów.

Usiadła w hallu i zamówiła martini. A jakby tak spytać w recepcji, czy nie ma tu takiego Aleksa Korbacha? Nie, nigdy nie zniżę się do poszukiwań. Siedzę tu po prostu dlatego, że przyjemnie tu posiedzieć, sącząc martini, po miesiącu spędzonym w brudnych pieczarach. Naturalnie, możemy się spotkać, ale tylko przypadkowo. Siedź, czekaj na przypadek, zamów jeszcze raz martini.

Facet w szortach zdjął kapelusz, zatknął go za pas i przysiadł przy barze. Pije herbatę. Co za nudziarz, herbata w barze! Od czasu do czasu popatruje na nią z ukosa. Znam ja te wasze fałszywe ojcowskie spojrzenia! Ale dlaczego wydaje mi się, że jeśli ten typ tu jest, to znaczy, że i Saszka jest gdzieś w pobliżu?

- *Excusezmoi, vous etes very lonely I see tonight?* - spytał z tyłu beczelny jednocześnie i lękliwy głos. Odwróciła się i zobaczyła niezdarnego draba w lśniącym jedwabnym garniturze.

- *Poszoł na chuj!* - odparła grzecznie.

Lśniący odskoczył wystraszony. Szorty przy barze akceptując skinęły głową. Przez obrotowe szklane drzwi zobaczyła Jacoba Palsadsky, który podjechał jeepem, żeby zabrać ją do Pafos na

impresę archeologów. Podniosła się i wyszła z hotelu. Zewnętrznie bez wahania, wewnętrznie, jeśli można się tak wyrazić - a dlaczego by nie, wzruszył ramionami wielbiciel herbaty - w pozie klasycznej rozpacz.

I wreszcie się dodzwoniła. Pewnego dnia, niemal już rytualnie, wybierała małym palcem jego numer i nagle usłyszała niewyraźny głos: „*Jiallo?*” W Jaffie była dziesiąta rano, a zatem, zdaje się, druga w nocy w Waszyngtonie.

Alex leżał w łóżku. O śnie nie było mowy. Nie kończące się przeloty ostatecznie rozregulowały jego wewnętrzny zegar. Mógł nie zmrużyć oka przez całą noc, a potem zasnąć przed zajęciami w Czarnym Sześcianie. W tym momencie oddawał się swoim bynajmniej nie nieszkodliwym przyzwyczajeniom: pociągał z butelki Jacka DanieFsa, palił czarne *cigarillo* i zastanawiał się, kogo zaprosić na próby w LA - Beverly czy Kimberley. A może obie? Roxy Murań dopiero co wyszła, to znaczy była już zaproszona. Kompletnie wykończony pięćdziesięcioletni dupek. Śmiesznie zaczynać w takim wieku wszystko od nowa, nawet jeśli twoim sponsorem jest Stanley Korbach ze swoimi miliardami. Rozwalony wśród poduszek i kołder, nie był w stanie poruszyć dłońmi ani palcami. Mimo wszystko jeden psotny palec z grupy po stronie lewej zaczął tykać w pilota. VCR prezentował propozycje tego, co nagrał pod nieobecność gospodarza. Jasne, talk show, coś w rodzaju rosyjskiego „Klubu wesołych i sprytnych”, spotkanie drużyny sadystów z drużyną masochistów, ogólny śmiech, wymiana niewinnych żartów.

Właśnie w tym momencie zadzwonił telefon, cholerna ropucha. Wyłączył telewizor i wziął słuchawkę gestem człowieka przejedzonego, który sięga po jeszcze jedną porcję kebabu. *Hallo*. Milczenie. Znowu, pomyślał. Rzecz jasna, dawno już nie czekał na telefon od Nory.

- Słuchaj - powiedział głos, którego na początku nawet nie rozpoznał - za tydzień będę w Paryżu. - Poznał ją i nie chciał uwierzyć. - Zatrzymam się w hotelu Lutece na rogu Boulevard Raspail i Rue de Sevres. - I znowu na początku nie zorientował się, że wyznacza mu spotkanie. - Tak że przyjedź, jeśli możesz. - Po pauzie: - I jeśli chcesz.

Odłożyła słuchawkę.

I padła na dywan, chwytając się za gardło wszystkimi dziesięcioma palcami i wyjąc ze wstydu z powodu swojego tak kiczowatego wystąpienia.

Aleksander Jakowlewicz tymczasem ze zdumieniem stwierdził, że znajduje się nie w łóżku,

a na parapecie. Monotonnie wyla słuchawka, którą czternaście wierszy temu tak niestosownie porównaliśmy do kebabu. Był kwiecień, jeśli nie mają państwo nic przeciw temu. Noc skromnie oferowała plamy fioletowego kwitnienia wraz z celowo wygiętymi świecącymi napisami. Wypożyczalnia kaset Priap była jeszcze, a może już, otwarta. Widać było, jak gęsty tłum czortów z porządnymi różkami, eleganckimi kopytkami i sprężystymi ogonkami wypożycza kasety do użytku domowego.

- Lecę! - wrzasnął nagle AJ niczym zakochany uczeń. - Do niej! Do Lutece!

1990. Koniec kwietnia. Letni upał. Wczesny zmierzch. Proza telegraficzna. I coś czeka za rogiem.

Nora siedziała samotnie na otwartej werandzie Brasserie Lutece. Przed nią stała zastawa do herbaty i jabłkowa tarta. Żadnego alkoholu - mógłby zepsuć obraz olśniewająco pięknej kobiety, siedzącej samotnie przy paryskim kawiarnianym stoliku. Cienka smużka dymu snuje się nad popielniczką. Papieros nie psuje obrazu pięknej kobiety. Wręcz przeciwnie, coś w nim uwydatnia. Aparat fotograficzny, leżący obok tacy z ciastem, wnosi do kadru szczególną nutkę, tym bardziej że olśniewająca kobieta od czasu do czasu podnosi go i pstryka raz lub dwa, nie zmieniając pozycji. Cóż takiego jest przedmiotem jej zainteresowania? Nic szczególnego, po prostu zwykłe, typowe dla Lewego Brzegu skrzyżowanie z witrynami modnych butików, parą ulicznych świateł, charakterystycznym paryskim słupem ogłoszeniowym o stromym daszku, z wielką, zaokrągloną przez powierzchnię słupa twarzą Gerarda Depardieu, i, naturalnie, ze stolikami, krzesłami i parasolkami na każdym rogu.

Rozkoszowała się każdą chwilą tego siedzenia. W ostatnich latach zaczęła się przyłapywać na skłonności do pewnych klisz. Oto moja ulubiona klisza - paryska kawiarnia. Amman i Bagdad zostawiam snobom. Ja wolę Paryż.

Nic szczególnego nie dzieje się na skrzyżowaniu. Fala godziny szczytu spłynęła, rytm ulicy zwolnił. Mimo to dziewczyny w obcisłych *slip dress* wciąż jeszcze idą szparko, błyskając wielkimi białymi adidasami. Jeśli chodzi o mężczyzn w wieku średnim, to rozpinają już górny guziczek koszuli, rozluźniają krawaty i ciągną niespiesznie do swoich *cafes*, potykając się z lekka na widok owych dziewcząt ubranych w szczegól garderoby, który jeszcze całkiem niedawno uważano za bieliznę, pokusę intymnych randek.

Nora podniosła swojego nikona i pstryknęła zdjęcie dwóm mężczyznom po sześćdziesiątce, ubranym z niedbałą elegancją, którzy przecinali ulicę, zmierzając w kierunku Lutece, całkowicie pogrążeni w przyjacielskiej rozmowie. Przypominali ludzi z literackich kręgów Paryża.

Jeden mógł być starszym redaktorem jakiegoś wydawnictwa o długiej tradycji i jego pióro, być może, wędrowało po rękopisach Jean Paul Sartre'a i Alberta Camusa. Jakie tu wydawnictwa znajdują się po sąsiedzku - Gallimard, Fayard? Drugi to naturalnie pisarz. Jego powieści zyskały

solidną reputację w dużym stopniu dzięki życzliwej redakcji pierwszego. Lubią się i żaden z nich nigdy nie zdradził przyjaciela. I nigdy nie zdradzi, dopóki żyją i chodzą razem na drinka do Lutece.

Nieoczekiwanie poczuła do nich poryw przelotnej sympatii. Ci dwaj reprezentują środowisko, które wspiera świat, do którego i ja należę. Każdy moment ich życia, znajdującego się już na linii spadku, wnosi wkład w podtrzymanie zjawiska znanego jako cywilizacja Zachodu: książki, odzież, wystawy dzieł sztuki, samopobłażanie, rozwiążłość, witaminy, trankwilizatory, zastarzałe nawyki, włączając w nie również i tę oto przyjacielską paplaninę po drodze do *cafe*. Za starzy już są dla dziewczyn w *slip-dress* i białych adidasach, a może i w sam raz dla nich. Nawiasem mówiąc, nie zwracają, zdaje się, uwagi na nikogo poza piękną samotnicą na werandzie.

Dwaj mężczyźni zauważyli Norę i wymienili znaczące spojrzenia, jakby mówili sobie: widzisz, ciągle jeszcze tu jest ta kobieta, bohaterka naszej literatury, ciągle jeszcze przebywa w tym świecie! Potem otworzyli drzwi i z kawiarni wyleciał temat pierwszej części koncertu a-moll Griega. Akurat to, co było potrzebne.

Nora czekała tu na mężczyznę. Po raz pierwszy w życiu przyszła na spotkanie wcześniej od partnera. Ci z was, którzy myślą, że czeka na Saszę Korbacha, mylą się. Przyjechała tym razem do Paryża, żeby zobaczyć inną postać płci męskiej, syna Bobby'ego. W tym roku kończy osiemnaście lat oraz koledż w Szwajcarii i zaczyna myśleć o nowej fazie w swoim życiu.

Tygodniowe ferie wielkanocne Bobby spędził z babcią Ritą O'Neill w LA i obecnie był w drodze powrotnej do szkoły. Siedząc w kawiarni, Nora wyobrażała sobie, jak mierzący ponad sześć stóp chłopczyk pojawi się wśród tłumu i jak złapie go obiektywem aparatu. Zamiast Bobby'ego po przeciwnej stronie ulicy pojawił się inny facet z jej rozsianego po całym świecie gospodarstwa. Tym razem zgadliście, był to nasz nieposkromiony Aleksander Jakowlewicz. Wysiadł z taksówki dokładnie naprzeciwko stanowiska obserwacyjnego Nory i ona natychmiast przyznała się przed sobą, że czekała tu na niego, a nie na Bobby'ego.

Wysiadłszy, Aleksander Jakowlewicz (zawsze wymawiała pełną wersję jego imienia z nieco sardoniczną intonacją) zamarł, jakby oczarowany światłami i cieniami Paryża, jego zapachami i dźwiękami. A może oczarowało go młodziutkie zgrabne stworzenie w czarnym obcisłym *slipdress* i białych adidasach, które przeszło obok szybkim krokiem, rzuciwszy mu przez ramię pozornie wyniosłe spojrzenie? Nora wzięła głęboki oddech.

No to jestem, pomyślał w tej chwili Sasza Korbach. Dookoła mnie wieczny Paryż. Kto powiedział, że jest wieczny? Przepraszam, ale z pewnością nie ja. Zawsze wystrzegąłem się takich stereotypów. Inny poziom umysłowego wyrafinowania, rozumiecie. Ale tak w ogóle to go lubię. Lubię ten wiecznie wyslizgujący się Paryż. Nie potrafię sobie wyobrazić Ziemi bez Paryża. Tej wiecznej Ziemi bez tego wiecznego Paryża. Wieczna planeta, wieczne miasto, wieczne skrzyżowanie, wieczny słup ogłoszeniowy z wieczną gębą aktora, wieczna dziewczeczka wiecznie gotowa na wszystko, dwaj wieczni starzy literaci żujący po drugiej stronie szyby swoje *fruits de mer*, wieczna samotna kobieta w kącie werandy, urodziwa sztuka z bogatą przeszłością, a tuż obok wieczny paryski pocałunek w wykonaniu ułomnej pary, ale uwaga! - stuk żelaznych kopyt - zza węgła wylania się śmiertcionośny metal, imperialny centaur ze stalową *facestą* w tyłku, chyba nie zamierza ta rzeźba zburzyć wiecznego świata, lubieżnie zmieszać ciała z metalem, dlaczego włączy się zaułkami, wcielenie śmiertelności? Niestety, Paryż nie jest wieczny, taki głęboki wniosek sformułował w tym momencie AJ. Wyrzuć z głowy tę myśl, czerp inspirację z tego, co jest tu wieczne, to znaczy nieustannie się wymykające. Podniósł z trotuaru walizkę i poszedł w kierunku Lutece.

Widziała, jak się zbliża, i wydało się jej, że może przejść, nie poznając jej. Zauważyła w jego twarzy coś nowego, tak jakby mrużył oczy z pewnym zmieszaniem. Ludzie przy sąsiednim stoliku patrzyli ze zdziwieniem na niezależną damę w stylowych obszernych szatach: dlaczego jej czajniczek z herbatą tak głośno stuka o aparat fotograficzny? Uniosła aparat i włączyła serię automatycznych zdjęć: Alex Korbach zbliża się ze swoim półlunatycznym wyrazem twarzy, zatrzymuje się, zaalarmowany pstrykaniem migawki, wkłada okulary - okulary ma na nosie, nie do wiary! - i w końcu rozpoznaje fotografa.

- Przepraszam, *sir* - powiedziała - czy mogę liczyć na pańskie towarzystwo dziś wieczorem?

Jestem cały pani, *bek, stock and barrel*, czyli z całym kramem - odparł jak należało. W końcu był reżyserem i wiedział lepiej od innych, jak unikać gorzko-słodkiego kiczu. Usiadł obok niej i co najmniej pięć minut milczeli, patrząc na siebie w napięciu, tak jakby zgłębiali każdą zmarszczkę na czole i wokół oczu. Potem on z wahaniem wyciągnął rękę i odgarnął jej pasmo włosów, żeby odszukać znamię na skroni. Znalazłszy, uśmiechnął się, i przypomniała sobie, jak drwił, że to znak przynależności do kasty braminów, tyle że lekko zbłąkany w bajkowym świecie. W odpowiedzi szybkim ruchem palców, przypominającym błyskawiczny cios szermierza, rozpięła pierwszy guzik u jego koszuli i zobaczyła na piersi maszt okręcika.

Tatuaż ten został wykonany trzydzieści lat temu w koszarach brygady artyleryjskiej, gdzie Sasza wraz z kolegami z roku przechodził szkolenie wojskowe, a raczej, używając bardziej trafnego określenia, miesięczny kurs poniewierania ludzkiej godności. Nieraz Nora mówiła, że okręcił go za daleko.

Wkrótce po tej wymianie w *cafe* pojawił się Bobby Korbach, wysoki młodzieniec w typie „*ngb*”, nie mający nic wspólnego z rap-styłem swojej generacji; taki *preppy-arystokrata*.

- Wyobraź sobie, Bobby, czekałam na ciebie, a tu nieoczekiwanie mój przyjaciel Alex wyskoczył jak diabeł z pudełka - powiedziała obłudnie Nora.

Bobby popatrzył na Aleksa z chłodnym opanowaniem: *how do you do, Mr Alex!*

AJ uścisnął dłoń silnego tenisisty. Zabawne, pomyślał, tego chłopaka też można uważać za Żyda, choć według mojej oceny ma zaledwie  $\frac{7}{32}$  naszych szlachetnych genów, a z wyglądu w niczym nie przypomina warszawskiego kuśnierza.

- Jak tam Rita? - spytała zaniepokojona Nora.

Chłopak roześmiał się.

- W porządku. Jak zwykle coraz młodsza. Mówi: niestety, przegapiłam w życiu jeden ważny moment i postarzałam się, ale od tamtej pory stale mam się na baczności i nigdy nie tracę szansy, żeby odmłodnieć. Wiesz, *tnutn*, prawie mnie przekonała, żeby zająć się biznesem filmowym.

- Co to znaczy, na litość boską? - spytała Nora.

- No, na początek można przejść roczny kurs w szkole filmowej USC.

- Mam nadzieję, że nie mówisz serio, Robercie? - Nora zwróciła się do Aleksa: - Mój syn w grudniu złożył papiery w Bennington. Zamierzał studiować dziennikarstwo polityczne i filozofię klasyczną. To był jego własny wybór! - Znowu odwróciła się do syna. - Mr Alex, jak go nazywasz, ma pewne związki z kinem. Nikt ci lepiej od niego nie wytłumaczy, że kino to targowisko próżności.

Bobby uśmiechnął się jednym ze swoich najwykwintniejszych uśmiechów.

- Zdaję sobie sprawę, mam, że Mr Alex Korbach nie jest pierwszym lepszym klaunem na tym targowisku, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego superprodukcję, o której tyle się teraz mówi.

Nora, niemal w szoku, znowu odwróciła się do Aleksa. Zaczęła lekko wytrzeszczać oczy, pomyślał. I skóra na podbródku leciuteńko obwisła. Ale, Boże jedyny, jaka ona piękna, moja ukochana!

- O jakiej znowu produkcji tyle się teraz mówi, mój drogi?

Alex w milczeniu wskazał dłonią Bobby'ego: spytaj jego.

- *Promieniowanie* - rzekł Bobby skromnie. Najwyraźniej dumny był, że może się popisać dostępem do wewnętrznej informacji Hollywood.

Alex uśmiechnął się.

- Podobał mi się twój klaun, Bobby. Rzeczywiście, z natury jestem klaunem. Na pewno zaś nie jestem dziennikarzem politycznym ani klasycznym filozofem. Cyniczny i próżny tłum - to mój świat. Nie mam wyboru. Ale ty, młody człowieku? Jesteś pewien, że też lubisz jarmark? Szkoda, że nie mogę z tobą popracować na mojej dawnej moskiewskiej scenie.

- Ma pan na myśli The Shooty, sir? - Bobby z satysfakcją wymówił nazwę zespołu po rosyjsku.

Nora uderzyła dłonią w stół.

- Co tu się dzieje? Skąd tyle wiesz o Aleksie?

- U Rity wszyscy mówią tylko o nim - powiedział Bobby i mrugnął do przyjaciela mamy. Robi oko dość sympatycznie, pomyślał Alex. Chyba nie odziedziczył tego po swoim tacie.

- O rany! - wykrzyknęła Nora. - Skoro mówi się o tobie w klubie Rity, to znaczy, że stałeś się prawdziwą gwiazdą w czasie mojej nieobecności!

- W czasie twojej nieobecności gdzie, *mum*? - spytał Bobby niewinnie.

I wszyscy gruchnęli śmiechem, dwuznaczność zniknęła i między członkami tej nielicznej grupki ustaliły się dość naturalne relacje: wiecznie piękna i wciąż młoda jeszcze mama, jej dorosły syn i jej były kochanek. Były? A zresztą nieważne, ważne to, że pozostał prawdziwym przyjacielem, a zatem jej syn nie jest dla niego kimś obcym.

Ci spośród czytelników, którzy znają choć trochę inne *les romans* niniejszego autora, mają prawo zakładać, że po wybuchu życzliwego śmiechu cała trójka pójdzie na kolację, i to, ma się rozumieć, do Coupole. Bez względu na to, jak skromna byłaby liczba tych czytelników, musimy powiedzieć, że mają rację i że nasz szacunek dla nich jest odwrotnie proporcjonalny do ich liczby. Jestem przekonany, że obecnie udadzą się oni w ślad za naszą trójką do świątyni obżarstwa na Montparnasse. Co do nas jednakże, to nie udamy się ślad za wielce szanownym *maitre* Francois Rabelais'm i nie będziemy epatować czytelników takimi rzeczownikami i przymiotnikami, jak ochlapusy, zasrańcy, obżartuchy, gówniane worki tłuszczu czy tłuste worki gówna; my będziemy się trzymać stereotypowej grzeczności, będziemy nawet nalegać, by nie

towarzyszyły one w Coupole naszym bohaterom i nie wykazywały żadnych przejawów amikoszonerii. Nawet autor, jak zauważyli szanowni czytelnicy, stara się sprawiać wrażenie, że nie zna tej trójki, chociaż siedzi obok, nastawiając uszu. Niewykluczone, że Sasza Korbach poznał autora, w każdym razie rzucił na niego kosę spojrzenie i krzywy uśmiezek, jakby mówiące: „No i po co te nieustanne próby podsłuchiwania cudzych rozmów? Czyżby szpiegowanie rzeczywiście stanowiło drugą naturę waszej profesji, bezwstydni powieściopisarze?”

Jeśli chodzi o naszą piękność, to nie zwracała uwagi na osoby postronne, a jedynie rozkoszowała się nieoczekiwanym spotkaniem jednocześnie z dwiema istotami, które były jej najbliższe na tym świecie, i tylko chwilami czuła jakieś niezrozumiałe ukłucia smutku. Bobby Korbach natomiast, jak prawdziwy młody człowiek wszelkich epok i kultur, nie czuł żadnych ukłuć, tylko był szczęśliwy, że siedzi jak równy w pierwszorzędnej restauracji ze swoją *tnutn* i jej *boynendem*, o którym tyle słyszał, i to z różnych źródeł. Gawędząc niewymuszenie, starał się ze wszystkich sił, by dorównać wiodącym członkom przyjacielskiego kręgu swojej babci.

- Spójrz, Nora! - wykrzyknął Alex. - Twój chłopak nie jest pozbawiony zdolności aktorskich! Powinniście jeszcze raz przemyśleć jego przyszłość!

- Cóż to, naprawdę chcesz zdeprawować mojego „surowego młodzieńca”? - niby to złościła się Nora.

Ona z kolei opowiadała zabawne historyjki ze swojej niedawnej praktyki archeologicznej, również starając się naśladować poszczególne osoby, zwłaszcza gdy mowa była o „wielorybie prac polowych”, profesorze Lilienmannie. Na początku każdego sezonu wykopków zazwyczaj przestawał się golić i strzyc włosy. Im głębiej zanurzała się ekspedycja w kulturowe warstwy przeszłości, im bogatszy był depozyt artefaktów, tym bardziej starożytny i majestatyczny stawał się Lilienmann. Niczym biblijny prorok siedział w umazanej ziemi tunice na szczycie wzgórza, rzucając od czasu do czasu jakieś zdanie to po łacinie, to po hebrajsku, to znowu w tym, co uważał za język sumeryjski - zależnie od tego, gdzie pracowali. Jednak najbardziej uderzająca metamorfoza miała miejsce, kiedy wykopki się kończyły. Starannie ogolony, ostrzyżony na jeża, w pierwszorzędnie skrojonym garniturze, zjawiał się w tłumie naukowców na konferencji i był piekielnie rozdrażniony i obrażony, kiedy współpracownicy go nie poznawali.

Sasza Korbach także nie był dłużny. Zaczął opowiadać o swoich stosunkach z zawodowcami z Putney. Pewnego razu przyprowadzili cały tłum ekspertów od fechtunku. Po prostu osłupieli,

kiedy powiedział im, że w filmie fechtunku nie będzie. Film na temat trzynastego wieku bez stali w rękach, bez potoków krwi? Zwołano posiedzenie zarządu w celu przedyskutowania tych sprzeczności. Powiedział wówczas, że coś zbliżonego do tradycyjnej hollywoodzkiej walki wręcz będzie miało jednak miejsce, kiedy grupka gwelfów natknie się w wąskiej uliczce na grupę gibellinów. Po wymianie obelg obie partie złapią za rękojeści mieczy. Walka się nie odbędzie, albo raczej pozostanie poza kadrem, ale taki epizod jest bardziej dramatyczny, niż wszystkie te wasze beczki żurawinowego soku, *ladies and gentlemen*. Po naradzie jeden z producentów złożył rezygnację. Stwierdził, że nie zamierza pracować nad „z założenia przygnębiającym, zgniłym, pretensjonalnym i dekadentckim tworem tak zwanej sztuki wysokiej”. Widzisz więc, Bobby, że mimo całej kasy twojego dziadka wątpliwe jest, czy Putney zrobi kiedykolwiek *Promieniowanie*.

W tym momencie Nora zauważyła, że syn zamarł z otwartymi ustami. Wyglądało na to, że chciał o coś zapytać, ale potem się przestraszył swojej zuchwałości. W następnym momencie Alex do reszty oszołomił chłopaka.

- Słuchaj, Bobby, nie znalazłbyś chwili czasu, żeby przeczytać to i nanieść swoje uwagi?

- Alex! - zawołał Bobby szeptem. - Pan ma na myśli swój scenariusz, prawda?

Alex rozpiął błyskawiczny zamek teczki i wyciągnął ciężki plik ze znakiem firmowym Putney Production na okładce. Nie wierząc własnym oczom, Bobby wymamrotał:

- I pan mi to daje, żebym przeczytał, tak?

- No jasne, mam przy sobie dwa egzemplarze.

Do Nory dotarło, że egzemplarz, który z nabożną czcią trzyma w rękach jej syn, był przeznaczony dla niej. Teraz otrzymał go Bobby. *Maitre* chce poznać gusta nowego pokolenia. Sasza, biedaku, nie zdajesz sobie sprawy, że Bobby Korbach nie jest przedstawicielem szerokich mas widzów? A zresztą, niech tam sobie wymienia poglądy. Najwyraźniej mają chęć się zaprzyjaźnić. Po raz drugi tego wieczoru przepłynął nad jej głową temat koncertu Griega. Obejrzała się i zauważyła, że co najmniej dziesięć osób obserwuje ją ze smutną sympatią w oczach. Zdawało się, że wszystkie wonie wyrafinowanej kuchni gastronomicznego pałacu zastąpiła słodka i bolesna melancholia. Dwóch mężczyzn przy jej stole jakby zapomniało o jej obecności. Pograżeni byli teraz w rozmowie o istocie Renesansu. Co to było: odrodzenie wielkiej tradycji klasycznej sztuki i literatury po trudnym do wyjaśnienia tysiącletnim okresie degeneracji, czy nowy triumf ciała nad nieśmiałym duchem, grzechu pierworodnego nad pierwotną czystością niebios, a jeśli prawdą jest to drugie, to jaki związek z Renesansem ma Dante?

Skurczybyki, nawet im do głowy nie przyjdzie, że kobieta też może mieć coś do powiedzenia na ten temat, choćby na temat archeologicznych podstaw Renesansu. Zaraz wybiorę sobie faceta spośród tych, którzy wcześniej się na mnie gapili, i zacznę go kokietować. Rozejrzała się i doznała rozczarowania: nikt nie zwracał na nią uwagi, wszyscy zajęci byli starannym przeżuwaniami pożywienia.

Wiadomo, że Francuzi traktują posiłek jak uświęcony rytuał. Jaka koncepcja Renesansu istnieje tutaj, w ogromnej sali Belle Epoque? Jeśli knajpa jest dla nich rodzajem kościoła, to ta niewątpliwie musi być katedrą. Wystarczy spojrzeć na postawnego *tnaitre d'hotel* o bujnych brwiach, który kroczy środkiem sali niczym biskup. Wygląda na to, że ma zamiar powiedzieć coś ważnego, wezwać gości do oddawania się rozkoszy z jeszcze większym nabożeństwem.

Uwaga, uwaga, *mesdames et monsieurs!* Facet z brwiami unosi ręce w stylu cyrkowego mistrza ceremonii. Przede wszystkim pozwolą państwo, że powiem, iż jestem niezwykle szczęśliwy, że dany mi jest zaszczyt podziękowania państwu w imieniu kierownictwa i całego zespołu, włącznie z dwojgiem naszych kulinarnych czarodziejów, *monsieur Pussana* i *madame Faton*. Moi nadzwyczaj szanowni goście, wiemy doskonale, iż nasza historyczna instytucja bywa od czasu do czasu miejscem akcji tej czy innej powieści, często obcojęzycznej. Nawiasem mówiąc, właśnie ma to miejsce, drodzy państwo. Wiadomo nam, że wśród naszych stałych gości obecni są ludzie, którzy nie doceniają należycie przygotowywanych w natchnieniu dań, sztuki i kultu Coupole de Montparnasse, a raczej zaangażowani są w rozmowy o sprawach postronnych, jak na przykład o wewnętrznych sprzecznościach Renesansu. Możemy także przyjąć, że wśród bawiących tu dzisiaj dam jest jedna, której śmiech nie brzmi jak manifestacja absolutnej rozkoszy i której oczy za tęczęwkami pełne są smutku.

Mam nadzieję, drodzy przyjaciele, że spotkam się z ogólną aprobatą, jeśli zwrócę się do tych nieoczekiwanych gości, tak zręcznie zidentyfikowanych przez nasze służby specjalne, ze słowami: witajcie, kochani! Zgodnie z naszą znaną na całym świecie tradycją mówimy im: cudzoziemcy, nie jesteście dla nas ciężarem! Jesteśmy przekonani, że wcześniej czy później i wy zechcecie zgłębić tajemnice naszej świątyni. I by udowodnić naszą gościnność, prowadzimy dziś zbiórkę na cele charytatywne! Zapraszamy wszystkich państwa do wniesienia swojego wkładu! *Allez-y!*

Mała, ale wyrobiona orkiestra zaczęła w tym momencie cichutko grać potpourri nieśmiertelnych standardów, w rodzaju *Shadow of Your Smile, Dreatn a Little Dreatn, Over and*

*Over*, co przywiodło Norę na krawędź placzu. Dwu maleńkich Annamitów wtoczyło ogromny, obficie złożony półmisek do zbiórki ofiar. Szli powoli głównym przejściem, zbaczając również w pomniejsze uliczki między stolikami. Nie było wśród gości nikogo, kto uchyliłby się od datku. Niektóre damy zrywały się z miejsc, mężczyźni wstawali z pełnym dostojeństwem. Jedni mieli na ustach półironiczny uśmiezek, inni łzy w oczach. Jedni stawiali na półmisku miseczkę perskiego kawioru, inni ofiarowywali zwykły korniszon. Wyobraźcie sobie rozpiętość cen, po prostu sobie wyobraźcie! Pierwsza warstwa datków szybko pokryła złożony półmisek i zaczęła rosnać, zmieniając się w prawdziwą wonną piramidę.

Niemало było napoczętych dań: kawałki łososia i filetów z soli, kupki ziemniaczanego puree w sosie grzybowym, szkieleciki marynowanego śledzia, podobne do robaczków anchois, resztki bulionu z byczych ogonów, ogony oraz łapy homarów i langust, podobne do wiszących u nosa sopli srebrzyste ostrygi, diuny czerwonej kapusty z podobnymi do parasolek brokułami, pewna osobistość, co do której nie wiadomo jakoś, czy jest ona (on, ono) rośliną czy zwierzęciem, a mianowicie jeż morski, a także jego bliscy krewni w gastronomicznych jaskiniach Paryża - mamy na myśli, rzecz jasna, połówki cytryn, rogate ślimaki, trawę morską, przywodzącą na myśl włosy syreny, istotne elementy ogólnego bukietu woni - rozmaitych gatunków sery, i wreszcie pozostałości naszych uciech mięsożerców, a mianowicie kręgi jagniąt, nerki cielęce, kawałeczki *filet mignon*, usiłujące wyglądać nie jak fragmenty czyjegoś ciała, a po prostu jakieś abstrakcyjne smaczne pożywienie; również ptactwo, sporo ptactwa, w kawałkach, jak indyki i bażanty, albo i całe sztuki, jak chrupiące kurczaki, na przykład, czy przepiórki, przy czym niektóre spośród nich utraciły już nóżkę albo dwie w procesie ucztowania, przerwane przez dobroczynną ceremonię.

Byłoby nieuczciwością nie wspomnieć tu tych, którzy kończyli już kolację, w związku z czym mogli zaferować wyłącznie elementy deseru, przeważnie zdeformowane już zębami i językami: wszelkiego rodzaju *tartes aux pommes*, *creme caramel*, porzeczkowe sorbety, torty typu „tysiąc listków” i tak dalej. O wartości wkładu nie stanowił, rzecz jasna, w danych warunkach stopień jego nienaruszenia. Znacznie ważniejszy był poryw. Widzieliśmy *mademoiselle* z kręgów literackich, której sztuczne szczęki produkcji radzieckiej zaklinowały się w kawałku jordańskiej chałwy. Bez wahania wyrwała całe to urządzenie z ust i uwieńczyła nim szczyt piramidy, co wywołało ogólny aplauz.

Nora w trwodze patrzyła na powiększającą się piramidę. Wcześniej czy później koło się

zamknie i ofiarny półmisek skieruje się ku osobie, ze względu na którą został puszczonej w ruch, to znaczy ku niej. W końcu jej cierpliwość pękła. Rzuciła się ku mistrzowi ceremonii o krzaczastych brwiach.

- Co znaczy cały ten kicz? - krzyknęła z histeryczną intonacją, której nigdy wcześniej u siebie nie zauważyła, nie domyślała się nawet jej istnienia w głębi siebie samej.

- Pani wie, *madame* - odpowiedziało z ukłonem rozpromienione monstrum.

- W taki oto obrzydliwy sposób demonstruje tu pan koniec mojej miłości?

- To pani powiedziała, *madame*.

Cała restauracja, parę setek konsumentów, wybuchła aplauzem. Potworna góra odpadków zbliżała się, jak gdyby otwierając ramiona swego aromatu, by wziąć Norę w objęcia. Zdumiewający był fakt, że masa zaczęła bardzo szybko gnić, roztaczając duszącą woń rozkładu. No, dosyć, panie autor, zmarnował pan już wystarczająco dużo papieru na to gówno!

Zakończyli kolację i wypiliwszy jeszcze kawę, opuścili La Coupole w znakomitym, przyjaznym nastroju. Na rogu Raspail Alex zaprezentował Bobby'emu drobny przykład swojego błazeńskiego profesjonalizmu. Pracował tam mim, który niepostrzeżenie stawał za przechodniami i imitował wszystkie ich ruchy: wzywanie taksówki, czytanie gazety, całowanie dziewczyny, pojadanie hot-doga z nieodłącznym rozbryzgiwaniem ketchupu. Alex niepostrzeżenie ulokował się za mimem i zaczął imitować jego imitację. Bobby śmiał się jak głupi. No, zaprzyjaźnili się, myślała Nora, patrząc na nich i usiłując zetrzeć z ust coś na kształt macierzyńskiego uśmiechu.

- Przyjdź do mnie jutro o czwartej po południu - szepnęła do Aleksa.

- Czemu tak późno? - odszepnął, okazując znaczną niecierpliwość.

- O czwartej - powtórzyła, i rozstali się.

Poszedł na plac Saint-Sulpice, gdzie dawno już zauważył stojący w cieniu wielkiego kościoła hotelik, który, nie wiadomo czemu, wydał mu się wcieleniem literackiej paryskości. Mam nadzieję, że znajdą dla mnie pokój, pomyślał i przeżegnał się po katolicku. Pomogło. Właśnie w tym momencie, kiedy wszedł do niewielkiego holu ze spiralnymi schodami i statuetką wstydlivej nimfy, portier rozmawiał przez telefon z jednym z gości. Człowiek ów powiadomił, że na parę dni zatrzyma się na policji i z tego powodu odwołuje rezerwację.

AJ wszedł do maleńkiego pokoiku z oknem wychodzącym na imponującą fontannę ozdobioną marmurowymi posągami. Spadająca woda dawała wrażenie spokojnie mijającego

czasu. Usiadł na łóżku i zaczął patrzeć na postaci surowych biskupów, potężnych lwów i dosyć sprośnych morskich potworów. I jedno, i drugie, i trzecie stanowiły wyzwanie wobec nieludzkich praw materializmu. A równocześnie jakiś spokój płynął od całej tej kompozycji: co było, zdawała się mówić, to przeszło.

Chciała uratować naszą miłość i zrobiła to. Uratowana miłość odeszła w przeszłość. Bezwrotnie. Istnieje gdzieś poza naszym czasem. Dla Dantego Beatrycze była wysłanniczką Niebios. Błok drżał w cieniu wysokiej kolumny, gdzie z cerkiewnej kopuły spływał na niego obraz Piękną Damy. Obaj byli młodzi w czasie swoich mistycznych spotkań, nie zdeprawowane jeszcze dusze. W odróżnieniu od tych wielkich my z Norą spotkaliśmy się już jako pożałowania godni rozpustnicy. Pragnęliśmy wielkiej miłości, a nie umieliśmy jej sobie wyobrazić bez rznięcia, bez oszalałego spółkowania, tak że nasza wielka miłość była skazana, dopóki ona jej nie uratowała. Nieodwołalnie. Myśli te bez końca krążyły mu po głowie, dopóki nie zasnął w paryskim hotelu, w pokoju, który tak niefortunnie zarezerwował dla siebie kibic-chuligan z Liverpoolu.

Następnego dnia o czwartej po południu zastukał do drzwi pokoju 609 w hotelu Lutece. Drzwi otworzyły się i przez próg ujrzał nieznaną młodą istotę. Przepraszam, chyba się pomyliłem. Nie, nie, nie pomylił się pan, *sir*! Proszę wejść i robić wszystko, co panu przyjdzie do głowy. No oczywiście, to była ona, mimo krótkiej, ostrzyżonej na chłopaka fryzurki. Miała na sobie obcisłą czarną sukienkę na ramiączkach, odsłaniających nagie ramiona. Piersi były ledwie przykryte. Rąbek sukienki znajdował się praktycznie na wysokości wzdórka łonowego. Jedynymi solidnymi częściami jej toalety były wielkie białe adidasy i długie białe skarpetki.

Ogarnięty nagłą, nieopanowaną żądzą, wtargnął do pokoju, złapał Norę za ramiona, zapieczętował jej usta swoimi i rzucił jej ciało w poprzek szerokiego łóżka. Okazało się, że jest bez majątek, tak że jego penis nie napotkał żadnej przeszkody w dążeniu do jak najszybszego maksymalnego wnikięcia. Znalazłszy się pod nim, piszcząc i pokrzykując, kontynuowała odgrywanie roli paryskiej paniąki.

- Czy pozwoliłby pan, żebym zdjęła buty, «r? - szepnęła, kiedy przechodzili do swojej ulubionej pozycji kolanowo-łokciowej.

- Nie waz się! - ryknął w odpowiedzi. Sam tymczasem zrzucal sztuka po sztuce swoje szmatki. W pokoju królował półmrok rozpusty.

Ciekawe, ile ludzi pieprzy się teraz w całym Paryżu, myślał, jak zwykle niezbyt stosownie. W tym momencie zauważył, że Nora patrzy gdzieś w bok, poszedł wzrokiem za jej spojrzeniem - to było ciemne lustro. W jego mętnym odbiciu dostrzegł starego, łysego rozpustnika gwałcącego śliczną uczenniczkę. Lekko ugryzł ją nad łopatką. Pisnęła żałośnie, co dokładnie mieściło się w jej roli. Ona także ma swoje zdolności aktorskie. Tak naprawdę u każdego pod powierzchnią zwykłego zachowania kryją się zdolności aktorskie. W każdym człowieku żyje niezły aktor i w określonych okolicznościach może się ujawnić. W tym wypadku w warunkach niezmordowanie grzmocącego chuja. Nawiasem mówiąc, pokój wypełniał mysi zapaszek kokainy.

Przy kolejnej zmianie pozycji - tym razem Nora usiadła na wierzchu - rozpoczął kolejną rundę niestosownych refleksji. Jakimi dziwnymi jesteśmy stworzeniami! Tak dziwnie jesteśmy cieleśni, mamy tyle organów tak dokładnie do siebie pasujących. Dlaczego nie stworzono nas w jakiś inny, mniej poplątany, bardziej powietrzny, bardziej eteryczny sposób? Dlaczego jest tak, że wyraz najwyższej miłości nie może zostać osiągnięty bez wtykania określonego wyrostka (po angielsku nazywa się to *shoot*, prawda?) w określone wydłużone zagłębienie? Dlaczego nie może się to odbywać w jakiś mniej zwierzęcy sposób, powiedzmy poprzez zetknięcie pewnych powierzchni, oddychanie usta-usta? Stanowimy kombinację dziwnych dla oka procesów. Wszystko, co jemy, choćby było najsmaczniejsze, zmienia się w gówno, które wychodzi z nas przez otwór położony tuż obok organu miłości. Cóż to jest, jeśli nie skutek grzechu pierwotnego? Może pierwotna koncepcja była inna, ale potem na jakiś czas została zawieszona? I my, nieszczęsne twory, jesteśmy właśnie dziwnymi fantomami tego „jakiegoś czasu”, który bez nas nie istnieje?

Dziwne, ale te fundamentalne idee błędzące po jego umyśle nie miały żadnego wpływu na spektakl odbywający się poniżej pasa. Po każdej ejakulacji - a było ich już trzydzieści w procesie „gwałcenia uczennicy” - jego fallus natychmiast wracał do pozycji bojowej. Będziemy szczerzy, zanotował on czas i teraz z tępym uśmiechem rejestrował, że minęło już trzysta siedemdziesiąt minut, a wciąż nie wiadomo, ile tych błogosławionych minut jest jeszcze przed nimi.

W końcu „uczennica” wyrwała się z jego objęć i z na poły szalonym wyrazem twarzy usiłowała uratować swoją wymęczoną, krwawiącą strefę od kolejnej rundy bezlitosnego dymania. Trudno było sprawić mu większą radość, czy komuś tam w nim: zaczął gonić biedactwo po pokoju, od ściany do ściany, aż złowił ją w drzwiach jedynego możliwego schronienia, łazienki. Wcisnęła się w kąt na podłodze i błagalnie złożyła ręce. Dostyc, proszę!

Zatrzymaj się! Ja już nie mogę! Usiadł obok niej, ujął jej dłonie i zaczął całować je tak namiętnie, jakby to były najbardziej wrażliwe części jej ciała. Potem bez sprzeciwu z jej strony rozłożył jej nogi i znowu wszedł.

Zegarek tykał. Patrzył na ruch wskazówek i myślał z tępą satysfakcją, jak dalece pobił własny rekord. Nie będę zdziwiony, jeśli pobiłem też rekord Lutece. Trzeba spytać portiera w drodze powrotnej, jaki mają rekord. Podobno w Ocziczornii jest rekordzista, któremu nie wystarcza dwóch godzin na jeden stosunek. Teraz i on okryty jest hańbą, razem ze wszystkimi swoimi wspomagaczami i zastrzykami papaveriny. Ale mimo wszystko powinienem wyrazić jakąś litość, jakieś współczucie dla mojej partnerki. Zgodnie z tym, co twierdzi Artur Schopenhauer, współczucie to jedyna rzecz, która odróżnia nas od zwierząt. Ścisnął jej biodra i z przeciągłym wyciem wstrzelił w nią wreszcie całą swoją wewnętrzną treść, bez reszty. Dwa ciała rozdzieliły się i natychmiast zasnęły.

Kiedy się obudził, zobaczył, że Nora siedzi w fotelu, ubrana w zwykłe dzinsy i podkoszulek, z papierosem w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej. Oprócz chłopięcej fryzury w niczym nie przypominała niedawnej rozpustnej uczennicy.

- Nie kochasz mnie już - powiedziała ze smutkiem.

- Tak myślisz? - Niezręcznie mu było z nagością. Jego organ przypominał teraz żalosego wróbelka, a nie zwycięskiego orła, jakim widział go po raz ostatni.

- To nie mnie ciupciałeś - powiedziała. - Kogoś innego. Wiesz kogo.

Poszedł do łazienki i wrócił z ręcznikiem okręconym wokół bioder.

- Wiesz przecież, Noro, że nie mam na świecie nikogo bliższego od ciebie.

- Wiem - skinęła głową. Po chwili dodała: - Ale to inna sprawa.

Milczał. Smutek wysysał z jego wnętrza resztki tego, co jeszcze zostało. Wreszcie powiedział:

- Pożałuj mnie, proszę, kochana.

- Żałuję - wyszeptwała. I położyła mu dłoń na połyskującej czaszce. - Biedny błazen.

Opowiedz mi o swoim ojcu.

Drgnął.

- Co ja ci mogę opowiedzieć o człowieku, którego nigdy nie widziałem na oczy?

- Wiesz co - powiedziała.

Opowiedział.

- Dzięki Bogu, to prawie dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam - westchnęła. - Pamiętasz, Sasza, co ci opowiadałam po powrocie z orbity? Nielatwo mi było otworzyć nawet dla ciebie tę moją tajemną szkatułkę. Dlatego czekałam, że otworzysz przede mną twoją. Czułam, że jest to w jakiś sposób związane z ojcostwem. Najpierw myślałam, że uważasz się za zdrajcę wobec Lwa i Stiopy, i dopiero potem zaświtało mi coś idącego w głąb do Jakowa Korbacha. W mężczyźnie zawsze żyje chłopczyk i chłopczyk ten pragnie znać ojca. Kiedyś i Bobby zażąda ode mnie odpowiedzi, kto...

- Nie martw się, nie zażąda. Bobby doskonale wie, kto jest jego ojcem.

Nora poczuła, że wchodzi w strefę turbulencji.

- O czym ty mówisz? Jak może wiedzieć to, czego nie wiem nawet ja, jego matka? Po prostu wtedy, pośród tamtego durnego, szalonego życia zapragnęłam mieć dziecko, to wszystko.

Alex musnął wargami jej dłoń.

- Wiesz co, zamknijmy ten rozdział naszej opery mydlanej. Dawno już się zorientowałem, że twój pierwszy mąż, rewolucjonista Danny, zbieg oskarżony przez FBI o zabójstwo dwóch policjantów, wpadał do ciebie w tamtym czasie. Właśnie on jest ojcem Bobby'ego.

Minęło w milczeniu co najmniej pięć minut. Ręka Nory parokrotnie sięgała ku nocnej szafce, najwyraźniej po środek uspokajający, ale cofała się. Parę razy próbowała odgarnąć długie włosy, po czym uświadamiała sobie, że już ich nie ma. Wreszcie powiedziała:

- Skąd Bobby może wiedzieć? Nigdy mu nie mówiłam o...

Alex wzruszył ramionami.

- Barthelme mógł odwiedzać syna w szkole w Szwajcarii.

Głos Nory przeszedł w pisk.

- Powiedział ci o tym?! Wczoraj?! Jak wyszłam do toalety?!

Ostrożnie ujął jej dłoń w swoje.

- Uspokój się, Noro, proszę. Bobby nie powiedział nawet słowa na temat swojego życia.

Gadaliśmy o Renesansie.

Wyrwała dłoń.

- To skąd wiesz?!

Widział przed sobą zmrużone, niemal wrogie oczy.

- A skąd ty wiedziałaś o moich snach o ojcu? Jak wyczułaś tę dziwkę w białych kapciach? Obojgu nam trudno utrzymać przed sobą cokolwiek w sekrecie.

- Ubierz się i zostaw mnie samą - powiedziała spokojnie. - Zasypiam. Rozstańmy się znowu na długi czas. Jedź, gdzie tam masz jechać - do Hollywood, do Rosji? Pocałuj mnie ostatni raz i znikaj!

Nie zdążył nawet opuścić pokoju, kiedy zasnęła, zwała się w ciemną jamę bez źdźbła światła.

Obudziła się z uczuciem całkowitej niemożności poruszania się. Nie była w stanie poruszyć ani ręką, ani nogą. Przed nią siedział jej syn Bobby. Uważnie wpatrywał się w jakiś punkt nad jej głową. W nieznanym lustrze na nieznannej ścianie zobaczyła jego plecy w kraciastej koszuli, potem siebie samą, rozpostartą na łóżku w otoczeniu rurek, a za łóżkiem metalową skrzynkę z migającymi czerwonymi światełkami. Następnie usłyszała podekscytowany głos syna: „Monique, ciśnienie się podnosi! Osiemdziesiąt na czterdzieści pięć! Dalej rośnie! Dziewięćdziesiąt pięć na pięćdziesiąt pięć! Wychodzi z tego!”

W następnym momencie Norę zalało uczucie bezgranicznej miłości do swojej jedynej latorośli.

Zmuszeni jesteśmy przypomnieć czytelnikowi, iż wciąż jeszcze znajdujemy się w parametrach dziewiątej części powieści, a dokładnie mówiąc, w samolocie Galaxy-Korbach, który zakończył już nocny przelot nad Oceanem Atlantyckim i pogrąża się coraz głębiej w atmosferze kontynentu europejskiego. Jak wiadomo, przy tego rodzaju ruchu czas zostaje w pewnym stopniu pożarty przez astronomię i samolot, który wyleciał z Nowego Jorku o północy, zbliża się do Moskwy dopiero pod wieczór, jak gdyby leciał nie dziesięć godzin, a całe osiemnaście.

Wszyscy jeszcze spali lub drzemali, z wyjątkiem generała Piu i pułkownika Square'a, którzy grali w karty, kiedy z kokpitu dał się słyszeć głos majora Ernie Rotterdama:

- Dzień dobry, chłopaki, a raczej dobry wieczór! Zbliżamy się do miejsca przeznaczenia. Za godzinę z czymś lądujemy na SVO. *Madame de Lux*, załoga przypomina, że w pani dyspozycji znajduje się znakomity ekspres do kawy.

W ślad za najwyższymi emerytowanymi rangami, które, jak widzimy, już czuwały, wstał emerytowany starszy sierżant Ben Duckworth, natychmiast gotów na wszelakie perypetie losu, włącznie z syberyjskimi kopalniami soli, o których sporo słyszał jako młody żołnierz na kursach przygotowawczych.

Przeciągnęła się wszystkimi członkami i stewardessa powietrznego statku, będąca w pewnym sensie również jego gospodynią, niezrównana Bernadetta. - Do diabła - powiedziała ochryłym ze snu głosem, który w środku dnia zmieniał się w nadzwyczaj efektywny kontralt, a nocami zdarzało mu się dźwięczeć nawet w częstotliwościach koloratury. - Do diabła, mam nadzieję, że uda mi się w Moskwie wyprowadzić na spacer moje sobole!

W Nowym Jorku była nieustannym obiektem ataków jednej z organizacji zajmujących się obroną praw zwierząt futerkowych. Pod budynkiem Fundacji Korbacha, gdzie Stanley i jego piękna dama mieli skromny prywatny *penthouse* o powierzchni zaledwie trzech tysięcy trzystu stóp kwadratowych (aby otrzymać wynik w metrach, należy podzielić tę liczbę przez jedenaście), niemal bez przerwy dyżurował patrol tej organizacji. Zaledwie nasza p.d. wyłaniała się z holu w jednym ze swoich trzydziestu trzech futer, natychmiast rzucali się ku niej aktywiści z plakatami: „Dość morderstw!”, „Ręce precz od zwierząt futerkowych!”, „Płynie z pani krew!”,

a także z okrzykami chłuszczącymi znacznie dotkliwiej niż owe teksty. Kiedy indziej ten czy ów młodzieniec - oddajmy sprawiedliwość szlachetnym pobudkom - podązał za nią i obryzgiwał jej ślady czerwoną farbą.

W takich sytuacjach Bernadetta, rozpiąwszy futro i wzięwszy się pod boki, to znaczy prezentując miastu to, co, jak zaznaczała, należało teraz tylko do Stanleya, zaczynała się drzeć w poprzednim stylu kierowniczkini zakładu na wybrzeżu Pacyfiku: „A wy kim jesteście, durnie? Co macie na nogach, skurwysyny? Skórę! Kto nosił tę skórę na grzbiecie, zanim zmieniła się w wasze buty? *Fuck off!* Teczkę skórzaną taskasz, w mordę, a kim była wcześniej ta teczka? Co żarłeś dziś na śniadanie - kotleciki, kiełbaski, kurczęta? Proszę bardzo, bierzcie moje futro, rozszarpujcie, barbarzyńcy! Zeżryjcie je sobie, *motherfuckers!*” No, jednym słowem, Nowy Jork. W Moskwie, miała nadzieję, nic podobnego zdarzyć się nie może.

Cała ekspedycja zbierała się obecnie wokół owalnego stołu na śniadanie. Witali się wzajemnie w nowy, ale zakorzeniony już w otoczeniu prezesa sposób - zamiast *How are you doing today?* mówili *How are you dying today?*, mając na myśli filozoficzny aspekt życia człowieka jako nieustającego umierania. W odpowiedzi należało roześmiać się optymistycznie: *Pni dying fine!*

Kiedy samolot zaczął zniżać lot, Sasza Korbach usiadł przy oknie i spróbował wyłączyć się z chichotu „umierającej” kompanii. Powiedział sobie, że musi zobaczyć pierwsze mgnienie otwierającej się przed nim, nie widzianej od siedmiu i pół roku ojczyzny.

Ernie Rotterdam z klasą prowadził maszynę przez kilometrową warstwę chmur otaczających Kraj Rad. Widzialność była zerowa, a równocześnie zmierzch gęstniał coraz bardziej. Wygląda na to, że wylądujemy w zupełnej ciemności, zdecydował Sasza i w tym momencie przez wołkowe kosmyki pokazała się ziemia wraz z ogromnymi burymi i białymi skórami rosyjskiego pejzażu. To tu, to tam pobłyskiwały już światełka wiosek, a potem na horyzoncie zaczął się wylaniać potężny masyw Moskwy. Sasza przylgnął do okna. Ten oto masyw, nieprzerwana wysoka zabudowa, zbiorowisko kuchni, zsyków na śmieci, wszelakich zasłonek, chybotliwych krzesel i foteli, lodówek Siewier i telewizorów Rubin, rozmaite marynaty i pikle, nóżki w galarecie, taka ich mać, ranne pantofle, rozczochrane kociaki, butelki z mokrym korkiem, porwane kapelusze ze staniolu, serki Viola, które wykarmiły tłuscioszków nowego nacjonalizmu, koncerty muzyki popularnej, wszelakie nieme sceny z kuchennych dyskusji z ostrzegawczo wymierzonym w sufit palcem wskazującym, gitarencje, akordy „Od Finlandii aż

po Chiny leży święty kraj rodzinny”, przy wejściach do klatek schodowych telefony z pourywanymi słuchawkami, windy, w których szansę na to, że runiesz w dół, bliskie są szanse, że wdepniesz w gówno, nieśmiertelne pytanie codzienności „Gdzie pani dostała te kurczaki?”, rozmaite podręczniki Tarasiewicza poplamione atramentem i barszczem, przeżute nerwowymi wargami ustniki papierosów, zaciąganie się dymem aż do całkowitego wpadnięcia policzków, „nie pożyczylby mi pan dychy do wypłaty?”, uspokajająca jazda figurowa w telewizji: 5,8; 5,9; 5,9; 5,7 (skurwysyn, nie nasz); 6,0; 6,0 - hura! znowu złoto! a tu, proszę, Szokolad Szokoladowicz, ten z orzechami, Fantazja, zdaje się, no, ten z baletnicą, a może porowaty, gorzko-słodki

Sława, czyli prawie Rostropowicz, uczucie przytulności przy szklance herbaty i tabliczce Sz. Sz., otwiera się lufcik, wieje mrozem, noc, gdzieś tam na ciebie czekają, „Taniec łabędziąt” przepływa pod mroźnym niebem niby apoteoza czegoś jeszcze ocalonego, czekoladowego, potem potpourri konferansjerki, nie na darmo dwa wieki mówiliśmy po francusku, nawet czekistowska miotła nie wymiecie tego wszystkiego z gigantycznej metropolii.

Metropolia, chybnąwszy się, uciekła pod skrzydło i Sasza o mało się nie rozplakał. Odszedł z chybnięciem spod okna i zobaczył, że całe towarzystwo patrzy na niego, a wśród nich wyróżniają się oczy patriarchy, z którym sto trzydzieści lat temu poczęli się w tej samej żydowskiej komórce jajowej. Stanley natychmiast odwrócił wzrok, by nie peszyć powracającego do ojczyzny Aleksa, i wszyscy zrobili to samo, tak jakby zwyczajnie przypadkiem spojrzeli w tym momencie na przylepionego do szyby przyjaciela.

Na pasie startowym SVO (tak obecnie na biletach lotniczych skraca się nazwę Szeremietiewo) jakaś zachodnia maszyna skrobała żelaznymi szczotkami zamarznąłą kałużę. Żołnierz straży granicznej stał markotny, z obwisłym nosem. Galaxy-Korbach manewrował ku rękawowi prowadzącemu do wyjścia. Zaskakiwała senna atmosfera powszedniości i niewielki ruch panujący w głównym międzynarodowym porcie lotniczym Kraju Zachodzącego Słońca Rad.

Tuż za kadłubem samolotu, w przejściu, stała nieokreślonego wieku ciotka. Ile to już lat Sasza Korbach nie oglądał radzieckiej ciotki z jej apatyczną, a mimo to w jakiś sposób wrogą fizjonomią, w zmechaconej mohairowej chustce na głowie, w kusym palcie o krzywych połach i zdeptanych, przypominających zdechłe kaczkę półbutach. Co ona robi na tej świętej linii granicznej, dlaczego pierwsza spotyka zagranicznych pasażerów? Witaj, droga towarzysko

kobietę, niezmienną mimo upływu tylu lat! Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaką egzotyką wieje od ciebie na marnotrawnego syna swojej ojczyzny! Za ciotką stał z kamiennym wyrazem twarzy major straży granicznej. Sprawiał wrażenie, że niczego nie dostrzega, po prostu reprezentuje tu zmęczoną, ale wciąż jeszcze nie poddającą się władzę. W miarę jak grupa posuwała się naprzód, wzdłuż ściany ukazywały się kolejne osoby, wojskowi i cywile; wśród nich jedna twarz wywarła na naszym bohaterze szczególne wrażenie. Była zaskakująco blada, oczy zaś drżały w dziwnej ekstazie. Czy wyrażały one nierozsądną dumę, czy też były znużone potwornymi kompleksami ich właściciela? Wszystko w porządku, pomyślał Sasza: najpierw ciotka, potem człowiek z podziemia, a między nimi major, niewzruszony jak Ural.

Delegacja weszła do budynku terminalu. Dość uderzająca grupa ludzi. Mikroskopijny Piu w jaskrawym „księżycowym” kombinezonie, starannie wybranym dla niego przez Bernadettę w sklepie z odzieżą dziecięcą o nazwie „Schwartzie-Morzie”. Superrabelaisowska Gargamella w drogocennym futrze, ożywionym sterzącą główką ukochanego Cookie. Enoch Aghast w czarnym meloniku i w ciężkim, niemożliwie radzieckim palcie z szalowym kołnierzem z karakułów. Sam górujący nad wszystkimi prezes z ogromną pelikanią grdyką, w której, zdawało się, zawarte są wszystkie obietnice skruszonego kapitalisty. No i cała reszta. Czytelnik może ich sobie łatwo wyobrazić bez dalszego opisywania.

Pojawili się jacyś ludzie płynnie mówiący po angielsku, najprawdopodobniej z Wydziału Zagranicznego KC. Mr Korbach, w imieniu kierownictwa witamy pana i pańską grupę na radzieckiej ziemi. W chwili obecnej jest opracowywany grafik waszych spotkań stosownie do oczekiwań, jakie wyraziliście. Ktoś rzucił żart na temat pogody: zaczyna się zamieć, ale nie jest ona w stanie rozwiać naszej przyjaźni. Po drodze do Sali Poselskiej pojawiała się ich coraz więcej, a w sali to już w ogóle zapanował jakiś niesamowity ścisk. Saszy Korbachowi wydało się, że gdzieś tam mignął sam „Michaił”, tylko w peruce i z wąsami, to znaczy w postaci, w jakiej biegał po Pitrze latem 1917 roku człowiek, którego książki „Michaił” do dziś czytał przed snem.

Dość szybko przyniesiono radzieckie wizy, podobne do cieniutkich plasterków gatunkowej szynki. Piu i Leibnitz wypili nieco szampana marki Sowietskoje Szampanskoje i wytrzeszczyli na siebie zdumione oczy. Teraz poprowadzono wszystkich na święte terytorium, któremu, jak ośmielamy się zauważyć, korzystając z autorskiej swobody, zostało jeszcze osiem miesięcy istnienia bez trzech dni. Kiedy posuwali się szklanymi korytarzykami, parę razy napotykali

widok na główną poczekalnię. AJ pomyślał, że wygląda teraz dużo bardziej chujowo niż kiedyś. Ostatnim razem, to znaczy wiosną osiemdziesiątego drugiego, była jeszcze nowa, zaledwie dwa lata wcześniej zbudowała ją RFN z okazji Igrzysk Olimpijskich, a teraz się zestarzała: i szklane tafle pogubiła, i podłogę zachlapano czymś niezmywalnym, a wraz z tłumem wchodziły do środka kłęby mroźnej pary, tworząc zagrypioną, wódczaną atmosferę. Jednakże jako znak nowego w głębi stała zbita grupa demonstrantów z plakatami.

- Czekają tam na was - powiedział facet z Wydziału Międzynarodowego z nieokreślonym, ale obrzydliwym uśmiechem.

- Patrzcie, chłopaki, cały tłum nas wita! - radośnie zawołał Stanley.

Bernadetta w biegu przejechała szczotką po jego rudej grzywie.

Minęli jeszcze jeden zakręt i przez załatane kawałkiem dykty drzwi wyszli dokładnie na wprost owego stojącego niczym przed szturmem tłumy. Sasza Korbach o mało nie oślepl, zanim jeszcze włączono telewizyjne światła. Potężny błysk tłumy. Dziesiątki, jeśli nie setki kochanych, bliskich twarzy płonęło niesamowitą radością. „Sasza-a-a-a-a!” - westchnęła przestrzeń. Co najmniej tuzin plakatów powtarzał jego imię: „Sasza Korbach, hura!”, „Witaj, Sasza!”, „Saszka, znów jesteś z nami!”, „Jesteśmy z tobą, Sasza!”, „Sasza, Piter jest twój!”, „Sasza, ściska cię Arbat!”, a nawet „Karabach wita Korbacha” - ale największy i najbardziej jaskrawy, z jego własną roześmianą małpią gębą, głosił: „Saszka, twoje Błazny żyją!”

W tym momencie zapłonęły reflektory paru dziarskich pieriestrojkowych programów: *Wzgljad*, *WID*, *Piatyje kokso*, i paru nowych, młodych *anchormen* - Listiew, Lubimow, Mołczanow, Swietlicznyj - rzuciło się ku niemu wraz ze swymi operatorami. Pomysł z wywiadem nie należał do najbardziej udanych. Tłum napierał, nie zwracając uwagi na media. Bohater dnia kołysał się w kolejnych objęciach niczym krążownik „Aurora” pośród fal po ucieczce z cieśniny Cuszima.

Nagle wszyscy odstąpili. Na zwolniony placyk wyskoczyli, przy muzyce do dawnego spektaklu *A-Z (Książka telefoniczna)* błazny-pionierzy: Natalka Motałkina, Brązowy Mag Ełozin, Szurik Szurnięty, Lidka Grzechotnik, Tigrasza, Port Odessa, Mark Nawalony, pozostałych nie mogę sobie przypomnieć ze względu na wzruszający charakter momentu. Fikali koziołki, nie bojąc się osteoporozy, kręcili salta, nie zwracając uwagi na niewydolność naczyń, robili szpagat, w nosie mając problemy ginekologiczne i urologiczne. Uwaga, sam Saszka zdejmuje swoje zahartowane w bojach angielskie palto (on już tu w nim chodził, dacie wiarę?) i przyłącza się do

bachanaliów. „Kręcić! Kręcić!” - krzyczą do swoich operatorów pieriestrojki władcy myśli. Ktoś wtyka mu w rękę gitarę. „Saszka, to twoja, w siedemdziesiątym piątym ci ją zabrałem, kolki podciągnięte!” Z tłumu lecą tytuły jego starych piosenek: „Łachalin, Sasza!”, „Walnij *Otchlani*”, „Dawaj *Delikatesyl*” I Sasza wali, rąbie i daje ku ogólnemu zachwytowi, jeśli nie szaleństwu ukochanej publiczności.

Obserwując z kąta opisywaną scenę, rozgrywającą się wśród fontann radzieckiego szampana, naciągając czapkę z kociego futra na i tak ucharakteryzowaną twarz, M. Gorbaczow rozmyślał. Nie, nie pomyliliśmy się co do Saszy Korbacha. Nieoczekiwanie znalazł się na pierwszej linii ruchu. Mimo wszystko w naszym zwapniałym Biurze Politycznym wiele osób nie docenia potęgi żywiołowego entuzjazmu pieriestrojki. Może nie miałem do końca racji, przechylając się w prawo, promując Janajewa i opierając się na Jazowie i Kriuczkwie. No ale mimo wszystko nieprzyjemnie było stać Pierwszego Maja na świętej trybunie Mauzoleum i słuchać dobiegających z tłumu nietaktownych okrzyków: „Won z Kremla, czerwone świnię!” Oj, delikatny to był moment, niewesoły, z tych, co to spalają wszystko na popiół. A jednak może na próżno sprowadziłem wtedy towarzyszy z trybuny i poszedłem na prawo? Może trzeba było pójść naprzód razem z falą, stanąć na czele rozstrzygającej fazy procesu? Wszystko jest takie złożone, a nie ma się kogo poradzić! Przecież nie amerykańskiego miliardera Stiepana Dawidowicza! Jakie koła stoją za jego programem pomocy? Och, jakie to skomplikowane!

W tym momencie tłum uniósł Saszę Korbacha na ramionach i zaczął podrzucać do góry.

Podczas pierwszego wlotu zauważył w oddali do bólu jakąś znajomą trójkę radzieckich obywateli. Podczas kolejnego zobaczył delegację Fundacji Korbacha z górującą głową prezesa. Niczym ubodzy krewni stali pośrodku wiwatującego tłumu. Przy trzecim podrzucie złapał wzlatającą tuż obok butelkę i, spadając w miłujące ramiona, zdołał pociągnąć z niej łyk. Za czym tłum poniósł go ku wyjściu, na mokrą moskiewską zamieć.

- *How do you like our Lavsky? Isn't it sensational?* - wykrzyknęła de Lux.

- *Thafs exactly what I have expected as far as Alex is concemed* - zauważył Lester Square.

Stanley w milczeniu przyłożył do oczu rękawiczkę i wszyscy pozostali poszli za jego przykładem.

W oddali trójka zauważonych przelotnie przez Saszę radzieckich obywateli zalewała się łzami. „Saszeńka, Saszeńka” - powtarzała matka. „Nic a nic, nic a nic... Ani odrobinę...” - chlípali przyrodnia siostra i brat.

- Gdyby nie było pieriestrojki, takie spotkanie nie miałyby miejsca - powiedział, przechodząc obok, nie rozpoznany przez nikogo M. Gorbaczow. Przemilczał fakt, że to właśnie z jego sekretariatu poszedł przeciek na temat powrotu Saszy Korbacha.

### Three points of view

There was a man of well known a nation,  
He was worth of a modest quotation.  
Having beer once he said,  
You can grasp outset,  
You cannot understand termination.

Once a pirate was freed from a jail.  
He has grumbled whilst hoisting his sail,  
There is a sense in the end of detention,  
No sense in its bloody inception,  
As you turn into filthy a snail.

Mused a huge crocodile in the Nile  
After loading his spacious file:  
There are no the onsets, or ends,  
Only bliss for your digestive glands,  
Just completion as long as a mile.

## **Część dziesiąta**

19 sierpnia 1991 roku Aleksander Jakowlewicz Korbach po raz kolejny - zdaje się, ósmy w ciągu roku - przyleciał do Moskwy bezpośrednim samolotem z Nowego Jorku. Do regularnej deformacji mojego życia między uczelnią a kinem dodaję teraz jeszcze deformację istnienia między dwoma krajami, myślał. Czas już w ogródku się grzebać, zachody słońca oglądać, budzić się wraz ze świtem, w ciągu dnia pochrapywać nad *Moraliami* Plutarcha, a ja miotam się po planecie niczym młody tenisista. Chociaż, co prawda, starzy skrzyppkowie jeżdżą teraz tam i z powrotem jeszcze częściej niż młodzi tenisiści.

Terminy jego lotów często jakoś pokrywały się z terminami światowej sławy wirtuoza Oskara Belvedere. Razem jadali obiady w pierwszej klasie, przyzwyczajeni zakrapiane, po czym Oskar natychmiast zasypiał, ledwie zdoławszy powiedzieć: „Przepraszam, Sasza, ale czeka mnie siedem i pół godziny gry”. Przebywając, powiedzmy, na miesięcznych gościnnych występach w Japonii, zdążył w tym czasie na życzenie swojego agenta polecieć dodatkowo do Zurychu czy Adelajdy. Budząc się w elektronicznie sterowanym fotelu, równoległym do pokładu samolotu, Belvedere z miejsca zabierał się do golenia, cytując przy tym typowe żydowskie mądrości w rodzaju:

- Dopóki człowiek żyje, jest niereformowalny, przyjacielu. Nie, nie, proszę nie dyskutować!
- Chyba ma pan rację - odpowiadał AJ - w każdym razie my, Żydzi.

W czasie pierwszego przyjazdu, osiem miesięcy temu, Stanley zaproponował mu kierowanie radzieckim programem fundacji: jesteś tu przecież popularny jak u nas, nie przymierzając, Elvis Presley. Oprócz popularności jest jednak coś więcej. Pewien młody moskiewski dziennikarz powiedział mi: Sasza Korbach to jeden z niewielu u nas ludzi, którzy mają prawo wypowiadać się na jakikolwiek temat. Dla Rosjan jesteś swój, nie jakiś tam amerykański Żyd. Dzięki twojemu kierownictwu unikniemy posądzeń, że Fundacja Korbacha to agenda CIA i że naszym celem jest zburzenie radzieckiego potencjału.

Bieżąca sytuacja nie dawała na razie podstaw do tego rodzaju obaw. Pierwszy, grudniowy przyjazd zakończył się pełnym sukcesem. Prasa i telewizja obwołały amerykańskiego magnata przyjacielem i fanatykiem rosyjskiego oświecenia. Spotkanie delegacji z kierownictwem Kremla totalnie oszołomiło telewizyjnie myślący kraj. Po jednej stronie stołu obrad zasiedli - obok

Gorbaczowa - Ligaczow, Janajew, Łukianow, wszystkie partyjne szelmy warte siebie nawzajem. Po drugiej stronie znalazła się interesująca kolekcja indywidualności, jakich nie widywał do tej pory naród rosyjski: wypolerowany do połysku prawnik, którego każdy uśmiech zdawał się zachętą dla ludzi partii, by nie próbowali sztuczek - i tak się na nich poznamy; obok niego jakiś zagadkowy Annamita, nieustannie cmokający językiem, tak że Gienka Janajew za każdym razem aż się wzdrygał; dalej po rycersku niezależny Negr o wspaniałym pasie barkowym, najwyraźniej nie z Uniwersytetu im. Lumumby; potem jakiś starzec o silnie żydowskiej powierzchowności, jak chodziły słuchy, znany hollywoodzki agent, spozierający jednakże na Słowian jak gdyby z głębi stuleci judaizmu; i wreszcie dwie najbardziej zwalające z nóg osobistości - luksusowa dama lekkich obyczajów o imponujących zderzakach, ale w profesorskim pincenez, oraz przywódca całego towarzystwa, górujący nad wszystkimi mocarz, przypominający raczej podstarzałego Tarzana niż Ilję Muromca. Jedynie nieliczni widzowie domyślali się, że mają do czynienia z bohaterami naszej powieści.

Rozmowy zakończyły się niezwykle pomyślnie dla obu stron. Strona radziecka odniosła się ze zrozumieniem do życzenia strony nieradzieckiej, by wesprzeć sumą pół miliarda dolarów upadające gałęzie radzieckiej gospodarki, a mianowicie naukę, edukację, ochronę zdrowia, słowo drukowane (uratowanie radzieckich grubych czasopism, tego bezcennego wkładu w światową kulturę literacką) i sztukę (subsydiowanie kina radzieckiego, które uległo samospoieleniu). Strona amerykańska uzyskała zgodę na otwarcie w Moskwie własnej filii, w którym to celu zostało jej przydzielone pomieszczenie na poziomie standardów światowych i za stosowną cenę w gmachu RWPG, gdzie pokryte węgierską skórą fotele już rok stały odłogiem po serii sprawnie przeprowadzonych „aksamitnych rewolucji”. Ktoś powie: drogo, ale cóż robić, zaczyna się gospodarka rynkowa. Na koniec zorganizowano serię bankietów, zakończoną efektowną prezentacją fundacji, na którą przybyły osobistości wprawiające moskwian w stan osłupienia: Stella, Luka, Arsen, Mana i jeszcze jacyś o dwusylabowych imionach, w sumie chyba ze dwa tuziny. A tych kto niby zapraszał, zdziwił się AJ. Okazało się, że nikt. Przychodzą bez zaproszenia, a jeśli nie przychodzą, sprawa jest zakończona.

Jednym słowem, wszystko szło po prostu wspaniale, jeśli nie brać pod uwagę dziwnych aluzji, jakie pojawiały się czasami w rozmowach z oficjalnymi osobistościami. No na przykład minister kultury, sympatyczny gość o szerokich kościach policzkowych, Sybirak, pyta, czy to prawda, że Fundacja Korbacha propaguje ideę żydostwa? Stanley zaczyna z uśmiechem, ale na

poważnie opowiadać mu o Spisku Głupców Syjonu. Minister uśmiecha się inteligentnie, potem jednak mówi, że lepiej nie eksponować tej specyfiki. Nie będziemy w stanie przyjmować waszych fundacji, jeśli ta specyfika będzie eksponowana.

To działają sowieckie instynkty, wyjaśnił AJ. Dają im pieniądze w otwartej kopercie, a oni żądają w zaklejonej. I nikt specjalnie nie dziękuje za pomoc, zauważyliście, chłopaki? Wielu z nich myśli po dawnemu, że kapitaliści wyciągną ich za pomocą liny, na której sami następnie zostaną powieszani. To Lenin tak ich uczył, dorzucił Ben Duckworth. Niech żyje 82. desantowa, wykrzyknął Alex.

Pewnego razu zaprosił się do Stanleya, zajmującego staromodny apartament klasy lux w hotelu Nacional, pewien nonszalancki Rosjanin, który w czasach zimnej wojny szwendał się po Stanach w związku z jakąś działalnością artystyczną, czy też z walką o pokój, no, coś w tym stylu. A pamiętasz, Stanley, jak kiedyś u Cyrusa, w tenisa, nieźle było, no nie? A, to o to idzie! Pozarządowe rozmowy tam, gdzie się mopsa myje, w Pugwash Village w Nowym Jorku. Norman Cousins zaczął nas wtedy nakłaniać, żeby rozmawiać z Rosjanami. Trzeba z nimi rozmawiać, rozmawiać i rozmawiać, wtedy porzucą swoje zbrodnicze plany. Głównie Rosjanie tam mówili. Sowietci przywozili całe kupy jakichś uczonych, ci wygłaszali górnolotne łgarstwa i przy pierwszej okazji rozbiegali się po okolicznych centrach handlowych. A ten, o, chodził sobie niezależnie od nich. Nie pamiętam, żebyśmy grali w tenisa, ale pamiętam, że cały czas robił jakieś aluzje, puszczał oko, po czym nagle rzucał się do pianina i gwałtownie brał pasaża.

Teraz wypowiada się nieco sensowniej. Daje do zrozumienia, że byłby pożyteczny w roli prezesa moskiewskiego oddziału fundacji. Miga mnóstwo nazwisk z końcówkami - ow, - owa, - in, - ina, - enko, - atsky; no, to już wybaczenie. Wyciąga z teczki jakieś książeczki i wpisuje dedykację: *For my deer friend Steniu*. Drugie przypomina u niego z, tak że wychodzi nie tak znów źle, „deer frenz”, to znaczy prawie „oszałały jeleń Stanley”. „Oszałały jeleń” wsuwa palec w jedną z książeczek. Jakieś antystalinowskie rewelacje. W życiu nie przeczytam tyle tekstu, chyba że będą to *Moralia* Plutarcha.

Wszystcyśmy się postarzel, i tego żelaznego lisa też już nadzarły mole. Mimo wszystko oszałały jeleń to nie jest towarzystwo dla nadzartego przez mole żelaznego lisa. Gość, zdaje się, rozumie ogólny nastrój. A, właściwie to niespecjalnie liczyłem. Sam się usuwa, he he. A tak w ogóle to w pewnych kołach mówi się, że Korbacha wysłało do Moskwy CIA. Stanley wyciąga pantagrueliczne ramię nad stolikiem z prasą i poklepuje lisa w kolano, sterczące niczym

w rzeźbie Maxa Ernsta. Tyle pan jeździł po Stanach, Gene, a i tak nie zorientował się pan w naszej hierarchii.

Tak czy owak, znaki ostrzegawcze zostały rozrzucone, główna zaś myśl była prosta jak fajka: nie wyobrażajcie sobie, że jak dajecie pieniądze, to od razu jesteście gospodarzami. Stanley jednak, jako doświadczony szachista, w odpowiedzi na intrygi na flankach zrobił ruch królową: mianował szefem oddziału moskiewskiego swojego kuzyna w czwartym stopniu. Istnieje mnóstwo okoliczności przemawiających za tą kandydaturą. Po pierwsze, jeszcze Rosjanin, a już prawie Amerykanin. Po drugie, nie jest to zwykły Rosjanin, a niemal krajowy idol. Po trzecie, jest to „jeden z tych, którzy w ogóle mają prawo otwierać usta na jakikolwiek temat”, zgodnie ze słowami młodego dziennikarza. Po czwarte, chociaż Żyd, to nikt go tu za takiego nie uważa: to nasz Sasza Korbach! Przy takim szefie mało kto kupi dezinformację o CIA.

- Znasz tu wszystkich - powiedział Stanley do Aleksa - między innymi wielu łajdaków. Dysponujesz umiejętnościami fizjonomisty, zauważyłem to. Z tobą jako szefem mniej drzew nałamiemy. Wiem, że Lester miał ochotę na to stanowisko, ale teraz widzę, że tutejsze skurwiele nie ścierpią tego faceta w Moskwie. Zbyt wiele nocy spędził, obserwując zza rzeki, z ambasady brytyjskiej mury Kremla. A poza tym, zauważyłeś coś szczególnego w skrzydełkach jego nosa? Skrzydełka te jakoś mówią otoczeniu: ech, wy, ruskie głupki, znam ja was razem z waszymi śmierdzącymi flakami, przede mną nic się nie ukryje! Aparatczyki nie wytrzymają takiej arogancji, a rezygnować z władzy, jak widzę, nie zamierzają. Będą się jej czepiać aż do całkowitego rozpadu. Żal mi Rosji prawie tak samo jak tobie, a Lesterowi, zdaje się, nie za bardzo.

- Wasza Wysokość, *fuck your truck* - zaczął błagać Sasza Korbach - tego już za wiele jak dla mnie! Czarny Sześcian w Pinkertonie i Beethoven Street w LA, nie mogę ich rzucić! W Putney gotowi są dawać film do produkcji choćby jutro, wszystko *zależy* jedynie od podpisu Quentina Landry. Nasz Wieczny Żyd prowadzi teraz negocjacje, a kto jak kto, ale on dobrze wie, że czas to pieniądz. No i wreszcie jak mogę plunąć na moje Błazny, na tego dobrego diabła z paszczą rozwartą w chichocie i pragnieniu?

- W dobrej formie dzisiaj jesteś, korbachowski potworze z paszczą rozwartą w chichocie i pragnieniu! - zaśmiał się Stanley i od tego śmiechu jakaś młoda gębusia zaczęła wyskakiwać z pokrytego starczymi plamami podgardla, niczym kangurek z mamusinej torby. - Tyle tu nagadałeś, że tak czy owak z niczym się nie wyrobisz, niezależnie od tego, czy będziesz szefem

fili moskiewskiej, czy nie. W związku z tym opowiem ci krótką historię z mojej żołnierskiej przeszłości.

No więc tak: baza *marines* na Aleutach, przygotowujemy się tam do desantu. Mróz jak cholera, a mój przyjaciel Galsworthy co noc chodzi do Eskimoski Kordelii. Nigdy nie wraca przed sygnałem gaszenia światła, ale rano za każdym razem widzę go, jak smacznie śpi na sąsiedniej pryczy. Hej, *fucking* Galsworthy, jak ci się udaje trafić do baraku z pominięciem punktu kontrolnego? Płoty były tam tak wysokie i tak oblodzone, że nie przelazłby przez nie nawet Tarzan. Jak w ogóle udaje ci się przeżyć, skoro nocą jest tu minus trzydzieści Fahrenheita? Właśnie to mnie ratuje, mówi Galsworthy. Przerzucam płaszcz przez płot, a wtedy już nic innego mi nie pozostaje, tylko pokonać tę cholerną przeszkodę.

- Mądra przypowieść - pokiwał głową AJ. - Bardzo lubię, jak idiotyczne wojenne historyjki zmieniają się w mądre przypowieści i pomagają zarządzać miliardami dolarów. No cóż, przerzucam płaszcz!

Tak zaczęła się bardzo dziwna, ale, jak się okazało, w pełni możliwa egzystencja, którą nazywał moskiewskim okresem *shuttle*. Irlandzka sztuka odbiła się wówczas w Czarnym Sześciannie szerokim echem, co pozwoliło mu wycygnąć u administracji giętki rozkład zajęć. Pojawiał się obecnie w kampusie, kiedy chciał, ale mimo wszystko nie rzadziej, niż osiem razy w ciągu semestru. Aleksander Jakowlewicz wpadł na pomysł, by połączyć Błazny i Beethoven Street w tak zwany Amerykańsko-Radziecki Kartel Teatralny. Dwa rozdzielone ogromną przestrzenią zespoły zaczęły przygotowywać spektakl-hit *Cztery temperamenty* na podstawie sztuki meksykańskiego marksisty-apostaty Chapaia Bonaventury. W Putney także wydawało się, że wszystko jest dobrze naoliwione, ale w tym miejscu przyda się nam nieco obszerniejszy kawałek opowieści, by pokazać, jak rozpływała się ta oliwa po dość złożonym mechanizmie.

Po niekończących się dyskusjach - wszyscy w studiu musieli przecież wykazać się aktywnością - scenariusz został wreszcie zaakceptowany. Obie strony, to znaczy reżyser i zespół produkcyjny, miały nadzieję, że w czasie właściwej pracy nad filmem uda się go przekabacić na inną stronę. Na razie dobierano aktorów, którzy mogliby współpracować z jedynie możliwą parą zakochanych, Quentinem Landry i Goldie Belle d'Argent. W gruncie rzeczy dreptano w miejscu, jako że młodzi ludzie stawali się coraz bardziej popularni i, jak to się mówi, rozrywano ich na

wszystkie strony.

Mimo to jednak i tu sprawy szły znakomicie, jeśli nie przesadza się z oczekiwaniami. Szły nawet podejrzenie dobrze, myślał nasz bohater, skłonny, jak i cała pleć męska ZSRR, nie dowierzać sukcesowi. Czasem mu się zdawało, że w gwarze ogromnego biura Putney słyszy tu i ówdzie jakieś dwuznaczności pod swoim adresem. Wchodzi na przykład do windy i widzi, że dwóch szczeniaków wymienia na jego widok ironiczne spojrzenia. A kim wy niby jesteście, gówniarze? Rozumiałbym, gdyby to Bertolucci i Forman mrugali do siebie porozumiewawczo, ale wy, myśliwi polujący na pieniądze?

Sekretarki z Putney zrywają się, jakby to jakiś ich bliski krewny wrócił z więzienia: Alex! Dick marzy, żeby się z panem zobaczyć! Och, proszę wybaczyć, ma teraz u siebie Bertolucciego i Formana, ale ta rozmowa potrwa nie dłużej niż dwadzieścia minut, może tymczasem zajdzie pan do Eda? Ed także marzy, żeby się z panem zobaczyć! Idąc do Eda, czuje za plecami wymianę spojrzeń. Co oznaczają te niewidoczne uśmiešky? Może uważają mnie tu za członka sitwy, a może rażą moje niewyprasowane spodnie?

Zanim zdążył dojść do Eda, od Pete'a wychodzi ni niej ni więcej, tylko Norman Blumsdale. A co tu robi nasz wróg? Gdzie są ukryte karabiny maszynowe? Ropą alaskańską by się zajmował, skurwysyn, a nie kalifornijską kinematografią. Suche kiwnięcie z dystansu, przypominające rekonesans helikoptera. Z gabinetu wyskakuje Ed, klasyczny typ żydowskiego kowboja. Alex, jakże się cieszę, że pan wrócił! Idziemy na lunch! Tak jakbym z powodu lunchu leciał tu z Moskwy.

Lunch lunchem, ale wątpię, czy to za frajer, jak mówią w Ameryce. A Dick przyłączy się do nas później! Nawiasem mówiąc, ludzie są tu tak samo prości, jak wszędzie. Od rana przygotowują się do lunchu. Potem postlunchowe wyjście z lunchu. Dick Putney, Ed Putney - Krieger, Edna Krieger-Nakatone wokół japońskich stołów z *sushi* i poćwiartowanymi ośmiornicami. Mógłby nam pan opowiedzieć, Alex, jak rozwija się działalność Fundacji Korbacha w ZSRR? Chętnie, kochani, ale przedtem, jeśli można, chciałbym się dowiedzieć, czy widzieliście już nasze zdjęcia próbne?

No proszę, i znowu jakieś nieuchwytnie, a mimo to uchwytnie przerzucanie się spojrzeniami trzech ważnych wielorybów, a raczej dwóch wielorybów i gołąbeczki. Zdjęcia próbne, Alex? Ależ to po prostu rewelacja! Prawdziwy z pana mistrz, jeśli chodzi o filmowe środki wyrazu. Pogadamy jeszcze o tym, a na razie niech nam pan powie, według jakich kryteriów rozdzielacie

tam fundusze?

Co to znaczy? Przyznają mu ogromny budżet, mnóstwo profesjonalistów do pomocy, a potem są zdumieni: okazuje się, że i on jest profesjonalistą. To znaczy, że jak Stanley Korbach przyprowdzi tu kozę, to też jej dadzą zielone światło? Zakład, że nikt z nich na oczy nie widział zdjęć próbnych. Zaslaniają się wyświechtanymi komplementami, a tak naprawdę interesują ich, nie wiadomo dlaczego, subsydia fundacji. Czy to Norman wpuścił tu jad ośmiornicy, czy co?

Szkoda, że rzeczywiście nie zemściłem się na nim tak, jak radziła Margie.

Ale właściwie po jakiego czorta interesuje mnie całe to przerzucanie się spojrzeniami, nieuchwytnie uśmiezki, przypadkowo wymykające się słówka, brak zainteresowania moimi zdjęciami próbnymi? Mam pięćdziesiąt dwa lata, a nie zdążyłem jeszcze przeczytać ani Homera, ani Mojżesza. I co, walnę któregoś dnia w kalendarz bez Ajschylosa, Wergiliusza, bez Kanta i Nietzschego? Ile jeszcze żarzących się węgielków zostało z dawnego ognia, rozpalonego przez „nowy słodki styl”? I ile nagromadziło się imitacji, przesyconych chemią głowni z supermarketu? Zajmuję się wszystkim i niczym, zlizuję tylko śmietankę. Z zaszczutego socjalistycznego szakala zmieniłem się w wątpliwego pupilka burżuazji. Cisnąć by to wszystko i pojechać z Norą do Grecji, na malutką wysepkę. Żeby w pobliżu były archeologiczne wykopki, i żeby się w nie zagłębiała. Niewykluczone, że w Lutece poczęła dziecko. A może nawet urodziła? Siedzieć sobie na wysepce na tarasie, w dole morze, w lewej ręce *Iliada*, prawa unosi do ust kieliszek z winem, bosa stopa porusza kołyskę. Starać się trzymać jak najdłużej, tak żeby dziecko zdołało wyrosnąć na mężczyznę za życia ojca. Albo na kobietę. Jednym słowem, żeby umiało samodzielnie polować na drachmy. Ech, co za głupstwa wygaduję!

No ale mimo wszystko sprawy szły nieźle. Trzy teatry wymieniały się pomysłami, etiudami, oprawą muzyczną, a co najważniejsze - aktorami. W Pinkertonie przyznano mu tytuł zasłużonego profesora. Dick Putney przysłał osobisty, wzruszający list, w którym pisał, jak silne wrażenie wywarły na nim zdjęcia próbne Korbacha. Rada moskiewskiego oddziału fundacji, która składała się teraz z wielu wybitnych miejscowych liberalów, to znaczy była skłonna do niesnasek i swarów, za każdym razem witała jego pojawienie się z aplauzem: prezes zawsze jakoś umiał znaleźć proste rozwiązanie dla najbardziej nawet złożonych problemów filantropii.

Spółeczeństwo Moskwy uwielbiało go jak jeden mąż. Wiesz, Saszka, powiedział mu raz stary przyjaciel, muzyk, kiedy tak chodzisz jakby nigdy nic po tylu latach niestnienia, ludzie zaczynają myśleć, że może nie wszystko stracone, jakoś się wykaraskamy, przecież Sasza

Korbach znowu jest wśród nas. Niestety, niemało też było zdrajców pośród tych, co go otaczali - w tym sensie, że wiedział, iż są zdrajcami. Nierzadko tacy ludzie uważali się za naturalnych kandydatów do otrzymania korbachowskiego stypendium i kierowali się wprost do niego z rozpostartymi ramionami: „Sasza, kochany, przecież to ty uczyłeś nas wolności!”

Czasem nie wytrzymał. I ty, kanalio, ośmielasz się do mnie przyłączyć? Przecież wiesz, co ja wiem. Przecież domagałeś się, żeby wobec renegata Korbacha zastosować przepisy stanu wojennego. A do innego: proszę mi wybaczyć, wielce szanowny, że trzymam dłonie za plecami - po prostu nie chcę, żeby zetknęły się z dziesięcioma autorami donosów. Sasza, bój się Boga, jakimi znowu „dziesięcioma autorami donosów”? Z pańskimi palcami, drogi panie, chyba że ma ich pan jedenaście. Odwracał się i od trzeciego, który tyle razy przy butelce przysięgał przyjaźń, a potem odcinał się od niego na piśmie i innym pomagał takie listy formułować. No a z czwartym to już wypadało grać, nawet wymieniać teatralne pocałunki, zanadto bliski był człowiek. Trzeba było udawać, że nie wiesz, jak po twojej wymuszonej przez KGB emigracji nazywał cię Gaponem, i tylko czasem pozwolić sobie zajrzeć mu głębiej w oczy i pomyśleć: zawsze miałeś takie odrażające oczy, mój ekscentryczny przyjacielu?

Wszystkie te loty, trywialne problemy i drgania emocji rozgrywały się na tle rzeczywistego dramatu Moskwy, której mieszkańcy stali w niekończących się kolejkach po „zestaw na zupeł”, to znaczy mizerną kupkę zgniłych kości, i miesili śnieżne błoto z solą, i spoglądali na siebie i na przechodzącego obok Saszę Korbacha z niemym, a czasem i wypowiedzianym na głos pytaniem: co z nami dalej będzie?

Przejścia podziemne pod „Puszką”, to znaczy pod Placem Puszkina, zmieniały się stopniowo w pieczarę o zły reputacji. Tam punki o mętnych oczach i w obwisłych na tyłku dzinsach przeczekiwały zimę, anarchiści i monarchiści wymachiwali gazetkami, przypominającymi wykaz przepisów łaźni miejskiej, pierwsi przedsiębiorcy handlowali jakąś żółtą lurą z palmą na etykietce, kobiety-jelcynistki przechadzały się jawnie z portretami Borysa Nikołajewicza na watomanej piersi, czytelnicy „Moskiewskich Nowości” znęcali się słownie nad komuchami, wykorzystując wszelkie możliwości, jakimi dysponuje język rosyjski: „Skurwysyny pierdolone, obzarli nas, obrzygali, kutasy, padlina, nasze kurwy za granicą na komputery wymieniają!” Tam też znienacka Związek Demokratów rozwijał znienacka trójkolorowy rosyjski sztandar i parł na górę, przebojem, umierać na wolnym powietrzu za ojczyznę, nie umierał jednak, tylko wzbogacał

się o sojuszników: „Precz z czerwonymi!”

Włóczęgi i zamulone kodeiną ćpuny sikały po kątach, ale podstawowa masa szumiała ze wzburzeniem, niczym grecki chór, zwiastun rodzącego się powstania. Wszyscy byli za Litwinami: niech żyją, jak chcą! W mieście rozrastała się druga władza, Rada Najwyższa Federacji Rosyjskiej. Z dwu kardynalnych rosyjskich pytań: „co robić” i „kto jest winien” drugie było już rozwiązane, ale pierwsze, rozdęte do rozmiarów homeryckich, wyło pod „Puszką” niczym w tunelu aerodynamicznym, rozbrzmiewając szyderczym echem.

Przyszło lato. Ohyda odrobinę zmaląła. Dziewczyny pokazały gołe kolana. Myśl zaczęła od czasu do czasu odrywać się od polityki. AJ kontynuował swoje kursy przez Atlantyk i pewnego razu zalecał nieoczekiwanie na „wyspę Krym”, gdzie niegdyś z koleżankami dawał nogę, żeby odetchnąć od bolszewii macierzystego lądu.

Oto ono, jałtańskie wybrzeże, z jego przypyływami i wzlotami żywiołu swobody. Elementem szyku była tego lata zachodnia plastikowa butelka po pepsi. Nalewa się w nią dowolny domowy napój i popija, spacerując. Nie ma statków, nie ma turystów. Lenin jak dawniej wyciąga w błękit czarną dłoń. W telewizorach pułkownik Ałksnis łaskawie daje do zrozumienia, że niedługo już przyjdzie czekać, wkrótce znowu przejmą władzę prawdziwi radzieccy ludzie.

Klienci fundacji, profesorowie od chorób płuc, urządzili piknik na znacznej wysokości, w byłym partyjnym, a obecnie miejskim parku narodowym Czerwony Kamień. Tutaj te łajdaki szlachtowały nasze jelenie, nasz narodowy skarb, wyjaśniali Amerykanom gospodarze. Rozkoszujcie się unikatowym powietrzem płaskowyżu, w którym na kilometr sześcienny przypadają zaledwie dwa chorobotwórcze drobnoustroje. Sasza Korbach stał na krawędzi Jajły, opadającej ku morzu gigantyczną przewieszoną skałą. Dwa chorobotwórcze drobnoustroje unosiły się nad nim, usiłując trafić w nozdrza.

Tegoż wieczoru poleciał przez Moskwę i Helsinki do Los Archangielska, by powrócić do Moskwy wczesnym rankiem 19 sierpnia 1991 roku.

Na lotnisku powitała go Rosę Morrows, która już od pół roku pełniła tu obowiązki dyrektora. Zadziwiające zmiany zaszły w toku powieści w tej prostej dziewczynie z hrabstwa Jornowierbludo. Obecnie, gdy w służbowym kostiumie przechodziła przez hol byłego RWPG, wszystkie wiecznie pętające się tam gbury odprowadzały ją spojrzeniem. Nie można powiedzieć, by specjalnie podobało się to zastępcy Rosę, Benowi Wartemu Kaczki, ale na razie znosił to ze względów dyplomatycznych.

W czasie gdy jechali z Szeremietiewa ku szosie leningradzkiej, Rosę rozłożyła na swojej dyplomatce kupę papierów, które wymagały podpisu szanownego, aczkolwiek trudno uchwytnego szefa. Miała szczęście: tego ranka szosą jechała nie kończąca się kolumna wozów bojowych, normalny ruch był niemal wstrzymany i Alex, nie zdążywszy nawet dojechać do miasta, machnął podpis wszędzie, gdzie trzeba.

Ruch ciągle nie był wznawiany. Na skrzyżowaniu ulokowała się wojskowa milicja drogowa; blade słońce odbijało się od metalowych numerków na piersiach. AJ nie mógł oderwać oczu od toczących się powoli transporterów opancerzonych i czołgów. Chrząszcząca gąsienicami ojczyzna. Cud, że nie rozpętała jakiejś strasznej wojny. Czterdzieści pięć lat rosła moc jej gruchoczącej głowy-tarana. Jednym uderzeniem rozwalić wszystkie europejskie zamki! Właściwie ojczyzna nie miała alternatywy. Hodując ten taran kosztem coraz słabszego ciała, żyła jakby w oczekiwaniu gigantycznej grabieży. Tak jak chanowie Ordy runąć na Zachód i wrócić z łupem! Zostawić za sobą ruiny, tak żeby odbudowywano je aż do naszej kolejnej wyprawy. Dziwne, że ten łańcuch logiczny nie został domknięty. Dokąd ciągnie teraz ta zhańbiona broń, na jakie bezsensowne manewry?

Wtem gliniarze zaczęli przepuszczać samochody. Popłynęły jedną nitką wzdłuż znieruchomiałej kolumny. Fundacyjny taurus miał szczęście znaleźć się w pierwszej partii i wkrótce dojechali do przedmieść, gdzie na dachach domów wciąż jeszcze widniały budzące obecnie pusty śmiech hasła: „Komunistyczna praca - drogą do zwycięstwa!” Nagle znowu stanęli. Całą jezdnię, włącznie z trotuarami, szczelnie wypełniały pełzające pojazdy. Wyły syreny wozów milicyjnych i karetok pogotowia, ale nikt nie ustępował im drogi. Czasem przedzierał się w poprzek motocykl z wrzeszczącymi coś bez sensu milicjantami z drogówki. Koło Dworca

Białoruskiego wszystko stanęło na amen. Taurus został uwięziony na wzniesieniu trasy przechodzącej w ulicę Gorkiego, która też była zapchana na całej szerokości.

- Coś niewiarygodnego - powiedział kierowca, Mark Goldberg, do niedawna pracujący w szpitalu im. Burdenki, gdzie jako chirurg dostawał, według nieoficjalnego kursu dolara, pensję pięćdziesięciokrotnie mniejszą niż obecna, amerykańska.

AJ wyszedł z samochodu. Z mostu można było ocenić skalę wszechogarniającego znieruchomienia. Na paru słupach sygnalizacyjnych bezsensownie zmieniały się światła. W powietrzu unosiły się kłęby spalin wydzielanych przez pracujące na jałowym biegu silniki. Niczym ocieżała, ale nieubłagana Walkiria nadciągnęła i zawisła nad przestrzenią ciemna chmura. Nagle na mgnienie wszystko zostało obnażone - tysiące ludzi zastygłych w rozpacz. Lunał deszcz. Między samochodami stało paru facetów; palili, chowając papierosy w rękawy. Przedał się ku nim.

- Sadowoje zamknięte, chuj w dupę - usłyszał rzucane z irytacją zdania. - Podobno wszystkie mosty zamknięte, chuj w dupę. Całkiem skurwysynom odbiło, chuj w dupę.

- A co się dzieje, chłopaki? - spytał AJ. Jeden z facetów odwrócił ku niemu głowę.

- Jak to, nie słyszałeś? GKSJN w mieście, Gorbacz obalony! Aleksander natychmiast rzucił się z powrotem do samochodu i wyciągnął za rękę Rosę Morrows razem z papierami.

- Idziemy piechotą, Rosę! Przewrót w mieście! Musimy się jak najszybciej dostać do fundacji! Na razie niech pan zostanie w samochodzie - zwrócił się do kierowcy - ale jakby zaczęła się strzelanina, niech pan wszystko rzuca i przedziera się do nas!

- Gdzie strzelanina? Jaka strzelanina? - mruknął Mark. Nawet do Izraela nie pojechał, bo tam strzelają; strzelanina w Moskwie była poza granicami jego pojmowania. W tym momencie coś obok gruchnęło, ale nie był to strzał, tylko gaźnik ciężarówki.

Szybko wydostali się na Gruziny. Tu było cicho. Miało się wrażenie, że w ogóle nic się nie dzieje. Na bazarze Tiszinka szedł zwykły żałosny handelek. Bliżej Presni dały się słyszeć dziwne dźwięki: ryki i jakby odgłos trąb. Nie od razu można się było zorientować, że to podniecone zwierzęta w zoo. Ze stacji metra wylewał się zwykły poranny potok. Ludzie spieszyli w kierunku przystanków trolejbusowych. Tylko na niektórych twarzach dawało się odczytać nieśmiałe pytanie: czy wszystko w Moskwie zostało na miejscu, kiedy mknęliśmy pod ziemią? Tymczasem dwóch młodzieńców w dzinsach, hojnie zaczerpując z wiader bielidła, kończyło pisać na ścianie metrowymi literami: „Precz z GKSJN!” Korbach zatrzymał się.

- Oświećcie mnie, chłopaki, co to za skrót: GKSNI?

- Gnoje-Komuchy-Skurwysyny-Niedonoski - odparli chłopcy, nie odwracając głowy.

Gardło AJ ścisnął nagle spazm zachwytu. Położył dłonie na plecach twórców graffiti. No co jest, wujek? Odwrócili się i poznali go.

- Sasza Korbach! Jesteś z nami?

- No jasne, że z wami, chłopaki! A z kim miałbym być?

Im bliżej gmachu RWPG, tym częściej dostrzegali na ścianach i płotach złowieszczy skrót, ciągnięty przez słowo „precz” i poganiany lagą wykrzyknika. Spotykali grupki ludzi z pasją dyskutujących o sytuacji, wymachujących rękami. W pobliżu gmachu rządu Federacji Rosyjskiej grupki rosły w niewielki tłum. Nagle część ludzi zwróciła się w jedną stronę. Do podziemnego garażu „Białego Domu” wjeżdżał sznureczek czarnych wołg. Dał się słyszeć krzyk: „Jelcyn przyjechał!” Nieskładne okrzyki „hura!” szybko zlały się w skandowanie: „Borys, Borys! Hura! Hura!” Milicja zaczęła rozstawiać wokół budynku chwiejne płotki. W jednym miejscu paru chłopaków toczyło ku przejezdnej części ulicy metalowe beczki. Podjechała wywrotka, wysypała przyczepę piasku. Ludzie wlekli powyłamywane kawałki budowlanych ogrodzeń. Po bokach rosnącej barykady stały dwie wielkie polewaczki. Czyżby mieli zamiar stawiać opór? I znowu wstrząsnął nim potężny dreszcz nieznanego dotąd zachwytu.

Już z tarasu RWPG zobaczył, że poprzez tłum sunie ostrożnie ku „Białemu Domowi” kolumna opancerzonych transporterów. No to koniec, pomyślał, i nagle - o Boże! - dostrzegł na czele kolumny leciutko poruszany słabym podmuchem trójkolorowy sztandar. Osiem wozów zatrzymało się, tworząc linię obrony. W otaczającym tłumie narastało radosne podniecenie.

W holu RWPG panowała w pełni bezsensowna aktywność. Przeciążone windy jeździły tam i z powrotem. Milicja z jakąś szczególną surowością kontrolowała dokumenty, a równocześnie do sąsiedniego pomieszczenia wchodził każdy, kto chciał. W kącie ogromny tłum trwał w oczekiwaniu przed telewizorem. Na ekranie beztrąsko wierzgał nogami królewski balet radziecki. Przeszedł ktoś z malutkim odbiornikiem przy uchu, rzucił w kierunku współtowarzyszy: „«Echo Moskwy». Dywizja Tamańska i Kantemirowska. Półtora tysiąca czołgów, beteerów i beempe”. Rosę Morrows z godnością torowała sobie drogę przez tłum, wypowiadając podniesionym tonem pierwsze rosyjskie zdanie, jakie opanowała: *Paaazwol tietowariszczil*

Pierwszą osobą, jaką zobaczyli w biurze fundacji na dziewiętnastym piętrze, był Saul

Leibnitz. Siedział przy stole przed oknem wychodzącym na rzekę oraz arcydzieło stalinowskiego baroku - hotel Ukraina, niby uosobienie amerykańskiej efektywności informacyjnej. Nieskazitelna koszula, nieskazitelne uczesanie, jeden pośladek, jak zwykle, zwisa z obrotowego krzesła. Wszystkie media pracują pełną parą: słuchawka przy uchu, na ekranie komputera zawartość poczty elektronicznej, z boku w telewizorze nie balet, jak wszędzie, a zadyszany z podniecenia spiker CNN, z faksu płyną kartki ze znakami firmowymi wszelakich towarzystw i komitetów. Zobaczywszy wchodzących, nie przerywając rozmowy, tknął parokrotnie swoim grubym piórem Mont Blanc w kierunku okna. Za rzeką wokół pomnika Szewczenki zbierała się jakaś brygada piechoty zmotoryzowanej.

- *Please, keep me posted* - rzucił Saul w słuchawkę i rozłożył ręce w stronę Aleksa: - Obawiam się, przyjacielu, że skończył się moskiewski karnawał.

Wyciągnął ku niemu plik biuletynów. Gorbaczow odsunięty od władzy. Zatrzymany na Krymie. Nie ma go już. To on sam wszystko urządził, kryjąc się za plecami Janajewa. Wysłany za granicę. Miejsce pobytu Jelcyna nieznane. Aresztowany. Ukrywa się. Uciekł na Ural. Ostankino zajęło wojsko. Oczekiwana jest konferencja prasowa Głównego Komitetu do spraw Stanu Nadzwyczajnego. W jego skład wchodzi wszyscy najważniejsi ministrowie. A to jeszcze jedna ciekawa informacja. Dziennikarz „Liberation”: jak twierdzą wiarygodne źródła, KGB oraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zamówiły na ten dzień 250 tysięcy par kajdanków, nie wiadomo jednak, czy przyszły na czas.

Długo trzymał Aleksander w ręce ten papier. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy, to więcej niż dosyć. Wystarczyłaby jedna dziesiąta. A zresztą, na wszelki wypadek niech będzie tyle, ile zamówiono. Saul i Rosę patrzyli na niego z niepokojem na twarzy. Po co tak długo trzymać przed oczami jakiś papier? Przepływająca obok chmura zatrzymała się na wprost okna i sypnęła krótkim deszczem na plac między RWPG i „Białym Domem”. No i co tak czekasz, spytała. Wstał, wziął płaszcz: wybaczenie, Saulu i Rosę, muszę iść. Trzeba się przewietrzyć. Jakby sytuacja się pogorszyła, idźcie do ambasady. O mnie się nie martwicie. Wszystko będzie *all right*.

Rosę skinęła głową, a Saul podał mu telefon komórkowy: co najmniej raz na dwie godziny niech pan dzwoni i informuje, gdzie się pan znajduje. Podamy pański numer Stanleyowi. Jest teraz w Bangladeszu. Niech pan uważa na siebie.

Już pierwsze muśnięcie moskiewskiego powietrza sprawiło, że przestał być prezesem moskiewskiego oddziału amerykańskiej fundacji charytatywnej, a także utracił swój obecny tytuł

profesora i przyszłą pozycję laureata Hollywood. Przez kilka sekund stał jak posąg, jakby sam był owym Oskarem, a potem machnął czupryną i rzucił się głową naprzód w jesień 1956, w tłum budapeszteńskich chłopaków, czekających pod kinem Korwin z koktajlami Mołotowa na radzieckie czołgi. *Srazařsa za swobodu w swoi siemnadcat' let!* - marzył o tym przez całe życie. Stanąć przeciw nim z bronią w rękach! Walić w ten tępy, rzygający sadłem, opity po gardło wódą pysk bolszewii, stanąć przeciw nim na barykadzie twarzą w twarz, choćby po to, żeby zawołać: „Nie boję się was, świnie!”

Wyszedł z gmachu RWPG i zagłębił się w tłum, który w czasie, gdy czytał biuletyny, zdążył się znacznie powiększyć.

Otoczające go fizjonomie były nad podziw wesołe. Można powiedzieć, że nigdy wcześniej nie widział w Moskwie takiej liczby rozpromienionych twarzy. Tak jakby wszyscy zdecydowali, że mają dziś siedemnaście lat.

Dwóch chłopaków mordowało się z solidną kłodą, zamierzając podeprzeć nią barykadę. AJ zaczął im pomagać. Klnąc, dźwignęli ją na ramiona i skierowali się ku barykadzie, podobni wypisz wymaluj do słynnego socrealistycznego malowidła *Lenin na komunistycznym subotniku na Kremlu*. - Łysy jak zwykle na końcu - nietaktownie, ale dobrodusznie zauważył jeden z chłopaków, nawiązując do tegoż malowidła. Sasza zachłysnął się szczęśliwym, dziecięcym śmiechem.

Co najmniej dwie godziny pracował przy budowie barykady, nosząc worki rozmokłego cementu, sprzęt z budowy, wszystko, co się trafiło, było dobre, choć każdy z budowniczych zdawał sobie sprawę, że ich naiwna przeszkoda zatrzyma czołg T-72 w najlepszym wypadku na kilka minut. Mimo to wszyscy starali się, jak mogli. Był tu zwykły moskiewski lud, nie z katedr uniwersyteckich, ale i nie od sochy. Przywódcą również był popularny radziecki typ „geologa-wspi-nacza-nurka”. Wszyscy wołali na niego Sieryj, co najwyraźniej pochodziło od imienia Siergiej, bo z całą pewnością nie od szarości, jako że facet miał opaloną na kolor miedzi gębę i lśniącą klawiaturę zębów, co było nawet dziwne w kraju, gdzie nagminnie występuje próchnica. Podkoszulek grupy rockowej Maszyna Czasu mówił sam za siebie.

W pewnej chwili zatrzymał AJ i zapytał:

- Słuchaj no, nie mówili ci czasem, że jesteś strasznie podobny do Saszy Korbacha?
- Żeby to raz - potaknął głową AJ.

Rozhuścili we dwóch worki cementu i cisnęli go w środek kupy. Pojawiły się kobiety

z gorącą kawą, świeżym chlebem i pętami radzieckiej kielbasy. Chłopaki robiły sobie jaja, że lepiej nie jeść tej kielbasy, tylko walić nią czołgistów Jazowa.

Ktoś przybiegł z wiadomością, że przy wejściu numer 5 zapisują do oddziałów i wydają broń. Skupiwszy się wokół Sieryja, budowniczo barykady zaczęli przedzierać się przez tłum. Nagle rozpogodziło się. Chmury skręciły za iglicę Ukrainy jakby specjalnie, tak by oświetlić historyczne wydarzenie. Najwyraźniej zbliżało się ono, co instynktownie przeczuwały setki foto - i telereporterów. Wokół sznureczka „naszych” czołgów zaczął się ruch. Wskakiwali na nie młodzi ludzie w krawatach, trzymający pod marynarkami krótkie automaty. Na główny wspiął się prezydent Federacji Rosyjskiej, ze wspaniałą czapką srebrnych włosów. „Borys! Borys!” - zagrział tłum. Całkiem jak na partyjnej trybunie prezydent poprawił krawat, dopiął guzik marynarki, wyjął kartkę i odczytał oświadczenie, które parę minut później wprawiło świat w osłupienie swoim zuchwalstwem. Rosja nie podporządkowuje się swoim własnym czołgom!

W miejscu, gdzie stał Korbach, nic nie było słyhać, przetaczały się jedynie fale okrzyków „Nie przejdą!”, „Wiwat Rosja!”, „Niech żyje Borys!”, „Precz z GKSNI!”. Wraz z innymi wymachiwał ścisłanym w garści beretem i płakał pod rozwijającymi się trójbarwnymi sztandarami. Znów napłynęły chmury. Kto mógł, skrył się pod parasolem. Sieryj puścił w obieg butelkę wódki Cristal: pociągnij i podaj dalej!

Przedzierając się powoli przez tłum, Aleksander zobaczył znajomą, wysoką sylwetkę w płaszczu Aquascutum. Starannie przyczesany, łysiejący kark. Były agent Jej Wysokości, Lester Kwadratowy.

- Les, nie wiedziałem, że jesteś w Moskwie!

Pisarz odwrócił się.

- A ja już dawno cię zauważyłem, Alex. - Zniżywszy głos, odezwał się po rosyjsku: dziwna konspiracja w rosyjskojęzycznym tłumie: - Słuchaj no, za chwilę tu będzie się zacząć straszna *massacre*, no wiesz, rzeźnia. To będzie drugi Tian An-Men, tylko jeszcze gorszy. *Zbliża się oddział Alfa. Jeden oficer Alfa to jak mały czołg, możesz mi wierzyć. Armored cdi over, gas, spinnig bullets, flamethrowers...* no, jak to... miotacze ognia... straszne *grenades!* Total bez litości! - po czym zrezygnował i przeszedł na angielski: - *So we should make oursehes scarce!* *Let's go upstairs, to Rosę!*

- *Tell them Fm fine, wdl you?* - odparł Aleksander.

Square popatrzył na Aleksandra uważnym i, jak mu się zdawało, lekko ironicznym

wzrokiem. A zresztą to, co u Anglika bierzemy za ironię, może być w gruncie rzeczy głębokim współczuciem.

- *So, you stay?*

- *Yes.*

- *With your people?*

- *Exactly.*

- *Take care of yourself, Alex.*

- *See you later, Les.*

- *I hope so.*

Nie spiesząc się i nieustannie pstrykając zdjęcia, Square skierował się ku budynkowi ComEcon, jak nazywają na Zachodzie Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Trzeba oddać mu sprawiedliwość. Zgodnie z jego scenariuszem, atak Alfy mógł zacząć się w każdej chwili. Oddajemy mu zatem sprawiedliwość.

Ciekawe, że niemal identyczną radę otrzymał Aleksander od swojego dowódcy, Sieryja:

- Słuchaj no, ty zdaje się jesteś obcokrajowcem, czy coś w tym stylu? Emigrant? Tak myślałem. Może powinieneś stąd spływać, co? Tu mogą być, sam rozumiesz. Te skurwysyny nie będą się pieprzyć z takimi jak ty. Nawet prawdziwego Saszy Korbacha nie oszczędzą.

AJ roześmiał się.

- No przecież jestem prawdziwy Sasza Korbach, Siergieju, ale nie zamierzam z tego korzystać.

Zdumiony facet wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Niewiarygodne szczęście, że dane mu jest poznać taką żywą legendę, powoli rozciągało się na całą szerokość twarzy. Aleksander Jakowlewicz zaś, wyłączwszy wszelkie hamulce, otworzył przed nim serce.

- Dla mnie, Siergieju, polec w boju z czekistami byłoby ukoronowaniem egzystencji. Szczytem. Jesteś przecież alpinistą, wiesz, co to szczyt. Stałeś tam w ekstazie, i w tym momencie dostajesz kulę, najlepiej mimo wszystko z lewej strony, między żebra, żeby mieć parę sekund na uświadomienie sobie szczytu, których - tych sekund, znaczy - nie będziesz miał, jeśli dostaniesz w głowę. Tak czy owak, jeśli szczyt i kula są nierozdzielne, nigdy nie odejdę na bok. Przecież dawno już przestałem wierzyć, że ten szczyt, no, mówiąc z grubsza wolność, w ogóle istnieje. Przecież i Rosję moją od dawna już uważałem za ślepego konia, pozostawionego w starej kopalni.

Zaskoczony tym monologiem Siergiej, który rzeczywiście był instruktorem bazy wspinaczkowej w Baksanskim Żlebie, patrzył na Korbacha, otworzywszy perłową pieczarę ust z jednym jedynym, prawie niezauważalnym stalaktytem metalowego stopu. Temu facetowi zdawało się najwyraźniej, że jak Ulisses odkrywa jakiś ciąg cudów. Przyjechać w delegację do Moskwy i *znaleźć* się w centrum rewolucji, na barykadzie, poznać na niej samego Saszę Korbacha i do tego wysłuchać skierowanego do siebie monologu, który w przyszłości może się stać popularną piosernką...

Nadal przedzierali się w kierunku gmachu rządu. W końcu dotarli do punktu zapisów. Stali tam już ludzie z ich barykady, odbywały się zapisy do czterdziestej czwartej sotni. Nasz alpinista Sierioża Jakubowicz z miejsca został wybrany na komendanta. Żadnej broni nie wydawano, niemniej pewien kapitan w pełnym marynarskim umundurowaniu zwoływał przez megafon wszystkich, którzy służyli w wojsku; najwyraźniej im zamierzano wydać broń. Podskoczył jakiś z czerwoną opaską: „Pan jest Korbach? Niech pan zostanie, proszę, w tej okolicy. Zaraz po pana przyjdą”.

Coraz częściej migały w tłumie znajome twarze. Sporo było ludzi teatru. Igor Kwaszą z Sowriemiennika poinformował się rzeczowo, w której jest sotni. Będiesz tu stać? Będę tu stać do końca. Wystarczy, wiesz! Całe życie nie było wolno, a teraz dość! Podeszli młodzi aktorzy i aktorki ze studia Tabakowa. Wszyscy się śmiali, zupełnie jakby byli na jakiejś monstrualnej imprezie.

Dzień 19 sierpnia 1991 roku zaczynał już zniżać się ku wieczorowi, a także ku katarom. W artystycznej kompanii, zgromadzonej tłumnie na mokrych stopniach, opowiadano, jak były towarzysz minister kultury ZSRR dał dupy i poparł GKSNI, zwalniając w ten sposób jedną spośród 250 tysięcy par zamówionych kajdanek. W tym momencie włączyły się Błazny - Natałka Motalkina, Brązowy Mag Ełozin, Szurik Szurnięty, Lidka Grzechotnik, Tigrasza, Port Odessa, Mark Nawalony - nie spamiętasz wszystkich w momencie historycznych perturbacji. Zaczęli odgrywać starożytny, przedrabelaisowski kawałek o ministrze kultury, co dał dupy. Wolny lud Moskwy, w tym liczne damy z pieskami, które wyszły o tej porze na spacer ze swoimi ulubieńcami, zachwycał się zaimprovizowanym teatrem, zwłaszcza gdy do zespołu aktorskiego dołączył obywatel Stanów Zjednoczonych Sasza, tak, ten Korbach - występuje z innymi, a przecież dysponuje ogromnymi sumami z amerykańskiego budżetu!

Pod koniec spektaklu ludzie z „naszego rządu” zaczęli wołać, że brakuje papieru do walki

agitacyjnej z uczestnikami puczu. Prosimy, by wszyscy, którzy dysponują papierem, wnieśli swój wkład! Z góry dziękujemy! Sasza Korbach wziął trójkę swoich towarzyszy z barykady i poszli do gmachu RWPG po papier.

W fundacji wszystkie pokoje zalane były światłem. W sali konferencyjnej co najmniej dwa tuziny zgromadzonych wokół stołu jadło tulskie pierniki. Kierownik gospodarczy Matt Shuroff wnosił w potężnych ramionach trzywiadrowy samowar. Należy powiedzieć, że w Moskwie nie tęsknił za swoją ciężarówką i nawet rana spowodowana dramatycznym oddaleniem się Bernadetty, zgodnie z jego wyrażeniem, choć czasem daje o sobie znać, ale już nie krwawi. Ten niepoprawny bajronista z amerykańskiej klasy robotniczej był na nowo zakochany i chyba domyślamy się, w kim, prawda?

Wszyscy zdecydowaliśmy zostać tutaj, wyjaśnił Lester Square. Wrażenia obłączenia nie da się porównać z niczym. Najostrzej doświadczyłem tego w sześćdziesiątym dziewiątym na Komorach, w hotelu Floryda, kiedy do wysp podpływały w ciemności kutry Boba Dinarda. A teraz spójrz na te błakające się ognie za rzeką. Jestem pewien, że to Alfa węższy.

Rosę Morrows była niepowtarzalna w roli obłączonej Amerykanki. Kto by pomyślał, że los wyniesie tak wysoko pracownicę poczty z hrabstwa Jorowierbludo? Bez przerwy wysyłamy protesty i wezwania do solidarności do wszystkich humanitarnych organizacji świata, opowiadała. I otrzymujemy mnóstwo odpowiedzi.

- Chcę ograniczyć nieco tę aktywność, Rosę - powiedział Alex. - Ekspropriacja papieru na potrzeby ruchu oporu. Tak, tak, dziękuję bardzo. - I nagle, jak siedział na krześle, tak zasnął. Dał o sobie znać i *jet leg* po długim locie, i silne podniecenie, które trzymało go w kleszczach od wielu godzin. Tak jakby wyłączono mu prąd.

Obudził się z wrażeniem, że zdążył zaledwie się kiwnąć. Tymczasem pokój był pusty i ciemny, tylko w kącie paliła się przygaszona amerykańska lampa. Ktoś położył nogi AJ na sąsiednim fotelu. Było cicho, tylko z daleka dochodził niezrozumiały potok słów z jakiegoś odbiornika. Wygramolił się z foteli i podszedł do okna Przez parę sekund nie był w stanie nic zrozumieć z tego, co otworzyło się przed nim w ciemnofioletowym półmroku. Moment zagubienia natychmiast odbił się w jego oddechu: zaczął „tonąć” w powietrzu. W panice spojrzął na zegarek. Położenie wskazówek wywołało cios gdzieś w okolicy ucha. Za pięć ósma. Nagle olśniło go: przecież nie zmieniałem jeszcze godziny! Wszystko wróciło na miejsce. Jestem w Moskwie. W Moskwie dokonał się pucz wojskowych. Przesuń wskazówki o osiem godzin do

przodu, wychodzi za pięć czwarta rano, 20 sierpnia 1991 roku. Obraz świata został zrekonstruowany, a nawet wydał mu się w jakiś sposób przytulny, jakby to była wigilia czyichś urodzin i czekano na przyjazd „wszystkich naszych”.

Po niebie cały czas pełzały ogniki helikopterów. W dole na asfalcie stały ogromne kałuże. Deszcz, zdaje się, ciągle nie przestaje padać. Ludzi na placu było jakby mniej, ale wciąż masa. Koło barykady płonęły niewielkie ogniska. W „Białym Domu” oświetlono całe piętro. Mam nadzieję, że zostawili światło dla zmyłki, a sami siedzą w zaciemnionych pokojach. Mówią, że Borys zmienia się w czasach kryzysu. Z ospałego faceta robi się geniusz kontrataku. Wszędzie sterczą trójkolorowe flagi. To znaczy, że pucz nie zakończył się, kiedy spałem.

Zaczął się śpieszyć. Wrzucił do torby pozostawione na stole kanapki i parę puszek piwa. Zbiegł po schodach: windy tym razem stały. Na zewnątrz woniało jakimś paskudztwem, zupełnie jakby hotel Ukraina zmienił się w ciągu nocy w fabrykę mydła. Zarzuciwszy torbę na plecy, podszedł do tłumu.

- Nie widzieliście czasem, chłopaki, Sierioży Jakubowicza?

Ktoś machnął w stronę Pasażu Nowińskiego. Komendant poszedł się przekimać gdzieś tam pod arkadami. Tam. Pod jednym z łuków siedziała grupa chłopaków w bluzach z kapturami. Obok zwalono na kupę plecaki i sportowe torby. Z jednej sterczała kolba automatu.

- Chłopaki, nie widzieliście czasem Sieryja?

Zwróciło się ku niemu parę chmurnych twarzy. Jeden z chłopaków zrobił gest ręką: spadaj, facet!

- O co chodzi? - spytał AJ. - Nie możecie odpowiedzieć?

- Spieprzaj, bo ci przenicujemy tę żydowską mordę - powiedziała jedna twarz spod kaptura. Któryś uśmiechnął się krzywo. Jakaś szorstka wełniana powierzchnia wzbija się za plecami facetów i natychmiast opadła.

- To czubki - wyjaśnił nadchodzący z tyłu Jakubowicz. - Monarchiści. - Był świeży, rumiany i białozęby, jak wczoraj. - W porę się pojawiłeś, Sasza! Zaczynamy akcję!

- Dziwne widzieć tu takich palantów - powiedział AJ głośno, tak by słyszeli, i powtórzył: - Palantów!

Nikt już na niego nie patrzył, a i twarzy nie było widać pod kapiszonami.

Dla uczestników akcji przygotowany był niewielki autobus. Co to za akcja - konceptualizm? Normalnie - jedziemy na Lenińskie Góry demoralizować wojsko. AJ, o nic już więcej nie

pytając, wskoczył do środka. Przed nimi, by mogli przejechać, rozebrano kawałek barykady. Autobus, trzęsąc jak cholera, wjechał na most. Bali się, że za mostem zatrzyma ich patrol, ale jakoś się obeszło. Bez przygód dmuchnęli wzdłuż rzędu śpiących, o ile nie zdechłych czołgów w kierunku Mosfilmu. Tak samo kiedyś wracali ze zwykłych zdjęć, żeby przekazać materiał do obróbki.

W autobusie oprócz ludzi z barykady znajdowali się posłowie Rady Najwyższej, a nawet jeden członek rządu związkowego, profesor Nikołaj Nikołajewicz Woroncow, minister ekologii, jedyny, trzeba tu powiedzieć, z gabinetu Gorbaczowa, który potępił pucz. Obecność Saszy Korbacha wszystkich wprawiała w entuzjazm. Młodzież cię zna, a żołnierze to przecież właśnie młodzież.

Co mamy robić na tych Worobiowych, znaczy na Lenińskich Górkach? Gigantyczny łotr nijak się ma do małego wróbelka, chociaż nie - *worobiej* można zmienić na *worubiej*, *zabi*) złodzieja, coś w tym stylu. Na esplanadzie i dalej w kierunku uniwersytetu stało mnóstwo transporterów opancerzonych. Rozkład moralny najwyraźniej bez przeszkód buszował w jednostce. Tylne luki były otwarte. Z wnętrza uzbrojonych brzuchów dochodziło to chrapanie, to sprośne gadki, a gdzieś tam nawet śpiew pod gitarę: „Z uśmiechem zanurzając bagnet w duszmanchałata twardą pierś”. Wielu żołnierzy włączyło się wokół wyładowanych wozów. To tu, to tam, nie przejmując się obecnością oficerów, słuchano rosyjskojęzycznych rozgłośni z Zachodu. Znany Korbachowi głos z paryskiego studia Swobody wzywał żołnierzy, by nie podnosili oręża przeciwko własnym braciom. Nikt nie zwracał uwagi na grupę cywilów, wyrosłą nieoczekiwanie pośród nocy. Za esplanadą na całej szerokości horyzontu migały wieloznaczne światła Moskwy.

W końcu dał się słyszeć stanowczy głos:

- A ci co tutaj robią? - W otoczeniu podwładnych stał jakiś ważny pułkownik. - Kim jesteście?

- Jesteśmy z „Białego Domu” - brzmiała odpowiedź. - Posłowie i minister. I Sasza Korbach, pieśniarz.

- Poważnie? - wykrzyknął któryś z oficerów. - I Saszka Korbach z wami jest?

- No a jak! Jasne, że z nami! Wszyscy uczciwi ludzie są z nami!

- Jest pan o tym przekonany? - spytał pułkownik.

- A pan jest przekonany o swojej słuszności, pułkowniku? Po co weszliście do Moskwy

uzbrojeni po zęby?

- Przyszliśmy, żeby uratować kraj od anarchii. Zapobiec ruinie.

- A nie zdaje się panu, pułkowniku, że to zwykły przewrót? Prezydent jest aresztowany. Nie wydaje się panu, że to pachnie wojną domową?

- No cóż, pospierajmy się - zaproponował pułkownik i nawet jakby się rozluźnił. Oparł się o balustradę i wyjął papierosy.

Żołnierze i oficerowie tłumnie zebrali się dookoła. Zaczęła się dyskusja. Któryś z posłów zreżymował sparafrazował stalinowski slogan: komuniści przychodzą i odchodzą, a Rosja, nasza ojczyzna, zostaje.

- Nieźle powiedziane - skomentował dowódca.

Jeden z żołnierzyków podniósł rękę jak w szkole.

- Czy mogę mieć pytanie do Saszy Korbach? Sasza, znał pan osobiście Wysockiego?

Gruchnął śmiech. To ci wystąpienie niedouczzonego szeregowca! Nawet w taką noc tylko gitarę ma w głowie! Okazało się jednak, że nie taki to znowu prostak. Za pierwszym pytaniem poszło następne:

- Po czyjej stronie byłby teraz Wołodia Wysocki?

- Po naszej - odparł Sasza Korbach i nie powiedział nic więcej, ale i tego było dość. Podniósł się zgiełk. Ktoś krzyknął: „Hura!”

Wtem z jeepa, który właśnie podjechał, żwawo zeskoczył major i dwu żołnierzy:

- Co się tu dzieje? Dość tej agitacji! Idźcie z nami!

Sierioża Jakubowicz odepchnął rękę władzy:

- Nie macie prawa! Posłowie są nietykalni!

W tym momencie jeden z żołnierzy uderzył go kolbą „modelu desantowego” prosto w twarz. Ta - znaczy twarz - natychmiast zmieniła się w miazgę. Runął na bok i zaczął wypływać skrzepy krwi i odłamki swoich przed sekundą jeszcze nieskazitelnych zębów. Sasza padł obok niego na kolana.

- Sierioża, *are you okay?* - wołał nie wiadomo dlaczego po angielsku.

Sierioża coś tam mamrotał, że niby wszystko w porządku, ale szybko zamilkł. Korbach chwycił go za nogi.

- Chłopaki, bierzcie go! Lecimy do „Skłifa”!

Po kilku minutach zdezelowany autobus mknął przez opustoszałą Moskwę do Instytutu

Sklifosowskiego. Minister i posłowie zostali na Lenińskich Górkach w otoczeniu całkowicie przyjaznych żołnierzy. Poczucie winy rzadko sprzyja upadkowi dyscypliny, ale tak właśnie stało się w tym przypadku.

Nigdzie bardziej niż w „Sklifie” nie czuło się ciężaru obecności Armii Radzieckiej: jednemu z pacjentów czołg zmiądzzył nogę, drugiego przypadkiem przygniół do ściany, a trzeciego po prostu opryskał smarkami płonącej lampy olejowej - no, w ogóle.

- Boję się pomyśleć, co będzie jutro - powiedział do Korbacha kierownik izby przyjęć, profesor Zulkarniejew, który, rzecz jasna, okazał się starym znajomym, wielbicielem Błaznów.

Jakubowicza przewieziono do ośrodka chirurgii szczękowej. Nie mógł mówić, ale oczy miał jasne. Wskazywał nimi chłopakom na Korbacha - znaczy, on teraz jest waszym dowódcą. - Nie pękaj, Sieryj - powiedział do niego AJ w starym żargonie - później zrobimy ci takie zęby, jakich nie oglądał ani Kaukaz, ani Pamir!

20 sierpnia koło południa jechał marszałek Jazów swoim pancernym ZIL-em z Łubianki na Arbat, do Ministertwa Obrony. Czekąło go podjęcie najważniejszej decyzji w jego życiu. Kwadrans temu Kriuczkow powiedział mu, że wszelkie próby osiągnięcia porozumienia z „garstką awanturników” nie przyniosły rezultatu. Nie chcą towarzysze złożyć broni przed partią. Kto by chciał, myślał marszałek. Komu by się chciało przechadzać z założonymi rękami pod ciosami, zmieniając się żywcem w siekany kotlet? Jakbym był po tamtej stronie, to też bym nie chciał. No ale będąc po tej stronie, mogę jeszcze złożyć broń: demokraci nie będą przecież mimo wszystko bić starszego człowieka.

Limuzyna posuwała się naprzód, mijając niekończące się kolumny demonstrantów, dziarsko maszerujących z mitingu na Placu Maneżowym w kierunku „Białego Domu”, to znaczy by wesprzeć renegatów. Rozkazem zamknięcia Prospektu Kalinina, odnotował markotnie marszałek, nikt się nie przejmuje. Jakie to dziwne, myślał. Przecież rozkazy wydaje się po to, żeby je wypełniano. I dotąd, choć chujowo, ale wypełniano. Jakoś nie przypomina sobie choćby jednego faktu niewypełnienia.

W rękach demonstrantów, oprócz uprzykrzonego już do cna - i to zaledwie w ciągu doby! - hasła „Precz z GKSNI!”, widniały obraźliwe, nieudolne pod względem artystycznym karykatury. Przesadnie podkreślały one charakterystyczne cechy członków najwyższego kierownictwa: napuchnięcie premiera Pawłowa, tchórzostwo - szefa ochrony państwa Kriuczkowa, pewną tępotę ministra spraw wewnętrznych Borysa Karłowicza Pugo, swoiście alkoholiczny wygląd p.o. prezydenta Janajewa czy dziwną, niezbyt ponętą bykowatość ministra obrony. Trywialne i pospolite, towarzysze, a nie śmieszne! Popatrzylibyście lepiej na siebie samych! Odpowiedzą jeszcze za swoją zuchwałość wszyscy ci nosiciele karykatur! Niewykluczone, że włącznie z zastosowaniem najwyższego wymiaru. Nie zdajecie sobie sprawy, że kriuczkowowcy mają rozkaz pieczołowicie fotografować wszystkich prowodyrów? Mam nadzieję, że gdzie jak gdzie, ale tam rozkazy są wypełniane?

A tak w sumie to ze strony Nikołaja Fiodorowicza wyczuwa się jakby coś dziwnego. Jakaś kłótność. Czy koniecznie trzeba wszystko zwalać na ministra obrony? Cóż to, nie macie własnych sił zatrzymywania i likwidacji? Gdzie wasza sławetna Alfa? W karty gra pod bramą?

Każecie nam zdławić czołgami takie masy własnego narodu? To przecież nie Czesi, nie Węgrzy, nawet nie Afgańczycy! Po co się drzeć, po co podtykać człowiekowi pod nos nietypowy epizod na Lenińskich Górkach? Pułkownik Mylnikow to wielokrotnie odznaczany oficer bojowy, nie ma na razie żadnych podstaw, żeby podejrzewać go o złamanie przysięgi.

- Mamy kontakt z Mylnikowem? - spytał marszałek swojego adiutanta, podpułkownika Czapajewa. Ten zwrócił ku dowódcy swoją niezbyt proletariacką twarz.

- Nie, towarzyszu marszałku.

Zgaga wypełniła na moment cały przewód pokarmowy ministra obrony.

- Cóż to, cała brygada zniknęła, czy co?

- Na to wygląda, towarzyszu marszałku - odparł adiutant i zamknął się w swojej pseudoarystokratycznej minie.

Jazów odsunął kremową zasłonkę. Natychmiast w pole widzenia wtargnęły bezczelne gęby wzburzonego narodu. Po herbacie, przesraliście całe pokolenie, towarzysze komsomolcy, kochani czekiści ojczyzny! Jacyś gówniarze o kompletnie nieradzieckim wyglądzie szturchają ZIL-a w bok trójkolorową białogwardyjską flagą. Pederasci! Przejechać by się po takich serią z biodra! Tu Kriuczukow ma jednak rację: w imię szczęścia milionów można zlikwidować parę setek degeneratów. Ale jak odróżnić ich od tysięcy tych, którzy dali się omamić?

- Towarzyszu marszałku, Wariennikow na linii - powiedział beznamytnie Czapajew i wyciągnął ku Jazowowi słuchawkę radiotelefonu.

Nie wiadomo dlaczego nie mógł przez moment skojarzyć nazwiska swojego towarzysza broni. To znaczy skojarzył, ale jakby w innym kontekście. „Wariennikow Wal. Iw. (ur. 1923), radz. dowódca wojskowy, generał armii (1978), czł. KPZR od 1944. W cz. Wiel. Wojny Ojcz. dow. pułkiem artylerii. Od 1973 dow. Karpackiego Okręgu Wojskowego. Del. do Rady Najwyższej ZSRR od 1974”. Były to dane z *Radzieckiego Słownika Encyklopedycznego*, rok wydania 1980, w którym dla niego, obecnego ministra obrony, nie znalazła się nawet linijka. Nigdy przed nikim nie ujawnił marszałek Jazów tej zniewagi, ale w duchu nazywał Wariennikowa stalinowskim karierowiczem.

- Słuchaj no, Dmitrij, co się do diabła dzieje? - gderliwie zaczął Wariennikow. - Przecież ustaliliśmy, że Jelcyn ma być zlikwidowany już pierwszego dnia, a ten wciąż harcuje, rozmaitym „pi-pi-si” wywiadów udziela na prawo i lewo!

- Zwracacie się pod niewłaściwy adres, towarzyszu radziecki dowódco wojskowy, rok

urodzenia tysiąc dziewięćset dwadzieścia trzy! - obraził się Jazów. - Czemuż to niby armia ma się zajmować likwidacją przestępcy? Cóż to, nie ma u nas organów ścigania? Dzwoniłeś do Pawłowa, Janajewa? Cała władza jest w ich rękach. Pugo wreszcie - gdzie są jego pododdziały?

- Janajew i Pawłów spici do nieprzytomności. Pugo ma kryzys osobowości. Kriuczkow wszystko zwała na ciebie. Zwariowaliście, bracia? Gubicie państwo!

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? - ryknął Jazów takim niedźwiedzim głosem, że nawet nieskłonny do okazywania emocji Czapajew spojrzał na niego z ukosa.

- Śmiem! - wrzasnął w odpowiedzi del. do Rady Najwyższej ZSRR od 1974. - Wiesz, że cała brygada Mylnikowa przeszła na pozycje wroga?

Jazów, wściekły, cisnął słuchawkę radiotelefonu na podłogę. W tym momencie podpułkownik Czapajew poprosił kierowcę, by zatrzymał samochód, i gdy tylko jego prośba została spełniona, wyszedł na ulicę.

- A ty dokąd, Piotrze Jakowlewiczu? - w rozpaczy krzyknął marszałek młodemu człowiekowi w plecy. - Wiem, nie wierzysz w historyczne posłannictwo Rosji, ale pomyśl chociażby o swojej karierze, gówniarzu! Trzydziestki jeszcze nie masz, a zrobiłem cię podpułkownikiem gwardii! Odpowiadasz praktycznie za cały system koordynacji, nuklearną tarczę obronną kraju! Filozofy pierdolone, dostały się na wyżyny! Pomyśl o swoich dziwkach, o bibliotece! Życiem ryzykujecie, podpułkowniku Czapajew!

Plecy bez słowa odpowiedzi oddalały się szybko i wkrótce zmieszały się z nieprzebranym tłumem wrogów socjalizmu wokół kinoteatru Chudożestwiennyj.

Mniej więcej w tym samym czasie główny czekista kraju Kriuczkow i dowódca pododdziału Alfa generał Karpuchin weszli do sali gimnastycznej tajemnej bazy. Co najmniej stu dwudziestu dowódców wspomnianego wyżej pododdziału zwróciło twarze ku wchodzącym. Z boku można było odnieść wrażenie, że to zlot Dynamo: wszyscy mieli na sobie sportowe dresy, z wyjątkiem Kriuczkowa, aczkolwiek i on w swojej wyszmelcowanej marynarce mógł uchodzić za dającego w kość trenera.

- Towarzysze oficerowie - zaczął Karpuchin. - Poinformowałem kierownictwo o waszej decyzji, by nie wtrącać się w konflikty władzy. Kierownictwo kategorycznie odrzuca wasze argumenty. Pozwolicie, że sformułuję je krótko jeszcze raz na użytek Nikołaja Fiodorowicza?

Oficerowie, z których każdy, zgodnie z tym, co twierdził szpieg literacki Lester Square, mógł

w ciągu paru minut zmienić się w mały czołg, skinęli głowami: formułujcie, Karpuchin! Wielu stało, skrzyżowawszy ręce na piersiach, a równocześnie kołysząc się lekko na sprężynujących nogach, by trenować ścięgnię Achillesa, od których tyle *zależy* w czasie ataku dolną partią ciała. Ulubieniec drużyny, kot Kotofiej, siedział na oknie, pożerając gołębia. Od czasu do czasu jego jedyne oko rozszerzało się niczym przyrząd do widzenia w ciemnościach.

- Główny problem polega na wyjątkowo licznych zgromadzeniach ludności wokół „Białego Domu”. Aby atak zakończył się sukcesem, to znaczy zatrzymaniem i usunięciem przywódców Federacji Rosyjskiej, trzeba by poświęcić minimum trzydzieści tysięcy osób. Biorąc pod uwagę, że wszystko to dzieje się w stolicy naszego kraju, a nie w jakiejś abstrakcyjnej przestrzeni zagranicznej, pododdział Alfa woli nie stawać w szyku bojowym, ażeby nie splamić swojego sztandaru w ocenie historii. Taka jest, biorąc ogólnie, rezolucja. - Karpuchin wzruszył potężnymi ramionami, jak gdyby demonstrując profesjonalną bezstronność.

Oficerowie patrzyli na Kriuczkowa, którego nazwiska nie wymawiało się w ich środowisku, jako że zastępowało je jedno miażdżące słowo Sam. Taka już w tej firmie była tradycja: jakiego by dupka partia nie naznaczyła, w głównym fotelu stawał się Samem bez jakichkolwiek zastrzeżeń. Właściwie w ciągu siedemdziesięciu czterech lat istnienia „zbrojnego ramienia partii” pierwsze zastrzeżenie zostało wypowiedziane dziś.

Kriuczkow odwrócił głowę i polecił swojej eskorcie przystąpić do akcji. Otworzyły się wszystkie drzwi sali gimnastycznej i z wycelowanymi w alfistów maszynami do zabijania stanęła na progach osobista straż Kriuczkowa, wśród nich trzej bracia Zawchozowowie.

- Wszyscy na podłogę! Twarzą w dół! - zakomenderował dowódca plutonu.

Alfisci wykonali polecenie. Doskonale znali sens tej komendy, a poza tym, odmawiając likwidacji trzydziestu tysięcy ludzi, równocześnie nie byli raczej w stanie wyobrazić sobie, że można nie podporządkować się Samowi.

Kriuczkow i jego zastępcy, Bubkow, Bujcow, Bujnow, Brutkow i Brusczatnikow, patrzyli nie bez goryczy na sto dwadzieścia całkiem niezłych pleców i karków swojej gwardii pretorian. Aż do tej chwili wyobrażnia tych generałów w cywilu, przypominających ojców chrzestnych międzynarodowej przestępczości, rysowała całkiem inny obraz. Banda Jelcyna leży plackiem, twarzą do ziemi, którą chcieli sprzedać, a nad nimi stoją z bronią właśnie ci superfaceci, duma wszechwiązkowej bezpieki.

- Towarzysze oficerowie! - zwrócił się do leżących Sam. - Daję wam ostatnią szansę. Tym,

którzy obecnie wrócą do pododdziału w celu wykonania bojowego zadania, zostanie darowany fakt złamania przysięgi. W stosunku do zaś do tych, którzy będą trwać w uporze, zostaną zastosowane przepisy stanu nadzwyczajnego. Macie trzydzieści sekund na zastanowienie! - Wydawało mu się, że w jego głosie zadźwięczała cała stal proletariackich pułków. Czasami myślał o sobie: szkoda, że mam taki pospolity wygląd, nie to co niezapomniany Jurij Władimirowicz, złowieszczy ptak na straży rewolucji! Niestety, czasami przypominam emeryta grającego w parku z kumplami w domino. No cóż, historia zna sporo przykładów rozbieżności między skalą osobowości a skalą powierzchowności tej osobowości; tak to jest. Wielki Lenin, na przykład, nie wywoływał swoim wyglądem efektu dramatyzmu, do diabła, sama jego żelazna wola roztaczała tę szczególną aurę.

Stał teraz, zaciskając piąstki w kieszeniach obwisłej marynarki. Sekund było coraz mniej. Oficerowie leżeli, chociaż ten i ów podnosił od czasu do czasu głowę, by sprawdzić, kto wstał. Nikt nie wstawał. Kotofiej upuszczał z parapetu na podłogę kawałeczki gołębia. Dlaczego oni tak spokojnie leżą, zadawał sobie pytanie Kriuczkow, wyczerpany coraz bardziej. Są przekonani, że nawet Zawchozowowie nie będą strzelać. No cóż, w takim razie koniec gry. Nie będziemy przecież naciskać odebranego Michaiłowi Siergiejewiczowi nuklearnego guzika... Jurij Władimirowicz by nacisnął. I Nikita Siergiejewicz by nacisnął. Poza tym nikt by nie nacisnął. Leonid Iljicz by nie nacisnął. A więc w ten właśnie sposób rozpada się stalowe ciało socjalizmu. Odchrząknawszy z lekka, generał Karpuchin legł na podłodze obok swoich ludzi.

- Zdrajcy! - jasnym, mocnym głosem porządnego koguta wykrzyknął szef KGB i natychmiast opuścił pomieszczenie. W ślad za nim ruszyli zastępcy - Bubkow, Bujcow, Bujnow, Brutkow i Brusczatnikow, przytłoczeni już ciężarem troski o własną przyszłość. Nawet ludzie z Alfą, wyczuleni przecież jak mało kto, nie zauważyli, jak zniknął pluton najbardziej osobistej ochrony. Na miejscu niedosłej egzekucji leżały porzucone supertajne superautomaty, których każda kula wywołuje w organizmie miniaturowy wybuch atomowy. Rzecz jasna, oficerowie zainteresowali się tą bronią, którą niedawno im obiecano, ale jeszcze jej nie dostali.

Bracia Zawchozowowie tymczasem stawali na uszach z pośpiechu. Trzeba było zdążyć „wyczyścić” pokoje: spalić legitymacje partyjne i przepustki, stopić tajne metalowe znaczki, wylać do kibla trucizny. A także należało jak najszybciej opróżnić pomieszczenia ze swojej własnej obecności. Jeśli chodzi o generałów, to ich kroki rozbrzmiewały w przeszklonych przejściach pośród tajnej podmoskiewskiej choiny. Niejednokrotnie już rozplýwali się w mroku,

ale za każdym razem kot Kotofiej namierzał ich plecy swoim podczerwiennym okiem. By zwiększyć efekt symbolizmu, o Teofilu, dodamy, że na wpół zjedzony przez kota gołąb uleciał w powietrze i wrócił do własnego gniazda.

Mniej więcej w tym samym czasie, a może godzinę czy dwie później, przewodniczący Związku Pisarzy Radzieckich S. W. Michałkow usiadł w swoim mieszkaniu przed japońskim supertelewizorem. Przyodziały w kaszmirowy kardigan i wielbłądzie kapcie, zaczął oglądać niktzemny, by nie powiedzieć antyradziecki program CNN. Dom S.W. znajdował się całkiem niedaleko od centrum wydarzeń, które obserwowało oko wroga. Wystarczyło przeciąć Sadowoje Kolco w miejscu, gdzie pęcznieje ono w plac Powstania, przejść obok wysokiego gmachu, tego monumentu silnej i szczodrej władzy, która oświeciła swoim triumfującym blaskiem dojrzałą młodość Michałkowa i z twórcy wierszyków dla dzieci uczyniła go pierwszym piórem w państwie, skręcić w lewo, i oto on - niczym widmo majestatycznych lat trzydziestych wznosi się „Biały Dom”, symbol buntu lat dziewięćdziesiątych. Budowla ta zawsze wydawała mu się ucieleśnieniem niewzruszoności, ostoją i esencją całego Związku - i oto się zachwiała.

Nie rozumiejąc nic z gadaniny tych nonszalanckich, choć nie pozbawionych kobiecego uroku amerykańskich prezenterek, S.W. wpatrywał się w mrowie twarzy, w powiewające barwy biało-gwardyjskich flag. Niepojęte, jak ta demokratyczna banda zdołała tu wytrzymać całą noc, już drugą z kolei dobę rzucać wyzwanie zdrowemu rozsądkowi, hamować opancerzone koło historii! Właśnie ze względu na konieczność wsparcia sił zdrowego rozsądku podpisali wczoraj sekretarze Związku Pisarzy swoje historyczne oświadczenie.

Wtem przez głowę Siergieja Władimirowicza błyskawicą przeleciała myśl: podpisać podpisaliśmy, a jeśli się przeliczyliśmy? Jeśli stamtąd, od rzeki, chluśnie fala tłumu, rozejdzie się po domach szukać deputowanych, laureatów, w-w-w-współpracowników? Rozmyślenia starca przerwał dźwięk telefonu. Dzwonił kolega pod każdym względem, Kuzniecowa Feliks Fiedosiejewicz, spadkobierca tradycji rewolucyjnych demokratów.

- Siergiej, dzwonię do ciebie z ulicy... Nie, z jakiej Worowskiej, z Worowskiego. Jest ważna rozmowa, nie mógłbyś wyjść?

Z wieloma ludźmi z sekretariatu Siergiej był na koleżeńskim stopniu, z Feliksem jednakże łączyła go nie tylko fasadowa solidarność, ale i to pozafasadowe, głębokie poczucie jedności.

Wyszedł jak stał, w wielbłądzych kapturach, które z miejsca przemokły. Ociężała sylwetka

profesora Kuzniecowa pod parasolem widoczna była na tle żelaznej bramy tak niegdyś pewnej siedziby pisarzy. Własna broda profesora wyglądała jak źle dopasowana charakteryzacja. Przywarł do Michałkowa lewym bokiem, wziął go mocno pod rękę, tchnął nieświeżym oddechem.

- Wiesz co, Sierioża, całą noc nie spałem, zdejmowałem z półek Lenina, Rozanowa, Błoka... Dręczyły mnie myśli o Rosji, o tym, co nas czeka jako etnohistoryczną całość; rozumiesz to, prawda? Rozpaczmy Bielyja z jego „Dosyć, nie czekaj, nie ufaj, rozprosz się, biedny narodzie” przeciwstawiamy powszechnie znaną „stepową kobyłę”: ona doniesie, dogalopuje!

- K-k-k-krócej - powiedział Michałkow.

- Dobrze - zgodził się Kuzniecow, ale jakoś nie mógł przerwać od razu obywatelskiego przemówienia, poniosło go. - Myślałem o naszej wczorajszej rezolucji, byłem dumny. Starczyło nam męstwa, żeby nie dać się uwieść demagogii, powstać przeciwko literackiej rozpuście, powstać razem z naszym... no wiesz, z narodem, z rządowymi patriotami. Tak, tak, oczywiście, już przechodzę do sedna. - Wydał z siebie jakiś dziwny, niemal złowieszczy chichot, obejrzał się i nagle z naciskiem wionął z dołu w chrząstkę ucha Michałkowa: - A nuż? - I natychmiast szeptał dalej: - Nie wolno nam się dać zaskoczyć znienacka, musimy pomyśleć o uratowaniu naszego intelektualnego potencjału twórczego, nie możemy pozwolić, by zostały przekreślone osiągnięcia wspaniałego historycznego eksperymentu, naszej pozytywistycznej filozofii. Jeszcze nam się ona przyda w radosnej godzinie ponownego wschodu! No dobrze, dobrze, no więc słuchaj, w czym rzecz: masz tam u siebie swoich ludzi, silnych ludzi?

Michałkow uśmiechnął się.

- Tak samo jak i ty, Feliks, coś ty taki skromny? Ale jakby przypadkiem zdarzyło się twoje „a nuż”, to „silni ludzie” nie będą sobie zawracać głowy uprzejmościami.

Kuzniecow z jękiem chwycił się za brodę.

- Ja nie o tym, Siergiej, nie o tym. Ja mówię o Chinach, o Kubie, o Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej.

O Wietnamie wreszcie! Naszym ekstremistom wydaje się, że likwidują komunizm, ale azjatyckie twierdze są niewzruszone! Tym razem spełnienie marzenia Czernyszewskiego przyjdzie ze Wschodu! Masz jakichś znajomych w ambasadach bratnich krajów na wypadek, gdyby przyszło szukać ratunku, emigrować? Bo jak zaczną zsyłać takich... - zalał się ciemnym rumieńcem, z uśmiezką popatrzył spode łba na starszego towarzysza - takich jak my,

Siergiej?

Michałkow natychmiast zajął się od tego żaru:

- Co ty sugerujesz, Feliksie? Na moim *Wujku Stiopie* wychowało się w tym kraju sześć pokoleń dzieci, a ty mnie ciągniesz do Ch-ch-chin? No nie, do Chin to już jedź beze mnie! My, Michałkowowie, mimo wszystko od rosyjskich kupców pierwszej gildii pochodzimy, mamy akcent na pierwszej sylabie, Azjatom się nie sprzedajemy!

Oszołomiony Kuzniecowa oklapł. Staruszek Michałkow, tak jak był w wielbłądzich kapciach, odchodził, krocząc przez kałuże ku samemu centrum placu Powstania. „Niezlomny jest związek republik swobodnych” - mruczał pod nosem i od razu poprawiał: „Bojowców wolności na wieki swobodnych” - nawet nieźle wyszło. „Ruś wielka na setki złączyła ich lat” - a to brzmi zupełnie dobrze nawet teraz. Pardon, coś jest jednak nie tak. Wyczucie stylu nigdy mnie nie zawodziło. „Na wieki”, a w następnym wierszu mamy „na setki”, tak nie może być. Zrobimy inaczej. „Bojowców wolności, silnych, swobodnych, Ruś wielka na setki złączyła już lat! Niech żyje niezłomny jednością narodów” - tę linijkę zostawiamy, nieszkodliwa. Ale dalej problem. No, natchnienie, do roboty!

Napływające niczym flota żaglowców ciemne chmury dodały poecie bodźca. Długim dzieciolowatym nosem i położonymi za uszami skrzelał jesiota (w tej postaci był kiedyś oszczerczo, ale przekonująco opisany przez Walentina Katajewa) łowił zapach nowego wiejącego przez Rosję wiatru. A zatem:

*Bojowców wolności, silnych, swobodnych*

*Ruś wielka na setki złączyła już lat!*

*Niech żyje niezłomny jednością narodów*

*Ustrój społeczny, ten nasz wolny świat!*

*Chwała ci Ojczyzno, tyś ziemia swobody,*

*Myśli i słowa niezłomna tyś straż!*

*Sztandar trójbarwny, sztandar narodu*

*Niechaj do szczęścia prowadzi dziś nas!*

No, poszło!

*Przez chmury świeciło nam słońce wolności,  
I Puszkina wielki nam dłoń podał swą!  
Sacharow nam wskazał drogę ku przyszłości,  
A z nim Solżenicyn ducha w nas tchnął!*

Stał teraz w samym centrum swego nienaruszalnego świata, opryskiwany błotem spod kół prujących z rykiem pustych ciężarówek, i dumnie śpiewał skrzypiącym starczym głosem hymn nowej demokratycznej Rosji. „Ej, wujku Stiopa!” - wołały do niego w locie wychowane na porządnym milicyjnym wierszu szoferaki, i główny wierszokleta mocarstwa wiedział: wytrzymamy, przejdziemy przez to, będziemy stać i grzmieć dookoła!

Czy nie pośpieszył się przypadkiem Siergiej Władimirowicz, nie przedobrzył odrobinę? Przecież pod wieczór 20 sierpnia sytuacja w stolicy daleka była od jasności, a oddziały wojska w większości gotowe były wykonać „każdy rozkaz Ojczyzny”. W tłumie obrońców „Białego Domu” - mamy na myśli tę bezbronną masę ludzi, dziesiątkami tysięcy stojącą pośród barykad i u stóp betonowo-marmurowego kolosa - nieustannie wracały rozmowy o tym, że zbliża się godzina szturmowa, że dookoła na dachach domów siedzą snajperzy, gotowi strzelać do każdego, choćby do pani, obywatelko, że tylko patrzeć, jak przylecą helikoptery i puszcza gaz.

Dziwny jednakże fenomen zaistniał w tłumie. Wszyscy mówili o szturmie, ale jakoś tak jakby z boku. Prawie nikt nie miał wątpliwości, że szturm się odbędzie, ale nikt się nie bał, tak jakby ludzie nie zdawali sobie sprawy, że to właśnie po ich ciałach Armia Czerwona będzie się przedzierać do „Białego Domu”.

Zachód słońca ukazał jakąś niemal supematystyczną kompozycję liliowych i purpurowych figur, której nikt nie był w stanie zinterpretować. O zmroku wrócił deszcz. Sasza Korbach poczuł, że po twarzy popłynęły mu strużki, ale się nie obudził. Znowu przebywał w krainie *jet lag*, ale tym razem zdarzyło mu się wyłączyć nie w miękkim fotelu, a pod okapem z dykty pośród chłamu barykady, gdzie zaszył się, by zapalić. Później, wspominając te momenty, kiedy urywał mu się film, myślał, że było w nich, być może, coś metafizycznego: jego kontur energetyczny na jakiś czas opuszczał żar historii, by odpocząć w chłodzie sfery astralnej. Obudził się dopiero wtedy, kiedy w torbie u jego boku zaćwierkała komórka. Męski głos odezwał się po angielsku: „Szukam Aleksa Korbacha”. „To ja” - odpowiedział, jeszcze nie w pełni o tym przekonany. „Żyjesz, chwała Bogu!” - wykrzyknął Stanley.

Wiadomość o wydarzeniach w Moskwie zastała nas w Kalkucie. Straciliśmy dzień na załatwianiu papierów, a teraz jesteśmy w powietrzu. Właśnie mijamy Himalaje. Ogromny księżyc, cienie ośmiotysięczników tuż tuż, pod skrzydłem. Przed godziną zaatakowały nas dwa niszczyciele Normana Blumsdale’a. Odparliśmy je za pomocą rakiety uspokajającej. Za jakieś pięć godzin będziemy w Moskwie. Ściskamy cię wszyscy: Bernie, Ben Wart Kaczki, piloci. Gdzie teraz jesteś? No oczywiście, Bernie, miałaś rację, on jest w samym piekle. Trzymaj się, Ławski! Agencje informują, że ta noc będzie rozstrzygająca. Można kupić gdzieś w Moskwie

szampana?

Alex włożył telefon z powrotem do torby i nagle usłyszał oklaski. Dookoła jego schronienia stała grupa jego wielbicieli, mężczyzn i kobiet reprezentujących typ, który w Ameryce określa się jako *aging children*, starzejące się dzieci. Tych przedstawicieli późnych lat sześćdziesiątych odróżniłby w każdym tłumie. W tej chwili oklaskiwali go rozczulająco, jak gdyby odegrał właśnie scenkę pod tytułem *Rozmowa telefoniczna po angielsku z nieznanym rozmówcą*. Jedna z kobiet powiedziała do niego z charakterystycznym dla tej publiczności śmieszkiem: „Wiemy, że to głupie, ale mimo wszystko tak dobrze jest widzieć pana teraz tutaj, Sasza!”

Dwóch facetów z trójkolorowymi przepaskami na rękawach przedarło się ku niemu poprzez tłum. Wreszcie pana znaleźliśmy, panie Korbach. Zniżywszy głos, oznajmili, że przyszli z misją. Jeśli chce, mogą przeprowadzić go do „Białego Domu”. Przywódcy byli bardzo uradowani, kiedy dowiedzieli się, że jest on tutaj, wśród stronników demokracji, tak że jeśli... no, rozumie pan. W każdej chwili coś się może wydarzyć. Ale jeśli sobie życzy. To wszystko. Borys Nikołajewicz także. Wszyscy z radością go powitają.

Na korytarzach parteru kłębił się tłum; wszędzie widać było uzbrojonych mężczyzn. Niektórzy paradowali w kuloodpornych kamizelkach i w hełmach. Inni siedzieli na podłodze pod ścianami, kiwali się, pili herbatę z termosów, rozwijali kanapki. Im wyżej wchodzili po szerokich, wprost stanowiących apoteozę schodach, tym częściej migwały oficerskie pagony z oznakami wysokich rang, włącznie z generalskimi. Przechodzili desantowcy w pełnym ekwipunku. Większość stanowili jednak biurokraci w strojach urzędowych: marynareczki, krawaciki.

Weszli do ogromnego pomieszczenia z metalowym herbem RF SRR na ścianie. W kącie stał Jelcyn w otoczeniu nieco niższych wzrostem osób. Na ramieniu Ruckoja kołysał się automat, dokładnie taki, jakim wybito zęby Jakubowiczowi. Przy stole o powierzchni równej co najmniej karaweli Kolumba siedziała kupa ludzi. Wtykali sobie nawzajem do rąk i przekładali jakieś papiery, ale byli i tacy, którzy spali, złożony na białych ramionach chwackie głowy. Ktoś jadł coś nie najgorszego. Krzątały się dziewczyny z bufetu, zbierały talerze, rozstawiały nowe, donosiły butelki pepsi. Przy uchylonych oknach trzymali straż desantowcy Mylnikowa z bronią w pogotowiu. Było chłodno i wilgotno, w powietrzu unosił się odór dawno niemytych ciał.

Jelcyn został powiadomiony o przybyciu Korbacha. Oddał komuś słuchawkę telefonu i poszedł na spotkanie Saszy z rozpostartymi ramionami.

- Sasza Korbach! No przecież ani jeden rajd nie obył się bez twoich piosenek! Cześć! A więc w taki sposób się poznamy! - Tryskał energią. Widać było, że przeżywa najlepszy czas swojego życia; nie na darmo od czasu do czasu odbijał się na bieli ściany to kwadratem, to kompozycją trójkątów, to kategorięcznym równoległościąniem. Nikt zresztą oprócz Saszy tego nie zauważał, a w każdym razie nikt się nie przyglądał. - Bardzo cenimy działalność Fundacji Korbacha - kontynuował prezydent. - Nowa Rosja potrzebuje pomocy Zachodu, Sasza, przyjacielu! Teraz staniemy się częścią cywilizowanego świata!

Wyglądał jak przeciętny radziecki typ, ten „druh Boria”, niemniej coś ludzkiego przebijało w zarysie warg. I coś suprematycznego, pomyślał AJ, przebija przez te odbicia na ścianie, których nikt nie dostrzega.

- Grasz w tenisa? - spytał Jelcyn i łobuzersko puścił oko. - No i w ogóle, Sasza, bądźmy w kontakcie, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Co najmniej tuzin wideokamer rejestrowało ten moment rewolucji w historii telewizji. Jelcyn solennie, po syberyjsku uniósł dłoń, po czym opuścił ją, by wykonać w pełni cywilizowany *shake hand*.

Nie wiem, czy nasz czytelnik dostrzega w całej rozciągłości ów polityczny teatr, czy jest w stanie wraz z naszym Aleksandrem Jakowlewiczem zatrzymać się na sekundę w obliczu pewnych zaskakujących zjawisk i dostrzec, powiedzmy, jak w ścianie otwiera się na moment długi korytarz, w którego niedosiężnej głębi pojawiają się obrazy lwa i łani, orła i kakadu, róży i agawy, i wreszcie jednolity, to znaczy nie podzielony jeszcze przez seks Adam, gorejący wiecznym ogniem.

Akcja dramatu nie zostaje zresztą przerwana nawet na tę sekundę. Jelcyn w sportowym stylu lat pięćdziesiątych - „No to co, chłopaki, nie damy się!” - kontynuuje telefoniczny atak na wahających się generałów. W drugim kącie słowiczym basem rozbrzmiewa wiolonczela Rostropowicza. Na widok towarzysza-wygnańca Sława, jak stał, w kasku i kamizelce kuloodpornej, rzuca się z pocałunkami: „Saszka, i ty tutaj! To fantastycznie! Kocham twój talent, cholera jasna! Widziałem twój film o Dantem, zwała z nóg!”

Sasza delikatnie poprawia ulubieńca całego świata. Film, Sławoczka, dopiero ma być kręcony. Popelniwszy gafę, ale przecież w najlepszych intencjach, Sława kontynuuje przyjacielski napór. Kocham twoje pieśni! Muzykę uwielbiam! Jesteś pierwszorzędnym twórcą melodii, Saszka! Chodź no tu, poakompaniujesz mi na flecie! Hej, demokraci, ma tam który flet?

Korzakow śpieszy już z fletem na tacy. A mnie właśnie Filatow *cello* przywiózł z Domu Pionierów! Śpiewa jak Stradivari, jasny gwint!

Korbach dla hecy dmuchnął w piszczałkę i nieoczekiwanie zaświstał niczym Jean Pierre Rampal. A to dopiero, taki duet w obłęzonym pawilonie! Wielu rebeliantów przystawało w rozrzewnieniu, i na ścianie odbił się nagle grupowy portret obłęzonych, ale zuchwałych dusz. Widzisz, szepnął Sława do Saszy.

Nie udało się jednak zakończyć koncertu, tak jak by się chciało, płynnym, potoczystym wzlotem. W mieście dał się słyszeć narastający kakofoniczny łoskot. Zaczął się chaotyczny ruch nieokrytych głów i stalowych hełmów. Światło przygaszono do minimum. Otworzono szerzej okna. Przycupnęły obok nich sylwetki z miotaczami granatów. Korbach złapał za poję przechodzącego szybkim krokiem oficera. Co się dzieje, majorze? Ten uśmiechnął się. To, na co czekaliśmy, towarzysze muzycy. Lepiej by pan zszedł do piwnicy.

To dopiero wybitny spektakl: maestro Rostropowicz zmienia wiolonczelę na kałasznikowa! Korbach objął starego druha za ramiona: muszę iść do mojego oddziału, Sławoczka. Dokończymy jutro.

Wystający podbródek muzyka podrygiwał zdecydowanie. Na sto procent dokończymy, Sasza!

Epocentrum tego pancernego łoskotu miało miejsce na odcinku od placu Powstania do Arbackich Wrót. Zagłuszał on wszelkie dźwięki, a mimo to nie był w stanie stłumić skandowania: „Ros-ja-nie! Ros-ja-nie!” Nad tunelem, w którym jeden za drugim znikwały czołgi i transportery opancerzone, ramię przy ramieniu stała młodzież. Chłopcy wymachiwali trójkolorowymi flagami zdjętymi z latarni. W ślad za piekielnymi słoniami leciały butelki, nie zawsze puste, jeśli sędzić po ognistych żmijkach, jakie rozbłyskiwały na powierzchni pojazdów. Nikt nie zamierzał dawać nogi. Parę razy tłum, zakołysawszy się, rzucał się dokądś. Wydawałoby się, że zaczyna się panika - a tu nic z tych rzeczy, rzucali się ku kolejnemu trolejbusowi, wysadzali pasażerów i zawracali miejski środek transportu ku barykadzie, żeby ją wzmocnić. Nie obeszło się rzecz jasna bez żartownisiów w akcji na taką skalę: ktoś zaśpiewał *Ostatni trolejbus przerywa swój bieg* Okudżawy.

Nagle parę czołgów, zamiast wjechać za innymi do tunelu, skręciło w górę, w boczny przejazd - jednym słowem na ludzi. Ostry głos przebił się przez ryk silników: „Rosjanie, czy

i teraz się ich przestraszymy?” I niby chór w antycznej tragedii, tłum odpowiedział potężnym skandowaniem dwóch sylab: „Ni-gdy! Ni-gdy!” Na jedną z maszyn wskoczył chłopak z głową całą w bandażach, przez niewielkie otwory widać było tylko oczy oraz usta i nos. Z taką siłą pociągnął czołgistę, który wyjrzał z luku, że ten tylko machał rękami, dopóki nie został w całości wywleczony ze swojej opancerzonej skorupy. Tłum stał tuż przed czołgami, tak jakby w ogóle nie zamierzał się cofać, a niektórzy chłopaki rzucali się na asfalt: co, przejedziecie po swoich, skurwysyny?

Czołgiści hamowali, maszyny ledwie pełzły, dzięki czemu śmiałkowie mogli w ostatniej chwili wytoczyć się spod gąsienic. Wielu wskakiwało lub wdrapywało się na pancerze i stojąc tam, wrogowi na plecach, nie przestawali krzyczeć: „Rosjanie! Rosjanie!”

Tymczasem na pochyłości prowadzącej do tunelu nastąpiła tragedia. Jeden z transporterów wyłamał się z szyn, zabuksował, wałnął w betonową ścianę i w rezultacie rozgniół trzech najbardziej aktywnych protestujących, trzech młodzieńców w dzinsowych moskiewskich mundurkach i białych adidasach. „Zabili! Mordercy!” - zagrzmiała Moskwa pod i nad ziemią, z trotuarów i z balkonów. Ogłupiały podporucznik z załogi transportera otworzył ogień z pistoletu. Żołnierze wyskakiwali z tylnego luku i rzucając się bezsensownie, znikali pośród ryczącej nocy, takiej samej nocy z 20 na 21 sierpnia jak dwadzieścia trzy lata temu, kiedy ich ojcowie wtoczyli się i umocnili stalowymi cielskami we wstrząśniętej, upokorzonej Pradze.

Przez całą noc pod nieprzerwanym padającym deszczem kolosalne obozowisko na brzegu rzeki Moskwy czekało ataku, ale atak nie nastąpił. Ryk czołgów rozlegał się i cichł to w jednym, to w drugim końcu miasta, stwarzając wrażenie jakiejś dziwnej morskiej burzy, tak jakby Neptun to wzbijał fale swoim trójzębem, to zalewał je oliwą z oliwek. Tymczasem na peryferiach placu, na skrzyżowaniach i w zaułkach gromadziło się coraz więcej jakichś nieokreślonych, ni to „naszych”, ni to „jazowowskich” czołgów. Silniki cichły, załogi wypełzały na maski. Nierzadko obok tych jakby zdemobilizowanych czołgistów rozsiadały się na pancerzach moskiewskie dziewczyny. Towarzystwo paliło, podśpiewywało popularną w tym sezonie piosenkę żeńskiego zespołu rockowego Kombinacja: „Dwa kawałeczki kiełbaski leżały przede mną na stole. Pokazywałeś obrazki, ale ja innego wolę”. Żołnierze troskliwie okrywali dziewczęta swoimi szynelami. Ludność, wierna starodawnej rosyjskiej tradycji współczucia dla „wziętych w kamasze”, taszczyła na czołgi bułki, kefir, pęta względnie jadalnej kiełbasy. Kurna, nie tak znowu najgorzej wyszło, chłopaki. Jechało się chuj wie gdzie, chciał nie chciał, a wylądowało się

całkiem, całkiem: i miłe znajomości można zawrzeć, i niekoszarowego żarcia spróbować...

- Nie macie prawa, chłopaki, kierować broni przeciw swoim! - perorowali dwaj weterani z kolekcją medali na marynarkach.

- A my wcale nie mamy zamiaru - odpowiadali czołgiści.

- Jak śmiecie agitować wojskowych? - kłótnie wmieszała się w ten dialog jakaś baba, też z medalami. - Przecież oni przysięgę składali, że będą bronić naszej radzieckiej ojczyzny!!

- Idź ty, Szura, wtyko pierdolona, bo w mordę dostaniesz i tyle - upominali weterani histeryczkę.

- Rusłan! Rusłanczik mój ukochany! - dał się nagle słyszeć czuły okrzyk kobiecy. Skierowany był nie do ogólnie znanego spikera Rusłana Chasbułatowa, a do wątlego żołnierzyka w hełmie czołgisty, siedzącego na lufie. Podbiegała ku niemu efektowna kobieta o jaskrawo umalowanych wargach. - To naprawdę ty, mój Rusłasza?

- Mamo, mam, no co ty, przestań, nie tak głośno, mam! - mówił zmieszany czołgista.

- A ja tu mam torebkę cukierków! Tak jakbym wiedziała, żeby zabrać cukierki! Bierz, Rusłan! - krzyczała kobieta, a wszyscy dookoła uśmiechali się z rozrzewnieniem.

Zaledwie się rozjaśniło, od strony Prospektu Kutuzowa zaczęła wjeżdżać na most kolumna czołgów. Szła prosto na barykady. Ale cóż to? Z zimnej mgły karne potwory zaczęły wyłaniać się jeden po drugim niby ruchome kwiatowe grządki - całe obsadzone wymachującą trójkolorowymi flagami młodzieżą. I z szaleńczą energią ludzkie masy nocnej straży rzuciły się do rozbierania barykad. Zwycięstwo!

Aleksander Jakowlewicz Korbach zalał się łzami. Chwilami trząsał się niby w religijnej ekstazie. I chyba rzeczywiście była to ekstaza religijna, albowiem nigdy w życiu nie marzył nawet o tym, by być świadkiem cudu duchowej rewolucji. Sprzeciw wobec tyranii wybuchnie w końcu płomieniem niczym sucha trawa, tak wyobrażał sobie te dni Lew Tołstoj. I oto trawa wybuchnęła płomieniem, i w ogniu tym zniknęła, choćby i na mgnienie, cała nasza rozpacz, bezsilność i poniżenie. Nawet jeśli po latach zostanie w historii wyłącznie data niedoszedłego przewrotu, nawet jeśli wszystko pójdzie inaczej, niż marzą w tym momencie owe setki tysięcy, to te trzy sierpniowe dni roku dziewięćdziesiątego pierwszego pozostaną dniami największej chwały w całym rosyjskim tysiącleciu, cudem podobnym do ukazania się Bogarodzicy. A może naprawdę właśnie się ukazała?

Oddał swojego kałasza któremuś z chłopaków - na szczęście ani razu nie musiał go użyć -

i zaczął przebijać się do budynku RWPG. Wszędzie śmiano się, krzyczano i śpiewano coś niezbyt pasującego do sytuacji, jako że nikt spośród tych do wczoraj jeszcze radzieckich ludzi nie znał nic, co by mogło pasować.

Niewiarygodne, ale prawdziwe: wszystkie windy w odrapanym drapaczu chmur znowu były czynne. Otworzywszy drzwi prowadzące do holu fundacji, ujrzał przede wszystkim ogromne plecy Stanleya. W porównaniu z ich płaszczyzną nawet tylna część Bernadetty de Lux zdawała się zaledwie pleckami i pupeczką. W danym momencie pierwsza dama przedstawiała sobą obraz nieodpartej krzywizny, albowiem zwiślała z lekka z ramienia swego protektora. Inne plecy rozmieszczone były na flankach tej pary: Ben, Les, Saul, Matt, Rosę, Fuchs, i tak dalej, wyliczenie sobie sami. AJ stał w drzwiach i z jakąś nową nostalgią patrzył na amerykańską bandę, przylepioną teraz do szklanej ściany i z ożywieniem dyskutującą o zachodzących w dole zdarzeniach. „Zegnaj, Ameryko!” - oto co sformułowało się na koniec w jego umyśle w efekcie tej przelotnej nostalgii. Potem ktoś się odwrócił i wydał okrzyk na widok „walczącego na barykadach Ławskiego”. Wszyscy rzucili się ku niemu, ale Stanley był pierwszy, by zamknąć go w swoim pantagruelicznym uścisku. Saul Leibnitz, nie przegapiając okazji, robił jeden *snapshot* za drugim. Wystrzeliło od razu parę korków od szampana.

Dziękuję za wszystko!

Pożegnawszy się z Ameryką, Aleksander niemal natychmiast znów tam pojechał. W Putney ustalono termin ostatecznych negocjacji co do budżetu. Nawet był chyba zadowolony, że mógł wyrwać się z moskiewskiej gorączki i przenieść w monotony komfort międzynarodowej pierwszej klasy. Wchodzi człowiek do na wpół pustego rozległego salonu 747. Pośrodku przygotowany jest bufet z pierwszorzędnymi trunkami i zakąskami. Subtelnie szumi klimatyzator. Powietrze Rosji już tu nie dochodzi. Nalewasz sobie Clicot, jeden kieliszek z miejsca opróżniasz, z drugim wracasz na fotel. Tuż obok, rzecz jasna, siedzi Oskar Belvedere. Leci z Japonii do Nowego Jorku.

- Co to tam się zdarzyło u was w Moskwie, Alex? Niech pan opowie! - I dodaje: - W dwóch słowach. - Ów angielski idiom brzmi w bezpośrednim przekładzie niemal na granicy bezczelności: „w skorupie orzecha”.

Przed tobą dziesięć godzin półdrzemki nad oceanem. W półdrzemce tej wracasz do zwykłego życia. Przez te trzy dni w ogóle o nim nie myślałeś. Nawet Nora nie przemknęła ci przez głowę ani razu. No to teraz możesz wspominać ją przez dziesięć godzin bez przerwy.

Po spotkaniu w Lutece długo dręczył się tym, że był dla niej takim łajdakiem. Czasami jednak zaczynał się usprawiedliwiać. Czy ona sama też nie zachowała się po świńsku wobec mnie? Czy nie *zagrała* roli małej ulicznicy? Od tego czasu, to znaczy już rok i pięć miesięcy, nie zadzwoniła do niego ani razu, i on też jej nie szukał. Pewnego dnia dotarła do niego wiadomość.

*Pardon*, w tym miejscu robimy mały *titne out*, pozostawiamy naszego AJ sam na sam z jego własnymi myślami, sami zaś rozpoczynamy dialog z czytelnikiem. Naturalnie, drogi panie, moglibyśmy przetrzymać jakiś czas tę wiadomość, odłożyć ją do naszej końcowej, dwunastej części, by, powiedzmy, oszołomić pana nieoczekiwaną bombą. W dodatku oprócz tej pokusy istnieje jeszcze jedna: odłożywszy sprawę do finału, moglibyśmy nadać jej sens symboliczny. Nie, szanowny panie, tak się nie zachowamy, choćby ze względu na szacunek dla pana jako czytelnika twórczego, jakim z pewnością pan jest, skoro zdołał pan dotrzeć do tej stronicy i nie zapomnieć poprzednich. Jako taki właśnie typ czytelnika z pewnością doskonale pan rozumie, że autor nie goni za dramatycznymi zwrotami akcji czy wytartą symboliką. Nasza powieść nie należy do gatunku *thriller's*, czy, jak mawia się obecnie w rosyjskiej nowomowie, trillerów.

W tej relacji rosyjskiego i angielskiego kryje się pewna szczególna gra słów, która, być może, pomoże nam się jakoś wygramolić. Przecież wersja rosyjska, triller, zawiera w sobie cząstkę „trill”, a angielskie *trill* to po rosyjsku nic innego jak „treł”. Właśnie trelem staramy się zastąpić *thrill*, to znaczy wrażenie aczkolwiek ostre, ale powierzchowne.

Wracamy do głównego wątku. Pewnego dnia dotarła wieść: Norze urodziło się dziecko, chłopczyk. Chronologicznie fakt ten był zbieżny - lub mniej więcej zbieżny - z dziewięciomiesięcznym okresem, jaki upłynął od ich burzliwej randki. A zatem poczęcie nastąpiło w rezultacie rozpasania żądz, pośród dekadentkich dekoracji, w smudze mysiej woni kokainy? Tak czy inaczej, został powołany do życia nowy kontynuator męskiej linii - ten, którego Stanley nazywał „podwójnym Korbachem”. Spróbuj odróżnić miłość od pożądania! Gdzie twarz, a gdzie koźła maska? Czy spędziła tu noc skromna esencja ludzkiej istoty, Bożego robaczka?

No ale czy z Norą można być czegokolwiek pewnym? Może nie mam z tym dzieckiem nic wspólnego? Może jej odwieczny ideał rewolucjonisty znowu zaznaczył swoją obecność? Przecież na pewno gdzieś tam się pęta, w archeologicznych wykopach. A może to po prostu jakiś pierwszy lepszy chwyt, spędzający przejazdem noc w hotelu na Bliskim Wschodzie?

Po raz kolejny podjął próbę jej odszukania. Zadzwoił nawet do Amerykańskiego Towarzystwa Archeologicznego. Tam powiedziano mu, że zgodnie z ich informacjami, doktor Mansour zakończyła prace w ekspedycji Lilienmanna, a teraz opracowuje ich wyniki w celu publikacji. „Kop i drukuj!” - tę zasadę archeologów poznał już osiem lat temu.

A może ona po prostu wróciła do Pinkertona? Czarny Sześcian dzieli od katedry archeologii raptem jakieś pół mili bukolicznych przestrzeni kampusu. Wpadł do Alfred Ridder Hali; jedno spojrzenie na pseudogotyckie wieżyczki wywoływało u niego miłosne wzruszenie. Tak sobie, po prostu, żeby podrzucić Norze Mansour „pewien rosyjski rękopis”. Sekretarki po kobiecemu odniosły się do jego prośby z głęboką uwagą. Niestety, Alex, nie mamy żadnych wiadomości na temat miejsca pobytu Nory. Wiadomo tylko, że wzięła jeszcze jeden rok akademickiego urlopu. Bezpлатnego. Bezpлатnego? Jak ona da sobie radę na bezpłatnym? Kobiety uśmiechały się i patrzyły na niego znacząco. Na pewno wiedzą o dziecku, ale nie uważają za stosowne rozmawiać o nim z byłym *boyfriendem*.

Stanley najwyraźniej o niczym nie wiedział. W gorączce dobroczynności globalnej nie obchodziło go przyjsie czy nieprzyjsie na świat pojedynczych osobników. Słowa „dziecko”

używał wyłącznie w liczbie mnogiej, mając przed oczami to sieroty Karabachu, to głodujących w Somalii, to ofiary czystek etnicznych w Jugosławii, to znowu dzieci nie poddawane obowiązkowym szczepieniom u siebie, w Stanach.

Tym bardziej zaskakujące było wyznanie, jakie niedawno, w przeddzień bieżącego lotu, uczynił kuzynowi czwartego stopnia. W barze moskiewskiego Intercontinentalu powiedział zmieszany, że Bernadetta oczekuje dziecka i że będzie to chłopiec. Muszę ci się przyznać, że stary piernik cieszy się jak cholera. Po pierwsze, jestem przyjemnie zaskoczony, że zachowałem zdolność płodzenia dzieci. Po drugie, z satysfakcją pożegnam się z obrazem Króla Leara. Po trzecie, jestem szczęśliwy, że zostaje wznowiona linia męska. Oczywiście jestem już stary, ale Bernie jest jeszcze wystarczająco młoda, by wychować chłopczyka.

Młoda i zdrowa jak kobyła Pantagruela, pomyślał AJ w półmroku radzieckiego baru, wokół którego siedziała ogromna liczba pierwszorzędných prostytutek. Zdrowa, jeśli nie brać pod uwagę megatony scotcha i megatony dżinu, jakie wyłopała w Pierwszym Dnie, a także *cracku*, którym nieźle się faszrowała, by swoje homeryckie kopulacje uczynić jeszcze rozkoszniejszymi, no i, naturalnie, nie zwracając uwagi na takie głupstwa, jak tryper, opryszczka i wszy łonowe, które również nie ominęły gościnnego ciała. Postarał się odsunąć nieżyczliwe myśli i z otuchą poklepał magnata gdzieś po peryferiach jego pleców Tytana. Głupio było zaczynać w takim momencie rozmowę o dziecku Nory.

W końcu zadzwonił nawet do Bobby'ego Korbacha, który w owym czasie studiował już na uniwersytecie Bennington, gdzie zdumiewał kolegów z roku swoją nienaganną literacką angielszczyzną. Chłopaczkę strasznie ucieszył się z tego telefonu i spytał, czy nie mógłby w czasie wakacji przyłączyć się do jego grupy zdjęciowej. Gotów jest robić wszystko, nawet nosić światła. Alex nie powiedział Bobby'emu, że światła nosić będą wyłącznie wykwalifikowani technicy, niemniej obiecał coś mu zorganizować. Jeśli chodzi o mamę, to Bobby, nie zanadto przyzwyczajony do jej obecności, przypuszczał, że wszystko jest z nią *okay*. Dzwoni do niego raz na tydzień, ale skąd, nie ma pojęcia, bo mama, zgodnie ze swoim zwyczajem, stale jest w ruchu. Ani jednym słowem nie zająknął się porywczy młodzieniec o małym braciszku, a zatem o niczym nie wiedział.

Potwierdzenie pogłosek przyszło nieoczekiwanie, za to z najbardziej wiarygodnego źródła. Pewnego dnia, przeglądając zdjęcia aktorów, którzy zostali zaakceptowani, zatrzymał się przy zdumiewającej, jak gdyby wiecznie opromienionej twarzy Goldie d'Argent. Ta twarz i smukła,

długa postać urzekały go: nie ma lepszej Beatrycze w całym światowym kinie! W bezpośrednim kontakcie, trzeba jednak powiedzieć, czarodziejka nie robiła już takiego wrażenia. Miała mimikę i sposób bycia typowe dla taniutkiej londyńskiej *bitnbo*. No cóż, od tego jestem reżyserem, żeby zmienić sikse we florenckiego anioła. Nagle poraziło go podobieństwo niektórych ujęć z dawną twarzą Rity O'Neill. I równie nagle pojawił się pomysł zmiany fabuły. Beatrycze nie umarła. Przestraszywszy się miłości Dantego, zainscenizowała swój pogrzeb, uciekła z Florencji i dożyła starości gdzieś w Urbino w całkowitej samotności i ascezie. I tę rolę starej Beatrycze zagra Rita O'Neill, matka jego ukochanej, premier hollywoodzkiego „gabinetu cieni”. Wyobrażając sobie, jakie wycie podniesie się w studiu w związku z nieoczekiwaną przeróbką zatwierdzonego już scenariusza, zadzwonił do swojej „prawie teściowej” i poprosił ją o audyencję.

- Alex, tak często myślę teraz o panu - powiedziała z uczuciem przybladła gwiazda niezwykle młodym i dźwięcznym głosem.

- W związku z filmem? - spytał głupio.

- Nie, w związku z Philipem.

- Z Philipem?

- Tak, z Philipem, moim maleńkim wnukiem, a pańskim synem, przyjacielu.

Pomknął do niej na Bel Air, ona zaś, „zupełnie jak w kinie”, na tle migającego wszelkimi głupotami Los Angeles, opowiedziała mu o swoim niedawnym locie do Europy na spotkanie z jej drugim wnukiem, Philipem Jazzem Korbachem. Wstrząśnięty Alex natychmiast przypomniał sobie pewną szczęśliwą noc i mokry egzemplarz „Washington Post”, z którego skręcił saksofon, by zagrać dla Nory. Philip Jazz Korbach, to dopiero brzmi! Nora powiedziała, że pan jest ojcem, przyjacielu, ale nie ma zamiaru narzucać panu ojcostwa. Wrzasnął, że kocha Norę, tylko Norę i że kocha także Philipa Jazza Korbacha!

Jest już niemłody, ale Rita, uśmiechnąwszy się tylko, zauważyła, że jego wiek najwyraźniej o niczym nie świadczy, i ten klasyczny „dialogowy” uśmieszek dał mu poznać, że „prawie teściowa” jest wtajemniczona w niektóre szczegóły. Powiedział, że dziwne stosunki z jedyną kobietą jego życia (Rita wykonała tu idealnie wyważony gest skierowaną ku dołowi dłonią, jak gdyby amortyzując jego przesadę) zmęczyły go. Niczego więcej nie pragnie, jak poświęcić resztę swoich dni jej i Philipowi Jazzowi. Ale nawet nie wie, gdzie ona jest. Nora z jakiegoś powodu uważa, że robi on zamach. Ale na co? Na jej niezależność? Natychmiast usłyszał: czy to uczucie wydaje się panu dziwne u kobiety? Powiedziawszy to, czyli jak gdyby odnotowawszy swoją

obecność w szeregach postępu, Rita z większym już współczuciem przyobiegała „niemal zięciowi” pomoc w zorganizowaniu spotkania z „tym najpiękniejszym w świecie niemowlakiem”, no i, naturalnie, za jednym zamachem z jego mamą.

Dopiero wtedy wyjawiał jej cel swojego telefonu. Bał się, że będzie zszokowana: a zatem myśli o filmie, a nie o jej córce? Próżne obawy, profesjonalistka królestwa mirażu natychmiast zapomniała o wszystkim na świecie poza możliwością pojawienia się znowu na ekranie w wielkim, by nie powiedzieć epokowym filmie. Naturalnie, zgadza się, jest jednak pewien warunek, bez którego spełnienia sprawa jest niemożliwa. Z dawien dawna ślubowała sobie samej, że nigdy nie będzie grać staruch, dlatego Beatrycze musi pójść do raju może w zaawansowanym, ale mimo wszystko kobiecym jeszcze wieku. Niech pan na mnie spojrzy, Alex, a zobaczy pan, że nie żądam niczego *ridiculous*. Bez problemu mogę zagrać platoniczną, ale mocną miłość. Proszę mi wierzyć, mam coś na ten temat do powiedzenia. Wpadł w zachwyty: nie po raz pierwszy ta weteranka światowej marności zaskakiwała go swoją umiejętnością trafienia w sedno.

Pewnego razu przypomniał sobie wiersz Gumilowa o Dantem i Beatrycze. Cały Srebrny Wiek w Petersburgu (nie w Moskwie) minął pod znakiem obecności tych dwojga cieni. Symboliści i akmeiści byli zafascynowani Dantem i jego uniwersum. Alighieri błąkał się pośród pustynnego klasycyzmu wokół kawiarni Zabłąkany Pies. Przejrzał półki i wyciągnął cztery tomiki Gumilowa wydane przez wydawnictwo emigracyjne, w okładkach z szarego papieru. Już w pierwszym tomie znalazł to, czego szukał.

Muzy, płakać przestańcie,  
Smutek przekazcie w pieśni,  
Pieśń zaśpiewajcie o Dantem,  
Albo zagrajcie na fletni.

Odejdźcie, nieznośne fauny,  
Niemelodyjnie krzyczycie.  
Czy wiecie, że nie tak dawno  
Rzuciła raj Beatrycze?

Niezwykła biała róża

W chłodnej, wieczornej ciszy.  
Cóż to? Czy znowu groźba?  
A może prośba o litość?

Żył niespokojny artysta  
W świecie masek zwodniczym  
Grzesznik, łotr, ateista,  
Lecz kochał wciąż Beatrycze.

Myśli tajemne poety  
W jego umyśle kapryśnym  
Zmieniły się w strumień świetlny  
Przybojem stały się grzmiącym.

Muzy, sonetem-brylantem  
Powiedzcie o dziwnym sekrecie  
Pieśń zaśpiewajcie o Dantem  
I Gabrielu Rosetti.

Właściwie to właśnie to, co powinienem nakręcić, mój *synopsis*, cała reszta to przybranie. Każdy z tych petersburczyków widział prototyp Dantego w swoim własnym losie. Modernizm i „nowy słodki styl” złączyły się w jedno. Briusow wzywał symbolistów:

Musisz być dumnym sztandarem,  
Brzeszczotu miecza ostrością.  
Jak Dante, podziemnym żarem,  
Musisz mieć twarz osmaganą.

I czyje, jeśli nie Beatrycze kroki czuł Błok w wysokich świątyniach skatoliczałego prawosławia, kto, jeśli nie ona, przechodził w szatach Majestatycznej Wiecznej Kobiety?

Obwołany „centralnym człowiekiem świata” Dante pozostawał człowiekiem - to znaczy

ofiara Wszechświata. I w nim, tak samo jak w Rossetim, w Błoku i we wszystkich nas, grzesznych, tęsknota za miłością niebiańską przemieszana była z pragnieniami ziemskimi, to znaczy szczęście mieszało się z żądzą. Beatrycze chodziła po tych samych ulicach, co i jego prawowita małżonka Gemma, co i dziarskie ówczesne *signoras*, Fiametta i Pietra, do których dobierał się dość ordynarnie. Akt spółkowania, cała jego słodycz, staje się dla niego tęsknotą za wiecznym Adamem; słowo „słodycz” przywołuje to, z czego został wykluczony przez grzech pierworodny.

Pierwotnie pomyślane było coś innego - coś, czego nie jesteśmy w stanie pojąć. Potem pojawiło się jakieś skrzywienie, a my jesteśmy jego dziećmi. Cała światowa biologia, włącznie z historią człowieka, to znaczy historią biologii uduchowionej, to proces pokonywania tego skrzywienia, próba powrotu do ideału. I za tym niedosiężnym ideałem wiecznie tęskni poeta, oplatany, jak wszystkie żywe istoty, łańcuchami chromosomów, kropkowanymi liniami DNA. Ale o tym ani słowa na posiedzeniu zarządu Putney Production, inaczej wyrzucą nas, nie bacząc nawet na inwestycje Stanleya. Mówiąc „nas”, miał naturalnie na myśli siebie i Dantego.

Dobra, dobra, a cóż tak się ulokowałem na wyżynach, przywoływał sam siebie do porządku. Jak w tym starym kawale: „Co ja tu robię, do kurwy nędzy?” Ja, dziecko rozstrzelanego oficera Armii Czerwonej i zastraszonej archiwistki, chłopak walnięty w łeb bukszpanową laską przez członka KC, żaloszna latorośl rusojudaizmu, bard sowieckich niedorostków, który zatankował tyle podłej wódki po wagonach sypialnych i akademikach, który otworzył tyle puszek konserw niejadalnych nawet dla psa, który włączył się tyle czasu pośród odwiecznego sowieckiego donosicielstwa i mizerii, w odwiecznym smrodzie, którego już się nawet nie zauważa, a żeby zauważyć, trzeba być poza domem osiem lat, a potem wrócić i wziąć głęboki oddech pośród rodzinnych wychodków, pośród zasikanych klatek schodowych swojej ojczyzny - co ja tu robię?

Z jakiej racji, do diabła, uroiłem sobie, że jestem artystą sztuki wysokiej, całego tego naszego  
żalosznego  
okudżawo-galiczewsko-wysocko-tarkowsko-lubimowsko-koźłowsko-paradżanowsko-korbachowskiego renesansu? Z jakiej racji, do diabła, obracając się wśród nich wszystkich marzyłem o jakichś tam Zurbaranach, o „wyspie Krym”, gdzie można by się skryć przed czerwonymi diabłami, o błyskających obrazach grecko-judejskiej praojczyzny wśród oliwkowych gajów; z jakiej racji?

No cóż, każdy z nas może tak spytać sam siebie - każdy spośród tych, z którymi spędziłem

tamte trzy dni, alpinistów, szoferów, lekarzy, dziennikarzy, weteranów Afganistanu, pedagogów, bibliotekarzy, budowlanych, sanitariuszy, lalkarzy i tak dalej: z jakiej racji?

A z jakiej racji ja, Korbach Aleksander Jakowlewicz, ur. w r. 1939 w Moskwie, narodowości żydowskiej, tak przyczepiłem się do Ameryki, *as snug as a bug in a rug*, zupełnie jakbym należał do niej, a nie do sowieckiego padołu? Co mnie wiąże z tym krajem, powiedzmy, z jej czarnymi, z którymi, jak się okazało, nie mam nic wspólnego, bez względu na wszelki jazz czy koszykówkę? Co mnie wiąże, na przykład, z paczuszką żyletek, z której po otwarciu wypada plastikowa karta na pięć minut rozmowy telefonicznej, rozprowadzana przez spółkę MCI oraz Athletic Federation pod egidą wyżej wzmiankowanej firmy golibrodów? Co mnie w ogóle łączy z tym lądem, kiedy zbliżam się ku niemu w gorączce tutejszego lata czy raczej w momencie, gdy osiąga ona punkt wrzenia, i patrzę z góry na jego wybrzeża, omdlewające w gorących oparach? Co mam wspólnego ze skórami jego lasów, w których zawsze ogarnia cię uczucie obcości wobec tych niemożliwych do przejścia kłębow koleczastego drutu i zwisających bez ruchu gałęzi? Nic cię też nie łączy z wiktoriańskimi domkami, stojącymi szeregiem pod zwisającym w wilgotnym żarze listowiem, podobnym do zwitków wirgińskiego tytoniu albo do falbaniastych spódnic jakichś hiszpańskich matron, spod których wyrastają dębowe czy wiązowe nożyska tych magiczno-realistycznych bab.

A skoro mowa o realizmie, wypada powiedzieć parę słów o jebaniu. Z amerykańskim też nie masz prostego związku, stary koźle. Nora nieraz ci mówiła, że pierzysz się jakoś inaczej, niż ichnie samce.

Równość partnerów nie została wbudowana w strukturę twojego języka, oto w czym rzecz, a przecież właśnie ze struktury języka bierze się cały ich feminizm i „polityczna poprawność”.

No cóż, to walmy bez ogródek. Kiedy wchodzę do luksusowego apartamentu pięciogwiazdkowego hotelu, czyż mam z nim jakiś związek? Ci, którzy go mają, nie zwracają uwagi na cały ten splendor, podczas gdy ja w pieniającej się kąpieli, przed zwierciadłami, których doskonałości mogłaby pozazdrościć stara Wenecja, u okna z widokiem na kolejny ocean, odpowiadając na najuprzejmiejsze pytanie, na którą godzinę przygotować efektownego lincolna z sumiennym bez przypochlebiania się kierowcą, cały czas myślę, że nie mam z tym wszystkim żadnego związku, mam natomiast bezpośredni związek z całkiem innym typem hoteli, jak na przykład z Domem Marynarza w Kerczu, gdzie w numerze klasy lux sterczy z parkietu ostrzem do góry solidny gwóźdź, by zwiększyć poczucie komfortu u gości, którzy mają życzenie

rozszarpać sobie spodnie, gdzie w łazience oprócz „brak wody” brak także światła, ponieważ ktoś ukradł żarówkę, gdzie zamiast papieru toaletowego wsunięto do woreczka parę egzemplarzy miejscowej komunistycznej gadzinówki, gdzie, aby zapalić lub zgasić nocną lampkę, trzeba wyjść z łóżka, pójść na przeciwległy koniec pokoju, wspiąć się na kanapę i sięgnąć za jej oparcie, ponieważ tylko w ten sposób można dostać się do gniazdka, gdzie rano budzisz się cały w czerwonych plamkach po wizycie nocnych dam, much z sąsiadującego z hotelem wysypiska śmieci, gdzie dyżurna ciotka-bolszewiczka wchodzi do ciebie bez pukania, żeby policzyć ręczniki, i pyta basem, czy to ty zżarłeś wafelki; no więc właśnie w takim typie hoteli czujesz się u siebie, Aleksandrze Jakowlewiczu.

No cóż, pora zamknąć kółko i wracać do swoich. Dzięki za wszystko, Ameryko, jesteś w porządku, ale co ja tu robię, do kurwy nędzy?

W Nowym Jorku bez pośpiechu przeszedł z jednego terminalu lotniczego do innego. Do odlotu do LA zostało mu ponad dwie godziny. Szedł po niekończących się szklanych korytarzach, po ruchomych drózkach, mijając kioski, snack bary, kawiarnie, knajpki, wysokie krzesła czyścicieli butów, girlandy *T-shirtów*, na których było narysowane i nawypisywane tyle głupstw, księgarenki, niemal w całości wypełnione wyszczerzonymi kłami i siekaczami. To jeszcze jedna zagadka: dlaczego ten kraj tak fascynuje się Drakulą? W życiu codziennym nie ma śladu wampiryzmu, a w duchowym - nie kończące się potoki krwi i odgłosy chleptania przy akompaniamencie romantycznej, obowiązkowo rumuńskiej muzyki. Szedł ze swoim potokiem i patrzył na zbliżający się z naprzeciwka potok pasażerów amerykańskich. Miał wrażenie, że znajduje się w tłumie ludzi w jakiś sposób znajomych: szły podstawowe typy społeczeństwa, których jest nie tak znów wiele, powiedzmy, trzysta. O, proszę, naprzeciwko idzie znajomy typ ze środowiska akademickiego, jakiś dramaturg na etacie uniwersyteckim, widać to po jego niedbałym stroju; skrywa się za dwoma potwornie rozdętymi tłuszczochami - ileż tu u nas męskich i damskich tłuszczochów w kraju bejsbola! - znowu się pojawia, demonstrując wyniosły podbródek zapoznanego geniusza - całkiem typowy amerykański nie-do-końca-Amerykanin - przechodzi obok i znika. AJ mija lustrzaną ścianę, nie zdając sobie nawet sprawy, że obserwował własne odbicie.

Aby zamknąć ten niezwykle ważny fragment w granicach właściwej mu części dziesiątej, będziemy musieli uciec się do zasady, którą możemy określić jako „pewnego razu”. Zostaje ona zastosowana nie po to, by ukryć bezład chronologiczny - przeciwnie, z pomocą tego określenia mamy nadzieję przeprowadzić cię gładko, czytelniku, przez lata dziewięćdziesiąte aż do momentu, gdy, wyłożywszy pewną sumkę rubli, dolarów czy franków, otworzysz tę książkę.

Pewnego razu Dick Putney zadzwonił do Aleksandra bezpośrednio na plan. Nastąpiło to w momencie, gdy reżyser wyjaśniał swojemu ulubionemu aktorowi, Quentinowi Landry, że nie ma być *horny* wobec d'Argent w momencie spotkania na Ponte Vecchio, a po prostu w stanie mistycznej egzaltacji.

- Przepraszam, Alex, że nie uprzedziłem pana wcześniej - powiedział Dick - ale może poszlibyśmy razem na lunch? Tak, dzisiaj. Chodzi o to, że mój staruszek, który już od dawna ze skóry wychodzi, żeby pana poznać, nieoczekiwanie wpadł do mnie do biura. To świetna okazja, żeby się spotkać.

Aleksander zakończył poranną sesję zdjęciową i na pożegnanie powiedział do Quentina: - Nie jedz mięsa. Błagam cię, nie jedz krwawych befsztyków, dopóki kręcimy *Ponte Vecchio*. Możesz to dla mnie zrobić?

Lunch odbył się w biurze Dicka na dwunastym piętrze gmachu spółki, sterczącego spośród palmowych czupryn na stoku wzgórza Bel Air i patrzącego górnymi oknami na architektoniczny bezsens nieogarnionego Los Angeles.

Zdaje się, że nie rysowaliśmy jeszcze dla was portretu Dicka Putneya, wszechmocnego producenta wszelkiego rodzaju filmowych śmieci, ale właściwie nie ma szczególnej potrzeby. Wystarczy powiedzieć, że pod każdym względem reprezentował on typ finansowego potentata, a w jego oczach często można było wyczytać: „o nie, niech wam się nie zdaje, że coś przegapię!”

Postać tatusia, zbliżającego się właśnie do osiemdziesięcioletnia, zasługuje na bardziej szczegółowy opis. Tenże Abe Putney, który w zaraniu stulecia w miasteczku Łuck guberni chersońskiej znany był jako Abrasza Putinkin, stanowił typ przedstawiciela dobrej, wyhodowanej na pustynnych źródłach Kalifornii starości. Ciemnoruda farba znakomicie kryła nie tylko siwiznę, ale i rozległe prześwity skóry o gęstej pigmentacji. Dwie starcze żyły poniżej podbródka skryte były pod fularem *ascott*. We wspaniałych porcelanowych zębach Abe bez przerwy trzymał cygaro: nawyk wykształcony jeszcze w początkach hollywoodzkiej *prosperity*, którego nie miał zamiaru się pozbywać, bez względu na zakaz kardiologów. Czasem nawet zapalał zapalną i przybliżał ją do cygara, ale za każdym razem ogieniek zatrzymywał się o centymetr od ukochanego przedmiotu, by zgasnąć na skutek niedbałego, jak gdyby roztargnionego

pomachiwania. Patriarcha odziany był w jadownicę brązowy blezer z długim pęknięciem oraz błękitne dżinsy, szczelnie opinające jego kształtne kończyny, obuty zaś w artystyczne kowbojki z inkrustacją. Taka jest jego zewnętrznosc; dodamy do niej niebiesciutkie pod kolor dżinsów oczy, czy to naturalne, czy sztuczne, w każdym razie dostatecznie bystre, jak wykaże rozmowa. Jeśli chodzi o wnętrze, to w tym miejscu nasze pióro zaczyna buksować, nie odważając się nawet dotknąć tego tematu w decydującej fazie powieści.

Kelnerzy z restauracji Maupassant, znajdującej się na pierwszym piętrze budynku, przynieśli dwa egzemplarze menu w skórzanej oprawie, przypominające powitalne adresy z okazji jubileuszu Akademii Sztabu Generalnego. Menu przeznaczone było dla Aleksa Korbacha i Dicka Putneya. Starcowi przyniesiono jego ulubione jedzenie z McDonaWsa: dwa hamburgery, frytki, solidną porcję sałatki i tubkę ketchupu, którym niemal natychmiast poplamiał serwetkę.

Alex patrzył uważnie, czy Abe dostatecznie szeroko otworzy usta, wchodząc w intymny kontakt z hamburgerem. Nigdy nie doceniał sprężystej pulchności tych kulturowo-historycznych bułeczek. Palce i szczęki utalentowanego człowieka zmieniają najgrubszy nawet hamburger w wygodną jadalną konstrukcję, a Abe Putney znajdował się w ich liczbie.

- No Alex, opowiedz o swoich perspektywach - poprosił Dick. - Jak zaczęły się zdjęcia, no i w ogóle.

Alex z miejsca zaczął pleść bzdury o tym, jakiego ogromnego znaczenia nabiera temat dantejski w kontekście europejskiego wyzwania kulturalno-politycznego. Bałkany są dowodem, że mamy do czynienia ze swego rodzaju odrzuceniem Renesansu, jednakże na tle nieoczekiwanego awansu Rosji nasz film może się okazać manifestem frontu kulturalnego. Zachód żyje, cywilizacja nie poddaje się! Europa nie zejdzie ze sceny, dopóki istnieje ludzkość, Mr Putney!

- Abe - powiedział starzec.

- Proszę? - nie zrozumiał Alex.

- Mów mi Abe - wyjaśnił starzec. Skończył już oba hamburgery, frytki oraz jedną trzecią sałatki, podczas gdy „młodzi ludzie”, sącząc pierwszorzędnego merlota, dopiero zabierali się do swoich *filets mignons*. Teraz Abe podnosił się już - do toalety.

- Ty Alex, ja Abe - mówił, chichocząc. - Saszka i Abraszka, *okay*!

Dość długo nie wracał. W tym czasie Dick i Alex zdążyli skończyć lunch i pogadać o panienkach ze scen zbiorowych.

Chłopaki mówią, że masz tam u siebie masę niezłych laseczek, czy to prawda? Kiedy Abe wrócił, Alex sam już czuł potrzebę, żeby się odlać, czy, jak mawiają na stacjach benzynowych, *take a leak*. Wszedłszy do toalety, zobaczył w misce klozetowej ogromną ciemnozieloną kupę, świadczącą o niezłym stanie przewodu pokarmowego prezesa korporacji. Na posadzce leżała gruba gazeta, rozłożona na stronie z notowaniami giełdowymi. Zaabsorbowany ulubioną lekturą, Abe zapomniał spuścić wodę; no cóż, zdarza się.

Przy kawie zaczęła się dziwna, ale najwyraźniej zasadnicza rozmowa.

- Wiek już minęły, jak nie widziałem Stanleya - powiedział Abe. - Czy to prawda, że ożenił się z czarną kobietą?

- Po pierwsze, jeszcze się nie ożenił, a po drugie ona nie jest czarna - odparł Alex ze zdziwieniem.

- A mnie mówiono, że czarna - wymamlał Abe.

- Nie, nie, Abe - zaprotestował znowu Alex. - To typowa żydowska Irlandka, z rodziny Blumów.

- Blumów czy Blumsdale'ów? - gwałtownie zainteresował się Dick.

- Na nazwisko ma Lux - wyjaśnił Alex. - To boczna linia Blumów.

- Dobra, nieważne. - Abe pomachał pięcioma palcami prawej ręki i czterema lewej. Co najmniej siedem pierścieni prezentowało się na tym pododdziale pomarszczonych, ale solidnych jeszcze żołnierzy o połamanych paznokciach. - Czarne kobiety mogą być świetnymi partnerkami, zarówno w łóżku, jak i poza nim. Wiem z własnego doświadczenia.

Aleksander drgnął: na obrusie, tuż obok zestawu dżemów siedziała mała, nie dłuższa niż łyżeczka do herbaty szmaragdowa jaszczurka. Oczka, drobiny szmaragdu, patrzyły na niego z ciekawością. Na mgnienie wyskoczył z pyszczka rozdwojony języczek. Dziwna degradacja ziejących ogniem smoków. Starszy Putney spróbował nakryć jaszczurkę dłonią. A więc prawdziwa! Bez najmniejszego problemu gad uskoczył w bok i schował się za dzbanuszką z kawą.

- W gazetach w kółko piszą o Fundacji Korbacha - westchnął Dick z takim smutkiem, jakby zaledwie przed trzema dniami przeczytał Eklezjastę. - Podobna cała „aksamitna rewolucja” została sfinansowana przez Korbacha.

Co za bzdura! - roześmiał się Alex. - To Gorbaczow wszystko zorganizował. Radziecka agentura w Berlinie, Pradze i Budapeszcie zabrała się do roboty i wszystko poszło gładko.

Abe szybko wsunął rękę za dzbanuszek. Jaszczurka natychmiast przebiegła za złożoną w piramidkę serwetkę. Abe zainteresował się:

- A ten Gorbaczow to też pracownik fundacji?

- Byleby nie naszej! - zawołał Aleksander. - Skąd pan to wziął, Abraszka?

Dick Putney wzruszył ramionami.

- Nieważne, po prostu w gazetach piszą od czasu do czasu o tych sprawach. Gdzieś przeczytałem, że całe te wydarzenia sierpniowe w Moskwie zostały zorganizowane za pieniądze Korbachów.

- Co ty za gazety czytujesz, Dick? - chłodno zapytał Alex.

Putney znowu wzruszył ramionami.

- „Post” i „Time”, nic poza tym.

Teraz Alex wzruszył ramionami.

- Ja też i nigdy tam nic podobnego nie widziałem.

Nieoczekiwanie ta replika dotknęła młodszego Putneya do żywego.

- Wybacz, Alex, ale muszę ci coś powiedzieć. Wiesz, że traktujemy naszych reżyserów jak rodzinę. Pozwalamy im nawet dzielić z nami niektóre aspekty życia rodzinnego. - Ledwo zauważalnie, ale zauważalnie rzucił okiem w kierunku toalety, a następnie w stronę wykrochmalonej piramidki, zza której, niby mikroskopijny totem, wysuwała się szmaragdowa główka. - To mi daje prawo, stary, nieco tobą potrząsnąć. To, że nie widzisz tego czy owego w gazetach, wcale nie oznacza, że tego tam nie ma. Jesteś człowiekiem sztuki, poetą, jak słyszałem, muzykiem, zgadza się? Wybacz, ale nie potrafisz czytać gazet tak, jak robimy to my, ludzie biznesu. Wyłapujemy w nich mnóstwo wiadomości, skrytych przed... no, przed ludźmi sztuki.

W tym momencie Aleksander zauważył, że stary Abe patrzy na niego twardym, nieruchomym i szyderczym wzrokiem. Szczerze mówiąc, znajdował się na skrzyżowaniu trzech spojrzeń: dwóch Putneyów i jednej jaszczurki.

- Słyszałem, Saszka, że Stanley traci w „starych krajach”, kupę pieniędzy, prawda to? - zainteresował się starzec.

Alex nie odpowiedział. Dick dodał z uśmiechem:

- Z tych samych gazet, stary. Są doniesienia, że wydatki Fundacji Korbacha osiągają monstrualne rozmiary, że w AKCBB powstają w związku z tym poważne napięcia.

- Być może, ale nie wydaje mi się - spokojnie odpowiedział Alex. - Stanley to mimo wszystko finansowy geniusz. W każdym razie ja staram się nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. - Gdyby znali filozofię Stanleya, nie zadawaliby takich pytań, pomyślał.

- I słusznie czynisz, mój chłopcze - rzekł starzec i poczęstował nowego „członka rodziny” cygarem, wyciągniętym z kieszeni blezera. Jeśli o marynarce można było powiedzieć, że pamiętała lepsze czasy, to cygaro najwyraźniej było z czasów gorszych, jako że należało do gatunku supermarketowych po 2,99 za pół tuzina. Następnie klepnął dłonią w stół i jaszczurka natychmiast dała nurka w jego rękaw, za mankiet.

- Ten stwór ma co najmniej sześćdziesiąt lat - wyjaśnił czterdziestopięcioletni Dick. - Występowała w naszym pierwszym filmie, tak, tak, w *Putney i Lizzy*. Przyniosła nam kontener dolarów. - Bardzo z czegoś zadowolony wstał z wyciągniętą ręką. Aleksander oddał mu uścisk. Trudno było nie wspomnieć porzekadła, używanego przez bogobojny naród amerykański: „Nie ma czegoś takiego jak bezpłatny lunch”.

Pewnego razu późną wiosną lub wczesnym latem 1993 roku Aleksander Jakowlewicz siedział w swoim gabinecie szefa moskiewskiego oddziału FK i podpisywał papiery, przygotowane na jego przyjazd przez Rożę Morozową, jak obecnie, po trzech latach spędzonych w Moskwie, wołało być nazywane wiecznie kwitnące dziewczę z Marylandu.

Sprawy fundacji szły coraz lepiej, w tym sensie, że pieniędzy wydawano coraz więcej. Za pośrednictwem programu Pracujący intelekt inwestowano w rozmaite dziedziny rosyjskiej nauki ogromne sumy. Aby powstrzymać „ucieczkę umysłów” za granicę, FK starała się sama wychodzić uczonym naprzeciw, zwłaszcza teoretykom badań podstawowych, oferując stypendia w wysokości czterystu-pięciuset dolarów miesięcznie, co w owym czasie w na wpół głodującym kraju było prawdziwą synekurą. W ten sposób udawało się, choćby częściowo, podtrzymać funkcjonowanie całkiem przyzwoitej liczby laboratoriów i genetycy nie mieli już ochoty przeszczepiać pewnych chromosomów słynnemu wodzowi Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej albo jeszcze lepiej, pożądliwie mlaskającemu hipopotamowi w sąsiedztwie.

Został wdrożony szeroki program edukacyjny, zwany w skrócie SzUA (Szkoła, Uniwersytet, Asystentura). Opracowano warunki konkursów dla nauczycieli i uczniów. Warunki były takie, że tylko leń nic by nie dostał, niemniej prawdziwych „nieleniwych” trzeba było jeszcze poszukać.

Nie byli w stanie ogarnąć gigantycznego, na wpół sparaliżowanego systemu ochrony zdrowia, rozwijał się jednak skutecznie projekt Pogotowie, w którego ramach wspomagano bazę materialną pogotowia ratunkowego w dużych miastach. FK przekazywała ambulanse, wyposażenie, a także premie dla lekarzy i personelu pomocniczego.

Ważną część ogólnego budżetu stanowiła pomoc dla uchodźców, których było coraz więcej: ludzie uciekali z nowo powstałych niepodległych krajów, a także z Czeczenii z jej bandyckim rządem i z ognisk niebezpiecznych męskich zabaw w Abchazji i w Kraju Naddniestrzańskim.

Aleksander Jakowlewicz, choć zdawał sobie sprawę, że jest tu niemal figurantem, czerpał satysfakcję ze swojej obecności w fundacji. Oto czym należy się zajmować, a nie fantomami samorealizacji w najmniej do tego odpowiednim miejscu, studiu Putney. Lepiej, by filmowe miliony poszły na uchodźców, zamiast rzucać perły przed wieprze w rodzaju Quentina Landry.

Ten ostatni zaskakiwał go swoją afektacją, jakimiś chwytami rodem ze stereotypowych baśni, aczkolwiek znany był przecież z niezliczonych podbojów babskiej widowni. Trudno pojąć, jakim cudem ten pozer umiał wylaniać się w materiale zdjęciowym jako surowy, marzycielski Dante. Czasem przed kamerą napchany po gardło milionowymi honorariami Aktor Aktorowicz znajduje nagle pod wpływem jakiegoś natchnienia ten jedyny właściwy ton. Żeby jeszcze chuj nie robił bez przerwy numerów ze swoim rozkładem czasu! Niemal co miesiąc okazywało się, że ma zdjęcia gdzieś tam jeszcze. Wpada rozhisteryzowany. Alex, jesteś moim przyjacielem czy łobuzem? Cenisz mnie, swoje *alter ego*? Moi agenci, skurwiele, darmozjady, znowu coś poplątali! Okazuje się, że na dwa miesiące muszę wyjechać na zdjęcia do Sydney, inaczej koniec ze mną!

W efekcie trzeba przerywać zdjęcia, płacić wszystkim członkom ekipy kolosalne odszkodowania, wypada się z rytmu, dostaje zgagi. Zresztą i nimfomanka, nawiasem mówiąc, niewiele jest lepsza od swojego partnera. Nie wiadomo dlaczego z nią nie śpi, więc naturalnie jest wściekła: patrzcie go, mega-star, a ja jestem tylko superstar, więc może sobie pozwolić na to, czego mnie nie wolno, tak?

Mając w pewnym momencie wyżej uszu zaoceanicznych trosk, które napłynęły niepowstrzymaną falą, AJ zostawił Rożę Morozową i podszedł do okna. Po co wdepnąłem w tę megalomanię? Co mogę jeszcze dodać do tego, co już istnieje na świecie na temat Dantego? Jestem słaby i próżny, nie zdołałem oprzeć się pokusie. Pieniądze Stanleya w ostatecznym rozrachunku skrzywiły moją osobowość. Nigdy już nie wrócę do czystości pierwszych amerykańskich lat, do błogiego zapomnienia w hotelu Cadillac, do kolejki po śniadanie u Katolickich Braci, do stanu zakochania w księżniczce Norze, która siedzi w swojej archeologicznej wieży trzy tysiące mil od łysego wielbiciela. Dlatego ode mnie uciekła i nie pokazuje mi Philipa Jazza, po prostu wyczuła korupcję całego mojego wnętrza.

W dole, na placu, jak wciąż ostatnio, odbywał się komunistyczny wiec. Parę setek szumowin od Ampilowa stało pod czerwonymi sztandarami, pod portretami Ryżego Tchórza i Czarnego Kota. Obok, nie łącząc się z nimi, ale i nie izolując, sterczała gromada młodych osiłków pod czarno-złotymi flagami monarchii. Nienawiść do tych, których nazywają Żydami, łączy te dwie, całkowicie przeciwstawne siły. Czy w imię takiej wolności staliśmy na barykadach? Wolności nienawiści?

Wziął lornetkę, która niezmiennie leżała tu od pamiętnych sierpniowych dni. Skierował ją na

twarze demonstrantów. Bagno ludzkie, ucieleśnienie wszystkiego, czego do mdłości nienawdził w swojej ojczyźnie. Uważa się ich za biednych, starych, zapędzonych w kozi róg przez drapieżny kapitalizm. Mówcie to tym, którzy ich nie znają. Ja znam te świńskie ryła, byłych obozowych strażników, politruków, agentów, kadrowców, zasranych parweniuszy-karierowiczów, partyjnych krwiopijców, spijających śmietankę naczelników, a przede wszystkim - wtyki, wtyki i wtyki! Na początku pochowali się, w lęku, że będą ich wywlekać na światło dzienne, a potem zobaczyli, że nowa władza nawet pałką nie przyłoży, i zaczęli gromadzić się tysiącami. Żadne krwi dinozaury podpierają się młodzikami w sam raz nadającymi się na katów. Mnożą się ich gazety, w telewizji występują ich prowokatorzy. Paryski pismak-bolszewik zakłada pseudomesjanistyczną gadkę, krzywi się jak od kwasku cytrynowego, przesycającego całą jego krągłą sowiecką buźkę, wydziera się: do broni! topory w dłoń! Z bronią już rzuca się czerwone bydło na moskiewskich glińiarzy, którzy tracą nerwy w obliczu czerwonych sztandarów. Tegoroczne lato dziennikarze porównują z latem 1917. Jesienią rzekomo ma nastąpić ostateczny przewrót, szturm Kremla. Generałowie-hieny, bez lęku i bez wstydu, organizują spotkania wiernych oficerów, obiecują „wykąpać gównokratów w ich własnej krwi”, innymi słowy zabić Jelca, wyróżnić młody rząd, wprowadzić antyzachodni terror.

A członkowie rządu kursują po mieście w limuzynach byłego KC i udają, że nie widzą na murach wołowych liter, wzywających do ich unicestwienia. W środowisku demokratycznej prasy wymienia się cyniczne uśmiešky. Niezręcznie wspominać Sierpień, tak zafajdany łajnem dezinformacji, zdeformowany przymrużonym okiem KGB.

Po co się tu wypinamy z naszymi „nienawidzonymi dolarami”, myślał AJ. Komu pomagamy? Narodowi rosyjskiemu? Rosyjskiej inteligencji? Wszystko znowu zagarną komuchy, a nam jeszcze pluną na wyciągniętą z pomocą dłoń, oskarżą o szpiegostwo. Wdzięczność nie jest najbardziej rzucającą się w oczy cechą narodu rosyjskiego, cóż dopiero mówić o bolszewikach. Bolszewizm zakorzenił się tu na wieki, jak spirt w alkoholiku.

- *Alex, are you all right?* - spytała z niepokojem Rosę Morrrows. I właśnie w tej chwili, jakby wzywając do oderwania się od mrocznych antypatriotycznych myśli, zadzwieczał dzwonek telefonu, trafiając go w samo serce. Dzwoniła ni mniej ni więcej, tylko jego była żona Anisja, obecnie baronessa Chapeaumange.

- Saszka mój, Saszka kochany, wybacz, zatkało mnie - powiedział ten sam co dawniej słodki głos, z tą różnicą, że kiedyś sypał się niczym strużka cukru kryształu, a teraz lepił jak patoka.

Stał ze słuchawką przy uchu przed ogromnym, wielkości człowieka lustrem i odbijał się w nim w całości: młodzieńcza sylwetka w znoszonym swetrze, zakończona starą głową. Ile ma teraz lat ta Anis? Szybki rachunek: o Boże, babie stuknęło pół wieku!

- Czemu nic nie mówisz, skarbuchna, misiaczku?

- Po prostu mnie замуrowało - odparł i zrobił krok w kierunku lustra. Co to? Na stromym stoku czoła widniała niewielka galaktyka pigmentacyjnych plam. No to teraz już z góry, łysina żółknie jak kanarek, potem pokryje się cętkami jak leopárd, wystarczy na nią spojrzeć, by powiedzieć: a ten co tu podskakuje?

Skąd ona dzwoni? Mam nadzieję, że z Port-au-Prince? Nadzieja natychmiast zawiodła, dzwoniła z sąsiedztwa. Wróciliśmy do dawnego mieszkania tatusia, Saszka, do „domu nad rzeką Moskwą”, wyobrażasz sobie? Pamiętasz, jak wtedy było, te noce pełne ognia, jeszcze przed ślubem, i Andriej, i Wołodia, i Sierioża, Lenka, Tamarka, jak śpiewaliśmy, Sasza, przypomnij sobie, Sasza... no dobrze, nie będę.

Dopiero przyjechali, całą rodziną. Tak, tak, i Stiopa, i Lowa, nie poznasz ich, paryscy studenci, przystojniaki, no i Albert, rzecz jasna, i inni członkowie rodziny, nawet zwierzęta domowe, dasz wiarę? Jasne, trzeba się spotkać, pointegrować, przecież nie jesteśmy obcy. Mogą do niego wpaść, choćby zaraz. Okazało się, że nawet czekać nie trzeba: dzwonią z dołu i oto wchodzi. *Rosę, please, stay!* - rzucił szeptem. Pani menedżer nie trzeba było prosić: być świadkiem takiego spotkania!

Obaj bliźniacy byli w białych marynarkach. Jednakowo wystrzyżone karki, jednakowo spadające na czoło blond czupryny, jakoś po żydowsku jednak kędzierzawe. Objęli ojca bez żadnych ceremonii. *Cześć, papaszal* Wymawiali to znaczące słowo z akcentem na ostatniej sylabie, przez co stawało się ono jeszcze bardziej znaczące: *papaszal*

Anis mocno utyla, co nie było zaskakujące, wzięwszy pod uwagę jej haitańską dietę opartą na kurczakach, ale jak dawniej olśniewała urodą. Pobyt na tropikalnej wyspie nie wpłynął na jej gust, toaleta jak zwykle utrzymana była w jaskrawych, ale nieźle dobranych barwach Waleta karo. Ogon od czasu do czasu dawał o sobie znać, zwłaszcza gdy układał się jej między nogami w pozycji siedzącej. Patrząc na ten puszysty wyrostek, Aleksander Jakowlewicz mimo woli pomyślał: udane bara-bara sprzyja pojawieniu się udanego potomstwa, hmmm.

Baron Chapeaumange przywitał się z całą uprzejmością głuchoniemego dżentelmena. Podkreślając niejaką względność swoich rodzinnych związków z Korbachami, usiadł nieco

z boku w stosunku do wzruszającego zgromadzenia głównych postaci sceny. Pozycja ta, w połączeniu z całkowitym bezruchem, umożliwiła wszystkim obecnym, włącznie z pozornie przypadkowo przebiegającymi pracownikami fundacji, obejrzenie jego sylwetki w całej niezwykłości. Zaskakiwała nadzwyczajna chudość arystokraty. Był jak gdyby anachoretą ze znanej dwudziestowiecznej mądrości: nie można być zbyt chudym, tak jak nie można być zbyt bogatym. Jeszcze dziwniejszym zjawiskiem wydawała się dekadenska monochromatyczność jego postaci, od ciemnego, atramentowego fioletu pod oczami i w zagłębieniach policzków, do najdelikatniejszego, pastelowego, bżowego odcienia garnituru. Ostro zakończona czaszka przywodziła na myśl pokrewieństwo barona ze stalówką numer 86, której jeszcze obecnie używa się w kaligrafii.

- On, zdaje się, po rosyjsku ani-ani? - spytał Korbach.

- Na razie nie - odparła Anis, jak gdyby dodając otuchy byłemu małżonkowi.

Dwoje sprawnych pracowników, Rosę i Matt, zdążyło tymczasem przygotować poczęstunek: kawa, herbata, krakersy, wybór „miękkich” i „twardych” drinków. Aleksander wykonał gest w kierunku Alberta: proszę się częstować! Ten delikatnie, małym palcem, wskazał whisky Ballantine. Shuroff natychmiast, niczym symbol amerykańskiego imperializmu, zawisł nad nim z butelką i szklanką: niech pan sam powie, kiedy dość.

- Co on taki chudy? - spytał Aleksander matkę swoich synów.

- On umiera, Sasza - odpowiedziała po prostu, niemal w duchu neorealizmu i, rzecz jasna, zapaliła papierosa.

Aleksander już wcześniej łapał się nieraz na tym, że mimo woli zaczyna podchwytывать styl osoby, która przy nim coś gra. Także teraz, zamiast gorzko się zdumieć uniósł, tylko brew - „coś takiego!” - w duchu neorealizmu. Anis, wściekła, natychmiast przerzuciła się zresztą na pełny melodramat:

- Albert jest ofiarą miłości! Ona go pożarła, kapłana miłosnych rytuałów!

- Jak winienem to rozumieć? - spytał AJ w poprzednim stylu, nie zdążywszy się przestawić.

- A rozum sobie, jak chcesz - i odwróciła się, tłumiąc płacz.

Korbach spojrział Chapeaumange w oczy. Ten uśmiechnął się, ukazując nadwerężone zęby, i uniósł kielich: *znaczy, a votre sante, monsieur!* Ach, chlusać by w siebie bursztynowego płynu, wznieść toast: niech pan się trzyma, dzielny wyspiarzu!

Głos Anis dobiegał jakby z daleka: „A razem z nim odchodzę ja!” Siedziała, zwróciwszy

krały podbródek w stronę okna. Obserwowała przelot skisłych chmur przyszłego radzieckiego rewanżu.

- Wybacz, Anisjo, ale o czym mówisz? A najważniejsze, w jakim stylu: alegorycznym? metaforycznym?

Spojrzał tam, gdzie do niedawna siedzieli synowie. Nie było ich. Drzwi na korytarz były otwarte: Lowa i Stiopa, błyskając klawiaturą zębów, grali na dwóch komputerach. To dopiero kwartet!

- Ach, Sasza, mój drogi, zawsze, bez względu na wszystko, bezgranicznie ukochany, mój szczerzy, otwarty człowieku, bezbronny w swoim artyzmie! Jak mogłabym przeżyć, jeśli on umiera, ten do bólu, Sasza, ukochany Negr?

Oczywistość tragedii biła po oczach, oblana jednak białoruską brzożową słodyczą trochę przestawała być tragedią. I mimo wszystko silna intonacja, myślał nasz komediant, mimo wszystko w jakimś stopniu *Dama kameliowa*.

- Otworzył przede mną cały wszechświat mądrości *woodoo* i wszystkie nasze, jak im tam, plazmodie i ameby, ileż to razy cyrkulowały wspólnie - kontynuowała Anisja na dotychczasowej nucie.

- Nie należy przesadzać - odezwał się nagle baron Chapeaumange skrzekliwie, ale po rosyjsku.

Niema scena. Wszystko zastygło w pół ruchu, w pół zdania, jedynie Anisja zdążyła otworzyć swoje wilgotne, nieco nawet pokryte pianą usta na całą szerokość. Jej pierwszej też został przywrócony dar mowy:

- To znaczy, że wszystko wiedziałeś, wszystko rozumiałeś?

- Nie wszystko, *ma cherie* - krótko odpowiedział baron. - Prawie wszystko.

Anisja, milcząc, powoli wstawała z krzesła. Nagle wybuchnęła:

- Skurwysyn! *Merdel* Chuj złamany! Wiedziałam, chodziłeś do tej Salamanki, czekistki pierdolonej! I ja dla tego gówna poświęciłam wszystko, dzieci, utalentowanego męża, czystość łona!

Doniczka begonii lekko niczym piłka siatkowa poszybowała prosto w głowę barona, przy zderzeniu jednak, niestety, straciła ową lekkość, rozpadając się na drobne kawałki. Baronowi nie pozostawało nic innego, niż wstać i skromnie odejść w kąt rozległego pomieszczenia. Anisja znowu z właściwym rezultatem cisnęła w niego korbachowskim krzesłem, ale baron liliowym

flamastrem rysował już na białej ścianie symbole Veves.

- Nie przestraszysz mnie, bydlaku! - z siłą miotacza ognia wrzasnęła Anis.

Wszyscy byli zszokowani, z wyjątkiem bliźniaków, którzy śmiali się i przytupywali.

- *Papa-szal* Uwaga! Zaraz pojawią się duchy Loa! Baron tymczasem skromnie szkicował jakąś zagadkową figurę, która przypominała oplecioną zmiętą tęczę.

- Boże, Boże! - wzniosła ręce Anis. - Loa i Veves, przybądźcie na pomoc!

Chłopcy, naśladując komentatorów sportowych, wygłupiali się:

- A teraz pojawia się babcia Furan! Za życia była Najwyższym Mambą!

Babcia Furan dawno już tu była. Nikt nie zauważył jej pojawienia się, być może dlatego, że uwagę wszystkich odwróciła nasilająca się woń karbidu. I nagle zobaczyli, że stoi jak słup pomiędzy Mattem Shuroffem i doktorem Fuchsem.

Przy całym zaufaniu do naszego czytelnika nie zdecydujemy się jednak przystąpić do opisywania wyglądu zewnętrznego babci Furan. Praktyka literacka nieraz już zweryfikowała popularne powiedzenie „papier zniesie wszystko”. Nie, drodzy państwo, i papier ma granice wytrzymałości. Nie na darmo zaczął wypierać niektóre autorskie paskudztwa wprost na taśmę celuloidową. Stop, mówi kiedy indziej papier i zagina się pod niepohamowanym piórem, proszę przypomnieć sobie, drogi panie, „zasady współżycia społecznego”, jak mawiano w dawnych czasach. Stop, burczy, zaklinowując się czasem w drukarce, wybaczy pan, ale okoliczność, iż poddany byłem komunistycznej przemocy, w żadnym razie nie daje panu prawa, by wylewać na mnie wszystkie nagromadzone w społeczeństwie brudy. Mam prawo do jakiejś, niechby nawet krótkiej, kwarantanny!

A zatem, w związku z powyższym, powstrzymujemy się przed opisem wyglądu zewnętrznego babci Furan i ograniczamy do jednego tylko, aczkolwiek dość zaskakującego szczegółu: z żołądka sterczał jej żywy kogut.

Opuszczamy ten chronotop. Lowa i Stiopa biorą pod białe ręce swego ojca, który o mało co nie stał się ofiarą magentyzmu religii *woodoo*.

- Idziemy, tato! Sami dadzą sobie radę ze wszystkim.

Wyszli na świeże powietrze, jeśli można się tak wyrazić o moskiewskim lecie 1993. Nieopodal z ciężarówki agitacyjnej prezentowała swoje talenty krasomówcze komsomółkabszewiczka. Jej siwe kędziory powiewały na wietrze w unisono z czerwonym sztandarem. „Łajdaki!” - wrzeszczała. - „Ograbili naród! Odbierzemy wam każdy centymetr

kwadratowy życiowej przestrzeni! Damy mieszkanie każdemu absolwentowi przedszkola!” Obok mięsisty na gębie i czubaty „Wasia Tiorkin” zaiwaniał na harmoszcze: „Kiedy pośle nas w bój towarzysz Stalin i Makaszow do bitwy powiedzie!” Parę bab z okrzykami: „Podstawiony! Podstawiony!”, gnało za malutkim staruszką o wielkim nosie. Ten zręcznie uchylał się przed ostrymi końcówkami parasolek, następnie zaś wskoczył na stopień trolejbusu, machnął trójkolorową chorągiewką - umrę za demokracją! - i odjechał. Baby przyhamowały i momentalnie odwróciły się ku oratorowi, wieszczącemu z wysokości krzesła. „Nauczę was, towarzysze, czytać żydowskie gazety! Wszędzie tam jest ukryta liczba 22! Liczba Syjonu, oto w czym rzecz! Nieprzypadkowo Hitler 22 czerwca napadł na nasz kraj!” Tłum dyszał gniewnie, tu i ówdzie podnosiły się okrzyki: „Wydusić ich wszystkich bez litości!” „Do przerębli wrzucać!” Ktoś powątpiewał: „Po co przeręble, towarzysze? Mamy czekać do zimy?” Tymczasem cztery brygady robotników trudziły się na peryferiach placu, montując - ogromne billboardy: BANK OLBY. ZAWSZE Z TOBĄ!, MMM. PRZELATUJĄC Z CIEMNOŚCI W ŚWIATŁO!, KASYNO ELDORADO, UBRANIA LE MONTI. COMME IL FAUT.

- Tu też jest interesująco - powiedział Stiopa.

- Nawet bardziej niż tam - powiedział Lowa.

Papa Korbach zabrał synów na przejażdżkę odkrytym mustangiem.

- *Wow*, ale samochód! - zachwycali się chłopcy. - Dasz poprowadzić, *dad*!

Aleksander Jakowlewicz chciał zaprzyjaźnić się z synami. Spytał ich, co powinien zrobić w tym celu. Sam pomyśl, *papa-sza*. Nie znalazł lepszego sposobu, niż kupić jednemu i drugiemu po jeepie. Na Twerskiej u nowego dealera, płacąc platynową kartą American Express, wybrali dwa cherokee, niebieski i czerwony. W połączeniu z ubraniami młodzieców wypadło to jak manifestacja wolności.

- Zawsze do pańskich usług, panie Korbach - powiedzieli sprzedawcy.

Synowie byli zachwyceni.

- Nic lepszego nie mogłeś wymyślić! Świetny z ciebie facet, *papa-szal*

Wieczór spędzili w mieszkaniu koło Czystych Prudów. Moskiewski oddział FK wynajmował je dla swojego szefa od byłego radzieckiego ministra produkcji zbożowej. Ten ostatni machał u wejścia miotłą, udając prostego człowieka; niewiele czasu zajęło mu przekształcenie się w dobrego kapitalistę.

Chłopcy opowiedzieli ojcu, że baron jest jednym z najważniejszych *hungani*, to znaczy

czarowników na Haiti, ale i mama w ciągu tamtych lat wyszkoła się na prawdziwą *mambę*, czyli czarownicę. Konfliktów między nimi nie należy traktować jak zwykłych rodzinnych swarów, to raczej walka dwóch silnych żywiołów, do której tamtejsza ludność odnosi się z wielkim szacunkiem. I nagle ni z tego ni z owego chłopcy rozplakali się jak dzieci:

- Czemu nas porzuciłeś, tatusiu? My chcemy być razem z tobą w zwyczajnym świecie sztuki! Nie odganiaj nas, proszę!

On także płakał, obejmując obu za krzepkie ramiona. Być może ukazywał im się we śnie tak samo, jak mnie czasami ukazuje się Jaków. Z modlitwą o przebaczenie, ale nie za to, że mnie porzucił, a za to, że spłodził.

Nagle zza okna dobiegł ciepły kobiecy głos, śpiewający: „Sadzie mój, sadzie, wiosenna zorzo”.

- No oczywiście, pogodzili się - orzekli chłopcy.

AJ podszedł do okna. Nad stawem przechadzał się po mostkach baron Chapeaumange z gitarą w ręku. *Mamasza* Anis śpiewała, idąc tuż za nim. Babcia Furan stała z boku jak słup. Kogut, wypuszczony na spacer, wołał „kukuryku” i grzebał wśród nieczystości słynnego literackiego skrzyżowania. I wszystko to zdarzyło się podczas jednej moskiewskiej doby 1993 roku.

Pewnego razu, zdaje się, już w dziewięćdziesiątym czwartym, wrócił z wyprawy w przeszłość doktor Lionel Fuchs. Był szalenie podekscytowany, rozsypywał wszędzie popiół z fajki, zdradzał chęć potarmoszenia rozmówcy za uchwyt zamka błyskawicznego, podobnie jak w swoim czasie jego dziadek Pejsach Fuchs chwycił rozmówcę za guzik od kamizelki, jednym słowem, był szczęśliwy. Aleksander Jakowlewicz, prawdę rzekłszy, już nieco zapomniał (albo udawał, że zapomniał) o istnieniu w łonie FK dość pokaźnego organu szczątkowego, zwanego sekcją genealogiczną, on zaś nie tylko istniał, ale i rozrastał się. Czyż nie jest oczywiste, mówił doktor Fuchs, że nasze badania są bezpośrednio związane z humanitarnymi celami fundacji? Jeśli rodzaj ludzki nie uświadomi sobie, że jest galaktyką wewnątrz galaktyki, straci swoje pieniądze na darmo. Mam rację?

No jednym słowem, choć jego koncepcja była mglista, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że wiązała się z głęboko zakorzenionym ateizmem Fuchsa, nasz badacz gotów był w każdej chwili gnać choćby do Dublina, choćby do Durbanu, o ile przeskoczyła tam choćby najmniejsza iskierka korbachowsko-fuchsowskiej molekuly. Tym razem wrócił z Samary.

No wiecie! Wołga wywarła na nim wielkie wrażenie. Nie spodziewał się, że wygląda tak, jak wygląda. Ale nie o to chodzi, Alex, mój drogi! Rzecz w tym, że zidentyfikowaliśmy tam niemało korbachowskich kamieni milowych, a zwłaszcza papiernię pańskiego pradziada Natana. Tak, istnieje nadal, a nawet od czasu do czasu produkuje papier. W zasadzie jest to pańska fabryka, Alex, ale o tym później.

Stało się tak, że analizując linię Amosa Korbacha, rodzzonego brata warszawianina Gedalego, to znaczy ciotecznego pra-pradziadka Aleksa i Stanleya, komputery „sekcji genealogicznej” zaczęły okresowo natrafiać na niejaką Hesię Teodorownę Korbach, rok urodzenia 1894, urodzoną w Samarze, dawnym Kujbyszewie - nie, nie, Alex, nie Chujbyszewie, a właśnie Kujbyszewie - figurującą później w różnych materiałach jako Asja Fiodorowna Suchowo-Korbach. Z jakiegoś powodu w żaden sposób nie udawało im się ustalić daty jej zgonu. Wszystkie poszukiwania kończyły się poziomą kreską. I nagle któryś z pracowników - nie, nie ma potrzeby uściślać, który, aczkolwiek Fuchs niewątpliwie by uściślił, gdyby nie był to on sam, skromny sługa - wpadł na pomysł, że Asja Fiodorowna po prostu jeszcze żyje.

Proszę sobie wyobrazić, że tak jest w istocie. Sto lat to nie tak znów wiele, powiedziała Asja Fiodorowna waszemu korespondentowi. Pali ona, siedząc na balkonie swojego domu obok samarskiego dworca rzeczno. Obecnie nie więcej niż pół paczki dziennie, dawniej i dwóch nie starczało. Nawet ten dziadowski balkon nie zdążył się przez sto lat rozwalić. W dzieciństwie wszyscy mówili, że tylko patrzeć, jak się rozwali, a on się dotąd trzyma! - śmieje się chrypliwie Asja.

Tak się jakoś złożyło, że udało jej się przeżyć swoje stulecie bez szczególnych niepokojów. Po prostu patrzyłam, jak płynie Wołga, to wszystko. Czytałam słowniki, przewodniki, encyklopedie i w miarę jak przepływała Wołga, stałam się prawdziwą krynicą wiedzy. Spróbujmy zabawić się w słówka, dżentelmeni z Ameryki. Weźcie jakiś słownik, otwórzcie na chybił trafił i zadajcie mi pytanie. Bierzemy coś ciężkiego jak gład, oprawionego w strzępy skóry, próchno z pozłotą, plama z konfitury z czarnej porzeczki sprzed półwiecza. Co to takiego mięta, Asjo Fiodorowno? Asja wznosi swoje aszkenazyjskie, błękitne oczy, które nie zdążyły wypłowić przez sto lat ku sztukateriom sufitu, który nie zdążył się jeszcze zawalić, i odrzucając papierosa nie pozbawionym elegancji gestem, cytuje z pamięci: „Mięta? Chwileczkę... Roślina *Mentha*. Mięta kędzierzawa, pospolita, dzika, albo rosyjska, kwaśna. *Mentha crispata*. *Mentha mridis*, kędzierzawa. Mięta pieprzowa, angielska. *Mentha piperita*, chłodna. Mięta dzika, głucha, końska. *Mentha awensis*, *Maribus vulgaris*, kocimiętka, bluszcz, majeranek, *pulegium*. Ptasia, kurzy mór. *Stellaria media*. *Ballota nigra*. Mięta stepowa. *Nereta cataria*... No co, dosyć?”

Na Zachodzie nie docenia się rosyjskiej kultury, trwałości jej elementu żydowskiego. Cóż to jest sto lat? Nie zdążyłam nawet wyłysieć jak należy, chociaż mój znakomity krewniak podobno jest łysy od urodzenia.

Nie, w więzieniu nie siedziała, no, ale przedstawmy parę faktów po kolei. W latach dwudziestych niełatwo było dziewczynom z rodzin bankierskich, zwłaszcza jeśli brat uciekł do białych, do Persji. Na szczęście inżynier Suchowo zaproponował jej swoje nazwisko. Asja Suchowo brzmiało właściwie, nawet w kontekście antysemityzmu. Instytut Ekonomiczny, komsomoł i tak dalej. Po skończeniu Instytutu, och, bezrobotna *et caetera*. I nagle, proszę sobie wyobrazić, Mr Fuchs, oferują młodej panience pracę w dużej fabryce Wołżański Komunista, w dziale ekonomicznym. Zdradzę sekret: pomogły jednak burżuazyjne koneksje. Fabryka była kiedyś własnością ciotecznego wujka świeżo upieczonej komsomołki Asji Suchowo, Natana Korbacha, największego producenta papieru. W roku 1918 dwóch samarskich Korbachów, Natan

oraz rodzony wuj Asji Suchowo, Girkan, bankier, po wywłaszczeniu zniknęli z miasta. Podobno próbowali dostać się do Finlandii, ale, niestety, nigdzie się nie dostali. W mieście mówiono, że ograbili ich i zabili dwaj żołnierze, których potem zabił i ograbił sam komendant pociągu.

Nawet wśród samarskich bolszewików byli ludzie, którzy żalowali Korbachów, jako że w swoim czasie dali sporo pieniędzy na rewolucję. Jednym z tych ludzi był towarzysz Szlachticz, starszy technolog fabryki Papier Korbacha, która przekształciła się w Wołżańskiego Komunistę. Właśnie on załatwił Asji Suchowo pracę w buchalterii, gdzie przepracowała niemal pięćdziesiąt lat bez przerwy. Fabryka ta jest unikatowym przedsiębiorstwem. Tak, Mr Fuchs, istnieje do tej pory. Oprócz niej ani jeden zakład w całym kraju nie produkował papieru czerpanego albo typu Eaton, Whatman, kalki *et caetera*. Może pan być pewny, wszystko było rozdzielane przez KC WKP(b). Oczy Asji Fiodorowny widziały niemało pism powitalnych, papierów firmowych z okropnymi znakami, specjalnych notesów wyprodukowanych głównie na użytek zjazdów i konferencji naszej partii. Unikatowe angielskie wyposażenie, wprowadzone przez Natana Korbacha, do tej pory uważane jest za nieprześcignione. Tak, panowie, panie Fuchs i panie Duckworth, wasz tłumacz zrozumiał prawidłowo: maszyny pracują do dziś.

Ogromnie dziękujemy, Mrs Korbach, ale zostawmy na chwilę tę fabrykę i wróćmy do pani krewnych. Czy wiadomo pani coś o gałęzi francuskiej, zapoczątkowanej przez pani brata Władimira, to znaczy Wolę? No jakże, ma się rozumieć, towarzysze! Wnuki Woli - Liii, Lazare, Yannick, Antoine, Marie-Therese i Hyppolite - stale pomagają mi utrzymać się na fali, to znaczy przysyłają aromatyczną herbatę, biskwity i te oto papierosy gitanes. A teraz proszę się przygotować, historycy, opowiem wam najbardziej ekscytującą historię mego życia!

W czterdziestym piątym zmobilizowano mnie jako tłumaczkę do pracy w obozie jenieckim. Znajdował się on w Zigulewskich Górach, trzecim pod względem malowniczości parku narodowym Europy. Niemców, naturalnie, nie obchodziła żadna malowniczość w kopalni odkrywkowej. Z jednym co prawda wyjątkiem, a wyjątkiem tym był dwudziestoletni błękitnooki, powiedzmy, Zygfyrd, powiedzmy, Wagner. W Żiguli zakochał się on w pięćdziesięcioletniej Asji. Ale cóż to jest pięćdziesiąt lat, jeśli kręci ci się w głowie od walców, które ten chłopiec wygrywa dla ciebie na grzebieniu? Niestety, trwało to tylko pół roku. W czterdziestym szóstym Zygfyrd podpisał zgodę na współpracę z Urzędem Bezpieczeństwa, zwolniono go ze względu na stan zdrowia i wysłano do Niemiec. Niewykluczone, panowie, że w Niemczech urodziło mi się dziecko. No oczywiście, aresztowano mnie, ale wkrótce byłam na wolności, podpisawszy zgodę

na współpracę z bezpieką. Och, wszystko to bez znaczenia, wszystkich starali się skłonić do współpracy, bo dostawali za to awans.

Nieraz tęsknię za tymi czasami, Mr Fuchs i Mr Duckworth - wiecie panowie, co wtorek informacja polityczna, wszyscy się zbierają, jest jakoś tak przytulnie, ciepło, gwiazdy estrady i teatru dawały bezpłatne koncerty, a na 8 marca dostawaliśmy małe tabliczki naszej kujbyszewskiej czekolady. Teraz w mieście podobno zrobiło się niebezpiecznie. A ja mam zapas aromatycznej herbaty na co najmniej pięć lat, człowiekowi chce się żyć. Dlatego nie wychodzę na ulicę, wolę balkon. Zawali się, to się zawali, nikt z nas nie jest wieczny na tej ziemi.

Od Hesi Teodorowny poszli do fabryki Wołżański Komunist, która z dawien dawna przycupnęła na brzegu Wołgi między gigantycznym browarem Stube (1898) i elektrociepłownią Mamonowa (1912). Wszyscy, naturalnie, bardzo się tam ucieszyli z wizyty Amerykanów. Nawiasem mówiąc, robotnicy, których rodziny pracują tu od pokoleń, do tej pory nazywają fabrykę Korbach i dumni są z pras starej angielskiej roboty. Z pokolenia na pokolenie najpierw powtarzano szeptem, a potem głośno marzenie o tym, że kiedyś kupią ich Amerykanie.

No, proszę się częstować, czym chata bogata. Ryba solona, ryba wędzona, ryba gotowana, wódeczka do jajeczka, browarek do skwarek. Przedstawiciele FK stanowili uderzającą parę: malutki Fuchs z einsteinowskimi wąsami i atletyczny, smukły przystojniak Ben, którego uśmiech rozbłyskał za każdym razem jak flesz pierwszorzędnego aparatu.

Już miesiąc minął, odkąd fabryka została sprywatyzowana i przeszła we władanie byłego komitetu rejonowego Komsomołu, obecnie kooperatywy Utios. Przyjechał pierwszy sekretarz, czy raczej prezes, Gleb Kołobrodzchenko, potężny facet we włoskiej marynarce obciążonej czterema pistoletami. Ben poszedł do toalety i, zaciskając na nozdrzach chusteczkę do nosa, zadzwonił przez satelitę do swojego prezesa. Kupujcie, powiedział Stanley, nawet nie dosłuchawszy opowieści o starej fabryce Korbachów. Niech teraz nasz Alex zostanie dziedzicznym nadwołżańskim kapitalistą.

Zaczęły się targi. Zamierzali zaproponować Kołobrodzence milion, ale nie zdążyli nawet otworzyć ust, kiedy ten zażądał pięciuset tysięcy. Zeszli do dwustu pięćdziesięciu. W zamglonych alkoholem źrenicach Gleba rozbłysły romantyczne ogniki. Wyobrażał już sobie, jak będzie obracać tą z nieba spadłą sumką. Nagle jakaś ważka myśl wstrzymała podpisanie kontraktu. Kołobrodzchenko walnął pięścią w stół-antyk: „Korbach pójdzie tylko w ramach sprzedaży związanej! Bez skr. poczt. 380 nie oddam!” Okazało się, że w gorączce prywatyzacji

kooperatywa Utios nawet nie zauważyła, że weszła w posiadanie tajnej fabryki amunicji. Pozbawiony zamówień ze strony państwa, zakład ciążył komsomolcom niczym młyński kamień.

- Złotą żyłę wam oddaję, chłopaki - mówił do Amerykanów Kołobrodzenko, patrząc z ukosa podstępnyimi oczami Kozaka. - Przekształćcie skrzynkę w co chcecie, nawet amunicję możecie zacząć na nowo produkować!

Ben niezbyt już pewnym palcem zaczął tykać w klawiaturę komórki. Gdzie dzwonisz, ty negatywie, zainteresował się Gleb. Chyba na Jamajkę, odparł były desantowiec. Okazało się, że kiedy siedzieli przy stole bankietowym, jego przybrany ojciec zdążył przelecieć z Jamajki do Mexico City. Na podstawie wzburzonych głosów, jakie dochodziły do niego ze słuchawki, Duckworth domyślił się, że został rozbity jeszcze jeden pododdział Normana Blumsdale'a, i pożałował, że nie wziął udziału w tej pełnej chwały akcji. Oczywiście, bierz, powiedział Stanley, tylko bez prochu. Naszemu Aleksowi w niczym nie przeszkodzi sympatyczna fabryczka rondli jako dodatek do papieru. Tylko tego mi brakowało, jęknął Alex. Połączenia satelitarne pracowały bez zarzutu.

Pewnego razu, zdaje się już w roku 1995, pod wieczór, odbywała się w Moskwie uroczystość otwarcia nowego półpodziemnego nocnego klubu. Półpodziemnego nie w sensie polityki, a sensie konstrukcji. Na powierzchni radował on oko pięknie odrestaurowanym osiemnastowiecznym pawilonem, głęboko w dole zaś rozciągał się niby ogromny postmodernistyczny zamek, z licznymi schodami, rurami, niszami, transformatorami, alkowami, bojlerami, gabinetami, korytarzami o łukowatych sklepieniach, z których jeden, jak powiadano, dochodził do tajnego kremlowskiego metra. Zgodnie z popularnym w owym czasie dwuznacznym stylem wypowiedania się, klub tak właśnie został nazwany - Półpodziemie.

Aleksandra Jakowlewicza Korbacha, któremu szedł już w tym czasie pięćdziesiąty szósty rok, niezbyt ciągnęło na to galowe przyjęcie, niemniej poszedł. Uroczystość otwarcia została zaplanowana jako święto „całej Moskwy”, to znaczy biznesu i finansów, środowiska artystycznego, prasy, kół politycznych, no i, rzecz jasna, szwadronu urodziwych panienek. Gospodarz klubu, niejaki Orest Sorokarorski, który wypowiadał swoje nazwisko grasejąc z francuska, co sprawiało, że trudno je było zrozumieć, przywitał AJ pełnym szacunku uściskiem. Jest po prostu niezwykle szczęśliwy, że może gościć u siebie dumę naszej kultury, a do tego jeszcze przedstawiciela wielkiego klanu Korbachów. Bez twojej obecności, stary, po prostu nie bylibyśmy w stanie zademonstrować nowego moskiewskiego stylu *fin de siecle*.

W naziemnej części klubu było bardzo jasno. Przez francuskie okna otwierał się widok na podświetlone cerkwie Zariadia. Gwarny tłum okupował na stojąco stoły, zavalone pierwszorzędnymi zakąskami. Wystarczyło wyciągnąć rękę w bok, by otrzymać dowolny drink z przebiegającej obok tacy. Szybko nauczyły się dobrze żyć nasze czorty.

AJ miał już powyżej uszu wszelkich przyjęć, a w owym czasie nie było tygodnia, by nie oddawał się w ręce Moskwy-szachrajki, która „tasowała” go w swojej zlepionej talii. Talia ta najwyraźniej była tu obecna niemal w całości; jarmark wszystkich czterech karcianych kolorów. Pośród fanfaronów migają tu i ówdzie świetne gęby „swoich”, trafiają się i lata sześćdziesiąte, których przedstawiciele rozpoczęli już końcowy etap swojej podróży. „Mówmy sobie, kochani, nawzajem komplementy”, przypomniały mu się słowa starej pieśni Okudźawy. Szalenie aktualne wezwanie: spóźnisz się z komplementem, możesz już nigdy tego nie nadrobić.

Dostrzegł tłumek aktorów. Podstarzałe chłopaki z młodymi przyjaciółkami, podstarzałe dziewczyny w pojedynkę. Odwieczna niesprawiedliwość: tego jednego wystarczy, by zapisać się do feministów.

Zamierzał przepchać się do nich, ale w tym momencie zatrzymał go okrzyk „Dziewczyny, przecież to Sasza Korbach!” i z miejsca został otoczony tabunem nieprawdopodobnie urodziwych istot. No wiecie, jeśli w tym pokoleniu rodzą się takie panny, to jestem za! W pełni i bez zastrzeżeń jestem po jego stronie! Co za wzrost, co za gibkość, co za olśniewające suknie! A te fryzury to chyba sam Parys wymyślił, idę o zakład! A zabawy i flirtowania niewątpliwie uczył ich sam Adonis! Proszę, oto dwa warianty przyszłości, mój narodzie: mroczny ziuganowowski brukowy gład albo opromieniony blaskiem muz medalionik którejkolwiek z tych dziewic. Wybieram was, młode niewiasty! Poprowadźcie mnie w swój taneczny korowód! Gotów jestem nawet wraz z wami wiecznie płaszać w *basrelief* antycznej wazy. Jestem cały wasz, a oto pięć moich wizytówek; jedna z was otrzyma stypendium na podtrzymanie urody. Unikajcie małych, owłosionych „noworusów”, szukajcie prawdziwego dumnego Rosjanina z europejskiej rodziny narodów, nie stróńcie też od dzielnego Żyda!

Dziewczyny śmiały się głośno, ale, co dziwne, bez śladu wulgarności. Nie wiadomo, z jakich rodzin pochodząc, wszystkie wydawały się płodami wysoko rozwiniętej cywilizacji. Fantom czy mutacja? Zdaje się, że znowu powiedziałem za dużo, i znowu przed kamerami telewizyjnymi. Szykuje się kolejny skandal, tylko patrzeć, jak neofaszyści przystąpią do ataku: Korbachy pytają o cenę naszych dziewcząt!

Obok szybko przeszedł młody człowiek o powierzchowności szakala, w znakomicie skrojonym garniturze. Rozmawiał z kimś przez telefon bezprzewodowy. Nie przerywając rozmowy, rzucił w kierunku „opromienionych blaskiem muz”: „Krażyc, krażyc, dziewczyny!” Śliczne gidie, jak się okazuje, zostały wynajęte przez Podziemie na dzisiejszą uroczystość, ale nie w charakterze kurewek, jak mógłby pomyśleć jakiś seksista o jednej szarej komórce, a po to, by rozprzestrzeniając się równomiernie po sali stwarzać właściwy efekt estetyczny.

Nie zdążył jeszcze AJ uciszyć swego bijącego z zachwyty serca, gdy dramaturgia wieczoru cisnęła go w przeciwstawny stan ducha: zza nagich ramion ujrzał fizjonomię Zawchozowa. Ten skurczybyk nie powinien się starzeć, pomyślał. Dawniej gładkość skóry sprawiała, że jego twarz pozbawiona była wyrazu. Z każdą zmarszczką ujawnia się jednak wewnętrzny trąd. Wkrótce ludzie zaczną rzygać na widok tej gęby, chyba że zostanie wybrany na prezydenta; wtedy

przywykną.

Zupełnie nieoczekiwanie generał KGB Zawchozow zaistniał w kontekście moskiewskiej grupy Fundacji Korbacha. A przecież tego człowieka należałoby powiesić w tamtą pamiętną sierpniową noc. Przy całym ówczesnym braku przemocy mimo wszystko ta noc powinna się zakończyć powieszeniem Zawchozowa. Może nie na śmierć, ale żebyś się pohuścił butami do góry. Być może ten środek wybiłby z niego chęć startowania w prezydenty. Stało się inaczej. I w ogóle, rewolucja się nie zrealizowała. Zawchozow rozplątał się w pokojowo nastawionym tłumie. I oto cztery lata później wyplątał w roli solidnego biznesmena, pretendującego do uczestnictwa w działalności amerykańskiej organizacji charytatywnej.

Po kolei. W roku dziewięćdziesiątym drugim powstała rodzima fundacja Rosyjscy Skauci. Zwróciło się o pomoc do korbachowców. Pod nieobecność AJ zachwyceni filantropi wręczyli im okrągłą sumkę i sporządzili plan comiesięcznych przelewów. AJ jednakże, choć nie znał się na filantropii, zorientował się, że sprawa nie jest czysta: za „skautami” kryła się biurokracja Wszechzwiązkowej Leninowskiej Organizacji Pionierów. Chciał już rozpętać awanturę w prasie, ale właśnie wtedy zobaczył na liście sponsorów parę godnych szacunku nazwisk liberalów.

Liberałowie przybyli do Korbachów na konferencję. Tak, wiemy, że to komuchy i bezpieka, powiedzieli, ale uważamy, że należy do czasu zachować dotychczasowe struktury. Ze względu na dzieci, Sasza, nie czas teraz na krucjatę moralną, trzeba wyciągać setki tysięcy z rozpaczliwego położenia. No popatrz: dzieci-gruźlice, dzieci-uciekiniery, ofiary nacjonalistycznych konfliktów, dzieci z rodzin z problemem alkoholowym, obozy zdrowotne na południu, konkursy młodych talentów, opóźnieni w rozwoju. Kto będzie się tym wszystkim zajmował, jeśli rozegnamy dotychczasowe tałatajstwo? Potrzebny jest stopniowy, na trzeźwo wyważony proces. Takie rozmowy są typowe na całym obszarze rozpieprzonej ojczyzny. Wielomilionowe masy były przecież lipnymi wprawdzie, ale jednak komunistami, o Teofilu.

Minęło trochę czasu. AJ w natłoku innych spraw przestał myśleć o Rosyjskich Skautach, kiedy nagle zdarzyło się coś niezwykłego. Pojawił się niejaki Borys Razdryzgannikow, skruszony działacz pionierski. Potrząsał czerwonym folderem wyprodukowanym przez kujbyszewską fabrykę Wołżański Komunista, na którym stało wydrukowane złotymi literami: „Uczestnikowi Złotu Wszechzwiązkowej Leninowskiej Organizacji Pionierskiej. *Bud’ gotów! Wsiegda gotów!*”. Nie mogę milczeć, Sasza! Oskarżam! *J’accuse!* Żuliki, łotry, bezczeszczący najczystsze idee! Nie boję się niczego! Odbrazuję do końca!

No cóż, okazało się, że korbachowskie dolary niekoniecznie dochodziły do miejsca przeznaczenia, to znaczy do dzieci. Nie, nie, otwartego złodziejstwa nie było, uchowaj Boże! Niektórzy z kierownictwa tak właśnie mówili: „Uchowaj Boże!” i kreślili na piersi prawosławny znak krzyża. Inni przysięgali na męski honor, a jeden nawet krzyknął: „I legitymację partyjną oddam!” Pieniądze w znacznym stopniu dochodziły, jednakże dopiero po przeprowadzeniu pewnych procedur w ramach wolnej przedsiębiorczości, tak jak ją rozumiał aktyw. Po prostu korbachowskimi subsydiami obracały przez pół roku, albo i rok, nowo powstałe banki, przynosząc aktywowi dziesięć albo i dwadzieścia procent zysku. Po zakończeniu tych operacji amerykańska filantropia - no, w każdym razie jej istotna część - dosięgała „skautów”, chorych czy zdrowych, a także ich zastępowych, specjalistów z rozwiązanej organizacji pionierskiej, z których większość nie była dopuszczana do zysku nawet na odległość salwy raketowej. W ich liczbie znajdował się też poszukiwacz prawdy Razdryzgannikow.

- O co chodzi, panie Korbach? - zdziwili się szefowie RS. - Wasze pieniądze są nietknięte. Proszę, oto dokumentacja. „Skauci” wszystko otrzymali. A dochody, *sir* (kiedy nasi ludzie wymawiają „«r”, zawsze słychać w tym dźwięk przypominający uderzenie talią kart po nosie), szły na rozszerzenie naszej działalności. Psze bardzo, remont w Tuapse, restauracja w Pawłowo-Posadzie, psze bardzo, psze bardzo.

Usiłowania AJ, by uświadomić klientom, że subsydia fundacji nie mogą służyć do pomnażania zysku, były bezskuteczne. Pan, Sasza, oderwał się od realiów naszego życia. U nas taki snobizm nie przejdzie. Mamy teraz własne *know how*. Nawet głos podnosili, uderzali pięściami jeszcze nie w stół, ale już w poręcz krzesła. Niestety, podobnego stosunku do obcej pomocy nie można nazwać nietypowym. Pomoc przyjmuje się u nas z wyniosłym i mrocznym wyrazem twarzy. Jeśli chodzi o *know how*, słówko to, którego kurs w środowisku byłych komsomolców stale zwyżkował, przybrało pewne cechy mutanta. Z jednej strony traktuje się je jak coś puszystego, odpowiedniego na kosztowne futro, z drugiej - jak coś odświeżającego, w rodzaju owocu fejchoa, który, ze względu na rzekome własności afrodyzjakalne, pożerał w swoim czasie aktyw w sanatoriach Abchazji w celu lepszego wzvodu. „Snobizm” natomiast, który obecnie wciska się gdzie się da, pochodzi od gogolowskiego Nosa: nie zadzieraj nosa, koleś, znaczy się!

Utrzymując się nadal w gogolowskiej stylistyce, powiemy, że zdezorientowany AJ załatwił sobie dwóch rewizorów, mianowicie Saula Leibnitsa i Lestera Square'a. Macie więc artystę

rzekomo z głową w chmurach! Nie sposób było podjąć trafniejszej decyzji. Pod stalowymi spojrzemiami północnoatlantyckich dżentelmenów komsomolski element zaczął rozpadać się na kawałki, przypominające w sensie węchowym rojącą się rodzinę skunksów. Okazało się, że i z sum nominalnych Rosyjscy Skauci nie byli się w stanie rozliczyć, jako że sumy te pochowane były pod gruzami piramid w rodzaju Czary czy Włastiliny, uniesione na łapkach niedawno spadłej plagi szarańczy, a mianowicie ukochanych motylków niejakiego pana Mavrodi, który stworzył imperium finansowe w postaci gwałtownie rosnącej piramidy, bazujące na naiwniakach z ulicy. Wyglądało również na to, że RS stali się jedną z licznych fasadowych firm ogromnego finansowego trustu Wiadukt, który ironią losu miał siedzibę w tym samym wysokościowcu, zaprojektowanym w postaci otwartej książki w okresie „dojrzałego socjalizmu”, dwa piętra wyżej niż Korbachowie. Pozwolimy sobie w tym miejscu zauważyć, że żadnego losu w tej ironii nie było, jak i nie było ironii w tym losie, a wyłącznie, jak zwykle w podobnych przypadkach, burdel.

- No cóż, to zamykamy program Skauci i występujemy przeciw wam z powództwem cywilnym, drodzy towarzysze - podsumował ze znużeniem AJ. Dawno już marzył, żeby odejść z wysokiego stanowiska na zasłużony odpoczynek. Ciągnęło go do sielanki pinkertonowskiego kampusu i niewiele troszczył się o treść swojego monologu sprzed dwunastu, zdaje się, stron, czy jakoś tak.

Specjaliści ruchu skautowskiego unieśli podbródki: nie radzimy, Mr Korbach. Radzimy pogadać najpierw z naszym kuratorem. Nawiasem mówiąc, czeka na pana. Bandyckie palce wskazywały na sufit, tak samo jak kiedyś palce przodków wskazywały na wiszącą nad całym krajem chmurę Stalina.

AJ udał się na górę. Właściwie nie musiał chodzić, ale ciągnęły go resztki ciekawości: co to za Wiadukt, o którym tyle się w mieście mówi? Nic szczególnego jednak nie zauważył, oprócz zwykłego chamstwa w drogich garniturach, palącego po korytarzach. A tymczasem w mieście opowiadano, że stara Łubianka przekształciła się w Wiadukt pod przewodnictwem wciąż tego samego Bubkowa, Bujcowa, Bujnowa, Brutkowa i Bruszczatnikowa; obecnie tytułowano ich wiceprezesami.

Tak, tak, panie Korbach, prezes czeka na pana. AJ wchodzi do rozległego gabinetu. W odległym kącie zdobi go znakomita kopia rzeźby *Myśliciel*. Przy biurku prezesa bagno ludzkie, mocno podstarzały prezes Zawchozow. Oleg chyba? Nie, nie Oleg, Orioł. Orioł Iljicz.

Dziwne, Sasza, jesteśmy sąsiadami, a kieliszka wódki nie możemy razem wypić. Do rzeczy, panie prezesie. No dobrze, do *n^czy*. Przeglądamy tu wasz budżet i zrodziło się sporo pytań. Pięciu chłopca, choć niemłodych, ale krzepkich jak czort, podchodzi bliżej i otacza gości kręgiem. Uważnie śledzą każdą zmarszczkę na twarzy błazna. Pan wybaczy, ale nie przyszedłem rozmawiać o naszych budżetach, a o fałszerstwach popełnionych przez RS, waszych podopiecznych. A właściwie nawet nie rozmawiać, a po prostu poinformować, ich że zamknęliśmy program.

Odpowiedzią był wybuch jakiegoś homeryckiego, nawet wręcz karnawałowego śmiechu. Wujaszkwowie kręcili głowami. Coś takiego! Ktoś nawet zawołał: cały Sasza Korbach, towarzysze! Podeszli jeszcze bliżej, a jeden, podniósłszy się z parapetu, stanął mu za plecami. Dopierdolą, czy jak? AJ starał się szybko ocenić sytuację: może uda się wyśliznąć? Prezes Zawchozow uśmiechnął się niepokojąco. Przecież my tak po prostu, po sąsiedzku, Aleksandrze Jakowlewiczu. Myśleliśmy, że może potrzebna panu pomoc. Mamy tu szalenie doświadczonych ludzi do pańskich usług. Najserdeczniej dziękuję, ale już chyba pójdę. Nie mam o czym mówić z waszymi doświadczonymi. Ponowny wybuch niemal życzliwego śmiechu. No właśnie, Sasza Korbach, towarzysze, cały on! To wy tu wszyscy, jak widzę, jesteście towarzyszami, panowie? Tak, tak, jesteśmy towarzyszami jeszcze z instytutu. A powiedz, Sasza, co oznacza twoje nazwisko po żydowsku? Chłodnodomski, czy jakoś tak? A czy to prawda, że twojemu kuzynowi Stanleyowi szajba odbiła? A czy to prawda, że ty z jego córką?

Korbach wstał. Na pożegnanie, panowie-towarzysze, radziłbym wam nie tracić czasu na tak pilne obserwowanie nas. Zajmijcie się lepiej hołotą z Rosyjskich Skautów i spowodujcie, żeby zwrócili pieniądze pokoleniu, które dorasta. Nie wiadomo dlaczego wszyscy, nie wyłączając prezesa Zawchozowa, ruszyli za nim na wyścigi ku drzwiom. W drzwiach powstała przepychanka, by nie powiedzieć korek. Cóż to, Aleksandrze Jakowlewiczu, bez ochrony się pan porusza po naszej niebezpiecznej demokratycznej stolicy? Doprawdy, dziwna lekkomyślność. Chodzi sobie jakiś Żyd i udaje, że się nie boi. A przecież demokracja nie stoi w miejscu, rozwija się!

W przedpokoju prezesowskiego biura dało się słyszeć małe zamieszanie i do sceny w drzwiach dołączyło dwóch barczystych facetów, czarny i biały. Nasi! Na widok Bena i Matta Aleksander odetchnął z ulgą. *Alex, we were worried, where were you for so long?* Obie strony kłaniały się teraz sobie nawzajem nadzwyczaj uprzejmie. Takiego pluralizmu nie widziano

jeszcze w tych murach!

Nagle ściany zakotływały się. Podłoga zahuczała, zupełnie jakby znowu czołgi weszły do Moskwy. Tym razem jednak w ruch poszła nie stal, a brąz. Za plecami wiaduktowców podniósł się, wyższy o dwie głowy, miejscowy *Mysliciel*. - Taki hałas, a bez mordobicia? - spytał. Dobra, dobra, siadaj, Misza, powiedział prezes i uśmiechnął się krzywo ustami Guignola. - No to na razie, panowie sąsiedzi!

Teraz gęba Guignola uśmiechała się do niego w strojnym tłumie Półpodziemia. Uniesiony kieliszek. Jedna brewka, niczym pasikonik, podskakuje łukiem na poplamione pigmentacją czoło. Jak leci? AJ nie odpowiada na pozdrowienie. Zawchozow cedzi coś do kogoś przez ramię, najwyraźniej coś antysemickiego.

Nagle tuż obok, ale odrobinę z góry, zadźwięczał wesoły anielski głosik:

- Aleksandrze Jakowlewiczu, zostałam odkomenderowana jako pańskie towarzystwo na dzisiejszy wieczór, jeśli nie ma pan nic przeciw temu! - Uśmiechając się uroczo, stała obok jedna z niebotycznych piękności sprzed paru minut. - Na imię mam Łasta.

- Własta? - zdumiał się, że nosi czeskie imię.

- Nie, po prostu Łasta - śmiała się dziewczyna. - No wie pan, *last but not least*. Nie podoba się panu?

- Wręcz przeciwnie, podoba się, nawet bardzo. Wyjątkowo pojemne znaczeniowo imię.

- Strzał w dziesiątkę, Aleksandrze Jakowlewiczu. - Nie bez kokieterii na moment otarła się o niego pieszczotliwie, przy czym jej podbródek ześliznął się po jego łysinie.

- Łasta, przecież mógłbym być nawet nie ojcem, a bez mała dziadkiem pani.

- Być może jako obcokrajowiec nie wie pan o tym - sprzeciwiła się gorąco - ale w naszym kraju Sasza Korbach nie ma wieku. No to schodzimy do kopalni! Najważniejsze dzieje się tam!

Opuścili lśniący hol i zaczęli schodzić do podziemia, przypominającego dekoracje do jakiegoś hollywoodzkiego dreszczowca o zagładzie cywilizacji. Mury z surowej cegły, wyeksponowane belkowanie, sterczące ze ścian rury, z których tu i tam coś się sączyło. Przestrzeń przecinały liczne schody, na oko sprawiające wrażenie na wpół zburzonych, w rzeczywistości całkowicie bezpieczne. Stosy skrzynek i mokrych kartonowych pudeł pogłębiały atmosferę rozkładu. Mimo to od czasu do czasu pieczara rozbłyskiwała rojem wirujących różnokolorowych świateł.

- Sprawdzają światło do kabaretu Apoteoza - wyjaśniła Łasta.

Nozdrza łąwiły mieszaną przeciwstawnych zapachów: perfum i potu, rzygowin i wysokogatunkowej kawy. Oczy przywykały do ciemności. Można było teraz dostrzec, że wszędzie stoi młodzież, co najmniej ze dwie setki. Damskie główki górowały nad ogolonymi czaszkami młodzieńców. W głębi świeciła niewielka, przytulna jaskinia baru. Snop światła rzucanego przez reflektor wydobywał z mroku zdezelowaną, przedpotopową pięcotonową ciężarówkę. Na platformie o opuszczonych bokach stała czwórka gołych do pasa muzyków, wychudzonych niczym więźniowie bośniackich obozów; grupa Umum. Uderzywszy w struny, wrzasnęli na cały głos:

*Wybacz, że byłem takim chamem*

*Dzióbku!*

*Wybacz, że tłułem cię polanem*

*Dzióbku!*

Łasta złożyła ręce na piersi: „Ja po prostu uwielbiam tych chłopaków!”

Dokładnie w tym momencie Sasza Korbach zobaczył przechodzącą obok jakiejś obrzydliwej, przypominającej jelita płataniny rur Piękną Damę. W pierwszej chwili nie rozpoznał jej, aczkolwiek pomyślał najbanalniej w świecie: czas się jej nie ima. W następnym momencie światło uszło z poziomu pieczary, na którym znajdowała się dama, i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że to Nora.

- Co z panem, Aleksandrze Jakowlewiczu? - spytała Łasta.

Znowu zakręcił się kołowrót barw i Nora, ze swoją nieskończeniem miłą i rozumną twarzą, mignęła przed nim niczym w rysunkowym filmie. Zapomniał o Łacie i stoczył się ze swojego poziomu ku niej. Kołowrót zwolnił, i w półmroku zobaczyli się nawzajem między stolikami. Za jej plecami stał towarzysz, młody człowiek z grzywą jasnych włosów i w jasnej marynarce, jasny rycerz ruchu nacjonalistycznego Dima Pletojarow. Jeszcze niedawno demokratyczna Moskwa mówiła o nim „faszystowskie ścierwo”, ostatnio jednak wyrozumiale złagodziła ten epitet: „Ścierwo bo ścierwo, ale coś w nim jest”.

Dziwna skłonność do niepamięci rozwinęła się w postsowieckiej Rosji, i najwyraźniej było to zjawisko trwałe. Czegóż to nie nawypisywał piskorz Pletojarow w faszystowskim szmatławcu

„Tuszinskij Puls” (puls złodzieja, czy jak?) i w „Na dzień” Prochanowa! To nazistowski, to bolszewicki półdupek pokazywał w lufciku! Wszyscy go znali - wysoki, przystojny, o mocno czerwonych (jak na zamówienie) wargach. Gadano, że bierze jakąś chemię, ale kto go tam wie; na żadnych odchyłkach go nie przyłapano, jeśli nie liczyć publikacji, ale kto tam je dzisiaj czyta. Zresztą, co tam, proszę, oto jedna z nich, osądźcie sami.

W trzecią rocznicę upadku Sowdepii w organie Prochanowa ukazał się tekst Pletojarowa, w którym puczystów nazywał dekabrystami. Niestety, ubolewał, i oni okazali się dalecy od narodu! Pozwolili, by inicjatywę przejął moskiewski motłoch, wszystkie te pełnokrwiste, połowiczne i szczątkowe Żydki. Nie odważyli się urządzić im porządnego rosyjskiego Tian An Men. Próbował wówczas, dzielny chwata, wpłynąć na generałów Sztabu Generalnego, nie na darmo przecież nazywano go „słowikiem Rady Najwyższej”, po tym jak wsadzał kij w mrowisko w telewizji. No dobrze, przekonywał, boicie się przelać krew, przeleście farbę! Co za dziwne fantazje, Dmitrij, marszczyli się generałowie. No to posłuchajcie, Ekscelecjencje! Do tłumu wokół Białego Domu przenikają agenci. Każdy ma pod kurtką foliowy worek z czerwoną farbą używaną w teatrze. Wyją syreny, słychać rzekome wybuchy, agenci wyrrywają zatyczki, krew leje się strumieniami, Żydzi uciekają w panice, Jelcyna można wziąć gołymi rękami. Generałowie śmiali się. Dziwną masz głowę na karku, Mitiaj! No i tak przespali mocarstwo!

Wszystko to przypomniało się AJ w ciągu paru minut, kiedy przedzierał się ku Norze. Przypomniało się i natychmiast uleciało. Jaki związek może mieć całe to rosyjskie wariatkowo z nami, z nią i ze mną? Proszę, zobaczyła go i cała aż się rozpromieniła, jak rozpromieniła się kiedyś w Waszyngtonie, na lotnisku, kiedy wychodziła mu naprzeciw. Saszka! Norka! Usiedli w kącie i położyli splecione dłonie na powierzchni koktajlowego stolika. Znowu zabrałaś mi tyle czasu, wredna istoto! Cztery lata! Cztery lata i cztery miesiące!

Co cię tu przyniosło? Przecież pracujemy tu w okolicy. Jacy my? Gdzie? Moja ekspedycja. Koło Elisty. Rozkopujemy chazarskie kurhany. A do Moskwy? A tak, po starej znajomości. Pamiętasz, jak byłeś zazdrosny o Moskwę? No a teraz ten Dima. Podoba ci się? Do czorta z Dimą! O synu mi lepiej opowiedz! O kim? O Philipie Jazzie Korbachu!

Momentalnie cofnęła dłoń z przyjacielskiego uścisku. Narzuciła na plecy szal. Biały strumień światła, jak na złość, wparł się w nią, wydobywając każdą zmarszczkę, wysunięty nagle podbródek, niewielkie, ale widoczne wole na szyi. Kolejny strumień, żółty, usłużnie oświetlił w tym momencie Pletojarowa, tańczącego z Łastą; postmodernistyczna młodość! Mój syn nie ma

z tobą nic wspólnego. Nieprawda!

- Nora, skończyliście już swoje sekrety? Można się przysiąc? - krzyknął w wirze lambady faszyzujący młodzieniec.

Nora w milczeniu odwróciła się od niego. Po krótkim namyśle AJ zdecydował zastosować w odpowiedzi swój ulubiony cios. Silny cios. Gdzie poderwałaś tego słowiańskiego Apollina? Roześmiała się właśnie tak, jak tego nienawidził, po kurewsku, potęgując jego zazdrość. A wiesz, interesował się naszymi wykopkami, w ogóle chazarami jako potencjalnym plemieniem Izraela. Ciekawy facet. Ach, Noroczka, nierozumna wojowniczo Berkeley, chyba nie wiesz, z kim masz do czynienia. Wybacz, ale śpisz z głównym żydożercą tego kraju i ogólnie znanym faszystą.

Zadyszani tancerze podeszli i usiedli obok. Nad krawędzią stołu od razu uniosły się dwa kolana: gołe należało do Łasty, Pletojarowa było obciążone w biały dzins. Młodzież patrzyła pytająco na zawodowego dobroczyńcę; wyraźnie oczekiwała z jego strony gościnności. AJ mocno rozczarowywał, niczego bowiem nie obiecywał. Nora siedziała bokiem, obserwując papierosa. Pletojarow uśmiechał się niepewnie. Najwyraźniej w czasie tańca obiecał olśniewającej gidii, że znajdzie jej dobrego wujaszka, który za friko załatwi jej to i owo.

- Co dla was? - spytał barowy najemnik, który właśnie do nich podszedł.

- Dawaj szampana! - zawołał Pletojarow. - Tylko naszego, nie francuskiego.

- A kasa jest? - zainteresował się najemnik, ale najwyraźniej zrozumiał, że jest, i nie doczekawszy się odpowiedzi, odszedł.

Łasta niezauważalnie dla pozostałych pogładziła koniuszkami palców spocony kark Korbacha. Niech się pan nie poddaje, maestro!

- Hmm... ta-a-a-ak, Mr Korbach - przeciągnął nacjonalista w zadumie, która w naszym kraju często idzie w parze z bezczelnością - mimo wszystko popełnił pan błąd, porzucając swoje jedyne udane przedsięwzięcie. Pański moskiewski teatr, nawet jeśli unosi się wokół niego nieunikniony zapaszek, okazał się kamieniem milowym. Kamieniem milowym, mój kochany! Niepotrzebnie, stary, przerzucił się pan na pieniądze. Pieniądze to ciężka sprawa, nie każdy ją udźwignie. Szkoda, naprawdę. - Cały czas przenosił wzrok z Korbacha na Norę, próbując się zorientować, czy Alex zdążył jej opowiedzieć, co to za jeden ten Dimoczka Pletojarow. Nora ani razu na niego nie spojrzała, nie zaszczyliła go uśmiechem, który on - zdradzimy tu sekret faszysty - nazywał „promieniem światła w królestwie Chazarów”. - Tak, szkoda, Aleksandrze Jakowlewiczu, że wciągnęła pana nasza kloaka. Mówi się na przykład, że pańskie nazwisko jest

już na kontrakcie. Żal, bardzo żal.

- Jak ja ci przywalę, to dopiero pożałujesz. Do końca życia będziesz żałował! - nieoczekiwanie dla siebie samego powiedział AJ.

Pletojarow, zdumiony, odskoczył do tyłu całym ciałem. W tym momencie najemnik strzelił nad nim korkiem. Pieniste strugi popłynęły do kielichów. AJ uniósł swój: no, to za nasze spotkanie!

Stuknęli się.

Widział, że Nora jest bliska płaczu. I sam o mało nie płakał. Dziewuszko moja, marylandzka amazonko! Masz już czterdzieści sześć lat i w rozpacz gotowa jesteś czepiać się każdego kutasa, byle był przystojny. Wspominasz choć od czasu do czasu tamten miedziany świt, szum fioletowego listowia, wstydlive nóżki swojej Gretchen, własne zacałowane przeze mnie ciało i moje, zacałowane przez ciebie, cały ten n.s.s.? Wstań teraz i chodźmy stąd! To, co zostało, przeżyjemy razem! Nic takiego nie powiedział i nie otrzymał żadnej odpowiedzi na to, co nie zostało powiedziane, oprócz jednego nieprzeniknionego spojrzenia. Podniósł się, cisnął na stół garść pięćdziesięciotysięcznorublowych papierków i ruszył do wyjścia.

- Jakie to ciekawe, Aleksandrze Jakowlewiczu - powiedziała w zadumie Łasta. - Włosy, które zostały panu na karku, wyglądają zupełnie młodo, a z uszu wystają panu siwe kępki. Interesujący egzemplarz ciała przypadł panu w udziale, Aleksandrze Jakowlewiczu. Jest w panu mnóstwo młodości, a szyja cała w zmarszczkach.

- Powiedz, Łasta, co to takiego „być na kontrakcie?” - spytał dziewczynę, która mimo wszystko nie odczepiła się od niego aż do Czystych Prudów.

Roześmiała się.

- No, to taka lista kandydatów do usunięcia, czy coś. Kontrakt na zamach. Pamiętam, to Dimka panu tak powiedział, ale niech pan mu nie wierzy, to znany szpaner. Naprawdę jeszcze robi na panu wrażenie całe to gadanie bez końca?

AJ był zdziwiony. Ze zdziwienia tak się nastroszył, że dziewczyna przestała liczyć kępki i zmarszczki. Jakie to mimo wszystko dziwne, być we własnej ojczyźnie „na kontrakcie”!

W wiosennej, przedświtowej ciemności widać było z okna staw i alejki. Wśród wzgórz piał się po wilgotnej ziemi wielki, pręgowany tygrys usuryjski. Ziewał niczym emerytowany marszałek Związku Radzieckiego.

- A to co takiego? - jeszcze raz zdumiał się AJ. - Może wyjaśni mi to pani jako cudzoziemcowi?

Dziewczyna już zasypiała i ziewała, nie jak nasz literacki tygrys, ale jak jakieś nowe stworzenie, niezwykle długa płetwa.

- Przecież to tygrys, Aleksandrze Jakowlewiczu, nie widzi pan? Tu niedaleko jest zoo, ach, ach...

### Nocą na Piazza Ciscerna

Wśród kamiennych koronek idzie czuły Dante  
Na galerii Kamienna Donna,  
Której obraz mu został na pokusę dany,  
Stoi cała w jedwabiach ze słynnego Lionu.

Zbliżają się ku sobie, podnosi do góry  
Ten odłamek Księżycy, co mu umysł miesza  
San Gimignano skrzętnie zataja ich grzechy,  
Podnosi wieko cennego puzderka.

Szczęśliwy, że wydobyć zdołał krzyk z kamienia,  
Co zatrwożył nawet odległy skraj lasu,  
Że gry reguła nie była złamana,  
I w żywe lędźwie zamienił martwy złom granitu.

A Beatrycze spojrzę w owej chwili,  
I czule szepnie: szalawiło miły!

## **Część jedenasta**

Unikające postaci - czyż nie największe to zmartwienie powieściopisarza? Strumień natchnienia - czy nie zdradziecki to szlak dla naszej niespiesznej karawany? Pochwyceni przez jego prąd, tocząc się wśród pienistych bąbelków prostodusznego zachwytu, łatwo możecie stracić profesjonalną rozwagę, a wraz z nią i postaci, bez których nie wyobrażaliście sobie akcji na przykład sto stron wcześniej. Coś takiego mogłoby przydarzyć się i autorowi niniejszego utworu, gdyby nie był dostatecznie sprytny, by przewidzieć podobny zarzut ze strony swego w Najwyższym Stopniu Szanownego i Przenikliwego Czytelnika (NSSPC).

NSSPC ma w szczególności prawo zapytać: a gdzie się podział nasz, tak przecież sympatyczny, Art Duppertat? Ostatni raz widzieliśmy go przecież pół książki temu, na galowej prezentacji Fundacji Korbacha w Carnegie Hali, gdzie czy to w przenośnym, czy dosłownym sensie huśtał się na żyrandolu. Składam dzięki tej wiodącej grupie koneserów i tobie, o Teofilu, których Andriej Bielyj, a w ślad za nim i Władimir Nabokow, trafnie nazywali „czytelnikami twórczymi”. W świetle waszych uważnych oczu przeglądam od czasu do czasu listę bohaterów i niekiedy, przyznaję, pozwalam sobie na rzekome roztargnienie. W gruncie rzeczy dawno już zdałem sobie sprawę, że Art został gdzieś na poboczu, niezasłużenie zapomniany. Dręczony wyrzutami sumienia, próbowałem wsadzić go tu i ówdzie, ale nic z tego nie wyszło. Każdy jego powrót wywoływał jakąś dziwną niezręczność, tak jakby nie było miejsca dla tego olśniewającego młodego człowieka wśród naszych ekscentrycznych filantropów. Miałem wrażenie, że wypadł z tekstu nie dlatego, iż stoi za tym jakaś ważna powieściowa przyczyna. I nagle zrozumiałem, że to istotnie nie efekt przeliczenia się, a swego rodzaju manewr ze strony naszego młodego aktywisty.

(Przy okazji o jego wieku: ile teraz ma lat? Przyjrzyjmy się: skoro na początku naszej historii miał dwadzieścia siedem, wobec tego obecnie, proszę państwa, liczy dokładnie czterdzieści. Darujemy sobie westchnienia na temat nieubłaganego upływu czasu, sami jesteśmy wszystkiemu winni. Tak czy inaczej, czterdzieści lat to znakomity wiek z punktu widzenia beletrystyki. Pozwolą państwo, że na tym nawias zamkniemy).

Jak to czasami dziwnie bywa w tych grubych współczesnych powieściach! Autor może kombinować, jak poradzić sobie z rozdetą kompozycją, a w tym samym czasie dojrzewa spiszek

jednej grupy bohaterów przeciw o innym. Nie bez obawy autor uświadamia sobie, że tego rodzaju konspiracja może być wymierzona wręcz w podstawy jego powieściowego mikrokosmosu: temat, strukturę, a nawet w centra dowodzenia pewnych gigantycznych korporacji, prowadzących działalność charytatywną na niesłychaną dotąd skalę. Oto co zdarza się czasem w powieściach, drogi NSSPC!

Pewnego razu późną wiosną 1995 roku, wieczorem, w samym centrum Manhattanu, w gmachu AKBB Corporation na pięćdziesiątym siódmym piętrze zasiedziało się przed ekranem komputera dwóch dżentelmenów. Byli bez marynarek, tak że możemy odnotować wspaniale rozwiniętą muskulaturę ich ramion. Ponieważ patrzymy z tyłu, mamy dogodną okazję, by zwrócić uwagę, iż na obu czaszkach brak jakichkolwiek oznak rozpoczynającego się procesu łysienia. Wręcz przeciwnie, krótki język jednego i lwia grzywa drugiego z łatwością mogą nam przypomnieć pierwsze rozdziały powieści. Czytelnik z pewnością już się domyślił, że jednym z nich jest wiceprezes korporacji Arthur B. Duppertat, drugim zaś szef specjalnego centrum badawczego Mel O'Massey. Jeśli chodzi o tego ostatniego, nie możemy nie zauważyć, że oprócz lwiej grzywy również jego twarz zyskała w ciągu tych lat pewne cechy lwiej maski. Proszę nie myśleć, że to trąd, drodzy państwo, był to po prostu rezultat ostrej maskulinizacji, jaką przechodzą członkowie kierownictwa naszych gigantycznych korporacji. Żeby nie przyczepił się jakiś upierdliwy krytyk, musimy zaznaczyć, że choć znajdujemy się z tyłu, widzimy twarze obydwu osób, jako że odbijają się w ogromnym ciemnym oknie drapacza chmur. To tyle, daj pan już spokój, panie Skamiejkin.

Ważniejszą jest sprawą, by powiedzieć w tym miejscu, że pięć lat temu Mel O'Massey ożenił się ze średnią córką Stanleya Korbacha, starszą o pięć lat od swojej przyrodniej siostry Sylvie Duppertat. Cecily, rozwódka z dwojgiem dzieci, nie traciła czasu i szybko urodziła Melowi syna Chrisa i bliźniaczki Lavonne i Amy. Od czasu do czasu, kiedy Duppertatowie i O'Masseyowie spotykali się w Halifax Farm czy gdzieś tam indziej na kuli ziemskiej, a zwłaszcza jeśli obecna była również starsza przyrodnia siostra, Walker, wraz ze swoim potomstwem, wszyscy stwarzali wrażenie ogromnego klanu z rodziny kotów (lwów, tygrysów?) z kociętami na różnych etapach przekształcania się w dorosłe „kapitalistyczne drapieżniki”.

Cóż to był za karnawał radości podczas takich rodzinnych zgromadzeń dusz i ciał! S-śmiech, ch-chichoty, ś-śpiewy, p-paplanina, t-taniec, ż-żarciki, d-drwiny, c-ciskanie tortami z kremem w ukochane twarze, jednakże wiodącą nutą takich dni było, rzecz jasna, współzawodnictwo

ojców, Mela i Arta. Ci dwaj byli niepowstrzymani w swojej pasji, by pokonać przeciwnika. Po prostu nie mogli żyć bez ciągłego wypróbowywania siły, zręczności, kondycji, szczęścia i wytrzymałości swojego swojaka, proszę mi wybaczyć tę tautologię. Jeśli na przykład Art widział, że Mel smaruje masłem grzanekę, nieodwołalnie musiał powiedzieć: „Założę się, że ja smaruję trzy razy szybciej niż ty!” Natychmiast zaczynała się bitwa i wkrótce stół pokrywał się tuzinami posmarowanych masłem grzanek.

Nie ma co nawet wspominać o tenisie, pływaniu, skokach z wysokości i tak dalej. Co się tyczy kickboxingu, to dzieci dawno już przywykły do widoku ojców, pokrytych potem i krwią i wydających z siebie *shit, shit, shit* oraz inne mniej lub bardziej cenzuralne przekleństwa. Wszyscy członkowie klanu dawno oswoili się z plamami krwi na patio czy w *living roomie* i nikt nie zamierzał dzwonić w takim wypadku na policję.

Były naturalnie dziedziny, w których współzawodnictwo nie miało sensu. Mel na przykład nie mógł nawet marzyć o tym, by prześcignąć Arta w grze na gitarze czy w repertuarze wokalnym obejmującym piosenki Dylana, Simona i Garfunkela, Wysockiego i Saszy Korbacha, nie mówiąc już o balladach i bluesach własnej kompozycji. Te spontaniczne koncerty sprawiały, że była rusalka, która obecnie zmieniała się w lwa, wycofywała się do kąta i siedziała tam z ironicznym uśmiechem, szybko zmieniającym się w nerwowe poziewywanie. Z kolei ilekroć Mel zbliżał się do komputera, Art rozkładał ręce i podpisywał kapitulację. Mel był bezspornym czarownikiem numer jeden w tej dziedzinie ludzkiej aktywności. *That O'Massey is awesome!* - tak mówiono o nim na wszystkich piętrach korporacji. Chodziły słuchy, że szef specjalnego centrum badawczego potrafi przebić się nawet przez systemy kodowe tak znakomicie chronionych organizacji, jak IBM, Chase Manhattan, General Dynamics i Centralny Bank Rosji. Był w stanie ustalić strategię AK&BB na parę lat z góry i nigdy nie mylił się w swoich przewidywaniach co do rozwoju światowego, zarówno strategicznych, jak i taktycznych. Były pogłoski, że właśnie jemu i jego centrum, a nie przewodniczącemu Blumsdale'owi, zawdzięcza spółka kolosalne sukcesy ostatnich lat. No, ale, mówiono, to przecież właśnie Blumsdale zatrudnia tak wartościowych pracowników. Nie jest tajemnicą, że to Norman znalazł młodego geniusza w jednym z podejrzanych nadbrzeżnych spelunek Kalifornii, gdzie spędzał całe noce w towarzystwie koniopodobnych dziwek o tłustych zadach w rodzaju groteskowej Bernie Lux, która została następnie przyjaciółką stukniętego Stanleya Korbacha, oficjalnie wciąż jeszcze prezesa AK&BB. Tak czy owak, już i do Arta dochodziły słuchy, że jego *sparring partner*

wkrótce zostanie podniesiony do godności wiceprezesa. Zasłużył chłopak, myślał Art. To geniusz współczesnego agresywnego marketingu. Mróz idzie po skórze od jego niepodważalnych kalkulacji! Przecież tylko dzięki nim udało nam się ostatnimi laty połączyć McDonaWsa, Mitsubishi, Lockheed, Coca-Colę oraz CNN i otworzyć usta w kierunku kolejnej ofiary - Putney Production.

Hmmm... taak, no cóż, musimy powiedzieć, że w miarę upływu lat naszemu ulubieńcowi zaczęło ciążyć wysokie stanowisko. Niedawno otworzył drzwi swojej garderoby, zobaczył parę tuzinów trzyczęściowych garniturów i poczuł, że go mdli. Czy rzeczywiście moje życiowe powołanie to przewodniczenie niezliczonym i nie kończącym się zebraniom? Albo podpisywanie papierów piętrzących się na moim biurku? Albo gromadzenie na bankowym koncie kolejnych milionów? Czy powołanie to, nie polega przypadkiem na tym, żeby prowadzić starego jeepa po śródziemnomorskich bezdrożach, siedzieć za kierownicą w wytartych welwetowych spodniach, przywozić dzieciom w zapomnianych przez Boga i ludzi wioskach kukiełkowe przedstawienia oraz własny, *last but not least*, nos Pulcinelli i żrenice, w których, mam nadzieję, nie zanikła jeszcze ostrość widzenia i żądza życia?

Bóg świadkiem, że nigdy nie pragnął zostać rekinem biznesu! Kiedy zakochał się w Sylvie, myślał, że będą po prostu beztroską i w jakiś sposób chyba również artystyczną parą młodych ludzi, jakimiś kolekcjonerami, sponsorami wystaw i niekomercyjnych filmów, bywalcami spędów bohemy, ale w żadnym razie nie nudnymi *yuppies*, którzy mają w głowie wyłącznie sukces komercyjny. No dobrze, taka już widać moja dola - otwierać co rano „New York Timesa” na stronie biznesowej, ale trudno mimo wszystko znieść widok ukochanej, jak w okularach na nosku studiuje wskaźniki rynku i dane NYSECP nad pierwszą poranną filiżanką kawy.

Ryzykując naszą reputacją (która, a zresztą i bez tego dawno już została beznadziejnie zaszargana), musimy dodać do lamentów Arta, że czasami nawet w czasie wypełniania małżeńskiego obowiązku Sylvie starała się przyjąć pozycję nie przeszkadzającą przerzucać równocześnie „Forbesa”. W wieku trzydziestu jeden lat, będąc matką trojga rozkosznych dzieci, Sylvie Duppertat nadal stanowiła wzorzec pięknej Amerykanki, zgrabnej, subtelnej, o romantycznym wyrazie wciąż jeszcze dziewczęcej twarzy, co nie zmieniało faktu, że ku własnemu zdumieniu odkryła parę lat temu pod tą powierzchnią twardego i bezwzględного giełdowego gracza.

Czasami, opróżniając kolejną szklankę ulubionego merlota, Art myślał: szkoda, że zostałem

za burtą, szkoda, że nie mogę być razem z moimi najbliższymi przyjaciółmi, Alexem i Stanleyem, i z tą bandą fajnych ludzi, którzy zebrali się wokół nich. Wydawanie pieniędzy jest znacznie zabawniejsze, niż ich zarabianie. Niestety, muszę stać na szczycie korporacji, żeby ochraniać dzieło Stanleya przed zamachami ze strony Blumsdale'a. Szkoda tylko, że przyjaciele, a nawet autor powieści, często o mnie zapominają. Ta myśl nappełniała go goryczą. Zaczynało mu się wydawać, że całe życie „przechodzi obok”, jak to często śpiewa się w balladach folkowych. Jakże inne wydawały mu się stosunki ze Stanleyem Korbachem, jego idolem z czasów, gdy pływał w załodze na jachcie „Rita” w charakterze jungi. Naturalnie, on, Art, odgrywa obecnie decydującą rolę w walce Stanleya z rozbuchanym apetytem Normana Blumsdale'a, to pewne. Dopóki wiceprezes zasiada przy wysokim okrągłym stole korporacji, wszyscy widzą, że Blumsdale'owie nie są w stanie pokonać Korbachów. Art doskonale wiedział, jakie krwawe bitwy toczą się na peryferiach: nad Himalajami, w Meksyku, w Czeczenii, w Bośni, jednakże w sztabie głównym na Manhattanie wszystko na razie wyglądało jak należy. Jatka, jaka miała miejsce na początku na East Side i w okolicach Carnegie Hali, była uważana za temat niestosowny. Pod tym względem najsilniejszą bronią, jaką posługiwał się Art, był humor. Po każdej sesji rady poczta elektroniczna podsypywała pieprzu do wieloznacznych rozmów, jakie toczyły się na piętrach. „Art Duppertat osadził Normana Blumsdale'a, nazywając go przedstawicielem większości”. Niektórzy analitycy z pięter czterdziestych sugerowali, że Duppertat w ogóle bliski jest zajęcia w radzie najwyższej pozycji. Wszystkowiedzący z trzydziestych, z typową dla nich arogancją, zaczęli nazywać najświętsze ze świętych, piętro sześćdziesiąte piąte, „okrągłym stołem króla Artura”. Cholerne pleciugi! Kiedyś cała ta paplanina obróci się przeciw wam, młodzikom z „drużyny Duppertata”, przecież w sztabie Normana pieczołowicie kolekcjonuje się żarciki i dykteryjki wymierzone w bossa. *Okay*, ostatecznie jednak Art dysponuje przewagą w tym niekończącym się sporze: w każdej chwili może powiedzieć „do widzenia” i zeskoczyć z przeklętej, kipiącej od intryg piramidy. Wtedy przyjaciele zrozumieją, że wymagali ode mnie za wiele!

Oddając się tym rozmyśleniom, Art nie wiedział, że moment decydujący zbliża się i że już wkrótce - a mianowicie tego właśnie wieczoru, o którym mowa - Mel O'Massey zadzwoni i w swoim zwykłym, jak gdyby leniwym stylu poprosi go, by wpadł - tak po prostu, żeby rzucić okiem na nietypową konfigurację figur i liczb, która pojawiła się właśnie na jego ekranie. Oczywiście, powiedział Mel, mógłbym to wszystko przynieść panu, Mr Vice, ale w takim

wypadku musiałbym sporządzić oficjalny raport, a ja właśnie chciałem, żebyś spojrział na to i powiedział, czy mam robić z tego oficjalny raport, czy cisnąć te dziwne dane do kosza. Oczywiście, Art, kiedy zechcesz, ale najlepiej dziś wieczorem. No tak, dziś wieczorem, kiedy zechcesz, ale najlepiej zaraz. Wystarczy ci dziesięć minut, żeby zrozumieć, jakie to pilne. *Shit*, chciałem, żeby nie było pilne!

Kiedy wszedł do obszernego *office* Mela, wychodzącego oknami na na późny zachód nad Hudsonem, przeniknęło go dziwne uczucie nieoczekiwanej chromatycznej równowagi, z gatunku tych, jakie przeżywa się na widok arcydzieł malarstwa. Nie od razu pojął, co stanowiło motyw przewodni. Na pozór wszystko było jak zwykle: bezdenne niebiosa z ich złotym pyłem ponad grzbietem Manhattanu i szmaragdowym sklepieniem, na którym widniały już gwiazdy w stadium wczesnego przemywania liczka. Wszystko, innymi słowy, było nieodparte i niedosiężne, jak zawsze, kiedy patrzy się z dużego na wpół ciemnego pokoju. W chwili następnej znalazł element nieoczekiwania. Był to ekran osobistego komputera Mela O'Massey, na tyle osobistego, że nikomu nie pozwalał nawet wytrzeć go z kurzu. Na ekranie widniała kombinacja prostych figur geometrycznych: koło, kwadrat, dwa równoległociąony, garść różnej wielkości trójkątów. Oprócz form była tam także kombinacja barw, czystych i jasnych: czerwonej, czarnej, lazurowej, cytrynowożółtej. Jako całość przypominało to elementy najprostszego materiału chromatycznego, jaki prezentowano publiczności w czasach wielkich odkryć, zwłaszcza na pierwszej suprematystycznej wystawie Kazimierza Malewicza i jego uczniów w październiku 1915 roku.

Przez parę minut Art stał jak zahipnotyzowany pośrodku pokoju, za plecami Mela. Ten ostatni kołysał się z lekka na krześle, splótłszy palce na karku. Po upływie tych niemierzalnych „paru minut” wiceprezes zrozumiał, że chromatyczna celebrowanie oznacza ostateczny wyrok na Stanleya Korbacha: czas jego królowania dobiegł końca.

- Zrozumiałeś? - spytał Mel, nie odwracając głowy.

- Tak - odparł Art i natychmiast ujął się wyzywająco pod boki. - Cokolwiek oznacza ta twoja *fucking* kompozycja, nigdy nie zdradzę Stanleya!

Może by pan tak usiadł obok mnie, Mr Vice? - łagodnie zaproponował Mel. - Słuchaj, Art - zaczął, gdy przyjaciel szwagier podjechał z krzesłem do komputera. - Bóg mi świadkiem, że nie chciałem wysadzać starego sukinsyna! Z ręką na sercu, to był idol mojej wczesnej młodości, z tymi wszystkimi żeglarzami i wioślarzami, dziewczynami i samochodami od Vincy'ego Wilkie,

z przeszłością żołnierza piechoty morskiej i arystokratycznym wychowaniem, z genialnymi operacjami finansowymi i podejrzanymi „zniknięciami”, wreszcie z jego światową dobroczynną wyprawą krzyżową. Naturalnie, nienawidziłem go za to, że ujarzmił dziewczynę moich marzeń, królową wybrzeża Pacyfiku od Santa Monica do Marina del Rey, szybko jednak przekonałem się, że mało się zmieniła od czasu naszych posiedzeń w „Pierwszym Dnie”. Wciąż ta sama dzielna kobyłka, zawsze przygalopuje na zawołanie, wystarczy tylko... no, dobra.

Jednym słowem, ani mi w głowie były porachunki ze Stanleyem, i bynajmniej nie zależało mi na tym, żeby zajmować się analizą jego finansów. Wiedziałem, czego oczekuje po tej analizie Norm i jego większość w radzie. Miałem nawet zamiar zamknąć sklepik, kiedy Norm wezwał mnie któregoś dnia na rozmowę. Powiedział: „Spróbuj ustalić zdolność kredytową Stanleya. Wykorzystaj do tego celu każdą informację, jaka może ci być potrzebna, złam na moją odpowiedzialność każdy kod, zatrudnij właściwych ludzi z zewnątrz, postaraj się wykazać, że ma on zdolność kredytową, a obiecuję ci, że nic złego ci się nie stanie. Co więcej, dostaniesz awans wcześniej, niż się spodziewasz. Co więcej, obiecuję ci, że zakończę wszelkie działania przeciwko Stanleyowi i rozpocznę negocjacje. Niemniej” - kontynuował - „jestem przekonany w stu procentach, że nawet ty, O'Massey, nie zdołasz zbalansować jego finansów, żebyś nie wiem jak się starał. Wręcz przeciwnie, rozwiejesz otaczającą go dymną zasłonę stworzoną przez Saula Leibniza i Enocha Aghasta, który, jak powiadają, liczył talenty i szkle samemu Pompejuszowi”. Niestety, okazało się, że ma rację, szwagrze! Stanley upłynnia swoje aktywa z taką szybkością, jakby popękały mu wszystkie rury. Widziałem już wielu wariatów w świecie biznesu - nie gorszy od nich jest wielki pragmatyk Norm, który czasem, jak się wydaje, ma ochotę policzyć się ze wszystkimi facetami trzech pokoleń, którzy ciupciali Marjorie. Nie, no pomyśl tylko - wtykasz palec w największe finansowe i polityczne machinacje świata i z miejsca natykasz się na babę; przybliżamy się do świata wielkiej logiki, ale wejść nie jesteśmy w stanie, bo seks odbiera nam rozum...

- Do rzeczy - sucho powiedział Art.

Mel denerwował się coraz bardziej.

- Chciałem po prostu powiedzieć, że nawet wśród tych idiotów Stanley ze swoją filantropią zajmuje bezwarunkowo pierwsze miejsce. No proszę, osądź sam! - Położył lekko drżące palce na klawiaturze i zaczął oczyszczać ekran komputera z obrazków. Następnie, rzucając na Arta od czasu do czasu wieloznaczne spojrzenia, rozpoczął manipulacje z kolumnami wskaźników i cyfr.

Każde stadium operacji przekształcał w kolorową grafikę. Ekran płonął teraz suprematystycznymi kompozycjami.

Artowi zakręciło się w głowie, kiedy obserwował wzajemne powiązania wskaźników AK&BB i NYSE, ich korelację z danymi Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz Banku Światowego, następnie zaś z danymi jakichś nieznanych spółek w Indiach i Rosji, z tajnymi plikami fiskusa oraz rezultatami bieżących operacji gotówkowych w Tokio, Joburgu, Hongkongu i Londynie. Wszystkie te jednostki informacyjne krążyły wokół solidnych kolumn Fundacji Korbacha, dopóki nie zmieniła się ona w kulę o czystej czerwonej barwie. Niestety, rzekł Mel niemal ze smutkiem, niemal z przeblyskiem niemal ludzkiej nostalgii, a w każdym razie bez złośliwej satysfakcji, niestety, niestety, w ciemnej przestrzeni wokół czerwonej kuli zaczynały tworzyć się niewinnie wyglądające zewnętrzne cylinderki, sześcianiki, kliny i romboidy, to pływające pojedynczo, to gromadzące się chaotycznie w rogach ekranu.

- Widzisz więc, przyjacielu, że to ciało niebieskie nie ma już żadnych szans - Mel westchnął i wykonał półobrót w kierunku Arta. - No to co, zrobię ostatnie klik-klik, chcesz?

Art milcząc skinął głową. Mel wykonał klik-klik. Wszystkie małe elementy rozpoczęły ruch obrotowy wokół czerwonej kuli, periodycznie atakując ją ze swoich orbit. Po paru minutach kula rozpadła się w bezkształtną kaszę czerwonych plamek. Zmieszawszy się z elementami wyjściowymi, zaczęła najpierw powoli, a potem coraz szybciej i szybciej formować jeden kalejdoskop za drugim. Na początku nie można było pojąć sensu tych przekształceń, szybko jednak stało się jasne: obraz tracił pierwotne żywe barwy, zaczęła przeważać jednolita czerń. Wreszcie wszystkie inne kolory znikły i Art zobaczył przed sobą idealną czarno-czerwoną formę, sam „Czarny Kwadrat” - materię mniej niż zerową, „nic” z tendencją do wsysania każdego, kto wpatrywałby się weń zbyt uważnie. Taki był rezultat końcowy. Postmodernizm. Postwszystko. Dekonstrukcja. Śmierć Stanleya Korbacha jako bohatera swego pokolenia. Pełna porażka i banicja bajronizmu.

- Do diabła, chciałbym, żeby wessało i mnie - powiedział Art.

Mel wybuchnął śmiechem.

- Daj spokój z tą *commedia deWarte*, Duppertat! Nos do góry, Pulcinello! Ostatecznie wszyscy tu jeszcze jesteśmy, w naszej wirtualnej rzeczywistości! - Kliknął myszą jeszcze raz. Czarny Kwadrat natychmiast poszedł w diabły i tam, w królestwie Tartaru, zmienił się w niedostrzegalny punkcik. Zamiast niego na ekranie pojawił się stół konferencyjny, otoczony

wianuszkami znajomych twarzy.

Zachód słońca nad grzbietem Manhattanu zdążył do tego czasu niemal się zakończyć, jedynie kopia światła szybko bladła na horyzoncie niczym opadający spadochron. Na jednej ze ścian centrum operacyjnego pojawił się powiększony obraz ekranu komputera ze wszystkimi tymi znajomymi twarzami i ciałami naturalnej wielkości.

W gruncie rzeczy byli tam wyłącznie członkowie klanu Korbachów - Blumsdale'ów: Norman i Marjorie, trzy córki Stanleya, a mianowicie Sylvie Duppertat, Cecily O'Massey i owa znakomita diva operowa, Walker Rossellini, z mężem-przedsiębiorcą, następnie rozwiedziona żona Normana Pontessia, i ich syn, tłusty dobroduszny Scott, po dwóch-trzech kuzynów z obu stron, których imiona nie mają znaczenia, jako że nie ma ich na liście bohaterów naszej książki, i - uwaga! - gwóźdź sezonu, dziewięćdziesięciosześcioletni patriarcha David Korbach, wyglądający na co najmniej dziesięć lat mniej.

Mel podjechał z krzesłem do ściany i wirtualnie, to znaczy faktycznie, zmienił się w jednego z uczestników zgromadzenia. Machnął zachęcająco dłonią w kierunku Arta: „Przyłącz się i ty!” Ten ostatni niechętnie, ale bez ociągania się podjechał również i znalazł się obok własnej żony, która uśmiechnęła się do niego ze zwykłą czułością na granicy nie mniej zwykłej kapitulacji.

Rozpoczęło się zebranie, w czasie którego wszyscy członkowie tak zwanej rodziny, *fuck* im w drzewo genealogiczne, usiłowali skłonić Arta do zdrady. Stanley to człowiek skończony! Szaleniec, opętany ideą samozagłady. Wydaje miliardy na bezsensowną działalność charytatywną, która nie przynosi mu nic prócz hańby. Należy go raz na zawsze usunąć z kierownictwa wielkiej korporacji i izolować. Izolować! W tym momencie wszyscy obecni spojrzeli na patriarchę i śmierzący cap razem z pozostałymi skierował palec w dół. Wszystkie konta osobiste Stanleya należy natychmiast zamrozić!

Art, przecież widziałeś bardziej niż przekonujące świadectwa, które zaprezentował ci niepodważalny ekspert i twój przyjaciel, Melvin O'Massey. Nasi prawnicy pracują nad tym zagadnieniem i są już bliscy finalnego rozwiązania. Wszystkie amerykańskie i światowe środowiska finansistów są po naszej stronie. Stosowne organy rządowe i ludzie ze szczytów władzy gotowi są poprzeć naszą decyzję. Dla dobra twojej rodziny, dla dobra naszej korporacji, dla stabilności, nie boimy się tych słów, całego naszego kraju i całego cywilizowanego świata powinien pan, panie wiceprezesie, przyłączyć się do naszej decyzji, która, proszę wierzyć, nie przyszła nam łatwo, biorąc pod uwagę osobowość tamtego, dawnego Stanleya, którego wszyscy

gorąco kochamy.

Dziwne, ale najmniej aktywnym członkiem tego chóru był prezes Blumsdale. Starał się wyglądać jak mniej lub bardziej neutralny finansista, tak jakby to nie on został niedawno pojmany w swej twierdzy na Arubie przez morskich komandosów Stanleya, a następnie uwolniony w zamian za pułkownika Bernadettę de Lux i jej *baby*, wziętych w czasie krwawej bitwy na południowym skrzydelku motylka-Guadelupy. Dopiero gdy retoryka zaczęła wygasać, Norman spokojnie - można powiedzieć, spokojnie na granicy hysterii - zaprezentował obecnym swoje stanowisko.

- Wolelibyśmy, naturalnie, by na sesji rady decyzja została podjęta jednomyślnie, ale w zaistniałych okolicznościach możemy obejść się bez tego. Mam nadzieję, że Mr Dapper - tat zdaje sobie sprawę, co oznacza to dla jego osobistej kariery.

Pierwszą instynktowną reakcją Arta było pragnienie, by złapać żonę za rękę i wyprowadzić ją z tego kłębowiska żmij. Zwrócił się już nawet w jej kierunku, ale w tym momencie zdał sobie sprawę, że jest nieosiągalna. W oczach swojej Sylvie wyczytał to samo pytanie, które nurtowało całe audytorium. Powstrzymawszy się od gwałtownych ruchów, nieoczekiwanie dla siebie samego spytał rzeczowo:

- Kiedy oczekują państwo ode mnie podjęcia tej decyzji, *ladies and gentlemen*?

Wszystkie twarze wokół stołu zajaśniały radością. Jak to cudownie, że ten świetny facet, ten, mówiąc między nami, symbol sukcesu całej AK&BB, gotów jest poświęcić swoją wątpliwą przyjaźń dla korporacji, dla rodziny, dla pokolenia, które dorasta!

- Im szybciej, tym lepiej, miodek - szepnęła Sylvie i bryza jej seksowności, przeniknąwszy nawet rzeczywistość wirtualną, wzbudziła w nim tak dobrze znane uczucie szczęścia. Przecież kiedy mówi do niego „miodek”, nie jest to zwykły, często w naszych krajach używany przez małżonków zwrot. W jej ustach oznacza to, że jest najśladzszy ze wszystkich kochanków świata.

Wszystkie ich ulubione rodzaje gry wstępnej przyszły mu na myśl, kiedy patrzył jej prosto w oczy, a zwłaszcza jedna z ostatnich. Ona jest podlotkiem, który po raz pierwszy włożył biustonosz. Bardzo się pyszni tym, że jej cycuszki są okryte staniczkiem, nagle jednak zdaje sobie sprawę, że w żaden sposób nie potrafi go rozpiąć, a musi się rozebrać do kąpieli. Zrozpaczona szuka pomocy, ale nie ma nikogo pod ręką oprócz podstarzałego (około czterdziestki) dżentelmena po sąsiedzku. To człowiek o szlachetnym sercu i światowych manierach, nie może nie pospieszyć z pomocą. Kto będzie odpowiadał za konsekwencje? On

stara się jak może, i jego starania są tak subtelne, tak powolne, och, jak powolne i jak subtelne! Finałowe zdjęcie staniczka jest jak apoteoza, ona jęczy i puszcza bąki: prr, prr, prr! Ach, mój miódka, i oboje zasypiają.

Poderwał się i skierował do wyjścia. Wydawało mu się, że opuścił ciało w jakimś bezsensownym usiłowaniu, by wyrwać się z tej idiotycznej iluzji, a równocześnie czuł wyłącznie jedyny przejaw woli, jaki mu pozostał - by najszybciej jak można przetransportować owe ciało do wyjścia. W windzie, w zamkniętym sześcianie powietrza wstrząsnął się niczym salamandra i wrócił do siebie. Ścierwa, gównojady, dupki, kutasy! - pienieł się z wściekłości. - Próbujecie zrobić ze mnie elektronicznego *zombie*, tak? Zamierzacie zastąpić moją ukochaną jakimś fantomem, śliskim niczym węgorz? Niech was cholera weźmie, szpiegujecie w naszej sypialni, ale nie doceniacie mojej wytrzymałości, odwagi, wierności wobec ukochanej i przyjaciół, wobec całego świata, pełnego uczuć, woni, motywów, pyłku kwiatowego, wszystkiego tego, czego nie ma w waszej pierdolonej wirtualnej rzeczywistości!

Jak zwykle, bentley od razu uspokoił jego ciało i duszę. Z milczącą mocą niósł właściciela po Long Island Expressway w kierunku Hamptons. Właściwie nie był tak znów milczący, Teofilu, jeśli weźmiesz pod uwagę *Piątą* Beethovena, którą grał samochód, by polepszyć nastrój Arta.

Na ciemnej płaszczyźnie nieba pojawiały się jeden za drugim transatlantyczne statki powietrzne, zniżające się ku lotnisku Kennedy'ego. Jasno lśniły reflektory, migacze i światła lądowania, zupełnie jakby głównym celem maszyn było dostarczanie światła. Patrząc na linery i słuchając, jak wznosi się, opada i rozszerza beethovenowska fraza, Art płakał. Jestem słabym, żalonym, płakliwym dupkiem. Nie mam żadnego związku z tymi wielkimi powietrznymi szlakami, tak samo jak ze sztormową falą miedzi i wzbijającym się w górę rojem smyczkowych. Jak mogę uciec od tych świń z ich wirtualną rzeczywistością? Gdyby tak ona była ze mną, moja ukochana, moja jedyna kotwica na tej Ziemi!

Nocny stróż otworzył wrota nadmorskiej posiadłości. Ależ ten facet ma odrażającą gębę! Za każdym razem, gdy widzi mnie i Sylvie, uśmiecha się dwuznacznie, zupełnie jakby oglądał *peep show*. Trzeba wywalić sukinsyna! Wierzchołki cyprysów i jałowców chwiały się, kołysane oceanicznym wiatrem. Jesteście moimi jedynymi aniołami, cyprysy i jałowce! Okna pokoiów dzieci były ciemne. Jesteście moimi skrzydłami, dzieci, a równocześnie moimi kajdanami. Objechał dom i zobaczył Sylvie, stojącą na balkonie. Wychodząc z samochodu, usłyszał jej

radosny głos:

- Taka jestem szczęśliwa, Art, że będziesz z nami, z całą rodziną! Dostyc tego wreszcie! *Dadowi* po prostu odbiło od chwili, kiedy związał się z tą kobyłą! I dość już tego odgrywania przez ciebie dwuznacznej roli w radzie dyrektorów! Och, co za ulga! Po prostu na nowo oddycham po tej historycznej sesji „v.r.”!

Rzucił marynarkę na dach samochodu i powoli poszedł ku ryczącemu oceanowi. Z każdym krokiem pochłaniała go ciemność. Przypływ uderzał w falochrony i wzbijał się ponad nie w postaci pianistych lwów, zdumionych i wściekłych. Art usiadł na piasku, jeszcze ciepłym od żaru dnia. Nie myślał o niczym, jedynie o tych pianistych lwach. Ale lwy - tak wyglądała jego myśl przełożona z angielskiego.

- Sir - szepnęła Sylvie, siadając obok niego. Boso, w płaszczu kąpielowym. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Mój mąż czeka na mnie w towarzystwie, a ja nie mogę rozwiązać płaszcza, nie mogę zdjąć bikini. Czy byłby pan tak dobry i pomógł mi, Mr Stranger?

Studia filmowe w North Hollywood wyglądają jak magazyny mrożonych kurczaków - no dobrze, podniesiemy poprzeczkę: mrożonych strusi. Mogą państwo oczywiście powiedzieć, że autor przesadza - pewna grupa czytelników ma taki dziwny zwyczaj, by wiecznie się do czegoś przyczepiać - że roztacza jakieś wydumane obrazy, nie możecie się jednak nie zgodzić, że owe *ateliers* wyglądają, no, w najlepszym razie jak opuszczone szwalnie, i tylko sztywne samochody zaparkowane wzdłuż ich murów mogą nasuwać myśl, że są to właśnie filmowe *ateliers*.

Tak czy owak, te wydłużone budowle sporządzone z materiałów ognioodpornych najmniej ze wszystkiego kojarzą się z nowym słodkim stylem, z włoskimi poetami XIII wieku, z miastem Florencją, gdzie iskra Boża rozżarzyła się w płomień słów i namiętności. Wygląda na to, że nie mają też nic wspólnego z petersburskim Srebrnym Wiekiem, z tłumem symbolistów i awiatorów, baletnic i kawalergardów, oczarowanym powolnymi zachodami słońca i ciężkim kołysaniem się północnej fali. A jakież związki mają one ze śpiewającymi poetami odrodzonego Nowego Jorku ostatniej jednej trzeciej dwudziestego trzeciego stulecia i ich historycznym swingiem, przepowiadającym zagładę Utopii?

Pardon, powie ten i ów z naszych Czytelników, a jaki zwiątek z tymi „magazynami mrożonych strusi” ma pański Aleksander Jakowlewicz, znany również jako Sasza Korbach, były radziecki bard protestu, któremu czasem nadaje pan tu poniżający przydomek Ławski? Przecież on sam przez cały czas właściwie odrzeka się od „fabryki snów”, a pan z uporem maniaka wciąż pakuje go w te ognioodporne mury.

Bądźmy obiektywni. Spróbujmy spojrzeć na całą sytuację oraz na naszego AJ jak gdyby z zewnątrz. Iluż to rosyjskich ludzi kina, emigrantów i uciekinierów lat siedemdziesiątych, i osiemdziesiątych, i dziewięćdziesiątych ciągnęło do Hollywood! Wszyscy oni marzyli o stworzeniu arcydzieła, o zrealizowaniu swoich zawsze wyjątkowych kinematograficznych pomysłów, i nigdy się to nie udawało. Żyli w okolicach zaczarowanego królestwa, łapali się za każdy *job*, byle przeżyć, zasuwali jako taksówkarze, masażyści, chiropraktycy, kelnerzy, dostarczyciele pizzy, hotelowi *busboys*, kierowcy ciężarówek, i każdy z nich wykorzystywał każdą wolną chwilkę na pisanie i przepisywanie *proposals*, *outlines*, *treatments*, *scripts* wreszcie,

i każdy wciąż wzruszał ramionami: dlaczego nie ma żadnej reakcji, żadnego zainteresowania rosyjskim potencjałem twórczym, całym naszym „dosto-tołsto-puszko-gogolo-czechowia-nizmem”?

Niektórzy spośród nich nieśmiało zbliżali się do miasta czarodziejów, a nawet przy okazji wchodzili weń, w nadziei, że wyrafinowane maniery i brytyjski akcent, uzyskany w Moskwie na prywatnych lekcjach angielskiego, zrobią wrażenie na hollywoodzkiej arystokracji. Inni usiłowali zdobyć twierdzę szturmem, demonstrując bez zahamowań rosyjską spontaniczność graniczącą z chamstwem. Jednego takiego, pozwolą państwo, że przypomnę, spotkaliśmy z Alexem na przyjęciu u Jeffa Crappiwy. Ich angielszczyzna była łamana do tego stopnia, że wręcz nierozpoznawalna, rosyjski zaś naszpikowany świństwami. Nalewali sobie wódki po brzegi, a potem, by popisać się „rosyjską brawurą”, ciskali plastikowym kubkiem o ścianę. Każdy z nich gotów był przelecieć dowolną hollywoodzką weterankę, byleby otworzyła mu magiczne wrota. Niestety, oba typy przewaliły na całej linii. Ani jednemu Rosjaninowi nie udało się wyreżyserować prawdziwego pełnobudżetowego hollywoodzkiego filmu fabularnego. W odróżnieniu od swoich czeskich i polskich kolegów z natury pozbawieni byli tego czegoś, co tu trzeba mieć.

No i mają państwo jedyny wyjątek: Alex Korbach, jego szczególny przypadek. Który spośród milionów imigrantów ciągnących od wieków nieprzerwanym strumieniem do Nowego Świata, nie marzył o znalezieniu tu bogatych i hojnych krewnych? Takich szczęśliwców można jednak przeliczyć na palcach jednego jedynego batalionu piechoty, a „najszcześniejszym” spośród tych szczęśliwców jest nasz AJ. No, niech pan sobie tylko wyobrazi, łaskawy panie, tak kosmicznie rzadki sukces - nieoczekiwanie, nawet nie śniąc uprzednio o czymś podobnym, natknąć się na stryjecznego brata czwartego stopnia, który nie tylko przyznaje się do pokrewieństwa, ale nawet się z nim narzuca, wraz z niewyobrażalnymi sumami pieniędzy włącznie z gotowością inwestowania w produkcję filmu, który ma być ucieleśnieniem twoich, łagodnie mówiąc, dziwacznych pomysłów artystycznych. No, ale przecież nie będzie chyba Aleksander Jakowlewicz wciąż dostawał bukszpanową łaską po łbie, jak myślicie? Nie możemy zlekceważyć podobnej szansy dla jakiegoś tam psychologicznego realizmu, równie efemerycznego, co i cała reszta.

Tego ranka nasz pupil Fortuny zamierzał zrealizować ostatnie zdjęcia w atelier. Później

zostaną już tylko plenery w Europie: cztery tygodnie we Florencji i okolicach i trzy tygodnie w Sankt-Petersburgu. Potem zostanie z kilometrami taśmy w hali montażowej. Niedawno zaskoczyła go myśl, że z tego przedsięwzięcia może wyjść coś wartościowego. Wiatrem sukcesu powiało poprzez całą niezdarność i ogólny chaos okresu produkcyjnego. Albo może przemknął jakiś artyzm? Tak czy inaczej, w pewnym momencie ogarnął go sztormik natchnienia. Czyżby to naprawdę było realne? Czyżby spełniały się moje dawne marzenia, odruchy wieku dojrzewania, masturbacyjne impulsy mojej wiecznej niepełnoletności, błyski mglistych przeczuć, innymi słowy, całe moje życie spełni się na ekranie?

Przede wszystkim potrzebna mi jest do tego kawałek muzyka klasyczna. Montaż będzie w znacznym stopniu zależny od partytury. Są trzy nazwiska, które można w tym celu wykorzystać: Rosjanin, Włoch i Szwed, Piotr, Piero i Peer, trzech geniusze, nierozpoznani przez współczesny świat. Ich telefony mam w laptopie. Sprytna maszyna sama zadzwoni. Zaczniemy od Rosjanina, rzecz jasna, w końcu to rodak. Hej, Pietia, co porabiasz w tej swojej pieprzonej Bremie? Walisz swój *flugelhorn*, oczyszczasz dziennik z wulgaryzmów na użytek przyszłych pokoleń? Chcesz zarobić dwieście pięćdziesiąt tysięcy baksów? Tak, odparł lakonicznie Piotr Genialny i sprawa była załatwiona. Piero i Peer nigdy się nie dowiedzieli, jak bliscy byli tego dnia ćwiartki melona.

AJ siedział w klasycznym reżyserskim fotelu naprzeciw kamery, ustawionej na trójnogu. Na głowie miał klasyczną tweedową czapkę z ośmiu klinów, tak zwaną oprychówkę nowojorskiego taksówkarza, a wokół szyi - klasyczny szal z wełny lamy. Ogólnie biorąc, niemal klasyk, *indeed!*

Ludzie wokół niego znajdowali się w stanie nieustannego chaotycznego ruchu. Przybyli przedstawiciele związku zawodowego, by dogadać się z kierownictwem co do tak zwanych diet dla techników od oświetlenia i dźwięku. Krzyczano i nacierano na siebie nawzajem, tak jak krzyczą i nacierają na siebie trenerzy i sędziowie w bejsbolu, a nawet wzbijają kurz czubkami butów, ale za każdym razem pół ciała dzieli ich od rzeczywistego zderzenia. Przyjechała Goldie d'Argent ze swoją świtą, obejmującą aktualnego przyjaciela, dwóch ochroniarzy (zgodnie ze standardami Hollywood płaciła podatek tylko od jednego), charakteryzatora, dwóch fanów z rodzinnej Sardynii oraz nieuniknionego *suit*, który w odpowiedzi na pretensje kierownictwa związane z częstymi spóźnieniami zamierzał ze swej strony wszcząć aferę o stałe niedocenie statusu jego klientki jako gwiazdy. Równocześnie poprzez otwarte drzwi widać było na parkingu Dantego, to znaczy Quentina Landry, który udawał, że rozmawia z kierowcami o swojej

hispanosuizie rocznik trzydziesty szósty, a w rzeczywistości po prostu przeciągał czas, by wejść do studia pięć minut później od swojej Beatrycze, tej „*cip-cip-cip-come-to-me-bimbo*”, jak nazywał ją między zdjęciami. Co się tyczy „dojrzałej Beatrycze”, czyli Rity O’Neill, to, prezentując klasę, przybyła dokładnie na czas i siedziała niedaleko reżysera, czytając *Boską Komedię*. Asystenci i pomocnicy asystentów biegali tymczasem po prostu tam i z powrotem, rzucając pełne winy spojrzenia na swego „cara”, siedzącego nieruchomo niczym milczący symbol zarzutu.

Przybliżyliśmy moment akcji, obecnie zaś musimy w końcu opowiedzieć, chociażby w dwóch słowach, fabułę filmu. Musimy wyznać, Teofilu, iż nie zrobiliśmy tego dotąd wyłącznie dlatego, że nie była ona jeszcze do końca określona. Jedyne usprawiedliwienie, jakie jesteśmy w stanie przedstawić naszemu wymagającemu czytelnikowi, polega na tym, iż nawet sam AJ, pomimo nie kończących się dyskusji i zatwierdzania kolejnych wariantów scenariusza, do tej pory zostawiał sobie pewną *licentia poetka* co do ewentualnych zmian w swoim arcydziele. Teraz jednakże pora.

Pod koniec XIII wieku żył we Florencji młody rycerz z rodziny białych gwelfów. Nosił obcisłe, dziane spodnie-rajtuzy z cienkiej wełny. Jego kształtne nogi zachwycały skromne dziewczęta i irytowały ordynarnych *ragazzi*, którzy lubili urządzać hałaśliwe zbiegowiska w sklepionych przejściach miasta-twierdzy. Najbardziej odrażający spośród nich byli naturalnie ci ze stronnictwa gibellinów. Młodzieniec był znakomicie przygotowany na podobną okoliczność i władał mieczem równie sprawnie, co kindżałem. Nie lubił jednak zabijać i nawet na polu bitwy, przyodziany w zbroję, wolał zrzucić jeźdźca na ziemię za pomocą kopii, ale go nie dobijać. Tylko garstka ludzi znała go jako poetę, pozostali widzieli w nim po prostu młodą głowę groźnego niegdyś rodu Alighieri.

Pewnego razu, w chwili egzaltacji i wzruszenia wywołanego słuszeniem do mszy, Dante spotkał dziewczynę, w której uderzyła go niedościgniona gracia ruchów i blask, jakim jaśniały jej oczy i twarz. Beatrycze Portinari również nie pozostała obojętna na osobę Dantego. Od tej chwili dwie młode dusze weszły w cykl męcząco-słodkich relacji. Dante, który jako głowa rodu dawno już był żonaty ze swoją wierną Gemmą i miał synów, uczynił z Beatrycze przedmiot kultu Boskiego Piękna. Śledził ją dzień po dniu, gdy przechodziła ulicami, robiła zakupy u handlarzy, modliła się w kościele czy haftowała na balkonie. Wielbił ją jako anioła w swoich wierszach, nigdy jednak nie odważył się podejść i nawiązać rozmowy. Co do Beatrycze, to marzyła o nim

jako o kochanku i mężu. Ona także śledziła go i kryła się w ciemnym kącie, gdy młodzi poeci zaczęli dyskutować o Nowym Słodkim Stylu w poezji.

Pewnej nocy zobaczyła go pijanego, jak przystawiał się do komediantki na rynku. Zawrzała w niej zazdrość. W tym momencie na placu wybuchła kłótnia między gwelfami a gibellinami, Dante chwycił za miecz i kindżał, jego profil wypełniła nagle demoniczna pasja. Beatrycze uciekła, straciwszy kontrolę nad sobą, i zanosła się płaczem.

Wkrótce potem wyszła za mąż za porządnego właściciela ziemskiego z dobrymi rekomendacjami. Nowożeńcy wyjechali w nieznanym kierunku. Dowiedziawszy się, że jego anioł zniknął, Dante jest wstrząśnięty i załamany. Jeździ na koniu z prowincji do prowincji, usiłując trafić na jej ślad. Czasem wydaje mu się, że nad dachami miasteczek czy oliwkowymi zaroślami dostrzega dziwny blask i rzuca się tam w przekonaniu, że to blask Beatrycze. Jego starszy przyjaciel, poeta Guido Cavalcanti, jest pewien, że Dante oszalał z miłości.

*Signora* Beatrycze tymczasem doskonale wie o usiłowaniach Dantego, by ją odszukać. Drży przed wizją tego szalonego romantycznego poety z mieczem w dłoni. Boi się, że wyzwie jej męża na pojedynek albo podniesie rękę na siebie samego. Jej namiętność ku niemu staje się nie do wytrzymania.

Nagle niczym piorun spada na Dantego niemożliwa do pojęcia wiadomość o śmierci Beatrycze. Świadomość poety orbituje w pustce, dopóki nie znajduje on nowej miłosnej radości w tej tragedii. Beatrycze była tak doskonała, że niewątpliwie została wezwana na Niebiosa, by wypełnić jakieś wolne miejsce w anielskim chórze. Odtąd jest ona Wieczną Narzeczoną, Dziewicą Niebieską, Obrazem Najwyższej Kobiecości.

Z czasem staje się on surowym młodym mężczyzną, jednym z przywódców białych gwelfów. Rzuca wyzwania aktualnym władzom, uczestniczy w różnych spiskach, pisze wiersze (*Vita Nuova*), rozmyśla wraz z przyjaciółmi o Złotym Wieku, o religii i polityce, filozofuje na temat Ziemi i Wody, hula we florenckich piwnicach, zakochuje się i szuka łask u dam (Fiametta, *donna* Pietra), ale nigdy nie zapomina, by wpatrzeć się w zachód słońca, który usiłuje rozszyfrować jako „blask Beatrycze”.

Pod koniec stulecia jego partia znowu ponosi porażkę w politycznej walce miasta i Dante zostaje wysłany do ogarniętej przez epidemię dżumy prowincji. „Czarna śmierć” nie omija i jego. Odcięty od przyjaciół, pozbawiony jakiegokolwiek pomocy, leży w agonii w opuszczonej wieży na zboczu wzgórza, z którego widać wieże San Gimignano. Wokół rośnie straszny las, który

następnie stał się motywem pierwszych wersów *Boskiej Komedii*: *W życia wędrówce, na polowie czasu/ Straciwszy z oczu szlak niemylnej drogi/ W głębi ciemnego znalazłem się lasu.*

W tym momencie zaskoczy widza całkowita zmiana dekoracji. Sankt-Petersburg, wiosna roku tysiąc dziewięćset czternastego, zenit Srebrnego Wieku. Młody oficer w szynelu kawalerzysty - rysami twarzy przypomina on Dantego - wchodzi do ogromnej, niemal pustej katedry. Stojąc w cieniu filaru, szepcze nie modlitwę, a *Wiersze o Pięknej Damie* Aleksandra Błoka. Młoda, modnie ubrana kobieta przechodzi wzdłuż nawy i klęka przed ikoną Bogarodzicy. Co tu dużo mówić, podobna jest do Beatrycze. Oficer obserwuje ją z ukrycia w zachwycie i drzeniu. Przystojni byli niegdyś obrońcy ojczyzny.

Ulice nowoczesnej europejskiej stolicy, jaką był wówczas Petersburg. Młoda kobieta szparkim krokiem idzie nabrzeżem Newy; ma teraz zadarty nos i dumny wyraz twarzy. Młody oficer dogania ją i błaga, by go wysłuchała. Po prostu nie może bez niej żyć. Ona wzrusza ramionami. Chyba dostał już pan ode mnie to, czego pan sobie życzył. Proszę przestać być takim natarczywym, poruczniku.

Kabaret artystyczny Zabłąkany Pies. Dym, hałas, muzyka. Grupa poetów w kącie rozmawia o Dancie. Dlaczego w Europie i Rosji zapanował znowu „czas Dantego”? Dlaczego wszystko barwi się na fiolet i lila? Ktoś mówi, że w trzeciej części *Boskiej Komedii* tak naprawdę mowa jest wyłącznie o niepojętych fluktuacjach światła. Ktoś przypuszcza, że Dante naprawdę był tam i wrócił, to znaczy został posłany, by spróbować opowiedzieć o tym słowami. No, który z nas odważy się przedsięwziąć taką podróż, drwi ktoś. A który z nas odważy się zakochać w Beatrycze, uśmiecha się inny. Nikt oprócz pana, Aleksandrze Aleksandrowiczu. Wszyscy zwracają się ku „królowi poezji” Blokowi, o którym mówiono, że jest wcieleniem Dantego. Błok odwraca się, rozdrażniony.

Przy sąsiednim stoliku młody oficer nerwowo przysłuchuje się rozmowie poetów. Jego oczy, zamglone uczuciem, patrzą na scenę. Pojawia się tam jego miłość. Jest bosa, w greckiej tunice. Ku zachwytowi audytorium tańczy taniec hetery i śpiewa ryzykowną piosenkę. Ktoś posyła jej bukiet róż. Ona jedną z róż rzuca Blokowi. Ten z uśmiechem łapie różę, wstawia ją do kielicha z szampanem i odsyła z powrotem. Oficer powstrzymuje łzy.

Biała noc, puste ulice, iluzoryczne kontury miasta. Poeci, mężczyźni i kobiety, powoli idą w kierunku Newy. Wśród nich znajduje się Błok, młody oficer i tancerka, którą żartobliwie nazywa się tu „Pomyłona Psyche”. Grupa dochodzi do nabrzeża i przysiadła na marmurowych

schodach, prowadzących w dół ku niespokojnym wodom. Nieskończony zachód dręcząco rozwija swój dramat na skłonie bałtyckiego firmamentu. Oczarowani zaszyfrowanymi znakami niebios, poeci medytują w milczeniu. Oficer wyciąga ukradkiem rękę i usiłuje dotknąć dłoni ukochanej koniuszkami palców. Ta, zirytowana, przysuwa się bliżej Błoka.

Poeci zaczynają kolejno czytać wiersze o Wiecznej Kobiecości i Apokalipsie. Błok milczy i pali. Następnie wstaje, kłania się i przywołuje fiakra. Nie mówi do tancerki ani słowa, ta jednak idzie za nim i wskazuje do dorożki. Oficer rzuca się za nimi, ale bez skutku, dorożka zniknęła bez śladu. Jakiś życzliwy podpowiada mu nazwę hotelu, do którego Błok zazwyczaj wozi zakochane w nim dziewczęta.

Pod koniec białej nocy oficer oddaje do siebie śmiertelny strzał w parku przed niewielkim hotelem. Ślicznotka wychodzi wcześniej, żeby zdążyć do pracy: jest telefonistką w centrali. Widzi martwego młodzieńca i pada przed nim na kolana, jak w świątyni. Błok patrzy na tę scenę z okna. Wydaje mu się, że sam jest w agonii po śmierci tego człowieka, którego zobaczył po raz pierwszy.

Dante miota się w gorączce, nieprzytomny. Nie widzi, że nie jest sam w opuszczonej leśnej strażnicy. Kobieta w czarnym odzieniu stara się złagodzić jego cierpienie. Zmienia mokre ręczniki na czole i próbuje napoić go mlekiem. On jednak znów uchodzi w straszny las Pieśni Pierwszej. Wpatruje się w przerażające sploty konarów, gałęzi, sękatych, powykrzywianych pni, jak gdyby usiłował dostrzec, co tam przebija przez ciemność. Wreszcie wyłania się stamtąd jeszcze jedno widzenie zabląkanego dantejskiego ducha.

Nowy Jork XXV wieku. Miasto nie zmieniło się specjalnie od naszych czasów. Te same drapacze chmur wokół Central Park, aczkolwiek na fasadach niektórych z nich widnieją nieznane, dziwne hasła. Czołgi i wozy opancerzone powoli ciągną Piątą Avenue i ulicą Pięćdziesiątą Siódmą. Czasem ten i ów unosi się, jakby chcąc zajrzeć w okna na wysokim piętrze. Setki lataczy na indywidualnych latających aparacikach szybuje nad nieogarnionym tłumem, jaki zgromadził się w parku i na bocznych ulicach. Miasto znajduje się w stanie buntu przeciwko reszcie Ameryki. Zostało otoczone. Zbliży się rozstrzygająca walka. Za pomocą nieznanej nam technologii rozpościera się na nieboskłonie ultimatum Armii Wszechamerykańskiej.

Na jednym z podwyższeń Central Park widzimy jeszcze jedną inkarnację Dantego -

popularnego barda, przywodzącego na myśl niektórych pieśniarzy naszego pokolenia, w tym Johna Lennona, tym bardziej że podium znajduje się tuż obok smutnej pamięci apartamentowca Dakota.

Ludzie zgromadzeni wokół podium zajadłe dyskutują o warunkach kapitulacji. Sporo zwolenników zyskuje koncepcja, by złożyć broń. Słuchajcie, *guys*, obiecują nie karać. Ostatecznie w sensie historycznym jesteśmy częścią tego samego kraju. Nasze języki mają wiele wspólnych korzeni. Większość odrzuca jednak argumenty „defetystów”. Nie możemy dowierzać tym „burgerom”, urządzają masowe egzekucje, a tych, co zostaną przy życiu, zapędzą do obozów Nebraski. Nowy Jork musi pozostać wolny! Mamy jeszcze szansę! Jeśli przyłączy się Waszyngton, ustanowimy arystokrację od krańca do krańca kontynentu.

Nasz bard, idol tego miasta, dysponuje zdolnością wzbudzania entuzjazmu w tłumie za pomocą niskiego, ochryplego głosu. Dzisiejszy *gig* jest gorączkowo oczekiwany przez miliony obrońców miasta zgromadzonych na ulicach, na dachach domów i na bastionach. Czekają na niego i w szeregach Armii Wszechamerykańskiej. Dowództwo niepokoi się, by żołnierze nie dostali się pod wpływ Altie Tude’a; tak nazywa się bard.

Przywódcy buntowników starają się odwieść śpiewaka od pomysłu wystąpienia na otwartej arenie. W mieście działają tajne amerykańskie oddziały specjalne. Nie można wykluczyć próby zamachu. Altie Tude opędza się od tych przestróg. Co oni tam będą śpiewać w tych Stanach, jeśli mnie anihilują?

Niedaleko sceny stoi grupa młodzieży. Wyglądają jak zwyczajni fani muzyki *cor*, w rzeczywistości jednak są to dywersanci. Wśród nich jest podobna do Beatrycze, ale ostrzyżona na zero dziewczyna. Nie może ona oderwać oczu od Altie Tude’a, on zaś nie może oderwać oczu od niej. Przelatujący obok cherubinek przeszywa ich serca miłosną strzałą.

On rozpoczyna koncert. Na pierwszy ogień idzie ochryply, straszliwy hymn powstańczego Nowego Jorku. Następnie Altie wyciąga rękę ku dziewczynie i pomaga jej wskoczyć na scenę. Obejmuje ją i zaczynają śpiewać nową, wspaniałą pieśń niewiadomego pochodzenia *God, she is from Kentucky*. Tym razem jego głos brzmi jak głosy wszystkich tenorów świata. Ona zaś, zawodowa terrorystka, nieoczekiwanie zaczyna mu wtórować głosem anioła.

Publiczność porażona jest pięknem duetu, ale ogarnia ją również przeczucie zbliżającego się nieszczęścia. Bojowcy, udając, że klaszczą nad głowami, unoszą w górę mikroskopijne anihilatory. W ostatniej chwili dziewczyna zasłania Altie Tude’a własnym ciałem i rozplywa się

w jego ramionach.

Dante, uwolniwszy się od tego widzenia, nadal błąka się pośród mrocznego lasu. Wokół niego krążą pantera, lew i wilczyca, widma upiornego snu. Dante miota się, przerażony, i w tym momencie dostrzega samotną sylwetkę Wergiliusza, ulubionego starożytnego autora. Wergiliusz został posłany przez Beatrycze, by pomógł Dantemu przejść poprzez kręgi Piekła, Czyściec i stanąć przed nią w Raju.

Dante, z płonąca szczęściem i miłością twarzą, z pełnym zaufaniem postępuje za swoim przewodnikiem. Powoli schodzą stromą ścieżynką, wiodącą zboczem wzgórza, która doprowadza ich do żlebu, mogącego równie dobrze być wrotami Piekła. Wergiliusz zwleka chwilę, po czym, popatrzwszy na Dantego, który w odróżnieniu od martwych wciąż jeszcze rzuca cień, w swojej majestatycznej surowości podejmuje schodzenie w dół. Dante idzie za nim pełen oczekiwania i nadziei. Znikają.

Tymczasem ciało Dantego skręca się konwulsjach dzumy. Podobna do Beatrycze kobieta w czarnym odzieniu siedzi przy jego łóżku. Płacze: obiekt jej marzeń, dumny poeta, który uczynił z niej przedmiot kultu Boskiego Piękna, umiera. Moglibyśmy uwierzyć, że to Beatrycze, gdybyśmy nie widzieli wcześniej jej pogrzebu. Kto jednak, oprócz Beatrycze, może tak namiętnie wyrazić miłość Dantego? Aby uciec od jego adoracji, wyszła niegdyś za mąż za człowieka przeciętnego, Simone dei Bardi. Niestety, poczciwy obywatel był mało ekspresyjny w małżeńskim łożu, a jej namiętność do Dantego rosła z dnia na dzień. W końcu zrozumiała, że z tego nieustannego grzechu jest tylko jedno wyjście - śmierć. Jako gorliwa katoliczka nie mogła podnieść na siebie ręki, postanowiła więc zainscenizować własny pogrzeb, a potem zniknąć i spędzić resztę życia w całkowitej izolacji, w odległym miejscu, w lasach Urbino. Mąż jako prawdziwy przyjaciel był wtajemniczony w jej cierpienia, jednakże wkrótce po fałszywym pogrzebie on również znika bez śladu. Długie lata Beatrycze żyła samotnie, *incognito*, na tej właśnie górze, gdzie znalazła niedawno w opuszczonej strażnicy bliskie śmierci ciało Dantego.

W czasie gdy wspominamy wraz z nią te smutne sprawy, zauważa ona nagle, że ukochany nie umiera, tylko po prostu śpi. Kryzys minął, oddech jest równy, na policzki wrócił rumieniec; poeta uśmiecha się przez sen i od czasu do czasu szepcze zwrotki wierszy. Beatrycze uświadamia sobie, że w każdej chwili może on otworzyć oczy i zobaczyć ją. Ogarnia ją przerażenie na myśl, że jej nie pozna, bo uroda przeminęła z biegiem lat. Ale i to, że zostanie rozpoznana, wydaje się

jej niemożliwe do przyjęcia, ponieważ wyda się jej tajemnica i zostanie pozbawiona „słodkiej męki”. Na minutę przed jego powrotem do przytomności opuszcza strażnicę.

On budzi się i rozgląda. Nie może rozpoznać mrocznego schronienia, gdzie omal nie pokonała go straszliwa choroba. Strażnica zmieniła się w przytulny, ciepły domek: w kominie trzeszczą drwa, na podłodze leży wielki, puszysty dywan, stół jest obficie zastawiony winem, chlebem, serem, jarzynami. Chwiejąc się z osłabienia, dosięga stołu, opróżnia jednym haustem szklankę wina i widzi przygotowany najwyraźniej dla niego atrament, gęsie pióro i plik dobrego bolońskiego papieru. Zapomniawszy o jedzeniu, zaczyna zapisywać w formie pieśni coś niecoś z tego, co pozostało w jego ludzkiej świadomości ze spotkań z Wergiliuszem i Beatrycze poza granicami tego świata.

Mija kolejne piętnaście lat. Wgnany poeta kontynuuje włączkę po miastach północnej Italii. Mieszka to w Weronie, to w Pizie, to w Rawennie. Prawdziwi miłośnicy i znawcy literatury uważają go za najwybitniejszą osobowość twórczą pośród żyjących, a może nawet tych, którzy kiedykolwiek żyli. Jego rodzima, ukochana i znienawidzona Florencja daje mu w końcu amnestię, on jednak uważa jej warunki za upokarzające i odrzuca ją. W odpowiedzi na podobną wyniosłość Florencja skazuje jednego ze swoich byłych siedmiu priorów na śmierć na stosie.

Pewnego razu w Sienie Dante, wysoki, wyprostowany mężczyzna średnich lat w długim ciemnofioletowym płaszczu, zachodzi do sklepu z osobliwościami. Właściciel tego sklepu, którego zna on jako Don Simone, zazwyczaj proponuje mu książki przysłane z Mediolanu, Wenecji czy Lyonu. Tego dnia zastaje Don Simone w stanie skrajnego wzburzenia. Pyta, co się stało, i gospodarz wyjawia mu niewiarygodny sekret. Jest on ni mniej ni więcej, tylko prawnym mężem Beatrycze, Simone dei Bardi. Dziś rano otrzymał od niej wiadomość. Beatrycze przyjeżdża i może być tutaj w każdej chwili. Nie, *ignore* Dante, nie z niebios, a z Urbino. Opowiada Dantemu o fałszywym pogrzebie i o samowyrzeczeniu Beatrycze. Nie widział jej od tej pory i teraz tak drży, jakby naprawdę miała spłynąć z Niebios. Proponuje Dantemu, by spotkał się z nią tu, w sklepie, on sam zaś chyba lepiej zniknie.

Don Simone nie wiedział, rzecz jasna, że Beatrycze zamierza błagać go, by zorganizował jej spotkanie z poetą. Jej zdrowie szybko się pogarsza. Jest przekonana, że będzie to jej ostatnie z nim widzenie w świecie żywych. Brnie wąskimi uliczkami w stronę dzielnicy handlowej. Serce tłucze się jej w piersi, duszę ścisną niezwykle niepokój. Czuje, że bez żadnego umawiania się

zdarzy się za chwilę coś najważniejszego w jej życiu.

Ogarnięty takim samym lękiem, Dante rzuca się na oślep ze sklepu. Ucieka jak może najszybciej. I nagle zastyga jak wrośnięty w ziemię na kamiennym mostku nad kanałem, który leży w dole spokojny niczym marmurowa płyta. Z bocznej uliczki wylania się, zmierzając w kierunku mostu, samotna sylwetka kobiety. Stare wiersze z *Vita Nuova* ożywają w jego pamięci. Widzi, jak na most wchodzi w blasku młoda Beatrycze.

I przed nią również otwiera się podobny cud: potężna postać patrycjusza zmienia się w młodzieńca, drżącego z miłości i zmieszania. Wtedy, trzydzieści osiem lat temu, nie odważyli się wyciągnąć do siebie nawzajem ręki. Teraz dwoje starszych ludzi traci dech w ich pierwszym i ostatnim pocałunku.

Niezwykłej jasności blask roztacza się nad Sieną. Mieszkańcy są oszołomieni promieniowaniem niebios. Wszystkie wiatrowskazy zaczynają się obracać i okna otwierają się na oścież, i flagi trzepocą na wietrze, i dziwna formacja przypominających okręty obłoków przeciąga niebem.

Wierny Don Simone przybiega bez tchu. Gotów jest zrobić wszystko, by pomóc swojej ślubnej małżonce Beatrycze i jej ukochanemu, wielkiemu Dante, ale nie ma ich już pomiędzy żywymi.

Taki był, ogólnie biorąc, *plot* scenariusza, zaakceptowany do produkcji. W tej postaci można z nim jeszcze popracować, zgodzili się profesjonaliści. Mimo wszystko lepsze to niż pańskie poprzednie warianty, Alex, chyba się pan zgodzi. Najdłużej targowali się zwolennicy fechtunku. Jeden z nich, młoda, wschodząca gwiazda zespołu produkcyjnego, niejaki Clipperton, nękał AJ telefonami w środku nocy. Niech pan posłucha, Alex, w 1301 roku Charles Valois przybył pod mury Florencji z całą swoją armią i urządził w mieście pierwszorzędny przewrót. A pański ukochany Alighieri był nieźle wplątany w tę bijatykę, prawda? Jak możemy zlekceważyć taką szansę? Wyobraża pan sobie, jak pociągnie cały projekt jedna pięciominutowa scena batalistyczna? No a jak, będzie krew, jasne, nie ma wojny bez krwi, niech pan nie udaje głupiego!

Innym razem mówi ten Clipperton, że już trzecią noc nie śpi, wciąż obmyśla sekwencję finałową. No i po jakiego czorta pan nie śpi, Clip, skoro wszystko od dawna jest ustalone. Nie, Alex, niech pan posłucha! W ostatnim epizodzie wszystko powinno przejść w namiętne

spółkowanie. To będzie triumf humanizmu, Alex, łapie pan? Tak, tak, niemłoda para, tam, na moście, w obecności mieszczan! To będzie przewycięzenie wszelkich przesądów, jutrzeńka renesansu - kuma pan? Koniec Wieku Ciemności, coś w tym stylu, co rozpad Związku Radzieckiego, powinien pan to uwzględnić, Alex! AJ grzecznie dziękował znawcy i entuzjście. To wstrząsające, Clip, rzeczywiście wstrząsające! Gdzie pan studiował historię? No właśnie, tak myślałem, że w Harvardzie!

Tak czy owak, wszystko zbliżało się do końca. Nie mógł uwierzyć, że za parę miesięcy, po powrocie z St. Pete (jak szybciotko przemianowali Amerykanie na swój użytek były Leningrad), rozstanie się z tymi bękartami biznesu, Quentinem i Goldie, i pozostanie tylko z ich wizerunkami na taśmie.

Wszystko szło gładko tego dnia, a ton nadawała, rzecz jasna, wielka Rita O'Neill. Nie ma żadnych wątpliwości, znakomicie przygotowała się do zdjęć, zewnątrz zaś wyglądała nawet zbyt świeżo jak na pięćdziesięcioletnią Beatrycze. A jednak w pewnym momencie wszystko o mało nie wzięło w łeb. Goldie d'Argent, pojawiwszy się na moście w aureoli wiecznej urody, nie znalazła tam obiektu swej namiętności, Quentina Landry, który do tej chwili powinien zmienić charakteryzację *grandem* na swoją naturalną młodość.

- Długo jeszcze mam czekać na tego idiotę? - zainteresowała się tak głośno, że słychać było w całym atelier.

- Widzieliście tę kurwę? - wrzasnął Quentin. - Nie mam prawa się nawet wysikać między charakteryzacją! Prowincjonalna gęś, nic nie rozumie z koncepcji naszego Ławskiego! Ta kobieta to kretyńka, ludzie, słowo daję!

Na szczęście operator dźwięku, człowiek z wyobraźnią, zwany Guillaume, niby to przez pomyłkę włączył ścieżkę dźwiękową i rykiem miedzi zagłuszył wypowiedź Landry'ego. Jeśli chodzi o pierwsze zdanie tej wypowiedzi, musimy powiedzieć wprost: Goldie nigdy nie obrażała się o określenie „kurwa”. Słowem, wszystko było gotowe do podjęcia akcji, kiedy do atelier wszedł Dick Putney.

Z początku Alex nie zauważył bossów. Przed chwilą wypowiedział właśnie ważne słowo *Action!*, kamera ruszyła i zaczęła toczyć się powoli po torze w kierunku mostu, kiedy za jego plecami ktoś łagodnym, ale zdecydowanym ruchem wziął do ręki reżyserski mikrofon i wydał komendę przeciwną: *Cut it!* Wykonawszy obrót, Alex zobaczył grupę osób zajmujących w spółce najwyższe stanowiska: Dicka Putneya, Ridgewaya, Eda, Pete'a, Eda Putney-Kriegera i Ednę

Krieger-Nakatone.

- Co *cut*? - spytał i odkaslnął.

- Wszystko! - odparła Edna w pięknym japońskim stylu, to znaczy nie pozostawiając najmniejszej szansy na zmiłowanie w ostatniej chwili. Powiedziawszy to, wyciągnęła ku niemu poranny numer „New York Times”, czyli tę samą gazetę, którą dziś rano, śpiesząc do samochodu, odkopnął z ganku na trawnik.

Pierwsza kolumna demonstrowała zwałające z nóg nagłówki: KONIEC EPOKI, OBALONY TRON KORBACHÓW, AK&BB W WICHRZE REWOLUCJI. Widniały tu również fotografie, większe i mniejsze: Stanley Korbach w okresie rozkwitu i tenże w momencie upadku, z podkreślonymi oznakami tego upadku w postaci zmarszczek i pokrytego pigmentacją wola, Norman Blumsdale, nieubłagany przywódca zamachu stanu, trzy córki Stanleya, które opowiedziały się przeciw ojcu (ich pochodzenie od różnych matek nie powstrzymało dziennikarzy od aluzji do szekspirowskiego dramatu), Mel O’Massey, nowe nazwisko wzlatujące w górę niczym rakietą, Art Duppertat, którego odejście z obozu Stanleya odegrało decydującą rolę w przewrocie stulecia, no i, rzecz jasna, Marjorie Korbach, której twarzyczka lalki stanowiła nie tylko demonstrację najnowszych osiągnięć chirurgii plastycznej, ale również maskę współczesnej *Lady Makbet*.

W uzupełnieniu do nagłówków pierwszej kolumny cały dział biznesu pełen był analiz, kalkulacji i prognoz dotyczących tego, co nastąpi na rynku papierów wartościowych w związku ze zrzuceniem Stanleya z fotela prezesa. Dyskutowano także kwestię nieuchronnego krachu największej w historii organizacji charytatywnej Korbach Foundation osobistych aktywów Stanleya, wziętych już pod lupę przez stosowną agencję federalną.

Alex cisnął gazetę, wyciągnął swój radiotelefon i wybrał numer, znany tylko garstce ludzi na całym świecie.

- *Skalom!* - powiedział zdecydowanie głos w słuchawce, zdolny wystraszyć każdego z was, o ile nie należałby do waszego agenta.

- Cześć, Enoch! Mówi Alex! Gdzie jesteście w tej chwili, chłopaki?

Enoch Aghast parsknął.

- Na jakiejś wyspie, zdaje się. Albo Grecja, albo Karaiby. Stanley dopiero co poszedł na plażę. Ernie i George czekają tam na niego, mają iść na ryby.

Alex nie spytał, co to za Ernie i George. Spokojnie, mogli to być na przykład Hemingway

i Byron.

- Widział dzisiejsze gazety?

- No jasne. Przerzucił chyba z jarda sześcienny tych gazet, powiedział „przegraliśmy” i poszedł na plażę, do Erniego, George’a i Charlesa. Czekają na niego, żeby pójść na ryby.

- A co to za Charles? - spytał Alex.

- Charlemagne - uściślił Wieczny Żyd. - A czemu by nie? Chłopaki wciąż jeszcze znajdują w tym zadowolenie.

AJ wiedział, że jeśli nie zatrzymać Enocha Aghasta, będzie bez końca rozwijać swój ulubiony temat: nieskończona nuda całego tego świata z jego banalnym słonecznym blaskiem i kretyńskim drżeniem cieni, jak dalece można mieć tego po uszy, skoro nawet bycie agentem kinowym człowiekowi obrzydło i pragnie tylko jednego, a czego, to pan dobrze wie, *sir*. Podziękował mu i odłożył słuchawkę.

- No to pogadajmy, Alex - powiedział Dick Putney swoim najlepszym stalowym głosem. Widać było jednak, że jest bardzo smutny i zaniepokojony. Wszyscy sześcioro, o nie, przepraszam, siedmioro, usiedli w fotelach, tworząc wraz z fragmentami dekoracji, które obecnie wydawały się AJ wprost odrażające, swoisty krąg. Jebana próżność, mówił sobie, je-eebana próżność, usiłował stłumić niepowstrzymaną chęć ziewania.

Do usług, *gentlemen* - powiedział i zdał sobie sprawę, że zwrot ten nie jest do końca prawidłowy. Wykonał więc lekki ukłon we właściwym kierunku. - I *ladies*, oczywiście. Proszę mi wybaczyć liczbę mnogą, ale to po prostu zwrot stylistyczny.

Wszyscy wymienili spojrzenia, tak jak robi się w obecności nieuleczalnego alkoholika.

- Najwyraźniej zrozumiał już pan, że zmuszeni jesteśmy przerwać produkcję *Promieniowania* - powiedział Dick. Zdaje się, że z lekka szczekał zębami. - Musisz wiedzieć, że była to dla mnie niełatwa decyzja, Alex. Niech pan przestanie ziewać, *sir*! Wiesz, że należy do tradycji naszej spółki traktowanie reżyserów jak członków rodziny. Wie pan, jak pana wszyscy lubimy, jak bliski byłeś naszemu szacownemu prezesowi, mojemu ojcu Abrahamowi Putney, prawda?

- A co się z nim stało? - Alex zniecierpliwiony przestał ziewać i nawet jakby zakręcił się w fotelu. - Mam nadzieję, że wszystko OK? Żyje?

- Daj mi skończyć! - warknął Dick z niezrozumiałą furią, po czym podjął fałszywie rzeczowym tonem: - Mam nadzieję, że pan rozumie, jak bardzo jesteśmy wszyscy niepokieszeni,

że w związku z parszywymi okolicznościami, jakie powstały, zmuszeni jesteśmy zamknąć pański zachwycający projekt. I sprawa nie polega bynajmniej na finansowych stratach czy zyskach. Putney bezwarunkowo może sobie pozwolić na wydzielenie budżetu, który pomógłby panu zakończyć pańską pracę nawet bez inwestycji Stanleya. Ważna jest jednak zasada światowej solidarności. Rozejrzyj się dookoła, mój drogi, a zobaczysz bezprecedensową od czasów załamania się giełdy nowojorskiej w roku 1930 gorączkę we wszystkich finansowych społecznościach świata.

Nawet tacy ludzie, jak ty, Alex, współcześni bajroniści i demony rosyjskiej literatury, muszą zrozumieć, że finansowe bractwo było wzburzone bezmyślnym trwonieniem pieniędzy to w Rosji, to w Bangladeszu! Nie ma czegoś takiego we współczesnym świecie jak prywatny kapitał! Pieniądze nie należą do nikogo - odwrotnie, to my należymy do pieniędzy! Pieniądze muszą pracować, do diabła, i robić następne pieniądze, niech mnie diabli, jeśli nie mam racji!

Próbowałem przekonać drogiego Abe'a, mojego ojca i przyjaciela, że powinniśmy zamknąć *Promieniowanie* w ramach protestu przeciwko stosunkowi Stanleya do pieniędzy, po prostu po to, żeby odciąć się od anarchisty i bankruta, Abe jednak z uporem obstawał przy swoim. „Ręce precz od Saszki!”

- jak wolał pana nazywać, Alex - Dick Putney pociągnął nosem. - Teraz lepiej zrozumiesz, dlaczego zmuszony byłem go zabić.

W tym momencie Alex zauważył maleńką szmaragdową główkę jaszczurki, która wysunęła się zza mankietu koszuli Dicka. Była to naturalnie Popsy, z którą mieliśmy zaszczyt zaznajomić się całkiem niedawno.

- Hej, Popsy! - powiedział i zaszczębiotał do niej jak ptak, albo jak jaszczurka, czy kto tam jeszcze szczebiocze na tym świecie. - To znaczy, że zabiłeś Abraszkę? - spytał.

Dick kiwnął głową, tłumiąc łkanie.

- W sensie przenośnym? - spytał Alex.

- W sensie dosłownym - chlipnął Dick.

- Czyżby? - spytał Alex światowym tonem.

*Madame* Krieger-Nakatone zmrużyła oczy tak, że zmieniły się one w dwie poziome zmarszczki.

- Dick zmuszony był pozbawić Abe'a życia za pomocą japońskiego pistoletu bambusowego z siedemnastego wieku. Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem jego męstwa i przesłania, które

skierował w ten sposób do całego świata biznesu. Nasza rada dyrektorów wierzy, że i pan, Alex, doceni tę ofiarę.

Wszyscy Putneyowie, Putney-Kriegerowie i Ridgewayowie westchnęli: - O, tak, to przecież dramat na skalę biblijną!

W tym momencie Popsy prześliznęła się z wewnętrznej sfery Dicka w wewnętrzną sferę Aleksa, to znaczy w rękaw i jeszcze głębiej, pod T-shirt. Dziwne, ale Alex nawet nie drgnął. Siedział bez ruchu, spocony i osłabiony, podczas gdy gad niczym błyskawica rzucał się po jego ciele. Parę razy przebiegł mu po piersi, ukąsił go lekko najpierw w lewy sutek, potem w prawy, pokręcił się pod jedną z pach i dopiero potem wykonał poprzez brzuch pikowanie w dół, ku genitaliom. Gumka slipów nie okazała się dla niego przeszkodą.

Aleksander Jakowlewicz swobodnie spadał w „otchłań poniżenia”, jak nazwał to kiedyś poeta. Rodzina Putneyów zamawiała tymczasem kawę. Kiedy zamówienie zostało zrealizowane, rozpiął zamek i wyciągnął Popsy za ogon. Talizman spółki był dotknięty w swoich najlepszych intencjach. Skrzecząc z oburzeniem, zostawił ogon w palcach AJ i zwiął z powrotem w nienaganny rękaw nowego prezesa. Dopiero wtedy AJ wstał i oddalił się. Ogon Popsy długo jeszcze pląsał na jego dłoni.

Dziwię się, dlaczego darwinowska teoria ewolucji i idea Stworzenia są uważane za tak dalece nie do pogodzenia, a nawet jakby wykluczające się nawzajem pojęcia. Ośmieliłbym się powiedzieć, Teofilu, że sprzeczność ta oparta jest na śmiesznie prostym nieporozumieniu. Pozwól, że podejmę z tobą na ten temat tak zwany „dialog z za progu”; niektórzy uważają, że byłem dobry w tym gatunku po ćwiartce scotcha. Wszystkie pauzy między moimi sentencjami będę uważać za twój mądry wkład w rozmowę, o Teofilu. Albo po prostu za twój uśmiech, Teofilu, dziękuję.

Wydaje mi się, że zasadnicza sprzeczność między dwoma przeciwstawnymi obozami polega na różnicy rachunku czasowego. W Starym Testamencie czas mierzy się tysiącleciami - sześć i coś tam tysięcy lat od dnia stworzenia świata według kalendarza judaistycznego - podczas gdy teoria ewolucji operuje milionami i setkami milionów lat. Z jakiegoś powodu nie bierze się tu pod uwagę jednej sprawy: lata biblijne są z natury rzeczy alegoryczne, to znaczy poetyckie, podczas gdy lata ewolucjonistyczne ściśle związane są z fizyką, z rachunkiem obrotów Ziemi dookoła Słońca. Przyjąwszy to, możemy założyć, że biblijne tysiące to znacznie więcej, niż fizyczne miliony.

Mówiąc „więcej”, uciekam się do najprostszego z uproszczeń. Pojęcie „lat”, biblijnych i fizycznych, zostało dane nam, żywym, byśmy mogli się jakoś przystosować do tego peryferyjnego kawałka Niepojętego, w którym przyszło nam egzystować.

Akt Stworzenia, który usiłujemy pojąć (wybacz nawias, Teofilu, ale mówiąc „my”, mam na myśli mojego stryjecznego brata czwartego stopnia, Saszę Korbacha), miał miejsce w „przestrzeni” (no, w jaki sposób moglibyśmy się tu obejść bez nawiasów i cudzysłów?), w przestrzeni, gdzie nie było ani czasu, ani powietrza. Pierwotny zamysł był całkiem inny i zupełnie niepojęty dla nas, dzieci powietrza i czasu. Zamysł ten pozostawiono nam wyłącznie w postaci nieśmiałego wspomnienia, które określamy słowem „raj”.

Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie Pierwotnego Zamysłu, możemy jednak sobie wyobrazić, że gdzieś na peryferiach nastąpiło odchylenie, być może w rezultacie tego, co nazywamy walką Dobra i Zła. Przyszedł moment Pokusy - wszelka alegoria jest tu stosowna, wąż, jabłko, nagość (być może odzież nie była Adamowi i Ewie potrzebna w substancji innej niż

powietrze) - a w ślad za nim Grzech Pierworodny oraz Wygnanie z Raju, to znaczy z Pierwotnego Zamysłu. Nastąpiło stwarzanie „z błota” czy „z prochu”, czyli z pierwotnej mieszanki pierwiastków z węglem i tlenem.

Moglibyśmy powiedzieć, że Pokusa i Wygnanie nastąpiły w tym samym czasie, gdyby czas istniał, ale tak nie było. Czas to właśnie Wygnanie, to on stworzył ten nasz świat, sferę śmiertelnych. Czas-Wygnanie stworzył biologię - albo może vice versa, a najprawdopodobniej stworzyły się nawzajem - i w ten sposób DNA możemy uważać za formułę wygnania z Raju. Rzecz jasna, świat istot żywych nie mógłby istnieć, no i nie mógłby być stworzony bez substancji powietrza i jej pochodnych, ziemi i wody. Powietrze, woda i ziemia uformowały składniki wszystkiego, co żyje, a w konsekwencji umiera. Natychmiast pojawił się czas. Zaczął się rachunek Wygnania.

Mam nadzieję, że wybaczysz nam, Teofilu, ale doszliśmy z Alexem do tych wyobrażeń w rezultacie nie kończących się dyskusji telefonicznych na rachunek Fundacji Korbacha, która, jak mawiają Rosjanie, kazała długo żyć. A zatem, jest akt Stworzenia i jest odchylenie od Pierwotnego Zamysłu. I tu, w trakcie tego odchylenia, mogły minąć miliony i miliardy lat ewolucji od ameby do istoty ludzkiej, i w żaden sposób nie może to być dowodem na nieistnienie Wszechmocnego, jako że w kontekście Pierwotnego Zamysłu czas trwania nie oznacza nic. Ani „długo”, ani „krótco” tam nie istnieje, i czasownik „być” też jest bezużyteczny; jakiś inny czasownik jest tam na miejscu, nieznanym nam i niedosiężnym. Usiłując to sobie jakoś przybliżyć, mówimy, że nawet miliard lat nie jest w stanie pokryć jednego cala drogi wygnanego Adama, ale nawet i w tej próbie pobrzmiwa głupstwo, bo w Pierwotnym Zamyśle nie ma ani miliarda, ani cala. Tak że nie ma znaczenia, czy człowiek pochodzi od małpy i jak długo trwał ten proces, jako że wszystko to miało miejsce w ramach Wygnania, które wciąż jeszcze trwa. Obecnie trwa ono w postaci ludzkiej historii i wszystkiego, co się z nią wiąże, i będzie trwać do końca historii, który najwyraźniej będzie również końcem Wygnania.

Wszystkie te *Australopithecus Anamencis*, *Australopithecus Ramidus* i inne „hominidy” późnego pliocenu i wczesnego plejstocenu, które żyły pięć i pół miliona lat temu, i nawet *Driopithecus*, który żył dwadzieścia pięć milionów lat temu, nie mogą być dowodem na nieistnienie choćby centymetra drogi Adama z Raju, a w konsekwencji i z powrotem do Raju.

Ewolucja gatunków istniała, istnieje i będzie istnieć jako peryferyjne odchylenie od Pierwotnego Zamysłu i najwyraźniej przestanie istnieć dopiero wtedy, gdy zakończy się

wygnanie i wszystkie te gatunki wrócą w niedosiężny świat, gdzie nie ma ani czasu, ani powietrza, innymi słowy, kiedy życie biologiczne zakończy swój cykl.

Jeśli chodzi o człowieka współczesnego, to wkrótce po przyjęciu pozycji pionowej zobaczyliśmy rozgwieżdżone niebo i ogarnęło nas mętne wspomnienie Pierwotnego Zamyśłu. Wspomnienie, czyli to, co nazywamy Duchem Świętym, przywiodło nas do aktywności raczej dziwnej jak na czysto biologiczny organizm, a mianowicie do religii, poczucia piękna, wyobraźni twórczej i skłonności do lekko komicznego chodu.

Schopenhauer powiedział, że współczucie wobec towarzyszy naszej życiowej drogi to jedyna cecha, jaka odróżnia człowieka od innych uczestników biologicznego cyklu. Dobrze by było dodać do tego również poczucie humoru, które w cudowny sposób współlistnieje w nas ze świadomością nieuchronnej śmierci. Cechy te, które, być może, są wzajemnie powiązane z dziwnym pragnieniem nieśmiertelności, czasami, być może, pomagają człowiekowi przezwyciężyć schopenhauerowską „wolę życia”. Innymi słowy, mętne wspomnienia pomagają pokonać bezsens. Bóg nie opuścił nas w procesie naszego powrotu do Pierwotnego Zamyśłu. Ewolucja gatunków - to po prostu czasowe odchylenie od niedosiężnego aktu Stworzenia, czyż nie tak, Teofilu? Duch Święty nie opuszcza nas, i by człowiek nie czuł się barankiem ofiarnym Wszechświata, Pan zsyła nam swego Syna wcielonego, okazując w ten sposób, że dzieli on nasze męki narodzin, życia i śmierci. Wraz z Chrystusem pojawiają się i inni posłańcy Ducha Świętego, awatary, jak Mahomet i Budda, którego towarzyszy, niedrapieżny lew, również jest, być może, jakimś błyskiem Pierwotnego Zamyśłu.

Niektórzy poeci zostają wybrani, by spróbowali przekazać to, co Niedosiężne. Wiele mówiliśmy z moim kuzynem o Dantem. Alex jest przekonany, że przebywał on w niedostępnych sferach. Czy to pod wpływem jakichś substancji, czy też, co bardziej prawdopodobne, na skutek choroby, pokonał on granicę między Wygnaniem a Pierwotnym Zamyśłem. Po powrocie z tej „podróży” spróbował przekazać swoje oszołamiające doświadczenia w postaci wierszy, ale słowa są niewystarczające, bez względu na rozmiary talentu. Ten dręczący niedostatek siły wyrazu, te ściany materii, w których znowu zamknięty został Dante, być może skłoniły go do nazwania swojego dzieła komedią. Niemniej prowadzi nas poprzez męki skręcającego się w konwulsjach ciała w surową, oczyszczającą sferę astralną i dalej, tam, gdzie pośród oślepiającej fluktuacji światła, to znaczy radości, spotyka swój obraz Beatrycze i może dotknąć sensu Pierwotnej Miłości.

Posłuchaj, Teofilu, pewnego razu Alex przysłał mi za pośrednictwem Federal Express wydane przez Penguin opowiadania Dostojewskiego. Byłem wtedy w Kairze, a on wkrótce zadzwonił do mnie z Helsinek. Stan, powiedział, przeczytaj opowiadanie *Sen śmiesznego człowieka*. Ten kawałek uważa się zazwyczaj za wzorzec „utopii satyrycznej”, mnie się jednak wydaje, że nawet wielki Bachtin pomylił się w tej definicji. Na szczęście znajdowaliśmy się tego dnia z Alexem niemal na tym samym południku, tak że można było dzwonić bez obawy, że wyrwie się rozmówcę z głębokiego snu. Kilka kolejnych wieczorów dyskutowaliśmy o tym dziwnym opowiadaniu.

O co tam chodzi? Pokróćce. Pewien człowiek w Sankt Petersburgu postanowił z sobą skończyć. Położył przed sobą pistolet i zasnął. Przyśniło mu się, że istotnie popełnił samobójstwo. Widział siebie w grobie. Następnie, w rezultacie namiętnej prośby, z jaką zwrócił się do Boga, mogiła otworzyła się i jakaś ciemna istota pociągnęła go za sobą poprzez galaktyki ku oddalonej gwiazdzie.

Gwiazda ta przypominała Ziemię, panowała jednak na niej aura jakiegoś najwyższego triumfu. Żyły tam istoty idealne, pełne prawdziwej miłości do wszystkiego, co istnieje. Byli wśród nich mężczyźni i kobiety, wspomina on, i kochali się nawzajem, nigdy jednak nie zauważył wśród nich wybuchów okrutnej zmysłowości, która jest kto wie czy nie jedynym źródłem naszych grzechów. To miejsce nie było skażone Upadkiem, istoty te nie przeszły przez Grzech Pierworodny. Wiele rzeczy było tam poza granicami jego pojmowania i poza granicami racjonalnego podejścia naukowego. Tą drogą najwyraźniej został mu ukazany Pierwotny Zamyśl; tak nam się wydało, o Teofilu!

Dalej idzie o tym, jak zdemoralizował on idealnych ludzi swoimi ziemskimi wadami, ale to już coś w rodzaju umoralniającej satyry. Ważniejsze jest coś innego. Kiedy bohater się obudził, zdał sobie sprawę, że żadne słowa nie oddadzą tego, co przeżył we śnie. Mimo to jednak czuł nieodparte pragnienie, by chociaż spróbować przekazać to za pomocą słów, bo, być może, wcale nie był to sen, tylko coś oszałamiająco realnego.

Dostojewski, jak wiadomo, był epileptykiem. Choroba ta dręczyła go przez całe życie, od dzieciństwa. Były okresy, kiedy czuł się całkowicie wyczerpany konwulsjami i przerwami w świadomości, a mimo to, jak wyznawał, czasami wyczekiwał kolejnego ataku, gdyż często pojawiał się w nich jakiś wymykający się moment, kiedy zdawało mu się, że z niezwykłą wyrazistością rozumie wszystko wewnątrz i na zewnątrz siebie i chwyta przyczynowość tego, co

się dzieje. Po ataku niczego jednak nie pamiętał - nie zostawało nic oprócz czarnej dziury. Nie jest wykluczone, że za którymś razem „moment przyczynowości” pozostawił nieco silniejszy ślad w jego duszy i wówczas, jak Dante, spróbował oddać za pomocą słów swoje widzenie, to „nieżycie”, które było niepomiarne wyższe od egzystencji biologicznej. Tak czy inaczej, zdołał powiedzieć, że w owym umykającym momencie doświadczył pewnej niedosiężnej rzeczywistości, pozbawionej czasu i powietrza, w której rozkłada się wszystko, co żyje, i nie może się nie rozkładać. Oto do czego doszliśmy razem z Alekssem, a także ustaliliśmy, że pojawiające się na końcu obrazu zepsucia są objawami budzenia się „śmiesznego człowieka”, jego powrotu do świadomości ziemskiej.

Prosimy o wybaczenie, ale zapomnieliśmy powiedzieć na początku tego rozdziału, że Stanley Korbach prowadził swój „dialog przez próg”, siedząc przy stoliku w Międzynarodowym Domu Blinów na rogu Bonaventura Boulevard i 1056 ulicy w gęsto zaludnionej dolinie San Teofilo w stanie Ocziczornia. Do tej chwili uwinął się już z trzydziestym trzecim stosikiem owsianych blinów, którym za każdym razem towarzyszył dzbanuszek syropu klonowego. Niezłe, myślał nieco figlarnie, odrywając się od swoich ćwiczeń filozoficznych.

Apetyczne jak diabli! Pomyśleć tylko, że jakby nie zrzucili mnie z fotela prezesa, to nigdy bym nie spróbował takiego świetnego żarcia, nie mówiąc już o wyjątkowej międzynarodowej atmosferze tego blinowego raj. Jak przytulnie! Uczucie przytulności wprost przenika człowieka w tym miejscu. Przytulnie i ciepło. Cały stan Ocziczornia dostał się pod wpływ lodowatego cyklonu, za szklanymi ścianami MDB ciągną po niebie długoogoniaste chude bestie-chmury, a tu ciepło, jakbyśmy naprawdę byli w Słonecznej Ocziczornii. Ludzie na zewnątrz, nawiasem mówiąc, też się nie poddają. Tłumnie walą po Bonaventura Boulevard w podkoszulkach i szortach, z uporem traktując to miejsce tak, jak za to zapłacili w biurach podróży. Wszystko tu jak w kurorcie: samochody z opuszczanymi dachami, w autobusach klimatyzacja powoduje arktyczny niemal chłód, w tłumie króluje beztroska, bez jakiegokolwiek celu i kierunku ciągną ludzie i psy - o, chociażby ta parka, owczarek niemiecki i złocisty retriever.

Stanley zwrócił uwagę, że „przyjaciele człowieka” przechadzają się bez przyjaciela, to znaczy same, połączone jedynie smyczą. Wyglądało na to, że same się w ten sposób wyprowadzają na spacer, albo raczej jeden z nich, potężny owczarek o szerokiej piersi i nieco sardonicznym uśmiešku w kącikach przekonującej paszczy wyprowadza na spacer

egzaltowanego, porywczego blondyna, którego ogon, kołysząc się nad nim bez przerwy, demonstruje radość życia i nieograniczoną życzliwość. Jeśli na przykład blondyn widzi po drugiej stronie ulicy jakąś interesującą osobę, zwłaszcza płci żeńskiej niezależnie od rasy i rozmiarów, i natychmiast zamierza wyrwać ku niej przez jezdnię, brunet zapiera się w asfalt wszystkimi czterema łapami i w ten sposób likwiduje romantyczny poryw w zarodku.

Jeszcze przez pewien czas obserwował Stanley skrzyżowanie, pełne samochodów, ludzi, psów, szyldów, flag, palm i obłoków, dopóki w pewnym momencie o mało go nie zatknęło z miłości. Posłuchaj, Teofilu, zdaję sobie sprawę z marności tego świata, a mimo to nie mogę nie zachwycać się jego różnorodnością. Mój kuzyn Alex, jak gdyby chcąc sprawdzić samego siebie, od czasu do czasu przypomina mi duszącą schopenhauerowską koncepcję wiecznego powrotu. Prawdę rzekłszy, nie przekonuje mnie ona. Tęsknię do Pierwotnego Zamysłu i mam nadzieję, że drzwi do tego, co Niedosiężne, otworzą się kiedyś dla wszystkich śmiertelnych, ale niestety, nie bacząc na swój wiek, wciąż jeszcze grzesznik, jestem tak urzeczony tym peryferyjnym, niepełnym, żalonym, zepsutym i zmysłowym światem odchylenia, z całą jego historią i gęstą, spienioną kipiela, którą obserwuję obecnie z Międzynarodowego Domu Blinów, że nie potrafię sobie wyobrazić siebie poza jego granicami.

Alex uśmiecha się zazwyczaj, kiedy mu o tym mówię. Słuchaj, Stan, drwi, wygląda na to, że boisz się zanudzić w świecie Niedosiężnego. Oczywiście jest to naiwne, ale uważam, że Stworzycielowi potrzebne jest każde mgnienie naszego żalonego istnienia, nawet te czterdzieści minut, w czasie których sprzątam kolejne górkę blinów, najpierw z kawiozem, po rosyjsku, potem z bakłażanami, po meksykańsku *etc, etc*, no, i na zakończenie z syropem klonowym, na sposób rodzimy.

Poprosił o rachunek i zagłębił pod stołem rękę w swój woreczek z pieniędzmi. Woreczek ten pojawił się u niego pewnej pięknej nocy, w okresie, kiedy wszystkie jego konta były zamrożone, a on sam był zasypywany *subpoenas*, to znaczy wezwaniami do sądu. Wówczas starszy lokaj Enoch Aghast wezwał go pod osłoną ciemności do parku Halifax Farm, gdzie chowali niegdyś butelki z krzepkim trunkiem.

- Wsadź no głębiej rękę, synku - powiedział. - Namacałeś coś miękkiego? No, to teraz zaciśnij palce i ciągnij! - Wyciągnięty został dość ciężki woreczek z dość omszałej skóry. - Jest tam parę milionów, dokładnie nie wiem ile - ciągnął Wieczny Żyd. - Jak się skończą, powiedz, poszukamy gdzieś jeszcze.

Najbardziej bał się Stanley wyciągnąć z woreczka nie setkę, a tysiąc czy nawet dziesięć tysięcy dolarów w jednym papierku. Niedawno zdarzyło się coś takiego w drugstorze i dotąd był zmieszany na wspomnienie paniki, która zapanowała w sklepie w następstwie tak prostej pomyłki.

Na szczęście nikt go obecnie nie poznawał w Stanach Zjednoczonych. To dziwne, jak beztrojski jest nasz naród nawet w stosunku do swoich znakomych faworytów. Jeszcze niedawno wszystkie brudzące palce tabloidy publikowały jego zdjęcia na pierwszej kolumnie pod ogromnymi nagłówkami: „Nieoczekiwany upadek imperium Stanleya Korbacha”, „Ostateczne zniknięcie Wielkiego Stana” itepe, itede. Wystarczyło jednak, że zapuścił białą brodę, która przykryła jego pelikanie wole, by wszyscy z uporem przestali go poznawać.

Wyszedł ze świątyni blinów, zmieszał się z tłumem i powoli ruszył Bonaventura Boulevard w kierunku północnym. Nie wiedział, czym się zająć. Tak naprawdę nie wiedział, czym się zająć, od chwili upadku imperium, no, chyba że właśnie rozmyślać o tajemnicach bytu. W ogóle to całkiem nieźle jest myśleć o tajemnicach bytu, zwłaszcza kiedy bliski jesteś zakończenia siódmego dziesięciolecia życia i nie masz nic więcej do roboty.

Lekko ubrany, drżący z zimna ludzie, wciąż jeszcze mimo to wolący na letniaka rozkoszować się „Słoneczną Oczizornią”, rzucali na niego zaciekawione spojrzenia, choć nikt nie rozpoznawał w nim Wielkiego Stana. Był po prostu „kims” - gigantyczny prorok z puszystą białą brodą, a co najdziwniejsze, ubrany w ciepły tweedowy płaszcz.

Na rogu 1059 ulicy przyciągnął jego uwagę dziwny pojazd, trochę limuzyna, a trochę samochód dostawczy w kolorze lazurowym. Stał na rozległym parkingu obok Safeway. Dwa psy siedziały na dachu, owczarek niemiecki i złocisty retriever, najwyraźniej te, które same spacerowały niedawno bulwarem. Z pojazdu wyszedł dziwny typ i przeciągnął się jak po przebudzeniu. Miał wartą opisaną aparycję. Był wysoki, choć nie tak, jak Stanley. Za to jego broda była o wiele dłuższa. Jeśli chodzi o czuprynę, to na zimnym wietrze trzepotała ona obecnie nad jego głową niczym upierzenie nieznanego ptaka. Nie był tak siwy, jak Stanley, i przypominał nie tyle proroka, co derwisza we wschodnim burnusie. Na jego piersi wisiał duży prawosławny krzyż, ciężka gwiazda Dawida, jak również rozmaite pogańskie amulety, w tym parę ptasich łapek. Żeby nie zapomnieć: miał duży, kościsty nos, zaś jego pępek, choć niewidoczny pod burnusem, rozmiarami i twardością przypominał szachową wieżę. Och-och-och - w ostrym porywie wiatru coś podobnego do skrzydeł wzniosło się za jego plecami.

Zauważył Stanleya i wykonał zapraszający gest. Stanley podszedł. Uścisnęli sobie ręce.

- *Ty tozhe ptitsa?* - spytał nieznajomy po rosyjsku.

- Nie sądzę - odparł Stanley, ale, dostrzegłszy lekkie rozczarowanie, jakie przemknęło pośród obfitego zarostu, dodał: - W każdym razie jeszcze nie.

- A ja jestem ptak - powiedział człowiek z ptasim uśmiechem.

- W tym sensie, że wolny jak ptak? - spytał Stanley.

- Wolny jak ptak, silny jak ptak, mądry jak ptak - czyli ptak! - Roześmiał się i przedstawił: - Tich.

- Stan - wymienił swoje imię były magnat i mrugnął do psów, które śledziły scenę z dachu pojazdu.

- To moi przyjaciele, Mędrak i Głupak - przedstawił je Tich, czyli, jak się już państwo domyślili, Tichomir Buriewiatnikow.

Stanley wyciągnął z bezdennej kieszeni płaską flaszkę whisky.

- Chcesz łyka?

Tich posmakował trunek niczym koneser.

- Glenmorangie wolę niż inne. Wiesz, Stan, kiedyś byłem bogaty.

- Ja też - skinął głową Stanley i spytał: - W którą stronę jedziecie, psy i ptak?

- Do Whistlestop - powiedział Tich. - Mamy tam kumpla w obozie koncentracyjnym. Jedziesz z nami, Stan?

- No jasne!

I pojechali.

Pora przypomnieć mojego pierwszego i jedyne go ślubnego męża, Mr Luxa, dzięki za to nazwisko, sukinsynu; wyobraźcie mnie sobie pod panięmskim nazwiskiem Fief. On mi dał to warte milion dolarów nazwisko, niechlujny starzec, nawet jeśli podrobił dokumenty. Miałam czternaście lat, kiedy zachciało mu się ze mną ożenić, chociaż wyglądałam na dwadzieścia pięć, i wyrobił mi fałszywe ID. I mimo wszystko podobał mi się ten chuj śmierdzący.

No, to dlatego, że jadł śniadanie w łóżku i żuł swoje jajka pośród naszych luksusowych poduszek, jęczał, zawodził, całkiem jakby chciał je zwymiotować natychmiast po przełknięciu. Jego pierwsza żona Bąbelka wpadała do nas, wracając z synagogi. Była pobożna, bo żaden facet nie chciał na nią spojrzeć drugi raz, a mimo to ten pierdolony Lux ostrzył sobie dowcip w jej obecności. „Hej, Babelko, to dziecko nie zna techniki seksualnej, pokaż no jej swoją ulubioną sztuczkę „żółte paluszki!” Jej pies, Extraquin, niuchał „moje futro”, jak Lux nazywał zimowe palto, które mi kupił na pchlim targu. Mieszkaliśmy wtedy w Bostonie, gdzie ludziom w tyłkach wyrastają sople. To francuskie futro nazywało się *les sobakis*. Dopiero później zrozumiałam, że to były po prostu psy, i nawet tej samej rasy, co Extraquin Bąbelki.

Mimo wszystko mała Fief bardzo pyszniła się swoim ślubnym mężem, w łóżku starała się go rozkrochmalić, tak żeby opowiedział jej wszystkie swoje świńskie sekrety, tak jak to bywa ze starszuchami. Miał czterdzieści pięć lat, a wydawał mi się Noem. Rozkrochmalony, wpadał w histerię i pchał się z pocałunkami do mojej cipki; udawał nowy przypływ libido, a zaraz potem, chr-r-r-r, zaczynał chrapać wprost na mnie, *voilà*!

Wyobraźcie sobie, przyjaciele, ludzie z mojego pokolenia - jednego razu znalazłam na jego kalesonach długi siwy włos. A tydzień wcześniej przyjechała do nas w gości jego jakby ciocia, *signorina* Giulietta, stara wiedźma. Uwielbiała ostrygi. A żryj sobie swoje oślizgłe stwory, gap się na swoje / *lewe Lucy* i Johnny Carsona w pudełku, ale którejś nocy budzi mnie nagle jakieś pojękiwanie. *Voild*, mój stary mąż obrabia swoją jeszcze starszą ciocię w pozycji psa! Ale przedstawienie się zaczęło, można się zsiakać! Stałam przed nimi niczym młoda furia pokolenia buntu. Lubisz z babciami, Lux, bardzo dobrze, to ja teraz idę na ulicę i dam pierwszemu, którego spotkam. No, to dosyć o nim.

Wiem, co czują faceci, kiedy na mnie patrzą. Chcą widzieć we mnie ostatnią kurwę. Jeden

taki bogaty doktor - ginekolog oczywiście - nauczył mnie takiego pocałunku, długiego i gorącego, po prostu do samej macicy. W tamtych czasach zachwył dla mojego luksusowego ciała i mojej młodej dziewiczej duszy niemal mnie paraliżował, o jejku. I krzyczałam to, co chciałam usłyszeć: tak, jestem kurwą, jestem wielką końską dziwką!

Wyznaję wszystko Panu, jęcząc i płacząc: wybac mi, Miłosierny, Błękitnooki, te delfinie konwulsje!

Fajnie było bywać w rozmaitych snobistycznych miejscach w rodzaju Century Plaza czy Waldorff. Jebaki w białych marynarkach otwierają jedną po drugiej butelki szampana. Co się tak denerwujecie, mogę obsłużyć wszystkich po kolei; nagle sufit spada nam na głowy z takim hałasem, jakby to był koniec świata. Co się stało? A, po prostu kawałek jakiegoś chuja spadł z kosmosu i przebił wszystkie piętra.

On mi mówi: ty nie masz duszy, wyłącznie szarą substancję. Dokładnie na odwrót, powiedziałam, dokładnie na odwrót. Ciekawe, gdzie on u mnie znalazł te szare komórki. I kto to był, który to powiedział? Było w nim coś szczególnego. A Stanley Korbach jest z nich najbardziej szczególny, Wielki Wspaniałomyślny Wyrwidąb, WWW. A zresztą, oni wszyscy są szczególni. Jeden był jeszcze bardziej szczególny niż Stanley. Dziesięć lat przed Stanleyem pracowałam w firmie Pink Flamingo, która zapewniała eskortę i obsługę przyjeżdżającym do stanu Ociczornia kutasom. Tamten facet był chudy jak szczapa, mało co wyższy od mojego Piu, taki średnich rozmiarów goryl, czekał na mnie już bez spodni, za to z wielkim czerwonym interesem, który miałam „eskortować” w moją dziurę. O jejku, to był jakiś gruby łom, i kiedy zaczynał mi go wsadzać, miał na ustach taki złośliwy uśmiezek; cały czas widziałam go w lustrze. Dlaczego był dla mnie takim skurwielem i dlaczego ja to brałam? A co nam pozostaje robić z tą wielką dziurą w samym środku? Nigdy więcej nie pozwolę sobie na to, żeby być ich dziurą, myślałam. Sama będę ich drzeć. Zawładnę ich interesami i tyle. Czasami mają tyle spermy, że człowiekowi się wydaje, że wyciąga z nich wszystkie sekrety. No dobra, wyskakuj i kończ na mnie. Jeden taki rozbryzgiwał mi wszystko po całym ciele i po prześcieradle. A jeden, z najbardziej egzotycznym kutasem, jakiego widziałam - wyglądał jak jakiś rozczochny Malajczyk - zawsze zmuszał mnie, żebym połykała. Takie skurwysyny, zawsze chcą dominować. Stanley jest inny: kiedy mu powiedziałam, że chyba mi zrobił dziecko, był taki szczęśliwy, że tańczył ze mną całą noc, jakbym była jakąś gwiazdą ze starych filmów. Powiedziałam mu, że to będzie chłopczyk, a on na to, w takim wypadku ożeni się z tobą, będziesz Mrs Korbach. No,

czego od nich chcecie? Oni się nie uspokoją, dopóki nie zrobią ci brzucha, tak że puchniesz jak słoń czy jak nie wiem co jeszcze.

*Jesus jake*, dziecko okazało się czarne, ogromny czarny Murzynek, Klemens, do usług! SK był oczywiście za granicą, w tej plugawej Rosji, gdzie by indziej. Kiedy po miesiącu wrócił, przede wszystkim przeleciał mnie pod schodami trzydzieści trzy razy kolejno we wszystkich futrach. Potem pozarliśmy się o politykę, no wiecie, w kółko ta Russia, Russia, potem dał mi prezent, zbiorek wierszy Mr Byrona i trzydzieści trzy komplety kremlowskiej biżuterii, no a potem wrzasnął: gdzie mój chłopczyk, gdzie Klemens? Pocałował niewinne Murzyniątko i powiedział nie po naszymu: *Que grand tu est!* Popatrz, Bernie, krzyczy, wypisz wymaluj ja! To mój pierwszy syn! Miałem cztery córki, Bernie - tak jakbym nie znała tych suk! - a syna jeszcze nigdy! Ale popatrzże na niego dokładniej, mówię, nie widzisz, jakiego jest koloru? A jaka mi różnica, jakiego koloru jest człowiek, on na to. Twój murzyński gen, Bernie, okazał się dominujący. O czym ty mówisz, do diabła, pytam. Okazało się, że Fuchs i jego przybłędy wyliczyły, że mam 1/32 część krwi murzyńskiej. No, to już, jak to się mówi, wszystko mi opadło.

W ciągu ostatnich paru lat miałam nie więcej niż sześciu Murzynów, no, może ośmiu. Jeden był fabrykantem obuwia, lubił buty. A ja lubiłam się rozbierać do naga i ciupciać się z nim kompletnie ubranym, w teksaskich butach z inkrustacjami. A jeszcze inny był muzykiem, wirtuozem. Grał na swoim klarncie jak anioł, a ja grałam na jego drugim klarncie jak demon. Czasem zaczynałam nawet ziewać z nerwów. Proszę, Vint, skończ z tym graniem, w końcu jesteś z kobietą. Nie pamiętam, czy to on, czy ktoś inny przyniósł mi książkę jednego takiego Francois. W tej książce kobieta urodziła dziecko uchem, bo wypadły jej wszystkie flaki. A nie, to Ławski mi przyniósł. *Wow*, pamięci, przypomnij mi, jak to Ławski pił szampana z mojego pantofla! Zamiast tego pamięć podsuwa sutki. Kto obchodził się z nimi równie czule jak Mel? Zmuszał je, żeby sterczały, i mruczał nad nimi jak kot z lwią grzywą.

Wszyscy mówią „wielki, wielki”, a proszę, jaki płomień wdmuchiwał we mnie od tyłu mój maciupci generał. To prawda, na dole jeszcze mój Matt się trudził, podczas kiedy ten azjatycki diabeł ujeżdżał mój zad, och-och, spuszczam się co pięć minut, a tu jeszcze ten węgierski włóczęga czeka na swoją kolejkę. Ławski, a ty gdzie, czemu nie przyłączysz się do kompanii? Co za dumny skurwysyn!

A Mr Lux, który dał mi moje klasyczne nazwisko, wałnął tymczasem w kalendarz. Jego ostatnia małżonka, podstarzały pedał, przyniósł mi kasetę z jego głosem, nagrany na łożu śmierci.

Wyliczał, co zostawia w spadku mnie, którą nazywał „zerwanym przeze mnie kwiatuszkiem”: srebrny serwis do kawy, mahoniowy bufet i maciupciego chihuahua, który już pierwszej nocy wlaźł pod kołdrę i zaczął mnie lizać w lechtaczkę.

W ostatecznym rozrachunku już w wieku piętnastu lat wiedziałam o facetach to wszystko, czego większość dam nie wie nawet wtedy, kiedy stuknie im pięćdziesiątka. I faceci wiedzą to od razu, jak tylko na mnie spojrzą.

Kiedy byłam mała, oddałabym życie za *blancmange* z konfiturą z czarnej porzeczeki. Moja mamuśka, Mrs Fief, cały czas sobie tym dogadzała, i mnie też się coś niecoś dostawało. Filozoficznie mówiąc, nałykałam się ja słodczy w moim życiu! I wtedy Jock the Cock zaczął do mamci przychodzić. Od czasu do czasu skrobie po nocy w drzwi, jak żebrak za kromką chleba. Sierżant Fief z latarką w jednej ręce i pogrzebaczem w drugiej poszedł przegonić szczura, a wyciągnął takiego „alternatywnego” ze stanu Ocziczornia: metalowe okulary, na głowie cylinder, taki niby krytyk reżimu, a z przodu interes zrobił mu namiot ze spodni. Jak tylko na niego spojrzałam, zrozumiałam, że są na świecie rzeczy słodsze niż *blancmange* z konfiturą z czarnej porzeczeki.

Boże miłosierny i kochający, mam nadzieję, że przynajmniej w grobie spłynie na mnie spokój!

Za parę lat ten hippie przyszedł już w nienagannym garniturze i nie do mamci, a do mnie, i dawaj kopać moją grządkę, i kopie, i kopie, a ja cały czas udaję, że to niby nie ja, tylko jakaś inna dziewczynka, a ten tymczasem patrzy na mnie z góry przez okulary i gada o Spinozie.

Jakoś raz przyszedł mi do głowy pomysł, ale taki, że usiadłam. Dlaczego nie kobiety miałyby rządzić tym światem? Mocne, hojne baby? Podobno w Rosji przez cały wiek osiemnasty panowały kobiety. Wybierały sobie gwardię, stroiły całe wojsko w obciste spodnie. Ktoś powie, że ze mnie po prostu nimfomanka, a ja odpowiem, że jeśli cesarzowa jest ciupciana dwadzieścia razy na dobę, to zyskuje na tym cały naród.

Wierście albo nie, ale ja całe życie marzyłam o księciu, który zaspokoiłby wszystkie moje potrzeby. I wreszcie się zjawił Stanley Franklin Korbach, skurwiel i *motherfucker*. Język ma długi na siedem mil, a penis ogiera jeszcze dłuższy, w każdym razie ze mną, i czeka wypisywał mi stosownych rozmiarów. Wchodziłam z tymi czekami do modnego butik i nikt już nie chichotał za moimi plecami. Tak oto rozwinął się we mnie wyrafinowany smak. Pewnego razu zaprasza mnie do brazylijskiej, zdaje się, ambasady na przyjęcie. Hej, Stan, pytam, a jakbym tak

przypięła sobie tu białą różę? No oczywiście, odpowiada, któż jeśli nie ty miałby nosić symbol czystości? Wiesz, powiadam, chciałabym, żeby całe to miejsce, no, znaczy życie, było usłane białymi różami. No więc niech będzie sobie usłane, tak jak chcesz, mówi. Być może, Bernie de Lux, rzeczywiście jesteś największą kurwą na tym przyjęciu, ale nikt z obecnych nie ma prawa rzucić w ciebie kamieniem: znam ich wszystkich od strony działalności finansowej. Wszyscy się boją, że trafią do piekła, bo mają nieczyste sumienia, a twoje sumienie, Bernie, jest jak biała róża, nawet jeśli znajduje się ona nieco z boku twojego ciała.

Kiedyś leżeliśmy razem z nim na skraju gigantycznej przepaści pośród rododendronów. Było to na wyspie Krym, na Oceanie Indyjskim, zdaje się. Wschody i zachody następowały tam kolejno po sobie co pięć minut. I drzewa figowe były całe w kwieciu, i małe miasteczka o różowych, błękitnych i żółtych domach stały pośród jaśminu i geranium, i białe róże spływały po zboczach wzniesień niczym burzliwa rzeka. Przycisnęłam mój biust i wzniesienie do jego piersi i genitaliów i wyszeptalam: tak, tak, będę, tak, tak, jestem, jestem twoją drugą połową, ale nie chcę umierać przedwcześnie. I on powiedział: *go ahead*, biała różo, urodź je, tak, tak, *gol*

Nigdy nie czułam się bliższa ojcu niż w styczniu osiemdziesiątego siódmego, kiedy niczym Odyseusz błądził pośród swojego ontologicznego archipelagu. W odróżnieniu jednak od Odyseusza był równocześnie i marynarzem, i morzem. Przychodziłam do jego izolatki i długo siedziałam przy łóżku, bezmyślnie przysłuchując się temu, co szeptał w farmakologicznej malignie. Od czasu do czasu przenikała mnie myśl, która obraca wszystko w popiół. Wydawało mi się, że w swojej tajemnej podróży mój wszechmocny *daddy* może w każdej chwili przekroczyć próg, zza którego nie ma powrotu. Było to jak gdyby przybliżenie się na moment do czegoś bezpowietrznego i beczasowego, coś, czego doświadczyłam później na orbicie. Nikomu o tym nie mówiłam, nawet Saszce. Starłam się tylko nie przepuścić ani jednej okazji, by odwiedzić ojca na oddziale urologicznym. Z okna otwierał się widok na dachy i korony drzew Foxhall Palisades. Za nimi zapierające dech wirgińskie zachody zmieniały kolory i formy podświetlonych obłoków. O, te wirgińskie zachody, powiedziałaby idol Saszki, Mikołaj Gogol. Jakież ptak nie padnie martwy z zachwytu na ich widok? Można było przyjąć, że rozpościerają się one nad niezbadanym oceanem, nad nieodkrytymi jeszcze wyspami, ale z całą pewnością nie nad nie kończącymi się zamieszkałymi obszarami Ameryki, z ich przestrzegającymi przepisów obywatelami, tymi ciotkami i wujami, jak nazywał ich złośliwy moskiewski błazen.

Katolicka siostra Elizabeth zaglądała od czasu do czasu do pokoju i uśmiechała się do mnie subtelnie. Zaczęłam wsłuchiwać się w ledwie dosłyszalne mamrotanie i szepty ojca, usiłując wyłowić z nich choćby źdźbło jakiegoś sensu. Przyniosłam też mikroskopijny dyktafon i w domu wielokrotnie przesłuchiwałam zapis, aż wreszcie zrozumiałam, że podróżuje on w rejonach odległych od jego życia. Mówił o człowieku imieniem Kor-Bejt, co po hebrajsku oznacza „chłodny dom”.

W dawnych czasach Stanley parokrotnie bez większego sukcesu próbował opanować język naszych praojców. Teraz byłam oszołomiona, że z jego podświadomości wypływał czysty, biegly hebrajski. Próbowałam sama rozszyfrować te zapiski, szybko jednak zrozumiałam, że to ponad moje siły i zaniósłam taśmę do mojej przyjaciółki, Claire Rosenthal z katedry historii żydowskiej w Pinkertonie. Tak czy inaczej, zrozumiałam, że człowiek imieniem Kor-Bejt był kimś w rodzaju garbarza w małym nadmorskim miasteczku. Był właścicielem przedsiębiorstwa składającego się

z garbarni, magazynu i sklepu wyrobów skórzanych. Ciarki biegały mi po plecach, kiedy Stanley zaczynał rzeczowo wyliczać skóry różnych typów, rozmiarów i jakości i podliczać pieniądze w starych hebajskich denominacjach, wszystkie te assarie, drachmy, didrachmy, szekle, statiry, dinary i talenty. Te inwentaryzacje i rachunki stanowiły przeważającą część moich nagrań, czasami jednak zdarzały się urywki zdań skierowanych do innych osób: członków rodziny, służby, a raz mignęło coś w rodzaju wezwania poborcy podatków.

Czasami w to starożytne mamrotanie wcinał się płynny opis jakiegoś pejzażu po angielsku: było tam i „oślepiające morze”, i „dzikie róże na ścianach twierdzy”, i „wijąca się ścieżka”.

Pewnego razu Nora zastała ojca nie w położeniu horyzontalnym, jak zwykle, a siedzącego w pościeli, podpartego stosem poduszek. „Hej, *daddy!*” - wykrzyknęła. - „Dziś z tobą w porządku, zdaje się?” Była prawdę mówiąc nieco rozczarowana, że skończą się wycieczki w przeszłość. Nie odpowiedział nic, i zrozumiała, że nie widzi i nie słyszy jej słów. W tym momencie w kącie pokoju pojawiła się jakaś zgarbiona postać; był to starszy lokaj Enoch Aghast. „Cały czas pan tu był?” - spytała.

Skinął głową i wskazał swoim długim palcem: siadaj i milcz!

Na chwilę pojawiła się siostra Elizabeth. Uniosła czajniczek z długim dzióbkiem ku suchym wargom Stanleya. Grzecznie odsunął napój i podniósł dłoń, jak gdyby skromnie prosząc o uwagę. Zakonnica, przeżegnawszy się w kierunku krucyfiks, opuściła pomieszczenie.

Stanley był jeszcze z Kor-Bejtem, teraz jednak przeszedł od liczenia skór do ważnego zdarzenia historycznego, a mianowicie do zburzenia Pierwszej Świątyni. Tym razem widział ulice Jeruzalem i swojego garbarza w tłumie jeńców, pędzonych w niewolę babilońskimi biczami. Ogłuszające odgłosy uderzeń tych ogromnych knutów. Nagle usłyszałam „klik-klik”; to papa włączył telewizor pilotem. W jego oczach zamigotali Dolphins z Miami i waszyngtońscy Redskins. „Jak nie zmienią obrony, nie mają co liczyć na sukces. Manny Brown i Bennie Fields powinni być kategorycznie zastąpieni!” - powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem. Mój niepoprawny tatuś!

W ciągu paru następnych dni o mało nie zwichnęłam sobie mózgu, rozmyślając o swoich nagraniach. Co to było: zwykle bredzenie, spowodowane intoksykacją? W takim razie skąd tam się wziął starożytny hebrajski? Zadzwoiłam do Lionela Fuchsa do jego ośrodka genealogicznego i spytałam, czy w rodzie Korbachów byli jeszcze jacyś garbarze oprócz Gedalego z Warszawy, mojego praprapradziada. Co tam mówią wasze komputery, Lionel? Przez

jakiś czas milczał, stękał jedynie, zupełnie jakby jakaś męka dręczyła jego duszę. Mam garbarza, powiedział w końcu, ale tak daleko, że nie mogę o tym mówić i nie powiem pani, Noro, ani słowa o tym człowieku. Ależ dlaczego, na Boga, wykrzyknęłam. Dlatego, że mimo wszystko jestem marksistką, a zatem i materialistką w dziesiątym pokoleniu!

Któregoś dnia zadzwoniła Claire Rosenthal. Okazało się, że wytrwale zajęła się moimi tekstami i życzy sobie kontynuować „badania”. Należała ona do typu kobiet-naukowców, który dzieli wszystkie ludzkie sprawy na dwie kategorie: projekt i badanie. Przypuszczam, że nawet romantyczną randkę klasyfikują one jako projekt, zaś bara-bara jako badanie. Zaproponowała, żebyśmy spotkali się u mnie w celu przeprowadzenia niewielkiego badania. Znakomity projekt, wykrzyknęła. Wyraźnie była podekscytowana zaproszeniem ze strony „tej naszej Nory Mansour”.

No cóż, stara, powiedziała, rozłożywszy kasety i transkrypty. Przede wszystkim musimy oddzielić ziarno od plew. Wszystko albo prawie wszystko, co było tu powiedziane po angielsku, to plewy, kalka popularnych książek w rodzaju *Trop żydowskiej historii* Ruth Samuel. Nie mogę wykluczyć, że sceny z płonącą Pierwszą Świątynią, królem Nabuchodonozorem, torturowaniem Zedekiasza i tłumami Żydów pędzonych w niewolę babilońską pochodzą właśnie z tej książki. Wszystko to najwyraźniej powstało już w drodze powrotnej z otchłani, w jakiej pogrążony był twój ojciec.

Realne kawałki, jeśli można takie kawałki nazwać realnymi, powstawały w wersji hebrajskiej. Wątpliwe, czy Mr Korbach mógł zaczerpnąć z książek jakieś mgliste rozliczenia handlowe swojego przodka. Fenomen ten znajduje się poza granicami nauki i w żaden sposób nie jesteśmy w stanie go wyjaśnić. Jasne jest tylko jedno: garbarz Kor-Bejt żył w czasach o wiele późniejszych, niż zburzenie świątyni jerozolimskiej, no, powiedzmy, pięćset lat później, sądząc z nominacji pieniędzy. Jako archeolog wiesz o tym lepiej ode mnie. Najprawdopodobniej mamy do czynienia z epoką Wojny Judejskiej.

Myślę, że nie popełnię omyłki, Noro, jeśli powiem, że jako profesjonalistka myślisz teraz raczej o hipotezie archeologicznej, niż o swojej genealogii. Schliemann sporządził plan wykopalisk na podstawie utworów poetyckich, a ty możesz rzucić wyzwanie zdrowemu rozsądkowi i spróbować sporządzić plan miejscowości liczącej dwa tysiące lat na podstawie wywołanej narkozą halucynacji. W tych mamrotaniach jest sporo detali, które mogą być pomocne. Wspomniana jest na przykład głęboka piwnica i prowadzące na powierzchnię stopnie.

Jerozolimę należy wykluczyć, ponieważ gdzieś tam obok ma być morze. Nie lękam się powiedzieć, że był to jakiś skład, położony w mieście-twierdzy nad brzegiem morza. Mury i baszta, a dalej wybrzeże porośnięte dziką różą i jasnożółtymi zaroślami. Potem twój ojciec dzieli się z kimś, być może z samym sobą, pewną dziwną, poetycką, powiedziałabym, obserwacją. Widzi stadko niewielkich ptaków. Ich lot jest tak zsynchronizowany, że wydają się jednym organizmem. Stadko skręca nieoczekiwanie tu i tam, za każdym razem idealnie równo, zupełnie jakby ptaki były powiązane tajemniczymi prawami doskonałości. Wygląda to jak wyraz najwyższego ptasiego szczęścia. Jakie one są szczęśliwe, szepcze twój ojciec, każdy z nich i wszystkie razem jako jedność. Można by, rzecz jasna, pomyśleć, że widział takie stadko w swoim życiu, gdyby nie szeptał tego w starożytnym języku hebrajskim, którego nie zna.

Nora uśmiechała się, wspominając miejsca wykopalisk wzdłuż izraelskich wybrzeży: w Akko, Cezarei i Aszkelonie. Wszędzie tam była masa dzikich róż i żółto kwitnących zarośli na spadających ku morzu urwiskach. Mówiąc łagodnie, informacje wydobyte z głębin podświadomości urologicznego pacjenta były niewystarczające do rozpoczęcia naukowego cyklu badawczego, który, zgodnie z zasadami, powinien składać się z trzech elementów: hipotezy, argumentacji i uszczegółowienia. Sens nauki polega na wznoszącym się spiralnie nagromadzeniu wiedzy. Tu zagłębiamy się w mroczny świat mistycyzmu. Boże, co nas czeka za granicami powietrznego świata, myślała. Za granicami naukowych cyklów...

Tymczasem po zakończeniu robót polowych na kurhanach chazarskich w Salskich Stepach oraz całego szeregu konferencji w Atenach, Paryżu, Moskwie i Chicago skierowała się właśnie ku brzegom Izraela, by przyłączyć się do znakomitej ekspedycji Volkeruhego, która rozrzuciła swoje obozowiska między Tel Awiwem a Aszkelonem.

Ekspedycja ta została zorganizowana dwadzieścia siedem lat temu. Do dziś nazywano ją wyprawą Volkeruhego, chociaż Hans Volkeruhe zmarł przed dziesięcioma laty jako osiemdziesięciosześcioletni starzec. Nazywał siebie najszczęśliwszym kopaczem grobów na świecie - a jakże, sześćdziesiąt lat praktyki archeologicznej, nie przerwanej przez wojny. Nawet legendarny generał Mosze Dajan pracował *sous les drapeaux* natchnionego Alzatzczyka, jednak zmuszony był częściej przerywać pracę.

Tym razem Nora zdecydowała, że spędzi cały semestr jesienny w Tel-Awiwie, by następnie wrócić do Pinkertona. Władze uczelni dały jej niedawno do zrozumienia, że społeczność

akademicka rozczarowana jest jej nie kończącymi się urlopami naukowymi. Rzecz jasna, dla uniwersytetu to wielki zaszczyt, że może mieć w składzie swoich pracowników wspaniałego naukowca z nazwiskiem, „archeologa kosmicznego”, autorkę bestsellera popularnonaukowego *Higiena starożytnych*, wybitną przedstawicielkę wykształconych, postępowych kobiet amerykańskich, a do tego jeszcze członkinię „klanu Korbachów”, o którym nieustannie pisze się w gazetach, niemniej społeczność ta chciałaby częściej widzieć ją na terenie kampusu w charakterze uczestnika procesu dydaktycznego oraz wewnątrzuniwersyteckiego rozwoju. Wobec tego solennie obiecała wrócić na wiosnę, i to na długo. Miesiące jesienne były jej potrzebne, by zakończyć cykl prac polowych, uporządkować znaleziska i wybrać materiały do katalogów, które będą stanowić element jej fundamentalnej pracy na temat szlaków karawanowych Żyźnego Półksiężycy. Trudno było znaleźć do tego celu lepsze miejsce niż ekspedycja Volkeruhego, pod której egidą prowadzono wykopaliska równocześnie w różnych miejscach i na różnych poziomach, poczynszy od 2000 roku p.n.e., a skończywszy na epoce wypraw krzyżowych.

Zgodnie ze współczesnymi metodami „przepowiadania przeszłości”, grupy uczonych z różnych krajów wyszukiwały w swoich rowach nie tylko artefakty w rodzaju grotów strzał, wisiorków, ceramiki, narzędzi rzemieślniczych, kości do gry, kukielek, fetyszy, żaren, wygarbowanych skór, ozdób z muszli, turkusowych talizmanów, statuetek, amfor, zbroi, broni, skamieniałych flakoników z perfumami i olejkami zapachowymi, szczoteczek do zębów, brązowych dzbanów do zwykłego mycia i do rytualnych ablucji, ale także tak zwanych eko-faktów, jak na przykład ziaren, pyłku kwiatowego, kości pozostałych po zjedzonym mięsie, kaczanów kukurydzy, orzeszków cedrowych, piór, rogów, insektów, kryształków kwarcu, skór węży, trzciny, żył, ślimaków, ekskrementów - innymi słowy, wszystkiego, co mogłoby być poddane technice określania wieku za pomocą metody rozpadu radioaktywnego węgla i stworzenia w ten sposób obrazu paleontologicznego, to znaczy potwierdzenia albo obalenia hipotezy.

Nasz twórczy czytelnik rozumie, rzecz jasna, że wszystko to zostało powiedziane po to, by jeszcze raz podkreślić - w miarę jak zbliżamy się do zakończenia naszych kronik - że Nora Korbach-Mansour absolutnie nie była jakąś poszukiwaczką przygód ze skłonnością do powierzchownych chaotycznych plenerów; była i pozostanie poważnym archeologiem, pracoholiczką i autorką interesujących projektów badawczych. Pod egidą ekspedycji

Volkeruwego zebrała własny zespół oddanych jej mężczyzn i kobiet, a szefostwo EV zawsze odnosiło się do niej z szacunkiem, tym bardziej, że przywoziła ze sobą hojne granty.

Dość, powiedziała po spotkaniu z Alexem w jakiejś straszliwej moskiewskiej speluncie. Wyglądałam tam z tym młodym chujkiem, „blond bestią”, jeszcze bardziej absurdalnie, niż Saszka ze swoją baby o wzroście koszykarki. Głupio, staromodnie i histerycznie. Każdy wiek powinien mieć własną partyturę. Mając czterdzieści sześć, powinnaś być przede wszystkim profesjonalistką w swojej pracy, a poza tym nie zapominać o obowiązkach macierzyńskich.

Odstąpiwszy od swoich „polowych” nawyków, wynajęła tym razem w Tel-Awiiwie trzypokojowe mieszkanie o dwie przecznice od esplanady. W towarzystwie swojej irlandzkiej niani przybył czteroletni Philip Jazz Korbach. Przede wszystkim zainteresował się, czy są tu „urządzenia rekreacyjne”, mając najwyraźniej na myśli plac zabaw. Nora poprowadziła go w kierunku zachodnim i kiedy po przejściu dwóch przecznic ukazała się ich oczom Esplanada, ogromna piaszczysta plaża i nieogarniony przestwór Morza Śródziemnego, spytała:

- Czy tego typu urządzenia rekreacyjne zadowolają cię?

- *Quite* - odparło dziecko z irlandzka.

Pewnego razu Nora usiadła za kierownicą i pojechała na południe, do Aszkelonu. Nad Ziemią Obiecaną królował łagodny poranek. Nic poza prognozami pogody nie zapowiadało zbliżania się złowrogiego chamsinu. W otwartym volkswagenie rozkoszowała się każdą nutą izraelskiej uwertury: bryzą, która rozwiewała jej włosy, uśmiechniętymi twarzami wielonarodowego żydowskiego tłumu, lekkim kołysaniem palm, rykiem jumbo jetów, kończących transoceaniczne rejsy. Chciałabym zawsze jechać tak nad wielką wodą, która nie potrzebuje wykopalisk archeologicznych, by potwierdzić swoją więź z tysiącleciami historii: od milionów lat kołysze się tu i pieni. Dziękuję ci, morze, za to, że wiecznie omywasz moje libido i bijesz w brzeg u podnóża Jaffy, gdzie Andromeda została przykuta do skały i oddana morskiemu potworowi, by ją codziennie gwałcił. Jeśli to nie byłam ja, to kto? Jeśli nie ja, to kto czekał na Perseusza, który kopią przebił potwora i mieczem rozrąbał moje łańcuchy?

Przy całej zadziwiającej różnorodności Izrael jest krajem niewielkim: niespełna godzina jazdy i już człowiek wjeżdża w park narodowy Aszkelonu. Drżą na wietrze ekaliptusy, palmy i cedry, woń benzyny i paliwa do diesla rozplynęła się bez śladu, twój własny przesycony tytoniem oddech się nie liczy. Przejechała obok zburzonych murów Ryszarda Lwie Serce, obok odrestaurowanego antycznego amfiteatru z afiszami niedawnego koncertu rockowego, obok

zdekompletowanych kolumn greckiej agory i rzeźb rzymskich łaźni. Wszystko to stało się obecnie atrakcją turystyczną, niemniej pamiętała niezwykle wzruszenie, jakie ogarnęło ją i jej przyjaciół, gdy w jednym z rowów natrafili na prawie nietkniętą przez czas figurkę Nike.

Od tego czasu archeologowie z ekspedycji Volkeruwego przesunęli się bliżej ku morzu, gdzie, zgodnie z najnowszymi hipotezami, jeszcze w czasach króla Dawida znajdowało się żydowskie miasto-port, punkt końcowy wielkiego szlaku karawanowego. Właśnie tam zostawiła dwa miesiące temu swoją grupę. Pod kierunkiem jej zastępcy, Davida Rexa, ludzie mieli wykopać szyb o głębokości czterdziestu stóp, a jeśli niczego tam nie znajdą, przesunąć się jeszcze bliżej ku morzu i znowu kopać.

Nie znalazła swoich tam, gdzie spodziewała się ich zastać. Na jej drodze pojawiały się jakieś otoczone płotami szyby i transeje, i były jak sklecone dachy nad najcenniejszymi obiektami, ale nie wiadomo dlaczego nie widać było ani żywej duszy: nikt o tej porze nie pracował w wykopach, nikt też nie spał w cieniu. Co najmniej pół godziny krążyła po spalonych słońcem, niebrukowanych drogach, których sam widok wywoływał w niej wzruszenie, jako że nie zmieniły się specjalnie przez ostatnie trzy tysiące lat. Ze szczytu jednego ze wzgórz zobaczyła namioty i zdecydowała się podejść do nich piechotą. Morze oślepiło ją na mgnienie, kiedy wyszła z auta. Poryw suchego wiatru wionął jej włosami w kierunku morza. Tu, o sześćdziesiąt kilometrów od Tel Awiwu czuło się już oddech pustyni. Ruszyła ścieżynką wspinającą się ku podnóżu zrujnowanej twierdzy krzyżowców.

Pod murem ścieżka zaczęła to spadać w dół, to wspiąć się na zarosłe diuny. W którymś miejscu zobaczyła oplatające surową cegłę dzikie róże i gęszcz zarośli o jasnożółtym kwieciu. Przeniknęło ją to, co we współczesnym języku nazywa się po francusku *deja vu*. Tysiące podobnych miejsc rozsypanych jest po wybrzeżu Kanaan, ale właśnie tu stanęła jak wrośnięta w ziemię. Niedaleko widniał kwadratowy otwór wejścia do jakiegoś archeologicznego wykopu, najwyraźniej porzuconego przez którąś z wcześniejszych ekspedycji z powodu braku danych, mogących potwierdzić czyjąś hipotezę. Nie myślała jednak o tym, nie pamiętała nawet o nagraniach, jakie sporządziła przy łóżku ojca, nad którymi łamały sobie głowę z Claire Rosenthal. Po prostu poczuła nagle, oszołomiona, że czas się zatrzymał. I w tym nieruchomym momencie pojawiło się stado ptaków. Przeleciało nad nią w milczeniu i wykonało ostry zwrot - wszystkie razem, setka szpaków. Zawróciły, wszystkie jak na komendę, przeleciały nad jej głową i znowu zawróciły, by ulecieć, i znowu zawróciły, i znowu uleciały, i znowu zawróciły, i trwało

to do chwili, dopóki sam moment nie uleciał, dopóki Nora nie pojęła, że wciąż jeszcze jest żywa, że siedzi na kamieniu, że mruży oczy od słońca, że znajduje się na powierzchni Ziemi, nad warstwami kulturowymi, które przykrywają Kor-Bejt, dom jej odległych przodków.

Ubliżając się do finału obszernej pracy, w gruncie rzeczy kończąc jej przedostatnią część, powieściopisarz nieuchronnie upodabnia się do kwoki, która usiłuje zgromadzić całe swoje stadko, włącznie z brzydkimi kaczątkami. W baśniach zakłada się, że brzydkie kaczątko wyrastają na wspaniałe łabędzie; niestety, w powieściach bywa dokładnie odwrotnie. Niektóre postaci, pomyślane jako wspaniałe typy literackich bohaterów, mogą się skurczyć do całkowitej nieważności, kuśtykającej na krzywych łapkach. Na szczęście, nic podobnego nie *zagraża* byłemu mężowi Nory, którego spotykamy w końcowej fazie naszych kronik w znakomitej formie, jako czterdzie-sto-i-coś-tam-letniego redaktora naczelnego wpływowego liberalnego dziennika w stolicy jednego z prozachodnich krajów arabskich.

Omar Mansour - nawiasem mówiąc, wszyscy pracownicy redakcji, podobnie jak cała polityczna i kulturalna elita stolicy, nazywali go obecnie Anwarem Szaabani - pojawia się w tym poświęconym osobiście jemu rozdziałiku, siedząc w swoim obszernym gabinecie, położonym na dużej wysokości w jednym z drapaczy chmur stojących w centrum miasta, i mając przed oczami wspaniały widok na historyczną zabudowę, w tym na smukłe minarety, kopuły starych meczetów i ogromny, odrażający pomnik rządzącego aktualnie prezydenta. Jego jasnoszary garnitur, uszyty na zamówienie u osobistego krawca na ulicy Victora Hugo (*Paris, 16-ieme arrondissement*), wspaniale uwzględnia wszelkie niuanse jego atletycznej sylwetki. To samo można powiedzieć o jego skarpetkach i butach: idealnie odpowiadają jego kostkom i wszystkim dwunastu palcom jego klasycznych nóg.

Choćbym nie wiem ile pracował, nigdy nie będę mógł pozwolić sobie na takie szmaty, myśli Henri-Claude Metz, dziennikarz z wiodącej gazety francuskiej, który siedzi obecnie z dyktafonem przed naszym bohaterem, pozostającym nieco w cieniu, bez względu na swój tak oczywisty blask. Wypolerowany stolik do kawy pomiędzy nimi przypomina skamieniałość jakiejś mitycznej szarańczy. Dziennikarz przybył tu z zadaniem specjalnym. Dziennik, „Al-Passawar”, jak również jego naczelny, byli przedmiotem licznych dyskusji w światowych centrach prasowych. W odróżnieniu od wielu innych - prościej będzie powiedzieć: w odróżnieniu od wszystkich pozostałych - istniejących w tym kraju środków masowej informacji, znajdujących się pod pełną kontrolą twardej, nawet jeśli prozachodniej władzy, „Al-Passawar” demonstrował

dużą niezależność, bardziej liberalne podejście do kultury zachodniej, a nawet pewne subtelne niuanse, jeśli chodzi o stanowisko w tak delikatnym przedmiocie, jak Izrael. Tę swoistą pozycję wiązano z osobą redaktora naczelnego, którego traktowano w Paryżu jako *comme il faut*.

Henri-Claude Metz był asem politycznego wywiadu dziennikarskiego. Znał prawdziwe nazwisko Anwara Szaabani. Znał też jego eks-małżonkę. Jakies dziesięć - dwanaście lat temu zadawał się w elitarną bohemą Lewego Brzegu i był obecnie przekonany, że na wielu spędach stał w pobliżu tego przystojnego Araba, mówiącego po francusku bez śladu obcego akcentu. Pamiętał nawet, jak niektórzy ludzie wymieniali wieloznaczne spojrzenia i uśmieški wtajemniczenia za jego plecami. Było jasne, że pamięta to również Szaabani.

- Przepraszam, Metz - powiedział, opuszczając *monsieur* w stylu tamtych dni. - Pańska twarz przypomina mi pewną osobę, którą znałem dość blisko parę lat temu.

Henri-Claude uśmiechnął się.

- Idę o zakład, że chodzi o Aleksa Korbacha. - Potarł lekko wspaniałą łysą czaszkę.

Popatrzyli na siebie badawczo i uśmiechnęli się równocześnie, w milczeniu zgodziwszy się nie rozwijać tego tematu.

W tym momencie do gabinetu weszło dwóch młodych otyłych asystentów ze świeżymi szpaltami w rękach. Szaabani przeprosił Metza. Mamy tu pilną robotę, pięcioro ludzi pracuje nad tym tekstem w sąsiednim pokoju. Szybko zrobił parę poprawek i wymienił parę gardłowych arabskich zdań ze swymi podręcznymi.

- Czy mogę spytać, skąd ten pośpiech? - zainteresował się Metz.

- Jasne, jasne - odparł naczelny. - Przygotowujemy replikę dla „Jerusalem Post”, która nietaktownie zaatakowała naszego prezydenta w związku z jego wypowiedziami na tematy jądrowe.

- A jakiego rodzaju poprawki pan wniósł, *monsieur* Szaabani? - spytał Francuz.

Naczelny natychmiast zrobił kserokopie szpalt i podał je Metzowi, po czym odprawił swoich podkomendnych. Metz popatrzył na arabski tekst. Nie był zbyt mocny w arabskim, niemniej wychwycił, że słowo „świnie” zostało przekreślone.

Omar patrzył na gościa z grzeczną gotowością, by wyjaśnić mu wszystko, czego sobie będzie życzył. Te kurwy, myślał. Nigdy nie traktują mnie poważnie. Nigdy na serio nie przyjęli mnie do swojego towarzystwa. Skurwysyny, zawsze wymieniali się spojrzeniami za plecami moimi i Nory, zupełnie jak tamte kurwy, dworzanie Mikołaja Pierwszego w Sankt-Petersburgu

wymieniali się spojrzeniami za plecami Puszkina i jego żony. Popatrzcie na nią, mówili bez słów liberałowie i marksiści, ona śpi z Arabem. Kobieta z naszej sfery żyje z tym zasranym arabskim przystojniakiem. Całkiem jakbym był jednym z tych tłustych saudyjskich szejków! Kurwy, pierdolone oślizgłe żydowskie pismaki!

- Chcę, żeby moi ludzie nauczyli się operować nowym językiem - powiedział. - Wciąż używają zbyt silnych wyrażen pod adresem Izraelczyków. Bracia, mówię im, obniżcie temperaturę o parę stopni! Niepotrzebnie nadajecie im ważność, na którą nie zasłużyli. W końcu Izrael to tylko jeden z niewielkich krajów Bliskiego Wschodu. Niewart, by przeciwstawiać go wiodącym siłom cywilizacji arabskiej. Nauczcie się mówić o nich wyrozumiale.

- Wyrozumiale? - upewnił się Metz.

- Tak. Wyrozumiałość to pierwszy krok ku lepszemu wzajemnemu zrozumieniu. Na przykład. - Dwoma palcami ujął szpalty i potrząsnął, jak gdyby chcąc strząsnąć z nich jakiś płyn.

- Czyta pan po arabsku, Metz?

- Nie na tyle, żeby ocenić cokolwiek bez pomocy tłumacza - odparł dziennikarz.

- Jest pan o tym przekonany? - Omar (Anwar) wybuchnął wyjątkowo życzliwym śmiechem.

- Niech pan przestanie, Szaabani, przecież mnie pan zna - powiedział sucho dziennikarz.

I dodał: - I ja pana znam, *cher monsieur*.

Anwar (Omar) przestał się śmiać.

- *Okay*, grajmy zgodnie z zasadami. Chcę po prostu dać panu dobry materiał do pańskiego artykułu. Wie pan, moi ludzie przygotowali brudnopis listu otwartego do redaktora gazety żydowskiej w związku z jej jadowitymi atakami na naszego prezydenta. No i piszą: „Gazeta ta prezentuje ten sam poziom, co i świniopodobni izraelscy liderzy z ich śmierdzącą jak faszerywana ryba bezczelnością”. Słuchajcie, chłopaki, mówię, możecie odrzucać angloamerykańską kulturę, ale jest coś, co powinniście z niej wziąć - zasadę niedopowiedzenia. Jedno trafne słowo może przynieść więcej pożytku, niż wszystkie wasze wściekłe inwektywy. Dlatego wykreślamy „świnie” i „faszerywaną rybę”. Gołe słowo „bezczelność” zrobi lepszą robotę. Dalej piszą: „Naczelny «Post» to tęp, bezczelny, agresywny, brudny syjonista”. Opanujcie się, chłopaki, mówię, nie słyszeliście, że nadmiar przymiotników może zabić zdanie?

Cały ten dydaktyczny monolog Omar wypowiadał tak, jakby to właśnie Francuz był odpowiedzialny za treść tego ważnego tekstu. Coś hipnotycznego było w jego głosie i starannej demonstracji paru powolnych gestów, nawet w jego długiej lewej nodze, która wykorzystywała

prawie kolano jako punkt oparcia w swoim pełnym przekonaniu kiwaniu się. Henri-Claude złościł się na siebie samego. Co ja tak cały czas przytakuję tej gadule? Naturalnie, dziennikarskie przytakiwanie głową ma podpuszczać mówiącego, zachęcać do wyłączenia hamulców, sprawić, by wymknęło mu się jak najwięcej lapsusów, tym razem jednak nie wiadomo właściwie, kto kogo podpuszcza.

Naczelny mówił dalej:

- Tekst brudnopisu głosi: „Z brudnymi syjonistami stanie się to samo, co z żądnymi krwi krzyżowcami: znikną z naszej ziemi. Wrócą do swojego śmierdzącego getta, do Warszawy, Budapesztu i Odessy”. Itepe, itede. Usuwam obraźliwe epitety i zmieniam ten manifest nieprzejednania w zwykłą frazeologię liberalnej gazety.

- Liberalnej? - upewnił się Metz.

- Naturalnie - potwierdził Szaabani (Mansour). - Jeszcze jeden przykład. Młody rozpalony umysł nazywa naszego oponenta żydowskim zasańcem; po mojej poprawce staje się on syjonistycznym zadkiem. Chwyta pan różnicę?

- Nie, nie chwytam - wzruszył ramionami Metz.

Przez parę sekund patrzyli na siebie w milczeniu. Ciekawe, myślał Omar, czy ten Żydek spał z moją Norą, jak wszystkie Żydki, których znałem wtedy na Lewym Brzegu Sekwany. Dobrze wiesz, że nie, myślał w odpowiedzi Henri-Claude. Doskonale wiesz, że ją tylko uwielbiałem, podobnie jak wszyscy, których po cichu nazywaasz Żydkami. Spała tylko z niewieloma z nas i bardzo proszę, ręce precz od kobiety naszych marzeń, *s'il vous plait!*

- W porządku, Metz, przeczytam panu pełny tekst naszej redakcyjnej repliki, a pan sobie nagra na dyktafon. Jestem pewien, że zrozumie go pan prawidłowo z właściwą panu przenikliwością.

Zaczął tłumaczyć ze szpalty na angielski, z czego Metz wyprowadził wniosek, że „replika” przeznaczona jest dla publiczności międzynarodowej.

- „Ten syjonistyczny zadek ostrzega naszego prezydenta przed powtórzeniem błędów Abdel Namera w roku 1967. Syjonistycznemu *effendi* wydaje się, że Arabowie ponieśli wówczas porażkę. Nie była to jednak porażka, drogi, nieszczęsny redaktorze, tylko spisek, w którym uczestniczył amerykański prezydent Johnson. To spisek przyniósł nam porażkę, a nie armia izraelska, a dowodem na to jest rok 1973, kiedy wojska arabskie, choć mniej liczne i gorzej uzbrojone, zadały cios Izraelowi. Mówię zatem izraelskiemu dziennikarzowi: trochę pokory, oto

czego wam potrzeba zamiast nieuzasadnionej brawury. I proszę pamiętać, że jeśli Ameryka opuści was choćby na jeden dzień, popłyniecie z powrotem na zesłanie przez Morze Śródziemne wraz z setkami takich jak wy uchodźców.

A Ameryka, do pańskiej wiadomości, pewnego pięknego dnia rozpadnie się na kawałki, tak samo jak stało się to ze wszystkimi imperiami w historii świata. Pragniemy tylko, by zdarzyło się to za naszego życia. Na razie zaś radzilibyśmy panu mówić grzecznie o naszym kraju i o naszym prezydencie, jako że jest pan tylko agentem Waszyngtonu na arabskim terytorium, wasza armia zaś - oddziałem zwiadowczym armii amerykańskiej.

Proszę mi wybaczyć, mój syjonisto, jeśli zawołam na pańską cześć «MaFun Abuk», ale wasz premier to przedstawiciel Białego Domu w Tel Awiwie. Jeśli zaś chodzi o naszego prezydenta, to jest on wielkim przywódcą wielkiej arabskiej cywilizacji, a pan nie jest godzien wymawiać nawet jego nazwiska!”

Skończył czytać i spojrzał na rozmówcę poważnie i z uwagą, zupełnie jakby naprawdę chciał poznać jego opinię o tekście. Henri-Claude’a z lekka mdliło.

- „*Mal’un Abuk*” oznacza, zdaje się, „niech będzie przeklęty twój ojciec”, tak? - wydusił z siebie.

- To tylko figura stylistyczna - powiedział Omar. - Takie tradycyjne powiedzonko, coś w rodzaju formuły dementi. Mam nadzieję, że rozumie pan podtekst naszego przesłania skierowanego do kolegów izraelskich. Powinni oni zachowywać się z mniejszą wyniosłością w stosunku do wielkiej cywilizacji arabskiej. Ogromna część problemu, nawisem mówiąc, polega właśnie na wyniosłości i arogancji. Tak czy inaczej, już od czasów praojca Abrahama oni przychodzili i odchodzili, a my zostawaliśmy na naszej ziemi. W zasadzie byliśmy tu nawet przed Abrahamem, a Izmaela przyjęliśmy, bo jego matka pochodziła z naszego rodu.

Metz wzruszył ramionami i zaproponował zmianę tematu:

- Czy mogę spytać, Mansour, och, przepraszam, Szaabani, jaki jest pana stosunek do fatwy?

Redaktor odpowiedział nie od razu; najpierw zaproponował Francuzowi piwo z lodówki.

- Wiem, Metz, że ten sukinsyn Rushdie stał się papierkiem lakmusowym służącym do testowania liberalizmu. Ale przecież widzi pan i wie pan, że nie jestem takim znowu zajadłym muzułmaninem. Jego bluźniercze teksty są dla mnie odrażające, ale w ogóle wolałbym zostawić tę sprawę do rozstrzygnięcia Bogu w dniu Sądu Ostatecznego. W tym kontekście interesujące jest odnotować jego zderzenie z wozem do odsysania szamb w czasie podróży po Australii. Jeśli

chodzi o moje zdanie, fatwa już się dokonała.

Roześmiał się. Najwyraźniej był zadowolony z tej nieoczekiwanej znalezionej metafory i Henri-Claude lekkim śmieszkiem wyraził uznanie dla jego inwencji. Gotów był wyrazić uznanie dla czegokolwiek, byle tylko wyrwać się z redakcji. Zadał jeszcze parę dość bladych pytań, zaczął się zbierać do wyjścia. Szaabani zdziwił się. Jak to, Metz, przecież zamierzałem pokazać panu dzisiaj w tej surowej stolicy parę przyjemnych miejsc w stylu zachodnim. Dziękuję, Szaabani, ale jakoś niezbyt dobrze się czuję: skutki *flu*, a poza tym wieczorem mam samolot. *Flying back to flu, Metz? Bravo, Shaabani, it's almost a pun!* Niech pan przyrzeknie, Szaabani, że zadzwoni pan, kiedy następnym razem będzie pan w Paryżu. No przecież będę tam we wtorek, Metz. *D'accord, Szaabani, pójdziemy na kolację w jedno sympatyczne miejsce, zgoda? Umowa stoi, Metz, dzięki.* To bardzo miła żydowska knajpka, Szaabani. Nie ma problemu, peptobismol mam zawsze przy sobie.

Dziennikarz nie zdążył wyjść, kiedy w gabinecie pojawiło się dwóch młodych grubasów z ostateczną wersją tekstu. Ostrożnie wskazali szefowi zdanie, które chcieli dołożyć. Omar nie wierzył własnym oczom: dokładnie to sam miał na myśli. „I klnę się imieniem Wszchemogącego, że jeśli pana spotkam, syjonistyczny panie redaktorze, to zwinę pańską gazetę w ciasny rulon i wsadzę panu w rufę, i nic panu wtedy nie pomoże!” Zaśmiał się z zadowoleniem, po czym wziął pióro i dodał: „Mam nadzieję, *dear sir*, że nie stracił pan jeszcze poczucia humoru”.

Parę godzin później do pustego, ciemnego gabinetu liberalnego redaktora naczelnego przybył z Paryża faks. Monsieur Metz stokrotnie przeproszał: we wtorek nie będzie go w mieście.

„Cytaty - to cykady”

Mandelsztam - to Montgolfier

A cytat - to cykuta,

Zaś Sokrates - to creme soufflé.

Niezbadane drogi rymotwórstwa.

Jak po kępkach, skaczesz po sylabach

I budujesz kolumnę Vendôme

Na skwerku przy jarmarcznych budach.

Przez lufcik widzisz plac spowity w mrok,  
Migawkowe zjawy smętnych klaunów mord.  
Tam błękitny, jabłkowity konik,  
Wolno wciąga tu twój „Amarcord”.

Wypij wina łyk, Apokalipso miła,  
Wyjdź na balkon, aby patrzeć w gwiazdy  
Zamiast wróżby - suchego listowia  
Stosy z szumem sypną niebiosów Bałkany.

## **Część dwunasta**

No, to dotoczyliśmy się do stanu Ocziczornia, który wklinał się swoimi rozległymi obszarami w mapę Ameryki, rozepchnąwszy Kalifornię, Oregon i Nevadę. Zaczyna się kolejny przyływ autorskiej samowoli, westchnie znużony czytelnik - i pomyli się. Polifonia hula tu u nas na całego, postacie dmą każda w swoją trąbę, co autor ma tu do gadania. Nawet sam stan Ocziczornia pojawił się u nas całkiem przypadkowo, w związku z przesłuchiwaniem starej płyty Louisa Armstronga w *jukebox* Międzynarodowego Domu Blinów: stary Satchmo z uporem rymował *Oczy czornyje* z Kalifornią. Nie zdążyliśmy się obejrzeć, a nowy kawałek ziemi już pretenduje do pełnego uczestnictwa w związku stanów, już, widzicie go, pyszni się swoją przestrzenią i swoją stolicą Las Pegas; a w ogóle, podoba nam się czy nie, stał się literacką rzeczywistością o tej zachodniej godzinie, pod wstrząsającymi niebiosami pustyni, na których rysują się kontury drzew Jozuego i sylwetki przebiegających strusi.

Co to za dziwna istota ten struś, nie porównasz go ani z orłem, ani z koniem, no i skąd wzięły się tutaj w takiej ilości? A zresztą, o tym później. Na razie powiemy tylko, że potężny, choć bezmyślny galop tych istot nadawał pustyni jakiś antyczny wygląd, aczkolwiek na horyzoncie widniały szklane wieżowce miasta Las Pegas.

A oto jeszcze jedna osobliwość, dziwaczny pojazd, skręcający ze zwykłej, prostej jak strzała amerykańskiej szosy w wąską wiejską drogę, wiodącą do Whistlestop, widmowego miasta opuszczonych kopalni srebra. Whistlestop tętniło niegdyś życiem, potem jednak zamarło, bo wyczerpały się pokłady srebra. Setki lat przetrwało w zapomnieniu, a potem znowu zatętniło turystami, i znowu zamarło, ponieważ wyczerpało się zainteresowanie turystów tego rodzaju kuriozami. Masowa publiczność stała się teraz wyrafinowana, dla niej tylko Vermeer, Vivaldi, brodaci półbandyci z pistoletami już się przejedli. Dziwny pojazd z uporem jednak walił ku opustoszałemu miasteczku. Był on skomponowany z dwóch mało do siebie podobnych samochodów. Przednią część stanowiła limuzyna marki Cadillac, tylną zaś - skrzynia forda explorera z tarasem zamiast dachu. Niezły gruchot, no no, pozostaje tylko zgadywać, czy na zamówienie go zrobiono, czy przez omyłkę.

Teraz o zawartości pojazdu. Za kierownicą siedział Tichomir Buriewiatnikow. Bez rytualnego nakrycia głowy i z odczepionymi skrzydłami wyglądał w tej chwili jak zwykły

amerykański obywatel, odrobinę jedynie uchylający się od odpowiedzialności karnej. Obok niego na szerokim siedzeniu usadowiło się dwóch jego przyjaciół, Mędrek i Głupek. Jeden miał uszy stojące, jak zawsze, drugiemu zwisały jak łopuchy. Jaki on piękny, ten Buriewiatnikow, myślał Głupek. Tylko jemu ze wszystkich ludzi i ptaków oddam palmę pierwszeństwa! Szkoda, że nie zawsze działa z sensem nasz przystojniak, myślał Mędrek. Wczorajsze wysadzenie bramy prowadzącej na strusią fermę mogło kosztować nas z Głupkiem ogony, a sam Tich mógł stracić wszystko, co zakopał w różnych miejscach.

W tylnej części pojazdu, to znaczy na tarasie, grało w szachy jeszcze dwóch pasażerów. Było tu dość przytulnie. Pośród z lekka nadgniłych skarbów Buriewiatnikowa lśnił ogromny telewizor. Migające barwy jego ekranu były jakby odbiciem zachodu, o ile nie zachodził efekt odwrotny. Od czasu do czasu, niczym Tamerlanowie, przebiegali po ekranie ogoleni na zero koszykarze NBA.

Szachiści nie byli do siebie podobni, chociaż łączyło ich pokrewieństwo. Jeden był nadludzki rozmiarów, drugi - w sam raz. Jeden miał na głowie obfite owłosienie biblijnego proroka, drugi w części głowowej był całkowicie goły, nie w stylu Tamerlana jednak, a raczej Woltera. No, co tam bić pianę: byli to Stanley i Alex Korbachowie.

- No, poddawaj się, kuzynie - powiedział Stanley.

Nie mogę - odparł Alex. - Chciałbym, ale nie mogę. Nasz kraj się wali, ale my, Rosjanie, wciąż mamy mentalność zwycięzców. Opowiem ci historię z życia emigrantów. Przyjechał jeden dentysta, nie, nie dantysta, jak ja, tylko normalny dentysta, od zębów. Chce dostać Nobla w dziedzinie stomatologii. Daruje pan, mówią mu, ale takiej na razie jeszcze nie ma w przyrodzie. A to, rozumiesz, facet z tych Żydów, co to o nich krewni całe życie mówią: „Nasz Monia to geniusz!” Nie może się pogodzić z brakiem nagrody, wspina się po zębach coraz wyżej i wyżej, dostał się do korzeni.

- Nie będę zaskoczony, jeśli dostał - rzekł Stanley.

- Nie, nie dostał, ale co za rusko-żydowski charakter!

Kiedy przybyli do Whistlestop, zachód już niemal zgasł.

Nocami, choć w głębi góry nie ma już srebra, rozlewa się tu po niebie dziwny srebrzysty blask. Nad bezładem miasteczka króluje czarna dziura kopalni, do której wożono niegdyś turystów. Zaparkowawszy pojazd obok zabitej deskami poczty, nasi bohaterowie ruszyli ulicą w poszukiwaniu domu, gdzie mogliby zanoć. Wokół nie było żywej duszy, nawet koty

dawno się rozbiegły. Na opuszczonej stacji benzynowej Citgo jedynym z lekka żywym przedmiotem był automat telefoniczny. Z niezrozumiałej dla niego samego przyczyny Alex na widok aparatu zwolnił. Ileż to lat w tę szczelinę nie wpadały żadne monety, pomyślał. Ale będzie zabawnie, jeśli teraz zadzwoni. Aparat zadzwonił. Porywy pustynnego wichru wzdymały wokół wiry śmieci. Alex zdjął słuchawkę.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział damski głos. - Dzwonię z Izraela. Nie wiem dlaczego przyszedł mi do głowy ten numer z kodem rejonu, o którym, przyznam się, nigdy wcześniej nie słyszałam. Proszę mi powiedzieć, czy nie ma gdzieś tam w pobliżu człowieka nazwiskiem Alex Korbach?

- Nora - wyszeptał. - To znaczy, że to tobie śpiewała tu przez parę kolejnych godzin pustynia. Wciąż jesteś ta sama? Wciąż tak samo odwiewa wiatr twoje żydowskie loki, wciąż tak samo drżą twoje szwedzkie wargi?

- Nie o to chodzi, Sasza - powiedziała. - Chodzi o to, że znalazłam w wykopie naszego praszczura. Był zapieczętowany w naturalnym sarkofagu ze skamieniałego miodu. Musicie go zobaczyć, ty i Stanley, dopóki nie położy na nim łapy państwowe muzeum.

- Jutro wylatujemy - obiecał. - Tak bym chciał zobaczyć ciebie i naszego syna!

Ona, dzwoniąca z automatu na telawiwskim wybrzeżu, w uczuciowym pomieszeniu powiesiła słuchawkę. On w uczuciowym pomieszeniu szybko ruszył widmową ulicą obok pustego banku, w którym kukły kowbojów i bandytów jeszcze niedawno prezentowały turystom ukochaną przez miliony scenę *hold up*. Stanley z Mędrkiem i Głupkiem siedzieli na płaskiej skale. Tich z boku rozpinał tymczasem skrzydła i stroszył pióra.

- Jestem imperatorem ptaków! - wykrzykiwał. - Książ Alkonost, chan Hamayun, niezwyciężony Buriewiatnik! - Pod skałą dreptało jego audytorium, ze trzy dziesiątki afrykańskich strusi. Tyleż samo ciągnęło na spotkanie po twardej nawierzchni, która stanowiła kiedyś dno słonego jeziora.

Pora opowiedzieć obecnie, skąd wzięły się te potężne nielotne ptaki na terytorium stanu Ocziczornia, którego fauna nigdy podobnych istot nie widziała. Któryś z czytelników machnie niedbale ręką: wszystko to wymysły autora, do reszty już zgłupiał pod koniec historii o dwóch kuzynach. I znowu pomyli się taki czytelnik: strusia zagadka i jej rozwiązanie polega na tym, na czym polegają wszelkie zagadki i ich rozwiązania w naszym społeczeństwie - na pieniądzech. Pod koniec zeszłej dekady znaleźli się przedsiębiorcy, którzy postanowili zmienić afrykańskiego

mieszkańca ogrodów zoologicznych w amerykańskie domowe zwierzę hodowlane. Zgodnie z najnowszymi osiągnięciami techniki wyposażono fermę w inkubatory i zaczął się wielki biznes.

- Te sukinsyny przerabiają dumnego ptaka do ostatniego centymetra sześciennego wnętrza i kwadratowej powierzchni - gorączkował się Tich Buriewiatnikow nad połówką Smirnoffa. - Pióra, kości, części zrogowaciałe - wszystko zostaje wykorzystane! Nawet jelita do czegoś tam się przydają. Wszystkie płyny ustrojowe strusia kondensuje się do postaci tabletek. Jak to po co? Afrodyzjaki, żeby lepiej jebać! A najważniejsze jest oczywiście mięso na hamburgery. Podobno coś pośredniego między kurczakiem a cielęciną. W ten sposób, chłopaki, daję uczciwe komsomolskie słowo, cały ptak jest technologicznie przerobiony na dolary, do ostatniej komórki. No przecież to Oświęcim, bracia! Gułag naszej demokracji!

Jeszcze na samym początku swojej transformacji w ptaka Tich zarejestrował w urzędzie hrabstwa Birdland w stanie Ocziczornia organizację o nazwie Wolne Ptaki Zachodu (Free Birds of the Occident). Biorąc pod uwagę osobliwości języka angielskiego, ostatnie słowo można było traktować zarówno jako przymiotnik, jak i jako czasownik, to znaczy mogło ono być zarówno dumną proklamacją istnienia, jak i gorącym apelem o uwolnienie upierzonych istot. Drugim członkiem WPZ został Stanley Franklin Korbach, o którym zawsze można było obecnie powiedzieć, cytując klasyczne filmowe zdanie: „pamiętałem lepsze czasy”. Trzecim członkiem okazał się wkrótce nasz faworyt Aleksander Jakowlewicz, który po tym, jak wzięły w łeb wszystkie jego poczynania, uznał, że nic lepszego Fortuna podrzucić mu nie mogła.

Wy, naturalnie, nie jesteście jeszcze ptakami, bracia, powiedział im któregoś dnia Tich. Dobra, dzięki przynajmniej za to, odparł Sasza, ładując na dach furgonetki swoją niegdyś elegancką walizkę. Można tu odnotować interesujący szczegół: po porażce, jaką poniósł, wszystkie jego pierwszorzędne gatunkowo rzeczy bardzo szybko zdegradowały się do poziomu zawartości tłumoka przeciętego wagabundy. Niemniej spieszę dać wam nadzieję, powiedział Tich. Obaj, sądząc po wszystkim, macie szansę przyłączenia się do naszego stanu. Przyjdzie dzień, w którym podaruję wam po komplecie skrzydeł, zaprzysięgnę was jako ptaki i polecimy. Ku wybrzeżom Pierwotnego Zamysłu? - zainteresował się Stanley. Jak się domyśliłeś, Stan, zdumiał się Tich. Właśnie tam, ku tym błogosławionym wybrzeżom. Przedtem jednak musimy oswobodzić naszych braci i siostry z obozów koncentracyjnych stanu Ocziczornia.

Jak wszyscy bojownicy o wolność, nie znali lepszego sposobu niż materiał wybuchowy. W ciągu siedmiu srebrzystych nocy siedem wybuchów zrobiło siedem dziur w ogrodzeniach

siedmiu strusich ferm. Strusie, ujrzawszy nieograniczone przestrzenie pustyni Culihunarie, ruszyły na wolność. Została wprawiona w ruch metafizyka swobody, panowie. Już parę pokoleń tych istot zostało przerobione do ostatniego centymetra sześciennego przez stan Ocziczornia, obecne pokolenie wykazywało wszelkie cechy bydła domowego, to znaczy dreptało bezmyślnie po ogrodzonym placu, kopulowało, wydalało z wnętrzości jaja, ochoczo ruszało do ubojni, i nagle cała tradycja w jednej chwili runęła: obozowa populacja tłumnie ruszyła ku dziurom, a niewolnicze nawyki momentalnie odeszły w niepamięć. Strusie pobiegły przed siebie, przebierając potężnymi, dalekimi od atrofii kończynami, bezmyślnie jak zawsze, ale natchnione otwartą przestrzenią.

Tich Buriewiatnikow co nocy zbierał oswobodzony lud, by wygłosić do niego mowę. Wielu biegaczy przyciągały jego trąbienia, klekoty i świsty. Bywało, że zbierała się nie mniej niż setka słuchaczy. Nazywał ich „reprezentantami prowincji”. Również dziś zwrócił się do strusi z przemówieniem:

- Ptaki, swobodne dzieci eteru! - Przeoczył jakoś, że ten zwrot jest niezbyt odpowiedni w stosunku do istot nielotnych. - Nigdy więcej nie pozwolimy krwiożerczym humanoidom przerabiać nas na substancje użyteczne! Niech żyje powietrzny ocean! - Z tymi słowami rozpostarł skrzydła i pogrążył się w owym oceanie.

- Dawno go znasz? - spytał Stanley.

- Co najmniej z tuzin lat - odparł Aleksander. - Twierdzi co prawda, że jeszcze wcześniej nadzorował nasz teatr z ramienia KC Komsomołu, ale ja tego nie pamiętam.

- Nieźle nawet szybuje - zauważył Stanley. - Nie będę zaskoczony, jeśli w końcu nauczy się wzbijać w powietrze.

- Są nowiny - rzekł AJ i powiadomił kuzyna o telefonie Nory.

- Wygląda na to, że cykl się zamyka - taka była reakcja króla na wygnaniu.

- W każdym razie, jeśli potraktujemy tę powieść jako cykl liryczny - zgodził się AJ.

Rozmawiając, śledzili równocześnie Ticha, który, złożony obecnie skrzydła, chodził wśród stada strusi i o czymś je przekonywał z pasją komsomolskiego przywódcy. Ptaki tłoczyły się wokół niego, kiwały głowami, stroszyły pióra. Z ich pód przebijało ledwie wstrzymywane oburzenie.

- Powiedziałem jej, że jutro przylatujemy - AJ potarł tę część własnego karku, z której w następstwie włóczęgowskiego trybu życia zaczynał już zwisać na wpół siwy kucyk. - Tylko jak

zarezerwujemy międzynarodowy rejs, żeby nie trafić do gazet?

- Druhu mój, Panurgu, Pantagruelem i na wygnaniu pozostaje Pantagruelem. - Stanley wyciągnął z woreczka radiotelefon, którym nie posługiwał się już chyba ze trzy miesiące. Postukał weń gruzłowatym jak korzeń żeńszczenia palcem i nagle na skale rozległ się wyraźny głos Ernien Rotterdama, pilota statku powietrznego Galaxy-Korbach:

- Stanley, to ty? *Over!*

- Ernien-Pernien! - zarżał radośnie gigant. - Gdzie teraz jesteś?

- Nad Arabią Saudyjską, sto pięćdziesiąt mil od Riadu - odparł kapitan. - Wykonuję rejs na zamówienie organizacji Czarne Dzieci Mojżesza. Jestem ci potrzebny? *Over.*

- Jesteś potrzebny nam z Saszą. No oczywiście, że jest obok. Saszka, powiedz do Ernieno parę słów!

- *Fuck* ci w ślip, ty Erazmie z Rotterdamu! - krzyknął z boku Sasza i otrzymał w odpowiedzi przyzwoitą porcję przyjacielskiego świntuszenia.

- Jesteśmy na pustyni Culihunarie - powiedział Stanley. - W okolicy dawnego miasta Whistlestop. Możesz tu wylądować na dnie dawnego słonego jeziora. Musimy polecieć do Izraela.

- Zrozumiałem - zwięźle odpowiedział Rotterdam. - Zaraz sprawdzę w komputerze, kiedy będę mógł przylecieć. Trzymaj słuchawkę, boss!

Gdzieś tam nad Arabią Saudyjską kapitan Galaxy-Korbach manipulował przy komputerze, a pod skałą wymarłego miasta Whistlestop zaczęło dziać się coś nieoczekiwanego. Strusie tłumnie otoczyły Imperatora Ptaków i zagarnęły go wewnątrz własnego stada. Jego Wysokość najwyraźniej obrywał dziobami w łeb i łapami po tyłku. Żeby się uratować, musiał rozpostrzeć skrzydła i wzbić się nad przedstawicielami prowincji w powietrze, co też zrobił. Strusie natychmiast rozbiegły się i zniknęły w nocy Ocziczornii. Wylądowawszy na skraju skały, Tich popieścił psy i podszedł do Korbachów.

- No i chuj z nimi - rzekł po prostu. - Ten kombinat mięsny niewart jest, żeby nazywać go ptactwem. Chcą z powrotem na fermę. Tam się o nas troszczyli, mówią. Przecież was tam przerabiali do ostatniej komórki, mówię im. Każdy bioobiekt będzie kiedyś przerobiony do ostatniej komórki, odpowiadają. Filozofy pierdolone.

W tym momencie odezwał się radiotelefon: „Stanley, Alex, wyląduję u was za dwadzieścia godzin osiemnaście minut. Kolega z Las Pegas dostarczy cysternę z paliwem. Załoga liczy na

obiad, ale w niezbyt egzotycznym stylu. Jajecznicą ze strusich jaj będzie w sam raz. Przygotujcie się do lotu”.

Trzy pary zdumionych oczu patrzyły teraz na kuzynów.

- Stan, Saszka, przecież nas teraz nie porzucicie, gady niemyte? - jęknął świeżo zdetronizowany imperator. Mędrak, uniósłszy pysk, zawył tragicznie. Głupek zaniósł się histerycznym dyszkantem.

- Kiedy my, chłopaki, musimy lecieć do Izraela - wymamrotali zmieszani kuzynowie. - Archeolodzy wykopali tam pod ziemią naszego przodka.

- Na pewno i moich przodków pełno tam pod ziemią - zareplikował gorąco Tichomir.

- Ale ty przecież nie jesteś Żydem, Tich!

- Zaraz, zaraz - zaprotestował Tich w klasycznym stylu moskiewskiego bazaru. - Jeśli ja nie jestem Żydem, to niby kto jest? Buriewiatnikowowie już od stu lat są Żydami, tylko się z tym kryli.

Czy trzeba mówić, jak zakończyła się ta rozmowa? Tichomir, rzecz jasna, dostał miejsce w Galaxy. Ze swej strony, by nie pozostać dłużnym, rzeczowym komsomolskim tonem obiecał zapewnić całej kompanii bezpłatny nocleg w Jaffie. Okazało się, że jego znajomy, Apołłosza Stołporotnikow, pracuje tam jako stróż w ormiańskim monasterze.

Na razie byli wielbiciele ptaków przenocowali w opuszczonym motelu Srebrna Kula. AJ jako stosunkowo najbardziej subtelna natura był jedynym, który nie chrapał. Aby sprowadzić od razu w niższe rejony wizerunek naszego faworyta, dodamy: nie chrapał, ponieważ nie spał. Cztery pozostałe osoby wydawały różne nieartykułowane dźwięki, każda po swojemu. Stanley ponadto podróżował w czasie i przestrzeni, klóćąc się z kimś po hebrajsku i wykrzykując niezbyt wykwintne komendy po łacinie. Jeśli chodzi o Tichomira, to, naturalnie, albo kwilił jak orzeł, albo wpadał w istną chlebnikowszczyznę, udając wróble i pliszki.

No cóż, jeśli to, co przewinęło się przed naszymi oczami i z naszym udziałem, to powieść, to znaczy, że zbliża się ona do końca, myślał Aleksander Jakowlewicz. Pod warunkiem, oczywiście, że istnieje coś takiego jak koniec powieści. W teatrze opuszczam kurtynę albo zapalam światło: koniec, szanowni widzowie, rozchodzimy się do domów. W powieści nikt nie idzie do domu, każdy tworzy swój epilog.

Kim staje się postać, która na przestrzeni wszystkich tych stron z uporem sprzeciwia się zamierzeniom autora, nieoczekiwanie dla niego okazując się to beznadziejnym nieudacznikiem,

to z lekka bezczelnym pupilkiem Fortuny, to cynikiem, to idealistą, to Melmotem, to kaszalotem? Czy jestem realny, ja, Aleksander Jakowlewicz, którego czternaście lat życia przededefilowało przed tobą, o Teofilu? Współczujesz mi, czy traktujesz mnie jak zimny fantom? Jesteś w stanie uwierzyć w mój smutek, kiedy w pięćdziesiątym szóstym roku życia, wyżęty przez tę powieść, stoję samotny pośród obróconych w nicość idei, na pustkowiu duszy, po którego skrajach pełzają cienie tych, co byli mi drodzy i których tak niesławnie straciłem pośród perypetii nieprzewidywalnego gatunku?

Wszystko stracone, włącznie z ojczyzną, i nowego domu też nie znalazłem. Czy naprawdę miałem własny naród, oprócz tej jednej setnej procenta, którą tak dokładnie wyliczyli bolszewicy? Trzy sierpniowe noce piorunem uleciały w głąb kadru, a diabelstwo starannie zamazuje teraz kadr gównem. Macie z powrotem swoją cyniczną swołocz. Najwyższy stopień cynizmu demonstruje obecnie nie towarzystwo w mercedesach, a masy. Po wszystkim, co zostało ujawnione z historii komunizmu, głosować na komunizm!

Leżę na gołym materacu w Srebrnej Kuli na terenie nieistniejącego stanu, w mojej nieojczyźnie, pośród ludzi i zwierząt nie należących do żadnego narodu, oprócz tłumu postaci literackich. Ten kraj nie oferuje cudzoziemcom ojczyzny, ziemi ojców, ale oferuje im przynajmniej *The Homeland*. Kraj twojego domu, waszego, naszego, mojego, twojego, ich domu. Zamiast jednak stać się szanującym przepisy najemcą mieszkania, czy to parkingowym, czy profesorem szkoły teatralnej, uparcie pozostaję bohaterem powieści z anarchiczną fabułą. Na szczęśliwą miłość chyba nie ma już co liczyć, w powieści kończy się ona katastrofą, czyż nie? Sukces w tej jebanej polifonii tumani jak narkotyk, by następnie rozlecieć się na kawałki. Jeden jest tylko plus w tym duchowym bilansie, aczkolwiek niemały: temat tylu lat życia, Dante i jego miłość, nie został zrealizowany - ocalał!

A oto, proszę, zostało z mojego „nowego słodkiego stylu”: motel z dziurawym dachem, Skorpion na nocnym niebie i skorpiony na podłodze, obwąchujące nasze psy, a tam, w naszej praojczyźnie, wyciągnięta spośród skał mumia Kor-Bejta, czy to fikcja, czy symbol, czy też rzeczywistość ponownego zjednoczenia. „Panie, Boże mój! Nie patrz na upór tego ludu, na jego złość i grzech!” (V Księga Mojżeszowa 9:26).

Rankiem, kiedy wyszli na zewnątrz, Galaxy-Korbach czekał już na idealnym naturalnym lądowisku, jakie stanowiło dno wyschlęgo jeziora Ochos. W drzwiach samolotu siedział,

kołyszac bosymi nogami, jakiś czarny chłopak.

- Nasz nowy steward, Mengistab Neurosis - przedstawił go kapitan statku. - Weteran wojny wyzwoleniczej narodu erytrejskiego.

W salonie wszystko bylo jak dawniej, jezli nie liczyc wypalonych papierosami dziur w obiciach kanap, zapachu kwaśnego mleka i rozsypanych tu i tam twardych okrągłych gówieńek. „Czarnym Synom Mojżesza”, którzy ewakuowali się do swojej historycznej (o ile nie ontologicznej) ojczyzny, nierzadko udawało się wciągnąć na pokład samolotu ulubioną kożę.

Po paru godzinach, napelniwszy baki kradzionym paliwem, wzlecieli w bezkresne niebo stanu Ocziczornia, by następnie, przewyciężywszy barierę beletrystyczną, wejść w przestrzeń powietrzną Stanów Zjednoczonych. Podczas nabierania wysokości mignęły pod nimi na moment wrota jednej z oswobodzonych strusich ferm. Można było dostrzec kolejkę powracających na swoje śmieci gigantycznych kur. No cóż, wzruszyli ramionami miłośnicy ptaków, chcieliśmy jak najlepiej, a wyszło jak zawsze. I usiedli, by zagrać w karty.

**A teraz marsz do Izraela!**

I oto jesteśmy w Izraelu. Z nie mniejszą prędkością latał zapewne prorok Mahomet, który tak pragnął pokoju, a pokłócił wszystkich ze wszystkimi. Czy poważymy się jednak krytykować proroków? Sami jesteśmy wszystkiemu winni, biologiczne mutanty. Tak myślał Stanley Korbach, niosąc swą własną niemal proroczą, choć nasyconą alkoholem głowę ponad tłumem nadmorskiej promenady Tel Awiwu.

Całe towarzystwo, pięciu mężczyzn (Stanley, Alex, Tichomir, Ernie Rotterdam i jego wciąż ten sam nawigator Paul Massalsky), jeden chłopiec-weteran i dwa psy, Mędrzek i Głupek, szli powoli, w rozmarzeniu z Dan Hotel w kierunku Jaffy, której profil z katedrą Świętego Piotra na szczycie wzgórza był jeszcze lekko rozmyty poranną mgiełką, aczkolwiek krzyż na dzwonnicy zapłonął już w słonecznym promieniu, zanim jeszcze skończyliśmy zdanie. Mędrzek jak zwykle prowadził Głupka na smyczy i był szczególnie ostrożny w nowym miejscu. Głupek za to bez zahamowań zachwycał się grzmącą walecznością Oceanu Śródziemnego (to nie przejęzyczenie), w związku z czym dobre dwie trzecie drogi przeszedł na tylnych łapach.

Gdyby ten kraj był chociaż z dziesięć razy większy, wałęsałbym się po nim do końca moich dni, myślał AJ. Niestety, kraj jest za mały na włóczęgę, a granice nieprzyjazne. Z tym mentalnym nastawieniem Saszy Korbacha nie zgodziłaby się, być może, banda włóczęgów, swobodnie rozwalonych pod grupą potrzaskujących na wietrze palm pośrodku pięknie podstrzyżonego gazonu, dziesięć metrów od skalistego urwiska, opadającego ku ciemnozielonej, grzywiastej powierzchni morza. Któryś z nich mył zęby, oszczędnie polewając szczoteczkę strumyczkiem wody z plastikowej butelki. Inny siedział w pozycji medytacyjnej, drapiąc się jednak od niechcenia w stopę, wyciągniętą w kierunku podobnego do piórka z poduszki porannego księżycy. Grupa główna jadła śniadanie z pakietów, pokrytych napisami po hebrajsku, który to język tak znakomicie pasuje do reklamy nabiału. Przechodząc obok nich, nasi wędrowcy złowili urywek rozmowy pożywiających się Rosjan.

- Nikt nie grał na kontrabasie tak jak Ławrik Brianski. Ten to czuł dźwięk. Pracowałem z nim w zespole Łukianowa, a potem u Kozłowa w Składzie Broni. Ławr był urodzonym basistą, tylko za bardzo walił.

Wszystkie trzy wymienione nazwiska były znane Aleksandrowi. Przyhamował i przyjrzał się

brodatym twarzom typowych jazzmanów. *Slicha, adoni?* - spytał któryś i odgryzł kęs ogromnej bagietki. AJ w szerokoskrzydłym kapeluszu był nierozpoznawalny.

Skręciwszy z nabrzeża i przeszedłszy przez brudną ulicę z ciemnymi kawernami winnych sklepów, grupa Stanleya wyszła na kolejne nabrzeże; była to już Jaffa, starożytna Joppa, starsza o parę tysiączków lat od samego Jeruzalem. Stało tu mnóstwo żydowskich i arabskich starszków, łowiących ryby. Jeden z nich szarpnął długą wędkę i zastygł z malującym się na twarzy zdumieniem, a nawet jak gdyby obrażą. Na haczyku zamiast ryby dyndało coś czarnego, co wyglądałoby jak powiększona kość czaszki, gdyby nie było podobne do rozmiękłego kalosza. Nie, nie tego od pana oczekiwałem, panie Ocean, mówiła, zdawało się, twarz starca. Doprawdy, zupełnie nie tego się po panu spodziewałem!

Stanley Korbach był w podniosłym nastroju: - Słuchajcie, bracia, to przecież dokładnie tu, być może do tej, o, skały pod nami była przykuta Andromeda, a już na pewno właśnie z tych wodnych spirali wypływał każdego ranka morski potwór, żeby sycić się sadystycznie jej ciałem. I właśnie tu, pokonawszy przestrzeń i czas, pojawił się wybawiciel - Perseusz!

Jeden z rybaków lekko odwrócił się na te słowa i z aprobatą puścił oko w kierunku całego towarzystwa. AJ gotów był przysiąc, że to Enoch Aghast.

W otaczających starą Jaffę wirach wodnych czuło się jakiś inny, nie nasz rachunek czasu, jeśli w ogóle miał tu miejsce jakiś rachunek.

- Przypomniałeś mi, Stan, obraz Piera di Cosimo, malarza z piętnastego wieku - powiedział AJ. - Kiedyś długo mu się przyglądałem w Galerii Uffizi. *Uwolnienie Andromedy*, tak właśnie się nazywał. Potwór morski był tam tak szkaradny, że wręcz budził współczucie. Kły jak nie z tego świata, ogon jak spirala. Z jego sutków, nawiasem mówiąc, tryskały w przeciwnych kierunkach strugi wody, jak ze swego rodzaju wozu strażackiego. Wymęczone, ale wciąż jeszcze urodziwe ciało Andromedy w klasyczny sposób odcinało się na tle skał Joppy, być może tych samych, które obecnie oglądamy. Malutka figurka Perseusza stała na grzywie potwora, z mieczem wzniesionym w huzarskim zamachu; jeden z niewielu istniejących na świecie przykładów triumfującej sprawiedliwości.

Najdziwniejsze na tym obrazie było to, że na brzegu było pełno ludzi. Kiedy byłem mały, zawsze mi się wydawało, że fatalny trójkąt został rozrąbany bez świadków, wyłącznie pośród wściekłego żywiołu. W wersji Cosimo było tam pełno pięknie ubranych osób, a na ich twarzach malowała się raczej ekstaza niż współczucie.

Rybacy na brzegu od dawna już przysłuchiwali się rozmowie. Dziad Aghast zakaszłał, by zwrócić na siebie uwagę.

- Pański malarz miał rację, młody człowieku! Te zabawy potwora z Andromedą od dawna już przyciągały uwagę miejscowych. Krzyki dziewczyny w czasie gwałtu, tak samo jak chrząkanie potwora, działały na wyobraźnię. Ja sam tu byłem tego ranka, kiedy z chmur wyłonił się Perseusz. Zachwycające widowisko - wymierzający sprawiedliwość bohater wielkości człowieka! - z tymi słowy Aghast zaszurał nogami i oddalił się, niosąc wiaderko, z którego wystawały dwa rybie ogony.

- Cóż to, nie poznał nas? - zdziwił się Aleksander. Stanley wzruszył ramionami.

Może po prostu udawał, że nas nie poznał. Historia się kończy, szuka sobie nowego miejsca akcji. A może to i nie nasz: na kanańskich wybrzeżach pełno jest Wiecznych Żydów.

Na podejściu do portu, na lewo od wejścia, pięły się mury i tłoczyły tarasy Starej Jaffy. Beton niewymuszenie mieszał się tu z bazaltem. Wąziutkie schody między murami, z powiewającymi nad głową symbolami śródziemnomorskich cywilizacji - suszącymi się kalesonami, prowadziły na szczyt wzgórza, do strefy turystycznej oraz parku Abrasza. Na różnych poziomach zwisały balkony rozmaitych rozmiarów i kształtów: na jednych widnieli stróżujący mnisi, na innych - epikurejczycy w hawajskich szortach.

Z jednego z tarasów Jaffy, a raczej z płaskiego dachu ormiańskiego monasteru, spoglądał na idących stróż tej religijnej instytucji, Apołlon Stołpoworotnik. Wygląd: ogolona głowa z wąsami a la Budionny pod wydatnym nosem, małe oczka, pełny zestaw muskulatury ramion, wyłazającej z podkoszulka na ramiączkach, całkowity brak brzusznej, jeśli nie uznamy za nią zwisającego niby kot w worku brzucha. W sztuce radzieckiej Apołlon należał do „pokolenia dozorców”, którzy chowali się przed socrealizmem w stróżówkach, kotłowniach i wszelkiego rodzaju pustostanach. W sztuce izraelskiej pozostał w szeregach tegoż pokolenia, aczkolwiek zmienił końcówkę z „ow” na „er”, tyle że obecnie przebywał już nie na poziomie piwnic, a na wieży, gdzie jego czaszka nieustannie łuszczyła się od śródziemnomorskiego słońca. Zawsze rad widział gości i nierzadko wtaszczał na swój bastion ocynkowaną beczułkę piwa Makkabi; tym razem wtaszczył dwie.

Tichomir Buriewiatnikow rozglądał się, uszczęśliwiony. Dumny był, że na tej odległej ziemi ma takiego świetnego przyjaciela, któremu już dawno, jeszcze w czasach, kiedy drużyny

komsomolców robiły obławy na moskiewskie podziemne wystawy artystyczne, przepowiadał wielką przyszłość. Wtem uwagę jego przyciągnęła dziwna sylwetka na sąsiednim dachu.

- A co to takiego, Apołlosza?

- Rzeźba - odparł Stołpoworotnikow, po czym wyjaśnił: - Rzeźba orła.

Rzeźba została sklecona z resztek cementu przez robotników budowlanych, stawiających przybudówkę do monasteru.

Orzeł stał w pozycji wertykalnej, rozpostarłszy ni to skrzydła, ni to rękawy obszernego łapserdaka. Nogi miał tak jakby w spodniach, niemniej spod nogawek sterczało coś na kształt pazurów. Na garbonosym obliczu malował się wyraz urażonego zdumienia, podobny do tego, jaki pojawił się na twarzy starca, który wyłowił z morza absolutnie nie to, co chciał wyłowić.

Tichomir westchnął. Jego antyornitologiczny uraz rozwiązał się. Mimo wszystko orły żyją i żyje ich dzieło, pomyślał. Niby przypadkowo rozłożył ramiona i odrzucił do tyłu głowę, odtrącając podsunięty zamiast oczekiwanej ryby kalosz.

Stanley Korbach tymczasem, ulokowawszy się w bezpośredniej bliskości beczułki Makkabi, rozmyślał na głos o istocie mitologii:

- Wszystkie nasze Andromedy, Perseusze i potwory istniały, istnieją i będą istnieć, dopóki istnieje ten świat i odbija nasz strach, nadzieję na osiągnięcie błogostanu i humorystyczny gest. Z boskiego sensu człowiek tworzył karnawał bóstw i bohaterów na obraz i podobieństwo swoje. Arystoteles, panowie włóczędzy, był nie tak znów prosty, choć nie wyrzekał się pogaństwa. Wiedział, że Bóg jest niedosiężny, i zdawał sobie sprawę, że zaludniający Olimp tłum to skrojone przez człowieka na własną miarę próby dosięgnięcia Niedosiężnego.

Judaizm heroicznie wyrzekł się politeizmu, ale i on nie był w stanie trzymać się czystej Niedosiężności, jako że jest ona dla człowieka niemożliwa do zniesienia. Prorocy-pośrednicy - Abraham, Jakub, Mojżesz, Jonasz w brzuchu wieloryba - to ludzkie wyobrażenia boskości.

Właśnie na styku tego, co dosiężne, i tego, co niedosiężne, powstało chrześcijaństwo. Niektórym umysłem monoteizm jawi się jako pustka. Przemijająca biologia wydaje się pułapką. Człowiek postrzega siebie wśród samotności Wszechświata jako baranka złożonego w jakiejś bezsensownej z jego punktu widzenia ofierze. Właśnie dlatego Bóg posyła nam swojego syna, to znaczy wcielenie siebie samego. Oblicze Boga-Człowieka maksymalnie przybliży się do naszej zdolności pojmowania. Jego ciało mówi o tym, że Bóg dzieli z nami naszą dolę, nasze cierpienia. Nie jesteśmy samotni, znajdujemy się po prostu w drodze powrotnej z Wagnania ku

Prawdziwemu Stwarzaniu. W ślad za Chrystusem powstaje mnóstwo ucłowieczonych obrazów świętych: apostołowie, Bogarodzica, Magdalena, Jerzy Zwycięski i inni męczennicy. Poeci przyłączają do nich swoje ideały, tak jak zrobił to Dante ze swoją Beatrycze.

Innymi słowy, wszystko to zawsze jest z nami, bracia włóczędzy, wszędzie, nawet w tej beczulce. Za pośrednictwem powietrza i za pośrednictwem piwa wlewa się w nas Duch Święty. Pamiętajcie o tym, kiedy przychodzi wam coś głupiego do głowy, a unikniecie ześwinienia się.

Wkrótce na tarasie pojawili się rosyjscy wędrowni muzykanci. Zaświstał flet, brzęknęła gitara, zadudniły dłonie na beduińskich bębnach. Ormiańscy mnisi odrywali się od świętych ksiąg, wychylali z okien i uśmiechali się. Przeor poleciał do Eczmiadzinu, wyjaśnił Apollon, a zatem można się troszkę zabawić. Ale bez bab, dodał. Niestety, bez bab.

- Słuchaj, Apollon, gdzie tu pracuje ekspedycja archeologiczna? - spytał Sasza Korbach.

- Tu ich jest do licha i trochę - odparł Stołpoworotnikow. - Cała wolna ziemia jest podzielona między żołnierzy i archeologów.

- Rzecz w tym, że znaleziono tutaj starożytnego przodka naszego rodu - westchnął Sasza.

- Tu się to zdarza - skinął głową artysta. Zaczął wynosić i rozstawiać na dachu swoje płótna na sztalugach, a także kawałki zespawanych razem rur, to znaczy rzeźby. Możliwe, że nie tylko ptak Tichomir ma tu nie po kolei, myślał. Może kupią coś niecoś z moich prac? Nawiasem mówiąc, nie omylił się: po tej imprezie na dachu stał się człowiekiem zamożnym.

Jak ja znajdę Norę, myślał Sasza Korbach. Wyznaczyła nam spotkanie w Izraelu, ale przecież Izrael jest taki wielki! Przyjdzie chyba cisnąć w diabły logikę i zadzwonić na chybił trafił, zgodnie z zasadami tego powieścidla, czyli tak, jak to zrobiła ona, dzwoniąc do Whistlestop. No cóż, spróbujmy, dopóki nie wszyscy jeszcze są pijani.

Zbiegł po schodach, na których kiedyś jeden judejski uzbrojony we włócznię żołnierz mógł powstrzymać dwóch ciężkozbrojnych Rzymian, jako że trzeci by się już nie precisnął. Slumsowate uliczki starego portu pełne były spacerowiczów. Ludzie porozsiadali się przy stolikach na tle kołyszących się masztów. Prosto z łodzi sprzedawano wyborne marliny, kalmary, ośmiornice i kaloszopodobne kałamarnice. W ogromnych, zrujnowanych hangarach, gdzie Anglicy i Turcy trzymali kiedyś Bóg wie co, triumfowała obecnie sztuka: niekończące się olejne i akwarelowe wariacje na temat Andromedy, a także po prostu skały, fale i tym podobna ajwazowszczyzna, drobna biżuteria rozsypana niczym okazy minerałów, w tym miniaturowe gwiazdy Dawida, krzyżyki i półksiężyce, współistniejące pokojowo w turystycznym biznesie.

Pośród tych *packhausów*, w nienaturalnych dla jednostek pływających pozycjach, stały w suchych dokach czekające na remont zardzewiałe kutry i stateczki. Między nimi całą potęgą metalu lśnił w słońcu izraelski automat telefoniczny. AJ stuknął sześć razy w klawiaturę swoim grzesznym palcem wskazującym, nie zwracając nawet uwagi na kombinację cyfr.

- Saszka! - krzyknęła Nora. - Nareszcie! A my już wyjeżdżamy!

- A gdzie wy możecie wyjeżdżać? - spytał AJ z żydowską intonacją. - Skąd wiesz, gdzie jesteśmy?

- Wszyscy już wiedzą - odparła z młodzieńczym ożywieniem. - Wczoraj miejscowa gazeta „Nattahnam” doniosła: największy w historii bankrut, Stanley Korbach, który cudem ocalał pomimo prześladowań ze strony agentów Normana Blumsdale’a, przybywa do Izraela. Wraz z towarzyszącymi mu osobami, wśród których znajduje się słynny reżyser Alex Korbach, którego ogromny hollywoodzki projekt filmowy niedawno padł z trzaskiem, zatrzyma się na dachu ormiańskiego monasteru w starym porcie w Jaffie, gdzie pracuje jako stróż Apollon Stolpoworotnikier, wschodząca gwiazda nowej izraelskiej sztuki wizualnej. No więc wyjeżdżam, i to nie sama!

- A z kimże to? - spytał tym razem w wodewilowym stylu.

- Domyśl się! - krzyknęła dziwnie figlarnie.

- Z Omarem Mansourem - zasugerował.

- Idiota! - powiedziała i odwiesiła słuchawkę. Ponownie zadzwonić już nie mógł: po pierwsze nie pamiętał numeru, po drugie zdawał sobie sprawę, że niezręcznie jest dzwonić w kółko w ostatniej części.

Usiadł w palącym słońcu i oparł się o ścianę ormiańskiego monasteru. Spod jego siedzenia wyprysnęła jaszczurka i usiadła naprzeciw, utkwivszy weń rubinowe kropeczki oczu. Wypisz wymaluj Popsy Putney! Wyciągnął rękę. Chcesz mieszkać u mnie pod koszulą? Chcesz zostać talizmanem nieudacznika? W czasie, gdy jaszczurka się zastanawiała, podjechała białym, jak gdyby marmurowym jeepem Nora. Obok niej siedział chłopczyk, wypisz wymaluj Aleksander Jakowlewicz: ta sama swobodnie rozciągająca się błazeńska buzia, te same lekko odstające uszka, wielkie oczy z tym samym ognikiem śmiechu, jaki płonął niegdyś w oczach Aleksandra Jakowlewicza.

- Jazz, spytałeś mnie niedawno, kto jest twoim tatą, pamiętasz? - zwróciła się do niego Nora i wskazała dłonią siedzącego pod ścianą monasteru niemłodego mężczyznę w sandałach na

bosych nogach. Chłopczyk wyskoczył z samochodu i podbiegł do ojca.

- *Daddy*, ty zdaje się też nie lubisz obcinać paznokci u nóg?! - wykrzyknął triumfująco.

Sasza Korbach zalał się łzami. Czemu płaczesz, *daddy*? A cholera wie czemu, synku. *Monsieur*, pański syn nie jest przyzwyczajony do podobnych wyrażen. Płakał coraz gwałtowniej, łzy spływały mu nawet po ramionach, pod pachami, między łopatkami. Cały jesteś mokry, tatusiu, śmiał się syn, siedząc ojcu na karku. Zupełnie jakbyś się kąpał! Wchodzili po wąskich, wyrąbanych w skale schodach na dach monasteru. Przed nimi żwawo biegła ukochana, obciążona w białe, też niemal marmurowe dzinsy. Jestem cały mokry ze szczęścia, syneczku. Jesteś troszkę ciężki, a ja wciąż jeszcze osłabiony po różnych życiowych porażkach i zmartwieniach. Porażkach, tatusiu? I zmartwieniach, synku. Saszka, przestań się mazać, czeka cię spotkanie z praszczurem, musisz się trzymać!

Weszli na dach. Górował na nim stary gigant, przyobleczony z okazji święta w błękitny tuareski burnus. Coś tam głośił ciasno stłoczonej wokół niego łobuzerii, obejmując gestem rąk śródziemnomorski horyzont i łuk telawińskiego wybrzeża. Czy mnie oczy nie mylą? Tak wykrzyknął z zachwytem mały Philip Jazz Korbach. To chyba mój dziadek? Jazz, mój chłopcze, następczo tronu upadłego imperium! Dziad, w fałdach burnusu, potykając się lekko w takt rosyjskich synkop, pośpieszył ku wnukowi. Matka i ojciec małego odeszli na skraj dachu. Nad głowami tłumu podpłynęła ku nim świeża beczułka piwa.

- Kiedy go zobaczymy? - spytał AJ.

- Jutro - odparła. - Będzie państwowa ceremonia. Wszyscy, naturalnie, jesteśmy zaproszeni.

Ze słowiczo-bandyckim świstem przeleciał nad Jaffą supertajny pancerny helikopter sił powietrznych Izraela. Demonstrując jakąś sekretną, sobie tylko znaną właściwość, wzbił się świecą w niebo, skąd od razu pikował w morze. O mało co nie zaczerpnął wody, znowu się wzbił, by znowu spaść, i tak zabawiał się do końca małżeńskiego dialogu. Akcja zastraszania: Hamaz był w mieście.

- Trochę się boję - wyznała.

- Czego?

- Nie wiem, ale tak czy owak wszystko zbliża się do końca. Prawie wszystkie stronicy są już odwrócone.

Zirytował się.

- Przecież to tylko atrament wyschnie, a nie życie. A poza tym to moja historia, nie twoja,

wiesz sama. Zakończy się, ale wy pójdziecie dalej.

- A ty?! - krzyknęła i zawisła na jego piersi.

- No, może ja też - powiedział. - To zależy ode mnie i od ciebie, a nie od zachcianek autora powieści.

- Chyba w końcu dochodzimy do prawdziwej miłości - westchnęła.

- Opowiedz mi o Kor-Bejcie - poprosił.

Opowiedziała mu o magnetofonowym zapisie ojcowskiego bredzenia w pooperacyjnej malignie i o „zakręcie czasu”, jakiego doświadczyła na widok stada szpaków w Aszkelonie. Zaraz potem jej grupa zaczęła wykopki, które tempem przypominały raczej akcję ratunkową. W przeszłości kopano już w tym miejscu, i to nie raz, ale nigdy niczego nie znaleziono. Znający te fakty ludzie próbowali odwieść ją od jej pomysłu, ona jednak obstawała przy swoim. Zastosowali najnowszą technikę - geofizyczną tomografię dyfrakcyjną - i nieoczekiwanie przyniosła ona niesłychany sukces. Za pomocą specjalnych urządzeń emituje się w głąb ziemi fale dźwiękowe. „Geofony” rejestrują wibrację powierzchni w miarę przechodzenia fal. Dzieło wieńczy komputer, tworząc trójwymiarowy obraz pustej przestrzeni. W ten sposób zidentyfikowaliśmy coś niewiarygodnego na poziomie, do którego poprzednie ekspedycje nie dochodziły. Otworzyliśmy całą skałę i znaleźliśmy resztki murów, podłogi na dwóch poziomach, jedną kamienną, drugą drewnianą, magazyn wyprawionych skór i mnóstwo artefaktów, w szczególności narzędzia garbarskie, kuferki z monetami rzymskimi, judejskimi i syryjskimi, nieszkodzone amfory z mąką, oliwą i winem, fragmenty mebli i kuchennych utensyliów, rzymską broń, menory, ozdoby, resztki studni i porządnie wykonanego wodociągu. Było tam także parę szkieletów, męskich i żeńskich, w pozycjach świadczących, że ludzi tych prawdopodobnie spotkała nagła śmierć. Szkielety zwierząt, a mianowicie konia, psa i dwóch kotów, zdawały się potwierdzać tę hipotezę.

Główna sensacja była jednak przed nimi. W pewnym miejscu, gdzie należało oczekiwać kolejnego rozszerzenia przestrzeni, fale dźwiękowe natrafiły na coś w rodzaju monolitu. Przedostaliśmy się do tego miejsca i odkryliśmy surowy kamienny mur. W końcu trafiliśmy na swego rodzaju naturalny sarkofag, który najwyraźniej został utworzony na skutek potężnego wstrząsu, który pociągnął za sobą przesunięcie się skały. Przez wieki nie miały tu dostępu ani woda, ani powietrze, i dlatego tak znakomicie zachowało się znalezione tam ciało człowieka, który zginął prawie dwa tysiące lat temu. Niezależnie od kamiennej osłony był on pokryty grubą

warstwą skamieniałego miodu, który najwyraźniej wylał się na niego z ogromnej rozbitej amfory. Innymi słowy, był podobny do liczących miliony lat skamieniałości, jakie kryją się we wnętrzu bursztynu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, zaważyło go już martwego, jako że między żebrami tkwiło mu dochodzące do serca zakończenie wielkiej rzymskiej kopii, typowej broni legionisty. W pomieszczeniu znaleźliśmy również pergaminowe zwitki z zapisami handlowymi po hebrajsku i grecku, na których podstawie stało się dla nas całkowicie jasne, że zachowane ciało należało do bogatego handlarza, Zeewa Kor-Bejta, lat około czterdziestu, rodem z Jeruzalem, który na dwa lata przed katastrofą otworzył przybrzeżny handel swoim towarem tuż za zachodnią ścianą twierdzy aszkelońskiej, obok miejskich wrót. Jego sklep stał się najwyraźniej jedną z pierwszych po wylądowaniu zdobyczy Rzymian.

Tu, w Izraelu, archeologowie starają się jak najdłużej trzymać swoje odkrycia w tajemnicy. Niedawno fanatycy okrążyli jeden z odkrytych grobowców Hasmonidów. Uważają archeologię za świętokradztwo. Wykopaliska zakłócają spokój zmarłych, co spowoduje mnóstwo kłopotów, kiedy przyjdzie Mesjasz. Chwała Bogu, władze państwowe na razie tak nie uważają.

Byliśmy zmuszeni od razu zwrócić się z prośbą o pomoc do Izraelskiej Akademii Nauk, choć nie ogłosiliśmy jeszcze naszego odkrycia w prasie. Nie byliśmy w stanie, rzecz jasna, sami zapewnić konserwacji ciała Kor-Bejta. Obiekt kosmiczny - pamiętasz, mówiliśmy z tobą kiedyś, że po śmierci człowiek staje się obiektem kosmicznym? - pod wpływem powietrza zaczął się natychmiast rozkładać. No, więc Lilienmann pomknął do stolicy i wszczął tam sekretny alarm wśród wysoko postawionych osób. Sprawa była dyskutowana na zamkniętym posiedzeniu komisji Knesetu. Senatorowie niepokoiili się naturalnie, czy nasz „John Doe” nie jest przypadkiem Filistyńczykiem czy jakimś innym poganinem, wszelako kiedy zaprezentowaliśmy im zdjęcia pergaminów i całej reszty, wpadli w nieopisany zachwyty: pas przybrzeżny bezspornie jest nasz! W ciągu dwóch dni wszystko było zrobione, i teraz nasz przodek leży za szkłem, w próżni, niczym Lenin. Murowane, że stanie się jednym z najważniejszych eksponatów Muzeum Izraela, a nasze aszkelońskie wykopaliska zmienią się w cel pielgrzymek... a twoja żona będzie uważana za drugiego Schliemanna we współczesnej archeologii.

- Żona?! - wykrzyknął. - Nazwałaś siebie moją żoną?!

Zmieszała się. Spojrzenie spod oka, które kiedyś doprowadzało go do szaleństwa. Teraz, w towarzystwie niewielkich zmarszczek i lekkiej obwisłości policzków, wywoływało w nim najgłębszą, niemal archeologiczną czułość.

- Ojej, tak tylko mi się powiedziało - mruknęła.

- Nie, nie „tak tylko”! - sprzeciwił się gorąco. - Jeśli powiedziałaś tak na serio, to można uznać, że cała historia zatoczyła koło i zamknęła się. To przecież końcowy rezultat całej mojej teatralnej działalności! Oznacza to po prostu, że „nowy słodki styl” mimo wszystko tryumfuje!

- Spokojnie, spokojnie - powiedziała fałszywym tonem, który byłby na miejscu gdzieś w środku książki, ale nie na ostatnich stronicach. - Jeszcze za wcześnie zamykać kółko. Głupio kończyć powieść waszymi rosyjsko-żydowskimi wykrzyknikami.

- Jesteśmy teraz na ziemi żydowskiej! - zawołał. - Mam potąd waszego *mid-Atlantic English* z całym jego opanowaniem. Rezerwuję sobie prawo do rozkręcania kręgli wykrzykników na ziemi przodków!

- Jak ja cię kocham, Saszka! Naprawdę jestem już taka stara, że nie masz ochoty ściągnąć ze mnie dżinsów?

W tym momencie okazało się nieoczekiwanie, że znajdują się bynajmniej nie na dachu, a przy stoliku w kącie małej trójściennej kawiarni, nad filiżankami miętowej izraelskiej herbaty. Czwartej ściany nie było - kawiarnia była otwarta w kierunku ruchliwej trasy przybrzeżnej, za którą ciągnęła się szeroka esplanada, wyłożona nienatrzętnie żydowską mozaiką, po esplanadzie zaś równomiernie maszerował w dwie różne strony, czyli tak jakby nie maszerował, a po prostu kolebał się, tłum lekko ubranych Żydów. Tylny plan tego niezłego obrazu był efektem wzajemnego oddziaływania plaży, gdzie ziarenek piasku było chyba nie mniej niż ludzkich losów w czasach przedpotopowych, i resztek wspomnianego potopu, to znaczy ciemnobłękitnego masywu Morza Śródziemnego.

Każdy czytelnik, który choć trochę otarł się o geografę, wie, że granice morskie Izraela są dość prostolinijne, nietrudno zatem będzie mu wyobrazić sobie flotyllę wroga, rozciągniętą przed nami po horyzont o tej zachodniej godzinie i gotową otworzyć ogień w kierunku gęsto zaludnionego wybrzeża. Równie łatwo wyobrazi on sobie tę flotyllę w postaci wianuszka ognisk po uprzedzającym uderzeniu naszych rakiet i lotnictwa. Ale lepiej dajmy temu spokój. Zajmijmy się naszą parą w malutkiej kawiarni nad filiżankami z miętową herbatą.

W tym ciemnym kącie łatwo mi wyobrazić sobie ciebie jako młodą kurewkę, tak jak zdarzyło się to kiedyś na bulwarze Raspail, ale wiesz, wydaje mi się, że teraz nasza miłość wzniosła się w rejestry wyższe niż seksualne pożądanie. Nora uśmiechnęła się: zdaje się, że postanowiłeś teraz włączyć mnie, cudzołożnicę, w zastępy anielskie? Wydało mu się, że śmieje się z porażki *Promieniowania*. Bał się jakimś niezręcznym słowem zburzyć ich nową, nie wypowiedzianą jeszcze czułość. Chciałem po prostu powiedzieć, że nie poznaliśmy jeszcze prawdziwej miłości. Odwróciła się ku morzu, zirytowana, i nagle wybuchnęła śmiechem, zerwała się z krzesła i zaklaskała w dłonie: spójrz, kto tam idzie nad wodą! Saszka, jesteśmy świadkami wstrząsającego literackiego spotkania!

Odsłona, która nastąpiła, rzeczywiście zasługiwała na oklaski. Ze stateczną gracją niepokonanej lwicy kroczyła pośród zdumionych Izraelczyków ni mniej ni więcej tylko Bernadetta de Lux. Suknia jej, w kwiaty i bażanty, ciągnęła się za nią wielometrowym trenem. Sięgające wzgórzka łonowego rozcięcia ukazywały przy każdym kroku nogi, z których każda

sama przypominała wspaniałą dziewicę. Plecy, obnażone do absolutnych granic, były reminiscencją arcydzieła kinowego eposu sportowego, Lennie Riefenstahl. Grzywa jej, jak w najlepszych latach, powiewała na wietrze niczym ogon Bucefała, konia Aleksandra Wielkiego, który akurat wzdłuż tego właśnie wybrzeża i w tymże kierunku południowym cwałował dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt lat temu.

Obok Bernadetty, nieustannie uchylając lśniącego czarnego cylindra w geście pozdrowienia skierowanego do narodu izraelskiego, siedł przedstawiciel amerykańskiego związku zawodowego kierowców ciężarówek, Matt Shuroff. Właściwie, szczerze mówiąc, cała stara kompania z Venice była tu w komplecie: i Bruno Kastorzus, minister gabinetu cieni postkomunistycznych, chociaż wciąż jeszcze trochę komunistycznych Węgier, który uspokajał publiczność wieloznacznymi gestami, skubiąc równocześnie z nawyku jakieś jadro z pakietu „humanitarnej pomocy”, i Melvin O’Massey, który zakończył właśnie fuzję paru korporacji i otrzymał za to honorarium w wysokości półtora miliarda dolarów, opromieniony młodym szczęściem, popatrywał z boku na królową swoich komputerowych marzeń sennych, i Piu Nguyen, który został niedawno szefem bezpieczeństwa państwowego nowego burżuazyjnego Wietnamu, i nawet stary Henry, pianista z Pierwszego Dna, z nieodmiennym cygarem między mostkami w ustach, z lekka przypominającymi jego pianino - wszyscy oni poruszali się lekko, jak we śnie, i z lekkimi uśmiechami jakby wpatrywali się w tłum, pytając: a gdzie to nasz Ławski?

Ławski, jak wiemy, obserwował ich z boku, tymczasem zaś na spotkanie Bernadetty i jej świty, to znaczy z południa na północ, zmierzała druga procesja naszych bohaterów z gigantycznym starcem w błękitnym burnusie na czele, którego wzrost jeszcze się zwiększył ze względu na siedzącego na ramieniu wnuka, będącego równocześnie jego kuzynem piątego stopnia.

Głowę dam, że któryś ze złośliwych czytelników nie przepuści okazji, by przyłapać autora: znowu, kochany, ciągnie pan swoje procesje i jednocześnie gubi bohaterów? Czy nie mamy prawa oczekiwać w otoczeniu Bernadetty jeszcze jednego małego chłopczyka? No, chyba że wszystkie pańskie aluzje na temat jego pojawienia się miały całkowicie nieodpowiedzialny, by nie powiedzieć służebny charakter?

Nie, nie, złośliwy przyjacielu, nie złapie mnie pan. Taki pan niecierpliwy, że nawet pan nie poczekał, aż przez stronicę przeciągnie w całości tren Bernadetty. A przecież niesie ten tren

właśnie jej ukochana latorośl, rozkoszny Klemens, smagła kopia swego ojca Stanleya. A przecież wśród koronek tego trenu, niby pstrąg w wirach Niagary, miga nie zawsze nawet, być może, pamiętany przez pana, drogi panie, samiec chihuahua imieniem Cookie.

No więc owe dwie delegacje zeszły się i zmieszały. Zużywszy już sporo słów, nie możemy nawet opisać tego połączenia jak należy. Odnotujemy jedynie, że wszyscy ludzie na esplanadzie byli radośnie zdumieni: i *sabra*, i *olim*, i *galut*, i drżący *falaszhi*, i rosyjscy ateści-cynicy, i *dań*, i *chabad*, i patrolowi, i agenci w cywilu, zaś obwiązani dynamitem działacze Hamaz zapomnieli, po co tu przyjechali, i trafiali jak kurczaki do skubania, to znaczy przechwytywano ich na drodze do raju.

Słońce tymczasem, prawie jak zawsze, zbierało się już, by namalować przed całym rozciągniętym na znaczną długość miastem idealny obraz nadmorskiego zachodu. Nadmorskie zachody Izraela, o, tu to mamy się czym pochwalić! Nie napotkawszy na żadne stacje pośrednie, w rodzaju skalistych wysepek, słońce Tory i Tanachu zanurzyło się wprost w morzu. W subtelnych modulacjach butelkowego szkła, w rozciągniętych nad horyzontem pasach fioletu, w armatnich dymkach rozsypanych na miedzianym tle obłoczków zachód oferował każdemu, kto chciał, możliwość wyliczenia stopnia bliskości Apokalipsy.

- Słuchaj, Natałka - zwrócił się AJ do właścicielki kawiarni - masz tu może jakiś osobny pokój?

Była wiodąca aktorka teatru Błazny, Natałka Motałkina, wywalila z osobnego pokoju wylegującego się tam już wystarczająco długo byłego generała do spraw nadzoru nad teatrami, tow. Kleofonta Stiepanowicza Sitnyja. Ten ostatni, pomimo solidnego kuferka KGB-owskiej waluty, nie cieszył się na wybrzeżu żadnym autorytetem. Tylko wszystkie te jebane role, które wciąż jeszcze tłuką mi się po głowie, nie pozwalają mi wypierdolić stąd na zbity pysk tego worka z gównem, mawiała Natałka w inteligenckim żargonie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

- Wstawaj, dupku, i spieprzaj do swojego Zawchozowa! - krzyknęła obecnie. - Łóżko potrzebne jest geniuszowi, żeby mógł bzyknąć Amerykaneczkę!

Towarzysz Sitnyj wcisnął na głowę chiński kapelusz z ryżowej słomki, rarytas złotych bolszewickich lat pięćdziesiątych, i skierował się ku sąsiadującemu z kawiarnią drapaczowi chmur Opera House, gdzie na dwudziestym ósmym piętrze, w apartamencie wartym pięć milionów dolarów, mieszkał obecnie jego były kolega z oddziału poleceń szczególnych,

generał-major Zawchozow, dziś prezes największego rosyjskiego koncernu Wiadukt.

Sitnyj wiedział o Zawchozowie sporo, ale nie wszystko. Nie rozumiał w szczególności, dlaczego wybitny finansista naszych czasów miesiąc za miesiącem siedzi w żydowskim drapaczu chmur i nawet nie wyjdzie pospacerować. My wiemy o „finansście” nie wszystko, ale więcej. Wiadomo nam na przykład, że pewnego ranka w swoim moskiewskim biurze prezes Zawchozow postanowił sprawdzić listę osób, znajdujących się „na kontrakcie”: kto naprawdę wybył, niech mu ziemia lekka będzie, a kto ośmielił się ocaleć. Zdarzają się czasem prawdziwie kuriozalne przypadki, kiedy człowiek dawno już przekreślony pojawia się nagle wieczorem w telewizorze i zaczyna się rozwodzić nad problemami narodowej stabilizacji. Taki nieporządek obniża przede wszystkim autorytet „kontraktu”, daje rozmaitym draniom nadzieję na uniknięcie odpowiedzialności; trzeba tego pilnować.

I oto tegoż ranka, posługując się znanym w Moskwie tylko garstce ludzi systemem kodów, wprowadził „kontrakt” na ekran komputera i znalazł na liście własne nazwisko. Strach był tak przemożny, że nawet nie spróbował czegoś się dowiedzieć. Po prostu złapał dyplomatkę i pognął na Szeremietiewo. Najbliższy rejs był do Ben Gurion. A niech tam! Pod opiekę Szin-Bet!

Przejdźcie tej osobistości pod kołnierzami wykrywacza metali wywołało alarmujący pisk mechanizmu. Mokry od potu, znalazł jednak w sobie siły, by zagrać sympatyczne roztargnienie. Ale ze mnie dureń, wszystkie klucze zabrałem: i od daczy, i od garażu, i od szafki w klubie tenisowym. Rzucił metalową wiązkę na bok, po czym niedbale wziął ją z powrotem. Nikomu do głowy nie przyszło, że pośród tego baracha znajdują się trzy kluczyki od szwajcarskich sejfów. Tak czy owak, nawiał! No i siedzi teraz w wieżowcu.

Sitnyja, jak zawsze, przywitał chiński służący, sprawdził magnesem i przepuścił do mieszkania. Przyjaciół wyszedł ku niemu z balkonu. Cześć, ekscelencjo! Co robiłeś? To co zawsze, patrzyłem na fale. Co za szczęście, że z balkonu tylko fale widać, nikogo z tych - miał powiedzieć „parchów”, ale poprawił się: z tego tałatajstwa. W samą porę przyszedłeś, co to znaczy nos czekisty! Czekam na gościa, pierwszorzędną babkę z naszego oddziału międzynarodowego. Wypijemy, zakąsimy.

Pojawiła się smągła piękność w sukience z najciemniejszego zamszu. Jej sposób poruszania się pełen był kobiecości, spojrzenie zaś - pełne męstwa. Sitnyj lekko się zmieszał w swojej nie pierwszej świeżości marynarce, w której, prawdę mówiąc, całymi dniami rozwalał się na łóżku, szeleszcząc biuletynem „Ściśle Tajne”, dama jednakże zwróciła się do niego familiarnie:

- Przecież ja pana znam, Sitnyj, z Piątego, tak?

Razem z nią wszedł mężczyzna o wyglądzie wschodniego arystokraty, który przy powitaniu burknął coś uprzejmego, ale niezrozumiałego.

Dama zaczęła towarzyską rozmowę z Zawchozowem, dżentelmen zaś, jakby demonstrując, iż nie łączy go z nią stosunki osobiste, przeszedł na skraj balkonu i zamarł tam z założonymi na piersiach rękami niby demoniczny posąg. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to bogaty Arab, Izraelczyków tego typu Sitnyj jakoś nie widywał. Ocean tymczasem kontynuował swoją barwną uwerturę do zachodu słońca: fale toczyły się jak kameleony.

- No to co, towarzyszeko Salamanca, zapraszam do stołu! - zatarł ręce Zawchozow. W tak znakomitym nastroju Sitnyj go nie pamiętał.

- „Ten dom ponad falami śle fale tęsknoty, jak u losu na cumie majak jakiś złoty” - zadeklamowała dama z półprzymkniętymi oczami, pozwalając gospodarzowi podprowadzić się do stołu, nakrytego w odległym kącie balkonu.

- U losu na cumie - powtórzył Zawchozow, smakując każde słowo. - No no, nieźle!

Podszedł demoniczny przystojniak, wypił jeden po drugim dwa kieliszki wódki, zakąsił łyżką kawioru. Nieoczekiwanie odezwał się w jakimś całkiem zrozumiałym języku:

- Siedzisz tu sobie, Zawchozow, a tam w dole odchodzą bachanalia! Och, ta nadbrzeżna trasa, nienawidzę jej najbardziej ze wszystkiego w całym tak zwanym państwie Izrael! Wydaje im się, że są w jakiejś Nicei! Zaczynają pić, nie czekając końca szabasu! Tak się milutko urządzili na cudzej ziemi. Całe to ich przywiązanie do dawnego kultu - to jedno kłamstwo. Dawno już zapredali się złotemu cielcowi! Młodzi ludzie składają w ofierze życie, roznosząc w strzępy ich autobusy, a ci nic, tylko patrzą, jak by tu pójść jeszcze wyżej. Ślepi hedoniści! Głuche obzartuchy!

- No no, po co ta gorączka, Tamir - zaczął monitować gościa gospodarz, nie zapominając przy okazji monitować za pomocą dłoni wrażliwego kolana towarzyszeki Salamanca. - Czemu nie zostawić wszystkiego do rozstrzygnięcia historii? Ruchy polityczne przychodzą i odchodzą, a historia wciąż trwa. Mam rację, Lalka?

- Nie, daruj, Zawchozow, ale ja rozumiem gniew Tamira. - Nieprawdopodobnie poważna twarz gościa zdawała się nie mieć w tym momencie żadnego związku ze słodkim kolankiem. - To, że wy tam, w N, prawie się rozlecieliście, nie oznacza jeszcze końca ruchu narodowowyzwoleńczego. Tam - wskazała w dół cynglem palca - łączą się ze sobą w tym

momencie dwie grupy awanturników. Oto wasza chwalebna karnawalizacja sztuki, rabelaisowski rynek, wszystkie te jarmarki i juu-huu, na czele z ogólnie znanym stukniętym amerykańskim Gargantuą. A w tym samym czasie, towarzyszu generale, drugie korbachowskie nic, no, ten był kierownik artystyczny Błaznów, jak mu tam, a, nieważne, uprawia kazirodztwo z rozpustną Amerykanką. Wiadomo ci o tym, Tamir?

- Lepiej niż komukolwiek innemu w całej tej historii - mrocznie powiedział gość. Stał w ciemnomarmurowej pozie niczym symbol nieprzejednania.

Salamanca roześmiała się:

- Podła Ameryka, wszystko w siebie wsysa! Gdzie wasz nowy słodki styl? Gdzie wasza Beatrycze? Wszystko wessane. Przewalają się teraz po przebzdziwym tapczanie i umierają z rozkoszy, dwie stare kukły!

- Co tu ma tapczan do rzeczy? I dlaczego zaraz przebzdziwany? - nieoczekiwanie obraził się Sitnyj.

- Spokojnie, spokojnie, towarzysze broni!

Zawchozow nie przestawał monitować kolana rewolucyjnej furii, drugą ręką zaś rozlewał do kieliszków szampana ze swojej kolekcji, jakiego w Izraelu, tym kraju urawniłowki, w biały dzień ze świecą by nie znalazł. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy, czyli odkąd zbiegł z Moskwy, opuściło go napięcie. Dobrze jest mimo wszystko rozluźnić się w gronie wiernych przyjaciół. Co tu gadać, nie darmo uczyli nas jeszcze w dzieciństwie: *Kochał swego towarzysza człowieczą miłością.*

Przecież nawet ten podlatujący akurat ku balkonowi człowiek-ptak, Buriewiatnikow, też jest z naszej komsomolskiej bandy, sprzedał się wprawdzie w swoim czasie imperialistom, zasraniec jeden, ale i tak jest nasz.

- Dokąd to się wybierasz, Tich? - spytał, elegancko dając mu do zrozumienia, że na zaproszenie nie ma, mimo wszystko, co liczyć.

Buriewiatnikow zatrzymał się w powietrzu, łagodnie poruszając ogromnymi skrzydłami. Jego oblicze promieniało niewymownym szczęściem, jakim napawała go świeżo odkryta umiejętność latania.

- Wracam do swoich! - wyrzucił z siebie.

- Do kraju brzozowych zagajników i barchanu? - z ciepłą melancholią spytał były morderca.

Buriewiatnikow zaśmiał się gardłowo.

- Do pierzastego świata Ameryki Północnej, generale! - Jego upierzenie płonęło w blasku śródziemnomorskiego zachodu. Zawchozow pożałował, że nikt z jego gości, jak się zdaje, nie widzi tego zdumiewającego fenomenu. - Daj no mi, przyjacielu, kwaterkę spirytusu i żegnaj razem z całym swoim zasranym kramem!

- A dolecisz? - po stalinowsku zmrużył oczy generał.

- Dolecę, jak nie zestrzelą! - Z ćwiartką spirytusu w zębach Tich zaczął nabierać wysokości i oddalać się od Opera House i wybrzeża Tel Awiwu, z każdym machnięciem skrzydeł coraz bardziej upodobniając się do morskiego albatrosa.

W tym miejscu dodamy coś, co wykracza poza granice książki. Tich doleciał, chociaż z obszaru rozmaitych krajów wystrzelono w niego 7300 rakiet typu ziemia-powietrze, doleciał, spędziwszy w powietrzu 5118 dni i 10 236 nocy, doleciał, zjadłszy po drodze 44 897 ryb i ukradłszy z przepływających statków 7019 ćwiartek spirytusu, doleciał, by rozplnąć się w mrokach nadoceanicznego zachodu.

*/ śnieg, i wiatr, i gwiazdny nocny pył, me serce wzywa mnie w niepokojące dale* - posłał w myśli w ślad za nim Zawchozow pieśń swego pokolenia i dopiero wtedy wrócił do gości. I podjął:

- Mimo wszystko nie możemy zapominać, że i sami stamtąd jesteśmy. Spod tej samej okładki, jak to się mówi. Każdy teraz wie, że bohater pozytywny nie może się obejść bez negatywnego, a my jesteśmy przecież ideologami. Przyjdzie dzień X, kiedy zatriumfuje prawda w swojej najwyższej instancji, ale niektórych osiągnięć prywatyzacji nikt nam już nie odbierze.

- Ty wciąż o swoim, Zawchozow - *commandante* Salamanca z irytacją odsunęła się od oportunisty - a przecież mowa jest o tak złożonym zjawisku, jak polifonia. Jest ta hałastrą na dole, ale jest też zorientowany na cel bohater. Wszedłszy w tę historię, każdy z nas ma prawo do przejawienia własnej indywidualności. Rozumiem historyczne oburzenie Tamira i przyznaję mu prawo do dowolnej akcji rewolucyjnej. Takie ja mogę w każdej chwili zrobić to, o czym nikt by nawet nie pomyślał na stronie poprzedniej. Tak to jest! - Z tymi słowami kiść jej ręki niczym gwiazda morska wczepiła się w kosmatą łapę Zawchozowa i pociągnęła ją od kolana w górę, ku biodru. Czas przystąpić do akcji, zdecydowała, i przejść z nim do sypialni. Polifonia polifonią, ale „kontrakt” to nie żarty. Jest tylko jeden problem: zlikwidować go przed czy po?

- No, to wszystkiego dobrego - generał Sitnyj zaczął się natychmiast zbierać do odejścia. Kieszenie jego marynarki były wypchane wybornymi langustami, a jako człowiek, któremu

dramaturgia nie była obca, rozumiał już, ku czemu zmierzają sprawy.

Sasza i Nora leżeli na „przebzdziwym” tapczanie i zamierali z czułości. W małym okienku pod sufitem nie było widać nic prócz ohydy: gzyms cementowej ściany, szpetna skrzynka starożytnej klimatyzacji, przylepione do niej opakowanie po lodach. Oni jednak, prawdę mówiąc, nie widzieli tego. W tych momentach, kiedy nie zaglądał tu anioł, mieniła im się w oczach srebrzysta pustka.

Prawie niedosłyszalnie, w samo ucho, czytał jej znowu i znowu z tomiku Guinizzello o Amozie i jego zadziwiającej wieści, pieścił konchę i płatek tego ucha językiem i wargami. Z nabrzeża dochodziły odgłosy wybuchów, nie bomb jednak, a zachwytu. Czemu nie farbujesz swoich siwych nitek? Jak chcesz, mogę ufarbować, ale podobno dobrze mi z nimi. Zresztą co mi tam siwe nitki, ja się czuję młodą kobietą, jak dawniej. A ja się czuję zgrzybiałym starcem. Nie zauważyłam nic takiego. Anioł odleciał i przez srebrzystą pustkę przebił się silny aromat pseudosyberyjskich pielmieni, których ogromny kocioł gotowała co wieczór Natałka dla aktorskiej braci. Naprawdę nie poczułaś, że leży na tobie starzec? Widzisz przecież, cały mój „ogromny człowieczy” pokryty jest plamkami, jak kaszą gryczaną. O łbie mówię, a nie o tym, co pomyślałaś. Miałam zamknięte oczy, kiedy na mnie leżałaś. Byłaś dzisiaj słodszy niż twój nowy słodki styl, mój miodek. Z boku zaczęła napływać gęstą falą woń pseudobarszczu, ale pomiędzy te dwie „jadalne” strugi wbił się nagle niczym wrzeczono i połaskotał ich nozdrza aromat półtropikalnych róż. Teraz jest już prawie ciemno, nie widzę żadnych gryczanych plam na twojej głowie. Jakim byłeś marylandzkim faunem, takim zostałeś. Zapach róż zagłuszyła ciężarówka, która z łoskotem przejechała ulicą Airekon. Smród spalin pochłonał i pielmienie z barszczem. Kiedy leżysz w takiej cementowej ruderze, wydaje ci się, że nie zostało wokół ciebie ani źdźbła przyrody. O sto metrów od nas przyroda szaleje: nagromadzenie fal, wodorostów, żywych i martwych ryb, potworów i morskich bogów. Wiesz, jak kiedyś to morze uratowało lud Izraela? Mówisz o proroku Jonaszu? Nie, to historia prawie z naszych czasów. Kaligula, ten dupek bez mózgu, kazał swojemu namiestnikowi w Syrii i Judei, żeby wniesiono do Świątyni jego rzeźby. A dla naszych przodków było to równoznaczne z końcem świata. Zbiegli się wielką masą i błagali namiestnika Petroniusza, żeby odstąpił od tego pomysłu. Nauczyciele i kapłani rozdarli szaty i posypali głowy popiołem. Petroniusz stanął na stopniach Świątyni i obwieścił, że imperator nakazał wybić do nogi cały naród, jeśli będzie się sprzeciwiał jego deifikacji. Naród

zakrzyknął, że każdy gotów jest oddać życie za czystość Świątyni. Wstrząśnięty Petroniusz posłał wiadomość do Rzymu i odstąpił od Jeruzalem do Antiochii. Wściekły Kaligula wydał Petroniuszowi rozkaz unicestwienia całego narodu Izraela. Ciąg sztormów opóźnił jednak przybycie posłańców z tym rozkazem o trzy miesiące. W tym czasie Kaligula został w Rzymie zamordowany. Wiadomość o tym niezbyt smutnym zdarzeniu dotarła do Jerozolimy spokojnym morzem w ciągu dwudziestu siedmiu dni. Znacznie wyprzedziła tamten kanibalistyczny dekret. Taka była wola Posejdona, mój miły! W ten sposób wszyscy zostaliśmy uratowani, a *adonai* Kor-Bejt mógł założyć rodzinę i spłodzić dzieci. No, co tak milczysz?

- Hmmm - mruknął AJ. - Obliczam budżet filmu.

- Chodźmy lepiej pomodlić się do Posejdona!

Słońce wisiało już jak wielki czerwony - kto, co? przerzuć i tysiąc porównań, nic nowego nie powiesz - no, jednym słowem wisiało nad horyzontem jak suprematyzm Czasznika, jednakże nie złowieszczego ani w obrazie, ani w nastroju obserwatorów nie dało się zauważyć. Wiał świeży, północno-zachodni wiatr, szła równa fala. Jako jej uzupełnienie między falochronami a brzegiem pluskały małe falki, i nawet w tym pluskaniu czuło się pewną synchroniczność, jakiś lekki rytm, w sumie niezbyt zbieżny z drapieżną historią tej ziemi.

Nastrój na wybrzeżu był pierwszorzędny. Tu i ówdzie grały rosyjskie i marokańskie zespoły muzyczne. Pewien człowiek, zająwszy kawałek trotuaru, po mistrzowsku prezentował marionetkowy spektakl, przy czym był w stanie w pojedynkę odgrywać całe sceny z udziałem Kolombiny, Arlekina, Pulcinelli i doktora Dappertutto. Hojnie rzucano mu szekle. Zauważywszy podstarzałych kochanków, którzy podeszli, objęci, uśmiechnął się dawnym oślepiającym uśmiechem, jakby pytając: „Mam nadzieję, poznaliście? Mam nadzieję, nie zapomnieliście? Mam nadzieję, lubicie mnie jak dawniej? Mam nadzieję, moja zdrada została wymazana? Mam nadzieję, walniemy sobie drinka dziś wieczorem?”

Z jakiegoś powodu mnóstwo ludzi brodziło w wodzie - jedni po kostki, inni po pas. Wielu siedziało na falochronach. Spojrzenia były skierowane na otwarte morze, skąd, rozwinąwszy pod przyjaznym wiatrem ogromny spinaker z gwiazdą Dawida, zbliżał się samotny jacht.

Sasza i Nora dziwili się: co tu się takiego dzieje? Wygląda na to, że dojrzeła jakaś sensacja. Zrzuciwszy buty, weszli również do wody, i w miarę oddalania się od brzegu ich wciąż jeszcze zgrabne ciała, na tle skłaniającego się ku zachodowi słońca, zaczynały przypominać ich młodość. Tak właśnie, wzięwszy się za ręce, mogliby brodzić w płytkiej wodzie, w różowym blasku,

zupełnie jak na reklamie tego artykułu z cienkiej gumki o nazwie Trojans, dwudziestopięcioletni Sasza i piętnastoletnia Nora.

Tuż na wprost nich stał w wodzie i patrzył na nich rosły, biało ubrany człowiek. Jego długie białe włosy trzepotały na wietrze. Co tu się dzieje, *ńr*, spytał go Sasza. Jak to, nie wiecie, zdziwił się starzec. Został ustanowiony ważny światowy rekord. Na tym jachcie przybija do naszego brzegu dwoje morskich podróżników, małżonkowie Lenore Yablonsky i Anthony Arrowsmith. Przecież na pewno słyszeliście, oni też z naszych. Już od wielu lat orzą oceany i płodzą mnóstwo dzieci. Gazety piszą, że spłodzili ich 800 wśród morskiej toni. Podeszli inni widzowie i zaczęli ochoczo dzielić się szczegółami. Lenore starsza jest od Anthony'ego o 48 lat, ale wygląda o 28 lat młodziej. W czasie ich pierwszej podróży, 45 lat temu, urodziła trzy razy z rzędu trojaczki, i, co ciekawe, tylko z trzymiesięcznymi przerwami. I od tej pory poszło: dzieci, dzieci i dzieci, co najmniej tysiąc chłopców i tysiąc dziewczynek. Zostawiali je na wychowanie w różnych krajach, żeby nie przerywać swego wiecznego wojażu, i najwybitniejsi ludzie z wielu kontynentów brali na siebie to błogosławione brzemię. Wśród wychowawców tych dzieci naliczono co najmniej 115 premierów, 318 byłych i aktualnych prezydentów, 516 laureatów, 604 książąt, 707 czempionów świata, 800 wirtuozów, 905 biskupów, 1008 gwiazd kina i rocka. Wszystkie dzieci wyrosły na wspaniałych ludzi, oprócz tych, które jeszcze rosną, otrzymały pierwszorzędne wykształcenie i znakomity trening intelektualny i fizyczny. Pośród nich można naliczyć nie mniej niż 300 wysoko wykwalifikowanych lekarzy, 600 adwokatów, 750 scenarzystów, 880 kompozytorów i wykonawców muzyki, półtora tysiąca tych latorośli zaś pracuje w telewizji. Co najmniej jedna trzecia tych dzieci, sumarycznie licząc, ożeniła się lub wyszła za mąż, zależnie od płci. Para żeglarzy ma już pierwsze wnuki, w liczbie 4875. Przyrost odbywa się w postępie nie tyle geometrycznym, co homerycznym. Powstaje jednak nie tylko epos, rodzi się nowa rasa, bardziej wolna od następstw grzechu pierworodnego niż dotychczasowe.

Pod wrażeniem tych informacji Sasza i Nora poszli dalej, ku falochronom, na których zebrała się masa witających. Starzec ruszył wraz z nimi.

- Czyżbyście mnie nie poznawali, bracie mój i siostrzo? To przecież ja, wasz dawny rabin Dershkowitz. Już dwadzieścia lat minęło, odkąd zostawiłem marylandzką Fontannę Syjonu i wstąpiłem do sekty Nowi Żydzi Galilei, ale mimo wszystko powinniście mnie pamiętać.

- Dwadzieścia lat? - zdumiał się AJ.

- W tym stadium nikt się nie przejmuje szczegółami - wmieszała się natychmiast Nora. -

Oczywiście, poznamy pana, rebe!

Derszkowicz z błogim uśmiechem odsuwał się nieco w bok. Zmierzał w kierunku jednej ze skał najbliższego falochronu, na której, niby dwukrotnie powiększona rzeźba imperatora Wespazjana, zasiadał, zdążywszy już wcześniej ogolić się i ostrzyc, a także zmienić burnus na pomarańczowe szorty, lider całej powieści, Stanley Franklin Korbach. Podszedłszy, Derszkowicz wyjął spod fald odzieży dwie litrowe butelki piwa. Jedną wyciągnął w kierunku Stanleya, za drugą zabrał się sam. Pierwsza butelka piwa od czterdziestu pięciu lat, wyjaśnił przyjacielowi. Czy ktoś w to wątpi, uśmiechnął się przyjaciel.

Pod skałą, na której siedzieli obecnie dwaj starcy, pływało w małej zatoczce dwóch malutkich Żydków, jasnowłose Philip Jazz Korbach i czarniutki Clemens Dedalus Korbach. Sasza i Nora wzięli dzieci i poszli wraz z nimi ku spienionemu przejściu między dwoma falochronami, w które wpływał już jacht „Delmarva”. Widać było opalone na brąz sylwetki członków załogi. Długa, przerzucona przez ramię i przywiązana do pasa broda Anthony’ego rzeczywiście czyniła go nieco starszym od Lenore. Tej ostatniej broda nie wyrosła, jej policzki lśniły jak pomarańcze z doliny Karmelu. On wybierał liny i zwijał żagle, ona stała przy sterze. Na dziobie łodzi tańczyły tymczasem trzy dziewczynki, jedna ze słynnych trójek; być może ta pierwsza.

Zabłyły telewizyjne reflektory, cała plaża rozbrzmiała pełnymi zachwytu powitalnymi okrzykami. Nieujarzmione helikoptery izraelskich sił lotniczych zrzuciły ogromną ilość baloników i fajerwerków. Słońce do połowy zanurzyło się w ciemnym, połyskującym morzu.

- Wszyscy powinniśmy stać się narodem morskim - powiedział Stanley. - Filistyńczycy spychają nas z gór, ale my stoimy w morzu i już nigdzie się stąd nie ruszymy!

- Powiedz, Stanley, ty jesteś anioł czy diabeł? - spytał Derszkowicz.

Gigant zaczerpnął garścią wody i potrząsnął nią w złożonych dłoniach, które uworzyły w ten sposób kształt filistyńskiego czółna. Woda uszła, a zamiast niej pozostał w dłoniach lśniący jak gwiazdeczka kryształek soli.

- Otwórz paszczę, Dersz! - powiedział do przyjaciela i wrzucił kryształek w jego otwartą jamę ustną. - Zrozumiałeś teraz, kim jestem?

- Umieram z pragnienia - rozkaszał się „nowoesseńczyk” - napiję się więc po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat!

- Dzisiaj wszystkie gwiazdy wydają mi się kryształkami soli - powiedział Stanley. -

O Pantagruelu, wygląda na to, że naprawdę byłeś z naszego rodu!

W jakieś dwie godziny po zakończeniu wodnej feerii cały klan zszedł się na werandzie restauracji Hadiag, która pośród na wpół rozwalonych magazynów i na wpół rozeschniętych trawlerów starego portu stanowi oazę światła i komfortu. Nad ich głowami zwiślały grona winorośli i ogromnych balonów. Kelnerzy padali z nóg, donosząc brytfanny ze skwierczącymi w oliwie rybami Świętego Piotra, które trafiały do kuchni prosto z łodzi, kołyszących się u maleńkiej restauracyjnej przystani. Wszystkie stoły hojnie były zastawione świeżym piwem i niedrogimi gatunkami śródziemnomorskich win. Osobno stało dobrze znane z literatury antycznej wzmocnione wino z Falerno. Gomóły serów, przeważnie gruyera i roqueforta, sąsiadowały z twardą niczym kamień kielbasą z Toskanii. Nikt nie przejmował się tu prawami koszerności, choć wszyscy mieli dla tego starożytnego obyczaju ogromny szacunek. Nikt niby nie zauważał obecności świeżych ostryg, niemniej wszyscy konsumowali je w nadmiarze.

Fale uderzały w ciemności gdzieś tuż obok długiego stołu, przy którym rozsiedli się wszyscy nasi najważniejsi bohaterowie. Bryzgi morskiej wody padały czasem na stół, natychmiast rozsypując się po nim kryształkami soli. Uczujący ze śmiechem wrzucali je do ust i, umierając z pragnienia, łapali za butelki.

Wtem kelnerzy przynieśli 32-litrową butelkę z kolekcji Clicot. Na etykietce było napisane flamastrem: „Od naszego stołu - waszemu stołowi!” Podbródkami, nosami, dłońmi, palcami wskazującymi i ogólnymi ruchami gibkich ciał kelnerzy wskazywali źródło tego rzadkiego daru. Poza werandą, w głębi rozległej pieczary Hadiagu z białymi, obwieszonymi fotografiami znakomitości ścianami siedziała niczym jeszcze jedna, powiększona do naturalnych rozmiarów fotografia, kompania zwycięzców: Norman Blumsdale, Marjorie Blumsdale-Korbach, trzy córki-zdrajczynie, wszelaka drobna swołocz i, na koniec, stutrzyletni patriarcha Dave z nową przyjaciółką, młodą Birmanką Yin-Yin. Wszyscy patrzyli na „nasz stół” z dziwnymi, niezupełnie impertynenckimi uśmiechami.

- A może to bomba? - wykrzyknął Stanley. Butelka ociężale poruszała się na swoim własnym pomocniczym stoliku niczym mózdzierz. - A, wszystko jedno! Otwierajcie!

Potężna ejakulacja butelki wzbila się strumieniem i padła na... no, na kogóż może paść ejakulacja butelki - jasne, że na naszą półmityczną Bernadettę, siedzącą z Orderem Gwiazdy między piersiami, w otoczeniu swojego *entourage*, które powiększyło się tej nocy o lalkarza Duppertata i inne postaci dezserterów. Przy ogólnym śmiechu dana pojemność, jak mawiali

kiedyś ludzie radzieccy, została opróżniona. Partia Blumsdale'a zaklaskała w dłonie z niemal lizusowską lojalnością.

- Myślicie, że to z dobroci serca, z czystego pragnienia zgody? - spytał Stanley. - Po prostu sukinsyn Norm dowiedział się, że niedługo dostanę wsparcie ze strony izraelskich sił powietrznych, a wtedy koniec z nim. Identyczna historia miała miejsce na początku lat pięćdziesiątych z koreańskim czerwonym carem Kim Ir Senem. Zagnał naszych na najdalszy skrawek ziemi i już świętował zwycięstwo, kiedy na jego tyłach wysadzono z liniowca desant. Tępemu komuchowi nie przyszło do głowy, że geografia jego półwyspu wręcz zaprasza do akcji desantowej. Tak samo przesrał sprawę i Norman. W żadnym wypadku nie powinien przepuszczać mnie do Izraela. Teraz już nic mi nie przeszkodzi dostać z powrotem wszystkie pieniądze i rozdać je tym, komu są one najbardziej potrzebne.

- Ojca, zdaje się, całkiem rozebrało - szepnęła Nora Saszy na ucho.

Jej szept sprawił, że wszystkie włoski na jego piersi i pod pachami stanęły dęba. Chyba nigdy jej tak nie kochałem, pomyślał. Libido więdnie, rozkwita miłość. *Maitre Alighieri*, czy to możliwe poza granicami Raju?

- Ach, Saszka - szeptała - taka jestem szczęśliwa, że wszystko to dzieje się z nami w praojczyźnie, na ziemi naszych przodków!

No to co by wam tu jeszcze zaproponować, nasi wierni czytelnicy, i tobie, o Teofilu, by zakończyć powieść? Gdzie jest ta słynna czechowowska broń, która, jeśli wisi na scenie, koniecznie powinna wystrzelić? Czyżby ten tak niewzruszony wąż tematu miał wpełznąć w jakąś szczelinę? Może obejdziemy się jakimś odpryskiem rozbitej butelki tegoż autora, która, leżąc w kałuży księżycową nocą, stanowi wykończenie pejzażu? Co może tu u nas, na werandzie Hadiagu, odegrać tę rolę: spustoszony mózdzierz Clicot, nieodmienna jakaś karczemna gitarencja?

Oto więc i ona, siedmiostrunna, w rękach olśniewającej żydowskiej Cyganki, oto dźwięczy już w takt pobrzękiwania bransolet i naszyjników, oto huczy, podkreślając wieloznaczny sens cygańskiej pieśni:

*Czas niepogody minie, minie!*

*Minione szczęście znów przyplynie!*

*Nie zgięły nam karku lata,  
Nie zmyty jest zamek nasz!  
Niestraszne nam granaty  
Ni wraża straż!  
Czas niepogody minie, minie!  
Minione szczęście znów przyplynie!*

W tym momencie ktoś nerwowy i chudy, w ciemnych okularach, z przyklejoną brodą i z dyndającymi na skroniach sztucznymi pejsami, niby to nie patrząc na Cyganekę, a równocześnie nie spuszczać z niej oczu, a być może i celownika, podchodzi do znajdującego się w oddalonym kącie baru i przysiadła lewym pośladkiem na stołku, a prawą nogą mocno wspiera się o podłogę. Zamawia wódkę z pieprzem. Zwraca się w myśli do bransolet i naszyjników: „Mimo wszystko postanowiłaś więc, suko, zakończyć naszą historię w swoim nikczemnym stylu, wybuchem i rozpadem całej obsady na powykręcane znaki drukarskie? Uważasz mnie, gadzino, za współuczestnika, ale ja jestem człowiekiem idei, a nie terroru! Ty suko, ty dziwko, ty Meduzo Gorgono, nie pozwolę ci wysadzić w powietrze mojej młodości z Lewego Brzegu Sekwany!” Tak z fałszywą szczerością myśli Omar Mansour, cały czas sącząc przez zęby swój ohydny napitek.

W tym momencie, to znaczy w momencie, gdy myśl nerwowego człowieka przefiltrowuje się do końca przez wódkę z pieprzem i kiedy śpiew Cyganki rozmywa się w jej własnym pisku i w pobrzękiwaniu wszystkiego, co na niej brzęczy, Stanley Franklin Korbach, Aleksander Jakowlewicz Korbach i Nora Catherine Korbach-Mansour podnoszą równocześnie oczy, widzą nad sobą winne grona, girlandy baloników oraz nieprzeliczoną ilość ptasząt i gwiazd i pojmują, że bez względu na całą boskość tej chwili nastąpi teraz wybuch. I następuje wybuch.

Saszy Korbachowi wydało się, że od razu wyrzuciło go na ogromną wysokość. Pozostawszy na niej, widział, jak opadają w dół jego nieszczęsne resztki i czuł niewyobrażalne współczucie dla tych, którzy ocaleli. Trwało to w pauzie bez czasu i powietrza, w następnym jednak, zwykłym momencie znowu znalazł się przy tym samym stole pośród tego samego roześmianego towarzystwa. Okazało się, że pękł po prostu jeden balonów, a zdumiewającą halucynację Saszy można potraktować jako objaw nerwicy wegetatywnej. Wybuchowe zakończenie nie zrealizowało się, i w ten sposób przejawiał się triumf naszej literackiej tradycji.



Następnego ranka klan Korbachów oraz osoby towarzyszące, wszyscy w zwykłych porządnym garniturach, wsiedli do wynajętego autobusu - płacił, ma się rozumieć, zbankrutowany bogacz, czerpiąc ze swego woreczka - i pojechali do Jerozolimy na spotkanie z przypuszczalnym przodkiem.

Główna trasa Izraela pełna była samochodów. Pędziły z taką samą prędkością, z jaką jeżdżą samochody w Ameryce czy w Rosji, zupełnie jakby się nie bały, że z marszu znajdą się nagle w Gawlantydzie, Baszanie czy Dziesięciostopniu Bataneja. Im wyżej podnosiła się wielopasmówka, tym bardziej jej otoczenie, z jasnoszarymi i jasnoróżowymi głazami wśród świeżej zieleni sosnowych i cedrowych zagajników, z małymi miasteczkami, wiszącymi w oddali na stromych stokach wzgórz, przypominało o długiej historii tej ziemi.

Jak zawsze w Izraelu, AJ zaczynał odczuwać jakieś uroczyste, a równocześnie łagodnie uspokajające podniesienie nastroju. Ekscytacja wczorajszego dnia w kosmopolitycznym Tel Awiwie od razu opadła, zupełnie jakby nie parę godzin minęło, a rok. Głowa się przejaśnia, myślał ze zdziwieniem. Wywiewa z niej wszystkie te Rosje i Ameryki. Teraz może mnie nawiedzić dobra, zdrowa myśl.

Nawiedziła go natychmiast, kiedy za zakrętem drogi otworzyła się dolina z wiszącymi na różnych wysokościach miasteczkami. Tu przeżyć resztę dni. Tu się zatracić. Zapomnieć o komedianctwie. Zapomnieć o burdelu. Pisać wiersze. Nie czytać ich nikomu, tylko Norze, kiedy będzie przyjeżdżać ze swoich grabarskich ekspedycji. Niestety, nie wszystko rozumie ona w tym pieprzonym slangu WPPS, danym mi wraz z miejscem narodzin. A zatem i jej nie czytać.

- Strasznie się denerwuję, wiesz - powiedziała Nora.

Wzdrygnął się. Rozmyślając o niej, zapomniał, że jest tuż obok.

- Dlaczego?

Uśmiechnęła się.

- No jak to? Mimo wszystko uważam go tak jakby za swoje dziecko.

- Kogo, na Boga? - zdumiał się.

- Chyba zapomniałeś, dokąd jedziemy? - powiedziała z oburzeniem.

- Dlaczego miałbym zapomnieć? Do Jerozolimy.

- A po co tam jedziemy? Tak sobie, na wycieczkę? Czy może w jakimś specjalnym celu? - Wprost gotowało się w niej, ledwo się wstrzymywała, by nie dać mu w łeb.

- A, prawda, jedziemy zobaczyć twojego sztywniaka, tego ugotowanego w miodzie pana Chłodnodomskiego! Ojej, boli! Co tak ostro walisz, Noro? Rozumiem znaczenie tego zdarzenia nie gorzej niż ty. Przewrót w archeologii, w całym grabarskim biznesie. No dobra, już więcej nie będę. Po prostu zamyśliłem się o tym, jak będziemy żyć razem z tobą na tamtym, o, stoku wzgórza. Będziemy siedzieć i patrzeć w telewizor, ty na swoje CNN, a ja na Ostankino.

- Och, przestań wreszcie - odwróciła się, wściekła.

Wyglądało na to, że oprócz AJ wszyscy w autobusie zdawali sobie sprawę z powagi chwili. Głowę klanu trudno było poznać po wczorajszych eskapadach. W piaskowego koloru garniturze, który wziął się nie wiadomo skąd, w porządnie zawiązanym krawacie ze szpilką, milczał surowo. Obok niego siedział wieczny lokaj Enoch Aghast, który pojawił się równie tajemniczo co garnitur. W okularach i tweedowej marynarce, przypominał profesora Centrum Rozwiązywania Konfliktów Uniwersytetu Pinkertona.

W połowie długości autobusu umiejscowili się byli główni doradcy, Leibnitz i Square, a także przedstawiciel zespołu ds. genealogii Lionel Fuchs. Rozmawiali po cichu i robili notatki w laptopach. Skromnie i z powagą wносиła swoją obecność nie zauważona wczoraj przez nikogo z czytelników para małżeńska, Ben Wart Kaczki i Rosę Warta Kaczki. Chciałoby się tu wtrącić parę słów o tym, jak ułożyły się losy tej sympatycznej pary. Jeszcze w czasie ich wspólnej owocnej działalności na niwie filantropii Ben i Rosę zapalili się do tej dyscypliny współczesnego sportu, bliskiej sztuce i filozofii, która w Ameryce ze zrozumiałych przyczyn nazywa się *bodybuilding*, w Rosji zaś z niezrozumiałych przyczyn - kulturystyką. W moskiewskim centrum odnowy dla cudzoziemców imienia hrabiego Leforta nie było nikogo, kto prześcignąłby ich pod względem rozwoju masy mięśniowej i harmonii ruchów. Po upadku Fundacji Korbacha udało im się wrócić do Stanów, gdzie niemal natychmiast zostali mistrzami ligi zawodowców. Ze względu na brak miejsca powiemy jedynie, że sprawiała im wielką satysfakcję możliwość uważania się za wzorcową amerykańską parę, mieszaną pod względem rasy i płci.

Z zaskakującą powagą zachowywała się w autobusie grupa Bernadetty de Lux, w której po wczorajszym wieczornym spektaklu rej wodził popularny na Bliskim Wschodzie wędrowny lalkarz Art Duppertat. W szczególności wziął on na swe barki opiekę nad dziećmi, których, w rezultacie wszelakich przetasowań, zebrało się co najmniej tuzin. Otworzywszy buzie,

patrzyły, jak to tu, to tam pojawiały się i znikwały w autobusie rozmaite postaci *commedia deWarte*.

Jednym słowem, zmierzali ku Jerozolimie i po upływie półtorej godziny wjechali od strony zachodniej w granice miasta. Zachodnia Jerozolima zaczyna się dość rozległym płaskowyzem, na którym wznosi się niczym aleksandryjskie widmo wielopiętrowy hotel Holiday Inn. Na wschód od tej budowli położone są arcydzieła neoantycznej architektury, Kneset i Muzeum Izraela. Właśnie ku temu ostatniemu zmierzała nasza ekspedycja. W specjalnie sporządzonym szklanym pojemniku spoczywała tam unikatowa mumia garbarza.

Byli już niemal na ostatnim zakręcie przed muzeum, gdy głowa klanu nieoczekiwanie poleciła zmienić kierunek.

- Najpierw na Stare Miasto - powiedział, i nikt się nie sprzeciwił.

Pozostawiając autobus na parkingu niedaleko murów twierdzy, przecięli dolinę Cedronu, to jest Jozafata, gdzie zstąpi Mesjasz i zacznie się wskrzeszanie z martwych. Potem wraz z tłumem pielgrzymów i turystów weszli przez wrota tam, gdzie królowali Dawid i Salomon, gdzie Nabuchodonozor zburzył Świątynię i wyciął jeńcom z pleców rzemienne bicze, gdzie Machabeusze bronili się przed pułkami Antiochii, gdzie Herod budował swoje rzymskie kolumnady, gdzie biczowano Chrystusa, niosącego krzyż na Golgotę, gdzie umarł On i zmartwychwstał, gdzie spalili Drugą Świątynię legionieści Tytusa i gdzie osadził swego złotego jak sierp księżycy konia Mahomet, który przygalopował tu nocą z Mekki na spotkanie z wczesnymi prorokami.

Na modłę oksymoronów po wejściu na Stare Miasto rozsiedli się w arabskiej kawiarni i zamówili lody. Obok, kierując się w ramach patriotycznej wycieczki ku Wieży Dawida, szedł pluton żołnierzy z dużymi amerykańskimi półautomatami na plecach skierowanymi lufami w dół. Sierżant pokrzykiwał na podwładnych: *Smieło! Smieło!*, co bynajmniej nie było wezwaniem do waleczności, a oznaczało po prostu „trzymać się lewej strony”.

Ochłodziwszy się lodami, nasi ruszyli dalej przez dzielnicę ormiańską i z zakrętu ujrzeli ogromną przestrzeń między staromiejskim wzgórzem a Górą Oliwną, u której podnóża leżała najświętsza chrześcijańska uprawa, ogród Getsemani. Ilekroć AJ znajdował się tutaj, za każdym razem zdawało mu się, że z całej powierzchni unosi się w górę olbrzymi świetlny słup. Stało się tak i teraz. Chciał powiedzieć o tym Norze, ale się nie odważył. Ukochana szła z zagryzionymi wargami, blada, ramiona jej drżały jakby pod porywami wiatru. Czemu aż tak się denerwuje?

Czyżby była aż tak ambitna?

Ulice dzielnicy żydowskiej były zabudowane współczesnymi domami z różowawego miejscowego kamienia. Zabudowa otaczała ruiny i sama stawała się jakby częścią antyku. Ogromny plac przed Ścianą Płaczu ze wszystkich stron był patrolowany przez komandosów z dywizji Gelawi we fioletowych beretach. Potężni faceci w kombinezonach, obwieszeni bronią i radiotelefonami, stali pod arkadami i wymieniali dowcipy po hebrajsku i po rosyjsku. Otworzyli usta, kiedy przedefilowała przed nimi w swoim paryskim kostiumie Bernadetta Skromna. Dało się również zauważyć, że nawet paru drobnych chasydów drgnęło na widok naszego surowego wcielenia ultrakobiecości. Mądry przepis dzielił jednak modlących się u Ściany według płci, i pokusa oddaliła się.

Ściana ta zaskakuje rozmiarami i ciężkimi ciosanymi głazami, szczelnie dopasowanymi do siebie nawzajem. Masz przed sobą jedynie niewielką część, jaka pozostała ze Świątyni, a wyobraź sobie całą Świątynię! Stanley złożył dłonie na kamieniu, i wszyscy powtórzyli jego gest.

- W tej chwili, kochani, wszystko, cokolwiek było w was żydowskiego, wraca ku wam! - uroczyście powiedział rabin Derszkowitz.

Za naszymi podchodzili do ściany Żydzi różnego pochodzenia: Uzbecy, Gruzini, Dagestańczycy, Marokańczycy, Amerykanie, Polacy i inni, niesposób wyliczyć wszystkich. Czytelnik wie, że nawet Dziesięć Zagubionych Plemion trafi tu któregoś dnia.

Przed Muzeum Izraela stała demonstracja w czarnych łapserdakach. Plakaty głosiły: „Ręce precz od naszych przodków!”, „Żądamy pochówku garbarza Kor-Bejta!”, „Archeologowie, won z Izraela!”. Ochrona, odsunawszy do tyłu protestujących, zrobiła przybyłym przejście. Czekało tu na nich, jak się okazało: ceremonia przyjęcia nowego eksponatu w poczet zasobów muzeum miała się lada moment rozpocząć.

Szli po szlifowanych marmurowych posadzkach sal o ściśle regulowanej optymalnej temperaturze. W jednej z nich, z podświetlonymi kątami i trójkątem błękitnego nieba w suficie, stała niewielka, licząca ze dwie setki, grupa gości honorowych, pośród których znajdował się prezydent, ministrowie, rabini, paru szefów państw. Wszyscy zwrócili głowy w kierunku górującego nad tłumem Stanleya Korbacha. Towarzystwo było jawnie zaintrygowane pojawieniem się wielkiego filantropa, jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci bieżącej

chwili, a do tego jeszcze potomka historycznego eksponatu. Brygada telewizyjnych kamerzystów i fotografów dyskretnie pstrykała i kręciła zdjęcia ze swego ściśle limitowanego sektora. Dyrektor muzeum wygłaszał już przemówienie. Hebrajskie gardłowe h mieszało się z przydechami symultanicznego przekładu angielskiego w wersji brytyjskiej.

Norę doprowadzono w pobliże mikrofonów. Miała złożyć raport na temat historycznego znaleziska. Na AJ nikt nie zwracał uwagi. Wspinając się na palce, usiłował dojrzeć eksponat, nie jednak nie był w stanie zobaczyć. Jasne było, że w środku tłumu znajduje się trochę wolnej przestrzeni. Dopiero przedostawszy się na jej skraj, zrozumiał, w czym rzecz. Pod nim, w jasno oświetlonym białym sześciennym, rozpostarte było ciemnobrązowe, zmumifikowane męskie ciało. Z lewej strony brzucha sterczał odłamek kopii. Porwane okrycie, najwyraźniej lekka letnia tunika, opinała jego pierś i zbierała się fałdami na biodrach. Była tego samego koloru, co i ciało - ciemnobrązowa, niby zgęstniały gryczany miód. Cały eksponat zresztą pokryty był warstwą skamieniałego miodu z rozbitej podczas trzęsienia ziemi amfory - substancji, która ostatecznie oddzieliła Zeewa Kor-Bejta od sfery powietrznej.

Dziwne, nigdy przedtem nie doświadczane uczucie ogarnęło AJ. Ni strach to był, ni zachwyty, w każdym razie coś nie do wytrzymania. Stał nad rozpostartym ciałem zlany potem, drżący, jak od mogilnego chłodu czy od wulkanicznego żaru. Chciał uciec, ale nie był w stanie się poruszyć. A zostać tu też było ponad jego siły, podobnie jak rzucić w dół jeszcze jedno spojrzenie na Zeewa Kor-Bejta. Błękitny trójkąt w górze zdawał się przepaścią. Twarze wokół stanowiły jedną nierozpoznawalną masę.

- Boże mój, Boże! Jak ja mogłam się wcześniej nie domyślić?! - dobiegł go głos Nory. - Saszka, to ty?! Jesteś tu, Saszka?!

Jedynie skłonność do niestosownych myśli nie opuściła go i tutaj. Jak często trudno w ustach kobiety odróżnić pytajnika od wykrzyknika, pomyślał i troszkę go to otrzeźwiło. Czuł, że publiczność zaczyna odwracać się w jego kierunku. Nic innego mu nie pozostawało, jak pochylić się nad szkłem.

Tam, w dole, leżał on sam. Było to jego własne, szczupłe i muskularne ciało, i nawet paznokieć dużego palca prawej stopy był kopią jego własnego, kiedyś nazwanego archeologicznym. Najważniejsze polegało jednak na tym, że Zeew Kor-Bejt miał twarz Aleksandra Korbacha. Jedynie nad lewym kącikiem ust odsłonił się kawałeczek ciała i widoczna była kość, cała reszta była idealną kopią rysów AJ: i kształt łysej czaszki, i odstające uszy,

i rozciągnięte małpie usta, i powieki, zaciśnięte, jak gdyby w śmiechu, od dwóch tysięcy lat na gałkach ocznych. Oddalając się i przybliżając, majaczyła przed nim oszołamiająca maska błazeńskiego śmiechu, kropka w kropkę taka sama, jaka pojawiała się u niego samego w momentach teatralnego natchnienia. I on sam obecnie oddalał się i przybliżał, oddalał i przybliżał. I nagle poczuł, że dotyka czegoś na razie niepojętego. Znaczy, że to ja, znaczy, że to ja sam, znaczy, że to ja sam tu byłem, znaczy, że to ja sam tu byłem w osobie tego pieśniarza Saszy Korbacha, myślał. I odpływał, i przyplýwał, i odpływał.

Maksymy

Nic - to coś,

Anielstwo i diabelstwo.

Nic - to byle co,

Niechlujna łąta.

Byle coś - to prawie nic,

Telefon na zamkniętej poczcie.

Prawie nic - to wszystko,

Lekką szarżą zapadasz w sen.

Wszystko - to coś,

Cały świat grecki.

Coś - to nic,

Tylko stadko ptasząt.